

THE GREAT MINDS ARE



650083

Dan Simmons

TRUPIA OTUCHA

Carrion Comfort

Przełożył
Wojciech Szypuła

Edowi Bryantowi

Podziękowania

Każda książka, która z powodzeniem pokona długą drogę od poczęcia do publikacji, zawdzięcza swój sukces większej liczbie umysłów i rąk niż tylko te należące do autora, ale powieść takich rozmiarów i o takim rozmachu zaciąga tych długów więcej niż inne. Chciałbym w tym miejscu podziękować niektórym z osób, za sprawą których *Trupia Otucha* stawiała czoło sztormom i falom otwartego morza, by w końcu dotrzeć do bezpiecznej przystani. Oto one:

Dean R. Koontz, który nie szczędził mi łaskawych słów zachęty i zawsze trafiał z nimi we właściwy moment.

Richard Curtis, którego szanuję za upór i profesjonalizm.

Paul Mikol, którego przyjaźń bardzo sobie cenię, a doskonały gust - podziwiam.

Brian Thomson, którego zamiłowanie do szachów i szacunek dla historii są godne pozazdroszczenia.

Simon Hawke, specjalista od broni palnej kontynuujący tradycje Geoffreya Boothroyda.

Arleen Tennis, wyśmienita maszynistka, której dziękuję za te wszystkie upalne letnie dni spędzone nad kolejnymi prawie ostatecznymi wersjami poprawek po poprawkach.

Claudia Logerquist, która cierpliwie przypominała mi, że umlautów i znaków diakrytycznych nie rozrzuca się po tekście w sposób przypadkowy jak ziarenek soli.

Wolf Blitzer z *Jerusalem Post*, który pomógł mi znaleźć najlepszy stragan z falafelami w Hajfie.

Ellen Datlow, która twierdziła, że nie można napisać ciągu dalszego mikropowieści.

Szczególne podziękowania należą się:

Kathy Sherman, która z entuzjazmem podjęła współpracę artystyczną mimo krótkich terminów i niewygórowanych stawek; mojej córce Jane, której cierpliwie wyczekiwanie, aż Tata „skończy swoją straszną książkę”, przeciągnęło się na dwie trzecie jej życia;

Karen, która nie mogła się doczekać, co będzie dalej.

Na koniec najszczerze podziękowania kieruję do Edwarda Bryanta,

dżentelmena i świetnego pisarza, któremu dedykuję tę powieść.

Prolog

Chełmno
1942

Saul Laski leżał w obozie śmierci wśród umierających i rozmyślał o życiu. Drżąc w ciemności z zimna, przywoływał wspomnienia wiosennego poranka: złote światło muskające grube konary wierzb nad strumieniem, splechatek białych stokrotek na tyłach kamiennych zabudowań gospodarstwa stryja.

W barakach panowała cisza, z rzadka tylko przerywana chrapliwym kaszlem i ukradkowymi szelestami muzułmanów, żywych trupów, próżno poszukujących odrobiny ciepła w zimnej słomie. Jakiś starzec dostał przeciągłego, spazmatycznego napadu kaszlu zapowiadającego bliski koniec długiej, beznadziejnej walki. Do rana umrze. Nawet jeśli przeżyje noc, nie wyjdzie na poranny apel na śniegu, to zaś znaczyło, że umrze jeszcze przed południem.

Saul skulił się i zasłonił oczy przed światłem reflektora, wciskającym się do środka przez oszronione szyby. Przycisnął się plecami do drewnianego szkieletu pryczy. Drzazgi drapały go po żebrach i kręgosłupie przez cienki materiał koszuli. Nogi zaczęły mu drżeć ze zmęczenia i zimna, nie mógł nad nimi zapanować. Złapał się kurczowo za uda i trzymał tak długo, aż dreszcze ustąpiły.

Przeżyję.

Ta myśl była rozkazem, dyktatem tak głęboko odcisniętym w jego świadomości, że nawet wygłodniałe i owrzodzone ciało nie było w stanie oprzeć się jego sile.

Kiedy był dzieckiem, kilka lat wcześniej - całą wieczność wcześniej - jego stryj Mosze obiecał zabrać go na ryby nieopodal swojego domu pod Krakowem. Saul nauczył się wtedy wyobrażać sobie przed snem gładki, owalny kamień, na którym wypisywał dokładną godzinę i minutę, o której zamierzał się obudzić. W wyobraźni wrzucał ów kamień do przejrzystego stawu i patrzył, jak tonie. Zawsze następnego ranka budził się dokładnie o zaplanowanej porze, wypoczęty i rześki; pełną piersią chłonał zimne poranne powietrze i napawał się ciszą przedświtną przez ten krótki czas, zanim przebudzenie jego brata i siostr zburzyło perfekcyjny nastrój.

Przeżyję.

Zacisnął powieki i patrzył, jak kamień tonie w czystej wodzie. Znów zaczął drżeć na całym ciele i wcisnął się mocniej w nieheblowane deski. Po raz tysięczny spróbował umościć się głębiej w swoim zagłębieniu w słomie. Było lepiej, kiedy dzielił pryczę ze starym panem Szistrukiem i młodym Ibrahimem, ale Ibrahima zastrzelili w kopalni, a pan Szistruk dwa dni temu w kamieniołomie po prostu usiadł i nie wstał - nawet kiedy Gluecks, dowódca straży SS, poszczuł go psem. Staruszek pożegnał się ze współwięźniami wątlym, niemal radosnym machnięciem kościstej ręki pięć sekund przed tym, jak owczarek niemiecki rozszarpał mu gardło.

Przeżyję.

Ta myśl miała w sobie rytm wykraczający daleko poza słowa, poza sam język. Stanowiła kontrapunkt dla wszystkiego, co widział i czego doświadczył podczas pięciu miesięcy obozu. Przeżyję. Pulsowała światłem i ciepłem, które choć w części równoważyły chłód otchłani, bezdennego dołu, jaki w każdej chwili mógł otworzyć się w nim szeroko i go pochłonąć. Wielki Dół. Widział go na własne oczy. Razem z innymi przysypywał grudami czarnej ziemi ciepłe ciała, niektóre jeszcze nawet się ruszały, jakies dziecko machało rączką, jakby wierciło się przez sen albo witało się z bliską osobą, która wyszła po nie na dworzec, a oni zrzucali ziemię łopatami i posypywali ciała wapnem z worków tak ciężkich, że nie byli w stanie ich unieść, na skraju dołu siedział esesman, zwiesiwszy nogi swobodnie w głąb Dołu, ręce - białe i miękkie - zaciskał na czarnym metalu pistoletu maszynowego, na chropawym policzku miał przyklejony plaster w miejscu, gdzie zaciał się przy goleniu, zacięcie już się goiło, nagie blade ciała poruszały się słabo, a Saul - z oczami zaczerwienionymi od wapna, którego rozpylony tuman zawisł w powietrzu niczym zimowa mgła - sypał ziemię do Dołu.

Przeżyję.

Skupił się na sile płynącej z tej zapowiedzi i przestał zwracać uwagę na swoje rozedrgane członki. Dwa poziomy wyżej na piętrowej pryczy ktoś szlochał w ciemności. Saul czuł, jak wszy pełzną mu po rękach i nogach w poszukiwaniu źródła dogasającego ciepła. Zwinął się ciaśniej w kłębek, posłuszny temu samemu imperatywowi, który rządził zachowaniem insektów; zareagował na ten sam bezrozumny, nielogiczny i niepodważalny nakaz trwania.

Kamień tonał coraz głębiej w lazurowej głębi. Balansujący na granicy snu

i jawy Saul jeszcze rozróżniał wyrysowane na nim toporne cyfry.

Przeżyję.

Otworzył gwałtownie oczy, gdy kolejna myśl zmroziła go bardziej niż wiatr świszczący w szparach źle oszklonych okien.

Trzeci czwartek miesiąca.

Był prawie pewien, że to jest trzeci czwartek miesiąca, a w trzeci czwartek miesiąca przychodzili oni. Przychodzili, ale nie zawsze. Może tym razem nie przyjdą. Nakrył głowę rękami i jeszcze bardziej skulił się w pozycji płodowej.

Prawie udało mu się zasnąć, kiedy drzwi baraku otworzyły się z łoskotem. Było ich pięciu - dwóch strażników z Waffen-SS uzbrojonych w pistolety maszynowe, zwykły podoficer wojsk lądowych, porucznik Schaffner i młody Oberst, którego Saul widział po raz pierwszy. Ten ostatni miał bladą, aryjską twarz i blond grzywkę, która opadała mu na czoło. Snopy światła z latarek ślizgały się po wysokich jak regały piętrowych pryczach. Nikt się nie poruszył. Nocna cisza wydawała się wręcz namacalna, gdy osiemdziesiąt pięć żywych szkieletów wstrzymało oddech. Saul też wstrzymał oddech.

Niemcy weszli na pięć kroków w głąb baraku, poprzedzani falą zimnego powietrza. Ich masywne sylwetki rysowały się wyraźnie na tle otwartych drzwi, skroplone oddechy otaczały ich lodowatą chmurą. Saul prawie całkiem zagrzebał się w resztkach słomy.

- *Du!* - rozległo się. Promień światła padł na skuloną postać w pasiaku i czapce w paski w głębinach dolnej pryczy, sześć rzędów od Saula. - *Komm! Schnell!*

Więzień nie zareagował, więc esesmani siłą wywlekli go w przejście pomiędzy pryczami. Saul usłyszał chrobot bosych stóp na deskach podłogi.

- *Du, raus!*

I jeszcze raz:

- *Du!*

Naprzeciw potężnych postaci stało już trzech muzułmanów, kruchych i nieważkich jak strachy na wróble. Cała grupa zatrzymała się cztery prycze od Saula, esesmani odwrócili się i skierowali latarki na środkowy poziom prycz. Wyławiane z ciemności czerwone oczy przywodziły na myśl szczury wyzierające z na wpół otwartych trumien.

Przeżyję.

Pierwszy raz zabrzmiało to bardziej jak modlitwa niż rozkaz. Nigdy przedtem nie brali więcej niż czterech z jednego baraku.

- *Du.*

Człowiek z latarką przesunął się nieco i zaświecił Saulowi w twarz. Saul się nie poruszył. Nie oddychał. Wierzch jego własnej dłoni, zawieszony zaledwie kilka centymetrów nad jego twarzą, wyznaczał w tej chwili granice całego wszechświata. Biała skóra, biała jak u pędraka, obłaziła mu plackami. Włosy na wierzchu dłoni wydawały się całkiem czarne. Wpatrywał się w nie z nabożnym lękiem. W świetle latarki jego ręka stała się niemal przezroczysta, widział kolejne warstwy mięśni, wdzięczny układ ścięgien, niebieskie żyły pulsujące delikatnie w dzikim rytmie bicia serca.

- *Du, raus.*

Czas zwolnił, zatrzymał się i zawrócił. Całe życie Saula, każda jego sekunda, każda ekstaza i każde banalne, zapomniane popołudnie prowadziły do tej chwili. Tu się przecinały.

Usta Saula rozchyliły się w pozbawionym wesołości uśmiechu. Dawno już postanowił, że nie da się wyprowadzić w mrok; będą musieli zabić go tutaj, na oczach pozostałych. To jedno mógł jeszcze zrobić: narzucić mordercom moment swojej śmierci.

Ogarnął go wielki spokój.

- *Schnell!*- wrzasnął jeden z esesmanów i razem z drugim doskoczył do niego.

Oślepiiony światłem Saul poczuł woń mokrej wełny, w oddechu esesmana rozpoznał słodki aromat alkoholu. Chłodne powietrze owionęło mu twarz. Dostał gęsiej skórki, czekając na dotyk ich szorstkich rąk.

- *Nein!* - warknął młody Oberst, czarna podobizna człowieka tonąca w powodzi blasku. - *Zurücktreten!*

Postąpił krok do przodu, esesmani posłusznie się cofnęli. Dla wpatzonego w mroczną sylwetkę Saula czas się zatrzymał. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Mgła oddechów zawisała wokół nich w powietrzu.

- *Komm!*- powiedział półgłosem Oberst. Nie użył rozkazującego tonu, przemówił łagodnie, niemal czule; takim tonem mógłby wołać ulubionego psa albo zachęcać dziecko, by uczyniło pierwszy samodzielny krok. - *Komm her!*

Saul zgrzytnął zębami i zamknął oczy. Pogryzie ich, kiedy po niego sięgną. Rzuci im się do gardeł. Będzie gryzł, szarpał i rwał żyły i chrząstki, aż będą musieli strzelać, będą musieli otworzyć ogień, będą musieli...

- *Komm!* - Oberst poklepał się lekko po kolanie.

Saul obnażył zęby w drapieżnym grymasie. Rzuci się na tych jebanych

skurwysynów, temu skurwielowi pierwszemu rozszarpie gardło na oczach wszystkich, wyrwie mu, kurwa, bebechy, wypatroszy gnoja...

- *Komm!*

Wtedy to poczuł. Coś go uderzyło. Żaden z Niemców nie poruszył się nawet o cal, ale coś ze straszliwą siłą uderzyło Saula w nasadę kręgosłupa. Krzyknął. Coś go uderzyło... i weszło w niego.

Uczucie było tak samo bolesne, jakby ktoś wetknął mu nagle żelazny pręt w odbył - a przecież nikt go nie dotknął. Nikt się do niego nie zbliżył. Krzyknął ponownie, ale jakaś niewidzialna siła zacisnęła jego zęby.

- *Komm her, du Jude!*

Poczuł to. Coś przemocą wyprostowało mu grzbiet, wprawiło ręce i nogi w spazmatyczne drgawki. Coś było w nim. W środku. Poczuł, jak zaciska mu się na mózgu niczym imadło i ściska, ściska coraz mocniej. Chciał krzyknąć, ale to coś mu nie pozwoliło. Miotał się na wysypanej słomą pryczy, targany przypadkowymi impulsami nerwowymi. Zsikał się w spodnie.

Nagle całe jego ciało wyprężyło się i spadł na ziemię. Strażnicy się odsunęli.

- *Steh auf!*

Plecy Saula wyprostowały się i napięły tak gwałtownie, że mimo woli uklękł. Jego ręce miały się i wymachiwały dziko, jak obdarzone własną wolą. Czuł coś w głowie, jakąś lodowatą obecność otuloną ognistą aureolą bólu. Obraz tańczył mu przed oczami.

Wstał.

- *Geh!*

Usłyszał wybuch śmiechu jednego z esesmanów, poczuł woń wełny i metalu, gdzieś z daleka odbierał dotyk zimnych drzazg pod stopami. Zatoczył się ku wyjściu i rozlewającej się za nim oślepiającej łunie światła. Oberst spokojnie, bez słowa ruszył za nim, uderzając rękawiczką o udo. Na schodach Saul potknął się i omal nie upadł, lecz podtrzymała go ta sama niewidzialna dłoń, która już wcześniej ścisnęła mu umysł, a teraz rozpałała wszystkie nerwy ognistymi igłami bólu. Boso, ale nie czując zimna, szedł po śniegu i zmrożonym błocie na czele grupy kierującej się do podstawionej ciężarówki.

Przeżyję, pomyślał Saul Laski, ale magiczny rytm tego słowa został rozdarty na strzępy w obliczu huraganu bezgłośnego, lodowatego śmiechu i woli o wiele potężniejszej niż jego własna.

Księga pierwsza

OTWARCIA

1.

Charleston

12 grudnia 1980, piątek

Nina zamierzała przypisać sobie punkty za śmierć tego Beatlesa, Johna. Moim zdaniem było to posunięcie w wyjątkowo złym guście. Jej album leżał na moim mahoniowym stoliku, wycinki były schludnie ułożone w porządku chronologicznym, obcesowe stwierdzenia zgonów rejestrowały jej kolejne Żerowiska. Nina Dayton jak zawsze promieniała uśmiechem, tylko w bladoniebieskich oczach próżno by szukać choć śladu ciepła.

- Powinniśmy poczekać na Williego - zauważyłam.

- Naturalnie, Melanie, jak zwykle masz słuszość. Ależ ja bywam niemądra! Przecież znam zasady.

Wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju, od niechcienia dotykając sprzętów i pomrukując z podziwem na widok ceramicznej figurki albo szydełkowanego drobiazgu. Dawniej całą tę część domu zajmowała oranżeria, ja jednak wygospodarowałam sobie w niej miejsce na pracownię krawiecką. Rośliny nadal plawiły się w porannym świetle. Za dnia nagrzany słońcem pokój stawał się ciepły i przytulny, zimą jednak był zbyt chłodny, żeby przyjemnie siedziało się w nim wieczorami. Nie przepadałam też za wrażeniem, że czająca się za tymi wszystkimi ogromnymi szybami ciemność zaciska się wokół mnie.

- Uwielbiam ten dom - powiedziała Nina. Odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. - Zawsze nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Charleston. Powinniśmy urządzić tu wszystkie nasze zjazdy.

Wiedziałam, że serdecznie nienawidzi tego miasta i tego domu.

- Williemu byłoby przykro - odparłam. - Wiesz przecież, jak uwielbia się popisywać tą rezydencją w Beverly Hills. I swoimi nowymi dziewczynami.

- I chłopakami. - Nina parsknęła śmiechem.

Ze wszystkich mrocznych zmian, jakie w niej zaszły, najmniej zmienił się jej śmiech - brzmiał tak samo chrapliwie i dziecinnie, jak kiedy usłyszałam go pierwszy raz dawno, dawno temu. Wtedy mnie nim przyciągnęła; jedna samotna, złakniona ciepła młoda dziewczyna zwabiła drugą jak płomień ćmę. Teraz jednak na jego dźwięk przeszył mnie zimny dreszcz. Postanowiłam jeszcze bardziej mieć się na baczności. Na przestrzeni dziesięcioleci zbyt wiele ciem spłonęło w ogniu Niny.

- Każę podać herbatę - zaproponowałam.

Pan Thorne podał herbatę w moim najlepszym serwisie od Wedgwooda. Siedziałyśmy z Niną w powoli przesuwających się kwadratach słonecznego blasku i ściszonymi głosami rozmawiałyśmy o błahostkach - wymieniałyśmy niefachowe uwagi o gospodarce, ze zrozumieniem komentowałyśmy niski poziom współtowarzyszy lotów pasażerskich w obecnych czasach, jedna napomykała o książkach, których ta druga nie miała okazji przeczytać. Gdyby ktoś zajrzał przez okno z ogrodu, mógłby pomyśleć, że oto starzejąca się, lecz wciąż atrakcyjna siostrzenica przyjechała w odwiedziny do swojej ulubionej ciotki (stanowczo odrzucam sugestię, że ktokolwiek mógłby omyłkowo wziąć nas za matkę i córkę). Ludzie zwykle uważają mnie za osobę dobrze, choć niekoniecznie modnie ubraną; Bóg mi świadkiem, że wydaję fortunę na wełniane spódnice i jedwabne bluzki w szkockich i francuskich sklepach wysyłkowych, ale przy Ninie i tak zawsze czuję się jak uboga krewna. Tego dnia miała na sobie elegancką jasnoniebieską sukienkę, która - jeśli dobrze rozpoznałam projektanta - musiała kosztować kilkanaście tysięcy dolarów. Kolor doskonale podkreślał błękit jej oczu, a jej cera wydawała się jeszcze bardziej idealna niż zazwyczaj. Nina lekko posiwiiała, podobnie jak ja, ponieważ jednak czesała się w koński ogon, jej siwizna jakimś cudem nie rzucała się w oczy, a włosy wyglądały młodo i szykownie - czego nie dało się powiedzieć o mojej krótkiej trwałej po płukance.

Nikt by się nie domyślił, że jestem o cztery lata młodsza od Niny. Czas obszedł się z nią łaskawie. Poza tym częściej Żerowała.

Odstawiła spodek z filiżanką i rozpoczęła kolejną bezcelową rundkę po pokoju. To było do niej niepodobne, rzadko okazywała zdenerwowanie. Przystanęła przed oszkloną gablotą. Prześliznęła się wzrokiem po moich figurkach od Hummela, cynowych posążkach... i nagle znieruchomiała, zaskoczona.

- Na Boga, Melanie! Pistolet?! Cóż za dziwaczne miejsce na trzymanie starego pistoletu!

- To pamiątka rodzinna - wyjaśniłam. - Cenna pamiątka. Masz rację, to głupie miejsce, ale to jedyna zamykana na klucz gablotka w całym domu, a pani Hodges często przychodzi z dziećmi...

- Chcesz powiedzieć, że jest naładowany?

- Nie - skłamałam. - Oczywiście, że nie. Ale dzieci nie powinny się bawić takimi rzeczami... - ciągnęłam nieprzekonująco.

Skinęła głową, nawet nie próbując ukryć protekcyjnego uśmiechu.

Podeszła do południowego okna i wyjrzała do ogrodu.

Nina Drayton... Do diabła z nią. Fakt, że nie rozpoznała tego rewolweru, wiele o niej mówił. Charles Edgar Larchmont w tym dniu, w którym zginął, był moim fatygantem dokładnie od pięciu miesięcy i dwóch dni. Wstrzymywaliśmy się z oficjalną zapowiedzią, ale planowaliśmy ślub. Te pięć miesięcy było jak cała tamta epoka w pigułce - naiwne, rozflirtowane, sformalizowane do granic śmieszności i romantyczne. Nade wszystko romantyczne, jednak w najgorszym sensie tego słowa; przesiąknięte mdłymi, przesłodzonymi ideałami, o jakie może zabiegać tylko człowiek niedojrzały - lub niedojrzałe społeczeństwo. Byliśmy dziećmi bawiącymi się naładowaną bronią.

Nina (wtedy jeszcze nazywała się Hawkins, Nina Hawkins) też miała adoratora - wysokiego, niezgrabnego, lecz pełnego dobrych intencji Anglika nazwiskiem Roger Harrison. Poznali się w Londynie rok wcześniej, na początku Wielkiej Podróży Hawkinsów. Obwieściwszy, że zupełnie stracił dla Niny głowę (kolejna nedorzecznosc tych dziecięcych czasów), Harrison podążał w ślad za nią od jednej europejskiej stolicy do drugiej, do czasu, aż jej ojciec (pozbawiony wyobraźni drobny kapelusznik, przeczulony na punkcie swojego wątpliwego statusu społecznego) udzielił mu surowej reprimendy. Harrison wrócił wtedy do Londynu, żeby „uporządkować swoje sprawy” - tylko po to, by parę miesięcy później pojawić się w Nowym Jorku w chwili, gdy Ninę postanowiono akurat wysłać do mieszkającej w Charleston ciotki i w ten sposób położyć kres kolejnemu z jej licznych flirtów. Niezrażony tym Anglik-niezdara pojechał za nią na południe, stale mając na względzie obowiązujące w owej epoce ograniczenia i protokoły.

Tworzyliśmy wesołą gromadkę. Nazajutrz po tym, jak poznałam Ninę na Balu Czerwcowym u kuzynki Celi, popłynęliśmy we czwórkę wynajętą łodzią w górę Cooper River i urządziliśmy sobie piknik na Daniel Island. Roger Harrison, poważny i sztywny bez względu na temat rozmowy, stanowił idealną przeciwwagę dla Charlesa z jego zuchwałym poczuciem humoru. Sam Roger też chyba nie miał nic przeciwko dobrodusznym docinkom, bo szybko dołączał do ogólnej wesołości swoim specyficznym „ho, ho, ho”.

Nina była w siódmym niebie. Panowie obsypywali ją komplementami i choć Charles nie pozostawiał cienia wątpliwości, że uczucie, jakim mnie obdarza, jest dlań stokroć ważniejsze, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że Nina Hawkins należy do tych kobiet, które w każdym zgromadzeniu muszą

się nieodmiennie znaleźć w centrum męskiej uwagi. Zresztą socjeta Charleston nie pozostała bynajmniej ślepa na urok osobisty roztaczany przez całą naszą czwórkę. Przez dwa miesiące owego odległego już w czasie lata żadne przyjęcie, żadna wycieczka, w ogóle żadne wydarzenie towarzyskie nie mogły liczyć na powodzenie, dopóki organizator nie zaprosił nas, czworga żartownisiów, a my nie zgodziliśmy się łaskawie wziąć w nim udziału. Nasza szczęśliwa dominacja na młodzieżowej scenie towarzyskiej przybrała takie rozmiary, że kuzynki Celia i Lorraine nakłoniły rodziców do przyśpieszenia o dwa tygodnie wyjazdu na doroczny zjazd rodzinny, odbywający się w sierpniu w Maine.

Nie jestem pewna, kiedy dokładnie wpadłyśmy z Niną na pomysł pojedynku. Może podczas jednej z tych długich, gorących nocy, kiedy jedna z nas nocowała u drugiej; siadywałyśmy wtedy w jednym łóżku i do późna szeptałyśmy i chichotałyśmy, cichnąc tylko w tych chwilach, gdy chrzęst wykrochmalonego uniformu zdradzał obecność którejś z naszych kolorowych służących przemierzających ciemne korytarze. Tak czy inaczej, sama idea pojedynku stanowiła naturalne przedłużenie romantycznych klimatów epoki; wizja Charlesa i Rogera naprawdę pojedynkujących się o jakąś związaną z nami honorową abstrakcją przenikała nas obie fizycznym, zmysłowym dreszczem, w którym z perspektywy czasu rozpoznaję uproszczoną formę seksualnego podniecenia.

Nic by się nikomu nie stało, gdyby nie nasz Talent. Nauczyłyśmy się niezwykle skutecznie manipulować zachowaniami mężczyzn (taka manipulacja była wówczas rzeczą oczywistą, wręcz pożądaną u kobiety), ale żadna z nas nie przypuszczała nawet, że w sposobie, w jaki nasze kaprysy przekładają się na działania innych ludzi, może być cokolwiek nadnaturalnego. Dziedzina zwana parapsychologią w zasadzie nie istniała - a właściwie istniała, lecz ograniczała się wyłącznie do stukających i pukających duchów uczestniczących w salonowych seansach spirytystycznych.

Zabawiałyśmy się takimi szeptanymi fantazjami przez kilka tygodni, zanim jedna z nas - a może obie? - postanowiła użyć Talentu do przekucia fantazji w rzeczywistość.

W pewnym sensie było to nasze pierwsze Żerowanie.

Nie pamiętam rzekomej przyczyny sporu; niewykluczone, że poszło o celowo przeinaczony sens jakiegoś żartu Charlesa. Nie przypominam sobie również, kogo Charles i Roger wybrali na sekundantów podczas tej zakazanej

przez prawo eskapady. Pamiętam natomiast doskonale wyraz cierpienia i konsternacji, malujący się przez te kilka dni na twarzy Rogera Harrisona; namaszczony grymas niezrozumienia i zakłopotania, typowy dla człowieka, który nie ze swojej winy znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Pamiętam również Charlesa i jego gwałtowne zmiany nastroju - napady dobrego humoru, chwile czarnego gniewu, łzy i pocałunki w noc poprzedzającą pojedynek.

Z niezwykłą wyrazistością pamiętam również, jak piękny był wtedy poranek. Unosząca się znad rzeki mgła rozpraszała promienie wschodzącego słońca, kiedy konno zmierzaliśmy na miejsce pojedynku. Pamiętam, jak Nina wyciągnęła rękę i ścisnęła moją dłoń; jej gwałtowna ekscytacja przeniknęła moje ciało jak wstrząs elektryczny.

Większości tego poranka nie ma jednak w moich wspomnieniach. Być może, na skutek intensywności tego pierwszego, podświadomego Żerowania dosłownie straciłam przytomność, ogarnięta strachem, podnieceniem i dumą - także samczą męskością - bijącymi od dwójki zalotników, którzy w ów prześliczny dzień stanęli oko w oko ze śmiercią. Pamiętam, jakim wstrząsem była dla mnie nagła świadomość, że to się dzieje naprawdę, gdy razem z jednym z nich szłam w wysokich butach po trawie. Ktoś głośno liczył kroki. Jak przez mgłę pamiętam ciężar rewolweru w dłoni... chyba dłoni Charlesa, tak myślę, chociaż pewności już nigdy mieć nie będę... i sekundę lodowatej klarowności, zanim eksplozja pocisku zerwała kontakt, a kwaśny odór spalonego prochu przywrócił mi zmysły.

To Charles zginął. Nie potrafię zapomnieć tej niewiarygodnej ilości krwi, jaka wypłynęła z małej, okrągłej dziurki w jego piersi. Zanim do niego doskoczyłam, cała koszula przybrała szkarłatny kolor. W naszych fantazjach nie było krwi. Tak jak nie było Charlesa z opadającą bezwładnie głową, śliną spływającą z ust na zakrwawioną pierś i wywróconymi oczami, których białka połyskiwały jak dwa osadzone w czaszce jajka. Roger Harrison szlochał, gdy dygoczący Charles wyzionął ducha na tej łące niewinności.

Z następnych wypełnionych zamętem kilku godzin nie pamiętam nic. Kiedy następnego dnia rano zajrzałam do swojej płóciennej torby, znalazłam w niej - leżący wśród moich rzeczy - rewolwer Charlesa. Dlaczego go zatrzymałam? Jeżeli nawet chciałam zachować jakąś pamiątkę po zabitym kochanku, czemu miałabym wybrać ten obcy kawałek metalu? Po co wyciągać z zeszywniałych po śmierci palców ten symbol naszego bezrozumnego grzechu?

Fakt, że Nina nie rozpoznała tego rewolweru, bardzo wiele o niej mówił.

- Przyszedł Willi.

Zamiast pana Thorne'a przybycie naszego gościa zaanonsowała „asystentka” Niny, obmierzła panna Barrett Kramer. Wyglądała tak samo bezpłciowo, jak się nazywała: krótko przycięte czarne włosy, szerokie bary i puste, agresywne spojrzenie, jakie nauczyłam się kojarzyć z lesbijkami i kryminalistami. Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat.

- Dziękuję, kochana - powiedziała Nina.

Wysłałam przywitać Williego, ale pan Thorne już go wpuścił i spotkaliśmy się w pół drogi, w przedpokoju.

- Melanie! Świetnie wyglądasz! Młodniejsz przy każdym kolejnym spotkaniu. Nina!

Zmiana w głosie Williego była oczywista. Mężczyźni niezawodnie ulegali urokowi Niny, widząc ją po raz pierwszy po dłuższej rozłące.

Nastąpiły uściski i całusy Na pierwszy rzut oka Willi jeszcze bardziej niż zwykle wyglądał na playboya: sportowa marynarka z wełny alpaki była nienagannie skrojona, golf skutecznie maskował obwisłą i zerodowaną zmarszczkami szyję... Kiedy jednak zdjął zawadiacką czapkę kierowcy, siwe włosy, zaczesane do przodu na pożyczkę i skrywające poszerzającą się łysinę, rozsypały się w nieładzie. Twarz miał zaczerwienioną z ekscytacji, ale nie dało się ukryć także charakterystycznej czerwieni popękanych naczynek na nosie i policzkach: za dużo alkoholu, za dużo prochów.

- Znacie chyba, drogie panie, moich współpracowników... Tom Reynolds i Jensen Luhar.

Dwaj mężczyźni znacząco powiększyli ścisk w wąskim przedpokoju. Pan Reynolds, wysoki blondyn, odłonił w uśmiechu idealnie równe zęby. Pan Luhar był olbrzymim Murzynem; garbił się lekko, a jego gruba ciosana twarz miała posepny, zgnębiony wyraz. Byłam absolutnie pewna, że ani ja, ani Nina nie widziałyśmy wcześniej tych konkretnych dwóch pomagierów Williego.

- Może przejdziemy do salonu? - zaproponowałam.

Niezręczny przemarsz zakończył się w ten sposób, że we troje z Willim usiedliśmy na grubo tapicerowanych krzesłach wokół georgiańskiego stolika herbacianego, pamiątki po mojej babce.

- Jeszcze herbaty, panie Thorne - zarządziłam.

Panna Kramer potraktowała to jako znak, że powinna nas opuścić,

natomiast popychadła Williego przystanąły niepewnie w drzwiach, przestępując z nogi na nogę i popatrując lękliwie na wystawione w salonie kryształę, jakby pełne obaw, że sama ich bliskość wystarczy, żeby coś się stłukło. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby się okazało, że ich podejrzenia nie są bezpodstawne.

- Jensen! - Willi pstryknął palcami.

Po chwili wahania Murzyn podał mu drogi skórzany neseser. Willi postawił go na stoliku i krótkimi, pulchnymi palcami odsunął zatrzaski.

- Idźcie pogadać ze służącym panny Fuller, niech wam czegoś naleje - zasugerował.

Kiedy pomagierzy wyszli, pokręcił głową i uśmiechnął się do Niny.

- Przepraszam cię za to, skarbie.

Nina złapała go za rękaw i nachyliła się wyczekująco.

- Melanie nie pozwoliła mi zacząć Gry bez ciebie. Że też coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy! Powiedz, Willi, czy ja nie jestem okropna?

Willi spochmurniał. Minęło pięćdziesiąt lat, a on wciąż się jeżył, kiedy nazywałyśmy go Willim. W Los Angeles był Byczym Billem Bordenem. Kiedy wracał do rodzinnych Niemiec (co czynił rzadko ze względu na grożące mu niebezpieczeństwa), na powrót stawał się Wilhelmem von Borchertem, władcą mrocznego dworu, królem lasu i polowania. Nina jednak nazwała go Willim od razu przy pierwszym spotkaniu w Wiedniu w 1925 roku i tak już zostało.

- Ty zaczynasz, Willi - powiedziała teraz. - Ty pierwszy.

Pamiętałam jeszcze czasy, kiedy pierwsze kilka dni spotkania po latach upływały nam na rozmowach i przerzucaniu się nowinkami. Teraz nie mieliśmy czasu nawet na pogaduchy o pogodzie.

Willi wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyjmując z neseseru wycinki, notesy i stosik kaset. Ledwie udało mu się dokumentnie zarzucić tymi materiałami stolik, gdy zjawił się pan Thorne z herbatą i przyniesionym z pracowni albumem Niny. Willi niechętnie zrobił mu trochę miejsca.

Na pierwszy rzut oka można by się dopatrzeć pewnych podobieństw łączących Williego Borcherta z panem Thorne'em. Zgoła niesłusznie. Obaj mieli lekko rumianą cerę, lecz u Williego zaczerwienienie wynikało z nadmiaru emocji i zamięłowania do dogadzania sobie - jedno i drugie było panu Thorne'owi od lat obce. Willi starał się z zażenowaniem skrywać fakt, że łysieje jak parchata łasica; bezwłosa czaszka pana Thorne'a była zaś tak idealnie gładka, że trudno było sobie wyobrazić, iż kiedykolwiek w ogóle

miał jakieś włosy. Obaj mieli szare oczy, powieściopisarz wspominałby zapewne o ich „chłodnym, szarym spojrzeniu”, tyle że u pana Thorne’a był to chłód obojętności i spokojnej pewności siebie wypływających z absolutnego braku kłopotliwych uczuć i myśli, u Williego zaś był to ziąb wzburzonego zimą Morza Północnego, często przesłaniany ruchliwymi całunami targających nim emocji - dumy, nienawiści, umiłowania bólu, rozkoszy zniszczenia. Willi nigdy nie nazywał przypadków użycia Talentu „Żerowaniem” (wyglądało na to, że tylko ja jedna w ten sposób o tym myślę), czasem jednak mówił o „Polowaniu”. Może kiedy tropił ludzkie ofiary na sterylnych ulicach Los Angeles, myślał o mrocznych lasach swojej ojczyzny? Zastanawiałam się, czy te lasy mu się śnią; czy tęskni za myśliwskimi kurtkami z zielonej wełny, aplauzem naganki, fontannami krwi dogorywającego dzika. A może wspominał stukot podkutych oficerek na bruku i łomotanie pięścią do drzwi? Może przez cały czas Polowanie kojarzyło mu się z ciemną europejską nocą pieców, którą pomagał nadzorować?

Ja nazywałam to Żerowaniem, Willi Polowaniem... Nie słyszałam, żeby Nina miała na to jakieś specjalne określenie.

- Masz magnetowid? - zapytał mnie Willi. - Wszystko nagrałem.

- Oj, Willi, Willi - zirytowała się Nina. - Przecież znasz Melanie, jest taka staroświecka... Na pewno nie ma wideo.

- Nie mam nawet telewizora - przyznałam.

Nina parsknęła śmiechem.

- Do diabła... - mruknął Willi. - Nieważne, mam jeszcze zapiski. - Pozdejnował gumki spinające karty czarnych notesików. - Po prostu na wideo to lepiej wygląda: stacje telewizyjne w Los Angeles obszernie rozwodziły się nad Dusiciem z Hollywood, powycinałem tylko... Nie, naprawdę, mniejsza z tym.

Wrzucił kasety do walizki i zatrzasnął wieko.

- Dwadzieścia trzy - powiedział. - Dwadzieścia trzy od naszego poprzedniego spotkania, dwanaście miesięcy temu. Szybko to zleciało, prawda?

- Pokaż - ponagliła go Nina, niecierpliwie pochylona na krześle. Oczy jej błyszczały. - Zaciekała mnie ta sprawa po tym, jak zobaczyłam wywiad z Dusiciem w *Sixty Minutes*. Był twój, Willi? Wyglądał tak...

- *Ja, ja*, był mój. Taki nikt. Cichy, nieśmiały facecik, ogrodnik u moich sąsiadów. Oszczędziłem go, żeby policja mogła go przesłuchać i wyjaśnić

wszelkie wątpliwości. Gdy tylko gazety przestaną się nim interesować, miesiąc później powiesi się w celi. Ale to jest lepsze, spójrzcie.

Willi podsunął nam kilka czarno-białych zdjęć na błyszczącym papierze. Jeden z dyrektorów NBC zamordował pięcioro członków swojej rodziny i utopił w basenie bawiącą u niego z wizytą gwiazdkę opery mydlanej, po czym dźgnął się wielokrotnie nożem i na ścianie łazienki wypisał krwią „Oglądalność: 50%”.

- Pławisz się w blasku dawnej chwały, Willi? - spytała Nina. - „Death to the Pigs”¹ itepe?

- Nie, do diaska! Uważam, że to zasługuje na premię za ironię. Dziewczyna miała się utopić w następnym odcinku, zapisali to już w scenariuszu.

- Trudno go było Użyć? - To było moje pytanie. Nie mogłam się powstrzymać, zżerała mnie ciekawość.

Willi uniósł brew.

- Nieszczególnie. Był alkoholikiem i kokainistą, niewiele z niego zostało. Na dodatek nienawidził swojej rodziny. Jak większość ludzi.

- Może w Kalifornii - zauważyła oschle Nina.

Te słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach. Jej ojciec popełnił samobójstwo: rzucił się pod tramwaj.

- Gdzie nawiązałeś kontakt? - indagowałam.

- Na przyjęciu, jak zwykle. Facet kupował kokę od takiego jednego dyrektora, który zniszczył moje...

- Musiałeś powtórzyć kontakt?

Willi zmarszczył brwi. Jeszcze panował nad gniewem, ale wyraźnie poczerwieniał.

- *Ja, ja.* Spotkaliśmy się jeszcze dwa razy. Raz patrzyłem z samochodu, jak gra w tenisa.

- Punkty za ironię przyznane - zgodziła się Nina. - Ale będą punkty karne za powtórzenie kontaktu. Skoro był taką wydmuszką, jak twierdzisz, powinieneś móc go Użyć po pierwszym dotknięciu. Co jeszcze masz?

Poza tym Willi przyniósł to co zwykle - jakieś żalosne porachunki w dzielnicy nędzy, dwie rodzinne jatki, zderzenie na autostradzie, które przerodziło się w strzelaninę.

- Stałem w tłumie - wyjaśnił. - Nawiązałem kontakt. Gość miał spluwę w schowku w desce rozdzielczej.

- Dwa punkty - oceniła Nina.

Na koniec Willi zachował mały rarytasik. Sławnej niegdyś dziecięcej gwiazdzie filmowej przydarzył się niecodzienny wypadek: chłopak wyszedł ze swojego apartamentu w Bel Air, zostawiwszy odkręcony gaz, a po jakimś czasie wrócił i zapalił zapalniczkę. W pożarze zginęły jeszcze dwie osoby.

- Ale punktujesz tylko za niego - zastrzegła Nina.

- *Ja, ja.*

- Jesteś pewien, że możesz go sobie zaliczyć? Bo wiesz, to mógł być wypadek...

- Nie kpij sobie! - warknął Willi, odwracając się w moją stronę. - Tego akurat było trudno Użyć. Był bardzo silny. Zablokowałem mu wspomnienia z chwili, kiedy odkręcił gaz. Musiałem go tak trzymać dwie godziny, zanim kazałem mu wrócić. Walczył. Nie chciał zapalić zapalniczki.

- Trzeba było go zmusić do użycia zapalniczki - zauważyła Nina.

- Nie palił. Rzucił w zeszłym roku.

- No tak... - przytaknęła z uśmiechem Nina. - Pamiętam chyba, jak wspominał o tym Johnny'emu Carsonowi.

Nie wiedziałam, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Całą trójką przeszliśmy do rytuału przydzielania punktów. Mówiła głównie Nina. Willi najpierw milczał posepnie, potem się rozgadał, by na koniec znów się naburmuszyć. W pewnym momencie poklepał mnie nawet po kolanie i półzartem poprosił o wsparcie. Nie zareagowałam. W końcu wstał, podszedł do barku i nalał sobie solidną porcję bourbona z karafki ojca. Ostatnie promienie wieczornego światła wpadały poziomo przez witrażowe szyby wykuszowych okien, kładąc się czerwoną poświatą na Willim, kiedy stanął obok dębowego kredensu. Jego oczy żarzyły się jak dwa węgielki osadzone w krwawej masce.

- Czterdzieści jeden - podsumowała ostatecznie Nina. Rozpromieniła się w uśmiechu i pokazała nam kalkulator, jakby ten potwierdzał jakiś obiektywny fakt. - Wyszło mi czterdzieści jeden punktów. A tobie, Melanie?

- *Ja* - wtrącił się Willi. - W porządku. Teraz ty się pochwal, Nino.

Jego głos zabrzmiał głucho i beznamiętnie. Nawet Willi zaczął tracić zainteresowanie Grą.

Zanim Nina zdążyła przejść do rzeczy, pan Thorne poinformował nas, że podano do stołu, postanowiliśmy więc przenieść się do jadalni. Willi dolał sobie bourbona, a Nina zatrzepotała rękami w udawanej złości, że odrywa się ją od Gry. Zasiadliśmy przy podłużnym mahoniowym stole, przy którym przejęłam rolę gospodyni. Tradycja sięgająca wiele dziesięcioleci wstecz

surowo zabraniała rozmów o Grze podczas posiłków, dlatego przy zakupie dyskutowaliśmy o nowym filmie Williego i nowo nabytym sklepie Niny, który zamierzała włączyć do swojej sieci butików. Zanosilo się na to, że *Vogue* zrezygnuje z prowadzonej przez nią comiesięcznej rubryki, za to inny duży koncern prasowy wyraził zainteresowanie jej kontynuacją.

Oboje moi goście rozplýwali się w zachwytach nad pieczoną szynką, choć moim zdaniem pan Thorne przesadził z posłodzeniem sosu. Mrok wypełnił okna, zanim dojedliśmy mus czekoladowy. Włosy Niny mieniły się refleksami światła żyrandola, ja zaś byłam pełna obaw, że moje wydają się bardziej niebieskie niż zwykle.

Z kuchni dobiegł niespodziewany łoskot i w wahadłowych drzwiach do jadalni pojawiła się sylwetka Murzyna, który przyszedł z Willim. Przygarbiony, szamotał się z kimś widocznym dla nas tylko jako dwie białe ręce. Miał minę dziecka, które lada chwila się rozpłacze.

- ...myślisz, do diabła, że dlaczego siedzimy tu jak dwa...

Białe dłonie odciągnęły go od drzwi.

- Panie wybaczą. - Wilii otarł usta chusteczką i wstał. Jak na swoje lata, wciąż poruszał się z niezwykłą gracją.

Nina machinalnie dzióbnęła mus łyżeczką. Z kuchni doleciało rozkazujące warknięcie, zaraz po nim rozległ się donośny trzask. Taki dźwięk - ostry i krótki, jak strzał z małokalibrowej broni palnej - jak uderzenie otwartej męskiej dłoni.

Podniosłam wzrok. Pan Thorne stał obok mnie, zajęty uprzątnięciem stołu po kolacji.

- Proszę podać kawę, panie Thorne. Dla wszystkich.

Uśmiechnął się łagodnie i skinął głową.

Franz Anton Mesmer wiedział o Talencie, chociaż go nie rozumiał; przypuszczam, że po prostu sam miał jakąś jego odrobinę. Nowoczesna pseudonauka zbadała go, nadała mu nową nazwę, odebrała większość mocy, pomieszała jego zastosowania i pochodzenie, lecz wciąż jest to tylko cień zjawiska odkrytego przez Mesmera. Nie mają pojęcia, na czym polega Żerowanie.

Ubolewam nad natężeniem przemocy we współczesnym świecie. Zdarza mi się autentycznie popadać w rozpacz, tonąć w tej bezdennej otchłani bez przyszłości, którą Hopkins nazwał trupią otuchą. Śledzę amerykańskie krwawe jatki, przypadkowe zamachy na papieży, prezydentów i

niezliczonych innych ludzi i zastanawiam się, czy osób obdarzonych Talentem jest po prostu dużo więcej, czy też rzeźnia stała się współczesną codziennością.

Wszyscy ludzie karmią się aktami przemocy, wszyscy chętnie wykorzystują swoją władzę, mało kto jednak posmakował - tak jak my - władzy najwyższej. Ci, którzy nie posiadli Talentu, nie mają pojęcia o niezrównanej ekstazie, jaką daje zabicie człowieka. Bez niego nawet ci, którzy faktycznie Żerują na innych, nie mogą rozkoszować się emocjami myśliwego i zwierzyny; nie znają upojnego triumfu napastnika, który za nic ma wszelkie zasady i groźbę kary; nie mają pojęcia o niezwyklej, na poły seksualnej uległości ofiary w tej ostatniej chwili prawdy, gdy cały potencjał nagle się wyczerpuje, wszystkie przyszłości zostają wymazane, wszelkie możliwości znikają w akcie władzy absolutnej.

Ubolewam nad przemocą we współczesnym świecie. Rozpaczam nad jej bezosobową naturą i przypadkowością, dzięki której jest tak łatwo dostępna. Miałam kiedyś telewizor, ale sprzedałam go, kiedy wojna w Wietnamie weszła w szczytową fazę. Te ugrzecznione wycinki śmierci (widziane jakby z dystansu, bo przez obiektyw kamery) nic dla mnie nie znaczyły, wydaje mi się jednak, że były bardzo ważne dla otaczającego mnie bytła. Kiedy wojna dobiegła końca, a wraz z nią skończyło się cowieczne odliczanie trupów, bytło chciało więcej i więcej - a wówczas kinowe ekrany i ulice tego słodkiego, umierającego kraju zaczęły im dostarczać śmierci w poślednim, dostosowanym do gustów tłumu gatunku, za to w dowolnej ilości.

Zupełnie nie rozumieją, w czym rzecz. Gwałtowna śmierć oglądana z boku to po prostu smutna scena, niezrozumiała, zbrukany obrazek. Dla tych z nas, którzy Żerują, śmierć potrafi być sakramentem.

- Teraz ja! Teraz ja!

Głos Niny wciąż brzmiał jak głos ślicznotki bawiącej przejazdem u kuzynki Celi i podekscytowanej, że udało jej się zapełnić karnecik na Bal Czerwcowy.

Wróciliśmy do salonu, Willi dopił kawę i poprosił pana Thorne'a o brandy. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wprawiała mnie w zażenowanie. Nieplanowane zachowanie jednego z najbliższych współpracowników z pewnością dowodziło osłabienia Talentu. Nina chyba niczego nie zauważyła.

- Mam tu wszystko ułożone po kolei - zapowiedziała.

Otworzyła album z wycinkami na uprzątniętym już stoliku. Willi przeglądał je z uwagą, czasem zadawał jakieś pytania, najczęściej jednak

ograniczał się do niechętnych wyrazów aprobaty. Ja również przytakiwałam półgębkiem, chociaż o żadnej z tych śmierci nie słyszałam wcześniej - poza tym Beatlesem, rzecz jasna, którego Nina zostawiła prawie na sam koniec.

- Na Boga, Nino! To naprawdę byłaś ty?!

Willi prawie się zezłościł. Żerowanie Niny ograniczało się zwykle do samobójstw przy Park Avenue oraz kłótni małżeńskich zakończonych strzałami z drogich damskich pistolecików o małym kalibrze. Coś takiego jak z tym Beatlesem? To bardziej przypominało toporny styl Williego. Może poczuł się zagrożony na swoim terytorium?

- Chodzi mi o to... - tłumaczył. - Dużo ryzykowałeś, nie? To było takie... takie... publiczne.

Nina roześmiała się i odłożyła kalkulator.

- Och, Willi! Czy nie o to właśnie chodzi w naszej Grze?

Willi zakręcił się przy barku i wziął sobie dolewkę brandy. Targane wiatrem nagie gałęzie drzewa tłukły o szybki w ołowianych ramkach. Nie lubię zimy, nawet na Południu stanowi poważne obciążenie dla ducha.

- Czy ten gość... jakżeż on się nazywa?... czy on przypadkiem nie kupił pistoletu gdzieś... na Hawajach? - spytał Willi z okolic barku. - Z własnej inicjatywy? To by znaczyło, że już wcześniej się szykował...

- Willi, skarbie... - Głos Niny stał się lodowaty jak wiatr za oknem. - Nikt nie twierdzi, że był stabilny. Ilu ty masz stabilnych? Liczy się fakt, że to ja go pchnęłam do działania. To ja wybrałam miejsce i czas. Czyżbyś nie doceniał ironii wyboru miejsca? A pamiętasz ten niewinny żarcik kosztem tego reżysera filmu o czarach i czarownicach, sprzed paru lat? Przecież to motyw żywcem wyjęty ze scenariusza...

- No nie wiem.

Willi usiadł ciężko na sofie. Rozlał sobie przy tym brandy na drogą sportową marynarkę, ale niczego nie zauważył. Światło żyrandola zalśniło mu na łysinie. Wieczorem starcze przebarwienia na skórze stawały się bardziej widoczne, a jego znikająca w golfie szyja wyglądała, jakby składała się z samych żył i ścięgien.

- Nie wiem... - powtórzył. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się niespodziewanie, jakby połączył nas jakiś spisek. - Z nim mogło być jak z tym pisarzem, nie uważasz, Melanie? Mogło tak być...

Nina spuściła wzrok na złożone na podolku ręce. Jej wypielegnowane palce pobielają na czubkach.

Wampiry umysłu. Tak zamierzał zatytułować swoją książkę. Czasem się zastanawiam, czy naprawdę by coś napisał. Jakżeż on się nazywał? Jakoś z rosyjska...

Dostaliśmy z Willim telegram od Niny: PRZYJEŹDŹAJCIE SZYBKO. JESTEŚCIE POTRZEBNI. To wystarczyło. Następnego ranka wsiadłam do pierwszego samolotu do Nowego Jorku, głośnego, turbośmigłowego constellationa, w którym większość lotu musiałam poświęcić na przekonywanie nadopiekuńczej stewardesy, że czuję się świetnie i niczego nie potrzebuję. Najwyraźniej wzięła mnie za czyjąś babkę, która pierwszy raz leci samolotem.

Willi dotarł na miejsce dwadzieścia minut przede mną. Tak roztrzęsionej Niny, tak bliskiej hysterii, nigdy przedtem nie widziałam. Dwa dni wcześniej na przyjęciu w centrum Manhattanu (nie była aż tak roztrzęsiona, żeby nie napomknąć nam o wszystkich głośnych nazwiskach, które się przez nie przewinęły) złapała się zniecacka na tym, że siedzą z jakimś młodym pisarzem w dyskretnym zakamarku nad kociołkiem do fondue i zwierają się sobie nawzajem ze swoich sekretów. Chociaż, ściśle rzecz biorąc, to pisarz był tym, który się zwierzał. Opisała go jako niechlujka z rzadką, strzępiastą bródką, w grubych okularach i sztruksowej sportowej marynarce narzuconej na starą kraciatą koszulę; jak to powiedziała Nina, każde głośniejsze przyjęcie w tym okresie przyciągało pewną liczbę takich właśnie typów. Była wystarczająco dobrze zorientowana, żeby nie nazwać go bitnikiem, bo określenie to właśnie wyszło z mody, a nikt jeszcze nie znał terminu „hipis” - który zresztą i tak by do niego nie pasował. Był pisarzem, jednym z licznych wówczas gryzpiórków, którzy ledwie wiązali koniec z końcem, pisząc nowelizacje seriali telewizyjnych i dorabiając oddawaniem krwi.

Jego pomysł na książkę (nad którą, jak wyjawiał Ninie, pracuje już od pewnego czasu) opierał się na założeniu, że za wieloma z popełnianych w owym okresie morderstw stoi nieliczna grupa psychozabójców (nazywał ich „wampirami umysłu”), którzy wykorzystują innych ludzi do zaspokajania swoich makabrycznych potrzeb. Twierdził, że pewien wydawca paperbacków wyraził wstępne zainteresowanie szkicem książki i byłby mu gotowy zaproponować umowę choćby jutro, gdyby tylko on zgodził się na zmianę tytułu na „Czynnik zombie” i dorzucił więcej scen erotycznych.

- No i co z tego? - Willi skrzywił się z niesmakiem. - To dla czegoś takiego kazałaś mi przelecieć przez pół kontynentu? Sam bym kupił taki pomysł do sfilmowania.

I taki właśnie pretekst przyświecał przesłuchaniu tego Alexandra Jakmutam, kiedy następnego wieczoru Nina zmontowała na poczekaniu małą imprezkę. Nie poszłam na nią. Według relacji Niny przyjęcie wypadło nieszczególnie, ale Willi przynajmniej uciał sobie dłuższą pogawędkę z naszym młodym, dobrze zapowiadającym się powieściopisarzem, który w rozpaczliwej i żalostnej próbie zaskarżenia sobie względów Billa Bordena - producenta *Wspomnień z Paryża*, *Trojga na huśtawce* i co najmniej dwóch innych niewartych zapamiętania pełnometrażówek w technicolorze krążących tego lata po kinach samochodowych - wyjawiał mu, że „książka” składa się na razie z mocno już sfatygowanego konspektu i kilkunastu stronic notatek. Zarzekał się jednak, że w pięć tygodni (może nawet w trzy) jest w stanie stworzyć i dostarczyć panu Bordenowi zarys scenariusza filmowego - pod warunkiem, że zostanie przetransportowany do Hollywood, gdzie panuje należycie twórcza atmosfera.

Późnym wieczorem po przyjęciu dyskutowaliśmy o tym, czy nie należałoby po prostu wykupić praw do ewentualnego scenariusza, ale Willi chwilowo był splukany, a Nina upierała się przy swoim. Skończyło się na tym, że młody pisarz pociął się żyletką i z wraskiem wybiegł na wąską uliczkę w Greenwich Village, gdzie zmarł. Wątpię, żeby ktoś zadał sobie trud przekopania się przez chaos pozostawionych przez niego notatek.

- Mogło być jak z tym pisarzem, *ja*, Melanie?

Willi poklepał mnie po kolanie. Pokiwałam głową.

- Był mój - ciągnął - ale Nina próbowała zgarnąć za niego punkty. Pamiętasz?

Drugi raz pokiwałam głową. Prawdę mówiąc, pisarz nie był ani Williego, ani Niny. Nie przyszłam na przyjęcie, żeby móc później nawiązać kontakt bez obaw, że chłopak zorientuje się, że jest śledzony. To była bułka z masłem. Pamiętam, jak siedziałam w zbyt mocno ogrzewanym barze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu, w którym mieszkał. Naprawdę nie było w tym nic trudnego. Wszystko rozegrało się tak szybko, że ledwie poczułam emocje Żerowania, zanim do mojej świadomości ponownie przebiło się trzeszczenie grzejników i zapach salami, gdy zaintrygowani wrzaskami klienci rzucili się do wyjścia. Pamiętam, że umyślnie powoli dopijałam herbatę, żeby nie być zmuszoną do wyjścia przed odjazdem karetki.

- Bzdury gadasz - zachnęła się Nina i zaczęła stukać na kalkulatorze. - Ile

punktów?

Spojrzała na mnie, ja spojrzałam na Williego.

- Sześć - odparł, wzruszając ramionami.

Nina afektowanym gestem podsumowała punkty.

- Trzydzieści osiem. - Westchnęła teatralnie. - Znow wygrałeś, Willi. A właściwie: znow mnie pokonałeś, bo musimy jeszcze wysłuchać Melanie. Siedzisz cichutko jak myszka, kochana. Na pewno masz dla nas jakąś niespodziankę.

- Rzeczywiście - zgodził się z nią Willi. - Twoja kolej na zwycięstwo. Minęło już parę lat...

- Nic - powiedziałam.

Spodziewałam się eksplozji pytań, ale ciszę mąciło tylko tykanie zegara na kominku. Nina nie chciała na mnie patrzeć, jakby jej wzrok przykuło coś w ciemnym kącie pokoju.

- Nic? - powtórzył Willi.

- Miałam... jednego - przyznałam w końcu. - Ale to przypadek. Wpadłam na nich, kiedy próbowali okraść starszego pana... To był przypadek.

Wyraźnie rozdrażniony Willi wstał, podszedł do okna, przysunął sobie krzesło, odwrócił je tyłem i usiadł na nim okrakiem. Splótł ramiona na oparciu.

- Co to ma znaczyć?

- Odchodzisz z Gry? - spytała Nina, wreszcie spojrzawszy w moją stronę.

Zostawiłam to pytanie zawieszone w powietrzu, żeby posłużyło za odpowiedź.

- Dlaczego? - prychnął Willi. Był tak zdenerwowany, że włączył mu się twardy niemiecki akcent.

Gdybym wychowała się w epoce, w której młodym damom pozwalano wzruszać ramionami, zrobiłabym to - a tak musiałam się zadowolić przesunięciem palcami wzdłuż wymagowanego szwu na spódnicy. Wprawdzie to Willi zadał mi pytanie, ale kiedy w końcu postanowiłam udzielić na nie odpowiedzi, spojrzałam prosto w oczy Niny.

- Jestem zmęczona - odparłam. - To trwa zbyt długo. Chyba się starzeję.

- Kiedy przestaniesz Polować, naprawdę się zestarzejesz - ostrzegł Willi. Jego postawa, głos, czerwona maska twarzy... Wszystko zdradzało furję, którą z trudem trzymał w ryzach. - Na Boga, Melanie, ty się starzejesz w oczach! Wyglądasz fatalnie! Dlatego właśnie musimy Polować, kobieto. Spójrz w lustro! Chcesz umrzeć jako staruszka tylko dlatego, że zmęczyło cię

wykorzystywanie ich? Do licha!

Wstał i odwrócił się do nas plecami.

- Bzdury! - Głos Niny był mocny, pewny siebie. Znow poczuła, że tu rządzi. - Melanie jest po prostu zmęczona, Willi. Bądź dla niej miły. Każdemu przytrafiają się takie dni. Ja doskonale pamiętam, jak ty wyglądałeś po wojnie: jak zbity pies. Nie chciałeś nawet nosa wyściubić poza to swoje smętne mieszkanko w Baden! Zresztą nawet po tym, jak z naszą pomocą dotarłeś do New Jersey, wiesz tylko marudziłeś i użalałeś się nad sobą. Melanie specjalnie dla ciebie wymyśliła Grę, chciała ci poprawić samopoczucie. Więc teraz siedź cicho. I nigdy, przenigdy nie mów zmęczonej i przygnębionej kobiecie, że źle wygląda. Powiem ci, Willi, że czasem straszny z siebie *Schwächsiniger*. I cham na dodatek.

Spodziewałam się różnych reakcji na swoje oświadczenie, ale tej właśnie bałam się najbardziej. Bo to znaczyło, że Ninie również Gra się znudziła. I że jest gotowa wejść na wyższy poziom. Innej możliwości nie było.

- Dziękuję ci, Nino, jesteś kochana - powiedziałam. - Wiedziałam, że zrozumiesz.

Położyła dłoń na moim kolanie, jakby chciała mi w ten sposób dodać otuchy. Przez wełnianą spódnicę wyraźnie czułam lodowaty chłód jej białych palców.

Moi goście nie chcieli zostać na noc. Błagałam. Protestowałam. Zwracałam uwagę, że ich pokoje są przygotowane, włącznie z odwiniętymi przez pana Thorne'a kołdrami.

- Następnym razem - powiedział Willi. - Następnym razem, Melanie, najdroższa. Zostaniemy na cały weekend, jak dawniej. Co ja mówię, na weekend. Na tydzień!

Wyplacone mu przez każdą z nas tysiąc dolarów „nagrody” ogromnie poprawiło mu humor. Z początku kręcił nosem, ale ja nalegałam. Jego ego dało się ugłaskać dopiero przyniesionym przez pana Thorne'a czekiem wystawionym na Williama D. Bordena.

Wtedy jeszcze raz poprosiłam, żeby został, ale wyjaśnił mi, że o północy ma samolot do Chicago, gdzie spotyka się z jakimś nagradzanym pisarzem w sprawie nowego scenariusza. Kiedy ścisnął mnie na do widzenia, a jego współpracownicy stali w korytarzu za moimi plecami, przeżyłam krótką chwilę grozy.

Wyszli jednak bez dalszej zwłoki. Młody blondyn posłał mi białozęby

uśmiech, a Murzyn skinął głową w czymś, co wzięłam za gest pożegnania. I zostałyśmy z Niną same. Tylko we dwie.

Chociaż nie, niezupełnie. Obok Niny w głębi korytarza stała panna Kramer. Pan Thorne zniknął za prowadzącymi do kuchni wahadłowymi drzwiami. Zostawiłam go tam.

Panna Kramer zrobiła trzy kroki w przód. Na ułamek sekundy zaparło mi dech w piersi, ale wtedy pan Thorne oparł dłoń o drzwi i krzepka, niska brunetka podeszła do szafy i podała Ninie płaszcz.

- Na pewno nie chcesz przenocować?

- Nie, kotku, dziękuję. Obiecałam Barrett, że pojedziemy dziś do Hilton Head.

- Późno już...

- Mamy rezerwację. Ale dziękuję, Melanie. Będziemy w kontakcie.

- Oczywiście.

- Mówię serio, moja droga. Musimy porozmawiać. Doskonale wiem, co czujesz, ale nie wolno ci zapominać, jaka ważna jest Gra dla Williego. Musimy coś wymyślić, zakończyć ją w taki sposób, żeby nie zranić jego uczuć. Może na wiosnę odwiedzimy go w Karinhall czy jak tam się nazywa to jego ponure bawarskie zamczysko. Wycieczka na kontynent świetnie ci zrobi.

- Nie wątpię.

- Będziemy w kontakcie. Odezwę się, jak tylko pozałatwiam wszystko z tym nowym sklepem. Musimy spędzić razem trochę czasu, Melanie, tylko we dwie... Jak za dawnych czasów. - Nina cmoknęła powietrze tuż przy moim policzku i ścisnęła mnie za ręce powyżej nadgarstków. - Do widzenia, kochanie.

- Do widzenia, Nino.

Zaniosiłam szklankę po brandy do kuchni. Pan Thorne bez słowa wziął ją ode mnie.

- Sprawdź, czy wszystko pozamykane - poleciłam mu.

Skinął głową i poszedł sprawdzić zamki i alarm. Była dopiero za kwadrans dziewiąta, ale ja czułam się piekielnie zmęczona. To już ten wiek, pomyślałam. Weszłam po szerokich schodach - chyba najpiękniejszym elemencie domu - na piętro i przebrałam się w piżamę. Rozpętała się burza. Zimne krople deszczu wystukiwały smutny rytm na szybie.

Pan Thorne zajrzał do mnie, gdy rozczesywałam włosy i żalowałam że nie

są dłuższe. Odwróciłam się do niego, a on sięgnął do kieszeni ciemnej kamizelki. W jego dłoni mignął nóż sprężynowy z wąskim ostrzem. Skinęłam głową. Złożył nóż, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Usłyszałam jego kroki na schodach: schodził do holu, gdzie na krześle przy drzwiach spędzi noc.

Tej nocy chyba śniły mi się wampiry. A może po prostu myślałam o nich przed zaśnięciem i strzępy tych myśli zostały ze mną aż do rana. Ze wszystkich wymyślonych przez człowieka strachów, wszystkich tych małych, żalonych potworów tylko wampirzy mit ma w sobie odrobinę godności. Podobnie jak człowiek, na którym żerował, wampir kierował się mrocznym wewnętrznym przymusem - w przeciwieństwie jednak do swojej ludzkiej zwierzyny poddawał się tej odrażającej konieczności w jedynym celu, który mógł ją usprawiedliwić: dążył do prawdziwej nieśmiertelności. Jest w tym jakaś szlachetność. I smutek.

Willi miał rację: zestarzałam się. Ostatni rok odcisnął na mnie silniejsze piętno niż cała poprzedzająca go dekada. Ale nie Żerowałam. Mimo głodu, mimo starzejącego się odbicia w lustrze, mimo mrocznego przymusu, który od lat rządzi naszym życiem, ani razu nie wyszłam na Żer.

Zasnęłam, usiłując sobie przypomnieć rysy twarzy Charlesa.

Zasnęłam głodna.

2.

Beverly Hills

13 grudnia 1980, sobota

Na trawniku przed domem Tony'ego Haroda stała duża okrągła fontanna. Twarz satyra z rozdwojonymi kopytkami, spoglądającego w głąb wąwozu, w stronę Hollywood i sikającego do misy fontanny, zastygła w grymasie, który można było interpretować albo jako zboliałą odrazę, albo szyderczą wzgardę. Osoby znające Tony'ego nie miały wątpliwości, która wersja jest bardziej na miejscu.

Rezydencja należała w przeszłości do gwiazdora kina niemego, który u szczytu kariery zdołał - nie bez wysiłku - przerzucić się na film dźwiękowy, a następnie zmarł na raka gardła zaledwie trzy miesiące po tym, jak w Graumann's Chinese Theatre odbyła się premiera pierwszego takiego obrazu z jego udziałem. Wdowa po nim nie chciała porzucić rozległej posiadłości i przymieszkała w niej jeszcze trzydzieści pięć lat, pełniąc de facto rolę kustosa mauzoleum gwiazdy i żyjąc na koszt dawnych hollywoodzkich znajomych i uprzednio wzgardzonych krewnych. Kiedy w 1959 roku zmarła, dom nabył scenarzysta trzech z pięciu nakręconych w owym czasie komedii romantycznych z Doris Day. Skarżył się na zapuszczony ogród i przykry zapach w gabinecie na piętrze. Z biegiem czasu popadł w poważne długi i palnął sobie w łeb w ogrodowej szopie. Ogrodnik, który znalazł go następnego ranka, nigdzie nie zgłosił tego faktu, ponieważ jako nielegalny imigrant wolał unikać kontaktów z policją. Po raz drugi trup został odkryty dwanaście dni później przez adwokata z gildii scenarzystów, który przyjechał porozmawiać z właścicielem domu o linii obrony, jaką należałoby obrać w zbliżającym się procesie o plagiat.

Dom przechodził z rąk do rąk. Pewna sławna aktorka spędziła w nim trzymiesięczny okres bezkrólewia dzielący jej piąte małżeństwo od szóstego. Następny był technik od efektów specjalnych, który w 1976 zginął w pożarze stołówki w studiu filmowym. Po nim przyszedł szejk naftowy. Pomalował satyra na różowo i nadał mu żydowskie imię, a w 1979 roku został zamordowany przez własnego szwagra, kiedy udał się z pielgrzymką do Rijadu. Cztery dni później posiadłość kupił Tony Harod.

- To jest, kurwa, piękne, po prostu piękne - powiedział do agenta nieruchomości, kiedy stali na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce,

podziwiając sikającego satyra. - Kupuję.

Godzinę później przekazał agentowi czek opiewający na kwotę sześciuset tysięcy dolarów w charakterze zaliczki - a jeszcze nawet nie przekroczył progu domu.

Shayla Berrington wiedziała o skłonności Haroda do spontanicznych zachowań. Słyszała o tym, jak publicznie obraził Trumana Capote'a na oczach dwustu gości. Słyszała również o skandalu, jaki wybuchł w 1978 roku, gdy Tony i jeden z najbliższych doradców Jimmy'ego Cartera cudem uniknęli aresztowania za posiadanie narkotyków - nikt nie trafił do więzienia, nic nikomu nie udowodniono, ale mówiło się, że to Harod dla żartu zrobił bezradnego chłoptasia z Georgii. Wychyliła się, żeby zerknąć na satyra, gdy jej prowadzony przez szofera mercedes sunął zakrzywionym podjazdem pod dom. Doskwierał jej przede wszystkim brak matki, ale żałowała też, że nie ma przy niej paru innych osób: Loren (jej agentki), Richarda (agenta matki), Cowlesa (jej kierowcy i ochroniarza) oraz Estabana (jej fryzjera). Miała siedemnaście lat, od dziewięciu robiła karierę jako modelka, a od dwóch także jako gwiazda filmowa, ale kiedy mercedes zatrzymał się przed ozdobnie rzeźbionymi drzwiami wejściowymi domu Haroda, czuła się jak księżniczka z bajki zmuszona do odwiedzin u przerażającego potwora.

Nie, nie potwora, poprawiła się w myślach. Jak Norman Mailer nazwał Tony'ego Haroda po tym wiosennym przyjęciu u Stephena i Lesliego? Mały, wredny troll. Muszę przejść przez jaskinię małego, wrednego trolla, żeby dotrzeć do skarbu.

Zadzwoiła do drzwi, czując, jak z nerwów napinają jej się wszystkie mięśnie szyi. Pocieszała się, że w spotkaniu będzie uczestniczył pan Borden: stary producent przypadł jej do gustu z tą swoją europejską uprzejmością i sympatycznym śladem obcego akcentu. Poczowała nowy przypływ zdenerwowania na myśl o reakcji matki, gdyby ta kiedykolwiek miała się dowiedzieć, że Shayla potajemnie zorganizowała takie spotkanie.

Miała się już odwrócić na pięcie i odejść, gdy wtem drzwi otworzyły się na oścież.

- Ach tak, panna Berrington, jak mniemam.

W progu stał Tony Harod w aksamitnym szlafroku. Patrząc na niego, Shayla zastanawiała się, czy ma coś na sobie pod tym szlafrokiem. Na jego obnażonej, gęsto owłosionej piersi dało się dostrzec kilka pierwszych siwych włosów.

- Miło mi pana poznać - powiedziała i weszła za swoim przyszłym

wspólnikiem do holu.

Na pierwszy rzut oka Tony Harod nie wyglądał na trolla. Był nieco niższy od przeciętnej (Shayla, wysoka nawet jak na modelkę, miała metr osiemdziesiąt wzrostu, a Harod nie mógł mieć więcej niż metr siedemdziesiąt pięć) i po chłopięcemu szczupły, przez co jego długie ręce i szerokie dłonie wydawały się nieproporcjonalnie duże. Kręcone, bardzo ciemne włosy strzygł krótko, tak że czarne loki obrębiały wysokie, jasne czoło. Shayla doszła do wniosku, że pewną poszlaką dowodzącą ukrytej trollowości może być ziemisty odcień jego skóry, która pasowałaby raczej do mieszkańca jakiegoś usmolonego sadzą miasta na północnym wschodzie niż do człowieka, który od dwunastu lat mieszka w Los Angeles. Kościstej, kanciastej twarzy nie łagodziła sardoniczna krecha ust, wypełniona jakby przesadnie dużą liczbą zębów i ruchliwym różowym językiem, który co rusz oblizywał wąską dolną wargę. Głęboko osadzone oczy sprawiały wrażenie lekko podsiniaczonych, ale dopiero intensywność ich spojrzenia naprawdę zaparła Shayli dech w piersi. Zamurowało ją. Była wyczulona na punkcie oczu (dotychczasowy sukces zawdzięczała między innymi swoim oczom), ale jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, którego wzrok tak by ją przyszpilił. Małe, rozleniwione, półprzymknięte, prawie niezborne w swoim udawanym braku zainteresowania piwne oczy Haroda taksowały ją władczo i arogancko. Zupełnie nie pasowały do reszty jego powierzchowności.

- Wejdz, mała. Gdzie twój orszak, na litość boską? Myślałem, że nigdzie się nie ruszasz bez tłumy, przy którym armia Napoleona wygląda jak niedobitki fanklubu Richarda Nixona.

- Słucham? - zdziwiła się Shayla i natychmiast tego pożałowała. Za dużo zależało od tego spotkania, żeby mogła sobie pozwolić na taką łatwą stratę punktów.

- Nieważne.

Harod cofnął się o krok i obejrzał ją od stóp do głów. Zanim schował ręce w kieszeniach szlafroka, Shayli mignęły nieprzeciętnie długie i blade palce. Przypomniawszy jej się Gollum z *Hobbity*.

- Aleś ty, kurwa, piękna... - mruknął mały człowieczek. - Wiedziałem, że niezła z ciebie laska, ale na żywo wyglądasz jeszcze lepiej. Chłopaki na plaży na pewno dostają pierdolca na twój widok, co?

Shayla zeszytywniała. Spodziewała się po Harodzie prostactwa, ale z domu rodzinnego wyniosła szczerą niechęć do przeklinania.

- Pan Borden już jest? - spytała oschle.

Harod uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, przykro mi. Poleciał odwiedzić znajomych na wschodzie... A może na południu? W jakimś Zabagnisku, pipidówce... coś w tym guście.

Shayla nabrała wątpliwości. Wydawało jej się, że jest dobrze przygotowana do rozmowy z panem Bordenem i jego kierownikiem produkcji, ale na myśl o spotkaniu z samym Harodem przeszedł ją dreszcz. Już miała się pożegnać pod jakimś zmyślnym pretekstem i wyjść, gdy przeszkodziło jej w tym pojawienie się pięknej kobiety.

- Panno Berrington, pozwoli pani, że przedstawię moją asystentkę, Marię Chen - powiedział Harod. - Mario, to jest Shayla Berrington, niezwykle utalentowana młoda aktorka, być może gwiazda naszego następnego filmu.

- Miło mi panią poznać, panno Chen.

Shayla zmierzyła asystentkę wzrokiem: trzydzieści kilka lat, orientalny rodowód widoczny tylko w pięknie wyrzeźbionych kościach policzkowych, krucza czerń gęstych włosów, minimalny zezik... Maria Chen z powodzeniem mogłaby sama zostać modelką. Dyskretne napięcie, zupełnie naturalne, kiedy spotykają się dwie nieznajome kobiety o oszałamiającej urodzie, zostało błyskawicznie rozładowane serdecznym uśmiechem asystentki.

- Mnie również, panno Berrington. - Panna Chen miała mocny, przyjemny uścisk dłoni. - Od dłuższego czasu śledzę i podziwiam pani karierę. Jest pani niezwykle utalentowana. Osobiście uważam, że zrobiona przez Avedona rozkładówka w *Vogue* była rewelacyjna.

- Dziękuję, panno Chen.

- Proszę, mów mi Maria. - Panna Chen uśmiechnęła się, odgarnęła włosy i zwróciła się do Haroda: - Woda ma już właściwą temperaturę. Przez trzy kwadranse nie będę łączyła żadnych telefonów.

Harod skinął głową.

- Wiosną miałem wypadek na Ventura Freeway. Zauważyłem, że codzienna mała niasiadówka w jacuzzi dobrze mi robi - wyjaśnił. Uśmiechnął się lekko, widząc, że Shayla się waha. - Basen to basen, wymagany kostium kąpielowy. - Rozwiązał pasek szlafroka, odsłaniając czerwone kąpielowe bokserki z wyhaftowanym złotą nicią monogramem. - Maria zaprowadzi cię do przebieralni. Chyba że wolisz porozmawiać o filmie innym razem, z Willim?

Shayla zrobiła szybki bilans w głowie. Takiego spotkania i tak nie uda się jej pewnie długo utrzymać w tajemnicy przed Loren i matką. To mogła być

jej jedyna szansa na zrobienie tego filmu na własnych warunkach.

- Nie wzięłam kostiumu - odparła.

Maria parsknęła śmiechem.

- Tutaj to naprawdę żaden problem. Tony ma kostiumy dla gości wszelkich kształtów i rozmiarów, nawet dla swojej starej ciotki, która czasem go odwiedza.

Shayla zawtórowała jej śmiechem. We dwie przeszły długim korytarzem, dalej przez pokój pełen wygodnych modułowych kanap i zdominowany przez olbrzymi ekran telewizyjny, obok regałów zastawionych sprzętem elektronicznym. Kolejny korytarz, krótszy, prowadził do wykładanej cedrowym drewnem przebieralni. W szerokich szufladach znajdowały się męskie i damskie kostiumy kąpielowe przeróżnych krojów i kolorów.

- Zostawię tu panią - powiedziała Maria.

- Dołączysz do nas?

- Może później, muszę najpierw uporać się z korespondencją Tony'ego. Niech się pani dobrze bawi, panno Berrington, i... proszę się nie przejmować jego stylem bycia. Czasem bywa nieokrzesany, ale to porządny człowiek.

Shayla skinęła głową. Maria Chen wyszła i zamknęła za sobą drzwi, a Shayla zaczęła przeglądać leżące w stosikach kostiumy. Było tam wszystko, od skąpych francuskich bikini, przez pozbawione ramiączek jednoczęściówki, po zwykle, konserwatywne kostiumy dwuczęściowe. Na metkach przewijały się marki Gottex, Christian Dior i Cole.

Wybrała pomarańczowy jednoczęściowy strój bez ramiączek, który - choć nie przesadnie wyzywający - był dostatecznie wysoko wycięty, żeby korzystnie eksponować jej uda i całe długie nogi. Z doświadczenia wiedziała, że pod cienką lycrą jej drobne, jędrne piersi będą się rysowały kształtnie, z dyskretnie zaznaczonymi brodawkami. A pomarańczowy kolor powinien dobrze grać z zielonkawą nutą piwnych oczu.

Wyszła przez drugie drzwi i znalazła się w oranżerii o trzech przeszklonych ścianach, przy których istny gąszcz tropikalnych roślin łączywie chłonał światło. Na czwartej ścianie, przy drzwiach, znajdował się kolejny duży ekran. Z niewidocznych głośników cicho sączyła się muzyka poważna. Było bardzo wilgotno. Na zewnątrz, mieniąc się w blasku poranka, rozpościerał się ogromny basen, a tu, w środku, Tony póżeżał na płytszym krańcu małego jacuzzi i popijał koktajl. Gorące, przesycone wilgocią powietrze tłamsiło Shaylę jak mokry koc.

- Co tak długo, mała? Zacząłem bez ciebie.

Z uśmiechem przysiadła na skraju basenu, jakieś pięć stóp od Haroda - nie dość daleko, żeby mógł się obrazić, a zarazem nie dość blisko, żeby sugerować przesadną intymność sytuacji. Machinalnie wierzyła nogami w bulgoczącej wodzie, wysoko unosząc stopy, żeby popisać się zgrabnie umięśnionymi łydkami.

- Przejdźmy do rzeczy, hmm? - zaproponował Harod.

Posłał jej ten swój oszczędny, lekko prześmiewczy uśmieszek. Oblizał dolną wargę.

- Właściwie w ogóle nie powinnam tu być - zauważyła półgłosem Shayla.

- Od takich spraw mam agentkę, poza tym każdy nowy projekt omawiam najpierw z matką, nawet weekendową sesję jako modelka. Przyjechałam tylko dlatego, że pan Borden mnie o to poprosił. Jest dla nas bardzo miły, odkąd...

- Wiem, wiem, on też zwariował na twoim punkcie - wszedł jej w słowo Harod. Odstawił kieliszek. - Oto jak się sprawy mają: Willi kupił prawa do ekranizacji pulpowego bestsellera. Nazywa się to to *Biały łowca niewolników*, taki tam chłamik dla czternastoletnich analfabetek i gospodyń domowych po lobotomii, które co miesiąc ustawiają się w kolejkach po nowe harlequiny; bzdet, przy którym intelektualny paraplegik w sam raz może sobie zwalić gruchę. I który to bzdet, jakżeby inaczej, sprzedał się w nakładzie trzech milionów egzemplarzy. My nabyliśmy prawa jeszcze przed publikacją; Willi ma znajomości w Ballantine, dostaje cynk, kiedy któryś z tych gniotów z przemielonego nietoperzowego guana dobrze się zapowiada.

- Brzmi to niezwykle atrakcyjnie - mruknęła Shayla.

- A żebyś wiedziała, kurwa! Oczywiście w filmie trzeba będzie większość książki wypieprzyć w pizdu, zostawi się z grubsza zarys fabuły i cały tani seks, ale zajmą się tym dobrzy spece. Michael May-Dreinen już przysiadł nad scenariuszem, a Schubert Williams zgodził się reżyserować.

- Schu Williams? - zdziwiła się Shayla. Williams dopiero co skończył kręcić dla MGM głośny film z George'em C. Scottem. Spuściła wzrok na wzburzoną powierzchnię wody. - Obawiam się, że to nas raczej nie zainteresuje. Moja matka... to znaczy, matka i ja bardzo ostrożnie podchodzimy do początków mojej kariery filmowej...

- Wcale nie. - Harod dopił drinka. - Dwa lata temu zagrałaś w *Nadziei Shannerly'ego* z Ryanem O'Nealem: w szpitalu w Meksyku umierająca na raka dziewczyna poznaje umierającego oszusta. Zamiast kurować się dalej laetrem, postanawiają razem odrzucić nadzieję fałszywego leku i poświęcić

ostatnie tygodnie życia na szukanie prawdziwego szczęścia. No ja pierdołę, jak Boga kocham! Że tak zacytuję Charlesa Champlina: „Już same recenzje tego mdląco przesłodzonego gniota wystarczyłyby, żeby przyprawić cukrzyka o zawał”.

- Zawiodła promocja i dystrybucja, i...

- Powinnaś się z tego cieszyć, mała. W zeszłym roku mamuśka wpakowała cię do *Na wschód od szczęścia* Wise'a i w tym gównie, ordynarnie zerzniętym z *Wdzięków muzyki*, miałaś zostać drugą Julie Andrews. Ale nie zostałaś. Lata sześćdziesiąte i epoka szczęśliwych dzieci kwiatów się skończyła, panno Berrington, mamy wredne lata osiemdziesiąte, a ja nie jestem twoim agentem, bynajmniej, ale jedno ci powiem: jeśli chodzi o twoją karierę filmową, to mamuśka z ekipą wepchnęły cię całkiem głęboko w szambo. Chcą z ciebie zrobić drugą Marie Osmond... Wiem, wiem, jesteś mormonką. I co z tego? Na okładkach *Vogue* i *Seventeen* wyglądałaś bosko, a dziś jesteś o krok od przepięprzenia tych pięciu minut sławy. Dalej próbują cię sprzedawać jako dwunastoletnie niewiniątko, ale na to jest już stanowczo za późno.

Shayla się nie poruszała, za to jej myśli pędziły jak szalone - tyle że i tak nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Miała ochotę powiedzieć temu małemu wrednemu trollowi, żeby padł trupem na miejscu, ale słowa nie przeszły jej przez gardło, więc tylko siedziała nieruchomo na skraju basenu. W następnych paru minutach miały się ważyć jej przyszłe losy, a ona miała kompletną pustkę w głowie.

Harod wyszedł z wody i po wykafelkowanej podłodze przeczłapał do skrytego wśród paproci baru. Nalał soku grejpfrutowego do wysokiej szklanki i odwrócił się do Shayli.

- Napijesz się czegoś, mała? Mam tu wszystko, nawet hawaiian puncha, jeśli czujesz się dziś wyjątkowo mormońsko.

Shayla pokręciła głową.

Producent wśliznął się z powrotem do jacuzzi i postawił sobie szklankę na piersi. Spojrzał w zawieszony na jednej ze ścian lustro i ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- No dobrze - powiedział - porozmawiajmy o tym *Białym łowcy niewolników*, czy jak to się tam będzie ostatecznie nazywało.

- Raczej nie będziemy zainteresowane...

- Dostaniesz czterysta tysięcy dolarów zaliczki, plus procent od zysków z filmu... którego to procentu nie zobaczysz na oczy, bo tak działa księgowość.

Ale najważniejsze, że wyrobisz sobie nazwisko, na które poleci każde studio w tym mieście. To będzie wykurwisty hit, mała, uwierz mi. Umiem zwęszyć przebój kasowy zanim scenariusz pójdzie do poprawki. Mówię ci, to będzie coś wielkiego.

- Przykro mi, panie Harold, ale nic z tego. Pan Borden powiedział, że jeśli nie będę zainteresowana wstępną propozycją, moglibyśmy...

- Zdjęcia zaczynają się w marcu. - Harold pociągnął długi łyk soku i przymknął oczy. - Schu planuje je na dwanaście tygodni, czyli należy spodziewać się dwudziestu. Plenery w Algierii, Hiszpanii, parę dni w Egipcie... Do tego trzy tygodnie w Pinewood Studios, mają tam wielgachne studio, w sam raz do scen pałacowych.

Shayla wstała. Jej nogi błyszczały od spływającej po nich wody. Oparła ręce na biodrach i spiorunowała wzrokiem małego brzydala w basenie.

Harold nie otworzył oczu.

- Pan mnie nie słucha, panie Harold. Powiedziałam: nie. Nie zagram w tym filmie. Nawet nie widziałam scenariusza. Może pan sobie wziąć tego całego *Białego łowcę niewolników* i... i...

- I wsadzić go sobie w dupę? - Harold otworzył oczy.

Shayli przywodził na myśl budzącą się ze snu jaszczurkę. Woda burzyła mu się wokół nieopalonej klatki piersiowej.

- Żegnam, panie Harold - powiedziała Shayla Berrington.

Określiła się na pięcie, ale zdążyła zrobić zaledwie trzy kroki, zanim powstrzymał ją głos Haroda:

- Boisz się rozbieranych scen, mała?

Przystanąła, zawahała się, ale ruszyła dalej.

- Boisz się rozbieranych scen - powtórzył Harold. Tym razem to nie było pytanie.

Doszła prawie do drzwi, zanim się odwróciła.

- Nawet nie widziałam scenariusza! - powtórzyła, rozkładając błagalnie ręce.

Głos jej się załamał, złapała się na tym, że jest bliska płaczu.

- Owszem, są w nim rozbierane sceny - ciągnął Harold, jakby w ogóle się nie odezwała. - I jedna erotyczna, przy której małolaty będą miały kisiel w majtach. Moglibyśmy wziąć dublerkę... ale nie będzie takiej potrzeby. Dasz radę, mała.

Shayla pokręciła głową. Przepelniała ją złość, dla której nie znajdowała słów. Odwróciła się i na oślep sięgnęła do klamki.

- Stój.

Głos Haroda zabrzmiał bardzo cicho, ledwie słyszalnie. Było w nim jednak coś, co powstrzymało ją skuteczniej niż przeraźliwy krzyk. Miała wrażenie, że lodowate palce oplotły jej szyję.

- Chodź tutaj.

Odwróciła się i podeszła do Haroda. Leżał nieruchomo, długopalce dłonie skrzyżował na piersi. Oczy miał półotwarte, wilgotne, senne, leniwe... Tak mógłby patrzeć krokodyl. Jedna część jej umysłu wrzeszczała ze strachu, druga z narastającym niedowierzaniem obserwowała rozwój sytuacji.

- Usiądź.

Usiadła na brzegu basenu trzy stopy od Haroda. Piana chlapnęła jej na opalone uda. Czuła się tak, jakby oderwała się od swojego ciała i przygląda mu się z chłodną obojętnością.

- Tak jak powiedziałem, dasz radę, mała. Na Boga, przecież w każdym z nas drzemie mały ekshibicjonista! A ty po prostu dostaniesz grubą kasę za coś, na co i tak masz ochotę.

Shayla uniosła głowę i spojrzała Harodowi w oczy; miała wrażenie, że walczy z ogarniającym ją potwornym odrętwieniem. W cętkowanym świetle jego źrenice rozszerzyły się tak bardzo, że oczy upodobniły się do dwóch czarnych dziur w bladej twarzy.

- Tak jak teraz.

Mówił cicho, bardzo cicho. Może wcale nie mówił. Słowa same wślizgiwały się na właściwe miejsce w mózgu Shayli, jak zimne monety tonące w ciemnej wodzie.

- Tu jest bardzo ciepło. Nie potrzebujesz tego kostiumu. Mam rację? Oczywiście, że mam.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Daleko, na końcu tunelu prowadzącego w głąb jej umysłu, była małą dziewczynką gotową się rozplakać. W niemym zdumieniu patrzyła, jak podnosi rękę, prawą dłonią delikatnie odciąga górną krawędź kostiumu i wsuwa pod nią palce. Pociągnęła lekko i lycra zsunęła się odrobinę niżej, ciaśniej opinając krągłe piersi. Jeszcze raz pociągnęła z prawej strony; rąbek materiału zatrzymał się tuż powyżej brodawki. Było widać bladoczerwoną kreskę w miejscu, gdzie elastyczny materiał uciskał skórę.

Spojrzała na Tony'ego Haroda.

Tony uśmiechnął się leciutko i skinął głową.

Jakby czekała na jego pozwolenie, zdecydowanym szarpnięciem ściągnęła

kostium niżej. Piersi, uwolnione spod naporu pomarańczowej tkaniny, zakotły się lekko. W tym miejscu skórę miała bardzo jasną, delikatną, upstrzoną nielicznymi piegami. Sutki stwardniały i uniosły się w chłodnym podmuchu powietrza. Miały brązowe, bardzo szerokie otoczki, dodatkowo podkreślone paroma ciemnymi włoskami, które wydawały jej się zbyt urocze, żeby je wyskubać. Nikt o nich nie wiedział, nawet matka. Shayla nikomu nie pozwoliła fotografować swoich piersi, nawet Avedonowi.

Znów podniosła wzrok na Haroda, lecz jego twarz stała się rozmazaną jasną plamą. Pokój przekrzywił się i zawirował, turkot basenowej maszyny narastał do chwili, aż zaczął jej głośno dudnić w uszach. Poczula, że coś w niej drgnęło. Przyjemne ciepło rozlewało się z wolna po jej wnętrzu, jakby ktoś sięgnął wprost do jej mózgu i delikatnie głaskał ośrodek przyjemności, równie namacalnie jak palce dłoni mogłyby głaskać miękkie wzgórek między udami. Stęknęła i mimowolnie wygięła plecy w łuk.

- Tu naprawdę jest bardzo ciepło - powiedział Tony Harod.

Shayla powiodła rękami po twarzy, w zadziwieniu musnęła powieki, prześliznęła się po szyi w dół, po obojczykach... Znieruchomiała, przyciskając palce do granicy nieopalonego ciała na piersiach. Puls trzepotał jej w gardle jak uwięziony w klatce ptaszek. Zjechała niżej i wyprężyła się cała, gdy dłonie dotknęły boleśnie wrażliwych brodawek. Uniosła piersi, tak jak uczył ją tego doktor Kemmerer, kiedy miała czternaście lat, tyle że wcale nie zamierzała ich badać, po prostu je ścisnęła, rozpłaszczyła. Miała ochotę krzyczeć z rozkoszy.

- W ogóle nie potrzebujesz kostiumu - szepnął Harod.

Naprawdę szepnął? Shayla trochę się pogubiła. Przecież patrzyła na niego i nie widziała, żeby poruszył ustami. W półśmiechu odsłaniał tylko drobne zęby, jak białe, ostre kamyki.

Nie miało to znaczenia. W tej chwili liczyło się tylko to, żeby jak najszybciej wyplątać się z krępującego ją kostiumu. Ściągnęła go niżej, zsunęła po lekko wypukłym brzuchu, uniosła pośladki i wyszarpnęła elastyczny materiał spod siebie. A potem kostium był już tylko mokrym, klejącym się do skóry kawałkiem materiału wokół łydki, od którego uwolniła się jednym machnięciem nogi. Spojrzała w dół na swoje ciało, łuk uda i nie całkiem v-kształtną linię włosów łonowych wspinających się ku granicy opalenizny. Lekkiemu zawrotowi głowy towarzyszyło tym razem odległe poczucie szoku, wtedy jednak ponownie poczuła to wewnętrzne głaskanie, osunęła się na plecy i podparła na łokciach.

Ciepła piana z jacuzzi omywała jej uda. Shayla przebiegła palcem wzdłuż pulsującej pod piersią niebieskiej żyłki. Najłżejszy dotyk był jak płomień na jej skórze. Miękkie wzniesienia piersi kurczyły się i pęczniały jednocześnie. Bulgotanie basenu najpierw zsynchronizowało się z jej bijącym sercem, potem przeszło w synkopowany rytm. Podniosła prawe kolano i oparła dłoń po wewnętrznej stronie uda. Przesunęła ją wyżej, strącając kropelki wody lśniące na rzadkich, złocistych włoskach. Ciepło ją przenikało, wypełniało, kontrolowało. Jej srom pulsował rozkoszą znaną dotychczas tylko z mrocznych, tętniących wyrzutami sumienia chwil tuż przed snem; poznawaną wyłącznie przez - nieobecny w tej chwili - filtr poczucia winy; pozbawioną tego wszechogarniającego wrażenia ciepła i pośpiechu. Palce Shayli natrafiły na zwilżone fałdy warg sromowych. Rozchyliła je z cichym sapnięciem.

- Za ciepło na kostium... - mruknął Harod. - Dla nas obojga.

Dopił sok, uniósł się na łokciach i odstawił szklankę daleko od brzegu jacuzzi.

Shayla obróciła się w wodzie, czując na biodrze zimny dotyk kafelków. Długie włosy opadły jej na twarz, gdy z półotwartymi ustami zaczęła się czołgać po płyciźnie, zapierając się łokciami. Harod w pozycji półleżącej rozchlapał nogami wodę. Shayla znieruchomiała i podniosła na niego wzrok. Głaskanie w jej umyśle się nasiliło, dosięgło samego serca jej istoty i drażniącym ruchem zaczęło się po nim ślizgać. Z zapartych tchem odruchowo ścisnęła uda, gdy jedna po drugiej zalewały ją kolejne przygrywki do orgazmu. Szept w jej głowie zabrzmiał głośniejsz - jędrzące szeleszczenie nieodłącznie związane z ekstazą.

Otarła się piersiami o podłogę, schyliła nad Tonym i stanowczym gestem - zarazem gwałtownym i pełnym wdzięku - ściągnęła mu kąpielówkę. Zsunęła mu zrolowany materiał na wysokość kolan i dalej, do wody. Włosy czarną smugą schodziły mu z brzucha w dół, penis - na razie blady i miękki - ożywił się z wolna w uwitym z nich ciemnym gnieździe.

Kiedy ponownie spojrzała na Tony'ego, już się nie uśmiechał. Jego oczy upodobniły się do dwóch otworów w białej masce. Na jego twarzy nie malowało się ciepło ani podniecenie; wyrażała wyłącznie natężoną koncentrację wpatzonego w zdobycz drapieznika. Ale Shayli to nie przeszkadzało. Nie rozumiała, co widzi, wiedziała tylko, że głaskanie w jej głowie jeszcze bardziej się nasiliło, przekraczając granicę ekstazy i ocierając się o ból. Czysta rozkosz płynęła w jej żyłach jak narkotyk.

Oparła policzek na udzie Haroda i prawą ręką sięgnęła po jego członek. Niedbałym gestem odtrącił jej dłoń. Shayla z jękiem przygryzła wargę. Jej umysł - jedno wielkie kłębowisko wrażeń zmysłowych - reagował już tylko na bodźce bólu i namiętności. Jej nogi drgały spazmatycznie, gdy wiła się w wodzie na skraju basenu. Przesunęła wargami po słonej skórze uda Haroda. Smakując własną krew w ustach, wyciągnęła rękę, żeby zważyć w dłoni jego jądra.

Mały człowieczek zgiął nogę w kolanie i delikatnie pchnął Shaylę w głąb basenu. Stawiała opór, czepiała się jego nóg, pojękiwała cicho, szukając go dłońmi i ustami.

Maria Chen weszła do oranżerii, podłączyła aparat telefoniczny do gniazdka w ścianie i postawiła go na podłodze w zasięgu ręki Haroda.

- Z Waszyngtonu - wyjaśniła.

Zerknęła przelotnie na Shaylę i wyszła.

Ciepło i dotyk w głowie skończyły się nagle, pozostawiając w ciele i umyśle Shayli chłodną pustkę. Chciało jej się płakać z bólu. Przez chwilę patrzyła tępo w przestrzeń, zanim odepchnęła się od brzegu w głąb basenu. Objęła się ramionami. Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze.

- Harod, słucham - powiedział Tony do telefonu.

Wstał, przeszedł trzy kroki i narzucił frotowy szlafrok. Shayla z urazą i niedowierzaniem patrzyła, jak blade łądzwie znikają jej z oczu. Zadygotała jeszcze mocniej. Lodowate ciarki przeszywały ją na wskroś. Szarpiąc paznokciami włosy, zanurzyła twarz w spienionej wodzie.

- Tak? - mówił Harod. - A niech to wszyscy diabli! Kiedy? Są pewni, że był na pokładzie? Kurwa mać... Słucham, słucham. Obaj?! A co z tą... jakżeż ona się nazywa...? Ja pierdołę! Nie, nie, zajmę się tym. Nie. Przecież powiedziałem: zajmę się tym. Tak. Lepiej dwa dni. Dobrze, przyjadę.

Cisnął słuchawką i ze złością usiadł na wiklinowym fotelu.

Shayla wciągnęła do basenu skotłowany kostium. Roztrzęsiona, dręczona mdłościami i zawrotami głowy, przykucnęła w bulgoczącej wodzie, żeby się ubrać. Nie zdawała sobie sprawy, że pochlipuje. To jakiś koszmar - taka właśnie myśl dudniła jej w skołatanej głowie. Harod sięgnął po pilota i włączył wbudowany w ścianę ogromny ekran, na którym natychmiast pojawił się obraz Shayli Berrington siedzącej na skraju małego basenu. Patrząc poza kadr, pustym wzrokiem, lekko uśmiechnięta, jak we śnie, zaczęła obciążać elastyczny rąbek kostiumu kąpielowego. Miała blade piersi o twardych brodawkach w dużych brązowych obwódkach, wyraźnie

widocznych mimo słabego oświetlenia...

- Nie! - krzyknęła, uderzając rękami o wodę.

Harod spojrział na nią takim wzrokiem, jakby dopiero teraz ją zauważył. Jego wąskie wargi wykrzywiły się w namiastce uśmiechu.

- Nastąpiła mała zmiana planów - powiedział półgłosem. - Pan Borden nie zaangażuje się w prace nad tym filmem. Będę jego wyłącznym producentem.

Shayla przestała tłuc wodę pięściami jak wariatka. Mokra pasemka włosów opadały jej na twarz. Miała otwarte usta, lepka ślina ściekała jej po brodzie. Nie licząc targającego nią szloch, jedynym dźwiękiem był odgłos pracującej maszynierii basenu.

- Będziemy się trzymać pierwotnego harmonogramu - dodał w zamyśleniu Harod.

Spojrzał na ekran. Shayla Berrington czołgała się nago po kafelkach. W kadrze pojawił się tors nagiego mężczyzny. Kamerzysta zrobił zbliżenie na twarz Shayli ocierającej się policzkiem o owłosione białe udo. Oczy miała zaszkłone namiętnością, pulsujące usta złożone w O, okrągłe jak u ryby.

- Obawiam się, że pan Borden nie będzie już robił z nami żadnych filmów. - Harod odwrócił się ku Shayli i czarne latarnie jego oczu mrugnęły powoli. - Zostaliśmy tylko my dwoje, mała.

Jego usta drgnęły, mignęły drobne ząbki - bardzo białe i bardzo ostre.

- Obawiam się, że pan Borden w ogóle nie będzie już kręcił filmów. - Harod znów przeniósł wzrok na ekran. - Willi nie żyje - dodał cicho.

3.

Charleston

13 grudnia 1980, sobota

Obudziły mnie promienie słońca przeświecające przez gałęzie drzew. Był to jeden z tych krystalicznie pogodnych, ciepłych zimowych dni, dzięki którym mieszkanie na Południu jest o wiele mniej przygnębiające od bojów na śmierć i życie z surową jankeską zimą. Widziałam zielone pióropusze palm wznoszące się ponad czerwonymi dachami. Kiedy pan Thorne przyniósł mi śniadanie, kazałam mu uchylić okno. Popijając kawę, słyszałam bawiące się na podwórku dzieci. Przed laty pan Thorne razem ze śniadaniem przyniósłby mi poranną gazetę, z czasem nauczyłam się jednak, że czytanie o skandalach i szaleństwach tego świata to prosta droga do zbezczeszczenia poranka. Zresztą, prawdę powiedziawszy, coraz mniej interesowały mnie sprawy ludzi. Od dwunastu lat obchodziłam się bez gazet, telefonu i telewizora i nie miałam z tego powodu żadnych przykrości, chyba żeby do przykrości zaliczyć narastające samozadowolenie. Uśmiechnęłam się na wspomnienie rozczarowania Williego, gdy okazało się, że nie będzie mógł nam puścić swoich filmów. Był taki dziecinny.

- Dziś sobota, prawda, panie Thorne? - spytałam, a kiedy skinął głową, gestem kazałam mu zabrać tacę. - Przejdziemy się - powiedziałam. - Pójdziemy na spacer, może na wycieczkę do fortu. Potem kolacja w Henry's i do domu. Muszę poczynić przygotowania.

Pan Thorne zachwiał się i potknął, wychodząc z pokoju. Włożyłam już szlafrok, ale teraz znieruchomiałam, nie przewiązawszy go do końca paskiem. Pan Thorne nie zwykł być takim niezgrabiaszem. Uświadomiłam sobie, że on również się starzeje.

Wyprostował się, poprawił talerze na tacy, skinął mi głową i poszedł do kuchni.

Nie chciałam, żeby myśli o starości zepsuły mi taki śliczny poranek. Przepełniała mnie nowa energia i determinacja. Nasze wieczorne spotkanie nie wypadło najlepiej, ale też wcale nie wyszło aż tak źle, jak mogło. Szczerze uprzedziłam Ninę i Williego, że zamierzam odejść z Gry. W najbliższych tygodniach lub miesiącach oboje (a w każdym razie Nina) zaczną się zastanawiać nad konsekwencjami mojej decyzji, zanim jednak postanowią zareagować - razem czy osobno - mnie już dawno nie będzie.

Miałam gotowe nowe (i stare) tożsamości na Florydzie, w Michigan, Londynie, południowej Francji, nawet w New Delhi. Michigan chwilowo nie brałam pod uwagę; odwykłam od surowego klimatu. A Delhi nie było już tak gościnne dla cudzoziemców jak w czasach, gdy przez krótki czas bawiłam tam przed wojną.

W jednej kwestii Nina miała rację; powrót do Europy dobrze by mi zrobił. Już zaczynałam tęsknić za ciepłym światłem i serdecznym *savoir vivre* wieśniaków z okolic mojego letniego domu pod Tulonem.

Na dworze było rześko. Włożyłam prostą sukienkę z drukowanej tkaniny i wiosenny płaszczyk. Przy schodzeniu po schodach dał mi się we znaki śladowy artretyzm w prawej nodze, wzięłam więc stary kostur mojego ojca zamiast laski. Młody murzyński służący wyciął go dla taty latem tego roku, kiedy przeprowadziliśmy się z Greenville do Charleston.

Uśmiechnęłam się, gdy wyszłam na podwórko i owionęło mnie ciepłe powietrze.

Pani Hodges wyszła od siebie; to jej wnuki bawiły się z kolegami przy wyschniętej fontannie. Od dwustu lat dziedziniec był wspólny dla trzech stojących przy nim ceglanych domów, z których tylko mój nie został podzielony na drogie apartamenty.

- Dzień dobry, panno Fuller.

- Dzień dobry, pani Hodges. Piękny dzień mamy.

- Piękny, to prawda. Wybiera się pani na zakupy?

- Tylko na przechadzkę, pani Hodges. Pan Hodges został w domu? Zawsze w soboty pracuje na podwórzu.

Pani Hodges zmarszczyła brwi, gdy jedna z bawiących się dziewczynek wpadła pomiędzy nas, ścigana przez rozkrzyczaną przyjaciółkę w rozwianym swetrze.

- George jest już w marinie.

- Za dnia?

Zawsze bawiły mnie te nocne wyjścia pana Hodgesa do pracy: starannie odprasowany mundur ochroniarza, sterczące spod czapki szpakowate włosy, pod pachą czarna torba z drugim śniadaniem. Pan Hodges był żylasty i krzywonogi jak podstarzały kowboj. Należał do tych ludzi, którzy wiecznie trwają o krok od emerytury, zdając sobie sprawę, że taki brak aktywności równałby się w pewnym sensie wyrokowi śmierci.

- Ależ tak. Jeden z tych kolorowych z dziennej zmiany odszedł z pracy i poprosili George'a, żeby wziął zastępstwo. Mówiłam mu, że jest za stary,

żeby tyrać po cztery nocki tygodniowo i jeszcze dodatkowo przychodzić w weekendy, ale wie pani, jaki on jest.

- No cóż... Proszę go pozdrowić ode mnie - powiedziałam. Dziewczynki ganiające się wokół fontanny działały mi na nerwy.

Pani Hodges podreptała za mną do furtki z kutego żelaza.

- Wyjeżdża pani na jakiś czas, panno Fuller?

- Najprawdopodobniej tak, pani Hodges. Najprawdopodobniej.

Wyszliśmy z panem Thorne'em na chodnik i bez pośpiechu skierowaliśmy się w stronę Battery. Nieliczne samochody powoli sunęły wąskimi uliczkami, turyści gapili się na domy w naszej Starej Dzielnicy, ale ogólnie dzień był spokojny i cichy. Zobaczyłam maszty jachtów, zanim wyszliśmy na Broad Street i naszym oczom ukazała się woda.

- Proszę nabyć bilety dla nas obojga, panie Thorne - poleciłam. - Chętnie zobaczę fort.

Jak to często bywa z ludźmi zamieszkałymi w pobliżu popularnej atrakcji turystycznej, przez lata w ogóle nie zauważałam fortu. Chęć obejrzenia go akurat teraz była z mojej strony przejawem sentymentalizmu, wynikała z pogodzenia się z faktem, że wkrótce będę musiała na zawsze porzucić tę okolicę. Co innego planować jakiś ruch, a co innego stanąć oko w oko z jego nieodwołalną rzeczywistością.

Turystów było niewiele. Prom odbił od nabrzeża i wypłynął na spokojne wody portu. Połączenie ciepłych promieni słońca i miarowego dudnienia diesla wprawiło mnie w krótką drzemkę. Kiedy się obudziłam, przybijaliśmy do mrocznej masy ulokowanego na wyspie fortu.

Z początku szłam z całą naszą grupą, napawając się grobową ciszą dolnych kondygnacji i bezmyślnym brzęczeniem młodej kobiety ze Służby Parkowej. Kiedy jednak wróciliśmy do muzeum, przykurzonych dioram i kiczowatych slajdów, wyszłam po schodach na mury. Skinęłam na pana Thorne'a, żeby czekał na mnie u szczytu schodów, a sama wspierałam się na blanki, gdzie w zasięgu wzroku były tylko trzy osoby - dwoje młodych ludzi z tanim aparatem fotograficznym i dzieckiem w niezbyt wygodnym nosidełku.

To była przyjemna chwila. Z zachodu nadciągała burza, na której ciemnym tle rysowały się podświetlone słońcem iglice kościołów, ceglane wieże i nagie gałęzie drzew w mieście. Nawet z odległości dwóch mil widziałam przechodniów na promenadzie przy Battery. Poprzedzający ciemne chmury wiatr pchał spienione fale na rozkołysany prom i drewniany

pomost. Pachniało rzeką, zimą i deszczem o zmierzchu.

Wyobrażenie sobie tamtego dnia sprzed lat nie było szczególnie trudne. Grad pocisków spadał na fort, aż górne piętra budowli zmieniły się w dające tylko minimalne schronienie sterty gruzów. Zebrani na dachach domów za Battery gapie wiwatowali głośno. Kolorowe sukienki i jedwabne parasolki musiały doprowadzać jankeskich artylerzystów do szału, aż w końcu któryś wypalił ponad zatłoczone dachy. Zamieszanie, które wybuchło po tym strzale, musiało się stąd wydawać niezwykle zabawne.

Ruch w wodzie zwrócił moją uwagę: coś ciemnego cięło szarą toń, ciemnego i bezgłośnego niczym rekin. Otrząsnęłam się z zadumy nad przeszłością, gdy rozpoznałam sunący bezszelestnie okręt podwodny klasy Polaris, stary, ale najwyraźniej wciąż sprawny. Woda marszczyła się i opływała kadłub gładki jak ciało morświna, rozdzielając się na podwójny biały kilwater. Na ciemnej nadbudówce stało kilku mężczyzn w grubych płaszczach i czapkach nasuniętych nisko na czoło. Na szyi tego, którego wzięłam za kapitana, zwieszała się niewiarygodnie ogromna lornetka. Pokazywał coś za Sullivan Island. Wbiłam w niego wzrok. Obraz na skraju mojego pola widzenia rozmył się lekko, gdy nawiązałam kontakt ponad wodą; dźwięki i wrażenia dochodziły do mnie jakby z wielkiej odległości.

Napięcie. Przyjemne muśnięcia słonej piany na skórze, lekki wiatr z północnego zachodu. Niepewność treści rozkazów w zalakowanej kopercie w kajucie. Świadomość widocznych na sterburcie piaszczystych łąch.

Prawie podskoczyłam, gdy ktoś zaszedł mnie od tyłu. Plamki na obrzeżach pola widzenia zniknęły, kiedy się odwróciłam.

Za mną stał pan Thorne. Tuż obok. Podszedł nieproszony. Już otworzyłam usta, żeby odesłać go na posterunek przy schodach, gdy dostrzegłam przyczynę, która go do mnie sprowadziła: młody mężczyzna od tej pary z dzieckiem, który przed chwilą był zajęty fotografowaniem swojej jasnoskórej żony, szedł w naszą stronę.

Pan Thorne zastąpił mu drogę.

- Halo, proszę pani? Przepraszam bardzo, ale czy pani lub pani mąż moglibyście zrobić nam zdjęcie?

Skinęłam głową i pan Thorne wziął podany mu aparat, który w jego długopalcych dłoniach wydał się nagle mikroskopijny. Dwa pstryknięcia później młodzi byli usatysfakcjonowani, że ich wizyta została uwieczniona dla potomności. Mężczyzna szczyrzył zęby w kretyńskim uśmiechu i kiwał głową.

Dziecko się rozplakało, kiedy powiał mocniejszy wiatr. Odwróciłam się, szukając wzrokiem okrętu podwodnego, ale ten zdążył się już oddalić; szara nadbudówka stała się zaledwie cienkim prążkiem łączącym morze z niebem.

Zdążyliśmy prawie wrócić do miasta, prom skręcał właśnie ku pochylni, kiedy od obcej kobiety dowiedziałam się o śmierci Williego.

- Coś straszego, nie uważa pani?

Gadatliwa staruszka wyszła za mną na odsłonięty pokład. Mimo że przenikliwy wiatr wzmógł się nieprzyjemnie, a ja dwa razy próbowałam uciec przed nią i jej głupim trajkotaniem, idiotka najwyraźniej wybrała mnie na swoją rozmówczynię na końcowym etapie wycieczki. Nie zniechęcała jej ani moja oschłość, ani gniewne spojrzenia pana Thorne'a.

- To musiało być okropne - ciągnęła. - Tak po ciemku i w ogóle...

- O czym pani mówi? - spytałam, nagle pełna złych przeczuc.

- Jak to o czym? O tej katastrofie lotniczej! Nie słyszała pani? To musiało być przerażające, samolot spadł na bagna. A rano mówiłam córce...

- Jaka katastrofa? Kiedy?

Staruszka skrzywiła się na dźwięk ponagląjącego tonu w moim głosie, ale pusty uśmiech wciąż gościł na jej twarzy.

- Jak to kiedy? Dziś w nocy, a kiedy? Rano właściwie. Powiedziałam do córki...

- Gdzie?! Co to był za samolot?

Pan Thorne, zaniepokojony brzemieniem moich słów, podszedł do nas.

- Nocny lot - odparła drżącym głosem. - Z Charleston. Pisali o tym w gazecie wyłożonej w barze. Czy to nie okropne? Osiemdziesiąt pięć osób. Powiedziałam córce...

Zostawiłam ją przy relingu. Przy barze przekąskowym znalazłam zmiętą gazetę, a w niej - pod czterowyrzowym nagłówkiem - skąpe szczegóły śmierci Williego. Lot numer 417 do Chicago wystartował z lotniska międzynarodowego w Charleston osiemnaście minut po północy. Dwadzieścia minut później eksplodował w powietrzu niedaleko Columbi. Kawalki kadłuba i fragmenty ciał spadły na mokradła Congaree, skąd wyłowili je prowadzący nocny połów rybacy. Nikt nie przeżył katastrofy. Sprawą zajęły się już Federalna Administracja Lotnicza, Krajowa Rada Bezpieczeństwa Transportu i FBI.

Zaszumiało mi głośno w uszach; musiałam na chwilę usiąść, żeby nie zemdleć. Spocone dłonie kleiły mi się do zielonej winylowej tapicerki.

Ludzie mijali mnie w drodze do wyjścia.

Willi nie żył. Został zamordowany. Nina go zabiła.

Przez pierwsze kilkanaście sekund oszołomiona rozważałam możliwość spisku, wyrafinowanego podstępu, którym wspólnie usiłowałiby mnie przekonać, że pozostało tylko jedno źródło zagrożenia. Ale nie. To nie miałoby sensu. Gdyby Nina włączyła Williego w swoje plany, nie musiałyby się uciekać do takich nedorzecznych wybiegów.

Willi nie żył. Jego szczątki zostały rozproszone po cuchnącym, mrocznym bagnisku. Aż nazbyt łatwo mogłam sobie wyobrazić jego ostatnie chwile: rozparty wygodnie w fotelu pierwszej klasy, z drinkiem w ręce, może rozmawiający szeptem z którymś ze swoich prostackich kompanów. I wybuch. Krzyki. Nagła ciemność. Okrutny przechył, ostateczny upadek w nicość.

Wzdrygnęłam się i mocniej ścisnęłam metalowy podłokietnik.

Jak Nina to zrobiła? Byłam pewna, że nie wykorzystала żadnego z jego towarzyszy. Na pewno byłaby zdolna Użyć któregoś z pionków Williego, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jego słabnący Talent, ale naprawdę nie miała powodu się do tego uciekać. Mogła Użyć kogokolwiek na pokładzie samolotu. Owszem, byłoby to trudne: skomplikowany etap przygotowania bomby, ogromny wysiłek związany z wymazaniem wspomnień o niej, a następnie granicząca z niemożliwością próba Użycia kogoś w tym samym czasie, kiedy we troje siedzieliśmy w salonie przy kawie i brandy... Ale tak, Nina byłaby do tego zdolna. No i ten wybór chwili, który mógł oznaczać tylko jedno.

Ostatni turyści wyszli. Poczułam leciutki wstrząs, który oznaczał, że przybiliśmy do przystani. Pan Thorne stał przy drzwiach.

Tak wybrany moment oznaczał, że Nina próbuje pozbyć się nas obojga. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko zaplanowała na długo przed naszym spotkaniem i moją bojaźliwą zapowiedzią rezygnacji. Ależ moje słowa musiały ją rozbawić... Nic dziwnego, że zareagowała tak wielkodusznie. Popełniła jednak poważny błąd: zaczynając od Williego, postawiła wszystko na jedną kartę - przyjęła założenie, że nie dowiem się o jego śmierci, dopóki nie będzie mogła się przeciw mnie zwrócić; wiedziała, że nie mam dostępu do najświeższych wiadomości i bardzo rzadko wychodzę z domu. Ale żeby w takiej sprawie zdawać się na uśmiech losu... To było do niej niepodobne. Czy mogła uznać, że ja już całkiem straciłam Talent, w związku z czym Willi stanowi dla niej większe zagrożenie?

Pokręciłam głową. Wyszliśmy z kabiny, ogarnęło nas szare światło popołudnia. Zimny wiatr wciskał się pod mój cienki płaszczyk. Kiedy trap rozplynał mi się przed oczami, zorientowałam się, że mam łzy w oczach. Po śmierci Williego? Był nadętym, starym i słabym głupcem. Po zdradzie Niny?

A może po prostu przez ten lodowaty wiatr?

Z ulic Starej Dzielnicy zniknęli prawie wszyscy piesi. Przed oknami pięknych domów nagie gałęzie chrobetały o siebie nawzajem. Pan Thorne szedł u mojego boku. Sprowokowany zimnem artretyzm przeszywał mi prawą nogę aż do biodra. Oparłam się mocniej na kosturze ojca.

Co teraz zrobi Nina? Przystanąłam. Pchany wiatrem kawałek gazety oplątał mi się wokół kostki, zanim po chwili dał się ponieść dalej.

Jak spróbuje się do mnie dobrać? Raczej nie na odległość, więc musiała być gdzieś w mieście, tego byłam pewna. Można było wprawdzie Użyć kogoś na odległość, wymagałoby to jednak doskonałej znajomości tego człowieka, niemal intymnej bliskości. Na dodatek, gdyby kontakt został zerwany, jego odnowienie byłoby niezwykle trudne, żeby nie powiedzieć niemożliwe. Żadne z nas nie wiedziało, dlaczego tak się dzieje, zresztą teraz i tak nie miało to żadnego znaczenia. Jednakże na samą myśl o tym, że Nina jest gdzieś niedaleko, serce zaczęło mi walić jak młotem.

Nie na odległość. Kogokolwiek Użyje, każe mu mnie zaatakować. Zobaczę napastnika. Nawet jeśli nie znałam Niny na wylot, tego jednego mogłam się po niej spodziewać. Śmierć Williego była bez wątpienia najbardziej bezosobowym przykładem Żerowania, jaki można sobie wyobrazić, ale to był drobiazg, zwykła konieczność. Nina postanowiła wyrównać rachunki ze mną, a Willi jej w tym przeszkadzał; stał się niezbyt poważnym, lecz mierzalnym zagrożeniem, z którym musiała się uporać, zanim przejdzie do rzeczy. Z łatwością umiałam sobie wyobrazić, że z jej punktu widzenia taka śmierć była dla Williego aktem miłosierdzia, niemal dowodem czułości. W moim wypadku będzie inaczej; w moim wypadku będzie chciała, żebym, umierając, miała pełną - choć krótkotrwałą - świadomość, że to ona stoi za atakiem na mnie. W pewnym sensie jej próżność będzie dla mnie ostrzeżeniem. Taką w każdym razie żywiłam nadzieję.

Kusiło mnie, żeby jak najszybciej wyjechać. Mogłabym kazać panu Thorne'owi przyprowadzić audi z garażu, a wtedy po godzinie znaleźlibyśmy się poza zasięgiem wpływów Niny, a po kilku następnych mogłabym rozpocząć nowe życie. Oczywiście trzymałam w domu różne ważne rzeczy,

ale za zgromadzone gdzie indziej pieniądze bez trudu kupiłabym sobie nowe. Właściwie nawet miło byłoby zostawić je za sobą wraz z tożsamością, która je zgromadziła.

Ale nie. Nie mogłam wyjechać. Jeszcze nie teraz.

Widziany z drugiej strony ulicy dom wydawał się mroczny i złowieszczy. Czy to ja zasłoniłam żaluzje na piętrze? Na podwórku mignął mi jakiś cień: to wnuczka pani Hodges z koleżanką przemknęły od jednych drzwi do drugich. Stałam niezdecydowana na krawężniku, ostukując kosturem drzewo o czarnej korze. Zdawałam sobie sprawę, że taka zwłoka jest nierozsądna, ale upłynęło dużo czasu, odkąd musiałam podejmować decyzje w takim napięciu.

- Panie Thorne? Proszę wejść i sprawdzić dom. Niech pan obejdzie wszystkie pokoje i szybko wraca.

Powiał zimny wiatr, gdy patrzyłam, jak czarny płaszcz pana Thorne'a wtapia się w półmrok podwórka. Czułam się potwornie odsłonięta, stojąc tak sama przed domem. Złapałam się na tym, że co rusz się rozglądam, wypatrując ciemnych włosów panny Kramer, ale jedynym ruchomym obiektem była młoda kobieta z wózkiem, majacząca daleko w głębi ulicy.

Żaluzje na piętrze podjechały do góry i w oknie mignęła mi blada twarz pana Thorne'a. Stał nieruchomo przez dobrą minutę, zanim odwrócił się i zniknął w głębi domu, a ja jeszcze przez chwilę wpatrywałam się w ciemny prostokąt okna. Przestraszył mnie krzyk na podwórku, ale to tylko mała dziewczynka nawoływała swoją przyjaciółkę. Jak ona miała na imię... Ach tak, Kathleen. Przysiadły na skraju fontanny i otworzyły opakowanie herbatników w kształcie zwierzątek. Wpatrywałam się w nie natarczywie, aż w końcu zdołałam się trochę odprężyć; udało mi się nawet uśmiechnąć na myśl o tym, jak daleko sięgnęła moja paranoja. Pomyślałam, że mogłabym Użyć pana Thorne'a bezpośrednio, ale przerażała mnie myśl, że miałabym zostać całkiem sama i bezradna na ulicy. Przy pełnym kontakcie zmysły wprawdzie nadal funkcjonują, ale wrażenia przez nie przekazywane docierają w najlepszym razie z pewnym opóźnieniem.

Pośpiesz się.

Tę myśl posłałam niemal nieświadomie. Dwaj brodaci mężczyźni szli chodnikiem w moją stronę. Przeszłam na drugą stronę ulicy i stanęłam przy furtce swojego domu. Tamci śmiali się i gestykulowali z ożywieniem. Jeden zerknął na mnie.

Pośpiesz się.

Pan Thorne wyszedł przed dom, zamknął za sobą drzwi na klucz i ruszył przez podwórko w moją stronę. Jedna z dziewczynek coś powiedziała, podsuwając mu pudełko z herbatnikami, ale nie zwrócił na nią uwagi. Dwaj mężczyźni poszli dalej. Pan Thorne wręczył mi duży klucz do frontowych drzwi. Schowałam go do kieszeni i spojrzałam pytająco na pana Thorne'a. Skinął głową. Swoim spokojnym uśmiechem nieświadomie drwił z mojej konsternacji.

- Jesteś pewien? - spytałam. Znów kiwnął głową. - Sprawdziłeś wszędzie w pokojach? - Skinienie głowy. - Alarm? - Skinienie głowy. - W piwnicy też? - Skinienie głowy. - Nie widać śladów najścia?

Pan Thorne pokręcił głową.

- Chodź. - Przeszłam na drugą stronę ulicy i szybkim krokiem zaczęłam oddalać się od domu. - Zjemy kolację w Henry's i wrócimy.

Nie szłam jednak wcale w kierunku starej restauracji - po prostu oddalałam się od domu, kierowana (z czego w głębi ducha zdawałam sobie sprawę) ślełą paniką. Dopiero kiedy dotarliśmy na nabrzeże i ruszyliśmy Battery przed siebie, zaczęłam się uspokajać. Nikogo nie było widać. Mijały nas nieliczne samochody, ale każdy, kto chciałby się do nas zbliżyć, musiałby pokonać szeroki pas pustej przestrzeni. Szare, nisko sunące chmury stapały się ze wzburzonymi krótką, ostrą falą wodami zatoki.

Świeże powietrze i dogasające wieczorne światło orzeźwiły mnie i rozjaśniły mi w głowie. Bez względu na to, jakie plany snuła Nina, moja całodzienna nieobecność w domu z pewnością je pokrzyżowała. Nie spodziewałam się, że dłużej zabawi w mieście, jeśli miałoby się to wiązać z jakimkolwiek ryzykiem; pewnie teraz, kiedy ja, trzęsąc się z zimna, spaceruję po Battery, ona wraca samolotem do Nowego Jorku. Rano dostanę od niej telegram. Prawie byłam w stanie wyobrazić sobie, jakich dokładnie słów użyje: MELANIE. CZY TO NIE STRASZNE Z WILLIM? OKROPNIE SMUTNE. POLECISZ ZE MNĄ NA POGRZEB? UŚCISKI, NINA.

Uświadomiłam sobie, że moje wahanie wynika w głównej mierze z pragnienia powrotu do domowego ciepła i wygód. Zwyczajnie bałam się odrzucić ten stary kokon. A teraz mogłam to zrobić. Poczekam w bezpiecznym miejscu, a pan Thorne wróci po jedyną rzecz, której nie mogłam zostawić. Następnie przyprowdzi z garażu samochód i kiedy telegram od Niny dotrze pod wskazany adres, ja będę już daleko stąd, i to ona będzie przez najbliższe miesiąca i lata wzdrygać się nerwowo na widok byle cienia.

Z uśmiechem zaczęłam układać w myślach niezbędne polecenia.

- Melanie.

Odwrociłam się gwałtownie. Pan Thorne milczał od dwudziestu ośmiu lat. Teraz przemówił.

- Melanie.

Jego twarz stężała w szerokim uśmiechu odsłaniającym wszystkie zęby, aż po trzonowce. W prawej ręce trzymał nóż. Patrzyłam z niedowierzaniem, jak otwiera ostrze. Spojrzałam w jego puste szare oczy i wszystko stało się jasne.

- Melanie.

Długie ostrze zakreśliło zamaszysty łuk w powietrzu. Nie mogłam go powstrzymać. Przecięło rękaw mojego płaszcza i sunęło dalej, mierząc w bok tułowia - ale kiedy się odwracałam, razem ze mną odwróciła się moja torebka: nóż trafił w nią, rozorał skórę, wypruł wypełniający ją bałagan, przebił płaszcz i tylko zadrasnął mnie tuż nad ostatnim zębem. Torebka ocaliła mi życie.

Zamierzyłam się kosturem ojca i dźgnęłam pana Thorne'a w lewe oko. Zatoczył się do tyłu, nie wydając żadnego dźwięku, i nóż znów przeszył powietrze. Tym razem jednak ja odskoczyłam dwa kroki wstecz, a pan Thorne nie widział już zbyt dobrze. Chwyciłam kij oburącz, uderzyłam nim z góry na dół, trochę nieporadnie, jakbym rąbała drewno - i chociaż wydało mi się to niewiarygodne, drugi raz trafiłam prosto w oko. Cofnęłam się jeszcze o trzy kroki.

Krew zalewała lewą połowę twarzy pana Thorne'a. Zmasakrowane oko wypadło mu na policzek. Pan Thorne - z twarzą cały czas znieruchomiałą w trupim uśmiechu - uniósł głowę, sięgnął do oka, wyrwał je z oczodołu (rozległo się ciche plaśnięcie, gdy pękły przytrzymujące je szare włókna) i wyrzucił do wody. I ruszył do ataku.

Okręciłam się na pięcie i zaczęłam biec.

A właściwie tylko próbowałam biec, bo po dwudziestu pośpiesznych krokach ból w prawej nodze kazał mi zwolnić, a po dalszych piętnastu zabrakło mi tchu w płucach. Miałam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Lepka wilgoć spływała po moim lewym boku, czułam mrowienie - jakby ktoś przyłożył mi do skóry kostkę lodu - w miejscu, gdzie zahaczył mnie nóż. Obejrzałam się przez ramię: pan Thorne powoli mnie doganiał. W normalnych warunkach doścignąłby mnie czterema susami, ale trudno zmusić do biegu człowieka, kiedy się go Używa, zwłaszcza jeśli jego ciało

cierpi na skutek wstrząsu pourazowego. Drugi raz spojrzałam do tyłu, omal się przy tym nie przewracając na śliskim chodniku. Pan Thorne szczerzył w uśmiechu zęby czerwone od krwi ściekającej z pustego oczodołu. Poza nami dwojgiem na ulicy nie było nikogo.

Po schodach w dół, trzymając się kurczowo poręczy, żeby nie upaść. Kawałek krętym chodnikiem i pod górkę, asfaltową ścieżką na poziom ulicy.

Latarnie dopiero się zapalały, na razie migotały niespokojnie. Za moimi plecami pan Thorne dwoma skokami pokonał schody. Cieszyłam się w duchu, że na wycieczkę włożyłam buty bez obcasów. Co by pomyślał postronny obserwator, widząc tę odbywającą się w zwolnionym tempie gonitwę dwojga starszków? Nie było żadnych postronnych obserwatorów.

Skręciłam w boczną uliczkę. Zamknięte sklepy, puste magazyny. Gdybym skręciła teraz w lewo, wyszłabym na Broad Street, ale po prawej stronie, pół przecznicy dalej, przed ciemną witryną sklepu zamajaczyła mi samotna sylwetka. Ruszyłam w jej stronę; nie byłam już w stanie biec, niewiele brakowało, żebym zemdląła. Targana artretycznymi skurczami noga sprawiała mi niewyobrażalny ból, bałam się, że nie utrzyma mojego ciężaru i runę na chodnik. Nad panem Thorne'em miałam dwadzieścia kroków przewagi, ale szybko mnie doganiał.

Człowiek, do którego się zbliżałam, był wysokim, chudym Murzynem w brązowej nylonowej kurtce. Niósł skrzynkę wypełnioną czymś, co wyglądało jak oprawione w ramki sepiowe odbitki fotograficzne. Zerknął na mnie, kiedy się zbliżyłam, a potem spojrzał ponad moim ramieniem na podążającą dziesięć kroków za mną zjawę.

- Hej!

Ledwie zdążył wykrzyknąć tę pojedynczą sylabę, gdy sięgnęłam umysłem w jego kierunku i mocno pchnęłam. Wzdrygnął się jak nieudolnie kierowana marionetka. Rozdziawił usta, oczy mu się zaszklily, na sztywnych nogach wyminął mnie i doskoczył do pana Thorne'a, gdy ten wyciągnął rękę, żeby złapać mnie za poję płaszcz.

Pudełko pofrunęło w powietrze, szkło rozbiło się na ceglany chodniku. Smukłe brązowe palce sięgnęły do białego gardła. Pan Thorne próbował od niechcienia odtrącić dłoń Murzyna, ten jednak przywarł do niego i zaczęli się zataczać jak para niezdarnych tancerzy. Wpadłam w zaułek i przytknęłam policzek do chłodnej ściany budynku, żeby trochę ochłonać. Dopóki musiałam się bez reszty koncentrować na Używaniu tego nieznanego, nawet sekunda wytchnienia była luksusem, na który nie mogłam sobie

pozwolić. Obserwowałam więc nieporadne zmagania dwóch wysokich mężczyzn, ledwie tłumiąc niedorzeczną chęć wybuchnięcia śmiechem.

Pan Thorne pchnął tamtego nożem w brzuch, wziął drugi zamach i pchnął ponownie. Paznokcie Murzyna sięgały tymczasem do jego jedyne go ocalałego oka, mocne zęby kłapały o włos od tętnicy szyjnej. Jakby z oddali poczułam trzecie dźgnięcie zimnego metalu, ale dopóki serce biło,

Murzyn wciąż był dla mnie użyteczny. Podskoczył, nogami ścisnął pana Thorne'a w pasie, a zębami wgryzł się w jego muskularną szyję. Paznokcie żłobiły krwawe ślady na białej skórze. Walczący przewrócili się i przeturlali po chodniku.

Zabij go.

Murzyn wciąż usiłował dosięgnąć oka pana Thorne'a, lecz ten lewą ręką powstrzymał go, złapał za szczupły przegub dłoni i połamał kości nadgarstka. Zwiotczałe palce miały się bezładnie. Leżący na spodzie Pan Thorne z najwyższym trudem zapał się przedramieniem o pierś napastnika i uniósł go lekko, niczym ojciec, który, leżąc na kanapie, bawi się z dzieckiem i podrzuca je w powietrze. Zęby Murzyna wyszarpały kawał mięsa, nie czyniąc jednak większych szkód, a pan Thorne pchnął nożem w górę i ciął na boki. Drugim cięciem rozplątał Murzynowi gardło. Fontanna krwi zalała ich obu. Murzyn dwa razy wierzgnął spazmatycznie, pan Thorne zepchnął go z siebie, a ja odwróciłam się i pośpiesznie zagłębiłam w zaułek.

Zaułek się rozszerzył i w resztkach zmierzchu stwierdziłam, że zapędziłam się w ślepią uliczkę, do której przylegały tyły magazynów i pozbawiona okien metalowa ściana hangaru maryny przy Battery. Z lewej strony odchodziła kręta uliczka, była jednak ciemna, pusta i stanowczo zbyt długa, żebym ośmieliła się w nią zapuścić. Obejrzałam się przez ramię w samą porę, żeby dostrzec ciemną postać u wylotu zaułka.

Spróbowałam nawiązać kontakt, ale natrafiłam na pustkę. Niczego tam nie było, jakby pan Thorne był dziurą wyciętą w przestrzeni. Później będę się zastanawiać, jak Nina dokonała tej sztuki.

Przeszklone boczne drzwi maryny były zamknięte na głucho, a od głównego wejścia - na pewno też zamkniętego na klucz - dzieliło mnie niemal sto jardów. Pan Thorne wyłonił się z uliczki i wypatrywał mnie. W półmroku jego zalana krwią twarz wydawała się prawie czarna. Chwiejnym krokiem ruszył w moją stronę.

Zamachnęłam się kijem, wybiłam dolną szybę w oknie i przez najeżony odłamkami otwór sięgnęłam do środka; gdyby drzwi miały zasuwkę przy

progu lub u góry, byłoby po mnie, ale były wyposażone tylko w zwykłą gałkę z blokadą zatrasku. Palce ślizgały mi się na zimnym metalu, ale zatrask odskoczył, zanim pan Thorne zdążył do mnie doczłapać - a chwilę później znalazłam się w środku i zatrzasnęłam drzwi za sobą.

W środku było zupełnie ciemno. Od betonowej podłogi ciągnęło chłodem, słyszałam chlupotanie wody pod licznymi łódkami kołyszącymi się przy kejach. Pięćdziesiąt jardów ode mnie z okien kantorka sączyło się światło. Liczyłam na jakiś system alarmowy, ale hala była za stara, a marina zbyt tania, żeby opłacało się go instalować. Ruszyłam w stronę światła.

Za moimi plecami przedramię pana Thorne'a wyłukło resztki szyby, cofnęło się... i potężny kopniak wyłamał jednocześnie zamek i górny zawias drzwi. Spojrzałam w stronę kantorka, ale od strony niewyobrażalnie odległych drzwi dobiegały wyłącznie dźwięki radiowego talk-show.

Drugi kopniak.

Skręciłam w prawo i jednym skokiem pokonałam trzystopową odległość dzielącą mnie od dzioba kolebiącej się na falach małej motorówki. Pięć kroków później znalazłam się w małej, osłoniętej przestrzeni udającej kabinę dziobową. Zamknęłam za sobą kruche drzwiczki i wyjrzałam przez popękane okno z pleksi.

Po trzecim kopnięciu pana Thorne'a drzwi prawie wyleciały z framugi, trzymając się dosłownie na paru długich drzazgach. Ciemna sylwetka przesłoniła wejście. Światło odległej latarni ulicznej zaśniło na ostrzu trzymanego w prawej dłoni noża.

Proszę. Proszę, usłysz ten hałas.

W kantorku nic się nie poruszało, wciąż słyszałam tylko brzęczące metalicznie głosiki z radia. Pan Thorne zrobił cztery kroki, przystanął i zszedł na pokład pierwszej łajby w szeregu: dużej motorówki z zaburtowym silnikiem, bez kajuty. Sześć sekund później wskoczył z powrotem na betonową keję. Druga łódź miała niewielką kabinę. Rozległ się głośny trzask, gdy pan Thorne kopnięciem wyłamał malutki właz - i chwilę później znów wrócił na nabrzeże. Moja łódka była ósma z kolei. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że pan Thorne nie słyszy łomotania mojego serca.

Przesunęłam się i wyjrzałam przez iluminator na sterburcie. Zmętniała pleksi rozszczepiała światło na niewyraźne smugi. W oknie kantorka mignęły mi siwe włosy, ktoś przestawił radio na inną stację. W podłużnej hali zadudniła głośna muzyka. Cofnęłam się do poprzedniego punktu obserwacyjnego: pan Thorne właśnie schodził z pokładu czwartej łodzi.

Zamknęłam oczy, wyrównałam urywany oddech i spróbowałam odtworzyć w pamięci wszystkie te niezliczone wieczory, kiedy patrzyłam, jak krzywonogi staruszek człapie ulicą. Pan Thorne zakończył tymczasem inspekcję piątej łodzi - długiej, kabinowej, obfitującej w ciemne zakamarki - i podciągnął się z powrotem na keję.

Zapomnij o kawie w termosie. Odlóż krzyżówkę. Wyjdź i się rozejrzyj!

Szósta w kolejce była mała motorówka; pan Thorne tylko rzucił na nią okiem, nawet nie zszedł na pokład. Siódma stała przy kei żaglówka z niskim nadburciem, złożonym masztem i płóciennym namiotem rozpiętym nad kokpitem. Nóż pana Thorne'a rozciął gruby materiał i zakrwawione ręce odciągnęły płótno na boki, jakby zdzierały całun.

Pan Thorne wyskoczył na keję.

Zostaw tę kawę! Wyjdź! Natychmiast!

Pan Thorne stanął na dziobie mojej łodzi; poczułam, jak zakołysała się pod jego ciężarem. Nie miałam gdzie się ukryć, pod siedzeniem był tylko malutki schowek, o wiele za mały, żebym mogła się do niego wcisnąć. Odwiązałam płócienne pasy mocujące poduszki do ławki. Mój przyśpieszony, urywany oddech niósł się głośnym echem w ciasnym wnętrzu. Skuliłam się w pozycji płodowej i nakryłam poduszką. W oknie na sterburcie mignęły mi nogi pana Thorne'a.

Teraz!

Nagle jego twarz wypełniła pasek pleksiglasowej szyby w odległości niespełna stopy od mojej głowy. Uśmiech - i tak już niemożliwie szeroki - jeszcze się poszerzył.

Teraz!

Pan Thorne zszedł do kokpitu.

Teraz. Teraz. Teraz.

Pan Thorne przykucnął przed wejściem do kabiny. Próbowaliśmy stopami zablokować niskie łamane drzwiczki, ale prawa noga odmówiła mi posłuszeństwa. Pięść pana Thorne'a przebiła się przez cienką sklejkę. Jego dłoń zacisnęła mi się na kostce.

- Ej, ty tam! - zabrzmiał roztrzęsiony głos pana Hodgesa. Snop światła latarki zakolebał się i skierował w naszą stronę.

Pan Thorne naparł na drzwiczki. Moja lewa noga boleśnie złożyła się we dwoje. Jego lewa ręka twardo ścisnęła mi kostkę, druga dłoń, uzbrojona w nóż, próbowała dosięgnąć mnie od góry.

- Halo! - zawołał pan Hodges.

Mój umysł pchnął ponownie. Bardzo mocno.

Staruszek stanął jak wryty. Upuścił latarkę i odpiął pasek zabezpieczający rewolwer w kaburze.

Pan Thorne chlastał nożem na prawo i lewo. Prawie wytrącił mi poduszkę z rąk, strzępy wypełniającej ją pianki wały się już po całej kabinie. Przy następnym cięciu ostrze zahaczyło mnie o czubek małego palca.

Zrób to. Zrób to teraz.

Pan Hodges chwycił rewolwer oburącz i strzelił. Chybił w ciemności, huk wystrzału odbił się echem od betonu i wody.

Bliżej, głupku. Rusz się!

Pan Thorne znów pchnął drzwiczki, częściowo je uchylił i próbował się wcisnąć w powstałą szczelinę. Puścił mnie, ale tylko na chwilę, bo zaraz sięgnął głębiej, usiłując znów mnie złapać. Włączyłam lampkę sufitową. Pusty oczodół zionął mrokiem, światło przesączające się przez potrząskaną żaluzjową osłonę wjazdu kładło się żółtymi paskami na okaleczonej twarzy. Próbowałam przesunąć się w lewo, ale dłoń pana Thorne'a zacisnęła się na moim płaszczu i ściągała mnie z ławki. Pan Thorne na klęczkach szarpnął prawą ręką, oswobodził ją pomiędzy drzazg i zamierzył się do ciosu nożem.

Teraz!

Drugi strzał pana Hodgesa trafił pana Thorne'a w prawe biodro. Pan Thorne stęknął i usiadł ciężko, powalony impetem kuli. Mój płaszcz się rozdarł, guziki zagrzechotały na pokładzie.

Nóż przeszorował jeszcze po ścianie tuż przy moim uchu i chwilowo zniknął.

Pan Hodges niepewnie wszedł na dziób (niewiele brakowało, żeby się przy tym przewrócił) i ostrożnie, cal po calu, posuwał się wzdłuż sterburty w stronę rufy. Próbowałam zaprzeć się o ścianę przy wejściu i odsunąć od pana Thorne'a, ale nadal trzymał mnie za płaszcz i przyciągał ku sobie. Opadłam na kolana. Nóż śmignął w powietrzu, rozszarpał piankę, ciął po płaszczu. Resztki poduszki wypadły mi z rąk. Kazałam panu Hodgesowi zatrzymać się w odległości czterech stóp i oprzeć rękę z rewolwerem o dach kabiny.

Pan Thorne cofnął rękę z nożem i zamierzył się do pchnięcia jak uzbrojony w szpadę matador. Czułam bezgłośnie okrzyki triumfu wylewające się niczym trująca chmura pomiędzy zakrwawionych zębów. Ocalałe wytrzeszczone oko płonęło obłędem Niny.

Pan Hodges strzelił. Kula strzaskała kręgosłup pana Thorne'a, przeszła na wylot i utknęła w prawym ścieku pokładowym. Pan Thorne wygiął plecy w

łuk, rozpostarł ręce i klapnął na pokład niczym wyciągnięta z wody olbrzymia ryba. Nóż upadł na podłogę w kabinie. Sztywne, białe palce bębniły przez chwilę apatycznie o pokład. Kazałam panu Hodgesowi podejść bliżej, przystawić broń do skroni pana Thorne'a (tuż powyżej ocalałego oka) i jeszcze raz pociągnąć za spust. Wystrzał zabrzmiał głucho, dziwnie przytłumiony.

W łazience przy kantorku była apteczka. Postawiłam staruszka na straży przy drzwiach, a sama zabandażowałam sobie palec i połknęłam trzy aspiryny.

Płaszcz został zniszczony, sukienkę miałam zaplamioną krwią... O ile za sukienką nigdy nie przepadałam (uważałam, że źle w niej wyglądam), o tyle płaszcz był moim ulubionym. Fryzurę diabli wzięli, włosy miałam upstrzone wilgotnymi drobinkami substancji szarej. Rozczesałam je najlepiej, jak się dało, i ochlapałam twarz wodą. O dziwo, nie zgubiłam zmasakrowanej torebki, chociaż straciłam większość jej zawartości. Przełożyłam kluczyki, portfel, okulary do czytania i chusteczki do dużej kieszeni płaszcza i wrzuciłam torebkę za toaletę. Gdzieś zapodział mi się kostur, którego używałam zamiast laski, ale nie byłam w stanie sobie przypomnieć, gdzie go zostawiłam.

Ostrożnie wyjęłam ciężki rewolwer z dłoni pana Hodgesa; jego ręka zastygła w pozycji wyprostowanej, palce zaciskały się w powietrzu tak samo jak przed chwilą na rękojeści broni. Manipulując niewprawnie, zdołałam w końcu odblokować i otworzyć bębenek: zostały w nim dwa naboje. Ten stary dureń paradował z kompletem kul w bębenu! Zawsze zostawiaj pustą komorę pod kurkiem, uczył mnie Charles owego radosnego, odległego lata, kiedy taka broń była wyłącznie pretekstem do wycieczki na wyspę, gdzie ćwiczeniom strzeleckim towarzyszyły piskliwe wybuchy naszego nerwowego śmiechu, gdy pozwalałyśmy się z Niną ustawiać i podtrzymywać naszym śmiertelnie poważnym nauczycielom strzelania, wtulając się w niewzruszone jak skała oparcie ich ciał. Należy zawsze pamiętać, ile się ma nabojów, wykladał z namaszczeniem Charles, gdy w jasny i ciepły dzień półomdlała pokładałam się na nim, chłonąc bijącą od niego słodką, męską woń mydła do golenia i tytoniu.

Zdekoncentrowałam się i pan Hodges poruszył się lekko. Rozdziawił usta, poluzowała mu się sztuczna szczeka. Zerknęłam na jego znoszony skórzany pas: nie miał w nim zapasowych nabojów, a ja nie wiedziałam, gdzie je

trzyma. Próbowałam go wysondować, lecz w pomieszanych myślach staruszka zostało niewiele konkretów. Zdominowało je zapętlone wspomnienie widoku lufy przystawianej do skroni pana Thorne'a, wystrzału i...

- Chodź - powiedziałam.

Poprawiłam mu okulary na beznamiętnej twarzy, włożyłam rewolwer do kabury i dałam się wyprowadzić z budynku. Na dworze było już bardzo ciemno, szliśmy od latarni do latarni. Pokonaliśmy w ten sposób sześć przecznic, zanim przenikające staruszka gwałtowne dreszcze uświadomiły mi, że zapomniałam kazać mu włożyć płaszcz. Ścisnęłam go mocniej w psychicznym imadle i dreszcze ustąpiły.

Dom wyglądał tak samo, jak... mój Boże... zaledwie czterdzieści pięć minut wcześniej. Światła były pogaszone. Weszliśmy na podwórko i zaczęłam szukać klucza w wyładowanej szpargałami kieszeni płaszcza; nie zapięłam się, zimne nocne powietrze kąsało mnie teraz nieprzyjemnie. Zza rozświetlonych okien po drugiej stronie podwórka dobiegał dziewczęcy śmiech. Śpieszyłam się, żeby Kathleen nie zobaczyła, jak jej dziadek wchodzi do mojego domu. Puściłam go przodem, z rewolwerem w ręce, i kazałam mu zapalić światło. Dopiero wtedy sama przeszłam przez próg.

W pustym salonie nic się nie zmieniło. Światło zawieszzonego w jadalni żyrandola odbijało się od błyszczących powierzchni. Przysiadłam na chwilę w przedpokoju (na replice krzesła z Williamsburga), żeby serce miało szansę odzyskać normalny rytm. Nie kazałam panu Hodgesowi zwolnić kurka rewolweru, mimo że całe ramię zaczęło mu drzeć z wysiłku związanego z trzymaniem gotowej do strzału broni w wyprostowanej ręce. W końcu wstałam i razem przeszliśmy do oranżerii.

Panna Kramer wystrzeliła jak z procy zza wahadłowych drzwi do kuchni; żelazny pogrzebacz w jej rękach już ciął ze świstem powietrze z góry na dół. Trafił pana Hodgesa w rękę i rewolwer wystrzelił, nie czyniąc nikomu krzywdy. Kula utknęła w wypolerowanej podłodze, broń wypadła z bezwładnych palców, a panna Kramer zamachnęła się do drugiego ciosu.

Zawróciłam w miejscu i wybiegłam z powrotem do przedpokoju. Za plecami usłyszałam dźwięk towarzyszący uderzeniu pogrzebacza w czaszkę pana Hodgesa; do złudzenia przypominał wilgotny chrzęst miażdżonego arbuza. Zamiast wybiec na podwórko, skręciłam na schody na piętro. To był błąd - panna Kramer rzuciła się za mną w pościg i dopadła do drzwi sypialni zaledwie kilka sekund po mnie. Mignęły mi jeszcze jej wytrzeszczone w

oblędzie oczy i uniesiony pogrzebacz, zanim zatrzasnęłam masywne drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Ledwie szczęknął zatrask, panna Kramer całym ciałem rzuciła się na drzwi. Gruby dąb ani drgnął. Usłyszałam łoskot metalu uderzającego o drzwi i futrynę. Drugi raz. Trzeci.

Przeklinając się w duchu za swoją głupotę, rozejrzałam się po znajomym pokoju, nie znalazłam jednak niczego, co mogłoby mi pomóc. Nie było nawet telefonu. Nie było również osobnej garderoby, mogłabym co najwyżej schować się w wiekowej szafie. Szybkim krokiem podeszłam do okna i podniosłam jego dolną część. Moje krzyki na pewno zwróciłyby czyjąś uwagę, ale ta potwora zdążyłaby wcześniej wedrzeć się do pokoju; pogrzebacz już zaczynał podważać krawędzie drzwi. Wyjrzałam przez okno, dostrzegłam cienie poruszające się w oknie naprzeciwko i zrobiłam to, co musiałam zrobić.

Dwie minuty później ledwie zdawałam sobie sprawę, że drewno wokół zamka ustępuje; jak przez mgłę słyszałam zgrzyt pogrzebacza wyłamującego oporną metalową płytę. Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Panna Kramer była cała złana potem. Ślina z rozdziawionych ust ściekała jej na podbródek i kapiała na ziemię. Jej oczy nie były oczami człowieka.

Ani ona, ani ja nie usłyszałyśmy cichych kroków trampków na schodach za jej plecami.

Podejdz. Podnieś. Odciągnij, do końca. Mocno. Trzymaj obiema rękami. Dobrze celuj.

Coś ostrzegło pannę Kramer - coś ostrzegło Ninę, powinnam właściwie powiedzieć, bo panny Kramer już nie było. Brunetka odwróciła się i zobaczyła małą Kathleen stojącą na najwyższym stopniu schodów z gotowym do strzału rewolwerem dziadka w rękach. Druga dziewczynka została na podwórku i nawoływała koleżankę.

Nina miała świadomość, że musi rozprawić się z nowym zagrożeniem. Panna Kramer zważyła pogrzebacz w dłoni i odwróciła się ode mnie, kiedy broń wypaliła. Odrzut zepchnął Kathleen ze schodów. Nad lewą piersią panny Kramer zakwitł czerwony kwiat. Okręciła się w miejscu, targnięta impetem pocisku, ale lewą ręką zdołała złapać się poręczy i, zataczając się, ruszyła w pogoń za dziewczynką. Uwolniłam dziesięciolatkę w tej samej chwili, gdy pogrzebacz opadł pierwszy raz. Uniósł się. Opadł. Podeszłam do szczytu schodów. Musiałam to zobaczyć.

Panna Kramer podniosła wzrok znad swojego ponurego dzieła. W zbryzganej krwią twarzy błysnęły białka oczu. Jej męska koszula przesiąkła

krwią, ale ona nadal się poruszała. Nadal funkcjonowała. Wzięła broń do lewej ręki. Otworzyła usta jeszcze szerzej i wydała dźwięk przypominający syk pary ulatniającej się ze starego kaloryfera.

- Melanie... Melanie...

Zamknęłam oczy, kiedy ten stwór ruszył po schodach w moją stronę.

Przyjaciółka Kathleen wbiegła przez otwarte drzwi wejściowe; jej drobne nóżki pracowały jak tłoki. Sześcioma skokami pokonała stopnie i chudymi, bladymi rączkami oplotła szyję panny Kramer, zamykając ją w ciasnym uścisku. Razem spadły z szerokich schodów, przetoczyły się po Kathleen i wylądowały na lśniących deskach w holu.

Dziewczynka była tylko lekko poobijana. Zeszłam i odsunęłam ją na bok; miała zadrapania na czole i rękach, na kości policzkowej rozlewał się siniec. Niebieskie oczy zamrugały niewinnie.

Panna Kramer skręciła kark. Podchodząc bliżej, podniosłam z podłogi rewolwer i odkopnęłam pogrzebacz na bok. Głowa panny Kramer sterczała pod nienaturalnym kątem, ale ona sama jeszcze żyła. Była sparaliżowana, mrugała tylko zawzięcie i kłapała obrzydliwie zębami; plama moczu rozlewała się coraz szerzej po podłodze. Musiałam się śpieszyć. Od strony domu Hodgesów dobiegały głosy dorosłych, drzwi były otwarte na oścież.

Odwróciłam się do dziewczynki.

- Wstawaj.

Mrugnęła powiekami i z mozołem dźwignęła się z podłogi.

Zamknęłam drzwi. Zdjęłam z wieszaka jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Przełożenie zawartości kieszeni i pozbycie się zniszczonego wiosennego płaszczyka zajęło mi minutę. Głosy rozlegały się już na podwórku.

Przyklękawszy nad panną Kramer, ujęłam jej twarz w dłonie i ścisnęłam mocno, żeby zamknąć jej szczęki. Oczy znów uciekły jej w głąb czaszki, ale tak długo nią potrząsałam, aż pokazały się źrenice. Wtedy nachyliłam się nad nią, nasze policzki się zetknęły, a mój szept zabrzmiał głośniejsz od krzyku:

- Idę po ciebie, Nino.

Puściłam jej głowę, aż stuknęła o deski, i pośpiesznie przeszłam do oranżerii i swojej pracowni krawieckiej. Nie miałam czasu iść na górę po klucz, złapałam więc drewniane windsorskie krzesło i wybiłam nim szybę w gablocie.

Ledwie zmieścił mi się w kieszeni.

Dziewczynka stała w holu, tam gdzie ją zostawiłam. Wręczyłam jej

rewolwer pana Hodgesa. Lewa ręka zwisała jej pod dziwnym kątem, aż zaczęłam się zastanawiać, czy jednak sobie czegoś nie złamała.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś poruszył klamką.

- Tędy - szepnęłam i zaprowadziłam dziewczynkę do jadalni.

Po drodze przeszliśmy nad panną Kramer, dalej przez ciemną kuchnię (pukanie stawało się coraz głośniejsze), aż znaleźliśmy się na dworze, w bocznej uliczce, w mrokach nocy.

W tej części Starej Dzielnicy były trzy hotele. Pierwszy, odległy o jakieś dziesięć przecznic, był drogi, nowoczesnym motelem, wygodnym, lecz bardzo komercyjnym. Z miejsca go odrzuciłam. Drugi - mały, przytulny pensjonacik - znajdował się przecznicę od mojego domu. Był całkiem miły, niezbyt ekskluzywny, dokładnie taki, jaki wybrałabym na czas wizyty w innym mieście. Ten również odrzuciłam. Trzeci - przerobiony na hotelik stary dworek przy Broad Street, absurdalnie drogi, z wartymi fortunę antykami w każdym pokoju - stał dwie i pół przecznicy dalej. Tam właśnie się skierowałam. Dziewczynka żwawo maszerowała u mojego boku. Nadal trzymała w ręce pistolet, kazałam jej jednak zdjąć sweter i owinać nim broń. Doskwierał mi ból nogi i często musiałam wspierać się na dziewczynce.

Kierownik Mansard House od razu mnie rozpoznał. Jego brwi uniosły się o ułamek cala, kiedy zobaczył mnie ubraną byle jak, z włosami w nieładzie. Dziewczynka stanęła w foyer dziesięć stóp ode mnie, na wpół skryta w cieniu.

- Szukam przyjaciółki - obwieściłam z promiennym uśmiechem. - Niejakiej pani Drayton.

Kierownik otworzył usta, żeby odpowiedzieć, zawahał się, machinalnie zmarszczył brwi i odparł:

- Przykro mi, nie mamy gościa o takim nazwisku.

- Może użyła panieńskiego? - zasugerowałam. - Nina Hawkins. Starsza kobieta, zaledwie kilka lat młodsza ode mnie, ale niezwykle atrakcyjna. Długie siwiejące włosy. Możliwe, że wpisu do księgi gości dokonała jej przyjaciółka... młoda, ładna, ciemnowłosa dama, Barrett Kramer...

- Przykro mi, ale nie - odparł kierownik dziwnie beznamiętnym tonem. - Nikt o takim nazwisku nie figuruje w księdze gości. Życzy sobie pani zostawić wiadomość na wypadek, gdyby pani przyjaciółka zjawiała się w późniejszym terminie?

- Nie - odparłam. - Nie będzie wiadomości.

Zabrałam dziewczynkę i razem skręciłyśmy w korytarz prowadzący do toalet i bocznych schodów.

- Bardzo pana przepraszam... - zagadnęłam mijającego nas boya. - Może pan będzie mógł nam pomóc?

- Tak, proszę pani?

Zatrzymał się, poirytowany, i odgarnął długie włosy. To nie będzie łatwe. Jeśli nie chciałam stracić dziewczynki, musiałam działać szybko.

- Szukam przyjaciółki. To starsza pani, ale całkiem atrakcyjna. Niebieskie oczy, długie siwiejące włosy. Towarzyszy jej młoda kobieta o ciemnych, kręconych włosach.

- Nie, proszę pani. Nikogo takiego tu nie ma.

Złapałam go za rękę. Uwolniłam dziewczynkę i skupiłam się na boyu.

- Jest pan pewien?

- Pani Harrison - odparł, patrząc przeze mnie na wylot. - Pokój dwieście siedem, północne skrzydło.

Uśmiechnęłam się. Pani Harrison... Na Boga, ależ ta Nina była głupiutka.

Nagle dziewczynka zakwiliła i osunęła się po ścianie na podłogę. Podjęłam błyskawiczną decyzję; lubię sobie wyobrazać, że kierowało mną współczucie, ale czasem sobie przypominam, że lewą rękę i tak miała już bezużyteczną.

- Jak ci na imię? - zapytałam, głaszcząc jej loczki.

Zmieszana, zerknęła na boki.

- Imię - powtórzyłam.

- Alicia - odparła szeptem.

- Dobrze, Alicio. Chcę, żebyś teraz poszła do domu. Idź szybko, ale nie biegnij.

- Ręka mnie boli - poskarżyła się.

Jest usta zadrzały. Dotknęłam jej czoła i pchnęłam.

- Wracasz do domu - powiedziałam. - Ręka cię nie boli. Nic nie będziesz pamiętać. To jest jak sen, który wyleci ci z pamięci. Idź do domu. Idź szybko, ale nie biegnij. - Wzięłam od niej zawinięty w sweter rewolwer. - Pa, Alicio.

Zamrugnęła i przeszła przez hol do drzwi wejściowych.

Rozejrzałam się i wręczyłam broń boyowi.

- Schowaj go pod kamizelką - poleciłam.

- Kto tam? - spytała bez troski Nina.

- To ja, proszę pani, Albert. Boy hotelowy. Samochód już czeka. Zniosę

pani bagaże.

Szczęknał zamek i drzwi - w dalszym ciągu zamknięte na łańcuch - uchyliły się odrobinę. Oślepiiony światłem z pokoju Albert zmrużył oczy, uśmiechnął się nieśmiało i przylizął włosy. Ja przywarłam do ściany.

- W porządku.

Nina zdjęła łańcuch i odsunęła się od drzwi. Zdażyła się odwrócić plecami do wejścia i zająć dopinaniem walizki, kiedy weszłam do pokoju.

- Cześć, Nino - powiedziałam półgłosem.

Wyprostowała się gwałtownie, ale w jej wykonaniu nawet ten ruch był pełen gracji. Na łóżku pozostał jeszcze odcisnięty kontur jej ciała w miejscu, gdzie leżała. Odwróciła się powoli. Miała na sobie różową sukienkę, której nigdy przedtem nie widziałam.

- Cześć, Melanie.

Uśmiechnęła się. Jej oczy miały najmniejszy, najczystszy ocień błękitu, jaki w życiu widziałam. Kazałam boyowi wymierzyć do niej z rewolweru pana Hodgesa. Ręka nawet mu nie drgnęła. Odciągnął kurek.

Nina założyła ręce na piersi. Cały czas patrzyła mi prosto w oczy.

- Dlaczego? - zapytałam.

Ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami. Przez chwilę myślałam, że wybuchnie śmiechem - a tego bym nie zniosła, tego chrapliwego, dziecinnego śmiechu, który tyle razy mnie ranił. Ale ona tylko zamknęła oczy. I nadal się uśmiechała.

- Dlaczego pani Harrison? - zapytałam.

- Cóż, moja droga, pomyślałam, że jestem mu coś winna. Sama pomyśl: biedny Roger. Mówiłam ci, jak zginął? Nie, oczywiście, że nie. A ty nigdy o to nie zapytałaś, moja droga Melanie.

Otworzyła oczy. Zerknęłam na boya, który się nie poruszył. Wystarczyłoby, żeby odrobinę mocniej nacisnął spust.

- Utonął, moja droga - ciągnęła Nina. - Biedaczysko... Rzucił się do morza z pokładu tego parowca... nie pamiętam, jak się nazywał, tego, którym wracał do Anglii. Jakie to dziwne. Przecież dopiero co napisał do mnie list z obietnicą małżeństwa. Czy to nie jest okropnie smutna historia, Melanie? Jak myślisz, dlaczego zrobił coś takiego? Pewnie już nigdy się nie dowiemy, co?

- Pewnie nie - zgodziłam się z nią. Bezgłośnie rozkazałam boyowi pociągnąć za spust.

Nic.

Pośpiesznie spojrzałam w prawo: głowa młodego człowieka odwracała się

w moim kierunku.

Nie kazałam mu tego zrobić.

Sztywno wyprężone ramię również zaczęło się obracać w moją stronę. Rewolwer poruszał się gładko jak kurek na wietrze.

Nie!

Z wysiłku żyły wystąpiły mi na szyi. Boy spowolnił obrót, ale znieruchomiał dopiero kiedy lufa rewolweru wymierzyła prosto w moją twarz.

Teraz Nina się roześmiała. W małym pokoju jej śmiech zabrzmiał bardzo głośno.

- Żegnaj, moja droga Melanie - powiedziała i znowu parsknęła śmiechem. Skinęła na boya.

Patrzyłam prosto w wylot lufy, kiedy kurek uderzył.

Uderzył w pustą komorę. W drugą. Trzecią.

- Żegnaj, Nino - powiedziałam, wyjmując z kieszeni płaszcza długolufowy rewolwer Charlesa.

Wystrzał szarpnął mi nadgarstkiem. Siny dym wypełnił pokój. Na środku czoła Niny pojawiła się mała dziurka - mniejsza od dziesięciocentówki, choć równie regularna w kształcie. Jeszcze przez ułamek sekundy Nina stała jak gdyby nigdy nic, a potem runęła na plecy, odbiła się od wysokiego łóżka i upadła twarzą na podłogę.

Podeszłam do boya, zabrałam mu pusty, bezużyteczny rewolwer i wcisnęłam w dłoń drugi, stary, lecz dobrze zakonserwowany. Dopiero teraz zauważyłam, że chłopak jest niewiele młodszy niż Charles w chwili śmierci. Ich włosy miały niemal ten sam odcień. Pochyliłam się i pocałowałam go lekko w usta.

- Albercie... - wyszeptałam. - Zostały ci cztery naboje. Zawsze trzeba wiedzieć, ile ma się nabojów, prawda? Idź do holu. Zabij kierownika. Zastrzel jeszcze jedną osobę, tę, która będzie stała najbliżej. A potem włóż sobie lufę do ust i pociągnij za spust. Jeżeli rewolwer nie wypali, zrób to jeszcze raz. I nie obnoś się z bronią, dopóki nie wyjdiesz do holu.

Wyszliśmy na korytarz, gdzie panowało już spore zamieszanie.

- Zadzwońcie po karetkę! - krzyknęłam. - Zdarzył się wypadek! Niech ktoś wezwie karetkę!

Kilka osób pośpieszyło spełnić moją prośbę, ja zaś wsparłam się omdlała na ramieniu siwowłosego dżentelmena. Ludzie kręcili się wokół nas, ktoś zajrzał do pokoju Niny i krzyknął głośno. Nagle w hotelowym holu rozległy

się trzy strzały. Korzystając ze wzmożonego zamieszania, wymknęłam się tylnymi schodami i wyjściem ewakuacyjnym w noc.

4.

Charleston

16 grudnia 1980, wtorek

Szeryf Bobby Joe Gentry zakołysał się na krześle i pociągnął kolejny łyk z puszki RC Coli. Oparł nogi na zawalonym papierami biurku. Pas z bronią zaskrzypiał cicho, gdy szeryf - człowiek słusznej postury - wygodniej rozparł się na siedzeniu. Biuro było niewielkie, oddzielone ścianką z pustaków i wiekowymi drewnianymi przepierzeniami od zgiełku i zamieszania panującego w budynku administracji hrabstwa. Farba obłaząca ze starego drewna miała inny odcień urzędowej zieleni niż farba obłaząca z szorstkich pustaków. Pokój pękał w szwach, wypełniony do granic możliwości przez masywne biurko, trzy wysokie szafki na dokumenty, długi stół dokumentnie zawalony książkami i teczkami, tablicę, uginającą się pod ciężarem papierów półki na wspornikach oraz dwa krzesła z ciemnego drewna, również pokryte grubą warstwą teczek i luźnych kartek.

- Nie wydaje mi się, żebym mógł tu coś więcej zrobić - powiedział agent Richard Haines.

Odgarnął część papierzysk i przysiadł na skraju stołu. Kant na zaprasowanej nogawce jego szarych spodni był ostry jak nóż.

- To fakt - zgodził się z nim szeryf. Beknął cicho i postawił sobie puszkę z colą na kolanie. - Ja też nie mam powodu pana zatrzymywać. Niech pan wraca do domu.

Obaj wprawdzie byli stróżami prawa, niewiele jednak mieli wspólnych cech. Gentry miał zaledwie trzydzieści kilka lat, ale jego wysoka sylwetka zdążyła już obrosnąć w tłuszcz. Wydatny brzuch wypychał szarą koszulę munduru i zwieszał się przez pasek, jakby celowo upodabniając szeryfa do jakiejś kreskówkowej karykatury. Cerę miał rumianą i delikatnie obsypaną piegami. Mimo rosnącej łysiny i podwójnego podbródka, na jego twarzy - szczerzej, przyjaznej, lekko szelmowskiej - wciąż zachował się cień zarysu buzi małego chłopca.

Mówił cicho, przeciągając zgłoski jak rasowy południowiec; Amerykanie mieli ostatnio okazję lepiej zaznajomić się z tym specyficznym akcentem swojaków z Południa dzięki rozpowszechnieniu się CB radia, popularności niezliczonych piosenek country i najwyraźniej niekończącej się serii filmów z Burtem Reynoldsem wyświetlanych w kinach samochodowych. Rozpięta

koszula, okazały brzuch i leniwy sposób mówienia doskonale wpasowywały się w ogólne wrażenie pogodnego niedbalstwa, narzucające się na widok zagraconego biura. Sam szeryf poruszał się jednak żwawo, lekko, niemal zwinnie, co zupełnie nie pasowało do tego obrazu.

U agenta specjalnego Richarda M. Hainesa z FBI wygląd nieco bardziej szedł w parze z temperamentem. Haines był dobre dziesięć lat starszy od Gentry'ego, a mimo to wyglądał od niego młodziej. Miał na sobie trzyczęściowy, jasnoszary letni garnitur i beżową koszulę od Jos. A. Banka; jedwabny krawat w kolorze burgunda pochodził z tego samego katalogu i nosił w nim numer 280235. Włosy miał Haines przystrzyżone względnie krótko, starannie uczesane, tylko lekko siwiejące na skroniach. Poważna, kwadratowa twarz o regularnych rysach dobrze komponowała się ze szczupłą sylwetką. Cztery razy w tygodniu chodził na siłownię, żeby utrzymać płaski, umięśniony brzuch. Głos miał beznamiętny, stanowczy, głęboki i pozbawiony akcentu. Można było odnieść wrażenie, że sam nieodżałowany J. Edgar Hoover stworzył Hainesa jako formę do odlewu wszystkich swoich agentów.

Tę dwójkę dzieliło jednak znacznie więcej niż wygląd. Richard Haines przez trzy lata był całkiem przeciętnym studentem Georgetown University, zanim został zwerbowany przez FBI i na szkoleniu w Biurze zakończył swoją edukację.

Bobby Joe Gentry zrobił podwójny licencjat z historii i nauk humanistycznych na Duke University, po czym na Northwestern ukończył studia uzupełniające z tytułem magistra historii. Do policji trafił za pośrednictwem stryja Lee, szeryfa hrabstwa nieopodal Spartanburga, u którego latem 1967 roku terminował jako zastępca na pół etatu. Rok później obronił magisterkę i siedząc w chicagowskim parku, na własne oczy widział, jak policjanci wpadają w szal, tracą panowanie nad sobą i okładają pałkami rozchodzących się spokojnie demonstrantów antywojennych.

Wrócił na Południe, do domu, gdzie najpierw przepracował dwa lata jako nauczyciel w Morehouse College w Atlancie, a następnie zatrudnił się jako ochroniarz, pisząc jednocześnie książkę o Biurze ds. Wyzwoleńców i roli, jaką odegrało w rekonstrukcji Stanów Zjednoczonych. Książki nie skończył, ale odkrył, że odpowiada mu regularność pracy ochroniarza, chociaż miał kłopoty z utrzymaniem przepisowej w tym zawodzie wagi.

W 1976 roku przeprowadził się do Charleston, wstąpił do policji i zaczął od jeżdżenia na patrole. Rok później odrzucił propozycję rocznego

zastępstwa profesora historii w Duke. Bardzo sobie chwalił ustalony porządek zajęć w pracy policjanta, codzienny kontakt z pijaczkami i wariatami, jak również poczucie, że w tej profesji każdy dzień jest inny. Po roku zaskoczył sam siebie, gdy postanowił się ubiegać o stanowisko szeryfa hrabstwa Charleston, a następnie zaskoczył znacznie większą liczbę ludzi, kiedy został na ten urząd wybrany. Miejscowy felietonista napisał, że Charleston to niezwykle miasto, zakochane w swojej historii, dlatego idea historyka w roli szeryfa przemówiła mieszkańcom do wyobraźni. Gentry nie uważał się za historyka. Uważał się za gliniarza.

- ...skoro nie jestem panu dłużej potrzebny - mówił właśnie Haines.

- Mhm... Że co? - spytał wyrwany z zadumy Gentry.

Zgniół pustą puszkę i rzucił nią do kosza na śmieci, gdzie odbiła się od innych zgniecionych puszek i wypadła na podłogę.

- Powiedziałem, że zobaczę co u Gallaghery i wieczorem wrócę do Waszyngtonu, skoro nie jestem panu potrzebny. Będziemy w kontakcie przez Terry'ego i ekipę Administracji Lotniczej.

- Jasne, oczywiście. Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, Dick. We dwóch z Terryem znacie się na takich sprawach lepiej niż cały nasz wydział razem wzięty.

Haines wstał, żeby się pożegnać. Do gabinetu zajrzała sekretarka szeryfa. Miała fryzurę sprzed dwudziestu lat i zawieszona na łańcuszku okulary w rogowej oprawce.

- Szeryfie, jest już ten psychiatra z Nowego Jorku.

- Kurczę, na śmierć zapomniałem! - Gentry wygramolił się z krzesła i wstał. - Dzięki, Lindo Mae. Poproś go, dobrze?

Haines przesunął się w stronę drzwi.

- Szeryfie, w razie czego zna pan mój numer telefonu...

- Wyświadczyć mi przysługę, Dick, i nie wychodź jeszcze. Zapomniałem, że ten facet ma przyjść; może coś wniesie do sprawy Fuller. Dzwonił wczoraj. Twierdzi, że był psychiatrą pani Drayton i że akurat wpadł do Charleston w sprawach służbowych... Posiedź jeszcze chwilę? Jeśli się śpieszysz na samolot czy coś, Tommy odwiezie cię później radiowozem do motelu.

Haines uśmiechnął się i uspokoił Gentry'ego gestem uniesionej dłoni.

- Nie pali się, szeryfie. Chętnie posłucham tego psychiatry.

Podszedł do jednego z krzeseł i zdjął z siedzenia białą papierową torebkę z McDonalda.

- Dziękuję, Dick. Naprawdę, wielkie dzięki.

Gentry otarł pot z twarzy i podszedł do drzwi w tym samym momencie, gdy rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł niski, brodaty mężczyzna w sztruksowej sportowej kurtce.

- Szeryf Gentry? - spytał, wymawiając nazwisko twardo, przez „G”.

- Ja jestem Bobby Joe Gentry. - Olbrzymie dłonie szeryfa zamknęły się wokół wyciągniętej ręki przybysza. - Pan doktor Laski, zgadza się?

- Tak, Saul Laski.

Psychiatra, mężczyzna całkiem przeciętnego wzrostu, przy wysokim i potężnie zbudowanym Gentrym wydawał się mniejszy, niż był w rzeczywistości. Był szczupły, miał wysokie czoło, bladą cerę, gęstą szpakowatą brodę i smutne piwne oczy, które sprawiały wrażenie starszych niż reszta ciała. Jeden zawias oprawki okularów miał sklejoną taśmą.

- To agent specjalny Richard Haines z FBI. - Gentry skinął ręką. - Poprosiłem go, żeby był obecny przy naszej rozmowie; mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza. Przyjechał w innej sprawie, ale pomyślałem, że może zadać mądrzejsze pytania niż ja.

Psychiatra skinął Hainesowi głową.

- Nie wiedziałem, że FBI angażuje się w lokalne śledztwa w sprawach morderstw - zauważył. Mówił cicho, z leciuteńkim obcym akcentem, starannie panując nad składnią i wymową.

- Zwykle tego nie robimy - przyznał Haines. - W tej jednak... ehm... sytuacji są pewne... czynniki... które zwróciły naszą uwagę.

- Ach tak? Jakie, mianowicie?

Haines skrzyżował ręce na piersi, odchrząknął i odparł:

- Przede wszystkim uprowadzenie, panie doktorze. Do tego naruszenie praw obywatelskich jednej lub więcej ofiar. Poza tym regularnie udzielamy miejscowej policji pomocy z zakresu medycyny sądowej.

- Dick przyjechał w sprawie tego samolotu, który rozpadł się na kawałki - wyjaśnił Gentry. - Ale niech pan siada, panie doktorze. Proszę. Pozwoli pan, zabiorę ten bałagan... - Przeniósł na stół stos ilustrowanych pism, teczek i styropianowych kubków po kawie i wrócił na swoje miejsce. - Przez telefon mówił pan wczoraj, że może będzie pan mógł pomóc w sprawie tych morderstw...

- Nowojorskie brukowce nazwały je już „morderstwami w Mansard House” - powiedział Laski i machinalnie poprawił okulary na nosie.

- Naprawdę? Cóż, to chyba lepsze niż „Masakra w Charleston”, chociaż niezbyt precyzyjne. Większość zabitych nie znajdowała się wcale w Mansard

House. Zresztą, w ogóle uważam, że jak na dziewięć ofiar śmiertelnych, to zrobił się wokół tej sprawy straszny krzyk. Założę się, że w spokojną noc w Nowym Jorku więcej ludzi ginie w strzelaninach.

- To możliwe - przytaknął Laski. - Jednakże różnorodność ofiar i podejrzanych rzadko bywa tak... fascynująca jak w tym wypadku.

- Celna uwaga. Będziemy wdzięczni, jeśli uda się panu rzucić trochę światła na tę kwestię.

- Chętnie bym pomógł, lecz, niestety, niewiele mam do zaoferowania.

- Był pan lekarzem pani Drayton, tak? - wtrącił się Haines.

- Tak... w pewnym sensie. - Laski skubnął w zadumie brodę. Oczy miał duże i półprzymknięte, jakby od dawna źle sypiał. - Spotkałem się z nią zaledwie trzy razy, ostatnio we wrześniu. Zaczepiła mnie po moim sierpniowym wykładzie w Columbia University. Potem odbyły się dwie... ehm... sesje.

- Ale była pańską pacjentką? - W głosie Hainesa zabrzmiała beznamiętna natarczywość oskarżyciela sądowego.

- Teoretycznie tak. Sęk w tym, że ja nie prowadzę oficjalnej praktyki. Wykładałam w Columbii, czasem konsultuję w tamtejszej klinice... Przyjmuję studentów, którym według Ellen Hightower, etatowej psycholożki w Columbii, przyda się konsultacja psychiatryczna. Zresztą nie tylko studentów, zdarzają się też członkowie ciała pedagogicznego...

- Czy to znaczy, że pani Drayton była studentką?

- Nie. Nie wydaje mi się. Przychodziła czasem na kursy dla doktorantów, zdarzało się też, że brała udział w wieczornych seminariach, takich jak moje. Wyraziła niejaki... zainteresowanie... moją książką...

- *Patologia przemocy* - wtrącił szeryf.

Zdziwiony Laski poprawił okulary.

- Nie przypominam sobie, żebym wymienił jej tytuł podczas naszej wczorajszej rozmowy, szeryfie.

Gentry splótł ręce na brzuchu i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nie wymienił go pan, doktorze. Ale ja ją znam, czytałem ją wiosną tego roku. Dwa razy, prawdę mówiąc. Tylko że dopiero teraz skojarzyłem nazwisko autora. Osobiście uważam, że to diabelnie dobra książka. Kapitalna! Powinieneś ją przeczytać, Dick.

- Wprost nie do wiary, że udało się panu natrafić na jakiś egzemplarz - powiedział psychiatra i odwrócił się na krześle do Hainesa. - To dość pedantyczny przegląd pewnych szczególnych przypadków chorobowych -

Wydany przez Academy Press w nakładzie zaledwie dwóch tysięcy egzemplarzy. Większość z nich trafiła na uczelnie w Nowym Jorku i Kalifornii.

- Doktor Laski uważa, że niektórzy ludzie są szczególnie podatni na... jak pan to nazwał? „Klimat przemocy”? Dobrze pamiętam? - spytał Gentry.

- Owszem.

- I że inni ludzie, a także specyficzne miejsca i czas mogą w pewnym sensie programować tych podatnych, zmuszając ich do zachowań, które w innych okolicznościach byłyby dla nich nie do pomyślenia. Oczywiście to tylko streszczenie, i to mocno uproszczone.

Laski ze zdziwieniem spojrzął na szeryfa.

- Niezwykle trafne i przenikliwe streszczenie - zauważył.

Haines wstał i oparł się o szafkę na dokumenty. Założył ręce na piersi, marszcząc lekko brwi.

- Zaraz, bo się pogubimy... Po kolei. Pani Drayton przyszła do pana... zafascynowana książką... a potem została pańską pacjentką. Tak?

- Zgodziłem się z nią spotkać na gruncie zawodowym. Tak.

- Czy nawiązał pan z nią również kontakty natury osobistej?

- Nie - odparł Laski. - Spotkaliśmy się tylko trzy razy. Pierwszy raz rozmawialiśmy dosłownie przez kilka minut po moim wykładzie o przemocy w Trzeciej Rzeszy, dwa następne spotkania to były godzinne sesje w klinice.

- Rozumiem - powiedział Haines, chociaż ton jego głosu niedwuznacznie sugerował coś wprost przeciwnego. - I uważa pan, że coś, co wynikło z tych sesji, może nam pomóc rozwikłać tę obecną zagadkę?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie sędzę. Nie naruszając tajemnicy lekarskiej, mogę powiedzieć, że pani Drayton niepokoiła się swoją relacją z ojcem, który zmarł dawno temu. Nie znajduję w naszych dyskusjach niczego, co mogłoby przybliżyć panów do odkrycia tajemnicy jej morderstwa.

- Mmm... - mruknął Haines i usiadł na swoim krześle. Spojrzął na zegarek.

Gentry uśmiechnął się i otworzył drzwi.

- Linda Mae! Zaparzysz nam kawy, moja droga? Dziękuję.

- Doktorze Laski, nie wiem, czy pan już o tym słyszał, ale my wiemy, kto zabił pańską pacjentkę - ciągnął Haines. - Brakuje nam tylko motywu.

- Tak, słyszałem... - Laski pogładził się po brodzie. - To jakiś tutejszy chłopak, dobrze pamiętam?

- Albert LaFollette - przytaknął Gentry. - Boy hotelowy. Dziewiętnaście

lat.

- Jego udział nie budzi wątpliwości?

- Najmniejszych, do diaska! Mamy pięciu świadków, którzy twierdzą, że Albert wysiadł z windy, podszedł do recepcji i zastrzelił swojego szefa, Kyle'a Andersona, kierownika Mansard House. Strzelił mu prosto w serce. Przystawił mu pistolet do piersi; na marynarce zostały ślady prochu. To był colt czterdziestka piątka, i to nie jakaś tania podróbka, tylko autentyczna *pistola* z fabryki pana Colta, z oryginalnym numerem seryjnym. Prawdziwy antyk. Chłopak przystawił splotkę Kyle'owi do piersi i pociągnął za spust. Jeśli wierzyć świadkom, nie odezwał się przy tym ani słowem. Potem odwrócił się i strzelił Leonardowi Whitneyowi w twarz.

- Kim jest pan Whitney? - zainteresował się psychiatra.

Tym razem to Haines odchrząknął i odpowiedział:

- Leonard Whitney był biznesmenem z Atlanty. W Charleston bawił przejazdem. Wychodził akurat z hotelowej restauracji, kiedy został zastrzelony. Nie znaleźliśmy żadnego związku łączącego go z innymi ofiarami.

- Otóż to - zawtórował mu Gentry. - Następnie młody Albert wkłada sobie lufę do ust i naciska spust. Żaden z naszych pięciu świadków nie kiwnął palcem, żeby mu przeszkodzić. Oczywiście wszystko rozegrało się dosłownie w kilka sekund.

- I to była ta sama broń, z której zastrzelono panią Drayton.

- Tak.

- Czy macie świadków także tego zabójstwa?

- Niezupełnie... - odparł Gentry. - Dwie osoby widziały, jak Albert wsiada do windy; zapamiętały go, ponieważ oddalał się od pokoju, w którym akurat rozległ się krzyk: ktoś znalazł postrzeloną panią Drayton. Najzabawniejsze jest to, że nikt sobie nie przypomina, żeby widział u chłopaka broń w ręce. Ale to nic niezwykłego; podejrzewam, że można by się wtopić w tłum z całą wieprzową nogą w garści i nikt by niczego nie zauważył.

- Kto pierwszy znalazł ciało pani Drayton?

- Nie mamy pewności. Wybuchło straszne zamieszanie, a chwilę później zaczęła się ta jazda przy recepcji.

- Doktorze Laski... - odezwał się Haines. - Skoro nie może nam pan służyć informacjami na temat pani Drayton, nie bardzo rozumiem, do czego to wszystko zmierza.

Było widać, że ma ochotę zakończyć to spotkanie, przerwało mu jednak

pojawienie się sekretarki, która weszła do gabinetu, niosąc kawę. Haines odstawił swój kubek na szafkę. Laski uśmiechnął się z wdzięcznością i upił łyk letniej lury. Kawę dla Gentry'ego podano w dużym białym kubku z napisem BOSS.

- Dziękuję, Lindo Mae.

Laski wzruszył lekko ramionami.

- Chciałem po prostu pomóc w miarę swoich skromnych możliwości - powiedział, zniżając głos. - Ale widzę, że jesteście panowie zajęci. Nie będę zajmował wam więcej czasu.

Odstawił kawę na biurko i wstał.

- Zaraz, zaraz! - zawołał Bobby Joe Gentry. - Skoro już tu pana mam, chciałbym zasięgnąć pańskiej opinii w paru sprawach. - Spojrzał na Hainesa. - Pan profesor był konsultantem policji w Nowym Jorku parę lat temu, w sprawie Syna Sama.

- Jednym z wielu - uzupełnił Laski. - Pomogliśmy stworzyć profil osobowości zabójcy, który w ostatecznym rozrachunku okazał się mało ważny. Mordercę złapano dzięki zwykłej, solidnej pracy policyjnej.

- To prawda - przyznał Gentry - ale napisał pan książkę o seryjnych mordercach. Dlatego chętnie dowiemy się z Dickiem, co ma pan do powiedzenia na ten temat.

Wstał i podszedł do podłużnej tablicy, do której taśmą samoprzylepną przymocowano arkusz szarego papieru pakowego. Podwinął go i odsłonił wyrysowane kredą diagramy, nagryzmolone nazwiska i godziny.

- Zna pan pewnie nasze pozostałe gwiazdy wieczoru - dodał.

- Niektóre - przytaknął psychiatra. - Nowojorskie gazety najczęściej miejsca poświęciły Ninie Drayton, tej dziewczynce i jej dziadkowi.

- A tak, Kathy... - Gentry postukał knykciem w tablicę przy nazwisku dziewczynki. - Kathleen Marie Eliot, lat dziesięć. Wczoraj widziałem jej zdjęcie z czwartej klasy. Ładniutkie. O wiele miłsze niż zdjęcia z miejsca zbrodni, tam, w teczce.

Gentry potarł w zamyśleniu policzki. Laski napił się jeszcze kawy i czekał.

- Mamy cztery zasadnicze miejsca zbrodni. - Szeryf wskazał szkic sytuacyjny. - Jeden obywatel zabity tu, na Calhoun Street, w biały dzień. Drugi trup tutaj, przecnicę albo dwie dalej, w marinie przy Battery. Trzy ciała w rezydencji pani Fuller... - Postukał w zgrabny kwadracik opatrzonego trzema iksami. - No i wielki finał: czworo zabitych w Mansard House.

- Coś je wszystkie łączy? - spytał Laski.

- I tak, i nie. To jest w tym wszystkim najgorsze. - Gentry westchnął. Machnięciem ręki wskazał wypisane w kolumnie nazwiska. - Pan Preston, czarnoskóry dżentelmen zadżgany na Calhoun, to miejscowy fotograf i sprzedawca, od dwudziestu sześciu lat zamieszkały w Starej Dzielnicy. Na razie zakładamy, że był przypadkowym przechodniem, który zginął z ręki naszego drugiego trupa...

- Karla Thorne'a - odczytał z listy Laski.

- Służącego zaginionej - dodał Haines.

- Zgadza się - przytaknął Gentry. - Tyle że wbrew temu, co pan Thorne miał wpisane w prawie jazdy, wcale nie nazywał się Thorne. Ani nie miał na imię Karl. Dzisiaj przyszły z Interpolu wyniki badań daktyloskopijnych: to niejaki Oscar Felix Haupt, podrzędny złodziejaszek hotelowy ze Szwajcarii. Zniknął bez śladu w Bernie w 1953 roku.

- Wielkie nieba... - mruknął psychiatra. - Kto tak długo trzyma w aktach odciski palców zaginionych złodziei hotelowych?

- Haupt nie był zwykłym złodziejem - wtrącił Haines. - Wszystko wskazuje na to, że był także głównym podejrzanym w sprawie morderstwa francuskiego barona bawiącego w kurorcie. Wkrótce po tej dość krwawej zbrodni przepadł jak kamień w wodę. Szwajcarska policja doszła do wniosku, że sam również został zamordowany, najprawdopodobniej przez zabójców z mafii.

- Szwajcarska policja najwyraźniej się pomyliła - zauważył szeryf.

- A dlaczego w ogóle zwróciliście się do Interpolu? - zaciekał się Laski.

- Przeczucie - odparł Gentry, spoglądając na tablicę. - No dobrze, Karl Oscar Felix Thorne-Haupt zginął w marinie. Gdyby to wariactwo na tym się zakończyło, może udałoby się nam wypocić jakiś motyw... Kradzież łodzi? Kula, która utkwiała w mózgu Haupta, pochodziła z trzydziestki ósemki należącej do nocnego stróża. Kłopot w tym, że Haupt najpierw został ciężko pobity, a dopiero potem dostał dwie kulki. Na jego ubraniu znaleźliśmy krew dwóch różnych osób, nie licząc jego własnej, ma się rozumieć. Próbkę skóry i tkanek pod paznokciami dość jasno wskazują, że to on napadł na pana Prestona.

- Strasznie to wszystko poplątane - zauważył Laski.

- To jeszcze nic. - Gentry postukał w tablicę obok kolejnych trzech nazwisk: Barrett Kramer, George Hodges, Kathleen Marie Eliot. - Zna pan tę damę, profesorze?

- Barrett Kramer? Nie. Widziałem jej nazwisko w gazecie, ale poza tym nic mi nie mówi.

- Cóż, szkoda; zapytałem, bo zawsze warto spróbować. Towarzyszyła pani Drayton w podróży jako „asystentka”. Wydaje mi się, że zidentyfikowali ją ci sami ludzie z Nowego Jorku, którzy zgłosili się po ciało pani Drayton: po trzydziestce, brunetka, taka bardziej... muskularna.

- Nie przypominam sobie - powiedział Laski. - Na pewno nie towarzyszyła pani Drayton podczas żadnej z dwóch sesji w klinice. Mogła być na wykładzie, po którym poznałem panią Drayton, ale w takim razie jej nie zauważyłem.

- W porządeczku. Mamy więc pannę Kramer postrzeloną ze smitha & wessona kaliber .38 pana Hodgesa. Tyle tylko, że zdaniem koronera ten strzał jej nie zabił: wszystko wskazuje na to, że spadła ze schodów w domu pani Fuller i skręciła kark. Żyła jeszcze, kiedy przyjechała karetka, ale po przybyciu do szpitala lekarz stwierdził zgon. Śmierć mózgu, zero fal mózgowych. Idźmy dalej: nasze ekspertyzy wskazują, że biedny stary pan Hodges w ogóle do niej nie strzelił. Znalezione go tutaj - Gentry wskazał kolejny szkic sytuacyjny - w holu domu pani Fuller, a jego rewolwer... tutaj, na podłodze pokoju pani Drayton w Mansard House. Co zatem mamy? Osiem ofiar śmiertelnych, dziewięć, jeśli doliczymy Alberta LaFollette'a, pięć sztuk broni...

- Pięć?! - wyrwało się Laskiemu. - Przepraszam, szeryfie, nie chciałem przeszkadzać.

- Nie, nie ma sprawy. Wiemy o pięciu sztukach broni: stara czterdziestka piątka, której użył Albert; trzydziesta ósemka Hodgesa; nóż znaleziony przy ciele Haupta; plus pogrzebacz, którym ta cała Kramer zatłukła dziewczynkę na śmierć.

- To Barrett Kramer ją zabiła?

- Mhm. W każdym razie na pogrzebaczu znaleźliśmy jej odciski palców, a na jej ubraniu masę krwi Kathleen.

- Ale to nadal są dopiero cztery sztuki broni - zauważył Laski.

- Hmm, taaak... Jest jeszcze drewniana laska, którą znaleźliśmy przy tylnym wejściu do mariny. Ze śladami krwi.

Saul Laski pokręcił z niedowierzaniem głową i zerknął na Hainesa. Agent stał z założonymi rękami i patrzył na tablicę. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i bardzo zdegustowanego.

- Prawdziwa puszka Pandory, co, profesorze? - skończył swój wywód

Gentry. Wrócił na swoje miejsce i z westchnieniem opadł na krzesło. Napił się zimnej kawy z wielgachnego kubka. - Jakież teorie?

Laski uśmiechnął się smutno i pokręcił głową. Wpatrywał się z natężeniem w tablicę, jakby usiłował zapamiętać zapisane na niej informacje. Po chwili podrapał się po brodzie i odparł:

- Przykro mi, szeryfie, nie mam żadnej teorii. Muszę jednak zadać jedno narzucające się pytanie.

- Mianowicie?

- Gdzie jest pani Fuller? Dama, w której domu doszło do tej krwawej jatki?

- Panna Fuller - poprawił go Gentry. - Ze słów sąsiadów wynika, że była jedną ze wspaniałych starych panien w Charleston. A wracając do pańskiego pytania: panna Melanie Fuller zniknęła bez śladu. Mamy jedno zeznanie, z którego wynika, że niezidentyfikowaną starszą panią widziano w korytarzu na piętrze hotelu krótko po tym, jak zginęła pani Drayton, nikt jednak nie potwierdził, że chodziło o pannę Fuller. Zarządzono poszukiwania w tym stanie i dwóch sąsiednich, na razie bez powodzenia.

- Ona może być kluczem do całej sprawy - zasugerował bez przekonania psychiatra.

- Tak, to możliwe. Chociaż z drugiej strony, jej torebkę znaleźliśmy wetkniętą za sedes w marinie, porozdzieraną i zakrwawioną. Była to ta sama krew, którą ubrudzony był francuski nóż sprężynowy Karla-Oscara.

- Na Boga... - sapnął Laski. - Nie ma w tym za grosz sensu.

Zapadło milczenie. Haines wstał.

- A może sprawa jest prostsza niż myślimy? - mruknął, obciągając mankiety koszuli. - Dzień przed zabójstwami pani Drayton przyszła w odwiedziny do pani Fuller... panny Fuller, przepraszam. Odciski palców potwierdzają, że była w domu tej ostatniej; sąsiadka zresztą widziała, jak wchodziła tam w piątek wieczorem. Wcześniej okazała się fatalną znawczynią ludzkich charakterów, zatrudniając Barrett Kramer w roli asystentki. Kramer była poszukiwana w Filadelfii i Baltimore w kilku starych sprawach, z sześćdziesiątego ósmego.

- Jakie stawiano jej zarzuty? - zainteresował się Laski.

- Nierząd i narkotyki - odparł krótko Haines. - Nie wiemy, jak do tego doszło, ale panna Kramer i ten człowiek od panny Fuller, ten... Thorne... jakoś się spiknęli i zaczęli knuć przeciw swoim podstarzałym pracodawczyniom. Nie zapominajmy, że majątek pani Drayton jest

wyceniany na blisko dwa miliony dolarów, a pani Fuller ma miłą, okrągłą sumkę na koncie w banku w Charleston.

- Ale jak mieliby... - zaczął psychiatra.

- Chwileczkę. Kramer i Thorne... czy tam Haupt, mniejsza z tym... mordują tę waszą panią Fuller i pozbywają się ciała. Poszukiwania zwłok w wodach portu trwają. Sąsiad pani Fuller, stary ochroniarz, próbuje im pokrzyżować szyki. Strzela do Haupta, rani go śmiertelnie i wraca do domu pani Fuller, gdzie natyka się na pannę Kramer. Wnuczka, która widzi go, jak idzie przez podwórko, wybiega mu na spotkanie i przypadkiem pada ofiarą bójki. Kiedy ani Kramer, ani Haupt nie pojawiają się w hotelu, Albert LaFollette, który jest z nimi w spisku, wpada w panikę, morduje panią Drayton i dostaje amoku.

Gentry zakręcił się na krześle, zaplótłszy ręce na brzuchu. Uśmiechał się lekko.

- A co z Josephem Prestonem, tym fotografem?

- Tak jak pan powiedział: przypadkowy przechodzień. Może widział, gdzie Haupt ukrył ciało starszej pani? W każdym razie wiemy, że to ten szkop go zabił. Próbkę skóry i tkanek pobrane spod paznokci Prestona pasują do obrażeń na twarzy Haupta. Na tym, co z niej zostało.

- No właśnie... Co z jego okiem? - spytał Gentry.

- Jakim okiem? - Laski przeniósł pytające spojrzenie z szeryfa na agenta FBI. - Czyim okiem?

- Haupta - odparł Gentry. - Oko Haupta zniknęło. Ktoś zmasakrował mu kijem pół twarzy.

Haines wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko to jedyna wersja wydarzeń, która trzyma się kupy. Mamy dwoje pracowników, byłych przestępców, zatrudnionych przez dwie zamożne starsze panie. Próba porwania, zabójstwa, czy co to tam miało być, nie wyszła i przerodziła się w serię morderstw.

- Niby tak - przytaknął Gentry. - Być może.

Zapadła cisza, w której doktor Laski wyraźnie słyszał śmiech dobiegający z innych pomieszczeń. Gdzieś na zewnątrz zawyła syrena, ale po chwili ona również umilkła.

- A co pan o tym sądzi, profesorze? Może ma pan inny pomysł? - spytał Gentry.

Saul Laski pokręcił powoli głową.

- Nie wiem co o tym myśleć.

- A co z ideą „rezonansu przemocy”? Pisał pan o niej w swojej książce.

- Tak... Ale w nieco innym kontekście. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z ciągiem aktów przemocy, nie umiem jednak wskazać katalizatora.

- Katalizatora? - powtórzył Haines. - O czym my tu w ogóle mówimy, do diabła?

Gentry oparł stopy na biurku i czerwoną chusteczką otarł sobie szyję.

- Książka doktora Laskiego opisuje sytuacje, które programują ludzi do morderstwa.

- Nie rozumiem. Jak to programują? Nie chodzi chyba o to stare twierdzenie liberałów, że zbrodnia rodzi się z nędzy i złych warunków bytowych?

Ton głosu agenta Hainesa nie pozostawiał złudzeń w kwestii tego, co myśli o tym punkcie widzenia.

- Absolutnie nie - odpowiedział mu Laski. - Postawiłem hipotezę, że istnieją pewne sytuacje, warunki, instytucje, a nawet osoby wyzwalające u innych specyficzną reakcję na stres, której kulminacją są akty przemocy (z zabójstwami włącznie), mimo że na pierwszy rzut oka nie istnieje żaden związek przyczynowo-skutkowy.

Haines zmarszczył brwi.

- Nadal nie rozumiem.

- Kurczę, Dick... Widziałeś naszą celę wieloosobową? Nie? Musisz ją koniecznie obejrzeć, zanim wyjedziesz. W sierpniu pomalowaliśmy ją na różowo, nazywamy ją teraz Hiltonem Różowych Kucyków, i powiem ci, że to naprawdę działa. Odkąd ochlapaliśmy ściany tą nową farbą, liczba bójek w celi spadła o sześćdziesiąt procent, a przecież klientela wcale jakoś radykalnie się nam nie zmieniła. Przy czym oczywiście jest to dokładne przeciwieństwo tego, o czym wspomniał profesor. Mam rację?

Laski poprawił okulary. Kiedy uniósł rękę, Gentry zwrócił uwagę na wyblakłe sine cyfry wytatuowane na jego przedramieniu tuż powyżej nadgarstka.

- Owszem, ale niektóre aspekty mojej teorii również znajdują tu zastosowanie. Doświadczenia ze zmianą kolorów w otoczeniu wykazały mierzalne zmiany nastawienia i zachowania u badanych. Powody spadku skłonności do przemocy w takich środowiskach są w najlepszym razie mało znane, ale nie można negować danych empirycznych... takich jak te, o których właśnie pan wspomniał, szeryfie. Dane te sugerują możliwość

modyfikacji reakcji psychofizjologicznej poprzez zmianę wartości zmiennej barwnej. Opublikowane w mojej pracy wyniki sugerują, że niektóre trudne do wyjaśnienia przypadki brutalnych przestępstw są skutkiem działania złożonej kombinacji bodźców.

- Aha - mruknął Haines.

Spojrzał na zegarek. Przeniósł wzrok na Gentry'ego, który nadal siedział wygodnie rozparty, z nogami opartymi o blat biurka. Zirytowany Haines strzepnął wymaginowany pyłek z szarych spodni.

- Przykro mi, ale nie widzę, w jaki sposób miałyby nam to pomóc, doktorze Laski - dodał. - Szeryf Gentry ma na głowie serię krwawych morderstw, a nie problem ścigających się po labiryncie myszek laboratoryjnych.

Laski pokiwał głową i lekko wzruszył ramionami.

- Jestem tu przejazdem. Pomyślałem, że napomknę szeryfowi o swojej znajomości z panią Drayton i zaofiaruję wszelką możliwą pomoc. Zdaję sobie sprawę, że zabieram pański cenny czas. Dziękuję za kawę, szeryfie.

Wstał i podszedł do drzwi.

- Dziękuję za pomoc, profesorze - powiedział Gentry. Wysmarkał się w czerwoną chusteczkę, przesuwając nią w górę i w dół po nosie, jakby coś go swędziało. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

Psychiatra przystanął z ręką na klamce, odwrócił się i czekał.

- Panie doktorze, czy nie uważa pan, że ta seria morderstw mogła być wynikiem jakiejś sprzeczki między tymi dwiema starszymi paniami, czyli Niną Drayton i Melanie Fuller? Czy to możliwe, że to one dwie puściły w ruch maszynę śmierci?

Twarz Laskiego była absolutnie nieprzenikniona, tylko smutne oczy mrugnęły.

- To nie jest wykluczone, ale w żaden sposób nie tłumaczy zabójstw w Mansard House, nieprawdaż?

- Tak, istotnie. - Gentry ostatni raz wytarł nos. - No dobrze, jeszcze raz panu dziękuję, panie doktorze. Jesteśmy wdzięczni, że postanowił się pan z nami skontaktować. Gdyby przypomniał pan sobie jeszcze coś na temat pani Drayton, cokolwiek, co mogłoby nam wskazać drogę przez ten labirynt pytań i wątpliwości, proszę zadzwonić, dobrze? Na nasz koszt.

- Naturalnie. Życzę powodzenia, panowie.

Haines zaczekał, aż drzwi zamkną się za psychiatrą.

- Powinniśmy sprawdzić tego Laskiego - powiedział.

- Mhm... - przytaknął z roztargnieniem Gentry, obracając w rękach pusty kubek po kawie. - Już to zrobiłem. Jest tym, za kogo się podaje. Wszystko gra.

- Sprawdził go pan, zanim tu dziś przyszedł? - spytał z niedowierzaniem Haines.

Gentry z uśmiechem odstawił kubek.

- Zaraz po naszej wczorajszej rozmowie. Jakkolwiek by na to patrzeć, nie mamy aż tylu podejrzanych, żeby jeden telefon do Nowego Jorku uznać za stratę czasu.

- Sprawdzę u nas w Biurze, gdzie przebywał w czasie, gdy...

- Wygłaszał wykład w Columbia University. Sobota wieczór. W ramach konferencji poświęconej przemocy ulicznej. Później był bankiet, który trwał do jedenastej. Rozmawiałem z dziekanem.

- Mimo wszystko sprawdzę go - uparł się Haines. - Ta gadka o Ninie Drayton, która przyszła do niego na terapię... Wyczułem w niej jakiś fałsz.

- Dobra. Zrób tak, Dick, będę ci wdzięczny.

Haines wziął płaszcz i walizkę, przystanął jeszcze raz i spojrzał pytająco na szeryfa, który zaciskał dłonie z taką siłą, że pobielaly mu palce. Na co dzień jowialne, błękitne oczy Gentry'ego pałały złością, która lada chwila mogła przerodzić się w furię.

Gentry podniósł wzrok na Hainesa.

- Dick, w tej sprawie będę potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

- Naturalnie.

- Ja nie żartuję. - Szeryf dwiema rękami podniósł leżący na biurku ołówek. - Nie może być tak, do cholery, że ktoś popełnia w moim hrabstwie dziewięć morderstw i uchodzi mu to płazem! Ktoś to wszystko zainicjował. I ja tego kogoś znajdę.

- Z pewnością.

- Znajdę go. - Gentry znów spojrzał na Hainesa. Oczy miał lodowate. Nawet nie zauważył, kiedy ołówek z trzaskiem pękł mu w rękach. - Znajdę i dorwę, Dick. Przysięgam.

Haines pokiwał głową, pożegnał się i wyszedł. Gentry długo wpatrywał się w zielone drzwi, za którymi zniknął agent FBI, zanim w końcu otrząsnął się i zobaczył złamany ołówek. Nie uśmiechnął się. Powoli i metodycznie połamał ołówek na malutkie kawałeczki.

Haines wrócił taksówką do hotelu, spakował się, zapłacił rachunek i tą

samą taksówką pojechał na lotnisko. Przyjechał za wcześnie. Nadał bagaż, przespacerował się po hali, kupił *Newsweeka* i minął kilka skupisk automatów telefonicznych, zanim w końcu przystanął przy ciągu budek w bocznym korytarzu. Wybrał numer poprzedzony waszyngtońskim kierunkowym.

- Linia uszkodzona - usłyszał w słuchawce nagrany kobiecy głos. - Proszę spróbować później lub skontaktować się z lokalnym przedstawicielem serwisowym firmy Bell.

- Haines, Richard M. - powiedział Haines. Obejrzał się przez ramię: minęła go kobieta z dzieckiem w drodze do łazienki. - Coventry. Cable. Proszę łączyć z siedem siedem dziewięć cztery dziewięć jeden.

W słuchawce pstryknęło, zabrzęczało i rozległ się szum innego rejestratora.

- Biuro zamknięte do odwołania z powodu inwentaryzacji. Jeżeli chcesz zostawić wiadomość, nagraj ją po sygnale. Nie ma ograniczenia czasowego.

Nastąpiło pół minuty ciszy, w końcu zabrzmiał cichy sygnał.

- Tu Haines. Zaraz wylatuję z Charleston. Dzisiaj odwiedził Gentry'ego psychiatrę, niejaki Saul Laski. Podobno pracuje w Columbia University. Napisał książkę *Patologia przemocy* wydaną przez Academy Press. Twierdzi, że trzy razy spotkał się z Niną Drayton w Nowym Jorku. Zaprzeczył, jakoby znał Barrett Kramer, ale mógł kłamać. Na ręce ma tatuaż z obozu koncentracyjnego, numer 4490182. Gentry sprawdził też Karla Thorne'a i odkrył, że w rzeczywistości Thorne był szwajcarskim złodziejem nazwiskiem Oscar Felix Haupt. Gentry to flejtuch, ale niegłupi; diabelnie mu zależy na wyjaśnieniu tej sprawy. Jutro złożę raport. Tymczasem zalecam obserwację Laskiego i szeryfa Gentry'ego. Na wszelki wypadek należy rozważyć anulowanie polis obu dżentelmenów. O ósmej wieczorem będę w domu. Oczekuję dalszych instrukcji. Haines. Cable. Coventry.

Agent Richard Haines rozłączył się, wziął do ręki walizkę i pośpiesznie wtopił się w tłum zmierzający do wyjść do samolotów.

Po wyjściu z siedziby władz hrabstwa Saul Laski skręcił w boczną uliczkę, przy której zaparkował toyotę z wypożyczalni. Mżyło lekko, ale mimo kapuśniaczku powietrze było niezwykle ciepłe; musiało być z piętnaście stopni powyżej zera. Kiedy poprzedniego dnia wyjeżdżał z Nowego Jorku, padał śnieg, a temperatura od paru dni oscylowała w granicach minus pięciu.

Siedział w samochodzie i patrzył na ściekające po szybie krople deszczu. Toyota pachniała nowiutką tapicerką i cudzym cygarem. Mimo ciepła Saul zaczął drżeć. Z całej siły zacisnął dłonie na kierownicy, aż dreszcze spływały z tułowia w dół, do nóg. Wtedy złapał się mocno za mięśnie ud i starał się myśleć o czymś zupełnie innym - o wiośnie; o spokojnym jeziorze, na które latem natknął się w górach Adirondack; o bezludnej dolinie na Synaju, gdzie chłostane piaskiem rzymskie kolumny podpierały łupkowe urwiska.

W końcu uruchomił samochód i ruszył po mokrych od deszczu ulicach. Ruch był niewielki. Miał zamiar skręcić na drogę numer 52 i pojechać prosto do motelu, ale zamiast tego na East Bay Drive zawrócił na południe i skierował się do Starej Dzielnicy.

Mansard House wyróżniał się łukowato wygiętą zieloną markizą nad wejściem, która sięgała aż do krawężnika. Saul zerknął na ukryte w półmroku drzwi wejściowe i pojechał dalej. Skręcił w trzecią przecnicę w prawo - wąską uliczkę, przy której ogrodzenia z kutego żelaza oddzielały mniejsze i większe podwórka od wyłożonego ceglami chodnika. Zwolnił i liczył w myślach, wypatrując tabliczek z numerami domów.

Dom Melanie Fuller był całkiem ciemny, podwórko przed nim puste, a dom przylegający do niego od północy - z oknami przesłoniętymi grubymi żaluzjami - wyglądał na opuszczony. Furtkę zamknięto na łańcuch spięty kłódką. Nową kłódką.

Saul skręcił w pierwszą ulicę w lewo, za chwilę jeszcze raz w lewo i prawie wrócił na Broad Street, zanim znalazł wolne miejsce parkingowe za samochodem dostawczym. Rozpadało się. Wziął z tylnego siedzenia białą bejsbolówkę, naciągnął ją nisko na czoło i postawił kołnierz sztruksowej kurtki.

Wąska uliczka biegła przez środek kwartału zabudowy wśród malutkich garaży, gęstych zarośli, wysokich płotów i niezliczonych koszy na śmieci. Saul liczył domy, tak jak przed chwilą, kiedy przed nimi przejeżdżał, ale i tak dopiero widok dwóch na wpół uschniętych palm w wychodzącym na południe wykuszowym oknie utwierdził go w przekonaniu, że trafił pod właściwy adres. Szedł spokojnie, bez pośpiechu, z rękami w kieszeniach. Miał świadomość, że w wąziutkim zaułku rzuca się w oczy i nic nie może na to poradzić. Deszcz padał nieustannie. Szare popołudnie osuwało się w półmrok zimowego wieczoru; zostało najwyżej pół godziny dziennego światła. Odetchnął głęboko trzy razy i przemierzył długi na dziesięć stóp podjazd, kończący się przed budynkiem, który w zamierzeniu miał chyba być

niewielką powozownią. Okna miał zamalowane czarną farbą, było jednak oczywiste, że nigdy nie pełnił roli garażu. Wysokie ogrodzenie z siatki drucianej było poprzerastane dzikim winem i ostrymi gałęziami grubego żywopłotu. Niższa od reszty płotu furka (część oryginalnego żelaznego ogrodzenia) również była zamknięta na łańcuch i kłódkę. Napis na oklejającej łańcuch żółtej taśmie głosił: ZAKAZ WSTĘPU. BIURO SZERYFA HRABSTWA CHARLESTON.

Zawahał się i przystanął. Było słychać tylko kanonadę deszczu o łupkowy dach powozowni i szmer wody ściekającej z liści opornika. Wyciągnął rękę, wczepił palce w siatkę, postawił lewą nogę na poprzecznym pręcie furki i podciągnął się do góry. Przez chwilę balansował niepewnie nad rzędem zardzewiałych szpikulców, zanim zeskoczył na kamienne płyty po drugiej stronie.

Przykucnął na chwilę, oparł rozcapierzone palce o mokry kamień i, zmagając się ze skurczem w prawej nodze, wsłuchał się w łomotanie swojego serca i niespodziewane szczekanie małego psa na sąsiednim podwórku. Szczekanie ucichło. Przemknął szybko obok grządki z kwiatami i przekrzywionego poidelka dla ptaków do drewnianej werandy, dobudowanej poniewczasie do ceglanego domu. Wydawało się, że deszcz, zmierzch i ociekające wodą żywopłoty tłumią odległe dźwięki i zarazem zwielokrotniają każdy jego krok, każdy wydany przez niego odgłos. Po lewej, gdzie przebudowana oranżeria wybiegała w głąb ogrodu, widział rośliny za szybą. Pchnął ażurowe drzwi prowadzące na werandę. Ustąpiły z zardzewiałym westchnieniem. Zagłębił się w mrok.

Wnętrze długiej, wąskiej werandy zalatywało pleśnią i gnijącą ziemią. Na półkach przy ceglanej ścianie rysowały się ciemne kontury pustych doniczek. Drzwi prowadzące do domu - solidne, zdobione dekoracyjnymi listwami i małymi witrażowymi szybkami - były zamknięte na głucho. Saul domyślał się, że zamków jest więcej niż jeden, tak jak był przekonany, że starsza pani zainstalowała w domu jakiś alarm - ale był również pewien, że alarm ten rozbrzmiewa wyłącznie w środku i nie jest połączony z posterunkiem policji.

Chyba że od tego czasu podłączyli go do swojej sieci.

Pokręcił głową i podszedł do wąskiego okna za półkami. Zajrzał przez nie do środka i zobaczył biały masywny korpus lodówki. Nagle gdzieś z daleka dobiegł łoskot grzmotu, deszcz ze zdwojoną energią załomotał o dachy i żywopłoty. Saul zestawiał część doniczek na nisko zawieszony chropowaty blat, strzepnął czarną ziemię z rąk i zdjął ze ściany trzystopowej długości

półkę. Okna znajdujące się bezpośrednio nad blatem były solidnie zamknięte od środka. Przystanął przy nich, dotknął palcami szkła i odwrócił się w poszukiwaniu największej i najcięższej z doniczek.

Brzęk tłuczonego szkła wydał mu się bardzo głośny, głośniejszy od grzmotów, które następowały teraz tuż po stroboskopowych rozbłyskach światła upodabniających szyby do luster. Zamachnął się ponownie i wraz z szybą i szprosem okiennym roztrzaskał także własne brodate odbicie.

Wybił sterczące z ramy szklane drzazgi i sięgnął do środka w poszukiwaniu zatrasku. Zmroził go nagły, dziecinny lęk przed niespodziewanym dotykiem obcej ręki.

Namacał łańcuszek i pociągnął. Okno otworzyło się do wewnątrz. Wcisnął się przez nie, zszedł na obsypany tłuczonym szkłem laminowany blat i ciężko zeskoczył na wykafelkowaną podłogę kuchni.

W starym domu rozlegały się różne dźwięki. Tuż za oknem woda ściekała rynnami. Lodówka wydała głośny wewnętrzny pomruk, po którym Saul - z duszą na ramieniu - zorientował się, że w domu nadal jest prąd. Gdzieś w głębi dało się słyszeć ciche chrobotanie, jakby ktoś przejechał paznokciami po szkłe.

Do kuchni prowadziło troje wahadłowych drzwi. Saul wybrał te znajdujące się na wprost i wyszedł przez nie do podłużnego korytarza. Odległe o kilka kroków miejsce, w którym coś zniszczyło ciemną, błyszczącą podłogę, było dobrze widoczne mimo panującego w domu półmroku. Przystanął u stóp szerokich schodów, podświadomie spodziewając się ujrzeć wyrysowane kredą na podłodze zarysy zwłok, jak w amerykańskich kryminałach, które z takim upodobaniem oglądał. Niczego podobnego nie znalazł, dostrzegł tylko rozległą plamę, przebarwienie drewna przy pierwszym stopniu. Spojrzał w głąb drugiego, krótszego korytarza i wszedł do dużego, umeblowanego z przesadnym przepychem pokoju, który wyglądał jak dziewiętnastowieczna bawialnia. Światło zmierzchu sączyło się przez witrażowe szybki w górnej części dużego okna w wykuszu. Zegar na kominku zamarł na godzinie 3:26. Miało się wrażenie, że ciężkie tapicerowane meble i wysokie gablotki pełne kryształów i porcelany wchłonęły cały tlen z powietrza. Obciągnął kołnierz kurtki i omiół bawialnię szybkim spojrzeniem. Cuchnęła. Roztaczała odór starości, środków czyszczących, gorzki zapach talku i woń gnijącego mięsa - zapachy, które zawsze kojarzyły mu się ze starą ciotką Danutą i jej malutkim mieszkaniem w Krakowie. Danuta zmarła w wieku stu trzech lat.

Po przeciwnej stronie holu znajdowała się pusta jadalnia. Ozdobny żyrandol dźwięczał cicho w rytm kroków Saula. W holu stał pusty wieszak na kapelusze i dwie oparte o ścianę czarne laski. Cały budynek zadygotał, gdy na zewnątrz powoli przejechała ciężarówka.

W znajdującej się za jadalnią oranżerii było znacznie jaśniej niż w innych częściach domu. Saul czuł się w niej odsłonięty i bezbronny. Deszcz ustał, w ogrodzie było widać róże wyłaniające się z wilgotnej zieleni. Za parę minut miało się całkiem ściemnić.

Ktoś rozbił piękną gablotę. Wypolerowane wiśniowe drewno było połamane, szklane odłamki zasłały podłogę. Saul ostrożnie podszedł bliżej i przykucnął. Na środkowej półce leżały cynowe talerze i kilka przewróconych figurek.

Wstał i rozejrzał się po pokoju. Bez żadnego widocznego powodu odczuwał narastającą panikę. Smród psującego się mięsa przysnuł się za nim aż tutaj, do oranżerii. Złapał się na tym, że w spazmatycznym geście na przemian zaciska i rozwiera prawą pięść. Mógł w każdej chwili wyjść - wrócić przez wahadłowe drzwi do kuchni, wymknąć się przez okno i przeskoczyć przez furtkę. Zajęłoby mu to dwie minuty.

Odwrócił się i ciemnym korytarzem cofnął się do schodów. Balustrada była gładka i chłodna w dotyku. Mimo że w ścianie naprzeciwko znajdowało się małe okrągłe okno, ciemność unosiła się z podłogi niczym fala zimnej mgły i osiadła na podeście schodów.

Zatrzymał się na górze. Drzwi po prawej stronie zostały prawie wyłamane z zawiasów. Jasne drzazgi sterczały z futryny jak poszarpane ścięgna z rany. Zmusił się do wejścia do sypialni. Śmierdziało w niej jak w chłodni z mięsem, która od tygodni nie ma zasilania. Wysoka szafa w kącie przywodziła na myśl postawioną na sztorc wyściełaną trumnę. Ciężkie kotary przesłaniały okna wychodzące na podwórko. Na samym środku starej toaletki spoczywały droga, ekskluzywna szczotka i grzebień z kości słoniowej. Plamy pokrywały powierzchnię starego lustra. Wysokie łóżko było schludnie posłane.

Odwrócił się do wyjścia... i wtedy usłyszał ten hałas.

Zamarł w pół kroku, odruchowo zaciskając pięści.

Nic, tylko odór gnijącego mięsa w powietrzu. Był gotowy znowu się poruszyć i złożyć dźwięk na karb bulgotania wody w na wpół zatkanym rynkach, kiedy znów go usłyszał, tym razem wyraźniej, głośniejsze.

Z dołu dobiegł odgłos kroków: ktoś, kto wszedł na schody, poruszał się cicho, lecz zdecydowanie; ostrożnie, lecz nieustępliwie.

Saul okręcił się w miejscu i czterema krokami przemierzył dystans dzielący go od szafy. Otworzył ją bezszelestnie i wśliznął się między klejące mu się do skóry wełniane ubrania starszej pani. Ogłuszający rytmiczny łoskot wypełnił mu uszy. Spaczone drzwi szafy nie domykały się; przez szparę widział pionową linię szarego światła, przedzieloną ciemną poziomą krechę łóżka.

Kroki pokonały ostatnie stopnie, zawahały się na długą, bezgłośną chwilę, w końcu weszły do sypialni. Bardzo, bardzo cicho.

Saul wstrzymał oddech. Zapachy wełny i naftaliny mieszały się w jego nozdrzach z odorem zepsutego mięsa, w każdej chwili grożąc mu zadławieniem. Grube sukienki i szale czepiały się go, oplatały mu ramiona, sięgały do gardła.

Nie umiałby powiedzieć, czy kroki wycofały się z pokoju, czy nie, do tego stopnia ogłuszało go brzęczenie w uszach. Ogarnął go klaustrofobiczny lęk. Przypomnił sobie ziemię spadającą na zwrócone ku górze twarze, drgnienie białej ręki na tle zwałanych z góry hałd, białą plamę wapna na zarośniętym policzku, ledwie zauważalny ciężar nogi, szara wełna - czarna w świetle zimowego dnia, zawisł nad Dołem, w którym białe kończyny niczym ospałe larwy wygrzebywały się z czarnej ziemi...

Sapnął głośno. Szarpnął się w wełnianych objęciach i wyciągnął rękę, gotowy pchnąć i otworzyć na oścież drzwi szafy.

Nawet ich nie dotknął. Zanim zdążył się poruszyć, zostały gwałtownie otwarte z drugiej strony.

5.

Waszyngton

16 grudnia 1980, wtorek

Tony Harod i Maria Chen wylądowali na krajowym lotnisku w Waszyngtonie, wypożyczyli samochód i pojechali prosto do Georgetown. Było wczesne popołudnie. Szare wody Potomacu leniwie przepływały pod mostem Mason Memorial, nagie drzewa rzucały wątłe cienie na Mall, na Wisconsin Avenue nie było tłumów.

- Tutaj - powiedział Harod.

Maria skręciła w M Street. Wystawne rezydencje tuliły się do siebie w bladym świetle zimowego dnia. Dom, którego szukali, nie różnił się specjalnie od innych przy tej ulicy. Przed jasnożółtymi drzwiami garażu obowiązywał zakaz parkowania. Minęła ich para spacerowiczów zakutanych w grube futra, z szarpiącym się na smyczy roztrzęsionym pudlem.

- Poczekam - zaproponowała Maria.

- Nie. Jeździj w kółko i co dziesięć minut podjeżdżaj pod dom.

Tony Harod wysiadł, a Maria po krótkim wahaniu wyjechała z powrotem na ulicę, tuż przed maskę prowadzonej przez szofera limuzyny.

Zamiast skręcić do frontowych drzwi domu, Harod podszedł do garażu. Uniosła się metalowa klapka w ścianie, odsłaniając wąską szczelinę i cztery plastikowe przyciski bez żadnego opisu. Wyjął z portfela plastikową kartę nieco mniejszą od karty kredytowej i wsunął ją w szczelinę. Pstryknęło. Harod stanął przy samej ścianie, cztery razy nacisnął trzeci guzik, a potem trzy pozostałe. Drzwi garażu szczęknęły i otworzyły się do góry, a Harod zabrał kartę i wszedł do środka.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, ciemność w zamkniętej przestrzeni zgęstniała. Nie czuł zapachu oleju ani benzyny, tylko woń zimnego betonu i żywiczny aromat surowych desek. Zrobił trzy kroki w stronę środka pomieszczenia i znieruchomiał; nie próbował szukać drzwi ani wyłącznika światła. Rozległ się cichy warkot silniczka elektrycznego - Harod zdawał sobie sprawę, że jest śledzony przez wbudowaną w ścianę kamerę, która sprawdza, czy nikt więcej nie przedostał się do domu. Domyślał się, że kamera albo jest wyposażona we wzmacniacz optyczny, albo po prostu pracuje w podczerwieni. W ogóle go to nie interesowało.

Szczęknął zamek, drzwi się otworzyły i Harod ruszył w stronę światła.

Znalazł się w pustym pokoju, który w zamyśle architekta - sądząc po wyposażeniu elektryczno-hydraulicznym - miał chyba pomieścić pralnię. Obiektyw kamery zawieszony nad kolejnymi drzwiami natychmiast namierzył Haroda.

Harod rozpiął skórzaną lotniczą kurtkę.

- Proszę zdjąć okulary przeciwsłoneczne, panie Harod. - Głos dobiegł z umieszczonego na ścianie głośniczka zwyczajnego domofonu.

- Wsadźcie je sobie w dupę - odparł uprzejmie Harod, ale posłusznie zdjął awiatory.

Chwilę później zakładał je właśnie z powrotem, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszli dwaj wysocy mężczyźni w garniturach. Jeden był łysy i barczysty - stereotypowy wykidajło albo ochroniarz; drugi był szczupły, wyższy, śniady i z niewiadomych przyczyn sprawiał wrażenie bardziej niebezpiecznego z tej pary.

- Proszę podnieść ręce - poprosił ten barczysty.

- Proszę iść się walić - odparł Harod. Nienawidził, kiedy mężczyźni go dotykali. Wzdrygał się na samą myśl, że mogliby go dotknąć.

Tamci dwaj czekali cierpliwie. Rozłożył ręce. Byczek obszukał go - profesjonalnie i beznamiętnie - i skinał głową chudzielcowi.

- Proszę tędy, panie Harod.

Chudzielec wyprowadził go z garażu przez nieużywaną kuchnię do jasno oświetlonego korytarza. Minęli kilka pustych, nieurządzonych pokojów i zatrzymali się u stóp schodów.

- Pierwszy pokój po lewej, panie Harod - powiedział przewodnik, wskazując schody. - Czekają na pana.

Harod bez słowa wszedł na piętro. Wykonana z jasnego dębu podłoga była wykończona na wysoki połysk. Jego kroki na schodach niesły się echem po całym domu. Pachniało pustką i świeżą farbą.

- Panie Harod... Ogromnie się cieszymy, że mógł pan do nas dołączyć.

Pięciu mężczyzn siedziało na składanych krzesłach tworzących nieodknięty krąg. Ten pokój z założenia miał być albo sypialnią państwa domu, albo dużym gabinetem. Podłoga była odsłonięta, żaluzje białe, kominek zimny. Harod znał tych ludzi - a przynajmniej znał ich nazwiska: od lewej siedzieli, kolejno, Trask, Colben, Sutter, Barent i Kepler. Ubrani w drogie, konserwatywnie skrojone garnitury przyjęli niemal identyczną pozę: proste plecy, noga założona na nogę, ręce skrzyżowane na piersi. Obok trzech z nich stały nesesery. Trzej nosili okulary. Wszyscy byli biali.

Najmłodszy dobiegał pięćdziesiątki, najstarszy - Barent - mógł mieć sześćdziesiąt parę lat. Colben był prawie łysy, za to pozostała czwórka musiała chyba korzystać z usług tego samego fryzjera na Capitol Hill.

To Trask go przywitał.

- Spóźnił się pan, panie Harold - dodał.

- Mhm.

Harold podszedł bliżej. Nie było dla niego krzesła. Zdjął kurtkę, zahaczył palcem o kołnierz i przerzucił ją sobie przez ramię. Pod spodem miał jaskrawoczerwoną jedwabną koszulę, rozpiętą pod szyją i odsłaniającą wisiołek z zęba rekina na złotym łańcuszku. Stroju dopełniały czarne sztruksy z wielgachną, złotą klamrą z wizerunkiem R2-D2, którą dostał w prezencie od George'a Lucasa, i grube półbuty na masywnej podeszwie.

- Samolot się spóźnił.

Trask pokiwał głową. Colben odchrząknął, jakby zamierzał zabrać głos, ale ostatecznie zadowolił się poprawieniem na nosie okularów w rogowej oprawce.

- Co wiemy? - spytał Harold.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do drzwi schowka, wyjął składane metalowe krzesło i ustawił je tyłem naprzód w miejscu, w którym domknęło okrag. Usiadł na nim okrakiem, przerzucił kurtkę przez oparcie.

- Wiadomo coś nowego? Czy cała ta moja wycieczka była po chuju?

- O to samo my zamierzaliśmy zapytać pana - odparł Barent.

Starannie artykułował i modulował głos. Jego samogłoski miały w sobie coś angielskiego i nowoangielskiego jednocześnie. Nie ulegało wątpliwości, że nawykł do posłuchu i nigdy nie musiał podnosić głosu. Teraz także go słuchano.

Harold wzruszył ramionami.

- Wygłosiłem jedną z mów na nabożeństwie żałobnym Williego na Forest Lawn. Bardzo smutna uroczystość. Ze dwieście hollywoodzkich sław przyjechało okazać zmarłemu szacunek. Z czego dziesięć, najwyżej piętnaście, znało go osobiście.

- A jego dom? - spytał Barent, nie tracąc cierpliwości. - Przeszukał pan jego dom, tak jak o to prosiliśmy?

- Przeszukałem.

- I CO?

- I nic. - Wargi Haroda rysowały się wąską kreską w bladej twarzy. Mięśnie w kącikach ust, tak skore do demonstrowania sarkazmu i okrutnego

poczucia humoru, miał napięte do granic możliwości. - Wszystkiego miałem dwie godziny, nie więcej. Na dodatek połowę tego czasu zajęło mi przeganianie dawnych kochasiów Williego, którzy zlecieli się jak sępy, żeby oskubać jego majątek do kości...

- Zostali przez niego Użyci? - zainteresował się Colben. Jego głos zdradzał zdenerwowanie.

- Raczej nie. Nie zapominajcie, że Willi tracił już swoją moc. Może co najwyżej trochę ich uwarunkował, pogłaskał... Ale i to wydaje mi się wątpliwe. Przecież nie musiał tego robić: miał pieniądze, dojścia do studiów filmowych...

- Przeszukanie - przypomniał Barent.

- Tak, tak. Z dwóch godzin zrobiła się godzina. Znamy się od lat z Tomem McGuire'em, adwokatem Williego; pozwolił mi przejrzeć papiery znalezione w sejfie i biurku. Niewiele tego było, głównie prawa do filmów i książek. Trochę akcji, ale nie aż tyle, żeby można było mówić o prawdziwym portfelu inwestycyjnym. Willi najchętniej inwestował w przemysł filmowy. Mnóstwo listów biznesowych, prawie żadnych osobistych. Wiecie o tym, że wczoraj odbyło się odczytanie testamentu? Dom jest mój... pod warunkiem, że opłacę te wszystkie zasrane podatki. Większość pieniędzy Willi utopił w różnych niedokończonych projektach, a to, co zostało na kontach, zapisał ASPCA, Towarzystwu Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

- ASPCA? - powtórzył Trask.

- Żebyście wiedzieli. Stary Willi miał zajoba na punkcie zwierząt. Wiecznie smęcił o tym, jak to się je wykorzystuje w filmach, lobbował za wprowadzeniem surowszych przepisów, za lepszą ochroną koni w scenach kaskaderskich i innymi pierdołami.

- Proszę mówić dalej - zachęcił Haroda Barent. - Nie znalazł pan żadnych dokumentów, które mogłyby zdradzić przeszłość Williego?

- Nie.

- Albo jego Talent?

- Nie. Nic takiego nie było.

- I żadnej wzmianki o nas? - upewnił się Sutter.

Harod się wyprostował.

- Oczywiście, że nie. Dobrze wiecie, że Willi nie miał pojęcia o istnieniu Klubu.

Barent pokiwał głową i zetknął dłonie czubkami palców.

- Jest pan tego całkowicie pewien, panie Harod?

- Absolutnie.

- Ale wiedział o pańskim Talencie?

- No... tak, naturalnie. Ale przecież sami się dawno temu zgodziliście, że możemy mu o tym powiedzieć. Kiedy kazaliście mi się z nim zaprzyjaźnić.

- Zgadza się.

- Poza tym Willi zawsze uważał, że w porównaniu z jego Talentem mój jest słaby i zawodny. A to dlatego, że nie musiałem nikogo Używać na maksa, tak jak on to robił, no i dlatego że... no, mam pewne preferencje...

- Nie lubi pan Używać mężczyzn - dopowiedział Trask.

- Mam pewne preferencje - powtórzył Harold. - Zresztą, kurwa jego mać, ten cały Willi o niczym nie miał pojęcia! Patrzył na mnie z góry nawet kiedy ledwie starczało mu sił, żeby kontrolować Reynoldsa i Luhara, uzależnionych od głaskania. A i to nie zawsze mu wychodziło.

Barent znów pokiwał głową.

- Uważa pan zatem, że pod koniec życia nie był w stanie Używać ludzi do anulowania innych ludzi?

- Pewnie, że nie. Nie tak na poważnie. No dobrze, mógłby pewnie Użyć tych dwóch swoich mięśniaków albo któregoś z kochasiów, ale nie był aż tak głupi, żeby się do tego posunąć.

- Pozwolił mu pan udać się do Charleston na... hmm... spotkanie z tymi dwiema kobietami, tak? - spytał Kepler.

Harold zacisnął dłonie na przewieszanej przez oparcie krzesła kurtce.

- Jak to „pozwoiliem mu”? Oczywiście, że mu pozwoiliem! Mialem go miec na oku, a nie zakazywac mu wyjazdow. Willi podrozowal po calym swiecie.

- Jak się panu wydaje, co robił na tych spotkaniach? - spytał Barent. - Na tych zjazdach?

- Pojęcia nie mam, pewnie rozpamiętywał stare, dobre czasy. Bił pianę z dwiema starymi babami, tak samo skończonymi jak on. Może nawet je posuwał, cholera go wie. Zresztą skąd ja to mam wiedzieć, do kurwy nędzy? Wyjeżdżał zawsze na dwa, trzy dni, nie więcej. Nigdy nie było z tym problemów.

Barent skinął na Colbena, który ze swojego neseseru wyjął gruby zeszyt w brązowej oprawie, spięty sprężyną na grzbiecie i do złudzenia przypominający album ze zdjęciami. Wstał i podał go Haroldowi.

- A to co za gówno?

- Proszę spojrzeć - polecił Barent.

Harod najpierw szybko przekartkował album, potem zaczął go przeglądać powoli, z uwagą; niektóre wycinki przeczytał od początku do końca. Skończył i zdjął okulary. Nikt się nie odzywał. Gdzieś na M Street zatrąbił klakson.

- To nie jest album Williego - stwierdził Harod.

- Nie - zgodził się Barent. - Należał do Niny Drayton.

- Coś niesamowitego, kurwa. Po prostu nie do wiary. To nie może być prawda. Stara cipa miała demencję starczą, manię wielkości. Opłakiwała przeszłość.

- Bynajmniej. Wygląda na to, że naprawdę była w tych wszystkich miejscach we właściwym czasie. To najprawdopodobniej są jej zdobycze.

- Ja chromolę... - Harod założył okulary i rozmasował policzki. - Skąd to macie? Z jej mieszkania w Nowym Jorku?

- Nie - odezwał się Colben. - Po katastrofie lotniczej Williego w sobotę wysłaliśmy kogoś do Charleston. Udało mu się wydostać ten album z zebranych w biurze koronera rzeczy osobistych Niny Drayton, zanim miejscowy szeryf zdążył go zobaczyć.

- Jesteście pewni, że nie zdążył?

- Owszem.

- Pytanie brzmi - wtrącił się Barent - czy ta trójka nie grała przypadkiem w jakąś nową odmianę starej Wiedeńskiej Gry? A jeśli tak, to czy pański przyjaciel Willi nie miał przypadkiem podobnej dokumentacji?

Harod pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

Colben wyjął teczkę z dokumentami.

- Wśród szczątków samolotu nie znaleziono niczego konkretnego. W ogóle niewiele znaleziono, to zrozumiałe. Nadal brakuje ponad połowy ciał, a te, które udało się wydobyć z bagna, są najczęściej tak rozczłonkowane, że nie może być mowy o ich szybkiej identyfikacji. To była wyjątkowo potężna eksplozja. Teren utrudnia poszukiwania, śledczy mają poważny problem.

- Która z tych starych suk za to odpowiada? - spytał Harod.

- Nie mamy pewności - przyznał Colben. - Wygląda jednak na to, że tylko jedna z przyjaciółek Williego, pani Fuller, przeżyła weekend. Jest więc naturalną kandydatką.

- Gówniana śmierć - mruknął pod nosem Harod. - Szkoda Williego.

- O ile naprawdę zginął - zauważył Barent.

- Jak to? - Harod odchylił się na krześle. Wyprostował nogi, rysując obcasami czarne ślady na dębowej podłodze. - Myślicie, że nie zginął? Że nie

było go na pokładzie?

- Przedstawiciel agencji, która sprzedawała mu bilety, pamięta, że razem z dwoma przyjaciółmi rzeczywiście wsiadł do samolotu - odparł Colben. - Nawet pokłócił się z tym czarnoskórym.

- To Jensen Luhar - powiedział Harod. - Bezmózgi debil.

- Nie mamy jednak pewności, czy zostali na pokładzie aż do startu samolotu - uzupełnił Barent. - Agent musiał na chwilę wyjść z poczekalni, zanim maszyna skończyła przyjmować pasażerów.

- No dobrze, ale nic nie wskazuje, żeby Williego nie było na pokładzie - zauważył Harod.

Colben schował teczkę.

- Nie. Jednakże do czasu znalezienia zwłok pana Bordena nie wolno nam zakładać, że został... hmm... zneutralizowany.

- Zneutralizowany... - powtórzył Harod.

Barent wstał i podszedł do okna. Rozsunął ozdobne zasłony, odsłaniając białe żaluzje. W rozproszonym świetle jego twarz miała gładkość porcelany.

- Panie Harod, czy istnieje możliwość, że Willi von Borchert wiedział o istnieniu Klubu Wyspiarskiego?

Harod szarpnął się jak spoliczkowany.

- Nie. W żadnym wypadku.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie pewien.

- Nigdy mu pan nie powiedział o klubie? Nie wspomniał? Nie napomknął?

- A po kiego wała miałbym to robić?! Nie, do diabła, Willi nie miał o niczym pojęcia.

- Jest pan tego pewien?

- Willi był starym człowiekiem, Barent. Naprawdę starym. I dostawał świra na myśl o tym, że nie jest już w stanie Używać ludzi. Zwłaszcza Używać ich do zabijania. Tak, Colben, mówię o za-bi-ja-niu, nie o anulowaniu polis, neutralizacji, likwidacji, kasacji i innych waszych popierdolonych agencyjnych eufemizmach. Stary pierdziel zabijał, żeby zachować młodość, a kiedy nie mógł dłużej tego robić, zaczął schnąć jak śliwka wyłożona na słońcu. Gdyby wiedział o tym waszym zasranym Klubie Wyspiarskim, przyczołgałby się tu na czworakach i błagał, żebyście go przyjęli.

- To także pański klub, panie Harod - przypomniał Barent.

- Podobno tak. Ale skąd mam wiedzieć, skoro nigdy nie byłem na tej wyspie?

- Latem zostanie pan zaproszony na drugi tydzień. Pierwszy tydzień nie jest... niezbędny, nie sądzi pan?

- Być może. Chociaż chętnie bym się trochę poobracał w towarzystwie bogatych i wpływowych ludzi. No i trochę sobie pogłaskał.

Barent wybuchnął śmiechem, kilku innych mu zawtórowało.

- Na Boga, panie Harod... - mruknął Sutter. - Mało tego macie w Fabryce Snów?

- Poza tym... - odezwał się Trask. - Nie uważa pan, że byłoby to dla pana nieco trudne? Biorąc pod uwagę listę gości zaproszonych w pierwszym tygodniu, oraz... pańskie preferencje...

Harod odwrócił się do niego. Zmrużył oczy, aż upodobniły się do wąskich szparek w białej masce, i przemówił bardzo powoli, tak że każde słowo wybrzmiewało w powietrzu jak szczęk kolejnych naboju ładowanych do strzelby:

- Dobrze wiecie, o co mi chodziło, więc bez takiego pierdolenia, proszę.

- Rzeczywiście - wtrącił Barent pojednawczo, z wyraźniejszym niż przedtem brytyjskim akcentem. - Wiemy, o co panu chodziło, panie Harod. I nie jest wykluczone, że to będzie pański rok. Wie pan, kogo spodziewamy się w czerwcu na wyspie?

Harod pokręcił głową i spojrzał na niego.

- Domyślam się, że tradycyjnej zbieraniny chłopców napalonych na letni obóz. Przyjedzie pewnie Henry K, może trafi się jakiś eks-prezydent...

- Dwóch eks-prezydentów - poprawił go Barents z uśmiechem. - Plus kanclerz Niemiec Zachodnich. Ale to nie oni są najważniejsi. Najważniejszy jest nasz następny prezydent.

- Następny? Jezu, przecież dopiero co posadziliście jednego na stołku.

- To prawda, ale on już jest stary - odparł Trask i wszyscy wybuchnęli śmiechem, jakby to był ich ulubiony prywatny żart.

- Ja mówię poważnie, panie Harod - ciągnął Barents. - To będzie pański rok. Kiedy pomoże nam pan wyjaśnić szczegóły tego bałaganu w Charleston, nie będzie już żadnych przeszkód na drodze do pańskiego pełnego członkostwa.

- Jakie szczegóły?

- Po pierwsze, musimy się upewnić, że William D. Borden, znany również jako *Herr* Wilhelm von Borchert, naprawdę nie żyje. Będziemy kontynuować

dochodzenie. Może uda się wkrótce znaleźć ciało. Pańska pomoc ograniczałaby się do eliminowania ewentualnie pojawiających się innych możliwości.

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Po drugie, proszę możliwie jak najstaranniej przeszukać posiadłość pana Bordena, zanim zjawią się kolejne... hmm... sępy. Musimy mieć pewność, że nie zostawił po sobie nic, co mogłoby sprawić nam w przyszłości kłopoty.

- Jeszcze dziś wieczorem wracam do siebie. Rano mogę iść do Williego.

- Doskonale. Trzecia sprawa, ostatnia, to pańska pomoc przy ostatnim charlestońskim drobiazgu.

- To znaczy?

- Chodzi o osobę, która zabiła Ninę Drayton i która prawie na pewno jest odpowiedzialna za śmierć pańskiego przyjaciela Williego. Melanie Fuller.

- Uważacie, że ona żyje?

- Tak.

- I chcecie, żebym pomógł wam ją znaleźć?

- Nie - odparł Colben. - Sami ją znajdziemy.

- A jeśli wyjechała za granicę? Na jej miejscu tak bym zrobił.

- Znajdziemy ją.

- Skoro nie chcecie, żebym ja jej szukał, to co mam zrobić?

- Ma pan być obecny przy jej zatrzymaniu - wyjaśnił Colben. - I anulować jej polisę.

- Zneutralizować ją - dopowiedział Trask z wątłym uśmiechem.

- Zlikwidować - dodał Kepler.

Zaskoczony Harod odwrócił się do okna, przy którym stał Barent. Wysoki mężczyzna odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Czas zapłacić wpisowe, panie Harod. My znajdziemy tę wścibską zdiurę, a pan ją zabije.

Musieli z Marią Chen pojechać na lotnisko międzynarodowe w Waszyngtonie, żeby złapać odpowiednio wczesny bezpośredni lot do Los Angeles. Z powodów technicznych start opóźnił się o dwadzieścia minut i Harod nie mógł się już doczekać, kiedy dostanie swojego drinka. Nie znosił latać. Nienawidził sytuacji, w których był zdany na czyjąś łaskę, a z tym właśnie kojarzyło mu się latanie samolotami. Znał statystyki, z których wynikało, że to najbezpieczniejszy środek transportu - znał je i nic dla niego nie znaczyły. Przed oczami stanął mu niezwykle wyrazisty obraz wraku

maszyny rozwleczonego na powierzchni kilku akrów; pogiętych metalowych odłamków, rozpalonych do białości w pożarze; różowych i czerwonych strzępów ciała, walających się w trawie jak suszone na słońcu kawałki łososia.

Biedny Willi, pomyślał.

- Dlaczego nie podają nic do picia przed startem, kiedy człowiek najbardziej potrzebuje drinka? - pieklił się.

Maria tylko się uśmiechnęła.

Zanim wreszcie stanęli na początku pasa startowego, zdążyły się zapalać oświetlające go nocne lampy, ale ponad litą powłoką chmur złapali jeszcze kilka minut dziennego światła. Harod wyjął z teczki gruby plik scenariuszy. Łącznie było ich pięć. Dwa były za długie, ponad sto pięćdziesiąt stron - te od razu wrzucił z powrotem. Jeden miał nieczytelną pierwszą stronę; ten odłożył na bok. Doszedł do ósmej strony czwartego z kolei scenariusza, kiedy stewardesa przyszała przyjąć zamówienia.

- Wódka z lodem - poprosił Harod.

Maria nic nie wzięła.

Kiedy młoda stewardesa wróciła z jego drinkiem, otaksował ją wzrokiem. Jego zdaniem doszło do jednego z największych kretynizmów w historii biznesu, kiedy linie lotnicze ugięły się pod presją zarzutów o dyskryminację pracowników ze względu na płeć i zaczęły zatrudniać mężczyzn w roli stewardów. Zresztą, nawet stewardesy wydawały mu się ostatnio jakieś starsze i brzydsze. Ale nie ta. Ta w niczym nie przypominała typowego lotniczego manekina - miała idealną, lekko świetlistą cerę, była młoda i przyjemnie seksowna w taki swojski, wiejski sposób. Wyglądała na Skandynawkę: jasne włosy, niebieskie oczy, lekko zarumienione piegowate policzki. Złoto-granatowy służbowy blezer sympatycznie opinał się na pełnych piersiach, może nawet nieco przydużych przy tym wzroście.

- Dziękuję, moja droga - powiedział, kiedy postawiła szklankę na tacce przed jego fotelem. Dotknął jej ręki, zanim zdążyła się wyprostować. - Jak ci na imię?

- Kristen. - Uśmiechnęła się, ale popsowała efekt, cofając pośpiesznie dłoń. - Znajomi mówią mi Kris.

- Usiądź tu na chwilę, Kris. - Harod poklepał szeroki podłokietnik fotela. - Porozmawiajmy.

Stewardesa uśmiechnęła się ponownie, ale był to uśmiech zdawkowy, niemal machinalny.

- Przykro mi, proszę pana, ale mamy opóźnienie, a ja muszę jeszcze przygotować obiad.

- Czytam właśnie scenariusz filmu... Znosi się na to, że w przyszłości go wyprodukuję. Jest w nim rola jakby stworzona dla takiej jak ty ślicznej *Mädchen*.

- Dziękuję, ale naprawdę muszę pomóc Laurie i Curtowi z obiadem.

Harod złapał ją za przegub dłoni.

- A czy to będzie wielki problem, jeśli poproszę o drugą wódkę z lodem, zanim wrócisz do Curta i Laurie?

Uwolniła się z jego uścisku; było widać, że z trudem powstrzymuje się od rozmasowania nadgarstka, za który Harod mocno ją ścisnął. Już się nie uśmiechała.

Uśmiechnięta Laurie podała mu stek i homara, a drugiego drinka jak nie było, tak nie było. Harod nic nie zjadł. Za oknami zapadła ciemność, na czubku skrzydła migało czerwone światło pozycyjne. Harod włączył lampkę do czytania, ale w końcu odłożył scenariusz i śledził wzrokiem krzątającą się Kristen. Przyszedł Curt, żeby sprzątnąć niezjedzony posiłek.

- Jeszcze kawy, proszę pana?

Harod nie odpowiedział. Jasnowłosa stewardesa chwilę przekomarzała się z jakimś biznesmenem, a potem przyniosła poduszkę sennemu pięciolatkowi dwa rzędy przed Harodem.

- Tony... - zaczęła Maria.

- Zamknij się.

Wyczekał do chwili, aż Curt i Laurie byli zajęci gdzie indziej, a Kristen znalazła się - sama - w pobliżu łazienki. Wstał z fotela. Stewardesa obróciła się bokiem, żeby go przepuścić, ale poza tym nie zwracała na niego uwagi. Toaleta była wolna. Harod wszedł do niej, by po chwili uchylić drzwi i wyrzucić na zewnątrz.

- Proszę pani?

- Tak? - Kristen spojrzała na niego znad stosu tacek.

- Nie ma wody w kranie.

- Za niskie ciśnienie?

- Nie, w ogóle nic się nie leje.

Odsunął się na bok, przepuszczając stewardesę do środka. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył pasażerów pierwszej klasy: słuchali muzyki przez słuchawki, czytali, drzemali; tylko Maria Chen patrzyła w stronę toalety.

- Już wszystko w porządku - powiedziała Kristen.

Harod wcisnął się za nią do łazienki i zamknął drzwi na zasuwkę. Kristen wyprostowała się i odwróciła. Zanim zdążyła coś powiedzieć, złapał ją za rękę powyżej łokcia.

Bądź cicho.

Przysunął twarz do jej twarzy. Pomieszczenie było mikroskopijne, ściany i metalowy blat z umywalką wibrowały od łoskotu odrzutowych silników.

Dziewczyna wybałuszyła oczy i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Harod pchnął i nie wymówiła ani słowa. Wpatrywał się w nią tak natarczywie, że moc jego spojrzenia była znacznie silniejsza niż uścisk na rękę. Poczul opór i pchnął ponownie; wyczuł nurt jej myśli - i pchnął jeszcze silniej, naparł jak człowiek brodzący w wodzie pod prąd. Czuł, jak mu się wrywa, próbuje się wyzwolić - najpierw w sensie fizycznym, potem także w umyśle. Przyszpilił jej walczącą świadomość równie nieodwołalnie, jak dawno temu, w dzieciństwie, przyszpilił do podłogi Elizabeth, swoją kuzynkę - szamotali się, on niespodziewanie wylądował na górze i trzymając ją za nadgarstki przycisnął jej rękę do ziemi; od pasa w dół znalazł się między jej nogami, między udami, i bez wysiłku, ułamkiem swojej masy, unieruchomił jej próbującą się podźwignąć miednicę, zakłopotany swoją błyskawiczną erekcją i podniecony próżną i gwałtowną szamotaniną bezradnej niewolnicy.

Przestań.

Opór Kristen osłabł i rozplął się zupełnie. Harod poczuł to samo wstrząsające, ustępliwe ciepło, jak przy fizycznym wniknięciu w kobietę. Jego wola rozlała się po jej umyśle, napawając się nagłym spokojem i niemal niepokojącą swobodą. Jej poczucie jaźni zanikało jak gasnące światło. Harod nie zamierzał go rozniecać, nie miał ochoty ślizgać się po wątkach i osnowie jej myśli w poszukiwaniu ciepłego ośrodka przyjemności w samym centrum jej istoty, nie chciał tracić czasu na głaskanie. Nie interesowała go jej rozkosz, tylko uległość.

Nie ruszaj się.

Przysunął twarz jeszcze bliżej do twarzy Kristen. Jej zarumienione policzki pokrywał drobniuteńki złoty puszek. Oczy - intensywnie niebieskie, z maksymalnie rozszerzonymi źrenicami - miała szeroko otwarte, wargi wilgotne i rozchylone. Musnął ustami jej usta, przygryzł leciutko jej dolną wargę, wepchnął język głębiej. Kristen nawet nie drgnęła, wydała tylko ciche westchnienie, które - gdyby była w tej chwili wolna - mogłoby przerodzić się w jęk lub krzyk. Smakowała miętą. Drugi raz ugryzł ją w dolną wargę, tym razem mocno; odchylił głowę i uśmiechnął się. Małeńka kropla krwi

weszła na wardze i powoli spłynęła na podbródek. Kristen patrzyła przez Haroda na wylot, bezwolna i apatyczna, ale on w głębi jej oczu dostrzegł pełgający płomynek lęku, jak widziany kątem oka ruch zamkniętego za zimnymi kratami zwierzęcia.

Puścił jej rękę i powiódł dłonią po policzku. Napawał się bezradnymi spazmami jej woli i niewzruszoną mocą swojej władzy. Bijący od Kristen strach wypełniał mu nozdrza jak oszałamiające perfumy. Nie bacząc na błagalną nutę w jej szamotaninie, podążył dobrze znaną mroczną ścieżką wprost do centrum motorycznego jej umysłu. Formował jej świadomość z taką samą swobodą i pewnością, z jaką silne ręce mogłyby ugniatać miękkie ciasto. Znów westchnęła.

Nie ruszaj się.

Ściągnął z niej blezer, który opadł, zmięty, na blat za jej plecami. Maleńkie pomieszczenie rezonowało jego przyspieszonym oddechem i dudnieniem silników. Lekki przechył samolotu pchnął Haroda na dziewczynę, ich uda się zetknęły i jego podniecenie wzmocniło jego władzę nad nią.

Siedź cicho.

Na szyi, pod bluzką, Kristen nosiła jedwabną chustkę w kolorach linii lotniczej (czerwono-granatową). Nie zwracając sobie głowy chustką, Harod pewnymi palcami rozpiął bluzkę. Stewardesa zaczęła drżeć, kiedy wyszarpnął jej dolny skraj bluzki spod elastycznej spódnicy, ale znieruchomiała, gdy tylko wzmocnił swój psychiczny uścisk.

Miała zwykły biały stanik, opięty na jasnych, pełnych piersiach zaokrąglonych ponad białą krzywizną materiału. W Harodzie weszła nieuchronna fala czułości, miłości i poczucia straty; zawsze ją odczuwał, za każdym razem. W żaden sposób nie utrudniała mu kontroli.

Usta Kristen poruszyły się lekko, na dolnej wardze zadrżała kropla krwi zmieszanej ze śliną.

Nie ruszaj się.

Ściągnął jej bluzkę z ramion, ale nie do końca, tak że zwisała z bezwładnych rąk. Palce Kristen drgnęły. Harod rozpiął i podciągnął jej stanik, a potem rozpiął własną kurtkę i koszulę i zaczął się ocierać nagą skórą o jej biust. Piersi miała nawet większe, niż się spodziewał, przyjemnie ciężkie w dotyku, okryte bezbronne białą skórą i zakończone brodawkami tak delikatnymi, tak łagodnie różowymi, że z bezgranicznej miłości aż ścisnęło go w gardle.

Stul pysk, stul pysk, stul pysk. I nie waż się ruszyć, suko.

Samolot przechylił się mocniej w lewo. Harold oparł się o dziewczynę całym ciężarem i otarł o miękką krągłość jej brzucha.

Z korytarza dobiegł jakiś hałas, ktoś próbował otworzyć drzwi.

Harold zadarł jej spódnice, podciągnął powyżej szerokich ud, na wysokość bioder. Pośpiesznie obciągnął jej rajstopy, rozdzierając je przy okazji; jedną nogą przydepnął je do ziemi, kolanem rozchylił jej uda, żeby ją z nich ostatecznie wypłatać. Pod spodem miała skąpe białe majtki. Jej uda pokrywał znajomy już złoty puszek. Nogi miała niewiarygodnie gładkie i mocne.

Harold przymknął oczy. Nie posiadał się z zachwytu.

- Kristen? Jesteś tam? - rozległ się głos stewarda. Drzwi ponownie zagrzecotały. - Kristen? To ja, Curt.

Harold rozpiął spodnie i zsunął majtki. Miał bolesną erekcję. Musnął podbrzusze Kristen tuż powyżej linii włosów łonowych i aż zadygotał od tego dotknięcia. Turbulencje targnęły samolotem, gdzieś rozległ się natarczywy sygnał dźwiękowy.

Chwycił Kristen za pośladki, rozchylił jej uda, pchnął biodrami w górę i wśliznął się w nią w tej samej chwili, gdy samolot gwałtownie zadygotał. Krawędź blatu werżnęła mu się w palce przyszpilone ciężarem dziewczyny. Nastąpiła chwila suchego oporu, a potem po raz drugi ogarnęło go przemożne ciepło. Z całej siły naparł na dziewczynę, wisiorek z zęba rekina odbił się od jej rozplaszczonych piersi.

- Kristen? Co się tam dzieje, do diabła? Pogoda wariuje! Kristen?!

Samolotem szarpnęło w prawo. Blat ze zlewem wpadł w wibracje. Harold pchnął, uniósł ją i przycisnął do siebie, pchnął jeszcze raz.

- Szuka pan stewardesy? - Zza cienkich drzwi dobiegł głos Marii Chen. - Widziałam, jak pomagała starszej pani, która źle znosi lot... Nawet bardzo źle, powiedziałabym.

Padły jakieś niezrozumiałe słowa.

Pot lśnił między piersiami Kristen. Harold objął ją i mocniej zacisnął imadło swojej woli. Ślizgał się w niej, wchodził i wychodził, czując swój ruch w brutalnym odbiciu jej myśli; smakował sól na jej skórze, czuł słonawą woń strachu, dyrygował nią jak wielką, miękką lalką. Orgazm narastał w niej, narastał w nim, dwa wzburzone strumienie myśli i doznań mieszały się w jednym mrocznym tyglu fizycznej reakcji.

- Naturalnie, powiem jej - zapewniła stewarda Maria.

Ciche stukanie do drzwi rozległo się dosłownie kilka cali od twarzy

Haroda.

Spiął się cały, wyprężył i eksplodował. Medalion odcisnął się na skórze ich obojga, gdy Harod oparł brodę w zagłębieniu obojczyka Kristen. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu, z ustami otwartymi w niemym krzyku i spojrzeniem wbitym w niski sufit.

Samolotem rzucało na wszystkie strony. Harod pocałował spoconą szyję Kristen, po czym schylił się i obciągnął jej spódnicę. Drżącymi rękami zapiął jej bluzkę. Wepchnął podarte rajstopy do kieszeni kurtki, wygładził spódnicę dziewczyny; na jej opalonych nogach brak rajstop nie powinien rzucać się w oczy.

Stopniowo rozluźnił uścisk. Dziewczyna miała kompletny zamęt w głowie, wspomnienia mieszały jej się z marzeniami. Harod puścił ją, zgiętą w pół nad umywalką, i odblokował zamek w drzwiach.

- Każą zapiąć pasy, Tony. - Szczupła sylwetka Marii Chen wypełniła drzwi.

- Wiem.

- Co? - spytała Kristen z nieobecny wyrazem twarzy. Nie mogła zogniskować wzroku.

Pochyliła się niżej nad stalową umywalką i zwymiotowała cicho.

Maria weszła do łazienki i przytrzymała dziewczynę za ramiona, a kiedy było po wszystkim, wilgotnym ręcznikiem otarła jej usta. Harod wyszedł na korytarz i stał tam, zaparty o framugę drzwi, gdy samolotem miotało jak łupiną na wzburzonym morzu.

- Co? - powtórzyła Kristen, spoglądając pytająco na Marię. - Nic nie... dlaczego... nie pamiętam...

Maria pogłaskała ją po głowie, zerkając na Haroda.

- Lepiej wracaj na miejsce, Tony. Bo będziesz miał przykrości za niezapięcie pasa.

Harod usiadł w swoim fotelu i sięgnął po scenariusz, który wcześniej przeglądał. Chwilę później dołączyła do niego Maria. Turbulencje ustąpiły. Z przodu kabiny dobiegał zaniepokojony głos Curta, słyszalny ponad buczeniem silników.

- Nie wiem - zabrzmiała stłumiona odpowiedź Kristen. - Nie wiem.

Nie zwracając na nich uwagi, Harod robił notatki na marginesach wydruku. Kiedy chwilę później podniósł wzrok, Maria wpatrywała się w niego. Uśmiechnął się krzywo.

- Nie lubię czekać na drugiego drinka - wyjaśnił półgłosem.

Odwróciła się do okna. W ciemności pulsowało czerwone światelko na końcu skrzydła.

Następnego dnia z samego rana Tony podjechał do domu Williego. Strażnik z daleka rozpoznał jego czerwone ferrari i zawczasu otworzył bramę, zanim samochód zdążył się przed nią zatrzymać.

- Dzień dobry, Chuck.

- Dzień dobry, panie Harold. Rzadko przyjeżdża pan tak wcześnie.

- To prawda. Muszę przejrzeć kolejne dokumenty, próbujemy wyprostować finansowe aspekty różnych nowych projektów, w które nas Willi wpakował. Zwłaszcza *Białego łowcy niewolników*.

- A tak, kojarzę, proszę pana. Czytałem w branżowej prasie.

- Długo jeszcze będzie tu ochrona?

- Co najmniej do aukcji w przyszłym miesiącu, proszę pana.

- McGuire was opłaca?

- Tak, proszę pana. Z majątku po zmarłym.

- Jasna sprawa... No, na razie, Chuck. Nie daj sobie wcisnąć jakiegoś kitu.

- Nawzajem, panie Harold.

Harold dodał gazu, ferrari z przyjemnym pomrukiem silnika przejechało przez bramę i przyspieszyło na długim podejździe. Oglądane przez szereg topól przy drodze poranne słońce tworzyło stroboskopowy efekt. Harold objechał wyschniętą fontannę przed wejściem i zaparkował przy zachodnim skrzydle domu, które Willi przeznaczył na biura.

Dom Billa Bordena w Bell Air wyglądał jak pałac przeniesiony na północ z jednej z republik bananowych. Rozległe połączenie stiuków, czerwonych kafelków i szprosowych okien mieniły się w świetle poranka. Furtki prowadziły na dziedzińce okolone werandami, na które wychodziły okna przestronnych pokojów, połączonych wykafelkowanymi korytarzami z dalszymi dziedzińcami. Cały dom sprawiał wrażenie rozbudowywanego przez kilka zamieszkujących go pokoleń, a nie wybudowanego w jedno gorące lato roku 1938 dla pomniejszego potentata branży filmowej, który trzy lata później zmarł przy przeglądaniu roboczej kopii swojego następnego dzieła.

Harold własnym kluczem otworzył sobie drzwi zachodniego skrzydła. Przefiltrowane przez żaluzje światło kładło się żółtymi paskami na dywanie w biurze sekretarek. W pokoju panował porządek, biurka były uprzątnięte, maszyny do pisania poprzykrywane pokrowcami. Poczł nieoczekiwane

ukłucie żalu na wspomnienie wiecznie rozdzwonionych telefonów i królującego tu niegdyś biurowego zgiełku. Gabinet Williego znajdował się dwoje drzwi dalej, za salą konferencyjną.

Wyjął z kieszeni karteczkę z zapisanym szyfrem i otworzył sejf. Wyjął kolorowe teczki i luźne papiery i rozłożył je na szerokim blacie białego biurka. Z westchnieniem zajrzał jeszcze do szafki na akta. Zapowiadało się długie przedpołudnie.

Trzy godziny później przeciągnął się, ziewnął i odsunął na krześle od zawalonego papierami biurka. W dokumentach Williama Bordena nie było niczego, co mogłoby zaszkodzić komukolwiek poza paroma jego dłużnikami i miłośnikami wysmakowanego kina. Harod wstał i poboksował się chwilę ze swoim cieniem na ścianie. W swoich adidasach do biegania czuł się lekki i zwinny. Miał na sobie jasnoniebieski dres z rozpiętymi suwakami przy kostkach i nadgarstkach. I był głodny. Lekkim, niemal bezszelestnym krokiem przeszedł przez korytarz przecinający całe zachodnie skrzydło domu, na drugą stronę dziedzińca z fontanną, dalej przez zadaszony taras (wystarczająco duży, żeby pomieścić zjazd Związku Aktorów Filmowych) i południowymi drzwiami zakradł się do kuchni. W lodówce zostało jeszcze trochę jedzenia. Zdążył odkorkować półtoralitrową butelkę szampana i właśnie smarował bagietkę majonezem, kiedy usłyszał jakiś hałas. Z szampanem w ręce przeszedł przez olbrzymią jadalnię do salonu.

- Ej, kurwa! Co ty tu robisz?!

Dwadzieścia pięć stóp od niego pochylony nisko mężczyzna buszował w zgromadzonej na niskich regałach wideotece Williego. Na dźwięk głosu Haroda wyprostował się. Jego sylwetka rzuciła cień na umieszczony w rogu pokoju dwunastostopowy ekran.

- A, to ty.

Intruzem okazał się jeden z chłoptasiów Williego, którego Harod do spółki z Tomem McGuire'em kilka dni wcześniej już raz przepędził z domu. Był bardzo młody, bardzo jasnowłosy i miał ten rodzaj idealnej opalenizny, na jakiej utrzymanie stać dosłownie garstkę ludzi na świecie. Miał ponad sześć stóp wzrostu, był ubrany w obcisłe przydługie szorty i trampki. Na odsłoniętym torsie rysowały się wyraźnie uformowane mięśnie - same wyrobione mięśnie piersiowe i naramienne świadczyły o setkach godzin spędzonych na wyciskaniu ciężarów i zapasach. Brzuch miał taki, jakby ktoś regularnie tłukł na nim kamienie.

- Tak, to ja. - Zdaniem Haroda chłopak z głosu bardziej przypominał

instruktora komandosów niż plażowego pedzia z Malibu. - Masz z tym jakiś problem?

Harod wydał znużone westchnienie, pociągnął solidny łyk szampana i otarł usta.

- Spadaj stąd, młody. Wtargnąłeś na cudzy teren.

Usta opalonego amorka wygięły się w podkówkę.

- Co ty nie powiesz... Przyjaźniłem się z Billem.

- Mhm.

- Mam prawo tu być. Łączył nas poważny związek.

- Oraz słoik żelu intymnego. Wypierdalaj, zanim ktoś cię stąd wyrzuci.

- Niby kto?

- Ja.

- A kto ci pomoże?

Chłopak wyprostował się i przeciągnął. Harod nie był pewien, czy to, co widzi, to jeszcze biceps, czy już triceps, tak płynnie zafalowały mięśnie. Jakby oglądał myszokoczki bzykające się pod płachtą brezentu.

- Gliny - odparł i podszedł do stojącego przy sofie telefonu.

- Ach tak?

Chłopak najpierw wyrwał mu słuchawkę z ręki, następnie przewód z aparatu, a na koniec, dla pewności, także z gniazdka w ścianie.

Harod wzruszył ramionami i odstawił butelkę.

- Uspokój się, Brucie. To nie jedyny aparat w tym domu. Willi miał naprawdę mnóstwo telefonów.

Chłopak trzema szybkimi krokami zbliżył się do niego i zastąpił mu drogę.

- Nie tak szybko, palancie.

- Palancie? Jezu, ostatni raz takie straszne bluzgi słyszałem w liceum, w Evanston. Znasz takich więcej, Brucie?

- Nie nazywaj mnie tak, gnojku.

- O, już lepiej - odparł Harod, próbując wyminąć chłopaka.

Brucie oparł mu trzy palce na piersi i go odepchnął. Harod wpadł na sofę. Młodziak odskoczył i przycupnął na lekko ugiętych nogach, z dziwnie rozpostartymi ramionami.

- Karate? - zdziwił się Harod. - Posłuchaj, stary, nie musimy od razu się bić.

Jego głos delikatnie zadrżał.

- Gnojek - powiedział Brucie. - Palant w dupę jebany.

- Powtarzasz się. To oznaka starzenia się - powiedział Harold i odwrócił się, jakby zamierzał uciec.

Chłopak doskoczył do niego. Harold dokończył obrót w miejscu, tyle tylko, że po drodze w jego dłoni znów pojawiła się butelka z szampanem: zatoczyła ciężki łuk, który zakończył się na skroni chłopaka. Nie stłukła się. Rozległ się głuchy łoskot, do złudzenia przypominający grzmotnięcie zdechłym kotem o wielki dzwon, chłopak osunął się na jedno kolano. Harold podszedł bliżej i wykonał modelowy kop futbolowy, w którym rolę piłki pełniła trafiona idealnie w podbródek zwieszona głowa chłopaka.

- Auuu! - zawył Tony, łapiąc się za czubek adidasa.

Podskoczył na jednej nodze, a przez ten czas młodziak pofrunął w powietrzu, odbił się od grubych poduch sofy i wylądował przed Haroldem na kolanach niczym skruszony grzesznik. Harold wziął zamach i porwaną ze stolika ciężką meksykańską lampą wyrzucił prosto w przystojną buźkę kupidyna. W przeciwieństwie do butelki, lampa całkiem satysfakcjonująco roztrzaskała się na kawałki. Podobnie jak nos chłopaka i kilka innych, mniej wydatnych elementów jego twarzy. Runął bokiem na dywan jak płetwonurek zsuwający się z tratwy do wody.

Harold przestąpił nad nim i poszedł do kuchennego telefonu.

- Chuck? Mówi Tony Harold. Zostaw Leonarda na bramie i podjedź pod dom, dobrze? Willi zostawił tu trochę śmiecia, trzeba to wywieźć na wysypisko.

Później, kiedy już kochaś Williego został zabrany na izbę przyjęć, Harold bagietką z pasztetem zagryzł drugą porcję szampana i wrócił do wideoteki Williego. Znajdowało się w niej ponad trzysta taśm. Były wśród nich kopie wczesnych triumfów Williego, takie arcydzieła filmowe, jak *Troje na huśtawce*, *Imprezowicz z plaży* i *Wspomnienia z Paryża*. Nieopodal stało osiem filmów, które wyprodukował wspólnie z Haroldem, w tym *Masakra na studniówce*, *Zginęły dzieci* i dwa sequele *Nocy Walpurgii*. Znalazło się także miejsce dla wyboru najlepszych kawałków, fragmentów pokazów próbnych, scen odrzuconych, pilota i trzech odcinków chybionej próby podboju rynku sitcomów zatytułowanej *Jego i jej*, jak również kompletnej kolekcji pornosów Jerry'ego Damiano, paru nowinek ze studia Williego oraz garści przypadkowo dobranych innych obrazów. Kochaś zdążył wyciągnąć kilkanaście kaset, nad którymi Harold pochylił się teraz z zainteresowaniem. Pierwsza była podpisana po prostu *A&B*. Włączył projektor i włożył kasety do magnetowidu. Komputerowo naniesiony tytuł brzmiał *Alexander i Byron*

4/23.

Pierwsze ujęcie zaczynało się od rozległego basenu Williego. Kamera przesunęła się w prawo, prześliznęła po wodospadzie, natrafiła na otwarte drzwi sypialni. W kadrze pojawił się szczupły młody mężczyzna w skąpych czerwonych kąpielówkach. Pomachał do kamery gestem wpisującym się w najlepszą tradycję amatorskich filmików i stanął nad basenem, jakby nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Haroldowi przywodził na myśl anemiczną i pozbawioną piersi wersję Wenus wyłaniającej się z muszli. Nagle z cienia wyłonił się muskularny kochaś w jeszcze bardziej obcistych czerwonych kąpielówkach i z miejsca przeszedł do prezentacji wybranych póż kulturystycznych. Ten szczupły (Alexander?) na mięgi okazywał mu swoje uznanie. Harold wiedział, że domowe studio Williego było wyposażone w całkiem przyzwoity system dźwiękowy, ale ten akurat wypad w dziedzinę *cinema verité* był tak samo niemy jak wczesne krótkometrażówki Chaplina.

Na zakończenie prezentacji kochaś wyprężył pierś. Alexander zdążył przez ten czas uklęknąć przed nim jak wyznawca Adonisa przed swoim bóstwem. Kiedy Adonis trwał jeszcze w swojej ostatniej pozie, wyznawca ściągnął mu kąpielówki. Kochaś miał naprawdę idealną opaleniznę.

Harold wyłączył magnetowid.

- Byron? - mruknął pod nosem. - Jezu...

Wrócił do regału z filmami. Zajęło mu to kwadrans, ale w końcu znalazł to, czego szukał: kasetę z podpisem *Na wypadek mojej śmierci*, wsuniętą pomiędzy *W upalną noc* i *Z zimną krwią*. Usiadł na kanapie, obracając kasetę w rękach. Czuł dziwną pustkę w trzewiach; korciło go, żeby po prostu wyjść i odjechać.

Włożył kasetę do magnetowidu, włączył odtwarzanie i pochylił się wyczekująco.

- Cześć, Tony - powiedział Willi. - Pozdrowienia z za grobu.

Jego obraz był większy niż w naturze. Siedział na plecionym fotelu nad basenem. Za jego plecami wiatr poruszał liśćmi palmy, poza nim w kadrze nie było nikogo widać, nawet służby. Sczesane w przód siwe włosy miały przykrywać łysinę, lecz i tak wyzierała spod nich opalona skóra. Staruszek miał na sobie luźną hawajską koszulę w kwiaty i workowate zielone szorty. Miał zupełnie białe kolana.

Serce tłukło się Haroldowi o żebra.

- Jeżeli znalazłeś tę kasetę, to domniemywam, że rozdzieliło nas jakieś nieszczęśliwe zdarzenie. Obyś to właśnie ty, Tony, znalazł ten mój... hmm...

ostateczny testament. I obejrzał go sam.

Harod zacisnął pięść. Nie był w stanie określić dokładnej daty nagrania, wyglądało jednak na całkiem świeże.

- Mam nadzieję, że zająłeś się wszystkimi naszymi wspólnymi sprawami, które wymagały zamknięcia - ciągnął Willi. - Wiem, że firma produkcyjna znajdzie się w dobrych rękach. Nie denerwuj się, przyjacielu; jeśli znasz już treść testamentu, nie masz się czym martwić, nie czeka cię żaden zaskakujący epilog. Dom jest twój, a nasze spotkanie to po prostu odwiedziny starego przyjaciela, *ja*?

- Kurwa... - zaklął półgłosem Harod. Miał gęsią skórę na rękach.

- Ciesz się domem - mówił tymczasem Willi. - Wiem, że nigdy za nim nie przepadałeś, ale w razie potrzeby łatwo będzie z niego zrobić źródło kapitału inwestycyjnego. Może przyda ci się przy realizacji *Białego łowcy niewolników*, hmm?

Nagranie musiało być bardzo świeże.

- Właściwie niewiele mam ci do powiedzenia, Tony. Zgodzisz się chyba, kiedy powiem, że traktowałem cię jak syna, *nicht wahr*? A jeśli nie jak syna, to z pewnością jak ulubionego bratanka. Mimo że nie zawsze byłeś ze mną całkowicie szczery... Mam rację? Cóż, trudno; przyjaźń doskonała nie istnieje. Może i ja nie mówiłem ci wszystkiego o swoich przyjaciółach. Każdy żyje swoim życiem, nie?

Tony siedział całkiem nieruchomo, sztywno wyprostowany, ledwie ważył się oddychać.

- Teraz to i tak nie ma już żadnego znaczenia. - Willi odwrócił wzrok i, mrużąc oczy, spojrzał na tańczące na wodzie plamki światła. - Jeżeli to oglądasz, to znaczy, że mnie już nie ma. Nikt nie żyje wiecznie, Tony, zrozumiesz to, kiedy będziesz w moim wieku... - Znowu spojrzał w kamerę. - O ile dożyjesz moich lat. - Uśmiechnął się. Sztuczne zęby miał po prostu doskonałe. - Chcę ci jeszcze powiedzieć tylko trzy rzeczy, Tony. Po pierwsze, żałuję, że nie nauczyłeś się grać w szachy. Wiesz, jak wiele to dla mnie znaczyło. Szachy to coś więcej niż zwykła gra, *ja*, znacznie więcej... Powiedziałaś kiedyś, że nie masz czasu na takie zabawy; że szkoda ci życia. Ale widzisz, Tony, na naukę nigdy nie jest za późno. Nawet nieżywy człowiek może cię czegoś nauczyć. *Zweitens*... Po drugie, znaczy, muszę ci się przyznać, że nie znośm imienia Willi. Gdybyśmy mieli się spotkać w życiu po śmierci, chciałbym, żebyś zwracał się do mnie jakoś inaczej. Może być *Herr von Borchert*. Albo *Der Meister*. Czy ty w ogóle wierzysz w życie

po śmierci, Tony? Bo ja tak. Jestem pewien, że istnieje. Jak sobie wyobrażasz takie miejsce, hmm? Ja zawsze wyobrażałem sobie raj jako cudowną wyspę, na której wszystkie moje potrzeby są zaspokojone, mam mnóstwo ciekawych rozmówców i mogę Polować do woli. Sympatyczna wizja, nie uważasz?

Harod słuchał z zapartym tchem. Zdarzało mu się czytać o tym, że komuś „zimny pot wystąpił na czoło”, ale nigdy przedtem sam czegoś podobnego nie doświadczył. Aż do teraz.

- Na koniec jedno pytanie, Tony: co to za nazwisko, „Harod”? Twierdzisz, że pochodzisz z chrześcijańskiej rodziny ze Środkowego Zachodu, i nawet często wzywasz imię Jezusa, ale mnie się wydaje, że może to nazwisko ma inny rodowód, hę? Może mój kochany bratanek jest Żydem? Zresztą mniejsza z tym, teraz to już nie gra roli. Wrócimy do tej sprawy, jeśli kiedyś faktycznie spotkamy się w raju. A tymczasem wróćmy do taśmy, którą oglądasz. Dołączyłem do niej kilka fragmentów programów informacyjnych. Mogą ci rozjaśnić w głowie, nawet jeśli zwykle nie lubisz tracić czasu na takie rzeczy. Żegnaj, Tony. Czy raczej, *Auf Wiedersehen*.

Willi pomachał do kamery. Nastąpiła kilkosekundowa przerwa, a potem na ekranie pojawił się materiał z lokalnej stacji telewizyjnej, sprzed pięciu miesięcy, dotyczący schwytania Dusiciela z Hollywood. Dalsze wycinki obejmowały łącznie około roku i odnosił się do różnych przypadkowo dobranych morderstw. Po dwudziestu pięciu minutach nagranie się skończyło i Tony wyłączył odtwarzacz. Długo siedział na sofie, trzymając się obiema rękami za głowę, zanim w końcu wstał, wyjął kasetę, schował ją do kieszeni i wyszedł.

Do domu wrócił okrężną drogą, nie żałując gazu i ostro mieszając biegami; na Hollywood Freeway wypadł z prędkością ponad osiemdziesięciu mil na godzinę. Nikt go nie zatrzymał. Kiedy podjechał przed dom i zatrzymał wóz pod złowieszczym spojrzeniem satyra, dres miał mokry od potu.

Udał się prosto do baru przy jacuzzi i nalał sobie solidny kieliszek wódki. Opróżnił go czterema haustami. Wyjął kasetę, wyciągnął z niej taśmę, rozwłóczył ją po podłodze i oderwał oba końce od plastikowych rolek. Kilka minut zajęło mu spalenie całej taśmy w starym kominku do grillowania na przylegającym do basenu tarasie; został z niej popiół i trochę stopionego plastiku. Pustą kasetę roztrzaskał na kawałki o kamienny komin, wyrzucił ją do pojemnika na śmieci obok stojącej przy basenie wiaty, po czym wrócił do domu i dolał sobie wódki, tym razem z dodatkiem soku z limonki.

Rozebrał się i wyciągnął w jacuzzi. Prawie zdążył się zdrzemnąć, kiedy do pokoju weszła Maria Chen z poranną pocztą i dyktafonem.

- Zostaw je tutaj - polecił Harold i przysnął.

Po piętnastu minutach otworzył oczy i zaczął przeglądać stos kopert, od czasu do czasu nagrywając na dyktafon krótkie odpowiedzi i uwagi. Dostał cztery nowe scenariusze. Tom McGuire przysłał tony papierów związanych z nabyciem domu Williego, aukcją majątku i opłaceniem podatków. Przyszły też trzy zaproszenia na przyjęcia; Harold postanowił poważnie rozważyć jedno z nich. Michael May-Dreinan, młody pisarz-awanturnik, przysłał odręcznie napisaną skargę na Schuberta Williama, reżysera, który już zaczął poprawiać jego scenariusz, mimo że ten „nie jest jeszcze nawet skończony, do cholery!”. I czy Harold zechciałby łaskawie interweniować w tej sprawie? Bo jeśli nie, to on, Dreinan, kończy tę współpracę.

Harold odrzucił list na bok. Nie nagrał odpowiedzi.

Na koniec została mu mała różowa koperta ze stemplem z Pacific Palisades. Rozdarł ją. Kartka z listem pasowała wzorem do koperty i była leciutko perfumowana. Pismo było mocno pochyle i drobne, z dziecinnie dużymi kropkami nad „i”.

Szanowny Panie Harold, nie wiem, co mnie w sobotę napadło. Nigdy tego nie zrozumie, ale nie winię Pana i wybaczam Panu, nawet jeśli samej sobie wybaczyć nie potrafię.

Loren Sayles, moja agentka, odebrała dzisiaj dokumentację kontraktową odnoszącą się do Pańskiej propozycji filmowej. Wyjaśniłam jej i mojej matce, że doszło do nieporozumienia; że wprawdzie rozmawiałam z panem Bordenem niedługo przed jego śmiercią, ale nie poczyniliśmy żadnych konkretnych ustaleń.

Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby na obecnym etapie kariery moje nazwisko kojarzono z tego rodzaju przedsięwzięciem. Jestem przekonana, że rozumie Pan moje stanowisko, Panie Harold. Nie wyklucza to możliwości naszej przyszłej współpracy. Mam nadzieję, że rozumie Pan moją decyzję i nie dopuści do tego, by jakiegokolwiek przeszkody lub kłopotliwe szczegóły naraziły na szwank naszą ewentualną przyszłą kooperację.

Wiem, że mogę na Panu polegać, Panie Harold, że w zaistniałej sytuacji zachowa się Pan właściwie. Jak sam Pan wspomniał w sobotę, należą do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Musi Pan również zrozumieć, że moja wiara jest niezwykle silna i że zobowiązania wobec

Naszego Pana i Jego praw przedkładam ponad wszystkie inne.

Modłę się, żeby w zaistniałych okolicznościach Bóg wskazał Panu właściwą drogę, i w głębi duszy wiem, że tak właśnie się stanie.

Z wyrazami szacunku

Shayla Berrington

Harod włożył pachnącą karteczkę z powrotem do koperty. Shayla Berrington. Prawie o niej zapomniał. Sięgnął po malutki dyktafon i przemówił do wbudowanego mikrofonu:

- Mario, list do Toma McGuire'a. Sprawy urzędowe załatwię najszybciej, jak się da. Kontynuuj przygotowania do aukcji zgodnie z planem. Nowy akapit. Bardzo się cieszę, że podobały ci się filmiki dla dorosłych, które przysłałem ci z okazji urodzin Cal; tak właśnie myślałem, że się wam spodobają. Wysyłam ci drugą taśmę, która też może przypaść wam do gustu.

O nic nie pytaj, po prostu oglądaj i baw się dobrze. I kopiuj do woli; może Mary Sandborne i goście z Four Star też się z tego pośmieją. Nowy akapit. Przy najbliższej okazji podeślę ci dokumenty związane z wykonaniem testamentu. Moi księgowi się z tobą skontaktują. Nowy akapit. Uściskaj ode mnie Sarah i dzieciaki. Koniec, wszystkiego najlepszego i tak dalej... A, Mario, jeszcze jedno: napisz to i daj mi jeszcze dziś do podpisania, dobrze? Dołącz kasetę VHS numer 165. I wyślij to ekspresem.

6.

Charleston

16 grudnia 1980, wtorek

Kobieta stała zupełnie nieruchomo, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Dłonie zaciskała na kolbie pistoletu wycelowanego w pierś Saula Laskiego. Saul zdawał sobie sprawę, że jeśli wyjdzie z szafy, nieznajoma może strzelić, ale za żadne skarby świata nie zamierzał dłużej siedzieć w ciemnej pułapce, gdzie odór Dołu wypełniał mu nozdrza. Wygramolił się do tonącej w szarej poświacie sypialni.

Kobieta cofnęła się o krok, nie opuszczając broni. Nie strzeliła. Saul odetchnął głęboko i dopiero teraz zauważył, że jest młoda i czarnoskóra, a na jej krótkim afro i białym płaszczu przeciwdeszczowym osiadły kropelki wilgoci. Może nawet była całkiem atrakcyjna, ale on chwilowo nie mógł się skupić na niczym innym niż trzymany przez nią pistolet; jego niewielkie rozmiary (kaliber .32, na oko sądząc) w niczym nie zmieniały faktu, że czarny wylot lufy bez reszty przykuwał uwagę Saula.

- Ręce do góry - powiedziała.

Mówiła dźwięcznym, zmysłowym głosem, z akcentem typowym dla wykształconych mieszkańców Południa.

Saul podniósł ręce i splótł dłonie na karku.

- Kim jesteś? - spytała.

Trzymała pistolet mocno, oburącz, ale nie wyglądała na osobę obeznaną z bronią. Stała zbyt blisko, nie dalej niż cztery stopy od Saula; zdawał sobie sprawę, że miałby całkiem realną szansę zbić lufę w bok, zanim ona zdąży pociągnąć za spust.

Nie zrobił tego.

- Kim jesteś? - powtórzyła.

- Nazywam się Saul Laski.

- Co tu robisz?

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

- Odpowiedz na pytanie.

Podniosła pistolet, jakby to go miało ponaglić. Saul zorientował się już, że ma do czynienia z amatorką, która dała się uwieść telewizji i uwierzyła, że pistolety to magiczne różdżki pozwalające przymusić ludzi do różnych rzeczy. Przyjrzał się jej uważnie. Była młodsza, niż początkowo mu się

wydawało, niewiele po dwudziestce. Miała ładną owalną twarz, delikatne rysy, pełne usta i duże oczy, które w półmroku wydawały się całkiem czarne. Jej skóra miała odcień kawy ze śmietanką.

- Przyszedłem się rozejrzeć - odparł Saul.

Głos mu nie zadrżał, z zaciekawieniem natomiast odnotował fakt, że jego ciało zareagowało tak samo jak zawsze na widok wycelowanej weń broni: jądra usiłowały mu się schować do brzucha, a on sam odczuwał nieodpartą potrzebę ukrycia się za czymś lub za kimś, choćby za samym sobą.

- Policja opieczętowała dom - zauważyła kobieta.

Saul zwrócił uwagę na to, że słowo „policja” wymówiła zupełnie inaczej niż przeciętny amerykański czarny z Nowego Jorku.

- Owszem - przytaknął. - Wiem o tym.

- Więc co tu robisz?

Saul się zawahał. Spojrzał jej w oczy. Wyczytał z nich lęk, napięcie i ogromną determinację - zwykłe ludzkie uczucia, które uspokoiły go i przekonały, że powinien powiedzieć prawdę.

- Jestem lekarzem - odparł. - Psychiatrą. Interesuję się morderstwami, do których doszło tu w zeszłym tygodniu.

- Psychiatrą? - powtórzyła z powątpiewaniem Murzynka. Pistolet ani drgnął. Zapadł zmrok, jedynym źródłem światła była gazowa latarnia przed domem. - Po co się tu włamałeś?

Saul wzruszył ramionami. Ręce zaczynały go boleć.

- Mogę opuścić ręce?

- Nie.

Pokiwał głową.

- Bałem się, że policja nie pozwoli mi się rozejrzeć po domu. Miałem nadzieję znaleźć tu coś, co pomoże mi wyjaśnić tę sprawę. Ale chyba nic z tego.

- Powinnam zadzwonić na policję.

- Jak najbardziej. Nie widziałem wprawdzie telefonu na parterze, ale gdzieś jakiś musi być. Zadzwonimy na policję, do szeryfa Gentry'ego. Ja zostanę oskarżony o włamanie, natomiast ty o włamanie, groźby karalne i posiadanie broni bez zezwolenia. Bo domyślam się, że pistolet nie jest zarejestrowany?

Na dźwięk nazwiska Gentry'ego kobieta drgnęła. Udała, że nie słyszy pytania.

- Co wiesz o sobotnich morderstwach?

Niewiele brakowało, żeby przy ostatnim słowie głos jej się załamał.

Saul wypiął pierś i odchylił barki do tyłu, żeby ulżyć obolałej szyi i rękom.

- Wiem tyle, co przeczytałem. No i znałem jedną z tych kobiet, Ninę Drayton. Osobiście uważam, że sprawa jest o wiele bardziej złożona, niż się to wszystkim wydaje: szeryfowi Gentry'emu, temu gościowi z FBI, Hainesowi...

- To znaczy?

- To znaczy, że w sobotę zginęło tu dziewięć osób i nikt nie potrafi tego wytłumaczyć. Moim zdaniem coś łączy te morderstwa, ale policja nie potrafi znaleźć tego wspólnego mianownika. Ręce mnie boją, panienko, dlatego teraz je opuszczę. Poza tym nie będę wykonywał żadnych innych ruchów.

Saul opuścił ręce, zanim nieznajoma zdążyła zareagować. Cofnęła się o pół kroku. Stary dom osiadał wokół nich. Gdzieś na ulicy ryknęło radio samochodowe, ale natychmiast ktoś je uciszył.

- Myślę, że kłamiesz - powiedziała kobieta. - Jesteś zwykłym złodziejaszkiem. Albo jakimś maniakiem, upiorem szukającym pamiątek. Może nawet sam maczałeś palce w tych zabójstwach.

Saul milczał. Obserwował ją w półmroku. Ledwie widział broń w jej dłoniach. Wyraźnie czuł jej niezdecydowanie.

- Preston - przemówił w końcu. - Joseph Preston, fotograf. Żona? Nie, nie żona. Szeryf Gentry mówił mi, że pan Preston mieszkał tu od... dwudziestu sześciu lat, zdaje się. Może córka? Tak, córka.

Cofnęła się jeszcze o krok.

- Twój ojciec został zabity na ulicy. Brutalna śmierć. Bezsensowna. Policja nie wie nic pewnego, niewiele mówi, a to, co mówi, nie brzmi przekonująco. Więc czekasz. Obserwujesz. Możliwe, że już od paru dni masz ten dom na oku. Nagle zjawia się nowojorski Żyd w bejsbolówce i przełazi przez parkan. Myślisz: oho, nareszcie czegoś się dowiem. Mam rację?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale opuściła broń. Saul zauważył, że jej ramiona zadrżały lekko; zastanawiał się, czy płacze.

- Może będę mógł ci pomóc - zasugerował, dotykając jej ręki. - Może razem uda nam się coś zrozumieć z tego obłądu. Chodź, wyjdźmy stąd. Ten dom cuchnie śmiercią.

Przestało padać. Ogród pachniał mokrymi liśćmi i ziemią. Dziewczyna poprowadziła Saula na drugą stronę powozowni, gdzie między starym

żelaznym ogrodzeniem i nową drucianą siatką ziała wycięta dziura. Przepisnęli się przez nią oboje. Saul zwrócił uwagę, że dziewczyna schowała broń do kieszeni płaszcza. Ruszyli w głąb uliczki, żużel chrupał im pod podszewkami. Noc była chłodna.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała.

- Nie wiedziałem. Domyśliłem się.

Doszli do głównej ulicy, gdzie długo stali nieruchomo i bez słowa.

- Zaparkowałam przed domem - odezwała się w końcu kobieta.

- Tak? To jakim cudem mnie zobaczyłaś?

- Zwróciłam na ciebie uwagę, kiedy przejeżdżałeś. Potem skręciłeś, a ja poszłam na tyły sprawdzić, czy cię nie znajdę.

- No tak... Kiepski byłby ze mnie szpieg.

- Naprawdę jesteś psychiatrą?

- Tak.

- Ale nie jesteś stąd.

- Nie, z Nowego Jorku. Pracuję czasem w klinice w Columbia University.

- Masz obywatelstwo?

- Mam.

- Mówisz z dziwnym akcentem... To niemiecki?

- Nie, nie niemiecki. Urodziłem się w Polsce. Jak się nazywasz?

- Natalie. Natalie Preston. Mój ojciec był... to już wiesz.

- Wcale nie. Bardzo mało wiem. A w tej chwili wiem tylko jedno.

- Mianowicie? - Natalie spojrzała na Saula wyczekująco.

- Umieram z głodu. Od śniadania nic nie jadłem, dostałem tylko lurowatą kawę u szeryfa. Moglibyśmy porozmawiać przy kolacji, jeśli zgodzisz się do mnie dołączyć.

- Zgodzę się, ale pod dwoma warunkami.

- Słucham.

- Pierwszy: powiesz mi wszystko, co wiesz, a co może pomóc wyjaśnić zagadkę śmierci mojego ojca.

- Mhm...

- Drugi: nie będziesz siedział w tej przemoczonej bejsbolówce przy jedzeniu.

- Załatwione - zgodził się Saul Laski.

Restauracja - Henry's - znajdowała się kilka przecznic dalej, w pobliżu starego targu. Z zewnątrz nie prezentowała się szczególnie zachęcająco.

Pobielony front był pozbawiony okien i wszelkich ozdób, nie licząc podświetlonego szyldu nad wąskimi drzwiami wejściowymi. Wnętrze - stare i ciemne - przywodziło Saulowi na myśl zajazd pod Łodzią, w którym jadalni czasem całą rodziną, kiedy był mały. Wysocy czarni mężczyźni w czystych białych marynarkach uwijali się dyskretnie pomiędzy stolikami. Powietrze gęstniało od ożywczych aromatów wina, piwa i owoców morza.

- Wyśmienicie - orzekł Saul. - Jeżeli jedzenie smakuje tu równie dobrze, jak pachnie, zapowiada się niepowtarzalne doświadczenie.

I rzeczywiście. Natalie zamówiła sałatkę z krewetkami, a Saul szaszłyk z miecznika z opiekаныmi jarzynami i drobnymi białymi ziemniaczkami. Popijając schłodzone białe wino, rozmawiali o wszystkim, tylko nie o tym, o czym zamierzali. Natalie dowiedziała się, że Saul mieszka samotnie, nawiedzany tylko przez gosposię pełniącą zarazem rolę plotkarki i terapeutki. Saul wyjaśnił, że dopóki Tema tłumaczy mu przyczyny jego nerwic i niestrudzenie szuka na nie lekarstwa, on nie musi się uciekać do korzystania z profesjonalnych usług kolegów po fachu.

- Nie masz rodziny?

- W Stanach mam tylko dalekiego kuzyna. - Saul skinął głową kelnerowi, który uprzątnął puste talerze. - W Izraelu mieszka mąż mojej kuzynki i wielu dalszych krewnych.

Jemu z kolei udało się ustalić, że matka Natalie od kilkunastu lat nie żyje, a ona sama robi studia podyplomowe.

- Gdzieś na północy, zdaje się?

- No, bez przesady z tą północą. W St. Louis. Washington University.

- Dlaczego wybrałaś uczelnię tak daleko od domu? Jest przecież college w Charleston. A mój znajomy wykładał kiedyś krótko na University of South Carolina w... gdzie to jest? Nie w Columbii przypadkiem?

- W Columbii.

- Jest jeszcze Wofford College. To też Karolina Południowa, prawda?

- Oczywiście. Jest też Bob Jones University w Greenville. Sęk w tym, że tata chciał mnie wysłać jak najdalej od okolic, które nazywał „strefą wsioków-Południowców”. Studia podyplomowe na Washington University mają świetną renomę, zwłaszcza kierunki artystyczne. No i można dostać stypendium.

- Jesteś artystką?

- Fotografuję. Poza tym czasem kręcę filmy, rysuję ołówkiem, maluję... Zrobiłam licencjat z anglistyki. W Oberlin, w Ohio. Słyszałaś kiedyś o tej

szkole?

- Owszem.

- Zresztą nieważne. Rok temu Diana Gold, moja przyjaciółka i niezła akwarelistka, przekonała mnie, że nauczanie może być fajne... Dlaczego ja ci to wszystko opowiadam?

Saul się uśmiechnął.

Kelner przyniósł rachunek. Saul uparł się, że zapłaci. Dorzucił hojny napiwek.

- Ty mi nic nie powiesz, prawda? - spytała rozżalona Natalie.

- Wprost przeciwnie, powiem ci pewnie więcej niż komukolwiek innemu.

Pytanie brzmi: dlaczego?

- O co ci chodzi?

- Dlaczego ufamy sobie nawzajem? Widzisz, jak obcy mężczyzna włamuje się do cudzego domu, a dwie godziny później siedzisz z nim w knajpie po dobrej kolacji i rozmawiacie jak starzy znajomi. Ja spotykam młodą kobietę, która mierzy do mnie z pistoletu, a dwie godziny później jestem gotowy zwierzyć jej się z tajemnic, o których od lat nikomu nie mówiłem. Dlaczego tak się dzieje, pani Preston?

- Panno Preston. Albo Natalie. Mogę odpowiedzieć tylko za siebie.

- Naturalnie. Bardzo proszę.

- Masz szczerą twarz, doktorze Laski. Chociaż może „szczerą” nie jest najlepszym słowem, raczej... zatroskaną. Wiesz co to smutek... - Natalie zawiesiła głos.

- Wszyscy wiemy - mruknął Saul.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Ale nie wszyscy wyciągają z tego wnioski. Ty wyciągnęłaś, widzę to... po twoich oczach. Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć.

- Więc to na tym opieramy nasz osąd? Naszą przyszłość? Na spojrzeniu drugiego człowieka?

Natalie podniosła wzrok na Saula.

- A czemu nie? Znasz lepszy sposób? - Nie była to z jej strony prowokacja, lecz całkiem poważnie zadane pytanie.

Saul powoli pokręcił głową.

- Nie. Może nie być lepszego sposobu. Nie na początek.

Wyjechali z zabytkowej części Charleston na południowy zachód: Natalie w zielonej nowie jechała pierwsza, Saul podążał za nią toyotą z

wypożyczalni. Drogą numer 17 przejechali na drugą stronę Ashley i parę minut później zatrzymali się w St. Andrews - schludnej, robotniczej dzielnicy zdominowanej przez białe domy o szkieletowej konstrukcji. Natalie zaparkowała na podjeździe przed jednym z nich, Saul stanął za nią.

W środku było czysto i wygodnie, prawdziwie po domowemu. Ciężki fotel-uszak i masywna sofa prawie wypełniały niewielki salon. Kominek był przygotowany na rozpalenie ognia, na białej półce stała komarnica w doniczce i liczne fotografie rodzinne w metalowych ramkach. Kolejne zdjęcia wisiały na ścianie, ale to nie były już zwyczajne fotki, lecz prawdziwe dzieła sztuki. Saul oglądał je po kolei, kiedy Natalie włączała światła i odwieszała płaszcz.

- Ansel Adams - powiedział Saul, patrząc na uderzająco piękną czarno-białą fotografię pustynnej wioski i cmentarza pławiących się w wieczornej poświacie jasnego księżyca. - Słyszałem o nim.

Na zdjęciu obok gruby wał mgły zalewał położone na wzgórzu miasto.

- A to Minor White - wyjaśniła Natalie. - Znajomy taty z początku lat pięćdziesiątych.

Dalej znajdowały się fotografie Imogen Cunningham, Sebastiana Milito, George'a Tice'a, André Kertésza i Roberta Franka. Przy tym ostatnim Saul zatrzymał się na dłużej. Mężczyzna w ciemnym garniturze, z laską, stał na werandzie starego domu lub hotelu. Biegnące skosem schody na piętro przesłaniały mu twarz; Saul odruchowo chciał się przesunąć dwa kroki w lewo, żeby ją zobaczyć. Zdjęcie budziło w nim głęboko skrywane pokłady smutku.

- Przykro mi, ale pozostałych nie znam - przyznał. - To znani fotografowie?

- Niektórzy tak. Te zdjęcia są dziś warte sto razy więcej niż kiedy ojciec je kupił, ale nie sprzedałby ich za żadne skarby świata.

Saul wziął do ręki fotografię czarnoskórej rodziny na pikniku. Kobieta miała ciepły uśmiech i proste czarne włosy, podkrecone w stylu wczesnych lat sześćdziesiątych.

- To twoja matka?

- Tak. Zginęła w dziwnym wypadku w czerwcu sześćdziesiątego ósmego roku, dwa dni po zamachu na Roberta Kennedy'ego. Miałam dziewięć lat.

Uśmiechnięta dziewczynka na zdjęciu stała na piknikowym stole i mrużąc oczy, spoglądała na tatę. Tuż obok stał portret ojca Natalie, starszego już

mężczyzny, poważnego i całkiem przystojnego. Cienki wąsik i błyszczące oczy upodabniały go nieco do Martina Luthera Kinga, miał tylko szczuplejszą twarz.

- Piękny portret - przyznał Saul.

- Dziękuję. Zrobiłam go w tym roku, latem.

Saul rozejrzał się po pokoju.

- Nie widzę zdjęć zrobionych przez twojego ojca...

- Są tutaj. - Natalie zaprowadziła go do jadalni. - Nie chciał ich wieszać w jednym pokoju z tamtymi.

Na długiej ścianie naprzeciw stołu, nad szpinetem wisiały cztery czarno-białe fotografie. Dwie z nich przedstawiały grę świateł i cieni na murach starych ceglanych kamienic. Trzecim było zupełnie niewiarygodnie oświetlone szerokokątne ujęcie plaży i ciągnącego się w nieskończoność morza. Czwarte - przedstawiające leśną ścieżkę - stanowiło kompozycyjne studium płaszczyzn i cieni.

- Cudowne - powiedział Saul - ale na żadnym nie ma ludzi.

Natalie zaśmiała się cicho.

- To prawda. Tata zarabiał na życie fotografowaniem ludzi i zawsze powtarzał, że szlag by go chyba trafił, gdyby miał takie samo hobby. Poza tym był nieśmiały. Nie lubił robić zdjęć z ukrycia; kiedy ja je robiłam, zawsze kazał mi uzyskać pisemną zgodę modela. Nie chciał naruszać niczyjej prywatności. Poza tym był... no... po prostu... no, nieśmiały. Ale taki naprawdę nieśmiały. Kiedy zamawialiśmy pizzę na telefon, to zawsze ja musiałam dzwonić. - Głos Natalie zabrzmiał dziwnie ochryple. Odwróciła się do Saula plecami. - Napijesz się kawy?

- Tak, proszę. Z przyjemnością.

Do kuchni przylegała ciemnia fotograficzna, przerobiona zapewne ze spiżarni lub drugiej łazienki.

- Tutaj wywoływaliście zdjęcia?

Natalie skinęła głową i włączyła lampę ciemniową. W małym pomieszczeniu panował idealny porządek: powiększalnik, kuwety, butelki z odczynnikami schludnie opisane i poustawiane na półkach. Nad zlewem na nylonowym sznurku wisiało z osiem, może dziesięć świeżych odbitek. Saul przyjrzał się im uważnie. Wszystkie przedstawiały dom pani Fuller - w różnym świetle, o różnych porach dnia, z różnych punktów widzenia.

- Twoje?

- Tak. Wiem, że to głupie, ale i tak lepsze niż siedzenie cały dzień w

wozie i czekanie, aż coś się wydarzy. - Natalie wzruszyła ramionami. - Codziennie wpadam na policję albo do biura szeryfa, ale nic z tego nie wynika. Ze śmietanką i cukrem?

Saul pokręcił głową. Wrócili do salonu i usiedli przy kominku - Saul na sofie, Natalie na fotelu. Kawę podała w porcelanowych filiżankach tak cieniutkich, że niemal przezroczystych. Natalie rozgarnęła drewno w kominku, poprawiła podpałkę i podłożyła ogień. Drewno szybko się zajęło i dobrze się paliło.

Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w płomienie.

- W sobotę pojechałam z przyjaciółmi do Clayton na zakupy świąteczne - odezwała się w końcu Natalie. - To przedmieście St. Louis. Poszliśmy do kina... na *Popeye* z Robinem Williamsem. Mniej więcej pół godziny przed północą wróciłam do domu, do mieszkania w miasteczku uniwersyteckim. Jak tylko zadzwonił telefon, wiedziałam, że stało się coś złego. Nie umiem tego wytłumaczyć, zwłaszcza że znajomi często dzwonią do mnie późno w nocy. Frederick, mój dobry przyjaciel, najczęściej dopiero po jedenastej wieczorem wychodzi z centrum informatycznego i dopiero wtedy umawiamy się na pizzę czy coś... Ale tym razem po prostu wiedziałam, że to zamiejskowa i że będą to złe wiadomości. Dzwoniła pani Culver, nasza sąsiadka. Przyjaźniły się z mamą... Zresztą nieważne. Pani Culver powtarzała w kółko, że zdarzył się wypadek, tak właśnie mówiła: „wypadek”. Długo trwało, zanim do mnie dotarło, że tata nie żyje i że został zamordowany. Przyleciałam w niedzielę pierwszym samolotem. Wszystko tu było pozamykane. Jeszcze z St. Louis dzwoniłam do kostnicy, ale kiedy przyjechałam, pocałowałam klamkę i długo musiałam szukać kogoś, kto by mnie wpuścił. W ogóle nie byli przygotowani na mój przyjazd. Pani Culver wyjechała po mnie na lotnisko, ale cały czas szlochała i w końcu została w samochodzie. Nie wyglądał jak tato, zwłaszcza we wtorek na pogrzebie, po tej całej kosmetyce. Byłam zupełnie zdezorientowana. W niedzielę nikt na policji nie wiedział, co się dzieje. Obiecali, że wieczorem odezwie się do mnie detektyw Holmann, ale on zadzwonił dopiero w poniedziałek po południu. Za to w niedzielę do kostnicy zajrzał szeryf... Mówiłeś, że go spotkałeś: pan Gentry. Podwiózł mnie później do domu, próbował odpowiedzieć na moje pytania... Bo wszyscy inni tylko mi je zadawali. Tak czy inaczej, w poniedziałek przyjechała ciotka Leah i wszyscy kuzyni i do środy nie miałam wolnej chwili, żeby chociaż spokojnie pomyśleć. Mnóstwo ludzi przyszło na pogrzeb; zapomniałam, że tata był tak powszechnie

lubiany: mnóstwo sklepikarzy i mieszkańców Starej Dzielnicy, szeryf... Leah chciała nawet zostać ze mną przez tydzień albo dwa, ale Floyd, jej syn, musiał wracać do Montgomery. Zapewniłam ją, że nie mam nic przeciwko temu i mogą spokojnie wracać; powiedziałam, że może wpadnę na święta.

Natalie zawiesiła głós. Saul siedział pochylony, łokcie oparł na kolanach, splótł dłonie. Natalie westchnęła i nieokreślonym gestem wskazała okno wychodzące na ulicę.

- Co roku w ten weekend kupowaliśmy z tatą choinkę. Późno już, ale tata zawsze mówił, że jest fajniej, kiedy choinka nie stoi w domu całe tygodnie przed świętami. Kupowaliśmy ją zwykle na parkingu przed Dairy Queen, przy Savannah. Wiesz, właśnie w sobotę kupiłam mu na prezent koszulę od Pendletona, czerwoną, w kratę. Nie wiem dlaczego, przywiozłam ją tu ze sobą. Naprawdę nie wiem, czemu to zrobiłam; teraz będę musiała ją zabrać z powrotem. - Zwiesiła głowę. - Przepraszam na chwilę.

I wymknęła się do kuchni.

Saul długo siedział sam, zaciskając splecione palce i patrząc w ogień, w końcu jednak poszedł za Natalie. Stała przy blacie, oparta o niego sztywno wyprostowanymi rękami; w lewej dłoni ścisnęła chusteczkę. Saul przystanął w odległości trzech stóp od niej.

- Jestem taka cholernie wściekła - mruknęła, nie podnosząc wzroku.

- Wiem.

- No bo wychodzi na to, że tata się nie liczył. W ogóle nie był ważny. Rozumiesz?

- Tak.

- Kiedy byłam mała, oglądałam w telewizji westerny. Ktoś ginął, nie główny bohater ani główny bandzior, ale ktoś tam ginął, i miało się wrażenie, że ten ktoś nigdy nie istniał, czujesz? Denerwowało mnie to. Miałam sześć, może siedem lat, ale już mnie to wkurzało. Zawsze wtedy myślałam o tym człowieku, o tym, że przecież musiał mieć jakichś rodziców, że przez ileś tam lat dorastał, że w tym konkretnym dniu musiał wstać, ubrać się, a potem bum! i przestawał istnieć tylko dlatego, że scenarzysta chciał pokazać, jak główny bohater szybko strzela czy coś. Kurde, wiem, gadam bez sensu...

Natalie uderzyła otwartą dłonią o blat.

Saul podszedł bliżej, dotknął jej ręki.

- Wcale nie - zapewnił ją.

- Jestem naprawdę wściekła! Mój ojciec istniał naprawdę! Nigdy nikogo nie skrzywdził. Nigdy. Był najłagodniejszym człowiekiem, jakiego znałam,

teraz ktoś go zabił i nikt nie wie dlaczego. Nie mają zielonego pojęcia. Kurczę, przepraszam...

Saul objął Natalie i przytulił ją, kiedy się rozplakała.

Podgrzała im kawę i usiadła na uszaku. Saul stał przy kominku, machinalnie trącając liście komarnicy.

- Było ich troje - odezwał się. - Melanie Fuller, Nina Drayton i mężczyzna, niejaki Borden, z Kalifornii. Wszyscy troje byli mordercami.

- Jak to mordercami? Przecież policja twierdzi, że ta Fuller to starsza pani, naprawdę posunięta w latach... I że pani Drayton była ofiarą, nie zabójcą.

- To wszystko prawda. Tak jak i to, że byli mordercami.

- Nikt mi nie mówił o tym Bordenie - zauważyła Natalie.

- Był z nimi. A potem znalazł się na pokładzie samolotu, który eksplodował w powietrzu w piątek w nocy... a właściwie to już w sobotę, wczesnym rankiem. Ściśle rzecz biorąc: powinien był znaleźć się na pokładzie.

- Nie rozumiem. Mój ojciec został zabity wiele godzin później. Jak to możliwe, żeby Borden czy ktokolwiek z pozostałych miał coś wspólnego ze śmiercią taty?

- Oni wykorzystywali ludzi. Umieli ich... kontrolować. Mieli swoich pracowników, którymi kierowali. Trudno to wytłumaczyć...

- Chcesz powiedzieć, że mieli coś wspólnego z mafią?

Saul się uśmiechnął.

- To nie takie proste, niestety.

Natalie pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- To bardzo długa historia. Na dodatek wydaje się dość... niewiarygodna, oględnie mówiąc. Lepiej by dla ciebie było, gdybyś nie musiała jej wysłuchać, bo albo uznasz mnie za wariata, albo wplączesz się w sprawę, która może mieć straszliwe konsekwencje.

- Już się wplątałam - orzekła stanowczo Natalie.

- To prawda... - Saul się zawahał. - Nie musisz się jednak bardziej w nią angażować.

- Ale ja właśnie zamierzam się w nią zaangażować, przynajmniej dopóki morderca mojego ojca nie zostanie znaleziony. I albo zrobię to z twoją pomocą i dzięki uzyskanym od ciebie informacjom, albo będę musiała obejść się bez nich, ale przysięgam, że dopnę swego.

Saul długo się jej przyglądał, w końcu westchnął i odparł:

- Tak, widzę, że naprawdę masz taki zamiar. Nie jest jednak wykluczone, że po wysłuchaniu mojej historii zmienisz zdanie. Obawiam się tylko, że aby przybliżyć ci sylwetki tych trojga starszków, trojga zabójców odpowiedzialnych za śmierć twojego ojca, muszę opowiedzieć ci także swoją historię. Nigdy nikomu jej nie opowiadałem. Jest bardzo długa.

- Mów śmiało - odparła Natalie Preston. - Czasu mam w bród.

- Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku w Polsce - zaczął Saul. - W Łodzi. Całkiem nieźle się nam powodziło, ojciec był lekarzem. Byliśmy Żydami, ale nie ortodoksami. Matka w młodości zastanawiała się nad przejściem na katolicyzm. Ojciec uważał się w pierwszej kolejności za lekarza, w drugiej za Polaka, w trzeciej za obywatela Europy, a dopiero w czwartej za Żyda. Zresztą możliwe, że jeszcze niżej cenił to swoje żydostwo. Kiedy byłem małym chłopcem, Łódź była dla Żyda najlepszym miejscem do życia. Żydzi stanowili jedną trzecią mieszkańców sześćsettyśięczonego miasta. Wielu ważnych obywateli, biznesmenów i rzemieślników było Żydami. Matka miała mnóstwo przyjaciół artystów, jej stryj przez całe lata grał w miejskiej orkiestrze symfonicznej... Wszystko się zmieniło, zanim skończyłem dziesięć lat. W wyborach powygrały lokalne partyjki, obiecujące przepędzić Żydów z miasta. Cały kraj pomału zwracał się przeciwko nam, jakby zarażony szalejącą po sąsiedzku, w Niemczech, antysemitką gorączką. Ojciec składał to na karb kryzysu, który dopiero co się zakończył. Nigdy nie znużyło mu się podkreślanie, że europejscy Żydzi przyzwyczaili się do tego, że fale pogromów przeplatają się z trwającymi całe pokolenia okresami postępu. „Wszyscy jesteśmy ludźmi”, powtarzał, „mimo dzielących nas tymczasowych różnic”. Jestem przekonany, że umierając, nadal w to wierzył.

Saul przerwał opowieść, przespacerował się po pokoju, w końcu stanął za sofą i położył ręce na jej oparciu.

- Musisz zrozumieć, Natalie: nie jestem przyzwyczajony do opowiadania o tym wszystkim. Nie wiem, co w tej historii jest niezbędne, a co nie. Może powinniśmy poczekać na lepszą okazję.

- Nie, nie. Nie trzeba. Nie śpiesz się. Powiedziałaś, że w ten sposób łatwiej ci będzie wytłumaczyć, dlaczego zginął mój ojciec.

- Tak.

- Mów dalej. Opowiedz mi wszystko.

Saul skinął głową, obszedł sofę dookoła, usiadł i oparł łokcie na kolanach. Mówiąc, gestykulował ogromnymi dłońmi.

- Miałem czternaście lat, kiedy Niemcy wkroczyli do naszego miasta. Był wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. Z początku nie było nawet najgorzej. Zarządzili powołanie Rady Żydowskiej, która miała im doradzać w zarządzaniu tą nową wysuniętą placówką Rzeszy. Zdaniem ojca dowodziło to, że z każdym można się porozumieć na drodze cywilizowanych negocjacji. Nie wierzył w diabły i mimo protestów matki zgłosił się do udziału w Radzie. Na próżno jednak: wyznaczono już do niej trzydziestu jeden prominentnych łódzkich Żydów. Miesiąc później, na początku listopada, Niemcy deportowali ich do obozu i spalili naszą synagogę. Zaczęliśmy się wtedy zastanawiać, czy nie wyjechać pod Kraków, gdzie stryj Mosze miał gospodarstwo. Zwłaszcza że w Łodzi zaczęły się już poważne niedobory żywności. Często spędzaliśmy u stryja letnie wakacje, więc pomysł dołączenia tam do reszty rodziny wyglądał bardzo atrakcyjnie. Jego córka, Rebeka, wyszła za amerykańskiego Żyda i wybierała się do Palestyny z zamiarem rozpoczęcia tam rolniczego życia. Przez lata namawiała innych młodych krewnych, żeby do nich dołączyli. Ja nawet chętnie bym to zrobił, nie powiem. Zwłaszcza że i tak zostałem już wyrzucony ze szkoły w Łodzi, podobnie zresztą jak inni Żydzi. Stryj Mosze wykładał kiedyś na Uniwersytecie Warszawskim; wiedziałem, że z przyjemnością zostałaby moim nauczycielem. Nowe prawo ograniczyło ojcowską praktykę lekarską: mógł leczyć wyłącznie Żydów, a ci mieszkali najczęściej w ubogich i odległych od centrum dzielnicach miasta. Krótko mówiąc: mieliśmy wiele powodów, by wyjechać, i znacznie mniej, by zostać. Ale zostaliśmy. Zamierzaliśmy pojechać do stryja w czerwcu, jak co roku, i wtedy zastanowić się, czy chcemy wrócić do miasta. Ależ byliśmy naiwni...

W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku gestapo wypędziło nas z domów i zamknęło w getcie. Zanim przyszły moje urodziny, piąty kwietnia, getto zostało całkowicie odcięte od reszty miasta, a Żydów objął bezwzględny zakaz podróży.

Tymczasem Niemcy powołali drugie ciało doradcze, Judenrat, i tym razem mój ojciec znalazł się w jego składzie. Jeden ze Starszych, Chaim Rumkowski, często bywał u nas w domu (mieliśmy do dyspozycji jeden pokój, w którym spaliśmy w osiem osób) i do rana dyskutował z ojcem o zarządzaniu gettem. O dziwo, mimo ścisłego i wszechobecnego głodu, w getcie panował porządek. Znowu zacząłem chodzić do szkoły. Ojciec, o ile nie

uczestniczył akurat w spotkaniach Rady, pracował po szesnaście godzin dziennie w jednym ze szpitali, które wspólnie z Rumkowskim stworzyli z niczego.

W ten sposób przetrwaliśmy rok. Byłem drobny jak na swój wiek, ale szybko się nauczyłem, że w getcie da się żyć, chociaż czasem trzeba było kraść, robić zapasy, nawet handlować z niemieckimi żołnierzami, którzy sprzedawali nam jedzenie i papierosy. Jesienią czterdziestego pierwszego roku Niemcy zaczęli zwozić do nas tysiące Żydów z zachodu. Niektórzy przybywali aż z Luksemburga, ale większość pochodziła z Niemiec. Ci patrzyli na nas z góry. Pamiętam, jak wdałem się w bójkę ze starszym ode mnie chłopakiem, Żydem z Frankfurtu. Był ode mnie znacznie wyższy; miałem szesnaście lat, ale wyglądałem na trzynaście. Udało mi się go przewrócić na ziemię, a kiedy próbował wstać, wyrznąłem go deską w głowę i rozciąłem mu czoło. Przyjechał zaledwie tydzień wcześniej jednym z tych opieczętowanych pociągów i był jeszcze bardzo słaby. Nie pamiętam, o co nam poszło.

Zimą moja siostra, Stefa, zmarła na tyfus. Ludzie w getcie umierali tysiącami, więc cieszyliśmy się z nadejścia wiosny, mimo że wraz z nią doszły nas wieści o postępach Niemców na froncie wschodnim. Rosja znalazła się o krok od klęski. Ojciec uważał, że to dobry znak, i spodziewał się, że najdalej w sierpniu wojna się skończy i wielu Żydów zostanie rozlokowanych w nowych miastach na wschodzie kraju. Zostaniemy rolnikami, powtarzał. Ktoś będzie musiał wyżywić tę ich nową Rzeszę. A życie rolnika nie jest przecież wcale najgorsze.

W maju większość Żydów z Niemiec i zagranicy wywieziono do Auschwitz. Zanim ruszyły pierwsze transporty, mało kto z nas w ogóle słyszał o Oświęcimiu. Do tej pory nasze getto było po prostu ogromną zagrodą, do której Niemcy spędzali Żydów, ale od wiosny na południe wyjeżdżały po cztery transporty dziennie. Jako członek Judenratu ojciec musiał nadzorować te wywózki. Wszystko odbywało się bardzo schludnie, porządnie. Ojciec nie mógł tego znieść; harował w szpitalu całą dobę, jakby chciał w ten sposób odpokutować za swoje winy.

Kolej na nas przyszła pod koniec czerwca, mniej więcej w tym okresie, kiedy zwykle jeździliśmy na farmę stryja Mosze. Całej naszej siódemce kazano się zameldować na dworcu kolejowym. Mama i Josef, mój młodszy brat, płakali, ale w końcu poszliśmy. Ojcu chyba ulżyło.

Nie wysłano nas do Auschwitz, tylko na północ, do Chełmna, wioski

położonej niespełna siedemdziesiąt kilometrów od Łodzi. Miałem kiedyś kolegę, takiego chłopaczka z prowincji, miał na imię Mordechaj... Jego rodzina pochodziła z Chełmna. Znacznie później dowiedziałem się, że to właśnie tam Niemcy przeprowadzili pierwsze próby gazowania ludzi. Zimą, kiedy biedna Stefa umierała na tyfus.

W przeciwieństwie do innych transportów, o których słyszało się różne okropności, nasza podróż nie była wcale taka straszna. W parę godzin dotarliśmy na miejsce. Jechaliśmy ściśnięci jak sardynki, ale przynajmniej upchnięto nas do normalnych wagonów pasażerskich. Dzień był prześliczny. Dwudziesty czwarty czerwca. Na miejscu czułem się trochę jak u stryjka Mosze. Dworzec w Chełmnie był malutki, ot, wiejska stacyjka zagubiona w gęstym, zielonym lesie. Niemcy zaprowadzili nas do czekających ciężarówek, ale zachowywali się swobodnie, prawie jowialnie, nie było krzyków ani popychania jak w Łodzi. Zostaliśmy przewiezieni do odległego o kilkanaście kilometrów obozu. Tam nas zarejestrowano (do dziś pamiętam stojące w rzędach na żwirze biurka urzędników i rozlegające się wokół nas trele ptaków), podzielono według płci i skierowano pod prysznice i do dezynfekcji. Nie mogłem się doczekać, kiedy dołączę do mężczyzn; nawet nie zauważyłem, kiedy moja matka i cztery siostry zniknęły za ogrodzeniem kobiecej części obozu.

Kazano nam się rozebrać i stanąć w szeregu. Bardzo się wstydziłem, bo dopiero zimą tego roku zacząłem dojrzewać. Nie pamiętam za to, żebym się bał. Dzień był ciepły, Niemcy obiecali nam po kąpieli posiłek, dochodzące z lasu i obozu odgłosy tworzyły odświętną, niemal karnawałową atmosferę. Na polanie przed nami stała spora, kolorowo pomalowana furgonetka ozdobiona rysunkami zwierząt i drzew. Ruszyliśmy kolumną w kierunku tej polany, kiedy jeden z esesmanów, młody porucznik w okularach o grubych szklach, trochę nieśmiały z wyglądu, zaczął nas segregować: oddzielał chorych, najmłodszych i najstarszych od reszty - silnych i zdrowych. Przy mnie się zawahał. Nadal byłem drobny jak na swój wiek, ale zimą trochę podjadłem i wiosną wyraźnie zacząłem rosnąć. Esesman uśmiechnął się i skinieniem pałki kazał mi dołączyć do tych silniejszych. Do tej samej grupy trafił mój ojciec, za to Josef, który miał dopiero osiem lat, został razem z dziećmi i starszymi mężczyznami. Rozplakał się. Ojciec powiedział, że nie zostawi go samego, więc ja też wróciłem do kolumny i stanąłem obok nich. Ten porucznik skinął na strażnika. Ojciec kazał mi dołączyć do tamtych. Odmówiłem.

To był jedyny raz w życiu, kiedy ojciec mnie uderzył. Popchnął mnie.

„Idź!”, powiedział, ale tylko pokręciłem głową i nie ruszyłem się z miejsca. Strażnik - krępy sierżant - ruszył w naszą stronę, sapiąc jak lokomotywa. Ojciec spoliczkował mnie, tylko raz, bardzo mocno. „Idź!”, powtórzył. Wstrząśnięty i urażony, zatoczyłem się parę kroków w bok i dołączyłem do swojej grupy, zanim strażnik zdążył podejść bliżej. Esesman ruszył dalej.

Byłem wściekły na ojca; nie rozumiałem, dlaczego nie możemy razem iść pod prysznic. Upokorzył mnie na oczach wszystkich. Łzy gniewu zaszkliły mi wzrok, gdy patrzyłem, jak odchodzi; w porannym świetle jego nagie plecy były bardzo blade. Niósł na rękach Josefa, który przestał płakać i rozglądał się ciekawie. Ojciec obejrzał się jeszcze raz przez ramię, zanim razem ze starcami i dziećmi zniknął mi z oczu.

Reszta z nas - mniej więcej jedna piąta mężczyzn, którzy tego dnia przybyli do obozu - nie została poddana dezynfekcji. Trafiliśmy prosto do obozowych baraków, gdzie wydano nam szorstkie więzienne uniformy.

Ojciec nie przyszedł ani po południu, ani wieczorem. Pamiętam, że zasypiając w brudnym baraku, płakałem z osamotnienia. Myślałem, że rozdzielając nas tam, w kolumnie, ojciec odciął mnie od części obozu przeznaczonej dla rodzin.

Po śniadaniu, na które dostaliśmy zimną kartoflanę, podzielono nas na ekipy robocze. Ta, w której się znalazłem, została skierowana do lasu. Tam zastaliśmy wykopany dół: miał ponad dwieście stóp długości, czterdzieści szerokości i co najmniej piętnaście głębokości. Świeżo wzruszona ziemia dowodziła, że podobne doły tuż obok zostały całkiem niedawno wypełnione i zasypane. Smród powinien mi dać do myślenia, ale oszukiwałem sam siebie, dopóki nie przyjechał pierwszy furgon - jeden z tych kolorowych, które widziałem dzień wcześniej. Bo widzisz, Chełmno było obozem eksperymentalnym. Zebrane w nim doświadczenie posłużyło potem Himmlerowi do wybudowania tam komór gazowych na kwas pruski, ale latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku stosowali jeszcze tlenek węgla, gazując ludzi spalinami w hermetycznych komorach i kolorowych ciężarówkach.

Nasze zadanie polegało na rozdzielaniu ciał, co czasem wymagało znacznej siły, zrzucaniu ich do dołu i przysypywaniu ziemią i wapnem przed przybyciem następnego ładunku. Ciężarówki były niebytno skuteczne, zdarzało się, że nawet połowa ofiar przeżywała próbę zagazowania; tych zbierano na skraju dołu, gdzie żołnierze *Totenkopjverbände* (oddziałów trupiej czaszki), którzy w przerwach między transportami żartowali i palili papierosy, dobijali

ich strzałami z pistoletu. Ale nawet wtedy zdarzali się tacy, którzy przetrwali i gazowanie, i próbę zastrzelenia. Jeszcze się ruszali, kiedy ich grzebaliśmy.

Wieczorem wróciłem do baraku brudny od krwi i kału. Przez całą noc myślałem o śmierci, ale postanowiłem sobie, że jednak przeżyję. Wbrew wszystkiemu. Będę żył, choćby tylko po to, żeby przetrwać.

Skłamałem, że jestem synem dentysty i sam również kształciłem się w tym fachu. Kapo naśmiewali się ze mnie: jak to, taki młody i już pomagier dentysty? Ale nie minął tydzień, jak dołączyłem do ekipy od zębów. Razem z jeszcze trzema Żydami szukaliśmy u zabitych pierścionków, złota, wszelkich wartościowych przedmiotów, stalowymi hakami sondowaliśmy pochwy i odbyty, a na koniec szczypcami wrywałem trupom złote zęby i koronki. Często musiałem pracować wśród zwłok w samym Dole. Sierżant SS, Bauer, zrzucał mi na głowę grudy ziemi i śmiał się do rozpuku. Sam miał dwa złote zęby.

Zwykle po tygodniu albo dwóch Żydów z ekip grzebalnych rutynowo rozstrzeliwano i zastępowano nowymi, ja jednak - może dlatego, że pracowałem szybko i wydajnie - spędziłem w Dole aż dziewięć tygodni. Codziennie rano spodziewałem się, że teraz to już na pewno pora na mnie. Co noc ludzie w barakach odmawiali kadisz, słyszałem ich nawoływania „Eli, Eli” płynące z mroku prycz, sam próbowałem zawierać desperackie przymierza z Bogiem, w którego już nie wierzyłem. „Jeszcze tylko jeden dzień”, powtarzałem. „Jeden dzień”. Najsilniej jednak wierzyłem w swoją wolę przetrwania. Nie wiem, może cierpiałem na młodzieńczy solipsyzm, ale byłem święcie przekonany, że jeśli będę dostatecznie mocno wierzył w to, że przeżyję, to nic złego mi się nie przydarzy.

W sierpniu rozpoczęła się rozbudowa obozu, ja zaś z niewiadomych powodów dostałem przydział do *Waldkommando*, brygady leśnej. Ścinałiśmy drzewa, karczowaliśmy pniaki, wydobywaliśmy kamień na budowę dróg. Co kilka dni całą wracającą z pracy kolumnę kierowano do ciężarówek albo prosto do Dołu. W ten sposób wymieniano skład brygady. Kiedy na początku listopada spadł pierwszy śnieg, miałem w *Waldkommando* najdłuższy staż, nie licząc starego kapo Karskiego.

- Co to jest kapo? - zainteresowała się Natalie.

- Kapo to Żyd z pejczem.

- Pomagali Niemcom?

- Napisano wiele uczonych traktatów o kapo i ich identyfikowaniu się z nazistowskimi oprawcami - odparł Saul. - Stanley Elkins i inni szczegółowo

badali ten typowy dla obozów koncentracyjnych przypadek uległości; zwraca się uwagę na paralele z potulnością czarnych amerykańskich niewolników. Nie dalej jak we wrześniu uczestniczyłem w dyskusji na temat tak zwanego „syndromu sztokholmskiego”, kiedy to zakładnicy nie tylko identyfikują się z porwaczami, ale wręcz udzielają im aktywnego wsparcia.

- Tak jak ta, no... jakżeż ona się nazywa... Patty Hearst.

- Właśnie. Ta... ta dominacja poprzez siłę od lat stanowi moją obsesję, ale do tego jeszcze wrócimy. Później. Na razie ograniczę się do stwierdzenia, że jeśli można powiedzieć o mnie jedną dobrą rzecz w okresie obozowym, to na pewno tę: nie zostałem kapo.

W listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku rozbudowa obozu dobiegła końca, z tymczasowych baraków przeniesiono mnie z powrotem do głównego kompleksu i znów trafiłem do obsługi Dołu. Przez ten czas wybudowano już piece, ale Niemcy nie docenili liczby Żydów w nowych transportach, więc nie mogli całkowicie zrezygnować z ciężarówek i Dołu, za to nie potrzebowali już moich usług w roli dentysty. Sypałem więc wapno, trząsałem się z zimna i czekałem. Zdawałem sobie sprawę, że najdalej za kilka dni podzielę los tych, których grzebię. Ale pewnej nocy, dokładnie dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, coś się wydarzyło.

Saul umilkł. Po dłuższej chwili wstał i podszedł do kominka. Ogień prawie zgasł.

- Nie masz czegoś mocniejszego niż kawa, Natalie? Może... sherry, na przykład?

- Mam, oczywiście. Brandy może być?

- Cudownie.

Chwilę później Natalie wróciła z dużą koniakówką niemal po brzegi wypełnioną brandy. Saul zdążył przez ten czas poszturchać węgle, dorzucić drewna i na nowo pobudzić ogień do życia.

- Dziękuję ci, moja droga.

Zakręcił bursztynowym płynem w kieliszku, zaciągnął się jego zapachem i dopiero wtedy upił pierwszy łyk. Ogień w kominku trząsał i pluł iskrami.

- Więc w ten czwartek... jestem praktycznie pewien, że to był dziewiętnasty listopada... W nocy w naszym baraku zjawiono się pięciu Niemców. Przychodzili tak już wcześniej, za każdym razem wybierali czterech z nas i ci czterej przepadali bez śladu. Od więźniów z pozostałych siedmiu baraków wiedzieliśmy, że i u nich wygląda to podobnie. Nie

rozumieliśmy, dlaczego naziści wybierają taką metodę likwidacji więźniów, skoro codziennie do Dołu trafiały tysiące i nikt się z tym nie krył, ale nie rozumieliśmy wielu rzeczy. Chodziły słuchy o eksperymentach medycznych.

Tej nocy strażnikom towarzyszył młody Oberst, pułkownik. I wybrali mnie.

Obiecałem sobie wcześniej, że jeśli przyjdą po mnie w nocy, będę walczył. Zdaję sobie sprawę, że przeczy to mojemu wcześniejszemu postanowieniu przetrwania za wszelką cenę, ale myśl o tym, że zostanę zabrany z baraku i wyprowadzony gdzieś w ciemną noc, wprawiała mnie w panikę i odbierała wszelką nadzieję. Dlatego byłem gotowy walczyć. Kiedy strażnik kazał mi zejść z pryczy, wiedziałem, że zostały mi dosłownie sekundy życia. Zamierzałem zabić przynajmniej jedną z tych świń, zanim one zabiją mnie.

Nic takiego się nie wydarzyło: Oberst po prostu kazał mi wstać i wyjść, a ja go posłuchałem. Chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że ciało odmówiło mi posłuszeństwa. To nie była kwestia zwykłego tchórzostwa czy uległości, nie; Oberst wszedł mi do głowy. Nie umiem tego inaczej opisać. Czułem to wyraźnie, tak jak byłem gotowy poczuć przeszywające mi ciało kule, których się jednak nie doczekałem; czułem, jak wbrew mojej woli poruszał moimi mięśniami, przestawiał moje stopy, wyprowadził moje ciało z baraku. A esesmani tylko się śmiali.

Nie potrafię opisać tego, co czułem. To niemożliwe. Mógłbym powiedzieć o gwałcie na moim umyśle, ale nawet te słowa nie odzwierciedlają tego wrażenia przymusu i pogwałcenia. Nie wierzyłem i nadal nie wierzę w opętanie przez demony ani inne nadprzyrodzone zjawiska. To, co się wtedy wydarzyło, było przejawem potwornej, lecz jak najbardziej rzeczywistej psychicznej zdolności do kontrolowania umysłów innych ludzi.

Załadowano nas na ciężarówkę, co samo w sobie było wprost niewiarygodne: poza krótką, zwodniczą przejażdżką z dworca do obozu Żydzi nie mieli prawa wstępu do pojazdów; tamtej zimy niewolnicy byli w Polsce znacznie tańsi niż benzyna. Wywieźli nas w głąb lasu, dwa samochody po szesnaście osób w każdym; była wśród nas jedna młoda kobieta z żeńskiej części obozu. Gwałt umysłowy chwilowo się skończył, pozostawił jednak po osobie osad bardziej odrażający i krępujący niż ekskrementy, którymi dzień w dzień brudziłem się podczas służby w Dole. Po zachowaniu i wymienianych szeptem uwagach zorientowałem się, że pozostali Żydzi czegoś takiego na razie nie doświadczyli. Prawdę mówiąc,

zaczynałem powątpiewać w swoje zdrowe zmysły.

Podróż trwała niecałą godzinę. Z tyłu, na skrzyni ciężarówki, jechał z nami jeden strażnik, uzbrojony w pistolet maszynowy. W obozie wartownicy prawie nigdy nie nosili broni automatycznej, z obawy przed tym, że mogłaby im zostać odebrana. Gdyby nie to, że jeszcze nie doszedłem do siebie po koszmarnych przeżyciach w baraku, spróbowałbym pewnie obezwładnić Niemca albo przynajmniej wyskoczyć z samochodu, ale sama świadomość obecności Obersta w szoferce napawała mnie lękiem, jakiego nie doświadczyłem od miesięcy.

Minęła północ, zanim dotarliśmy do położonego głęboko w lesie dworu, większego nawet niż ten, wokół którego zbudowano Chełmno. Amerykanie nazwaliby go zamkiem, ale myśliwski dworek był zarazem czymś więcej i mniej niż zamek. Była to jedna z tych prastarych budowli, na jakie czasem można się natknąć w leśnych ostępach mojej ojczyzny: ogromny kamienny gmach, starszy niż nasza historia, rozbudowywany przez niezliczone pokolenia odludków wywodzących swój ród z czasów przedchrześcijańskich.

Ciężarówki się zatrzymały. Kazano nam wysiąść i zapędzono nas do piwnicy nieopodal głównej części gmachu. Sądząc po wojskowych samochodach zaparkowanych wśród pozostałości ozdobnego ogrodu oraz po dobiegającym z wnętrza zgiełku, przypuszczałem, że Niemcy zajęli posiadłość na ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy dla wybranych. I rzeczywiście, kiedy znaleźliśmy się w ciemnej i zamkniętej na cztery spusty piwnicy, litewski Żyd z drugiej ciężarówki szeptem objaśnił nam, że rozpoznał oznaczenia tych pojazdów. Należały do *Einsatzgruppe 3*, grupy operacyjnej, która wślawiła się likwidacją całych żydowskich wiosek nieopodal Dźwińska, gdzie ów człowiek mieszkał przed wojną. Nawet funkcjonariusze *SS-Totenkopfverbände*, którzy przecież zajmowali się eksterminacją więźniów w obozach, wypowiadali się o *Einsatzgruppen* z nabożną trwogą.

Minął jakiś czas, zanim przyszli strażnicy z pochodniami. W piwnicy były nas trzydzieści dwie osoby. Zostaliśmy podzieleni na dwie równe grupy i zaprowadzeni na górę do dwóch oddzielnych pokojów. Naszej grupie kazano się ubrać w zgrzebne tuniki z farbowanego na czerwono płótna z białymi znakami na piersi; strażnicy wskazywali, kto którą kurtkę ma włożyć. Mój znak - wieża lub ozdobna latarnia uliczna - nic mi nie mówił. Mój sąsiad miał na piersi białego słonia z uniesioną prawą przednią nogą.

Zabrano nas do głównej sali, gdzie powitał nas widok jakby żywcem

wyjęty ze średniowiecza i obrazów Hieronima Boscha: setki morderców z SS i *Einsatzgruppen* wylegiwały się, grały w karty i pieprzyły się, gdzie popadło. Polskie wiejskie dziewczyny, niektóre jeszcze bardzo młode, praktycznie dzieci, pełniły rolę służących i niewolnic mężczyzn w szarych mundurach. Migotliwe światło wetkniętych w naścienne uchwyty pochodni upodabniało całą scenę do gorączkowych majaków o piekle. Kawałki jedzenia wały się i gnęły tam, gdzie je porzucono. Wiekowe gobeliny były poplamione i szerniały od sadzy. Niegdyś wspaniały stół bankietowy został niemal posiekany na kawałki, gdy Niemcy bagnietami powyrzynali w nim swoje imiona. Na podłodze leżeli śpiący i nieprzytomni żołnierze. Na moich oczach dwóch mundurowych oddało mocz na ozdobny kobierzec, który musiał trafić do kraju z Ziemi Świętej podczas którejś z wypraw krzyżowych.

W ogromnej sali najbardziej rzucał się w oczy jej środek - wolny od sprzętów i ludzi kwadrat o wymiarach mniej więcej jednaście na jednaście metrów, wyłożony płytami tworzącymi czarno-białą szachownicę; każde jej pole mierzyło cztery na cztery stopy. Na przeciwległych krańcach szachownicy, tuż poniżej balkonów, na kamiennych płytach stały dwa masywne krzesła. Na jednym z tych tronów zasiadł znany mi już młody Oberst: jasna karnacja, blond włosy, typowy Aryjczyk. Miał białe, szczupłe dłonie. Naprzeciw niego na drugim krześle siedział prawdziwy starzec, na pierwszy rzut oka równie wiekowy jak otaczające nas kamienne mury. On również miał na sobie mundur SS, i to mundur generalski, bardziej jednak przypominał zasuszony woskowy manekin, który złośliwe dzieci wystroiły w workowaty, obwisły uniform.

Bocznymi drzwiami wprowadzono do sali Żydów z drugiej ciężarówki, ubranych w jasnoniebieskie tuniki opatrzone czarnymi symbolami, podobnymi do naszych. Znajdująca się w tej drugiej grupie kobieta miała na sobie błękitną suknię ozdobioną na piersi rysunkiem korony lub diademu. I wtedy do mnie dotarło, co się dzieje. W moim stanie permanentnego lęku i wyczerpania żaden, nawet najbardziej obłąkany pomysł nie wydawał mi się zbyt dziwaczny, żeby w niego uwierzyć.

Kazano nam wejść na szachownicę. Byłem pionkiem, białym pionkiem ustawionym przed gońcem. Stałem trzy metry przed tronem Obersta, nieco na prawo od niego, twarzą w twarz z przerażonym litewskim Żydem, który był pionkiem czarnego gońca.

Krzyki i śpiewy ucichły. Niemieccy żołnierze zgromadzili się wokół nas, przepychając się i walcząc o jak najlepsze miejsca przy samej planszy;

niektórzy wspinali się na schody, inni tłoczyli się na balkonach. Na pół minuty zapadła cisza, maćona tylko skwierczeniem pochodni i ciężkimi oddechami tłumu. Staliśmy na wyznaczonych polach - trzydziścioro dwoje przerażonych, wygłodzonych Żydów, białych, wytrzeszczających oczy, oddychających szybko, płytko i czekających, co się wydarzy dalej.

W końcu Starzec pochylił się lekko na tronie i otwartą dłonią skinął na Obersta, który z uśmiechem pokiwał głową. Gra się rozpoczęła.

Oberst skinął głową po raz drugi i pionek stojący na lewo ode mnie - wychudzony starszy mężczyzna z szarą szczecina na policzkach - chwiejnym krokiem przesunął się dwa pola do przodu. Starzec w odpowiedzi wysunął swojego pionka królewskiego. Po ruchach skonsternowanych nieszczęśników poznawałem, że nie panują nad swoimi ciałami.

Grywałem czasem w szachy z ojcem i stryjem. Znałem standardowe otwarcia, więc nie byłem zaskoczony rozwojem sytuacji. Oberst spojrział w prawo i krępy Polak w tunice szachowego skoczka wyszedł z tylnego szeregu i stanął przede mną. Starzec wyprowadził skoczka po stronie królowej. Oberst odpowiedział wyjściem gońca - niskiego mężczyzny z zabandażowaną lewą ręką, który, wynurzywszy się zza moich pleców, stanął w piątym szeregu na linii naszego gońca królowej. Starzec pchnął pionka królowej jedno pole do przodu.

Pomyślałem, że wołałbym nosić na piersi każdy inny symbol, byle nie znak pionka. Krępa sylwetka stojącego przede mną skoczka-wieśniaka dawała mi naprawdę minimalne poczucie bezpieczeństwa. Pionek stojący na prawo ode mnie obejrzał się przez ramię - i natychmiast skrzywił się z bólu, gdy Oberst siłą odwrócił go w przód. Ja nie próbowałem się odwracać. Trzęsły mi się nogi.

Oberst pchnął pionka królowej dwa pola w przód, na pole obok wcześniej wysuniętego pionka królewskiego. Nasz pionek królowej - dzieciak jeszcze, chłopiec dwunasto-, może trzynastoletni - zerkał lękliwie na boki, nie obracając głowy. Tylko stojący przede mną skoczek chronił go w tej chwili przed zakusami pionka Starca.

Starzec skinął dyskretnie lewą dłonią: goniec wyszedł przed Holenderkę występującą w roli królowej czarnych. Był biały jak ściana. W piątym ruchu Oberst wprowadził do gry drugiego skoczka. Nie widziałem jego twarzy. Zgromadzeni wokół planszy esesmani pokrzykiwali i klaskali po każdym ruchu niczym widzowie na meczu piłkarskim. Dolatywały mnie urywki

rozmów, w których przeciwnika Obersta nazywano *Der Alte*, czyli „Starym”. Sam Oberst miał przydomek *Der Meister*.

Starzec pochylił się na krześle - przypominał teraz wielkiego białego pająka - i jego skoczek królewski wysunął się przed pionka stojącego przed gońcem. Był młody i silny, musiał trafić do obozu najdalej kilka dni temu. Uśmiechał się kretyńsko, jakby ta makabryczna rozgrywka sprawiała mu przyjemność.

Jakby w odpowiedzi na ten uśmiech, Oberst przestawił naszego chudziutkiego gońca na pole zajmowane przez drugiego skoczka. Dopiero teraz rozpoznałem gońca - był nim stolarz z naszego baraku, który dwa dni wcześniej skaleczył się przy piłowaniu desek na budowę sauny dla strażników. Zdrową ręką poklepał czarnego skoczka po ramieniu; mógłby w ten sposób poklepać kolegę, którego przyszedł złuzować na posterunku.

Nie widziałem błysku wystrzału. Karabin wypalił gdzieś na balkonie nad moją głową. Hałas był ogłuszający: podskoczyłem i odruchowo próbowałem się odwrócić, zanim wola Obersta jak imadło unieruchomiła mi kark. Twarz młodego skoczka zniknęła w chmurze czerwono-szarej mgły, gdy jego czaszka eksplodowała na skutek trafienia. Za jego plecami pionki skuliły się z przerażenia, ale natychmiast musiały się wyprostować - w bólu i wbrew swojej woli. Ciało skoczka opadło w tył, lądując prawie na tym samym polu, z którego się poruszył. Dwaj esesmani zabrali je z szachownicy. Odłamki kości i skrawki substancji szarej zbryzgały kilka najbliższych czarnych bierek, ale nikomu więcej nie stała się krzywda. Sala eksplodowała wiwatami.

Starzec znów pochylił się nad planszą. Czarny goniec wyszedł na spotkanie naszego i lekko dotknął jego obandażowanej ręki. Tym razem na wystrzał musieliśmy chwilę poczekać. Kula trafiła naszego gońca pod lewą łopatkę. Zatoczył się dwa kroki w przód, zatrzymał się, sięgnął prawą ręką do pleców, jakby chciał się podrapać, w końcu kolana się pod nim ugięły i osunął się na posadzkę. Z tłumu wyszedł niemiecki sierżant, przystawił mu lugera do skroni i strzelił, po czym ściągnął drgające jeszcze zwłoki z planszy. Gra została podjęta.

Oberst przesunął naszą królową dwa pola do przodu. Dzieliło mnie od niej tylko jedno puste pole i widziałem wyraźnie, że paznokcie ma ogryzione prawie do żywego mięsa. Przypomniała mi się moja siostra, Stefa; sam się zdziwiłem, kiedy łzy napłynęły mi do oczu. Pierwszy raz zapłakałem nad losem Stefy.

Przy wtórce pijackiego ryku tłumu Starzec wykonał następny ruch: jego pion królewski zbił naszego pionka królowej - brodacza z Polski, ortodoksyjnego Żyda. Karabin wypalił dwukrotnie, raz za razem. Zbryzgany krwią czarny pion zajął miejsce białego.

Oberst przesunął stojącego przede mną wieśniaka i nikt nie zasłaniał mi już widoku. Ponad trzema pustymi polami szachownicy spojrzałem w twarz czarnego skoczka. W blasku pochodni ludzie na planszy rzucali długie cienie. Stojący przy skraju planszy esesmani wykrzykiwali dobre rady. Bałem się odwrócić i spojrzeć na Obersta, obserwowałem jednak czujnie Starca, który poruszył się niespokojnie na swojej grzędzie. Chyba dotarło do niego, że przegrywa walkę o środek pola.

Poruszył głową i pionek królewskiego skoczka przesunął się o jedno pole naprzód. Jedyne ocalały goniec Obersta zablokował mu dalszą drogę, jednocześnie zagrażając czarnemu gońcowi. Tłum odpowiedział owacją.

Otwarcie dobiegło końca i rozpoczęła się właściwa rozgrywka. Obaj gracze zrobili roszady. Obaj wprowadzili wieże do gry. Oberst postawił przede mną królową. Patrzyłem na jej łopatki, ostro zarysowane pod materiałem sukni, i na opadające na ramiona kosmyki kędzierzawych włosów. Na przemian zaciskałem i rozluźniałem pięści. Od rozpoczęcia gry nie poruszyłem się ani o krok. Od okropnego bólu głowy latały mi plamy przed oczami, bałem się, że zemdleję. Ciekawe, co by się wtedy stało? Czy Oberst pozwoliłby mi się osunąć na ziemię, czy też jego wola utrzymałaby moje nieprzytomne ciało w pozycji stojącej? Łapczywie chwytając powietrze, skoncentrowałem się na grze migotliwego światła na kobiercach zdobiących przeciwległą ścianę.

W czternastym ruchu Starzec wystawił gońca przeciw naszemu skoczkowi-wieśniakowi. Tym razem obyło się bez strzału. Na planszę wszedł gruby sierżant SS i podał gońcowi czarny ceremonialny nóż. W sali zapadła cisza. Blask pochodni tańczył na ostrej stali. Krępy skoczek wił się i szarpał; widziałem, jak jego mięśnie ramion napinają się w rozpaczliwej próbie wyzwolenia się spod władzy Obersta. Na próżno. Goniec jednym ruchem ostrza poderżnął mu gardło. Esesman zabrał mu nóż i dał znak dwóm pomagierom, żeby zabrali zwłoki. Gra potoczyła się dalej.

Jedna z naszych wież zbiła natarczywego gońca czarnych. Ponownie użyto noża. Stałem za plecami naszej młodej królowej z kurczowo zaciśniętymi powiekami. Otworzyłem je kilka ruchów później, gdy Oberst pchnął królową jedno pole w przód; miałem ochotę zaszlochać, rozpłakać się

w głos, kiedy mnie zostawiła. Starzec odpowiedział ruchem swojej królowej: młoda Holenderka przeszła skosem przez planszę i stanęła na piątym polu linii wieży. Dzielilo mnie od niej tylko jedno pole. Puste pole. Ze strachu rozboleł mnie brzuch.

Oberst przeszedł do natarcia. Najpierw poruszył królewskiego pionka po lewej stronie. Starzec odpowiedział wyprowadzeniem pionka sprzed wieży, rumianego mężczyzny, którego znałem z brygady leśnej. Oberst również wysunął w przód pionka na linii wieży. Niewiele widziałem, większość więźniów była ode mnie wyższa, a w dodatku nie widziałem w nich figur szachowych, tylko po prostu plecy, ramiona, łyse głowy i spoconych ludzi, spróbowałem więc wyobrazić sobie szachownicę. Pamiętałem, że za plecami mam już tylko króla i jedną z wież. W mojej linii nieporuszony został tylko królewski pionek. Przed sobą, z lewej strony, miałem tłumek złożony z królowej, pionka, wieży i gońca. Nieco dalej na lewo stał nasz osamotniony skoczek. Jeszcze dalej, na skrajnej linii szachownicy, zwały się dwa pionki. Z prawej strony cały czas zagrażała mi czarna królowa.

Nasz król - wychudzony Żyd po sześćdziesiątce - poruszył się w prawo po skosie. Starzec ustawił obie wieże przed królem. Nasza królowa niespodziewanie odsunęła się w prawo i do tyłu, na drugie pole w linii wieży. Zostałem sam. Cztery puste pola dzieliły mnie od wpatrującego się we mnie przerażonym wzrokiem Żyda z Litwy.

Nagle poczułem, że moje stopy suną w przód po marmurze. Przemieszczałem się. Czułem czyjąś okrutną, niezaprzeczalną obecność w głowie; pętała mnie, popychała i zaciskała mi szczęki, dławiąc krzyk zrodzony głęboko w trzewiach, u nasady kręgosłupa. Zatrzymałem się na tym samym polu, na którym wcześniej stała nasza królowa, mając po bokach inne białe pionki. Starzec wystawił przeciwko mnie swojego skoczka, który spojrzał na mnie ponad pustym białym polem. Tłum się rozkręcał, narastające okrzyki „*Meister! Meister!*” przybierały śpiewną nutę.

Znów się poruszyłem, tym razem tylko o jedno pole. Jako jedyna biała bierka przekroczyłem linię dzielącą planszę na pół. Za plecami po prawej zostawiłem czarną królową, ale jej stałą obecność czułem równie wyraźnie jak obecność niewidocznego Strzelca z karabinem na balkonie. Z odległości pół metra wpatrywałem się w spoconą twarz i udręczone oczy czarnego skoczka, za którym kulił się litewski Żyd.

Czarna wieża minęła mnie z lewej strony i weszła na pole zajmowane przez białego pionka obok mnie. Mężczyźni złapali się jak zapaśnicy i zaczęli

się siłować. W pierwszej chwili pomyślałem, że Oberst albo Starzec stracili kontrolę nad figurami, zaraz jednak uświadomiłem sobie, że to także jest element gry. Rozpaleni żądzą krwi niemieccy żołnierze wprost wyli z zachwytu. Wieża była silniejsza (albo słabiej powstrzymywana) i pionek musiał ulec pod jej naciskiem. Udało jej się w końcu złapać go obiema rękami za gardło. Dłonie zaczęły się zaciskać. Rozległ się przeciągły, suchy charkot i pionek osunął się na ziemię.

Ledwie uprzątnięto ciało, Oberst zbił wieżę skoczkiem i znów rozgorzała walka. Tym razem to czarna wieża została odciągnięta na bok. Nieszczęśnik wpatrywał się w przestrzeń wybałuszonymi oczami, jego bezwładne stopy wlokły się po marmurze.

Czarny skoczek wyminął mnie, powłócząc nogami, i zmagania na polu obok mnie wybuchły po raz trzeci. Mężczyźni szamotali się nieporadnie, próbowali wyłupić sobie nawzajem oczy, wymierzali kopniaki kolanami, w końcu biały skoczek został wypchnięty na puste pole za moimi plecami. Tym razem strzał musiał paść z balkonu przede mną, bo poczułem podmuch powietrza od mijającej mnie w locie kuli i usłyszałem, jak uderza w ciało. Umierając, skoczek zatoczył się na mnie, jego dłoń na sekundę zacisnęła się na mojej kostce, jakby błagał o pomoc. Nie odwróciłem się.

Nasza królowa znów znalazła się za moimi plecami. Czarny pionek z mojej prawej strony przesunął się do przodu, żeby jej zagrozić. Gdybym mógł, złapałbym go i zatrzymał - ale nie mogłem. Królowa cofnęła się o trzy pola. Starzec pchnął w przód pion na linii królowej. Oberst odpowiedział ruchem drugiego pionka na linii gońca.

- *Meister! Meister!* - zawodził tłum.

Starzec wycofał królową o dwa pola.

A ja znów przesunąłem się do przodu i stanąłem oko w oko z Żydem z Litwy. Stał sztywno, nieruchomo, sparaliżowany strachem. Czyżby nie wiedział, że nie mogę mu zrobić krzywdy, dopóki stoimy na jednej linii? Tego nie wiem. Wiem za to, że ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że czarna królowa może mnie w każdej chwili zlikwidować. Jedynym gwarantem mojego bezpieczeństwa była w tej chwili niewidoczna dla mnie, a znajdująca się pięć pól za moimi plecami nasza królowa. A jeśli *Der Alte* pójdzie na wymianę królowych?

On jednak wycofał wieżę na pole zajmowane pierwotnie przez króla.

Z lewej strony wybuchło małe zmieszanie, gdy biały pionek zbił czarnego, po czym sam padł ofiarą żyjącego jeszcze czarnego gońca. Przez

chwilę znajdowałem się całkiem sam na terytorium wroga - dopóki Oberst nie ustawił królowej za moimi plecami. Wiedziałem już, że cokolwiek się wydarzy, nie będę sam. Wstrzymałem oddech i czekałem.

Nic się nie wydarzyło. Chociaż nie, niezupełnie: Starzec wstał z tronu, skinął ręką i wyszedł. Poddał się. Pijana tłuszcza funkcjonariuszy *Einsatzgruppen* ryknęła triumfalnie. Gromada żołnierzy z insygniami czaszki obstała Obersta, podniosła go i zaczęła obnosić po sali. Stałem nieruchomo i patrzyłem na Litwina naprzeciwko mnie; obaj mrugaliśmy głupawo powiekami. Gra się skończyła. Instynktownie wyczuwałem, że odegrałem kluczową rolę w zwycięstwie Obersta, ale byłem za tępy, żeby to zrozumieć. Widziałem tylko zmęczonych, skonsternowanych Żydów, którzy z ulgą wsłuchiwali się w rozbrzmiewające w sali radosne pokrzykiwania. Zginęło sześciu ludzi po naszej stronie, brakowało również sześciu czarnych bierek, ale reszta mogła się już swobodnie poruszać. Zbiliśmy się w gromadę i kręciliśmy bez celu w miejscu. Odwróciłem się i objąłem stojącą za mną kobietę. Płakała.

- Szalom - powiedziałem, całując ją po rękach. - Szalom.

Żyd z Litwy padł na kolana na swoim białym polu. Pomogłem mu wstać.

Ludzie z pistoletami maszynowymi przecisnęli się przez tłum i wyprowadzili nas do pustego przedsionka. Tam kazali nam się rozebrać, zrzucili nasze ubrania na stertę i zabrali nas na zewnątrz, w noc, żeby nas rozstrzelać.

Musieliśmy sami wykopać sobie grób. Na polanie czterdzieści metrów od dworku znaleźliśmy kilka szpadli, którymi wykopaliśmy płytki, szeroki rów; żołnierze przyświecali nam pochodniami albo stali obojętnie i palili papierosy. Ziemia była przyprószone śniegiem, skuta mrozem i twarda jak kamień; nie byliśmy w stanie wryć się w nią głębiej niż na pół metra. Pomiędzy tępymi uderzeniami szpadli o ziemię słyszałem dobiegające z dworku wybuchy śmiechu. Palące się w oknach na piętrze lampy rzucały prostokątne plamy światła na kryty dachówką mansardowy dach.

Tylko strach i wysiłek fizyczny powstrzymywały nas przed zamarznięciem. Moje bosa stopy przybrały paskudny sinobiaławy odcień, straciłem czucie w palcach. Kopanie dobiegało końca, wiedziałem, że nadchodzi moment decyzji. Było bardzo ciemno, dlatego uznałem, że największe szanse daje ucieczka w las. Byłoby najlepiej, gdybyśmy wszyscy naraz rzucili się do ucieczki, ale niektórzy z nas, ci najstarsi, byli zbyt

przemarznięci i wyczerpani, żeby się szybciej ruszać, a nie wolno nam było rozmawiać. Dwie kobiety stały kilka metrów od rowu, bezskutecznie usiłując zasłonić swoje nagie ciała, kiedy strażnicy oglądali je w świetle pochodni i rzucali niewybredne żarty.

Wahałem się, czy po prostu zacząć biec, czy najpierw spróbować powalić jednego z wartowników uderzeniem szpadla i zabrać mu broń. Nawet jeśli wziąć pod uwagę, że byli to funkcjonariusze *Einsatzgruppen*, to byli przecież pijani i odprężeni. Musiałem decydować szybko.

Szpadel. Wybrałem nawet strażnika - niskiego, młodego chłopaka, który parę kroków ode mnie przysypiał na stojąco. Mocniej ścisnąłem uchwyt szpadla.

- *Halt! Wo ist denn mein Bauer?*

Buty zbliżającego się Obersta zachręściły na śniegu. Miał na sobie gruby płaszcz i oficerską czapkę. Znalazłszy się w kręgu światła, rozejrzał się. Pytał o pionka. Ale którego?

- *Du!* - Skinął na mnie. - *Komm her!*

Skuliłem się, oczekując ponownego gwałtu na umyśle, ale nic takiego nie nastąpiło. Wyskoczyłem z płytkiego dołu, oddałem szpadel strażnikowi i stanąłem - nagi i drżący - przed Oberstem. Przed tym, którego Niemcy nazywali *Der Meister*.

- Kończcie tutaj - ponaglił po niemiecku nadzorującego nas sierżanta. - *Schnell!*

Sierżant skinął służbiście głową i zebrał Żydów w jednym miejscu na skraju wykopu. Kobiety przycupnęły na drugim końcu, obejmując się wzajemnie chudymi rękami. Sierżant kazał się wszystkim położyć w płytkim dole. Trzech ludzi, którzy mu odmówili, zastrzelono tam, gdzie stali; jeden z nich - ten, który na szachownicy grał króla czarnych - padł w drgawkach niespełna dwa metry ode mnie. Wpatrywałem się w swoje martwiejące stopy i starałem się nie poruszyć, ale wstrząsały mną coraz gwałtowniejsze dreszcze. Innym Żydom kazano postracać ciała zabitych do Dołu, zanim sami się w nim położą. A potem zapadła cisza. Białe plecy i pośladki moich towarzyszy niedoli były wyraźnie widoczne w blasku pochodni. Sierżant wydał rozkaz. Zaczęli strzelać.

Trwało to niecałą minutę. Odgłos pistoletów maszynowych i lekkich karabinów wydawał mi się przytłumiony, nieistotny - ciche *puf* i kolejna naga, biała sylwetka przez chwilę miotła się w grobie, zanim znieruchomiała. Kobiety zginęły, trzymając się w objęciach. Żyd z Litwy

zawołał coś po hebrajsku i dźwignął się na kolana, jakby z rozrzuconymi ramionami chciał coś wykrzyczeć niebu lub wartownikom (do dziś nie wiem, do kogo się zwracał), zanim seria z pistoletu maszynowego prawie go przepołowiła.

Ja przez ten czas stałem, trząsałem się, patrzyłem na swoje stopy i modliłem się o dar niewidzialności. Zanim jednak skończyli z tamtymi, sierżant odwrócił się do mnie.

- Tego też, *mein Oberst?* - zapytał.

- *Mein zuverlässiger Bauer?* - odpowiedział pytaniem Oberst. „Mojego zaufanego pionka?”. - Urządzamy polowanie - dodał.

- *Eine Jagd?* - upewnił się sierżant. - *Heute Nacht?*

- *Wenn es dämmert.*

- *Auch Der Alte?*

- *Ja.*

- *Jawohl, mein Oberst.*

Sierżant był wyraźnie zde gustowany; zanosilo się na to, że tej nocy sobie nie pości.

Strażnicy zaczęli przysypywać ciała cienką warstwą zmrożonej ziemi, a ja zostałem zaprowadzony z powrotem do piwnicy dworku i tam skuty łańcuchem. Stopy zaczęły mnie najpierw mrowić, potem palić żywym ogniem. Ból był potworny, ale mimo to drzemałem, kiedy wrócił sierżant. Rozkuł mnie i kazał mi się ubrać. Włożyłem bieliznę, niebieskie wełniane spodnie, koszulę, gruby sweter, grube skarpety i solidne buty, tylko odrobinę przymałe. Cudownie było móc włożyć prawdziwe ubranie po miesiącach chodzenia w obozowych łachach.

Sierżant zabrał mnie na dwór, gdzie czekało już czterech esesmanów. Mieli latarki i ciężkie karabiny, a jeden prowadził na smyczy owczarka niemieckiego. Czekali cierpliwie, aż pies mnie dobrze obwącha. W dworku zrobiło się cicho, światła pogasły. Noc blakła, stawała się półprzejrzysta i szarawa. Zbliżał się świt.

Strażnicy akurat pogasili latarki, kiedy podeszli do nas Oberst i stary generał, tym razem w cywilnych ubraniach - grubych zielonych kurtkach myśliwskich i pelerynach. Obaj byli uzbrojeni w cywilne sztucery sporego kalibru z celownikami optycznymi.

Nagle wszystko stało się jasne. Dokładnie wiedziałem, co się za chwilę stanie, byłem jednak zbyt wyczerpany, żeby się tym przejąć.

Oberst skinął na strażników, którzy podeszli do niego i generała. Długo

stałem nieruchomo; nie chciałem zrobić tego, czego po mnie oczekiwali. W końcu sierżant warknął na mnie, niemiłosiernie kalecząc polski:

- Uciekaj! Uciekaj, ścierwo żydowskie! Biegiem!

Nadal ani drgnąłem. Pies szarpał się na smyczy, warczał i szczyrzył kły. Sierżant strzelił mi z karabinu pod nogi; obłoczek śniegu wzbił się spomiędzy moich stóp. Nie poruszyłem się. I wtedy poczułem pierwsze ostrożne muśnięcie w umyśle.

Uciekaj, *kleiner Bauer*. Uciekaj!

Jedwabisty szept w głowie przyprawiał mnie o mdłości. Odwróciłem się i pobiegłem w las.

W moim stanie nie mogłem biec zbyt długo, wystarczyło kilka minut, żebym dostał zadyszki i zaczął się potykać. Zostawiałem wyraźne ślady na śniegu, ale nic nie mogłem na to poradzić. Niebo jaśniało coraz bardziej, a ja brnąłem w kierunku - miałem nadzieję - południowym. Za plecami słyszałem wściekłe psie jazgotanie: myśliwi ruszyli moim tropem.

Przebiegłem niewiele ponad kilometr, gdy wypadłem z lasu na odsłonięty teren. Na przestrzeni około stu metrów wycięto wszystkie drzewa i podszyt. Przez środek tej ziemi niczyjej przeciągnięte były zwoje drutu kolczastego, ale to nie ich widok sprawił, że stanąłem jak wryty. Na środku wykarczowanej polany czarny napis na białej tablicy obwieszczał po polsku i niemiecku: STÓJ! POLE MINOWE!

Szczekanie rozbrzmiewało coraz bliżej. Skręciłem w lewo i puściłem się zdyszany, nierównym truchtem. Wiedziałem, że jestem w potrzasku, pole minowe musiało obejmować całą posiadłość przerobioną na prywatny rezerwat łowiecki dla Niemców. Moją jedyną nadzieją było znalezienie drogi, którą przywieziono nas wieczorem; miałem wrażenie, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność. Na drodze na pewno zastanę szlabany i wartownie, ale przynajmniej będę miał szansę. Zresztą lepsza śmierć z rąk wartowników niż powrót do koszmaru, który zostawiłem za sobą. Postanowiłem nawet, że wbiegnę na pole minowe, zanim ci z tyłu zdążą do mnie strzelić.

Dotarłem do płytkiego strumyka, kiedy nastąpiła kolejna próba umysłowego gwałtu. Stałem nieruchomo, zapatrzony w na wpół zamarznąłą wodę, kiedy poczułem, jak we mnie wszedł. Próbowałem mu się opierać, złapałem się za głowę, osunąłem na kolana w śnieg, ale po chwili Oberst już we mnie był, wypełnił mój umysł, jak woda wypełnia usta, nozdrza i płuca tonącego. Chociaż nie, to było jeszcze gorsze. Miałem wrażenie, że

gigantyczny tasiemiec wgryzł mi się w czaszkę i przewiercił do mózgu. Krzyczałem, lecz z moich ust nie dobył się żaden dźwięk. Chwiejnie wstałem.

Komm her, mein kleiner Bauer! - wyszeptał bezgłośnie Oberst.

Jego myśli zmieszały się z moimi, stłamsiły je, zepchnęły moją wolę w ciemną, głęboką otchłań. Przed oczami wyobraźni mignęły mi twarze, miejsca, mundury, pokoje... Unosiły mnie fale nienawiści i arogancji. Zamiłowanie Obersta do przemocy napełniło mi usta miedzianym smakiem krwi.

Komm - rozbrzmiewał szept w mojej głowie, uwodzicielski i ohydny jednocześnie, jak wciskający mi się do ust język drugiego mężczyzny.

Patrzyłem, jak wbiegam do strumienia, skręcam na zachód (prosto w stronę ścigających mnie myśliwych) i biegnę ile sił w nogach, łapiąc powietrze płytkimi, bolesnymi haustami. Lodowata woda ochlapała mi nogi, wełniane spodnie nasiąkły nią i zaczęły mi ciążyć. Krwawiłem z nosa, krew płynęła mi strumieniem po twarzy i szyi.

Komm her!

Wygramoliłem się ze strumienia i na miękkich nogach doczłapałem do sterty głazów w lesie. Moje ciało miotało się i podrygiwało jak marionetka, gdy wspiąłem się na skałki i wcisnąłem w szczelinę wśród nich. Leżałem z policzkiem opartym o kamień, krew z mojego nosa zbierała się w kałużę na zmrożonym mchu, a ja nasłuchiwałem zbliżających się głosów. Myśliwi znajdowali się gdzieś pomiędzy drzewami, najdalej pięćdziesiąt kroków ode mnie. Spodziewałem się, że otoczą skałki, wśród których się ukryłem, po czym Oberst każe mi wstać i wystawić się na strzał. Próbowałem poruszyć nogami, przesunąć rękę, ale miałem wrażenie, że ktoś poprzecinał linki łączące mój mózg z resztą ciała. Byłem unieruchomiony w szczelinie. Równie dobrze głazy mogłyby mi się po prostu zwalić na głowę.

Usłyszałem rozmowę, a potem - to było wprost nie do wiary - głosy oddaliły się w kierunku, z którego dziesięć minut wcześniej przybyłem. Słyszałem szczekanie psa, który podjął mój trop. Dlaczego Oberst się mną bawił? Wyteżyłem umysł, usiłując wysondować jego myśli, ale zbył moje słabe i nieudolne próby z taką samą łatwością, z jaką mógłby pacnięciem ręki pozbyć się namolnego insekta.

Nagle znów byłem w ruchu, biegłem przykucnięty wśród drzew, czułgałem się po śniegu. Poczulem dym z papierosów, zanim ich zobaczyłem. Starzec i sierżant przystanęli na polanie; Starzec siedział na

zwalonej kłodzie ze sztucerem na kolanach. Sierżant stał przy nim, odwrócony tyłem do mnie, i machinalnie bębnił palcami po kolbie karabinu.

Poderwałem się i puściłem biegiem, szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Sierżant ledwie zdążył się odwrócić, kiedy doskoczyłem do niego i wyrznięłem go barkiem. Byłem od niego niższy i znacznie drobniejszy, ale impet zderzenia powalił go na ziemię. Przeturlałem się po ziemi, krzycząc bezgłośnie; o niczym tak nie marzyłem, jak o tym, żeby odzyskać władzę w członkach i uciec w głąb lasu, lecz zamiast tego wyrwałem Starcowi sztucer i zacząłem nim okładać sierżanta po twarzy i szyi, posługując się bronią o pięknie rzeźbionej kolbie jak maczugą. Kiedy po omacku sięgnął po swój karabin, zmiażdżyłem mu dłoń obcasem, a potem uderzyłem go kolbą w twarz, aż chrupnęły kości, i biłem dotąd, dopóki nie zostało nic, co można by jeszcze nazwać twarzą. Odrzuciłem karabin i odwróciłem się do Starca.

Dalej siedział na kłodzie. W jednej ręce trzymał wyjętego z kabury lugera, z kącika ust zwisał mu tłący się papieros. Wyglądał, jakby miał z tysiąc lat, ale na tej pomarszczonej karykaturze twarzy błąkał się uśmiech.

- *Sie!*- powiedział. Wiedziałem, że nie mówi do mnie.

- *Ja, Alte* - odparłem, bezbrzeżnie zdumiony, że głos dobył się z moich ust. - *Das Spiel ist beendet.*

- *Zobaczmy* - powiedział Starzec i wycelował do mnie z pistoletu.

Podskoczyłem odruchowo. Pocisk przeszył mi sweter na wylot i otarł się o żebra.

Zanim Starzec zdążył strzelić drugi raz, złapałem go za przegub dłoni z pistoletem. Poderwał się i zaczęliśmy zataczać piruety na śniegu, złączeni w dziwnym tańcu: wymizerowany młody Żyd z krwią płynącą z nosa i staruszek tonący w połach obszernego płaszcza. Luger wypalił nieszkodliwie w powietrze. Wyrwałem go Starcowi, zatoczyłem się do tyłu i wycelowałem.

- *Nein!* - zawołał Starzec.

Jego obecność uderzyła mnie jak młot w głębi czaszki. Przez chwilę trwałem w niebycie, gdy dwa odrażające pasożyty walczyły o władzę nad moim ciałem, a potem złapałem się na tym, że oglądam całą scenę gdzieś z góry. Widziałem Starca i swoje własne ciało - zataczali się na sztywnych nogach jakby w szponach jakiegoś okrutnego ataku paraliżu. W zimnym powietrzu para buchała z plamy moczu na moich spodniach.

A po chwili znów zobaczyłem wszystko swoimi oczami. Starzec został wyparty z mojej głowy. Cofnął się o trzy kroki, usiadł ciężko na kłodzie.

- *Willi* - powiedział. - *Mein Freund...*

Moja ręka wyprostowała się. Strzeliłem mu dwa razy w twarz i raz w serce. Runął na wznak, a ja stałem i patrzyłem na podkute podeszwy jego butów.

Już idziemy, pionku, szepnął Oberst. Czekaj.

Stałem i czekałem. Za pierwszym rzędem drzew rozbrzmiały ich pokrzykiwania i szczekanie wilczura. Nadal trzymałem pistolet w ręce. Próbowałem się odprężyć, przelać całą energię i wolę w jeden jedyny palec prawej ręki, starając się zarazem nie myśleć o tym, co zamierzam zrobić. Byli tuż-tuż, prawie ich widziałem, kiedy psychiczny uścisk Obersta zelżał odrobinę, w sam raz, żebym mógł spróbować. To była najważniejsza i najtrudniejsza walka w moim życiu. Miałem poruszyć jednym palcem dosłownie o kilka milimetrów, lecz wymagało to ode mnie całej determinacji i resztek siły ducha.

Udało mi się. Luger wypalił, kula rozorała mi udo i oderwała mały palec prawej nogi. Ból jak oczyszczający ogień zaskoczył Obersta; poczułem, że na chwilę się wycofał.

Odwróciłem się i pobiegłem, znacząc śnieg krwawymi śladami. Krzyki rozlegały się bardzo blisko za moimi plecami. Zaterkotał pistolet maszynowy, pociski w stalowych płaszczach bzyczały wokół mnie jak pszczoły, ale Oberst mną nie kierował. Dopadłem do skraju pola minowego i wbiegłem na nie bez zastanowienia: gołymi rękami rozgarnąłem drut kolczasty, odkopnąłem te jego kawałki, które uparcie się mnie czepiały, i biegłem dalej. Nie wiem jak to się stało, nie umiem tego wytłumaczyć, ale udało mi się dotrzeć na drugą stronę wykarczowanego pasa, zanim Oberst znów wszedł do mojego umysłu.

Stój!

Zatrzymałem się i odwróciłem. Czterej strażnicy i Oberst patrzyli na mnie ponad polem śmierci.

Wracaj, pionku, zabrzmiał mi w głowie głos tego potwora. Gra skończona.

Próbowałem podnieść lugera i przystawić sobie do skroni, ale nie byłem w stanie tego zrobić. Moje ciało weszło na pole minowe i ruszyło w ich stronę, prosto na wycelowane w nie karabiny. W tym momencie pies wyrwał się powstrzymującemu go strażnikowi i rzucił w moim kierunku.

Na samym skraju pola minowego, nie dalej niż dwadzieścia stóp od Obersta, wyleciał w powietrze na minie. To był ładunek przeciwczołgowy, bardzo silny. Kawałki ziemi, odłamki metalu i strzępy psa pofrunęły w

powietrze. Pięciu Niemców runęło na ziemię. Coś miękkiego uderzyło mnie w pierś i przewróciło.

Kiedy z trudem wstałem, znalazłem leżący u moich stóp łeb owczarka niemieckiego. Oberst i dwaj esesmani na czworakach potrząsali głowami, ogłuszeni po eksplozji. Pozostali dwaj Niemcy się nie poruszali. Nie czułem w głowie obecności Obersta.

Uniosłem pistolet, wymierzyłem w Obersta i opróżniłem magazynek. Stałem za daleko, byłem roztrzęsiony... Nie trafiłem nawet w okolice tamtej trójki. Nie czekając dłużej, odwróciłem się i uciekłem.

Do dziś nie wiem, dlaczego Oberst pozwolił mi uciec. Może został ranny w wybuchu. A może dalsza demonstracja siły zdradziłaby, że to on odpowiada za śmierć Starca. Nie wiem. Do dziś mam jednak wrażenie, że uciekłem tylko dlatego, że w jakimś sensie taki właśnie miał plan...

Saul umilkł. Ogień zgasł, było dawno po północy. Siedzieli z Natalie prawie w zupełnej ciemności. Przez ostatnie pół godziny Saul mówił ochrypłym, skrzekliwym głosem.

- Jesteś wykończony - powiedziała Natalie.

Nie zaprzeczył. Nie spał od dwóch dni, odkąd w porannej niedzielnej gazecie znalazł zdjęcie „William Borden”.

- Ale to nie koniec tej historii, prawda? - dopytywała się Natalie. - To wszystko ma jakiś związek z ludźmi, którzy zabili mojego ojca. Mam rację?

Saul pokiwał głową.

Natalie wyszła z pokoju i wróciła po chwili, niosąc kołdrę, prześcieradło i grubą poduszkę. Zaczęła rozkładać sofę.

- Zostań na noc - zaproponowała. - Rano opowiesz mi resztę, a ja zrobię śniadanie.

- Mam pokój w motelu - wychrypiał Saul.

Na myśl o tym, że miałyby teraz jechać taki kawał drogą numer 52, oczy same mu się zamykały. Zasypiał na siedząco.

- Będzie mi miło, jeśli zostaniesz. Poza tym chcę... muszę usłyszeć resztę.

- Natalie zawiesiła głos. - I nie chcę dzisiaj zostać sama w domu.

Saul pokiwał głową.

- No to fajnie. W łazience na blacie położyłam nową szczoteczkę do zębów. Jeśli chcesz, mogę wyciągnąć jakąś czystą piżamę taty...

- Nie, nie trzeba.

- W porządku. - Natalie przystanęła w drzwiach do krótkiego

przedpokoju. - Saul... - Objęła się rękoma. - To wszystko... to wszystko wydarzyło się naprawdę?

- Tak.

- Ten twój Oberst był w zeszłym tygodniu w Charleston, tak? I jest jedną z osób odpowiedzialnych za śmierć mojego ojca?

- Tak przypuszczam.

Natalie pokiwała głową, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, przygryzła wargę.

- Dobranoc, Saul - powiedziała tylko.

- Dobranoc, Natalie.

Mimo ogromnego zmęczenia Saul Laski nie zasnął od razu. Patrzył na prostokątne refleksy samochodowych reflektorów przesuwające się po zdjęciach na ścianie i próbował myśleć o czymś przyjemnym: o złocistym świetle muskającym gałęzie wierzby nad strumieniem; o porośniętym białymi stokrotkami spłachetku ziemi na farmie, gdzie bawił się w dzieciństwie. Kiedy jednak w końcu zapadł w sen, śnił o pięknym czerwcowym dniu, i o tym, jak idą z bratem do cyrku na łące, skąd kolorowe cyrkowe wozy wywożą roześmiane dzieci wprost do czekającego na nie Dołu.

7.

Charleston

17 grudnia 1980, środa

W pierwszej chwili szeryf Bobby Joe Gentry był zachwycony, kiedy stwierdził, że ktoś go śledzi. Nigdy przedtem nie był śledzony (w każdym razie nic o tym nie wiedział), sam zaś nieraz musiał śledzić innych - o, chociażby wczoraj śledził tego psychiatrę, Laskiego: najpierw widział, jak psychiatra włamuje się do domu pani Fuller, potem czekał cierpliwie w dyskretnym dodge'u Lindy Mae, aż Laski i panna Preston poszli na kolację, a na koniec przesiedział pół nocy w aucie pod domem Prestonów w St. Andrews, popijając kawę i obserwując główne wejście. Była to wyjątkowo zimna i bezowocna noc. Kiedy rano podjechał tam własnym samochodem, wypożyczona toyota Laskiego nadal stała na podjeździe przed domem. Co łączyło tych dwoje? Szeryf miał silne wrażenie, że Laski coś ukrywa; to przecucie dręczyło go od samego początku, od ich pierwszej rozmowy telefonicznej, i bardzo szybko przerodziło się w to niemożliwe do uciszenia ukłucie intuicji, dokuczliwe jak swędzenie między łopatkami, gdzie za diabła nie można się porządnie podrapać. Wiedziony doświadczeniem rozpoznawał w tym przebłysku intuicji jeden z niezbędnych składników warsztatu dobrego gliny. Właśnie dlatego pojechał wczoraj za Laskim. A teraz to on, szeryf Bobby Joe Gentry z hrabstwa Charleston, był śledzony.

Najpierw nie mógł w to uwierzyć. W środę rano wstał - jak zwykle - o szóstej, wyczerpany zbyt krótkim snem i nadmiarem przyswojonej dzień wcześniej kofeiny. Podjechał pod dom Prestonów w St. Andrews, żeby sprawdzić, czy Laski spędził w nim noc, wpadł na pączka do restauracyjki Sarah Dixon przy Rivers Avenue, a następnie wybrał się do Hampten Park, żeby spotkać się z niejaką panią Lewellyn. Jej mąż wyjechał z miasta wieczorem tego samego dnia, kiedy miały miejsce morderstwa w Mansard House, czyli przed czterema dniami, po czym w niedzielny poranek miał w Atlancie śmiertelny w skutkach wypadek samochodowy. Kiedy policjant z Georgii zadzwonił do pani Lewellyn z informacją, że właśnie owdowiała - po tym, jak jadący obwodnicą Atlanty z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę samochód jej męża wyrzwał w podporę wiaduktu drogi międzystanowej numer 285 - zadała mu tylko jedno pytanie:

- A co takiego, na Boga, robił Arthur w Atlancie?! Wyszedł wieczorem z

domu po papierosy!

Gentry uznał to pytanie za niezwykle istotne, lecz nadal nie znał na nie odpowiedzi, kiedy o dziewiątej, po półgodzinnej rozmowie z wdową, wychodził z domu państwa Lewellynów. Wtedy właśnie zauważył zielonego plymoutha zaparkowanego pół przecznicy dalej, w cieniu wysokich, zwieszających się nad ulicą drzew.

Pierwszy raz plymouth zwrócił jego uwagę, kiedy rano odjeżdżał spod restauracji. Zaintrygowała go tablica rejestracyjna z Marylandu. Z doświadczenia wiedział, że z czasem gliniarze dostają obsesji na punkcie odnotowywania takich szczegółów, z których większość okazuje się całkowicie bezużyteczna. Sadowiąc się za kierownicą radiowozu zaparkowanego przed domem Lewellynów, przestawił lusterko i dokładnie obejrzał sobie plymoutha. To był ten sam wóz. Odbijające się od przedniej szyby światło uniemożliwiało dostrzeżenie kierowcy.

Gentry wzruszył ramionami, odjechał spod krawężnika i na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Plymouth ruszył na ułamek sekundy przed tym, jak szeryf stracił go z oczu. Gentry skręcił drugi raz w lewo, na południe, zastanawiając się, czy powinien wrócić do biura i zająć się papierkową robotą, czy raczej pojechać do St. Andrews. Zielony plymouth jechał za nim. Rozdzielały ich dwa inne samochody.

Jechał powoli, postukując masywnymi dłońmi o kierownicę i pogwizdując pod nosem piosenkę country. Jednym uchem słuchał rżęącego policyjnego radia, a w myślach rozważał wszelkie możliwe powody, dla których ktoś mógłby go śledzić. Niewiele ich było. Nie licząc paru rozrabiaków, których zapuszkował przez ostatnie dwa lata, nie kojarzył nikogo, kto miałby porachunki z Bobbym Joe Gentrym, a już z całą pewnością nikogo takiego, komu chciałoby się go śledzić podczas codziennej wólczyki po mieście. A może po prostu niepotrzebnie boi się własnego cienia? Przecież w Charleston na pewno jest więcej niż jeden zielony plymouth.

Z tablicami z Marylandu? - zadrwił cwany glina w jego głowie.

Postanowił wrócić do biura okrężną drogą.

Skręcił w lewo w ruchliwą Canzon Street. Plymouth trzymał się uparcie trzy samochody z tyłu; gdyby szeryf nie wiedział, że tam jest, teraz nie zwróciłby na niego uwagi. Zdradziła go tylko ta pusta uliczka nieopodal Hampten Park, przy której mieszkała pani Lewellyn.

Gentry skręcił na międzystanową numer 26, przejechał nieco ponad milę

na północ, po czym zjechał z niej i bocznymi ulicami przebił się na wschód do Meeting Street. Plymouth był cały czas widoczny w lusterku wstecznym: kiedy tylko mógł, chował się wśród innych pojazdów, a przy mniejszym ruchu odpuszczał trochę i powiększał dzielący ich dystans.

- No, no... - mruknął Gentry.

Dotarł do Charleston Heights, mijając po prawej stronie bazę marynarki wojennej; w gąszczu dźwigów i żurawików mignęły mu szare, masywne kadłuby okrętów. Skręcił w lewo w Dorchester Road i wrócił na dwudziestkę szóstkę, tym razem w kierunku południowym. Plymouth zniknął.

Był już gotowy zjechać do centrum i złożyć całe zdarzenie na karb nadmiernej liczby thrillerów obejrzanych w kablówce, kiedy pół mili za nim ciężarówka zmieniła pas, na sekundę odsłaniając fragment zielonej maski samochodu.

Skręcił na zjazd numer 221 i wylądował wśród wąskich uliczek w okolicy siedziby władz hrabstwa. Zaczęło mżyć. Kierowca plymoutha włączył wycieraczki dokładnie w tym samym momencie co on. Gentry gorączkowo szukał w pamięci przepisów, które zostałyby przekroczone, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

No dobrze, pomyślał, w takim razie... jak się gubi ogon? Przypomniały mu się oglądane na filmach pościgi samochodowe. Nie, dziękuję. Próbował sobie przypomnieć tajniki szpiegowskiego fachu wyczytane w rozlicznych powieściach traktujących o pracy wywiadu, ale przed oczami stawały mu tylko sceny przeskakiwania z pociągu do pociągu w moskiewskim metrze. Wielkie dzięki. Niespecjalnie też pomagał mu fakt, że prowadzi brązowy radiowóz z wymalowanym na obu bokach napisem SZERYF HRABSTWA CHARLESTON.

Mógł nawiązać łączność z policją, potem ze dwa razy objechać w kółko najbliższy kwartał zabudowy i czekać, aż na następnym skrzyżowaniu na jelenia zaczał się osiem wozów z hrabstwa i połowa drogówki. Tylko co dalej? Oczami wyobraźni widział już, jak staje przed obliczem sędziego Trantora oskarżony o naprzykrzanie się gościowi z innego stanu, który, nie mogąc trafić do Fortu Sumtera, postanowił jechać za miejscowym policjantem.

Zdawał sobie sprawę, że najrozsądniej byłoby wziąć gościa na przeczekanie. Niech za nim jeździ jak długo ma ochotę - całe dni, tygodnie albo lata - dopóki Gentry nie dowie się, co jest grane. Facet (o ile w ogóle był to facet) mógł być doręczycielem sądowym, dziennikarzem, upartym

świadkiem Jehowy albo członkiem nowej grupy operacyjnej powołanej przez gubernatora do walki z korupcją w policji. A już absolutnie najrozsądniej byłoby po prostu wrócić do biura, zająć się pracą, nie zawracać sobie głowy plymouthem i czekać, aż sprawa sama się wyjaśni.

- A niech go wszyscy diabli... - mruknął Gentry.

Nigdy nie służył z cierpliwością. Zawrócił z poślizgiem na mokrej jezdni, włączył reflektory i syrenę, dodał gazu i popędził jednokierunkową ulicą pod prąd na spotkanie jadącego z naprzeciwka plymoutha. Prawą ręką odpiął pasek przytrzymujący nieregulaminowy rewolwer w kaburze. Upewnił się jeszcze, że pałka leży tam, gdzie zwykle, czyli na siedzeniu obok, a potem już tylko gnał przed siebie, trąbiąc wściekle, żeby dodatkowo powiększyć zamieszanie.

Atrapa chłodnicy plymoutha upodabiała go do zaskoczonego człowieka. Teraz Gentry widział już, że w środku jedzie tylko jedna osoba.

Plymouth zjechał ostro na prawo. Gentry skręcił w lewo, żeby zablokować mu przejazd. Plymouth udał, że chce odbić w lewo, po czym przyspieszył i wskoczył na chodnik po prawej stronie, usiłując precyzyjnie się obok radiowozu. Gentry szarpnął kierownicę w lewo, aż wóz podskoczył na krawężniku, i przygotował się na czołowe zderzenie.

Plymoutha zarzuciło. Prawym tylnym zderzakiem roztrącił kubły na śmieci, bokiem wyrzwał w słup telefoniczny. Gentry wcisnął hamulec w podłogę i zdołał wyhamować dosłownie kilka cali od dymiącej chłodnicy plymoutha. Upewnił się, że w tej pozycji radiowóz skutecznie odcina tamtemu drogę ucieczki, wyplątał się z szelek taktycznych i wyskoczył z wozu z pałką w lewej ręce.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę.

Z wnętrza plymoutha patrzyła na niego szczupła, blada twarz. Zderzenie ze słupem zakleszczyło drzwi po stronie pasażera i oszołomiło kierowcę - łysiejącego bruneta po czterdziestce ubranego w ciemny garnitur, białą koszulę i wąski ciemny krawat jakby żywcem wyjęty z czasów Kennedy'ego.

Gentry bacznie przyglądał się kierowcy, kiedy ten nieporadnym ruchem wyjął portfel zza pazuchy.

- Proszę wyjąć prawo jazdy z portfela.

Kierowca na moment znieruchomiał i spuścił wzrok, gotowy wykonać polecenie.

Gentry doskoczył do drzwi i otworzył je lewą ręką; pałka zawisała przez chwilę w przerzuconej przez nadgarstek pętli. Prawą ręką sięgnął do biodra i

oparł ją na rękojeści rugera blackhawka.

- Proszę pana... Proszę wysiąść z wozu... Ożeż kurde!

Kierowca odwrócił się do niego, celując mu z pistoletu w twarz. Szeryf Gentry rzucił się całym swoim ważącym dwieście czterdzieści funtów ciałem przez otwarte drzwiczki plymoutha, sięgając do przegubu dłoni kierowcy. Pistolet wypalił dwukrotnie: pierwsza kula świsnęła Gentry'emu koło ucha i wyszła przez dach, druga jeszcze bardziej chybiła celu i strzaskała przednią szybę wozu, która natychmiast pokryła się siateczką drobnych pęknięć. W końcu Gentry zacisnął obie dłonie na nadgarstku kierowcy i obaj wyciągnęli się jak dłudzy na przednich siedzeniach - niczym para nastolatków w kinie samochodowym. Dyszeli i sapali jak lokomotywy. Pałka szeryfa uwięzła w kierownicy. Plymouth ryknął klaksonem jak śmiertelnie ranione zwierzę. Kierowca rozcapierzył palce lewej ręki i sięgnął nią do twarzy Gentry'ego, który w tej samej chwili wyrzucił go z byka - raz, drugi, trzeci... Po trzecim uderzeniu kierowca stęknął głośno, gdy uszło z niego powietrze. Pistolet wypadł mu z ręki, odbił się od kolumny kierownicy, od nogi Gentry'ego i zaklekotał na chodniku. Szeryf - żywiący wrodzony lęk przed upadającą bronią - spodziewał się, że pistolet sam wystrzeli i wpakuje mu pół magazynka w plecy, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Chrzanić go... - mruknął.

Szarpnął całym ciałem w tył, pociągając ze sobą kierowcę. Złapał go za kark, sprawdził, że pistolet leży niedaleko, prawie pod samochodem, i rzucił mężczyznę na chodnik w odległości ośmiu stóp od wozu. Zanim tamten pozbierał się z ziemi, Gentry zdążył wyjąć blackhawka, którego dostał od stryja, kiedy ten przechodził na emeryturę. Broń była przyjemnie ciężka.

- Spokojnie - powiedział. - Nie ruszaj się.

Kilkanaście osób wyszło z biur i sklepów, żeby się pogapić. Gentry sprawdził, czy nikt nie stoi mu na linii ognia, upewnił się, że za leżącym kierowcą znajduje się tylko ceglana ściana... i z obrzydzeniem uświadomił sobie, że przygotowuje się do zastrzelenia skurczybyka. Nigdy przedtem nie strzelał do człowieka. Zamiast stanąć w rozkroku i ująć broń oburącz, jak go uczono, stał swobodnie, trzymając rewolwer w jednej ręce, zwrócony lufą ku górze. Mżawka kładła się drobniutką mgiełką na jego zaczerwienionej twarzy.

- Koniec bijatyki - wysapał. - Leż spokojnie, gościu. Porozmawiajmy.

Kierowca sięgnął do kieszeni i wyjął nóż. Ostrze otworzyło się z głośnym szczęknięciem, mężczyzna ugiął nogi w kolanach, balansując swobodnie.

Drugą rękę miał pustą, palce rozpostarte. Szeryf z przykrością stwierdził, że facet trzyma nóż prawidłowo - z kciukiem na płask na rękojeści tuż powyżej ostrza. Pięciodłowy kawał stali zataczał już pierwsze krótkie, płynne łuki w powietrzu. Gentry kopnął leżący pistolet głębiej pod samochód i zrobił trzy kroki w tył.

- Daj spokój, gościu - powiedział. - Nie rób głupstw. Odłóż nóż.

Nie lekcewałszy szybkości, z jaką nożownik mógł pokonać dzielące ich piętnaście stóp; nie wątpił, że na takim dystansie rzucony nóż może być nie mniej zabójczy od kuli z rewolweru; ale nie zapominał też o wielgachnych dziurach, jakie pociski z blackhawka wyrywały w papierowych tarczach strzelniczych z odległości czterdziestu kroków. Wolał nie myśleć, co robi z ludzkim ciałem kula kalibru .357 wystrzelona z odległości piętnastu stóp.

- Odłóż go - powtórzył bezbarwnym, monotonnym głosem, nieznoszącym sprzeciwu, ale i niezawierającym nawet cienia groźby. - Uspokójmy się i porozmawiajmy.

Odkąd szeryf podszedł do plymoutha, kierowca nie odezwał się ani słowem, wydawał tylko nieartykułowane stęknięcia, teraz zaś spomiędzy jego zaciśniętych zębów dobył się dziwny świst, jak z gwizdka wyłączonego czajnika. Podniósł nóż do pionu, ostrzem do góry.

- Nie ruszaj się!

Gentry wycelował, trzymając pistolet w jednej ręce i mierząc w sam środek wąskiego krawata. Jeżeli nóż uniesie się na wysokość umożliwiającą rzut, będzie musiał strzelić. Już teraz naciskał spust z taką siłą, że prawie napiął kurek.

Nagle zobaczył coś, co sprawiło, że łomoczące mu w piersi serce znieruchomiło w ataku bolesnego paraliżu. Twarz kierowcy dygotała, nie po prostu drżała, jakby się trząsał, wydawało się, że raczej płynie, faluje jak źle dopasowana gumowa maska prześlizgująca się po ukrytych pod nią rysach. Oczy się rozszerzyły w wyrazie zaskoczenia lub zgrozy i zaczęły strzelać na wszystkie strony, jak u ogarniętego paniką zwierzątka. Przez ułamek sekundy Gentry'emu mignęła przezierająca spod tej twarzy inna osobowość, w zniewolonych oczach błysnęły strach i konsternacja, a potem rysy stężały i mięśnie szyi napięły się maksymalnie, jakby ktoś mocniej ściągnął poluzowaną maskę. Nóż uniósł się na wysokość szyi mężczyzny - dostatecznie wysoko, żeby dało się nim celnie rzucić.

- Ej! - zawołał Gentry. Odpuścił spust.

Kierowca wbił sobie nóż w gardło. Nie dźgnął się, nie pchnął z całej siły,

nie rozplątał sobie gardła - nie, on po prostu wbił sobie w szyję pięciocalowe ostrze z takim samym namaszczeniem, z jakim chirurg dokonuje nacięcia rozpoczynającego operację albo każdy z nas ostrożnie nacina arbuza, szykując się do pokrojenia go. Następnie - bez pośpiechu, za to mocno, z determinacją - przeciągnął nożem od lewa do prawa tuż poniżej linii żuchwy.

- Jezus, Maria... - stęknął Gentry.

Ktoś w tłumie krzyknął.

Krew chlusnęła kierowcy na pierś, jakby przebił balon wypełniony czerwoną farbą. Wyszarpnął nóż z rany i jeszcze przez niewiarygodne dziesięć, może nawet dwanaście sekund stał - sztywno, w rozkroku, z pozbawioną wyrazu twarzą, niepomny zalewającej mu tors kaskady krwi, która zaczynała z pluskiem skapywać na chodnik. W końcu nogi zadygotały mu spazmatycznie i przewrócił się na plecy.

- Cofnąć się wszyscy, do cholery! - krzyknął na gapiów Gentry i skoczył naprzód.

Ciężkim buciorem przyspilił do ziemi przegub prawej dłoni kierowcy, pałką wytrącił mu nóż z ręki. Kierowca wyprężył się i odchylił głowę do tyłu, przez co rana na jego szyi rozwarła się w ohydny rekinim uśmiechu. Pocięte chrząstki i poszarpane szare włókna mignęły przez ułamek sekundy w ranie, zanim utonęły w ponownie wezbranej krwi. Pierś mężczyzny unosiła się szybko, gwałtownie, zasysając do płuc powietrze razem z krwią.

Gentry biegiem wrócił do radiowozu i wezwał karetkę. Jeszcze raz odpędził gapiów, a potem pałką wygrzebał spod plymoutha porzucony pistolet - był to browning kaliber 9 mm z dziwacznym i piekielnie ciężkim podwójnym magazynkiem. Zabezpieczył broń, zatknął ją za pasek i przyklęknął przy umierającym mężczyźnie.

Kierowca przetoczył się na prawy bok. Leżał z podkulonymi nogami, rękami przyciągniętymi do piersi i kurczowo zaciśniętymi pięściami. Kałuża krwi miała już cztery stopy średnicy i powiększała się z każdym uderzeniem słabnącego serca. Klęcząc w niej, Gentry próbował gołymi rękami zatamować krwotok, rana była jednak zbyt duża i nierówna. Po pięciu sekundach jego koszula nasiąkała krwią. Oczy mężczyzny przybrały szklisty, nieobecny wyraz, znany Gentry'emu z oględzin aż nazbyt wielu trupów.

Urywany, bulgoczący oddech ustał w tej samej chwili, gdy w oddali rozległ się sygnał karetki.

Gentry odsunął się, opadł na kolana i wytarł ręce o spodnie. Podczas zamieszania portfel mężczyzny wypadł na chodnik. Szeryf podniósł go z

drogi spływającej ku jezdni strużki krwi i, nie przejmując się procedurami, otworzył i przejrzał zawartość poszczególnych przegródek: nieco ponad dziewięćset dolarów w gotówce, małe czarno-białe zdjęcie przedstawiające szeryfa Bobby'ego Joe Gentry'ego... i nic więcej. Dosłownie nic. Nie było prawa jazdy, kart kredytowych, zdjęć rodzinnych, karty ubezpieczenia społecznego, żadnych wizytówek, starych rachunków... Nic.

- Niech mi ktoś powie, co tu się dzieje - wyszeptał.

Przestało padać. Ciało kierowcy leżało spokojnie, szczupła, blada twarz wyglądała jak zrobiona z wosku. Gentry pokręcił głową i podniósł niewidzący wzrok na otaczający go tłum, policjantów i ratowników.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje?! - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział.

8.

Bayerisch-Eisenstein

18 grudnia 1980, czwartek

Tony Harold i Maria Chen wyjechali z Monachium na północny wschód, żeby przez Deggendorf i Regen dotrzeć do zalesionej i górzystej krainy przy granicy z Czechami. Harold prowadził wypożyczone BMW ostro, agresywnie redukowałam biegi na wysokich obrotach, kontrolowanym poślizgiem wchodził w mokre od deszczu zakręty, na prostych natychmiast przyspieszał do stu dwudziestu, ale mimo związanego z jazdą wysiłku i koncentracji nie potrafił zapomnieć o napięciu wywołanym długim lotem. Próbował spać podczas trwającego całą wieczność przelotu nad Atlantykiem, dokuczała mu jednak świadomość, że tkwi zamknięty w kruchej, hermetycznej rurze zawieszony w powietrzu tysiące stóp nad lodowatym oceanem.

Wzdrygnął się, podkręcił ogrzewanie, minął kolejne dwa samochody. Wjeżdżali coraz wyżej. Śnieg leżał na wzgórzach, przy drodze piętrzyły się zaspasy.

Kiedy przed dwiema godzinami wyjeżdżali zatłoczoną autostradą z Monachium, Maria spojrzała na wydaną przez Shell mapę.

- A wiesz, niedaleko stąd jest Dachau.

- No i?

- No i tam był jeden z tych obozów, do których wywozili Żydów w czasie wojny.

- No i? - powtórzył Harold. - Kurwa, przecież to jakaś prehistoria!

- Wcale nie taka odległa...

Skręcili na zjazd numer 92 i z jednej zatłoczonej autostrady przenieśli się na inną. Harold zajął lewy pas i przyspieszył do setki.

- Kiedy się urodziłaś? - zapytał ostrym tonem.

- W czterdziestym ósmym.

- Cokolwiek wydarzyło się przed twoim urodzeniem, nie warto sobie tym zawracać głowy. Bo to jest, kurwa, prehistoria.

Maria umilkła i zapatrzyła się na zimną wstęgę Izary. Wieczne światło wyciekało z szarego nieba.

Harold zerknął z ukosa na swoją sekretarkę i przypomniał sobie, w jakich okolicznościach się poznali. Było to cztery lata wcześniej, latem 1976 roku, kiedy poleciał do Hongkongu na spotkanie biznesowe z braćmi Foy; chodziło

o sfinansowanie jednej z tych bezsensownych nawalanek kung-fu produkowanych przez Williego. Cieszył się, że może wyrwać się ze Stanów w szczytowym okresie gorączki związanej z obchodami dwustulecia istnienia państwa. Młodszy z braci Foy zabrał go wieczorem do Kowloon.

Harod nie od razu się zorientował, że ekskluzywny klub nocny na siódmym piętrze wysokościowca jest w rzeczywistości burdelem, a towarzyszące im piękne i wyrafinowane kobiety to zwyczajne dziwki.

Natychmiast przestał się nimi interesować i bezzwłocznie by wyszedł, gdyby jego uwagi nie zwróciła prześliczna Eurazjatka. Siedziała sama przy barze, ze spojrzeniem tak doskonale obojętnym, że nie mogło być udawane. Kiedy zapytał o nią mniej ważnego z braci Foyów, potężnie zbudowany Azjata uśmiechnął się szeroko i odparł:

- Ach tak, bardzo ciekawe. Bardzo smutna historia. Jej matka jest amerykańska misjonarka, a ojciec nauczyciel z kontynentu. Matka umiera niedługo po przybyciu do Hongkongu. Ojciec też umiera. Maria Chen zostaje tutaj i staje się sławna modelka. Bardzo droga.

- Modelka? - powtórzył Harod. - To co robi w takim miejscu?

Foy uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zarabia dużo, ale potrzebuje znacznie więcej. Bardzo kosztowne hobby. Chce polecieć do Stanów, ma obywatelstwo, ale z powodu tego kosztownego hobby nie może.

Harod pokiwał głową.

- Kokaina?

- Heroina. Chce poznać?

Harod chciał poznać. Kiedy po prezentacji usiedli sami przy barze, Maria Chen go zagadnęła:

- Słyszałam o tobie. Słyniesz z kiepskich filmów i jeszcze gorszych manier.

- A ja słyszałem o tobie. Kurwisz się w Hongkongu, bo jesteś uzależniona od heroiny.

Zorientował się, że zamierza go spoliczkować, i spróbował powstrzymać ją siłą umysłu.

Na próżno. Uderzenie zabrzmiało tak głośno, że rozmowy ucichły i goście spojrzeli w ich stronę. Dopiero kiedy szmer w tle wrócił do normalnego poziomu, Harod otarł usta chusteczką.

Rozcięła mu wargę pierścionkiem.

Spotykał już wcześniej neutrali - ludzi, na których Talent w ogóle nie

działał - ale rzadko. Bardzo rzadko. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że nie zorientował się w porę i nie zdołał uniknąć bólu.

- W porządku - powiedział. - Prezentacja zakończona, przejdźmy do interesów. Mam dla ciebie propozycję.

- Nie jesteś w stanie mi zaoferować niczego, co by mnie interesowało - odparła Maria Chen.

Mówiła szczerze, z przekonaniem, ale mimo to nie wstała od baru.

Harod pokiwał głową. Myślał intensywnie, rozpamiętując dręczące go od miesięcy niepokoje. Przeraziła go współpraca z Willim. Staruszek rzadko korzystał ze swojego Talentu, ale kiedy już do tego dochodziło, nie było cienia wątpliwości, że mocą ogromnie przewyższa Haroda. Nawet gdyby Harod poświęcił długie miesiące (lub lata!) na odpowiednie uwarunkowanie asystentki, Willi będzie mógł ją przekabacić w jednej chwili. A Harod odczuwał coraz większy lęk, odkąd ważniacy z tego przeklętego Klubu Wyspiarskiego kazali mu się zbliżyć do starucha-mordercy. Jeżeli Willi się o tym dowie, wykorzysta wszelkie dostępne środki, żeby...

- Zatrudnię cię w Stanach - zaproponował. - Będiesz moją asystentką oraz sekretarką w reprezentowanej przeze mnie firmie producenckiej.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. W jej pięknych ciemnych oczach nie było cienia zainteresowania.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich rocznie - dodał Harod. - Plus dodatkowe świadczenia.

Nawet nie drgnęła jej powieka.

- Tutaj zarabiam więcej - odparła. - Dlaczego miałabym zamienić karierę modelki na gorzej płatną posadę sekretarki?

Nacisk, z jakim wypowiedziała ostatnie słowo, nie pozostawiał złudzeń: była to propozycja godna najwyższej pogardy.

- Dodatkowe świadczenia - powtórzył Harod, a kiedy Maria nie zareagowała, mówił dalej: - Stałe dostawy tego... czego potrzebujesz. - Zniżył głos. - Na dodatek nie będziesz musiała angażować się osobiście w proces zakupu.

Teraz zaniemówiła i spuściła wzrok. Pewna siebie maska zniknęła jak zdarty woal.

- Przemyśl to. Do wtorku rano jestem w hotelu Victoria and Albert.

Nie odprowadziła go wzrokiem, kiedy wychodził.

We wtorek rano Harod szykował się do opuszczenia pokoju - boy zniósł już jego bagaże do samochodu, a on sam ostatni raz przeglądał się w lustrze,

dopinając kurtkę z BananaRepublic - kiedy w drzwiach stanęła Maria Chen.

- Poza zadaniami sekretarki, co jeszcze będzie należało do moich obowiązków? - spytała.

Harod odwrócił się do niej powoli, powstrzymując cisnący mu się na usta uśmiech.

- Wszystko, co każe. - Teraz się uśmiechnął. - Ale nie to, co myślisz. Dziwki mnie nie interesują.

- Jeden warunek - zastrzegła Maria.

Harod patrzył i słuchał bez słowa.

- W przyszłym roku chciałabym... z tym zerwać. - Pot wystąpił jej na czoło. - Jak wy to w Ameryce mówicie...? Odstawić. Przestać brać. Kiedy wybiorę właściwy moment, ty... wszystkim się zajmiesz.

Harod przetrawił jej słowa. Nie był przekonany, czy wyzwolenie się Marii z nałogu byłoby mu na rękę, wątpił jednak, żeby naprawdę się na to zdecydowała. A jeśli nawet, to wtedy się tym zajmie, a tymczasem będzie korzystał z usług pięknej i inteligentnej asystentki, której Willi nie będzie mógł tknąć.

- W porządku - powiedział. - Pomyślmy teraz, jak załatwić ci wizę.

- Nie trzeba. - Maria przesunęła się w drzwiach, przepuszczając go w drodze do windy. - Wszystko zostało już załatwione.

Trzydzieści kilometrów za Deggendorfem zbliżyli się do Regen, średniowiecznego miasta położonego w cieniu skalistych urwisk. Kiedy górską drogą zjeżdżali ku przedmieściom, Maria wskazała widoczną w świetle reflektorów pionową owalną tablicę ustawioną na sztorc pod przydrożnymi drzewami.

- Widziałeś? Od jakiegoś czasu stoją przy drodze.

- Mhm - mruknął Harod i zredukował bieg przed zakrętem na serpentynie.

- W przewodniku piszą, że miały informować miejscowych wieśniaków o pogrzebach. Na każdej jest wypisane nazwisko zmarłego i prośba o modlitwę.

- Fajne.

Droga biegła przez miasteczko. W gęstniejącym zimowym mroku majaczyły latarnie uliczne, mokry bruk przecznic, ciemna budowla przycupnięta na górskim grzbiecie nad miastem.

- Zamek należał w przeszłości do hrabiego Hunda - czytała dalej Maria. - Po tym, jak jego żona utopiła ich dziecko w tutejszej rzece, kazał ją zakopać

żywcem w ziemi.

Harod nic nie powiedział.

- Nie uważasz, że to interesująca ciekawostka historyczna?

Skręcili w lewo, Harod zredukował bieg i drogą numer 11 wjechali w głąb wzgórz. Śnieg skrzył się w snopach światła z reflektorów. Harod zabrał Marii mapę i wyłączył światelko, przy którym podczytywała przewodnik.

- Wyświadczyć mi przysługę - poprosił. - Weź się, kurwa, zamknij.

Do hoteliku w Bayerisch-Eisenstein dojechali po dziewiątej wieczorem. Zarezerwowane pokoje czekały, a obsługa wciąż jeszcze serwowała kolację w maleńkiej jadalni ledwie mieszczącej pięć stolików. Ogromny kominiek ogrzewał pomieszczenie i stanowił główne źródło światła. Jedli w milczeniu.

Widziane z samochodu Bayerisch-Eisenstein wydało się Harodowi małe i opustoszałe: jedna droga, trochę bawarskich domków przycupniętych w wąskich dolinach pomiędzy mrocznymi wzgórzami... Przypominało mu zagubioną osadę w górach Catskill. Tablica przy wjeździe do miasta informowała, że od czeskiej granicy dzieli ich zaledwie kilka kilometrów.

- Zajrzę jeszcze na dół, do sauny - powiedział Harod, kiedy wrócili do sąsiadujących pokoi na drugim piętrze. - Ty przygotuj wszystko na jutro.

Hotelik miał dwadzieścia pokoi. Większość zajmowali narciarze zwabieni trasami biegowymi na stokach i w okolicy Grosse Arber, mierzącej tysiąc czterysta metrów góry położonej kilka mil na północ od miasteczka. W niedużej wspólnej sali na parterze siedziało kilka par: popijały piwo lub gorącą czekoladę i śmiały się tym serdecznym niemieckim śmiechem, który Harodowi zawsze wydawał się wymuszony.

Sauna - zwykła duża skrzynia z białego cedrowego drewna, z półkami - znajdowała się w piwnicy. Harod podkręcił temperaturę, rozebrał się w mikroskopijnej przebieralni i wszedł do nagrzanego wnętrza tylko przepasany ręcznikiem. Uśmiechnął się na widok dwujęzycznej, niemiecko-angielskiej tabliczki na drzwiach: GOŚCIOM PRZYPOMINAMY, ŻE ODZIENIE NIE JEST W SAUNIE OBOWIĄZKOWE. Najwidoczniej zdarzyło się już wcześniej, że jakichś amerykańskich turystów zaskoczyła niemiecka swoboda wobec nagości w takich sytuacjach.

Prawie zdążył zasnąć, kiedy do sauny weszły dwie dziewczyny - młode, najwyżej dziewiętnastoletnie rozchichotane Niemki. Nie zawahały się na widok Haroda.

- *Guten Abend* - powiedziała wyższa.

Nie zdjęły ręczników. Harold również nie pozbył się swojego. Spod półprzymkniętych powiek obserwował dziewczyny.

Przypomniawszy sobie dzień przed blisko trzema laty, kiedy Maria Chen poprosiła go o pomoc w odstawieniu heroiny.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał.

- Dlatego że mi obiecałaś - odparła.

Harold patrzył na nią z niedowierzaniem i myślał o długich miesiącach życia w nieznośnym napięciu seksualnym, o tym, z jakim spokojem odrzucała wszystkie, nawet najostrożniejsze jego podchody, a także o pewnej nocy, kiedy zakradł się do jej pokoju i bezszelestnie otworzył drzwi. Było po drugiej, ale Maria siedziała na łóżku i coś czytała. Kiedy stanął w progu, spokojnie odłożyła książkę, z szuflady nocnej szafki wyjęła rewolwer, trzydziestkę ósemkę, położyła ją sobie wygodnie na kolanach i podniosła wzrok.

- Tak, Tony? Coś się stało?

Pokręcił wtedy głową i wyszedł bez słowa.

- Rzeczywiście, obiecałem - przyznał. - Co mam zrobić?

Powiedziała mu.

Przez trzy tygodnie nie wychodziła z zamkniętego na cztery spusty pokoju w piwnicy. Na początku długimi paznokciami zdzierała miękką wyściółkę, którą Harold pomógł jej obłożyć drzwi i ściany. Krzyczała, waliła pięściami, darła materac i poduszki stanowiące jedyne wyposażenie pokoju, i znowu krzyczała. Tylko siedzący po sąsiedzku w domowym kinie Harold słyszał jej wrzaski.

Nie jadła posiłków wsuwanych przez szparę pod drzwiami. Trzeciego dnia przestała wstawać z materaca: leżała na nim skulona, na przemian złana potem i wstrząsana dreszczami; w jednej chwili pojękiwała słabo, by zaraz potem wrzeszczeć nieludzkim głosem. Przez ostatnie trzy dni i noce Harold towarzyszył jej w zamknięciu. Kiedy mogła usiąść o własnych siłach, pomagał jej przejść do ulokowanej po sąsiedzku łazienki; kiedy była na to zbyt słaba, mył ją i troszczył się o nią. Piętnastego dnia przespała całą dobę bez przerwy. Harold ją wykąpał i opatrzył zadrapania, które sama sobie zadała. Myjąc wilgotną szmatką jej blade policzki, idealnie kształtne piersi i pokryte warstewką potu uda, rozmyślał o tych wszystkich chwilach, gdy w biurze podziwiał jej odziane w jedwab ciało, i żałował, że jest neutralnym.

Po kąpieli i osuszeniu jej ręcznikiem ubrał ją w miękką piżamę, wymienił brudną, zesmaconą pościel i zostawił ją samą, żeby wszystko odespała.

W trzecim tygodniu wyszła z piwnicy: perfekcyjnie umalowana, idealnie uczesana, nieskazitelnie ubrana, po staremu lekko oschła i wyniosła. Nigdy więcej nie wracali w rozmowach do tamtych trzech tygodni.

Młodsza Niemka parsknęła śmiechem i podniosła ręce nad głowę, mówiąc coś do koleżanki. Harod obserwował je przez kłęby pary. Jego oczy stały się ciemnymi poziomymi szparami pod ciężkimi powiekami.

Starsza zamrugła kilka razy i zdjęła ręcznik. Miała pełne, jędrne piersi. Młodsza zaniemówiła ze zdumienia i znieruchomiła z uniesionymi rękami. Widząc delikatny puszek pod jej pachami, Harod zaczął się zastanawiać, dlaczego Niemki go nie gołą. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, zmieniła zdanie i również zrzuciła ręcznik. Rozplątujące go palce poruszały się niezręcznie, jakby zmagaly się z nieznanym sobie zadaniem. Ręcznik opadł w tej samej chwili, gdy starsza z dziewcząt ujęła w dłonie piersi siostry.

Siostry, uświadomił sobie Harod, mrużąc oczy, żeby lepiej skupić się na wrażeniach zmysłowych. Kirsten i Gabi.

Z dwójką zawsze było trudniej. Musiał nieustannie przerzucać się z jednej na drugą, żeby mu się nie wymknęły. Przypominało to trochę partię tenisa z samym sobą: nie jest to gra, którą chciałoby się długo kontynuować. Ale kto powiedział, że ma być długo?

Zamknął oczy i uśmiechnął się.

Kiedy wrócił do siebie, Maria stała przy oknie i patrzyła na grupkę kołędników zebranych wokół konnych sań. W zimnym powietrzu niosły się śmiech i melodia „O Tannenbaum”.

- Gdzie go masz? - spytał Harod, ubrany w jedwabną piżamę i złoty szlafrok. Miał mokre włosy.

Maria wyjęła z walizki pistolet samopowtarzalny kaliber .45 i położyła go na niskim stoliku. Harod wziął go do ręki, strzelił raz na sucho i skinął głową.

- Tak właśnie myślałem, że tobą celnicy się nie zainteresują. Gdzie magazynek?

Maria sięgnęła do walizki po trzy magazynki i je również położyła na stoliku. Harod przesunął nienaładowany pistolet po szklanym blacie, tak żeby mogła po niego sięgnąć.

- No dobrze - powiedział. - Obejrzyjmy sobie to kurestwo.

Rozwinął na stoliku biało-zieloną mapę topograficzną. W jednym rogu przycisnął ją pistoletem, pozostałe narożniki przygniół magazynkami. Jego

krótki palec wskazujący znieruchomiał przy skupisku punkcików po dwóch stronach czerwonej linii.

- Bayerisch-Eisenstein - powiedział. - Czyli my. - Palec przesunął się o cal na północny zachód. - Posiadłość Williego jest tu, za tym wzgórzem...

- To Grosse Arber - odpowiedziała Maria.

- Nieważne. Tutaj, w samym środku lasu...

- Bayerischer Wald - odczytała Maria.

Harod przez minutę patrzył na nią bez słowa, zanim znów skupił się na mapie.

- To część parku narodowego, ale znajdująca się w rękach prywatnych. Bez sensu, kurwa, całkiem bez sensu.

- Amerykańskie parki narodowe też obejmują czasem tereny prywatne. Poza tym posiadłość jest ponoć opuszczona.

- Ponoć tak. - Harod zwinął mapę i przez drzwi łączące pokoje wyszedł do siebie. Wrócił ze szklanką szkockiej kupionej w sklepie wolnościowym na Heathrow. - Wszystko jasne? Rozumiesz nasz jutrzejszy plan?

- Tak - przytaknęła Maria Chen.

- Jeśli go nie będzie, nie ma problemu. Jeśli będzie sam i będzie chciał pogadać, też nie ma problemu.

- A jeśli problem jednak się pojawi?

Harod usiadł, odstawił szklankę na stolik i wsunął magazynek do rękojeści pistoletu. Szczęknął zatrzask.

- Wtedy go zastrzelisz - powiedział. - Jego i wszystkich, którzy przy nim będą. Strzelaj w głowę. Dwa razy, jeśli tylko zdążysz. - Wstał i podszedł do drzwi. - Jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

Harod wrócił do siebie i zamknął drzwi. Po tym, jak rozległ się szczęk zamka, Maria siedziała jeszcze przez chwilę nieruchomo. Ścisnęła w ręce pistolet, nasłuchiwała dobiegających z ulicy odgłosów świątecznej *Gemütlichkeit* wpatrywała się w żółty prążek światła pod drzwiami pokoju Haroda.

9.

Waszyngton

18 grudnia 1980, czwartek

C. Arnold Barent pożegnał się z prezydentem elektem, wyszedł z hotelu Mayflower i kazał się wieźć na lotnisko z przystankiem po drodze w gmachu FBI. Przed jego limuzyną jechał szary mercedes, za nią - niebieski. Oba pojazdy zostały wyleasingowane przez jedną z należących do niego firm. Jadący nimi ludzie byli wyszkoleni nie gorzej od agentów Secret Service, którzy tak bardzo rzucali się w oczy w Mayflowerze.

- Wydaje mi się, że rozmowa wypadła dobrze - zagaił Charles Colben, jedyny poza Barentem pasażer limuzyny.

Barent pokiwał głową.

- Prezydent był bardzo otwarty na twoje sugestie - ciągnął Colben. - Może nawet w czerwcu znów się pojawi na zjeździe Klubu Wyspiarskiego. Byłoby ciekawie. Nigdy jeszcze nie gościliśmy urzędującego prezydenta.

- Prezydent elekt.

- Co?

- Powiedziałeś, że prezydent był otwarty na moje sugestie. Miałeś na myśli prezydenta elekta. Do stycznia naszym prezydentem jest pan Carter.

Colben prychnął pogardliwie.

- A co sądzi wywiad na temat zakładników? - spytał półgłosem Barent.

- To znaczy?

- Zostaną uwolnieni tuż przed końcem kadencji Cartera czy już pod nowym prezydentem?

- Nie wiem, jesteśmy FBI, nie CIA. Działamy w kraju, a nie za granicą. Barent z uśmiechem pokiwał głową.

- I w zakres waszych krajowych obowiązków wchodzi szpiegowanie CIA. Dlatego zapytam jeszcze raz: kiedy zakładnicy wrócą do domu?

Colben spochmurniał i wyjrzał przez okno na nagie drzewa przy centrum handlowym.

- Nasze najdokładniejsze prognozy mówią o dobie przed albo po zakończeniu kadencji, ale biorąc pod uwagę, że ajatollah od półtora roku regularnie puka Cartera w kakałko, nie widzę możliwości, żeby chciał mu rzucić akurat tę kość.

- Poznałem go kiedyś - powiedział Barent. - Ciekawa postać.

- Co takiego? Kto? - zdziwił się Colben.

Przez ostatnie cztery lata państwo Carterowie byli regularnymi gośćmi zarówno w posiadłości Barenta w Palm Springs, jak i w zamku na Tysiącu Wysp.

- Ajatollah Chomeini - wyjaśnił cierpliwie Barent. - Przyjechałem z Paryża, żeby się z nim spotkać, niedługo po tym, jak zaczęło się jego wygnanie. Znajomy zasugerował mi, że imam może mi się wydać zabawny.

- Zabawny? Ten pierdolnięty fanatyk?

Barent zmarszczył brwi. Nie podobał mu się język Colbena. Nie lubił przeklinania. Na początku tygodnia użył słowa „zdzira” w rozmowie z Tonym Harodem, ponieważ uważał, że człowiekowi wulgarnemu tylko wulgarny język trafi do przekonania. Charles Colben również był człowiekiem wulgarnym.

- Naprawdę było zabawnie - ciągnął Barent, żałując, że poruszył ten temat. - Rozmawialiśmy piętnaście minut, przez tłumacza, chociaż powiedziano mi wcześniej, że ajatollah rozumie po francusku. Nigdy byś się nie domyślił, co ten mały drań zrobił tuż przed zakończeniem naszego spotkania.

- Poprosił cię, żebyś sfinansował tę jego rewolucję? - spytał Colben bez cienia zainteresowania w głosie. - Nie wiem, poddaję się.

- Próbował mnie Użyć. - Barent był szczerze rozbawiony tym wspomnieniem. - Czułem, jak po omacku dobija się do mojego umysłu, na oślep, instynktownie. Chyba mu się wydawało, że tylko on jeden na całym świecie ma Talent. Wydawało mu się również, że jest Bogiem.

Colben wzruszył ramionami.

- Czułby się mniej bosko, gdyby Carter miał jaja i od razu nasłał na niego nasze B-52, jak tylko wzięli tych zakładników.

Barent postanowił zmienić temat.

- A gdzie dziś podziewa się nasz przyjaciel, pan Harod?

Colben sięgnął po inhalator, psiknął sobie do obu dziurek w nosie i skrzywił się.

- Razem z sekretarką, czy kim tam jest ta kobieta, wylecieli wczoraj wieczorem do Niemiec.

- Zapewne po to, żeby sprawdzić, czy Willi cały i zdrowy nie ukrywa się przypadkiem w *Vaterlandzie*.

- Naturalnie.

- Posłałeś z nimi kogoś?

Colben pokręcił głową.

- Nie było powodu. Trask ma kontakty we Frankfurcie i Monachium jeszcze z czasów pracy w Firmie, mają mieć oko na zamek. Harold na pewno tam pojedzie, a my będziemy podsłuchiwać transmisje CIA.

- Znajdzie tam coś?

- Nie wiem.

- Twoim zdaniem pan Borden nie żyje, prawda?

- Nie, ja po prostu nie rozumiem, jakim cudem mógłby okazać się aż tak przebiegły. Zastanów się, przecież to był nasz pomysł, żeby zwrócić się do tej Drayton z propozycją usunięcia go. Byliśmy całkowicie zgodni, że za bardzo afiszuje się ze swoim zachowaniem.

- Po czym dowiedzieliśmy się o niedyskrecji Niny Drayton. Cóż, szkoda.

- Czego szkoda?

Barent spojrzał Colbenowi w oczy.

- Szkoda, że żadne z nich nie należało do Klubu. Nieprzeciętne jednostki.

- Nie chrzań. Zwykle pojeby, nie żadne nieprzeciętne jednostki.

Limuzyna się zatrzymała. Zamki w drzwiach Colbena odblokowały się ze szczękiem. Barent wyjrzał przez okno na paskudne boczne wejście do siedziby FBI.

- Twój przystanek - powiedział.

Colben wysiadł, ale zanim szofer zamknął za nim drzwi, Barent jeszcze raz się odezwał:

- Wiesz, Charles, naprawdę powinniśmy coś zrobić z twoim słownictwem.

Kiedy limuzyna odjechała, stojący na krawężniku łysiejący biurokrata odprowadził ją zaskoczonym spojrzeniem.

Dalszy przejazd na lotnisko zajął dosłownie kilka minut. Specjalnie przebudowany boeing 747 Barenta czekał w gotowości przed prywatnym hangarem: maszyna grzała silniki, klimatyzacja działała, szklanka zimnej wody mineralnej czekała na stoliku obok ulubionego fotela Barenta. Don Mitchell, pilot, zajrzał do kabiny pasażerskiej i musnął palcem daszek czapki.

- Jesteśmy gotowi, panie Barent - zameldował. - Muszę tylko dać znać wieży, jaki plan lotu realizujemy. Dokąd lecimy, proszę pana?

- Chciałbym polecieć na swoją wyspę - odparł Barent, popijając wodę.

Mitchell się uśmiechnął. To był ich stary żarcik: C. Arnold Barent był właścicielem ponad czterystu wysp rozsianych po całym świecie, a na ponad dwudziestu z nich miał wybudowane rezydencje.

- Tak jest, proszę pana - powiedział pilot i czekał.

- Proszę poinformować wieżę, że realizujemy plan E. - Barent wstał ze szklanką w ręce i skierował się do sypialni. - Dam znać, kiedy będę gotowy.

- Tak jest, proszę pana. W ciągu najbliższego kwadransa możemy startować w dowolnej chwili.

Barent odprawił pilota skinieniem głowy i odczekał, aż wyjdzie.

Wszedł do sypialni, gdzie na szerokim łożu siedział agent Richard Haines z FBI. Haines się poderwał, ale Barent machnął ręką, żeby nie wstawał. Dopił wodę i zdjął marynarkę, krawat i koszulę. Wrzucił koszulę do kosza na brudy i z wbudowanej w rufową gródź szuflady wyjął świeżą.

- No, Richard, mów - powiedział, zapinając koszulę. - Co nowego?

- Dziś rano, przed pańskim spotkaniem z prezydentem elektem, przewodniczący Colben spotkał się znowu z panem Traskiem. Trask wchodzi w skład zespołu...

- Wiem, wiem - przerwał mu Barent. Jeszcze nie usiadł. - Jak wygląda sytuacja w Charleston?

- FBI cały czas prowadzi obserwację. Nasi pirotechnicy są pewni, że na pokładzie samolotu wybuchła bomba. Jeden z pasażerów, niejaki George Hummel, posługiwał się kartą kredytową, która została wcześniej skradziona w Bar Harbor w Maine.

- W Maine - powtórzył Barent. Nieman Trask był „asystentem” starszego senatora z Maine. - Co za niechlujność.

- Otóż to. Tak czy inaczej, pan Colben był ogromnie wzburzony pańskim zaleceniem nieingerowania w śledztwo i działania szeryfa Gentry’ego. Spotkał się wczoraj w hotelu Mayflower z panami Traskiem i Keplerem; jestem przekonany, że wieczorem wysłali swojego człowieka, może nawet więcej niż jednego, do Charleston.

- Któregoś z łąaczy Traska?

- Tak, proszę pana.

- No dobrze... Mów dalej, Richardzie.

- Dzisiaj około godziny dziewiętej dwadzieścia czasu wschodniego szeryf Gentry zatrzymał mężczyznę, który śledził go, jadąc plymouthem volaré rocznik siedemdziesiąt sześć. Przy próbie aresztowania mężczyzna najpierw stawiał opór, a następnie poderżnął sobie gardło francuskim nożem sprężynowym. Lekarz w szpitalu w Charleston stwierdził zgon. Ani jego odciski palców, ani numer rejestracyjny plymoutha nie pozwoliły zidentyfikować denata. W tej chwili policja sprawdza dokumentację stomatologiczną, ale to potrwa kilka dni.

- Jeżeli to faktycznie był jeden z łataczy Traska, nic nie znajdują... - rozmyślał na głos Barent. - Szeryf został ranny?

- Nie, proszę pana. Nasza ekipa twierdzi, że nic mu się nie stało.

Barent pokiwał głową. Zdjął z wieszaka jedwabny krawat i zaczął go wiązać, zapuszczając jednocześnie umysłową sondę w kierunku świadomości agenta FBI. Dotknął tarczy, która czyniła z Hainesa neutrala - litej skorupy otaczającej wzburzone morze myśli, ambicji i mrocznych popędów składających się na Richarda Hainesa. Podobnie jak wielu ludzi obdarzonych Talentem (nie wyłączając samego Barenta), Colben również zatrudnił neutrala w charakterze swojego najbliższego asystenta. Haines nie poddawał się wprawdzie warunkowaniu, ale przynajmniej nie było obawy, że ktoś obdarzony większą mocą przeciągnie go na swoją stronę. Tak przynajmniej myślał Colben.

Barent ślizgał się po ekranującej umysł Hainesa powierzchni, dopóki nie znalazł szczeliny, która musiała się w niej znajdować. Wśliznął się w labirynt żałosnych szyków obronnych, zapuścił macki swojej woli w głąb splotu świadomości. Musnął ośrodek przyjemności.

Haines przymknął powieki, jakby przepłynął przez niego delikatny prąd.

- Gdzie pani Fuller? - spytał Barent.

Haines otworzył oczy.

- Od poniedziałkowej wpadki na lotnisku w Atlancie nie mamy żadnych nowych informacji.

- Udało się wam namierzyć tę rozmowę telefoniczną?

- Nie, proszę pana. Operator na lotnisku twierdzi, że to było połączenie lokalne.

- Jak sądzisz, czy Colben, Kepler albo Trask mogą coś wiedzieć o miejscu jej pobytu? Albo miejscu pobytu Williego?

Haines się zawahał.

- Nie, proszę pana - odparł po sekundzie. - Kiedy któreś z nich się znajdzie, informacja będzie musiała przejść normalnymi służbowymi kanałami. Dowiem się o tym równocześnie z panem Colbenem.

- Lepiej byłoby dowiedzieć się przed panem Colbenem. - Barent się uśmiechnął. - Dziękuję, Richardzie. Twoje towarzystwo ma na mnie niezawodnie ożywczy wpływ. Gdybyś musiał się ze mną skontaktować, znajdziesz Lestera tam gdzie zawsze. Informuj mnie, gdy tylko dowiesz się czegoś na temat pani Fuller albo naszego niemieckiego przyjaciela.

- Dobrze, proszę pana.

Haines skierował się do wyjścia.

- Jeszcze jedno, Richardzie. - Barent włożył granatową kaszmirową marynarkę. - Czy nadal uważasz, że szeryf Gentry i ten psychiatra...

- Laski - odpowiedział Haines.

- Otóż to, Laski... - przytaknął Barent z uśmiechem. - Czy nadal uważasz, że ich kontrakty powinny zostać oficjalnie anulowane?

- Owszem. - Haines zmarszczył brwi i mówił dalej, starannie dobierając słowa: - Gentry jest bystry, to mu może zaszkodzić. Myślałem z początku, że przejął się morderstwami w Mansard House, bo psują wizerunek jego samego i jego hrabstwa. Zanim jednak wyjechałem z Charleston, zorientowałem się, że podchodzi do sprawy zbyt osobiście. Spasiony, wiejski ćwok.

- Ale bystry - przypomniał Barent.

- Tak. O Laskim niewiele wiem, poza tym, że też jest w to jakoś... zamieszany. Znał panią Drayton i...

- Wiem, wiem. Pan Laski może się nam jeszcze przydać. - Barent popatrzył na Hainesa. - Richardzie?

- Tak, proszę pana?

- Od dawna chciałem cię o coś zapytać. - Barent zetknął dłonie czubkami palców. - Zanim pan Colben wstąpił do Klubu, ty już od kilku lat dla niego pracowałeś. Zgadza się?

- Tak, proszę pana.

Czubkami palców Barent dotknął dolnej wargi.

- Moje pytanie... brzmi... następująco: dlaczego?

Haines zmarszczył brwi i zrobił pytającą minę.

- Chodzi mi o to, że nie rozumiem, dlaczego robiłeś i nadal robisz różne rzeczy, które Charles każe ci robić, skoro... masz wybór?

Agent FBI rozpromienił się w uśmiechu, odsłaniając idealnie równe zęby.

- Ach, o to chodzi... Cóż, ja chyba po prostu lubię tę pracę. To wszystko, panie Barent?

Barent jeszcze przez chwilę mu się przyglądał, zanim odparł:

- Tak.

Pięć minut po wyjściu Hainesa Barent połączył się z pilotem przez interkom.

- Donaldzie? Startujemy. Chciałbym udać się na swoją wyspę.

10.

Charleston

17 grudnia 1980, środa

Saula obudziły pokrzykiwania dzieci bawiących się przed domem. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Na pewno nie był u siebie w mieszkaniu, bo leżał na półkotapczanie pod oknem z żółtymi zasłonkami. Przypomnił mu się dom rodzinny w Łodzi, też mieli tam żółte zasłonki... i te dziecięce krzyki... Stefa... Josef...

Ale nie, te dzieci tutaj pokrzykiwały po angielsku. Charleston. Natalie Preston. Przypomnił sobie, jak opowiedział jej swoją historię, i poczuł się zażenowany, jakby młoda Murzynka oglądała go nagiego. Po co jej to wszystko mówił? Po tylu latach, po co...

- Dzień dobry. - Natalie wyjrzała z kuchni, ubrana w czerwoną bluzę i sprane dżinsy.

Saul usiadł i przetarł oczy. Jego koszula i spodnie wisały przerzucone przez oparcie sofy.

- Dzień dobry.

- Tosty i jajka na bekonie? - spytała Natalie.

Pachniało świeżo paloną kawą.

- Brzmi cudownie, ale za bekon podziękuję.

Natalie zacisnęła pięść i udała, że wali się w głowę.

- No jasne. Religia.

- Cholesterol, nie religia.

Przy śniadaniu rozmawiali o błahostkach - o mieszkaniu w Nowym Jorku, studiowaniu w St. Louis, dorastaniu na Południu.

- Trudno to wytłumaczyć, ale pod pewnymi względami łatwiej być czarnym tutaj niż na Północy - mówiła Natalie. - Rasizm nie zniknął, ale... nie wiem jak to powiedzieć. Zmienia się. Może fakt, że ludzie tutaj przez lata przywykli do swoich ról, a teraz po prostu muszą je zmienić, pozwala im na większą szczerłość. Na północy wychodzi to jakoś podle. Wrednie.

- Dla mnie St. Louis nie jest miastem „na Północy” - odparł z uśmiechem Saul.

Dojadł tost i napił się kawy.

Natalie parsknęła śmiechem.

- To prawda, ale nie jest to też „miasto na Południu”. To po prostu jedno z

wielu miast na Środkowym Zachodzie. Ale mówiłam raczej o Chicago.

- Mieszkałaś kiedyś w Chicago?

- Przez jedno lato. Stary znajomy taty z *Tribune* załatwił mi pracę fotoreporterki.

Natalie zawiesiła głos i zapatrzyła się w swój kubek z kawą.

- To trudne, prawda? - odezwał się Saul. - Udaje ci się na chwilę zapomnieć, a potem wystarczy jedna przypadkowa wzmianka o człowieku i wszystko się przypomina...

Natalie pokiwała głową.

Saul wyjrzał przez okno w kuchni na kołyszące się liście palmy. Okno było uchylone, przez moskitierę przesączał się ciepły zefirek. Trudno było uwierzyć, że jest połowa grudnia.

- Uczysz się na nauczycielkę, ale twoją pierwszą wielką miłością jest chyba fotografia, prawda?

Natalie znów pokiwała głową. Wstała od stołu i dołała im obojgu kawy.

- Tak się umówiliśmy z tatą. - Uśmiechnęła się. - Zgodził się pomagać mi w fotografii, pod warunkiem, że poszukam sobie „uczciwej pracy”, jak to nazywał.

- I co, będziesz uczyć?

- Może.

Kiedy Natalie tym razem się uśmiechnęła, Saul zauważył, że ma idealne zęby. Jej uśmiech był zarazem ciepły i nieśmiały. Prawdziwe błogosławieństwo.

Saul pomógł jej pozmywać i wytrzeć nieliczne użyte do śniadania naczynia, po czym zaparzyli sobie jeszcze kawy i wyszli posiedzieć na małej werandzie od frontu. Ruch samochodowy był niewielki, dzieci poszły się bawić gdzie indziej... Nie, uświadomił sobie Saul: jest środa i dzieci poszły do szkoły.

Usiedli naprzeciw siebie na białych wiklinowych krzesłach. Natalie narzuciła na ramiona cienki sweter, Saul czuł się doskonale w zmiętej sztruksowej marynarce z poprzedniego dnia.

- Obiecałeś mi ciąg dalszy swojej historii - przypomniała półgłosem Natalie.

Saul pokiwał głową.

- Pierwsza część nie wydała ci się zbyt niewiarygodna? Nie była majaczeniami szaleńca?

- Jesteś psychiatrą. Nie możesz być wariatem.

Saul zaśmiał się głośno.

- Żebyś ty wiedziała, jakie ja znam historie...

- Później - przerwała mu z uśmiechem. - Najpierw twoja.

Saul umilkł ze wzrokiem utkwionym w czarny krążek powierzchni kawy w kubku.

- Uciekłeś Oberstowi - podpowiedziała mu Natalie.

Zamknął na chwilę oczy, otworzył je, odchrząknął. Kiedy zaczął mówić, jego głos był wyprany z wszelkich emocji - poza, być może, ledwie wyczuwalną nutą smutku.

Po paru minutach to Natalie z kolei przymknęła powieki, żeby lepiej wyobrazić sobie sceny przedstawiane przez Saula ściszoną, dziwnie miłym i lekko smutnym głosem.

- Zimą czterdziestego drugiego roku w Polsce Żyd nie miał dokąd uciekać. Całymi tygodniami błąkałem się po lasach na północny zachód od Łodzi. Stopa w końcu przestała mi krwawić, ale wszystko wskazywało na to, że zakażenia nie uda mi się uniknąć. Opatuliłem ranę mchem, owinąłem szmatą i kuśtykałem dalej. Długie cięcia na boku i prawym udzie przez kilka dni pulsowały bólem, w końcu jednak pokryły się strupami. Kradłem jedzenie z gospodarstw, unikałem dróg, chowałem się przed działającymi w lasach polskimi partyzantami, którzy równie chętnie jak Niemcy zastrzeliliby napotkanego przypadkiem Żyda.

Nie wiem, jak udało mi się przetrwać tę zimę. Pamiętam dwie rodziny wieśniaków, chrześcijan, którzy ukryli mnie u siebie w stodołach, w sianie, i potajemnie przynosili mi jedzenie, chociaż sami nie mieli co do garnka włożyć.

Wiosną ruszyłem na południe; zamierzałem dotrzeć do domu stryja Mosze pod Krakowem. Nie miałem wprawdzie żadnych dokumentów, ale udało mi się podłączyć do grupy robotników wracających z budowy niemieckich umocnień na froncie wschodnim. Wiosną czterdziestego trzeciego roku nikt nie miał wątpliwości, że Armia Czerwona wkroczy niebawem na polskie ziemie.

Do gospodarstwa stryja miałem osiem kilometrów, kiedy jeden z robotników mnie zadenuncjował. Zostałem aresztowany przez polską granatową policję. Przesłuchiwali mnie trzy dni, miałem jednak wrażenie, że nie chodzi im o uzyskanie odpowiedzi. Potrzebowali po prostu pretekstu do bicia. A potem i tak oddali mnie Niemcom.

Gestapo się mną nie zainteresowało, doszli pewnie do wniosku, że jestem jednym z wielu Żydów zbiegłych z dużych miast albo z któregoś z transportów. Zastawiona na Żydów niemiecka sieć miała wiele dziur. Podobnie jak w wielu innych okupowanych krajach dopiero dobrowolna współpraca miejscowych z Niemcami uniemożliwiła Żydom uniknięcie okrutnego obozowego losu.

Nie wiadomo dlaczego, zamiast trafić do Auschwitz, Chełmna, Bełżca lub Treblinki, do których byłoby całkiem blisko, zostałem wysłany daleko na wschód. Po czterech dniach jazdy w zamkniętym na głucho wagonie towarowym (przez te cztery dni zmarł co trzeci z jadących nim Żydów) drzwi otworzyły się z łoskotem i półżywi, oślepieni dawno niewidzianym światłem dnia wysiedliśmy w Sobiborze. I właśnie tam ponownie spotkałem Obersta.

Sobibór był obozem zagłady. Nie było w nim fabryk, jak w Auschwitz czy Belsen, nie próbowano zachowywać pozorów, jak w Chełmnie czy Theresenstadt, w przeciwieństwie do wielu innych nazistowskich bram piekielnych brakowało ironicznego sloganu *Arbeit macht frei*. W okresie od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego do czterdziestego trzeciego Niemcy prowadzili szesnaście dużych obozów koncentracyjnych, takich jak Auschwitz, ponad pięćdziesiąt mniejszych, setki obozów pracy i tylko trzy tak zwane *Vernichtungslager*, obozy zagłady, których jedynym celem istnienia była eksterminacja więźniów: Bełżec, Treblinka i Sobibór. Istniały zaledwie przez dwadzieścia miesięcy. W tym krótkim czasie zginęły w nich ponad dwa miliony Żydów.

Obóz w Sobiborze był mały, mniejszy niż ten w Chełmnie. Leżał nad Bugiem, ku któremu latem czterdziestego trzeciego napierająca Armia Czerwona zaczynała spychać Wehrmacht. Na zachód od miasta rozciągały się dzikie Lasy Parczewskie. Cały kompleks zabudowań w Sobiborze zmieściłby się na trzech lub czterech połączonych boiskach futbolowych, obóz pracował jednak niezwykle wydajnie, przybliżając realizację wyznaczonego przez Himmlera celu, czyli Ostatecznego Rozwiązania.

Naprawdę spodziewałem się, że to koniec. Wyładowano nas z wagonów i spędzono pod wysoki żywopłot, w wąskim korytarzu wytyczonym drutem kolczastym. Drut był przeplatany strzechą, która zasłaniała widok na boki, tak że widzieliśmy tylko jedną wysoką wieżyczkę strażniczą, czubki drzew i dwa ceglane kominy z przodu. Trzy tabliczki ze strzałkami wskazywały drogę: STOŁÓWKA->, PRYSZNICE-> i DROGA DO NIEBA->. Ktoś popisał się esesmańskim poczuciem humoru.

Zostaliśmy skierowani do pryszniców.

Żydzi z francuskich i duńskich transportów szli potulnie, pamiętam jednak, że polskich Żydów Niemcy musieli ponaglać przekleństwami i uderzeniami kolb. Idący obok mnie starszy człowiek bluzgał na każdego mijanego Niemca i wygrażał pięścią esesmanom, którzy kazali się nam rozebrać.

Nie umiem powiedzieć, co dokładnie czułem, wchodząc do łaźni. Na pewno nie czułem gniewu, niewiele też było we mnie strachu... Przede wszystkim odczuwałem chyba ulgę. Od blisko czterech lat kierował mną jeden imperatyw: muszę przeżyć. Posłuszny temu imperatywowi stałem z boku i patrzyłem, jak moi rodacy, moi bracia Żydzi, moja rodzina, wszyscy trafiają prosto w paszczę zbudowanej przez Niemców potwornej maszyny rzeźniczej. Patrzyłem. Czasem pomagałem. Teraz mogłem odpocząć. Zrobiłem co w mojej mocy, żeby przetrwać, a teraz nadszedł koniec. Żałowałem tylko jednego: że nie dane mi było zabić Obersta zamiast Starca. Dla mnie Oberst ucieleśniał całe zło, przez które trafiłem do Sobiboru. To jego twarz miałem przed oczami, gdy w ów czerwcowy dzień tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku zamknęły się za mną masywne drzwi łaźni.

Było bardzo tłoczno. Ludzie rozpychali się, krzyczeli, pojękiwali. Z początku nic się nie działo, potem rury zagrzechotały i wpadły w wibracje. Prysznic się włączył. Inni uchylali się i cofali przed nimi, a ja nie. Ja stanąłem bezpośrednio pod jednym z nich i zadarłem głowę. Pomyślałem o mojej rodzinie. Zrobiło mi się żal, że nie zdążyłem się pożegnać z matką i siostrami. I w końcu, właśnie w tej chwili, pojawiła się nienawiść. Wyobrażałem sobie twarz Obersta, gdy wściekłość płonęła we mnie jak otwarty ogień, ludzie dookoła mnie krzyczeli, a rury trzęsły się i prychały, aż w końcu splunęły na nas swoją zawartością.

Woda. To była woda. Prysznic - te same, które codziennie odbierały życie tysiącom ludzi - były czasem, dosłownie po kilka razy w miesiącu, wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem: do mycia.

Drzwi się otworzyły. Zostaliśmy wyprowadzeni na dwór i odwszawieni. Ogolono nam głowy, dostaliśmy więzienne kombinezony, na rękę wytatuowano mi numer. Nie pamiętam bólu.

W Sobiborze, gdzie tak skutecznie przerabiano tysiące więźniów dziennie, co miesiąc część z nich oszczędzano, żeby miał kto dbać o obóz i wykonywać inne prace. Padło na nasz transport.

I wtedy, w tej właśnie chwili - jeszcze otępiały i niemogący uwierzyć, że jednak wyszedłem z powrotem na światło dnia - zdałem sobie sprawę, że zostałem wybrany; że przeznaczone mi jest jakieś ważne zadanie. Nadal wzdragałem się przed wiarą w Boga. Bóg, który w ten sposób zdradził swój lud, nie zasługiwał na moją wiarę, uwierzyłem jednak, że moje życie, moje przetrwanie, ma jakiś głębszy sens. Ten sens wyrażał się w obrazie twarzy Obersta, z którym gotowy byłem umrzeć. Ogrom zła, które pochłonęło mój lud, był zwyczajnie niepojęty, przerastał każdego, a na pewno przerastał mnie, siedemnastolatka. Natomiast plugastwo, jakim było istnienie Obersta, doskonale mieściło się w granicach mojego rozumienia. Przeżyję. Wiedziałem, że przeżyję, chociaż przestałem podlegać imperatywowi, który przez cztery lata utrzymywał mnie przy życiu. Przeżyję, żeby wypełnić swoje przeznaczenie. Zmuszę się do życia. Zniosę wszystko, byle tylko pewnego dnia móc zetrzeć to plugastwo z powierzchni ziemi.

Przez następne trzy miesiące mieszkałem w Obozie I w Sobiborze. Obóz II był etapem pośrednim, z Obozu III nikt nie wracał. Jadłem, co dawali, spałem, kiedy pozwalali, wypróżniałem się na rozkaz i wypełniałem obowiązki członka *Bahnhofkommando*. Nosilem niebieską czapkę i niebieski uniform z żółtymi literami „BK”. Kilka razy dziennie przyjmowaliśmy nowe transporty. Do dziś w bezsenne noce przed oczami stają mi wypisane kredą na zapieczętowanych wagonach nazwy miast, z których przyjeżdżały pociągi: Turobin, Gorzków, Włodawa, Siedlce, Izbica, Markuszów, Komorów, Zamość. Odbieraliśmy od oszołomionych Żydów bagaże i wydawaliśmy im w zamian pokwitowania. Ponieważ polscy Żydzi stawiali opór, co spowalniało procedurę, musieliśmy im wmawiać, że Sobibór to tylko przystanek na drodze do docelowych centrów przesiedleńczych; przez pewien czas na stacji były nawet drogowskazy podające odległości do tych mitycznych ośrodków. Polscy Żydzi najczęściej nam nie wierzyli, ale ostatecznie dawali się zaprowadzić pod prysznice razem z pozostałymi. A pociągi przyjeżdżały bez przerwy: Baranów, Ryki, Dubienka, Biała Podlaska, Uchanie, Dęblin, Rejowiec. Co najmniej raz dziennie przybyszom z wybranych gett rozdawaliśmy pocztówki z gotowym nadrukiem: **PRZYJECHALIŚMY DO OŚRODKA DLA PRZESIEDLEŃCÓW. PRACA NA ROLI CIĘŻKA, ALE SŁOŃCE PRZYJEMNIE GRZEJE. MAMY TEŻ CO JEŚĆ. PRZYJEŹDŹAJCIE JAK NAJSZYBCIEJ.** Żydzi wpisywali adresy bliskich i podpisywali się, zanim zostali skierowani do gazu. Kiedy u schyłku lata getta w miastach w większości opustoszały, ten podstęp przestał

być potrzebny. Końskowola, Józefów, Michów, Grabowiec, Lublin, Łódź. Bywały i takie transporty, w których nikt nie przeżył. Wtedy my, *Bahnhofkommando*, odkładaliśmy pokwitowania bagażowe na bok i wywlekaliśmy nagie zwłoki z cuchnących wagonów. Przypominało to opróżnianie ciężarówek do gazowania w Chełmnie, tyle że tutaj ciała tkwiły w śmiertelnych uściskach od wielu dni lub nawet tygodni, gdy wagony stały w palącym słońcu na jakiejś wiejskiej bocznicy. Kiedy za którymś razem próbowałem wyszarpnąć z wagonu zwłoki kobiety splecionej w objęciach z martwym dzieckiem i staruszką, oderwałem jej rękę.

Przeklinałem Boga i wyobrażałem sobie bladą, szyderczo wykrzywioną twarz Obersta. Przeżyję.

W lipcu do Sobiboru przyjechał Heinrich Himmler. Z tej okazji przybył też specjalny transport Żydów z zachodniej Europy, chciano bowiem zademonstrować Himmlerowi pracę obozu. Od przybycia pociągu na stację do momentu, gdy z sześciu pieców uniosła się ostatnia smużka dymu, upłynęły niespełna dwie godziny. Przez ten czas skonfiskowano, posortowano, spisano i złożono w magazynie wszystkie należące do ofiar przedmioty. W Obozie II obcięte kobietom włosy zostały przerobione na filc lub wyściółkę do pantofli dla załóg U-bootów.

Sortowałem bagaże przy stacji, gdy komendant obozu przyprowadził Himmlera i jego orszak na inspekcję. Słabo zapamiętałem Himmlera, drobnego okularnika z urzędniczym wąsem, ale tuż za nim podążał młody blondyn, oficer, na którego natychmiast zwróciłem uwagę. Był to dobrze mi znany Oberst. Dwa razy nachylił się nad Himmlerem i szepnął mu coś do ucha; raz SS Reichsführer odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się osobliwie zniewieściałym śmiechem.

Przeszli pięć metrów ode mnie. Pochylony i skupiony na swoim zajęciu, tylko raz przelotnie zerknąłem na Obersta. Patrzył prosto na mnie. Chyba mnie nie rozpoznał. Od Chełmna upłynęło zaledwie osiem miesięcy, ale dla niego byłem po prostu jednym z wielu żydowskich więźniów sortujących bagaże zabitych. Zawahałem się. Miałem swoją szansę, ale zawahałem się i ją straciłem. Wydaje mi się, że naprawdę mogłem go wtedy dosięgnąć; zdążyłbym zacisnąć mu ręce na gardle, zanim padłyby strzały. Może nawet zdołałbym zabrać pistolet któremuś z towarzyszących Himmlerowi oficerów i strzelić do Obersta, zanimby się zorientował, co mu grozi.

Od tamtej pory nieraz się zastanawiałem, czy coś jeszcze - poza zaskoczeniem i niezdecydowaniem - powstrzymało moją dłoń. Z pewnością

nie wiedziałem wtedy, co to strach. Mój strach umarł razem z innymi fragmentami mojego ducha kilka tygodni wcześniej, w hermetycznie zamkniętej łaźni. Z niewiadomych powodów zastanawiałem się jednak zbyt długo - kilkanaście sekund, może nawet minutę; ten czas został na zawsze stracony. Orszak Himmlera minął mnie i udał się do siedziby komendanta, na teren znany jako „Wesoła Pchełka”. Gapiłem się na bramę, za którą zniknęli, dopóki sierżant Wagner nie wydarł się na mnie, żebym wziął się do roboty, bo jak nie, to pójdę do „szpitala”. Ze szpitala nikt nie wracał. Spuściłem głowę i wróciłem do pracy.

Miałem się na baczości do wieczora, nie spałem całą noc, a potem przez cały następny dzień wypatrywałem Obersta, ale więcej go nie zobaczyłem. Himmler nocą wyjechał z obozu.

Czternastego października Żydzi w Sobiborze podnieśli bunt. Wcześniej dochodziły mnie już pogłoski o szykowanym powstaniu, wydały mi się jednak tak odległe od prawdy, że zupełnie się nimi nie interesowałem. Ostatecznie starannie opracowany plan sprowadził się do zabicia paru wartowników i ucieczki na oślep przez główną bramę. Uciekło około tysiąca Żydów. Większość z nich już w pierwszej minucie wykosił ogień karabinów maszynowych, część jednak skorzystała z ogólnego zamętu i przedarła się za ogrodzenie. Moja brygada wracała akurat z dworca, kiedy wybuchło to zamieszanie. Po tym, jak tłum zatłukł pilnującego nas kaprała, nie pozostało mi nic innego, niż przyłączenie się do ucieczki. Byłem pewien, że w niebieskim uniformie pierwszy ściągnę na siebie ostrzał siedzących na wieżyczce ukraińskich strażników, ale udało mi się dopaść drzew i skryć wśród nich; dwie biegnące ze mną kobiety padły, trafione pociskami z karabinu. W lesie zrzuciłem uniform i wciągnąłem szarą kurtkę zabraną starszemu mężczyźnie, który dotarł między drzewa tylko po to, by tam dosięgła go zbłąkana kula.

Na moje oko, z obozu uciekło wtedy około dwustu osób, pojedynczo lub w małych grupach, najczęściej pozbawionych przywódcy. Inicjatorzy ucieczki nie pomyśleli o tym, jak zamierzają przeżyć w lesie po tym, jak już wydobiją się za druty.

Większość Żydów i Rosjan została wkrótce wyłapana przez Niemców lub wytropiona i zgładzona przez polskich partyzantów. Wielu szukało schronienia w okolicznych gospodarstwach, których właściciele niedługo potem ich zadenuncjowali. Nieliczni przeżyli w lesie, innym udało się sforsować Bug i wyjść na spotkanie nacierającej Armii Czerwonej. Ja miałem

szczęście. Trzeciego dnia pobytu w lesie natknąłem się na żydowski oddział partyzancki. Dowodził nim dzielny, prawdziwie nieustraszony człowiek nazwiskiem Jechiel Grynszpan. Przyjął mnie do oddziału i kazał lekarzowi przywrócić mnie do pełni sił i sprawności fizycznej. Pierwszy raz od zimy ktoś zajął się moją nogą jak należy.

Przez pięć miesięcy wędrowałem z oddziałem po Lasach Parczewskich. Byłem asystentem lekarza, doktora Jaczyka. Kiedy się tylko dało, ratowaliśmy ludzkie życie. Także życie Niemców.

Niedługo po tej ucieczce naziści zamknęli obóz w Sobiborze. Zburzyli baraki, wywieźli piece i posadzili ziemniaki na tych samych polach, gdzie pochowano tysiące niespalonych ciał. Zanim jeszcze nadeszła pora Chanuki, na terytorium Polski zapanował zamęt. Wehrmacht był w odwrocie, wycofywał się na zachód i południe. W marcu Armia Czerwona wyzwoliła tereny, na których działaliśmy. Dla mnie wojna się skończyła.

Sowieci przetrzymywali nas i przesłuchiwali jeszcze przez ładne kilka miesięcy. Część ludzi trafiła do rosyjskich obozów, ja jednak wyszedłem w maju na wolność i wróciłem do Łodzi. Nie znalazłem tam nic dla siebie. Getto zostało nie tyle zdziesiątkowane, ile wprost unicestwione. Nasz stary dom w zachodniej części miasta uległ zniszczeniu podczas walk.

W sierpniu czterdziestego piątego roku udałem się na rowerze do Krakowa, skąd dotarłem do gospodarstwa stryja Mosze. W domu zamieszkała już inna rodzina, obca, chrześcijańska; wykupiła go od władz cywilnych jeszcze w czasie wojny. Twierdzili, że nic nie wiedzą o losach poprzednich właścicieli.

Podczas tego objazdu po kraju wróciłem do Chełmna. Sowieci odgradzili teren obozu, nie wpuszczono mnie na jego teren, ale przez pięć dni obozowałem nieopodal i zjeździłem na rowerze wszystkie okoliczne drogi i ścieżki. W końcu znalazłem pozostałości myśliwskiego dworku. Został zniszczony - nie wiem, czy ostrzelała go artyleria, czy wycofujący się Niemcy wysadzili go w powietrze; zostało z niego trochę rozrzuconych kamieni, zwęglone dźwigary i osmolony monolit komina. Szachownicowa posadzka przepadła bez śladu.

Na polanie, na której wykopaliśmy płytki dół, stały tabliczki z informacją o niedawno przeprowadzonej ekshumacji. Wszędzie walały się niedopałki rosyjskich papierosów. Pytałem w miejscowej gospodzie, ale mieszkańcy stanowczo twierdzili, że nic nie wiedzą o masowych grobach w pobliżu. Upierali się również, i to z wyraźną złością, że nikt w okolicy nawet nie

przypuszczał, że w Chełmnie mieści się coś więcej, niż oficjalnie twierdzili Niemcy - tymczasowy obóz dla więźniów kryminalnych i politycznych. Miałem dość biwakowania po lasach i zamierzałem spędzić tę noc - ostatnią przed powrotem na południe - pod dachem. Nic z tego jednak nie wyszło, bo w gospodzie nie przyjmowano Żydów. Następnego dnia pojechałem pociągiem do Krakowa, żeby tam szukać pracy.

Zima na przełomie czterdziestego piątego i szóstego była niewiele mniej surowa od tej z lat tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden i czterdzieści dwa. Powstał wprawdzie nowy rząd, ale zmuszony był działać w ponurej rzeczywistości niedostatków żywności i paliwa, czarnego rynku i sowieckiej okupacji. Tysiące uchodźców wracały z tułaczki, by pozbierać rozproszone skrawki dawnego życia. Najgorsza była okupacja. Przez setki lat walczyliśmy z Rosjanami, na przemian przeważaliśmy lub odpieraliśmy ich najazdy, żyliśmy w stanie zagrożenia z ich strony, a na koniec witaliśmy ich jako wybawców. Okazało się, że po niemieckim koszmarze nastął lodowaty poranek rosyjskiego wyzwolenia. Podobnie jak sama Polska, byłem wyczerpany, otępiały i z lekka zaskoczony faktem, że przeżyłem. Myślałem wyłącznie o przetrwaniu następnej zimy.

Wiosną czterdziestego szóstego roku dostałem list od mojej kuzynki Rebeki. Zamieszkała z mężem Amerykaninem w Tel Awiwie i od miesięcy prowadziła korespondencję, kontaktowała się z urzędnikami, słała telegramy do agencji i instytucji - wszystko w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów rodziny. Wytropiła mnie dzięki przyjaciołom z Czerwonego Krzyża.

Odpisałem jej i wkrótce dostałem telegram, w którym nalegała, żebym dołączył do niej w Palestynie. Byli z Davidem gotowi sfinansować mi podróż.

Nigdy nie byłem syjonistą, prawdę mówiąc, nasza rodzina nigdy nie uznawała możliwości utworzenia państwa żydowskiego na terenie Palestyny, ale kiedy w czerwcu czterdziestego szóstego zszedłem na ląd z pokładu przeciążonego tureckiego frachtowca i postawiłem nogę na przyszłym terytorium Izraela, czułem się tak, jakby ktoś zdjął mi z ramion ciężkie brzemie. Pierwszy raz od września trzydziestego dziewiątego roku mogłem odetchnąć pełną piersią. Nie ukrywam, padłem wtedy na kolana i płakałem.

Być może moje poczucie wyzwolenia było nieco przedwczesne. Dosłownie kilka dni po moim przybyciu do Palestyny doszło do eksplozji w hotelu King David w Jerozolimie, w którym mieściła się siedziba brytyjskich władz. Wtedy się dowiedziałem, że zarówno Rebeka, jak i jej mąż są

aktywnymi działaczami Hagany.

Półtora roku później dołączyłem do nich podczas wojny o niepodległość, ale mimo partyzanckiego szkolenia i doświadczenia, służyłem na froncie wyłącznie jako lekarz. To nie Arabów nienawidziłem najbardziej.

Rebeka uparła się, żebym kontynuował edukację. David był wówczas dyrektorem wielce szacownej amerykańskiej firmy, nie mieliśmy problemów z pieniędzmi. W ten oto sposób całkiem przeciętny uczeń z Łodzi, chłopak, któremu wojna wyrwała pięć lat z życia, wrócił do szkoły jako mężczyzna doświadczony, cyniczny i stary - w wieku dwudziestu trzech lat.

Poszło mi nadspodziewanie dobrze. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym poszedłem na uniwersytet, a trzy lata później na medycynę. Dwa lata studiowałem w Tel Awiwie, piętnaście miesięcy w Londynie, rok w Rzymie i jedną bardzo deszczową wiosnę w Zurychu. Przy każdej okazji wracałem do Izraela, żeby popracować w kibucu nieopodal letniego gospodarstwa Rebeki i Davida i odnowić stare przyjaźnie. Mój dług wdzięczności wobec kuzynki i jej męża urósł do niebotycznych rozmiarów, Rebeka jednak uparcie twierdziła, że pomoc jednemu ocalałemu przedstawicielowi Laskich, odgałęzienia rodu Eshkol, nie ma ceny.

Wybrałem psychiatrię. Od początku traktowałem studia medyczne, służące badaniu ciała, wyłącznie jako wstęp, niezbędne przygotowanie do zgłębiania tajników umysłu. Bardzo szybko dostałem obsesji na punkcie teorii przemocy i dominacji w stosunkach międzyludzkich i z najwyższym zdumieniem stwierdziłem, jak niewiele jest rzetelnych badań z tej dziedziny. Nie brakowało danych ilustrujących mechanizm dominacji w stadzie lwów, obszerny materiał traktował o ustalaniu porządku dziobania u większości ptaków, specjaliści od naczelnych obficie dokumentowali rolę dominacji i agresji u naszych najbliższych kuzynów... Tymczasem prawie nic nie wiedzieliśmy o przemocy wśród ludzi i jej wpływie na hierarchię społeczną. Wkrótce zacząłem na własną rękę snuć domysły i tworzyć teorie.

Podczas studiów regularnie próbowałem też namierzyć Obersta. Miałem jego rysopis, wiedziałem, że był oficerem *Einsatzgruppe 3*, widziałem go w towarzystwie Himmlera i pamiętałem, że ostatnie słowa *Der Alte* brzmiały „Willi, mój przyjacielu”. Nawiązałem kontakt z oddziałami oenzetowskiej Komisji do spraw Zbrodni Wojennych w poszczególnych strefach okupacyjnych, Czerwonym Krzyżem, Radzieckim Stałym Trybunałem Ludowym do spraw Faszystowskich Zbrodni Wojennych, Komisją Żydowską oraz niezliczonymi ministerstwami i biurami. Niczego nie

znalazłem. Po pięciu latach zwróciłem się do Mossadu, izraelskiej agencji wywiadowczej. Tam przynajmniej zainteresowano się moją historią, ale wtedy Mossad nie był jeszcze tak skuteczną organizacją, za jaką uchodzi dzisiaj. Poza tym mieli na rozkładzie ważniejsze nazwiska: Eichmann, Murer i Mengele zajmowali na ich liście priorytetów wyższe miejsca niż mało znany Oberst, na którego doniósł tylko jeden ocalały z holokaustu. W 1955 roku udałem się do Austrii na spotkanie z tropicielem nazistów Szymonem Wiesenthalem.

Założone przez niego Żydowskie Centrum Dokumentacji mieściło się na piętrze nędznej kamienicy w ubogiej dzielnicy Wiednia. Budynek wyglądał, jakby sklecono go w pośpiechu w czasie wojny, żeby służył za tymczasowe lokum przesiedleńcom. Centrum miało tam do dyspozycji trzy pokoje: w dwóch z nich ledwie mieściły się przepelnione szalki na akta, w trzecim - z gołą cementową posadzką - znajdował się gabinet Wiesenthala. On sam był nerwowym, wiecznie zaaferowanym człowiekiem o niepokojącym spojrzeniu. W jego oczach dostrzegłem coś znajomego; w pierwszej chwili pomyślałem, że to oczy fanatyka, ale wtedy uświadomiłem sobie, gdzie widziałem je poprzednio. Przypominały mi oczy, w które patrzyłem codziennie rano przy goleniu.

Opowiedziałem mu w skrócie swoją historię; ograniczyłem się do sugestii, że w Chełmnie Oberst dopuszczał się okrucieństw wobec więźniów wyłącznie ku uciesze swoich żołnierzy. Kiedy jednak powiedziałem, że spotkałem go ponownie w Sobiborze w towarzystwie Heinricha Himmlera, Wiesenthal wyraźnie się tym zainteresował.

- Jest pan pewien? - spytał.
- Całkowicie.

Mimo natłoku zajęć znalazł dwa dni, żeby pomóc mi w poszukiwaniach Obersta. W jego udającym biuro zagraconym grobowcu znajdowały się setki teczek, tuziny indeksów i nazwiska ponad dwudziestu dwóch tysięcy esesmanów. Przeglądaliśmy zdjęcia personelu *Einsatzgruppen*, fotografie z uroczystości ukończenia akademii wojskowych, wycinki z gazet, zdjęcia z oficjalnego periodyku SS *Czarny korpus*. Wieczorem pierwszego dnia obraz rozmywał mi się przed oczami, a w nocy śniły mi się zdjęcia, na których oficerowie Wehrmachtu przyjmują medale z rąk uśmiechających się szyderczo nazistowskich przywódców. Nie natrafiliśmy na żaden ślad Obersta.

Było późne popołudnie drugiego dnia, kiedy w końcu coś znalazłem:

fotografię opublikowaną w gazecie z datą dwudziestego trzeciego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Przedstawiała barona von Bülera, pruskiego arystokratę, bohatera pierwszej wojny światowej, przywróconego właśnie do czynnej służby w randze generała. Podpis pod zdjęciem informował, że generał von Büler zginął na polu chwały, bohatersko odpierając natarcie radzieckiej dywizji pancerniej na froncie wschodnim. Długo wpatrywałem się w pożłobioną zmarszczkami twarz na wyblakłej fotografii. Twarz Starca. *Der Alte*.

Włożyłem ją z powrotem do akt i szukałem dalej.

- Gdybyśmy mieli nazwisko... - mruknął Wiesenthal, kiedy wieczorem poszliśmy na kolację do małej knajpki nieopodal katedry św. Stefana. - Jestem przekonany, że gdybyśmy mieli nazwisko, udałoby się nam go znaleźć. SS i Gestapo prowadziły rzetelne kartoteki swoich funkcjonariuszy. Ale potrzebujemy nazwiska.

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że rano wracam do Tel Awiwu. Wyczerpaliliśmy zasób dokumentacji Centrum Wiesenthala odnoszącej się do *Einsatzgruppen* frontu wschodniego, a spodziewałem się, że w najbliższym czasie studia pochłoną mnie całkowicie.

- Mowy nie ma! - wykrzyknął Wiesenthal. - Przeżył pan łódzkie getto, Chełmno i Sobibór. Z pewnością ma pan informacje o innych oficerach i zbrodniarzach wojennych. Nie wypuszczę pana przez najbliższy tydzień: przeprowadzę z panem długą rozmowę, którą następnie każę spisać i zarchiwizować. Nawet sobie pan nie wyobraża, jakim bogactwem faktów dysponuje.

- Nie - odparłem. - Inni mnie nie interesują. Szukam tylko tego Obersta.

Wiesenthal długo wpatrywał się w filiżankę z kawą, zanim podniósł na mnie wzrok. Miał dziwny błysk w oku.

- Chodzi panu tylko o zemstę.

- Owszem - przytaknąłem. - Tak jak i panu.

Pokręcił głową.

- Nie. Być może, obaj mamy obsesję, mój przyjacielu, ale ja pragnę nie zemsty, lecz sprawiedliwości.

- W tym wypadku na jedno wychodzi, nie uważa pan?

Znów pokręcił głową.

- Sprawiedliwość jest niezbędna - odparł półgłosem, tak cicho, że ledwie go usłyszałem. - Domagają się jej miliony głosów dobiegających z anonimowych grobów, rdzewiejących pieców, pustych domów w tysiącu

miast. Z zemstą jest inaczej. Zemsta nie przystoi.

- Komu? - warknąłem ostrzej niż zamierzałem.

- Nam. Im. Ich śmierci. Ich trwającemu istnieniu.

Zbyłem go wtedy zdawkowym ruchem głowy, ale później często wracałem pamięcią do naszego sporu.

Wiesenthal był wprawdzie zawiedziony, ale zgodził się mieć baczenie na informacje, które mogłyby mieć związek z Oberstem. Piętnaście miesięcy później, zaledwie kilka dni po odebraniu dyplomu, dostałem od niego list, a w nim fotokopie pasków wypłat Sekcji IV *Sonderkommando*, komórki IV-B, wchodzącej w skład *Einsatzgruppe* „Doradcy specjalni”. Wiesenthal zakreślił na nich nazwisko Obersta Wilhelma von Borcherta, oficera do zadań specjalnych przydzielonego przez biuro Richarda Heydricha do *Einsatzgruppe Drei*. Do fotokopii dołączono znaleziony w archiwum Wiesenthala wycinek z gazety: siedmiu uśmiechniętych młodych oficerów pozowało do zdjęcia przy okazji specjalnego koncertu Filharmoników Berlińskich poświęconego Wehrmachtowi. Wycinek nosił datę 23/6/41, w repertuarze był Wagner, a pod zdjęciem widniały nazwiska uśmiechających się żołnierzyków. Piąty od lewej, z twarzą ledwie widoczną pomiędzy ramionami kompanów, z czapką zsuniętą nisko na czoło stał blady mężczyzna, opisany jako Oberleutnant Wilhelm von Borchert.

Dwa dni później byłem już w Wiedniu. Wiesenthal kazał swoim wysłannikom zrobić rozeznanie w sprawie przeszłości von Borcherta, ale z niewybitnym skutkiem. Von Borchertowie byli szanowaną rodziną, której arystokratyczne korzenie sięgały z jednej strony Prus, z drugiej zaś wschodniej Bawarii. Rodzinny majątek pochodził z ziemi, kopalń oraz eksportu dzieł sztuki. Ludzie Wiesenthala przekopali się przez archiwa sięgające roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego i wprawdzie nie znaleźli śladów urodzin ani chrzcin żadnego Wilhelma von Borcherta, ale natrafili na ciekawą informację prasową. *Regen Zeitung* z dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku donosiła, że niejaki Oberst Wilhelm von Borchert, jedyny dziedzic fortuny i tytułu hrabiego Klause von Borcherta, poległ na polu chwały, broniąc Berlina przed sowieckim najeźdźcą. Wieść o tym wydarzeniu zastała stareńkiego hrabiego z małżonką w letniej rezydencji w Waldheim, w Bayerischer Wald nieopodal Bayerisch-Eisenstein. Rodzice zwrócili się do aliantów z prośbą o powrót do domu pod Bremą, gdzie miał się odbyć pogrzeb. Wilhelm von Borchert, pisano dalej w artykule, za swoje męstwo został pośmiertnie odznaczony Żelaznym

Krzyżem oraz przedstawiony do awansu do rangi Oberstgruppenführera SS.

Wiesenthal kazał swoim ludziom prześledzić wszelkie inne dostępne tropy. Problem polegał na tym, że żadnych innych tropów nie było. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku rodzina von Borchertów składała się już tylko ze stareńkiej ciotki mieszkającej w Bremie i dwóch siostrzeńców, którzy przeputali większość rodzinnego majątku na nietrafione powojenne inwestycje. Ogromna posiadłość na wschodzie Bawarii była od lat zamknięta na głucho; większość rezerwatu myśliwskiego została sprzedana, a pieniądze poszły na opłacenie podatków. Wiesenthal utrzymywał też - z konieczności ograniczone - kontakty z Blokiem Wschodnim; jego tamtejsi informatorzy twierdzili, że Sowietom i Niemcom ze wschodniej części kraju również nic nie wiadomo o życiu i śmierci Wilhelma von Borcherta.

Poleciałem do Bremy na spotkanie z ciotką Obersta, okazało się jednak, że pogrążona w starczej demencji kobiecina nie przypomina sobie żadnego Williego w rodzinie. Była natomiast przekonana, że przysłał mnie jej brat, żebym zabrał ją na Summerfest do Waldheim. Jeden z siostrzeńców odmówił spotkania ze mną, drugi - fircykowaty młodzian, którego złapałem w Brukseli, gdy udawał się do Francji do wód - twierdził, że widział wuja Wilhelma tylko raz w życiu, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Miał wtedy dziewięć lat. Pamiętał tylko cudowny jedwabny garnitur wuja i zawadiacko przekrzywiony słomkowy kapelusz. W jego mniemaniu wuj był bohaterem wojennym, który zginął w walce z komunistami.

Wróciłem do Tel Awiwu i przez kilka lat prowadziłem praktykę w Izraelu. Przekonałem się wówczas - podobnie jak większość psychiatrów - że ukończone studia z tej dziedziny pozwalają dopiero rozpocząć prawdziwą naukę o zawłościach i dziwactwach ludzkiej osobowości.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym Rebeka zmarła na raka. David namawiał mnie, żebym wyjechał do Ameryki i tam kontynuował swoje badania mechanizmów dominacji wśród ludzi. Kiedy oponowałem, twierdząc, że w Tel Awiwie mam pod dostatkiem materiału, zażartował, że pod względem spektrum możliwych do zaobserwowania form przemocy nie ma drugiego takiego kraju na świecie jak Stany Zjednoczone. Do Nowego Jorku dotarłem w styczniu sześćdziesiątego czwartego. Kraj nie otrząsnął się jeszcze po stracie prezydenta i szykował się do utopienia swoich smutków w szczeniackiej hysterii na punkcie przybywającej właśnie zza oceanu

brytyjskiej grupy rockowej o nazwie The Beatles. Na Columbia University zaproponowano mi roczny kontrakt wykładowcy. Ostatecznie zostałem na uczelni do czasu ukończenia książki o patologii przemocy, a z czasem uzyskałem amerykańskie obywatelstwo, ale samą decyzję o pozostaniu w Stanach podjąłem w listopadzie. Wybrałem się w odwiedziny do przyjaciół w Princeton, w New Jersey. Po kolacji skrupowani gospodarze zaproponowali nieśmiało, żebyśmy obejrzeliby coś wspólnie w telewizji. Ponieważ sam nie miałem wtedy telewizora, zapewniłem ich, że nie mam nic przeciwko temu i chętnie się trochę rozerwę. Okazało się, że nadają dokument upamiętniający pierwszą rocznicę zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Zainteresował mnie; nawet w Izraelu, mimo że mieliśmy własne problemy na głowie, śmierć amerykańskiego prezydenta wstrząsnęła nami wszystkimi. Widziałem już wcześniej fotografie prezydenckiego konwoju w Dallas, wzruszyło mnie często publikowane zdjęcie synka Kennedy'ego salutującego przed trumną ojca, czytałem o dokonanym przez Jacka Ruby'ego zabójstwie domniemanego zamachowca - nie widziałem jednak dotąd samego nagrania z zamachu na Oswalda. A twórcy tego dokumentu wykorzystali go w swoim filmie: szyderczo uśmiechnięty człowieczek w ciemnym swetrze, ubrany po cywilnemu policjanci z Dallas, stetsony, typowe amerykańskie twarze. I nagle wyskakujący z tłumu krępy facet, pistolet niemal przystawiony do brzucha Oswalda, ostry, stłumiony huk, który obudził we mnie wspomnienia białych, nagich ciał wpadających do Dołu, skrzywiony Oswald łapiący się za brzuch... Obiektyw potraconej w zamieszaniu kamery prześliznął się po tłumie.

- O mój Boże! - wykrzyknąłem po polsku, zrywając się na równe nogi. - Mój Boże!

W tym tłumie był Oberst.

Nie tłumacząc się gospodarzom ze swojej ekscytacji, pożegnałem się pośpiesznie i złapałem nocny pociąg do Nowego Jorku, a następnego dnia z samego rana udałem się na Manhattan, do redakcji, która nadała dokument. Wykorzystując znajomości na uniwersytecie i rynku wydawniczym, uzyskałem dostęp do zgromadzonych przez redakcję filmów i taśm, włącznie ze scenami, które zostały z nich usunięte. Znajoma twarz w tłumie pojawiała się tylko przez tę chwilę, którą widziałem w telewizji. Pewien student, z którym wtedy współpracowałem, był tak miły, że zrobił dla mnie kopie stopklatek z monitora montażysty i powiększył je do maksymalnych możliwych rozmiarów

Widziana w powiększeniu twarz stała się nawet trudniejsza do rozpoznania niż przez te półtorej sekundy na telewizorze: rozmazana biała plama wciśnięta między szerokie rondo teksaskich kowbojskich kapeluszy, niewyraźny zarys skąpego uśmiechu, oczodoły jak przepastne czarne dziury w czaszce. Żaden sąd na świecie nie przyjąłby takiego zdjęcia jako dowodu w procesie, ale ja wiedziałem, że to był Oberst.

Poleciałem do Dallas. Tamtejsi oficjele byli jeszcze rozdrażnieni po fali krytyki ze strony prasy i światowej opinii publicznej. Mało kto chciał ze mną rozmawiać, jeszcze mniej było chętnych do dyskusji o wydarzeniach na podziemnym parkingu. Nikt nie rozpoznał człowieka na zdjęciach, które ze sobą przywiozłem - ani na stop-klatce z filmu, ani na starej fotografii z Berlina. Rozmawiałem z reporterami. Rozmawiałem ze świadkami. Próbowałem porozmawiać z Jackiem Rubym, zabójcą zabójcy, ale nie dostał pozwolenia na spotkanie ze mną. Trop Obersta pochodził sprzed roku i był zimny jak trup Lee Harveya Oswalda.

Wróciłem do Nowego Jorku i skontaktowałem się ze znajomymi z ambasady Izraela. Zaprzeczyli, jakoby izraelskie agencje działały kiedykolwiek na terytorium Stanów, ale zgodzili się popytać tu i ówdzie. W Dallas wynająłem prywatnego detektywa, który ostatecznie wystawił mi rachunek na siedem tysięcy dolarów, a wyniki jego pracy dało się streścić w jednym słowie: nic. Ambasada nie wzięła ode mnie pieniędzy, przypuszczam natomiast, że jej pracownicy - którzy również niczego się nie dowiedzieli - uznali mnie za wariata, skoro szukałem zbrodniarza wojennego na miejscu zamachu na prezydenta. Z doświadczenia wiedzieli, że większość byłych nazistów na wygnaniu nade wszystko pożąda anonimowości.

Sam zaczynałem powątpiewać w swoje zdrowie psychiczne. Twarz, która przez tyle lat prześladowała mnie w snach, przerodziła się w naczelną obsesję mojego życia. Jako psychiatra dobrze rozumiałem niejednoznaczność tej obsesji - wypalona w mojej świadomości w komorze gazowej w Sobiborze i zahartowana w mroźnej zimie mojego ducha fiksjacja na punkcie odszukania Obersta trzymała mnie przy życiu; gdybym się jej pozbył, straciłbym rację bytu. Gdybym uznał, że Oberst nie żyje, sam mógłbym już umrzeć.

Będąc psychiatrą, rozumiałem więc swoją obsesję - ale nie umiałem uwierzyć racjonalnym przesłankom. Zresztą, nawet gdybym w nie uwierzył, nie próbowałbym się z niej „leczyć”. Oberst istniał naprawdę. Partia szachów naprawdę została rozegrana. Oberst nie był człowiekiem, który dałby się zabić w jakimś prowizorycznym bastionie pod Berlinem. Był potworem. A

potwory nie umierają. Potwora trzeba zabić.

Latem roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego udało mi się wreszcie porozmawiać z Jackiem Rubym. Niewiele z tego wynikło. Ruby był wrakiem człowieka. Smętnie wyglądał, w więzieniu bardzo schudł i luźna skóra obwisała mu fałdami z twarzy i rąk jak brudne płótno. Oczy miał rozbiegane, wzrok nieobecny, głos chrapliwy. Próbowałem wyciągnąć go z tego stanu, w jaki popadł w tamten listopadowy dzień, ale zbywał mnie wzruszeniem ramion i powtarzał to samo, co powiedział już wielokrotnie podczas wcześniejszych przesłuchań. Nie, nie zamierzał zabić Oswalda aż do chwili tuż przed faktycznym zabójstwem. Całkiem przypadkowo znalazł się wtedy na parkingu, na widok Oswalda coś go napadło, ogarnął go niepohamowany impuls - w końcu to przecież ten człowiek zamordował jego ukochanego prezydenta.

Pokazałem mu zdjęcia Obersta. Ze znużeniem pokręcił głową. Rozpoznał niektórych policyjnych detektywów i większość dziennikarzy obecnych przy zabójstwie, ale tego człowieka nigdy nie widział. Czy tuż przed tym, jak strzelił do Oswalda, poczuł coś niezwykłego? Kiedy zadałem to pytanie, Ruby zwrócił ku mnie tę swoją twarz basseta i w jego oczach odmalowała się na chwilę konsternacja, która jednak natychmiast zniknęła, a on odpowiedział mi znowu tym samym jednostajnym głosem: nie, nic niezwykłego, po prostu wściekłość, że Oswald jeszcze żyje, a prezydent Kennedy nie, i biedna pani Kennedy z dziećmi zostali sami.

Nie zdziwiłem się zbyt, gdy rok później, w grudniu sześćdziesiątego szóstego, Ruby został przyjęty do Parkland Hospital z rozpoznaniem nowotworu; już podczas naszego spotkania sprawiał wrażenie człowieka śmiertelnie chorego. Mało kto go opłakiwał, gdy zmarł w styczniu następnego roku. Kraj otrząsnął się już z żałoby, a Jack Ruby był przypomnieniem czasów, które lepiej zapomnieć.

Pod koniec lat sześćdziesiątych coraz bardziej pochłaniała mnie praca naukowa i dydaktyczna. Próbowałem sobie wmówić, że poprzez swoje publikacje egzorcyzmuję demona symbolizowanego przez twarz Obersta, ale w głębi serca znałem prawdę.

Tamte czasy obfitowały w przemoc, a ja zajmowałem się jej badaniem. Dlaczego niektórym ludziom tak łatwo przychodzi podporządkowywanie sobie innych? W swoich badaniach doprowadzałem do spotkań przypadkowych mężczyzn i kobiet, obcych ludzi, którym zlecałem jakieś nieistotne zadania i zawsze najdalej po półgodzinie od utworzenia grupy

zaczynała się w niej wyłaniać hierarchia. Uczestnicy eksperymentu często nie zdawali sobie nawet sprawy z kształtowania się tych podległości, ale kiedy zadawałem im pytania, prawie wszyscy potrafili wskazać „najważniejszą” albo „najbardziej dynamiczną” osobę w grupie. Wraz z moimi studentami rejestrowaliśmy wywiady, ślęczeliśmy nad ich zapisami i bez końca oglądaliśmy nagrania wideo. Urządzaliśmy sfingowane konfrontacje pomiędzy badanymi i przedstawicielami władzy - dziekanami, policjantami, nauczycielami, urzędnikami skarbowki, strażnikami więziennymi, duchownymi... Za każdym razem kwestie hierarchii i dominacji okazywały się bardziej złożone, niżby to mogło wynikać z prostej różnicy statusu społecznego.

W tym okresie podjąłem też współpracę z nowojorską policją w zakresie konstruowania profili osobowościowych zabójców i ich ofiar. Dane były fascynujące, rozmowy przygnębiające, wnioski nieprzekonujące.

Co jest źródłem przemocy u człowieka? Jaką rolę odgrywają przemoc i groźba jej użycia w codziennych interakcjach? Żywiłem naiwną nadzieję, że znalezienie odpowiedzi na te pytania pozwoli mi pewnego dnia wyjaśnić, jak to możliwe, że genialny, lecz żyjący złudzeniami psychopata, jakim był Adolf Hitler, z jednego z wielkich narodów tego świata zrobił bezrozumną, amoralną maszynę do zabijania.

Punktem wyjścia była dla mnie wiedza, że każdy bardziej skomplikowany gatunek zwierząt na Ziemi wykształca mechanizmy kształtujące hierarchie społeczną. Najczęściej obchodzi się przy tym bez poważniejszych obrażeń; nawet tak zajadłe drapieżniki jak wilki i tygrysy umieją precyzyjnie zasygnalizować uznanie dominacji przeciwnika, zanim dojdzie do poważnego rozlewu krwi, okaleczenia lub śmierci. A jak to wygląda u człowieka? Czy prawdą jest, jak domniemywa wielu badaczy, że jako gatunek pozbawiony tego instynktu rozpoznawania sygnałów hierarchicznych jesteśmy skazani na wieczną wojnę? Czy to geny determinują ten nasz wewnątrzgatunkowy obłęd? Ja uważałem, że nie.

Latami gromadziłem dane i kładłem podwaliny pod swoją teorię, potajemnie zaś żywiłem przekonanie tak dziwaczne i nienaukowe, że gdybym choć napomknął o nim kolegom po fachu, z miejsca straciłbym swoją pozycję zawodową. Czy to możliwe, że rodzaj ludzki wyewoluował tak daleko, że mechanizm kształtowania hierarchii społecznej stał się zjawiskiem psychologicznym? Albo wręcz, jak powiedzieliby moi mniej racjonalni przyjaciele, parapsychologicznym? Z całą pewnością wątpliwa

atrakcyjność niektórych polityków, z braku lepszego określenia nazywana przez media „charyzmą”, nie wynika przecież z ich rozmiarów, płodności ani groźnego wyglądu. Może w jakimś zakamarku umysłu, w którymś płacie, w jednej z półkul znajduje się obszar wyspecjalizowany w wysyłaniu sygnałów dominacji i uległości? Oczywiście, doskonale znałem wyniki badań neurologicznych, dowodzących, że mechanizmy hierarchizujące wywodzą się z najbardziej prymitywnych rejonów naszego umysłu, z tak zwanego „gadziego mózgu”. Co by się jednak stało, gdyby pojawiły się pewne ewolucyjne usprawnienia, pewne mutacje, dające człowiekowi zdolność podobną do empatii lub telepatii, lecz nieskończenie silniejszą i bardziej użyteczną, bo ogromnie zwiększającą szanse przetrwania? Gdyby ta zdolność, napędzana wewnętrzną potrzebą dominacji, najpełniej wyrażała się w stosowaniu przemocy? Czy przejawiający ją ludzie byłiby jeszcze ludźmi?

W gruncie rzeczy nie miałem innego wyjścia, jak tylko w nieskończoność rozmyślać o tym, co dokładnie poczułem, gdy wypełniła mnie wola Obersta. Mijały dziesięciolecia, szczegóły tych strasznych dni zacierały mi się w pamięci, ale sam ból tego gwałtu na umyśle i towarzyszące mu odraza i zgroza wciąż sprawiały, że budziłem się w środku nocy zlanym zimnym potem. Uczyłem, prowadziłem badania i jakoś brnąłem przez szarą codzienność, aż pewnego dnia, wiosną tego roku, obudziłem się ze świadomością, że się starzeję. Minęło prawie szesnaście lat, odkąd zobaczyłem tę twarz na filmie. Gdyby Oberst naprawdę istniał i nadal żył, byłby dziś bardzo starym człowiekiem. Pomyślałem o bezzębnych, roztrzęsionych staruszkach, których od czasu do czasu demaskowano jako zbrodniarzy wojennych. Oberst najprawdopodobniej nie żył.

Zapomniałem, że potwory nie umierają. Że trzeba je zabić.

Niecałe pięć miesięcy temu w Nowym Jorku prawie wpadłem na niego na ulicy. Był parny lipcowy wieczór. Szedłem Central Park West, pogrążony w zadumie, zajęty układaniem w myślach artykułu o reformie więziennictwa, kiedy nie dalej niż pięćdziesiąt stóp ode mnie Oberst wyszedł z restauracji i zamachał na taksówkę. Towarzyszyła mu kobieta, starsza, lecz nadal piękna; długie siwe włosy opadały na drogą wieczorową sukienkę z jedwabiu. Oberst miał na sobie ciemny garnitur, był opalony i całkiem żwawy. Mocno wyłysiał, a ocalałe resztki włosów zmieniły kolor z blond na siwy, ale jego twarz, choć starsza i bardziej czerwona niż dawniej, zachowała dawne, ostre rysy znamionujące okrucieństwo i żądzę dominacji.

Stałem jak wmurowany przez kilkanaście sekund, aż w końcu pobiegłem

za taksówką. Wpadłem na ulicę i lawirując między samochodami, rozpaczliwie usiłowałem ją dogonić. Jadący na tylnej kanapie pasażerowie nie obejrżeli się, taksówka zniknęła w potoku pojazdów, a ja na miękkich nogach ledwie doczłapałem do chodnika.

Szef restauracji nie był mi w stanie pomóc. Tak, zgadza się, gościł tego wieczoru dystyngowaną starszą parę na kolacji, ale nie znał ich nazwisk. Nie, nie zrobili rezerwacji.

Tygodniami nawiedzałem później ten rejon Central Park West, zaglądałem w boczne ulice, wypatrywałem twarzy Obersta w każdej przejeżdżającej taksówce. Znowu wynająłem młodego nowojorskiego detektywa - i znów zapłaciłem za brak wyników.

W tym okresie doświadczyłem czegoś, co z perspektywy czasu oceniam jako poważne załamanie nerwowe. Nie mogłem spać. Nie byłem w stanie pracować, część moich zajęć na uniwersytecie odwołano, inne musieli prowadzić zastępujący mnie podenerwowani asystenci. Całymi dniami nosiłem te same ubrania, do mieszkania wracałem tylko po to, żeby coś zjeść i nerwowo pospacerować w kółko. Nocami włóczyłem się po mieście. Kilkakrotnie zatrzymywała mnie policja i chyba tylko status wykładowcy uniwersyteckiego i magiczny tytuł „doktora” ocaliły mnie przed skierowaniem na obserwację psychiatryczną. Pewnej nocy, leżąc w mieszkaniu na podłodze, uświadomiłem sobie coś, co dotychczas uchodziło mojej uwadze.

Twarz tamtej kobiety wyglądała znajomo.

Do rana i przez cały następny dzień próbowałem sobie przypomnieć, skąd ją znam. Byłem pewien, że widziałem ją na zdjęciu, z którym kojarzyły mi się niejasne wrażenia znudzenia, niepokoju i nijakiej muzyki.

Kwadrans po piątej po południu złapałem taksówkę i kazałem się wieźć do swojego dentysty - on wprawdzie właśnie skończył pracę i gabinet pomału się zamykał, ale, zmyśliwszy jakąś bajeczkę, przekonałem recepcjonistkę, żeby pozwoliła mi przejrzeć stos starych pism ilustrowanych w poczekalni: *Seventeen*, *GQ*, *Mademoiselle*, *U.S. News and World Report*, *Time*, *Newsweek*, *Vogue*, *Consumer Reports* i *Tennis World*. Kiedy zacząłem je kartkować po raz drugi, mój obłąkańczy zapach wprowadził recepcjonistkę w stan wojowniczego zaniepokojenia; tylko moja obsesja i święte przekonanie, że żaden dentysta nie zmienia zapasu czasopism w poczekalni częściej niż raz na kwartał, pozwoliły mi wytrwać w moim zamiarze. Wrzaskliwa baba groziła tymczasem, że zaraz wezwie policję.

W końcu to znalazłem: małe czarno-białe zdjęcie, wstawka na początku wypełniającego *Vogue* obfitego bloku błyszczących reklam i zapierających dech w piersi przymiotników, u góry kolumny poświęconej dodatkom do strojów. Było opatrzone podpisem: NINA DRAYTON.

Później wystarczyło mi dosłownie parę godzin, żeby ją namierzyć. Harrington, mój nowojorski detektyw, z ulgą wziął się za coś łatwiej uchwytnego niż dręczące mnie ulotne widmo Obersta i po dwudziestu czterech godzinach dostarczył mi pękata teczkę materiałów na jej temat. Większość informacji pochodziła ze źródeł ogólnodostępnych.

Pani Nina Drayton była osobą zamożną i sławną w nowojorskim świecie mody, właścicielką sieci butików, wdową. W sierpniu 1940 wyszła za mąż za Parkera Allana Draytona, jednego z założycieli American Airlines, który dziesięć miesięcy po ślubie zmarł. Wdowa poradziła sobie w życiu: rozsądnie inwestowała, zasiadała w kilku radach nadzorczych, w których wcześniej nie było miejsca dla kobiety... Obecnie prawie wycofała się z biznesu i skoncentrowała tylko na swoich butikach, ale nadal zasiadała w radach prestiżowych organizacji dobroczynnych, była na ty z wieloma politykami, artystami i pisarzami, miała ponoć romans ze sławnym nowojorskim kompozytorem-dyrygentem, utrzymywała obszerny apartament na piętnastym piętrze przy Park Avenue oraz kilka domów letnich i wakacyjnych.

Pierwsze spotkanie udało się całkiem łatwo zaaranżować: przejrzawszy listę swoich pacjentów, natrafiłem na zamożną matronę z zaburzeniem maniakalno-depresyjnym, mieszkającą z panią Drayton w jednym budynku i obracającą się - przynajmniej w przybliżeniu - w podobnych kręgach.

Ninę Drayton poznałem osobiście w drugi weekend sierpnia na garden party wyprawionym przez moją byłą pacjentkę. Gości było niewielu, większość ludzi z odrobiną oleju w głowie czmychnęła z miasta na Florydę albo do domków w Górach Skalistych. Pani Drayton jednak przyszła.

Jeszcze zanim uścisnąłem jej dłoń i spojrzałem w te błyszczące niebieskie oczy, wiedziałem bez cienia wątpliwości, że jest jedną z nich. Była taka sama jak Oberst. Jej osobowość niemal wypełniała ogródek, japońskie latarnie pały przy niej żywszym blaskiem. Przeświadczenie, że mam rację, było jak zaciskająca mi się na gardle zimna dłoń. Nie wiem, czy Nina Drayton wyczuła moją reakcję, czy po prostu lubiła się droczyć z psychiatrami, ale kiedy uprawialiśmy szermierkę słowną, wyczuwałem u niej mieszankę rozbawienia, pogardy i figlarnej arogancji, subtelną jak kocie pazurki odziane

w aksamit.

Zaprosiłem ją na otwarty wykład, który pod koniec tygodnia miałem wygłosić na Columbii. Zdziwiłem się, kiedy faktycznie przyszła, zresztą w towarzystwie małej i wrednej kobiety nazwiskiem Barrett Kramer. Wykład traktował o polityce przemocy w Trzeciej Rzeszy i jej podobieństwach do wybranych współczesnych reżimów w Trzecim Świecie. Zagadnienie przedstawiłem w taki sposób, żeby postawić się w kontrze do współczesnych trendów; twierdziłem mianowicie, że niewytłumaczalne okrucieństwo milionów Niemców wynikało - przynajmniej po części - z manipulacji dokonanej przez niewielką, działającą potajemnie grupę niezwykle wpływowych ludzi.

Siedząca w piątym rzędzie pani Drayton uśmiechała się do mnie przez cały wykład. Był to taki rodzaj uśmiechu, jaki mysz widzi zapewne u kota, który zamierza ją za chwilę pożreć.

Po wykładzie poprosiła mnie o krótką rozmowę na osobności. Zapytała, czy nadal prowadzę praktykę psychiatryczną, i zażyczyła sobie spotkania ze mną jako lekarzem. Zawahałem się, ale oboje wiedzieliśmy, co odpowiem.

Odbyły się dwie wizyty, obie we wrześniu. Zachowywaliśmy pozory rozpoczęcia terapii. Nina Drayton uważała, że jej bezsenność ma bezpośredni związek ze śmiercią jej ojca, która nastąpiła kilkadziesiąt lat wcześniej. Zwierzyła mi się, że dręczą ją koszmary, w których wpycha ojca pod tramwaj w Bostonie; ojciec rzeczywiście zginął pod tramwajem, ona jednak była w tym czasie zupełnie gdzie indziej.

- Czy to prawda, doktorze Laski - zapytała w pewnym momencie podczas drugiej sesji - że człowiek zawsze zabija tych, których kocha?

Odparłem, że moim zdaniem prawdziwe jest raczej twierdzenie odwrotne: usiłujemy, przynajmniej w myślach, zabić tych, których jedynie udajemy, że kochamy, lecz których w skrytości ducha serdecznie nienawidzimy. Nina Drayton tylko się uśmiechnęła.

Zaproponowałem, że podczas trzeciej sesji poddam ją hipnozie, co umożliwi jej ponownie przeżycie chwili, w której dowiedziała się o śmierci ojca. Zgodziła się, ale nie byłem szczególnie zaskoczony, kiedy na początku października jej sekretarka zadzwoniła i odwołała wszystkie nasze następne spotkania. Zdążyłem przez ten czas wynająć detektywa, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miał mieć baczenie na panią Drayton.

Powinienem chyba w tym miejscu wyjaśnić, co mam na myśli, mówiąc o „prywatnym detektywie”. Zamiast sięgać po narzucający się stereotyp

cynicznego eks-gliny, poszedłem za radą przyjaciół i wynająłem dwudziestoczeroletniego niedoszłego absolwenta Princeton, który w wolnym czasie pisywał poezję. Francis Xavier Harrington miał dwuletni staż w branży, ale musiał specjalnie kupić nowy garnitur, żeby móc bywać w restauracjach, w których stołowała się pani Drayton, a kiedy zleciłem mu dwudziestoczerogodzinną obserwację, był zmuszony nająć dwóch starych znajomych ze stowarzyszenia studenckiego. Był jednak całkiem łebski, działał szybko, skutecznie i w każdy poniedziałek i piątek rano dostawałem nowy raport z postępów prac. Nie wszystkie jego działania były całkowicie zgodne z prawem, miał na przykład niesamowity dryg do wyciągania skądś kopii bilingów rozmów telefonicznych pani Drayton. A ona dzwoniła do wielu, bardzo wielu ludzi. Harrington spisał numery ich telefonów i na ich podstawie sporządził imienną listę jej kontaktów. Niektóre nazwiska były sławne, inne intrygujące... Żadne nie doprowadziło mnie do Obersta.

Mijały tygodnie. Większość oszczędności wydałem na dokumentowanie życia codziennego Niny Drayton, śledzenie jej preferencji kulinarnych, interesów i rozmów telefonicznych. Młody Harrington - który zdawał sobie sprawę, że mam ograniczone środki finansowe - był łaskaw zaproponować, że będzie przechwytywał listy pani Drayton i podsłuchiwał jej telefon. Powiedziałem, żeby tego nie robił, przynajmniej przez najbliższe parę tygodni. Bałem się zrobić cokolwiek, co mogłoby nas zdradzić.

Dwa tygodnie temu Nina Drayton całkiem niespodziewanie zadzwoniła do mnie z zaproszeniem na uroczyste przyjęcie bożonarodzeniowe, które urządziła siedemnastego grudnia u siebie w apartamencie. Wyjaśniła, że dzwoni osobiście specjalnie po to, żebym nie mógł się z tego wyłgać pod byle pretekstem. Chciała mi przedstawić swojego bliskiego przyjaciela z Hollywood, producenta, który wprost nie mógł się doczekać, kiedy pozna mnie osobiście. Wysłała mu moją książkę, *Patologię przemocy*. Ponoć był nią zachwycony.

- Jak się nazywa? - zainteresowałem się.

- Mniejsza o nazwisko - odparła. - Może go rozpoznasz, kiedy się spotkacie.

Odkładając słuchawkę, byłem tak roztrzęsiony, że musiałem odczekać dobrą minutę, zanim udało mi się wybrać numer telefonu Harringtona. Wieczorem tego samego dnia spotkaliśmy się we czwórkę, z dwójką jego pomocników, żeby omówić dalszą strategię działania. Ponownie przewertowaliśmy bilingi i tym razem obdzwoniliśmy wszystkie numery w

Los Angeles, które nie zostały wykazane w książce telefonicznej. Przy szóstej próbie zgłosił się młody mężczyzna:

- Rezydencja pana Bordena, słucham.

- Czy to numer domowy Thomasa Bordena? - zapytał Francis.

- Pomyłka - warknął oschle mężczyzna po drugiej stronie. - To rezydencja pana Williama Bordena.

Wypisałem nazwiska kredą na tablicy w swoim gabinecie. Wilhelm von Borchert. William Borden. Jakież to typowe: cudzołożnik melduje się w hotelu pod nazwiskiem zbliżonym do prawdziwego; poszukiwany przestępca używa sześciu pseudonimów, z których w pięciu pojawia się to samo imię, jak jego własne. Jest w naszych nazwiskach coś takiego, co nie pozwala nam całkowicie ich odrzucić, bez względu na powód tej decyzji.

W poniedziałek, cztery dni przed wydarzeniami, które rozegrały się tutaj, w Charleston, Harrington poleciał do Los Angeles. Z początku sam zamierzałem lecieć, ale Francis zwrócił uwagę, że lepiej będzie, jeśli on to zrobi, wybada tego Bordena, sfotografuje go i upewni się, że Borden i von Borchert to jedna i ta sama osoba. Nawet wtedy upierałem się przy swoim, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że nie mam żadnego planu działania. Mimo upływu wielu lat nie zastanawiałem się nad tym, co zrobię, kiedy już spotkam się z Oberstem.

W poniedziałek wieczorem zadzwonił Harrington: zameldował, że film w samolocie był przeciętny, hotel, w którym się zatrzymał, nie dorasta do pięt Beverly Wilshire, a policja w Bel Air lubi zatrzymywać i przepytывать ludzi, którzy dwa razy przejadą tą samą ulicą albo mają czelność zatrzymać się na jednej z krętych uliczek i pogapić na dom gwiazdy filmowej. We wtorek zatelefonował z pytaniem, czy coś drgnęło w sprawie pani Drayton. Odparłem, że jego koledzy (Dennis i Selby) są wprawdzie ciut bardziej leniwi niż on, ale pani Drayton jak zwykle zajmuje się swoimi sprawami. Francis poinformował mnie, że zwiedził studio filmowe, z którym najczęściej łączy się nazwisko Bordena (wycieczka wypadła nieszczególnie), ale mimo że Borden ma tam swoje biurko, nikt nie umiał powiedzieć, kiedy można go zastać; po raz ostatni widziano go tam przy pracy w zeszłym roku. Miał nadzieję zdobyć w wytwórni jakieś zdjęcia Bordena, lecz, niestety, nic z tego nie wyszło. Był nawet gotowy pokazać pracownikom tę starą fotografię z Berlina, uznał jednak, że - cytuję - „To by wyszło niefajnie”. Postanowił następnego dnia wyprawić się do posiadłości Bordena w Bel Air zaopatrzony w aparat z teleobiektywem.

We środę nie odezwał się o umówionej porze. Zadzwoiłem do hotelu, gdzie powiedziano mi, że wprawdzie się nie wymeldował, ale też wieczorem nie zgłosił się po klucz. W czwartek rano zadzwoniłem na policję w Los Angeles. Zgodzili się zająć tą sprawą, ale na podstawie uzyskanych ode mnie skąpych informacji nie byli skłonni podejrzewać, że stało się coś naprawdę złego.

- Tu się dużo dzieje - powiedział sierżant, z którym rozmawiałem. - Młody chłopak może znaleźć sobie tysiąc różnych zajęć i zapomnieć zatelefonować.

Przez cały dzień próbowałem się skontaktować z Dennisem lub Selbym. Na próżno. Nawet automatyczna sekretarka w biurze agencji Francisa została odłączona. W apartamentowcu Niny Drayton przy Park Avenue portier poinformował mnie, że pani Drayton wyjechała na urlop, a mnie nie wpuścił dalej niż do holu na parterze.

Cały piątek przesiedziałem zamknięty u siebie w mieszkaniu. Czekałem. Wpół do dwunastej zadzwonili do mnie z Los Angeles: policja weszła do pokoju pana Harringtona w hotelu Beverly Hills. Zniknęły jego ubrania i cały bagaż, nie znaleziono żadnych śladów przestępstwa. Czy wiem, kto pokryje rachunek za hotel w wysokości trzystu dwudziestu dziewięciu dolarów i czterdziestu ośmiu centów?

Wieczorem zmusiłem się do wyjścia z domu i zgodnie z wcześniejszym zamiarem wybrałem się do znajomego na kolację. Od przystanku autobusowego do jego domu w Greenwich Village musiałem przejść dwie przecznice pieszo - ten czas ciągnął mi się bez końca.

W sobotę wieczorem, kiedy w Charleston zginął twój ojciec, uczestniczyłem na uniwersytecie w dyskusji panelowej na temat przemocy miejskiej. Gościliśmy kilku polityków, przyszło ponad dwustu słuchaczy. Przez całe spotkanie rozglądałem się po widowni, wypatrując wężowego uśmiechu Niny Drayton albo lodowatego spojrzenia Obersta. Znów czułem się jak pionek - tylko w czyjej grze?

W niedzielę, z porannej gazety dowiedziałem się o morderstwach w Charleston. W innym miejscu znalazłem krótką notkę, z której wynikało, że hollywoodzki producent filmowy William D. Borden miał pecha być na pokładzie samolotu, który w sobotę nad ranem rozbił się w Karolinie Południowej. Do notki dołączone było mało znane zdjęcie producenta odludka. Pochodziło z lat sześćdziesiątych. Oberst się uśmiechał.

Saul umilkł. Zapomniane kubki z zimną kawą stały na poręczy balustrady. Cienie balasków przesuwają się po nogach Saula, kiedy mówił. W niespodziewanej ciszy znów dało się słyszeć odległe dźwięki ulicy.

- Kto z nich zabił mojego ojca? - spytała Natalie.

Otuliła się ciaśniej swetrem i zatarła ręce, jakby marzła.

- Nie wiem - odparł Saul.

- A ta Melanie Fuller... Też jest jedną z nich?

- Prawie na pewno tak.

- I to mogła być ona?

- Tak.

- Jesteś pewien, że ta Nina Drayton nie żyje?

- Tak. Byłem w kostnicy, widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni, czytałem sprawozdanie z sekcji zwłok.

- Ale mogła zabić mojego ojca, zanim sama zginęła?

Saul się zawahał.

- To nie jest wykluczone - przyznał w końcu.

- A Borden, to znaczy Oberst, miał niby zginąć w tej katastrofie lotniczej w piątek w nocy?

Saul pokiwał głową.

- A ty jak uważasz? Naprawdę zginął?

- Nie.

Natalie wstała i zaczęła się przechadzać po werandzie.

- Masz jakiś dowód, że nadal żyje?

- Nie.

- Ale twierdzisz, że nie zginął?

- Tak.

- I że albo on, albo ta Fuller mogli zabić mojego ojca?

- Tak.

- Nadal zamierzasz go ścigać? Tego Bordena... von Borcherta, czy jak mu tam?

- Tak.

- Jezu Chryste...

Natalie przyniosła z domu dwie szklaneczki brandy: jedną podała Saulowi, drugą opróżniła długim łykiem. Z kieszeni swetra wyjęła papierosy, znalazła zapalki i drżącymi rękami zapaliła.

- Szkodzą ci - zauważył półgłosem Saul.

Zbyła go prychnięciem.

- To wampiry, prawda?

- Wampiry? - Saul pokręcił głową. - Nie rozumiem...

- Wykorzystują innych ludzi, a potem odrzucają ich jak foliowe torebki czy coś w tym rodzaju. Są dokładnie tacy sami jak te przeklęte, oklepane wampiry w kinie nocnym. Z tą tylko różnicą, że istnieją naprawdę.

- Wampiry... - powtórzył Saul. Uświadomił sobie, że powiedział to po polsku. - Rzeczywiście - przeszedł na angielski. - Niezła analogia.

- No dobrze. Co robimy?

- My? - zdziwił się Saul. Wytarł dłonie o kolana.

- Tak, my. - W głosie Natalie zabrzmiało coś w rodzaju gniewu. - Ty i ja. My. Nie opowiadałeś mi tej historii dla zabicia czasu. Potrzebujesz sprzymierzeńca. Więc? Jaki będzie nasz następny krok?

Saul pokręcił głową i podrapał się po brodzie.

- Nie wiem dlaczego ci to opowiedziałem, ale...

- Ale?

- To bardzo niebezpieczne. Francis, i tamci...

Natalie podeszła do Saula, przykucnęła i dotknęła jego ręki.

- Mój ojciec nazywał się Joseph Leonard Preston - powiedziała półgłosem. - Miał czterdzieści osiem lat, szóstego lutego skończyłby czterdzieści dziewięć. Był dobrym człowiekiem, dobrym ojcem, dobrym fotografem i bardzo kiepskim biznesmenem. Kiedy się śmiał... - Zawiesiła głos. - Kiedy się śmiał, trudno było się nie roześmiać razem z nim.

Długą chwilę trwała tak nieruchomo, przykucnięta, z dłonią na nadgarstku Saula, tuż obok wytatuowanego na skórze wyblakłego numeru.

- Co zamierzasz? - spytała w końcu.

Saul odetchnął głęboko.

- Jeszcze nie wiem. W sobotę powinienem polecieć do Waszyngtonu na spotkanie z kimś, kto może mieć jakieś informacje, które... które pomogłyby nam stwierdzić, czy Oberst żyje. Chociaż to mało prawdopodobne.

- Co dalej? - naciskała Natalie.

- Czekamy. Czuwamy. Szukamy w gazetach.

- Szukamy? Czego?

- Kolejnych morderstw.

Natalie zamurowało. Zakołysała się na piętach. Trzymany przez nią w prawej ręce papieros prawie się wypalił. Zgasiła go na deskach podłogi.

- Mówisz poważnie? Przecież ta Fuller i Oberst na pewno będą chcieli uciec za granicę, ukryć się gdzieś... nie wiem... Po co mieliby w najbliższym

czasie znów pakować się w coś podobnego?

Saul pokręcił głową. Poczuł się nagle bardzo, bardzo zmęczony.

- Taka ich natura. Wampiry muszą żerować.

Natalie wstała i przeszła w kąć werandy.

- Kiedy ich znajdziesz... to znaczy, znajdziemy, co zrobimy?

- Wszystko w swoim czasie, najpierw musimy ich znaleźć.

- Żeby zabić wampira, trzeba mu przebić serce kołkiem.

Saul nie odpowiedział.

Natalie wyjęła drugiego papierosa, ale na razie go nie zapalała.

- A jeśli, kiedy się do nich zbliżysz, wyczują, że na nich dybiesz, to co będzie? Przecież mogą cię wtedy zaatakować.

- To by wiele ułatwiło.

Natalie nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej samej chwili przy krawężniku zatrzymał się brązowy samochód z oznaczeniami biura szeryfa. Zza kierownicy wysiadł krępy mężczyzna o rumianej twarzy osłoniętej wymiętym stetsonem.

- Szeryf Gentry? - zdziwiła się Natalie.

Patrzyli na niego oboje, gdy powoli, jakby z wahaniem ruszył w ich stronę. Przystanął na schodkach i zdjął kapelusz. Wyraz jego opalonej twarzy przywodził na myśl małego chłopca, który zobaczył coś przerażającego.

- Dzień dobry, panno Preston, panie profesorze.

- Dzień dobry, szeryfie - powiedziała Natalie.

Saul spojrzał bacznie na Gentry'ego - żywą karykaturę gliniarza z Południa - i ponownie wyczuł u niego tę wrażliwość i inteligencję, które już dzień wcześniej zwróciły jego uwagę. Oczy szeryfa stały w jaskrawej sprzeczności z resztą jego wyglądu.

- Potrzebuję pomocy - powiedział zboląły Gentry.

- Jakiego rodzaju? - spytała Natalie z nutką czułości w głosie.

Szeryf spuścił wzrok na trzymany w rękach kapelusz. Zręcznym ruchem pulchnej, różowej dłoni poprawił kontur stetsona i podniósł wzrok.

- Mam dziewięć zabitych. Sposób, w jaki zginęli, wydaje się kompletnie bez sensu, jakkolwiek by na to patrzeć. Dwie godziny temu zatrzymałem gościa, który w portfelu miał tylko moje zdjęcie. Zamiast ze mną porozmawiać, poderżnął sobie gardło. - Gentry przeniósł wzrok z Natalie na Saula. - Nie wiem czemu, ale... z jakiegoś powodu, który jest tak samo bez sensu jak cała reszta tego przekłętogo bałaganu, mam przeczucie, że na was dwoje mogę liczyć.

Saul i Natalie patrzyli na niego bez słowa.

- Możecie mi pomóc? Chcecie mi pomóc?

Natalie spojrzała na Saula, który podrapał się po brodzie, zdjął okulary, założył je z powrotem, spojrzał na nią i leciutko skinął głową.

- Proszę wejść, szeryfie. - Natalie otworzyła drzwi. - To potrwa. Ja przez ten czas upichcę coś na szybko.

11.

Bayerisch-Eisenstein

19 grudnia 1980, piątek

Tony Harod i Maria Chen zeszli na śniadanie do małej hotelowej jadalni. Już o siódmej rano byli na dole, ale pierwsza fala gości i tak zdążyła zjeść wcześniej i wyjść na narty. W kamiennym kominku trzaskał ogień. Przez małe szprosowe okno w południowej ścianie Harod widział biały śnieg i niebieskie niebo.

- Myślisz, że tam będzie? - spytała półgłosem Maria, gdy dopijali kawę.

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Jeszcze dzień wcześniej Tony był pewien, że nie zastaną Williego w rodzinnej posiadłości, bo naprawdę zginął w katastrofie lotniczej. Przypomniało mu się, jak kiedyś, pięć lat temu, rozmawiali o niemieckim majątku Williego. Harod był mocno wstawiony, a Willi, który właśnie wrócił z trzytygodniowej podróży do Europy, perorował ze łzami w oczach:

- Kto powiedział, że nie można wrócić do domu, hmm, Tony? Kto tak powiedział?

I zaczął opowiadać o znajdującym się na południu Niemiec domu matki. Nazwa pobliskiego miasteczka wymknęła mu się przez przypadek.

Do dzisiejszego ranka Tony traktował swój wypad do Niemiec jako próbę wyeliminowania niepokojącej możliwości, nic ponadto, ale kiedy teraz, w ostrym świetle dnia, siedział naprzeciw uzbrojonej w browninga Marii Chen, to co nieprawdopodobne nagle wydało mu się groźnie możliwe.

- Co z Tomem i Jensenem? - zapytała Maria.

Włożyła stylowe pumpy z niebieskiego sztruksu, podkolanówki, różowy golf i gruby niebiesko-różowy sweter narciarski, który kosztował sześćset dolarów. Włosy spięła w krótki kucyk i nawet w makijażu wyglądała czysto i świeżo. Harodowi kojarzyła się z młodą harcerką, która wybiera się na narty z ojcem i jego przyjaciółmi.

- Jeżeli będziesz ich musiała wyeliminować, zacznij od Toma - odparł. - Willi z większą łatwością używa Reynoldsa niż tego czarnucha. Ale Luhar... Luhar jest silny, bardzo silny; odstrzel go raz a dobrze, tak żeby więcej nie wstał. Oczywiście w sytuacji absolutnie krytycznej najpierw musisz zdjąć Williego, to zrozumiałe. Wał w głowę. Kiedy go załatwisz, Reynolds i Luhar będą niegroźni; są tak uwarunkowani, że bez zgody Williego nawet wyszczać

się nie pójdą.

Maria rozejrzała się po jadalni. Przy pozostałych czterech stolikach siedziały roześmiane pary Niemców. Nikt raczej nie słyszał wypowiedzianych zniżonym głosem zaleceń Tony'ego.

Harod skinął na kelnerkę, żeby dołała mu kawy, pociągnął łyk i zmarszczył brwi. Nie był wcale pewien, czy Maria wypełni jego instrukcje, kiedy przyjdzie jej strzelać do ludzi. Mógł tylko zakładać, że to zrobi (nigdy przedtem nie sprzeciwiła się jego rozkazowi), ale przez chwilę pożałował, że nie zabrał ze sobą kobiety, która nie byłaby neutralem. Tyle że wtedy istniałoby ryzyko, że Willi sam spróbuje jej Użyć, a Harod nie miał złudzeń co do potęgi Talentu starego fryca: sam fakt, że stale trzymał przy sobie posłusznych mu dwóch pomagierów, dowodził jego siły. I nawet jeśli jego moc osłabła z wiekiem, dodatkowo przytępiona prochami i dziesięcioleciami dekadentckiego stylu życia, to w świetle ostatnich wydarzeń opieranie się na tym założeniu byłoby niebezpiecznym przejawem głupoty.

Pokręcił głową. Szlag by to trafił. Przeklęty Klub Wyspiarski trzymał go za jaja. Nie miał najmniejszej ochoty na konfrontację z tą starą babą z Charleston. Nie zamierzał podskakiwać komuś, kto od pięćdziesięciu lat pogrywał z Willim Bordenem, von Borchertem, czy jak tam się ten kutas nazywał, w tę jego grę. Co zrobią Barent i jego kumple, kiedy się dowiedzą, że Willi jednak żyje?

O ile faktycznie żyje. Przypomniawszy sobie, jak zareagował, kiedy przed sześcioma dniami dowiedział się o śmierci Williego. Najpierw się zaniepokoił: co się stanie ze wszystkimi rozpoczętymi przez Williego projektami? Co z kasą? A potem ogarnęła go fala ulgi. Stary skurczybyk wreszcie wyzionął ducha. Harod przez całe lata żył w strachu, że dziadyga dowie się o istnieniu Klubu Wyspiarskiego i o tym, że Barent kazał Tony'emu go szpiegować...

„Wyobrażam sobie raj jako wyspę, na której mogę Polować do woli”.

Naprawdę tak powiedział na tym nagraniu? Harod przypomniał sobie wrażenie tonięcia w lodowatej wodzie, gdy wizerunek Williego wypowiedział te słowa. Ale przecież nie mógł wiedzieć. Poza tym nagranie pochodziło sprzed katastrofy samolotu, w której zginął.

A jeśli nawet przeżył, pomyślał Harod, to niewiele mu tego życia zostało.

- Gotowa? - zapytał.

Maria otarła usta lnianą serwetką i skinęła głową.

- No to chodźmy.

- Więc to jest Czechosłowacja? - powiedział Harod.

Kiedy wyjechali z miasteczka na północny zachód, na tyłach stacji kolejowej mignęła mu zaporą na przejściu granicznym, mały biały budynek strażnicy i kilkunastu strażników w zielonych mundurach i dziwacznych hełmach. Przy drodze stała tabliczka z napisem *Übergangsstelle*.

- Mhm - przytaknęła Maria.

- Wielkie rzeczy...

Jadąc krętą drogą dnem doliny, minęli drogowskazy do Grosse Arber i Kleine Arbersee. Na wzgórzu w oddali rysowała się biała krecha trasy narciarskiej, na jej tle poruszały się punkciki krzesełek wyciągu. Samochody z łańcuchami na kołach i nartami na bagażnikach dachowych śmigały drózkami przypominającymi wykute w zbitym śniegu i lodzie korytarze. Harod drżał z zimna, gdy zimne powietrze wpadało z tyłu do wnętrza wozu: czubki dwóch par nart biegowych, wypożyczonych rano w hotelu przez Marię, wystawały przez uchylone tylne okno po stronie pasażera.

- Naprawdę myślisz, że to cholerstwo się nam przyda? - spytał i ruchem głowy wskazał narty.

Maria z uśmiechem podniosła do oczu dziesięć polakierowanych paznokci.

- Być może. - Spojrzała na mapę samochodową, porównała ją z topograficzną. - W następną w lewo, dalej sześć kilometrów do prywatnej drogi dojazdowej.

Ostatni kilometr leśnej „drogi dojazdowej” - pary wyżłobionych w śniegu kolein - BMW pokonało głównie poślizgami.

- Ktoś tu niedawno był - zauważył Harod. - Daleko jeszcze?

- Od mostu kilometr.

Droga skręciła, przejechali przez gęsty zagajnik bezlistnych drzew i zobaczyli most - krótkie drewniane przesłono za pomalowanym w paski szlabanem, który wyglądał solidniej niż zaporą na granicy z Czechosłowacją. Dwadzieścia jardów dalej, przy strumieniu, stała nieduża góralska chałupa. Wyszło z niej dwóch mężczyzn, którzy bez pośpiechu podeszli do samochodu. Harod podświadomie spodziewał się, że w tych okolicach wszyscy noszą jakiś zimowy odpowiednik skórzanych szortów i filcowych kapeluszy, ale ci dwaj mieli na sobie brązowe wełniane spodnie i jasne kurtki puchowe. Wyglądali jak ojciec i syn. Młodszy z mężczyzn mógł dobiegać trzydziestki. Miał ze sobą sztucer, który niósł swobodnie oparty w zgięciu

łokcia.

- *Guten Morgen, haben Sie sich verfahren?* - zapytał starszy z uśmiechem.

- *Das hier ist ein Privatgrundstück.*

- Mówią dzień dobry i pytają, czy zabłądziliśmy - przetłumaczyła Maria Chen. - Twierdzą, że to teren prywatny.

Harod uśmiechnął się w odpowiedzi. Starszy z mężczyzn odsłonił w uśmiechu złote koronki. Młodszy przyglądał się im beznamiętnie.

- Nie zabłądziliśmy - odparł Harod. - Przyjechaliśmy spotkać się z Willim, *Herr von Borchertem*. Osobiście nas zaprosił. Przylecieliśmy aż z Kalifornii.

Starszy z mężczyzn zmarszczył pytająco brwi, na co Maria odpowiedziała po niemiecku, wyrzucając słowa z prędkością karabinu maszynowego.

- *Herr von Borchert lebt hier nicht mehr* - odparł mężczyzna. - *Schon seit vielen Jahren nicht mehr. Das Gut ist schon seit sehr langer Zeit geschlossen. Niemand geht mehr dorthin.*

- Mówi, że *Herr von Borchert* już tu nie mieszka - przełożyła Maria. - Od lat. Posiadłość jest zamknięta, też od bardzo dawna. Nikt się tam nie zapuszcza.

Harod z uśmiechem pokręcił głową.

- To dlaczego cały czas pilnujecie wjazdu, chłopaki, hmm?

- *Warum lassen Sie es noch bewachen?* - spytała Maria.

Starszy mężczyzna też się uśmiechnął.

- *Wir werden von der Familie bezahlt, so dass dort kein Vandalismus entsteht. Bald wird all das ein Teil des Nationalwaldes werden. Die alten Häuser werden abgerissen. Bis dahin schickt der Neffe uns Schecks aus Bonn, und wir halten alle Wilddiebe und Unbefugte fern, so wie es mein Vater vor mir getan hatte. Mein Sohn wird sich andere Arbeit suchen müssen.*

- Rodzina nam płaci, żebyśmy zapobiegali aktom wandalizmu - przetłumaczyła Maria. - Ehm... Niedługo... w najbliższym czasie ten teren wejdzie w obręb Lasów Państwowych. Stary dom zostanie wyburzony. Do tego czasu siostrzeniec... chyba chodzi o siostrzeńca von Borcherta... siostrzeniec przysyła nam z Bonn czeki, a my odpędzamy intruzów i kłusowników, tak jak to kiedyś robił mój ojciec. Mój syn będzie musiał sobie poszukać innej pracy. Nie wpuszczą nas, Tony.

Harod wręczył mężczyźnie trzystronicowe streszczenie najnowszego projektu Billa Bordena, *Białego łowcy niewolników*. Spomiędzy stronic dyskretnie wystawał stumarkowy banknot.

- Powiedz mu, że przylecieliśmy specjalnie z Hollywood w poszukiwaniu plenerów. Naszym zdaniem ta stara posiadłość idealnie nadaje się na nawiedzony zamek.

Maria Chen posłusznie przełożyła jego słowa. Starszy mężczyzna spojrział na broszurkę i włożone w nią pieniądze i swobodnym gestem oddał Harodowi obie te rzeczy.

- *Ja, es wäre eine wunderbare Kulisse für einen Gruselfilm. Es besteht kein Zweifel, dass es hier spukt. Aber ich glaube, dass es keine weiteren Gespenster braucht. Ich schlage vor, dass Sie umdrehen, so dass Sie hier nicht stecken bleiben. Grüß Gott!*

- Co powiedział?

- Zgodził się, że świetnie kręciłoby się tu horror. Zwłaszcza że dom naprawdę jest nawiedzony. Uważa, że więcej duchów tu nie potrzeba, radzi nam zawrócić, żebyśmy nie utknęli w tym miejscu, i życzy nam miłego dnia.

- Powiedz mu, żeby się walił - powiedział Harod, uśmiechając się do strażników.

- *Vielen Dank für Ihre Hilfe* - powiedziała Maria Chen.

- *Bitte sehr* - odparł starszy mężczyzna.

- Nie ma za co - dodał młodszy.

Harod poprowadził BMW z powrotem, skręcił na zachód w niemiecki odpowiednik wiejskiej drogi i przejechawszy jeszcze pół mili, zaparkował w płytkim śniegu piętnaście stóp od ogrodzenia z drucianej siatki. Wyjął z bagażnika nożyce do cięcia drutu, przeciął siatkę w czterech miejscach i kopniakiem wyłamał nadcięty fragment. Drzewa osłaniały miejsce cięcia przed widokiem z drogi, zresztą i tak ruch był tu minimalny. Harod wrócił do wozu, zamienił buty turystyczne na narciarskie buty ze śmiesznie przedłużonymi noskami i dał sobie pomoc przypiąć biegówki.

Dwa razy w życiu miał narty na nogach - w obu wypadkach były to biegówki w Sun Valley. Jedną z tych wycieczek odbył w towarzystwie bratanicy Dino de Laurentiisa i Ann-Margaret. Fatalnie to wspominał.

Maria zostawiła torebkę w samochodzie. Wsunęła browninga pod sweter, za pasek spodni, do kieszeni puchowej kamizelki włożyła dodatkowy magazynek, zawiesiła sobie na szyi niedużą lornetkę, po czym pierwsza przeszła przez dziurę w ogrodzeniu. Harod - nieporadnie odpychając się kijkami - ruszył za nią.

Na odcinku mili przewrócił się dwa razy; kłął jak szewc, gramoląc się z

ziemi przed uśmiechającą się leciutko Marią Chen. Słysząc było tylko szmer nart na śniegu, rzadko rozlegające się trajkotanie wiewiórek i dyszenie sapiącego jak miech kowalski Tony'ego. Po mniej więcej dwóch milach Maria zatrzymała się, spojrzała na mapę i kompas.

- Strumień - powiedziała. - Możemy go sforsować tam, przy tej kłodzie. Dom powinien być jakiś kilometr stąd, w tę stronę.

Wskazała gęstszy fragment lasu.

Trzy boiska futbolowe, pomyślał bez tchu Harold. Przypomniał sobie sztucer w rękach młodszego ze strażników i nagle dotarło do niego, jak bardzo bezużyteczny byłby browning w ewentualnej konfrontacji z długą bronią. A przecież po lasach mogli się jeszcze chować Jensen Luhar i tuzin innych niewolników Williego uzbrojonych w uzi i Ingramy. Z wysiłkiem wciągnął powietrze do płuc i stwierdził, że żołądek zaciska mu się z nerwów. Chrząnąć to, pomyślał. Zrypał się jak pies, żeby dotrzeć tak daleko, więc nie wycofa się teraz, dopóki nie sprawdzi, czy zastał Williego.

- Bierzmy się do roboty - powiedział.

Maria Chen pokiwała głową, schowała mapę do kieszeni i z wdziękiem pomknęła przed siebie.

Przed domem leżały dwa ciała.

Harold i Maria przycupnęli za skąpym rządkiem świerków i na zmianę oglądali trupy przez lornetkę. Oglądane z odległości pięćdziesięciu jardów dwa kopczyki śniegu mogły być czymkolwiek - na przykład porzuconymi tobołkami z praniem - ale lornetka pozwalała dostrzec zarys bladego policzka i ramiona rozrzucone w sposób, który śpiącemu człowiekowi sprawiałby niewysłowiony ból. Ci dwaj na pewno nie spali.

Harold spojrzał jeszcze raz. Dwaj mężczyźni. Ciemne płaszcze. Jeden nosił brązową fedorę, która teraz leżała na śniegu sześć stóp od niego. Śnieg wokół ciał był pochłapany krwią, krwawy trop łączył się ze śladami prowadzącymi do dużych przeszklonych drzwi starego dworku. Trzydzieści jardów dalej na wschód było widać wyryte w śniegu głębokie, równoległe wyżłobienia, kolejny ślad stóp prowadzący w stronę - lub od strony - domu i niskie, okrągłe, koncentryczne zaspę pylistego śniegu, jakby usypane przez skierowany ku ziemi olbrzymi wentylator.

Helikopter, domyślił się Harold.

Nigdzie nie było widać śladów samochodów, skuterów śnieżnych ani nart. Dróżka dochodząca do głównej drogi dojazdowej, na której zostali z Marią

niedawno zatrzymani, rysowała się zaledwie jako zaśnieżona przecinka wśród drzew. Nie widzieli stąd mostka ani góralskiej chałupy.

Dom lokował się gdzieś pomiędzy zwykłym dworkiem i małym zamkiem: ogromna sterta czarnego kamienia, wąskie okna, liczne skrzydła i kondygnacje - wszystko to sprawiało wrażenie, jakby istniejący od dawna imponujący centralny gmach został na przestrzeni lat rozbudowany i uzupełniony licznymi dodatkami. Kolor budulca i rozmiary okien zmieniały się w paru miejscach, jednakże ogólne wrażenie było raczej przygnębiające: ciemny kamień, mało szkła, wąskie drzwi i ciężkie mury malowane cieniami nagich drzew. Zdaniem Haroda ten dom o wiele lepiej pasował do charakteru właściciela niż willa w Bel Air, jakby żywcem przeniesiona z jakiejś republiki bananowej.

- Co robimy? - spytała szeptem Maria.

- Siedź cicho.

Harod znowu spojrzął przez lornetkę. Trupy leżały blisko siebie. Jeden miał twarz odwróconą w bok i praktycznie zagrzebaną w głębokim śniegu, przez co było widać tylko trochę ciemnych, krótko przyciętych włosów poruszanych lekkim wiatrem. Drugi leżał na wznak, odsłaniając część twarzy i szeroko otwarte białe oko, wpatrzone w rząd choinek, jakby jego właściciel wyczekiwał przybycia Haroda. Nie mogli tak leżeć zbyt długo; nie przyciągnęli jeszcze uwagi ptaków ani innych zwierząt.

- Uciekajmy, Tony.

- Zamknijże się, do kurwy nędzy.

Opuścił lornetkę i zamyślił się. Z tego miejsca nie mogli zajrzeć na tył domu. Jeśli chcieli podejść bliżej, najrozsądniej byłoby trzymać się osłony lasu, zatoczyć na nartach szeroki krąg i spokojnie obejrzeć dworek ze wszystkich stron. Mrużąc oczy, powiódł wzrokiem po obszernej polanie. Drzewa rosły tu rzadko, wycofanie się w głąb lasu i bezpieczne okrążenie budynku zajęłoby im co najmniej godzinę. Tymczasem słońce schowało się za chmurami, zerwał się zimny wiatr, sypnęło delikatnym śniegiem. Po tym, jak wytarzał się w śniegu, miał przemoczone dżinsy i nogi obolałe od wysiłku. Przyćmione światło przywodziło na myśl zmierzch, mimo że było jeszcze przed południem.

- Uciekajmy. - Głos Marii nie był błagalny ani przerażony, lecz spokojnie natarczywy.

- Daj mi pistolet - polecił jej Harod, a kiedy podała mu browninga, skinął nim w stronę szarego budynku i czarnych plam zwłok. - Podejdź tam. Na

nartach. Będę cię osłaniał. I tak pewnie nikogo nie ma w tym pieprzonym domu.

Maria spojrzała na niego bez cienia wątpliwości czy sprzeciwu, tylko z czystą ciekawością, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

- Ruchy! - ponaglił ją Harod i opuścił broń. Nie bardzo wiedział, co mógłby zrobić, gdyby Maria odmówiła.

Odwróciła się, zwinnym ruchem kijka roztrąciła zasłaniające ich gałęzie świerków i śmignęła w stronę dworku. Przykucnięty Harod przesunął się w bok od miejsca, w którym się ukrywali, aż znalazł dogodną kryjówkę za pniem grubego drzewa otoczonego młodymi sosenkami. Spojrzał przez lornetkę. Maria dotarła do zwłok, zatrzymała się, oparła na kijkach i patrzyła w kierunku domu. Obejrzała się przelotnie przez ramię i ruszyła dalej. Na chwilę zatrzymała się przy przeszkłonych drzwiach, a potem skręciła w prawo i przejechała wzdłuż całego dworku, aż zniknęła za jego prawym narożnikiem, najbliższym drogi dojazdowej.

Harod zdjął narty i kucnął na płacie gołej ziemi wokół pnia.

Miał wrażenie, że upłynęło niedorzecznie dużo czasu, zanim Maria wynurzyła się z przeciwnej strony domu, podjechała do szklanych drzwi, spojrzała w miejsce, w którym - jej zdaniem - ukrywał się Harod, i pomachała mu ręką.

Odczekał jeszcze dwie minuty, zanim w końcu zgięty wpół puścił się biegiem. Miał nadzieję, że bez nart będzie mu łatwiej manewrować. Pomylił się. Śnieg sięgał mu wprawdzie tylko do kolan, ale skutecznie spowalniał go i utrudniał ruchy; co rusz po paru spokojnych krokach zmrożona wierzchnia pokrywa załamywała się pod nim i musiał brnąć w puchu. Przewrócił się trzy razy, raz upuścił broń. Sprawdził, czy lufa się nie zatkała, otrzepał pistolet i zataczając się, szedł dalej.

Przy zwłokach przystanął.

Tony Harod wyprodukował dwadzieścia osiem filmów, w tym dwadzieścia pięć do spółki z Willim. Wszystkie obfitowały w seks i przemoc, często zresztą nierozłącznie związane. Pięciodzienny cykl *Noce Walpurgii* (najbardziej kasowe dokonanie Haroda) składał się niemal w całości ze scen morderstw, w których młodzi - najczęściej atrakcyjni - ludzie ginęli przed stosunkiem płciowym, w jego trakcie lub tuż po jego zakończeniu.

Zabójstwa przedstawiano najczęściej z subiektywnego punktu widzenia mordercy. Sam Harod lubił wpadać czasem na plan i napatrzył się na śmierć do woli; na jego oczach umierali ludzie pchnięci nożem, zastrzeleni, nabici

na pal, spaleni żywcem, wypatroszeni i ścięci. Kręcił się też dostatecznie długo przy efektach specjalnych, żeby worki z krwią, poduszki powietrzne, wylupywanie oczu i triki hydrauliczne nie miały przed nim tajemnic. Osobiście napisał do *Nocy Walpurgii V: Koszmar trwa* scenę, w której głowa opiekunki do dziecka eksploduje i rozpada się na tysiąc kawałeczków po tym, jak dziewczyna połyka wybuchową kapsułkę dostarczoną jej przez Golona, zamaskowanego mordercę.

W niczym nie zmieniało to faktu, że Tony Harod nigdy przedtem nie widział ofiary prawdziwego morderstwa. Jedyne zwłoki, jakie w życiu oglądał z bliska, należały do jego matki oraz ciotki Miry: spoczywały w wyperfumowanych trumnach, ale nawet wtedy wszystko odbywało się w bezpiecznej atmosferze domu pogrzebowego, wśród tłumu żałobników. Matka zmarła, kiedy miał dziewięć lat, ciotka - kiedy miał trzynaście. O śmierci ojca w domu się nie mówiło.

Jeden z mężczyzn leżących przed rodzinnym dworkiem Williego Bordena został trafiony pięcioma lub sześcioma kulami. Drugi miał rozszarpane gardło. Obaj musieli obficie krwawić. Ilość krwi wydała się Harodowi wprost absurdalna; wyglądało to tak, jakby nadgorliwy reżyser kazał porozlewać na planie całe wiadra czerwonej farby. Już pobieżne oględziny zwłok, plam krwi i śladów na śniegu pozwoliły mu częściowo zrekonstruować scenę zabójstwa. Helikopter wylądował w odległości około stu stóp od budynku. Wysiedli z niego ci dwaj, w wyglansowanych do połysku czarnych półbutach, i podeszli do szklanych drzwi. Tam, na wykładanym kamiennymi płytami tarasie, zaczęli się bić. Oczami wyobraźni Harod widział, jak niższy z tej dwójki, leżący teraz z twarzą w śniegu, zniecka odwraca się i z zębami i pazurami rzuca na swojego partnera. Wyższy się cofnął (Harod widział wyraźnie odciski jego butów w śniegu), wycelował lugera i zaczął strzelać. Niższy atakował uparcie, pewnie nawet po tym, jak dostał postrzał w twarz - mniejszy trup miał dwie szarpane rany na prawym policzku. Między obnażonymi zębami utkwiał mu kęs mięsa i skóry. Kiedy upadł, jego partner zatoczył się parę jardów do tyłu, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że brakuje mu połowy gardła, z rozszarpanej tętnicy krew bryzga prosto w zimne niemieckie powietrze, a z szyi sterczy mu postrzępiona tchawica. Runął na ziemię, przetoczył się na bok i umarł wpatrzony w choinki, spomiędzy których parę godzin później wyszli Harod i Maria.

Jego prawa ręka, zgięta i częściowo uniesiona, zeszywniała w rzeźbionym uścisku stężenia pośmiertnego. Harod wiedział, że stężenie

pośmiertne pojawia się i ustępuje w określonym czasie od zgonu, nie pamiętał jednak, jaki to czas. I nieszczęśliwie go to interesowało.

Do tej pory wyobrażał sobie, że zabici współpracowali: razem wysiedli ze śmigłowca i razem umarli. Ślady na śniegu nie potwierdzały tego jednoznacznie, ale tym również się nie przejął.

Wydeptana ścieżka prowadząca od drzwi do zagłębienia w śniegu, które wziął za lądowisko helikoptera, sugerowała, że kilka - lub nawet kilkanaście - osób wyszło z domu i odleciało na pokładzie maszyny. Nie sposób było stwierdzić, skąd śmigłowiec przybył, kto go pilotował, kto wsiadł na pokład i dokąd się udał. Haroldowi było to obojętne.

- Tony? - zawołała półgłosem Maria.

- Chwila.

Harold odwrócił się, na miękkich nogach oddalił od ogromnej plamy krwi i zwymiotował w śnieg. Schylił się, drugi raz posmakował porannej kawy i grubej kiełbaski. Skończył, nabrał w dłoń trochę czystego śniegu i przepłukał nim usta. Szerokim kręgiem obszedł zwłoki i dołączył do czekającej przy przeszklonych drzwiach Marii.

- Nie są zamknięte na klucz - szepnęła.

Za szkłem było widać tylko zasłony. Śnieg padał już solidnie, odległe o dwieście stóp drzewa ginęły w zamieci. Harold skinął głową i wziął głęboki wdech.

- Idź, weź spluwę tamtego gościa - polecił. - I zobacz, czy ma jakieś papiery.

Maria przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, zanim na nartach podeszła do zwłok. Musiała siłą odgiąć palce wyższego mężczyzny, żeby wyłuskać z nich broń; przy okazji znalazła dokumenty w portfelu. Drugi trup nosił portfel i paszport w kieszeni płaszcza. Maria musiała obrócić oba ciała, żeby wypełnić polecenie Harolda i przeszukać zwłoki; kiedy wróciła na kamienny taras, sweter i kamizelkę miała obficie umazane krwią. Zrzuciła narty i przetarła rękawy i pierś śniegiem.

Harold przejrzał dokumenty. Wyższy z zamordowanych nazywał się Frank Lee; miał przy sobie międzynarodowe prawo jazdy, dokument tymczasowego pobytu z monachijskim adresem i wystawione na to samo nazwisko prawo jazdy z Miami sprzed trzech lat. Drugi nosił nazwisko Ellis Robert Sloan: trzydzieści dwa lata, zamieszkały w Nowym Jorku, w paszporcie wiza Niemiec Zachodnich, Belgii i Austrii. Łącznie w portfelach zostało osiemset dolarów amerykańskich i sześćset marek. Harold pokręcił głową i odrzucił

papiery na ziemię. Nie dowiedział się z nich niczego istotnego; zdawał sobie sprawę, że celowo odwleka moment wejścia do domu.

- Za mną - powiedział i wszedł przez próg.

Żywił szczerą nadzieję, że duży, zimny i ciemny dom jest pusty. Odechciało mu się rozmawiać z Willim; miał świadomość, że na widok swojego dawnego hollywoodzkiego mentora w pierwszym odruchu wycelowałby mu w głowę i opróżnił magazynek browninga. O ile Willi by mu na to pozwolił - bo Harold nie miał złudzeń co do tego, czyj Talent jest mocniejszy. Barentowi i pozostałym mógł wmawiać, że Willi słabnie, mógł nawet poniekąd w to wierzyć, lecz w głębi serca wiedział doskonale, że nawet wycieńczony Willi Borden w dziesięć sekund pognębiłby go psychicznie. Stary łajdak był potworem.

Zaczynał żałować, że przyleciał do Niemiec; nie należało wyściubić nosa z Kalifornii; nie powinien był dopuścić do tego, żeby Barent i reszta zmusili go do nawiązania bliższej znajomości z Willim.

- Uważaj - szepnął niezbyt mądrze, ale z naciskiem, i poprowadził Marię w głąb budowli z czarnego kamienia.

Meble w kolejnych pokojach były schludnie okryte pokrowcami. Podobnie jak ciała zabitych, również i takie sceny Harold widywał w niezliczonych filmach, ale kiedy stanął z nimi oko w oko, zaczął się denerwować. Złapał się na tym, że celuje z pistoletu w każde przykryte krzesło, w każdą lampę, jakby czekał, że wstaną i zakradną się do niego niczym obleczona w prześcieradło postać w pierwszym *Halloween* Carpentera.

Główny hol wejściowy był olbrzymi, wyłożony tworzącymi szachownicę czarno-białymi płytkami i zupełnie pusty. Oboje z Marią poruszali się cicho i ostrożnie, lecz ich kroki i tak niosły się dźwięcznym echem. W narciarskich butach z kwadratowymi czubami Harold czuł się jak skończony dureń. Maria Chen spokojnie szła obok niego z brudnym od krwi lugerem w opuszczonej ręce. Sądząc po jej minie, była zupełnie spokojna i zrelaksowana; równie dobrze mogłaby wałęsać się po hollywoodzkim domu Haroda w poszukiwaniu zagubionego kolorowego pisemka.

Piętnaście minut zajęło Haroldowi ustalenie, że ani na parterze, ani w przepastnej piwnicy nikogo nie ma. Olbrzymi dom roztaczał aurę opuszczonego siedliska; gdyby nie trupy na dziedzińcu, Harold dałby sobie głowę uciąć, że od lat nikogo tu nie było.

- Góra - szepnął. Kostki dłoni zaciśniętej na wycelowanym poziomo pistolecie całkiem mu zbiały.

Zachodnie skrzydło powitało ich mrokiem, zimnem i całkowitym brakiem sprzętów, za to, kiedy skręcili do skrzydła wschodniego, w pierwszej chwili oboje zamarli bez ruchu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że korytarz przegradza ogromna tafla pomarszczonego lodu - Harodowi przypomniała się scena, w której Żywago i Lara wracają do zdezelowanego po zimie domu na wsi, ale, przysunawszy się ostrożnie, stwierdził, że to tylko światło w dziwny sposób odbija się od cienkiej płachty przezroczystej folii, zwieszającej się z sufitu i przyklejonej do jednej ściany. Sześć stóp dalej zatrzymali się przy drugiej takiej zasłonie: razem tworzyły bufor ciepły zapewniający izolację termiczną reszcie skrzydła. Mierzący pięćdziesiąt stóp długości korytarz był ciemny, ale przez niektóre z odchodzących od niego drzwi sączyła się do środka odrobina światła. Harod skinął Marii głową i bezszelestnie ruszył naprzód, oburącz ściskając pistolet. Z bronią gotową do strzału, czujny jak kot zaglądał kolejno za każde drzwi, wyobrażając sobie sceny z udziałem Charlesa Bronsona i Clinta Eastwooda. Maria zatrzymała się przy drugiej foliowej zasłonie i śledziła go wzrokiem.

- Kurde... - mruknął Harod po dziesięciu minutach tej procedury.

Sprawiał wrażenie zawiedzionego - i prawdę mówiąc, tak właśnie się czuł, gdy zabrakło napędzającej go wcześniej adrenaliny.

Nie licząc ewentualnych sekretnych pokoi, dom był pusty. Cztery pomieszczenia we wschodnim skrzydle nosiły ślady niedawnego zamieszkania: nieposłane łóżka, pełne lodówki, kuchenki elektryczne, rozrzucone papiery na biurkach. Jeden pokój w szczególności - spory gabinet z regałami na książki, wypchaną końskim włosiem starą kanapą oraz kominkiem, w którym popiół był jeszcze ciepły - kazał Harodowi przypuszczać, że rozminęli się z Willim dosłownie o parę godzin. Może to nieproszeni goście, którzy przylecieli helikopterem, stali się przyczyną pośpiesznej ewakuacji? Nigdzie jednak nie zostały żadne ubrania ani drobiazgi osobiste; ktokolwiek tu mieszkał, był przygotowany do szybkiego wyjazdu. W gabinecie, na masywnym stole nieopodal wąskiego okna, stały ogromne szachy; drogie, ozdobnie rzeźbione figury były rozstawione w rozpoczętej partii. Harod stanął przy biurku i lufą pistoletu rozgarnął papiery. Miejsce adrenalinowej gorączki zajął nerwowo przyśpieszony oddech, nasilające się dreszcze i przemożna chęć znalezienia się gdzie indziej.

Poruszone dokumenty były spisane po niemiecku, ale nawet Harod -

mimo nieznamości tego języka - wyczuwał, że dotyczą drobiazgów: podatków od nieruchomości, sprawozdań z użytkowania ziemi, debetów, kredytów... Uprzątnął biurko, przejrzał kilka pustych szuflad i doszedł do wniosku, że czas się zbierać.

- Tony!

W głosie Marii było coś, co kazało mu okrócić się na pięcie z bronią gotową do strzału.

Stała przy stole. Harold podszedł do niej, myśląc, że dostrzegła coś przez wąskie okno, ona jednak wpatrywała się w szachownicę. Podążył za jej spojrzeniem.

Minutę później opuścił browninga, przyklęknął na jedno kolano i wyszeptał:

- Jezu Chryste, ja pierdolę...

Niewiele wiedział o szachach (grał w nie dosłownie dwa razy, i to jeszcze w dzieciństwie), ale zdawał sobie sprawę, że na tej planszy rozegrało się dopiero otwarcie partii. Zaledwie trzy bierki - dwie czarne i jedna biała - zostały zdjęte z szachownicy i odłożone na bok. Harold - na klęczkach, tak że oczy miał na poziomie planszy, dosłownie kilka cali od najbliższych stojących figur - przysunął się do stołu.

Bierki zostały wyrzeźbione ręcznie z kości słoniowej i jakiegoś ciemnego drewna. Miały po pięć, sześć cali wysokości, i biorąc pod uwagę, jak misternie zostały wykonane, musiały kosztować fortunę. Nawet nie znając się na szachach, Tony zdawał sobie sprawę, że ogląda wybitnie nieortodoksyjną rozgrywkę. Dzieciak, który niemal trzydzieści lat wcześniej pokonał go w drugiej (i na razie ostatniej w jego życiu) partii szachów, wyśmiał go, gdy Tony już na początku wprowadził królową do gry; z drwiącym uśmiechem wspominał coś o tym, że tylko amatorzy tak szybko wyprowadzają królową. Tutaj jednak nie ulegało wątpliwości, że obie królowe brały aktywny udział w rozgrywce. Biała stała na środku planszy, przed jednym ze swoich pionków; czarna została zbита i odsunięta poza szachownicę. Harold pochylił się nad nią. Hebanowa twarz miała eleganckie, arystokratyczne rysy, wciąż piękne mimo starannie odwzorowanych zmarszczek podeszłego wieku.

Widział tę twarz pięć dni wcześniej w Waszyngtonie, kiedy C. Arnold Barent pokazał mu zdjęcie starszej pani, która - zanim zginęła zastrzelona w Charleston - okazała się na tyle nieostrożna, że zostawiła w hotelu swój makabryczny album z wycinkami. Tony Harold miał przed sobą Ninę Drayton.

Nerwowo przenosił wzrok na kolejne figury na planszy; większości nie znał, ale niektóre rysowały mu się przed oczami wyraźnie i znajomo, jak przy zaskakującym najeździe kamery połączonym z wyostrzeniem, którą to technikę chętnie stosował w niektórych swoich filmach.

Białym królem był Willi, co do tego nie było żadnych wątpliwości - nawet jeśli miał młodszą twarz, bardziej wyraziste rysy, gęstsza czuprynę i mundur, którego noszenie było teraz w Niemczech zakazane. Czarnym królem był C. Arnold Barent - w garniturze i tak dalej. W czarnym gońcu Harod rozpoznał Charlesa C. Colbena. Biały goniec również wyglądał znajomo: wielebny Jimmy Wayne Sutter. Kepler zajmował bezpieczne miejsce w statycznym szeregu pionków, przed który wysforował się rwący się do bitki skoczek - Harod odwrócił go lekko i rozpoznał wychudzoną, napuszoną twarz Niemana Traska.

Twarcz pulchnej starszej kobiety w roli białej królowej nic mu nie mówiła, ale bez trudu odgadł jej tożsamość.

„Sami znajdziemy tę wścibską zdziwę”, powiedział Barent. „Pan będzie musiał tylko ją zabić”.

Biała królowa w towarzystwie dwóch pionków zapuściła się daleko w głąb terytorium czarnych. Harod nie znał pionka otoczonego przez zagrażające mu czarne figury - mężczyzny około sześćdziesiątki, brodatego, w okularach. Było w tej twarzy coś takiego, że Harod odruchowo pomyślał: Żyd. Za to drugi pionek, ten malutki, stojący cztery pola od skoczka Williego i wystawiony na atak kilku czarnych bierok jednocześnie... Tego pionka rozpoznał od razu, wystarczyło tylko lekko go obrócić. Tony Harod zobaczył własną twarcz.

- O kurwa!

Echo poniosło jego okrzyk w głąb wielkiego domu. Krzyknął drugi raz i lufą browninga roztrącił figury na szachownicy - raz, drugi, trzeci, zrzucając je na podłogę.

Maria Chen cofnęła się i wyjrzała za okno. Resztki dziennego światła odpłynęły z nieba, chmury opadły niżej, ciemna linia drzew ginęła w szarej mgłę, ciężki śnieg delikatnie pokrywał dwa trupy, leżące na trawniku przed domem niczym para strąconych z szachownicy figur.

12.

Charleston

18 grudnia 1980, czwartek

- Powinien chyba padać śnieg - powiedział Saul Laski.

Siedzieli we troje w samochodzie szeryfa: Saul z Gentrym na przednich fotelach, Natalie z tyłu. Siąpił deszcz, temperatura sięgała prawie piętnastu stopni powyżej zera. Natalie i Gentry włożyli ciepłe kurtki, Saul miał na sobie gruby niebieski sweter i starą sportową marynarkę z tweedu. Palcem wskazującym poprawił okulary na nosie i, mrużąc oczy, wyjrzał przez ociekające deszczem okno.

- Sześć dni do Bożego Narodzenia i ani grama śniegu - dodał Saul. - Nie rozumiem, jak wy tu, na Południu, możecie z tym żyć.

- Miałem siedem lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłem śnieg - powiedział Bobby Joe Gentry. - Wypuścili nas wcześniej ze szkoły. Na ziemi leżał może cal śniegu, nie więcej, ale pędziliśmy do domu, jakby świat miał się zaraz skończyć. Rzuciłem śnieżką, pierwszą w życiu, i od razu wybiłem okno w salonie starej pani McGilvrey. I dla mnie faktycznie był to prawie koniec świata. Kiedy tata wrócił do domu, czekałem na niego już od prawie trzech godzin, nie dostałem kolacji i w ogóle. Ucieszyłem się, kiedy złożył mi skórę i miałem w końcu święty spokój.

Musnął przycisk, wycieraczki przejechały po szybie raz, drugi i ze szczękiem znieruchomiały. Chwilowo oczyszczone łuki szkła szybko zaczęły się pokrywać cętkami deszczu.

- O tak - ciągnął tym basowym, dziwnie przyjemnym głosem, który Laskiemu stawał się coraz bardziej znajomy. - Ilekroć widzę śnieg, zawsze sobie przypominam, jak dostałem od ojca wciry i próbowałem powstrzymać łzy. A tak w ogóle to mam wrażenie, że zimy są coraz zimniejsze, a śniegu spada coraz więcej.

- Lekarz już przyszedł? - spytała z tylnej kanapy Natalie.

- Nie - odparł Gentry. - Jest za trzy czwarta. Mówi się, że Calhoun się starzeje, zwalnia tempo, ale nadal jest punktualny jak stary babciny zegar. Powiedział, że będzie o czwartej, to będzie o czwartej.

Jakby dla podkreślenia celności jego słów długi, ciemny cadillac zatrzymał się na ulicy i zaczął parkować równolegle pięć samochodów przed radiowozem szeryfa.

Saul obrzucił wzrokiem dom, przed którym stali. Kilka mil od zwykłej Starej Dzielnicy architektura też była niczego sobie, zgrabnie łączyła staroświecką elegancję z powabem nowoczesnych wygod. Dawna fabryka konserw została przerobiona na kompleks biurowo-mieszkalny: dobudowano garaże, wstawiono dodatkowe okna, ściany wypiąskowano do czysta, wszystkie drewniane elementy zostały uzupełnione, naprawione i pomalowane. Ktoś się naprawdę przyłożył do remontu i przebudowy.

- Jest pan pewny, że rodzice Alicii się zgodzą? - spytał.

Gentry zdjął kapelusz i chusteczką wytarł wewnętrzną skórzaną otoczkę.

- Zależy im na tym. Pani Kaiser zamartwia się stanem córki; mówi, że Alicia nie chce jeść, nie może spać, budzi się z krzykiem, a najczęściej po prostu siedzi i gapi się w przestrzeń.

- Nie minął jeszcze tydzień, odkąd na jej oczach zamordowano jej najlepszą przyjaciółkę - przypomniała Natalie. - Biedactwo.

- Oraz dziadka teź - uzupełnił Gentry. - Mogła zresztą widzieć także inne morderstwa, kto wie.

- Myśli pan, że była w Mansard House? - zdziwił się Saul.

- Nikt sobie nie przypomina, żeby ją tam widział - przyznał szeryf - ale to jeszcze guzik znaczy. Bez odpowiedniego przeszkolenia przeciętny człowiek w ogóle niewiele zauważa. Chociaż oczywiście są wyjątki, ludzie, którzy widzą dosłownie wszystko. Szkoda tylko, że nie zdarza im się bywać świadkami przestępstw.

- Alicję znaleziono blisko miejsca zabójstwa, prawda? - upewnił się Saul.

- Można tak powiedzieć. Sąsiadka wypatrzyła ją na skrzyżowaniu mniej więcej w połowie drogi między domem pani Fuller i Mansard House. Oszołomiona dziewczynka stała nieruchomo i płakała.

- A jak jej ręka? Goi się? - spytała Natalie.

Gentry odwrócił się do niej i uśmiechnął. Jego małe niebieskie oczy świeciły jaśniej niż zimowe słońce.

- Goi się doskonale, droga pani. To proste złamanie.

- Jeszcze jedno „droga pani”, szeryfie, i sama złamię panu rękę.

- Rozumiem, droga pani - odparł Gentry. Odwrócił się i spojrzał przez przednią szybę. - A oto i nasz stary dobry doktor C. Ten czarny parasol przywiózł sobie z Anglii, jeszcze przed wojną. Pojechał tam na cykl letnich wykładów w London City Hospital, zdaje się. Wchodził w skład tamtejszego komitetu szybkiego reagowania. Pamiętam, jak dawno temu mówił stryjowi Lee, że brytyjscy lekarze byli przygotowani na przyjęcie sto razy większej

liczby rannych, niż wyszło w praniu, kiedy Niemcy zaczęli ich bombardować. To znaczy, może nie byli tak naprawdę przygotowani, ale... spodziewali się, że będzie gorzej.

- Duże ma doświadczenie w stosowaniu hipnozy? - zapytał Saul.

- Bez dwóch zdań. Właśnie dlatego pojechał doradzać Angolom w trzydziestym dziewiątym. Tamtejsi specjaliści uważali chyba, że spowodowana bombardowaniem trauma wywoła u większości cywilów poważny wstrząs. Mieli nadzieję, że Jack im pomoże, stosując sugestię posthipnotyczną i inne sztuczki. - Gentry uchylił drzwiczki samochodu. - Idzie pani ze mną, panno Preston?

- Naturalnie - odparła Natalie i wysiadła na deszcz.

Gentry również wysiadł. Krople miękko postukiwały w rondo jego kapelusza.

- Pan na pewno nie chce iść, profesorze?

- Wolę nie - odparł Saul. - Nie chcę, żeby moja obecność miała wpływ na rozwój sytuacji. Chętnie jednak usłyszę, co dziewczynka miała do powiedzenia.

- Ja też. Bez względu na okoliczności postaram się podejść do sprawy bez uprzedzeń.

Gentry trzasnął drzwiami i podbiegł - całkiem zwinnie jak na takiego olbrzyma - do czekającej przy schodach Natalie Preston.

Bez uprzedzeń, powtórzył w duchu Saul. Oby ci się udało.

- Wierzę panu - powiedział dzień wcześniej szeryf Gentry, gdy Saul opowiedział mu swoją historię.

Saul skrócił opowieść do minimum, dzięki czemu, zamiast większej części doby, jak poprzednio, zajęła zaledwie czterdzieści pięć minut. Rozmawiali przy obiedzie. Kilka razy Natalie poprosiła Saula o przytoczenie fragmentu, który zamierzał pominąć, szeryf zadał parę zwięzłych pytań i po godzinie obiad został zjedzony, a historia zakończona. Gentry wstał od stołu.

- Wierzę panu - powiedział.

Saula zamurowało.

- Tak po prostu? - wykrztusił.

Gentry pokiwał głową.

- Tak po prostu. - Spojrzał na Natalie. - A pani, panno Preston? Uwierzyła pani?

Natalie wahała się dosłownie przez ułamek sekundy.

- Tak, uwierzyłam - przytaknęła i przeniosła wzrok na Saula. - Nadal wierzę.

Gentry nie odpowiedział.

Saul skubnął brodę, zdjął okulary, przetarł je i założył z powrotem.

- Nie uważacie, że moje słowa brzmią... jak fantastyka?

- Ja osobiście tak właśnie uważam - zgodził się z nim szeryf - ale taką samą fantastyką jest fakt, że w moim rodzinnym mieście zginęło dziewięć osób, a ja nie mam zielonego pojęcia, co łączy ich zgony. - Pochylił się nad Saulem. - Opowiadał pan jeszcze komuś tę historię? Wcześniej? Tak w całości?

Saul podrapał się po brodzie.

- Rebecce, mojej kuzynce - przyznał półgłosem. - W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, niedługo przed tym, jak umarła.

- I co, uwierzyła panu?

Saul spojrzał szeryfowi prosto w oczy.

- Kochała mnie. Widziała, jak wyglądałem zaraz po wojnie. Pomogła mi odzyskać równowagę psychiczną. Tak, uwierzyła mi. Powiedziała, że wierzy, a ja postanowiłem zaufać jej, że mówi prawdę. Dlaczego jednak wy mielibyście przyjąć coś takiego na wiarę?

Natalie milczała. Gentry znów usiadł, aż zatrzeszczało krzesło.

- Będę mówił za siebie, profesorze. Muszę się panu przyznać do dwóch słabości. Pierwsza jest taka, że mam skłonność do oceniania ludzi na podstawie odczuć, jakie budzą we mnie swoimi słowami i zachowaniem. Weźmy na przykład tego agenta FBI, którego wczoraj poznał pan u mnie w biurze, Dickiego Hainesa. Wszystko, co mówi, jest do bólu logiczne i prawdziwe. Jego wygląd nie budzi zastrzeżeń. Kurczę, facet nawet pachnie jak należy! A jednak ma w sobie coś takiego, że jestem równie nieskłonny mu zaufać jak wygłodniałej łasicy. Nie umiem tego wyrazić, ale pan Haines jest jakby... częściowo nieobecny, wie pan: na werandzie pali się światło, ale w domu nikogo nie ma. Rozumie pan, co mam na myśli? Kiedy spotkam człowieka godnego zaufania, to po prostu mu wierzę i już. Ludziom się to podoba. I wiecznie mam przez to kłopoty. Moja druga słabość to zamiłowanie do książek. Nie mam żony, nie mam hobby poza pracą. Kiedyś wydawało mi się, że chciałbym być historykiem... potem sławnym pisarzem historycznym, takim jak Catton albo Tuchman... albo po prostu powieściopisarzem. Na to wszystko jestem za leniwy, ale książki pożeram dziesiątkami. Na dodatek lubię chłamać. I zawarłem sam ze sobą taką umowę:

za każde trzy poważne przeczytane książki mam prawo trochę się ponurzać w chłampie. To może być nawet dobrze napisany chłamek, ale chłamek być nie przestaje. Czytuję kryminały Johna MacDonalda, Parkera, Westlake'a, thrillery Ludluma, Trevaniana, le Carré, Deightona, i horrory: Stephena Kinga, Steve'a Rasnica Tema i innych. - Gentry uśmiechnął się do Saula. - Pańska opowieść nie jest wcale taka niezwykła.

Saul w odpowiedzi zmarszczył brwi.

- Chce pan powiedzieć, panie Gentry, że dzięki lekturze fantastyki nie postrzega pan mojej historii jako fantastycznej?

Szeryf pokręcił głową.

- Nie, proszę pana. Chcę powiedzieć, że pańska historia pasuje do faktów i jest jedyną, która jakoś łączy te wszystkie zabójstwa.

- Haines miał teorię na temat Thorne'a, służącego starszej pani - przypomniał Saul. - I tej... Kramer. Wspólnie mieli okradać swoje pracodawczynię.

- Haines pieprzy od rzeczy - odparował Gentry. - Pani wybaczy - dodał pod adresem Natalie. - Poza tym nie uwierzę, że mały Albert LaFollette, boy z Mansard House, który dostał małego rozumu, był z kimkolwiek w zмовie. Znałem jego ojca. Chłopak był tak tępy, że ledwie umiał samodzielnie zawiązać buty, ale był miłym dzieckiem. Kiedy w szkole średniej nie grywał w football, tłumaczył ojcu, że nie gra, bo nie chce komuś zrobić krzywdy.

- Moja opowieść wykracza poza granice logiki - zauważył Saul - do krainy zjawisk nadprzyrodzonych.

Było mu głupio, że sprzecza się z szeryfem, ale nie spodobała mu się ta bezwarunkowa akceptacja jego historii.

- Wie pan, czego najbardziej nie cierpię w filmach o wampirach? Stosy ciał piętrzą się wszędzie, każde ma dwie małe dziurki w szyi, niektóre trupy ożywają i tak dalej... Film trwa wszystkiego dwie godziny, a pozytywny bohater potrzebuje z tego półtorej, żeby chociaż przekonać pozostałych, że wampiry naprawdę istnieją.

Saul potarł w zadumie brodę.

- Niech pan posłucha - ciągnął Gentry. - Z jakiegoś powodu opowiedział nam pan tę historię. Możliwości są następujące: po pierwsze, może jest pan w tę sprawę jakoś zamieszany. To znaczy, ja wiem, że nikogo z tych ludzi nie zabił pan osobiście; w sobotę po południu i wieczorem uczestniczył pan w dyskusji naukowej na Columbii. Ale coś wspólnego może pan z tym mieć.

Może zahipnotyzował pan panią Drayton? Wiem, wiem, hipnoza tak nie działa, ale z drugiej strony, ludzie na co dzień nie przejmują kontroli nad umysłami innych ludzi, prawda? Po drugie, może jest pan po prostu zdrowo szurnięty. Tak jak te różne świry, co po każdym morderstwie wyłażą nie wiadomo skąd i pędzą, żeby przyznać się do winy. Albo, po trzecie, może pan mówić prawdę. Na razie skłaniam się ku tezie trzeciej. Poza tym sam byłem świadkiem dziwnych rzeczy, które do pańskiej teorii pasują, a do innych nie.

- Jakich dziwnych rzeczy? - zainteresował się Saul.

- Takich jak facet, który dziś rano mnie śledził, a potem, zamiast ze mną porozmawiać, wolał popełnić samobójstwo. No i jeszcze ten album z wycinkami.

- Album? - powtórzył pytającym tonem psychiatra.

- Jaki album? - zawtórowała mu Natalie.

Gentry zdjął kapelusz, zmiął go w rękach, sposepniał.

- Byłem pierwszym policjantem na miejscu zbrodni, kiedy zabito panią Drayton. Ratownicy zabierali właśnie ciało, na parterze detektywi z wydziału zabójstw liczyli trupy, a ja miałem chwilę, żeby rozejrzeć się po pokoju. Nie powinienem był tego robić, to naruszenie procedury, ale co mi tam, pomyślałem, jestem przecież tylko prowincjonalnym gliną, nie? W jednej z walizek znalazłem taki grubaśny album z wycinkami. No i jakoś tak wyszło, że go przekartkowałem. Wszystkie wycinki dotyczyły zabójstw, było między innymi o zastrzeleniu Johna Lennona, ale nie tylko. Głównie sprawy z Nowego Jorku, od stycznia tego roku do teraz. Następnego dnia policja prowadzi rzetelne śledztwo, ludzie z FBI kręcą się po hotelu, chociaż to niezupełnie sprawa dla nich, jest ogólne zamieszanie... W niedzielę wieczorem przyjeżdżam do kostnicy i okazuje się, że żadnego albumu nie ma, nikt go nie widział, nie został po nim żaden ślad w aktach, kostnica nie pokwitowała jego przyjęcia... Nic.

- Pytał pan o niego? - zaciekał się Saul.

- No pewnie. Wszystkich pytałem, od ratowników po chłopaków z wydziału zabójstw. Nikt go nie widział. W niedzielę rano wszystkie rzeczy osobiste starszej pani zostały zebrane i spisane w kostnicy: bielizna, ubrania, pigułki na nadciśnienie... A album z gazetowymi wycinkami opisującymi ze dwadzieścia morderstw przepadł jak kamień w wodę.

- Kto sporządził ten spis?

- Wydział zabójstw do spółki z FBI. Tobe Harner, urzędnik z kostnicy,

mówi, że nasz pan Haines wpadł tam i grzebał w tych rzeczach jakąś godzinę przed przybyciem tamtych. Przyjechał do kostnicy prościutko z lotniska.

Saul odchrząknął.

- Podejrzewa pan, że FBI próbuje ukrywać dowody?

Szeryf Gentry z miną niewiniątka otworzył szeroko oczy.

- Po co FBI miałoby coś takiego robić?

Milczenie się przeciągało. W końcu odezwała się Natalie:

- Szeryfie... Jeśli jeden z tych... jedna z tych istot jest odpowiedzialna za śmierć mojego ojca, to co teraz zrobimy?

Gentry splótł ręce na brzuchu i przeniósł wzrok na Saula. Miał intensywnie niebieskie oczy.

- To bardzo dobre pytanie, panno Preston. Co dalej, doktorze Laski? Przypuśćmy, że uda nam się złapać pańskiego Obersta, panią Fuller albo nawet oboje razem. Nie sądzi pan, że trudno będzie w ich przypadku uzyskać wyrok skazujący?

Saul rozłożył ręce.

- Zgadzam się, to brzmi jak majaczenie szaleńca. Jeśli w nie uwierzymy, całą logikę diabli wezmą. Żadnego mordercy nie da się skazać bez cienia wątpliwości. Żaden dowód nie będzie dostatecznie mocny, żeby odróżnić winnych od niewinnych. Rozumiem, do czego pan zmierza, szeryfie.

- Bez przesady, nie będzie aż tak źle. Jakkolwiek by na to patrzeć, większość morderstw to jednak zwykłe morderstwa, prawda? Chyba że po świecie chodzą setki albo tysiące tych wampirów umysłowych?

Na myśl o tym Saul zamknął oczy.

- Modłę się żarliwie, żeby tak nie było.

Gentry pokiwał głową.

- Czyli tu u nas mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową, zgadza się? I w ten sposób wracamy do pytania panny Preston: co dalej?

Saul westchnął ciężko.

- Będę potrzebował pańskiej pomocy przy... obserwacji. Jest szansa, niewielka, ale zawsze, że jedno lub oboje poszukiwani wrócą do Charleston. Melanie Fuller mogła nie zdążyć zabrać z domu czegoś bardzo ważnego. A William Borden, o ile przeżył katastrofę, może wrócić po nią.

- I co wtedy? - spytała Natalie. - Żaden sąd nie wymierzy im kary. Co ty byś zrobił, gdybyśmy ich dla ciebie znaleźli? Co możesz zrobić?

Saul spuścił głowę, poprawił okulary i powiódł po czole drżącą ręką.

- Od czterdziestu lat się nad tym zastanawiam - odparł bardzo, bardzo

cicho - i wciąż nie wiem. Czuję jednak, że los zetknie mnie jeszcze z Oberstem.

- Są śmiertelni - zauważył Gentry.

- Słucham? Tak, oczywiście. Są śmiertelni.

- Czyli można się do takiego zakraść od tyłu i palnąć go w łeb, tak? Nie zmartwychwstanie przy następnej pełni księżyca, nic z tych rzeczy?

Saul wytrzeszczył oczy.

- Do czego pan zmierza, szeryfie?

- Do tego, że jeśli naprawdę potrafią robić to, co pan mówi, to są najbardziej przerażającymi skurczybykami, o jakich w życiu słyszałem. Szukanie ich będzie przypominało polowanie na mokasyny błotne na bagnach, nocą, gołymi rękami, tylko z płóciennym workiem. Ale kiedy już raz ich namierzemy, staną się równie dobrym celem jak ja, wy, John F. Kennedy albo John Lennon. Pierwszy lepszy strzelec ze sztucerem z lunetą będzie mógł ich bez wysiłku sprzątnąć. Dobrze mówię, profesorze?

Saul ani drgnął pod spokojnym spojrzeniem szeryfa.

- Nie mam karabinu, szeryfie.

Gentry pokiwał głową.

- Przywiózł pan z Nowego Jorku jakąś inną broń?

Saul pokręcił głową.

- A w ogóle ma pan broń, profesorze?

- Nie.

Szeryf zwrócił się do Natalie:

- Ale pani ma. Powiedziała pani, że wchodząc wczoraj za profesorem do domu pani Fuller, była pani gotowa zagrozić mu pistoletem i go aresztować.

Natalie się zarumieniła. Saul ze zdziwieniem skonstatował, jak bardzo jej policzki - mające naturalny kolor kawy - ciemnieją, kiedy się rumieni.

- Nie jest mój - wyjaśniła. - Należał do mojego ojca. Tata trzymał go w pracowni, miał pozwolenie. Zdarzały się napady... W poniedziałek zajrzałam do pracowni i go zabrałam.

- Mógłbym go zobaczyć? - poprosił półgłosem Gentry.

Natalie wyszła do przedpokoju i wyjęła pistolet z kieszeni wiszącego w szafie płaszcza. Przyniosła go do pokoju i położyła na stole. Gentry palcem wskazującym delikatnie obrócił go w taki sposób, żeby lufa nie celowała w żadne z nich trojga.

- Zna się pan na pistoletach, profesorze?

- Na tym nie.

- A pani, panno Preston? Jest pani obyta z bronią?

Natalie objęła się rękoma, jakby zmarzła.

- Znajomy w St. Louis pokazywał mi, jak się strzela. Celujesz, pociągasz za spust... Żadna filozofia.

- Strzelała pani z tego konkretnego pistoletu?

Natalie pokręciła głową.

- Tata kupił go już po tym, jak wyjechałam na studia. Sam chyba nigdy z niego nie strzelał. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby był w stanie strzelić do człowieka.

Gentry uniósł brwi, wziął pistolet do ręki i wycelował go w podłogę, oparłszy palec na osłonie spustu.

- Naładowany?

- Nie - powiedziała Natalie. - Wczoraj przed wyjściem z domu wyjęłam wszystkie naboje.

Tym razem to Saul uniósł brwi.

Gentry skinął głową i przesunął dźwigienkę zwalniającą magazynek, który wysliznął się z czarnej plastikowej kolby. Pokazał go Saulowi: rzeczywiście, był pusty.

- Trzydziestka dwójka, prawda? - spytał Saul.

- Mała, poręczna llama, kaliber trzydzieści dwa - przytaknął szeryf. - Śliczna zabaweczka. Nowy musiał kosztować ze trzy stówki, jak nic. Panno Preston, nikt nie lubi słuchać dobrych rad, ale ja jednak pewnej rady pani udzielię. Pozwoli pani?

Natalie w napięciu skinęła głową.

- Po pierwsze, proszę nie brać nikogo na cel, jeśli nie jest pani gotowa naprawdę strzelić. Po drugie, proszę nie celować do ludzi z pustego pistoletu. I po trzecie, proszę sprawdzić, czy pistolet naprawdę jest pusty. - Gentry pokazał jej coś na korpusie broni. - Widzi pani to czerwone, tutaj? To jest tak zwany wskaźnik załadowania komory. Jest czerwony, więc próbuje dać pani coś do zrozumienia.

Odciągnął zamek do tyłu. Nabój wyskoczył z komory i z metalicznym klekotem spadł na stół.

Natalie pobladła, jej skóra przybrała odcień starego popiołu.

- To niemożliwe... - jęknęła cichutko. - Liczyłam naboje, kiedy je wyjmowałam. Było ich siedem.

- Najwidoczniej pani tata wprowadził nabój do komory, a potem zwolnił kurek. Niektórzy lubią nosić broń w takim stanie, dzięki temu mają do

dyspozycji osiem kul zamiast standardowych siedmiu.

Szeryf włożył pusty magazynek na miejsce i pociągnął za spust.

Natalie podskoczyła lekko, gdy rozległ się suchy trzask. Zerknęła na „wskaźnik załadowania komory”, jak go nazwał Gentry: kolor czerwony zniknął. Przypomniała sobie, jak dzień wcześniej celowała z tej broni do Saula, będąc święcie przekonaną, że pistolet jest nieszkodliwy... Zrobiło jej się słabo.

- Do czego pan teraz pije, szeryfie? - spytał Saul.

Gentry wzruszył ramionami i odłożył pistolet na stół.

- Pomyślałem, że jeśli mamy tropić morderców, dobrze by było, żeby ktoś z nas miał jakieś pojęcie o pistoletach.

- Pan mnie nie zrozumiał. Wobec tych ludzi pistolety są bezużyteczne. Oni mogą panu kazać zwrócić broń przeciwko samemu sobie. Mogą pana całego zmienić w broń. Gdybyśmy mieli we troje zaatakować Obersta albo tę... Fuller, nie moglibyśmy ufać sobie nawzajem.

- To rozumiem. Ale rozumiem również, że kiedy się ich znajdzie, można ich zabić. Są niebezpieczni głównie dlatego, że nikt nie wie o ich istnieniu. A my już wiemy.

- Nie wiemy jednak, gdzie ich szukać. A myślałem, że jestem blisko, tak blisko...

- Borden nie jest człowiekiem znikąd - zauważył Gentry. - Ma jakąś historię, firmę producencką, wspólników, znajomych... Można od tego zacząć.

Saul pokręcił głową.

- Myślałem, że Francisowi Harringtonowi nic nie grozi, miał tylko trochę się rozejrzeć, popytać... Mnie Oberst mógł rozpoznać, gdybym faktycznie trafił na jego trop, ale wydawało mi się, że Francis będzie bezpieczny. I co? Prawie na pewno nie żyje. Dlatego nie chcę nikogo więcej w to wciągać bezpośrednio...

- Ale my już zostaliśmy w to wciągnięci! - burknął szeryf. - Tkwimy w tym po uszy.

- Słuszna uwaga - wtrąciła się Natalie.

Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Wyglądało na to, że odzyskała rezon.

- Jeżeli nie jesteś obłąkany, Saul, to wychodzi na to, że te przekłete dziwolągi bez żadnego powodu zabiły mojego ojca. Z tobą czy bez ciebie, zamierzam je odszukać i znaleźć sposób na wymierzenie im sprawiedliwości.

- Wyobraźmy sobie, że wszyscy troje jesteśmy inteligentnymi ludźmi - odezwał się Gentry. - Profesorze, czy podczas tych dwóch sesji terapeutycznych z Niną Drayton usłyszał pan od niej coś, co mogłoby nam teraz pomóc?

- Prawdę mówiąc, nie. Opowiadała głównie o śmierci ojca. Domyślałam się, że wykorzystywała posiadaną zdolność, żeby się go pozbyć.

- Nie wspominała o Bordenie ani Melanie Fuller?

- Nie wprost, ale napomknęła o tym, że na początku lat trzydziestych miała jakichś przyjaciół w Wiedniu; sądząc po tym, jak ich opisała, mogliby to być Oberst i pani Fuller.

- Coś nam to daje?

- Nie, to były tylko takie... aluzje o konkurencji i zazdrości na tle erotycznym.

- No dobrze - powiedział Gentry. - Pan też został wykorzystany przez Obersta.

- Owszem.

- I pamięta pan to. A zarazem sugeruje pan, że Jack Ruby i inne ofiary cierpiały potem na coś w rodzaju amnezji, prawda?

- Tak. Wydaje mi się, że ludzie wykorzystani w ten sposób przez Obersta i pozostałych pamiętają, co robili, tak jak człowiek po przebudzeniu pamięta sen. O ile w ogóle cokolwiek pamiętają.

- Czy nie tak właśnie osoby z psychozami zapamiętują gwałtowne epizody swojej choroby?

- Czasem tak. A czasem to codzienne życie jest dla psychotyka snem, natomiast, dopiero zadając ból lub śmierć, naprawdę czuje, że żyje. Jednakże ludzie wykorzystani przez Obersta i pozostałych wcale nie muszą być psychotykami, lecz... ofiarami.

- No dobrze, ale pan pamięta dokładnie, co pan czuł, kiedy Oberst... pana opętał. Dlaczego?

Saul zdjął i przetaił okulary.

- To było co innego. Trwała wojna, ja byłem Żydem z obozu, Oberst wiedział, że nie przeżyję... Nie musiał się wysilać i wymazywać mi pamięci. Poza tym uciekłem z własnej woli, postrzeliłem się w stopę, zaskoczyłem go...

- O to też miałem pana zapytać. Powiedział pan, że ból nim wstrząsnął i sprowokował do rozluźnienia kontroli na minutę lub dwie...

- Raczej na kilka sekund.

- W porządku, na kilka sekund. Sęk w tym, że wszyscy ludzie, którzy zostali w ten sposób wykorzystani tutaj, w Charleston, musieli bardzo cierpieć. Haupt, to znaczy Thorne, ten eks-złodziej, którego Melanie Fuller trzymała w roli służącego, stracił oko, ale to go nie zniechęciło. Ta dziewczynka, Kathleen, została pobita na śmierć. Barrett Kramer spadła ze schodów i została postrzelona. Preston... rozumie pan, do czego zmierzam?

- Rozumiem - przytaknął Saul - i sporo o tym myślałem. Na szczęście, kiedy Oberst był... w moim umyśle, tego się nie da inaczej powiedzieć... udało mi się odebrać strzępy jego myśli...

- To coś jak... telepatia? - zainteresowała się Natalie.

- Nie, nie całkiem. W każdym razie nie taka telepatia, jak się ją zwykle przedstawia w książkach. Bardziej przypominało to próbę pochwycenia skrawków snu, który rozwiewa się w chwili przebudzenia. Wychwytiłem ich jednak wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że więź, jaka nas połączyła, kiedy wykorzystał mnie do zabicia *der Alte*, tego starego esesmana, była czymś niezwykłym. Chciał doświadczyć tego w pełni, smakować wszystkie niuanse wrażeń zmysłowych. Odniosłem wrażenie, że kiedy na co dzień wykorzystuje ludzi w ten sposób, oddziela się od odczuwanego przez nich bólu jakimś prostym buforem.

- Jakby oglądał telewizję z wyłączonym dźwiękiem? - zasugerował Gentry.

- W pewnym sensie... z tym że on nie traci przy tym żadnych istotnych informacji, oszczędza sobie tylko bólu. Wydaje mi się, że Oberst rozkoszował się nie tylko odczuwanym pośrednio bólem ofiar morderstwa, lecz także cierpieniem tych, których do tego morderstwa przymusił...

- Jak pan sądzi, czy tego rodzaju wspomnienia można trwale wymazać z pamięci?

- Z pamięci tych, których wykorzystał? - upewnił się Saul, a gdy Gentry skinął głową, odparł: - Nie. Można je co najwyżej głęboko pogrzebać. Tak jak czasem ofiary okrucieństwa spychają jego wspomnienie głęboko do podświadomości.

Gentry rozpromienił się i wstał. Klepnął Saula po ramieniu.

- Profesorze, właśnie podsunął nam pan sposób sprawdzenia, co jest prawdziwe, a co nie; kto jest obłąkany, a kto zdrowy na umyśle.

- Naprawdę? - zdziwił się Saul, ale w tej samej chwili pojał, co szeryf ma na myśli.

Tylko Natalie patrzyła jeszcze pytająco na szeryfa.

- Naprawdę - potwierdził Gentry. - Jutro przeprowadzimy ten test i wszystko się wyjaśni.

Saul siedział w radiowozie, wsłuchany w szum deszczu. Minęła prawie godzina, odkąd Gentry, Natalie i stary lekarz zniknęli w klinice. Niedługo później po drugiej stronie ulicy zaparkowała niebieska toyota i mignęła mu jasnowłosa dziewczynka - lewa ręka na temblaku, oczy mroczne i zmęczone - prowadzona przez dwoje młodych, nieskazitelnie (i przewidywalnie) eleganckich młodych ludzi.

Saul czekał. Znał się na czekaniu, była to jedna z umiejętności, które jako nastolatek wyniósł z obozów śmierci. Po raz dwudziesty przeanalizował powody, dla których wciągnął w sprawę Natalie i szeryfa. Nie miał najmocniejszych argumentów: przekonanie, że zabrnął w ślepy zaułek; niespodziewany przyływ zaufania do dwojga niezwykle sprzymierzeńców - po latach samotnej podejrzliwości; zwyczajna potrzeba opowiedzenia komuś swojej historii.

Pokręcił głową. Intelkt podpowiadał mu, że popełnił błąd, ale z emocjonalnego punktu widzenia podzielenie się swoją opowieścią miało cudowne działanie terapeutyczne. Tylko otucha płynąca z faktu posiadania sojuszników i zaangażowania w sprawę nowych ludzi pozwalała mu spokojnie siedzieć w radiowozie i czekać na rozwój wydarzeń.

Był zmęczony, przy czym odczuwał coś więcej niż zwykłe niewyspanie i skutki niedawnego nadmiaru adrenaliny. Dokuczało mu dotkliwe wyczerpanie, bolesne jak krwiak na kości i stare jak Chełmno; przenikało go do głębi, trwałe i niemożliwe do usunięcia jak tatuaż na wewnętrznej stronie przedramienia - i tak jak tatuaż zabierze je ze sobą do grobu, podda mu się na wieczność. Znowu pokręcił głową, zdjął okulary i potarł palcami nasadę nosa. Daj sobie spokój, staruszkule, pomyślał. *Weltschmerz* to nudny stan umysłu, nudny bardziej dla innych niż dla ciebie.

Przypomniało mu się gospodarstwo Davida w Izraelu, dziewięć własnych akrów ziemi z dala od sadów i pól. Przypomniał sobie piknik, jaki urządzili tam z całą rodziną Rebeki na krótko przed tym, jak wyjechał do Stanów. Aaron i Izaak, synowie Davida i Rebeki, bliźniacy, mogli mieć wtedy najwyżej siedem lat; bawili się w Indian i kowbojów wśród skał i wąwozów, gdzie niegdyś rzymscy legionści tropili izraelskich partyzantów.

Właśnie, Aaron. Saul miał się z nim spotkać w Waszyngtonie w sobotę wieczorem. Ścisnęło go w żołądku na myśl o kolejnej osobie niepotrzebnie

uwikłanej w ten koszmar. Tym razem tą osobą był ktoś z rodziny. Jak dużo wie? - zastanawiał się. Jak go powstrzymać od dalszego zaangażowania?

Para z dzieckiem wyszła z kliniki. Lekarz wyszedł za nimi, podali sobie z mężczyzną ręce i rodzina odjechała. Saul zorientował się, że deszcz ustał.

Gentry i Natalie Preston również wyszli. Zamienili parę słów z doktorem Calhounem i żwawo podeszli do radiowozu.

- I co? - zagadnął Saul, gdy masywna postać szeryfa wśliznęła się za kierownicę, a młoda kobieta zajęła miejsce z tyłu. - I co?

Gentry zdjął kapelusz i otarł czoło chusteczką. Otworzył okno na całą szerokość, zapachniało wilgotną trawą i kwitnącą mimozą. Odwrócił się do Natalie.

- Może pani mu powie?

Natalie odetchnęła głęboko i pokiwała głową. Sprawiała wrażenie podenerwowanej, trochę nawet roztrzęsionej, ale jej głos brzmiał spokojnie i stanowczo.

- Do gabinetu doktora Calhouna przylega mały pokój dla obserwatorów - zaczęła. - Jest w nim weneckie lustro, dzięki czemu mogliśmy razem z rodzicami Alicii bez przeszkód śledzić przebieg sesji. Szeryf Gentry przedstawił mnie jako swoją asystentkę.

- Można powiedzieć, że akurat w kontekście tego dochodzenia jest to zgodne z prawdą - wtrącił Gentry. - Gdyby nie fakt, że oficjalnych zastępców mogą mianować tylko po ogłoszeniu stanu zagrożenia w hrabstwie, zostałyby pani zastępcą szeryfa.

Natalie się uśmiechnęła.

- Rodzice Alicii nie mieli nic przeciw naszej obecności. Doktor Calhoun zahipnotyzował dziewczynkę za pomocą niewielkiego urządzenia nieco podobnego do metronomu...

- Tak, tak, domyślam się - wszedł jej w słowo Saul, z trudem powstrzymując nagle zniecierpliwienie. - Co powiedziała dziewczynka?

Wzrok Natalie rozmył się, gdy scena rozmowy stanęła jej przed oczami.

- Doktor kazał jej przypomnieć sobie ten dzień, sobotę... ze wszystkimi szczegółami. Wcześniej, przed hipnozą, Alicia miała twarz całkiem wypraną z emocji, obojętną, można by powiedzieć: bezwładną. Teraz nagle się ożywiła. Rozmawiała z Kathleen, swoją przyjaciółką... tą, która została zamordowana.

- Wiem, wiem - przytaknął Saul już bez ponaglającej nuty w głosie.

- Dziewczynki bawiły się w salonie domu pani Hodges. Siostra Kathleen,

Debra, była w tym czasie w drugim pokoju, oglądała telewizję. Nagle Kathleen wypuściła z rąk lalkę Barbie, którą się bawiła, i wybiegła na dwór. Popędziła przez podwórko i wbiegła do domu pani Fuller. Alicia wyszła na podwórko, krzyczała za nią... - Natalie się wzdrygnęła. - Potem znów zaniemówiła, a jej twarz straciła wyraz. Powiedziała, że nie wolno jej nic więcej powiedzieć.

- Cały czas była zahipnotyzowana? - upewnił się Saul.

- Tak, cały czas - odparł Gentry - ale nie umiała opowiedzieć, co się potem wydarzyło. Doktor Calhoun starał się jej pomóc na różne sposoby, ale ona tylko patrzyła w przestrzeń i powtarzała, że nie wolno jej więcej mówić.

- To wszystko? Tylko tyle?

- Niezupełnie - powiedziała Natalie. Wyjrzała na zmytą deszczem ulicę, zanim wróciła spojrzeniem do Saula. Jej usta, zwykle pełne i wyraziste, były z napięcia ściągnięte w wąską kreskę. - Doktor Calhoun powiedział wtedy tak: „Wchodzisz do domu po drugiej stronie podwórka. Powiedz nam, kim jesteś”. Alicia odpowiedziała bez wahania, ale dziwnym głosem, zmienionym, starym i łamiącym się: „Jestem Melanie Fuller”.

Saul wyprostował się w fotelu. Skóra go mrowiła, jakby czyjeś lodowate palce prześliznęły mu się po kręgosłupie.

- Wtedy doktor Calhoun zapytał, czy ta nowa postać, Melanie Fuller, może nam coś powiedzieć - mówiła dalej Natalie. - Buzia małej znowu się zmieniła, jakby zafalowała, i na skórze odcisnęły się zmarszczki, których jeszcze przed chwilą tam nie było... Odpowiedziała tym samym ohydny głosem staruchy: „Idę po ciebie, Nino”. Powtarzała to jedno zdanie w kółko, coraz głośniej, „Idę po ciebie, Nino”, aż zaczęła je wykrzykiwać.

- Mój Boże... - mruknął Saul.

- Doktor Calhoun był wstrząśnięty. Uspokoił dziewczynkę i wyprowadził ją z hipnozy, obiecując, że po wybudzeniu będzie rześka i szczęśliwa. Nie była... szczęśliwa, znaczy. Ocknąwszy się z transu, zaczęła płakać i pojękiwać, że ręka ją boli. Matka powiedziała, że to pierwszy raz, kiedy skarży się na ból złamanej ręki od tamtej nocy, kiedy wydarzyły się morderstwa.

- Co powiedzieli po sesji jej rodzice?

- Bardzo się denerwowali, matka chciała nawet wkroczyć do gabinetu, kiedy Alicia zaczęła krzyczeć, ale po wszystkim było widać, że im ulżyło. Ojciec powiedział doktorowi Calhounowi, że nawet płacz i skargi są zmianą na lepsze w porównaniu z utrzymującym się przez cały tydzień brakiem

kontakty i pustką w oczach.

- Co na to doktor Calhoun?

Gentry położył rękę na oparciu fotela Saula.

- Nazwał to „przeniesieniem wywołanym traumą” - odparł. - Zasugerował rodzicom wizytę z małą u praktykującego psychiatry, polecił nawet swojego znajomego z Savannah, który specjalizuje się w leczeniu dzieci. Potem długo dyskutowali o tym, czy ubezpieczenie Kaiserów pokryje takie koszty.

Saul pokiwał głową i na długą chwilę zapadła cisza. Tymczasem słońce przebiło się przez chmury i rozświetliło drzewa, trawę i skrzącą się od kropel wody zielen. Saul wdychał głęboko zapach świeżo skoszonej trawy i próbował nie zapomnieć, że jest grudzień. Miał wrażenie, że odrywa się od swojego miejsca w czasie i przestrzeni i gubi się w czasoprzestrzennych nurtach unoszących go coraz dalej i dalej od wszelkich znajomych brzegów.

- Proponuję, żebyśmy wybrali się na wczesną kolację - odezwał się zniecierpliwiony szeryf Gentry. - Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Pan, profesorze, jutro z samego rana wraca do Waszyngtonu, prawda?

- Owszem.

- Chodźmy więc. Hrabstwo stawia.

Zajechali do Starej Dzielnicy, na Broad Street, do ekskluzywnej restauracji specjalizującej się w owocach morza. Przed lokalem stała kolejka, ale na widok Gentry'ego kierownik od razu zaprowadził ich do bocznej salki, w której jak za sprawą czarów pojawił się wolny stolik. Sala była pełna, rozmawiali więc o błahostkach - pogodzie w Nowym Jorku, pogodzie w Charleston, fotografii, kryzysie irańskim, polityce hrabstwa Charleston, polityce Nowego Jorku oraz polityce Stanów Zjednoczonych; żadne z ich trójki nie było zachwycone wynikami niedawnych wyborów. Wypili kawę, wrócili do radiowozu po swetry i płaszcze, po czym poszli na spacer wzdłuż Battery.

Noc była pogodna i rześka. Resztki chmur się rozpierzchnęły i mimo łuny miejskich świateł zimowe konstelacje wyraźnie rysowały się na niebie. Na wschodzie, po przeciwnej stronie portu, świeciły latarnie Mount Pleasant. Mały stateczek z czerwonymi i zielonymi światłami pozycyjnymi płynął na zachód po wytyczonym bojami przybrzeżnym torze wodnym; właśnie minął cypel. Za plecami Saula, Natalie i Gentry'ego wysokie okna dwudziestu dostojnych rezydencji pałały żółto-pomarańczowym blaskiem.

Przystanęli na falochronie przy Battery. W dole, dziesięć stóp od nich,

chlupotała woda. Gentry rozejrzył się, upewnił się, że są sami, i zniżając głos, zwrócił się do Saula:

- Co teraz, profesorze?

- Doskonałe pytanie. Jakież sugestie?

- Czy twoje sobotnie spotkanie w Waszyngtonie ma coś wspólnego z... przedmiotem naszej dyskusji? - zainteresowała się Natalie.

- Być może. Prawdopodobnie tak. Będę wiedział po spotkaniu, przykro mi, że w tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej. To sprawa... rodzinna.

- Co z tym gościem, który mnie śledził? - spytał Gentry.

- No właśnie... FBI podało panu nazwisko?

- Nie. Samochód został skradziony w Rockville w stanie Maryland pięć miesięcy temu, ale denata nie ma w kartotekach: ani odcisków palców, ani karty dentystycznej, nic.

- Czy to nie jest niezwykle? - wtrąciła Natalie.

- Mało powiedziane: coś takiego w zasadzie się nie zdarza. - Gentry podniósł kamyk i cisnął go do wody. - W dzisiejszych czasach każdy zostawia jakieś ślady. Każdy.

- Może FBI się za słabo stara - podsunął Saul. - Nie taką ma pan teorię?

Gentry rzucił drugim kamykiem. Wzruszył ramionami. Był ubrany po cywilnemu, w brązowe spodnie i starą koszulę w kratę, ale zanim wyszli na spacer, narzucił obszerną służbową kurtkę i włożył na głowę wyjęty z bagażnika radiowozu poplamiony od potu kowbojski kapelusz. W tej chwili znów prezentował się jak stereotypowy szeryf z Południa.

- Wątpię, żeby FBI posłużyło się takim wygłodniałym żebrakiem zgarniętym z ulicy. A jeśli gość nie pracował dla nich, to dla kogo? I dlaczego wołał się zabić, niż dać się aresztować?

- To pasuje do sposobu, w jaki Oberst wykorzystuje ludzi - zauważył Saul. - Albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, ta cała Fuller.

Gentry cisnął kolejnym kamieniem i spod przymrużonych powiek spojrział na światła odległego o dwie mile Fortu Sumtera.

- Niby tak... - przytaknął. - Ale to nie ma sensu. Pański Oberst nie powinien się mną w ogóle interesować; kurczę, dopóki nie usłyszałem pańskiej historii, nie wiedziałem nawet o jego istnieniu. Jeżeli pani Fuller martwi się tym, że ktoś ją tropi, powinna raczej śledzić chłopaków z drogówki, wydziału zabójstw albo FBI. A ten facet miał w portfelu tylko jedną rzecz: moje zdjęcie.

- Ma pan je ze sobą?

Gentry skinął głową, wyjął fotografię z kieszeni kurtki i podał Saulowi. Psychiatra przeszedł z nią pod najbliższą latarnię.

- Ciekawe... - powiedział. - Zdjęcie zostało zrobione przed budynkiem władz hrabstwa, prawda?

- Naturalnie.

- Może pan określić, kiedy?

- Tak. Mam plaster na brodzie, widzi pan?

- Mhm.

- Gołę się brzytwą taty, dawniej należąca do jego taty. Rzadko zdarza mi się zaciąć, ale w niedzielę się zaciąłem, kiedy Lester... to jeden z moich zastępców... zadzwonił do mnie z samego rana. Prawie do wieczora paradowałem potem z plastrem.

- Niedziela - powtórzyła Natalie.

- Zgadza się, proszę pani.

- To znaczy, że człowiek, który zamierzał pana śledzić, zrobił to zdjęcie...

- Saul zawiesił głos. - To chyba format małoobrazkowy, prawda?

- Chyba tak.

- Ktoś w niedzielę cyknął panu fotkę, stojąc po drugiej stronie ulicy, a potem w czwartek gość z tym zdjęciem zaczął pana śledzić.

- Tak jest.

- Mogę zerknąć? - poprosiła Natalie. Starannie obejrzała fotografię, podniósłszy ją do światła. - Wygląda mi to na aparat z wbudowanym światłomierzem... Mocniej naświetliła się płaszczyzna drzwi niż pana twarz. Obiektyw dwieście milimetrów, na oko sądząc. Czyli spory. Odbitka zrobiona w prywatnej ciemni, raczej nie w fotolabie.

- Skąd pani to wszystko wie? - zdumiał się Gentry.

- Widzi pan, jak jest przycięty papier? Nieprecyzyjnie, w laboratorium zrobiliby to lepiej. Wydaje mi się też, że zdjęcie nie jest kadrowane, dlatego pomyślałam o teleobiektywie. No i odbitka została wykonana w pośpiechu. Prywatna ciemnia do obróbki kolorowych materiałów to dzisiaj żadna fanaberia, ale jeśli Oberst albo pani Fuller nie mieszkają u kogoś, kto dysponuje takim sprzętem, to sami na pewno by tego nie zrobili. Widział pan tu ostatnio kogoś, kto by miał lustrzankę z teleobiektywem, szeryfie?

Gentry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dickie Haines miał taki sprzęt: malutką konicę z wielgachną lufą od Bushnella.

Natalie oddała mu zdjęcie.

- Czy może ich być więcej, tych... stworów? - spytała Saula, marszcząc brwi.

Saul skrzyżował ręce na piersi i zagapił się na miasto.

- Nie wiem. Dłgie lata żyłem w przekonaniu, że jest tylko Oberst; potworny odmieniec, pomiot Trzeciej Rzeszy, o ile to możliwe. Do czasu, aż wyniki naszych badań zasugerowały, że umiejętność wpływania na zachowanie innych ludzi wcale nie jest aż taką rzadkością. Mając pewne pojęcie o historii, zastanawiam się, czy postaci tak od siebie różne jak Hitler, Rasputin czy Gandhi również miały tę zdolność. Może ów talent rozkłada się wśród ludzi w sposób ciągły, tworzy kontinuum, na którego skraju znajdują się Oberst, Fuller, Nina Drayton i Bóg wie, kto jeszcze...

- Czyli może ich być więcej?

- Tak.

- I z jakiegoś powodu zainteresowali się moją osobą - dodał Gentry.

- Tak.

- No to wracamy do punktu wyjścia.

- Niezupełnie. Zobaczę, czego dowiem się jutro w Waszyngtonie. Pan, szeryfie, niech trzyma rękę na pulsie w kwestii poszukiwania pani Fuller oraz przebiegu śledztwa po tej katastrofie lotniczej.

- A ja? - zaniepokoiła się Natalie.

Saul się zawahał.

- Nie wiem, czy nie byłoby najlepiej, gdybyś wróciła do St. Louis i...

- Jeśli mogę się tu na coś przydać, zostanę - uparła się dziewczyna. - Co mam robić?

- Mam pewien pomysł - przyznał szeryf. - Wróćmy do tej rozmowy jutro, odwożąc profesora na lotnisko.

- Dobrze. Zostanę przynajmniej do pierwszego.

- Zostawię wam swoje numery telefonów w Nowym Jorku, służbowy i domowy - zaproponował Saul. - Powinniśmy kontaktować się telefonicznie nie rzadziej niż co dwa dni. Poza tym, szeryfie, nawet jeśli nic nie wskóramy na własną rękę, zawsze pozostaje nam poszukiwanie ich poprzez środki masowego przekazu...

- Tak? W jaki sposób?

- Kiedy panna Preston metaforycznie nazwała ich wampirami, nie była wcale daleka od prawdy. Podobnie jak wampiry, oni także ulegają mrocznym żądzom, których nikt nie zauważa, dopóki są regularnie zaspokajane.

- Ma pan na myśli doniesienia o dalszych morderstwach? - domyślił się

Gentry.

- Otóż to.

- W tym kraju mamy więcej morderstw w ciągu jednego dnia niż w Anglii w ciągu roku.

- To prawda, jednakże Oberst i pozostali mają dość... odrażający gust. Wątpię, żeby byli w stanie do tego stopnia zmienić swoje nawyki, żeby całkowicie zamaskować tę swoją ohydę.

- W porządku. W najgorszym razie poczekamy, aż te... wampiry znów zaczną zabijać i wtedy je wytropimy. Co potem?

Saul wyjął chusteczkę z kieszeni spodni, zdjął okulary i mrużąc oczy, przetarł szkła. Światła portu jawiły mu się jako nieostre trójkąciki, noc rozlewała się szeroko i osaczała go ze wszystkich stron.

- Znajdziemy ich, pójdziemy ich tropem i schwytemy - odparł. - A potem zrobimy to, co powinno się zrobić ze wszystkimi wampirami. - Włożył okulary i posłał swoim towarzyszom wąły uśmiech. - Przebijemy im serca kołkiem. Tak, przebijemy im serca kołkiem, odetniemy głowy i wypchamy usta czosnkiem. A jeśli to nie wystarczy... - uśmiech Saula stał się zimniejszy - ...to pomyślimy o czymś skuteczniejszym.

13.

Charleston

24 grudnia 1980, środa

Była to najbardziej samotna Wigilia Bożego Narodzenia w życiu Eve Natalie Preston. Natalie postanowiła coś na to zaradzić. Zabrała torebkę i nikon z obiektywem portretowym o ogniskowej 135 milimetrów, wyszła z domu i wolniutko pojechała samochodem do Starej Dzielnicy. Nie było nawet czwartej po południu, ale pomału zapadał już zmierzch.

Mijając stare domy i eleganckie sklepy, słuchała świątecznej muzyki w radiu i błądziła myślami coraz dalej i dalej.

Brakowało jej ojca. Mimo że przez ostatnie lata coraz rzadziej się widywali, na myśl o tym, że nie ma go w pobliżu - że nigdzie już go nie ma, że o niej nie myśli, nie czeka na nią - miała wrażenie, że coś się w niej zapada w środku, a ziejąca pustka próbuje zassać ją w głąb i pochłonąć całą. Chciało jej się płakać.

Nie zapłakała, kiedy dowiedziała się przez telefon o jego śmierci. Nie płakała, kiedy Fred odwoził ją na lotnisko w St. Louis; uparł się, że z nią poleci, ona się uparła, że poleci sama, w końcu dał jej się przekonać. Nie płakała ani na pogrzebie, ani przez następne dni spędzone w ogromnym zamieszaniu wśród przyjaciół i krewnych. Dopiero kiedy pięć dni po śmierci ojca (cztery dni po tym, jak wróciła do Charleston) nie mogła w nocy zasnąć i zaczęła szukać czegoś do czytania, natrafiła na nowe kieszonkowe wydanie humoresek Jeana Shepherd'a i tam, na marginesie, znalazła skreśloną zamasztytymi zawijasami ojca adnotację: „Pokazać Nat przy okazji świąt”. Przeczytała opowiadanie o nieprawdopodobnie zabawnym i zarazem przerażającym spotkaniu małego chłopca z supermarketowym Świętym Mikołajem, do złudzenia przypominającą jej własną historię, kiedy miała cztery latka i rodzice zabrali ją do centrum, po czym przez godzinę czekali w kolejce do Mikołaja - tylko po to, żeby przerażona Natalie w kluczowym momencie dała drapak. Teraz uśmieła się serdecznie z tej historyjki i śmiała się tak długo, aż śmiech przeszedł w płacz, a płacz w rozpaczliwe szlochanie. Przeplakała całą noc, zdrzemnęła się dopiero na godzinę, może dwie przed świtem. Wstała wraz z zimowym brzaskiem, wyczerpana i wewnętrznie pusta, ale w lepszym humorze, trochę jak ofiara mdłości, która po pierwszych spazmach odczuwa lekką poprawę. Najgorsze miała za sobą.

Skręciła w lewo i przejechała obok kapiących od stiuków domów przy Rainbow Row. Gazowe latarnie dopiero się zapalały, kolory fasad były mocno przyćmione. Natalie pogrzyżyła się w zadumie.

Nie powinna była zostawać w Charleston. Pani Culver, sąsiadka z mieszkania obok, zaglądała do niej niemal co godzina, ale rozmowy z podstarzałą wdową były wysilone i przykre. Natalie zaczynała nawet podejrzewać, że pani Culver liczyła na zostanie drugą panią Preston. Na tę myśl Natalie miała ochotę zaszyć się w sypialni i udąć, że nie ma jej w domu, gdy tylko rozległo się znajome nieśmiałe pukanie do drzwi.

Frederick co wieczór punkt ósma dzwonił z St. Louis. Oczami wyobraźni Natalie widziała surowy wyraz sńiadej twarzy swojego przyjaciela i dawnego kochanka, kiedy mówił:

- Wracaj, mała. Nie ma sensu kręcić się wokół domu ojca, nic tam nie działośasz, a ja za tobą tęsknię. Wracaj do Fredericka.

Tyle że małe mieszkanko w miasteczku uniwersyteckim przestało być dla niej „domem”, a Frederick w swoim zagraconym pokoju przy Alamo Street tylko sypiał w przerwach między czternastogodzinnymi dyżurami w centrum informatycznym, gdzie zmagał się z matematyką dystrybucji masy w skupiskach galaktyk. Frederick - bystry, choć słabo wykształcony chłopak, którego poznała przez wspólnych znajomych - odsłużył dwie tury w Wietnamie i wrócił stamtąd przepełniony zajadłym postanowieniem obrony ludzkiej godności i rewolucyjną żarliwością, które przekuł w niepospolity sukces naukowy na niwie matematyki; takiego właśnie Fredericka Natalie znała i - przynajmniej przez większość ubiegłego roku - kochała. Tak jej się w każdym razie wydawało.

- Wracaj, laluniu - słyszała teraz co wieczór.

- Jeszcze kilka dni - odpowiadała, samotna i obolała od niezagojonych ran po stracie ojca. - Jeszcze tylko kilka dni.

Kilka dni... na co? zapytywała się w duchu. Światła w wielkich, starych domach przy South Battery wyławiały z mroku piętrzące się tarasowato werandy, palmy, kopyły i balustrady. Zawsze uwielbiała tę okolicę. Kiedy była mała, przychodzili tu z ojcem na spacer, ale dopiero w wieku dwunastu lat uświadomiła sobie, że przy Battery nie ma żadnych czarnych; że we wszystkich tych pięknych domach mieszkają wyłącznie biali ludzie. W późniejszych latach nie mogła się nadziwić, że Murzynka dorastająca na Południu w latach sześćdziesiątych tak późno doznała takiego olśnienia. Tak wiele rzeczy przyjmowała zupełnie naturalnie, tak wielu starym

przyzwyczajeniom musiała się codziennie opierać, że nie mieściło jej się w głowie, jak mogła nie zauważyć, że wieczorne aleje spacerowe i ogromne domy, o których w dzieciństwie marzyła, były dla niej tak samo nieosiągalne jak niektóre baseny, kina i kościoły, do których przez myśl by jej nie przeszło zajrzeć. Zanim dorosła na tyle, żeby samotnie spacerować po Charleston, bezcenne tablice zostały usunięte, publiczne wodotryski z wodą pitną stały się naprawdę publiczne... ale dawne nawyki przetrwały, granice wytyczone dwustuletnią tradycją nie zniknęły, a ona z niedowierzaniem wspominała tamten dzień - pewien chłodny i wilgotny listopadowy dzień w 1972 roku - w którym stała niedaleko stąd, przy South Battery i gapiała się na te ogromne domy, wstrząśnięta objawieniem, że nikt z jej rodziny nigdy tu nie mieszkał. I że nikt nigdy tu mieszkał nie będzie. Tyle że ta druga myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Natalie odziedziczyła oczy matki i dumę ojca. Joseph Preston został pierwszym czarnoskórym właścicielem sklepu i zakładu w prestiżowej przybrzeżnej dzielnicy, a ona była jego córką.

Przejechała Dock Street obok odnowionego teatru, gdzie ozdobna siateczka z kutego żelaza oplatała balkon na piętrze niczym niesforny metalowy bluszcz.

Dziesięć dni temu wróciła do domu i już miała wrażenie, że wszystko, co było wcześniej, wydarzyło się w jakimś innym życiu. Gentry powinien być już po służbie; jeszcze tylko złoży życzenia wesołych świąt i dobrej nocy swoim zastępcom, sekretarkom i innym białym zaludniającym gmaszysko władz hrabstwa, a potem do niej zadzwoni.

Zaparkowała nieopodal kościoła episkopalnego św. Michała i pomyślała o Gentrym. O Robercie Josephie Gentrym.

Po tym, jak w piątek odwieźli Saula Laskiego na lotnisko, większość dnia spędzili razem. Podobnie jak większość następnego. Rozmawiali głównie o historii, którą opowiedział im Saul, i o samej idei ludzi, którzy siłą woli potrafią zmuszać innych do posłuszeństwa.

- Jeżeli nawet profesorkowi brakuje piątej klepki, to i tak raczej nikomu nie zaszkodzi - zauważył Gentry. - A jeśli nie, to doskonale tłumaczy, dlaczego zginęło tylu ludzi.

Przyznała mu się, że wyrzała z pokoju, kiedy wyczerpany nowojorski psychiatra wracał z łazienki na swój półkotapczan w jej pokoju dziennym. Miał na sobie tylko spodnie i coś, co w myślach nazywała „podkoszulką starego człowieka”. Był boso. Spojrzała na jego prawą stopę: brakowało w niej małego palca, biała tkanka bliznowata odcinała się wyraźnie od śniadej

skóry.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - przypomniał jej Gentry.

W niedzielę rozmowa zesłała na inne tematy. Gentry zaprosił ją do siebie na kolację. Bardzo spodobał jej się dom, w którym mieszkał - starzejąca się wiktoriańska budowla w odległości zaledwie dziesięciu minut piechotą od Starej Dzielnicy. Okolica znajdowała się w stadium przejściowym: jedne domy z wolna popadały w ruinę, inne, pieczołowicie restaurowane, odzyskiwały dawną urodę. W najbliższym sąsiedztwie Gentry'ego mieszkali głównie młodzi ludzie: trójkołowe rowery przed domami, porzucone na trawniczkach skakanki, śmiechy dobiegające z podwórek na tyłach.

W trzech pokojach na parterze dominowały książki - w pięknie zabudowanej bibliotece-gabinecie, na ręcznie robionych drewnianych półkach po obu stronach wykuszowego okna w jadalni i na tanich metalowych regałach pod odsłoniętymi, ceglanyścianami kuchni. Gentry zajął się przygotowaniem sałatki, a Natalie (z jego błogosławieństwem) spacerowała z pokoju do pokoju, podziwiała oprawne w skórę wiekowe tomy, oglądała półki pełne książek w twardych oprawach poświęconych historii, socjologii, psychologii i dziesiątkom innym zagadnień, uśmiechała się na widok długich rzędów powieści szpiegowskich, kryminałów i thrillerów. W gabinecie miała ochotę zaszyć się z książką i nigdzie nie wychodzić. W myślach porównywała zawalony papierami masywny sekretarzyk, wyściełany fotel i sofę w skórzanym obiciu i uginające się pod ciężarem książek półki ze swoją spartańską pracownią w St. Louis. Gabinet szeryfa Gentry'ego roztaczał atmosferę miejsca zamieszkanego, w którym dużo się dzieje. Tak jak ciemnia fotograficzna jej ojca.

Gentry wymieszał sałatkę, wstawił lazanie i usiedli razem w gabinecie, sącząc doskonałą szkocką i rozmawiając o Saulu Laskim, jego wiarygodności i własnych reakcjach na jego opowieść.

- Zalatuje to wszystko klasyczną paranoją - przyznał Gentry. - Z drugiej jednak strony, gdyby jakiś europejski Żyd z dziesięcioletnim wyprzedzeniem szczegółowo przewidział holokaust, to każdy przyzwoity psychiatra, także żydowski, zdiagnozowałby u niego schizofrenię paranoidalną.

Jedząc nieśpieszną kolację, patrzyli, jak za oknem dogasają resztki dziennego światła. Gentry pobuszował chwilę w dobrze zaopatrzonej piwnicy (prawie się przy tym zarumienił, gdy Natalie zasugerowała, że ma piwniczkę na wino z prawdziwego zdarzenia) i przyniósł na górę dwie butelki znakomitego BV Cabernet Sauvignon. Natalie nie szczędziła pochwał jego

kucharskiemu kunsztowi, na co odparł, że kobiety, które umieją gotować, ceni się po prostu jako dobre kucharki, ale stary kawaler, który jako tako radzi sobie w kuchni, jest od razu uważany za potencjalnego szefa kuchni. Roześmiała się i obiecała skreślić ten konkretny stereotyp ze swojej listy.

Stereotypy. Siedząc w Wigilię w zaparkowanym pod kościołem szybko wychładzającym się samochodzie, Natalie rozmyślała o stereotypach.

Saul Laski wydawał się idealnym przykładem stereotypu: polski Żyd z Nowego Jorku, z przepisową brodą i smutnymi semickimi oczami, które jakby spoglądały z głębin europejskich mroków, jakich Natalie nie umiała sobie nawet wyobrazić, a co dopiero zrozumieć. Profesor... psychiatra... z delikatnym obcym akcentem, który dla niewyszkolonego ucha Natalie niczym nie różnił się od wiedeńskiego akcentu Freuda. Nosił okulary sklezione taśmą klejącą, na litość boską, jak ciotka Ellen, która przez jedenaście lat (większość ówczesnego życia Natalie) cierpiała na demencję starczą (dziś nazywają to Alzheimerem), zanim w końcu zmarła.

Saul Laski wyglądał inaczej, brzmiał inaczej, zachowywał się inaczej... po prostu był inny niż większość ludzi - czarnych czy białych, wszystko jedno - których w życiu poznała. Mimo że jej stereotypowy obraz Żyda był raczej zgrubny (ciemne ubranie, dziwne obyczaje, charakterystyczny wygląd, bliskość pieniędzy i władzy kontrastująca z utrudnionym dostępem do nich wśród jej pobratymców), nie powinna mieć większego problemu z wtłoczeniem Saula w ramki tego właśnie stereotypu.

A jednak nic z tego nie wyszło. Nie próbowała się zwodzić szlachetnym złudzeniem, że jest zbyt inteligentna, żeby redukować ludzi do stereotypów. Mogła mieć zaledwie dwadzieścia jeden lat, widziała już jednak, jak osoby pokroju jej ojca czy Fredericka, a więc ludzie naprawdę inteligentni, po prostu zamieniają jeden stereotyp na inny, wygodniejszy w danej chwili, lepiej dopasowany do sytuacji. Jej ojciec - człowiek skądinąd rozsądny i wielkoduszny, a także dumny ze swojej rasy i dziedzictwa - postrzegał postulaty tak zwanego Nowego Południa jako niebezpieczny eksperyment, manipulację radykałów z obu stron barykady zmierzającą do kolejnej zmiany systemu, który już wcześniej, bez ich udziału, sam zmienił się na tyle, że ludziom o czarnej skórze umożliwił odniesienie sukcesu i odzyskanie godności.

Dla Fredericka ludzie mogli być wyłącznie marionetkami systemu, kierownikami systemu albo ofiarami systemu. Na „system” składała się według niego struktura polityczna, która doprowadziła do wojny

wietnamskiej, struktura władzy, która ją podtrzymywała, oraz struktura społeczna, która popchnęła go wprost w tę czekającą, rozwartą paszczę. Frederick zareagował na to dwojako: najpierw usunął się w głąb niezależnego i niewidocznego środowiska, jakim była matematyka teoretyczna, a następnie stał się w swojej dziedzinie tak dobry, że do końca życia mógł się w niej kryć i unikać kontaktu z systemem. Większość czasu spędzał w towarzystwie komputerów, unikał skomplikowanych relacji międzyludzkich, kochał się z Natalie z taką samą wprawą i zajadłością, z jaką stawiał opór każdemu, kto choćby zasugerował, że go obraża, i uczył Natalie strzelać z trzydziestki ósemki, którą trzymał w swoim zagraconym mieszkaniu.

Wzdrygnęła się i uruchomiła silnik, żeby włączyć ogrzewanie. Ruszyła, przejechała obok kościoła św. Michała, gdzie ludzie gromadzili się na wigilijne nabożeństwo, i skręciła w Broad Street. Przypomniały jej się poranne nabożeństwa bożonarodzeniowe, na które przez całe lata chodzili z ojcem do kościoła baptystów, trzy przecznice od domu. W te święta postanowiła nie towarzyszyć ojcu; to by już była nadmierna hipokryzja z jej strony. Wiedziała, że tą odmową sprawi mu przykrość, rozzłości go, ale była gotowa obstawać przy swoim.

Pustka w jej wnętrzu rozrosła się nagle, gwałtownym szarpnięciem, które sprawiło jej fizyczny ból. W tej chwili oddałaby wszystko, żeby tylko przegrać ten spór i jutro pójść z ojcem do kościoła.

Jej matka zginęła w wypadku latem tego roku, kiedy Natalie skończyła dziewięć lat. To był dziwny wypadek - tak przynajmniej powiedział jej wtedy wieczorem ojciec, klęcząc obok kanapy i obiema rękami ściskając jej dłonie. Mama wracała piechotą z pracy do domu. Szła przez mały park, sto stóp od ulicy, kiedy jadąca kabrioletem piątka pijanych chłopaków z college'u ni z tego, ni z owego dla żartu zjechała na trawnik. Zakręcili ostro przy fontannie, samochód wpadł w poślizg na miękkim gruncie i uderzył trzydziestodwuletnią kobietę, która, wracając do domu, planowała piątkowy piknik z mężem i córką; świadkowie twierdzili, że do ostatniej chwili w ogóle nie widziała samochodu, a kiedy w końcu podniosła wzrok, na jej twarzy nie malowały się szok ani zgroza, lecz wyłącznie zaskoczenie.

W czwartej klasie w pierwszym dniu szkoły nauczycielka kazała dzieciom napisać wypracowanie na temat tego, co wydarzyło się w czasie wakacji. Natalie przez dziesięć minut wpatrywała się w pociętą niebieskimi liniami kartkę papieru, zanim - bardzo starannie, kaligrafując literki nowiutkim piórem, kupionym dzień wcześniej w Keener's Drugs - napisała:

„Latem byłam na pogrzebie mamy. Moja mama była bardzo dobra i miła. Bardzo mnie kochała. Była za młoda, żeby umierać tego lata. Ludzie, którzy nie powinni jeździć samochodem, przejechali ją i zabili. I nie poszli wcale do więzienia ani nic. Po pogrzebie mamy pojechaliśmy na trzy dni do cioci Leah. Potem wróciliśmy. Bardzo tęsknię za mamą”.

Skończywszy pisać, zapytała, czy może wyjść do łazienki. Szybkim krokiem przemierzyła znajomo-obce korytarze, po czym cicho i wielokrotnie zwymiotowała w trzeciej kabinie dziewczęcej toalety.

Stereotypy. Skręciła z Broad Street w kierunku domu Melanie Fuller. Codziennie, przejeżdżając obok niego, czuła znajomy ból i gniew; miała świadomość, że kieruje nią ten sam impuls, który każe nam badać językiem obolały ząb, ale nie mogła się powstrzymać - musiała tam podjechać. Codziennie patrzyła na ten dom (całkowicie zaciemniony, podobnie jak stojący po sąsiedzku dom, z którego wyprowadziła się pani Hodges) i wspominała wtorek w poprzednim tygodniu, kiedy weszła do środka w ślad za brodatym mężczyzną.

Saul Laski. Powinien być łatwy do zaszufadkowania, ale nie był. Przypomniała sobie jego smutne oczy i ściszony głos; zastanawiała się, gdzie jest w tej chwili. Co się mogło stać? Umówili się, że będą się kontaktować telefonicznie co drugi dzień, ale odkąd w piątek odwieźli go z Gentrym na lotnisko, nie odezwał się ani do niej, ani do szeryfa. Wczoraj - we wtorek - Gentry próbował dzwonić na oba podane przez Saula numery - domowy i służbowy: w domu nikt nie podnosił słuchawki, a na wydziale psychologii Columbia University sekretarka poinformowała go, że doktor Laski do szóstego stycznia jest na urlopie. Nie, nie kontaktował się z biurem, odkąd szesnastego grudnia wyjechał do Charleston, ale po szóstym na pewno będzie dostępny, bo wtedy zaczynają mu się zajęcia.

Kiedy w niedzielę siedzieli z Gentrym u niego w gabinecie, Natalie pokazała mu informację z wychodzącej w Waszyngtonie gazety o wybuchu w biurze pewnego senatora, który nastąpił poprzedniej nocy. Zginęły cztery osoby. Czy ta sprawa mogła mieć coś wspólnego z tajemniczym spotkaniem, które Saul planował na sobotę?

Gentry z uśmiechem przypomniał jej, że w tej samej eksplozji zginął strażnik; że zarówno waszyngtońska policja, jak i FBI zgodnie utrzymywały, że był to odosobniony incydent terrorystyczny; że żadna z czterech potwierdzonych ofiar śmiertelnych nie została zidentyfikowana jako Saul Laski; oraz że na świecie nadal zdarzają się akty bezsensownej przemocy,

które nie mają nic wspólnego z opisywanym przez Saula koszmarem.

Natalie uśmiechnęła się wtedy, pokiwała głową i napiła się szkockiej.

Od tamtej pory minęły trzy dni, a oni nadal nie mieli żadnych wiadomości od Saula.

W poniedziałek rano Gentry zadzwonił do niej z biura.

- Nie zechciałaby nam pani pomóc w oficjalnym śledztwie w sprawie zabójstw w Mansard House? - zaproponował.

- Bardzo chętnie - zgodziła się Natalie. - Co miałabym zrobić?

- Szukamy zdjęcia pani Melanie Fuller. Zarówno nasze chłopaki z wydziału zabójstw, jak i goście z FBI zgodnie twierdzą, że nie istnieją żadne jej fotografie. Nie udało nam się dotrzeć do żadnych jej krewnych, sąsiedzi twierdzą, że nie mają jej zdjęć, rewizja w domu też niczego nie przyniosła. Rozesłali okólnik, że jest poszukiwana, ale tylko z rysopisem, bez portretu. Ja osobiście uważam, że zdjęcie bardzo by się nam przydało, a pani?

- Jak mogę pomóc?

- Spotkajmy się za piętnaście minut przed domem pani Fuller - zaproponował Gentry. - Rozpozna mnie pani po róży w butonierce.

Przyjechał na miejsce z różą wetkniętą w dziurkę guzika mundurowej koszuli. Wyjął różę i z galanterią wręczył ją Natalie, gdy stanęli przed zamkniętą na klucz furtką prowadzącą na podwórko przed domem.

- Czym sobie zasłużyłam? - zdziwiła się Natalie, wachając jasnoróżowy kwiat.

- Niewykluczone, że będzie to jedyna zapłata za długie, frustrujące i najprawdopodobniej bezowocne poszukiwania.

Gentry wyjął z kieszeni okazały pęk kluczy, wybrał z nich jeden szczególnie duży i staroświecki i otworzył furtkę.

- Zamierza pan drugi raz przeszukać dom? - zdziwiła się Natalie.

Doskonale pamiętała, jak pięć dni wcześniej przysła do tego domu tropem Saula, i teraz czuła silny opór przed powrotem. Mimo że dzień był ciepły, przeszedł ją zimny dreszcz.

- Nie.

Gentry poprowadził ją przez nieduże podwórko do drugiego ze starych ceglanych domów. Wyszukał inny klucz i otworzył rzeźbione drewniane drzwi.

- Po tym, jak zamordowano jej męża i wnuczkę, Ruth Hodges wyprowadziła się do córki, która mieszka na osiedlu Sherwood Forest, na

zachodnim skraju miasta. Mam od niej pozwolenie, żeby się tu rozejrzeć.

W środku było ciemno, pachniało olejowanym drewnem i starymi sprzętami, ale wewnątrz nie pachniało pleśnią i opuszczeniem jak dom pani Fuller. Weszli na piętro, do małego pokoju, gdzie Gentry włączył stojącą na biurku lampkę. Oprócz biurka znajdowały się tam jeszcze kanapa i - zawieszane na ścianach - oprawione w ramy duże zdjęcia koni wyścigowych.

- Pokój George'a Hodgesa - wyjaśnił szeryf. Ostrożnie otworzył klaser ze znaczkami i wziął do ręki lupę. - Biedaczysko, muchy w życiu nie skrzywdził. Trzydzieści lat przepracował na poczcie, potem dziewięć jako stróż nocny w marinie. I jak skończył... - Pokręcił głową. - Mniejsza z tym. Pani Hodges twierdzi, że George miał aparat i jeszcze trzy lata temu regularnie bawił się w fotografię. Jest pewna, że pani Fuller nigdy nie dała mu się sportretować, ponoć w ogóle kategorycznie odmawiała występowania na zdjęciach, ale George robił naprawdę dużo slajdów i nie jest wykluczone, że gdzieś tam wśród nich trafi się jakaś fotka pani Fuller...

- Czyli mam jej szukać na slajdach pana Hodgesa - podsumowała Natalie.
- Nie ma problemu. Tylko że ja nie wiem, jak ona wygląda.

- Wiem o tym. Dlatego zostawię pani jej rysopis, a pani niech wyciąga wszystkie zdjęcia kobiet w okolicy siedemdziesiątki. - Gentry zawiesił głos. - Może pani ojciec miał jakąś podświetlarkę do slajdów?

- Tak, w pracowni jest duży podświetlany stół, ma chyba z pięć stóp długości. A nie wystarczyłby rzutnik?

- Z tym stołem będzie chyba szybciej - odparł Gentry i otworzył szafę przy ścianie.

- O mój Boże... - jęknęła Natalie.

Obszerna szafa była cała wyłożona ręcznie zrobionymi półkami. Na półkach z lewej strony stały klasery podpisane ZNACZKI, ale półki po prawej i w głębi był zastawione podłużnymi otwartymi pudełkami zawierającymi produkowane przez kodaka żółte magazynki.

Natalie pokręciła z niedowierzaniem głową i spojrzała na Gentry'ego.

- Są ich tysiące - powiedziała. - Może nawet dziesiątki tysięcy.

Gentry rozłożył ręce i posłał jej swój najszerszy, najbardziej chłopięcy uśmiech.

- Uprzedzałem, że to robota dla ochotników. Zleciłbym ją swojemu zastępcy, ale jedynym wolnym w tej chwili zastępcą jest Lester, a on jest trochę... ograniczony. Miły gość, ale bystry jak woda w klozecie. Zresztą obawiam się, że nie byłby w stanie tak długo się skupić.

- Taaak... Piękna rekomendacja dla charlestońskich stróżów prawa.

Gentry tylko się uśmiechnął.

- Raz kozie śmierć - powiedziała Natalie. - I tak nie mam lepszego zajęcia, a pracownia jest wolna dopóki Lorne Jessup, adwokat ojca, nie sprzeda jej ludziom z Shutterbug Shops albo nie opchnie komuś innemu całego budynku. Bierzmy się do roboty.

- Pomogę je pani przenieść do wozu - zaproponował Gentry.

- Wielkie dzięki - odparła Natalie. Powąchała różę i westchnęła cicho.

Slajdów były tysiące, a każdy z nich był co najwyżej amatorskiej jakości. Natalie zdawała sobie sprawę, jak trudno o dobrą fotografię (musiało upłynąć wiele lat, zanim ojciec był zadowolony z wyników jej starań po tym, jak na dziewiąte urodziny dostała swój pierwszy aparat - tanią manualną yashicę), ale na litość boską, jeśli ktoś przez dwadzieścia albo trzydzieści lat natrzaskał tysiące zdjęć, to chyba powinien zrobić jedno czy dwa warte grzechu.

George'owi Hodgesowi się to nie udało. Były w tej kolekcji zdjęcia rodzinne, zdjęcia wakacyjne, wakacyjne zdjęcia rodzinne, zdjęcia łodzi, zdjęcia domów mieszkalnych, zdjęcia łodzi mieszkalnych, zdjęcia z ważnych wydarzeń, zdjęcia ze świąt (obejrzała wszystkie choinki stojące w domu Hodgesów od roku 1948 do 1977) oraz zdjęcia z życia codziennego, ale żadne z nich nie wyrastało ponad nadzwyczaj mizerną przeciętną. W ciągu osiemnastu lat fotografowania George Hodges nie nauczył się, że nie należy robić zdjęć pod światło; kazać modelom patrzeć w słońce i mrużyć oczu; stawiać modeli przed drzewami, słupami i innymi obiektami, które potem wyrastają im z uszu i skutecznie unicestwiają zamierzony efekt estetyczny fryzur; przekrzywiać aparatu, a wraz z nim linii horyzontu; ustawiać modeli w sztywnych, nienaturalnych pozach; fotografować obiektów nieożywionych z odległości wielu mil; ufać lampie błyskowej przy zdjęciach obiektów położonych bardzo blisko lub bardzo daleko do obiektywu; umieszczać na portrecie całej postaci modela.

Ale to właśnie ten ostatni amatorski nawyk umożliwił Natalie znalezienie Melanie Fuller.

Minęła siódma wieczorem. Gentry zajrzał do atelier; przyniósł chińskie żarcie na wynos, które zjedli, stojąc nad podświetlarką, na której Natalie pokazała mu nieliczne grono potencjalnych kandydatek.

- Wątpię, żeby to była któraś z nich - przyznała. - Wszystkie pozują z własnej woli, większość wydaje się na dodatek za młoda lub za stara. Tyle

dobrego, że pan Hodges segregował pudełka chronologicznie.

- To prawda. - Gentry pośpiesznie przejrzał slajdy. - Żadna też nie odpowiada rysopisowi. I włosy się nie zgadzają. Pani Hodges mówi, że pani Fuller nie zmieniała fryzury co najmniej od końca lat sześćdziesiątych: krótkie, kręcony włosy z niebieską płukanką. Smętny fryz, pewnie podobnie jak pani samopoczucie w tej chwili.

- Dzięki - odparła Natalie, ale się uśmiechnęła. Odstawiła kartonik z wieprzowiną słodko-kwaśną. Zdjęła gumkę z następnego pudełka slajdów i zaczęła je po kolei wykladać na stół. - Najtrudniejszy moment, to nie zmieść ich wszystkich na podłogę po przejrzeniu. Myśli pan, że pani Hodges je kiedyś obejrzy?

- Pewnie nie. Podobno jednym z powodów, dla których pan Hodges w końcu zarzucił swoje hobby, było to, że nigdy nie chciała oglądać jego slajdów.

- Ciekawe czemu... - mruknęła Natalie.

Położyła na podświetlarce trzechsetny zestaw zdjęć przedstawiających syna Lawrence'a i synową Nadine (większość slajdów była opisana) stojących na podwórku, mrużących oczy przed oślepiającym słońcem i trzymających na rękach malutkiego Aurela (również mrużącego oczy); wczepiona w przykrótką matczyną spódniczkę trzyletnia Kathleen też mrużyła oczy. Lawrence miał białe skarpetki i czarne buty.

- Chwileczkę... - powiedziała Natalie.

Zaintrygowany jej nagłym ożywieniem Gentry odłożył oglądane slajdy i nachylił się nad stołem.

- Tak?

Natalie dźgnęła palcem dziesiąty slajd w serii.

- Tutaj. Widzi pan? Ta dwójka. Ten wysoki, łysy mężczyzna, czy to nie jest czasem... Jak on się nazywał?

- Pan Thorne. Znany również jako Oscar Felix Haupt. Tak, tak, tak. A ta dama w workowatej sukience, z krótkimi niebieskawymi włosami... Witam, pani Fuller.

Oboje pochylili się nad przeglądarką i zaczęli przyglądać się zdjęciu przez lupę.

- Nie zauważyła, że pan Hodges robi zdjęcie - orzekła półgłosem Natalie.

- Mhm. Ciekawe czemu.

- Sądząc po liczbie zdjęć w tym rodzinnym cyklu, musieli pozować panu Hodgesowi przez jakieś dwieście dni w roku. Pani Fuller doszła pewnie do

wniosku, że to rzeźby, stały element dekoracyjny podwórka.

- To możliwe - przytaknął z szerokim uśmiechem Gentry. - Wyjdzie z tego sensowna odbitka? Taka, żeby wykadrować tylko ją?

- Powinno się udać - odparła Natalie zupełnie innym tonem. - Jeśli się nie mylę, to jest kodachrome do światła dziennego, czułość sześćdziesiąt cztery; dobrze znosi powiększanie, ma bardzo drobne ziarno. Dobrze by było użyć internegatywu. Przytnie się tu, tu i tutaj i będzie elegancki półprofil.

- Doskonale! Wykonała pani kawał dobrej roboty. Teraz musimy tylko... Ejże, co się stało?

Natalie spojrzała na szeryfa i mocniej objęła się rękoma, żeby powstrzymać drżenie. Dreszcze nie chciały ustąpić.

- Nie wygląda na siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat - odparła.

Gentry spojrzał na zdjęcie.

- To jest, niech no spojrzę... sprzed pięciu lat. Ma pani rację, wygląda na jakieś... sześć dych, nie więcej. A w miejskim archiwum są dokumenty potwierdzające, że dom należał do niej już w latach dwudziestych. Ale chyba nie to panią tak ruszyło, prawda?

- Tak. Widziałam mnóstwo zdjęć małej Kathleen i ciągle zapominam, że ona nie żyje. Jej dziadek, który zrobił te wszystkie zdjęcia, również.

Gentry pokiwał głową, spoglądając na wpatrzoną w leżący na stole slajd Natalie. Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć jej ramienia, ale zawahał się i powstrzymał ten gest. Natalie niczego nie zauważyła. Pochyliła się jeszcze niżej nad podświetlarką.

- A to jest potwór, który najprawdopodobniej ich zabił - dodała. - Ta nieszkodliwa starsza pani. Nieszkodliwa jak wielka czarna wdowa, która zabija wszystko, co zabłąka się do jej kryjówki. A kiedy to ona wychodzi na świat, umierają ludzie. Wśród nich mój ojciec. - Wyłączyła podświetlarkę i podała slajd Gentry'emu. - Proszę. Rano przejrzę resztę, może jeszcze coś się trafi. A tymczasem proszę dać to do powiększenia i załączyć do listów gończych, okólników, biuletynów czy jak tam nazywacie te cholerstwa.

Gentry pokiwał głową i ujął slajd ostrożnie w dwa palce, trzymając go na wyciągnięcie ręki niczym jadowitego pająka, żywego i śmiertelnie niebezpiecznego.

Natalie zatrzymała się naprzeciwko domu pani Fuller, zerknęła na budynek, żeby zadośćuczynić rytuałowi, i wrzuciła bieg, gotowa odjechać i zadzwonić do Gentry'ego z propozycją wspólnej kolacji, gdy wtem zamarła

bez ruchu. Wrzuciła jałowy bieg, zgasiła silnik. Drżącymi rękami podniosła nikoną do oka i spojrzała w celownik, oparłszy długi obiektyw o skraj uchylonego okna, żeby zminimalizować drżenie obrazu.

W domu pani Fuller paliło się światło. Na piętrze, nie w oknie od ulicy, ale dostatecznie blisko, żeby światło przesączało się na korytarz i dalej przez żaluzje na zewnątrz. Przez ostatnie trzy dni z rzędu Natalie przejeżdżała pod domem po zmierzchu. Wtedy światła nie było.

Opuściła aparat i odetchnęła głęboko. Serce waliło jej jak oszalałe. Na pewno istniało jakieś racjonalne wytłumaczenie, przecież to niemożliwe, żeby starsza pani po prostu wróciła do domu i zabrała się za porządki, gdy jest poszukiwana przez FBI i policję w dziesięciu okolicznych stanach.

A niby dlaczego nie?

Nie, pomyślała Natalie. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie. Może Gentry był tu dzisiaj i zostawił włączone światło? Albo ktoś z ekipy dochodzeniowej. Albo ludzie z urzędu miasta; szeryf wspominał o tym, że zamierzali przenieść rzeczy starszej pani w bezpieczne miejsce do czasu zakończenia śledztwa. Mogły być setki racjonalnych powodów.

Światło zgasło.

Natalie podskoczyła, jakby ktoś musnął ją po karku. Nieporadnie podniosła aparat, prawie go przy tym wypuściła z rąk, ale w końcu wycelowała obiektyw. Okno na piętrze wypełniło kadr. Światło w szczelinach żaluzji naprawdę zgasło.

Ostrożnie odłożyła nikoną na fotel pasażera i poprawiła się na siedzeniu. Zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów, wyjęła ze schowka torebkę i położyła ją na kolanach. Nie odrywając wzroku od zaciemnionego już budynku, namacała lłamę kaliber .32, wyjęła ją i odłożyła torebkę z powrotem. Siedziała nieruchomo, z lufą broni opartą o dolną część koła kierownicy. Nacisk jej dłoni zwolnił bezpiecznik w kolbie. Było jeszcze drugie zabezpieczenie, ale zwolnienie go wymagałoby już niespełna sekundy. We wtorek wieczorem szeryf Gentry zabrał ją na prywatną strzelnicę i pokazał jej, jak obchodzić się z pistoletem, jak go ładować i jak z niego strzelać. W tej chwili lłama była załadowana kompletem siedmiu nabojów, upakowanych ciasno jak jaja w sprężynowym gnieździe. Wskaźnik załadowania komory był czerwony jak krew.

Myśli Natalie biegały we wszystkich kierunkach, jak laboratoryjne myszy szukające wyjścia z labiryntu. Co robić, do diabła? Po co w ogóle cokolwiek robić? Przecież już wcześniej kręcili się tu podejrzani osobnicy, do licha,

nawet Saul był takim podejrzanym osobnikiem! A właśnie, co z Saulem? Może to znowu on? Odrzuciła to podejrzenie jako niedorzeczne, zanim jej umysł zdążył je na dobre uformować. W takim razie, kto? Przypomniała sobie zdjęcie przedstawiające Melanie Fuller i jej lokaja, pana Thorne'a. Thorne już nie żył. Fuller również mogła być martwa.

Kto, wobec tego?

Mocniej ścisnęła kolbę pistoletu, pilnując się, żeby nie oprzeć palca na spuście. Spojrzała na mroczny dom. Oddech miała przyśpieszony, ale panowała nad sytuacją.

Uciekaj. Dzwonź po Gentry'ego.

Gdzie go łapać, w domu? W biurze?

Gdziekolwiek. Porozmawiaj z zastępcą, jeśli będzie trzeba.

Jest Wigilia, siódma wieczór. Jak szybko zareaguje biuro szeryfa? A policja? Gdzie jest najbliższy telefon?

Wyteżyła pamięć, ale przed oczami stanęły jej tylko pogaszone światła sklepów i restauracji, obok których przejeżdżała.

W takim razie jedź do siedziby władz hrabstwa albo do domu Gentry'ego. To najwyżej dziesięć minut stąd.

Ktokolwiek jest teraz w domu pani Fuller, za dziesięć minut zniknie.

To dobrze.

Jednego była pewna: nie wejdzie do tego domu sama. Za pierwszym razem zachowała się głupio, ale kierowała nią złość, żaloba i zrodzona z niewiedzy brawura. Pójście tam dzisiaj byłoby skrajną głupotą. Mimo że ma pistolet.

W dzieciństwie uwielbiała w piątkowe i sobotnie wieczory siedzieć do późna i oglądać horrory w kinie nocnym. Ojciec pozwalał jej rozłożyć półkotapczan, żeby mogła iść spać od razu po filmie - albo, najczęściej, jeszcze przed jego zakończeniem. Czasem kładł się razem z nią (on w piżamie w niebiesko-białe paski, ona w swojej flanelowej piżamce): leżeli sobie wygodnie, pojadali popcorn i komentowali nieprawdopodobne, krwawe fabuły. W jednej kwestii zgadzali się ze sobą bez zastrzeżeń: nigdy nie żałuj bohaterki, która zachowuje się jak kretynka. Co robiła młoda kobieta w koronkowej koszuli nocnej, którą wielokrotnie przestrzegano: **NIE OTWIERAJ ZAMKNIĘTYCH NA KLUCZ DRZWI NA KOŃCU CIEMNEGO KORYTARZA?** Ledwie znalazła się sama w tym korytarzu, przekręcała klucz w zamku i otwierała zakazane drzwi. Od tego momentu Natalie z ojcem kibicowali czyhającemu na nią potworowi. Tata miał nawet

specjalne powiedzenie na takie okazje: za głupotę płaci się słono i niezawodnie.

Wysiadła z samochodu. Pistolet dziwnie ciążył jej w ręce. Przez chwilę stała nieruchomo, obserwując ciemne domy przy wspólnym podwórku. Odległa o trzydzieści stóp latarnia uliczna oświetlała cegły i rzucające cień drzewa.

Tylko do furtki, pomyślała Natalie. Gdyby ktoś wyszedł z domu, zdążyć uciec. Zresztą, furтка i tak jest zamknięta na klucz.

Przeszła na drugą stronę pustej i cichej ulicy i podeszła do furtki - która była nie tylko niezamknięta na klucz, ale nawet leciutko uchylona. Lewą dłonią dotknęła zimnego metalu, wpatrzona w ciemne okna. Nabuzowane adrenaliną serce łomotało jej o żebra, ale ta sama adrenalina sprawiała, że czuła się silna, lekka, szybka. I trzymała w ręce najprawdziwszy pistolet. Odbezpieczyła go, tak jak pokazywał jej to Gentry. Strzeli tylko wtedy, gdy zostanie zaatakowana... w jakikolwiek sposób. Tak, na pewno strzeli.

Zdawała sobie sprawę, że powinna wrócić do wozu, odjechać i zadzwonić do szeryfa. Pchnęła furtkę i weszła na podwórko.

Ogromna stara fontanna rzucała głęboki cień, w którym Natalie ukryła się, obserwując okna i drzwi wejściowe domu pani Fuller. Czuła się jak dziesięciolatka, która dała się podpuścić, żeby dotknąć drzwi miejscowego nawiedzonego domu.

Ale przecież widziała światło.

Ktokolwiek był w środku, mógł się wymknąć tylnym wyjściem, tak jak to zrobił Saul. Nie wyszedłby przecież frontowymi drzwiami, gdzie byłby doskonale widoczny z chodnika. Mniejsza z tym, doszła już wystarczająco daleko. Pora wracać do samochodu i wiać, gdzie pieprz rośnie.

Unosząc lekko broń, powoli podeszła do stopni prowadzących na małą werandę. Z tego miejsca widziała już to, co skrywał cień werandy: drzwi wejściowe były uchylone. Dyszała ciężko, prawie zachłystywała się powietrzem, ale nijak nie mogła zaczerpnąć go w dostatecznej ilości. Trzy razy odetchnęła głęboko, za trzecim razem zatrzymała powietrze w płucach. Puls zwolnił, oddech się uspokoił.

Czubkiem lufy ostrożnie pchnęła drzwi. Otworzyły się do wewnątrz - bezszelestnie, jak zawieszane na pozbawionych wszelkiego oporu zawiasach - odsłaniając wykładany drewnem przedpokój i skrawek schodów na piętro. Miała wrażenie, że dostrzega plamy na podłodze w miejscu, gdzie zginęły Kathleen Hodges i ta cała Kramer. Ktoś, kto schodziłby teraz po schodach,

byłby dla niej widoczny jako para ciemnych stóp, potem podudzi...

Chrzanić to.

Odwróciła się i puściła biegiem. Zahaczyła obcasem o poluzowany brukowiec, potknęła się i omal nie przewróciła przed samą furtką. Udało jej się jednak nie stracić równowagi. Ze zgrozą obejrzała się przez ramię na otwarte drzwi, ciemną fontannę, cienie na cegle, szkłe i kamieniu - i już wypadła przez furtkę na ulicę, już przebiegła na drugą stronę, zaczęła się szarpać z klamką, otworzyła drzwi, wskoczyła do samochodu.

Zatrzasnęła za sobą drzwiczki, zablokowała zamek, rzuciła pistolet na siedzenie pasażera (zachowała dość przytomności umysłu, żeby go wcześniej zabezpieczyć) i sięgnęła do stacyjki, modląc się w duchu, żeby okazało się, że nie wyjęła kluczyków. Były na miejscu. Silnik od razu zaskoczył.

Oparła dłoń na dźwigni biegów, gdy wtem z tylnego fotela wyciągnęły się ku niej dwie ręce: jedna nakryła jej usta, druga - z ogromną wprawą i siłą - zacisnęła się na gardle. Natalie wrzasnęła, raz, drugi, ale dłoń na ustach stłamsiła krzyk i wepchnęła jej powietrze z powrotem do ściśniętej krtani. Miała wolne ręce, wczepiła się więc palcami w gruby płaszcz i grube rękawiczki przyciśnięte do jej twarzy i szyi. Zaparła się nogami i wspięła wyżej na fotelu, rozpaczliwie usiłując rozluźnić morderczy chwyt, dosięgnąć napastnika paznokciami.

Pistolet.

Sięgnęła na oślep prawą ręką, ale nie dosięgła fotela pasażera. Uderzyła o dźwignię zmiany biegów i znów wyciągnęła rękę do tyłu, za plecy. Sztywna i wyprężona dała się na wpół wyciągnąć z fotela, tak że kolana podjechały jej powyżej dolnej krawędzi kierownicy. Czyjaś twarz otarła się ciężko, wilgotno o jej szyję i prawy policzek. Palce jej lewej ręki natrafiły na grubą czapkę. Dłoń na ustach rozluźniła uścisk i zsunęła się na szyję. Oswobodzona w ten sposób prawa ręka napastnika wystrzeliła w kierunku fotela pasażera. Dał się słyszeć głuchy łoskot, gdy pistolet spadł na gumowy dywanik i obie ręce intruza zacisnęły się na szyi ofiary.

Natalie bezsilnie szarpała grube rękawiczki, próbowała drapać napastnika po twarzy, ale bez trudu zbił jej wymachujące chaotycznie ręce. Miała odsłonięte usta, brakło jej jednak powietrza w płucach, żeby krzyknąć. Jasne plamy skakały na skraju pola widzenia, krew dudniła w uszach.

Więc tak się czuje duszony człowiek, pomyślała, szarpiąc gruby materiał, kopiąc w deskę rozdzielczą i usiłując podnieść kolana jeszcze wyżej, żeby wcisnąć klakson. W lusterku wstecznym mignęły jej przekrwione oczy i

kawał czerwonego policzka... i nagle uświadomiła sobie, że jej skóra też jest czerwona, światło jest czerwone, czerwone plamy rozlewają się po całym polu widzenia...

Obce ciało otarło się o jej policzek, poczuła gorący oddech na skórze, chrypliwy głos zarządził jej wprost do ucha:

- Chcesz znaleźć tę kobietę? Szukaj w Germantown.

Wygięła plecy w łuk i gwałtownie szarpnęła głową wstecz i w bok. Ból w czaszce uderzającej w ciało i kość sprawił jej przyjemność.

Nacisk zelżał na ułamek sekundy. Natalie opadła w przód, z wysiłkiem nabrała powietrza w płuca - raz, drugi... i rzuciła się w prawo i w dół, obok lewarka, usiłując namacać strącony na podłogę pistolet.

Palce zacisnęły się na jej gardle, tym razem z większą siłą, szukając jakiegoś czułego punktu. Znow dźwignęły ją do pionu.

Pole widzenia Natalie rozbłysło czerwienią, ból przeszył jej kark.

I nastąpiła nicość.

Księga druga

ROZGRYWKA

*O, myśl, myśl w sobie góry ma: jeśli na szczycie
Staniesz, pod tobą stromość urwisk niezgłębiona.*

Gerald Manley Hopkins

14.

Melanie

Czas kompletnie mi się gmatwa. Tak wyraźnie pamiętam ostatnie godziny w Charleston, tak słabo zaś dni i tygodnie, które nastąpiły później. Inne wspomnienia wypływają na pierwszy plan. Pamiętam szklane oczy i brakujące kępki włosów naturalnej wielkości manekina w nawiedzonym pokoju dzieciennym w Grumblethorpe. Dziwne, że to mi się przypomina, tak niewiele czasu tam spędziłam... Pamiętam bawiące się dzieci i dziewczynkę, która śpiewała na wzgórzu nad lasem, rankiem tego zimowego dnia, kiedy helikopter uderzył w most. Pamiętam też białe łóżko, jakżeby inaczej, ten niezwykły, zniewalający krajobraz, w którym znajdowało się prawdziwe więzienie dla mojego ciała. Pamiętam Ninę budzącą się ze snu śmierci, sine usta odsłaniające żółte zęby, niebieskie oczy unoszące się w oczodołach na wezbranej fali robactwa, krew płynącą na nowo z małej dziurki w bladym czole. Ale to nie jest prawdziwe wspomnienie. Tak mi się wydaje.

Kiedy usiłuję sobie przypomnieć godziny i dni, które nastąpiły po naszym ostatnim zjeździe w Charleston, w pierwszej kolejności odczuwam uniesienie, pełnię życia, odzyskaną młodość. Myślałam wtedy, że najgorsze minęło.

Ależ byłam niemądra.

Byłam wolna!

Wolna od Williego, wolna od Niny, wolna od Gry i towarzyszących jej koszmarów.

Zostawiłam za sobą zgiełk i zamęt Mansard House i bez pośpiechu zagłębiłam się w nocny mrok. Mimo że po wydarzeniach tego dnia byłam cała obolała, to jednak od wielu, wielu lat nie czułam się tak młodo. Wolna! Szłam lekkim krokiem, chłonąc ciemność i rześkie nocne powietrze. W oddali syreny zawodziły swoje żałobne treny, ale nie zwracałam na nie uwagi. Byłam wolna!

Przystanąłam przed przejściem dla pieszych na ruchliwym skrzyżowaniu. Zapaliło się czerwone dla samochodów i długi niebieski wóz (chyba chrysler) zatrzymał się przed pasami. Zeszłam na jezdnię i zastukałam w szybę od strony pasażera. Kierowca - krępy mężczyzna w średnim wieku, z łysiną obwiedzioną wianuszkami włosów, przechylił się w moją stronę i spojrzał na mnie podejrzliwie, po czym z uśmiechem opuścił szybę.

- Tak, proszę pani? Czy coś się stało?

Skinęłam głową i wsiałam. Wyściełane jakimś sztucznym aksamitem poduszki były bardzo miękkie.

- Jedź - poleciłam.

Po paru minutach opuszczaliśmy miasto drogą międzystanową. Odzywałam się tylko po to, żeby pokierować szoferem. Byłam wyczerpana, ale dyrygowanie nim przychodziło mi z niezwykłą łatwością. Wraz z rozpiejącym mnie poczuciem odzyskanej młodości doświadczyłam przyływu sił witalnych, jakiego nie zaznawałam od lat. Rozparłam się wygodnie na kanapie i patrzyłam, jak światła Charleston znikają w oddali.

Byliśmy daleko za miastem, gdy zdałam sobie sprawę, że szofer pali cygaro. Nie znoślam cygar. Uchylił okno i wyrzucił niedopałek. Kazałam mu lekko podkręcić ogrzewanie i w milczeniu jechaliśmy na północny zachód.

Przed północą minęliśmy ciemne pasmo moczarów, gdzie spadł samolot Williego. Zamknęłam oczy i przywołałam wspomnienia dawnych wiedeńskich dni - wesołość *Biergartens* rozświetlanych sznurami żółtych żarówek, nocne spacery brzegiem Dunaju, ekscytację, jaką odczuwało każde z nas trojga, kiedy ze sobą przebywaliśmy, dreszcz emocji wywołany pierwszymi przypadkami świadomego Żerowania. Przez te pierwsze kilka lat, kiedy latem spotykaliśmy się z Willim w europejskich stolicach i uzdrowiskach, wydawało mi się, że się w nim podkochuję. Tylko wierność pamięci mojego drogiego Charlesa hamowała we mnie wybuch gorętszych uczuć wobec naszego młodego i olśniewającego towarzysza nocnych eskapad.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na ciągnącą się po prawej stronie drogi litą ścianę drzew i zarośli. Wyobraziłam sobie okaleczone zwłoki Williego leżące gdzieś tam, w błocie, wśród gadów i insektów. Niczego nie poczułam.

Zatankowaliśmy w Columbii i ruszyliśmy dalej. Kiedy szofer zapłacił za benzynę, zabrałam mu portfel i przejrzałam zawartość. Zostało w nim zaledwie trzydzieści dolarów w gotówce, tradycyjny zestaw kart kredytowych i kilka fotografii. Jego nazwisko mnie nie interesowało, więc kiedy rzuciłam okiem na prawo jazdy, nawet nie próbowałam go zapamiętać.

Prowadzenie samochodu jest prawie jak odruch, dlatego pilnowanie kierowcy wymagało ode mnie naprawdę minimum wysiłku. Ba, nawet się chwilę zdrzemnęłam, kiedy, jadąc międzystanową dwudziestką, minęliśmy Augustę i znaleźliśmy się w Georgii. Otrząsał się powoli, kiedy się

obudziłam, mamrotał coś pod nosem i zdezorientowany kręcił głową, ale wystarczyło go mocniej przycisnąć, żeby skupił się na drodze. Kiedy znów przymknęłam oczy, napłynęły do mnie przefiltrowane obrazy zbliżających się z naprzeciwka reflektorów.

Po trzeciej nad ranem dotarliśmy do Atlanty. Nigdy nie lubiłam tego miasta. Brakowało mu uroku i wdzięku typowego dla nadmorskich rejonów Południa, a na dodatek, jakby chcąc okazać swoją pogardę dla południowego stylu życia, rozrastało się we wszystkich kierunkach naraz niekończącymi się ciągami zabudowy przemysłowej i bezkształtnych osiedli mieszkaniowych. Zjechaliśmy z autostrady nieopodal dużego stadionu. Ulice w centrum były puste. Kazałam się zawieźć do banku, który był celem mojej podróży, ale widok jego ciemnego szklanego frontu tylko wzmógł moją frustrację. Trzymanie dokumentów potwierdzających moją nową tożsamość w skrytce bankowej wydawało mi się dobrym pomysłem; nie mogłam przewidzieć, że będą mi potrzebne w pół do czwartej rano w niedzielę.

Żałowałam, że w wieczornym zamieszaniu zapomniałam gdzieś torebkę. Kieszenie brązowego płaszcza pękały mi w szwach od drobiazgów zabranych z tego drugiego okrycia, zniszczonego. Sprawdziłam w portfelu, że karta identyfikacyjna i klucz do skrytki są na swoim miejscu. Kazałam kierowcy pojeździć trochę w kółko po centrum, ale na dłuższą metę wydawało mi się to bez sensu. Na większości skrzyżowań migwały żółte światła, czasem gdzieś wolno przejechał radiowóz, wlokąc za sobą ogon spalin skłębiony jak para wodna na zimnie.

W centrum znajdowało się kilka przyzwoitych hoteli, i to nawet całkiem niedaleko banku, ale moje rozmemłanie i brak bagażu wykluczały skorzystanie z nich tej nocy. Kazałam kierowcy (tym razem już nie bawiłam się w werbalizację) wywieźć nas inną ulicą na przedmieścia. Po czterdziestu minutach znaleźliśmy motel z włączoną sygnalizacją wolnych pokoi. Skręciliśmy z autostrady za zielonym drogowskim na Sandy Springs i zajechaliśmy pod jeden z tych koszmaków, które nazywają się zawsze Super 8, Motel 6 albo podobnie kretyńsko, tak jakby przeciętny człowiek był za głupi, żeby zapamiętać nazwę bez doklejonego numerka. Zastanawiałam się, czy nie posłać kierowcy do recepcji, żeby nas zameldował, ale to mogło się okazać dość trudne; mógłby się wdać w rozmowę, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby dostatecznie płynnie go Użyć. Żałowałam, że nie zdążyłam go uwarunkować jak należy, ale nie miałam wyboru. Skończyło się na tym, że wyszczotkowałam włosy (najlepiej jak się dało, przeglądając się we

wstecznym lusterku) i sama poszłam nas zameldować. Przyjęła mnie rozespana recepcjonistka w szortach i poplamionej koszulce Mercer University. Zmyśliłam nazwiska, adres i numer rejestracyjny samochodu; nawet nie chciało się jej wyjrzeć na dwór, na stojącego z włączonym silnikiem chryslera. Jak to zwykle bywa w takich niedorzecznych przybytkach, zażyczyła sobie zapłaty z góry.

- Jedna noc? - spytała.

- Dwie. Mój mąż wyjeżdża jutro na cały dzień, jest handlowcem coca-coli, ma zwizytować fabrykę. Ja zamierzam...

- Sześćdziesiąt trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów.

Kiedyś za takie pieniądze mogliśmy przez tydzień mieszkać całą rodziną w ekskluzywnym hotelu w Maine.

Zapłaciłam.

Recepcjonistka wręczyła mi klucz z doczepioną plastikową choinką.

- Numer dwa tysiące sto szesnaście. Proszę objechać dookoła i zaparkować przy śmietniku.

Objechaliśmy dookoła i zaparkowaliśmy przy śmietniku. Na parkingu panował niedorzeczny ścisk, pod ogrodzeniem z tyłu stało nawet kilka naczip ciężarowych.

Otworzyłam pokój i wróciłam do samochodu.

Skulony nad kierownicą szofer drżał na całym ciele. Pot wystąpił mu na czoło, a policzki drżały spazmatycznie, gdy usiłował wyrwać się z maleńkiej zamkniętej przestrzeni, w której stłamsiłam jego wolę. Byłam potwornie zmęczona, ale moja władza nad nim nie osłabła. Zateśniłam za panem Thorne'em. Przez lata przywykłam do tego, że nie muszę wypowiadać swoich życzeń na głos, żeby były natychmiast spełniane. Używanie tego krępego pokurcza było dla mnie niezwykle frustrujące, niczym babranie się w żuźlu dla człowieka, który przywykł do pracy z najszlachetniejszymi metalami.

Zawahałam się. Zatrzymanie go przy sobie do poniedziałku miałoby pewne zalety, z których najważniejszą był dostęp do samochodu. Tyle że w tym wypadku zalety nie równoważyły ryzyka. Ktoś mógł już zauważyć jego nieobecność, policja mogła zacząć szukać wozu... Wszystko to miało swoją wagę, ostatecznie jednak szalę przeważyło ogarniające mnie wyczerpanie, przy którym całe wcześniejsze upojenie zniknęło bez śladu. Potrzebowałam snu, musiałam zaleczyć rany i odespać stres tamtego koszmarne dnia, a bez należytego warunkowania nie mogłam zaufać kierowcy, że pozostanie

bierny, gdy zasnę.

Pochyliłam się nad nim i delikatnie pogładziłam go po karku.

- Wróć na autostradę - wyszeptalam - i zacznij jeździć wokół miasta. Przy każdym zjeździe przyspieszaj o dziesięć mil na godzinę. Kiedy miniesz czwarty zjazd, zamknij oczy i nie otwieraj ich, dopóki ci nie powiem. Skiń głową, jeśli mnie zrozumiałeś.

Kiwnął głową. Szklistymi oczami wpatrywał się w przestrzeń. Nawet gdybym miała na niego ochotę, byłoby to nędzne Żerowanie.

- Jedź - powiedziałam.

Odprowadziłam chryslera wzrokiem, kiedy wyjechał z parkingu i skręcił w stronę autostrady. Przymknęłam oczy i w wyobraźni ujrzałam długą maskę, latarnie wybiegające mi na spotkanie i odbłaski reflektorów. Chrysler przyspieszał. Słyszałam pomruk nawiewu, czułam szorstki wełniany materiał swetra na przedramionach kierowcy. Usta wypełniał mi zastarzały smak cygara. Wzdrygnęłam się i częściowo wycofałam swoją świadomość. Minawszy pierwszy zjazd, kierowca płynnie przyspieszył do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Dzielilo nas już kilkanaście mil, wrażenia słabły, mieszały się z odgłosami parkingu i wiatrem chłodzącym mi twarz. Ledwie wyczułam chwilę, w której samochód osiągnął prędkość dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę i kierowca zamknął oczy.

Pokój w motelu był smętnie funkcjonalny, dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam. Nie robiło mi to najmniejszej różnicy. Zdjęłam płaszcz i podartą sukienkę. Rana na lewym boku stała się ledwie widocznym draśnięciem (znacznie boleśniej pulsowało mi skaleczenie na palcu), ale sukienka i halka były do wyrzucenia. Jeszcze przez chwilę oparłam się pokusie snu, żeby wziąć gorącą kąpiel i umyć głowę, po czym zawinęłam się w dwa ręczniki, siadłam i zaczęłam pochłipywać. Nie miałam ani koszuli nocnej, ani zmiany bielizny. Nie miałam nawet szczoteczki do zębów! Banki otworzą dopiero w poniedziałek rano, czyli za ponad dwadzieścia cztery godziny. Siedziałam i płakałam, stara, zapomniana i zrozpaczona. Chciałam wrócić do domu i położyć się we własnym łóżku, gdzie pan Thorne rano podałby mi kawę i croissanta, jak zwykle.

Nie miałam jednak do czego wracać. Mój szloch bardziej przypominał lament osieroconego dziecka, niż płacz kobiety w moim wieku.

Po jakimś czasie - wciąż opatulona ręcznikami - położyłam się na boku, nakryłam prześcieradłem i narzutą i zasnęłam.

Obudziłam się na chwilę około południa, kiedy sprzątaczką próbowała się dobijać do pokoju. Poszłam do łazienki napić się wody, starannie unikając patrzenia w lustro, i wróciłam do łóżka. W pokoju za grubymi zasłonami panował półmrok, wentylator cicho mruczał, a ja wróciłam w objęcia snu, jak zwierzę, które wraca do bezpiecznego legowiska. Nie pamiętam żadnych snów.

Wieczorem wstałam otępiała i obolała bardziej niż poprzedniego dnia i spróbowałam coś zaradzić na swój mizerny wygląd. Niewiele mogłam zrobić. Sukienka była w strzępach (najlepiej byłoby w ogóle nie zdejmować płaszcza), poza tym powinienam pilnie wybrać się do fryzjera... a przy tym moja skóra jaśniała niewidzianym wcześniej blaskiem, podbródek zjędrniał jak nigdy, wyżłobione przez czas zmarszczki i bruzdy stały się płytsze i mniej widoczne. Czułam się młodziej. Mimo koszmaru, przez jaki przesłam, Żerowanie bardzo mi posłużyło.

Po drugiej stronie gigantycznego parkingu znajdowała się restauracja. To było miejsce nie dla ludzi - jasno jak w sali operacyjnej, stoły wyściełane ceratą w czerwoną kratę jeszcze wilgotną po ostatnim przetarciu brudną szmatą, ogromne plastikowe menu z kolorowymi zdjęciami „specjalności zakładu”. Przypuszczałam, że zdjęcia załączono na użytek analfabetów, którzy nie rozszyfrują sensu rozdętych prozatorskich opisów „smakowitych, chrupiących domowych frytek z brązową skórką” i „przysmaku Południa, cudownej mamałygi w babcinym stylu!”. W menu w ogóle roiło się od przypisów i zapierających dech w piersiach wykrzykników. W umieszczonej z boku ramce znalazło się objaśnienie wszystkich tych południowych smakołyków oraz zachęta dla jankeskich turystów, żeby odważyli się spróbować czegoś nowego. Przyszło mi do głowy, że to niesamowite, jak nudna i uboga dieta ludzi zbyt biednych lub głupich, żeby dobrze się odżywiać, nieuchronnie staje się „tradycyjną kuchnią” dla następnego pokolenia.

Zamówiłam herbatę i bułeczkę drożdżową z masłem, na które musiałam czekać pół godziny, znosząc przez ten czas wrzaski i mlaski licznej rodziny prostaków z Północy przy sąsiednim stoliku. Nie pierwszy raz przyszło mi do głowy, że wszyscy mielibyśmy o wiele mniej zszargane nerwy, gdyby wprowadzić zakaz wspólnego spożywania posiłków przez dzieci i dorosłych w miejscach publicznych.

Do motelu wróciłam już po zmroku i z braku lepszego zajęcia włączyłam telewizor. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd oglądałam telewizję, ale niewiele

się przez ten czas zmieniało. Na pierwszym programie znalazłam futbol z jego bezmyślnymi gonitwami i zderzeniami. Z kanału „edukacyjnego” mogłabym dowiedzieć się więcej, niżbym chciała, o estetyce sumo. Przy trzeciej próbie natrafiłam na często przerywany reklamami film telewizyjny o siatce nastoletnich prostytutek i młodym pracowniku opieki społecznej, który poświęcił życie ocaleniu głównej bohaterki przed takim upodleniem. Kretynizm tego filmidła kojarzył mi się ze szmirowato skandalizującymi „gazetami detektywistycznymi”, niezwykle popularnymi w czasach mojej młodości. Pałając słusznym oburzeniem i potępiając różne tabu (to, co wtedy nazywaliśmy „wolną miłością”, dzisiejsze media - jeśli się nie mylę - ochrzciły mianem, „pornografii dziecięcej”), pozwalały nam nurzać się w rozpalających wyobraźnię szczegółach.

Na ostatnim kanale nadawano lokalny serwis informacyjny.

Uśmiech nie schodził z twarzy młodej kolorowej spikerki, czytającej wiadomości o serii tak zwanych „morderstw w Charleston”. Policja wciąż nie znalazła podejrzanych ani motywu zbrodni. Świadkowie opisywali krwawą jatkę w dobrze znanym charlestońskim hotelu. Policja stanowa i FBI poszukiwały niejakiej pani Fuller, mieszkanki Charleston i pracodawczyni jednej z ofiar. Niestety, organy ścigania nie dysponowały żadnym zdjęciem poszukiwanej.

Cały materiał trwał niespełna czterdzieści pięć sekund.

Wyłączyłam telewizor, pogasiłam światła, leżałam po ciemku i drząc na całym ciele, powtarzałam sobie, że za czterdzieści osiem godzin będę bezpieczna w swojej ciepłutkiej willi na południu Francji. Przymknęłam oczy, próbując sobie wyobrazić drobne białe kwiatki wyrastające spomiędzy kamiennych płyt na ścieżce do studni. Przez sekundę prawie udało mi się poczuć rześki, słonawy aromat nadciągających z południa letnich burz. Myślałam o krytych dachówką domach w pobliskiej wiosce - czerwonych i pomarańczowych trapezach, które wyzierają sponad wypełniających dolinę zielonych prostokątów sadów - gdy nagle te przyjemne wizje przesłonił obraz z ostatniego spotkania z Niną: niebieskie oczy szeroko otwarte z niedowierzania, usta lekko rozchylone, mający rozmiary dziesięciocentówki otwór w czole nie bardziej przerażający niż przypadkowa plama brudu, którą zaraz zetrze jednym pociągnięciem smukłych, wypielęgnowanych palców. A potem w mojej przedsennej wizji wezbrana krew popłynęła nie tylko z rany w głowie Niny, lecz także z jej ust, nosa i oskarżycielsko wytrzeszczonych oczu.

Przykryłam się szczelnie, po samą brodę, i skoncentrowałam na niemyśleniu.

Koniecznie musiałam zdobyć torebkę. Jeżeli zapłaciłabym za taksówkę, która zawiezie mnie do banku w centrum miasta, na torebkę zabrakłoby mi pieniędzy. Z drugiej strony, pójście do banku bez torebki absolutnie nie wchodziło w grę. Jeszcze raz przeliczyłam gotówkę w portfelu, ale było jej za mało nawet po uwzględnieniu bilonu. Stałam tak bezradnie w pokoju, gdy na parkingu rozległo się niecierpliwe trąbienie zamówionej przeze mnie taksówki.

Rozwiązałam problem w ten sposób, że kazałam się kierowcy zatrzymać przy taniej drogerii po drodze, gdzie za siedem dolarów nabyłam przeokropną słomianą torbę na zakupy. Podróż taksówką (wliczając przystanek w drogerii, kiedy licznik bił jak na postoju) kosztowała mnie nieco ponad trzynaście dolarów. Zostały mi dwa dolary: jednego dałam kierowcy jako napiwek, a drugiego zostawiłam sobie na szczęście.

Musiałam przedstawiać sobą ciekawy widok, kiedy tak stałam na chodniku, czekając na otwarcie banku. Fryzurę miałam w ruinie, byłam bez makijażu, ubrana w zapięty pod samą szyję brązowy płaszcz przeciwdeszczowy wciąż zalatujący lekko prochem strzelniczym. W prawej ręce ściszałam nowiutką i sztywną słomianą torbę. Pomyślałam, że brakuje mi tylko tenisówek dopełniających obrazu postaci, którą - jeśli się nie mylę - nazywa się dzisiaj powszechnie „przekupą z torbą” - i w tejże chwili uświadomiłam sobie, że mam na nogach płaskie mokasyny, wcale nie tak bardzo różniące się od tenisówek.

O dziwo, zastępca dyrektora rozpoznał mnie i najwidoczniej ucieszył się na mój widok.

- Dzień dobry, pani Straughn! - zawołał, gdy nieśmiało podeszłam do jego biurka. - Miło panią znowu widzieć.

Byłam oszołomiona. Od mojej poprzedniej wizyty w tym banku upłynęły prawie dwa lata, a suma zdeponowana na moim rachunku oszczędnościowym nie była aż tak ogromna, żeby sprowokować wicedyrektora do tak wylewnej uprzejmości. W pierwszej chwili wpadłam w panikę, przekonana, że policja już tu była, a ja właśnie wpakowałam się w pułapkę. Zerkałam podejrzliwie na pracowników i klientów, wypatrując wśród nich policjantów w cywilu, ale w końcu moją uwagę zwróciły swobodna poza i szczerzy uśmiech wicedyrektora. Odetchnęłam z ulgą. Po prostu miałam do czynienia z

człowiekiem, który był dumny z tego, że zapamiętuje nazwiska klientów. Nic ponadto.

- Minęło sporo czasu - dodał życzliwym tonem i szybkim spojrzeniem obrzucił mój strój.

- Dwa lata - odparłam.

- Jak się miewa małżonek?

Małżonek?! Wyteżyłam rozpaczliwie pamięć. Jaką historyjkę wymyśliłam na potrzeby poprzednich spotkań? Nie wspominałam chyba...

Nagle uświadomiłam sobie, że wicedyrektor musi mieć na myśli wysokiego, łysiego, milczącego dżentelmena, który towarzyszył mi przy każdej wizycie.

- Ma pan na myśli pana Thorne'a - domyśliłam się. - To mój sekretarz, ale, niestety, nie jest już moim pracownikiem. Co się zaś tyczy pana Straughna, to zmarł na raka w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym.

- Ach tak. - Z natury rumiany wicedyrektor poczerwieniał jeszcze bardziej. - Moje kondolencje.

Pokiwałam głową i chwilą ciszy uczciliśmy pamięć mitycznego pana Straughna.

- No dobrze, pani Straughn, czym mogę pani dzisiaj służyć? Mam nadzieję, że chodzi o wpłatę.

- Niestety, nie, zamierzam podjąć środki. Najpierw jednak chciałabym zajrzeć do skrytki.

Okazałam właściwą kartę identyfikacyjną (pilnując się, żeby nie pomylić jej z którąś z półtuzina innych kart bankowych, które od niepamiętnych czasów nosiłam w portfelu), odprawiliśmy uroczysty rytuał dwóch kluczy i w końcu zostałam sama w pokoiku niewiele większym od konfesjonau. Podniosłam wieko skrywające moje nowe życie.

Paszport sprzed czterech lat zachował ważność. Był to paszport wydany z okazji dwustulecia powstania państwa, z czerwono-niebieskimi stronicami; urzędnik z poczty w Atlancie zapewniał mnie, że w przyszłości te paszporty mogą być sporo warte. Gotówka - dwanaście tysięcy dolarów w banknotach o różnych nominałach - również nic nie straciła na aktualności. I ważyła swoje. Wypychając torbę podręczną plikami banknotów, modliłam się w duchu, żeby tania słoma nie popękała. Akcje i obligacje wystawione na panią Straughn nie miały wiele wspólnego z moimi bieżącymi potrzebami, ale ładnie się ułożyły na grubej poduszce z banknotów. Darowałam sobie

kluczyki do forda granady; nie chciało mi się zawracać sobie głowy sprowadzaniem wozu z garażu, a poza tym, porzucony na parkingu przed lotniskiem na pewno prowokowałby do pytań. Ostatnią rzeczą w pudełku był mały pistolet marki Beretta, którego pan Thorne mógłby użyć, gdyby zaszła taka konieczność. Tam, dokąd się udawałam, beretta nie powinna mi być potrzebna.

Tam, dokąd myślałam, że się udaję.

Zwróciłam pudełko do skrytki z takim samym grobowym namaszczeniem jak poprzednio je wyjęłam i ustawiłam się w kolejce do kasy.

- Całe - mlask - dziesięć tysięcy chce pani wypłacić? - spytała mnie zza krat żująca gumę dziewczyna.

- Tak, takie właśnie wydałam zlecenie.

- Znaczy, zamyka pani u nas rachunek - mlask.

- Owszem.

To nie do wiary, jak lata szkolenia potrafią wyprodukować taki wzór wydajności. Dziewczyna obejrzała się przez ramię na wicedyrektora. Stał nieopodal, z dłońmi splecionymi na brzuchu jak opłacony żałobnik. Skinął krótko głową. Dziewczyna od razu zaczęła żwawiej przeżuwać.

- Dobrze, proszę pani. - Mlask. - W jakiej formie życzy pani sobie wypłatę?

„W peruwiańskich piątakach”, miałam ochotę odpowiedzieć.

- W czekach podróżnych poproszę. - Uśmiechnęłam się. - Tysiąc dolarów po pięćdziesiąt, tysiąc po sto, reszta po pięćset.

- Będzie prowizja - ostrzegła mnie dziewczyna, marszcząc lekko brwi, jakby chciała mnie w ten sposób przekonać do zmiany zdania.

- Nie szkodzi, moja droga - odparłam. Dzień był jeszcze młody, ja sama też czułam się młodo. Na południu Francji będzie chłodno, ale za to światło mają tam jak roztopione masło. - Spokojnie, kochaniutka. Pomalutku. Nie ma pośpiechu.

Hotel Sheraton znajdował się dwie przecznice od banku. Wynajęłam w nim pokój. Chcieli kartę kredytową, ale zapłaciłam pięćsetdolarowym czekiem podróżnym i resztę włożyłam do portfela. Pokój był nieco mniej plebejski od tego, który dostałam w numerowanym motelu, ale wcale nie mniej sterylne. Zadzwoniłam do mającej biuro w centrum agencji turystycznej, gdzie młoda dama - po dłuższej konsultacji z komputerem - przedstawiła mi następujący wybór: mogłam wylecieć z Atlanty jeszcze tego samego dnia o szóstej samolotem linii TWA i przesiąść się w Londynie na lot

do Paryża, przy czym na przesiadkę na Heathrow miałabym tylko czterdzieści minut; albo mogłam poczekać do dziesiątej wieczorem i polecieć Pan Amem bezpośrednio do stolicy Francji. W obu wypadkach zdążyłabym na odlatujący późnym popołudniem samolot do Marsylii. Młoda dama poleciła mi późniejsze połączenie jako minimalnie tańsze, ja jednak wybrałam wcześniejsze i pierwszą klasę.

W zasięgu krótkiej przejażdżki taksówką znajdowały się trzy znaczne domy towarowe. Obdzwoniłam je i wybrałam ten, którego pracownicy wydawali się najmniej wstrząśnięci ideą dostarczenia zakupionych towarów do hotelu klienta. Następnie zadzwoniłam po taksówkę i pojechałam na zakupy.

Kupiłam osiem sukienek z metką Alberta Nipona, cztery spódnice (w tym jedną od Cardina - cudowną, z zielonej wełny), zestaw walizek od Gucciego, dwie garsonki Evan-Picone (z których jedną jeszcze kilka dni wcześniej uznałabym za stosowną dla znacznie młodszej kobiety), odpowiednią ilość bielizny, dwie torebki, trzy koszule nocne, wygodny niebieski szlafrok, pięć par butów (w tym czarne szpilki od Bally'ego), kilka wełnianych swetrów, dwa kapelusze (w tym jeden słomiany z szerokim rondem, całkiem nieźle pasujący do mojej wartej siedem doliców torby na zakupy), tuzin bluzek, przybory toaletowe, perfumy Jeana Patou (reklamowane - nie bez kozery, mam wrażenie - jako „najdroższy zapach na świecie”), budzik z cyfrowym wyświetlaczem i kalkulator w jednym (za jedyne dziewiętnaście dolarów), przybory do makijażu, pończochy (nie żadne lecznicze wynalazki ani te niezgrabne „rajstopy”, tylko najprawdziwsze nylonowe pończochy), parę bestsellerów w miękkiej oprawie (to z działu książki), wydany przez Michelina przewodnik po Francji, większy portfel, trochę czekoladek i angielskich biszkoptów oraz małą metalową skrzynkę. Kiedy ekspedient zajął się poszukiwaniem pracownika sklepu, który zawiezie moje zakupy pod wskazany adres, ja udałam się do ulokowanego po sąsiedzku salonu Elizabeth Arden i zażyczyłam sobie kompletu usług.

Następnie - odświeżona, zrelaksowana, z mrowiącą skórą twarzy i głowy, ubrana w wygodną spódnice i białą bluzkę - wróciłam do Sheratona. Zamówiłam lunch (kawa, kanapka z rostbefem na zimno przyprawiona musztardą „Dijon”, sałatka jarzynowa, lody waniliowe) i dałam pięć dolarów napiwku boyowi, który mi go przyniósł. W nadawanym w południe serwisie informacyjnym nie wspomniano ani słowem o sobotnich wypadkach w Charleston. Poszłam do łazienki i wzięłam długą, gorącą kąpiel.

Na podróż wybrałam granatową garsonkę, po czym - jeszcze w bieliźnie -

zaczęłam się pakować. Do podręcznej torby włożyłam zmianę ubrania, koszulę nocną, przybory toaletowe, przekąskę, dwie książki i większość gotówki. Musiałam jeszcze raz wezwać obsługę i poprosić o dostarczenie mi nożyczek, żebym mogła poobcinać wszystkie metki. O drugiej byłam gotowa, chociaż kuferek podróżny zapełniłam zaledwie w połowie i musiałam dopakować do niego znaleziony w szafie koc, żeby rzeczy nie latały luzem. Postanowiłam się zdrzemnąć, zanim kwadrans po czwartej limuzyna zabierze mnie na lotnisko. Z przyjemnością obserwowałam czarne cyfry, zmieniające się płynnie na szarym ekranie mojego nowego budzika. Nie miałam zielonego pojęcia, jak działa ta zabawka. W tym ostatnim ćwierćwieczu dwudziestego stulecia nie rozumiałam wielu rzeczy, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zasnęłam z uśmiechem na ustach.

Lotnisko w Atlancie niczym nie różniło się od innych dużych lotnisk, z których w przeszłości korzystałam - a korzystałam z większości z nich. Tęskniłam za wielkimi dworcami kolejowymi sprzed dziesięcioleci: za szatkowanym snopami światła marmurowym dostojęństwem Grand Central u szczytu popularności, za majestatem odkrytego przedwojennego dworca w Berlinie, nawet za architektoniczną przesadą i prowincjonalnym chaosem Victoria Station w Bombaju. Lotnisko w Atlancie było ucieleśnieniem idei podróżowania bez klasy: ciągnące się w nieskończoność wykafelkowane hale, fotele z wtryskarki i rzędy monitorów niemo obwieszczających przyloty i odloty. W korytarzach tłoczyli się pędzący przed siebie biznesmeni i głośne, spocone rodziny w pastelowych łóżkach.

Mniejsza z tym. Za dwadzieścia minut będę wolna.

Większość rzeczy nadałam na bagaż, zostawiłam sobie tylko torbę podręczną i torebkę. Pracownik linii lotniczej przewiózł mnie przez całą halę małym wózkiem akumulatorowym; szczerze mówiąc, artretyzm naprawdę dawał mi się we znaki, a po sobotnich ekscesach miałam potwornie obolałe nogi. Zameldowałam się w salce obok wyjścia do samolotu, upewniłam się, że w mojej części kabiny nie ma żadnych miejsc dla palących, i usiadłam, żeby przeczekać ostatnie minuty przed wejściem na pokład.

- Pani Fuller. Melanie Fuller. Proszę podejść do najbliższego białego aparatu telefonicznego.

Wyprostowałam się na fotelu, nasłuchując. Odkąd tu przyjechałam, system nagłaśniający szemrał bez przerwy: obsługa lotniska poszukiwała zagubionych pasażerów, właścicielom nieprzepisowo zaparkowanych

samochodów groziła mandatami i odholowaniem, odżegnywała się od fanatyków religijnych włóczących się po terminalu jak sfory uzbrojonych w ulotki szakali. To musiała być pomyłka! Gdyby ktoś naprawdę wywoływał mnie po nazwisku, zorientowałabym się wcześniej.

Siedziałam sztywno, ledwie ważyłam się oddychać i wsłuchiwałam się w bezpłciowy głos odczytujący spis poszukiwanych. Odprężyłam się odrobinę, słysząc wezwanie dla panny René Fowler. Naturalna omyłka, nic niezwykłego, a ja od wielu dni, jeśli nie tygodni, miałam nerwy napięte jak postronki. Od początku jesieni moje myśli krążyły wokół naszego zjazdu.

- Pani Fuller. Melanie Fuller. Proszę podejść do najbliższego białego aparatu telefonicznego.

Serce na sekundę przestało mi bić, przyprowadzając mnie o ból w piersi.

To pomyłka. Pospolite nazwisko, nic więcej. Na pewno źle usłyszałam...

- Pani Straughn. Beatrice Straughn. Proszę podejść do najbliższego białego aparatu telefonicznego. Pan Bergstrom. Harold Bergstrom...

Ogarnęła mnie absolutna, przyprowadzająca o mdłości pewność, że zaraz zemdleję - właśnie tam, w sali odlotów międzynarodowych Trans World Airlines. Spuściłam głowę. Czerwono-niebieskie wnętrze rozmyło mi się przed oczami, miriady świetlistych punkcików zatańczyły na obrzeżach pola widzenia.

A potem złapałam się na tym, że wstaję i idę przed siebie, ściskając torebkę, słomianą torbę na zakupy i bagaż podręczny. Złapałam za rękę przechodzącego obok mężczyznę w niebieskiej marynarce z plastikowym identyfikatorem.

- Gdzie go znajdę?

Wybałuszył oczy.

- Biały telefon - syknęłam. - Gdzie jest?

Wskazał mi pobliską ścianę. Podeszłam do aparatu jakby to była jadowita żmija. Przez dobrą minutę - całą wieczność! - nie mogłam się zmusić do podniesienia słuchawki, w końcu jednak odstawiłam torby, wzięłam słuchawkę do ręki i wyszeptałam do mikrofonu swoje nowe nazwisko.

- Pani Straughn? - zabrzmiał zdradzający napięcie głos. - Proszę chwileczkę zaczekać, łączę rozmowę.

Stałam bez ruchu, wsłuchana w głucho dzwięki sygnalizujące nawiązywanie połączenia. Kiedy rozległ się głos, również brzmiał głucho, niósł się echem, jakby dobiegał z tunelu albo pokoju o gołych ścianach. Albo z grobu. Znałam go doskonale.

- Melanie? Melanie, najdroższa, to ja, Nina... Melanie? Kochana, to ja, Nina...

Wypuściłam z ręki słuchawkę i cofnęłam się od telefonu. Otaczający mnie zgiełk oddalał się coraz bardziej, aż przeszedł w odległy, nieistotny szum. Miałam wrażenie, że spoglądam w głąb długiego tunelu, na którego drugim końcu małe postaci śmigają w tę i z powrotem. Odwróciłam się, targana paniką, i ruszyłam na oślep przed siebie, zapominając o bagażu podręcznym, znajdujących się w nim pieniądzech, samolocie... Zapomniałam o wszystkim, został tylko martwy głos dźwięczący mi w uszach jak krzyk rozdzierający noc.

Przy wyjściu z terminalu doskoczył do mnie bagażowy, Murzyn. Nie myślałam. Po prostu spojrzałam na niego, a on osunął się na podłogę. Chyba nigdy przedtem nie Użyłam nikogo tak szybko i brutalnie. Wił się na ziemi w spazmach nagłego ataku, tłukąc twarzą o kafelki. Kiedy ludzie rzucili mu się na pomoc, wymknęłam się przez automatyczne drzwi.

Stałam przy krawężniku, bezskutecznie usiłując zapanować nad bużującymi we mnie przerażeniem i niedowierzaniem. Każda zbliżająca się twarz groziła przemianą w bladą, uśmiechniętą maskę pośmiertną, którą podświadomie spodziewałam się zobaczyć. Okręciłam się na pięcie, przyciskając do piersi torebkę i słomianą torbę: żałosna stara kobieta na skraju hysterii.

„Melanie? Kochana, to ja, Nina...”.

- Taksówkę, proszę pani?

Obróciłam się w poszukiwaniu źródła tego pytania. Nie zauważyłam, kiedy zatrzymała się przy mnie zielono-biała taksówka; za nią, na wydzielonym pasie dla taksówek, czekały następne. Za kierownicą siedział biały mężczyzna po trzydziestce, gładko ogolony, ale obdarzony tą specyficzną, jakby przezroczystą cerą, na której stale maluje się cień jutrzejszego zarostu.

- Życzy sobie pani taksówkę?

Skinęłam głową i pociągnęłam za klamkę. Kierowca pochylił się i odblokował mi drzwi. W środku śmierdziało starym dymem papierosowym, potem i winylową tapicerką. Kiedy oddalaliśmy się łukiem spod terminalu, odwróciłam się i wyjrzałam przez tylne okno. Zielone prostokąty światła prześlizgiwały się po szybie i tylnej kanapie. Nie umiałam stwierdzić, czy ktoś nas śledzi. Ruch był makabryczny.

- Pytałem: dokąd? - krzyknął kierowca.

Zaniemówiłam. Miałam pustkę w głowie.

- Do centrum? - zapytał. - Do hotelu?

- Tak. - Czułam się, jakbyśmy mówili różnymi językami.

- Do którego?

Potężny ból rozkwitł mi za lewym okiem. Czułam, jak spływa mi z czaszki do szyi i niczym ciekły płomień wypełnia całe ciało. Zaparło mi dech w piersi. Siedziałam tak, ściskając torebkę i torbę, i czekałam, aż ból ustąpi.

- ...czy nie? - spytał kierowca.

- Słucham? - Mój głos brzmiał jak chrobotanie targanych wiatrem wyschniętych łodyg kukurydzy.

- Mam wyjechać na autostradę czy nie?

- Sheraton.

Zbitka bezsensownych sylab. Ból powoli ustępował, zostawiając po sobie cień mdłości.

- W centrum czy przy lotnisku?

- Centrum - powiedziałam, nie mając zielonego pojęcia, co próbujemy ustalić.

- Kapuję.

Zagłębiłam się w zimny winyl. Pasy światła przesuwały się po cuchnącej kabinie z hipnotyzującą regularnością. Skoncentrowałam się na uspokojeniu oddechu. Szum opon na mokrej nawierzchni przebił się w końcu przez wypełniające mi uszy buczenie.

„Melanie, kochana...”.

- Nazwisko? - spytałam szeptem.

- Hę?

- Jak się pan nazywa?

- Steve Lenton, ma pani napisane na identyfikatorze. Bo co?

- Gdzie pan mieszka?

- A co?

Miałam go dość. Pchnęłam. Mimo bólu głowy i narastającej fali nudności, pchnęłam.

Impet zgiał go wpół nad kierownicą. Przytrzymałam go tak kilka sekund, zanim pozwoliłam mu się wyprostować i znów skoncentrować na prowadzeniu.

- Gdzie mieszkasz?

Obrazy, wizje, kobieta z pozlepianymi w strąki jasnymi włosami stojąca przed garażem.

Verbalizuj.

- Beulah Heights - odparł beznamiętnym tonem.
- To daleko stąd?
- Piętnaście minut.
- Mieszkasz sam?

Smutek. Strata. Zazdrość. Przepętniony bólem obraz znajomej blondynki z zasmarkanym dzieckiem na rękach, gniewnie podniesione głosy, czerwona sukienka oddalająca się chodnikiem. Jej kombi, znikające mu z oczu. Żal nad sobą. Słowa piosenki country, bardzo prawdziwe w tym kontekście.

- Jedźmy tam - powiedziałam.

Przynajmniej wydaje mi się, że to powiedziałam. Przymknęłam oczy i wsłuchałam się w szum opon na mokrej nawierzchni.

U kierowcy w domu nie paliło się światło. Sam dom był kopią niezliczonych niechlujnych chałup, jakie minęliśmy po drodze w tej okolicy: gipsowe ściany, pojedyncze „okno widokowe” wychodzące na mikroskopijne podwóreczko i garaż wielki jak cała reszta budynku. Nikt nie widział, jak podjeżdżaliśmy. Taksówkarz otworzył garaż i wjechał do środka. Stał tam już nowiutki buick, granatowy lub czarny, trudno było to stwierdzić w słabym świetle. Kazałam kierowcy wyprowadzić buicka na podjazd, wrócić do garażu i zamknąć drzwi. Zostawiliśmy włączony silnik w taksówce.

- Pokaż mi dom - poleciłam półgłosem.

Widok był równie przewidywalny, jak przygnębiający: w zlewie stos brudnych naczyń, skarpetki i bielizna rozrzucone na podłodze sypialni, walające się wszędzie gazety i groszowe zdjęcia dzieci o sarnich oczach spoglądające na ten bałagan.

- Gdzie trzymasz broń? - spytałam.

Nie musiałam go sondować, żeby wiedzieć, że ma broń; znajdowaliśmy się przecież na Południu.

Zamrugnął i zaprowadził mnie do kiepsko oświetlonego warsztatu w piwnicy. Na ścianach z pustaków wisały stare kalendarze z roznegliżowanymi kobietami. Ruchem głowy wskazał tanią metalową szafkę, w której znalazłam strzelbę, sztucer myśliwski i dwie sztuki broni krótkiej. Te ostatnie były zawinięte w naoliwione szmaty. Pierwsza okazała się sportowym, jednostrzałowym pistolecikiem o długiej lufie i małym kalibrze. Druga wyglądała bardziej znajomo - rewolwer kalibru .38 z bębniem na sześć naboju przypominał mi pamiątkę po Charlesie. Schowałam go do

torby wraz z trzema pudełkami amunicji i wróciłam do kuchni.

Taksówkarz przyniósł mi kluczyki do buicka, po czym razem usiedliśmy przy kuchennym stole i zaczęłam mu układać list do napisania - nic szczególnie oryginalnego: samotność, skrucha, niemożność dalszego życia. Policja zauważy pewnie brak rewolweru i z pewnością zacznie szukać samochodu, ale autentyczność listu i wybór metody rozwieje większość podejrzeń o udział osób trzecich. Taką w każdym razie miałam nadzieję.

Wrócił do porzuconej taksówki; drzwi do garażu były otwarte dosłownie przez kilka sekund, a mnie już oczy zaczęły łzawić od gęstych spalin. Silnik taksówki nagle wydał mi się nedorzecznie głośny. Kiedy ostatni raz widziałam szofera, siedział sztywno wyprostowany na swoim miejscu i mocno ścisnął kierownicę, wpatrując się w horyzont jakiejś niewidzialnej autostrady. Zamknęłam drzwi.

Powinłam była od razu wyjechać, ale musiałam na chwilę przysiąść. Ręce mi się trzęsły, artretyczne spazmy przeszywały mi prawą nogę aż do biodra. Zacisnęłam dłonie na laminowanym blacie i zamknęłam oczy.

„Melanie? Kochana, to ja, Nina...”

Tego głosu nie dało się z niczym pomylić. Albo Nina nadal mnie ścigała, albo postradałam zmysły.

Otwór w jej czole był idealnie okrągły, wielkości dziesięciocentówki. Nie było krwi.

Przegrzebałam szafki w poszukiwaniu wina lub brandy, ale znalazłam tylko pół butelki jacka danielsa. Nalałam sobie do czystego pucharka deserowego i wypiałam. Whisky paliła mnie w gardle i żołądku, ale przynajmniej ręce mniej mi się trzęsły, kiedy ostrożnie myłam pucharek i odstawiałam go do szafki.

Myślałam o tym, żeby wrócić na lotnisko, szybko jednak porzuciłam ten pomysł. Mój bagaż leciał już do Paryża. Mogłam go dogonić, wsiadając do odlatującego później samolotu Pan American, ale na samą myśl o wejściu na pokład przechodził mnie dreszcz.

Willi, odprężony i spokojny, odwraca się do jednego ze swoich towarzyszy podróży. Chce coś powiedzieć. Nagle wybuch, krzyki i długi, mroczny upadek w nicość.

Nie. Latanie chwilowo było nie dla mnie.

Za drzwi garażu dobiegał warkot pracującego silnika taksówki - tępe, uporczywe pulsowanie. Trwało to już ponad pół godziny, najwyższy czas się zbierać.

Sprawdziłam, czy nikogo nie widać w pobliżu, wyszłam frontowymi drzwiami i zamknęłam je za sobą. Szczęk zamka miał w sobie jakąś nieodwołalną, ostateczną nutę. Przez zewnętrzne drzwi garażu taksówki prawie nie było słychać.

Wśliznęłam się za kierownicę buicka... i przez pierwsze paniczne kilka sekund nie byłam w stanie dopasować żadnego z pęku kluczyków do stacyjki. Dopiero po chwili uspokoiłam się, bez pośpiechu spróbowałam jeszcze raz i silnik zapalił bez przeszkód. Jeszcze minutę zajęło mi przesunięcie fotela do przodu, ustawienie lusterka i znalezienie włącznika reflektorów. Od wielu lat nie prowadziłam samochodu, w każdym razie nie bezpośrednio. Wycofałam spod domu i pomału ruszyłam krętymi uliczkami dzielnicy mieszkalnej. Uświadomiłam sobie, że nie mam żadnego planu awaryjnego i jadę bez celu. Zafiksowałam się na dotarciu do willi pod Tulonem i czekającej tam na mnie nowej tożsamości; Beatrice Straughn była tworem tymczasowym, nazwiskiem podróznym, niczym więcej. Nagle dotarło do mnie, że dwanaście tysięcy dolarów w gotówce zostało w podręcznej torbie, którą porzuciłam przy telefonie na lotnisku. Miałam jeszcze ponad dziewięć tysięcy w czekach podróznym w torebce i słomianej torbie na ramię, nie straciłam również paszportu i innych dokumentów, ale niebieska garsonka, którą miałam na sobie, stanowiła w tej chwili całość mojej garderoby. Aż ścisnęło mnie w gardle na myśl o wszystkich tych pięknych rzeczach, które sobie rano kupiłam. Łzy zakłuły mnie w oczy, ale tylko potrząsnęłam głową i ruszyłam spod świateł, obtrąbiona przez jakiegoś niecierpliwego idiotę.

Kiedy udało mi się jakoś wyjechać na obwodnicę, ruszyłam na północ. Przeżyłam chwilę niepewności na widok zielonego drogowskazu na lotnisko; może znalazłabym jeszcze torbę przy telefonie, a kupienie biletu na inny samolot nie powinno stanowić problemu.

Minęłam drogowskaz i pojechałam dalej. Żadna siła na świecie nie zaciągnęłaby mnie z powrotem do tego jasno oświetlonego mauzoleum, w którym czekał na mnie głos Niny. Wzdrygnęłam się, gdy przed oczami stanęła mi sala odlotów TWA, gdzie znajdowałam się jeszcze dwie godziny - całą wieczność! - temu; tym razem siedziała w niej Nina, sztywno, skromnie, ubrana w tę samą różową sukienkę, w której widziałam ją po raz ostatni, z rękami złożonymi na leżącej na podolku torebce, niebieskimi oczami, głową oszpeconą otworem wielkości dziesięciocentówki i rozlewającym się coraz szerzej krwiakiem. Uśmiech miała biały i szeroki, zęby spiłowane w szpic.

Zamierzała wsiąść do samolotu. Czekala na mnie.

Zerkając co chwila w lusterko, zmieniałam pasy, przyśpieszałam, zwalniałam, dwa razy nawet zjechałam z autostrady - tylko po to, by zaraz na nią wrócić. Nie miałam pewności, czy nikt mnie nie śledzi, ale było to mało prawdopodobne. Reflektory samochodów mnie oślepiały. Ręce znów zaczęły mi się trząść. Uchyliłam okno, aż zimne powietrze zakłuło mnie w policzek. Żałowałam, że nie zabrałam ze sobą resztki whisky.

Napis na tabliczce głosił: Droga Międzystanowa nr 85, CHARLOTTE, KAROLINA PÓLNOCNA. Północ. Nie lubiłam Północy, nie cierpiałam jankeskiej lapidarności, szarych miast, przenikliwych chłódów i bezsłonecznych dni. Każdy, kto mnie znał, wiedział, że serdecznie nie znoszę północnych stanów, zwłaszcza zimą. I że za wszelką cenę unikam podróżowania po nich zimą.

W ślad za potokiem samochodów skręcałam na łuk zjazdowej koniczynki. Odblaskowe litery na tablicy ponad jezdnią informowały: CHARLOTTE 240 mil, DURHAM 337 mil, RICHMOND 540 mil, WASZYNGTON 650 mil.

Z całej siły ścisnęłam kierownicę, usiłując nadażyć za pędzącymi obłąkańczo pojazdami, i pojechałam na północ, w ciemność.

- Halo, proszę pani!

Ocknęłam się i z odległości paru cali spojrzałam wprost w twarz zjawy. Promienie słońca prześwietlały długie strąki włosów okalające twarz o szczurzych rysach: małe ruchliwe oczka, długi nos, brudna skóra i wąskie, spierzchnięte wargi. Zjawa posłała mi wysilony uśmiech, w którym błysnęły ostre, pożółkłe zęby - wśród nich złamana jedyńka. Chłopak mógł mieć najwyżej siedemnaście lat.

- Proszę pani, jedzie pani w moją stronę?

Usiadłam i pokręciłam głową. Zbliżało się południe i w zamkniętym samochodzie zrobiło się ciepło. Rozglądałam się po wnętrzu buicka, nie bardzo wiedząc, dlaczego śpię w samochodzie, zamiast u siebie w domu. Dopiero po chwili przypomniałam sobie niekończącą się nocną jazdę, która w końcu zmusiła mnie do zjechania na pusty parking. Dokąd dojechałam? Jak przez mgłę pamiętałam zjazd do Greensboro.

- Proszę pani?

Stwór pukał w szybę lepkiem od brudu knykiem.

Nacisnęłam guzik, chcąc opuścić szybę, ale nic się nie stało. Poczułam naciągający atak klaustrofobii, zanim zorientowałam się, że trzeba

przekręcić kluczyk w stacyjce; w tym przeklętym wehikule wszystko działało na prąd. Zauważyłam, że bak jest prawie pełny, i przypomniałam sobie, że kilkakrotnie zjeżdżałam w nocy na stacje benzynowe, aż w końcu znalazłam taką, która nie była całkowicie samoobsługowa. Niech się dzieje, co chce, ale nie upadłam jeszcze tak nisko, żebym sama nalewała sobie benzyny!

Zahuczał silniczek, szyba zjechała w dół.

- Weźmie pani autostopowicza?

Głos dzieciaka - nosowy i płaczliwy - był tak samo odrażający jak jego wygląd. Chłopak miał na sobie brudną wojskową kurtkę, a z bagażu tylko mały plecak i śpiwór. Za jego plecami słońce odbijało się w szybach samochodów na autostradzie. Ogarnęło mnie nieoczekiwane wrażenie wielkiej swobody, jakbym wybrała się na węgry.

Chłopak pociągnął nosem i wytarł go w rękaw.

- Daleko jedziesz? - spytałam.

- Na północ - odparł ze wzruszeniem ramion.

Nie przestaje mnie zdumiewać fakt, że w jakiś sposób udało nam się wychować całe pokolenie, które nie potrafi odpowiedzieć na proste pytanie.

- Rodzice wiedzą, że jeździsz stopem?

Znow wzruszył ramionami, a właściwie tylko jednym, jakby pełny gest wymagał zbyt wiele energii. Zdałam sobie sprawę, że prawie na pewno uciekł z domu, najprawdopodobniej jest złodziejem, a także zagrożeniem dla każdego, kto okaże się na tyle głupi, żeby zaproponować mu podwózkę.

- Wsiadaj - powiedziałam i musnęłam przycisk odblokowujący drzwi pasażera.

Zatrzymaliśmy się w Durham na śniadanie. Chłopak zmarszczył brwi, oglądając obrazki na plastikowych kartach menu, zmrużył oczy i spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Nie - powiedział. - Nie mogę. Nie mam pieniędzy. To znaczy, mam dość, żeby dojechać do wuja i w ogóle, ale...

- Nie przejmuj się. Ja stawiam.

Oboje udawaliśmy, że wierzymy, że jedzie do wuja, który mieszka w Waszyngtonie. Kiedy wcześniej drugi raz go zapytałam, jak daleko jedzie, spojrzał na mnie tym swoim wzrokiem fretki i odpowiedział pytaniem:

- A pani?

Zasugerowałam, że udaję się do Waszyngtonu, na co zaszczycił mnie kolejnym błysnięciem nikotynowo żółtych zębów i powiedział:

- To dobrze, tam mieszka mój wuj. I tam właśnie jadę. Do wuja. Do Waszyngtonu. Właśnie tak.

Teraz wymamrotał kelnerce zamówienie, zgarbił się nad stołem i zaczął się bawić widelcem. Podobnie jak w przypadku wielu młodych ludzi, których ostatnio spotykałam, nie umiałabym powiedzieć, czy jest naprawdę opóźniony w rozwoju, czy po prostu żałośnie słabo wykształcony - większość przedstawicieli populacji poniżej trzydziestki pasuje do jednej z tych dwóch kategorii.

Upiłam łyk kawy i zagadnęłam:

- Masz na imię Vincent, tak?

- No. - Opuścił głowę nad kubkiem jak koń nad korytem. Nawet odgłosy wydawał podobne.

- Sympatyczne imię. Vincent... jak?

- Że co?

- Jak się nazywasz, Vincencie?

Znów zanurzył usta w kubku, żeby zyskać na czasie. Posłał mi ukradkowe, szurze spojrzenie.

- Eee... Vincent Pierce.

Pokiwałam głową. Niewiele brakowało, żeby powiedział „Vincent Price”. Poznałam Price’a pod koniec lat sześćdziesiątych w Marylandzie, na aukcji. Był niezwykle uprzejmym człowiekiem, prawdziwie wytwornym mężczyzną o dużych, miękkich dłoniach, które nieustannie się poruszały. Rozmawialiśmy o sztuce, kuchni i kulturze hiszpańskiej. W tamtym okresie Price skupował oryginalne dzieła sztuki na zlecenie jakiejś monstrualnej amerykańskiej firmy. Był przeuroczy. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że grywał w tych okropnych horrorach. Może nawet współpracował z Willim, kto wie?

- I jedziesz autostopem do wuja w Waszyngtonie?

- No.

- Wiadomo, przerwa świąteczna. Nie masz lekcji.

- No.

- A gdzie dokładnie mieszka twój wuj? W której części Waszyngtonu?

Znów skulił się nad kubkiem. Włosy wisiały mu jak splątana przetłuszczona winorośl. Co rusz podnosił rękę i odgarniał je znad oczu ospałym gestem, powtarzalnym i denerwującym jak prawdziwy tik nerwowy. Znaliśmy się niespełna godzinę, a jego zachowanie już doprowadzało mnie do szewskiej pasji.

- Pewnie gdzieś na przedmieściach? - podesunęłam.

- No.

- A dokładnie, Vincent? Waszyngton ma sporo przedmieść; może będziemy przejeżdżać przez to właściwe, mogłabym cię tam wysadzić. To ekskluzywna dzielnica?

- No. Ten mój wuj to kasiasty jest. W ogóle cała moja rodzina jest przy forsie, rozumie pani.

Odruchowo spojrzałam na jego brudną wojskową kurtkę, spod której wyzierała obszarpana czarna bluza. Poplamione dzinsy były w wielu miejscach poprzecierane. Naturalnie, zdawałam sobie sprawę, że w naszych czasach strój o niczym nie świadczy: Vincent mógłby być wnukiem J. Paula Getty'ego i nadal się tak ubierać. Przypomniałam sobie jedwabne, odprasowane garnitury, które nosił mój Charles; przypominałam sobie wyrafinowane stroje Rogera Harrisona na każdą okazję - garnitur i pelerynę podróżną wkładał nawet na najkrótsze wycieczki, a wieczorami występował we fraku i bryczesach. Stany Zjednoczone z pewnością osiągnęły szczyt egalitaryzmu w kwestii ubioru. Zredukowaliśmy potencjał ubraniowy całego narodu do brudnych szmat najniższego wspólnego mianownika w społeczeństwie.

- Chevy Chase? - spytałam.

- Że co?

- Pytam o przedmieście. Czy to Chevy Chase?

Pokręcił głową.

- Bethesda? Silver Spring? Takoma Park?

Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał. Już miał coś powiedzieć, ale weszłam mu w słowo:

- Już wiem. Skoro twój wuj jest naprawdę bogaty, to pewnie mieszka w Bel Air. Mam rację?

- No właśnie - przytaknął z wyraźną ulgą Vincent. - Właśnie tam.

Pokiwałam głową. Kelnerka podała mi herbatę i tost, przed Vincentem zaś postawiła jajka, kiełbaskę, przysmażone ziemniaki i gofry z szynką. Ciszę przy posiłku mąciły tylko odgłosy żerowania Vincenta.

Za Durham droga znów skręcała na północ. Nieco ponad godzinę od śniadania wjechaliśmy na terytorium Wirginii. Kiedy byłam mała, z rodziną często jeździliśmy do Wirginii w odwiedziny do krewnych i znajomych. Zwykle jechaliśmy pociągiem, ale moim ulubionym środkiem transportu był

mały, wygodny statek pocztowy, pokonujący nocą trasę do Newport News. Tym razem przyszło mi podróżować po czteropasmowej autostradzie przerośniętym buickiem wyposażonym w zbyt słaby silnik, przy dźwiękach gospel z radia i z uchylonym oknem, żeby zneutralizować bijący od mojego śpiącego pasażera odór potu i starego moczu.

Minęliśmy Richmond i zrobiło się późne popołudnie, kiedy Vincent się obudził. Zapytałam, czy nie mógłby trochę poprowadzić; ręce i nogi bolały mnie z wysiłku, jakiego wymagało dotrzymanie tempa pozostałym samochodom - nikt nie przestrzegał ograniczenia do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Oczywiście też miałam zmęczone.

- Nie ma sprawy. Ale... jest pani pewna?

- Tak. Mam nadzieję, że będziesz jechał ostrożnie.

- Jasne.

Zjechałam na parking i zmieniliśmy się za kierownicą. Vincent utrzymywał prędkość sześćdziesięciu ośmiu mil na godzinę, przytrzymując kierownicę tylko nadgarstkiem jednej ręki. Miał półprzymknięte oczy - do tego stopnia, że w pewnej chwili przestraszyłam się, że zasnął. Otuchy dodawała mi świadomość, że współczesne samochody są konstruowane w taki sposób, że nawet szympanś by je poprowadził. Odchyliłam oparcie najdalej, jak się dało, i zamknęłam oczy.

- Obudź mnie, jak dojedziemy do Darlington, dobrze, Vincencie?

Chrząknął potakująco. Położyłam torebkę między przednimi fotelami; widziałam, jak na nią zerka. Nie zdołał dostatecznie szybko odwrócić wzroku, kiedy wyjęłam z niej gruby plik banknotów, żeby zapłacić za śniadanie. Wiedziałam, że ryzykuję, decydując się na drzemkę, ale byłam naprawdę wykończona. Lokalne waszyngtońskie radio nadawało akurat koncert Bacha. Szmer opon buicka i delikatny szum innych samochodów w niespełną minutę ukołysały mnie do snu.

Obudził mnie brak ruchu. Ocknęłam się natychmiast, całkowicie, nieodwołalnie, jak drapieżnik, który wyczuł zbliżającą się zwierzynę.

Samochód stał na niewykończonym parkingu. Wieczorny kąć padania promieni zimowego słońca sugerował, że przespałam mniej więcej godzinę; znaczne natężenie ruchu sugerowało, że znajdujemy się blisko Waszyngtonu; otwarty nóż sprężynowy w dłoni Vincenta sugerował zupełnie coś innego.

Podniósł na mnie wzrok, zajęty przeliczaniem czeków podróżnych. Beznamiętnie odwzajemniłam jego spojrzenie.

- Masz je podpisać - szepnął.

Patrzyłam na niego bez słowa.

- Podpisz te jebane czekie! - wysyczał mój autostopowicz. Odgarnął włosy z oczu. - Ale już!

- Nie.

Wybałuszył oczy ze zdumienia. Zaślinił się ze złości. Byłby mnie chyba zabił na miejscu, w biały dzień, nie oglądając się ani na przejeżdżające dwadzieścia metrów od nas samochody, ani na fakt, że nie miałby gdzie wyrzucić trupa starszej pani (chyba że do Potomacu), ale - nawet mój drogi przygłupi Vincent musiał zdawać sobie z tego sprawę - potrzebował mojego podpisu na czekach.

- Posłuchaj no, ty stara pizdo. - Złapał mnie za przód sukienki. - Albo podpiszesz te zajebane czekie, albo ci nos upierdolę, kurwo jedna. Zrozumiałaś?

Ostrze noża zastygło bez ruchu kilka cali od mojej twarzy.

Spojrzałam w dół, na brudne łapsko zaciśnięte na materiale mojej sukienki, i westchnęłam ciężko. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie sceny sprzed trzech dziesięcioleci, kiedy - w innym kraju, w innym świecie - we własnym pokoju hotelowym przyłapałam łysego, lecz całkiem przystojnego mężczyznę na grzebaniu w mojej kasetce z biżuterią. Widząc, że został przyłapany, uśmiechnął się ironicznie i uklonił leciutko. Będzie mi brakowało tego wdzięku, tej łatwości Używania go, tej dyskretnej skuteczności, jakiej nie zapewni żadne warunkowanie.

- No dalej - wychrypiał brudas, prawie dotykając nożem mojego policzka. - Sama się o to prosisz.

Błysk w jego oczach nie miał nic wspólnego z pieniędzmi.

- Owszem - przytaknęłam.

Jego ręka znieruchomiła w pół gestu. Przez chwilę siłował się i napierał, aż żyły wystąpiły mu na czole. Skrzywił się i wytrzeszczył oczy, kiedy jego własna dłoń przechyliła się, odwróciła i skierowała ostrze prosto w jego twarz.

- Już czas - powiedziałam półgłosem.

Palce Vincenta obróciły ostry jak brzytwa nóż i ostrze wśliznęło się pionowo pomiędzy wąskie wargi, pomiędzy brudne, połamane przednie zęby.

- Czas rozpocząć naukę - mówiłam dalej.

Nóż wszedł głębiej, tnąc dziąsła i język. Wargi Vincenta najpierw się rozchyliły, a potem zamknęły na stali. Ostrze spłynęło krwią, gdy jego

czubek dotknął podniebienia miękkiego.

- Ja będę nauczycielką, a ty moim uczniem.

Uśmiechnęłam się i zaczęliśmy pierwszą lekcję.

15.

Waszyngton

20 grudnia 1980, sobota

Saul Laski przez dwadzieścia minut stał bez ruchu i przyglądał się dziewczynce. Ona stała tak samo nieruchomo i patrzyła na niego, nawet nie mrugnawszy, zamrożona w czasie. Nosila słomkowy kapelusz, zsunięty lekko do tyłu, prostą, luźną białą sukienkę i szary fartuch. Miała jasne włosy i niebieskie oczy. Ręce trzymała wyprostowane we wdzięcznie niezdarnej dziecinnej pozie, dłonie splotła z przodu.

Ktoś wszedł między niego i obraz. Saul przesunął się do tyłu i w bok, żeby mieć lepszy widok. Dziewczynka w słomkowym kapeluszu wpatrywała się w przestrzeń, którą przed chwilą wypełniał. Nie rozumiał, co ten obraz takiego w sobie ma; twórczość Marie Cassat - miękkie, rozmyte pastele - zwykle wydawała mu się przesadnie sentymentalna, ale to dzieło wzruszyło go do łez już podczas pierwszych odwiedzin w National Gallery, blisko dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory żadna wizyta w Waszyngtonie nie mogła się obyć bez pielgrzymki do „Dziewczynki w słomkowym kapeluszu”. Przypuszczał, że pulchna buzia i tęskne spojrzenie dziecka budziły w nim wspomnienia zmarłej na tyfus Stefy - tyle tylko, że jego siostra miała znacznie ciemniejsze włosy i bynajmniej nie niebieskie oczy.

Odwrócił się. Zawsze, kiedy wpadał do muzeum, obiecywał sobie, że obejrzy nowe sale, poświęci więcej uwagi sztuce nowoczesnej... i zawsze kończyło się na tym, że przesiadywał głównie tutaj, z dziewczynką.

Następnym razem, pomyślał.

Było po pierwszej po południu i zanim stanął przy wejściu do restauracji, żeby rozejrzeć się wśród gości, tłum przy stolikach wyraźnie się przerzedził. Od razu wypatrzył Aarona siedzącego przy małym stole w kącie, plecami do ogromnej rośliny doniczkowej. Zamachał mu na powitanie, podszedł i przysiadł się do niego.

- Cześć, wujku.

- Cześć, Aaron.

Aaron wstał i uściśnął Saula, który uśmiechnął się w odpowiedzi, złapał go za ramiona i dobrze mu się przyjrzał. Dorosły mężczyzna, w marcu skończy dwadzieścia sześć lat... Może i dorosły, ale nadal chudy jak szczapa. Na jego twarzy malował się uśmiech odziedziczony po Davidzie,

charakterystyczny skurcz mięśni w kącikach ust. Po matce - Rebecce - miał ciemne loki i ogromne oczy, które teraz patrzyły na Saula zza okularów. Śniadą cerą i wydatnymi kośćmi policzkowymi nie przypominał rodziców; to mogło być specyficzne dziedzictwo *sabra*, rodowitego Izraelczyka. Mieli z Izaakiem po trzynaście lat (byli dość drobni jak na swój wiek), kiedy wybuchła wojna sześciodniowa. Saul przybył do Tel Awiwu pięć godzin za późno, żeby wziąć udział w walkach choćby w charakterze lekarza polowego, ale zdążył się jeszcze nasłuchać opowiadanych w kółko przez bliźniaków zasłyszanych historii o wyczynach ich starszego brata Avnera, kapitana lotnictwa. Tak: jak zdążył się nasłuchać o bohaterskich dokonaniach Chaima, kuzyna Aarona i Izaaka, dowódcy batalionu na Wzgórzach Golan. Dwa lata później młody Avner już nie żył: zginął podczas wojny na wyczerpanie, kiedy jego maszyna została trafiona egipskim pociskiem ziemia-powietrze. Następnego lata, w sierpniu, zginął także Chaim: w wojnie Jom Kippur padł ofiarą źle ulokowanej izraelskiej miny. David musiał regularnie temperować militarne zapędy Aarona, który - wówczas osiemnastoletni, ale słabowity po ciągających się za nim od dziecka zmaganiach z astmą - wprost rwał się do walki.

Uparł się, że zostanie komandosem albo spadochroniarzem, tak jak jego brat bliźniak. Kiedy z powodu astmy i słabego wzroku został odrzucony przez wszystkie rodzaje sił zbrojnych, skończył studia... i zagrał swoją ostatnią kartę. Poszedł do ojca i ubłagał go, żeby ten - wykorzystując swoje dawne kontakty w służbach specjalnych - pomógł mu znaleźć zatrudnienie w wywiadzie. W czerwcu 1974 roku Aaron został członkiem Mossadu.

Nie przeszedł szkolenia do pracy w terenie; Mossad miał do dyspozycji zbyt wielu byłych komandosów i innych bohaterów, żeby chorowitemu cherlakowi wyznaczyć tak trudną i odpowiedzialną rolę. Zafundowano mu tylko standardowy trening, po którym umiał obchodzić się z bronią i miał pewne pojęcie o samoobronie, nauczył się nawet w miarę biegle posługiwać małą berettą kaliber .22, wówczas ulubioną bronią Mossadu, ale prawdziwym talentem wykazał się w dziedzinie kryptografii. Po trzech latach pracy w łączności w Tel Awiwie i kolejnym roku spędzonym gdzieś na Synaju, przyjechał do Waszyngtonu, gdzie wszedł w skład grupy specjalnej działającej w izraelskiej ambasadzie. Fakt, że był synem Davida Eshkola, nie był w tym bynajmniej przeszkodą.

- Co słyhać, wujku? - zapytał po hebrajsku.
- Hmm... Możesz mówić po angielsku?

- Naturalnie - odparł bez śladu obcego akcentu Aaron.

- Co u ojca i brata?

- Wszystko dobrze, nawet lepiej niż jak ostatnio rozmawialiśmy. Lekarze są zdania, że tata będzie mógł latem spędzić trochę czasu na farmie. A Izaak dostał awans na pułkownika.

- Świetnie, świetnie...

Saul spuścił wzrok na leżące na stole trzy teczki. Zastanawiał się, jak mógłby cofnąć czas, żeby uniknąć wikłania Aarona w tę sprawę, a przy tym uzyskać informacje, do których bez niego nie miałby dostępu.

Aaron nachylił się nad stołem.

- W co ty się tu wplątałeś, wujku? - spytał, jakby czytał Saulowi w myślach.

Saul zamrugał, zaskoczony. Sześć dni wcześniej zadzwonił do Aarona i poprosił go o wyszukanie wszelkich informacji na temat Williama Bordena oraz miejsca pobytu Francisa Harringtona. To było głupie, przez lata unikał kontaktowania się w tej sprawie z rodziną i wykorzystywania rodzinnych kontaktów, ale był rozstrojony zniknięciem młodego Harringtona i przerażony perspektywą, że nawet jeśli uda się do Charleston, przegapi jakąś kluczową wskazówkę dotyczącą Bordena... Obersta.

Aaron oddzwonił z telefonu zabezpieczonego przed podsłuchem.

- Chodzi o tego niemieckiego pułkownika, prawda, wujku? - zapytał.

Saul nie zaprzeczył. Wszyscy w rodzinie wiedzieli o jego obsesji na punkcie nieuchwytnego hitlerowca, którego spotkał w obozie zagłady.

- Ale wiesz o tym, że Mossad nie prowadzi żadnych działań na terenie Stanów Zjednoczonych? - dopytywał się Aaron.

Saul nie odpowiedział, a jego milczenie wyrażało wszystko. Współpracował z ojcem Aarona, kiedy Irgun Cwai Leumi i Hagana nielegalnie działały w Stanach: kupowały amerykańską broń, a nawet całe fabryki broni, które następnie po kawałku przewoziły do Palestyny, żeby tam gotowe czekały na nieuchronny atak sił arabskich na nowo powstałe syjonistyczne państwo.

- No dobrze - przerwał Aaron przeciągające się milczenie. - Zobaczę, co się da zrobić.

Saul jeszcze raz zamrugał, zdjął okulary i przetarł je serwetką.

- *Nu*, o co ci chodzi? - spytał. - Borden mnie zaintrygował, a Francis był kiedyś moim studentem. Francis poleciał do Los Angeles, żeby dowiedzieć się czegoś o Bordenie, nie wiem, może chodziło o jakieś sprawy związane z

rozwozem... Kiedy nie wrócił, a Borden zginął podobno w tej katastrofie lotniczej, przyjaciel zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Od razu pomyślałem o tobie.

- Mhm. - Aaron przez chwilę tylko patrzył na wuja, w końcu pokręcił głową i westchnął. Rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłucha ani nie spojrzy Saulowi przez ramię, i otworzył pierwszą teczkę. - W poniedziałek poleciałem do Los Angeles.

- Poleciałeś?!

Saul miał nadzieję, że Aaron podzwoni w parę miejsc, wykorzysta wyrafinowane komputery, w które wyposażona była ambasada (a w szczególności jej biuro zatrudniające sześciu agentów Mossadu), może zajrzy do izraelskich lub amerykańskich tajnych akt... Na pewno nie spodziewał się, że chłopak po prostu z dnia na dzień poleci na zachodnie wybrzeże!

Aaron machnął lekceważąco ręką.

- Żaden kłopot, i tak mam całe tygodnie urlopu do wykorzystania. Zresztą, kiedy ostatni raz o coś nas poprosiłeś? Odkąd pamiętam, zawsze tylko coś od ciebie dostawaliśmy. Za twoje pieniądze z Nowego Jorku skończyłem studia w Hajfie, nawet jeśli bez nich też może dalibyśmy sobie radę. Jak więc mógłbym ci nie pomóc, kiedy prosisz o taki drobiazg?

Saul potarł dłonią czoło.

- Nie jesteś Jamesem Bondem, Moddy - odparł, używając dziecięcego przezwiska Aarona. - Poza tym Mossad nie działa w Stanach.

Aaron nie zareagował na tę prowokację.

- To były dla mnie wakacje, wujku. Chcesz posłuchać, co robiłem na wakacjach, czy nie?

Saul pokiwał głową.

- W tym hotelu zatrzymał się pan Harrington.

Aaron podsunął mu czarno-białe zdjęcie hotelu w Beverly Hills. Saul obejrzał je, nie podnosząc go ze stołu, i odsunął z powrotem.

- Niewiele się dowiedziałem - ciągnął Aaron. - Pan Harrington przyjechał ósmego grudnia. Kelnerka zapamiętała rudowłosego mężczyznę, który odpowiadał jego rysopisowi i dziewiątego rano zjadł śniadanie w hotelowej jadalni. Portierowi wydawało się, chociaż nie miał pewności, że pamięta mężczyznę w żółtym datsunie (takiego wynajął Harrington), który około trzeciej po południu we wtorek odjechał spod hotelu. - Podsunął Saulowi dwie kartki. - To fotokopia artykułu z gazety, wszystkiego jeden akapit... i kopia raportu policyjnego. W środę dziesiątego grudnia żółtego datsuna

znaleziono nieopodal biura wypożyczalni Hertz, przy lotnisku; ostatecznie wypożyczalnia obciążyła kosztami matkę Harringtona. Anonimowy przekaz pieniężny na sumę \$328,48 pokrył rachunek za hotel. To było w poniedziałek, piętnastego. W tym samym dniu, kiedy przyleciałem. Na kopercie był stempel z Nowego Jorku. Wiesz coś o tym, wujku?

Saul spojrzął na niego bez słowa.

- Tak myślałem - powiedział Aaron i zamknął teczkę. - Najdziwniejsze jest to, że dwaj pomocnicy pana Harringtona, Dennis Leland i Selby White, zatrudnieni na pół etatu w jego amatorskiej agencji detektywistycznej, w tym samym tygodniu zginęli w wypadku samochodowym. Dokładnie w piątek, dwunastego. Odbyli międzymiastową rozmowę telefoniczną i wyjechali z Nowego Jorku do Bostonu... O co chodzi, wujku?

- O nic.

- Wyglądałeś, jakby cię miało zemdleć. Znałeś ich? White studiował z Harringtonem w Princeton... Pochodzi z White'ów z Hyannis Port.

- Raz ich widziałem, to wszystko. Mów dalej.

Aaron zmrużył oczy i spojrzął na wuja podejrzliwie. Saul przypomniał sobie, że taką samą minę robił w dzieciństwie, kiedy powątpiewał w wiarygodność wujkowych bajek na dobranoc.

- Nie wiem, co dokładnie się stało, ale wygląda to bardzo profesjonalnie - podsumował Aaron. - Robota w sam raz dla amerykańskiej rodziny przestępczej, mafii. Trzy trafienia. Czysta robota. Dwa trupy w wypadku samochodowym; ciężarówka, która zepchnęła ich z drogi, do dziś nie znaleziono. Trzecie ciało przepadło bez śladu. Pytanie brzmi: czym Harrington tak naraził się profesjonalistom, o ile faktycznie mamy do czynienia z mafią? Czym rozjuszył ich do tego stopnia, że postanowili uciec się do starych, sprawdzonych metod? I dlaczego cała trójka? Leland i White mieli normalne posady, współpraca z tą niewydarzoną firmą detektywistyczną Harringtona była dla nich weekendowym kaprysem. A i sam Harrington w zeszłym roku miał wszystkiego trzy sprawy na rozkładzie, z czego dwie trafiły mu się po znajomości (rozwoły kumpli), a trzecia okazała się stratą czasu: po czterdziestu ośmiu latach miał odszukać biologicznych rodziców jakiegoś nieszczęsnego starego palanta.

- Gdzie się tego wszystkiego dowiedziałeś? - spytał półgłosem Saul.

- Po powrocie w środę wpadłem wieczorem do biura tej jego agencji i porozmawiałem z sekretarką.

- Odwołuję to, co powiedziałem wcześniej, Moddy. Masz jednak w sobie

coś z Jamesa Bonda.

- Mhm.

Aaron się rozejrzył. Skończyła się pora wydawania lunchu i restauracja szybko pustoszała. Na razie zostało jeszcze dostatecznie dużo spóźnialskich, żeby oni dwaj nie rzucali się w oczy - a przy tym od najbliższego sąsiada dzieliło ich piętnaście stóp. Gdzieś w podziemnym holu przed restauracją rozpląkało się dziecko. Miało głos jak syrena okrętowa.

- To jeszcze nic, wujku - powiedział Aaron swoim najlepszym kowbojskim głosem, po teksańsku przeciągając słowa.

- Mów.

- Sekretarka twierdzi, że ostatnio do Harringtona często wydzwaniał jakiś mężczyzna, który się nie przedstawił. Policja dopytywała się o jego tożsamość, ale sekretarka powiedziała, że nic nie wie. A Harrington nie zostawił żadnych notatek poza rozliczeniem wydatków podróży itepe. Kimkolwiek był ten facet, znalazł Francisowi tyle roboty, że chłopak musiał zatrudnić kumpli ze studiów, żeby mu pomogli.

- Aha.

Aaron napił się kawy.

- Powiedziałaś, wujku, że Harrington był twoim studentem. Sęk w tym, że w archiwum Columbia University nie ma po nim żadnego śladu.

- Uczęszczał na dwa kursy: „Wojna a ludzkie zachowania” i „Psychologia agresji”. Francis nie dlatego odpadł z Princeton, że był tępy... Był bystry, ale się nudził. A moje zajęcia go nie nudziły. Mów dalej, Moddy.

Aaron zacisnął usta z determinacją, która Saulowi przypominała Davida Eshkola z czasów, gdy na jego farmie pod Tel Awiwem potrafili do rana dyskutować o moralnych aspektach wojny partyzanckiej.

- Zdaniem sekretarki klient Harringtona brzmiał jak Żyd. Twierdzi, że zawsze rozpozna Żyda po sposobie mówienia. Jej zdaniem ten konkretny Żyd pochodził z zagranicy. Jakby z Niemiec. Albo z Węgier.

- *Nu?*

- Powiesz mi, co tu jest grane, wujku?

- Nie w tej chwili, Moddy. Sam nie bardzo wiem.

Aaron z poważną miną postukał palcem w dwie pozostałe teczki. Były grubsze od pierwszej.

- Mam tu rzeczy o wiele bardziej niewiarygodne niż ten ślepy zaułek z Harringtonem. Wydaje mi się, że to by była uczciwa wymiana.

Saul uniósł leciutko brwi.

- A kiedy to przysługa przerodziła się w transakcję?

Aaron z westchnieniem otworzył drugą teczkę.

- Borden, William D. Rzekomo urodzony ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset szóstego roku w Hubbard, Ohio. Kłopot w tym, że mamy akt urodzenia, a potem długo, długo nic, aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, kiedy to następuje prawdziwy wysyp dokumentów: numery ubezpieczenia, prawa jazdy i tak dalej. Komputery FBI zwykle wyłapują takie przypadki, ale nim jakoś nikt się nie zainteresował. Podejrzewam, że gdybyśmy objechali cmentarze w okolicy Hubbard, gdziekolwiek to jest, u licha, znaleźlibyśmy nagrobek małego Billy'ego Bordena, niech aniołki zawiodą go na wieczny spoczynek, bla, bla, bla... Tymczasem nasz dorosły pan Borden, na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku pojawił się nagle w Newark, w stanie New Jersey. Rok później przeprowadził się do Nowego Jorku. Kimkolwiek był, miał pieniądze. W latach czterdziści osiem-czterdziści dziewięć był jednym z tych niewidocznych, trzymających się za kulisami mecenasów na Broadwayu; wkupił się w łaski starszych kolegów, ale chyba nie udzielał się przesadnie w towarzystwie... Ja w każdym razie nie znalazłem żadnej wzmianki na jego temat w plotkarskich rubrykach gazet z tego okresu. Nie zapamiętała go również żadna z wiekowych współpracownic starych producentów i agentów. Tak czy inaczej, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym wyjechał do Los Angeles. Jeszcze w tym samym roku wyprodukował swój pierwszy film i na stałe wpisał się w filmowy krajobraz. W latach sześćdziesiątych zrobiło się o nim trochę głośniejsze; hollywoodzcy wyjadacze nazywali go Frycem albo Byczym Billem Bordenem. Czasem urządzał jakąś imprezę, ale nigdy nie zaszalał aż tak, żeby podpaść glinom... W ogóle ten facet to jakieś niewiniątko, nic na niego nie ma, żadnych mandatów, nawet za przechodzenie na czerwonym, nic, dosłownie nic. Więc albo był święty, albo miał takie plecy, że wszystko zostało zatuszowane. I co ty na to, wujku?

- Co jeszcze masz?

- Nic. No, prawie nic: tu są materiały od rzecznika prasowego studia... zdjęcie bramy do jego posiadłości w Bell Air, ale takie, że nawet domu nie widać... wycinki z *L.A. Timesa* i *Variety* na temat tego wypadku lotniczego w sobotę.

- Mogę je zobaczyć?

Kiedy Saul skończył czytać, Aaron zapytał, zniżając głos:

- Czy to on był twoim Niemcem, wujku? Twoim Oberstem?

- Prawdopodobnie tak. Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.
- Dlatego zaraz po śmierci Bordena wysłałeś Francisa Harringtona, żeby powęszył.
- Tak.
- Po czym twój eks-student i jego dwaj współnicy zginęli w ciągu trzech dni.
- O Dennisie i Selbym nie miałem pojęcia, dowiedziałem się dopiero od ciebie. Nie zdawałem sobie sprawy, że coś im grozi.
- Coś im grozi? Z czyjej strony?
- W tej chwili naprawdę nie wiem.
- To powiedz mi, co wiesz, wujku. Może będziemy mogli ci pomóc.
- My?
- Levi. Dan. Jack Cohen i pan Bergman.
- To ludzie z ambasady?
- Jack jest moim przełożonym, ale i przyjacielem. Powiedz, co się dzieje. Pomożemy ci.

- Nie.
- Nie, bo nie możesz, czy nie, bo nie chcesz?
Saul obejrzał się przez ramię.
- Zaraz będą zamykać. Może pójdziemy gdzie indziej?
Mięśnie w kącikach ust Aarona napięły się mocniej.
- Troje z tych ludzi... ta para przy wejściu i ten młody gość najbliżej ciebie... to nasi. Zostaną tak długo, jak będzie trzeba.
- Powiedziałeś im już?
- Tylko Leviemu. I tak musiał porobić zdjęcia.
- Jakie zdjęcia?

Z trzeciej - najgrubszej - teczki Aaron wyjął fotografię. Przedstawiała niskiego bruneta w rozpiętej pod szyją koszuli i skórzanym płaszczu; mężczyzna miał ciemne, półprzymknięte oczy i okrutny wyraz ust. Na zdjęciu przechodził właśnie przez ulicę, płaszcz powiewał za nim na wietrze.

- Kto to? - zainteresował się Saul.

- Harold. Tony Harold.

- Wspólnik Williama Bordena. Kojarzę nazwisko z artykułu w *Variety*.

Aaron wyjął kolejne dwa zdjęcia. Harold z kartą kredytową w ręce stał przed drzwiami do garażu; najwyraźniej szykował się do wsunięcia karty w szczelinę wbudowanego w ceglana ścianę urządzenia. Saul widział już wcześniej takie zamki.

- Gdzie zostało zrobione? - zapytał.

- W Georgetown. Cztery dni temu.

- Tutaj w Georgetown? Co on robił w Waszyngtonie? I dlaczego robiłeś mu zdjęcia?

- To Levi robił zdjęcia. - Aaron się uśmiechnął. - Ja w poniedziałek pojechałem na Forest Lawn, gdzie podczas nabożeństwa żałobnego Tony Harold wygłosił mowę pogrzebową. Miałem za mało czasu, żeby porządnie zbadać jego przeszłość, ale z tego, co już wiem, wynika, że bardzo blisko współpracował z Bordenem. Dlatego, kiedy we wtorek wybrał się do Waszyngtonu, poleciałem za nim. Zresztą i tak musiałem wracać.

Saul pokręcił głową.

- I pojechałeś za nim do Georgetown.

- Nie musiałem, wujku. Zadzwoiłem do Leviego i poprosiłem go, żeby śledził Harolda, a sam dołączyłem do niego później. Wtedy też porobiliśmy zdjęcia. Chciałem z tobą porozmawiać, zanim pokażemy je Danowi i panu Bergmanowi.

Saul zmarszczył brwi, patrząc na fotografie.

- Nie rozumiem, dlaczego są takie ważne. Chodzi o adres?

- Nie, to rezydencja wynajmowana przez Bechtronics, firmę-córkę HRL Industries.

Saul wzruszył ramionami.

- To ważne?

- Nie. Ale to tak. - Aaron przesunął po blacie pięć kolejnych fotografii. - Levi wziął swoją firmową furgonetkę Bell Telephone - ciągnął z zadowoleniem w głosie. - Siedział na słupie telefonicznym trzydzieści stóp nad ziemią, kiedy sfotografował tych gości, wymykających się zaułkiem na tyłach posiadłości. Ta uliczka jest poza tym całkowicie niewidoczna. Wychodzą krytym chodnikiem, przez furtkę, do czekającej na nich limuzyny. Sąsiedzi niczego nie widzą, z końca uliczki też nic nie widać... Idealnie.

Czarno-białe kadry uchwyciły pięciu ludzi w tym samym momencie, w drodze od furtki do limuzyny. Mocno powiększone odbitki były bardzo ziarniste. Saul dokładnie obejrzał każdą z nich.

- Te twarze nic mi nie mówią, Moddy.

Aaron złapał się za głowę.

- Od jak dawna mieszkasz w tym kraju, wujku? - spytał, a kiedy Saul nie odpowiedział, dźgnął palcem zdjęcie mężczyzny o małych oczach, obwisłych policzkach i białej grzywie włosów. - To jest James Wayne Sutter, wiernym

lepiej znany jako wielebny Jimmy Wayne. Brzmi znajomo?

- Nie.

- Telewizyjny kaznodzieja. Zaczynał od kościoła dla zmotoryzowanych w Dothan, w Alabamie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Dziś ma własny kanał satelitarny i kablowy i nieopodatkowane dochody rządu siedemdziesięciu ośmiu milionów dolarów rocznie. Jego poglądy polityczne lokują go ciut na prawo od Huna Attyli. Kiedy wielebny Jimmy Wayne obwieszcza, że Związek Radziecki jest narzędziem szatana, a czyni to w telewizji codziennie, dwanaście milionów widzów odpowiada „Alleluja!”. Nawet premier Begin czyni gnojki awanse, dzięki czemu część ofiar wiernych idzie na zakup broni dla Izraela. Kiedy chodzi o ocalenie Ziemi Świętej, cel uświęca środki.

- To nie nowina, że Izrael utrzymuje kontakty z prawicowymi fanatykami - zauważył Saul. - Czy to właśnie tak was z Levim nakręciło? Może pan Harold jest jednym z wiernych wielebnego?

Podeksytowany Aaron schował do teczek zdjęcia Haroda i Suttera i uśmiechnął się do kelnerki, która przysłała dolać mu kawy. Restauracja była prawie pusta. Kiedy kelnerka sobie poszła, Aaron z ożywieniem podjął wątek:

- Jimmy Wayne Sutter jest najmniejszym z naszych zmartwień, wujku. Poznajesz tego człowieka?

Dotknął zdjęcia szczupłego mężczyzny o ciemnych włosach i głęboko osadzonych oczach.

- Nie.

- Nieman Trask. Zaufany doradca senatora Kelloga z Maine. Przypominasz sobie? Latem Kellog omal nie został oficjalnym kandydatem na wiceprezydenta.

- Poważnie? Której partii?

Aaron pokręcił głową.

- Co ty w ogóle robisz, wujku, skoro nie zauważasz, co się wokół ciebie dzieje?

Saul się uśmiechnął.

- Niewiele. Na uczelni prowadzę trzy kursy w tygodniu i nadal jestem opiekunem naukowym, mimo że już nie mam takiego obowiązku. W klinice prowadzę regularny program badawczy. Szóstego stycznia wychodzi moja druga książka...

- No dobrze... - Aaron westchnął.

- Co tydzień poświęcam przynajmniej dwanaście godzin na bezpośrednie konsultacje w klinice. W grudniu wziąłem udział w czterech seminariach, z czego dwa odbywały się w Europie; na każdym wygłaszałem referaty...

- W porządku.

- Zeszły tydzień był pod tym względem wyjątkowy: prowadziłem tylko jedną dyskusję panelową na uniwersytecie. Do tego dochodzą posiedzenia Komisji Miejskiej i Stanowej Rady Konsultacyjnej, czyli kolejne dwa wieczory. A teraz powiedz mi, Moddy, dlaczego pan Trask jest taki ważny? Dlatego że jest jednym z doradców senatora Kelloga?

- Nie jednym z doradców, tylko najważniejszym doradcą. Podobno Kellog nie pójdzie się nawet wysikać, jeśli nie skonsultuje się wcześniej z Traskiem. Poza tym w ostatniej kampanii Trask zapewnił partii ogromne pieniądze. Mówi się, że gdziekolwiek idzie Trask, tam płynie szmal.

- Miłe. A ten to kto? - Saul postukał palcem w czoło mężczyzny nieco przypominającego Charltona Hestona.

- Joseph Phillip Kepler. Za czasów Lyndona Johnsona numer trzy w CIA i mediator w Departamencie Stanu, obecnie specjalista od mediów i komentator PBS.

- To dlatego wydał mi się znajomy... W niedzielę prowadzi swój program w telewizji, prawda?

- *Rapid Fire* się to nazywa. Zaprasza urzędników rządowych, żeby następnie ich sponiewierać. Ten - Aaron wskazał zdjęcie niskiego, łysego mężczyzny z marsem na czole - to Charles C. Colben, asystent wicedyrektora FBI do zadań specjalnych.

- Ciekawe stanowisko. Może oznaczać wszystko albo nic.

- W tym wypadku oznacza cholernie dużo. Colben jest chyba jedynym znaczącym podejrzanym w aferze Watergate, który nie poszedł siedzieć. Był łącznikiem pomiędzy Białym Domem i FBI, niektórzy twierdzą, że to on stał za wybrykiem Gordona Liddy'ego². Zamiast jednak trafić za kratki, tylko wzmocnił swoją pozycję, gdy poleciały głowy pozostałych.

- Co to wszystko oznacza, Moddy?

- Momencik, wujku. Najlepsze zachowałem na koniec.

Aaron odsunął na bok obejrzone zdjęcia i na blacie została tylko fotografia szczupłego, dystygowanego mężczyzny po sześćdziesiątce w nienagannie skrojonym garniturze, z elegancko ułożonymi szpakowatymi włosami. Nawet na ziarnistej czarno-białej odbitce Saul dostrzegł charakterystyczne połączenie szykowności stroju, lekkiej opalenizny i aury

władzy, jakie dają wyłącznie ogromne pieniądze.

- C. Arnold Barent - powiedział Aaron i na ułamek sekundy zawiesił głos.
- Nazywany „przyjacielem prezydentów”. Każda Pierwsza Rodzina od czasów Eisenhowera spędza przynajmniej jeden urlop w jednej z dyskretnych rezydencji Barenta. Jego ojciec, potentat stalowo-kolejowy, był zaledwie milionerem i na dobrą sprawę biedakiem w porównaniu z Barentem juniorem i jego miliardami. Gdybyś przeleciał się nad Manhattanem i wskazał dowolny z tamtejszych wieżowców, miałbyś ponad pięćdziesiąt procent szans na to, że jedna z firm zajmujących najwyższe piętra jest własnością spółki-matki będącej podmiotem zależnym korporacji zarządzanej przez konsorcjum, którego większościami udziałowcem jest C. Arnold Barent. Media, elektronika, studia filmowe, ropa, sztuka, żywność dla dzieci... Barent jest wszędzie.

- Co oznacza to „C” przed imieniem?

- Nikt nie ma zielonego pojęcia. C. Arnold senior nigdy tego nie wyjaśnił, jego syn również milczy. Tak czy inaczej, Secret Service uwielbia te wizyty prezydenckich rodzin u Barenta. Barent buduje swoje rezydencje głównie na wyspach, jest właścicielem wysp rozrzuconych po całym świecie... Rozkład posiadłości, zabezpieczenia, lądowiska dla śmigłowców, łącza satelitarne, w ogóle wszystko jest tam lepsze niż w Białym Domu. Raz w roku, zwykle w czerwcu, należąca do Barenta Fundacja Dziedzictwa Zachodu organizuje „obóz letni”, tygodniową balangę dla najważniejszych dużych chłopców na półkuli zachodniej. Wstęp wyłącznie za zaproszeniami, a żeby takie zaproszenie dostać, trzeba być co najmniej członkiem gabinetu, i to na fali wznoszącej... Druga kategoria to emeryci, którzy w swoim czasie byli żywą legendą. Plotki z ostatnich paru lat wspominają o byłych kanclerzach Niemiec tańczących przy ognisku i śpiewających sprośne piosenki pospołu z dawnymi amerykańskimi sekretarzami stanu i eks-prezydentami. To jest taka okazja, że światowi przywódcy mogą całkowicie wyluzować... Tak to się chyba w Stanach mówi, prawda, wujku?

- Tak. - Saul patrzył, jak Aaron chowa ostatnią fotografię. - Powiedz mi teraz, Aaronie, co to wszystko właściwie znaczy? Dlaczego Tony Harold z Hollywood przylatuje na potajemne spotkanie z piątką ważnych ludzi, których, jak mi Bóg miły, powinienem znać, ale nie znam?

Aaron schował teczkę do neseseru i splótł palce dłoni. Zacisnął usta.

- To ty mi powiedz, wujku. Producent filmowy, były nazista, a przynajmniej ty uważasz go za byłego nazistę, ginie w katastrofie lotniczej,

najprawdopodobniej spowodowanej wybuchem bomby na pokładzie. Wysyłasz do Hollywood bogatego studenta, żeby tam zabawił się w detektywa i pogrzebał trochę w przeszłości tego producenta. Twój wysłannik znika... najprawdopodobniej zostaje zamordowany, podobnie zresztą jak jego dwaj współnicy-amatorzy. Tydzień później wspólnik producenta-nazisty, człowiek o uroku szarlatana i pedofila w jednym, leci do Waszyngtonu, gdzie spotyka się z przedziwną zbieraniną szemranych szarych eminencji, o jakiej świat nie słyszał od czasu pierwszego zebrania rządu Jasera Arafata. Co tu się dzieje, wujku?

Saul zdjął okulary i przetarł szkła. Długo milczał, ale Aaron cierpliwie czekał.

- Moddy... - powiedział w końcu Saul. - Ja naprawdę nie wiem, co się dzieje. Interesowałem mnie wyłącznie Oberst... Wydawało mi się, że rozpoznałem go jako Williama D. Bordena. Do dziś nigdy nawet nie słyszałem o żadnym z tych ludzi. Nie miałem pojęcia, kim był Borden, dopóki w niedzielnym *New York Timesie* nie zobaczyłem jego zdjęcia; dopiero wtedy zrozumiałem, że to Oberst Wilhelm von Borchert z Waffen SS...

Założył okulary i przytknął drżące palce do czoła. Zdawał sobie sprawę, że dla Aarona wygląda w tej chwili jak roztrzęsiony, zmieszany starszy pan i bynajmniej nie udawał.

- Mnie możesz powiedzieć, wujku - powiedział Aaron po hebrajsku. - Pomogę ci.

Saul pokiwał głową. Poczł napływające do oczu łzy i pośpiesznie odwrócił wzrok.

- Jeżeli miałyby to mieć jakiś związek z Izraelem... - naciskał Aaron. - Jeżeli miałyby stanowić zagrożenie... Musimy współpracować, wujku.

Saul wyprostował się na krześle.

Stanowić zagrożenie.

Przed oczami stanął mu ojciec z małym Josefem na rękach, stojący w kolejce bladych, nagich mężczyzn i chłopców w Chełmnie. Znow poczuł ból i upokorzenie po wymierzonym przez ojca policzku i już wiedział, dokładnie wiedział, tak jak wtedy wiedział to jego ojciec, że czasem ocalenie rodziny musi mieć najwyższy priorytet.

Ujął dłoń Aarona w obie swoje.

- Moddy... musisz mi zaufać. Wydaje mi się, że dzieje się wiele rzeczy jednocześnie, które nie mają ze sobą nic wspólnego. Człowiek, którego

wziąłem za znanego mi z obozów Obersta, prawdopodobnie wcale nim nie był. Francis Harrington był genialny, ale niezrównoważony; nie radził sobie z brzemieniem odpowiedzialności, tak jak trzy lata temu nie poradził sobie w Princeton i wyleciał ze studiów. Wypłaciłem mu niedorzecznie wysoką zaliczkę na poczet wydatków związanych z prześledzeniem przeszłości Williama Bordena; jestem przekonany, że jego matka, sekretarka albo dziewczyna lada dzień dostanie od niego pocztówkę z Bora Bora lub podobnego miejsca...

- Wujku...

- Posłuchaj mnie, Moddy, proszę. Koledzy Francisa? Zginęli w wypadku. To się zdarza, na pewno słyszałeś o kimś, kto miał wypadek... Może Chaim, twój kuzyn, jechał džipem z Golan na spotkanie z dziewczyną niewiele lepszą niż *nafkeh*...

- Wujku...

- Słuchaj, Moddy: bawisz się teraz w Jamesa Bonda, tak jak przed laty bawiłeś się w Supermana. Pamiętasz? Przyjechałem was odwiedzić... było lato, ty miałeś dziewięć lat... za dużo, żeby skakać z tarasu z ręcznikiem powiewającym na szyi. Potem przez całe lato nie mogłeś się bawić z ulubionym wujem, bo miałeś nogę w gipsie.

Aaron zarumienił się i spuścił wzrok.

- Bardzo ciekawe są te twoje zdjęcia - ciągnął Saul - ale co właściwie sugerują? Spisek przeciwko Jerozolimie? Istnienie amerykańskiej komórki Fatah gotowej przerzucić bomby nad granicę z Izraelem? Moddy, widziałeś bogatych i wpływowych ludzi, którzy w bogatym i wpływowym mieście spotkali się z producentem pornografii! Naprawdę uważasz, że to było tajne spotkanie? Sam mi powiedziałeś, że C. Arnold Barent jest właścicielem wyspiarskich rezydencji, w których prezydent jest bezpieczniejszy niż we własnym domu. To było po prostu spotkanie dyskretne, nic więcej. Któż to może wiedzieć, jakie brzydkie filmiki sponsorują ci ludzie albo jaki gust ma ten twój ponownie narodzony wielebny Wayne Jim?

- Jimmy Wayne - poprawił go Aaron.

- Mniejsza z tym. Naprawdę uważasz, że powinniśmy zawracać głowę twoim przełożonym w ambasadzie? Angażować w sprawę prawdziwych tajnych agentów? Ryzykować, że wieść o tym dojdzie do schorowanego Davida? Tylko dlatego, że jacyś *meszugen* spotkali się, żeby porozmawiać o świńskim filmie?

Szczupła twarz Aarona przybrała kolor buraka. Przez chwilę Saul miał

wrażenie, że chłopak zaraz się rozpłaczę.

- Rozumiem, wujku. Nie chcesz mi nic powiedzieć.

Saul dotknął jego ręki.

- Przysięgam na grób twojej matki, Moddy: powiedziałem ci wszystko, co ma dla mnie sens. Zostanę w Waszyngtonie jeszcze dzień, może dwa; moglibyśmy się spotkać we troje z Deborah, porozmawiać... Mieszkacie po drugiej stronie rzeki, prawda?

- Tak, w Alexandrii. Może dziś wieczorem?

- Dziś mam spotkanie. Ale jutro... Jutro chętnie zjadłbym jakiś domowy posiłek. - Saul obejrzał się na trójkę Izraelczyków, którzy poza nimi dwoma byli już jedynymi klientami restauracji. - Co im powiemy?

Aaron poprawił okulary na nosie.

- Tylko Levi wie, dlaczego tu jesteśmy. A że i tak wszyscy wybieraliśmy się na lunch... - Natarczywie spojrzał wujowi w oczy. - Na pewno wiesz, co robisz, wujku?

- Tak. Wiem. Na razie chcę robić jak najmniej, wykorzystać resztę urlopu na odpoczynek i przygotować się do styczniowych zajęć. - Saul ruchem głowy wskazał Izraelczyków. - Mam nadzieję, Moddy, że nie każesz im mnie śledzić ani nic... Mogliby postawić w niezręcznej sytuacji pewną moją... koleżankę z pracy, z którą mam nadzieję zjeść dzisiaj kolację.

Aaron wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- I tak mamy za mało ludzi - odparł. - Tylko Levi ma zresztą jakie takie papiery na agenta, Harry i Barbara pracują ze mną w kryptografii.

Wstali od stołu.

- To co, wujku, do jutra? Mam po ciebie przyjechać?

- Nie, mam samochód. Z wypożyczalni. Koło szóstej?

- Może być wcześniej, jeśli dasz radę. Zdążyłbyś się pobawić z dziewczynkami przed kolacją.

- W takim razie wpół do piątej.

- I porozmawiamy?

- Obiecuję.

Weszli po schodach do sali pod kopułą, objęli się i każdy poszedł w swoją stronę. Saul zajrzał do sklepu z pamiątkami i odczekał, aż Harry, Barbara i śniady mężczyzna imieniem Levi wyjdą, po czym bez pośpiechu wszedł na górę, do impresjonistów.

Dziewczynka w słomkowym kapeluszu czekała na niego z tą samą lekko zaskoczoną, lekko zdumioną i zarazem lekko urażoną miną, która poruszała

w nim jakąś wrażliwą strunę. Długo stał przed nią, rozmyślając o rodzinie, zemście i strachu. Złapał się też na rozważaniach o moralności - albo nierozwadze - angażowania w sprawę dwojga gojów, których ta walka nijak nie mogła dotyczyć.

Postanowił wrócić do hotelu, wziąć bardzo długi i bardzo gorący prysznic i poczytać Mortimera Adlera. Później, kiedy zaczną obowiązywać wieczorne stawki za połączenia, zadzwoni do Charleston, porozmawia z Natalie, może także z szeryfem, jeśli tylko się uda. Powie im, że spotkanie przebiegło po jego myśli i upewnił się, że zabity w katastrofie samolotu producent nie był prześladowującym go w koszmarach sennych niemieckim pułkownikiem. Przyzna, że ostatnio żyje w wielkim stresie, a oni już niech sami wyciągną wnioski z jego opisu Niny Drayton i analizy wypadków w Charleston.

Stał przed obrazem, pogrążony w myślach, gdy za jego plecami rozległ się ściszony głos:

- Śliczny obrazek, nieprawdaż? Jakie to smutne, że dziewczynka, która do niego pozowała, dawno zmarła i zgniła.

Saul okręcił się na pięcie. Stał przed nim Francis Harrington. Jego upstrzona piegami twarz była blada jak pośmiertna maska, oczy miał dziwnie szkliste, kąciki ust wygięły się ku górze jak pociągane niewidzialnymi sznurkami, odsłaniając zęby w stężałej, odrażającej namiastce uśmiechu. Harrington rozłożył ręce, jakby zamierzał zagarnąć Saula w objęcia.

- *Guten Tag, mein alte Freund* - powiedział stwór, który dawniej był Francisem Harringtonem. - *Wie geht's, mein kleiner Bauer?* Mój ulubiony pionku?

16.

Charleston

25 grudnia 1980, czwartek

Na samym środku szpitalnej poczekalni stała trzystopowej wysokości srebrna choinka. Wokół niej leżało pięć pustych, lecz kolorowo opakowanych pudeł na prezenty, sama choinka zaś przybrana została zrobionymi przez dzieci ozdóbkami z papieru. Słońce malowało białe i żółte prostokąty na wykafelkowanej podłodze.

Szeryf Gentry skinął głową recepcjonistce, kierując się w stronę wind.

- Dobrych i wesołych świąt, pani Howell! - zawołał. Wcisnął guzik windy i czekał, trzymając w rękach dużą torbę z białego papieru.

- Wesołych świąt, szeryfie! - odpowiedziała siedemdziesięcioletnia wolontariuszka. - Mogłabym panu zająć chwilkę?

- Naturalnie, proszę pani.

Gentry cofnął się od otwierających się właśnie drzwi windy i podszedł do biurka w recepcji. Pani Howell miała na sobie fartuch, którego pastelowa zieleń gryzła się z ciemną zielenią leżących na laminowanym blacie plastikowych gałązek sosny. Obok wizytownika walały się dwa przeczytane i porzucone harlequiny.

- W czym mogę pomóc, pani Howell?

Starsza pani nachyliła się nad biurkiem i zsunęła z nosa dwuogniskowe okulary, które zawisły na ozdobnym łańcuszku na jej szyi.

- Chodzi o tę kolorową panią spod czwórki, co ją w nocy przywieźli - zaczęła podekscytowanym głosem, który niewiele się różnił od konspiracyjnego szeptu.

- Tak?

- Siostra Oleander twierdzi, że siedział pan przy niej całą noc... jak jakiś strażnik... i że rano, kiedy musiał pan wyjść, postawił pan pod drzwiami swojego zastępcę...

- Lestera. - Gentry poprawił ciężącą mu torbę. - Lester i ja jesteśmy jedynymi pracownikami biura szeryfa, którzy nie mają żon i rodzin, dlatego najczęściej bierzemy dyżury w święta.

- No ja to wiem - przyznała pani Howell, nieco zbity z pantafyku. - Ale tak się zastanawialiśmy z siostrą Oleander, że skoro to Wigilia i teraz pierwszy dzień świąt, to... O co właściwie oskarżona jest ta kolorowa?

Rozumiem, że to sprawa oficjalna i w ogóle, ale... czy to prawda, że jest podejrzaną w sprawie morderstw w Mansard House? I że trzeba ją było sprowadzić tu siłą?

Gentry uśmiechnął się i pochylił nad panią Howell.

- Umie pani dochować tajemnicy? - zapytał.

Recepcjonistka włożyła okulary, odęła wargi, wyprężyła się na krześle i z powagą skinęła głową.

- Naturalnie, szeryfie. Cokolwiek mi pan powie, nie wyjdzie poza to biurko.

Gentry pokiwał głową i szepnął jej do ucha:

- Panna Preston jest moją narzeczoną. Niezbyt jej się to podoba, więc na co dzień trzymam ją zamkniętą w piwnicy. Wieczorem poszedłem pokoleďdować, a ona próbowała się wydostać i uciec. Dlatego musiałem jej przyłóżyć. Kazałem Lesterowi trzymać ją na muszce, dopóki nie wrócę.

Zanim wsiadł do windy, obejrzał się jeszcze przez ramię i mrugnął porozumiewawczo. Pani Howell trwała w swojej idealnej pozie, tylko okulary zsunęły jej się na czubek nosa, a usta otworzyły się leciutko w niemym wyrazie zdumienia.

Natalie uniosła wzrok, kiedy Gentry wszedł do dwuosobowego pokoju, który miała cały dla siebie.

- Dzień dobry i wesołych świąt! - zawołał na powitanie. Przyciągnął: do łóźka stolik na kółkach i postawił na nim przyniesioną torbę. - Ho, ho, ho...

- Wesołych świąt - odpowiedziała Natalie zmęczonym, ochrypłym głosem. Skrzywiła się i lewą ręką dotknęła szyi.

- Widziała pani te siniaki? - spytał Gentry i pochylił się nad nią, żeby samemu obejrzeć ślady ataku.

- Tak... - wyszeptała.

- Ten, kto to zrobił, musiał mieć paluchy jak Van Cliburn. Jak głowa?

Natalie dotknęła ogromnego bandaźa po lewej stronie głowy.

- Co się stało? - wychrypiała. - To znaczy, pamiętam, że ktoś mnie dusił, ale nie przypominam sobie, żebym uderzyła się w głowę...

Gentry zaczął wyjmować z torby styropianowe pojemniki z jedzeniem.

- Lekarz już był?

- Odkąd się obudziłam, to nie.

- Uważa, że uderzyła pani głową o drzwi wozu, szarpiąc się z tym facetem. - Szeryf zdjął pokrywki z wielgachnych styropianowych kubków z

parującą kawą i plastikowych kubeczków soku pomarańczowego. - Mały siniak, odrobina krwi... Ale to przez duszenie straciła pani przytomność.

Natalie musnęła szyję i skrzywiła się na wspomnienie tamtych chwil.

- Teraz wiem, jakie to uczucie, kiedy się człowiek dusi - wyszeptwała, uśmiechając się półgębkiem.

- Wcale nie. - Gentry pokręcił głową. - Przydusił panią, ale utrata przytomności była skutkiem odcięcia dopływu krwi do mózgu, a nie powietrza do płuc. Zna się na rzeczy; gdyby choć trochę przesadził, ryzykowałby u pani uszkodzenie mózgu. Bułeczkę do jajecznicy?

Natalie wytrzeszczyła oczy, widząc wyłożone na stoliku obfite śniadanie: kawa, przypieczone bułeczki, jajka, bekon, kiełbasa, sok pomarańczowy, owoce.

- Skąd pan to wszystko wytrzasnął? - spytała z niedowierzaniem. - Podali mi tu już śniadanie, którego nie byłam w stanie przełknąć: jajko w koszulce i słabą herbatę. Która restauracja jest otwarta w pierwszy dzień świąt z samego rana?

Gentry zdjął kapelusz, położył go na sercu i zrobił urażoną minę.

- Restauracja? Restauracja? Szanowna pani, to chrześcijańskie, bogobojne miasto i w taki dzień jak dzisiaj nie ma w nim żadnej otwartej restauracji... Może z wyjątkiem lokalu Toma Delphina przy autostradzie, ale Tom jest agnostykiem. Nie, szanowna pani, to żarełko prosto z kuchni niżej podpisanego. Proszę jeść, bo wystygnie.

- Dziękuję... szeryfie. Ale nie dam rady tyle zjeść...

- I bardzo dobrze. Bo to także moje śniadanie. Proszę, tu jest pieprz.

- Ale moje gardło...

- Lekarz powiedział, że przez jakiś czas może boleć, ale nie powinno przeszkadzać przy jedzeniu. Smacznego.

Natalie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ostatecznie tylko wzięła do ręki widelec.

Gentry wyjął z torby radyjko tranzystorowe i postawił je na stoliku. Większość stacji nadawała świąteczne przeboje, znalazł jednak stację z muzyką poważną i z głośnika popłynęły tony *Mesjasza* Haendla.

Natalie z wyraźną przyjemnością pałaszowała jajecznicę. Napiała się kawy.

- Wyśmienite, szeryfie! A jak Lester?

- Rzadko ktoś nazywa go wyśmienitym.

- Pytałam, czy nadal tu jest.

- Nie. Wrócił na posterunek, ma dyżur do południa. Potem Stewart go

zluzuje. Proszę się nie martwić, Lester zjadł już śniadanie.

- Dobra ta kawa. - Natalie spojrzała na szeryfa ponad stosem styropianowych opakowań. - Lester mówił, że przesiedział pan tu całą noc.

Gentry'emu udało się jednym gestem odłożyć kapelusz i wzruszyć ramionami.

- Przekłete jajka. Stygną nawet w tym głupim styropianie.

- Bał się pan, że... ktokolwiek to był... wróci?

- Nieszczególnie. Ale ponieważ wczoraj wieczorem niewiele zdążyliśmy porozmawiać, bo szybko dali pani zastrzyk, pomyślałem, że nie zawadzi, jeśli, kiedy się pani obudzi, będzie pod ręką ktoś do pogadania.

- I tym sposobem spędził pan Wigilię w szpitalu na krześle.

Gentry uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A co mi tam... Lepsze to niż oglądanie pana Magoo w roli Scrooge'a dwudziesty raz z rzędu.

- Jak to się stało, że tak szybko mnie pan znalazł?

Natalie nadal miała chrypę, ale mówienie sprawiało jej już mniejszy ból.

- No, jakkolwiek by na to patrzeć, umówiliśmy się, prawda? Kiedy stwierdziłem, że nie ma pani w domu i nie znalazłem żadnej wiadomości na swojej automatycznej sekretarce, postanowiłem przejechać koło domu pani Fuller. Wiedziałem, że lubi tam pani zaglądać.

- Nie widział pan napastnika?

- Nie. Zobaczyłem tylko panią, siedzącą na przednim fotelu i jakby... zgarbioną nad aparatem. Aparat był zakrwawiony.

Natalie pokręciła głową.

- Nie przypominam sobie, żebym uderzyła go aparatem. Pamiętam tylko, że próbowałam sięgnąć po pistolet taty.

- A właśnie, skoro o tym mowa... - Gentry podszedł do krzesła, na które odwiesił zieloną kurtkę od munduru, wyjął z kieszeni trzydziestkę dwójkę i położył ją na stoliku obok kubka z sokiem. - Zabezpieczyłem go - powiedział - ale cały czas jest naładowany.

Natalie wzięła do ręki bułeczkę.

- Kto to był?

Gentry pokręcił głową.

- Mówiła pani, że biały?

- Tak. Widziałam tylko nos... kawałek policzka... oczy... ale jestem pewna, że był biały.

- Wiek?

- Nie jestem pewna... Wydawało mi się, że może być w pana wieku... może po trzydziestce.

- Czy przypomniała sobie pani coś, czego nie powiedziała mi wczoraj wieczorem?

- Nie, raczej nie. Był już w samochodzie, kiedy wróciłam; musiał się położyć na podłodze z tyłu...

Natalie wzdrygnęła się i odłożyła nietkniętą bułkę.

- Stłukł lampkę w aucie. - Gentry dojadł jajecznicę. - Dlatego światło się nie włączyło, kiedy otworzyła pani drzwi. Mówiła pani, że u pani Fuller światło paliło się w oknie na piętrze?

- Tak. Nie w przedpokoju i nie w sypialni, chyba raczej w pokoju gościnnym. Widziałam przez szparę w żaluzjach.

- Proszę to zjeść. - Gentry podsunął Natalie talerzyk z bekonem. - Wiedziała pani, że w tym domu nie ma prądu?

- Nie - przyznała Natalie, unosząc brwi.

- To musiała być latarka, może jedna z tych dużych latarni elektrycznych.

- Czyli wierzy mi pan?

Gentry - zajęty składaniem i wyrzucaniem styropianowych pudełek - znieruchomiał i spojrzał na Natalie.

- Dlaczego miałbym pani nie wierzyć? Przecież sama by sobie pani takich sińców na szyi nie narobiła.

- Ale dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zabić? - spytała Natalie głosem wątlejszym niżby to wynikało z samego bólu gardła.

Gentry dalej sprzątał po jedzeniu.

- To nie tak - odparł. - Nie wiem, kto to był, ale nie chciał pani zabić. Chciał zrobić pani krzywdę...

- I to mu się udało. - Natalie znacząco dotknęła gardła i obandażowanej głowy.

- ...i panią przestraszyć.

- To też. - Natalie rozejrzała się. - Boże, jak ja nie cierpię szpitali...

- Poza tym coś powiedział, prawda? Proszę to powtórzyć.

Natalie zamknęła oczy.

- „Chcesz znaleźć tę kobietę? Szukaj w Germantown”.

- Jeszcze raz. Proszę spróbować odtworzyć brzmienie głosu i użyć dokładnie tych samych słów.

Natalie powtórzyła słowa mężczyzny beznamiętnym, wypranym z emocji tonem.

- Tak to brzmiało? Bez żadnego akcentu, dialektu...?

- Bez. Bardzo... płasko. Jakbym słuchała spikera odczytującego w radiu prognozę pogody.

- Czyli nie był to ktoś stąd.

- Nie.

- Jankes? - spytał Gentry i powiedział to z tak wyrazistym i charakterystycznym nowojorskim akcentem, że Natalie parsknęła śmiechem, nie bacząc na obolałe gardło.

- Nie.

- Ktoś z Nowej Anglii? Amerykański Żyd z New Jersey? A może Niemiec? - dopytywał się Gentry, perfekcyjnie naśladowując trzy kolejne akcenty.

- Nie. - Natalie wciąż się śmiała. - Niezły pan jest, ale... nie. To było zupełnie płaskie, na jednej nucie.

- Głos wysoki? Niski? Basowy?

- Niski, ale nie tak niski jak pański. Taki miękki baryton.

- Czy to mogła być kobieta? - spytał Gentry.

Natalie na chwilę zaniemówiła. Przypomniała sobie widok w lusterku, kiedy czerwone plamy zaczynały jej już przyćmiewać wzrok... szczupła twarz, krecha policzka, szare oczy. Pomyślała o tych silnych ramionach i dłoniach. To mogła być kobieta, pomyślała. Bardzo silna kobieta.

- Nie - powiedziała na głos. - To tylko moje wrażenie, nic więcej, ale ja czułam, że to mężczyzna. Nie wiem, czy mnie pan rozumie... Nigdy nie byłam napastowana przez mężczyznę. Nie było też żadnego podtekstu seksualnego...

Zmieszana, zawiesiła głos.

- Rozumiem - zapewnił ją Gentry. - Tak czy inaczej, to kolejna wskazówka, że napastnik wcale nie chciał pani zabić. Morderca nie bawiłby się w przekazywanie wiadomości ofierze.

- Wiadomości? Dla kogo?

- Może „ostrzeżenie” byłoby tu lepszym słowem. Mniejsza z tym. Zdarzenie trafiło do policyjnych statystyk jako napaść i domniemana próba gwałtu; trudno było mi to zaklasyfikować jako próbę rabunku, skoro nie zabrał pani torebki ani niczego innego. - Gentry uprzątnął pudełka i naczynia, zostawiając tylko kubki po kawie. Z prawie pustej papierowej torby wyciągnął niski termos. - Napije się pani jeszcze?

- Pewnie - odparła Natalie po krótkim wahaniu, podsuwając mu kubek. -

Zwykle po kawie trzęsą mi się ręce, ale mam wrażenie, że dziś pomaga mi zneutralizować ten wczorajszy zastrzyk.

- A poza tym są święta - dodał Gentry, nalewając kawy im obojgu.

W milczeniu wysłuchali triumfalnego finału *Mesjasza*.

Transmisja dobiegła końca i spiker przeszedł do przedstawienia kolejnych pozycji programu.

- Nie musiałam chyba na noc zostawać w szpitalu, prawda? - spytała Natalie.

- To był poważny uraz - zauważył Gentry. - Straciła pani przytomność na co najmniej dziesięć minut, a rozcięta głowa (uderzyła pani w zapięcie pasa bezpieczeństwa) wymagała założenia ośmiu szwów.

- Ale chyba mogli mnie wypisać do domu?

- Najprawdopodobniej tak. Ja jednak uznałem, że to nie jest dobry pomysł. Nie chciałem zostawiać pani samej. W takim stanie nie przyjąłaby pani raczej propozycji zatrzymania się u mnie na noc, a ja z kolei nie zamierzałem spędzić Wigilii w nieoznakowanym samochodzie pod pani domem. Poza tym zatrzymanie pani na noc na obserwację było ze wszech miar wskazane, nawet lekarz tak powiedział.

- Zatrzymałabym się u pana - odparła Natalie bez śladu kokieterii w głosie. - Boję się - dodała.

Gentry pokiwał głową.

- Rozumiem. - Dopił kawę. - Ja też się boję. Nie wiem nawet dlaczego, ale mam przeczucie, że tkwimy po szyję w czymś, czego nie ogarniamy.

- Czyli wierzy pan Saulowi?

- Czułbym się lepiej, gdyby się odezwał przez te sześć dni od wyjazdu - przyznał szeryf - ale nie musimy wierzyć we wszystko, co nam powiedział, żeby widzieć, że coś się wokół nas dzieje.

- Jak pan sądzi, złapiecie człowieka, który mnie napadł?

Natalie nagle poczuła się bardzo zmęczona. Opadła na poduszki i postawiła oparcie łóżka bardziej do pionu.

- Jeśli będziemy się opierać tylko na wynikach pracy techników kryminalnych, to nie. Zbadali odciski palców, ślady w samochodzie, sprawdzają jeszcze krew na pani aparacie, ale niewiele nam to da. Jeżeli chcemy coś odkryć, musimy kontynuować własne śledztwo.

- Albo czekać, aż znów zostanę napadnięta.

- To mało prawdopodobne. Dostarczyli swoją wiadomość.

- „Chcesz znaleźć tę kobietę? Szukaj w Germantown” - zacytowała

Natalie. - Czy może chodzić o Melanie Fuller?

- A przychodzi pani do głowy ktoś inny?

- Nie. Gdzie jest Germantown? Czy takie miejsce naprawdę istnieje? Może mieć jakiś związek z Oberstem Saula? Może to jakiś... szyfr?

- Słyszałem o kilku „Germantown” jako dzielnicach miast na północy; zdaje się, że część Filadelfii tak się właśnie nazywa. Odrębnych miast i miasteczek o takiej nazwie może być w całym kraju nawet ze sto. W moim małym atlasie ich nie ma, ale pójdę do biblioteki, poszukam. Dla mnie to nie brzmi jak szyfr, po prostu... nazwa miejsca.

- Ale dlaczego ktoś miałby nam zdradzać, gdzie ona jest? - dziwiła się Natalie. - Kto mógłby to wiedzieć? I dlaczego powiedziałyby właśnie nam?

- Doskonałe pytania - przyznał Gentry. - Na które na razie nie znam odpowiedzi. Jeżeli Saul mówił prawdę, to nawet on nie rozumie wszystkiego, co się tutaj dzieje.

- Czy ten człowiek z wczoraj mógł być takim... wysłannikiem samej Fuller? Kimś, kogo wykorzystała w taki sam sposób, jak Oberst wykorzystał Saula? Mogłaby wtedy nadal znajdować się w Charleston i tylko próbować zmylić trop.

- To możliwe. Sęk w tym, że wszystkie takie scenariusze, które rozważam, są dziurawe jak rzeszoto. Gdyby Melanie Fuller żyła i przyczaiła się w Charleston, po co w ogóle odkrywałyby przed nami karty? Kim my dla niej jesteśmy? Sprawą zajmują się dwie służby miejskie, trzy stanowe i jeszcze to przekłete FBI na dodatek! W zeszłym tygodniu wszystkie trzy stacje telewizyjne zrobiły o sprawie materiał. W poniedziałek na konferencję prasową prokuratora okręgowego przyszły tłumy, część dziennikarzy zresztą została i dalej węszy... Na szczęście nie interesują się specjalnie działaniami biura szeryfa. Dlatego postanowiłem nie podkreślać w raporcie, że została pani napadnięta w samochodzie zaparkowanym przed domem pani Fuller. Już widzę te nagłówki w jakimś *Spoconym Kurierze*: KOLEJNA OFIARA MORDERCZEGO DOMU W CHARLESTON.

- W takim razie, jaki scenariusz wydaje się panu najbardziej sensowny?

Gentry dokończył sprzątanie, odsunął stolik i przysiadł na skraju łóżka. Poruszał się z lekkością i gracją niezwykłymi u człowieka tak potężnej postury, jakby pod całym tym tłuszczem i różową skórą krył się wytrenowany sportowiec.

- Przypuśćmy, że historia opowiedziana nam przez Saula jest prawdziwa - odparł półgłosem. - Mamy więc do czynienia z sytuacją, w której te wampiry

umysłowe zwróciły się przeciw sobie nawzajem. Nina Drayton nie żyje; widziałem jej ciało przed i po przewiezieniu do kostnicy. Czymkolwiek była, dziś jest już tylko wspomnieniem... popiołem... Ludzie, którzy odebrali ciało, zlecili jego kremację.

- A kto to był? - zaciekała się Natalie.

- Nikt z rodziny. Nawet nie przyjaciele, prawdę mówiąc: adwokat z Nowego Jorku, odpowiedzialny za wykonanie jej testamentu, i dwaj członkowie korporacji, w której zarządzie zasiadała.

- Ninę Drayton mamy z głowy. Kto nam został?

Gentry podniósł dłoń z wyprostowanymi trzema palcami.

- Melanie Fuller - odliczał, zginając kolejne palce. - William Borden, czyli Saulowy Oberst...

- To dwoje - zauważyła Natalie, wpatrując się w ostatni palec. - Kto jeszcze?

- Miliony niewiadomych. - Gentry poruszył wszystkimi palcami jednocześnie. - Ale, ale, mam dla pani prezent bożonarodzeniowy.

Wyjął z kieszeni kurtki kopertę ze świąteczną kartką i biletem lotniczym.

- Do St. Louis - przeczytała Natalie. - Na jutro.

- Zgadza się. Na dziś nie mieli nic wolnego.

- Wygania mnie pan z miasta, szeryfie?

- Można tak powiedzieć - odparł z uśmiechem Gentry. - Tak jak można by powiedzieć, że pozwałam sobie na zbyt wiele, panno Preston, ale czułbym się znacznie lepiej, gdyby zniknęła pani stąd do czasu, aż te bzdury się wyjaśnią.

- Nie wiem, co o tym myśleć... Dlaczego w St. Louis miałabym być bezpieczniejsza? Jeżeli ktoś na mnie dybie, to przecież może tam za mną pojechać.

Gentry założył ręce na piersi.

- Cenna uwaga. Nie wydaje mi się jednak, żeby ktoś na panią dybał, panno Preston - zauważył, a kiedy nie zareagowała, mówił dalej: - Mówiła pani, że ma tam przyjaciół. Mogłaby pani mieszkać z Frederickiem...

- Nie potrzebuję ani ochroniarza, ani opiekunki - odparowała Natalie lodowato.

- Nie, ale w St. Louis znajdzie się pani wśród przyjaciół, będzie miała zajęcie, a przede wszystkim zniknie ze sceny tutaj, w Charleston.

- A co z poszukiwaniem zabójcy mojego ojca? Kto będzie miał oko na dom pani Fuller do czasu, aż Saul da jakiś znak życia?

- Jeśli chodzi o dom, to zainstaluję tam swojego zastępcę. Dogadałem się

z panią Hodges, mój człowiek będzie mógł u niej zamieszkać w pokoju pana Hodgesa, na piętrze... Okno wychodzi na podwórze.

- A pan? Co pan zamierza?

Gentry zgarnął kapelusz z łóżka, zgniótł go wzdłuż, żeby poprawić mu fason, i założył na głowę.

- Tak sobie pomyślałem, że... pójdę na urlop.

- Na urlop! - Natalie nie posiadała się ze zdumienia. - Teraz? Kiedy tyle się dzieje?

- Prawie to samo usłyszałem w biurze. - Gentry się uśmiechnął. - Prawda jest taka, że od dwóch lat nie brałem wolnego i hrabstwo jest mi winne co najmniej pięć tygodni urlopu. Chyba mogę wykorzystać z tego tydzień albo dwa, tak sobie myślę.

- Od kiedy?

- Od jutra.

- Dokąd się pan wybiera? - W głosie Natalie zabrzmiało coś więcej niż tylko ciekawość.

Gentry podrapał się po policzku.

- Myślałem o tym, żeby pomalutku ruszyć na północ, wpaść na parę dni do Nowego Jorku. Dawno już tam nie byłem. Potem zajrzałym na dzień albo dwa do Waszyngtonu.

- W poszukiwaniu Saula.

- Może odezwałbym się do niego - przyznał Gentry, przeciągając słowa. Spojrzał na zegarek. - No, robi się późno. Koło dziewiątej powinien wpaść lekarz, zaraz potem pewnie panią wypiszą. - Zawiesił głos. - Cofnijmy się na chwilę do momentu, w którym powiedziała pani, że zatrzymałaby się pani u mnie w domu...

Natalie podparła się łokciami i dźwignęła na poduszkach.

- To zaproszenie? - spytała.

- Tak, proszę pani. Wolałbym, żeby przed odlotem nie siedziała pani za długo u siebie. Oczywiście mogłaby pani zameldować się w jakimś hotelu, ja poprosiłbym o pomoc Lestera albo Stewarta i na zmianę byśmy pani pilnowali...

- Szeryfie? Zanim się zgodzę, jedną rzecz musimy ustalić.

Gentry spoważniał.

- Słucham.

- Mam dość nazywania pana szeryfem, a jeszcze bardziej mam dość bycia nazywaną „panią”. Albo przejdziemy na „ty”, albo nic z tego nie będzie.

- Mnie to pasuje. - Gentry uśmiechnął się szeroko. - Proszę pani.

- Jest tylko jeden problem - przyznała Natalie. - Jakoś nie umiem się zmusić, żeby nazywać cię Bobbym Joe.

- To zupełnie jak moi staruszkowie. Nikt mnie tak nie nazywał, dopóki nie zostałem zastępcą szeryfa w Charleston. A kiedy ubiegałem się o posadę szeryfa, jakoś tak wyszło, że zostałem przy Bobbym Joe.

- Jak wobec tego nazywali cię rodzice i inne dzieci?

- Dzieciaki najczęściej wołały na mnie „Misiek” - odparł z uśmiechem szeryf. - A mama mówiła mi „Rob”.

- Dobrze, Rob. Przyjmuję twoje zaproszenie.

Zajechali na chwilę do domu Natalie, żeby mogła się spakować, obdzwonić przyjaciół i adwokata ojca. Wykonanie testamentu i sprzedaż pracowni fotograficznej miały zająć co najmniej miesiąc, nie było żadnego powodu, żeby przez cały ten czas siedziała w Charleston.

Dzień był ciepły i słoneczny. Powoli, okrężną drogą wrócili do miasta: Gentry powiózł ich Cosgrove Avenue na drugą stronę Ashley i dalej Meeting Street. Był czwartek, a miało się wrażenie, że jest niedziela.

Zjedli wczesną kolację: Gentry przyrządził pieczoną szynkę, puree ziemniaczane, brokuły z sosem serowym i mus czekoladowy. Okrążyły stół w jadalni stał przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie widokowym. Popijając kawę, patrzyli, jak wczesny zmierzch wysysa kolor z pobliskich drzew i domów. Potem włożyli kurtki i poszli na długi spacer. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. Rodzice wołali do domów dzieci zaaferowane nowymi zabawkami. Ciemne okna migotały kolorowym blaskiem telewizorów.

- Myślisz, że u Saula wszystko w porządku? - spytała Natalie. Pierwszy raz od rana nawiązała do jakiegoś poważniejszego tematu.

Gentry wbił ręce głęboko w kieszenie kurtki.

- Nie wiem. Mam przeczucie, że coś się stało.

- Nie podoba mi się ten pomysł z ukrywaniem się w St. Louis. Cokolwiek się tu dzieje, czuję, że powinnam zostać i trzymać rękę na pulsie. Jestem to winna ojcu.

Szeryf nie oponował.

- Zrobimy tak - zaproponował. - Sprawdzę, gdzie zapodział się nasz profesorek, potem się skontaktujemy i zaplanujemy następny ruch. Chyba będzie prościej, jeśli zajmie się tym jedna osoba.

- Ale Melanie Fuller może nadal być w Charleston! Nie wiemy nawet, co

ten facet z wczoraj miał na myśli.

- Nie sądzę, żeby starsza pani została w mieście.

Gentry opowiedział Natalie o przejażdżce Arthura Lewellyna do trafiki w tę noc, kiedy doszło do morderstw - przejażdżce, która przy prędkości osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę zakończyła się uderzeniem w filar wiaduktu na obrzeżach Atlanty.

- Trafika pana Lewellyna znajdowała się nieopodal Mansard House - dodał.

- Jeżeli Melanie Fuller potrafi robić rzeczy, o jakich opowiadał nam Saul...

- Właśnie. Zakrawa na obłąd, ale w gruncie rzeczy to ma sens.

- Myślisz, że ukrywa się w Atlancie?

- Nie wydaje mi się. To za blisko. Spodziewam się raczej, że wyjechała stąd albo wyleciała najszybciej, jak się dało. Dlatego przez cały tydzień wisiałem na telefonie. W poprzedni poniedziałek, czyli dwa dni po morderstwach, na lotnisku Hartsfielda mieli małe zamieszanie: kobieta porzuciła bagaż, w którym było dwanaście tysięcy dolarów w gotówce. Nikt nie umiał później podać jej rysopisu. W tym samym dniu zatrudniony na tymże lotnisku bagażowy, czterdziestojednoletni mężczyzna o prawie idealnym stanie zdrowia, dostał ataku epilepsji i zmarł. Sprawdziłem inne zgony tej nocy. Jadąca kombi sześćoosobowa rodzina zginęła w wypadku na międzystanowej 285, kiedy ciężarówka wjechała im w bagażnik; kierowca ciężarówki zasnął za kierownicą. W Rockdale Park mężczyzna zastrzelił szwagra; pokłócili się o motorówkę, która była w rodzinie od lat. Nieopodal stadionu w Atlancie znaleziono zwłoki bezdomnego, ale biuro szeryfa twierdzi, że ciało musiało tam leżeć co najmniej tydzień. Taksówkarz nazwiskiem Steven Lenton popełnił samobójstwo we własnym domu. Przyjaciele twierdzą, że popadł w depresję po tym, jak zostawiła go żona.

- Jaki związek mogą mieć te sprawy z Melanie Fuller?

- To jest właśnie najciekawsze: snucie domysłów.

Dotarli do niewielkiego parku. Natalie przysiadła na huśtawce i zaczęła się leciutko bujać. Gentry zahaczył ręką o łańcuch sąsiedniej huśtawki.

- W samobójstwie pana Lentona najzabawniejsze jest to, że był wtedy w pracy. Mało kto robi sobie przerwę, żeby popełnić samobójstwo. Nie zgadniesz, skąd zabrał ostatniego pasażera...

Natalie przestała się kołysać.

- Nie ro... O mój Boże! Z lotniska?

- Otóż to.

Natalie pokręciła głową.

- Ale to nie ma sensu. Jeżeli Melanie Fuller odlatywała z Atlanty, po co miałaby zostawiać tam pieniądze, zabijać bagażowego albo taksówkarza?

- Wyobraźmy sobie, że coś ją zaniepokoiło. Może nagle zmieniła zdanie. Zaginął prywatny samochód taksówkarza; jego była naprzykrzała się policji prawie przez tydzień, zanim go w końcu znaleźli.

- Gdzie?

- W Waszyngtonie. W samym centrum.

- Znowu bez sensu. Czy nie należałoby raczej zakładać, że taksówkarz popełnił samobójstwo, a ktoś inny ukradł jego drugi wóz, po czym porzucił go w Waszyngtonie?

- Naturalnie. Historia Saula Laskiego ma jednak tę sympatyczną właściwość, że zastępuje długą listę zbiegów okoliczności jednym prostym wytłumaczeniem. A ja zawsze byłem wielkim zwolennikiem brzytwy Ockhama.

Natalie uśmiechnęła się i znów rozbijała.

- Byleś się z nią ostrożnie obchodził. Bo tępą można sobie poderżnąć gardło.

- Mhm - przytaknął Gentry.

Czuł się wyśmienicie. Wieczorne powietrze, zapamiętana z dzieciństwa zardzewiała piosenka huśtawki i obecność Natalie wprawiały go w doskonały nastrój. Był szczęśliwy.

Natalie znieruchomiała.

- Chcę być częścią tego, co się dzieje - oznajmiła. - Mogłabym powęszyć w Atlancie, kiedy ty będziesz w Waszyngtonie.

- To zajmie parę dni. Przyczaisz się w St. Louis, będziemy w kontakcie.

- Saul też tak mówił.

- Posłuchaj, zrobimy tak. Mam w domu automatyczną sekretarkę. Mam też taki specjalny przyrząd do odsłuchiwania nagranych na niej wiadomości przez telefon, kiedy akurat nie mogę wpaść do domu. A ponieważ wiecznie gubię różne rzeczy, kupiłem sobie na wszelki wypadek dwie takie zabawki. Dam ci jedną. Będę dzwonił na swój numer dwa razy dziennie, o jedenastej: przed południem i przed północą. Jeżeli będziesz mi chciała coś przekazać, nagrzasz wiadomość. W ten sam sposób sprawdzisz, czy ja mam ci coś do powiedzenia.

- Nie prościej byłoby po prostu zadzwonić?

- Byłoby, ale gdybyś to ty chciała skontaktować się ze mną, byłby większy problem.

- Ale... twoje prywatne wiadomości...

Gentry uśmiechnął się do Natalie w ciemnościach.

- Nie mam przed tobą tajemnic. A na pewno nie będę ich miał, kiedy już ci dam to elektroniczne чудо.

- Wprost nie mogę się doczekać.

Kiedy wrócili do domu Gentry'ego, ktoś na nich czekał. W zalegającym podłużną werandę głębokim cieniu żarzył się ognek papierosa. Weszli na kamienną ścieżkę. Szeryf ostrożnie rozpiął suwak kurtki, spod której Natalie mignęła rękojeść zatkniętego za pas rewolweru.

- Kto tam? - spytał półgłosem.

Papieros rozżarzył się jaśniej i zniknął, gdy ciemna postać dźwignęła się na nogi. Natalie wczepiła się w Gentry'ego. Wysoki cień wyszedł im na spotkanie, przystając na górnym stopniu werandy.

- Cześć, Rob - zachrypiął basowo. - Dobra noc na latanie. Wpadłem zapytać, czy nie pofruwałbyś nad wybrzeżem.

- Siemanko, Daryl. - Gentry wyraźnie się odprężył.

Wzrok Natalie oswoił się już z ciemnością i dostrzegła sylwetkę wysokiego, szczupłego mężczyzny o długich, siwiejących włosach. Był ubrany w dżinsy z krótko obciętymi nogawkami, japonki i bluzę z wyblakłym nadrukiem CLEMSON UNIVERSITY. Wyrazista, zadumana twarz kojarzyła się Natalie z młodym Morrisem Udallem.

- Natalie - odezwał się szeryf - to jest Daryl Meeks. Wynajmuje się, razem z maszyną, do lotów nad zatoką, z jednej strony portu na drugą. Przez część roku podróżuje z zespołem rockowym, wozi ich po różnych miejscach, a przy okazji gra u nich na bębnach. Uważa się za połączenie Chucka Yeagera z Frankiem Zappą. Chodziliśmy razem do szkoły. Daryl, to panna Natalie Preston.

- Miło poznać - powiedział Meeks.

Jego mocny, zdecydowany uścisk dłoni przypadł Natalie do gustu.

- Znajdźcie sobie krzesła - zaproponował Gentry. - Przyniosę piwo.

Meeks zgasił papierosa na poręczy i odrzucił niedopałek w krzaki. Natalie odwróciła wiklinowe krzesło w stronę stojącej na werandzie huśtawki. Meeks usiadł na huśtawce i założył nogę na nogę; kłapek na górnej stopie zawisł na przeplecionym przez palce pasku.

- Do której szkoły chodziliście z szeryfem? - zacięła się Natalie, której Meeks wydał się wyraźnie starszy od Roba.

- Northwestern - odparł Meeks swoim przyjaznym, ochryplym głosem. - Tylko że Rob skończył studia z wyróżnieniem, a mnie skreślili i powołali do wojska. Ale przez dwa lata mieszkaliśmy razem w akademiku: dwa wypłoszone chłopaki z Południa w wielkim mieście.

- Taaa, pewnie. - Gentry wrócił z trzema puszkami zimnego micheloba. - Kiedy Daryl mówi, że wychował się na południu, ma na myśli południe Chicago. Jeden jedyny raz przekroczył linię Masona-Dixona, kiedy przyjechał do mnie na wakacje. Dopiero po powrocie z Wietnamu wykazał się dobrym gustem, bo przeprowadził się tu na stałe. Poza tym wcale nie wyrzucili go z uczelni: rzucił studia, żeby się zaciągnąć, chociaż wcześniej był w marines, a podczas studiów działał w ruchu antywojennym.

Meeks pociągnął długi łyk piwa, przyjrzał się w półmroku puszcze i się skrzywił.

- Jezus, Rob, nadal pijasz te pomyje? Pabst, to jest dobra rzecz. Ile razy mam ci powtarzać?

- Był pan w Wietnamie? - zainteresowała się Natalie.

Przypomniał jej się Frederick, jego niechęć do rozpamiętywania spędzonego tam roku, furia, w jaką wpadał na samą wzmiankę o tym kraju.

Meeks z uśmiechem pokiwał głową.

- A owszem. Przez dwa lata prowadziłem zwiad lotniczy. Latałem swoim malutkim piper cubem i mówiłem naszym śmigaczom, czyli prawdziwym pilotom prawdziwych odrzutowców, gdzie mają zrzucić ładunki. Przez całą służbę nie musiałem do nikogo strzelać. Ciepłutka posadka, nie znam drugiej takiej.

- Dwa razy go zestrzelili - dodał Gentry. - To jedyny czterdziestoletni hipis, jakiego znam, który ma szufladę pełną medali.

- Kupionych w konsumach wojskowych - wyjaśnił Meeks. Dopił piwo, beknął i spytał: - To co, Rob, dzisiaj chyba nie jest najlepszy dzień na latanie, hmm?

- Innym razem, amigo.

Meeks pokiwał głową, wstał i uklonił się Natalie.

- Miło było panią poznać. Gdyby interesowało panią opylenie upraw, lot rekreacyjny albo dobry perkusista, polecam swoje usługi. Lotnisko w Mt. Pleasant.

- Nie omieszkać skorzystać - zapewniła go z uśmiechem Natalie.

Meeks klepnął Gentry'ego w ramię i zbiegł po schodkach w mrok, pogwizdując pod nosem motyw przewodni z *Nocy nad Pacyfikiem*.

Przez resztę wieczoru słuchali muzyki, wspominali dzieciństwo, grali w szachy, rozmawiali o dorastaniu na Południu i studiowaniu na Północy, zmywali po kolacji, sączyli późną brandy. Natalie uświadomiła sobie, że nie ma między nimi żadnego napięcia, tak jakby znali się z Gentrym od lat.

Była zaskoczona - i zachwycona - pięknym, nienagannie utrzymanym pokojem dla gości. Surowe drewno i proste łóżko z plecionki dopełniały schludnego, ascetycznego obrazu. Tylko kolorowa kapa i dyskretny, malowany od szablonu motyw ananasa na ścianach przełamowały spartańską surowość wnętrza.

Gentry zaprowadził ją do łazienki, dał jej czyste ręczniki, życzył dobrej nocy, ostatni raz sprawdził zamki i oświetlenie podwórka i udał się do swojej sypialni. Przebrał się w czyste spodnie od dresu i koszulkę z krótkim rękawem.

Przez ostatnie osiem lat cztery razy trafiał do szpitala z powodu kamieni nerkowych. Atak za każdym razem następował w nocy. Były to kamienie wapniowe, których powstawaniu nie zapobiegała nawet uboga w wapń dieta i które sprawiały mu taki ból, że był w stanie co najwyżej doczołgać się do telefonu i zadzwonić po pogotowie. Drażniło go, że jest coś, co może uczynić go tak bezradnym i że tej bezradności nie da się ani przewidzieć, ani na nią przygotować. Dlatego nauczył się sypiać w spodniach od dresu i T-shircie, żeby w wypadku zdarzającej się średnio raz na dwa lata hospitalizacji nie wyładować w szpitalu w piżamie.

Powiesił kaburę z rugerem blackhawkiem kaliber .357 na oparciu krzesła przy łóżku. Zawsze go tam trzymał, dzięki temu nawet w najczarniejszą noc mógł go namacać jednym ruchem ręki.

Nie zasnął od razu. Miał świadomość, że dwa pokoje dalej nocuje atrakcyjna młoda kobieta; miał również świadomość, że tej nocy nie zajrzy do jej sypialni. Wyczuwał istniejące między nimi przyjemne napięcie, umiał ocenić, na ile atrakcyjny może być dla Natalie, i przez proste odejmowanie (od ogólnej wartości utrzymującego się między nimi erotycznego napięcia odjął swoją atrakcyjność) ustalić w przybliżeniu, na ile jego odczucia są odwzajemnione. Z marszem na czole śledził przesuwające się po suficie snopy światła reflektorów samochodowych. Nie dzisiaj. Ten związek mógł mieć potencjał, ale to nie był dobry moment. Wszystkie instynkty ciała i umysłu

zgodnie wrzeszczały mu do ucha, że powinien jak najprędzej wywieźć Natalie z Charleston, żeby uchronić ją przed rozgrywającym się wokół nich oblędem - a instykt nigdy go jeszcze nie zawiodł, przeciwnie, nieraz ocalił mu życie. Dlatego Gentry nauczył mu się ufać.

Podjmował ogromne ryzyko, pozwalając jej u siebie nocować, ale nie umiał wymyślić innego sposobu, żeby mieć na nią oko do rana, kiedy będzie mógł ją wsadzić do samolotu. Ktoś go śledził... I to nie jeden ktoś, tych ktosów było więcej. Do wczoraj - do Wigilii, w środę - jeszcze mógł się łudzić, że się myli. Dziś rano przez półtorej godziny jeździł w kółko po mieście, żeby się upewnić i nauczyć rozpoznawać samochody. Byli ostrożniejsi niż przed tygodniem, nie tak toporni. Prawdę mówiąc, działali tak sprawnie, tak profesjonalnie, że tylko dzięki swojej wzmożonej paranoi zwrócił na nich uwagę.

Mieli co najmniej pięć samochodów - jedną taksówkę plus cztery zupełnie nijakie wozy, jakie tylko fabryki w Detroit potrafią wypuścić. Tyle że z trzema z nich bawił się w kotka i myszkę już dzień wcześniej. Jeden zawsze jechał za nim, zachowując spory dystans, dopóki Gentry nie skręcił gdzieś gwałtownie. Wtedy przejmował go inny. Dopiero po dwóch dniach Gentry zorientował się, że czasem tropiący go wóz jedzie przed nim, a nie za nim. Zdawał sobie sprawę, że tak skomplikowana operacja wymaga sześciu samochodów, dwa razy więcej ludzi oraz łączności radiowej. Przyszło mu do głowy, że może sprawę prowadzi wydział wewnętrzny policji w Charleston, ale szybko odrzucił tę możliwość. Po pierwsze, nic w jego kartotece, stylu życia ani bieżących sprawach służbowych nie uzasadniałoby takiego postępowania. Po drugie, budżet lokalnej policji by tego nie udźwignął. A po trzecie, gliniarze, których znał, nie byliby w stanie tak profesjonalnie śledzić podejrzanego, nawet gdyby miało od tego zależeć ich życie.

Kto zatem zostawał? FBI? Richard Haines nie podobał mu się i nie budził jego zaufania, ale Gentry nie rozumiał, dlaczego FBI miałyby umieścić szeryfa z Charleston na liście podejrzanych w sprawie wybuchu na pokładzie samolotu albo morderstw w Mansard House.

CIA? Pokręcił głową i zapatrzył się w sufit.

Ledwie zdążył zasnąć (śniło mu się, że znowu jest w Chicago na uczelni i nie może znaleźć sali, w której ma zajęcia), kiedy Natalie wrzasnęła przeraźliwie.

Chwycił rugera i wyskoczył boso do przedpokoju, zanim jeszcze dobrze się obudził. Dał się słyszeć drugi krzyk, przytłumiony, potem szloch. Gentry

przyklęknął przy drzwiach na jedno kolano, poruszył klamką - drzwi nie były zamknięte na klucz - i pchnął drzwi, odchylając się jednocześnie w tył, żeby nie było go widać. Cztery sekundy później wparował do pokoju przykucnięty, omiatając wnętrze lufą rewolweru.

Natalie była sama. Siedziała na łóżku, popłakując, z twarzą ukrytą w dłoniach. Gentry rozejrzał się po pokoju, sprawdził, czy okno jest zamknięte, ostrożnie odłożył rugera na szafkę nocną i przysiadł na łóżku.

- Prze... prze... przepraszam - wyjąkała Natalie przez łzy. W jej głosie nie było cienia afektacji, tylko zgroza i zakłopotanie. - Za... za każdym razem, jak już za... zasypiam, ten czło... człowiek na tylnym siedzeniu wyciąga ręce i mnie ła... łapie...

Opanowała szloch, ale dostała czkawki. Na oślep sięgnęła po leżące na szafce nocnej chusteczki.

Gentry objął ją ramieniem. W pierwszej chwili zeszywniała, ale po sekundzie osunęła się miękko na niego, muskając włosami jego policzek i podbródek. Jeszcze przez kilka minut trzęsa się, wstrząsana dreszczem strachu, który ją obudził.

- Już dobrze - mówił Gentry, gładząc ją po plecach. - Wszystko będzie dobrze.

Uspokajanie jej było naturalne i kojące jak głaskanie kociaka.

Jakiś czas później - Gentry prawie zasnął, właściwie był pewien, że już spał - Natalie uniosła powoli głowę, objęła go za szyję i pocałowała. Od tego bardzo długiego i bardzo miękkiego pocałunku obojgu zakręciło się w głowie. Poczul napór jej pełnych, miękkich piersi.

Jeszcze później podniósł na nią wzrok, kiedy siedziała na nim okrakiem wygiąwszy długą szyję w łuk i odrzuciwszy głowę w tył w niemym zapamiętaniu. Ich palce splotły się ciasno i Gentry znów poczul przenikający ją dreszcz - lecz tym razem nie był to dreszcz lęku, o nie, zdecydowanie nie...

Samolot do St. Louis odlatywał dwie godziny wcześniej niż ten do Nowego Jorku. Natalie pocałowała Gentry'ego na do widzenia. Oboje - urodzeni i wychowani na Południu i wdrożeni do południowego stylu życia - zdawali sobie sprawę, że czarna kobieta i biały mężczyzna całujący się (publicznie, nawet w roku 1980, zwróca na siebie uwagę i sprowokują niechętnie komentarze. Nic a nic ich to nie obchodziło.

- Prezenty pożegnalne - powiedział Gentry, podając Natalie *Newsweeka*, poranną gazetę i zapasowy nadajnik tonowy do swojej automatycznej

sekretarki. - Sprawdzę wieczorem.

Natalie skinęła głową, postanowiła nic nie mówić i szybkim krokiem weszła do terminalu.

Godzinę później, gdzieś nad Kentucky, odłożyła *Newsweeka*, sięgnęła po gazetę i znalazła w niej artykuł, który miał na zawsze odmienić jej życie. Znajdował się na trzeciej stronie.

Filadelfia (AP)

Policja w Filadelfii w dalszym ciągu nie natrafiła na żaden wiarygodny trop osób podejrzanych o wigilijną masakrę czterech młodych członków gangu z Germantown, zbrodnię, którą porucznik Leo Hartwell z wydziału zabójstw określił jako „jedną z najpotworniejszych rzeczy, jakie widziałem przez dziesięć lat służby w policji”.

Ciała czterech młodocianych członków ulicznego gangu Soul Brickyard znaleziono rankiem w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w rejonie Market Square w Germantown. Policja nie ujawnia wprawdzie nazwisk ofiar ani szczegółów zbrodni, wiadomo jednak, że ofiary miały od 14 do 17 lat, a zwłoki zostały okaleczone. Prowadzący dochodzenie porucznik Hartwell nie potwierdza, ale i nie zaprzecza doniesieniom świadków, wedle których ciała zostały pozbawione głów.

- Prowadzimy szeroko zakrojone śledztwo - powiedział kapitan Thomas Morano, szef wydziału zabójstw w Germantown. - Badamy wszystkie tropy.

Dzielnica Germantown w Filadelfii w przeszłości bywała już areną gangsterskich porachunków - w tym roku dwie osoby, a w 1979 aż sześć najprawdopodobniej padło ofiarą wojen gangów.

- Wigilijne zabójstwa są jednak zaskakujące - twierdzi wielebny William Woods, kierownik ośrodka pomocy społecznej w Germantown. - Przez ostatnie dziesięć miesięcy na froncie wojen gangów panował względny spokój. Nic mi nie wiadomo o toczących się obecnie sporach i trwających wendetach.

Gang Soul Brickyard to jeden z dziesiątków młodzieżowych gangów w Germantown, liczący, jak się domniemywa, około czterdziestu regularnych członków oraz dwa razy tyle pomocników. Podobnie jak wiele filadelfijskich gangów ulicznych, także i ten ma długoletnią tradycję przekraczania prawa. W ostatnich latach podejmowane są jednak próby naprawy ich wizerunku za pośrednictwem finansowanych przez miasto programów, takich jak Dom Przymierza czy Społeczeństwo Dostępne. Wszyscy czterej zamordowani

należeli do Soul Brickyard.

Natalie natychmiast wyczuła - instynktownie i bez cienia wątpliwości - że ma to coś wspólnego z Melanie Fuller. Nie miała pojęcia, jaki związek może mieć starsza pani z Charleston z wojną gangów w Filadelfii, ale znów poczuła zaciskające się jej na szyi dłonie i usłyszała ciepły, syczący szept w prawym uchu:

„Chcesz znaleźć tę kobietę? Szukaj w Germantown”.

W Międzynarodowym Porcie Lotniczym w St. Louis (który miejscowi w dalszym ciągu nazywają po prostu Lambert Field) podjęła decyzję i rozpoczęła wynikające z niej działania, zanim strach zdążył ją do tego zniechęcić. Zdawała sobie sprawę, że kiedy zadzwoni do Fredericka i spotka się z przyjaciółmi, już z St. Louis nie wyjedzie. Zamknęła oczy i przypomniała sobie ojca, jak leżał samotnie w pustym domu pogrzebowym, jeszcze przed kosmetyką.

„Rodziny spodziewamy się dopiero jutro”, powtarzał w kółko zirytowany przedsiębiorca pogrzebowy.

Kartą kredytową zapłaciła za bilet na najbliższy lot TWA do Filadelfii. Zajrzała do portfela: zostało jej dwieście dolarów w gotówce i sześćset pięćdziesiąt w czekach podróжных. Upewniła się, że w dalszym ciągu ma legitymację prasową pozostałą po letniej współpracy z *Chicago Sun-Times*, i zadzwoniła do Bena Yatesa, fotoedytora w tamtejszej redakcji.

- Nat! - Głos Yatesa przedarł się przez trzaski na łączach i lotniskowy zgiełk. - Myślałem, że do maja masz szkołę.

- Bo mam, Ben, ale teraz na parę dni wybieram się do Filadelfii i przyszło mi do głowy, że może przydałyby ci się jakieś zdjęcia do materiału o tej rzezi gangów.

- Pewnie - przytaknął z wahaniem Yates. - Ale... jakiej rzezi?

Streściła mu sprawę.

- Kurczę, z tego to żadnych zdjęć raczej nie będzie. Jeśli już, to w telewizji coś pokażą.

- Gdybym jednak trafiła na coś interesującego, będziesz zainteresowany?

- Pewnie, jak najbardziej, ale w ogóle o co chodzi? Wszystko u was w porządku? Jak się miewa Joe?

Natalie poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Ben nie wiedział o śmierci jej ojca. Odczekała chwilę, aż mogła znów normalnie oddychać.

- Później pogadamy, Ben - odparła. - Na razie mam prośbę: gdyby ktoś do was dzwonił, z policji albo skądś, możesz potwierdzić, że pracuję dla was jako wolny strzelec?

Cisza po drugiej stronie trwała dosłownie kilka sekund.

- Nie ma sprawy, Nat. Da się zrobić. Ale koniecznie się odezwij, pamiętaj.

- Oczywiście, Ben. Przy pierwszej okazji. Daję słowo.

Zadzwoiła jeszcze do uniwersyteckiego centrum informatycznego i zostawiła Frederickowi wiadomość, że niedługo się odezwie. Następnie zatelefonowała do Gentry'ego do domu, odsłuchiwała nagraną na sekretarce wiadomość powitalną i nagrała się po sygnale:

- Rob, tu Natalie. - Opowiedziała mu o zmianie planów i jej przyczynach. Zawahała się. - Uważaj na siebie, Rob - dodała na zakończenie.

W samolocie do Filadelfii było tłoczno. Siedzący obok Natalie czarnoskóry pasażer był niezwykle elegancko ubrany i całkiem przystojny, mimo masywnego karku i potężnie zarysowanej szczęki. Czytał *Wall Street Journal*. Natalie powyglądała trochę przez okno, chwilę się zdrzemnęła. Obudziła się czterdzieści pięć minut później, trochę otępiała, lekko zagubiona i przygnębiona przedsięwzięciem, które niemal na pewno okaże się szukaniem wiatru w polu. Z torby fotograficznej wyjęła charlestońską gazetę i po raz dziesiąty przeczytała artykuł. Miała wrażenie, że minęło kilka dni, odkąd była w Charleston... z Robem.

- Widzę, że czyta pani o kłopotach na moim podwórku.

Spojrzała w bok. Elegancki mężczyzna odłożył *Wall Street Journal* i uśmiechnął się do niej znad szklaneczki szkockiej.

- Spała pani, kiedy stewardesa przyjmowała zamówienia. Mam ją zawołać?

- Nie, dziękuję.

Coś w sposobie bycia mężczyzny ją zniechęcało, mimo że na pierwszy rzut oka dosłownie wszystko - uśmiech, ściszony głos, swobodna poza - wyglądało przyjaźnie i zachęcająco.

- Co ma pan na myśli, mówiąc o „kłopotach na swoim podwórku”?

Ruchem szklanki wskazał gazetę.

- Gangi. Mieszkam w Germantown. Takie bagno mamy tam na co dzień.

- Może mi pan coś więcej o tym powiedzieć? O gangach i o tych... morderstwach...

- O gangach tak - przytaknął mężczyzna głosem do złudzenia przypominającym dudniący bas Jamesa Earla Jonesa. - A o morderstwach

nie, ponieważ przez ostatnie parę dni nie było mnie w domu. - Posłał Natalie jeszcze szerszy uśmiech niż przed chwilą. - Poza tym, proszę pani, pochodzę z nieco bardziej mobilnych społecznie rejonów miasta niż ci nieszczęśni chłopcy. Zamierza się pani wybrać do Germantown, będąc w Filadelfii?

- Jeszcze nie wiem. Dlaczego pan pyta?

Uśmiech rozmówcy Natalie stał się jeszcze szerszy, lecz z ciemnych oczu trudno było cokolwiek wyczytać.

- Po prostu miałem taką nadzieję. Germantown to historyczna dzielnica, bardzo interesująca. Oprócz slumsów i gangów jest w niej piękno i zamożność. Jeżeli jest pani w Filadelfii tylko przejazdem, chciałbym, aby poznała pani obie strony medalu. Chociaż oczywiście może być i tak, że pani po prostu mieszka w Filadelfii, a ja wyciągam pochopne wnioski.

Natalie spróbowała się odprężyć; nie mogła stale żyć w lęku napędzanym paranoją.

- Nie, jestem przejazdem. I chętnie posłucham o Germantown, o jego jasnych i ciemnych stronach.

- Świetnie. Wezmę sobie drugiego drinka. - Współpasażer Natalie skinął na stewardesę. - Na pewno nic pani nie chce?

- Wezmę coca-colę.

Mężczyzna zamówił napoje dla nich obojga i znów uśmiechnął się do Natalie.

- Dobrze. Jeżeli mam być pani oficjalnym filadelfijskim przewodnikiem, powinniśmy chyba zacząć od przedstawienia się...

- Natalie Preston.

- Miło mi panią poznać, panno Preston. - Współpasażer skinął uprzejmie głową. - Jensen Luhar. Do usług.

Boeing 727 leciał na wschód, gładko wślizgując się w szybko zapadającą zimową noc.

17.

Alexandria, Wirginia

25 grudnia 1980, czwartek

Po Aarona Eshkola i jego rodzinę przyszli w pierwszy dzień Bożego Narodzenia tuż po drugiej w nocy.

Aaron spał niespokojnie. Po północy wstał i zszedł na parter, żeby pojeść świątecznych ciasteczek od sąsiadów, państwa Wentworthów. Wieczór wypadł bardzo przyjemnie: trzeci rok z rzędu spotkali się na kolacji wigilijnej z Wentworthami oraz Donem i Tiną Seagramami. Deborah, żona Aarona, również była Żydówką, ale żadne z nich nie traktowało religii przesadnie poważnie. Deborah nie była zachwycona faktem, że mąż wciąż uważa się za syjonistę. Aaron często myślał o tym, jak dobrze przystosowała się do życia w Ameryce. Z łatwością dostrzegała wszystkie aspekty każdej sprawy - czasem nawet takie, które wcale nie istniały. Zawsze czuł się nieswojo na przyjęciach w ambasadzie, kiedy Deborah zaczynała bronić stanowiska OWP... Nie, poprawił się w myślach, dojadając trzecie (ostatnie) ciasteczko, to nie było stanowisko OWP, lecz po prostu punkt widzenia Palestyńczyków. „Czysto teoretycznie”, powtarzała, ale była świetna w takim teoretyzowaniu... lepsza od Aarona, który czasem nie mógł się oprzeć wrażeniu, że sam zna się wyłącznie na szyfrach i kodach. Wujek Saul zawsze lubił z nią dyskutować.

Właśnie, wujek Saul. Przez cztery dni zastanawiali się, czy zgłosić jego domniemane zaginięcie Jackowi Cohenowi, przełożonemu Aarona i rezydentowi Mossadu w ambasadzie. Jack był niskim, małym człowiekiem, którego otaczała aura nieco krępującej życzliwości. W stopniu kapitana spadochroniarzy cztery lata wcześniej brał udział w operacji „Entebbe”. Powiadano także, że był mózgiem operacji wykradzenia egipskiej rakiety ziemia-powietrze podczas wojny Jom Kippur. Na pewno umiałby stwierdzić, czy zniknięcie Saula to poważna sprawa.

Levi zalecał jednak daleko idącą ostrożność. Przyjaciel Aarona z szyfranckiej działki, Levi Cole, który fotografował uczestników spotkania i pomógł Aaronowi przy identyfikacji ludzi ze zdjęć, był entuzjastycznie nastawiony do całej sprawy; uważał, że Saul natrafił na coś ważnego - ale bez bliższych informacji nie chciał zwracać głowy Jackowi Cohenowi ani panu Bergmanowi, attacheé przy ambasadzie. Jednakże w niedzielę wsparł Aarona

w bezowocnym rekonesansie po miejscowych hotelach w poszukiwaniu Saula Laskiego.

Dziesięć po pierwszej Aaron zgasił światło w kuchni, sprawdził ustawienia alarmu w przedpokoju przy drzwiach wejściowych i wrócił do łóżka. Położył się na wznak i zagapił w sufit.

Bliźniaczki nie ukrywały rozczarowania. Aaron obiecał Beck i Reah, że wujek odwiedzi je w sobotę wieczorem. Saul przylatywał z Nowego Jorku trzy, najwyżej cztery razy w roku, ale czteroletnie córki Aarona uwielbiały jego wizyty. Ojciec świetnie je rozumiał, sam pamiętał, jak wyczekiwał Saulowych odwiedzin, kiedy jako dzieciak mieszkał jeszcze w Tel Awiwie. W każdej rodzinie powinien być taki wujek, który, zamiast po prostu spełniać zachcianki dzieci, zawsze je wysłucha, kiedy będą miały coś ważnego do powiedzenia; który zawsze przywiezie właściwy prezent - niekoniecznie największy, ale najlepiej odpowiadający zainteresowaniom dziecka; który będzie snuł gawędy i opowiadał dykteryjki tym beznamiętnym, spokojnym tonem, o wiele przyjemniejszym od wymuszonej wesołości przeciętnego dorosłego. Saul nie przegapiłby takiej okazji z własnej woli, to nie było w jego stylu.

Levi sugerował, że Saul był zamieszany w sobotni zamach bombowy na biuro senatora Kelloga. Związek z Niemanem Traskiem narzucał się zbyt natrętnie, żeby dało się go tak po prostu zbyć, ale Aaron był przekonany, że wuj nigdy nie wzięłby udziału w takim przedsięwzięciu - miał swoją szansę w latach czterdziestych, kiedy wszyscy, od ojca Aarona poczynając, na Menachemie Beginie kończąc, byli zamieszani w działania Hagany, które dziś zgodnie potępiłoby jako terrorystyczne. Miał również świadomość, że Saul trzykrotnie brał udział w wojnie, zawsze jednak w charakterze lekarza, nie żołnierza. Przypominał sobie, jak zasypiał w mieszkaniu w Tel Awiwie - a latem także w domu na farmie - przy dźwięku głosów ojca i Saula spierających się o moralne podstawy bombardowań; Saul głośno wskazywał, że odwetowe naloty skyhawków A-4 tak samo przyczyniają się do śmierci dzieci, jak uzbrojeni w kałasznikowy bojownicy OWP.

Cztery dni śledztwa w sprawie wybuchu w gmachu Kancelarii Senatu nie zbliżyły ich ani o włos do prawdy. Tradycyjni informatorzy Leviego w Departamencie Sprawiedliwości i FBI albo nic nie wiedzieli, albo nie chcieli o tym rozmawiać. Aaron wydzwaniał do Nowego Jorku, ale też nie natrafił na żaden ślad Saula.

Na pewno nic mu nie jest, pocieszał się w duchu i dodawał, wyobrażając

sobie głos wuja: Nie zgrywaj Jamesa Bonda, Moddy.

Właśnie zaczynał przysypiać, mając przed oczami wizję córeczek bawiących się przy choince u Wentworthów, gdy usłyszał jakiś dźwięk w przedpokoju.

Rozbudził się w mgnieniu oka. Odrzucił koc, wsunął na nos odłożone na szafkę nocną okulary i wyjął z szuflady naładowaną berettę.

- Co się... - mruknęła rozespana Deborah.

- Cicho - syknął w odpowiedzi.

Nikt nie powinien móc wejść do ich domu bez uprzedzenia. W przeszłości ambasada wykorzystywała go jako bezpieczną kryjówkę dla swoich agentów. Stał przy cichej, ślepej uliczce, z dala od głównej drogi; podwórko pławiło się w świetle reflektorów, brama i ściany był oplecione siecią czujników elektronicznych uruchamiających alarm w głównej sypialni i na dole, przy wejściu. Same drzwi miały specjalne stalowe wzmocnienia i system zamków zdolny zniechęcić każdego włamywacza-zawodowca; zresztą umieszczone w drzwiach i oknach czujniki również zostały połączone z centralnym systemem alarmowym. Deborah, którą od początku irytowały liczne fałszywe alarmy wywoływane przez czujniki wokół domu, odłączyła nawet część systemu tuż po tym, jak się wprowadzili; doszło wtedy do jednej z tych nielicznych w ich małżeństwie sytuacji, kiedy Aaron na nią nakrzyczał. Z czasem pogodziła się z rozbudowanym systemem zabezpieczeń jako ceną za mieszkanie z dala od centrum miasta. Aaron nie był zachwycony, że mieszka tak daleko od miejsca pracy, ale również zaakceptował to rozwiązanie, ponieważ dziewczynkom spodobała się podmiejska okolica, a Deborah była z tym szczęśliwa. Wydawało mu się niemożliwe, żeby jakikolwiek intruz był w stanie przeniknąć przez podwójne zabezpieczenia, nie uruchamiając przy tym alarmu.

Z korytarza dobiegł kolejny dźwięk - tym razem rozległ się bliżej tylnych schodów i pokoju bliźniaczek. Aaronowi wydało się, że słyszy szept.

Na migi kazał żonie położyć się na podłodze za łóżkiem. Wykonała polecenie, zabierając ze sobą stojący na szafce telefon. Aaron zrobił trzy kroki w stronę drzwi. Odetchnął głęboko, lewą ręką poprawił okulary, prawą uniół berettę i wprowadził nabój do komory. Wyszedł do przedpokoju.

Nie dalej niż pięć metrów od niego stało trzech lub więcej mężczyzn. Byli ubrani w grube polowe kurtki mundurowe, rękawiczki i kominiarki. Dwaj pierwsi byli uzbrojeni w pistolety o długich lufach, których końce przystawili właśnie do główek dziewczynek; szeroko otwarte oczy bliźniaczek

spoglądały sponad zasłaniających im usta dłoni, nóżki w dziecięcych piżamach odcinały się jasno na tle mundurów.

Niewiele myśląc, Aaron odruchowo przyjął wyuczoną pozycję strzelecką - lekki rozkrok, pistolet trzymany oburącz. W głowie rozbrzmiał mu głos Eliahu; doskonale pamiętał nieśpieszne, surowe słowa starego instruktora:

„Jeżeli nie są przygotowani, strzelajcie. Jeżeli są przygotowani, strzelajcie. Jeżeli mają zakładników, strzelajcie. Jeżeli jest więcej niż jeden cel, strzelajcie. Po dwa strzały na każdego. Dwa. Nie myślcie, strzelajcie”.

To jednak nie byli zwykli zakładnicy, lecz jego córki - Rebecca i Reah. Wyraźnie widział Myszkę Miki nadrukowaną na ich piżamach. Wycelował berettę w najbliższą kominiarkę. Na strzelnicy, nawet przy kiepskim oświetleniu, założyłyby się o każde pieniądze, że wpakuje dwie kulki w dowolny cel wielkości ludzkiej głowy, odwróci się lekko - całym ciałem, z wyprostowanymi rękami - i dwukrotnie przedziurawi także drugą twarz. Z odległości piętnastu stóp umiał wystrzelić cały magazynek - dziesięć naboju kalibru .22 - i zmieścić się ze wszystkimi w okręgu wielkości pięści.

Ale to były jego córki.

- Rzuć broń.

Beznamiętny głos mężczyzny był dodatkowo stłumiony przez kominiarkę. Jego pistolet - luger z długą lufą, przedłużoną jeszcze tłumikiem - nie celował nawet dokładnie w główkę Becky. Aaron był pewien, że zastrzeliby obu napastników, zanim oni zdążyliby strzelić. Wyraźnie czuł drewnianą podłogę pod bosymi stopami. Minęły dwie sekundy, odkąd wyszedł z sypialni.

„Nigdy nie oddawajcie broni”, wtłaczał im do głów Eliahu w tamto gorące lato w Tel Awiwie. „Nigdy. I zawsze strzelajcie tak, żeby zabić. Lepiej, żebyście wy lub zakładnik zostali ranni lub zginęli, ale przy okazji zabili napastnika, niż żebyście mieli oddać broń”.

- Pośpiesz się.

Aaron przykucnął, położył berettę na podłodze i podniósł puste ręce.

- Proszę. Proszę, nie róbcie im krzywdy.

Było ich ośmiu. Plastrem lekarskim z rolki skrepowali mu ręce za plecami, wywlekli Deborah z za łóżka i sprowadzili całą ich czwórkę do pokoju dziennego na parterze. Dwaj zamaskowani mężczyźni wyszli do kuchni.

- Moddy? Telefon jest głuchy - stęknęła Deborah, zanim ciągnący ją mężczyzna zalepił jej usta plastrem.

Aaron pokiwał głową. Wolał się nie odzywać, nie wiedział, czy uda mu się dobyć głosu.

Przywódca tamtych kazał mu usiąść na taborecie przed pianinem. Deborah i dziewczynki siedziały na podłodze, plecami do białej ściany. Napastnicy nie skrępowali bliźniaczek, które popłakując cicho, tuliły się do matki. Po obu ich stronach przykucnęli mężczyźni w mundurowych kurtkach, dżinsach i kominiarkach.

Na dany przez dowódcę znak cała szóstka zdjęła kominiarki.

O Boże, pomyślał Aaron. Zabiją nas.

W tej chwili oddałby wszystko, co posiadał lub kiedykolwiek miał nadzieję posiadać, żeby tylko móc cofnąć czas o trzy minuty. Strzeliłby wtedy dwa razy, obrócił się, strzelił dwa razy...

Wszyscy widoczni w tej chwili mężczyźni - cała szóstka - byli biali, opaleni, zadbani. Nie przypominali agentów palestyńskich ani bojowników Baader-Meinhof. Wyglądali jak przeciętni Amerykanie, których mijają codziennie na ulicach.

Ten z przodu nachylił się nad nim, tak że ich twarze zbliżyły się dosłownie na kilka cali. Miał niebieskie oczy i idealnie równe zęby.

- Chcemy z tobą porozmawiać, Aaronie - powiedział z lekkim akcentem ze Środkowego Zachodu.

Aaron skinął głową. Ręce miał tak mocno skrępowane, że krew przestawała dopływać do dłoni. Gdyby odchylił się mocno do tyłu, mógłby wymierzyć jednego porządnego kopniaka pochylającemu się nad nim przystojniakowi. Pozostała piątka była jednak uzbrojona i całkowicie nieosiągalna. Z goryczą przełknął ślinę i siłą woli próbował uspokoić kołaczące serce.

- Gdzie są zdjęcia? - spytał przystojniak.

- Jakie zdjęcia? - Aaron nie wierzył własnym uszom: udało mu się przemówić, i to całkiem stanowczo i spokojnie.

- Oj, Moddy, Moddy... Nie pogrywaj z nami.

Przystojniak skinął na stojącego pod ścianą chudzielca, który z całkowitą obojętnością wymierzył Becky siarczysty policzek.

Mała zanosła się płaczem. Deborah szarpnęła się w więzach, krzyknęła pod plastrem. Aaron dźwignął się z taboretu.

- Ty skurwysynu! - krzyknął po hebrajsku.

Przystojniak go podciął. Aaron przewrócił się, grzmotnął o podłogę prawym barkiem, potem także nosem i kością policzkową. Teraz już obie

dziewczynki płakały w głos. Aaron usłyszał trzask oddzieranego plastra i płacz ucichł. Chudy stanął nad nim, podniósł go z podłogi i pchnął na taboret.

- Trzymasz je w domu? - spytał półgłosem przystojniak.

- Nie. - Krew spływała Aaronowi z nosa na górną wargę. Odchylił głowę do tyłu. Czuł, że na policzku rozlewa się krwiak. Prawa ręka całkiem mu zdrętwiała. - Są w sejfie w ambasadzie.

Zlizał część krwi z ust.

Przystojniak pokiwał głową i uśmiechnął się lekko.

- Kto jeszcze je widział, poza wujkiem Saulem?

- Levi Cole.

- Szef działu łączności - podsumował zachęcająco przystojniak.

- Zastępca - poprawił go Aaron. Może jednak była dla nich szansa. Serce zabiło mu żywiej. - Uri Davidi jest na urlopie.

- Kto jeszcze je widział?

- Nikt - wykrztusił Aaron.

Przystojniak pokręcił głową, jakby rozczarowany tą odpowiedzią, i skinął na innego ze swoich podwładnych. Deborah wrzasnęła, gdy ciężki bucior wyrzwał ją w żebra.

- Nikt! - wykrzyknął Aaron. - Nikt, przysięgam! Levi nie chciał z tym iść do Jacka Cohena, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji. Przysięgam. Załatwię dla was te zdjęcia. Levi trzyma negatywy w sejfie, możecie dostać wszystkie...

- Cii... - uciszył go przystojniak. Odwrócił się do tych dwóch, którzy właśnie wrócili z kuchni i pokiwali głowami. - Góra - powiedział przystojniak.

Czterech ruszyło na piętro.

Aaron nagle poczuł ulatniający się gaz. Włączyli kuchenkę, pomyślał. Poodkręcali kurki. Po co, na Boga?

Pozostała trójka okleiła dziewczynkom ręce i nogi, skrępować też nogi Deborah. Aaron rozpaczliwie szukał jakiejś karty przetargowej.

- Mogę was tam od razu zabrać - zaproponował. - O tej porze będzie prawie pusto, jeden z was mógłby wejść ze mną. Weźmiecie zdjęcia... i inne dokumenty, jeśli chcecie. Powiedzcie, czego chcecie, a pojedę z wami i damę słowo...

- Cii. Czy Hany Adam je widział?

- Nie - sapnął Aaron.

Kładli właśnie Deb i dzieci na podłodze, ostrożnie, żeby nie poobijać im

głów. Deborah była blada jak ściana, oczy zapadły jej się w głąb czaszki. Aaron zastanawiał się, czy zemdląca.

- A Barbara Green?

- Nie.

- Mosze Herzog?

- Nie.

- Paul Ben-Brindisi?

- Nie.

- Chaim Cołkow?

- Nie.

- Zvi Hofi?

- Nie.

Wyliczanka przebiegła wszystkie szczeble w hierarchii personelu ambasady. Aaron od początku miał świadomość, że jest to tylko zabawa, nieszkodliwa gra dla zabicia czasu, podczas gdy na górze trwa przeszukiwanie. Był gotowy podjąć każdą grę i ujawnić każdą tajemnicę, jeśli tylko w ten sposób mógł choćby przez chwilę oszczędzić bólu Deborah i córeczkom. Jedna z dziewczynek jęknęła i spróbowała obrócić się na bok. Chudzielec poklepał ją po drobnym ramionku.

Czwórka z góry wróciła. Najwyższy pokręcił głową.

Przystojniak westchnął ciężko.

- W porządku - powiedział. - Zróbmy to.

Jeden z mężczyzn, którzy przeszukiwali piętro, przyniósł białe prześcieradło z posłania którejś z dziewczynek. Przykleił je plastrem do ściany, po czym razem z innymi usadził pod nim Deborah i bliźniaczki.

- Ocućcie ją.

Chudy wyjął z kieszeni kapsułkę soli trzeźwiących i przełamał ją Deborah pod nosem. Błyskawicznie ocknęła się i szarpnęła głową. Dwaj mężczyźni złapali Aarona za ręce i włosy, zaciągnęli go pod ścianę i powalili na kolana.

Chudy cofnął się, otworzył małego polaroida i zrobił trzy zdjęcia. Począł, aż się wywołają, i podsunął je przystojniakowi. Inny z mężczyzn wyjął skądś mały magnetofon Sony i podstawił mikrofon Aaronowi.

- Proszę to przeczytać - powiedział przystojniak, rozwijając arkusz papieru zadrukowany tekstem z podwójną interlinią. Przytrzymał go dziesięć cali przed twarzą Aarona.

- Nie - odparł Aaron, szykując się na cios.

Gdyby mógł jakoś pokrzyżować im plany, zyskać na czasie...

Przystojniak pokiwał w zadumie głową i odwrócił się do swoich ludzi.

- Zabijcie jedną z dziewczynek - polecił. - Obojętne którą.

- Nie, czekajcie! Proszę, nie! Przeczytam! Proszę! - krzyczał Aaron.

Chudzielec przystawił pistolet do skroni Rebeki i odciągnął kurek.

Krzyki Aarona nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- Chwileczkę, Donaldzie - odezwał się przystojniak. Drugi raz podsunął Aaronowi tekst do przeczytania i włączył magnetofon.

- Wujku, u mnie, Deb i dziewczynek wszystko w porządku, ale bardzo cię proszę, rób, co ci mówią... - zaczął Aaron.

Odczytał kilka akapitów. Zajęło mu to niecałą minutę.

- Doskonale, Aaronie - pochwalił go przystojniak.

Dwaj jego ludzie znów złapali Aarona za włosy i odgięli mu głowę do tyłu. Z trudem łapiąc oddech, próbował dostrzec cokolwiek kątem oka.

Ktoś zabrał i wyniósł prześcieradło. Inny z mężczyzn wyjął z kieszeni czarną brezentową płachtę i rozwinął ją na podłodze przed Deborah: miała najwyżej trzy na cztery stopy i pachniała jak tania zasłonka do prysznica.

- Dajcie go tutaj - polecił przystojniak.

Zawlekli Aarona z powrotem na taboret. Ledwie puścili jego włosy, zaczął działać: rozprostował nogi jak sprężyny, czubkiem głowy uderzył przystojniaka w podbródek, okręcił się w miejscu, drugiego wyrzwał w brzuch, wyrwał się sześciu przytrzymującym go rękami, kopnął kogoś w krocze, chybił i upadł, upadł na jednego z tamtych, dwóch następnych spadło na niego z góry, znów uderzył prawym policzkiem o podłogę, mocno, ale było mu to obojętne...

- Zaczniemy od początku - zaproponował półgłosem przystojniak.

Macał sobie rozcięcie na brodzie i poruszał żuchwą, usiłując rozciągnąć mięśnie szczęk. Siniak nie wyjdzie prawdopodobnie poza podbródek.

- Kim jesteście? - stęknął Aaron, kiedy siłą posadzili go na taborecie. Ktoś skrępował mu plastrem kostki nóg.

Nikt nie odpowiedział. Chudy przesunął Deborah w przód, tak że klęczała teraz na brezencie. Dwaj mężczyźni trzymali w rękach dziwne instrumenty: sześciocalowe odcinki cienkiego drutu, na jednym końcu zaostrome, na drugim osadzone w drewnianym uchwycie i oklejone taśmą. Cuchnęło gazem. Odór przyprawiał Aarona o mdłości.

- Co chcecie zrobić?

W ustach tak mu zaschło, że słowa upodobniły się do trzasków. Kiedy przystojniak odpowiedział, Aaron poczuł, jak jego umysł wpada w poślizg

niczym samochód na czarnym lodzie; jego punkt widzenia nagle się zmienił, teraz patrzył na całą scenę z góry. Nie godził się na to, co za chwilę miało się wydarzyć, ale wiedział, co to będzie. Czuł całkowitą niemożność zmienienia choćby jednej sekundy przeszłości lub przyszłości, odczuwał tę samą niewiarygodną, absolutną, nieubłaganą bezradność, jaką przed nim odczuwały setki pokoleń Żydów - stojąc przy piecu, czekając przy drzwiach do pryszniców, patrząc na buchające ze starych zabudowań płomienie i słuchając coraz bliższych i coraz bardziej zajadłych okrzyków gojów. Wujek Saul wiedział, pomyślał Aaron, zaciskając kurczowo powieki i usiłując zmusić umysł do niezrozumienia usłyszanych słów.

- Nastąpi wybuch gazu - wyjaśnił przystojniak. Miał cierpliwy głos, głos nauczyciela. - Pożar. Ciała zostaną znalezione w łóżku, potwornie poparzone. Bardzo dobry koroner lub lekarz sądowy mógłby stwierdzić, że ofiary zmarły na krótko przed tym, jak ogień strawił ciała, ale ten fakt nie wyjdzie na jaw. Drut wkuwa się w kącik oka i dalej prosto do mózgu. Zostaje po nim maleńka dziurka, trudna do zauważenia nawet na nie spalonym ciele. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Proponuję, żeby panią Eshkol znaleźli jednak w korytarzu na piętrze... z dziećmi w ramionach... jakby prawie udało się jej uciec przed pożarem. Zaczynjcie od kobiety. Potem dziewczynki.

Aaron szarpał się, krzyczał, wierzgał, ale dłonie tamtych trzymały mocno.

- Kim jesteście?! - wrzasnął. O dziwo, tym razem przystojniak zareagował.

- Kim jesteśmy? - powtórzył. - Nikim. Absolutnie nikim. i usunął się na bok, żeby Aaron widział, co robią pozostali.

Aaron nie protestował, kiedy przyszli do niego z drutem.

18.

Melanie

Jadąc autobusem na północ, przez niekończącą się szeregową zabudowę slumsów Baltimore i przemysłową kloakę Wilmingtonu, przypominałam sobie werset z pism Świętego Augustyna: „Diabeł ustanowił swe miasta na północy”.

Nigdy nie lubiłam tych ogromnych północnych miast, przenikającego je odoru bezosobowego obłądu, węglowego dymu, mroku, nieczystości i poczucia beznadziei, które oblepia ich brudne ulice i równie nieczystych mieszkańców. Zawsze uważałam, że najbardziej ewidentnym i najdawniejszym dowodem zdrady Niny był fakt, że porzuciła Południe na rzecz zimnych wąwozów Nowego Jorku. Ja nie zamierzałam zapuszczać się tak daleko na północ.

Niespodziewany kłęb niesionych wiatrem płatków śniegu przesłonił przygnębiający widok, odwróciłam się więc ponownie do wnętrza autobusu. Kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się do mnie ukradkiem, po raz trzeci odkąd opuściliśmy waszyngtońskie przedmieścia. Skinęłam jej głową i wróciłam do szydełkowania. Zaczynałam podejrzewać, że nieśmiała kobiecina - musiała być ledwo po pięćdziesiątce, emanowała jednak staropanięńskim zniedołężnieniem osoby starszej o dobre dwadzieścia lat - może się okazać rozwiązaniem mojego problemu.

Jednego z moich problemów.

Cieszyłam się, że wyjeżdżam z Waszyngtonu. Za młodu lubiłam to senne miasto z jego lekko południową atmosferą. Do drugiej wojny światowej udało mu się zachować tę charakterystyczną aurę spokojnego zamętu, potem jednak upodobniło się do marmurowego ula i przywodziło na myśl pretensjonalne mauzoleum pełne rojących się, żądnych władzy insektów.

Wyjrzałam przez okno na wirujący w powietrzu śnieg. Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć ani daty, ani nawet dnia tygodnia... Najpierw skojarzyłam dzień tygodnia: czwartek. Noce we wtorek i środę spędziliśmy w smętnym motelu daleko od centrum Waszyngtonu. W środę kazałam Vincentowi pojechać buickiem pod Kapitol, tam go porzucić i wrócić piechotą do motelu. Przechadzka zajęła mu trzy godziny, ale nie protestował. W przyszłości też już nie będzie protestował; we wtorek wieczorem kazałam

mu zadbać o niezbędne szczegóły za pomocą zwykłej nitki i rozgrzanej nad płomieniem świecy igły do szycia.

Zakupy, jakie poczyniłam w centrum handlowym w środę rano - kilka sukienek, szlafrok, bielizna - były niezwykle przygnębiające przez kontrast z cudownymi rzeczami, które straciłam w Atlancie. W niedorzecznej słomkowej torbie wciąż miałam niemal dziewięć tysięcy dolarów. Oczywiście w skrytkach i na kontach bankowych w Charleston, Minneapolis, New Delhi i Tulonie czekały na mnie znacznie większe sumy, nie zamierzałam ich jednak na razie podejmować. Skoro Nina wiedziała o moim rachunku w Atlancie, musiała wiedzieć także o pozostałych.

Nina nie żyje, upomniałam się w duchu.

Miała największy Talent z nas wszystkich. Użyła jednego z pionków Williego do zniszczenia samolotu - nawet na chwilę nie przerywając przy tym rozmowy ze mną! Jej Talent był niewiarygodny. Przerażający. Mógł mnie dosięgnąć nawet zza grobu; mógł rosnąć w siłę, gdy jej ciało gniło w trumnie. Serce zaczęło mi szybciej bić. Obejrzałam się przez ramię na majaczące w półmroku twarze współpasażerów...

Nina nie żyje.

Był czwartek, do świąt został równo tydzień. Czyli musiał być 18 grudnia. Nasz zjazd odbył się 12 grudnia. Cała epoka oddzielała te dwie daty. Przez ostatnie dwa dziesięciolecia w moim życiu zachodziło niewiele zmian - jeśli nie liczyć paru kaprysów, na które sobie czasem pozwalałam. Teraz zmieniło się dosłownie wszystko.

- Przepraszam panią - odezwała się do mnie kobieta z drugiej strony przejścia między fotelami. - Podziwiam pani robótki. To sweterek dla wnusia?

Odwróciłam się do niej i obdarzyłam ją pełnią swojego promiennego uśmiechu. Kiedy byłam bardzo młoda, zanim jeszcze odkryłam, że mnóstwa rzeczy młodej damie po prostu nie wypada robić, pływałam z tatą na ryby. Najbardziej ekscytujące zawsze wydawały mi się pierwsze skubnięcia przynęty, pierwsze ostrożne szarpnięcia i drżenie spławika; to w takiej chwili, zanim jeszcze haczyk na dobre utkwiał w ciele ofiary, wędkarz musiał wykorzystać cały swój kunszt.

- Ależ tak - odparłam. - Naturalnie.

Myśl o posiadaniu skamlącego wnuka przyprawiała mnie wprawdzie o mdłości, ale dawno już przekonałam się do terapeutycznych właściwości szydełkowania i wartości oferowanego przez nie psychologicznego

kamuflażu w miejscach publicznych.

- Chłopczyk?

- Dziewczynka - odparłam i wśliznęłam się do jej umysłu.

To było jak przejście przez otwarte drzwi. Nie napotkałam najmniejszego oporu. Posuwałam się naprzód ostrożnie i dyskretnie, przemykając psychicznymi przejściami i korytarzami, przez kolejne otwarte drzwi, bez żadnego naciskania, aż dotarłam do ośrodka przyjemności w jej mózgu. Wyobraziłam sobie, że pieszczę perskiego kota (choć nienawidzę kotów), i zaczęłam ją głaskać. Poczulałam przepływającą przez nią falę przyjemności, która rozlała się szeroko na zewnątrz jak niespodziewany potop uryny.

- Ojej... - Stęknęła, zarumieniła się, po czym zarumieniła się ponownie, zawstydzona faktem, że zarumieniła się po raz pierwszy. - Wnuczka. Jak miło.

Przyhamowałam z głaskaniem, zaczęłam je modulować, koordynować z rzucanymi mi przez nią nieśmiałymi spojrzeniami, nasilać, kiedy słyszała mój głos. Zdarzają się tacy ludzie, którzy przy pierwszym spotkaniu uderzają nas taką siłą osobowości. U młodych nazywa się to zakochaniem. U polityków mówimy o wrodzonej charyzmie. Kiedy emanuje nią obdarzony śladowym Talentem mówca, efekty jego przemów nazywamy zbiorową histerią. Współpracownicy i współcześni Adolfa Hitlera często wspominali o tym (choć rzadko dłużej się nad tym zastanawiali), że w jego obecności ludzie po prostu dobrze się czuli. Kilka tygodni takiego warunkowania, jakie właśnie zainicjowałam w wypadku tej kobiety, wywołuje nałóg znacznie silniejszy od heroinowego. Uwielbiamy być zakochani, ponieważ dla przeciętnego człowieka jest to stan najbliższy temu psychicznemu uzależnieniu.

Pogawędziłyśmy chwilę o wszystkim i o niczym, aż w końcu ta samotna kobieta - z wyglądu starsza niż naprawdę była, tak jak ja byłam młodsza niż w rzeczywistości - zarumieniła się jeszcze raz i wskazała wolne siedzenie obok siebie.

- Tu jest wolne miejsce - powiedziała. - Może się pani przesiądzie? Nie będziemy musiały tak podnosić głosu.

- Z przyjemnością - odparłam.

Schowałam robótkę do torby. Szydełkowanie spełniło swoją rolę.

Nazywała się Anne Bishop i właśnie wracała do domu w Filadelfii z długiej i niezbyt przyjemnej wizyty u młodszej siostry w Waszyngtonie. Po

dziesięciu minutach rozmowy wiedziałam już wszystko, co mi było potrzebne. Obejdzie się bez głaskania. Ta kobieta rozpaczliwie pragnęła z kimś porozmawiać.

Pochodziła z zamożnej i cieszącej się nieposzlakowaną opinią filadelfijskiej rodziny. Założony przez jej ojca fundusz powierniczy po dziś dzień stanowił główne źródło jej dochodów. Nie wyszła za mąż. Przez trzydzieści dwa lata ten wyblakły cień kobiety opiekował się swoim bratem, Paulem - paraplegikiem, którego postępująca choroba tkanki nerwowej pomalutku zmieniała w tetraplegika. Paul zmarł w maju i Anne Bishop nie zdążyła się jeszcze przystosować do świata, w którym nie była za niego odpowiedzialna. Odwiedziny u siostry, Elaine (nie widziały się osiem lat), wypadły smętnie: Anne drażnił nieokrzesany mąż i źle wychowane dzieci Elaine, a ich ewidentnie odstręczały jej staropanieńskie nawyki.

Dobrze znałam ten typ kobiet; przez pewien czas - podczas długiej hibernacji z dala od prawdziwego życia - sama udawałam taką pokonaną przez los nieszczęśniczkę. Była satelitą poszukującym świata, wokół którego mogłaby orbitować - i wystarczyłby jej pierwszy lepszy świat, bo każdy był lepszy od zataczanej samotnie elipsy niezależności. Bracia-paraplegicy byli dla takich kobiet istnym darem od Boga. Pełna poświęcenia niekończąca się opieka nad mężem lub dzieckiem również byłaby niezgorszym wyjściem, ale troska o schorowanego brata dostarczała znacznie większej liczby wymówek służących unikaniu innych zobowiązań, komplikacji i nużących szczegółów życia. Takie kobiety - przy całej swojej niez mordowanej usłużności i altruizmie - zawsze okazują się samolubnymi potworami. W skromnych, umiarkowanych, czułych słowach, w jakich wyrażała się o ukochanym zmarłym bracie, wyczuwałam perwersyjny fetyszyzm dla wózka inwalidzkiego i basenu, chore nieumiarkowanie w odmawianiu sobie wszystkiego przez trzydzieści lat, nienormalne poświęcenie początków kobiecości, dorosłości i rodzicielstwa w imię cuchnących potrzeb na wpół unieruchomionego trupa. Dobrze znałam Anne Bishop, czynną zwolenniczkę powolnego samobójstwa graniczącego z erotyczną fascynacją. Zrobiło mi się wstyd, że jesteśmy tej samej płci. Często, kiedy spotykam takie biedne larwy, mam ochotę pomóc im wepchnąć ręce do gardła po same łokcie, żeby udławiły się własnymi wymiocinami.

- Już dobrze, dobrze. - Poklepałam ją po ręce, gdy wypłakiwała mi się ze swoich znojów. - Doskonale cię rozumiem. Wiem, jak to jest.

- Ty naprawdę mnie rozumiesz. Jakże rzadko spotykamy ludzi, którzy

potrafią ogarnąć bezmiar naszej żałoby. Czuję, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

Pokiwałam głową i przyjrzałam się krytycznie Anne Bishop. Miała pięćdziesiąt dwa lata, a wyglądała na siedemdziesiąt. Ubierała się nie najgorzej, ale należała do tych wiecznie przygarbionych sierot, na których każda suknia wygląda jak podomka, a elegancki żakiet jak powyciągany sweter. Włosy koloru wyblakłego brązu rozczesywała przedziałkiem w jednym i tym samym miejscu od czterdziestu pięciu lat i grzywka opadała jej smętnie na czoło, pogodzona z porażką. Oczy miała ciemno podkrążone, jakby stworzone do płaczu; wargi wąskie i pruderyjnie zaciśnięte, nie dość asertywne, żeby określić ich wyraz jako surowy i ganiący, ale z pewnością nieskore do śmiechu. Wszystkie zmarszczki spływały w dół; grawitacja głęboko wyryła swój werdykt na jej twarzy. Jej umysł cechowała zachłanna, płochliwa płytkość przestraszonej wiewiórki.

Była idealna.

Opowiedziałam jej o sobie, podając się za Beatrice Straughn, ponieważ nadal posługiwałam się dokumentami na to nazwisko. Mój mąż był bankierem z Savannah. Dobrze nam się wiodło, ale po jego śmierci osiem lat temu rodzinny majątek trafił w ręce mojego siostrzeńca... Todda... który nie miał pojęcia o zarządzaniu fortuną i zdążył przepuć nie tylko swoje pieniądze, lecz także moje, zanim na jesieni tego roku zginął w wypadku samochodowym razem ze swoją pozbawioną wdzięku żoną - a mnie zostało opłacenie pogrzebu, spłacenie złych długów i zaopiekowanie się ich synem, Vincentem. Mój własny syn przebywał z ciężarną żoną na Okinawie, gdzie był nauczycielem w szkole misyjnej. Właśnie sprzedałam dom w Savannah, spłaciłam do końca długi Todda i wyruszyłam na północ w poszukiwaniu nowego życia dla mojego ciotecznego wnuka i siebie samej.

Opowiastka brzmiała niedorzecznie, ale pomogłam Anne Bishop w nią uwierzyć, kontrapunktując każdą nową informację delikatnym głośnięciem.

- Twój cioteczny wnuk jest bardzo przystojny.

Z uśmiechem spojrzałam na siedzącego pod oknem po drugiej stronie Vincenta. Był ubrany w tanią białą koszulę, ciemny krawat, niebieską wiatrówkę, zaprasowane w kant spodnie i czarne buty - wszystko kupione w waszyngtońskim K-Marcie. Trochę przystrzygłam mu włosy, ale ostatecznie pod wpływem kaprysu postanowiłam nie ścinać ich zbyt krótko; umył je i nosił teraz spięte w kucyk. Z obojętną miną przyglądał się mijanym w zadymce krajobrazom. Nic nie mogłam poradzić na tę jego obsypaną

krostami, pozbawioną podbródka gębę, przywodzącą na myśli pysk fretki.

- Dziękuję - odparłam. - Jest podobny do matki... wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie.

- Jest bardzo małomówny - zauważyła Anne.

Pokiwałam głową i pozwoliłam, żeby oczy zaszklily mi się od łez.

- To przez ten wypadek... - Musiałam na chwilę zawiesić głos. - Biedaczek, stracił wtedy większość języka. Lekarze twierdzą, że już nigdy nie będzie mówił.

- O rety, rety... - zatroskała się Anne. - Nie nam rozumieć wyroki boskie. Możemy je tylko pokornie znosić.

I tak pocieszałyśmy się nawzajem, a autobus z sykiem opon mknął wyniesioną na wiadukcie autostradą przez slumsy południowej Filadelfii.

Anne Bishop zrobiło się bardzo miło, kiedy przyjęliśmy jej zaproszenie do spędzenia paru dni w jej towarzystwie.

Centrum Filadelfii było zatłoczone, hałaśliwe i brudne. Vincent wziął nasze bagaże i we troje udaliśmy się na podziemny dworzec kolejowy, gdzie Anne kupiła bilety na lokalny pociąg z Chestnut Hill na Cheltenham Avenue. Już podczas jazdy autobusem napomknęła mi, że ma uroczy dom w Germantown. Mimo że wspomniała o tym, że na przestrzeni ostatnich dekad miasto podupadło na skutek wprowadzenia „niepożądanego elementu”, w dalszym ciągu wyobrażałam sobie Germantown jako odrębny twór, oddzielony od beładnej ceglano-żelaznej zabudowy Filadelfii. Myliłam się. Za oknami pociągu słabiutkie popołudniowe światło padało na szeregowce, sypiące się ceglane fabryki, zapadnięte schody, wąskie ulice zaśmieczone metalowymi trupami porzuconych samochodów, puste parcele oraz Murzynów. Nie licząc części pasażerów pociągu oraz widocznych czasem w samochodach kierowców (droga szybkiego ruchu biegła równolegle do torów), miasto wydawało się zamieszkane wyłącznie przez czarnych. Siedziałam przy oknie, wyczerpana i zniechęcona, i przez warstwę tłustego brudu na szkle patrzyłam na murzyńskie dzieci biegające po opuszczonych parcelach, małe czarne twarze wyzierające spod kapturów, dorosłych Murzynów przemierzających zimne ulice tym swoim tępym, niebezpiecznym krokiem, grube Murzynki popychające skradzione wózki sklepowe, czarne twarze wyzierające z okien...

Oparłam głowę o zimną szybę, z trudem powstrzymując się od płaczu. Ojciec miał rację, kiedy w ostatnich słonecznych dniach przed wybuchem

pierwszej wojny światowej prorokował zagładę tego kraju, gdy tylko kolorowi zaczną głośować. To oni przekształcili wspaniały dawniej kraj w morze ruin własnego lenistwa i desperacji.

Nina mnie tu nie znajdzie. Przez ostatnie dni zachowywałam się zupełnie nieprzewidywalnie. Tydzień, może nawet kilka tygodni spędzonych u Anne - nawet jeśli miałyby oznaczać pograżenie się w otchłani zamieszkaanej przez bezrobotnych kolorowych - spotęguje przypadkowość i tak już przypadkowego schematu.

Wysiedliśmy na stacji Chelten Avenue. Tory biegły tu w zagłębnym korytarzu między nagimi betonowymi ścianami, nad którymi majaczyło miasto. Nagle poczułam się przerażona i zbyt zmęczona, żeby wspiać się po schodach na poziom ulicy; musiałam usiąść na niewygodnej ławce koloru rzygowin i chwilę odpocząć. Pociąg minął nas z łoskotem, kierując się z powrotem do centrum. Grupa kolorowych nastolatków zbiegła po schodach, pokrzykując wulgarnie i poszturchując wszystkich, którzy stali im na drodze, a także siebie nawzajem. W oddali słyszałam odgłosy ruchu ulicznego. Przerażliwie zimny wiatr naniósł - nie wiadomo skąd - wirujących płatków śniegu i sypnął nimi w głąb odkrytej betonowej poczekalni. Vincent ani drgnął; nawet nie zapiął kurtki.

- Weźmiemy taksówkę - zaproponowała Anne.

Pokiwałam głową, ale wstałam dopiero na widok dwóch wielkich jak koty szczurów, które wychynęły ze szpary w betonowym urwisku po drugiej stronie torów i zaczęły żerować wśród odpadków zalegających wyschnięty rów odpływowy.

Taksówkarz - kolorowy i nabzdyczony - zdarł z nas skórę za przejechanie ośmiu przecznic. Germantown było mieszanką kamienia, cegły, neonów i billboardów. Chelten Avenue i Germantown Avenue były zatłoczone samochodami, oblepione tanimi sklepikami, upstrzone barami i zamieszkałe przez ludzkie odpady typowe dla miast Północy. Po Germantown Avenue kursowały jednak najprawdziwsze tramwaje; wśród banków, knajp i lumpeksów trafiał się czasem wciśnięty między nie stary kamienny dom, ceglany warsztat z poprzedniego stulecia, skrawek parku z żelaznym ogrodzeniem i pozieleniałymi od mchu posągami. Dwieście lat temu musiała tu być maleńka wioseczka z pięknymi domami i nobliwymi obywatelami - rolnikami lub kupcami, którzy woleli zamieszkać te sześć lub dziesięć mil od miasta. Przed stu laty było tu spokojne miasteczko, odległe od Filadelfii o

kilka minut jazdy pociągiem - wciąż urocze, pełne olbrzymich domów przy wysadzanych drzewami ulicach, z gospodą przy głównym trakcie. Współczesna Filadelfia połknęła Germantown w taki sam sposób, w jaki ogromne przydenne karpie połykają nieskończenie piękniejsze, lecz mniejsze rybki, i dziś bielejące kości przeszłości mieszały się z nieprzetworzonymi odpadkami w okrutnych sokach trawiennych postępu.

Anne była tak dumna ze swojego domu, że pokazując go nam, nieustannie się czerwieniła. Był żywym anachronizmem: sympatyczny domek o ramowej konstrukcji, który dawniej mógł należeć do jakiegoś wiejskiego gospodarza, stał dosłownie kilkadziesiąt jardów od Germantown Avenue, przy wąskiej uliczce nazwanej Queen Lane. Wysoki biały płot - nieco zdezelowany i od frontu upstrzony graffiti, mimo oczywistych starań dbającej o jego czystość właścicielki - okalał podwórko wielkości znaczka pocztowego (mniejsze nawet niż to przed moim domem w Charleston). Do domu wchodziło się przez mikroskopijną werandę. Dwa mansardowe okienka sygnalizowały istnienie mieszkalnego piętra. Samotna powykręcana grusza na podwórzu wyglądała tak, jakby miała już nigdy nie zakwitnąć. Sam dom był wciśnięty między pralnię chemiczną (ogłaszającą swoje usługi rojem martwych much na wystawie) i dwupiętrowy dom wielorodzinny, który mógłby uchodzić za opuszczony od lat, gdyby nie wyzierające zza szyb w oknach ciemne twarze. Po drugiej stronie uliczki znajdowały się przeróżne małe magazyny, podupadłe ceglane domy połączone w bliźniaki, oraz - odległy o pół przecznicy w kierunku południowym - początek jednego z wszechobecnych szeregowców.

- Nic szczególnego, ale nie ma to jak w domu - powiedziała Anne, czekając, bym zaprzeczyła pierwszej części jej wypowiedzi.

Zaprzeczyłam.

Duża sypialnia gospodyni i mniejszy od niej pokój dla gości znajdowały się na piętrze. Małą sypialnię przy kuchni zamieszkiwał dawniej brat Anne; nadal załatwywało z niej lekarstwami i tytoniem. Anne zamierzała oddać ten pokój Vincentowi, a mnie ulokować w małym gościnnym na górze, pomogłam jej jednak zaproponować nam oba pokoje na piętrze, a samej zadowolić się klitką na parterze. Kiedy była zajęta przenoszeniem ubrań i drobiazgów osobistych, obejrzałam sobie resztę domu.

Była w nim jeszcze nieduża jadalnia (nazbyt elegancka przy tak skromnych rozmiarach), małej pokój dzienny (wyposażony w zbyt dużo sprzętów i ozdobiony przesadną liczbą rycin na ścianach), kuchnia (tak samo

drętwa i niesympatyczna jak jej właścicielka), łazienka oraz mała weranda na tyłach domu, wychodząca na podwórko wielkości wybiegu dla psa.

Otworzyłam tylne drzwi, żeby trochę przewietrzyć w dusznym wnętrzu. Gruby szary kocur otarł mi się o nogi.

- O, Puszek! - ucieszyła się Anne, wnosząc naręcze ubrań do pokoju przy kuchni. - Moje maleństwo... Pani Pagnelli się nim opiekowała, ale zorientował się, że mamusia wróciła, prawda? Miauuu?

Rozmawiała z kotem.

Uśmiechnęłam się i cofnęłam w głąb domu. Kobiety w moim wieku powinny uwielbiać koty, przy każdej okazji sprowadzać je do domu i w ogóle zachowywać się jak kretyнки w obecności tych aroganckich i zdradzieckich stworzeń. Kiedy byłam mała (mogłam mieć sześć, najwyżej siedem lat), odwiedzająca nas latem ciotka zawsze przywoziła ze sobą swojego spasionego syjamskiego kota. Zawsze się bałam, że w nocy uwali mi się na twarzy i udusi mnie we śnie. Pamiętam, jak pewnego wieczoru wepchnęłam go do jutowego worka (dorośli siedzieli za domem i popijali lemoniadę), utopiłam w korycie z wodą na tyłach powozowni sąsiada i porzuciłam przemoczony truchło za stodołą, gdzie często gromadziła się sfera żółtych psów. Kiedy warunkowanie Anne dobiegnie końca, nie zdziwię się, jeśli jej „maleństwu” przytrafi się podobny wypadek.

Posiadacz Talentu może z łatwością Używać innych ludzi, ale udane warunkowanie to sztuka o wiele trudniejsza. Kiedy we trójkę z Niną i Willim blisko pół wieku temu rozpoczynaliśmy w Wiedniu naszą Grę, zabawialiśmy się Używaniem ludzi, najczęściej obcych, nie zastanawiając się specjalnie nad tym, że prędzej czy później będziemy musieli się pozbyć tych ludzkich narzędzi. W miarę jak starzeliśmy się i dojrzewaliśmy, a nasz Talent dojrzewał razem z nami, każde z nas stwierdziło, że potrzebuje towarzysza - po części służącego, po części ochroniarza, tak idealnie dostrojonego do naszych potrzeb, żeby Użycie go wymagało naprawdę minimalnego wysiłku. Zanim mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu znalazłam w Szwajcarii pana Thorne'a, podróżowałam w towarzystwie madame Remont, wcześniej zaś asystował mi młody mężczyzna, którego (kierując się płytkim, młodzieńczym sentymentalizmem) nazwałam Charlesem - na pamiątkę mojego ostatniego narzeczonego. Nina i Willi mieli na przestrzeni lat wielu takich pomocników; kulminacją tych ciągów byli dwaj beznadziejni ostatni służący Williego i obmierzła Barrett Kramer. Tego rodzaju warunkowanie

wymaga sporo czasu, kluczowe jest jednak kilka pierwszych dni. Sekret polega na tym, żeby coś w takim człowieku zachować, zostawić mu przynajmniej szkielet osobowości, uniemożliwiając zarazem wszelkie niezależne funkcjonowanie - przy czym funkcjonowania niezależnego nie należy mylić z autonomicznym, chodzi bowiem o to, żeby proste czynności i codzienne obowiązki wykonywane były bez konieczności bezpośredniego Używania delikwenta. Jeżeli chcemy pokazywać się wśród ludzi w towarzystwie uwarunkowanego asystenta, musi on zachować przynajmniej namiastkę oryginalnej osobowości.

Korzyści z takiego warunkowania są oczywiste. Jednoczesne Używanie dwóch osób jest bardzo trudne, wręcz niemożliwe (choć niby niewykluczone, że Nina to potrafiła), kierowanie zaś zachowaniem dwóch uwarunkowanych pomocników nie stanowi żadnej trudności. Willi zawsze podróżował w towarzystwie co najmniej dwóch swoich „chłopców”; Nina, zanim weszła w fazę feministyczną, w podróży chętnie otaczała się piątką lub szóstką młodych, atrakcyjnych ciał.

Anne Bishop - z natury skora do podporządkowywania się innym - była łatwym obiektem warunkowania. Wystarczyły trzy dni, które spędziłam u niej w domu, żebym całkowicie nad nią zapanowała. Zgoła inaczej rzecz się miała z Vincentem. Wprawdzie moje początkowane „nauczanie” skutecznie zdruzgotało u niego wolną wolę wyższego rzędu, ale jego podświadomość pozostała wzburzonym, nieujarzmionym kłębem nabrzmiałych nienawiści, lęków, uprzedzeń, pragnień i mrocznych żądz. Nie zamierzałam ich wykorzeniać; wołałam je traktować jako źródło energii do późniejszego wykorzystania. Przez cały trzydniowy weekend poprzedzający Boże Narodzenie w 1980 roku odpoczywałam więc w cuchnącym kwaśno domu Anne i badałam mroki emocjonalnej dżungli w głowie Vincenta, zostawiając w niej ścieżki i ślady, które w przyszłości mogły mi się przydać.

W niedzielę 21 grudnia, jedząc przygotowane przez Anne późne śniadanie, podpytywałam ją o przyjaciół, dochody i życie. Okazało się, że przyjaciół nie ma, a i o jakimś prawdziwym życiu w jej wypadku trudno mówić. Pani Pagnelli, sąsiadka zamieszkała przy tej samej uliczce, zaglądała do niej czasem i opiekowała się Puszkiem. Na wzmiankę o zaginionym kocie łzy napłynęły jej do oczu, ja zaś poczułam, jak jej myśli wpadają w poślizg i suną bezwładnie jak samochód na czarnym lodzie. Wzmocniłam swój psychiczny uścisk i przypomniałam jej o nowym głównym celu w jej życiu - którym było zadowalanie mnie.

Miała oszczędności warte ponad siedemdziesiąt trzy tysiące dolarów. Podobnie jak wiele samolubnych starych kobiet dobiegających nudnego kresu nudnego żywota, od dziesięcioleci żyła na skraju ubóstwa, chomikując zarazem pieniądze, akcje i obligacje jak wiewiórka nałogowo zakopująca w ziemi żołędzie, których nigdy nie zje. Zasugerowałam jej, żeby w najbliższym tygodniu rozważyła spieniężenie większości tego majątku. Uznała, że to doskonały pomysł.

Rozmawiałyśmy o pieniądzach, kiedy wspomniała o Grumblethorpe.

- Towarzystwo wypłaca mi skromne uposażenie za opiekę nad nim, oprowadzanie gości i doglądanie go, kiedy długo pozostaje zamknięte. Tak jak teraz.

- Jakie Towarzystwo? - spytałam.

- Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Filadelfii - wyjaśniła.

- Jakiego rodzaju zabytkiem jest to... Grumblethorpe?

- Z przyjemnością ci je pokażę - odparła z zapałem. - To niedaleko, mniej niż przecnicę stąd.

Miałam dość przesiadywania w jej małym domku i pracy nad warunkowaniem jej i Vincenta. Pokiwałam głową.

- Po śniadaniu - powiedziałam. - Jeśli będę miała siłę.

Nawet teraz trudno jest mi oddać w słowach urok i niedorzeczność Grumblethorpe. Stoi przy samiutkiej głównej ulicy, Germantown Avenue. Kilka starych domów dusi się tam w otoczeniu barów, lumpeksów, jadłodajni i groszowych sklepików, wąskie przecznice tego odcinka Germantown Avenue szybko giną wśród slumsów, szeregowców i pustych parceli - ale pod numerem 5267, za kordonem parkometrów i dwóch poczerniałych od sadzy i porżniętych nożami dębów, najdalej dziesięć stóp od ulicznego ruchu, tramwajów i niekończących się pochodów kolorowych przechodniów znajduje się kamienna, zaopatrzona w żaluzje i kryta łupkową dachówką perfekcja Grumblethorpe.

Budynek miał dwoje frontowych drzwi. Anne wyjęła kółko gęsto obwieszone kluczami i wpuściła nas wschodnim wejściem. W środku było ciemno, okna ginęły za grubymi kotarami i szczelnie zamkniętymi okiennicami.

Pachniało starością, wiekowym drewnem i politurą. Dla mnie pachniało jak w domu.

- Grumblethorpe zbudował w tysiąc siedemset czternastym roku niejaki

John Wister, kupiec z Filadelfii - zaczęła Anne. W jej głosie, donośniejszym niż zwykle, dała się słyszeć lekka przewodnicka maniera. - Początkowo dom pełnił rolę jego letniej rezydencji, a z czasem cała rodzina Wisterów przenieśli się tu na stałe.

Z niewielkiego przedpokoju weszliśmy do bawialni. Szerokie deski były wykończone na wysoki połysk, a sztukateria pod sufitem elegancko nieskomplikowana. Przy niedużym kominku znajdował się fotel-uszak, obok niego, na stoliku z epoki, stała samotna świeca. Nie było elektrycznych lamp ani gniazdek.

- Podczas bitwy o Germantown w tym pokoju zmarł brytyjski generał James Agnew - powiedziała Anne. - Do dziś widać plamy jego krwi.

Wskazała na podłogę.

Zerknęłam na ledwie widoczne przebarwienie drewna.

- Na zewnątrz nie ma żadnej tabliczki informacyjnej - zauważyłam.

- Dawniej wystawialiśmy kartkę w oknie. Dom był otwarty dla zwiedzających we wtorki i czwartki po południu, od drugiej do piątej; Towarzystwo organizowało prywatne wycieczki dla pasjonatów historii regionu. Na razie jest zamknięty i będzie zamknięty jeszcze co najmniej przez miesiąc. Potrzebne są pieniądze na dokończenie remontu kuchni.

- Kto tu teraz mieszka? - zainteresowałam się.

Anne parsknęła śmiechem - a właściwie pisnęła, jak mysz.

- Nikt. W domu nie ma prądu, ogrzewania (nie licząc kominków) ani żadnej instalacji hydraulicznej. Tylko ja zaglądam tu w miarę regularnie, a co sześć, osiem tygodni pani Waverly z Towarzystwa przyjeżdża na inspekcję.

Pokiwałam głową.

- Wejście dla zalotników - zauważyłam, wskazując drzwi prowadzące z bawialni bezpośrednio na ulicę.

- A owszem, widzę, że znasz ten obyczaj. Używano ich również podczas pogrzebów.

- Pokaż mi resztę domu - poleciłam jej.

Rustykalny stół i krzesła w jadalni pochodziły z cechujących się piękną prostotą czasów kolonialnych. Stał tam również niesamowity warsztat czeladniczy, którego konstrukcja wymagała nie lada kunsztu stolarskiego.

Anne pokazała mi krzesło zrobione przez Solomana Fussela, który wykonał także krzesła do Independence Hall.

Kuchenne okno wychodziło na podwórze za domem. Mimo że brunatna, skuta mrozem ziemia była przyprószone śniegiem, udało mi się dostrzec

ślady pięknego, starego ogrodu, który rozkwitał tam latem. Podłoga w kuchni była kamienna. Do olbrzymiego kominka mogłabym wejść, nie pochylając głowy. Na jednej ze ścian wisiał dziwnie dobrany zestaw starych narzędzi - były wśród nich wiekowe nożyce, sześciostopowej długości kosa, motyka, zabytkowe grabie, żelazne szczypce i inne rzeczy; obok stało ogromne koło szlifierskie z nożnym napędem.

Anne wskazała kawał wyłupanej ściany w kącie, gdzie paskudny kawał czarnej folii przykrywał wykop.

- Tam były luźne kamienie, bez zaprawy. Kiedy w listopadzie robotnicy prowadzili prace konserwacyjne, odkryli pod podłogą spróchniałe drewniane drzwi prowadzące do tunelu, częściowo zawalonego.

- Droga ewakuacyjna?

- Najprawdopodobniej. Kiedy budowano ten dom, wciąż roilo się tu od Indian.

- Dokąd prowadzi ten tunel?

- Wyjście znaleźli tam, za sąsiednim garażem. - Anne wyciągniętą ręką wskazała za okolone szronem okno. - Niestety, Towarzystwo nie miało dość pieniędzy i musiało wstrzymać wykopaliska w oczekiwaniu na grant z Filadelfijskiego Komitetu Historycznego. Czyli do początku lutego.

- Vincent chciałby obejrzeć ten tunel - powiedziałam.

- Ojej... - Anne się zawahała. Przesunęła dłonią po czole. - Nie wiem, czy to by było dobrze widziane...

- Vincent tam zajrzy.

- Naturalnie - zgodziła się.

W bawialni widziałam świecę, ale musiałam teraz posłać Vincenta z powrotem do domu Anne po zapalki. Kiedy odsunął na bok foliową płachtę, zszedł po krótkiej drabince i zagłębił się w tunel, zamknęłam oczy, żeby lepiej widzieć.

Ziemia, skała, zapach wilgoci i grobu. Tunel został oczyszczony na króciutkim odcinku - zaledwie pierwsze dziesięć, dwanaście stóp pod podwórką - i wzmocniony świeżym drewnianym szalowaniem.

Sprowadziłam Vincenta z powrotem i otworzyłam oczy.

- Chcesz obejrzeć piętro? - zapytała Anne.

Przytaknęłam bez słów i gestów.

Pokój dziecienny zaczął do mnie szeptać, ledwie przekroczyłam jego próg.

- Podobno jest nawiedzony - powiedziała Anne. - Psy pani Waverly boją

się tu wchodzić.

Spodziewałam się, że Anne też słyszy szepty, ale kiedy dotknęłam jej umysłu, nie znalazłam świadomości ich istnienia, tylko nasilające się pragnienie sprawienia mi przyjemności.

Weszłam głębiej. Okno na ulicę - zasłonięte roletą - prawie wcale nie przepuszczało światła. W półmroku dostrzegłam niski, paskudny, żelazny kojec z poprzedniej epoki - porzewiałą klatkę dla pomiotu zła. Stały tam również dwa łóżka z wyplatany dnem oraz dziecinne krzeselko, ale uwagę przykuwały przede wszystkim zabawki, lalki i naturalnej wielkości manekin. W kącie stał duży domek dla lalek, również z niewłaściwej epoki - musiał powstać dobre sto lat po wybudowaniu Grumblethorpe; najdziwniejsze było w nim to, że spróchniał i częściowo się zawalił, zupełnie jak prawdziwy opuszczony dom. Podświadomie spodziewałam się, że lada chwila ujrzę miniaturowe szczury przemykające maleńkimi korytarzami. Obok domku, na niskim wyplatany łóżku leżało pół tuzina porzuconych lalek; tylko jedna z nich wyglądała tak staro, że mogłaby pochodzić z osiemnastego wieku, za to reszta wyglądała tak realistycznie, że można by je wziąć za pleśniejące zwłoki prawdziwych dzieci.

Ale manekin przyćmiewał je wszystkie. Miał rozmiary małego chłopca, siedmio-, może ośmioletniego. Jego strój był rekonstrukcją chłopięcego ubrania z okresu wojny o niepodległość, tyle że tkaniny wyblakły z wiekiem, szwy się rozeszły i woń próchniejącego drewna rozchodziła się po całym pokoju. Różowa powłoka oblażała płatami z dłoni, szyi i twarzy, odsłaniając ciemną porcelanę pod spodem. Prawdziwe ludzkie włosy, dawniej tworzące lśniąca perukę, powylażyły całymi plackami, czaszka była pokryta siateczką pęknięć. Oczy wyglądały zupełnie naturalnie, a ja dopiero po chwili zorientowałam się, że to najprawdziwsze ludzkie protezy. Mimo postępującego rozkładu manekina ich szkło zachowało świetlisty połysk - żarliwe dziecinne oczy u stojącego trupa.

Z niewiadomych powodów zakładałam, że szepty dobywają się właśnie z manekina, jednakże w miarę jak się do niego zbliżałam, ledwie słyszalne szmery cichły, zamiast się nasilać. To ściany przemawiały. Anne i Vincent przyglądali mi się biernie, gdy przytknęłam ucho do tynku i zaczęłam nasłuchiwać. Słyszałam szepty, były jednak zbyt ciche, bym mogła rozróżnić słowa. Miałam wrażenie, że rozbrzmiewa więcej niż jeden głos, ale czułam się przy tym, jakbym słuchała zdań wypowiedzianych pod moim adresem, a nie podsłuchiwała rozmowę.

- Słyszysz coś? - spytałam Anne.

Zmarszczyła brwi w poszukiwaniu odpowiedzi, która sprawi mi największą przyjemność.

- Tylko samochody - odparła w końcu. - I jakichś chłopców pokrzykujących na ulicy.

Pokręciłam głową i znowu przyłożyłam ucho do ściany. Szepty nadal tam rozbrzmiewały, nie były natarczywe, nie próbowały mi grozić... Wydawało mi się, że w przepływie dźwięków wychwytyuję sylaby swojego imienia.

Nie wierzę w duchy. Nie wierzę w świat nadprzyrodzony. W miarę jednak jak się starzeję, zaczynam wierzyć, że podobnie jak fale radiowe rozchodzą się w przestrzeni jeszcze długo po wyłączeniu nadajnika, tak i fale wzbudzone przez siłę woli niektórych osobników mogą się propagować po ich śmierci. Nina opowiadała mi kiedyś o tym, jak pewien archeolog odkrył głos nieżyjącego od tysiący lat garncarza: głos zapisał się w rowkach na powierzchni naczynia - zawarte w glinie żelazo i wibrujące w rytmie dźwięków opuszki palców spełniły rolę dysku rejestrującego i rysika. Nie wiem, czy naprawdę tak było, ale przypomina to koncepcję, którą nauczyłam się przyjmować na wiarę. Niewykluczone, że niektórzy z nas - zwłaszcza ci nieliczni obdarzeni Talentem - mogą odciskać piętno swojej woli na przedmiotach nieożywionych, tak jak potrafimy odciskać je na ludziach.

Znów pomyślałam o Ninie i pośpiesznie odsunęłam się od ściany. Szepty ucichły.

- Nie - powiedziałam na głos. - To nie ma nic wspólnego z Niną. To przyjazne głosy.

Dwoje moich towarzyszy obserwowało mnie w milczeniu - Anne nie wiedziała, co powiedzieć, a Vincent nie był w stanie przemówić. Uśmiechnęłam się do nich. Anne odpowiedziała mi uśmiechem.

- Chodźcie - powiedziałam. - Zjemy obiad i potem tu wrócimy. Grumblethorpe bardzo mi się podoba, Anne. Dobrze zrobiłaś, przyprowadzając mnie tutaj.

Anne Bishop rozpromieniła się w odpowiedzi.

Do południa w poniedziałek Anne i Vincent przewieźli do Grumblethorpe połowę łóżko z nowym materacem, dokupili świec, wstawili trzy naftowe grzejniki, połowę półek w kuchni zapełnili puszkami i innym konserwowanym jedzeniem, na solidnym kuchennym stole zainstalowali niedużą kuchenkę gazową, a także odkurzyli i posprząkali w pokojach. Łóżko

kazałam rozstawić w pokoju dzieciennym. Anne przyniosła mi czystą pościel, koce i swoją ulubioną pikowaną narzutę, uszytą przez amiszów. Pod jedną ze ścian w kuchni Vincent rozlokował swoją nową kolekcję szpadli i kubłów. Na razie nie mogłam nic poradzić na brak bieżącej wody i kanalizacji, ale i tak zamierzałam większość czasu spędzać w domu Anne. Grumblethorpe chciałam po prostu przystosować do swoich koniecznych, częstych wizyt.

W poniedziałek po południu Anne podjęła wszystkie oszczędności z banku (było tego prawie czterdzieści dwa tysiące dolarów) i rozpoczęła proces spieniężania papierów wartościowych; w niektórych wypadkach musiała ponosić karne opłaty likwidacyjne, ale żadnej z nas to nie przeszkadzało. Pieniądze włożyłam do swojego bagażu.

O czwartej po południu - kiedy na dworze dogasał zimowy dzień - we wszystkich pokojach Grumblethorpe jasno płonęły dziesiątki świec; bawialnia, kuchnia i pokój dziecienny zrobiły się przyjemnie ciepłe dzięki naftowym grzejnikom, a Vincent już od trzech godzin był zajęty udrażnianiem tunelu; wybraną ziemię wynosił w kął podwórza i wysypywał pod rosnącym tam rozłożystym miłorzębem. Było to zajęcie ciężkie, brudne i najprawdopodobniej niebezpieczne, ale ta praca dobrze mu robiła, pozwalała częściowo rozładować nagromadzoną w nim złość. Już wcześniej wiedziałam, że jest silny, znacznie silniejszy, niżby to sugerowały szczupłe ciało i przygarbiona sylwetka, ale dopiero teraz odkryłam prawdziwe zasoby jego żyłastej siły i niemal demonicznej energii: podczas tego jednego popołudnia dostępny odcinek tunelu wydłużył się niemal dwukrotnie.

Nie zostałam w Grumblethorpe na tę pierwszą noc. Kiedy, szykując się do wyjścia, gasiliśmy świece i wyłączaliśmy grzejniki, poszłam sama do pokoju dzieciennego. Zostawiłam tylko jedną świecę, której płomień odbijał się w guzikowych ślepiach szmacianych lalek i szklanych oczach manekina.

Szepty stały się głośniejsze. Nadal nie rozumiałam słów, lecz wyczuwałam w nich wyraźną nutę wdzięczności. Życzyły mi wszystkiego najlepszego i zapraszały mnie do powrotu.

We wtorek - w przeddzień Wigilii - Vincent wyniósł z tunelu pół tony ziemi. Oczyszczywszy kolejne dwanaście stóp tunelu, odkryliśmy, że jego dalszy odcinek zachował się w dobrym stanie, jeśli nie liczyć paru luźnych kamieni i niewielkich osypisk ziemi, jakie potworzyły się na przestrzeni dwustu lat. W środę rano Vincent odblokował wyjście prowadzące na uliczkę pomiędzy podwórkami po naszej stronie i tyłem szeregowca naprzeciwko; zabił je deskami i wrócił do Grumblethorpe. Wyglądał fatalnie: brudny, w

ubłoconym i porozdzieranym starym ubraniu, z długimi włosami, które brudnymi, pozlepianymi pasmami opadały mu na upstrzoną ziemią twarz i wytrzeszczone oczy. Tego dnia przyniosłam ze sobą tylko jeden duży termos gorącej wody; kazałam Vincentowi rozebrać się i usiąść przy grzejniku w kuchni, a sama zniosłam jego ubranie do domu Anne, żeby tam skorzystać z pralki i suszarki.

Anne przez całe popołudnie szykowała specjalną kolację wigilijną. Ulice był ciemne i prawie puste. Samotny tramwaj z łoskotem przetoczył się po Germantown Avenue, rozsiewając ciepły blask wewnętrznych lamp. Zaczynał prószyć śnieg.

I tak oto wyszłam na spacer sama i bezbronna. W normalnych okolicznościach nie przesłabym nawet jednej przecznicy bez solidnie uwarunkowanego kompana przy boku, ale całodzienna praca w Grumblethorpe i dziwnie ostrzegawczy ton szeptów w pokoju dziecinnym rozstroiły mnie i zatraciłam swoją normalną ostrożność. Poza tym myślałam o świętach.

Boże Narodzenie zawsze było dla mnie bardzo ważne. Z dzieciństwa pamiętałam ogromne choinki i jeszcze większe uroczyste kolacje. Ojciec kroił indyka; do moich zdań należało przygotowanie drobnych upominków dla służby. Pamiętam, jak całymi tygodniami układałam lakoniczne podziękowania dla służących - w przeważającej mierze starszych wiekiem kolorowych mężczyzn i kobiet: większość z nich chwaliłam, niektórych leciutko ganiłam (poprzez pominięcie kluczowych fraz) za niedostateczną pilność w wypełnianiu obowiązków, ale najpiękniejsze prezenty i najcieplejsze słowa zawsze miałam dla cioteczki Harriet - wiekowej, piersiastej kobieciny, która mnie wykarmiła i wychowała. Harriet urodziła się jako niewolnica.

Z ciekawością odnotowywałam, jak wiele lat później w Wiedniu Nina, Willi i ja tropiliśmy takie wspólne elementy naszego dzieciństwa, jak uprzejmość dla służby. Nawet wówczas Boże Narodzenie nie przestało być dla nas ważnym wydarzeniem. Pamiętam zimę 1928 roku, sannę nad Dunajem i olbrzymi bankiet w willi wynajmowanej przez Williego na południe od miasta. Dopiero ostatnio przestałam świętować Boże Narodzenia z takim namaszczeniem, jak bym chciała. Zaledwie przed dwoma tygodniami, przy okazji naszego ostatniego zjazdu, rozmawiałyśmy z Niną o smutnej sekularyzacji bożonarodzeniowego ducha. Dziś ludzie już nie rozumieją, czym jest chrześcijaństwo.

Chłopców było ośmiu, sami kolorowi. Nie wiem, ile mogli mieć lat: byli ode mnie wyżsi, trzem albo czterem puścił się już pierwszy meszek nad wydatną górną wargą. Wylali się na Germantown Avenue falą zgiełku, łokci, kolan i hałaśliwych przekleństw zza rogu Brighthurst Street. Wyszli prosto na mnie. Jeden z nich niósł ogromne radio, ryczące bezsensownym jazgotem.

Zaskoczona podniosłam wzrok, wciąż pogrążona w rozmyślaniach o świętach i nieobecnych przyjaciółach. Niewiele myśląc, przystanęłam i czekałam, aż zjeżdżą mi z drogi, usuną się z chodnika. Coś w wyrazie mojej twarzy - może brak potulnego szacunku, jaki biali zwykle okazują Murzynom w czarnych dzielnicach północnych miast - zwróciło ich uwagę.

- Co się, kurwa, gapisz? - zapytał wysoki w czerwonej czapce. Brakowało mu paru zębów i cechowała go typowa dla jego rasy tępota, zrodzona ze stuleci plemiennej ignorancji.

- Czekam, aż zjeździecie damie z drogi, chłopcy - odparłam spokojnie i grzecznie. W normalnej sytuacji w ogóle bym się nie odezwała, ale mój umysł zaprzętały inne sprawy.

- Chłopcy! - powtórzył ten w czerwonej czapce. - Kogo nazywasz chłopcami, pizdo jedna?

Otoczyli mnie półkolem. Wpatrywałam się w punkt w powietrzu nad ich głowami.

- Za kogo ten kurwiszon się uważa? - spytał grubas w brudnej szarej kurtce z kapturem.

Milczałam.

- Daj spokój - odezwał się inny, niższy i mniej prostacki z wyglądu. - Chodź, stary.

Zaczęli się odwracać, ale ten w czerwonej czapce musiał jeszcze zaznaczyć swoją dominację.

- Na drugi raz uważaj, komu każesz zejść z drogi, stara ruo - powiedział i zrobił taki gest, jakby zamierzał mnie szturchnąć w pierś albo w ramię.

Cofnęłam się pośpiesznie, żeby mnie nie dotknął. Obcas uwiązał mi w dziurze w chodniku, straciłam równowagę, zamłóciłam bezradnie ramionami i usiadłam z impetem w warstwie śniegu i psich odchodów zalegającej pomiędzy chodnikiem i jezdnią. Większość Murzynów wybuchnęła śmiechem.

Ten niski, z niebieskimi oczami, uciszył ich gestem i podszedł do mnie.

- Nic się pani nie stało?

Wyciągnął rękę, jakby chciał mi pomóc wstać.

Patrzyłam na niego bez słowa, ignorując wyciągniętą rękę. Po chwili dał sobie spokój, wzruszył ramionami i wraz z pozostałymi odszedł. Ohydna muzyka odbijała się echem od wystaw pustych sklepów.

Siedziałam tak, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Dopiero wtedy spróbowałam wstać, a kiedy nie dałam rady, na czworakach podczołgałam się do parkometru, na którym mogłam się wesprzeć i dźwignąć. Dłuższą chwilę stałam oparta o parkometr i drżałam na całym ciele. Czasem przejechał jakiś samochód (pewnie ktoś śpieszył się do domu na wieczerzę wigilijną), ochlapując mnie mokrą śnieżną breją. W pewnej chwili minęły mnie dwie przysadziste Murzynki, idące pośpiesznie i trajkoczące głosami jak z plantacji. Nikt się nie zatrzymał, żeby mi pomóc.

W końcu roztrzęsiona dotarłam do domu Anne. Dopiero później uświadomiłam sobie, że mogłam kazać jej wyjść mi naprzeciw, ale wtedy nie myślałam zbyt jasno. Łzy napływały mi do oczu, ściekały na policzki i tam zamarzały, ścięte lodowatym wiatrem.

Anne natychmiast przyszykowała gorącą kąpiel i pomogła mi zdjąć przemoczoną sukienkę, a kiedy się kąpałam, wyłożyła dla mnie suche ubranie.

Dopiero o dziewiątej usiadłam do kolacji - sama, Anne siedziała w drugim pokoju. Kiedy zjadłam deser (placek z wiśniami), dokładnie wiedziałam, co trzeba zrobić.

Spakowałam swoją koszulę nocną i niezbędne drobiazgi osobiste. Kazałam Anne zabrać własne łóżko polowe, zmianę ubrań dla Vincenta, trochę jedzenia i picia na zapas, oraz rewolwer, który pożyczyłam sobie od taksówkarza z Atlanty.

Powrót do Grumblethorpe był krótki, nie wydarzyło się nic ciekawego. Śnieg padał obficie. Mijając miejsce, w którym się przewróciłam, odwróciłam wzrok.

Vincent siedział tam, gdzie go zostawiłam. Ubrał się i żarłocznie pochłonał przyniesione jedzenie. Normalnie nie przejęłabym się zbytnio tym, że przegapi parę posiłków, ale przez ostatnie dwa dni zajęty kopaniem musiał spalić tysiące kalorii, a ja chciałam, żeby odzyskał siły. Jadł jak zwierzę; dłonie, ramiona, twarz i włosy wciąż miał brudne, oblepione ziemią i rdzawym błotem, więc w połączeniu z towarzyszącymi odżywianiu się efektami dźwiękowymi do złudzenia przypominał zwierzę.

Po jedzeniu przysiadł nad kołem szlifierskim, na którym naostrzył kosę i

jeden ze szpadli kupionych dwa dni wcześniej przez Anne w sklepie z narzędziami przy Chelten Avenue.

Dochodziła północ, kiedy poszłam na górę, do pokoju dziecinnego, i przebrałam się w koszulę nocną. Błyszczące szklane oczy chłopca-manekina obserwowały mnie w migotliwym blasku świecy. Anne siedziała w bawialni na parterze, obserwując frontowe drzwi - zadowolona, uśmiechnięta, z naładowaną trzydziestką ósemką na podołku.

Vincent wymknął się tunelem. Wilgoć i brud jeszcze bardziej upstrzyły mu twarz i włosy, kiedy w czarnym podkopie włókł za sobą kosę i szpadel. Zamknawszy oczy, wyraźnie widziałam padający śnieg w przyćmionym blasku ulicznych latarni, gdy Vincent wynurzył się spod ziemi w pobliżu garażu, wyciągnął długie narzędzia i potruczał w głąb zaułka.

Powietrze miało czystą, chłodną woń. Czułam bicie serca Vincenta, mocne i pewne; czułam, jak dżungla w jego głowie tętni i faluje niczym targana silnym wiatrem, gdy adrenalina pulsowała mu w żyłach; czułam, jak mięśnie moich ust wykrzywiają się w reakcji współczulnej, i zdałam sobie sprawę, że Vincent uśmiecha się szeroko, bardzo szeroko, jak szczerzący zęby dziki zwierz.

Szybko przemknęliśmy zaułkiem na tyłach domu, na chwilę przystanęliśmy u wylotu slumsowej uliczki szeregowców o ciemnych oknach, po czym przebiegliśmy jej południową stroną, gdzie zalegał najgłębszy cień. Znów się zatrzymaliśmy, a ja kazałam Vincentowi unieść głowę i spojrzeć w kierunku, w którym oddaliła się tamta ósemka. Poczułam, jak nozdrza mu się rozszerzają, gdy w nocnym mroku węszył w poszukiwaniu Murzynów.

Śnieg walił grubymi płatkami. Nocną ciszę mącił tylko odległy dźwięk dzwonów kościelnych obwieszczających narodziny naszego Zbawiciela. Vincent opuścił głowę, zarzucił sobie szpadel i kosę na ramię i wśliznął się w mrok uliczki.

Siedząc w Grumblethorpe w pokoju na piętrze, uśmiechnęłam się pod nosem i odwróciłam się do ściany. Szmer szeptów otoczył mnie wezbraną falą niczym szum przyboju.

19.

Waszyngton

20 grudnia 1980, sobota

- Nic nie wiesz o prawdziwej naturze przemocy - powiedział stwór, który niegdyś był Francisem Harringtonem, do Saula Laskiego.

Szli przez park w kierunku wschodnim, w stronę Kapitolu. Zimne snopy wieczornego światła słonecznego oświetlały białe granitowe budowle i białe obłoki spalin samochodów i autobusów. Nieliczne gołębie ostrożnie obskakiwały puste ławki.

Saul czuł drżenie mięśni brzucha i ud; wiedział, że to coś więcej niż zwykła reakcja na zimno. Kiedy wyszli z National Art Gallery, ogarnęło go ogromne podniecenie.

Nareszcie, myślał. Po tylu latach!

- Masz się za eksperta od przemocy - dodał Harrington po niemiecku. Saul nigdy przedtem nie słyszał, żeby posługiwał się tym językiem. - A w rzeczywistości nie masz o niej pojęcia.

- Co masz na myśli? - spytał Saul po angielsku.

Wcisnął ręce głęboko w kieszenie płaszcza. Cały czas się rozglądał: obserwował mężczyznę wychodzącego ze wschodniego gmachu galerii; mrużąc oczy, przyglądał się postaci siedzącej na odległej parkowej ławce; usiłował przeniknąć wzrokiem polaryzowaną szybę sunącej wolno limuzyny. Gdzie jesteś, Oberst? Na myśl o tym, że nazistowski pułkownik może być gdzieś w pobliżu, doznał skurczu przepony.

- Traktujesz przemoc jak aberrację - ciągnął Harrington nieskazitelną niemczyzną - podczas gdy w rzeczywistości jest ona normą. Istotą człowieczeństwa.

Saul siłą woli skupił się na rozmowie. Musi wywabić Obersta z ukrycia... jakimś sposobem wyrwać Francisa spod jego władzy... i wreszcie znaleźć samego Obersta.

- Bzdura - odparł. - Rzeczywiście, to powszechna niedoskonałość, ale tak samo nie jest częścią ludzkiej natury, jak nie jest nią choroba. Udało nam się zwalczyć polio i ospę; podobnie możemy wyeliminować przemoc ze stosunków międzyludzkich - dodał swoim profesorskim tonem.

Gdzie jesteś, Oberst?

Harrington parsknął śmiechem - śmiechem starego człowieka,

chrapliwym i zaflegmionym. Saul spojrział na niego z ukosa i aż się wzdrygnął. Odniósł makabryczne wrażenie, że twarz Francisa - wydatne kości policzkowe, piegi, krótkie rude włosy - jest tylko maską naciągniętą na czaszkę innego człowieka. Jego ciało, ukryte pod długim płaszczem przeciwdeszczowym, wydawało się dziwnie pękate, jakby dramatycznie przytył albo włożył kilka grubych swetrów.

- Równie dobrze mógłbyś próbować wyrugować miłość, nienawiść albo śmiech. - W ustach Francisa Harringtona zabrzmiał głos Williego von Borcherta. - Zamiłowanie do przemocy jest nieodłącznym składnikiem ludzkiego bytu. Nawet słabi chcą być silni głównie po to, żeby dopiec innym.

- Nonsens.

- Nonsens? - powtórzył Harrington.

Przeszli na drugą stronę Madison Driver i znaleźli się nad stawem, w którym odbijał się Kapitol. Harrington przysiadł na ławce z widokiem na Trzecią Ulicę. Saul usiadł obok niego, kręcąc głową na boki i oglądając wszystkich ludzi w zasięgu wzroku. Niewielu ich było. Żaden nie wyglądał jak Oberst.

- Mój drogi Żydzio, spójrz na Izrael - powiedział Harrington.

- Że co? - Saul odwrócił się do niego. Takiego Francisa nie znał. - O co ci chodzi?

- Twoja ukochana przybrana ojczyzna słynie ze stosowania przemocy wobec swoich wrogów. Jej oficjalną filozofią jest „oko za oko”; jej polityką nieuchronna zemsta; jej chlubą skuteczność wojsk lądowych i lotniczych.

- Izrael tylko się broni - odparował Saul.

Surrealizm tej dyskusji przyprawiał go o zawroty głowy. Kopuła Kapitolu pławiła się w ostatnich promieniach słońca.

Harrington znów się roześmiał.

- No tak, mój wierny pionku... Przemoc stosowana w imię obrony zawsze jest łatwiejsza do strawienia. Stąd wziął się Wehrmacht - powiedział z naciskiem na cząstkę *Wehr*, „obrona”. - Izrael ma wrogów, *nicht wahr?* Trzecia Rzesza również ich miała. Jednym z nich, wcale nie najmniej groźnym, były te same szkodniki, które wtedy, dążąc do unicestwienia Rzeszy, udawały bezsilne ofiary, a dziś, gnębiąc Palestyńczyków, udają bohaterów.

Saul nie odpowiedział. Antysemityzm Obersta był dziecinną prowokacją.

- Czego chcesz? - zapytał półgłosem.

Harrington uniósł brwi.

- A co jest złego w odszukaniu starego znajomego w celu ucięcia sobie z nim ciekawej rozmowy?

- Jak mnie znalazłeś?

Harrington wzruszył ramionami.

- Powiedziałbym raczej, że to ty znalazłeś mnie - odparł dziwnym gardłowym basem, który nie był głosem Francisa Harringtona. - Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy mój ulubiony pionek pojawił się w Charleston. Młody Żyd Wieczny Tułacz znalazł się bardzo daleko od Chełmna.

„Skąd wiesz, kim jestem?”, chciał zapytać Saul, ale ugryzł się w język. Tamte kilka godzin przed czterdziestu laty, kiedy wspólnie zamieszkiwali jego ciało, wytworzyło między nimi obrzydliwie bliską więź, znacznie trwalszą, niż mogłyby to wyrazić słowa. Dlatego Saul wiedział, że mimo upływu czasu natychmiast rozpoznałby Obersta - i faktycznie go rozpoznał.

- Przyjechałeś za mną z Charleston? - zapytał.

Harrington się uśmiechnął.

- Z przyjemnością posłuchałbym któregoś z twoich wykładów na uniwersytecie. Może moglibyśmy potem podyskutować o etyce Trzeciej Rzeszy.

- Może. Albo o tym, że wściekły pies jest właściwie względnie normalny. Sęk w tym, że na wściekłość jest tylko jedno lekarstwo: trzeba psa zastrzelić.

- Ach tak... Ostateczne rozwiązanie. Wy, Żydzi, nigdy nie grzeszyliście subtelnością.

Saul się wzdrygnął. Za tym spokojnym głosem i ludzką marionetką krył się człowiek, który osobiście zamordował setki, jeśli nie tysiące ludzi. Jedyńm powodem, jaki przychodził Saulowi do głowy, dla którego Oberst mógłby chcieć go odszukać i przybyć za nim z Charleston do Waszyngtonu, była chęć zabicia także jego. Oberst Wilhelm von Borchert, alias William Borden, dołożył wszelkich starań, żeby przekonać świat o swojej śmierci, i nie miał żadnego powodu, by odsłaniać się przed bodaj jedynym człowiekiem na świecie, który znał jego prawdziwą tożsamość - chyba że miała to być końcówka gry w kotka i myszkę.

Sięgnął głębiej do kieszeni i namacał noszony w niej rulon ćwierćdolarówek - jedyną broń, jaką miał w ręku od czasu ucieczki z Sobiboru trzydzieści sześć lat temu.

Gdyby udało mu się ogłuszyć Francisa (choć wiedział, że jest to zadanie znacznie trudniejsze, niż sugeruje się to w kinie i telewizji), to co dalej?

Uciekać. Co jednak miałoby powstrzymać Obersta przed wdarciem się do jego mózgu? Zadrzał na myśl o ponownym gwałcie na umyśle. Nie musiałby nawet paść ofiarą jakiejś napaści, stałby się po prostu jednym z wielu punkcików w statystykach, ot, roztargniony profesor, który po ciemku wtargnął na ruchliwą waszyngtońską ulicę, wprost pod koła pojazdów...

Poza tym nie zamierzał zostawić Francisa własnemu losowi. Zacisnął pięść na rulonie monet i zaczął powolutku wysuwać rękę z kieszeni. Nie miał pojęcia, czy chłopaka da się jeszcze odratować (rzut oka na maskę, która zastąpiła jego twarz, sugerował, że jest to mało prawdopodobne), ale wiedział, że musi przynajmniej spróbować. Jak jednak przenieść nieprzytomnego człowieka przez park na odległość półtorej przecznicy, do zaparkowanego tam samochodu?

Znając Waszyngton, pewnie nieraz coś takiego udało się tu zrobić. Saul doszedł jednak do wniosku, że zostawi Harringtona na ławce, pobiegnie do samochodu, przestawi go na Trzecią Ulicę, zaparkuje na chwilę przy krawężniku i wrzuci nieprzytomnego chłopaka na tylne siedzenie.

Nie wymyślił żadnego zabezpieczenia przed wpływem Obersta - ale nie miało to znaczenia. Spokojnie wydobyl z kieszeni rulon monet, zasłaniając go ciałem przed wzrokiem Francisa.

- Chcę ci kogoś przedstawić - powiedział Harrington.

- Co? - Serce waliło Saulowi jak młotem, ledwie był w stanie mówić.

- Jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić - powtórzył Oberst i kazał Harringtonowi wstać. - Myślę, że to będzie dla ciebie ciekawe spotkanie.

Saul siedział jak skamieniały. Kurczowo zaciśnięta pięść wprawiała mu całą rękę w drżenie.

- Idziesz, Żydzie? - Niemieckie słowa i ton głosu były niemal identyczne z tymi, jakich Oberst użył w baraku w Chełmnie trzydzieści osiem lat wcześniej.

- Tak.

Saul wstał, wcisnął ręce w kieszenie płaszcza i ruszył za Francisem Harringtonem w szybko zapadającym zimowym zmierzchu.

Był najkrótszy dzień w roku. Nieliczni zahartowani turyści czekali na autobusy lub pośpiesznie wracali do samochodów. Saul z Francisem przeszli Constitution Avenue, minęli Kapitol i zatrzymali się przy wjeździe do podziemnego garażu Kancelarii Senatu. Minęło kilka minut, zanim automatyczne drzwi otworzyły się i ze środka bezszelestnie wynurzyła się

limuzyna. Harrington zbiegł po pochylni; Saul podążył za nim i ledwie zdążył się uchylić przed zamykającą się bramą.

Dwaj strażnicy spojrzeli na nich z niedowierzaniem. Jeden - otyły i czerwony na twarzy - ruszył w ich kierunku.

- Ejże, do diabła! - zawołał. - Tu nie wolno wchodzić. Radzę się stąd zabierać, zanim każemy was aresztować.

- Rety, przepraszam! - odparł Harrington swoim zwykłym głosem. - Mamy przepustki, rozumie pan, wybieramy się na spotkanie z senatorem Kellogiem, ale drzwi były zamknięte i nikt nie odpowiadał na pukanie...

- Główne wejście. - Strażnik zamachał rękami. Jego kolega stał przy budce strażniczej; prawą rękę oparł na rękojeści rewolweru i bardzo uważnie obserwował intruzów. - Ale po piątej i tak nie wpuszczają gości. Wynocha mi stąd, ale już! Bo was pozamykam!

- Jasna sprawa - odparł uprzejmym tonem Harrington.

Wyjął z kieszeni pistolet i strzelił strażnikowi w prawe oko. Drugi ochroniarz stał jak wmurowany w ziemię. Saul, który odruchowo skulił się przy pierwszym wystrzale, dopiero teraz zauważył, że paraliż strażnika nie jest bynajmniej naturalną, wywołaną strachem reakcją: mężczyzna ze wszystkich sił starał się poruszyć prawą ręką, ale dłoń tylko mu drżała, jakby doznał porażenia. Pot wystąpił mu na czoło i górną wargę, oczy wychodziły z orbit.

- Za późno - powiedział Harrington i czterema kulami przestrzelił mu pierś i szyję.

Słyszając czterokrotne *pffi-pffi-pffi-pffi*, Saul uświadomił sobie, że część bardzo długiej lufy pistoletu stanowi tłumik. Ruszył naprzód... i nagle zamarł, gdy Harrington skinął bronią w jego stronę.

- Wciągnij ich do środka.

Saul wypełnił polecenie; dyszał ciężko, para z jego oddechu kłębiła się w zimnym powietrzu, gdy włókł ciężkie zwłoki po betonie do budki strażniczej.

Harrington wyjął pusty magazynek, wsunął na jego miejsce drugi, pełny, i dobił go nasadą dłoni. Przykucnął i zebrał łuski.

- Chodźmy na górę.

- Tu są kamery... - wysapał Saul.

- Są na górze, w samym gmachu - przytaknął po niemiecku Harrington - ale z garażem jest tylko połączenie telefoniczne.

- Zauważą brak strażników - powiedział Saul, tym razem bardziej stanowczym tonem.

- Z pewnością. Dlatego radziłbym ci się pośpieszyć.

Weszli na parter i przemierzili korytarz. Zaskoczony strażnik uniósł wzrok znad gazety.

- Bardzo mi przykro, panowie, ale to skrzydło jest zamknięte po godzi...

Harrington strzelił mu dwa razy w pierś i zaciągnął zwłoki na klatkę schodową. Saul oparł się ciężko o drewnianą framugę drzwi; nogi miał jak z waty, w ogóle czuł się tak, jakby coś go rozkładało. Miał ochotę uciec, miał ochotę krzyczeć, ale zamiast tego tylko kurczowo wczepił się w dębową futrynę.

- Winda - powiedział Harrington.

Korytarz na drugim piętrze był pusty, chociaż Saul słyszał dobiegające zza zakrętu odgłosy rozmowy i śmiech. Harrington otworzył czwarte drzwi po prawej.

Młoda kobieta zakładała właśnie pokrowiec na maszynę do pisania marki IBM.

- Przepraszam panów, ale jest już po...

Harrington wziął zamach i trzymany w dłoni pistolet zatoczył łuk, który zakończył się na skroni kobiety. Osunęła się na podłogę, nie wydawszy żadnego dźwięku. Harrington podniósł upuszczony przez nią pokrowiec i naciągnął go na maszynę, a następnie złapał Saula za kołnierz i przez pustą poczekalnię wciągnął go do dużego, nieoświetlonego gabinetu. W szparze pomiędzy zasłonami Saulowi mignęła widoczna za oknem podświetlona kopuła Kapitolu. Harrington otworzył kolejne drzwi.

- Witaj, Trask - powiedział po angielsku, wchodząc do następnego pokoju.

Siedzący za biurkiem szczupły mężczyzna podniósł wzrok, lekko zaskoczony. W tej samej chwili krępy człowiek w brązowym garniturze poderwał się gwałtownie ze skórzanej kanapy i rzucił na intruzów. Harrington strzelił do niego dwa razy, podszedł bliżej, rzucił okiem na trzymany przez ochroniarza mały pistolet i strzelił do niego po raz trzeci, z bliska, za lewe ucho. Krępe ciało zadrżało spazmatycznie, wierzgnęło nogami na grubym dywanie i znieruchomiało.

Nieman Trask ani drgnął. W lewej ręce trzymał notatnik, w prawej złote pióro marki Cross.

- Siadaj. - Harrington wskazał Saulowi wyściełaną skórą kanapę.

- Kim jesteście? - spytał Trask tonem zdradzającym zaciekawienie.

- Później przyjdzie czas na pytania i odpowiedzi. Na początek coś sobie

wyjaśnijmy: mojemu przyjacielowi - tu Harrington wskazał Saula - włos nie może spaść z głowy. Jeżeli choćby spróbuje wstać, rozluźnię pięść.

- Rozluźni pan pięść? - powtórzył Trask.

Kiedy wchodzili do pokoju, lewa ręka Harringtona była pusta - teraz jednak trzymał w niej plastikowe kółko z małym wybrzuszeniem pośrodku. Izolowany przewód odchodził od kółka i znikał w głębi rękawa jego płaszcza. Kciuk Harringtona spoczywał na wybrzuszeniu.

- Ach, teraz rozumiem - powiedział znużonym tonem Trask. Odłożył notatnik i ujął pióro w obie dłonie. - Ładunek wybuchowy?

- C-4 - przytaknął Harrington.

Ręką, w której trzymał pistolet, rozpiął płaszcz. Pod spodem miał workowatą wędkarską kamizelkę, której wszystkie kieszonki były wypchane do granic możliwości. Saul dostrzegł liczne łączące je przewody.

- Dwanaście funtów plastiku - dodał Harrington.

Trask pokiwał głową. Sprawiał wrażenie opanowanego, ale jego zaciśnięte na piórze czubki palców pobiełały.

- To aż nadto - przyznał. - Czego panowie sobie życzą?

- Chciałbym porozmawiać.

Harrington usiadł na krześle trzy stopy od biurka.

- Ależ naturalnie. - Trask rozparł się wygodnie w fotelu. Zerknął na Saula.
- Słucham.

- Zadzwoń do Colbena i Barenta i zestaw telekonferencję - polecił Harrington.

- Przykro mi. - Trask odłożył pióro i rozcapierzył palce. - Colben jest teraz w drodze do Chevy Chase, a pan Barent, o ile mi wiadomo, przebywa poza granicami kraju.

Harrington pokiwał głową.

- Liczę do sześciu. Jeżeli przez ten czas nie zadzwonisz, otworzę dłoń. Jeden... dwa...

Przy „czterech” Trask sięgnął po telefon. Zestawienie niezbędnych połączeń zajęło mu kilka minut: Colbena złapał w limuzynie na Rock Creek Expressway, a Barenta w powietrzu, gdzieś nad Maine.

- Przełącz na głośnik - polecił mu Harrington.

- O co chodzi, Nieman? - zabrzmiał spokojny głos z akcentem z Cambridge. - Richard? Też tam jesteś?

- Jestem - przytaknął basem Colben. - Ale za diabła nie mam pojęcia, o co chodzi. Kurwa, Trask, co jest grane? Kazałeś mi czekać dwie minuty.

- Mam tu pewien problem... - powiedział Trask.

- Nieman, to nie jest bezpieczne połączenie - rozległ się ściszony głos, należący, jak domniemywał Saul, do Barenta. - Jesteś sam?

Trask z wahaniem zerknął na Harringtona, a kiedy ten tylko się uśmiechnął, odparł:

- Eee... nie, proszę pana. Są ze mną jeszcze dwaj dżentelmeni. Siedzimy w biurze senatora Kelloga.

- Kurwa, Trask, co ty odpierdalasz?! - zatrzeszczał w głośniku głos Colbena.

- Spokojnie, Richard - uciszył go Barent. - Mów, Nieman. Słuchamy.

Trask skinął zachęcająco ręką na Harringtona, jakby udzielał mu głosu.

- Panie Barent? Chcielibyśmy ubiegać się o członkostwo w jednym z pańskich klubów - powiedział Harrington.

- Przepraszam bardzo, z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Francis Harrington. Jest ze mną mój pracodawca, doktor Saul Laski z Columbia University.

- Trask! - wtrącił się Colben. - Co tam się dzieje?!

- Cii... - uspokoił go Barent. - Panie Harrington, doktorze Laski, miło mi panów poznać. W czym mogę pomóc?

Saul Laski westchnął ciężko. Dopóki Oberst nie ujawnił jego nazwiska, mógł liczyć, że ujdzie z życiem z tego koszmaru. Teraz jednak - mimo że nie miał pojęcia, jaką grę prowadzi Oberst ani kim są ci wszyscy ludzie i co ich łączy z Willim, Niną i panią Fuller - nabrał wątpliwości: czy Oberst podawałby jego nazwisko, gdyby nie był gotowy go poświęcić?

- Wspomniał pan o jakimś klubie... - przypomniał Barent. - Mógłbym prosić o jakieś konkrety?

Harrington wyszczerzył zęby w makabrycznym uśmiechu. Lewą rękę nadal miał uniesioną, z kciukiem na detonatorze.

- Myślałem o pańskim klubie - odparł. - Chciałbym do niego przystąpić.

- Należę do wielu klubów, panie Harrington. - W głosie Barenta dało się słyszeć nutę rozbawienia. - Gdyby zechciał pan mówić bardziej konkretnie...

- Interesuje mnie ten najbardziej elitarny. Mam słabość do wysp.

Głośnik prychnął śmiechem.

- Ja również, panie Harrington. Ale choć zgadzam się, że pan Trask jest wyśmienitą osobą wprowadzającą, większość klubów, których jestem członkiem, wymaga dodatkowych referencji. Powiedział pan, że towarzyszy panu doktor Laski, pański pracodawca. Czy pan również zamierza się

ubiegać o członkostwo, doktorze?

Saul nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi, która mogłaby poprawić jego sytuację. Milczał.

- Może pan również... hmm... reprezentuje kogoś innego? - zasugerował Barent.

Harrington parsknął śmiechem.

- Facet ma dwanaście funtów plastiku podłączonych do detonatora - wtrącił beznamytnym tonem Trask. - Moim zdaniem to są imponujące referencje. Może spotkalibyśmy się gdzieś i o tym porozmawiali?

- Moi ludzie już jadą - rzucił krótko Colben. - Nie trać ducha, Trask.

Nieman Trask z westchnieniem przetarł czoło i nachylił się nad telefonem.

- Colben, ty żałosny palancie, jeżeli ktoś od ciebie zbliży się na dziesięć przecznic do tego budynku, osobiście wyrwę ci serce. Nie wpierdalaj się w to, rozumiesz? Barent? Jesteś tam?

- Niezmiernie mi przykro, panie Harrington - odezwał się spokojnie C. Arnold Barent, jakby nie słyszał poprzedniej wymiany zdań - ale z zasady nie zasiadam w gremiach decydujących o członkostwie w klubach, do których należę. Zdarza mi się natomiast czasem udzielać poparcia nowym członkom. Może będzie pan łaskaw sprawdzić, czy zna pan adresy korespondencyjne potencjalnych nowych członków, z którymi w przeszłości usiłowałem się skontaktować?

- Proszę strzelać.

W tej samej chwili Saul poczuł, jak Trask wśliznął się do jego umysłu. Było to wrażenie ogromnie bolesne, jakby ktoś wbił mu w lewe ucho długi, zaostzony drut. Wzdrygnął się, ale Trask nie pozwolił mu krzyknąć. Wzrok Saula spoczął na pistolecie, porzuconym na dywanie obok wyciągniętej ręki nieżyjącego ochroniarza. Czuł, jak Trask chłodno kalkuluje niezbędny czas i wysiłek: dwie sekundy na skok po broń, sekunda na wycelowanie i strzał prosto w mózg Harringtona... Jednocześnie trzeba go złapać za rękę z zapalnikiem i ścisnąć ją jak granat po wyciągnięciu zawleczonej. Saul poczuł, jak jego pięści zaciskają się i rozluźniają, jakby kierowane własną wolą; widział, jak jego nogi poruszają się i przeciągają jak u sprintera przed startem. Spychany coraz głębiej na bezradne poddasze własnego umysłu, chciał krzyczeć, ale nie mógł dobyć głosu. Czy Francis doświadczał tego samego? I to od kilku tygodni?

- William Borden - powiedział Barent.

Saul zdążył prawie zapomnieć, czego dotyczy rozmowa. Trask lekko przesunął jego prawą nogę, przemieścił środek ciężkości, napiął mięśnie prawej ręki.

- Nie znam człowieka - odparł beztrąsko Harrington. - Następny, proszę.

Saul napiął wszystkie mięśnie - to Trask przygotowywał go do akcji - ale zarazem wyczuł lekką zmianę planów: miał puścić się biegiem, staranować Harringtona, złapać go za lewą rękę i przepchnąć dalej, do głównego gabinetu senatora, a następnie wziąć na siebie główny impet eksplozji; Trask zamierzał tymczasem rzucić się na ziemię pod osłoną ciężkiego dębowego biurka. Saul chciał wykrzyknąć ostrzeżenie dla Obersta.

- Panna Melanie Fuller - powiedział Barent.

- A owszem, kojarzę - przyznał Harrington. - O ile mi wiadomo, można ją znaleźć w Germantown.

- W którym Germantown? - spytał Trask, szykując Saula do ataku.

Nie patrz na pistolet. Złap rękę. Odepchnij go. Zasłoń Traska własnym ciałem.

- Na przedmieściach Filadelfii - wyjaśnił uprzejmie Harrington. - Nie pamiętam dokładnego adresu, ale sprawdźcie domy w okolicy Queen Lane. Powinniście ją tam znaleźć.

- Doskonale - powiedział Barent. - Jeszcze jedna sprawa: gdyby zechciał pan...

- Przepraszam na chwilę - przerwał mu Harrington i znów roześmiał się śmiechem starego człowieka. - Jak Boga kocham, Trask... Naprawdę ci się wydaje, że ja tego nie czuję? Choćbyś się przez miesiąc spinał, nie byłbyś w stanie pokierować tym ciałem... *Mein Gott*, chłopie... Wyrywasz się na oślep jak nastolatek na balkonie w kinie, któremu zamarzyło się macanko... Tak to się u was mówi? Skoro już o tym rozmawiamy: uwolnij mojego nieszczęsnego żydowskiego przyjaciela; jeżeli choćby drgnie, uruchomię zapalnik i to biurko zamieni się w deszcz tysięcy furkoczących w powietrzu drzazg... O, tak lepiej.

Saul oklapł na kanapę, jego mięśnie - nagle wyzwolone z imadła narzuconej woli - zadygotały spazmatycznie.

- Na czym stanęliśmy, panie Barent? - zapytał Harrington.

Przez chwilę było słychać tylko trzaski na łączach, zanim z głośnika znów popłynął głos Barenta:

- Przepraszam, panie Harrington, rozmawiam z prywatnego odrzutowca i chwilowo będę musiał się rozłączyć. Cieszę się, że pan zadzwonił. Mam

nadzieję, że wkrótce znów będziemy mieli okazję porozmawiać.

- Barent! - wrzasnął Trask. - Do diabła, nie rozłączaj...

- Żegnam - powiedział Barent.

Rozległ się cichy szcęk i linia telefoniczna plunęła trzaskiem zakłóceń.

- Colben?! - zawył rozpaczliwie Trask. - Powiedz coś!

- Wedle życzenia - zabrzmiał grobowy głos. - Pierdol się, stary druhu.

Drugi szcęk i ciche buczenie.

Trask spojrział na Harringtona z miną zagonionego w kozi róg zwierzęcia.

- Już dobrze - zapewnił go kojącym tonem Harrington. - Przekażę wiadomość przez pana, panie Trask. Nadal przecież możemy współpracować. Wolałbym jednak, żeby to zostało między nami. Doktorze Laski, pan wybaczy...

Zaskoczony Saul odruchowo poprawił okulary i wstał. Trask spiorunował go wzrokiem. Harrington się uśmiechnął. Saul odwrócił się, szybkim krokiem przemierzył gabinet, w poczekalni puścił się biegiem. Zdążył wybiec na korytarz, zanim przypomniał sobie o sekretarce. Zawahał się, zwolnił, ale zaraz znów przyśpieszył.

Naprzeciw niego zza zakrętu wypadło czterech ludzi. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył dalszych pięciu nadbiegających z drugiej strony. Dwóch skręciło w stronę gabinetu Traska.

Znowu spojrział do przodu - w samą porę, żeby zobaczyć, jak trzech z tej pierwszej czwórki identycznym gestem unosi gotowe do strzału rewolwery: dłonie razem, ręce wyprostowane, ogromne wyloty luf ziejące czernią nawet z tej odległości.

Nagle znalazł się zupełnie gdzie indziej.

Francis Harrington krzyczał przeraźliwie w ciszy własnego umysłu. Jak przez mgłę wyczuł obecność Saula, tuż obok, w ciemności. Razem patrzyli - oczami Harringtona - jak Nieman Trask krzyczy, wstaje z fotela, unosi ręce w błagalnym geście.

- *Auf Wiedersehen* - powiedział Oberst głosem Francisca Harringtona i zwolnił przycisk zapalnika.

Południowe drzwi i ściana korytarza eksplodowały pomarańczową kulą ognia. Saul pofrunął w powietrzu prosto w stronę trzech mężczyzn w ciemnych garniturach, którym fala uderzeniowa najpierw poderwała wyprostowane ręce (jeden rewolwer wystrzelił, ale huk wystrzału przepadł w wypełniającym korytarz ogłuszającym grzmocie), a potem rzuciła ich na ścianę, z którą zderzyli się ułamek sekundy wcześniej niż Saul.

Po uderzeniu, jeszcze nim zagarnęła go fala mroku, zdążył usłyszeć echo - nie wybuchu, lecz ostatnich słów wypowiedzianych głosem starego człowieka: *Auf Wiedersehen*.

20.

Nowy Jork

26 grudnia, 1980

Szeryf Gentry lubił latać, nie przepadał jednak za swoim obecnym celem podróży. Lubiał latać, ponieważ sytuacja, w której wkliniowany w autokarowy fotel frunął w hermetycznej rurze zawieszony tysiące stóp nad chmurami, wyjątkowo sprzyjała medytacji. Z kolei cel tej akurat podróży - Nowy Jork - zawsze kojarzył mu się raczej z innymi rodzajami bezmyślności: umysłem zbiorowym, przemocą uliczną, paranoją, przesytem informacją i obłąkanym bełkotaniem. Dawno już doszedł do wniosku, że nie nadaje się do życia w wielkim mieście.

Trochę znał Manhattan. Na studiach - ponad dziesięć lat temu, w szczytowym okresie wietnamskiej zawieruchy - spędził z przyjaciółmi niejedną weekend w Nowym Jorku. Raz nawet wypożyczyli auto w Chicago (jego dziewczyna pracowała wtedy w wypożyczalni Hertza nieopodal uniwerku), sfalszowali wpis przebiegu o dwa tysiące mil i po prostu przyjechali samochodem. Po czterech nieprzespanych nocach skończyło się na tym, że ostatniego dnia nad ranem musieli przez dobre parę godzin jeździć w kółko po chicagowskich przedmieściach, żeby dobić licznik do stanu podanego w formularzu wypożyczenia jako początkowy.

Darmowym autobusem podjechał do Port Authority, gdzie złapał taksówkę do hotelu Adison nieopodal Times Square. Hotelik miał swoje lata i pomalutką tracił renomę, wśród jego klientów dominowały dziwki i turyści z prowincji, ale zachował jeszcze resztki dawnej, dziwnie dostojnej atmosfery. Portorykański kucharz w restauracji głośno gadał, kłął jak szewc i był mistrzem w swoim fachu, a pokój kosztował trzecią część tego, co w innych hotelach na Manhattanie. Kiedy Gentry poprzednio przyjechał do Nowego Jorku - eskortował wtedy osiemnastolatka, który zamordował czworo sprzedawców w sklepie w Charleston - to urząd szeryfa zrobił mu rezerwację i pokrył rachunek za nocleg.

Pod prysznicem zmył z siebie część znużenia podróży, po czym przebrał się w wygodne spodnie z niebieskiego sztruksu, stary golf, brązową sztruksową marynarkę, wełnianą czapkę i płaszcz, który wprawdzie świetnie sprawdzał się w Charleston, ale nijak nie radził sobie z przenikliwym nowojorskim zimowym wiatrem. Zawahał się, ale ostatecznie wyjął rugera z

walizki i włożył do kieszeni płaszcza. Nie, jednak nie, pękaty rewolwer za bardzo rzucał się w oczy. Wetknął go za pasek spodni. Zdecydowanie nie. Nie miał przypinanej kabury na rugera: zawsze nosił go w kaburze przy pasie od munduru, a po zejściu ze służby używał raczej policyjnej trzydziestki ósemki S&W. Po co w ogóle wziął ze sobą rugera, u licha? Przecież mały smith&wesson w zupełności by wystarczył.

Ostatecznie schował broń do kieszeni marynarki. Mimo niesprzyjającej pogody będzie musiał chodzić w rozpiętym płaszczu. Nie będzie też mógł go zdejmować w pomieszczeniach.

Do diabła z tym, pomyślał. Nie każdy może być Steve'em McQueenem.

Przed wyjściem z hotelu zadzwonił jeszcze do domu do Charleston i odsłuchiwał sekretarkę. Nie spodziewał się wiadomości od Natalie, ale myślał o niej przez cały lot i miał ogromną ochotę usłyszeć jej głos.

Jej wiadomość była pierwsza w kolejce.

- Rob, tu Natalie. W St. Louis dochodzi druga po południu. Dopiero co przyleciałam, ale zaraz lecę do Filadelfii. Chyba wiem, gdzie znajdziemy Melanie Fuller. Zajrzyj na stronę trzecią dzisiejszej lokalnej gazety z Charleston... Zresztą, gazety w Nowym Jorku też pewnie o tym piszą: wojna gangów w Germantown. Tak, tak, ja też nie rozumiem, dlaczego starsza pani miałaby mieć coś wspólnego z gangami ulicznymi, ale tu chodzi o Germantown. Saul twierdził, że jeśli chcemy wytropić tych ludzi, powinniśmy podążać tropem takich właśnie aktów bezsensownej przemocy. Obiecuję się nie wychylać... Po prostu rozejrzę się trochę, sprawdzę, czy nie znajdzie się dla nas jakiś interesujący ślad na później. Wieczorem nagram ci wiadomość, jak już będę wiedziała, gdzie się zatrzymałam. No, muszę lecieć. Uważaj na siebie, Rob.

Gentry zaklął pod nosem, odkładając słuchawkę. Jeszcze raz wybrał swój domowy numer, odetchnął głęboko, słuchając własnego głosu wydającego mu instrukcje, jak zostawić wiadomość, i powiedział po sygnale:

- Natalie, do ciężkiej cholery, nie nocuj w Germantown, Filadelfii czy gdzie cię tam rzuciło. Ktoś cię widział w Wigilię, do cholery! Skoro już nie zostałam w St. Louis, przyjedź do mnie tutaj, do Nowego Jorku. Zachowujemy się jak skończeni durnie, rozdzielając się i zgrywając Joe Hardy'ego i Nancy Drew³. Zadzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Podał telefon do hotelu i numer swojego pokoju, zawahał się jeszcze i w końcu odłożył słuchawkę.

- Szlag by to... - mruknął.

Wyrzwał pięścią w blat z taką siłą, że tanie biurko całe się zachybotało.

Podjechał metrem do Greenwich Village i wysiadł nieopodal Szpitala Świętego Wincentego. Podczas jazdy przejrzał zapiski w notatniku: adres Saula; uwaga Natalie, że gospościa Saula ma na imię Tema; wewnętrzny Saula na uniwersytecie; numer do dziekana, z którym rozmawiał przed prawie dwoma tygodniami; numer telefonu nieżyjącej Niny Drayton. Niewiele tego, pomyślał. Zadzwoił na uniwersytet i potwierdził, że aż do poniedziałku w biurze wydziału psychologii nikogo nie będzie.

Okolica, w której mieszkał Saul, kłóciła się z wyobrażeniem Gentry'ego na temat stylu życia nowojorskich psychiatrów. Dopiero kiedy upomniał się w duchu, że Saul jest bardziej wykładowcą niż terapeutą, dzielnica wydała mu się bardziej odpowiednia. W zabudowie dominowały trzy- i czteropiętrowe czynszówki, prawie na każdym skrzyżowaniu znajdował się jakiś bar lub restauracja, wszędzie było blisko, jak w małym miasteczku. Minęło go kilka idących śpiesznie par (jedną z nich tworzyli dwaj trzymający się za ręce mężczyźni), ale miał świadomość, że mieszkańcy w większości przebywają w tej chwili z dala od centrum, siedzą w wydawnictwach, kancelariach, księgarniach, agencjach i innych klatkach ze szkła i metalu, gdzie - zawieszeni gdzieś pomiędzy sekretarką i wiceprezesem - ciężko pracują na tysiące dolarów niezbędne do wynajęcia dwóch albo trzech pokoi w Village i czekają na swoje pięć minut, wielką chwilę, przełom, nieunikniony awans, wyższe piętro, większy pokój, narożne okno i krótkie powroty taksówką do mieszkania w kamienicy przy Central Park West.

Powiało mocniej. Otulił się płaszczem i przyśpieszył kroku.

Doktora Saula Laskiego nie zastał w domu, co niespecjalnie go zdziwiło. Zapukał drugi raz, postać chwilę na wąskim podeście schodów przed drzwiami, nasłuchując przytłumionych dźwięków telewizorów i dziecięcego zawodzenia i wdychając wiekowe echa woni kapusty i solonej wołowiny. Następnie wyjął z portfela kartę kredytową i otworzył zamek. Pokręcił głową: Saul Laski cieszył się ogólnoswiatową renomą jako ekspert od przemocy i człowiek, który przeżył obóz śmierci, ale do zabezpieczenia swojego domu nieszczególnie się przykładał.

Jak na standardy Village, mieszkanie było duże: wygodny salon, mała kuchnia, jeszcze mniejsza sypialnia i ogromny gabinet. Wszędzie - nawet w łazience - były książki. Gabinet pękał w szwach od notesów i teczek, półki ugięły się pod ciężarem starannie opisanych abstraktów i setek książek, w

tym wielu polskich i niemieckich. Gentry zajrzał do wszystkich pomieszczeń, przekartkował rękopis leżący obok maszyny do pisania i zaczął się szykować do wyjścia. Czuł się jak intruz. W mieszkaniu unosił się taki zapach, jakby od tygodnia lub dwóch nikt w nim nie mieszkał - kuchnia była nieskazitelnie czysta, a lodówka prawie pusta - ale też nie było widać kurzu na sprzętach, stosu nieotwartych listów ani innych ewidentnych oznak nieobecności lokatora. Gentry sprawdził, czy nie ma żadnych notatek obok telefonu, jeszcze raz obszedł całe mieszkanie, żeby na pewno nie przegapić niczego, co mogłoby mu pomóc w odszukaniu Saula, i dyskretnie się wymknął.

Na półpiętrze minął się ze starszą kobietą z siwym kokiem. Zatrzymał się, dotknął czapki i zagadnął:

- Przepraszam panią... pani Tema?

Kobieta zatrzymała się i, mrużąc oczy, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie znam pana - odparła z silnym wschodnioeuropejskim akcentem.

- Rzeczywiście, nie - przyznał Gentry i zdjął czapkę. - Bardzo przepraszam, że nazwałem panią po imieniu, ale Saul nie wymienił nazwiska...

- Waliszewska. Kim pan jest?

- Szeryf Bobby Joe Gentry. Jestem przyjacielem Saula. Próbuję go znaleźć.

- Doktor Laski nie wspominał o żadnym szeryfie Gentrym - zauważyła pani Waliszewska, wymawiając nazwisko szeryfa twardo, przez „G”.

- Istotnie, proszę pani, najprawdopodobniej o mnie nie wspominał. Poznaliśmy się dosłownie dwa tygodnie temu, kiedy przyjechał do Charleston w Karolinie Południowej. Nie mówił pani, że się tam wybiera?

- Doktor Laski powiedział mi tylko, że wyjeżdża służbowo - odwarknęła kobieta. - Też coś! Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć tych biletów lotniczych! Dwa dni, powiedział. Najwyżej trzy. Pani W., mówi, będzie pani tak miła i podleje kwiaty? I co? Gdybym nie przyszła, tak jak się umówiliśmy, po dziesięciu dniach wszystko by tu poschło!

- Widziała pani doktora Laskiego w ubiegłym tygodniu?

Pani Waliszewska obciągnęła sweter. Nie odpowiedziała.

- Byliśmy umówieni - ciągnął Gentry. - Saul obiecał, że zadzwoni zaraz po powrocie... najprawdopodobniej w sobotę. Ale nie dał znaku życia.

- Łatwo traci poczucie czasu. Jego siostrzeniec dzwonił do mnie z Waszyngtonu w zeszłym tygodniu. „U wujka Saula wszystko w porządku?”, pyta. „Miał do nas wpaść w sobotę na kolację”. Jak znam doktora Laskiego,

zwyczajnie zapomniał... pewnie pojechał gdzieś na jakieś seminarium. I co, mam to powiedzieć jego siostrzeńcowi? Jedynej bliskiej osobie, jaką ma w Ameryce?

- Czy to ten sam siostrzeniec, który pracuje w Waszyngtonie?

- A jaki by inny?

Gentry pokiwał głową. Z postury i tonu głosu pani Waliszewskiej wnosił, że źle się czuje, rozmawiając z nim, i najchętniej już by sobie poszła.

- Saul powiedział mi, że będę mógł go złapać u tego siostrzeńca, ale gdzieś zapodział mi się numer telefonu... To waszyngtoński numer?

- Nie, nie, to pewnie miał pan telefon do ambasady. Służbowy. Doktor Laski mówił mi, że wyprowadzili się daleko za miasto.

- Czy Saul może być w polskiej ambasadzie?

Pani Waliszewska zmrużyła podejrzliwie oczy.

- A co niby doktor Laski miałby robić w polskiej ambasadzie? Aaron pracuje w izraelskiej, po prostu w niej nie mieszka. Mówił pan, że jest szeryfem, zgadza się? Dlaczego doktor Laski zadaje się z jakimś szeryfem?

- Podziwiam jego książkę. - Gentry wyjął długopis i zaczął gryzmolić na odwrocie swojej tandetnej wizytówki. - Zatrzymałem się w tym hotelu, ten drugi numer to mój telefon domowy w Charleston. Proszę Saulowi przekazać, żeby zadzwonił, gdy tylko wróci. To bardzo ważne. - Zawrócił i ruszył w dół schodów. - Ach, byłbym zapomniał: gdybym dzwonił do ambasady... Czy nazwisko siostrzeńca Saula pisze się przez jedno „e”, czy przez dwa?

- Jakim cudem miałyby się zmieścić dwa „e” w „Eshkol”? - Pani Waliszewska zacmokała z dezaprobatą.

- Rzeczywiście, jakim cudem... - zgodził się z nią Gentry i ciężkim krokiem zszedł po schodach.

Natalie nie zadzwoniła. Gentry odczekał, aż minie dziesiąta, i zatelefonował do Charleston, gdzie w nagrodę mógł odsłuchać tylko jej pierwszą wiadomość i swoją własną tyradę. Dziesięć po jedenastej zadzwonił jeszcze raz. Znowu na próżno. Kwadrans po pierwszej w nocy darował sobie dalsze wydzwanianie i spróbował zasnąć. Dobiegający zza ściany zgiełk przywodził na myśl tuzin kłócących się Irańczyków. O trzeciej znowu wykręcił swój charlestoński numer i znowu niczego się nie dowiedział. Nagrał drugą wiadomość, w której przeproszał za to, że w pierwszej przeklinał, oraz nalegał, aby Natalie pod żadnym pozorem nie błąkała się

samotnie po Filadelfii.

Z samego rana ponownie zadzwonił do Charleston, nagrał wiadomość z nazwą hotelu w Waszyngtonie, w którym zarezerwował sobie pokój, i kwadrans po ósmej złapał samolot. Lot trwał zbyt krótko, żeby dało się cokolwiek sensownie przemyśleć, ale Gentry wyjął z aktówki notes i teczkę z papierami i chwilę nad nimi posiedział.

Natalie przeczytała o wybuchu w Kancelarii Senatu 20 grudnia i zaniepokoiła się, że Saul mógł mieć z tym coś wspólnego. Gentry zwrócił jej wtedy uwagę, że nie każde morderstwo, wypadek i atak terrorystyczny na terytorium Stanów Zjednoczonych obciąża sumienie starzejącego się Obersta, którego tropi Laski. Przypomniał również to, co sugerowano w wiadomościach telewizyjnych: za zamachem (w którym zginęło sześciu ludzi) mieli stać portorykańscy nacjonaści. Podkreślił, że atak na Kancelarię Senatu nastąpił dosłownie kilka godzin po tym, jak Saul miał przylecieć do Waszyngtonu; że jego nazwiska nie było na liście ofiar (aczkolwiek nie udało się zidentyfikować zamachowca); i że Natalie chyba popada w lekką paranoję.

Udało mu się ją w ten sposób uspokoić, sam jednak nie wyzbył się wątpliwości.

Minęła jedenasta, zanim dotarł do gmachu FBI. Nie miał pojęcia, czy w sobotę zostanie kogokolwiek w pracy, ale recepcjonistka potwierdziła, że agent specjalny Richard Haines jest u siebie w biurze, po czym przetrzymała go dobre kilka minut w poczekalni, zanim przez interkom połączyła się z zapracowanym Hainesem, porozmawiała z nim i oznajmiła, że zgodził się spotkać z szeryfem. Gentry nie afiszował się ze swoją satysfakcją.

Młody mężczyzna w drogim garniturze i z nędzną namiastką wąsa (wyglądał trochę jak Jimmy Olsen udający młodszego agenta federalnego) zaprowadził Gentry'ego do stanowiska ochrony, gdzie zrobili mu zdjęcie, spisali istotne dane osobowe, przepuścili go przez wykrywacz metalu i wręczyli mu laminowaną przepustkę gościa; ucieszył się, że zostawił rugera w hotelu. Młody człowiek bez słowa przeprowadził go korytarzem do windy, przez obszar zastawiony boksami biurowymi o trzech ścianach, kawałek kolejnym korytarzem, aż w końcu zapukał do drzwi opatrzonej tabliczką „Agent specjalny Richard Haines”.

Kiedy ze środka dobiegło „Proszę!”, młodziak skinął szeryfowi głową i okręcił się na pięcie. Gentry pohamował pokusę, żeby go zawołać i wręczyć mu napiwek.

Pokój agenta Hainesa był równie duży i gustownie urządzone, jak biuro Gentry'ego małe i zagracone. Na ścianach wisiały zdjęcia; na jednym z nich Gentry'emu mignął człowiek o obwisłych policzkach i świńskich oczkach, który mógł być świętej pamięci J. Edgarem Hooverem, ściskający dłoń nieco mniej siwego niż obecnie Richarda Hainesa.

Haines - który nie wstał ani nie wyciągnął ręki na powitanie - wskazał mu krzesło.

- Co sprowadza pana do Waszyngtonu, szeryfie? - zagadnął tym swoim melodyjnym barytonem.

Gentry przez chwilę szukał wygodnej pozycji na przymałym krześle, zanim doszedł do wniosku, że mebel zaprojektowano specjalnie w taki sposób, żeby nikomu nie siedziało się na nim wygodnie. Odchrząknął.

- Mam urlop, Dick, więc pomyślałem, że wpadnę się przywitać.

Haines uniósł brew. Cały czas przekładał papiery na biurku.

- To miło z pańskiej strony, szeryfie, ale widzi pan, mamy tu teraz urwanie głowy. Jeżeli chodzi o morderstwa w Mansard House, to nie mam nic nowego, czego nie przesłałbym już przez Terry'ego i nasze biuro w Atlancie.

Gentry założył nogę na nogę i wzruszył ramionami.

- Byłem w okolicy, pomyślałem, że zajrzę. To wszystko. Macie tu niezły lokal, Dick.

Haines odchrząknął.

- Ej, co ci się stało w brodę? - spytał Gentry. - Ktoś się stawiał przy aresztowaniu?

Haines dotknął podbródka, gdzie skrzyżowane paski plastra odcinały się od wyraźnie widocznego żółknącego sińca, którego nie ukrył nawet cielisty podkład. Uśmiechnął się smutno.

- Nie dadzą mi za to medalu za odwagę, szeryfie. W pierwszy dzień świąt pośliznąłem się w wannie i wyrznąłem brodą o wieszak na ręczniki. Mam szczęście, że żyję.

- Jak to mówią, większość wypadków następuje w domach - odparł Gentry, przeciągając zgłoski.

Haines pokiwał głową i zerknął na zegarek.

- Miałem zapytać... - odezwał się Gentry. - Dostałeś zdjęcie, które ci przesłaliśmy?

- Zdjęcie? - powtórzył Haines. - A tak, tej zaginionej... Pani Fuller. Tak, szeryfie, dostaliśmy je. Dziękuję. Rozesłaliśmy je do wszystkich agentów w

terenie.

- To dobrze, dobrze... Nie wiecie czasem, gdzie ona się może podziewać?

- Fuller? Nie. Osobiście nadal uważam, że nie żyje. I nie spodziewam się, żebyśmy znaleźli ciało.

- Pewnie nie... Posłuchaj no, Dick, jadąc tu autobusem, przejeżdżałem obok Kapitolu, nie? Po drugiej stronie skrzyżowania, na winklu, stoi tam taki wielgachny budynek, a przed nim barykady policyjne, coś tam robią przy oknie na piętrze... Czy to nie jest ten, jak mu tam...

- Kancelaria Senatu - podpowiedział Haines.

- Otóż to. Czy to nie tam terroryści wysadzili w powietrze jednego z senatorów?

- Terrorysta - poprawił Gentry'ego Haines. - Był tylko jeden. A senatora z Maine nie było w tym czasie nie tylko w biurze, ale w ogóle w Waszyngtonie. Zginął natomiast jego doradca polityczny, niejaki Trask. Republikańska szycha. Poza tym nikomu ważnemu nic się nie stało.

- Pewnie pracujecie nad tą sprawą?

Haines westchnął i odłożył plik papierów.

- To duże biuro, szeryfie. Mamy sporo agentów.

- Domyślam się. Podobno terrorysta był Portorykańczykiem. To prawda?

- Przykro mi, nie wolno nam komentować prowadzonych śledztw.

- Jasna sprawa. A powiedz mi jeszcze, pamiętasz tego psychiatrę z Nowego Jorku? Doktora Laskiego?

- Saul Laski, wykładowca Columbia University... Sprawdziliśmy, gdzie przebywał w weekend trzynastego: rzeczywiście prowadził dyskusję na uniwersytecie, tak jak to twierdzili pańscy informatorzy. Do Charleston przyjechał pewnie promować swoją nową książkę.

- To możliwe. Sęk w tym, że miał mi przysłać pewne materiały o masowych mordercach, ale nie przysłał, a teraz nie mogę go nigdzie złapać. Nie namierzyliście go przypadkiem?

- Nie. - Haines znów spojrzął na zegarek. - Dlaczego mielibyśmy go namierzać?

- Bez powodu. Tylko że, o ile dobrze pamiętam, Laski wybierał się do Waszyngtonu. W sobotę, zdaje się. W tym samym dniu, kiedy wypłynął ten terrorysta w Kancelarii Senatu.

- No i?

- Nie wiem... Pomyślałem, że może facet próbuje pozłatwiać pewne sprawy na własną rękę. I może wypłynął przy okazji tego wybuchu.

- Nie wypłynął. Szeryfie, miło się z panem gawędzi, ale za chwilę mam umówione spotkanie.

- Oczywiście, oczywiście. - Gentry wstał i założył czapkę. - Ale niech lepiej ktoś to obejrzy.

- Co?

- Twoją brodę. Paskudnie wygląda.

Gentry bez pośpiechu szedł Dziewiątą Ulicą w stronę parku. Przeszedł na drugą stronę Pennsylvania Avenue, minął siedzibę Departamentu Sprawiedliwości i znalazł się na Constitution Avenue. Skręcił w Dziesiątą, przeszedł obok Urzędu Skarbowego i wbiegł po schodach Starej Poczty. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził. Idąc dalej Pennsylvania Avenue, dotarł do Parku Pershinga, naprzeciwko Białego Domu. Zastanawiał się, czy Jimmy Carter jest w tej chwili u siebie; czy zamartwia się losem zakładników i obwinia Irańczyków o swoją porażkę.

Usiadł na ławce w parku i wyjął notes z kieszeni. Przejrzał stronicę wypełnioną drobnym pismem, zamknął notatnik i westchnął ciężko.

Ślepy zaułek.

A jeśli Saul był oszustem? Paranoikiem? Wariatem?

Nie.

Dlaczego nie?

Bo nie.

No dobrze, to gdzie w takim razie zniknął? Idź do biblioteki Kongresu, przejrzyj gazety z zeszłego tygodnia, nekrologi, doniesienia o wypadkach. Obdzwoń szpitale.

A może leży w kostnicy jako portorykański NN?

To wszystko nie ma sensu. Co miałyby łączyć Obersta z doradcą senatora?

A co go łączyło z Kennedym i Rubym?

Przetarł zmęczone oczy. W Charleston, kiedy siedział przy kuchennym stole w domu Natalie Preston, historia Saula brzmiała sensownie; elementy układanki pasowały do siebie, pozornie przypadkowe morderstwa składały się na ciąg natarć i uników w wykonaniu dwojga lub trojga starych przeciwników obdarzonych naprawdę niewiarygodną mocą. Ale teraz? Teraz nic nie miało sensu. Nic.

Chyba że...

Chyba że było ich więcej.

Wyprostował się gwałtownie. Saul zamierzał się z kimś spotkać w Waszyngtonie. Z kimś, kogo tożsamości nie chciał ujawnić, mimo że przecież obdarzył ich dwoje ogromnym zaufaniem.

Z kimś z rodziny.

Po co? Gentry przypomniał sobie, jaką przykrość sprawiała Saulowi rozmowa o zniknięciu wynajętego przez niego detektywa, Francisa Harringtona. Może postanowił poprosić o pomoc. Kogo - siostrzeńca z izraelskiej ambasady? Może ktoś jeszcze się w to wmieszał. Tylko kto? Władze? Saul nie znajdował powodu, dla którego rząd federalny miałby chronić podstarzałego byłego nazistę, ale może takich jak Oberst, Fuller i Drayton naprawdę było więcej?

Wzdrygnął się i ciaśniej otulił płaszczem. Dzień był pogodny i słoneczny, temperatura oscylowała wokół zera, blade zimowe światło malowało brunatną, kruchą trawę na złoto.

Z automatu na skrzyżowaniu nieopodal hotelu Washington zadzwonił do Charleston, płacąc za połączenie kartą kredytową. Natalie nie zostawiła żadnej nowej wiadomości. Odszukał numer wynotowany z książki telefonicznej w hotelu i zadzwonił do izraelskiej ambasady. Zastanawiał się, czy ktoś odbierze w szabas.

W słuchawce zabrzmiał kobiecy głos.

- Dzień dobry - powiedział Gentry. W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „Szalom”. - Chciałbym rozmawiać z Aaronem Eshkolem.

- A kto mówi? - spytała kobieta po trwającym ułamek sekundy wahaniu.

- Szeryf Robert Gentry.

- Chwileczkę.

Chwileczka trwała blisko dwie minuty. Gentry stał ze słuchawką przy uchu i podziwiał znajdujący się naprzeciwko gmach Departamentu Skarbu.

Gdyby takich ludzi jak Oberst, takich wampirów umysłowych było więcej... To by wiele tłumaczyło. Na przykład, dlaczego Oberst uznał za konieczne sfingować swoją śmierć. I dlaczego ktoś przez półtora tygodnia śledził szeryfa hrabstwa Charleston. Albo dlaczego, słuchając pewnego agenta FBI, Gentry miał ochotę wybić mu wszystkie zęby. I co się stało z pewnym albumem zawierającym makabryczne wycinki z gazet, który zniknął bez śladu z miejsca zbrodni...

- Halo?

- Witam, panie Eshkol, tu szeryf Bobby Joe Gentry...

- Mówi Jack Cohen.
- Aha. Próbuję się dodzwonić do Aarona Eshkola, panie Cohen.
- Jestem jego przełożonym. Słucham, o co chodzi, szeryfie?
- Prawdę mówiąc, panie Cohen, to sprawa osobista.
- Jest pan znajomym Aarona, panie Gentry?

Gentry wyczuwał instynktownie, że coś jest nie w porządku, nie umiałby jednak wskazać, co konkretnie mu się nie podoba.

- Nie, proszę pana. Jestem przyjacielem jego wuja, Saula Laskiego. Muszę porozmawiać z Aaronem.

Chwila ciszy.

- Byłoby lepiej, gdyby odwiedził nas pan osobiście, szeryfie.

Gentry spojrzał na zegarek.

- Nie wiem, czy zdążę, panie Cohen. Mógłby mnie pan przełączyć do Aarona? Może moja wizyta u państwa nie będzie konieczna...

- Skąd pan dzwoni, szeryfie? Jest pan w Waszyngtonie?

- Tak, dzwonię z automatu.

- Ale z centrum? Mógłbym pana wykierować do ambasady...

Gentry z trudem hamował narastającą złość.

- Jestem przy hotelu Washington. A teraz proszę albo dać do telefonu Aarona Eshkola, albo podać mi jego numer domowy. Jeżeli będę się chciał z nim spotkać w ambasadzie, złapię sobie taksówkę.

- Dobrze, szeryfie, proszę zadzwonić za dziesięć minut.

Cohen rozłączył się, zanim Gentry zdążył zaprotestować.

Coraz bardziej zirytowany przechadzał się przed wejściem do hotelu. Kusilo go, żeby zebrać rzeczy i pierwszym samolotem polecieć do Filadelfii. Zachowywał się niedorzecznie. Wiedział przecież z doświadczenia, jak trudno znaleźć zaginioną osobę w Charleston, gdzie miał sześciu zastępców i dziesięć razy tyle informatorów. A tutaj? Absurd.

Zadzwonił do ambasady dwie minuty przed upływem dziesięciominutowego terminu. Telefon odebrała ta sama kobieta, co poprzednio.

- Tak, szeryfie. Proszę chwileczkę poczekać.

Gentry z westchnieniem oparł się o metalowy stelaż automatu telefonicznego. Coś ostrego wbiło mu się pod żebra. Odwrócił się i zobaczył dwóch ludzi, stojących bardzo blisko - zbyt blisko. Wyższy z nich uśmiechał się od ucha do ucha. Gentry spuścił wzrok i zobaczył przytkniętą do swojego boku lufę małego pistoletu.

- Teraz przejdziemy do tego samochodu i wsiądziemy do niego - powiedział z szerokim uśmiechem ten wysoki i poklepał Gentry'ego po plecach jak starego, dawno nie widzianego przyjaciela. Lufa wgrzyzła się głębiej.

Gentry zauważył, że wysoki podszedł za blisko; zdążyłby zbić lufę pistoletu, zanim tamtemu udało się strzelić. Jednakże jego towarzysz odsunął się na bezpieczne pięć stóp i trzymał rękę w kieszeni płaszcza. Miał czyste pole ostrzału, bez względu na to, co zrobiłby Gentry.

- Idziemy - ponaglił go wysoki.

Gentry posłusznie ruszył.

Wycieczka nie była wcale taka najgorsza. Pojechali Ellipse na zachód pod pomnik Lincolna, okrążyli Tidal Basin, podjechali Jefferson Avenue pod Kapitol, minęli Union Station i zawrócili. Nikt nie opowiadał o zabytkach. Limuzyna była luksusowa, szeroka i idealnie wyciszona, okna nieprzezroczyste od zewnątrz, a drzwi zamykane automatycznie z fotela kierowcy, od którego tył limuzyny oddzielony był pleksiglasową płytą. Dwaj faceci, którzy wyszli po Gentry'ego do telefonu, siedzieli teraz po obu jego stronach, naprzeciwko zaś rozparty na składanej dostawce siedział mężczyzna o fatalnie przyciętych siwych włosach, smutnych oczach i grubo ciosanej, dziobatej twarzy, któremu jakimś cudem udawało się wyglądać całkiem przystojnie.

- Zdradzę wam pewną tajemnicę, panowie - odezwał się Gentry - W tym kraju porywanie ludzi jest sprzeczne z prawem.

- Mógłbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości, panie Gentry? - zapytał spokojnie siwowłosego mężczyzna.

Gentry'emu przyszło do głowy kilka pomysłów na to, jak wyrazić swoje słuszne oburzenie, ale ostatecznie tylko wzruszył ramionami i podał siwowłosemu portfel. Nikt nie podskoczył nerwowo na siedzeniu, kiedy sięgał za pazuchę - został przeszukany, zanim wsiadł do samochodu.

- Brzmi pan jak Jack Cohen.

- Jestem Jack Cohen - odparł Cohen, przetrząsając portfel Gentry'ego. - Pan zaś ma wszystkie niezbędne dokumenty, karty kredytowe i drobiazgi typowe dla szeryfa z Południa nazwiskiem Robert Joseph Gentry.

- Bobby Joe, dla przyjaciół i wyborców.

- Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie dokumenty znaczyłyby mniej niż w Stanach.

Gentry wzruszył ramionami. Instynkt podszeptował mu, żeby dokładnie wyjaśnić trzem dżentelmenom, jak mało go to interesuje, a także zasugerować pewne cielesne ekscesy, którym mogliby się oddać.

- A czy ja mógłbym zobaczyć pańskie dokumenty? - zapytał.

- Nazywam się Jack Cohen.

- Aha. I naprawdę jest pan szefem Aarona Eshkola?

- Kieruję Wydziałem Komunikacyjno-Prasowym ambasady.

- Czy to w tym wydziale zatrudniony jest Aaron?

- Tak. Nie wiedział pan o tym?

- Dla mnie to jeden z was trzech może być Aaronem Eshkolem we własnej osobie. Na oczy go nie widziałem. I pewnie już nie zobaczę, sądząc po tym, jak rozwija się sytuacja.

- Skąd to przekonanie, panie Gentry? - Głos Cohena był gładki i zimny jak zabójcze ostrze noża.

- Powiedzmy, że zgadłem. Dzwonię do Aarona. Ambasada trzyma mnie na telefonie, a przez ten czas wy wskakujecie do pierwszej z brzegu limuzyny i palicie gumy, żeby, grożąc mi bronią, zabrać mnie na objazdową wycieczkę po mieście. Jeżeli naprawdę jesteście tym, za kogo się podajecie, chociaż w tej chwili cholera was wie, to nie zachowujecie się jak przystało na przedstawicieli naszego lojalnego, zaufanego sprzymierzeńca na Bliskim Wschodzie. Dlatego domyślam się, że Aaron Eshkol albo nie żyje, albo przynajmniej zaginął, a wy zdenerwowaliście się do tego stopnia, że jesteście gotowi dźgać pistoletem pod zebro legalnie wybranego stróża prawa.

- Proszę mówić dalej - zachęcił Gentry'ego Cohen.

- Wal się. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Powiedzcie mi, co się dzieje, to ja wam powiem, dlaczego dzwoniłem do Aarona Eshkola.

- Moglibyśmy zachęcić pana do udziału w tej dyskusji za pomocą... nazwijmy to... innych środków - nadmienił Cohen. Brak groźby w tonie jego głosu sam w sobie był groźbą.

- Nie sędzę. Chyba że nie jesteście tymi, za których się podajecie. Tak czy inaczej, ja nie powiem nic więcej, dopóki nie usłyszę czegoś wartego uwagi.

Cohen wyjrzał przez okno na mijaną marmurową scenerię, zanim znów zwrócił się do Gentry'ego.

- Aaron Eshkol nie żyje - powiedział. - Został zamordowany razem z żoną i dwiema córkami.

- Kiedy? - spytał Gentry.

- Dwa dni temu.

- W pierwszy dzień świąt... Niezłe Boże Narodzenie się nam trafiło. Jak zginęli?

- Ktoś wbił im drut do mózgu - odparł Cohen takim tonem, jakby opisywał nową metodę naprawy silnika w samochodzie.

- Jezusie... - stęknął Gentry. - Dlaczego nigdzie o tym nie czytałem?

- W domu nastąpiła eksplozja, wybuchł pożar... Koroner stanowy orzekł, że to był wypadek: nieszczęlna instalacja gazowa. Media nie podjęły wątku związku Aarona z ambasadą.

- Dopiero wasi lekarze odkryli prawdziwą przyczynę zgonu?

- Tak. Wczoraj.

- No dobrze, ale dlaczego dostaliście takiego pierdolca, kiedy zadzwoniłem? Aaron na pewno... Zaraz... Powołałem się na Saula Laskiego, a wy uważacie, że on ma jakiś związek ze śmiercią Aarona.

- Zgadza się.

- No dobrze. Kto zabił Aarona Eshkola?

Cohen pokręcił głową.

- Pańska kolej, szeryfie Gentry.

Gentry próbował zebrać myśli.

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że narażenie się amerykańskiemu podatnikowi byłoby w tej chwili katastrofą dla Izraela - ciągnął tymczasem Cohen. - Stosunki między naszymi krajami są nieco napięte. Dlatego jesteśmy gotowi zaryzykować, nawet jeśli postawi nas to w kłopotliwej sytuacji. Jeżeli przekona nas pan, że mówi prawdę, puścimy pana wolno. Jeżeli jednak nas pan nie przekona, wtedy dla wszystkich będzie o wiele lepiej, jeśli po prostu zniknie pan bez śladu.

- Zamknij się - uciszył go Gentry. - Muszę pomyśleć.

Trzeci raz minęli pomnik Jeffersona i przejechali przez most. Przed nimi w oddali zamajaczył obelisk Waszyngtona.

- Dziesięć dni temu Saul Laski przyleciał do Charleston, zainteresowany morderstwami w Mansard House... - zaczął szeryf. - W CBS nazwali to „Masakrą w Charleston”. Słyszeliście o tym małym zamieszaniu?

- Owszem. Kilko starszych ludzi zostało zamordowanych dla pieniędzy, przy okazji zginęli również niewinni świadkowie. Zgadza się?

- Mniej więcej. Jednym z zamieszanych w sprawę staruszków był dawny hitlerowiec, znany dzisiaj jako William D. Borden.

- Producent filmowy - wtrącił wysoki, kędzierzawy Izraelczyk siedzący na lewo od Gentry'ego.

Gentry aż podskoczył; zapomniał, że dwaj ochroniarze potrafią mówić.

- Tak - przytaknął. - Saul Laski tropił tego konkretnego nazistę od czterdziestu lat, od czasów Chełmna i Sobiboru.

- A co to takiego? - zainteresował się młody mężczyzna siedzący po drugiej stronie.

Gentry wybałuszył oczy. Cohen warknął coś po hebrajsku i młody agent się zarumienił.

- Ten Niemiec, Borden... zginął, zdaje się? - spytał Cohen.

- W wypadku lotniczym - potwierdził Gentry. - Podobno. Saul był innego zdania.

- Czyli doktor Laski podejrzewał, że jego dawny dręczyciel wciąż żyje... - rozmyślał na głos Cohen. - Ale co ma Borden do morderstw w Charleston?

Gentry zdjął czapkę i wyrzucił ją na lewą stronę.

- To jakieś stare porachunki - odparł. - Saul też nie do końca wiedział, o co chodzi, raczej... wyczuwał, że Oberst, bo tak nazywał Bordena, jest w to jakoś zamieszany.

- Po co spotykał się z Aaronem?

Gentry pokręcił głową.

- Nie wiedziałem, że się spotkali. Do wczoraj nie wiedziałem nawet o istnieniu Aarona Eshkola. Saul poleciał z Charleston do Waszyngtonu, żeby dwudziestego grudnia się z kimś zobaczyć; nie powiedział mi, o kogo chodzi. Mielśmy być w kontakcie, ale odkąd wyjechał z Charleston, nie dał znaku życia. Wczoraj byłem w jego mieszkaniu w Nowym Jorku, rozmawiałem z gosposią...

- Temą - wtrącił wysoki i zaraz umilkł, skarcony surowym spojrzeniem Cohena.

- Tak, z Temą. To od niej dowiedziałem się o Aaronie. I oto jestem.

- O czym doktor Laski zamierzał rozmawiać z Aaronem? - spytał Cohen.

Gentry położył czapkę na kolanie i rozłożył ręce.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. Odniosłem wrażenie, że liczy na jakieś nowe informacje na temat życia Bordena w Kalifornii. Czy Aaron mógłby mu w tym pomóc?

Cohen przygryzł wargę.

- Przed spotkaniem z wujem Aaron wziął cztery dni urlopu - powiedział w końcu. - Część tego czasu spędził w Kalifornii.

- Czego się tam dowiedział?

- Tego nie wiemy.

- A skąd wiecie o jego spotkaniu z wujem? Saul przyszedł do ambasady?

Wysoki powiedział po hebrajsku coś, co zabrzmiało jak ostrzeżenie. Cohen go zignorował.

- Nie - odparł. - Spotkali się tydzień temu w National Gallery. Z niewiadomego powodu Aaron i Levi Cole, jego współpracownik, uważali to spotkanie za bardzo ważne. Koledzy z wydziału twierdzą, że w tym okresie Aaron i Levi przechowywali bardzo ważne dokumenty w sejfie sekcji kryptograficznej.

- Co w nich było? - zainteresował się Gentry, nie bardzo wierząc, że uzyska odpowiedź.

- Nie wiemy. Kilka godzin po tym, jak rodzina Aarona została zamordowana, Levi Cole przyszedł do ambasady i wszystko zabrał. Od tamtej pory nikt go nie widział. - Cohen potarł palcami nasadę nosa. - To się nie trzyma kupy. Levi jest kawalerem. Nie ma rodziny ani w Stanach, ani w Izraelu. To zajadły syjonista, były komandos. Nie mam pojęcia, jakiego mogli mieć na niego haka. Logika podpowiada, że to jego powinni byli zlikwidować; Aarona Eshkola wystarczyło po prostu zaszantażować. Nasuwa się oczywiste pytanie: kim są ci oni?

Gentry milczał.

- No dobrze, szeryfie. Proszę powiedzieć, co jeszcze pan wie takiego, co mogłoby nam pomóc?

- Ja nie mam już nic do dodania. Chyba że chcecie usłyszeć historię Saula Laskiego.

Tylko jak im ją opowiedzieć bez wnikania w szczegóły uzdolnień Obersta? - głowił się Gentry. Bez wspomnienia o mocy obu starszych pań? Nie uwierzą mi. A jeśli mi nie uwierzą, będę trupem.

- Chcemy usłyszeć wszystko - zapewnił go Cohen. - Od początku.

Limuzyna przemknęła obok pomnika Lincolna i skierowała się w stronę Tidal Basin.

21.

Germantown

27 grudnia 1980, sobota

Za pomocą nikonu z obiektywem o ogniskowej 135 milimetrów Natalie uwieczniała niszczące sprzeczności umierającego miasta: kamienne domy, ceglane szeregowce, bank płynnie wtopiony pomiędzy dwa osiemnastowieczne budynki, antykwariaty pełne śmiecia, przytułki Armii Zbawienia pełne śmiecia, puste parcele pełne śmiecia, wąskie ulice i zaułki pełne śmiecia. Włożyła do aparatu czarno-białego kodaka Plus-X i nie musząc się przejmować ziarnem, robiła zdjęcia na długich czasach, wydobywające każdy uszczerbek i każdą rysę na murach. Nie natrafiła na żaden ślad Melanie Fuller.

Po załadowaniu filmu do aparatu zebrała się na odwagę i załadowała także lłamę kaliber .32, która w tej chwili spoczywała w jej obszernej torebce na samym spodzie - pod różnymi szpargałami, zaślepkami obiektywów i tekturowym fałszywym dnem.

Za dnia miasto nie było wcale takie przerażające. Poprzedniego wieczoru, kiedy wylądowali po zmroku, zdezorientowana i zagubiona pozwoliła się odwiedzić swojemu współpasażerowi - Jensenowi Luharowi - do Germantown. Powiedział, że będzie mu po drodze. Szarego mercedesa trzymał na parkingu długoterminowym przy lotnisku.

Z początku cieszyła się, że przyjęła jego propozycję. Jechali długo - zatłoczoną autostradą, po dwupoziomowym moście, do samego serca Filadelfii, dalej kolejną krętą, piekielnie ruchliwą drogą znowu na drugą stronę rzeki (a może to już była inna rzeka?), aż znaleźli się na Germantown Avenue, szerokiej arterii przelotowej biegnącej wśród ciemnych slumsów i pustych sklepów. Kiedy zbliżali się do centrum dzielnicy i poleczonego przez Luhara hotelu, Natalie była przekonana, że za chwilę usłyszy:

- Może wejść na minutkę na górę?

Albo:

- Chętnie pokazałbym pani, jak mieszkam. To niedaleko.

Prędzej to pierwsze - wprawdzie nie miał obrączki, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Jedyne, czego była pewna, to, że za chwilę padnie propozycja, po której będzie musiała nastąpić jej niezręczna odmowa.

Myliła się. Luhar zatrzymał się przed starym hotelem, pomógł jej z

bagażami, życzył powodzenia i odjechał. Przyszło jej do głowy, że może jest gejem.

Przed jedenastą zadzwoniła do Charleston i podała automatycznej sekretarce telefon do swojego hotelu i numer pokoju, w którym się zatrzymała. Spodziewała się, że Rob zadzwoni zaraz po jedenastej i będzie ją namawiał do powrotu do St. Louis, ale nic takiego nie nastąpiło. Rozczarowana, dziwnie urażona i senna zadzwoniła do Charleston ponownie o wpół do dwunastej i skorzystała z pożyczonego od Roba urządzenia: na sekretarce nie było żadnej wiadomości od niego, odsłuchiwała tylko dwa swoje komunikaty. Położyła się spać zdumiona i trochę wystraszona.

Za dnia wszystko wydało jej się lepsze. Wprawdzie Gentry nadal nie dawał znaku życia, ale zadzwoniła do *Philadelphia Inquirer*a i powołując się na swojego redaktora z Chicago, wyciągnęła trochę informacji od szefa działu lokalnego. Szczegóły zbrodni pozostawały nieznane, wiadomo jednak było na pewno, że niektórym (może nawet wszystkim) z czterech zabitych odcięto głowy. Siedziba gangu „Soul Brickyard” mieściła się w ośrodku pomocy społecznej przy Brighthurst Street, nie dalej niż milę od Cheltenham Avenue i hotelu, w którym się zatrzymała. Znalazła numer telefonu, zadzwoniła i przedstawiła się jako reporterka *Sun Times*a. Pastor nazwiskiem Bill Woods zgodził się poświęcić jej kwadrans o godzinie trzeciej po południu.

Przez cały dzień zwiedzała Germantown, zapuszczając się coraz głębiej w gąszcz przygnębiających uliczek i fotografując. Okolica miała swój urok. Na północ i zachód od Cheltenham Avenue wielkie, stare domy trzymały się mocno (choć zredukowane do roli bliźniaków), a zamieszkujące je białe i czarne rodziny prowadziły namiastkę życia klasy średniej. Na wschodzie aż po Brighthurst Street dominowały wypalone szeregowce, porzucone samochody i ślepe spojrzenia tych, którzy stracili wszelką nadzieję.

Świeciło słońce. Przez jakiś czas za Natalie podążała gromadka rozchichotanych dzieci, dopraszając się o zdjęcie. Sfotografowała je. Górą przetoczył się z łoskotem pociąg, z otwartych drzwi pół przecznicy dalej poniosł się kobiecy krzyk i sfera dzieciarni rozpięzchła się jak suche liście na wietrze.

O dziesiątej, dwunastej i drugiej po południu nadal nie było nowych wiadomości od Roba. Będzie musiała poczekać do jedenastej wieczorem.

Niech to szlag!

O trzeciej zapukała do drzwi dużego domu w stylu lat dwudziestych,

posadowionego wśród gruzów, spalonych bloków mieszkalnych i składów przemysłowych. Biegająca wokół budynku weranda straciła część balustrady, okna na drugim piętrze zostały zabite deskami, ale przez ostatni rok ktoś pomalował ściany cienką warstwą taniej żółtej farby. Dom wyglądał jak chory na żółtaczkę.

Wielebny Bill Woods był biały i kluchowaty. Zaprosił ją do zagraconego biura na parterze i zaczął narzekać na niedostateczne finansowanie z kasy miasta, biurokratyczny koszmar zarządzania projektem socjalnym, brak woli współpracy ze strony grup młodzieży i społeczności w ogóle. Starannie unikał używania słowa „gang”. Natalie widywała przechodzących korytarzem młodych czarnych ludzi, słyszała dobiegające z piwnicy i piętra pokrzykiwania i wybuchy śmiechu.

- Czy mogłabym porozmawiać z kimś z... grupy Soul Brickyard? - zapytała Natalie.

- Nie da rady. Oni chcą rozmawiać tylko z telewizją. Lubią występować przed kamerami.

- Czy oni tu mieszkają?

- Nie, na Boga! Po prostu często tu przychodzą, spotykają się, uprawiają sporty...

- Muszę z nimi porozmawiać - oznajmiła Natalie, wstając.

- Obawiam się, że to nie... Zaraz, chwileczkę!

Natalie przeszła korytarzem, otworzyła drzwi i znalazła się na wąskich schodach. Na pierwszym piętrze kilkunastu czarnoskórych mężczyzn tłoczyło się wokół stołu bilardowego lub polegiwało na materacach wyściełających brudną od pokruszonego tynku podłogę. Przy zaopatrzonych w metalowe żaluzje oknach Natalie naliczyła cztery oparte o ściany strzelby.

Na jej widok wszyscy zamarli bez ruchu. Dwudziestoparoletni mężczyzna, wysoki i niewiarygodnie chudy, oparł się na kijku bilardowym i warknął:

- Czego chcesz, suczko?

- Chcę z wami porozmawiać.

- Ja chromołą... - mruknął brodaty facet na materacu. - Słyszeliście to? „Kcem s wami porosmawiać”, fafarafa. Skądżeś się tu wzięła, cipeczko? Z jakiegoś pojebanego stanu na południu?

- Chciałabym przeprowadzić z wami wywiad - odparła Natalie, zdumiona, że głos i kolana jeszcze jej nie zawiodły. - O tych morderstwach.

Milczenie przeciągnęło się tak bardzo, że stało się złowieszcze. Wysoki

chudzielec, który odezwał się pierwszy, podszedł do Natalie. Zatrzymał się cztery stopy od niej i umazanym kredą czubkiem trzymanego w wyciągniętej ręce kija rozchylił jej poły rozpiętej kurtki puchowej, przejechał po bluzce i zahaczył o pasek dżinsów.

- Ja ci udzielę wywiadu, suczko. Dogłębnego wywiadu, kapujesz?

Natalie siłą woli powstrzymała się od wzdrygnięcia. Przewiesiła nikona przez ramię i z kieszeni płaszcza wyjęła kolorową odbitkę zrobioną ze slajdu pana Hodgesa.

- Widzieliście tę kobietę?

Mężczyzna z kijem spojrział na zdjęcie i gestem przywołał chłopaka, który mógł mieć najwyżej czternaście lat. Chłopak wybałuszył oczy, skinął głową i wrócił na swoje miejsce pod oknem.

- Leć po Marvina! - warknął ten z kijem. - Biegiem, kurwa!

Marvin Gayle - dziewiętnastoletni i uderzająco przystojny, z jasnoniebieskimi oczami, długimi rzęsami i skórą dokładnie w tym samym odcieniu, co skóra Natalie - był urodzonym przywódcą. Dla Natalie stało się to oczywiste, gdy tylko wszedł do pokoju: poznała to po sposobie, w jaki wszyscy minimalnie się przemieścili, zmienili pozy i Marvin w naturalny sposób znalazł się w centrum uwagi. Przez następne dziesięć minut dopytywał się, kim jest ta biała kobieta. I przez całe dziesięć minut Natalie obiecywała, że mu powie, ale najpierw musi się dowiedzieć czegoś na temat morderstw.

W końcu odsłonił bieluteńkie zęby w szerokim uśmiechu.

- Na pewno chcesz to usłyszeć, laluniu?

- Tak - przytaknęła Natalie.

Frederick nazywał ją „lalunią”. Usłyszenie tego słowa tutaj, w tym kontekście, zbiło ją nieco z pantafelku.

Marvin zaklaskał w ręce.

- Leroy, Calvin, Monk, Louis, George, za mną - powiedział. - Reszta zostaje.

Podniósł się chór protestów.

- Stulić ryje - warknął Marvin. - Toczymy wojnę, zgadza się? Ktoś próbuje nas stuknąć. Jak się dowiemy, kim jest ta stara biała zdzira, to będziemy wiedzieli, kogo mamy dorwać. Kumacie? No to mordy w kubeł.

Młodzi mężczyźni wrócili do stołu bilardowego i na materace.

Była czwarta po południu, ściemniało się. Natalie zapięła kurtkę pod szyję

i złożyła nagły atak dreszczy na karb przenikliwego wiatru. Przeszli Bringhurst na północ, pod torami kolejowymi, skręcili na zachód w pozbawioną latarni ulicę, którą uprzednio brała za ślepy zaułek. Śnieg nieśmiało prószył. Nocne powietrze śmierdziało ściekami i sadzą.

Zatrzymali się u wylotu wąziutkiego zaułka. Martin skinął na czternastolatka.

- Powiedz jej, jak było, Monk.

Chłopak wcisnął ręce do kieszeni i splunął na ścięte mrozem chwasty i gruz zaściełający pusty plac.

- Muhammed i trzech innych, normalnie, doszli tutaj, nie? Szłem za nimi, ale wolniej, więc jeszcze byłem kawałek stąd, nie? Było Boże Narodzenie, Muhammed i Toby wciągnęli trochę koki, normalnie, i wyszli beze mnie, żeby dokupić towaru od brata Ziga, nie? W Pulaski Town, normalnie. Ja już byłem tak najebany, że normalnie nie widziałem, jak wychodzili, i potem musiałem za nimi biec, nie?

- Opowiedz o tym białym gościu - odpowiedział Marvin.

- Biały gościu, ja pierdolę... Stąd wyszedł, kurwa jego mać, normalnie z tej uliczki, nie? Ja byłem pół przecznicy stąd, w chuj daleko, normalnie, ale słyszę, jak Muhammed mówi, kurwa, facet, widzisz to? Taki mały białas, jebany. Wkurwił Muhammeda, normalnie.

- Jak wyglądał? - zaciękała się Natalie.

- Stul dziób! - uciszył ją Marvin. - Ja tu zadaję pytania. Powiedz jej, jak wyglądał.

- Wujowo. - Monk znowu splunął i nie wyjmując rąk z kieszeni, wytarł brodę o bark. - Jakby się wykapał w gównie, ale tak cały, nie? Albo jakby przez rok normalnie śmieci wpierdalał, nie? Włosy, kurwa, pozlepiane, opadały mu na ryj jak jakieś syfiaste zielsko, nie? I w ogóle cały był brudny normalnie jak chuj, jakby zakrwawiony czy coś. Ja pierdolę... - Wzdrygnął się.

- Na pewno był biały? - spytała Natalie.

Marvin spiorunował ją wzrokiem, ale Monk tylko się roześmiał.

- O tak, kurwa, był zupełnie biały. Biały potwór, normalnie. Powaga.

- Powiedz jej o sierpce.

Monk z zapalem pokiwał głową.

- No. Więc ten biały, nie, biegnie tutaj, tą uliczką, normalnie. A Muhammed, Toby i tamci stoją i nic nie jarzą, nie? W końcu Muhammed mówi, łapcie go, i wszyscy tam biegną, normalnie. Ale bez broni, tylko noże

mieli, nie? Chuj z tym, i tak by pochlastali skurwysyna, nie?

- Powiedz jej o sierpie.

- No... - Monkowi oczy zaszyły mgłą. - Słyszę, coś się dzieje, nie, więc normalnie podchodzę bliżej, kurwa, i patrzę. Nie próbuję uciekać ani nic, myślę sobie, jestem na warunkowym po tej akcji z Liquor Kingiem, normalnie, na chuja mi mieszać się jeszcze w jakieś zabójstwo, nie? Więc tylko patrzę, co tam się, kurwa, wyrabia, nie? No i ten biały koleś, ja patrzę, normalnie, a on w ogóle nie krwawi, nie? Trzyma taki jebitny sierp, normalnie, jak w komiksach...

- Jakich komiksach? - zdziwiła się Natalie.

- No wiesz, ten taki stary gość, co ma normalnie czachę i taki sierp na kiju, nie? Taki trochę jak klepsydra, nie? Przychodzi w komiksach po trupy... Kurwa.

- Miał kosę, tak? - domyśliła się Natalie. - Taką jak dawniej używało się do koszenia zboża?

- No tak, normalnie. - Monk wskazał ją palcem wskazującym. - Tylko że ten biały kutas, to on się wziął za ścinanie Muhammeda i naszych braci. A szybki był... Normalnie ja pierdołę, jaki on był szybki. Widziałem dość, więc normalnie chowam się tutaj - pokazał duży kontener na śmieci - i czekam, aż skończy, nie? I czekam, aż sobie pójdzie, nie, czekam i czekam, normalnie w chuj długo czekam. Bo ja nie chcę mieć z tym nic do czynienia, nie? Dopiero jak się jasno zrobiło, to normalnie poszłem i powiedziałem Marvinowi.

Marvin skrzyżował ręce na piersi i spojrzał pytająco na Natalie.

- Masz dość, laluniu?

Było już zupełnie ciemno. W głębi uliczki majaczyły latarnie i światła samochodów na dużej ulicy, pewnie Germantown Avenue.

- Prawie... - odparła. - Czy ten... ten biały zabił ich wszystkich?

Monk objął się rękoma i zaniósł się śmiechem.

- A żebyś wiedziała, kurwa. I nie śpieszył się z tym, chuj jeden, normalnie. Podobało mu się.

- Zdekapitował ich?

- Eee?

- Pyta, czy obciął im głowy - przetłumaczył Marvin. - Powiedz jej, Monk.

- O tak, kurwa, całkiem ich skapitował. Upierdolił im głowy, normalnie, odrąbał im je tym sierpem i szpadlem. A potem nabił na parkometry przy głównej ulicy, nie?

- O mój Boże... - jęknęła Natalie. Płatki śniegu bombardowały jej twarz,

zamarzały na rzęsach i policzkach.

- To nie koniec - dodał Monk. Jego chrypliwy śmiech do złudzenia przypominał szloch. - Wyciął im jeszcze serca, nie? I ja myślę, że je zeżarł. Wpierdolił, normalnie.

Natalie tyłem wycofała się z zaułka. Odwróciła się, gotowa rzucić się do ucieczki, ale wszędzie widziała tylko ceglane mury i ciemność. Stała jak wrośnięta w ziemię.

Marvin wziął ją pod rękę.

- Chodź, laluniu. Pójdiesz z nami. Musisz nam wszystko powiedzieć. Musimy porozmawiać.

22.

Beverly Hills

27 grudnia 1980, sobota

Tony Harod był głęboko w podstarzałej gwiazdce filmowej, kiedy zadzwonili do niego z Waszyngtonu.

Tari Easten miała czterdzieści dwa lata, co najmniej dwadzieścia za dużo do roli w *Białym łowcy niewolników*, o którą się starała, za to jej piersi - ze względu na swój kształt i wiek - idealnie się do tej roli nadawały. Leżąc pod ujeżdżającą go pracownicę Tari i patrząc na nie z dołu, Harod miał wrażenie, że dostrzega zaróżowione linie w miejscu styku piersi z klatką piersiową - tamtędy wprowadzono pod skórę silikon. Były tak sztucznie ujędrnione, że prawie nie podskakiwały, gdy Tari miotła się w przód i w tył, odrzucała głowę i otwierała usta w doskonale udawanych porywach namiętności.

- No dalej, kotku, chodź do mnie. No chodź. Daj mi to - dyszała.

W 1963 roku *Variety* nazwało ją „drugą Elizabeth Taylor”. Z czasem starzejąca się specjalistka od ról niewiniątek stała się raczej drugą Stellą Stevens.

- No chodź - dyszała. - Wystrzel we mnie. Chodź, chodź do mnie.

Tony Harod bardzo się starał. W którymś momencie na przestrzeni ostatniego kwadransa ich pierwotna namiętność przemieniła się w ciężką harówkę. Tari wybornie znała się na technice, była lepsza od wszystkich gwiazdeczek porno, z którymi Tony miał okazję pracować. Stanowiła uosobienie męskich fantazji, zgadywała jego życzenia, każdym dotykiem sprawiała mu czystą rozkosz, bez reszty oddana egoistycznemu kultowi penisa, drzemiacemu - o czym dawno się już przekonała - w duszy każdego faceta. Była idealna.

Harod odnosił wrażenie, że z podobnym podnieceniem i zaangażowaniem mógłby dymać dziurę po sęku.

- Dalej, skarbie, pokaż, co potrafisz - stękała Tari, dzielnie grając swoją rolę i podskakując na nim jak kowbojka na mechanicznym byku w barze u Gilleya.

- Zamknij się - mruknął Harod i skoncentrował się na poszukiwaniu orgazmu.

Przymknął oczy i przypomniał sobie stewardesę w samolocie z Waszyngtonu, dwa tygodnie wcześniej. Czy to ona była ostatnia? A te dwie

Niemki zabawiające się ze sobą w saunie...

Nie. Nie chciał myśleć o Niemczech.

Im bardziej się starali, tym bardziej miękł. Pot skapywał z piersi Tari na jego pierś. Przypomniała mu się Maria Chen na odwyku przed trzema laty, pot na jej nagim śniadym ciele, drobne sutki stwardniałe od zimnej wody, którą ją obmywał, kropelki skrzące się w czarnym trójkącie włosów łonowych...

- No chodź, kotku, chodź - szepnęła Tari. Czując bliski triumf, ożywiła się jak kuc, który doskonale zna szlak i wyczuwa bliskość stajni. - Daj mi to.

I Harold dał. Tari zaczęła jęczeć, rzucać się wściekle i prężyć w udawanej ekstazie, która z pewnością przyniosłaby jej honorowego Oscara, gdyby ktoś dawał Oscary za orgazmy.

- O rany, skarbie, ależ z ciebie ogier... - wymruczała. Wplotła mu dłonie we włosy, wtuliła twarz w okolice obojczyka. Jej piersi ocierały się o niego w przód i w tył.

Harold otworzył oczy i zobaczył migającą lampkę telefonu.

- Złaż - powiedział.

Przytuliła się do niego, gdy kazał Marii Chen łączyć rozmowę.

- Harold? Mówi Charles Colben - zabrzmiał znajomy bas oprycha.

- Tak?

- Lecisz dziś wieczorem do Filadelfii. Spotkamy się na lotnisku.

Harold odepchnął dłoń Tari od swojego krocza i zagapił się w sufit.

- Harold, jesteś tam?

- Jestem. Dlaczego akurat Filadelfia?

- Po prostu masz przylecieć i już.

- A jak nie będę chciał?

Tym razem to Colben zwlekał z odpowiedzią.

- Powiedziałem wam przecież w zeszłym tygodniu, że z tym kończę - ciągnął Harold.

Zerknął na Tari, która właśnie zapaliła mentolowego papierosa. Jej oczy były równie niebieskie i pozbawione wyrazu jak woda w jego basenie.

- Z niczym nie kończysz - odparował Colben. - Wiesz, co się przytrafiło Traskowi.

- Wiem.

- To oznacza, że w prezydium Klubu Wyspiarskiego jest wakat.

- Nie jestem pewien, czy nadal mnie to interesuje.

Colben parsknął śmiechem.

- Harod, żaloszny pierdolcu, ty się módl, żebyśmy to my nie przestali się interesować tobą. Bo jeśli do tego dojdzie, to w tej samej sekundzie twoi kumple z Hollywood będą się musieli zacząć umawiać na następne nabożeństwo żałobne na Forest Lawn. United do Filadelfii odlatuje o drugiej w nocy.

Harod delikatnie odłożył słuchawkę, wyturlał się z łóżka i naciągnął pomarańczowy szlafrok z wyhaftowanym monogramem.

Tari zgasła papierosa i spojrzała na niego spod długich rzęs. Kiedy na nią patrzył, leżącą w takiej swobodnej pozie, przypomniał mu się niskobudżetowy rozbierany filmik włoski, w którym Jayne Mansfield zagrała niedługo przed tym, jak straciła głowę w wypadku samochodowym.

- Kochanie... - wyszeptała, jeszcze owładnięta symulowaną rozkoszą. - Chcesz o tym porozmawiać?

- O czym?

- O naszym projekcie, głuptasku. A o czym?

- A tak, oczywiście. - Harod podszedł do baru i nalał sobie soku pomarańczowego. - Nazywa się to *Biały łowca niewolników* i jest oparte na tej szmirze, którą na jesieni można było dostać w każdym sklepie. Reżyseruje Schu Williams. Budżet dwanaście milionów, chociaż Alan spodziewa się, że go przekroczymy. Milion zaliczki plus procent z zysków.

Miał świadomość, że Tari jest w tej chwili o krok od najprawdziwszego orgazmu.

- Ronny mówi, że byłabym świetna w tej roli - wyszeptała.

- Za to mu płacisz - odparł Harod i pociągnął solidny łyk soku. Ronny Bruce był agentem i pupilkiem Tari.

- Ronny mówi, że to ty tak powiedziałaś - zauważyła z delikatnie płaczącą nutą w głosie.

- Zgadza się. Tak powiedziałem. - Harod posłał jej swój uśmiech krokodyla. - Nie miałem na myśli głównej roli, rzecz jasna. Jesteś o dwadzieścia pięć lat za stara, masz cellulitis na dupie i cycki jak wypchane piłeczkami do softballu.

Tari sapnęła głośno, jakby ktoś wyrznął ją pięścią w brzuch. Poruszyła ustami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Hari dopił sok i przymknął powieki, jakby mu ciążyły.

- Widzisz, w scenariuszu jest rola ciotki głównej bohaterki, pani w średnim wieku, która próbuje ją odszukać. Niewiele mówi, ale za to ma jedną niezłą scenę na bazarze w Marrakeszu, kiedy gwałcą ją Arabowie...

Teraz już słowa zaczęły płynąć:

- Ty drutociągu, ty kurdupłu w dupę jechany...

Harod wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czyli jesteś wstępnie zainteresowana? Przemyśl to jeszcze, kochanie, i niech Ronny do mnie zadzwoni. Umówimy się na lunch.

Odstawił szklankę i poczłapał do jacuzzi.

- Dlaczego kazali ci lecieć w środku nocy? - spytała Maria Chen, gdy znajdowali się gdzieś nad Kansas.

Harod wyrzwał za okno w mrok.

- Chyba po prostu chcą pokazać, kto tu rządzi.

Opadł na oparcie fotela i odwrócił się do Marii. Od czasu Niemiec coś się między nimi zmieniło. Przymknął powieki i przypomniał sobie swoją twarz wyrzeźbioną na figurze szachowej z kości słoniowej.

Otworzył oczy.

- Co jest w Filadelfii? - zainteresowała się Maria.

Harod miał na końcu języka przemądrzały tekst o W.C. Fieldsie, ale ostatecznie uznał, że jest zbyt zmęczony na takie igraszki.

- Nie wiem - odparł. - Albo Willi, albo ta Fuller.

- A jeśli Willi, to co zrobisz?

- Ucieknę w cholerę. Liczę na twoją pomoc. - Harod się rozejrzał. - Spakowałaś browninga, tak jak ci kazałem?

- Tak. - Maria odłożyła kalkulator, na którym próbowała oszacować planowane wydatki na garderobę. - A jeśli to będzie pani Fuller?

W promieniu trzech rzędów wszystkie fotele były puste, nieliczni pozostali pasażerowie pierwszej klasy spali.

- Jeżeli będzie sama, to ją zabiję - powiedział Harod.

- Ty? Czy my? - spytała Maria.

- Ja! - warknął.

- Jesteś pewien, że dasz radę?

Harod spiorunował ją wzrokiem i bardzo wyraziście wyobraził sobie, jak uderza pięścią w te idealnie równe ząbki. Prawie byłoby warto zaryzykować aresztowanie, dekonspirację i całą resztę, żeby przebić się przez to cholerne orientalne opanowanie. Choć raz. Dać jej po pysku, a potem ją zerznąć, tu i teraz, w pierwszej klasie, w drodze z LAX przez O'Hare do Filadelfii.

- Jestem pewien. To tylko stara baba.

- Willi też był... nadal jest tylko starym człowiekiem.

- Widziałaś, co potrafi. Z Monachium musiał polecieć prosto do Waszyngtonu, żeby w ten sposób rozprawić się z Traskiem. On jest popieprzony.

- A Fuller? Nic o niej nie wiesz.

Harod pokręcił głową.

- Jest kobietą. Żadna kobieta na świecie nie jest tak popieprzona jak Willi Borden.

Pół godziny przed świtem wylądowali w Filadelfii. Od przesiadki w Chicago w pierwszej klasie było zimno jak w psiarni i Harod nie mógł zasnąć; miał wrażenie, że ktoś wysmarował mu powieki od wewnątrz klejem i posypał żwirem. Był tym bardziej wściekły, że Maria Chen wyglądała świeżo i kwitnąco.

Czekało na nich trzech obrzydliwie schludnych facetów w typie agentów FBI. Najważniejszy z nich - przystojniak z plastrem i niknącym siniakiem na podbródku - odezwał się pierwszy:

- Pan Harod? Zabierzemy państwa na spotkanie z panem Colbenem.

Harod wręczył mu swój bagaż podręczny.

- W takim razie nie traćmy czasu. Chciałbym się już położyć.

Agent oddał torbę Haroda jednemu ze swoich ludzi i ruszył przodem: schodami ruchomymi zjechali niżej, przeszli przez kilkoro drzwi z tabliczkami „WSTĘP WZBRONIONY” i znaleźli się na płycie lotniska pomiędzy głównym terminalem i kompleksem prywatnych hangarów. Rozmazana czerwono-żółta smuga na wschodzie zapowiadała świt, ale na razie światła lotniska świeciły oślepiająco.

- O kurwa... - zaklął siarczyście Harod.

Stał tam luksusowy sześćosobowy helikopter o aerodynamicznej sylwetce, pomalowany w pomarańczowo-białe pasy, z wolno obracającymi się wirnikami i migającymi światłami pozycyjnymi. Jeden z agentów otworzył drzwi, drugi włożył do środka bagaż Haroda i Marii Chen. W środku mignął im Charles Colben.

- O kurwa - powtórzył Harod, zwracając się do Marii, która w odpowiedzi skinęła głową.

Harod w ogóle nie lubił latać, ale śmigłowców nienawidził szczególnie. W czasach, kiedy każdy piątorzędny reżyser w Hollywood wydawał trzecią część budżetu na wynajęcie jednej z tych niebezpiecznych, obłąkanych maszyn, które następnie bzycały, unosiły się i śmigały nad planem każdego

ujęcia niczym szurnięte sępy z kompleksem Jehowy, on systematycznie odmawiał latania nimi.

- Niech was chuj strzeli! Nie macie jakiegoś naziemnego środka transportu, do kurwy nędzy? - spytał, przekrzykując łoskot leniwego wirnika.

- Wsiadaj! - odkrzyknął Colben.

Harod skomentował to jeszcze po swoim i w ślad za Marią Chen wsiadł do maszyny. Wiedział, że łopaty wirnika kręcą się co najmniej osiem stóp nad gruntem, ale nie było mowy, żeby zdrowy na umyśle człowiek poruszał się w ich zasięgu inaczej niż zgięty wpół jak garbus.

Nie zdążyli jeszcze zapiąć pasów na miękko tapicerowanej tylnej kanapie, gdy Colben odwrócił się razem z fotelem i uniesionym kciukiem dał znak pilotowi. Zdaniem Haroda facet za sterami był jak żywcem wzięty z castingu na pilota: znoszona skórzana kurtka, szczupła, głęboko poorana zmarszczkami twarz, czerwona czapeczka i oczy, które widziały prawdziwą wojnę i od tamtej pory nudziło je wszystko, co nią nie jest. Pilot powiedział coś do połączonego ze słuchawkami mikrofonu, lewą ręką pchnął jeden dźwonek, a prawą pociągnął drugi do siebie. Helikopter zadudnił, uniósł się, pochylił dziób i ruszył pomalutku naprzód, utrzymując stałą wysokość sześciu stóp nad ziemią.

- W mordę... - mruknął Harod.

Czuł się jak na desce leżącej na tysiącu łożysk kulkowych.

Zbliżyli się do terminalu, pilot pogaworzył z wieżą, a potem śmigłowiec wystrzelił w górę. Zanim Harod zamknął oczy, w dole mignęły mu rafinerie, rzeka i gigantyczna sylwetka tankowca.

- Ta stara baba jest w mieście - powiedział Colben.

- Melanie Fuller? - spytał Harod.

- A kto, kurwa, Helen Hayes?

- Gdzie?

- Zobaczysz.

- Jak ją znaleźliście?

- To nasza sprawa.

- Co teraz?

- Dowiesz się w swoim czasie.

Harod otworzył oczy.

- Lubię z tobą rozmawiać, Chuck. Jakbym rozmawiał z własną pachą.

Łysy Colben spojrzał na Haroda spode łba, ale zaraz się uśmiechnął.

- Tony, złotko, moim zdaniem jesteś wart tyle co psi balas, ale pan Barent

z jakiegoś powodu uważa, że mógłbyś wejść do Klubu. To twoja wielka szansa, śmieciu. Nie spieprz tego.

Harod zaśmiał się i znów zamknął oczy.

Maria Chen patrzyła przez okno. Lecieli nad krętą szarą rzeką. Po prawej zostawiali za sobą drapacze chmur w centrum Filadelfii. Dalej ciągnęły się połączone szeregowy zabudowy i pocięta drogami szybkiego ruchu ceglano-brunatna szachownica miasta. Po drugiej stronie, równoległe do rzeki, biegł na pozór nieskończony teren parkowy: niskie wzgórza najeżone nagimi drzewami i pokryte płatami śniegu. Słońce weszło jak złoty reflektor wciśnięty pomiędzy widnokrąg i nisko zawieszony chmury. Setki okien w wieżowcach i domach wśród wzgórz odbijały światło.

Colben położył jej dłoń na kolanie.

- Mój pilot jest weteranem z Wietnamu. Jest taki jak ty.

- Nigdy nie byłam w Wietnamie - odparła półgłosem Maria.

Dłoń Colbena przesunęła się w górę jej uda. Harod wyglądał, jakby spał.

- Mam na myśli to, że jest neutralnym. Nie można namieszać mu w głowie.

Maria zacisnęła uda i przytrzymała napierającą rękę Colbena własną dłonią. Pozostali trzej agenci przyglądali się tej scenie; ten z siniakiem na podbródku lekko się uśmiechał.

- Chuck? - odezwał się Harod, nie otwierając oczu. - Jesteś lewo- czy praworęczny?

Colben zmarszczył brwi.

- A co?

- Tak się zastanawiam... Czy jak przetrączę ci prawą grabę, będziesz miał jak walić gruchę?

Harod otworzył oczy. Zmierzyli się wzrokiem.

Trzej agenci rozpięli marynarki gestem, który wyglądał jak wyreżyserowany.

- Łądujemy - zameldował pilot.

Colben cofnął rękę i odwrócił się przodem do kierunku lotu.

- Posadź nas przy centrum komunikacyjnym - polecił, zgoła niepotrzebnie.

Niewielki kwartał zabudowy w sercu podupadłej dzielnicy, na którą składały się ubogie szeregowce i pozamykane fabryki, został wygrodzony wysokim drewnianym płotem budowlanym. Mniej więcej na środku parceli stały cztery połączone ze sobą przyczepy mieszkalne, na południe od nich parkowało trochę samochodów osobowych i furgonetek. Jedna z furgonetek i

dwie przyczepy miały na dachach anteny mikrofalowe. Nieopodal płyty pomarańczowego plastiku wyznaczały lądowisko dla śmigłowców.

Poza Marią Chen wszyscy odruchowo schylili się, wychodząc spod wirnika maszyny: asystentka Haroda szła wyprostowana, ostrożnie stawiając stopy w szpilkach między kałużami i plackami błota. Jej poza nie zdradzała najmniejszego napięcia.

Pilot został na pokładzie. Nie wyłączał silników.

- Krótki przystanek - wyjaśnił Colben, prowadząc wszystkich do jednej z przyczep. - Potem będziesz miał robotę.

- Jedyna robota, jaką na dziś zaplanowałem, to szukanie wygodnego łóżka - odparł Harod.

Dwie środkowe przyczepy ustawiono na osi północ-południe i połączono szerokimi wspólnymi drzwiami. Zachodnią ścianę zajmowała bateria monitorów i pulpity komunikacyjnych. Ośmiu ludzi w białych koszulach i ciemnych krawatach obserwowało monitory, szepcząc czasem do mikrofonów.

- Co to, kurwa, centrum kontroli lotów kosmicznych? - mruknął Harod.

Colben pokiwał głową.

- Nasze centrum komunikacyjne - odparł z nutą dumy.

Mężczyzna przy pierwszym pulpicie podniósł na niego wzrok.

- Larry - powiedział Colben - to są pan Harod i pani Chen. Dyrektor prosił, żeby ich tu przywieźć i zapoznać z naszymi działaniami.

Larry skinął głową domniemanym VIP-om. Harod odniósł wrażenie, że ma przed sobą zwyczajnych agentów FBI, prawie na pewno nieświadomych prawdziwego celu misji.

- Co widzimy? - zainteresował się.

Colben dotknął pierwszego z brzegu monitora.

- To dom przy Queen Lane, w którym mieszkają podejrzana i niezidentyfikowany biały mężczyzna. Należy do Anne Marie Bishop: lat pięćdziesiąt trzy, niezamężna, od śmierci brata w maju bieżącego roku mieszka sama. Zespół Alfa zorganizował stanowisko obserwacyjne na piętrze magazynu po drugiej stronie ulicy. Monitor numer dwa pokazuje widok na tyły domu; kamera znajduje się na drugim piętrze pustostanu po przeciwnej stronie zaułka. Numer trzy: widok zaułka z furgonetki z oznaczeniami Bell Telephone.

- Ona tam teraz jest? - spytał Harod, ruchem głowy wskazując czarnobiałą obraz małego białego domku.

Colben pokręcił głową i zaprowadził ich dalej, do monitora przedstawiającego stary kamienny dom. Kamera filmowała go z drugiej strony ruchliwej arterii, z wysokości parteru; przejeżdżające samochody chwilami zasłaniały widok.

- W tej chwili jest w Grumblethorpe - wyjaśnił Colben.

- W czym?

- Grumblethorpe. - Colben wskazał dwie powiększone fotokopie kompletu rysunków architektonicznych przyklejone na ścianie nad monitorem. - To zabytek, zwykle zamknięty dla zwiedzających. Spędza tam dużo czasu.

- Zaraz, żebym dobrze zrozumiał: starsza pani, o której rozmawiamy, ukrywa się w skarbie dziedzictwa narodowego?

- Bez przesady z tym skarbem - burknął Colben. - To tylko lokalny zabytek. Ale poza tym wszystko się zgadza, ona faktycznie spędza tam większość czasu. Rano... przynajmniej w te dwa dni, kiedy prowadziliśmy obserwację... idzie z tą drugą starszą panią i dzieciakiem do domu przy Queen Lane, pewnie żeby wziąć prysznic i zjeść coś ciepłego.

- Jezu... - Harold powiódł wzrokiem po wnętrzu przyczep, sprzęcie i ludziach. - Ilu ludzi wzięłeś do tej robotki, Chuck?

- Sześćdziesięciu czterech. Miejskowa policja wie, że tu jesteśmy, ale mają przykazane nie mieszać się w nasze sprawy. Spodziewamy się, że przy ostatecznej rozprawie możemy potrzebować ich pomocy przy kierowaniu ruchem.

Harold wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się do Marii Chen.

- Sześćdziesięciu czterech agentów, przekłety helikopter, gadzety z Wojen Gwiazdnych warte milion dolców, a wszystko po to, żeby przyszpilić jedną osiemdziesięcioletnią staruszkę.

Larry i paru innych agentów spojrzeli na niego pytająco.

- Tak trzymać, panowie - dodał swoim najlepszym vipowskim głosem. - Kraj jest z was dumny.

- Przejdźmy do mojego biura - zasugerował lodowato Colben.

Biura zajmowały całą przyczepę ustawioną na osi wschód-zachód na południowym skraju kompleksu. Gabinet Colbena plasował się gdzieś w pół drogi między biurowym boksem i pokojem z prawdziwego zdarzenia.

- A co jest na drugim końcu kompleksu? - spytał Harold, kiedy we troje z Marią Chen i Colbenem usadowili się wokół przemałego biurka.

- Izba zatrzymań i przesłuchań - odparł Colben po krótkim wahaniu.

- Zamierzacie przesłuchać tę Fuller?

- Nie, jest zbyt niebezpieczna. Zamierzamy ją zabić.

- A zatrzymaliście już kogoś? Przesłuchujecie go?

- Być może. To nie twoja sprawa.

Harod westchnął.

- W porządku, Chuck. Co w takim razie jest moją sprawą?

Colben zerknął na Marię Chen.

- To tajne. Poradzisz sobie bez tej Connie Chung⁴, Tony?

- Nie. Jeśli jeszcze raz spróbujesz ją obmacać albo prześlinić, chłoptasiu, Barent będzie miał do obsadzenia drugi wakat w Klubie Wyspiarskim.

Colben uśmiechnął się.

- Do tej sprawy z pewnością będziemy jeszcze musieli wrócić... Ale to później. Na razie mamy misję do wypełnienia, a ty, dla odmiany, masz robotę do wykonania.

Położył na biurku fotografię.

Harod wziął ją do ręki: zdjęcie z polaroida, kolorowe, zrobione w naturalnym świetle przedstawiało młodą, atrakcyjną Murzynkę w wieku dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech lat, stojącą na skrzyżowaniu i czekającą na zmianę świateł. Miała bujną, kędzierzawą fryzurę tylko minimalnie za krótką, żeby zasługiwała na miano afro, głębokie oczy, delikatną, owalną twarz i pełne wargi. Wzrok Haroda zbłądził na jej piersi, ale płaszcz z wielbłądziej wełny był zbyt obszerny, żeby dało się cokolwiek zawyrokować.

- Niezła dziunia - przyznał. - Może nie gwiazda, ale chyba mógłbym jej załatwić casting albo jakąś małą rolę. Tylko kto to, kurwa, jest?

- Natalie Preston - odparł Colben.

Harod uniósł pytająco brwi.

- Parę tygodni temu jej tatko przypadkiem wplątał się w spór Niny Drayton z Melanie Fuller w Charleston.

- No i?

- No i zginął, a panna Preston ni stąd, ni zowąd znalazła się tutaj, w Filadelfii.

- Jest tu teraz?

- Tak.

- Myślicie, że tropi tę Fuller?

- Nie, Tony, myślimy, że pogrążona w żałobie córka zostawiła trupa

tatusia, porzuciła studia w St. Louis i przyleciała do Germantown, ponieważ zniechęcała ją historia Stanów Zjednoczonych. Oczywiście, że tropi tę starą babę, ty durny pierdzielu.

- Ale jak ją znalazła? - zdziwił się Harod, wpatrując się w zdjęcie.

- Przez ten gang - powiedział Colben, po czym, kiedy Harod znów zrobił wielkie oczy, dodał: - Chryste Panie, czy wy w tym Hollywood nie macie gazet ani telewizji?!

- Byłem zajęty, mam na głowie projekt wart dwanaście milionów dolarów. Jaki gang?

Colben opowiedział Harodowi o wigilijnych morderstwach.

- I jeszcze dwóch później - dodał. - Makabra.

- Ale dlaczego ta ponętna czekoladka miałyby powiązać mordujących się nawzajem czarnuchów w Filadelfii z osobą Melanie Fuller? I skąd wy dowiedzieliście o obecności ich obu?

- Mamy swoje źródła. Co się tyczy tej czarnej suki, to podsłuchujemy jej telefon i telefon tego wsiowego szeryfa, u którego pomieszkiwała. Nagrywają sobie przesłódki wiadomości na jego automatycznej sekretarce. Wysłaliśmy tam naszego człowieka, żeby zostawił tylko te wiadomości, które nas interesują, i skasował resztę.

- Nie ogarniam. - Harod pokręcił głową. - Co to ma wspólnego ze mną?

Colben wziął do ręki nożyk do listów i zaczął się nim bawić.

- Pan Barent uznał, że to zajęcie w sam raz dla ciebie, Tony.

- Jakie zajęcie? - Harod podał zdjęcie Marii.

- Zajmiesz się panną Preston.

- Nie tak się umawialiśmy. Była mowa o Fuller, i tylko o niej.

Colben uniósł brew.

- Co z tobą, Tony? Boisz się dziewczyny, tak jak boisz się latania? Co jeszcze cię przeraża, twardzielu?

Harod potarł zmęczone oczy i ziewnął.

- Zajmij się tym drobiazgiem, to może nie będziesz musiał zawracać sobie głowy Melanie Fuller - dodał Colben.

- Kto tak powiedział?

- Pan Barent. Na Boga, Harod, to dla ciebie darmowy bilet wstępu do najbardziej elitarnego klubu w historii ludzkości! Wiem, że jesteś frajerem, ale twoje zachowanie jest kretyńskie nawet jak na frajera.

Harod znów ziewnął.

- Nie przyszło wam do głowy, paralitycy umysłowi, że nie jestem wam

potrzebny jako facet od brudnej roboty? Sam powiedziałaś, że kilka razy dziennie macie tę staruszkę na celowniku. Wstawcie zamiast kamery karabin z celownikiem optycznym i wasz problem zostanie rozwiązany. A co to w ogóle za zamieszanie z naszą małą Natalie... jak jej tam... Ma Talent, czy coś?

- Nie. Natalie Preston ma licencjat Oberlin College i dwie trzecie uprawnień nauczycielskich. To bardzo spokojna młoda dama.

- No to czemu akurat ja?

- Wpisowe. Każdy je płaci.

Harod zabrał zdjęcie Marii Chen.

- Co mam z nią zrobić, zatrzymać i przesłuchać?

- Nie trzeba. Wszelkie informacje, jakich mogłaby nam udzielić, zdobyliśmy już... z innego źródła. Chcemy po prostu wyeliminować ją z gry.

- Na stałe?

Colben parsknął śmiechem.

- A masz inny pomysł, Harod?

- Pomyślałem, że może przydadzą się jej małe przymusowe wakacje w Beverly Hills - odparł Harod. Powieki bardzo mu ciążyły. Szybkim ruchem przesunął językiem po wargach.

Colben znów się roześmiał.

- Jak chcesz. W każdym razie tej... jak ty ją nazwałeś? Ponętnej czekoladki, tak? Prędzej czy później trzeba się jej pozbyć na dobre. Cokolwiek zrobisz z nią wcześniej, to już twoja sprawa, kochasiu. Tylko nie pokpij sprawy.

- Spokojna głowa. - Harod zerknął przelotnie na Marię i wrócił spojrzeniem do zdjęcia. - Wiecie, gdzie jest w tej chwili?

- Tak. - Colben sięgnął po wydruk z komputera. - W Cheltenham Arms. To hotelik dwanaście przecznic stąd. Haines może cię tam podrzucić.

- Nie, nie. Najpierw sam muszę dostać pokój w hotelu, i to jakiś niezły, najlepiej apartament. Potem siedem, osiem godzin snu.

- Ale pan Barent...

- Pierdolę pana Barenta. - Harod się uśmiechnął. - Jak mu się coś nie podoba, niech sam się pofatyguje po tę lasencję. Zawołaj Hainesa czy kogo tam chcesz, niech nas zawiezie do dobrego hotelu.

- A co z Natalie Preston?

Harod zatrzymał się przy drzwiach.

- Domyślałam się, że ją też macie na oku?

- Oczywiście.

- Każ chłopakom nie zgubić jej jeszcze przez te osiem, dziewięć godzin, Chuck. - Harold odwrócił się do wyjścia, ale jeszcze raz się zawahał. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważył. - Obserwujecie Melanie Fuller już od paru dni. Po co to przeciągasz? Nie lepiej ją zlikwidować i zmyć się stąd?

Colben znów sięgnął po nożyk do listów.

- Prawdę mówiąc, czekamy, czy nie wypłynie jakiś związek między naszą małą Melanie i twoim dawnym szefem, panem Bordenem. Liczymy na to, że Willi popełni błąd. Odkryje karty.

- A wtedy co?

Colben z uśmiechem przeciągnął tępy ostrzem nożyka po gardle.

- Wtedy... wtedy twój kumpel Willi pożałuje, że nie było go w gabinecie Traska, kiedy wybuchła bomba.

Harold i Maria Chen zameldowali się w Chestnut Hill Inn, ekskluzywnym motelu siedem mil od Germantown Avenue, za miastem, poza obszarem slumsów, wśród wysadzanych drzewami uliczek i dyskretnych kompleksów biurowych. Colben również zatrzymał się w tym motelu. Agent FBI z siniakiem na szczęce zostawił im swojego człowieka, blondyna z samochodem. Harold przespał sześć godzin i obudził się bardziej zmęczony i zdezorientowany niż przed zaśnięciem. Maria naląła mu wódki z sokiem pomarańczowym i przysiadła na skraju łóżka.

- Co zamierzasz zrobić z tą dziewczyną? - zagadnęła.

Harold ostawił szklankę i przetarł twarz.

- A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

- Żadnego.

- W takim razie nie musisz nic o tym wiedzieć.

- Mam jechać z tobą?

Harold się zastanowił. Lubił mieć pod ręką kogoś, kto będzie go osłaniał, ale w tym wypadku nie było to chyba konieczne. Tak, im dłużej o tym myślał, tym mniej konieczne mu się wydawało.

- Nie - odparł. - To nie potrwa długo. Zostań i przejrzyj korespondencję z Paramountem.

Maria bez słowa wyszła z pokoju.

Harold wziął prysznic, włożył jedwabny golf, eleganckie wełniane spodnie i czarną lotniczą kurtkę z wełnianym podbiciem. Zadzwoił pod otrzymany

od Colbena numer.

- Jest tam gdzieś Natalie Jakkejtam? - zapytał.

- Pospacerowała po slumsach i wróciła na kolację do hotelu - odparł Colben. - Dużo czasu spędza z tym gangiem.

- Tym, co traci członków?

Colben zaniósł się śmiechem.

- Co cię tak, kurwa, bawi? - zdziwił się Harold.

- Twój dobór słów. „Traci członków”. Bo to dokładnie to się wydarzyło: dwaj ostatni zostali posiekani na kawałki, a przy okazji ktoś im uciął kutasy.

- Jezu... Myślicie, że to Melanie Fuller?

- Tego nie wiemy. Nie widzieliśmy, żeby ten jej dzieciak wychodził z Grumblethorpe w czasie, kiedy dochodziło do morderstw, ale nie jest wykluczone, że Używa jeszcze kogoś innego.

- Może macie za mało kamer przy Grumblethorpe?

- Mogłoby być lepiej - przyznał Colben - ale nie możemy postawić furgonetki telekomu w każdym zaułku, bo nawet staruszka mogłaby nabrać podejrzeń. Mamy niezły obraz od frontu, widok na podwórko i agentów rozstawionych w bliskiej okolicy. Jak tylko stara rura wyściubi stamtąd nos, będzie nasza.

- Moje gratulacje. A teraz posłuchaj: załatwię dla was tę drugą sprawę, ale jutro z samego rana chcę się stąd zmyć.

- O tym zadecyduje pan Barent.

- Chuj z Barentem. Nie zamierzam tu czekać, aż Willi Borden się pokaże. Zwłaszcza że to by długo trwało: Willi nie żyje.

- Aż tak długo to nie potrwa - uspokoił Harolda Colben. - Mamy zgodę na zajęcie się starszą panią.

- Dziś?

- Nie, ale niedługo.

- Kiedy?

- Dowiesz się, kiedy to będzie konieczne.

- Miło się rozmawiało, moja pacho - powiedział Harold i się rozłączył.

Młody blondyn z FBI zawiózł go do miasta, pokazał mu Cheltenham Arms i zaparkował samochód pół przecznicy dalej. Harold dał mu ćwierć dolara napiwku.

Stareńki hotel walczył o zachowanie resztek godności w ciężkich czasach. Hol zdecydowanie pamiętał lepszą epokę, za to już bar z jadalnią (niedawno odnowione) okazały się przyjemnie mroczne; Harold doszedł do wniosku, że

większość klientów stanowią zapewne nieliczni ocalali w okolicy biali biznesmeni, którzy wpadają tu na obiad.

Czarna dziewczyna rzucała się w oczy: siedziała sama w kącie, jadła sałatkę i czytała jakąś książkę w miękkiej oprawie. Była dokładnie tak atrakcyjna, jak zapowiadała to odbitka z polaroida - nawet bardziej, uświadomił sobie Harold, doceniając prężące się pod jasnobrązową bluzką pełne piersi. Stał chwilę przy barze, próbując zidentyfikować wtyczki FBI. Młody samotny facet przy barze - w zbyt drogim garniturze, z aparatem słuchowym - był stuprocentowym kandydatem. Nieco dłużej zajęło mu wypatrzenie Murzyna zjadającego zupę z małży, który co rusz zerkał w stronę Natalie.

FBI też już werbuje czarnuchów? - zdziwił się w duchu. Pewnie mają limity do wyrobienia.

Domyślał się, że w holu siedzi jeszcze jeden, pewnie czyta gazetę.

Wziął swoją wódkę z tonikiem i podszedł do stolika Natalie Preston.

- Pozwoli pani, że się przysiędę?

Podniosła wzrok znad książki. Harold odczytał tytuł: „Nauczanie jako działanie ochronne”.

- Prawdę mówiąc - odparła - wolałabym nie.

- Nic nie szkodzi. - Harold powiesił marynarkę na oparciu sąsiedniego krzesła i usiadł.

Natalie otworzyła usta, gotowa powiedzieć coś jeszcze, ale Harold sięgnął już w jej stronę macką swojego umysłu i ścisnął... lekko, leciutko. Z jej gardła nie dobył się żaden dźwięk. Próbowwała wstać, ale zamarła w pół ruchu. Oczy wyszły jej z orbit.

Harold uśmiechnął się, rozsiadł swobodnie i splótł dłonie na brzuchu. Wszystkie stoliki w bezpośrednim zasięgu głosu były wolne.

- Ty jesteś Natalie - zaczął. - Ja jestem Tony. Zabawimy się?

Zwolnił uścisk, ale tylko na tyle, żeby mogła szepnąć, nie krzyknąć.

Spuściła głowę i łapczywie zaczerpnęła tchu.

Harold pokręcił głową.

- Nie zrozumiałaś mnie, kochaniutka. Pytałem, czy się zabawimy?

Natalie podniosła wzrok, dysząc jak po długim biegu. W jej ciemnych oczach coś błysnęło. Odkryła, że może mówić, i wyszeptała:

- Niech cię piekło pochłonie... skurwysynu...

Harold się wyprostował.

- Zła odpowiedź - powiedział.

Patrzył, jak eksplozja bólu pod czaszką zgięła Natalie w dół. W dzieciństwie cierpiał okrutne migreny. I umiał się dzielić.

Przechodzący obok stolika kelner przystanął i zapytał:

- Dobrze się pani czuje?

Natalie wyprostowała się - powoli, jak nakręcana lalka.

- Tak - odparła chrapliwym głosem. - Nic mi nie jest. To tylko bóle menstruacyjne.

Zakłopotany kelner oddalił się, a Harod uśmiechnął się od ucha do ucha. O rany, pomyślał, ależ byłby ze mnie kapitalny brzuchomówca! Nachylił się i pogłaskał Natalie po dłoni. Próbowwała cofnąć rękę i musiał się trochę wysilić, żeby jej to uniemożliwić. Jej oczy zaczynały przybierać wyraz ślepi złapanego w potrzask zwierzęcia. Lubił te chwile.

- Zaczniemy od początku - szepnął. - Na co miałybyś ochotę dziś wieczorem, Natalie?

- Chcę... ci... zrobić... loda...

Każdą sylabę trzeba było wyciągać z niej przemocą, ale to akurat zupełnie Harodowi nie przeszkadzało. Wielkie brązowe oczy dziewczyny zaszklily się od łez.

- I co jeszcze? - wychrypiał. Zmarszczył brwi z wysiłku; ta czekoladka kosztowała go więcej sił, niż był do tego przyzwyczajony. - Co jeszcze?

- Chcę... żebyś... mnie... zerznął...

- Z przyjemnością. I tak nie mam nic lepszego do roboty przez następne dwie godzinki. Chodźmy do twojego pokoju.

Wstali od stolika.

- Wiesz co, lepiej zostaw im jakieś pieniądze - zasugerował szeptem Harod.

Natalie rzuciła na stół dziesięciodolarowy banknot.

Wychodząc, Harod mrugnął porozumiewawczo do dwóch agentów przy barze. Trzeci - w ciemnym garniturze - zerkał na nich znad gazety, kiedy czekali na windę. Harod uśmiechnął się do niego, złożył kciuk i palec wskazującej lewej ręki w kółeczko i sześć razy przeszył je szybkim gestem wyprostowanego palca środkowego drugiej dłoni. Agent zarumienił się i zasłonił gazetą.

Nikt nie wszedł z nimi do windy, nikt też nie poszedł za nimi korytarzem na drugim piętrze.

Harod wyjął Natalie klucze z dłoni i otworzył drzwi. Zostawił ją na progu, stojącą nieruchomo i wpatrzoną w przestrzeń, a sam sprawdził pokój -

schludny, choć mały: łóżko, biurko, czarno-biały telewizor na obrotowej podstawie, leżąca na niskiej półce otwarta walizka. Harold wyjął z niej dwie sztuki bielizny, przesunął sobie nimi po twarzy. Zajrzał do łazienki, sprawdził widok z okna - drabinka pożarowa, ślepy zaułek, dachy sąsiednich niskich domów.

- W porządeczku! - obwieścił z zadowoleniem. Odrzucił bieliznę Natalie w kącie i przysunął sobie zielony fotel. Usiadł. - Czas na przedstawienie, mała.

Natalie stanęła między nim i łóżkiem. Miała opuszczone ręce i obojętny wyraz twarzy, ale Harold wyraźnie widział, ile wysiłku wkłada w próbę oswobodzenia się: jej ciałem nieustannie wstrząsały drobne dreszcze.

Uśmiechnął się i wzmocnił uścisk.

- Nie uważasz, że mały striptiz przed seksem dobrze robi? - zapytał.

Ze wzrokiem cały czas utkwionym w dół, Natalie najpierw powoli rozpięła guziki bluzki, a następnie zrzuciła ją na podłogę. Jej duże piersi w staroświeckim białym staniku kogoś Haroldowi przypominały... Ale kogo? Przed oczami stanęła mu stewardesa sprzed dwóch tygodni: tamta miała bardzo jasną skórę, ta dziewczyna bardzo ciemną... Tylko dlaczego one noszą takie zwyczajne, nieciekawe staniki?

Skinął głową i Natalie sięgnęła za plecy, żeby rozpiąć haftki. Stanik zsunął się w przód, w dół i opadł zupełnie. Harold oblizał się na widok brązowych brodawek. Tak, niech się chwilę pobawi, nim weźmie się za niego.

- Dobrze - powiedział - chyba czas na...

Rozległ się ogłuszający hałas. Harold obrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak drzwi otwierają się z impetem i czyjaś potężna sylwetka przesłania padające z korytarza światło. Zdał sobie sprawę, że zostawił browninga w walizce Marii Chen. Próbował wstać, zasłonić się rękami, ale w tej samej chwili przedmiot o rozmiarach i ciężarze kowadła uderzył go w głowę, pchnął na fotel, wgniół w miękkie poduchy, w podłogę, która nagle przybrała konsystencję rozgotowanej tapioki, w otchłań ciepłej ciemności.

23.

Melanie

Miałam ogromne problemy z utrzymaniem Vincenta w czystości. Należało do tych dzieciaków, które wydzielają brud chyba wszystkimi porami skóry. Żałoby pod paznokciami dorabiał się dosłownie w ciągu godziny po tym, jak kazałam mu je wyszorować. Dbanie o czystość jego garderoby była nieustanną walką.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia odpoczywaliśmy. Anne gotowała, puszczała świąteczne piosenki z gramofonu i zrobiła kilka prań, ja zaś zajęłam się czytaniem i kontemplacją wyimków z Pisma. Dzień był spokojny. Anne chwilami sprawiała wrażenie, jakby zamierzała włączyć telewizor (zanim się poznałyśmy, oglądała telewizję po sześć do ośmiu godzin dziennie), ale wtedy warunkowanie brało górę i znajdowała sobie inne zajęcie. Przez pierwszy tydzień pobytu u niej w domu sama też pozwoliłam sobie na kilka bezmyślnych godzin przed telewizorem - dopóki któregoś wieczoru w wiadomościach o jedenastej nie nadali trzydziestosekundowej aktualizacji sprawy tak zwanych „Morderstw w Charleston”.

- Policja stanowa w dalszym ciągu poszukuje zaginionej kobiety - przeczytała młoda spikerka, ja zaś uznałam, że to koniec oglądania telewizji w domu Anne Bishop.

Dwa dni po świątach, w sobotę, wybrałyśmy się z Anne na zakupy. W garażu trzymała deSoto rocznik 53 - brzydki zielony wehikuł z atrapą chłodnicy przywodzącą na myśl przerażoną rybę. Prowadziła tak ostrożnie i niepewnie, że zanim zdążyłyśmy wyjechać z Germantown, kazałam jej zjechać na bok i ustąpić miejsca za kierownicą Vincentowi. Wykierowała nas z dala od Filadelfii, do drogiego centrum handlowego w okolicy zwanej King of Prussia; w życiu chyba nie słyszałam bardziej niedorzecznej nazwy dla przedmieścia. Na zakupach spędziłyśmy cztery godziny, udało mi się nawet nabyć trochę ładnych rzeczy, choć - niestety - nie tak ładnych jak te, które zostawiłam na lotnisku w Atlancie. Znalazłam jednak bardzo sympatyczny płaszczyk za trzysta dolarów, granatowy, z guzikami koloru kości słoniowej, który powinien mnie ochronić przed przenikającym do szpiku kości chłodem jankeskiej zimy. Anne była zachwycona, że może mi kupić te parę drobiazgów, ja zaś nie chciałam stawać na drodze jej szczęściu.

Wieczorem wróciłam do Grumblethorpe - jakże było miło przechadzać się

po tamtejszych pokojach przy świetle świecy, mając za towarzystwo jedynie cienie i ledwie słyszalne szepty. Wcześniej, po południu, w sklepie sportowym Anne kupiła dwie strzelby. Młody sprzedawca z przetłuszczonymi włosami i w brudnych trampkach był rozbawiony naiwnością starszej pani, kupującej broń dla dorosłego syna. Polecił jej dwa drogie modele przeładowywane ruchomym łożem - dwunastkę i szesnastkę, w zależności od tego, na co jej syn chciałby polować. Anne nabyła oba, i po sześć pudełek naboju do każdego. Kiedy ja ze świecznikiem w ręce spacerowałam po Grumblethorpe, skryty w kamiennych cieniach kuchni Vincent oliwił i pieścił strzelby.

Nigdy przedtem nie Używałam nikogo w taki sposób, jak jego teraz. Już wcześniej przyrównałam jego umysł do dżungli, teraz zaś ta metafora wydała mi się trafniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Prawie wszystkie obrazy przemykające po szczątkach jego świadomości przedstawiały przemoc, śmierć i zniszczenie. Przewijały się tam wizje mordów na członkach rodziny (matka w kuchni, śpiący ojciec, starsza siostra na podłodze w pralni), nie wiedziałam jednak, czy to rzeczywiste obrazy, czy fantazje. I wątpiłam, by wiedział to Vincent. Nigdy go o to nie zapytałam; nawet gdybym to zrobiła, nie mógłby mi odpowiedzieć.

Używanie Vincenta przypominało dosiadanie rączego konia: wystarczyło puścić wodze, żeby zwierzę samo spełniało żądania jeźdźca. Biorąc pod uwagę jego posturę, był nadzwyczajnie, prawie niewytłumaczalnie silny, tak jakby potężne fale adrenaliny przewalały się przez jego organizm nawet w najzwyklejszych sytuacjach, dzięki czemu w chwilach, kiedy był naprawdę podekscytowany, zyskiwał niemal nadludzką krzepę. Cudownie się czułam, dzieląc z nim to uczucie, nawet w ten specyficzny, raczej bierny sposób. Młodniałam z każdym dniem. Wiedziałam, że kiedy w końcu wyląduję w swoim domu na południu Francji (może już w przyszłym miesiącu, kto wie?), będę tak odmłodzona, że nie pozna mnie nawet Nina.

Tylko koszmary z Niną w roli głównej psuły mi święta. Sen zawsze wyglądał tak samo: Nina otwierająca oczy, twarz Niny jak biała maska z dziurką wielkości dziesięciocentówki w czole, Nina wstająca z trumny, szpiczaste żółte zęby, niebieskie oczy wypływające z głębi oczodołów na fali robactwa.

Nie podobały mi się te sny.

W sobotnią noc zostawiłam Anne na parterze Grumblethorpe, każąc jej pilnować drzwi wejściowych, a sama zwinęłam się na polowym łóżku w

pokoju dzieciennym i w półśnie czekałam, aż szepty do mnie przyjdą.

Vincent wymknął się podziemnym tunelem, co wywoływało u mnie skojarzenia z narodzinami: długie, wąskie przejście, napierające zewsząd szorstkie ściany, słodki, drażniący w nozdrzach zapach ziemi (całkiem podobny do miedzianej, metalicznej woni krwi), wąski otwór na końcu i ciche nocne powietrze, które po przejściu podkopem było jak eksplozja światła i dźwięków.

Przemknął zaułkiem, susem przesadził ogrodzenie, przebiegł przez pustą działkę i zniknął w cieniu zalegającym nad sąsiednią ulicą. Strzelby zostawił w kuchni, zabrał ze sobą tylko kosę (której długi uchwyt skrócił uprzednio o czternaście cali) i nóż.

Latem na tutejszych ulicach musiało się wprost roić od Murzynów: grube kobiety przesiadywały na schodkach i trajkotały bezustannie jak pawiany albo gapily się tępo w przestrzeń, ich obdarte dzieci bawiły się wszędzie, a rozlaźli mężczyźni bez pracy, ambicji i widocznych źródeł utrzymania włóczyli się po barach albo wystawiali na skrzyżowaniach. Teraz jednak, w samym środku surowej zimy, ulice były ciemne i ciche, rolety w wąskich oknach pospuszczane, drzwi w płaskich frontowych ścianach szeregowców zamknięte na cztery spusty. Vincent nie poruszał się bezszelestnie jak cień, on stał się cieniem: kiedy przepływał z zaułka na ulicę, z ulicy na pustą działkę i z pustej działki na podwórko, mącił ciszę i bezruch nie bardziej, niż mógłby to uczynić powiew mrocznego wiatru.

Już dwa wieczory wcześniej znalazł siedzibę gangu - wielki, stary dom otoczony pustymi parcelami, oddalony o solidny rzut kamieniem od torów kolejki miejskiej, której potężny nasyp przecinał tę część getta niczym przerośnięty Wielki Mur - w podjętej przez cywilizowanych ludzi daremnej próbie odcięcia barbarzyńców od reszty świata. Vincent usadowił się wygodnie w kępie ściętego mrozem zielska obok wraku samochodu i czekał.

Na tle oświetlonych okien ciemne sylwetki poruszały się jak karykatury czarnych w jarmarcznym pokazie latarni magicznej. W końcu pięcioro z nich wyszło na zewnątrz. Było ciemno, więc nie rozpoznałam, kim są, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Vincent odczekał, aż prawie zniknęli mu z oczu w głębi zaułka przy nasypie kolejowym, po czym ruszył za nimi. Upajałam się tym bezszelestnym tropieniem ich, tym swobodnym przemykaniem w ciemnościach. Vincent widział w nocy niewiele gorzej niż przeciętny człowiek za dnia. Czułam się, jakbym dzieliła umysł i zmysły z silnym i smukłym kotem na łowach. Wygłodniałym kotem.

W grupie były dwie kolorowe dziewczyny. Vincent zatrzymał się, kiedy tamci się zatrzymali, i węsząc, wychwycił silną, zwierzęcą woń byczków. Na Południu niegrzecznie jest już używać tego określenia, ale lepsze nie istnieje: faktem jest, że Murzyn-samiec szybko się podnieca i zapomina o otaczającym go świecie z równą łatwością jak ogier albo pies w obecności suki, która ma cieczkę.

Te dwie dziewczyny też musiały mieć cieczkę. Vincent patrzył, jak kopulują na pogrążonym w mroku nasypie. Trzeci chłopak również patrzył, aż nadeszła jego kolej; czarne, odsłonięte nogi dziewcząt otwierały się i zamykały wokół podrygujących męskich zadów. Całe ciało Vincenta wprost rwało się do natychmiastowego działania, ale kazałam mu odwrócić wzrok i poczekać, aż chłopcy zaspokoją żądze, a dziewczyny - nawołując się i śmiejąc, niewinne i niezakłamanie jak obżarte bezdomne koty - ruszą w stronę domów. Dopiero wtedy spuściłam go ze smyczy.

Czekał na nich na Brighthurst Street, nieopodal zamkniętej fabryki butów. Kosa trafiła pierwszego w brzuch i przeszła na wylot, zahaczając po drodze o kręgosłup. Vincent zostawił ją i rzucił się na drugiego z nożem. Trzeci uciekł.

W czasach, kiedy chodziłam do kina - jeszcze przed drugą wojną światową, zanim film zdegenerował się do poziomu ohydnej i bezmyślnej papki, o jakiej czytam dzisiaj w gazetach - uwielbiałam sceny przedstawiające wystraszonych kolorowych służących. Pamiętam, jak w dzieciństwie widziałam *Narodziny narodu* i śmiałam się do rozpuku na widok kolorowych dzieci przerażonych widokiem człowieka w prześcieradle. Pamiętam również, jak w kinie w Wiedniu (bilety były po pięć fenigów) oglądaliśmy z Niną i Willim stary film z Haroldem Lloydem, niewymagający napisów; wraz z resztą widowni zarykiwaliśmy się ze śmiechu z tępej zgrozy Stepina Fetchita. Pamiętam wreszcie stary film Boba Hope'a, który widziałam w telewizji (zanim ta w latach sześćdziesiątych zwulgaryzowała się do tego stopnia, że całkowicie zarzuciłam jej oglądanie) - to była jakaś farsa o nawiedzonym domu, a ja wprost płakałam ze śmiechu na widok blednącej ze strachu kolorowej asystentki Hope'a. Druga z ofiar Vincenta wyglądała właśnie tak jak ci aktorzy: wielkie, białe, wytrzeszczone oczy, jedna ręka przytknięta do szeroko otwartych ust, kolana razem, stopy rozstawione na boki. Siedziałam w Grumblethorpe i śmiałam się w głos w ciszy pokoju dziecinnego, gdy Vincent za pomocą noża zrobił to, co trzeba było zrobić.

Trzeci chłopak uciekł. Vincent chciał za nim gonić, cały się do tego rwał, jak pies szarpiący się na smyczy, ale go powstrzymałam. Murzyn lepiej znał tutejsze uliczki, a Vincent był najskuteczniejszy, kiedy mógł się ukryć i działać z zaskoczenia. Zdawałam sobie sprawę, jak ryzykowną prowadzę grę, i nie zamierzałam zmarnować jego potencjału po tym, ile w niego zainwestowałam. Zanim jednak ściągnęłam go z powrotem, pozwoliłam mu poigrać po swojemu z tą dwójką, którą dopadł: jego małe gierki nie trwały długo, a służyły zadowoleniu czegoś, co w dalszym ciągu czaiło się w najciemniejszych zakamarkach dżungli jego umysłu.

Kiedy zdjął kurtkę drugiemu z chłopców, z kieszeni wypadło zdjęcie. Vincent był zbyt zajęty, żeby zwrócić na nie uwagę, ale kazałam mu odłożyć kosę i podnieść fotografię. Przedstawiała pana Thorne'a i mnie.

W pokoju dzieciennym w Grumblethorpe usiadłam na łóżku wyprężona jak struna.

Vincent natychmiast wrócił do domu. Wysłałam mu na spotkanie do kuchni i wzięłam zdjęcie z jego brudnych, poplamionych palców. Było niewyraźne, ktoś powiększył wykadrowany fragment innej, większej fotografii, ale nie można było mieć cienia wątpliwości, że przedstawia mnie z panem Thorne'em. Od razu się zorientowałam, że to sprawka pana Hodgesa. Przez lata patrzyłam, jak ten żałosny człowieczek robi swoim żalonym aparacikiem zdjęcia swojej żalosnej rodzinki; zawsze miałam wrażenie, że udaje mi się skutecznie unikać znalezienia się w kadrze, ale najwyraźniej się pomyliłam.

Siedziałam przy świetle świecy w zimnej kamiennie-ceglanej kuchni Grumblethorpe i kręciłam głową. Jak młody Murzyn wszedł w posiadanie tej fotografii? Ktoś najwyraźniej mnie szukał - ale kto? Policja? Dlaczego miałyby podejrzewać, że jestem w Filadelfii? Nina?

Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Kazałam Vincentowi wykąpać się w kupionej przez Anne ogromnej ocynkowanej balii. Anne przyniosła również grzejnik naftowy, ale noc była zimna i białe ciało Vincenta parowało w kąpeli. Pomogłam mu umyć włosy. We troje musieliśmy przedstawiać niezwykle widok: dwie dostojne ciotki kąpiące eleganckiego młodziana, który właśnie wrócił z wojny; do tego kłębiąca się w chłodnym powietrzu para i nasze mierzące po dziesięć stóp wzrostu cienie padające w blasku świec na grubo ciosane ściany.

- Vincencie, mój drogi - wyszeptalam, wcierając szampon w jego długie włosy. - Musimy się dowiedzieć, skąd się wzięło to zdjęcie. Nie dzisiaj, mój

drogi, dzisiaj na ulicach zrobi się ruch, gdy ktoś odkryje twoje dzieło... Ale niebawem. A kiedy już odzujesz człowieka, który dał temu kolorowemu chłopcu moje zdjęcie, sprowadzisz go tutaj... do mnie.

24.

Waszyngton

27 grudnia 1980, sobota

Saul Laski leżał w metalowym grobowcu i rozmyślał o życiu. Dygotał z zimna w klimatyzowanym powietrzu, kulił się, podciągając kolana do piersi, i przywoływał wspomnienia wiosennego poranka w gospodarstwie wuja. Myślał o złotym świetle muskającym grube konary wierzb nad strumieniem i o splechotku białych stokrotek na tyłach przypominającej kamienną twierdzę stodoły stryja.

Był obolały. Lewy bark i cała ręka rwały go bezustannie, w głowie pulsowało mu uporczywe łomotanie, palce mrowiły bólem, a wewnętrzna strona prawego przedramienia nie doszła jeszcze do siebie po tych wszystkich zastrzykach, które mu zaaplikowano. Saul cieszył się z tego bólu. Napawał się nim. Ból był jedynym wiarygodnym punktem orientacyjnym, latarnią morską w gęstej mgle dezorientacji.

Miał wrażenie, że wypadł poza strumień czasu. Chwilami nawet zdawał sobie z tego sprawę, ale nic nie mógł na to poradzić. Pamiętał wszystkie szczegóły, przynajmniej do momentu wybuchu w gmachu Kancelarii Senatu, ale nie potrafił uporządkować ich chronologicznie. W jednej chwili leżał na wąskiej pryczy w zimnej stalowej celi (prycza wbudowana w ścianę, kratka klimatyzatora, stalowa ławka i sedes, metalowe drzwi wsuwające się w ścianę ponad nadprożem), a w następnej usiłował zagrzebać się w skąpej słomie, czuł podmuchy zimnego polskiego powietrza wpadającego przez rozbite okno i czekał, kiedy przyjdzie po niego Oberst z niemieckimi strażnikami.

Ból był latarnią. Nieliczne chwile klarowności umysłu w pierwszych dniach po eksplozji wykuwały się w bólu. Intensywne pulsowanie nastawianego po złamaniu obojczyka; zielone fartuchy chirurgiczne w antyseptycznym środowisku, które mogło być dowolną salą operacyjną i dowolnym pokojem szpitalnym, dopóki nie nastąpił zimny szok białych korytarzy, metalowej celi, mężczyzn w garniturach z kolorowymi identyfikatorami przy kieszeniach i klapach marynarek; ból zastrzyku, po którym następował sen i oderwanie od rzeczywistości.

Pierwsze przesłuchania też przyniosły ból. Dwaj mężczyźni - jeden niski i łysy, drugi blondyn, ostrzyżony na jeża. Łysy grzmotnął Saula metalową

pałką w bark. Saul wrzasnął i rozplakał się z bólu, ale zarazem się ucieszył. Ból rozpraszał mgły i opary.

- Wiesz, kim jestem? - spytał łysy.
- Nie.
- Co ci powiedział twój siostrzeniec?
- Nic.
- Komu jeszcze powiedziałeś o Williamie Bordenie i pozostałych?
- Nikomu.

Później (albo wcześniej, nie był pewien), kiedy ból zniknął, a jego samego ogarnęło przyjemne otępienie po zastrzykach:

- Wiesz, kim jestem?
- Charles C. Colben, asystent wicedyrektora FBI do zadań specjalnych.
- Kto ci to powiedział?
- Aaron.
- Co jeszcze ci powiedział?

Saul przytoczył całą rozmowę najlepiej, jak umiał.

- Kto jeszcze wie o Willim Bordenie?
- Szeryf. Dziewczyna.

Opowiedział o Gentrym i Natalie.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Saul powiedział mu wszystko, co wiedział.

Mgła i sny przychodziły i odpływały. Kiedy Saul otwierał oczy, stalowy pokój zazwyczaj był na swoim miejscu. Pryczę wbudowano w ścianę. Sedes był zbyt mały i nie miał dźwigni spłuczki, za to spłukiwał się samoczynnie, w nieregularnych odstępach. Posiłki na stalowych tacach pojawiały się, kiedy Saul spał. Jadł na metalowej ławie i zostawiał pustą tacę, która zniknęła, zanim przebudził się z kolejnej drzemki. Czasem przez metalowe drzwi wchodził mężczyźni w białych uniformach, żeby zrobić mu zastrzyk albo zaprowadzić go białymi korytarzami do małych pokojów i tam posadzić twarzą do lustrzanej ściany. Colben - albo inny mężczyzna w szarym garniturze - przychodził i zadawał mu pytania. Kiedy odmawiał odpowiedzi, dostawał kolejne zastrzyki i przychodziły natrętne sny, w których rozpaczliwie chciał się z tymi ludźmi zaprzyjaźnić i powiedzieć im wszystko, co chcieli usłyszeć. Kilka razy czuł, jak ktoś - Colben? - wślizguje mu się do mózgu, budząc czterdziestoletnie wspomnienia gwałtu na umyśle. To jednak zdarzało się rzadko. Zastrzyki były znacznie częstsze.

Ślizgał się w czasie to w przód, to w tył - był u stryja Mosze i nawoływał

Stefę; biegł za ojcem w łódzkim getcie; przysypywał wapnem zwłoki leżące w Dole; sącząc lemoniadę, gawędził z Gentrym i Natalie; bawił się z dziesięcioletnimi Aaronem i Izaakiem na farmie Davida i Rebeki pod Tel Awiwem.

W końcu wywołane chemicznymi specyfikami nieciągłości osłabły, czas się połatał i Saul leżał skulony na gołym materacu (nie miał koca, a wpadające przez metalową kratkę powietrze było lodowate) i rozmyślał o sobie i swoich kłamstwach. Okłamywał się od lat. Poszukiwania Obersta były kłamstwem - wymówką od działania. Profesja psychiatry była kłamstwem, sposobem na odsunięcie obsesji na bezpieczny akademicki dystans. Służba medyczna w trzech izraelskich wojnach też była kłamstwem, pozwoliła mu uniknąć bezpośredniego zaangażowania.

Leżąc w szarej strefie pomiędzy wywołaną lekami nirwaną i bolesną rzeczywistością, dostrzegł prawdę swoich wieloletnich kłamstw. Kłamał, kiedy tłumaczył sobie powody, dla których opowiedział szeryfowi z Charleston i pannie Preston o Ninie i Willim. W głębi ducha miał nadzieję, że to oni coś zrobią, zdejmując w ten sposób brzemień zemsty z jego barków. Poprosił Aarona o odszukanie Francisa Harringtona nie dlatego, że miał za dużo spraw na głowie, tylko dlatego, że w gruncie rzeczy chciał, żeby Mossad go wyręczył. Wiedział już teraz, że kiedy dwadzieścia lat temu powiedział Rebecce o Oberście, kierował się tajemną, na wpół wypartą nadzieją, że ona powie o tym Davidowi, a David załatwi sprawę po swojemu, jak na amerykańskiego Żyda przystało...

Wzdrygnął się, podkulił nogi i szeroko otwartymi oczami patrzył na kłamstwa swojego życia.

Nie licząc pewnych rzadkich chwil - jak wtedy w obozie w Chełmnie, kiedy podjął decyzję, że woli zabić niż dać się wyprowadzić w noc - całe jego życie było jednym wielkim peanem ku czci niedziałania i kompromisu. A przedstawiciele wszelkiej władzy jakby umieli to wyczuć. Rozumiał teraz, że przydział do obsługi Dołu w Chełmnie, a następnie do sortowni w Sobiborze był czymś więcej niż przypadkiem i łutem szczęścia: łajdacy mający nad nim władzę instynktownie czuli, że Saul Laski jest urodzonym kapo, kolaborantem, człowiekiem, którego można bezpiecznie wykorzystać. Nie zbuntuje się, nie ucieknie do przemocy, sam nie odda życia ani nie poświęci życia innych, nawet gdyby w grę wchodziła jego godność osobista. Nawet jego ucieczka z Sobiboru (a także wcześniejsza ucieczka z rezerwatu myśliwskiego Obersta) była w głównej mierze dziełem przypadku - dał się po

prostu porwać i ponieść fali wydarzeń.

Stoczył się z łóżka i na chwiejnych nogach stanął na środku swojej małej metalowej celi. Miał na sobie szary kombinezon. Zabrali mu okulary, więc metalowe powierzchnie odległe zaledwie o kilka stóp wydawały mu się nieostre, nawet lekko niematerialne. Lewą rękę do niedawna nosił na temblaku, teraz jednak temblak zniknął i ręka zwisała mu swobodnie. Poruszył nią ostrożnie... i ból przeszył go aż po bark i szyję - palący, rozdzierający, pustoszący mózg ból. Poruszył nią drugi raz. I trzeci.

Podszedł chwiejnie do ławki i usiadł ciężko.

Gentry, Natalie, Aaron z rodziną - im wszystkim groziło niebezpieczeństwo. Z czyjej strony?

Spuścił głowę, ogarnęła go fala mdłości. Jak mógł być tak głupi, żeby zakładać, że Willi i jego dwie znajome starszki są jedynymi istotami obdarzonymi tą potworną mocą? Ilu ludzi podzielało makabryczny talent i uzależnienie Obersta?

Parsknął chrapliwym śmiechem. Zwerbował Gentry'ego, Natalie i Aarona, zanim pomyślał o planie rozprawienia się choćby z samym Oberstem. Mętnie wyobrażał sobie zastawienie jakiejś pułapki - Oberst zaskoczony, przyjaciele Saula bezpieczni w swojej anonimowości... I co dalej? Odgłos strzałów z używanej przez Mossad małej beretty kaliber .22?

Oparł się o stalową ścianę, przytknął policzek do zimnego metalu. Ilu ludzi przypłaciło życiem jego tchórzostwo i bierność? Stefa. Josef. Rodzice. Teraz prawie na pewno także szeryf i Natalie. Francis Harrington.

Jęknął cicho na wspomnienie gardłowego „*Auf Wiedersehen*” w biurze Traska i następującej tuż po nim eksplozji. Chwilę wcześniej Oberst w jakiś sposób pozwolił mu spojrzeć na świat oczami Francisca i Saul wyczuł obecność przerażonej świadomości chłopaka, uwięzionej we własnym ciele i czekającej na nieuniknioną śmierć. To on wysłał Francisca do Kalifornii. Razem z jego kolegami - Selbym White'em i Dennisem Lelandem. Kolejne dwie ofiary złożone na ołtarzu bojaźliwości Saula Laskiego.

Nie wiedział, dlaczego tym razem dopuszczają do osłabnięcia wpływu medykamentów. Może już z nim skończyli i teraz tylko wyprowadzą go na egzekucję? Było mu to obojętne. Gniew przepływał przez jego udreżone ciało jak prąd elektryczny - tym razem zadziała, zrobi coś, zanim nieunikniona i wielce spóźniona kula przeszyje mu czaszkę. Skrzywdzi kogoś. Zemści się. W tej chwili chętnie oddałby życie za możliwość ostrzeżenia Aarona lub pozostałej dwójki - ale jeszcze chętniej oddałby życie

ich wszystkich za szansę zaatakowania Obersta albo innego z tych aroganckich łotrów rządzących światem i drwiących z bólu ludzkich istot, które wykorzystują jak pionki w szachach.

Drzwi otworzyły się z łoskotem. Do celi weszło trzech wysokich ludzi w białych kombinezonach. Saul wstał, chwiejnie zrobił krok w ich stronę, zamachnął się pięścią na stojącego najbliżej.

- Ejże! - Olbrzym roześmiał się, bez wysiłku łapiąc go za dłoń i wykręcając mu rękę za plecy. - Żydek chce się zabawić!

Saul szarpał się w uchwycie, ale olbrzym trzymał go z dziecinną łatwością. Saul starał się nie płakać, gdy drugi z przybyszów podwinął mu rękaw kombinezonu.

- To na pożegnanie - powiedział trzeci i wbił igłę strzykawki w chude, posiniaczone ramię Saula. - Szczęśliwej podróży, staruszku.

Odczekali trzydzieści sekund, po czym puścili go i wyszli. Zatoczył się, zaciskając pięści. Stracił przytomność, zanim drzwi się przed nim zamknęły.

Śniło mu się, że się obudził i jest dokądś prowadzony. Usłyszał grzmot silników odrzutowych, poczuł zastarzałą woń dymu z cygar. Znów gdzieś szedł, silne dłonie zaciskały mu się na rękach powyżej łokci. Oślepiające światła. Kiedy zamykał oczy, słyszał *szczęk-szczęk-szczęk* metalowych kół na szynach: pociąg wioził ich wszystkich do Chełmna.

Ocknął się na wygodnym fotelu jakiegoś pojazdu. Słyszał regularne, miarowe łomotanie, w którym dopiero po dłuższym czasie rozpoznał dźwięk silnika helikoptera. Miał zamknięte oczy. Pod głową miał poduszkę, twarzą dotykał szklanej lub pleksiglasowej szyby. Czuł, że jest ubrany i znów ma okulary. Gdzieś niedaleko rozbrzmiewały ściszone męskie głosy; chwilę później zarzęziło chrypliwie radio. Saul z zamkniętymi oczami próbował zebrać myśli i miał nadzieję, że porywacze nie zorientują się, że wpływ narkotyku słabnie.

- Wiemy, że nie śpisz - powiedział ktoś bardzo blisko. Głos brzmiał dziwnie znajomo.

Saul otworzył oczy, poruszył obolałą szyją, poprawił okulary. Była noc. Razem z trzema innymi mężczyznami zajmował siedzenia pasażerskie luksusowego śmigłowca. Piloci siedzieli z przodu, skąpani w czerwonej poświacie przyrządów. Za oknem z prawej strony nic nie było widać. Na fotelu po lewej siedział agent specjalny Richard Haines: na kolanach trzymał aktówkę i przy świetle zainstalowanej nad głową małej lampki

przeglądał jakieś papiery. Saul odchrząknął, oblizał spierzchnięte wargi, ale zanim zdążył się odezwać, Haines go uprzedził:

- Zaraz lądujemy. Przygotuj się.

Miał niezagojony siniak na podbródku.

Saulowi przyszło do głowy kilka adekwatnych pytań, ale odrzucił je wszystkie. Spojrzał w dół i dopiero teraz uświadomił sobie, że przegub jego lewej dłoni jest przykuty kajdankami do przegubu prawej dłoni Hainesa.

- Która godzina? - wychrypiał z wysiłkiem.

- Koło dziesiątej.

Saul spojrział w mrok; należało się domyślać, że chodzi o dziesiątą wieczorem.

- Dzień tygodnia?

- Sobota - odparł z lekkim uśmiechem Haines.

- Który dziś mamy?

Agent FBI zawahał się, wzruszył lekko ramionami.

- Dwudziesty siódmy grudnia.

Saul poczuł nagłe zawroty głowy i musiał zamknąć oczy. Stracił tydzień, choć miał wrażenie, że znacznie więcej. Lewa ręka i bark rwały go wściekle. Znowu spojrział w dół i zorientował się, że ma na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Cudze. Zdjął okulary. Szklka były odpowiednie, ale oprawka zupełnie nowa. Powiódł wzrokiem po towarzyszących mu pięciu mężczyznach: rozpoznał tylko Hainesa.

- Pracujesz dla Colbena - domyślił się, a kiedy agent nie zareagował, dodał: - W Charleston miałeś przypilnować, żeby miejscowa policja nie odkryła, co się naprawdę wydarzyło. To ty zabrałeś album Niny Drayton z kostnicy.

- Zapnij pas - powiedział tylko Haines. - Lądujemy.

Był to jeden z najpiękniejszych widoków w życiu Saula. W pierwszej chwili pomyślał, że ma przed sobą pełnomorski statek wycieczkowy - rozjarzony tysiącem świateł, biały na tle nocy i zostawiający za sobą fosforyzujący zielono kilwater, kiedy jednak helikopter obniżył lot, kierując się na podświetlony pomarańczowy krzyż na pokładzie rufowym, Saul uświadomił sobie, że widzi prywatną jednostkę, smukły biały jacht, długi jak boisko futbolowe. Członkowie załogi wyposażeni w pałki świetlne pokierowali ich do lądowania i helikopter usiadł delikatnie w powodzi światła. Nim wirniki zaczęły zwalniać, czwórka pasażerów wysiadła i zaczęła

oddalać się od maszyny.

Dołączyło do nich kilku ludzi w białych uniformach. Kiedy oddalili się na tyle, żeby bezpiecznie się wyprostować, Haines zdjął Saulowi kajdanki i schował je do kieszeni płaszcza. Saul roztarł nadgarstek tuż poniżej wytatuowanych na nim sinych cyfr.

- Tędy.

Weszli po schodach i szerokimi chodnikami ruszyli w stronę dziobu. Mimo że statek tkwił nieruchomo, Saul miał kłopoty z zachowaniem równowagi; dwa razy Haines musiał go podtrzymać. Saul wciągał głęboko w płuca ciepłe, wilgotne, tropikalne powietrze przesycone intensywną wonią odległej roślinności i przez otwarte drzwi zaglądał do eleganckich, luksusowych kabin i barów. Wnętrza były wyłożone tekowym drewnem i dywanami, urządzone przez projektantów, ociekające mosiądzem lub złotem. To był najprawdziwszy pływający hotel pięciogwiazdkowy. Kiedy przechodzili obok mostka, mignęli mu pełniący wachtę mężczyźni w mundurach, widoczni w zielonej poświacie przyrządów.

Winda wjechali do prywatnej kabiny z balkonem, który należałoby chyba nazwać odkrytym mostkiem. Siedział tam mężczyzna w drogiej białej marynarce, z koktajlem w ręce. Saul spojrzał dalej, za jego plecy, gdzie majaczyła oddzielona milą ciemnej wody wysepka. Palmy i zarośla tworzące tropikalny gąszcz były obwieszane lampionami, chodniki wytyczone białymi latarniami, długa plaża pławiła się w blasku dwudziestu pochodni, a ponad tym wszystkim - w świetle reflektorów, które Saulowi kojarzyły się z filmami z norymberskich wieców z lat trzydziestych - drewniany zamek kryty czerwoną dachówką jakby się unosił w powietrzu ponad białym skalistym urwiskiem.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał mężczyzna w białej marynarce. Siedział na płóciennym fotelu.

Saul zmrużył oczy.

- Występujemy w reklamie karty kredytowej? - zapytał.

Haines kopnął go od tyłu pod kolana. Saul osunął się na pokład.

- Zostawcie nas, Richardzie.

Haines i pozostali wyszli. Saul z trudem wstał.

- Czy wiesz, kim jestem?

- C. Arnold Barent - odparł Saul. Przy upadku ugryzł się w policzek. Smak krwi zmieszał się z aromatem tropikalnej roślinności. - Podobno nikt nie wie, co oznacza to „C”.

- Christian - odparł Barent. - Chrześcijanin. Mój ojciec był bardzo pobożnym człowiekiem. A przy tym także ironistą. - Wskazał stojący nieopodal leżak. - Proszę usiąść, doktorze Laski.

- Nie. - Saul podszedł do relingu balkonu, mostka czy jak tam zwą to cholerstwo. Trzydzieści stóp niżej woda pieniała się w idących od dziobu białych odkosach. Ścisnął mocno poręcz i odwrócił się do Barenta. - Czy dużo pan ryzykuje, zostając ze mną sam na sam?

- Nie, doktorze Laski. Ja nigdy nie ryzykuję.

Saul ruchem głowy wskazał pławiący się w świetle zamek.

- Należy do pana?

- Do Fundacji. - Barent pociągnął długi łyk koktajlu. - Wie pan, dlaczego się pan tutaj znalazł, doktorze?

Saul poprawił okulary.

- Panie Barent, ja nawet nie wiem, gdzie jest „tutaj”. Ani dlaczego jeszcze żyję.

Barent pokiwał głową.

- Druga wątpliwość jest nawet bardziej adekwatna - przyznał. - Domyślam się, że pański organizm oczyścił się już już z... hmm... medykamentów w wystarczającym stopniu, żeby mógł pan wyciągnąć samodzielnie wnioski z tego faktu.

Saul przygryzł wargę i nagle uświadomił sobie, jaki jest osłabiony: wygłodniały, mocno odwodniony... Całkowite oczyszczenie organizmu potrwa zapewne tygodnie.

- Przypuszczam, że mam pana doprowadzić do Obersta.

- Do Obersta. - Barent parsknął śmiechem. - Jakie to osobliwe... Ale chyba nie powinienem się dziwić, że właśnie tak pan o nim myśli, biorąc pod uwagę łączącą was dość... niecodzienną zażyłość. Proszę mi powiedzieć, doktorze Laski, czy obozy zagłady naprawdę były aż takie złe, jak przedstawia się je w mediach? Zawsze miałem wrażenie, że próbuje się nieco ubarwiać te relacje... Nieumyślnie, być może. Może ta przesada ma służyć odkupieniu podświadomych win? Jak pan sądzi?

Saul patrzył na Barenta szeroko otwartymi oczami. Patrzył na tę nieskazitelną opaleniznę, sportową jedwabną marynarkę, mięciutkie mokasyny od Gucciego, pierścień z ametystem na małym palcu. Milczał.

- Mniejsza z tym - powiedział Barent. - Oczywiście ma pan rację: żyje pan dlatego, że jest posłańcem pana Bordena, z którym bardzo chętnie byśmy porozmawiali.

- Nie jestem jego posłańcem - odparł z przygnębieniem Saul.

Barent skinął wypięlgnowaną dłonią.

- A zatem jego wiadomością. Niewielka różnica.

Rozległa się seria dzwonek, jacht przyspieszył i zaczął skręcać w prawo, jakby zamierzał okrążyć wyspę. Saul zobaczył oświetlone lampami rtęciowymi długie nabrzeże.

- Chcielibyśmy, żeby przekazał pan wiadomość panu Bordenowi - ciągnął Barent.

- Nie będę miał ku temu okazji, dopóki szprycujecie mnie jakimś świństwem i trzymacie w metalowej celi - zauważył Saul, któremu pierwszy raz od czasu eksplozji zamajaczył płomyczek nadziei.

- Istotnie - zgodził się Barent. - Dopilnujemy, żeby dostał pan najlepszą możliwą szansę ponownego spotkania się z nim, w miejscu... ehm... w miejscu, które on sam wybierze.

- Wiecie, gdzie jest?

- Wiemy, gdzie... postanowił działać.

- Zabiję go, jeśli go spotkam - ostrzegł Saul.

Barent roześmiał się cicho. Miał idealne zęby.

- To bardzo mało prawdopodobne, doktorze Laski. Co nie zmienia faktu, że bylibyśmy zobowiązani, gdyby zechciał pan przekazać mu naszą wiadomość.

Saul zaciągnął się głęboko morskim powietrzem. Nie rozumiał, dlaczego ekipa Barenta miałyby wyręczać się akurat nim w dostarczaniu swoich wiadomości; nie rozumiał, dlaczego chcą mu pozostawić wolną wolę w tej kwestii; a już kompletnie nie pojmował, jaką korzyść przyniesie im oszczędzenie go, gdy odegra przeznaczoną mu rolę. Kręciło mu się w głowie, jakby był lekko wstawiony.

- Jak brzmi ta wiadomość? - zapytał.

- Powie pan Williemu Bordenowi, że zostanie powitany z wielką radością, jeśli zdecyduje się zająć wolne miejsce w prezydium Klubu.

- To wszystko?

- Tak. Zje pan coś albo czegoś się napije przed wyruszeniem w drogę?

Saul na dłuższą chwilę przymknął powieki. Czuł ruch statku w nogach, biodrach, miednicy.

Zacisnął kurczowo dłonie na relingu i otworzył oczy.

- Jesteście tacy sami jak oni - powiedział do Barenta.

- Jacy oni?

- Biurokraci, komendanci, urzędnicy, którzy zostali komandosami *Einsatzgruppen*, maszyniści kolejowi, przemysłowcy z I.G. Farben i opaśli, dyszący piwem sierżanci siedzący na skraju Dołu ze zwieszonymi grubymi nogami.

Barent zadumał się na moment.

- Rzeczywiście - przyznał w końcu - w ostatecznym rozrachunku chyba wszyscy jesteśmy tacy sami. Richardzie! Bądź tak dobry i zabierz doktora Laskiego do miejsca przeznaczenia.

Śmigłowcem przelecieli na duże lotnisko na wyspie, skąd prywatny odrzutowiec powiózł ich na północny zachód. Za rufą maszyny niebo jaśniało. Saul zdrzemnął się godzinę - był to jego pierwszy naturalny sen od tygodnia - nim zaczęli podejście do lądowania.

Haines obudził go, potrząsając za ramię.

- Obejrzyj to - polecił mu i pokazał zdjęcie.

Saul wytrzeszczył oczy. Aaron, Deborah i ich córki byli mocno związani, ale z całą pewnością żywi. Białe tło uniemożliwiało rozpoznanie miejsca, w którym ich przetrzymywano. Lampa błyskowa utrwaliła szeroko otwarte oczy i przerażone miny dzieci. Haines podsunął mu mały magnetofon kasetowy.

- Wujku... - zabrzmiał głos Aarona. - Rób, co ci mówią, proszę. Nie skrzywdzą nas, jeśli będziesz robił, co każą. Kiedy wypełnisz ich polecenia, uwolnią nas. Proszę, wujku...

- Jeżeli spróbujesz skontaktować się z nimi lub z ambasadą, zabijemy ich - szepnął Haines. Dwaj inni agenci spali. - Jeżeli zrobisz, co ci kazano, nic im się nie stanie. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - przytaknął Saul.

Przytknął twarz do chłodnej plastikowej szyby. Zniżali się nad centrum dużego amerykańskiego miasta. W świetle latarni ulicznych widział domy z cegły i białe wieże biurowców. W tej samej sekundzie uświadomił sobie, że nie ma dla nich - dla nikogo z nich - żadnej nadziei.

25.

Waszyngton

28 grudnia 1980, niedziela

Szeryf Bobby Joe Gentry był wściekły. Ford pinto z wypożyczalni miał automatyczną przekładnię, ale Gentry przestawił dźwignię z drugiego przełożenia na trzecie z takim impetem, jakby prowadził sportowy wóz z sześciobiegową skrzynią ręczną. Gdy tylko zjechał z obwodnicy na drogę międzystanową numer 95, ponaglił oporne pinto do siedemdziesięciu dwóch mil na godzinę, prowokując śledzącego go zielonego chryslera do przyśpieszenia, a marylandzką drogówkę - do zatrzymania go. Położył walizkę na przednim siedzeniu, pogrzebał chwilę w zewnętrznej kieszeni, po czym położył naładowanego rugera na desce rozdzielczej, a walizkę odrzucił na tył. Był wściekły.

Izraelczycy przetrzymali go do świtu - najpierw przesłuchiwali go w tej swojej przeklętej limuzynie, potem w kryjówce gdzieś w okolicy Rockville, na koniec znów w samochodzie. Trzymał się pierwotnej wersji wydarzeń, według której Saul Laski polował na nazistowskiego zbrodniarza wojennego, żeby wyrównać stare rachunki, a on sam, Gentry, usiłował powiązać to jakoś ze sprawą morderstw w Charleston. Izraelczycy nie stosowali przemocy ani nawet - po pierwszych rzuconych przez Cohena uwagach - groźby jej użycia, ale, pracując w parach, usiłowali go zamęczyć prostym powtarzaniem. O ile w ogóle byli Izraelczykami... Gentry czuł, że byli; wierzył, że Jack Cohen jest dokładnie tym, za kogo się podaje; pogodził się z faktem, że rodzina Aarona Eshkola została zamordowana - ale niczego nie był już naprawdę pewien. Wiedział tylko, że ludzie, dla których jest co najwyżej mało ważnym natrętem, prowadzą jakąś niebezpieczną, szeroko zakrojoną grę.

Przyśpieszył do siedemdziesięciu pięciu, zerknął na rugera i zwolnił do miarowych sześćdziesięciu dwóch. Zielony chrysler trzymał się dwa samochody za nim.

Po długiej nocy marzył o tym, żeby wczłogać się do olbrzymiego łóżka w hotelowym pokoju i przespać czas do sylwestra, ale zamiast tego z automatu w holu zadzwonił do domu w Charleston. Na taśmie niczego nie było. Zadzwonił do swojego biura, gdzie Lester poinformował go, że nie ma dla niego żadnych wiadomości, i zapytał, jak urlop. Gentry odparł, że fantastycznie, nic nie robi, tylko zwiedza. Następnie zadzwonił na numer

Natalie w St. Louis. Odebrał mężczyzna. Gentry zapytał, czy może rozmawiać z Natalie.

- Kto mówi, do diabła?! - wychrypiął gniewny głos.

- Szeryf Gentry. A pan to kto?

- Niech cię szlag. Nat opowiadała mi o tobie w zeszłym tygodniu: typowy policyjny dupek z Południa. Czego od niej chcesz, pierdolcu?

- Chcę z nią porozmawiać. Zastałem ją?

- Nie, kurna, nie zastałeś. A ja nie mam czasu na pogawędki z wiejskimi gliniarzami.

- Frederick - powiedział Gentry.

- Co?

- Pan Frederick. Natalie wspominała o panu.

- Do rzeczy, gościu.

- Przez dwa lata po powrocie z Wietnamu nie nosił pan krawata. Uważa pan, że matematyka to rzecz najbliższa odwiecznej prawdzie. Codziennie, oprócz sobót, od ósmej wieczór do trzeciej rano pracuje pan w centrum informatycznym.

W słuchawce zapadła cisza.

- Gdzie jest Natalie? - naciskał Gentry. - To sprawa policyjna, chodzi o morderstwo jej ojca. Może jej grozić niebezpieczeństwo.

- Jak to, do diabła, niebezpiee...

- Gdzie ona jest?! - warknął Gentry.

- W Germantown - odparł gniewny głos. - W Pensylwanii.

- Dzwoniła stamtąd do pana?

- Tak, w piątek wieczorem. Nie było mnie w domu, ale Stan przekazał mi wiadomość: powiedziała, że zatrzymała się w hotelu Chelton Arms. Dzwoniłem tam już sześć razy, ale nie mogę jej złapać. A ona nie oddzwania.

- Proszę mi podać ten numer.

Gentry zapisał telefon w notesiku, z którym nigdy się nie rozstawał.

- Nat ma kłopoty? Co się właściwie dzieje?

- Panie Noble, panna Preston szuka ludzi odpowiedzialnych za zamordowanie jej ojca. Ja nie chcę, żeby ich znalazła ani żeby oni znaleźli ją. Kiedy wróci do St. Louis, proszę dopilnować dwóch rzeczy: a) żeby drugi raz nigdzie nie wyjechała, oraz b) żeby przez następne dwa tygodnie zawsze ktoś przy niej był. Czy to jasne?

- Taaa.

Słyszając złość w głosie Fredericka, Gentry pomyślał, że nie chciałby być

tym, na kim ten gniew się skrupi.

Miał ochotę położyć się, zdrzemnąć i wieczorem wrócić do poszukiwań ze świeżym zapasem sił, ale zamiast tego zadzwonił do Cheltenham Arms, gdzie zostawił wiadomość dla nieobecnej panny Preston, wypożyczył samochód (co w niedzielny poranek wcale nie było takie łatwe), zapłacił rachunek, spakował się i ruszył na północ.

Przez czterdzieści mil zielony chrysler jechał jego śladem, oddzielony od niego dwoma innymi samochodami. Zaraz za Baltimore Gentry zjechał na Snowden River Parkway, przejechał nią milę do autostrady nr 1 i skręcił do pierwszej z brzegu restauracyjki.

Chrysler zjechał na drugą stronę drogi i zatrzymał się na końcu ogromnego parkingu. Gentry zamówił kawę i pączka i zagadnął przechodzącego z tacą brudnych naczyń pomywacza.

- Nie chciałbyś zarobić dwóch dyszek, synu?

Chłopak spojrzał na niego podejrzliwie, mrużąc oczy.

- Stoi tam samochód, o którym chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć - ciągnął Gentry, wskazując chryslera. - Gdyby zdarzyło ci się przespacerować w tamtą stronę, interesuje mnie jego numer rejestracyjny i ewentualnie jakieś ciekawe szczegóły, które wpadną ci w oko.

Chłopak wrócił, zanim Gentry zdążył wypić kawę. Na jednym tchu zdał raport i na zakończenie dodał:

- Rety, chyba mnie nawet nie zauważyli. To znaczy, poszedłem wyrzucić śmieci do kontenera. Zawsze to robię koło południa, Nick mi każe. Co to w ogóle za goście?

Gentry zapłacił chłopakowi, poszedł do toalety i z automatu na tyłach lokalu zadzwonił do biura Tunelu Portowego w Baltimore. W niedzielę rano nikogo w nim nie zastał, ale z odsłuchanej wiadomości wynotował numer telefonu awaryjnego. Odebrała kobieta o znużonym głosie.

- Kurde, nie powinienem do was dzwonić! - wypalił Gentry. - Zabiliby mnie, jakby wiedzieli! Nick, Louis i Delbert właśnie wyjechali. Chcą rozpocząć rewolucję od wysadzenia w powietrze Tunelu Portowego!

Znużenie w głosie kobiety ulotniło się bez śladu, gdy zapytała go o nazwisko. W tle dało się słyszeć piknięcie uruchamianego magnetofonu.

- Nie ma czasu, nie ma czasu! - odparł z udawaną ekscytacją. - Delbert ma giwery, a Louis trzydzieści sześć lasek dynamitu, które ukradł z budowy! Trzymają je w schowku w bagażniku. Nick mówi, że rewolucja zaczyna się dzisiaj! Załatwił im fałszywe dokumenty i w ogóle!

Kobieta wychrypiała jakieś pytanie, ale Gentry nie dał jej dojść do głosu:

- Muszę uciekać. Zabiją mnie, jak się dowiedzą, że ich wsypałem. Jadą wozem Delberta, zielony leBaron, rocznik siedemdziesiąty szósty. Tablice z Marylandu, de be siedem dwa sześć dziewięć. Delbert prowadzi, jest w niebieskim garniturze. Ma wąsy. Oni wszyscy mają spluwy, Boże! Chcą wysadzić samochód w powietrze!

Przerwał połączenie, wziął kawę na wynos, zapłacił i nieśpiesznym krokiem wrócił do swojego pinto.

Od tunelu dzieliło go dosłownie parę mil, a że wcale mu się tam nie śpieszyło, podjechał najpierw na kampus University of Maryland, przeprowadził pinto krętą drogą przez cmentarz Loudon Park, zjechał na wybrzeże. Ze względu na skąpy niedzielny ruch chrysler musiał zachowywać większy dystans, ale kierowca był naprawdę niezły: ani nie gubił wozu Gentry'ego, ani nie rzucał się zbyt w oczy.

Kierując się drogowskazami, Gentry wjechał na drogę prowadzącą do tunelu, opłacił przejazd i zagłębiając się w oświetlony tunel, obserwował rozwój wydarzeń w lusterku wstecznym. Chrysler nie dojechał nawet do bramki: pięćdziesiąt metrów wcześniej trzy radiowozy, nieoznakowana czarna furgonetka i niebieskie kombi zablokowały mu drogę. Dalsze cztery radiowozy zatrzymały ruch za ich plecami. Gentry'emu mignęli policjanci wychylający się zza samochodów z pistoletami i strzelbami w rękach, zobaczył jeszcze, jak trzech pasażerowie chryslera wymachują rękami przez otwarte okna - a potem skupił się na jak najszybszym pokonaniu tunelu. Jeżeli to FBI go ścigało, wykaraskają się w parę minut. Ale jeśli to Izraelczycy, w dodatku uzbrojeni... to niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Zaraz za tunelem zjechał z głównej drogi, na parę minut zabłądził w pobliżu centrum, namierzył się na uniwersytet Johnsa Hopkinsa i autostradą nr 1 wyjechał z miasta. Ruch był nieduży. Kilka mil za miastem na widok zjazdu do Germantown uśmiechnął się pod nosem. Ile mogło być takich Germantownów w Stanach? Oby Natalie wybrała niewłaściwe.

Wpół do jedenastej dotarł na południowo-zachodnie krańce Filadelfii, a pół godziny później wylądował w Germantown. Chrysler przepadł bez śladu, a jeśli inny wóz przejął jego rolę, to zrobił to zbyt płynnie, żeby Gentry umiał go wypatrzeć. Chelton Arms wyglądał tak, jakby pamiętał lepsze czasy przy Germantown Avenue, a zarazem nie miał szans doczekać ich powtórnego przyścia. Gentry zaparkował pinto pół przecznicy dalej, schował rugera do

kieszeni marynarki i przespacerował się pod hotel. Po drodze naliczył pięciu włóczęgów (trzech czarnych i dwóch białych) kulących się w bramach.

Panna Preston nie odebrała telefonu, gdy zadzwonił do niej z recepcji. Recepcjonistą był niski, gorliwy biały człowieczek, który składał się głównie z nosa i zaczesywał ostatnie trzy pasemka włosów znad lewego ucha nad prawe. Zaczekał z dezaprobatą i pokręcił głową, kiedy Gentry poprosił o klucz uniwersalny. Gentry mignął mu odznaką. Recepcjonista znowu zamokał.

- Z Charleston?! Nie, przyjacielu, będziesz się musiał bardziej postarać. Odznaka za dychę nie wystarczy. Policjant z Georgii nie ma tu żadnej władzy.

Gentry z westchnieniem pokiwał głową, rozejrzał się po pustym holu... i obróciwszy się w miejscu, chwycił recepcjonistę za wytłuszczony krawat cztery cale poniżej węzła. Szarpnął tylko raz, ale to wystarczyło, żeby przyciągnąć nos i podbródek urzędnika na odległość ośmiu cali od blatu.

- Posłuchaj no, przyjacielu - wycedził. - Jestem tu w roli łącznika kapitana Donalda Romano, szefa detektywów wydziału zabójstw z posterunku przy Franklin Street. Ta kobieta może być w posiadaniu informacji prowadzących do zatrzymania człowieka, który z zimną krwią zamordował sześć osób. Nie spałem dwie doby, żeby jak najszybciej tu dotrzeć. Powiedz mi teraz, czy mam zadzwonić do kapitana Romano dopiero po tym, jak dla zabawy rozprasuję ci gębę o blat, czy jednak załatwimy to po dobroci?

Recepcjonista sięgnął na oślep do tyłu i podał szeryfowi klucz. Gentry puścił nieszczęśnika, który podskoczył jak diabełek na sprężynce, masując sobie grdykę i ostrożnie przełykając ślinę.

Szeryf zrobił trzy kroki w stronę wind, odwrócił się w miejscu, dwoma długimi krokami wrócił do kontuaru i jeszcze raz złapał recepcjonistę za krawat, zanim czerwony na twarzy człowieczek zdążył się cofnąć. Przyciągnął go i uśmiechnął się do niego.

- Jeszcze jedno, synu: hrabstwo Charleston nie leży w Georgii, tylko w Karolinie Południowej. Zapamiętaj to sobie. Będzie sprawdzian.

W pokoju Natalie nie było ciała. Nie było plam krwi, jeśli nie liczyć śladów rozgniecionych pluskiew pod sufitem. Nie było również listów z żądaniem okupu. Jej walizka leżała otwarta na rozkładanej półce, schludnie spakowana; tylko para butów na obcasie stała na podłodze. Sukienka, którą Natalie miała na sobie na lotnisku w Charleston dwa dni wcześniej, wisiała w

otwartej szafie. W łazience nie było żadnych wypakowanych przyborów toaletowych. Prysznic był suchy, chociaż ktoś zdążył rozpakować kostkę mydła i jej użyć. Zniknęła torba fotograficzna i aparaty. Łóżko albo zostało już posłane, albo w nocy nikt w nim nie spał - domyślając się, jaki jest poziom usług w Cheltenham Arms, Gentry zakładał, że zachodzi ta druga okoliczność.

Usiadł na brzegu łóżka i przetarł twarz dłońmi. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Jedyнным sensownym ruchem wydawało się wyjście na ulicę Germantown w nadziei na przypadkowe spotkanie, wydzwanianie co godzinę do hotelu i modlenie się, żeby recepcjonista ani dyrektor nie zatelefonował na policję. No cóż, spacer w rześkim powietrzu na pewno dobrze mu zrobi.

Zdjął marynarkę, wyciągnął się na łóżku, położył sobie rugera pod ręką i w dwie minuty zasnął.

Obudził się w ciemnym pokoju, dezorientowany i dręczony przecuciem, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Jego rolex - prezent od ojca - wskazywał godzinę 4:35. Na dworze panował szary półmrok, w samym pokoju zaś zrobiło się zupełnie ciemno. Gentry opłukał twarz nad umywalką i zadzwonił do recepcji. Panna Preston nie wróciła do siebie, nie odebrała też wiadomości.

Przeszedł do zaparkowanego pół przecznicy dalej samochodu, przełożył walizkę do bagażnika i wybrał się na spacer. Przeszedł Germantown Avenue dwie przecznice na południowy wschód, mijając nieduży ogrodzony park. Z przyjemnością napiłby się piwa, ale bary były pozamykane. Nie czuł, że jest niedziela - nie umiałby jednak powiedzieć, który inny dzień tygodnia mógłby to być. Prószył lekki śnieg, kiedy zabrał z pinto walizkę i wrócił do hotelu. Za kontuarem zastał innego, znacznie młodszego i uprzejmniejszego recepcjonistę. Zameldował się, zapłacił trzydzieści dwa dolary z góry i już miał ruszyć w ślad za boyem do pokoju, kiedy postanowił jeszcze raz zapytać o Natalie. Wciąż miał w kieszeni klucz uniwersalny - może tamten gość z nosem jak kartofel skończył dyżur i nikomu o tym nie wspomniał.

- A owszem, proszę pana - przytaknął recepcjonista. - Mniej więcej przed kwadrans panna Preston odebrała wiadomości.

Gentry zaniemówił z wrażenia.

- Jest tutaj? - wykrztusił w końcu.

- Na chwilę poszła na górę, do pokoju, ale jeżeli się nie mylę, zeszła już z

powrotem do jadalni, proszę pana.

Gentry podziękował mu, dał boyowi trzy dolary napiwku za wniesienie walizki i stanął przy wejściu do połączonej z barem niewielkiej jadalni.

Serce podskoczyło mu z radości, gdy dostrzegł Natalie siedzącą przy stoliku w głębi sali. Ruszył w jej stronę, ale zawahał się i zatrzymał na widok niskiego bruneta w drogiej skórzanej marynarce, który właśnie zagadnął Natalie. Spojrzała na nieznanego z dziwnym wyrazem twarzy.

Gentry wahał się dosłownie przez ułamek sekundy, zanim ustawił się w kolejce do baru sałatkowego. Dopiero kiedy znalazł sobie miejsce i usiadł, odważył się znowu zerknąć w stronę Natalie. Kelnerka zakrzętnęła się przy nim, przyjęła zamówienie na kawę, a on zaczął pomału jeść, starając się nie patrzeć bezpośrednio w kierunku stolika Natalie.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Znał Natalie Preston od niespełna dwóch tygodni, ale zdążył się przyzwyczaić do jej ustawicznego ożywienia; powoli uczył się niuansów jej mimiki, stanowiących nieodłączny element jej osobowości. Teraz nie widział u niej ani ożywienia, ani żadnych niuansów. Wpatrywała się w siedzącego naprzeciwko mężczyznę jak osoba na prochach albo po lobotomii, a kiedy (z rzadka) się odzywała, nienaturalnie sztywne ruchy jej szczęk przypominały Gentry'emu jego matkę w ostatnim roku życia, po wylewie.

Żałował, że nie może zobaczyć twarzy mężczyzny - widział tylko ciemne włosy, marynarkę i splecione na blacie stołu blade dłonie. Kiedy nieznamy w końcu się odwrócił, Gentry'emu mignęły półprzymknięte oczy, ciężkie powieki, ziemista cera i drobne usta o wąskich wargach. Za kim się tak rozglądał? Gentry sięgnął po leżącą na sąsiednim stoliku gazetę i na kilka minut stał się zajadającym sałatkę samotnym akwizytorem z nadwagą. Kiedy znów spojrzał w tamtą stronę, był już pewien, że towarzyszący Natalie mężczyzna stanowi przedmiot zainteresowania co najmniej dwóch innych ludzi w jadalni. Gliny? Agenci FBI? Izraelczycy?

Dojadł sałatkę, nabił na widelec pomidorka koktajlowego i po raz tysięczny tego dnia zadał sobie pytanie, w co właściwie wpakowała się Natalie.

Co dalej? Najgorsza ewentualność: mężczyzna o jaszczurzych ślepiach był jednym z tamtych - potworów umysłowych, o których opowiadał Saul - i nie miał przyjaznych zamiarów, a rozlokowani po restauracji agenci mieli go ubezpieczać; w holu czekali pewnie następni. Gdyby intruz wyszedł, Gentry - idąc za nim - natychmiast rzuciłby się w oczy. Musiał więc go uprzedzić,

jeśli chciał go śledzić. Tylko dokąd iść?

Zapłacił rachunek i wrócił po płaszcz. Natalie i nieznajomy właśnie wstawali od stolika. Natalie spojrzała prosto na niego z odległości dwudziestu stóp, lecz w jej oczach nie było nawet cienia rozpoznania - w jej oczach niczego nie było.

Gentry przeszedł szybko przez hol, przystanął przy drzwiach i długo, demonstracyjnie zakładał płaszcz.

Nieznajomy zaprowadził Natalie do windy, po drodze wykonując obsceniczny gest pod adresem jeszcze innego mężczyzny, siedzącego na wytartej kanapie w holu. Gentry postanowił zaryzykować. Natalie mieszkała w pokoju 312, on sam poprosił o 310. Hotel miał tylko trzy piętra przeznaczone dla gości. Jeżeli mężczyzna o martwych oczach zabierze Natalie gdzie indziej niż do jej pokoju, Gentry ich zgubi.

Szybkim krokiem wszedł na klatkę schodową i przesadzając po dwa, trzy stopnie, wbiegł na górę. Tam zdyszany odczekał dziesięć sekund, po czym uchylił drzwi na korytarz w samą porę, żeby zobaczyć, jak intruz wchodzi w ślad za Natalie do numeru 312. Stał bez ruchu jeszcze dobrą minutę, żeby się upewnić, że nie przyszedł za nimi nikt z holu, zanim w końcu bezszelestnie przemknął pod drzwi pokoju i dotknął ich lekko, trzema palcami. Namacał rękojeść rugera, ale po namyśle postanowił go nie wyciągać. Jeżeli intruz był kimś takim jak Oberst, mógłby go zmusić do użycia rewolweru przeciwko sobie; jeśli kimś takim nie był, rewolwer nie powinien być w ogóle potrzebny.

Jezu, pomyślał, a jeśli to po prostu jej dobry znajomy, którego zaprosiła do siebie?

Przypomniał sobie jednak wyraz jej twarzy i wsunął do zamka klucz uniwersalny.

Wkroczył szybko, wypełnił sobą cały krótki przedpokój, zobaczył tamtego - siedział, odwracał się w jego stronę, otwierał usta, żeby coś powiedzieć. W ciągu pół sekundy Gentry zarejestrował półnągą sylwetkę Natalie i zgrozę malującą się na jej twarzy, po czym wziął zamach i uderzeniem z góry na dół wyrznął intruza pięścią w głowę, jakby próbował kantem dłoni wbić potężny gwóźdź. Mężczyzna próbował właśnie wstać, ale po tym ciosie opadł z powrotem na fotel, dwa razy podskoczył bezwładnie na miękkich poduchach, osunął się na lewy podłokietnik i nieprzytomny znieruchomiał.

Gentry upewnił się, że chwilowo ma go z głowy, i odwrócił się do

Natalie. Zdjęła bluzkę i rozpięła stanik, ale nawet teraz nie próbowała się zasłonić. Jej ciałem zaczynały wstrząsać drgawki, jakby miała zaraz dostać ataku epilepsji. Gentry zdjął płaszcz i okrył ją nim w tej samej chwili, gdy osunęła mu się w ramiona, kręcąc głową w milczącym geście zaprzeczenia. Kiedy próbowała coś powiedzieć, tak bardzo szczekała zębami, że ledwie ją rozumiał:

- Och... Ro... Rob... ch... chciał... chciał... nie... nie mo... mogłam nic... nic... nic zrobić...

Przytulił ją, podtrzymał, pogładził po głowie. Gorączkowo rozmyślał, jaki powinien wykonać następny krok.

- O Bo... Boże, nie... niedobrze... mi...

Natalie wybiegła do łazienki.

Za zamkniętymi drzwiami rozległy się odgłosy wymiotowania. Gentry pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną, położył go na podłodze, przeszukał (szybko i wprawnie) i wyjął mu portfel. Anthony Harod, Beverly Hills. Pan Harod miał około trzydziestu kart kredytowych, kartę Playboy Clubu, identyfikator członka Writers Guild of America oraz inne dokumenty - papierowe i plastikowe - wskazujące na bliskie związki z Hollywood. W kieszeni marynarki miał klucz do pokoju w hotelu Chestnut Hill. Zaczął się niemrawo poruszać, gdy Natalie wyszła z łazienki - ubrana, z twarzą jeszcze wilgotną po ochlapaniu wodą.

Anthony Harod jęknął i przetoczył się na bok.

- Niech cię wszyscy diabli! - zakłęła Natalie i wymierzyła mu kopniaka w krocze.

Miała teraz na nogach solidne buty na niskim obcasie, a energia włożona w kopnięcie wystarczyłaby w futbolu na zdobycie punktów z odległości czterdziestu jardów. Celowała w jądra Haroda, on jednak zdążył się poruszyć i trafiła go tylko w wewnętrzną część uda. Po tym ciosie przeturlał się jeszcze dwa razy i wyrznął głową w nogę łóżka.

- Spokojnie, spokojnie.

Gentry pochylił się nad nim, sprawdził mu puls i oddech. Anthony Harod z Beverly Hills żył, ale znów stracił przytomność.

Szeryf podszedł do drzwi. Nie miały łańcucha, więc tylko zamknął je na zamek. Wrócił do Natalie i objął ją ramieniem.

- Rob... - wyszlochała. - On był w mo... mojej głowie! Kazał mi robić... mówić rzeczy...

- Już dobrze. Zaraz się stąd wyniesiemy.

Gentry zgarnął stojące na podłodze buty, zatrzasnął walizkę Natalie, pomógł jej włożyć płaszcz i przerzucił sobie przez ramię pas jej torby fotograficznej.

- Drabinka pożarowa za oknem schodzi do zaułka na tyłach. Dasz radę po niej zejść? Pomogę ci.

- Tak, ale dlaczego chcesz...

- Później porozmawiamy, najpierw musimy się stąd wydostać. Mam niedaleko samochód, chodź.

Na dworze było ciemno. Drabinka pożarowa była rozklekotana i śliska; kiedy Gentry ze zgrzytem rozłożył jej ostatni ośmiostopowy odcinek, spodziewał się, że lada chwila w zaułku zjawi się połowa hotelowego personelu, nikt jednak nie wybiegł tylnym wyjściem.

Pomógł Natalie pokonać ostatnie szczeble i razem przemknęli pogrążoną w mroku uliczką. Pachniało śniegiem i gnijącymi odpadkami. Wybiegli na Germantown Avenue, przeszli trzydzieści jardów w kierunku zachodnim i znaleźli się na skrzyżowaniu dziesięć jardów od pinto. W zasięgu wzroku nie było nikogo, nikt nie wyszedł z pustych sklepów ani odległego hotelu, gdy Gentry odpalił silnik, wrzucił bieg i wyjechał na Cheltenham Avenue.

- Dokąd jedziemy? - spytała Natalie.

- Nie wiem. Jak stąd zwiejemy, to pogadamy.

- Dobrze.

Skręcili na wschód w Germantown Avenue i musieli zwolnić przed jadącym w tym samym kierunku tramwajem.

- Kurczę blade... - zaklął Gentry.

- Co się stało?

- Nic wielkiego, ale... zostawiłem w hotelu walizkę.

- Masz w niej coś ważnego?

Gentry przeliczył w myślach spakowane koszule i spodnie i parsknął śmiechem.

- Nie. A już na pewno nie zamierzam po nią wracać.

- Rob? Co tu się dzieje?

Gentry pokręcił głową.

- Myślałem, że może ty mi powiesz.

Natalie się wzdrygnęła.

- Nigdy przedtem nie... nie czułam czegoś takiego. Nic nie mogłam zrobić. Tak jakby moje ciało przestało do mnie należeć.

- W takim razie wiemy już, że oni naprawdę istnieją.

Natalie zaśmiała się, nieco zbyt głośno.

- Rob, ta starsza pani... Melanie Fuller... ona tu jest. Tutaj, gdzieś w Germantown. Marvin i inni ją widzieli. Wczoraj w nocy zabiła dwóch następnych z jego gangu. Byłam z...

- Zaczekaj. - Gentry wyminął tramwaj i autobus miejski z napisem SEPTA na ścianie. Przed nimi rozciągała się prosta i pusta ulica z klinkierową nawierzchnią. - Kto to jest Marvin?

- Marvin to szef gangu Soul Brickyard. Jest...

Coś mocno uderzyło w pinto od tyłu. Natalie poleciała do przodu, rękami osłaniając głowę przed zderzeniem z przednią szybą. Gentry zaklął i obejrzał się przez ramię. Olbrzymia atrapa chłodnicy wypełniła tylną szybę pinto, gdy miejski autobus przyśpieszył, żeby uderzyć w nich po raz drugi.

- Trzymaj się! - krzyknął Gentry i wcisnął gaz do dechy.

Autobus był szybszy: drugi raz uderzył pinto w bagażnik, zanim mały samochodek zdążył się oddalić.

Gentry rozpedził samochód do prędkości pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, przy której małe pinto podskakiwało i trzęsło się wściekle na nierównej nawierzchni, dodatkowo pociętej torami tramwajowymi. Nawet przez zamknięte okna doskonale słyszeli ryk dieslowskiego silnika autobusu, gdy potężny pojazd, zgrzytając półtuzinem biegów, usiłował ich doścignąć.

- Do diabła... - mruknął Gentry.

Przy następnej przecznicy ciągnik siodłowy próbował właśnie wycofać pod magazyn, chwilowo blokując przejazd. Mogliby zjechać na chodnik z prawej strony, ale Gentry w ostatniej chwili dostrzegł tam grzebiącego w śmietniku staruszka i ostro - pinto, sunąc w kontrolowanym poślizgu, odbiło się tylnym kołem od krawężnika - skręcił w wąską uliczkę po lewej. Sądząc po odgłosie, który temu towarzyszył, po pierwszym uderzeniu autobusu obluzował im się tylny zderzak, który wlekli teraz po jezdni. Jechali w szpalerze szeregowców. Przy prawym krawężniku ciągnął się sznur zarzewiających gratów i pozbawionych kół wraków.

- Jedzie za nami! - krzyknęła Natalie.

Gentry zdążył zobaczyć w lusterku, jak olbrzymi autobus wbija się w uliczkę: wskoczył na chodnik, ściał dwa znaki zakazu parkowania i skrzynkę pocztową i w obłoku spalin zaczął nabierać prędkości na opadającej w dół drodze. Na szerokim przednim zderzaku miał niewielkie wgniecenie po pierwszym kontakcie z pinto.

- Nie wierzę - powiedział Gentry. - Po prostu nie wierzę.

U stóp wzgórza znajdowało się skrzyżowanie w kształcie litery T: dalszą drogę na wprost zagradzał ośnieżony nasyp kolejowy, po lewej i prawej stronie rozciągały się puste działki i magazyny. Gentry dał ostro w lewo, usłyszał zgrzyt odrywającego się zderzaka i wsłuchał się w warkot wypruwającego sobie żyły czterocylindrowego silniczka.

- Dogoni nas? - spytała bez tchu Natalie, kiedy autobus z łoskotem skręcił na skrzyżowaniu za nimi i częściowo wjechał na nasyp, zanim wrócił na jezdnię.

Gentry'emu mignęła postać kierowcy w uniformie koloru khaki: wyprostowanymi rękami trzymał ogromną kierownicę, w przejściu za jego plecami majaczyły miotane na wszystkie strony ciemne sylwetki.

- Nie dogoni, jeśli nie zrobimy jakiegoś głupstwa - odparł Gentry.

Wąska ulica skręcała gwałtownie w prawo przed nieczynną fabryką, przez pięćdziesiąt jardów biegła z górki pomiędzy porzuconymi czynszówkami i ciągiem pokrytych gruzem placów, po czym kończyła się ślepo przed nasypem kolei. Znaku ostrzegającego o ślepym zaułku nie było.

- Takiego jak to? - upewniła się Natalie.

- Właśnie.

Gentry wyhamował na niewielkim placu do zawracania.

Zdawał sobie sprawę, że pinto za skarby świata nie wespnie się na pokryty warstwą śmiecia trzydziestostopowy nasyp. Po lewej stronie wysoka brama i dwudziestostopowe ogrodzenie z siatki oddzielały od ulicy budynek z cegły i rozciągający się przed nim błotnisty parking. Może udałoby się wyłamać samochodem bramę, ale znalezienie się na parkingu nieszczerólnie poprawiłoby ich sytuację. Z drugiej strony ciągnął się szereg pustych piętrowych domów o zabitych deskami drzwiach i oknach, pokrytych graffiti. Na wschód odchodził wąski zaułek.

Za ich plecami autobus skręcił tymczasem w prawo i rozpoczął zjazd. Zaryczał gardłowo niczym raniony w trzewia zwierz, gdy kierowca zredukował bieg o dwa przełożenia.

- Chodu! - krzyknął Gentry.

On zdążył porwać walizkę Natalie, ona złapała jeszcze torbę fotograficzną i razem pobiegli w stronę wylotu zaułka.

Rozpędzony autobus uderzył pinto w prawy tylny błotnik. Samochód okręcił się w miejscu, metal zafurkotał w powietrzu, tylna szyba rozprysła się w drzazgi. Autobusem zarzuciło i niewiele brakowało, żeby się przewrócił, gdy koła po jednej stronie wryły się w nasyp. Błysnęły jeszcze światła stopu,

maszyna przedarła się przez siatkę i znieruchomiła na zamrożonym błocie nieutwardzonego parkingu. Zgrzytnęły biegi, autobus wycofał po rozpląszczonym ogrodzeniu, uderzył pinto w sam środek drzwi po stronie pasażera i zaczął spychać samochód w tył, aż przyparł go do krawężnika niespełna dwadzieścia stóp od wylotu zaułka, skąd Gentry i Natalie obserwowali całą scenę. Pinto zahaczyło o hydrant i przy wtórce potwornego jazgotu dartych blach runęło na bok. Ze złamanego hydrantu nie trysnęła woda, za to w powietrzu rozszedł się zapach benzyny.

- To jakiś koszmar... - powiedziała Natalie.

Gentry zdał sobie sprawę, że w prawej ręce trzyma gotowego do strzału rugera. Pokręcił głową i wrzucił go do kieszeni.

Kierowca autobusu znowu zamieszał biegami i wyjechał na środek ulicy, wlokąc za sobą skąpane w dieslowskich oparach strzępy chromów. Gentry wciągnął Natalie w głąb mierzącego cztery stopy szerokości zaułka.

- Kto tym steruje? - spytała szeptem.

- Nie wiem.

Pierwszy raz Gentry uwierzył - ale tak naprawdę, całym sobą, nie samą głową - że istoty ludzkie naprawdę są zdolne do sztuczek, których Saul i Natalie doświadczyli na własnej skórze. Przypomniawszy sobie, jak dawno temu czytał *Egzorcystę* i doskonale rozumiał złośliwą satysfakcję księdza-agnostyka będącego świadkiem działania sił, które musiały mieć demoniczną naturę. Istnienie demonów przynajmniej sugerowało (choć nie potwierdzało) istnienie Boga, w którego ksiądz wątpił. Czego jednak miał dowodzić ten ciąg niewiarygodnych wypadków? Ludzkiego zepsucia? Doskonałości jakiejś siły parapsychologicznej, która od zawsze była składnikiem człowieczeństwa?

- Zatrzymuje się - zauważyła Natalie.

Autobus cofnął się pod nasyp i wykręcił w taki sposób, że w tej chwili stał przodem pod górę, w kierunku, z którego przyjechali.

- Może to koniec - mruknął Gentry i objął ramieniem drżącą Natalie. - Cokolwiek się wydarzy, ten przeklęty autobus tutaj nas nie dopadnie.

Mimo że drzwi pojazdu znajdowały się po przeciwnej stronie, bardzo wyraźnie usłyszeli syk otwierającego je sprężonego powietrza. W bladej poświacie wnętrza pojazdu poruszały się ludzkie sylwetki: to pasażerowie przesuwali się do przedniego lub tylnego wyjścia. Co sobie myśleli, wypuszczani z wozu po takiej szatańskiej przejażdżce? I co teraz planował kierowca? Gentry ledwie widział zgarbiony nad kierownicą wysoki cień - a

potem zobaczył siedmioro pasażerów, którzy niepewnie wyszli z autobusu: troje obeszło go od przodu, czworo z tyłu. Poruszali się jak ofiary polio ze stalowymi aparatami ortopedycznymi; jak nieporadnie kierowane marionetki. Znieruchomieli na moment, jeden wysforował się naprzód. Potem drugi. Starszy mężczyzna opadł na czworaki i pomknął w stronę zaułka, obwąchując jezdnię.

- Na Boga... - sapnęła Natalie.

Popędzili przed siebie wąskim przejściem między domami, przeskakując kawałki gruzu i ocierając się rękami o ceglane ściany. Gentry zorientował się, że cały czas w lewej ręce trzyma walizkę; prawą dłonią ścisnął dłoń Natalie. Koniec uliczki przegradzała zardzewiała metalowa siatka. Z tyłu dobiegało ciężkie, zwierzęce dyszenie: ktoś wpadł w zaułek. Gentry puścił rękę Natalie i - używając walizki i całego swojego ciała w charakterze tarana - wyrwał siatkę z oprawy.

Wybiegli na ulicę, która z prawej strony kończyła się ślepo, za to z lewej prowadziła w mrok pod wiaduktem kolejowym i dalej na północ, obok oświetlonych szeregowców. Gentry pobiegł w lewo; Natalie wyprzedziła go, zanim dopadł do popękanego chodnika. Ktoś przedarł się przez poszarpany drut za ich plecami: siwowłosa mężczyzna w garniturze z zapalonym rozjuszonego dobermana gramolił się przez powykrzywiane betonowe płyty. Gentry wyciągnął rugera i przyśpieszył kroku.

W ciemnościach pod wiaduktem krył się lód. Natalie pierwsza się na nim znalazła: Gentry zobaczył, jak nogi spod niej wyjeżdżają i usłyszał, jak ciężko wyrznięta na ziemię. Zdążył zwolnić, ale i tak nim zarzuciło i musiał przykleknąć na jedno kolano.

- Natalie!

- Nic mi nie jest.

Sięgnął na oślep w kierunku głosu dziewczyny i pomógł jej wstać.

- Zostawię tu twoją walizkę.

Natalie parsknęła śmiechem.

- Chodźmy.

Wybiegli z mroku na ulicę zwężoną przez zaparkowane samochody, w większości nienadające się do użytku. Puste, wypalone budynki sąsiadowały z takimi, w których oknach paliło się światło. Latarni nie było. Człapiące za nimi kroki niosły się echem pod wiaduktem. Kiedy ścigający ich mężczyzna upadł, zamiast krzyków i przekleństw usłyszeli tylko chrobotanie o lód i cegły.

- Biegniemy tam! - zawołał Gentry i popchnął Natalię pod górkę, w kierunku pierwszego rozświetlonego domu, od którego dzieliło ich sto stóp.

Zziębnięty, z płaczącymi się nogami dopadł w końcu do ganku domu, na który prowadziły trzy schodki. Odwrócił się i obserwował okolicę, gdy Natalie zaczęła dobijać się do drzwi i wzywać pomocy. Ciemna sylwetka na chwilę odchyliła rozdartą roletę w oknie, ale nikt nie podszedł do drzwi.

- Proszę! - krzyczała Natalie.

- Natalie! - zawołał do niej Gentry.

Mężczyzna w brudnym i podartym już garniturze pokonywał biegiem ostatnie dzielące ich trzydzieści stóp. W świetle padającym z okna Gentry widział wybałuszone, białe oczy i rozdziawione usta, z których ślina ściekała na podbródek i klapy marynarki. Wycelował rugera i wcisnął spust na tyle mocno, żeby napiąć kurek, ale opuścił broń.

- Pieprzyć to - mruknął i nadstawił bark na szarżę intruza.

Napastnik uderzył w niego z pełną szybkością. Odbił się, przeleciał w powietrzu i spadł na plecy na chodnik i najniższy stopień ganku. Jego głowa z obrzydliwym odgłosem odbiła się od twardej nawierzchni, ale kiedy Gentry się nad nim nachylił, mężczyzna natychmiast zerwał się na równe nogi i nie bacząc na krew wypływającą spod zmierzwionych włosów, klapnął zębami i rzucił się szeryfowi do gardła. Gentry złapał go za klapy i odrzucił na ulicę. Intruza upadł, przetoczył się, wydał nieludzki ni to warkot, ni to śmiech - i znów błyskawicznie pozbierał się z ziemi i doskoczył do Gentry'ego - który tym razem grzmotnął go lufą rugera. Mężczyzna w garniturze upadł na brzuch i wstrząsany drgawkami legł u stóp schodów.

Gentry usiadł na najniższym stopniu i zwiesił głowę. Natalie kopała i waliła pięściami w drzwi.

- Proszę nas wpuścić!

- Jestem z policji! - wykrzyknął resztką tchu Gentry. - Proszę otworzyć!

Drzwi pozostały zamknięte.

Pod wiaduktem rozległy się kolejne kroki.

- Mój Boże... - stęknął Gentry. - Myślałem... Saul mówił, że... Oberst mógł sterować... tylko jednym... naraz.

Z cienia wynurzyła się wysoka blondynka. Biegła boso w ich stronę, trzymając w prawej ręce jakiś ostry przedmiot.

- Chodź - ponaglił Gentry Natalie.

Przebiegli trzydzieści stóp pod górkę, kiedy zza zakrętu dobiegł ich ryk silnika autobusu. Snop światła z reflektorów padł na rząd szeregowców z

lewej strony, po drugiej stronie ulicy.

Gentry rozglądał się za jakąś przecznicą, pustym placem, czymkolwiek, ale przez całe sto dwadzieścia stóp dzielące ich teraz od wiaduktu w fasadzie szeregowców nie było żadnej luki.

- Wracamy! - skomenderował. - Na nasyp, do torów.

Odwrócił się... i w tej samej chwili wysoka kobieta pokonała ostatnie dziesięć stóp i zderzyła się z nim, nie wydawszy żadnego dźwięku. Razem upadli i sturlali się na mokrą jezdnię. Gentry wypuścił z ręki rugera, żeby odepchnąć jej głowę i kłapiące szczęki od swojego gardła, i spróbował ją przydusić. Była bardzo silna. Wykręciła głowę i zatopiła zęby w jego lewej dłoni. Zacisnął pięść i uderzył, celując w szczękę, ale kobieta zdażyła zareagować, spuściła głowę i przyjęła cios na czołko. Gentry ją odepchnął, zastanawiając się, jak pozbawić ją przytomności, nie czyniąc jej przy tym zbyt krzywdy - ale wtedy machnęła prawą ręką i dźgnęła go pod ramię. Poczł lodowaty wstrząs i bezradnie patrzył, jak nożyczki uderzają po raz drugi. Dopiero kiedy wzięła trzeci zamach, wymierzył jej zamaszysty sierpowy - który, gdyby trafił, oderwałby jej głowę.

Ale nie trafił.

Tanecznym krokiem odskoczyła dwa kroki w tył, uniosła nożyczki na wysokość oczu... i w tej samej chwili Natalie trafiła ją w głowę ciężką od sprzętu torbą fotograficzną. Blondynka osunęła się na ziemię jak pozbawiona kości szmaciana lalka.

Gentry zdołał tymczasem dźwignąć się na jedno kolano. Cały lewy bok i lewa dłoń paliły go żywym ogniem. Ryk silnika narastał, reflektory zbliżającego się autobusu paraliżowały swoim oślepiającym blaskiem. Gentry macał na oślep w poszukiwaniu rugera, który gdzieś tam przecież musiał być! Autobus był pięćdziesiąt stóp od nich, jechał z górki i cały czas nabierał prędkości.

Natalie podniosła rewolwer. Odrzuciwszy torbę fotograficzną, stanęła w rozkroku, ujęła broń w obie dłonie i strzeliła cztery razy tak jak ją uczył Gentry.

- Nie! - zawołał szeryf.

Pierwsza kula strzaskała reflektor. Druga rozgwieździła przednią szybę tuż na lewo od kierowcy. Odrzut broni spowodował, że dwa następne pociski poszybowały za wysoko.

Gentry porwał torbę i przyciągnął Natalie do krawężnika i ganku. Autobus skręcił ostro w lewo, usiłując ich dosięgnąć. Odbił się od schodków

i skrzesał deszcz iskier; prawe koła gładko przetoczyły się po nieprzytomnej blondynce. Natalie z Gentrym nawzajem podciągnęli się wyżej, gdy pojazd trafił na lód, obrócił się dziewięćdziesiąt stopni w lewo i bokiem wśliznął pod wiadukt. Metal głośno zgrzytnął o drewno.

- Teraz! - zawołał Gentry i ruszyli biegiem w stronę nasypu. Szeryf biegł zgięty wpool, przyciskając lewą rękę do boku.

Zagrzmiał diesel, zgrzytnęła przekładnia i z drugiej strony wiaduktu błysnął jedyny ocalały, koślawy reflektor. Tylne koła autobusu zabuksowały, na chwilę złapały przyczepność, znów zakręciły się w miejscu. Drewniany dźwigar zajęczał, pękł z trzaskiem i autobus wycofał spod wiaduktu w tej samej chwili, gdy Gentry z Natalie dotarli do podnóża nasypu. Gentry zahaczył stopą o pętlę zardzewiałego drutu i z impetem runął na ziemię. Przez sekundę, kiedy tonął w powodzi światła ze zwariowanego reflektora, spojrzął w dół i zobaczył rozcięty rękaw marynarki i krew ściekającą mu po przedramieniu na pokąsaną dłoń. Obejrzał się za siebie.

Natalie złapała go za drugą rękę i pomogła mu wstać.

- Daj mi rugera - powiedział Gentry.

Autobus cofał pod górkę, jakby brał rozpęd.

- Daj mi rewolwer!

Natalie oddała mu broń w tej samej chwili, gdy kierowca ogromnej maszyny wrzucił pierwszy bieg. Teraz już oba leżące na ulicy ciała były rozjechane na płask.

- Biegiem! - ponaglił Natalie szeryf.

Odwróciła się i zaczęła się wspinać po nasypie, pomagając sobie rękami. Gentry deptał jej po piętach. Niespełna w połowie wysokości nasypu natknęli się na ogrodzenie.

Autobus się rozpędzał, kierowca szybko zmieniał biegi, jazgot silnika niósł się echem wśród ceglanych domów, przekrzywiony reflektor celował lekko w górę - prosto w gramolących się po nasypie Natalie i Gentry'ego.

Z dołu nie było widać ogrodzenia, bo obwisło i zrolowało się jak spirala z drutu kolczastego. Natalie zaplątała się w drugi drut od dołu. Gentry wyszarpnął go jej z nogawki, usłyszał trzask dartego materiału i pchnął Natalie do góry. Zrobiła cztery kroki, zanim znów o coś zahaczyła i musiała się zatrzymać. Gentry odwrócił się, stanął mocno na nogach i wycelował. Płaszcz mu przeszkadzał, zrzucił go więc i ustawił się bokiem, czując, jak drętwieje mu lewa ręka.

Autobus przejechał po zwłokach dwojga pasażerów, zmienił bieg,

podskoczył na niewidocznym krawężniku na tyle wysoko, żeby nie zaryć od razu przodem w zmrożony nasyp, i zaczął się piąć po jego zboczu. Długością niemal dorównywał wysokości nasypu.

Gentry obniżył lufę pistoletu, żeby skompensować naturalną przy strzelaniu z góry skłonność do mierzenia wyżej niż to konieczne. Światło odbite od ośnieżonego nasypu wyraźnie oświetliło kierowcę: była nim kobieta w uniformie khaki. Oczy wychodziły jej z orbit.

I tak nie daliby... on nie dałby jej przeżyć, pomyślał Gentry i wystrzelił ostatnie dwie kule. Dwie gwiazdy wykwitły dokładnie przed kierowcą i cała przednia szyba zbielała i rozpadła się w drobny mak. Gentry okręcił się na pięcie i ruszył biegiem, ile sił w nogach. Od Natalie dzieliło go dziesięć stóp, gdy autobus go dogonił: atrapa chłodnicy uderzyła go z impetem, pchnęła do góry i wyrzuciła w powietrze jak podrzucone beztrosko dziecko. Wylądował na lewym boku, poczuł, że Natalie jest blisko, oparł się o zimną szynę i patrzył.

Autobus dotarł na odległość pięciu stóp od szczytu nasypu, zanim stracił przyczepność, i zsunął się w dół, dźgając mrok rozhuśtanym reflektorem jak obłąkanym szperaczem. Prawy tylny błotnik z głośnym, nieodwołalnym łoskotem uderzył w utwardzoną nawierzchnię. Autobus przez chwilę usiłował stanąć dęba - przód odbił się od nasypu pod kątem trzydziestu stopni - zanim jak w zwolnionym tempie przewrócił się na prawą burtę, niemal przeturlał na dach i w końcu znieruchomiał na prawym boku z obracającymi się kołami.

- Nie ruszaj się - szepnęła Natalie.

Gentry jej nie słuchał. Wstał z wysiłkiem i niewiele brakowało, żeby wybuchnął śmiechem na widok rugera, którego wciąż ścisnął w przemarzniętej dłoni. Chciał go schować do kieszeni, odkrył, że nie ma już na sobie ani płaszcza, ani marynarki i wetknął broń za pasek spodni.

Natalie podtrzymała go, żeby nie upadł.

- Co robimy? - spytała półgłosem.

Gentry próbował zebrać myśli.

- Czekamy na gliny, straż pożarną... karetki... - odparł. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest najlepszy pomysł, ale był zbyt zmęczony, żeby dogłębnie to przemyśleć.

Światła pozapalały się w większej liczbie domów, ale nikt nie wyszedł na ulicę. Gentry stał wsparty na Natalie przez kilka długich, zimnych minut. Zaczął padać śnieg. Karetki nie przyjeżdżały.

Z dołu dobiegło ich głucho łomotanie, jedno z okien przewróconego autobusu wyrzuciło się i wypadło na jezdnię. Co najmniej trzy ciemne sylwetki wyszły ze środka, przemykając po metalowym cielsku pojazdu niczym olbrzymie czarne pająki.

Gentry i Natalie bez słowa zaczęli kuśtykać po torowisku. W pewnym momencie Gentry potknął się, przewrócił, dotknął szyny i poczuł wyraźne buczenie. Natalie pomogła mu wstać i ponagliła go do biegu. Za plecami słyszeli zgrzyt butów na żużlu.

- Tam! - wysapała Natalie. - Patrz, tam! Wiem, gdzie jesteśmy!

Gentry otworzył oczy i zobaczył stary dwupiętrowy dom wciśnięty między dwie puste parcele. W kilkunastu oknach paliło się światło.

Potknął się i przewrócił na stromym nasypie. Coś ostrego rozorało mu prawą nogę. Wstał, zachwiał się i podtrzymał Natalie, żeby nie upadła. Nad ich głowami z rykiem przemknął podmiejski pociąg.

Na werandzie przed domem było widać ludzi, pokrzykiwali coś prowokacyjnie. Sądząc po głosach, musieli być czarni. Dwóch młodych mężczyzn miało strzelby. Gentry sięgnął po rugera, ale jego palce nie chciały zacisnąć się na rękojeści.

Głos Natalie - ponaglający, natarczywy - dobiegał z bardzo daleka. Szeryf doszedł do wniosku, że przymknie na chwilę oczy, dosłownie na sekundkę, tylko żeby odzyskać trochę sił.

Silne dłonie podtrzymały go, zanim runął na ziemię.

26.

Germantown

29 grudnia 1980, poniedziałek

Natalie przez cały dzień opiekowała się Robem. Gorączkował, nie wiedział, gdzie jest, zdarzało mu się mówić przez sen. W nocy leżała z nim w jednym łóżku, starając się nie urazić oklejonych plastrem żeber i zabandażowanej lewej dłoni. W pewnej chwili zdrową ręką pogładził ją po włosach.

Marvin Gayle nie był zachwycony, kiedy w niedzielny wieczór Natalie z Gentrym resztkami sił doczłapali do drzwi ośrodka pomocy społecznej.

- Kim jest twój spasiony koleżka, mała? - zawołał, stając na górnym stopniu werandy. Towarzyszili mu uzbrojeni w obrzyny Leroy i Calvin.

- To szeryf Rob Gentry - wyjaśniła Natalie i natychmiast pożałowała, że przedstawiła go jako stróża prawa. - Jest ranny.

- To widzę, laluniu. Może zabierz go do szpitala dla białych, co?

- Ścigają nas, Marwinie. Wpuść nas.

Natalie miała świadomość, że jeśli uda jej się porozmawiać z młodym, charyzmatycznym przywódcą gangu, on jej posłucha. Większość weekendu spędziła w ośrodku, była tam również w sobotnią noc, kiedy dowiedzieli się o śmierci Mońka i Lionela. Na prośbę Marvina poszła z nimi i obfotografowała rozczłonkowane zwłoki - po czym na chwiejnych nogach skręciła za róg i cichutko zwymiotowała w ciemnościach. Dopiero później dowiedziała się od Marvina, że Monk nosił przy sobie zdjęcie Melanie Fuller: miał je pokazywać mieszkającym w okolicy niedziałającym aktywnie członkom gangu, żeby w ten sposób ją namierzyć. Przy zwłokach zdjęcia już nie znaleźli.

Na tę wieść skóra Natalie zrobiła się dosłownie lodowata.

O dziwo, ani policja, ani środki masowego przekazu nie zainteresowały się morderstwami. Jedynym świadkiem był George, przerażony piętnastolatek, któremu udało się uciec i który nie pisał słowa nikomu poza kumplami z Soul Brickyard - a gang zachował całą rzecz dla siebie. Dwa okaleczone ciała zawinięte w foliowe zasłonki prysznicowe trafiły do zamrażarki w piwnicy czynszówki Louisa Taylora. Monk mieszkał sam w przeznaczonym do rozbiórki budynku przy Pastorius Street; Lionel mieszkał przy Bringhurst z matką, która jednak prawie bez przerwy znajdowała się w

stanie pijackiego otępienia i nieprędko zauważy jego nieobecność.

- Najpierw załatwimy tego jebanego białasa, który to zrobił - zarządził w sobotę w nocy Marvin - a dopiero potem pójdziemy z tym do glin i telewizji. Bo jak powiemy im teraz, to się tu zrobi taki ruch, że nie będziemy mogli palcem kiwnąć.

Gang go posłuchał. Natalie została u nich do wieczora w niedzielę: na przemian to powtarzała okrojona relację na temat niezwykłych zdolności Melanie Fuller, to słuchała, jak snują wojenne plany. Plany te były proste: zamierzali znaleźć Fuller i „białego potwora” i zabić oboje.

W niedzielę wieczorem śnieg sypał obficie, gdy stojąc przed ośrodkiem podtrzymywała półprzytomnego Roba Gentry’ego i błagała:

- Wpuśćcie nas. Ścigają nas.

Marvin skinął ręką. Louis, Leroy i trzeci chłopak, którego Natalie nie rozpoznała, zeskoczyli z werandy i przepadli w mrokach nocy.

- Kto was ściga, laluniu?

- Nie wiem, jacyś ludzie.

- Omamieni? Jak ten biały potwór?

- Tak.

- To robota tej samej starej kobiety?

- Być może. Nie wiem. Ale wiem, że Rob jest ranny, a oni depczą nam po piętach. Wpuść nas, proszę cię.

Marvin długo patrzył na nią tymi pięknymi, zimnymi niebieskimi oczami, zanim odsunął się na bok i skinął na nich oboje, żeby weszli do środka. Gentry’ego trzeba było znieść na dół, do piwnicy, gdzie mógł się położyć na materacu. Natalie nalegała, żeby wezwać karetkę albo chociaż lekarza, ale Marvin pokręcił głową.

- Nie, laluniu. Mamy dwa trupy, o których ani pary z gęby, dopóki nie znajdziemy tej wiedzy. Nie sprowadzimy karetki dla twojego poharatanego chłoptasia z Południa. Zadzwonimy po Jacksona.

Jackson miał trzydzieści lat i był przyrodnim bratem George’a - cichym, łysawym, kompetentnym człowiekiem, który w Wietnamie był lekarzem wojskowym; przez dwa i pół roku studiował medycynę, zanim wyleciał z uczelni. Przyjechał i przywiózł niebieski plecak pełen bandaży, strzykawek i leków.

- Dwa złamane żebra - obwieścił półgłosem po badaniu. - Głęboka rana z boku, ale to nie to strzaskalo żebra; wystarczyłoby pół cala niżej i półtora cala głębiej, żeby była śmiertelna. Pogryziona ręka, solidnie.

Prawdopodobieństwo wstrząśnienia mózgu, ale trudno powiedzieć coś więcej bez rentgena. Proszę mi nie przeszkadzać, muszę się nim zająć.

Zatamował krwawienie, oczyścił i opatrzył drobne rany i otarcia, okleił żebra i zrobił Gentry'emu zastrzyk przeciw zakażeniu. Przełamał mu pod nosem kapsułkę soli trzeźwiących i szeryf prawie natychmiast się ocknął.

- Ile palców?

- Trzy - odparł Gentry. - Gdzie ja jestem, do cholery?

Chwilę porozmawiali. Jackson ustalił, że wstrząs nie jest zbyt poważny, po czym zrobił Gentry'emu drugi zastrzyk i dał mu spokojnie odpłynąć w sen.

- Nic mu nie będzie - powiedział. - Wpadnę jutro.

- Dlaczego nie skończyłeś studiów? - zainteresowała się Natalie i natychmiast się zarumieniła, zawstydzona swoją ciekawością.

Jackson wzruszył ramionami.

- Za dużo pieprzenia głupot, wolałem wrócić tutaj. Budźcie go co jakies dwie godziny.

W oddzielnym parawanem kącie piwnicy, gdzie Marvin pozwolił im przenocować, czuwająca przy Gentrym Natalie co półtorej godziny budziła go na chwilę. Była 4:38 na jej zegarku, kiedy obudziła go ostatni raz, a on dotknął jej włosów.

- Mnóstwo dziwnych gości kręci się w okolicy - powiedział Leroy.

Kilkunastu członków gangu siedziało przy stole w kuchni, przysiadło na blacie albo podpierało ściany i szafki. Gentry pospał do drugiej po południu i obudził się głodny jak wilk. O czwartej, kiedy zwołano naradę wojenną, jeszcze jadł - kończył przyniesioną przez jednego z młodziaków chińszczyznę, na którą dał mu pieniądze. Oprócz Natalie jedyną kobietą w kuchni była małomówna dziewczyna Marvina, Kara.

- Jakich dziwnych gości? - spytał Gentry, przeżuując wieprzowinę mu shu.

Leroy zerknął pytająco na Marvina, doczekał się przyzwalającego skinienia głową i odparł:

- Dziwnych policjantów. Psów. Takich jak ty.

- Mundurowych? - spytał Gentry. Stał przy blacie. Z obandażowanymi żebrami wyglądał jeszcze bardziej grubo niż zwykle.

- Nie, no co ty. Po cywilnemu. Bardzo dyskretne skurwysynki: czarne spodnie, kurtki, te takie czubate florsheimy na nogach... Wtapiają się w

otoczenie, kurwa ich mać.

- Gdzie ich widzieliście?

- Wszędzie, facet! - odparł Marvin. - Dwie nieoznakowane furgonetki na dwóch krańcach Bringhamst. Furgonetka niby od telefonów w uliczce pomiędzy Green i Queen, dwa dni już tam stoi. Dwunastu gości w czterech nieoznakowanych wozach pomiędzy Church i ośrodkiem. Do tego cała masa klientów na piętrach różnych domów przy Queen i Germantown Avenue.

- Ilu w sumie?

- Ze czterdziestu. Może nawet pięćdziesięciu.

- Ośmiogodzinne zmiany?

- Tak. Wydaje im się, że są niewidzialni, kiedy tak siedzą na przykład w pralni przy Ashmead. Jedyne białasy w całym kwartale, kurwa! Jeszcze brakuje, żeby odbijali karty, jakby w hucie jakiejś zapierdalali. Mają nawet jednego takiego, co tylko im pączki donosi.

- Tutejsi? Z filadelfijskiej policji?

Wysoki chudzielec (Calvin) parsknął śmiechem.

- Nie no, gościu, pewnie że nie. Tutejszy pies ma garnitur ze sztucznego włókna, białe skarpetki, ortopedyczne buty... Bez tego nie zrobiłby żadnej zasadzki.

- Poza tym jest ich za dużo - dodał Marvin. - Choćby posłali na ulicę wszystkich z obyczajówki, wydziału morderstw i narkotyków, to nawet z praktykantami nie uzbieraliby pięćdziesięciu ludzi. To na pewno federalni od narkotyków, coś w ten deseń.

- Albo FBI. - Gentry z roztargnieniem rozmasował skroń.

Natalie zauważyła, że skrzywił się przy tym z bólu.

- No tak - przytaknął Marvin. Zapatrzył się w dal, rozważając jakąś nową możliwość. - Możliwe. Ale jednego nie łapię: po co aż tylu? Myślałem, że może szukają morderców Ziga, Muhammeda i pozostałych, ale nie, oni mają w dupie to, że ktoś sprzątnął paru czarnuchów. Dlatego myślę, że może też szukają więdzmy i jej białego potwora. Co ty na to, laluniu?

- To możliwe - przyznała Natalie. - Chociaż nie takie proste...

- Co ty nie powiesz...

Gentry sztywno podszedł do stołu i położył obandażowaną dłoń na blacie.

- Takich... więdzm jest więcej - powiedział. - Mężczyzn też. Jeden z nich prawdopodobnie ukrywa się gdzieś niedaleko, w mieście. Inni, tacy, co mają władzę, też dysponują taką mocą. Trwa między nimi wojna.

- Facet, ale ty zajebiście mówisz! - Leroy prychnął i powtórzył, naśladując

leniwy sposób mówienia Gentry'ego: - Trwa między nimi wojna.

- Wasza nawijka też jest miła dla ucha - odparł Gentry.

Leroy uniósł się z krzesła i zmarszczył groźnie brwi.

- Co to za pierdolenie?!

- Zasugerował ci, żebyś się zamknął, Leroy - wyjaśnił spokojnie Marvin. -

Więc się zamknij. - Przeniósł wzrok na Gentry'ego. - W porządku, panie szeryf, powiedz no mi... Ten gość, co się tu ukrywa, to on biały jest?

- Tak.

- A ci, co go szukają, też są biali?

- Tak.

- Jest tych ludzi więcej. Też są biali?

- Mhm.

- I wszyscy tacy kurewsko wredni jak ta wiedźma i jej biały potwór?

- Tak.

Marvin westchnął.

- Mogłem się domyślić... - Z kieszeni kurtki mundurowej wyjął rugera Gentry'ego i z głośnym stuknięciem położył go na stole. - Jebitnie wielka giwera, panie szeryf. Ładujesz ją czasem?

Gentry nie sięgnął po broń.

- Mam naboje w walizce.

- A walizkę gdzie? Bo jeśli była w pinto, to przepadła.

- Marvin wrócił po moją torbę fotograficzną - wyjaśniła Natalie. - Ale torba zniknęła. Tak jak wrak samochodu i autobus.

- Autobus?! - Gentry uniósł brwi tak gwałtownie i tak wysoko, że z bólu złapał się za głowę. - Autobus też zniknął? Ile czasu minęło, zanim tam poszliście?

- Sześć godzin - powiedział Leroy.

- Musimy uwierzyć laluni na słowo, że gonił was wielki i zły miejski autobus - dodał Marvin. - Powiedziała, że do niego strzeliłaś, panie szeryf. I że go raniłaś. Może odczołgał się w krzaki, żeby tam zdechnąć.

- Sześć godzin... - powtórzył Gentry, opierając się o lodówkę. - Oglądaliście wiadomości? Pewnie trąbią o tym na cały kraj.

- Nic nie ma - powiedziała Natalie. - W telewizji ani słowa, *Philadelphia Inquirer* też nie dał nawet wzmianki.

- Jezu Chryste... Muszą mieć niekiepskie dojścia, żeby tak szybko posprzątać i zatuszować sprawę. Zginęły co najmniej... cztery osoby.

- SEPTA też się zajeży - dodał Calvin, mając na myśli przedsiębiorstwo

komunikacyjne. - Lepiej nie jeźdź komunikacją miejską; nic ich tak nie wkurwia, jak kiedy im ktoś zabije autobus.

I zaniósł się takim śmiechem, że omal nie spadł z krzesła.

- Więc gdzie jest ta twoja walizka? - spytał Marvin.

Gentry otrząsnął się z zamyślenia.

- Została w Cheltenham Arms, pokój 310. Ale zapłaciłem tylko za jedną noc, więc pewnie już ją zabrali.

Marvin obrócił się wraz z krzesłem.

- Taylor, ty przecież pracujesz w tym starym, dobrym Chicken Arms, prawda? Mógłbyś tam zajrzeć do składziku?

Taylor miał siedemnaście, może osiemnaście lat i wychudzoną twarz z ciemnymi bliznami po trądziku.

- Pewnie.

- Tylko uważaj - poradził mu Gentry. - Po pierwsze, może jej tam w ogóle nie być. A jeśli jest, to pewnie jej pilnują.

- Kto? - zainteresował się Marvin. - Te omamione psy?

- Między innymi.

- Taylor - rzucił rozkazująco Marvin.

Chłopak wyszczerzył zęby, ześliznął się z blatu i zniknął.

- Teraz obgadamy inne sprawy - powiedział Marvin. - Biali mają przerwę w obradach.

Natalie i Gentry stali na werandzie i patrzyli, jak szary zimowy zmierzch przechodzi w noc. Przed domem rozciągał się widok na podłużny plac z kopczykami przysypanych śniegiem cegieł, ograniczony tylnymi ścianami dwóch przeznaczonych do rozbiórki czynszówek. Światło lamp naftowych za pokrytymi brudem oknami dowodziło, że oba domy nadal są zamieszkałe. Było bardzo zimno. Wokół jedynej ocalałej latarni, stojącej pół przecznicy dalej, wirował niesiony wiatrem śnieg.

- To co, zostajemy tutaj? - spytała Natalie.

Gentry spojrzał na nią. Z wojskowego koca, który zamiast kurtki narzucił sobie na ramiona, wystawała mu tylko głowa.

- Dzisiaj to najrozsądniejsze wyjście - odparł. - Może nie jesteśmy wśród przyjaciół, ale przynajmniej mamy wspólnego wroga.

- Marvin Gayle jest bystry - zauważyła Natalie.

- Ostry jak brzytwa - zgodził się z nią Gentry.

- Jak myślisz, dlaczego marnuje się w gangu?

Gentry zmrużył oczy, spoglądając w brudny zmierzch.

- W szkole w Chicago miałem do czynienia z tamtejszymi gangami. Niektórzy przywódcy byli idiotami, jeden był wręcz psychopata, ale w większości wypadków na czele stali całkiem bystrzy goście. Umieść osobowość alfa w układzie zamkniętym, a na pewno wespnie się na sam szczyt hierarchii w takiej strukturze, która w jego sytuacji daje największą władzę. W takim miejscu jak tutaj jest to gang uliczny.

- Co to jest „osobowość alfa”?

Gentry wybuchnął śmiechem, który uwiązał mu w gardle, gdy złapał się za obolałe żebra.

- Uczni zajmujący się życiem zwierząt śledzą zagadnienia dominacji w stadzie, obserwują porządek dziobania, a potem najważniejszego barana, basiora czy wróbla nazywają „samcem alfa”. Ponieważ nie chciałem być seksistą, starałem się przedstawić to w kategoriach osobowości zamiast płci. Mam czasem wrażenie, że dyskryminacja i inne durne przeszkody społeczne wytwarzają ponadprzeciętną liczbę osobowości alfa. Może to jakiś proces doboru naturalnego, który pozwala mniejszościom etnicznym i kulturalnym walczyć o uczciwą pozycję w nieuczciwym społeczeństwie.

Natalie dotknęła jego ręki pod kocem.

- Wiesz, co, Rob? Jak na takiego zwykłego szeryfa, masz bardzo ciekawe przemyślenia.

- Chociaż niezbyt oryginalne. - Gentry spuścił wzrok. - Saul Laski w swojej *Patologii przemocy* pisał o czymś podobnym, o tym, jak w potulnych i uciskanych społecznościach czasem rodzą się niesamowici wojownicy, kiedy od ich istnienia uzależnione jest przetrwanie narodu lub jego kultury... Takie wyspecjalizowane osobowości alfa, można by powiedzieć. Nawet Hitler w pewien pokręcony, chory sposób pasował do tego opisu.

Płatek śniegu osiadł Natalie na powiece. Pozbyła się go mrugnięciem.

- Myślisz, że Saul żyje?

- Logika podpowiada, że nie - odparł Gentry.

Po tym, jak po południu obudził się na dobre, opowiedział Natalie, co się z nim działo przez ostatnie kilka dni. Teraz otulił się kocem i oparł zranioną rękę o poręcz werandy.

- A jednak, mimo to, myślę, że żyje - dodał. - Nie wiem gdzie jest, ale żyje.

- Ktoś go schwytał?

- Tak. Albo to, albo udało mu się zniknąć bez śladu, ale w tym drugim

wypadku by nas ostrzegł.

- Jak? My nagrywaliśmy sobie nawzajem wiadomości, które ktoś potem wymazywał. Jak Saul miałby się do nas przebić, skoro sami nie byliśmy w stanie tego zrobić? Zwłaszcza jeśli musi się ukrywać...

- Słusznie - przytaknął Gentry. Widząc, że Natalie się wzdrygnęła, podszedł i podzielił się z nią kocem. - Myślisz o wczoraj?

Pokiwała głową. Ilekroć zaczynała się czuć choć trochę bezpiecznie, jakaś jej część przypominała sobie, co czuła, kiedy Anthony Harold wdarł się do jej świadomości. Przenikał ją wtedy dreszcz jak na wspomnienie brutalnego gwałtu.

Bo to był brutalny gwałt.

- Już po wszystkim - zapewnił ją Gentry. - Drugi raz cię nie dopadną.

- Ale nadal gdzieś tam są - odparła szeptem.

- To prawda. To kolejny powód, dla którego raczej nie powinniśmy dzisiaj próbować wyjeżdżać z Filadelfii.

- Naprawdę myślisz, że to nie... Harold... ścigał nas... tym autobusem?

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłby być do tego zdolny. Był nieprzytomny, kiedy wychodziliśmy. Nawet jeśli ocknął się dziesięć minut później, raczej nie był w nastroju do jakiegokolwiek gimnastyki umysłowej. Poza tym sama mówiłaś, jakie odniosłaś wrażenie: że używa tego swojego... voodoo... tylko na kobietach, prawda?

- Tak, ale to było tylko... przeczucie, nic więcej, kiedy... kiedy zaczął...

- Naucz się ufać przeczuciom: nie wiem, kto nas wczoraj poszczuwał ludźmi z autobusu, ale na pewno wysługiwał się także facetami.

- Ale jeśli nie Anthony Harold, to kto?

Zrobiło się całkiem ciemno. Gdzieś w mieście zawyła syrena. Samotna latarnia, przyćmione światła w oknach i poświata nisko zawieszonych chmur odbijających blask niezliczonych lamp rtęciowych - wszystko to wydawało się Natalie nierzeczywiste, jakby w wąwozach z brudnej cegły, zardzewiałego metalu i mroku nie było miejsca dla światła.

- Nie wiem - przyznał Gentry. - Ale wiem, że w tej chwili naszą rolą jest przyciąć się i przetrwać. Przemyślałem sobie to wszystko i jest jeden pozytyw, który wynika z wczorajszych wydarzeń: ktokolwiek to zrobił, chciał nas tu zatrzymać, ale nie chciał nas zabić... W każdym razie nie chciał zabić ciebie.

Zaskoczona Natalie rozdziawiła usta.

- Jak możesz tak mówić? Spójrz, co zrobili z autobusem... z tymi ludźmi...

co zrobili z tobą.

- Zgoda, ale przecież mogli wszystko załatwić inaczej. Znacznie prościej.

- Jak? - zapytała Natalie i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, jak brzmi odpowiedź.

- Musieli nas widzieć, żeby nas ścigać. A skoro nas widzieli, mogli przejąć nad nami władzę. Ja cały czas miałem przy sobie rewolwer: mogli mi kazać najpierw zastrzelić ciebie, a potem popełnić samobójstwo.

Natalie zadygotała pod kocem. Gentry objął ją ramieniem.

- Czyli uważasz, że wcale nie chcieli nas zabić?

- To jedna z możliwości... - odparł Gentry i gwałtownie zawiesił głos.

Natalie wyczuła, że wolałby nie kończyć tej myśli.

- A jaka jest druga? - zapytała mimo wszystko.

Gentry odął usta i uśmiechnął się bez przekonania.

- Druga możliwość, która w dodatku pasuje do faktów, jest następująca: są tak absolutnie pewni, że im się nie wymkniemy, że postanowili się zabawić naszym kosztem.

Natalie aż podskoczyła, kiedy za ich plecami drzwi otworzył się z łoskotem. Przyszedł Leroy.

- Marvin powiedział, żebyście weszli do środka. Wrócił Taylor z twoją walizką. Louis też wrócił, ma dobre wieści: razem z George'em tropili wiedźmę i dowiedzieli się, gdzie mieszka. Poczekali, aż zaśnie, i ją dorwali. Razem z białym potworem.

Serce Natalie załomotało o żebra.

- Jak to, dorwali ją?

Leroy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A tak to, że ich zarżnęli. Louis poderżnął wiedźmie gardło, kiedy spała. A George i Setch zadźgali białasa nożami. Pochlastali go jak świniaka, dziesięć, dwanaście razy. Posiekali na miazgę. Już skurwiel nie zabije nikogo więcej z Soul Brickyard.

Natalie z Gentrym spojrzeli po sobie i weszli za Leroyem do rozbrzmiewającego triumfalnymi okrzykami domu.

Louis Solarz miał szerokie bary, jasny odcień skóry i duże, wyraziste oczy. Siedział u szczytu stołu w kuchni. Kara z drugą dziewczyną zajęły się opatrzeniem rany na jego szyi. Koszulę na piersi miał zbryzganą krwią.

- Co ci się stało w szyję? - spytał Marvin, który właśnie zszedł na parter. - Wydawało mi się, że to ty jej poderżnąłeś gardło, a nie odwrotnie.

Louis pokiwał z zapałem głową, spróbował coś powiedzieć, ale tylko zarzęził i zniżył głos do chrapliwego szeptu:

- Bo tak było. Tylko biały potwór mnie dziabnął, zanim go zaszlachtowaliśmy.

Kara odtrąciła jego ręce, kiedy odruchowo próbował dotknąć szyi, i umocowała opatrunek.

Marvin oparł się o stół.

- Nie chwytam, stary. Mówiłeś, że zarzezaliście wiedźmę we śnie, a teraz gadasz, że potwór cię dziabnął, nim go załatwiliście. To jak to było? I gdzie są, kurwa, George i Setch?

- Zostali.

- Ale nic im się nie stało?

- Nie, wszystko gra. George chciał oderznąć łeb potworowi, ale Setch mu kazał zaczekać.

- Na co?

- Na ciebie, facet.

Natalie z Gentrym trzymali się z tyłu. Natalie spojrzała pytająco na szeryfa, który tylko pokręcił głową.

Marvin skrzyżował ręce na piersi i westchnął.

- Dobra, Louis, opowiadaj jeszcze raz. Od początku.

Louis dotknął obandażowanej szyi.

- To boli...

- Gadaj! - warknął Marvin.

- Okej, okej, już mówię. Poszliśmy z George'em i Setchem pogadać z ludźmi, tak jak kazałeś, nie? Ale nikt nic nie widział, tak że już mieliśmy dość. Wracaliśmy Avenue do domu, kiedy ona wzięła i wyszła ze sklepu na rogu Wister.

- Z delikatesów u Sama?

- Tak, stamtąd. - Louis uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wiedźma we własnej osobie.

- Rozpoznałeś ją z mojego zdjęcia? - spytała Natalie.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Louis posłał jej dziwne, przeciągłe spojrzenie, a Natalie przyszło do głowy, że może kobiety powinny tu trzymać buzię na kłódkę podczas narad wojennych.

Odkasznęła i zapytała ponownie:

- Moje zdjęcie się przydało?

- Tak, przydało się - zachrypiał Louis. - Tylko że miała ze sobą tego

białego potwora.

- To na pewno był on? - warknął Leroy.

- Na bank. George go już wcześniej widział, nie? Chudy taki, długie, przetłuszczone kudły, dziwne oczy... Ilu takich może się tu kręcić, żeby nie byli tą wiedźmą i tym skurwielem?

Dwadzieścia pięć osób zebranych w kuchni odpowiedziało mu śmiechem - śmiechem, który zdaniem Natalie miał przynieść ulgę w stresie.

- Mów dalej - ponaglił Louisa Marvin.

- Poszliśmy za nimi do takiego starego domu. Setch chciał iść po ciebie, ale ja powiedziałem, żebyśmy najpierw się rozejrzeli, co jest grane. George wlaź na drzewo, patrzy, a wiedźma śpi. No to ja mówię, zróbmy to. Setch się zgodził, otworzył zamek i weszliśmy do środka.

- Gdzie jest ten dom?

- Pokażę ci.

- Powiesz mi - odparował Marvin i chwycił Louisa za kołnierz.

Louis kwiknął i złapał się za szyję.

- Przy Queen Lane, stary! Blisko Avenue. Pokażę ci, Setch i George już czekają.

- Dokończ - polecił mu półgłosem Marvin.

- Weszliśmy po cichu. Dopiero czwarta, nie, wiedźma śpi na górze, w pokoju pełnym lalek.

- Lalek?

- No tak, jak w dzieciennym pokoju. Tylko że tak naprawdę, to wcale nie śpi, tylko jakby się naćpała, nie?

- Była w transie - podpowiedziała Natalie.

Louis przeniósł na nią wzrok.

- Tak. Właśnie tak.

- Co było potem? - wtrącił się Gentry.

Louis się rozpromienił.

- Potem poderżnąłem jej gardło, facet.

- Nie żyje? - upewnił się Leroy.

Uśmiech Louisa jeszcze się rozszerzył.

- Nie żyje. Na amen.

- A biały potwór? - zapytał Marvin. - Co z nim?

- Znaleźliśmy go w kuchni. Ostrzył to swoje wielgachne żelastwo.

- Kosę? - upewniła się Natalie.

- Tak. No i miał też nóż. To nim mnie tak ciachnął, jak żeśmy mu tą kosę

zabrali. Ale później Setch i George go posiekali. Tak na maksa. Poderżnęli mu gardło.

- Nie żyje?

- No.

- Na pewno?

- Na pewno, kurwa! Co ty sobie myślisz, facet, że ja nie umiem trupa rozpoznać?

Marvin obserwował Louisa. Jego oszałamiająco niebieskie oczy lśniły dziwnym blaskiem.

- Ten biały skurwysyn zabił pięciu naszych dobrych braci, Louis, w tym Mohammeda, który był wielki jak byk; miał sześć stóp i dwa cale wzrostu. Jak to możliwe, że we trzech z Setchem i małym George'em tak łatwo sobie z nim poradziliście?

- Nie wiem, facet. Ale po tym, jak zarzezałem wiedźmę, to z tego białasa taki zwykły białas się zrobił, żaden potwór, cherlawy biały gówniarz. Płakał, jak mu Setch gardło podrzynał.

Marvin pokręcił głową.

- No nie wiem, facet... Jakoś to za łatwo poszło. Psy się w to nie wmieszały?

Louis tylko na niego patrzył.

- Stary, daj spokój - powiedział w końcu. - Setch kazał cię przyprowadzić. Chcesz ich zobaczyć czy nie?

- Chcę - przytaknął Marvin. - Pewnie, że chcę.

- Ty nie idziesz - oznajmił Gentry.

- Jak to, nie idę? - zdziwiła się Natalie. - Marvin chce, żebym robiła zdjęcia.

- Nie obchodzi mnie, czego chce Marvin. Zostajesz.

Rozmawiali na piętrze, w odgradzonej zasłoną wnęce. Cały gang zebrał się na dole. Gentry wniósł na górę walizkę i w tej chwili przebierał się właśnie w sztruksy i sweter. Krew przesiąkła mu przez bandaż na żebrach.

- Jesteś ranny - przypomniała mu. - Też nie powinienes iść.

- Muszę sprawdzić, czy ta Fuller naprawdę nie żyje.

- Ja też chcę to...

- Nie. - Gentry włożył kurtkę puchową i odwrócił się do Natalie. - Posłuchaj... - Musnął jej policzek. - Proszę cię, jesteś... jesteś dla mnie ważna.

Natalie przysunęła się ostrożnie, starając się nie urazić jego zranionego boku. Zadarła głowę, pocałowała go i wtuliła twarz w wełniany sweter Gentry'ego.

- Ty też jesteś dla mnie ważny, Rob.

- Cieszę się. Wrócę, jak tylko się zorientuję w sytuacji.

- A zdjęcia?

- Wezmę twój aparat. Mogę?

- Pewnie. Po prostu źle się czuję z tym... - zaczęła Natalie.

- Posłuchaj no... - wszedł jej w słowo Gentry i ze swoim najlepszym południowym akcentem dodał: - Ten cały Marvin? To nie jest głupi gość. Nie będzie ryzykował bez potrzeby.

- Przede wszystkim ty nie ryzykuj bez potrzeby.

- Tak jest, szanowna pani. No, czas na mnie.

Przyciągnął ją do siebie w długim, namiętym pocałunku, przy którym zupełnie zapomniała o jego żebrach, zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała go ze wszystkich sił.

Z okna na piętrze Natalie odprowadzała wzrokiem wyruszającą z domu ekipę. Z Louisem poszli Marvin, Leroy, wysoki Calvin, ponury, starszy od reszty Trout, dwaj bliźniacy, których nie kojarzyła, i Jackson. Były lekarz zjawiał się dosłownie w ostatniej chwili. Tylko Louis, Gentry i Jackson nie wzięli broni. Calvin i Leroy pod luźnymi kurtkami ukryli obrzyny, Trout miał dwudziestkę dwójkę z długą lufą, a bliźniacy małe i tanie pistoleciki, przez Roba nazywane „weekendowymi zabawkami”. Gentry poprosił o zwrot rugera, ale Marvin go wyśmiał: sam załadował ciężki rewolwer i wrzucił go sobie do kieszeni.

Gentry obejrzał się i pomachał Natalie nikonem na pożegnanie.

Usiadła w kącie na materacu i bardzo starała się nie rozplakać. W głowie bez przerwy obracała wszystkie możliwe rozstrzygnięcia tej sytuacji.

Jeżeli Melanie Fuller nie żyła, może będą mogli wyjechać. Może. Ale co z policjantami, o których wspomniał Rob? I co z Oberstem?

I co z Anthonym Harodem? Na myśl o tym gadziokim skurwielu poczuła gorycz w ustach. Wspomnienie strachu i nienawiści wobec kobiet, jakie były od niego przez te kilkanaście minut, kiedy znajdowała się w jego władzy, przyprawiały ją o mdłości. Żałowała, że nie skopała go po twarzy, kiedy miała ku temu okazję.

Wstała, słysząc jakiś dźwięk na schodach.

Ktoś szedł na górę, sylwetka zamajaczyła w półmroku u szczytu schodów. Natalie siedziała sama na piętrze. Pod nieobecność szefa gangu dowodził Taylor, część chłopaków rozbiegła się po okolicy, żeby zawiadomić pozostałych, część zaś została i z parteru dobiegały teraz wybuchy śmiechu. Postać ze schodów zawahała się, przystanąła i niepewnym krokiem ruszyła do światła. Natalie mignęła biała ręka, blada twarz...

Rozejrzała się pośpiesznie. Na górze nie została żadna broń. Podbiegła do stołu bilardowego - jasno oświetlonego wiszącą nad nim lampą - porwała leżący na nim kij i zamachnęła się nim na próbę, żeby poczuć, jak jest wyważony.

- Kto idzie? - spytała, ściskając kij oburącz.

- To tylko ja. - Pastor Bill Woods, oficjalny kierownik ośrodka pomocy społecznej, wszedł w krąg światła. - Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

Natalie odprężyła się trochę, ale nie odłożyła kija.

- Myślałam, że pan wyszedł.

Słabowity mężczyzna oparł się ciężko o stół i zaczął się bawić białą bilą.

- Raz siedziałem tutaj, raz gdzieś wychodziłem, i tak przez całe popołudnie. Wie pani, dokąd poszli Marvin i reszta?

- Nie.

Woods pokręcił głową i poprawił grube okulary.

- Dyskryminacja i wyzysk, których ofiarą padają te dzieciaki, są naprawdę potworne. Wie pani, że bezrobocie wśród czarnych nastolatków w tej okolicy przekracza dziewięćdziesiąt procent?

- Nie wiedziałam - przyznała Natalie.

Obeszła stół dookoła, żeby odgrodzić się nim od tego chuderlawego mężczyzny z poważną twarzą, chociaż nie wyczuwała w nim niczego niepokojącego. Co najwyżej rozpaczliwą chęć rozmowy z drugim człowiekiem.

- Otóż to. Prawie wszystkie sklepy i zakłady usługowe przy Avenue są własnością białych. Głównie Żydów. Nawet jeśli już tu nie mieszkają, wciąż decydują o interesach. Tu się nic nie zmienia.

- O co panu chodzi? - spytała Natalie.

Zastanawiała się, czy grupa Roba i Marvina dotarła już na miejsce. I co zrobi Rob, jeśli okaże się, że zabita kobieta nie była Melanie Fuller.

- O Żydów. - Woods przysiadł na skraju stołu i poprawił nogawkę spodni. Musnął wąsik, puszystą kreskę nad górną wargą, do złudzenia

przypominającą znerwicowaną gąsienicę. - Proceder wykorzystywania przez Żydów jednostek społecznie i ekonomicznie upośledzonych ma w tym kraju długą tradycję. Jest pani czarna, panno Preston. Na pewno doskonale to pani rozumie.

- Nie mam zielonego pojęcia, o co panu chodzi - odparła Natalie w tej samej chwili, gdy eksplozja na ulicy zatrzęsała całym budynkiem.

- Na miły Bóg! - wykrzyknął Woods.

Natalie podbiegła do okna.

Dwa porzucone przy krawężniku samochody stały w ogniu. Płomienie sięgały na wysokość trzydziestu stóp, oświetlając puste place, opuszczone szeregowce po drugiej stronie ulicy i widoczny na północy nasyp kolejowy. Kilkunastu członków gangu wybiegło przed dom, pokrzykując głośno i wymachując bronią.

- Wróć do świetlicy, zadzwonię po straż pożarną - zaproponował Woods.

- Tutaj też jest telefon, ale wcześniej nie działał, kiedy...

Natalie odwróciła się do niego, zdziwiona, że zawiesił głos. Woods wpatrywał się w kogoś stojącego na schodach, na samym skraju kręgu światła.

Postać była młoda, szczupła, niemal trupio wychudzona, ubrana w brudną i podartą wojskową kurtkę. Zapadnięte policzki emanowały białą poświatą, długie, skudłone włosy opadały na oczy osadzone tak głęboko, jakby płonęły w głębi jam wypalonych w mięsistej czaszce. W szeroko otwartych ustach kikut języka poruszał się jak mały, różowy, okaleczony stwór w ciemnej norze. W rękach intruz trzymał kosę wyższą niż on sam. Kiedy postąpił krok naprzód, na pokrytą łatami tynku ścianę padł dziesięciostopowy cień.

- Nie jesteś stąd - odezwał się wielebny Woods.

Kosa autentycznie świsnęła, zataczając łuk w powietrzu. Głowa pastora nie odpadła do końca - trzymała się jeszcze na strzępach tkanek miękkich i resztkach kręgosłupa, gdy ciało powoli osunęło się na stół. Rozległ się głuchy łomot, krew rozlała się po zielonym suknie i zaczęła spływać do najbliższej łuzi. Milcząca długowłosa postać wyszarpnęła kosę z ciała i zwróciła się w stronę Natalie.

Kiedy Woods wypowiadał swoje ostatnie, niedorzeczne słowa, Natalie była już zajęta wybijaniem szyby za pomocą kija bilardowego. Wszystkie okna w ośrodku były zakratowane. Natalie krzyknęła ile sił w płucach. Histeryczna nuta w jej głosie zaskoczyła ją samą i pomogła jej się otrząsnąć. Huk płomieni i jazgot okrzyków na dworze zagłuszyły jej krzyki. Nikt nie

podniósł wzroku.

Chwyciła kij za cieńszą końcówkę i doskoczyła do stołu. Stwór z kosą przesunął się w swoją prawą stronę. Natalie odpowiedziała ruchem w swoje prawo, tak żeby stół cały czas ich rozdzielał, i zerknęła w stronę schodów. Nie miała szans do nich dobiec. Nogi się pod nią uginały, bała się, że się przewróci. Wrzeszczała, krzyczała o pomoc, wymachiwała kijem i czuła, jak wzbiera w niej fala adrenaliny. Długowłose koszmar zrobił szybki ruch w prawo. Natalie też się przesunęła i znalazła odrobinę bliżej schodów. Stwór zamachnął się kosą i stłukł klosz lampy nad stołem, która zaczęła się bujać na boki.

Słyszając odgłos jakby kapania wody, Natalie spojrzała pod nogi i uświadomiła sobie, że krew nadal tryska w najlepsze z szyi trupa na stole. Dopiero teraz, na jej oczach, krwotok ustał. W rozkołysanym świetle przedmioty rzucały niesamowite cienie, a krew i sukno zmieniały kolor z czerwonego i zielonego na czarny i szary.

Wrzasnęła przeraźliwie, gdy stwór po drugiej stronie wyskoczył nagle w powietrze, przefrunął nad stołem i szerokim łukiem ciął kosą.

Uskoczyła przed ostrzem w dół, zasłaniając się skierowanym do góry kijem jak dzidą. Przyklęknęła na jedno kolano. Czubek kija zaczepił o kurtkę napastnika, a jego nasada zaparła się o podłogę, gdy zadziałał jak dźwignia i przerzucił stwora nad głową Natalie.

Stwór z łomotem upadł na wznak. Leżąc, ciął kosą poziomo na wysokości stóp Natalie, aż ostrze zgrzytnęło na deskach podłogi. Natalie podskoczyła dwie stopy w górę, uniknęła cięcia i popędziła ku schodom. Napastnik zdążył tymczasem przetoczyć się i wstać. Natalie rzuciła w niego kijem i usłyszała, że trafiła, ale nie oglądała się, żeby zobaczyć efekt swoich wysiłków: zbiegła na parter, przesadzając po trzy stopnie na raz. Ciężkie kroki dudniły za jej plecami.

Wypadła na korytarz, przy wejściu do kuchni zderzyła się z Karą, odbiła się od niej i pobiegła dalej.

- Gdzie ci się tak śpieszy, dziewczyno?! - zawołała za nią Kara.

- Uciekaj!

Drzewce kosy trafiło Karę prosto między oczy i piękna młoda kobieta upadła na ziemię, nie wydawszy żadnego dźwięku. Po drodze uderzyła jeszcze głową w kuchenkę. Natalie z impetem wypadła przez tylne drzwi, przeskoczyła nad barierką werandy, spadła na zmrożony grunt cztery stopy niżej, przeturlała się po nim, zerwała na nogi i pobiegła przed siebie, zanim

drzwi zdążyły się drugi raz otworzyć.

W zimnym nocnym powietrzu biegła przez nierówne pustkowie na tyłach ośrodka, wpadła w smoliście ciemny zaułek, przebiegła przez ulicę, skręciła w kolejną boczną uliczkę. Kroki za jej plecami łomotały coraz głośniejsze, coraz bliżej. Słyszała ciężki oddech, chrapliwe, zwierzęce dyszenie.

Pochyliła się i biegła dalej.

27.

Germantown

28 grudnia 1980, niedziela

Tony Harod półprzytomnie rejestrował rozmowę Colbena i Keplera, kiedy w niedzielę wieczorem wracali do Chestnut Hills Inn. Półośzał na tylnej kanapie samochodu z okładem z lodu i na przemian to skupiał się na ich rozmowie, to gdzieś odpływał, w miarę jak fale bólu przepływały mu przez szyję i głowę. Nie do końca wiedział, co w samochodzie robi Joseph Kepler. I skąd się tam wziął.

- Bardzo to było nieudolne, moim zdaniem - powiedział właśnie Kepler.

- To prawda - zgodził się z nim Colben - ale nie powiesz mi chyba, że źle się bawiłeś? Widziałeś miny pasażerów, kiedy ta kobieta za kierownicą wcisnęła gaz do dechy?

I parsknął osobliwie dzieciennym śmiechem.

- A teraz będziesz się musiał tłumaczyć z trzech trupów, pięciu rannych i rozbitego autobusu.

- Haines się tym zajął, spokojnie. Pamiętaj, że w tej sprawie mamy plecy aż do samej góry.

- Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby Barent się ucieszył, jak się dowie.

- Barent niech się wali.

Harod z jękiem otworzył oczy. Było ciemno i pusto na ulicach. Każdy podskok samochodu na nierównej nawierzchni albo torach tramwajowych przyprawiał go o spazm bólu u podstawy czaszki. Chciał coś powiedzieć, ale nagle stwierdził, że obrzmiały język nie funkcjonuje jak należy. Postanowił zamknąć oczy.

- ...było najważniejsze: zatrzymać ich w zabezpieczonym rejonie.

- Musieliśmy robić za wsparcie. A gdyby nas zabrakło?

- Ale nie zabrakło. Myślisz, że zostawiłbym jakąś naprawdę ważną sprawę w rękach tego kutafona na tylnym siedzeniu?

Harod z zamkniętymi oczami zastanawiał się, kogo Colben ma na myśli.

Znow zabrał głos Keplera:

- Jesteście pewni, że to staruszek Używa tej dwójki?

- Willi Borden? - upewnił się Colben. - Nie, ale jesteśmy pewni, że Używał Żyda. I wiemy, że ci dwoje spiknęli się z Żydem. Barent uważa, że fryc knuje coś poważniejszego niż tylko danie Traskowi nauczki.

- Ale dlaczego w ogóle Borden miałby mieć na pieńku z Traskiem?

Colben znów parsknął swym charakterystycznym śmiechem.

- Dlatego że stary Nieman wysłał swoich łataczy do Niemiec, żeby zlikwidowali Bordena. Oni wrócili w workach na zwłoki, a jak skończył Trask, to sam widziałeś.

- A co Borden robi tutaj? Chce dorwać tę staruchę?

- A kto go tam wie, do cholery... Wszyscy ci starzy pierdziele są porypani jak karaluchy.

- Wiecie, gdzie teraz jest?

- A myślisz, że chrzanilibyśmy się tutaj ze starą Fullerową, gdybyśmy wiedzieli? Barent twierdzi, że ona jest naszą najlepszą przynętą, ale ja zaczynam mieć naprawdę serdecznie dość tego czekania. Opędzanie się od miejscowej policji i służb miejskich kosztuje nas masę wysiłku.

- Zwłaszcza kiedy Używasz autobusów w taki sposób - zauważył Kepler.

- Kiedy my ich Używamy - poprawił go Colben i obaj się roześmiali.

Maria Chen ze zdumieniem patrzyła, jak Colben i jakiś nieznany jej mężczyzna prawie wnoszą Tony'ego Haroda do hotelowego apartamentu.

- Twój szef ugryzł dziś więcej, niż był w stanie przełknąć - powiedział Colben, puszczając rękę Haroda, który osunął się na kanapę.

Harod próbował przysiąść na skraju kanapy, ale zachwiał się i opadł na poduszki.

- Co się stało? - spytała Maria.

- Zazdrosny chłopak przyłapał Tony'ego w sypialni swojej damy - wyjaśnił ze śmiechem Colben.

- Lekarz w centrali już go obejrzał - dodał nieznajomy, który z wyglądu przypominał trochę Charltona Hestona. - Według niego to najwyżej lekkie wstrząśnienie mózgu, nic poważnego.

- Musimy wracać - powiedział Colben. - Ponieważ pan Harod był łaskaw zjeść nam całą akcję, w mieście czarnych lada chwila rozpęta się piekło. - Wyciągniętym palcem wskazał Marię. - Przypilnuj, żeby o dziesiątej rano stawił się w przyczepie w centrum dowodzenia. Zrozumiałaś?

Maria nie odpowiedziała, jej twarz też niczego nie wyrażała. Colben odchrząknął, jakby z satysfakcją, i obaj intruzi wyszli.

Harod przez cały wieczór miał zaniki świadomości. Doskonale pamiętał wielokrotne rzyganie w małej wykafelkowanej łazience; przypominał sobie,

jak Maria ostrożnie pomogła mu się rozebrać; pamiętał chłodny dotyk pościeli na skórze. Ktoś przez noc robił mu zimne kompresy na głowę. Raz się ocknął i zobaczył leżącą obok, w łóżku, Marię Chen; białe majtki i stanik odcinały się od jej śniadej skóry. Wyciągnął do niej rękę, poczuł atak zawrotów głowy i na parę sekund zamknął oczy.

Obudził się o siódmej rano, dręczony najgorszym kacem-mordercą w życiu. Sięgnął ręką na drugą połowę łóżka, nie znalazł nikogo na miejscu Marii i z jękiem usiadł. Siedząc na krawędzi łóżka, zastanawiał się, w którym motelu na Sunset Strip się znajduje, kiedy wszystko sobie przypomniał.

- Rany boskie... - mruknął.

Prysznic i golenie zajęły mu czterdzieści pięć minut. Był święcie przekonany, że każdy gwałtowniejszy ruch grozi mu oderwaniem głowy, a nie miał ochoty łązić potem na czworakach i szukać jej na oślep.

Ledwo owinął się pomarańczowym szlafrokiem i przeczłapał do salonu, gdy Maria Chen wparowała tam głośno i bezceremonialnie.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Akurat...

- Piękny dzień mamy.

- Chrzanię to.

- Przyniosłam śniadanie z kafejki. Zjedzmy coś.

- Weź się, kurwa, zamknij, dobrze?

Maria z uśmiechem postawiła białe torebki z jedzeniem na blacie w głębi pokoju i wyjęła z torebki browninga.

- Posłuchaj, Tony. Jeszcze raz zaproponuję ci wspólne śniadanie. Jeżeli znowu usłyszę w odpowiedzi przekleństwo... albo choćby cień ponuractwa... wywalę cały magazynek prosto w tę lodówkę. Podejrzewam, że taki hałas nie zrobi ci dobrze, biorąc pod uwagę twój delikatny stan.

Harod wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Nie odważysz się...

Maria odciągnęła suwadło pistoletu, wycelowwała w lodówkę i odwróciła głowę, mrużąc oczy.

- Zaczekaj!

- Zjesz ze mną śniadanie?

Harod rozmasował skronie.

- Z przyjemnością - odparł w końcu.

Maria przyniosła cztery styropianowe kubki z pokrywkami i kiedy już zjedli jajka, bekon i wystygłe przysmażone ziemniaki, każde sięgnęło po drugą kawę.

- Zapłaciłbym dziesięć tysięcy dolarów, żeby tylko się dowiedzieć, kto mnie tak walnął.

Maria podała mu książeczkę czekową i pióro, którym uroczyście podpisywał kontrakty.

- Szeryf Bobby Joe Gentry - powiedziała. - Pochodzi z Charleston. Barent uważa, że przyjechał tu za dziewczyną, która przyjechała za Melanie Fuller, i że wszyscy oni mają coś wspólnego z Willim.

Harod odstawił kubek i połą szlafroka wytarł rozchlapaną kawę.

- A ty skąd o tym wiesz, do diabła?

- Od Josepha.

- Jakiego Josepha, kurwa?!

Maria Chen zamokła z dezaprobatą i wskazała na lodówkę.

- Jakiego Josepha? - powtórzył Harod.

- Josepha Keplera.

- Keplera. Śniło mi się, że tu był. Ale co by tu miał robić Kepler, do jasnej cholery?

- Pan Barent go przysłał. Kepler i Colben byli wczoraj akurat przed hotelem, kiedy ludzie Hainesa dali znać, że szeryf z dziewczyną próbują uciec. A pan Barent nie chciał, żeby uciekli. To pan Colben pierwszy Użył autobusu.

- Czego?

Maria wyjaśniła Harodowi, o co chodzi.

- Pięknie, kurwa. Pięknie. - Harod przymknął powieki i zaczął sobie masować głowę. - Przez tego wsiowego glinę będę miał guza wielkiego jak ego Warrena Beatty. Czym on mi tak przywalił?

- Pięścią.

- Nie chrzań?

- Nie chrzanię.

Harod otworzył oczy.

- I wszystko to usłyszałaś od tego pryszczaka na dupie, J.P. Keplera. Przespałaś się z nim?

- Rano poszliśmy razem pobiegać.

- Zatrzymał się tutaj?

- W pokoju tysiąc dziesięć, obok Hainesa i pana Colbena.

Harod wstał, złapał równowagę i chwiejnie ruszył w stronę łazienki.

- Pan Colben życzył sobie, żebyś o dziesiątej zameldował się w centrum dowodzenia - powiedziała Maria.

Harod się uśmiechnął, zawrócił i wziął pistolet.

- Powiedz mu, żeby go sobie wsadził w dupę.

Telefon rozdzwonił się o 10:13. Dwie i pół minuty później Tony Harod usiadł i na oślep sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

- Harod? Przyjeżdżaj natychmiast, do cholery.

- To ty, Chuck?

- Tak, to ja.

- Odpierdol się.

Drugi raz - wieczorem - telefon odebrała Maria. Harod właśnie skończył się ubierać przed wyjściem na kolację.

- Do ciebie, Tony.

Harod wziął słuchawkę.

- Powinieneś to zobaczyć - powiedział Kepler.

- Co?

- Szeryf, z którym wczoraj się zabawiałeś, wyściubił nos z dziury.

- Tak? Gdzie?

- Przyjedź do centrum dowodzenia, to zobaczysz.

- Możecie przysłać po mnie samochód?

- Jeden z naszych agentów w motelu cię podrzuci.

- W porządku. Posłuchaj, nie dajcie skurwielowi uciec, dobrze? Mam z nim porachunki.

- To się pośpiesz.

Było ciemno, a śnieg walił obficie, kiedy Harod zameldował się w przyczepie. Kepler zerknął w jego stronę znad jednego z monitorów.

- Dobry wieczór, Tony. Dobry wieczór, panno Chen.

- Gdzie ten wsiowy pies, w dupę jebany? - zapytał Harod.

Kepler wskazał mu monitor pokazujący obraz domu Anne Bishop i pustej ulicy.

- Jakies dwadzieścia minut temu minęli posterunek zespołu niebieskiego przy Queen Lane.

- A gdzie jest teraz?

- Nie wiemy. Ludzie Colbena nie mogli ich śledzić.

- Jak to, nie mogli? Chryste Panie, Colben ma tu chyba ze trzydziestu, jeśli nie czterdziestu agentów...

- Prawie stu. Rano Waszyngton przysłał posiłki.

- I co, stu agentów FBI nie było w stanie śledzić jednego grubego, białego gliny w getcie pełnym czarnuchów?

Kilku ludzi przy monitorach uniosło z dezaprobatą wzrok. Kepler skinął na Haroda i Marię, żeby przeszli do biura Colbena.

- Zespół złoty miał śledzić szeryfa i towarzyszących mu młodych czarnych - powiedział, zamknąwszy za sobą drzwi. - Nasi ludzie nie mogli jednak wykonać tego rozkazu, ponieważ ich wóz operacyjny uległ tymczasowemu uszkodzeniu.

- A to co za nowomowa?

- Ktoś poprzebijał im opony w samochodzie udającym furgonetkę AT&T. Harod parsknął śmiechem.

- To co, nie mogli iść piechotą?

Kepler rozparł się wygodnie w fotelu Colbena i splótł dłonie na płaskim brzuchu.

- Po pierwsze, na tej zmianie w zespole złotym byli sami biali; uznali, że za bardzo będą się rzucać w oczy. Po drugie, mieli zakaz opuszczania samochodu.

- Dlaczego?

Kepler uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- To zła dzielnica. Colben i inni bali się, że ktoś go obrobi.

Harod zaniósł się śmiechem.

- A gdzie się w ogóle podział nasz mały Chucky? - zapytał, kiedy wreszcie spoważniał.

Kepler ruchem głowy wskazał krótkofalówkę leżącą na pulpicie pod północną ścianą biura. Z głośnika płynęły trzaski i niezrozumiałe bełkotanie.

- Lata helikopterem.

- Mogłem się domyślić. - Harod założył ręce na piersi i zmarszczył brwi. - Pokażcie mi tego przekłętą szeryfa. Chcę się dowiedzieć, jak wygląda.

Kepler pstryknął przyciskiem interkomu i powiedział coś cicho. Pół minuty później na wbudowanym w pulpit monitorze wyświetliło się nagranie z kamery pokazującej Gentry'ego i pozostałych. Pracująca w podcierwieni kamera odwzorowała obraz w odcieniach bieli i zieleni, ale Harod wyraźnie

dostrzegł otyłego białego mężczyznę w grupie młodych Murzynów. U dołu kadru widniały białe cyfry, oznaczenia literowe i zegar.

- Niedługo znów się spotkamy... - wyszeptał Harod.

- Drugi zespół już ich szuka - powiedział Kepler. - Na piechotę. Zresztą jesteśmy prawie pewni, że cała ekipa wróci później do tego ośrodka pomocy społecznej, gdzie gang ma swoją siedzibę.

Radio zaskrzeczało znieczeka. Kepler podkreślił głośność. Głos Colbena drżał z podniecenia:

- Czerwony jeden do centrali. Czerwony jeden do centrali. Pożar na ulicy przy CPS-jeden. Powtarzam: pożar... nie, dwa pożary na ulicy przy CPS-jeden.

- Co to jest CPS? - zainteresowała się Maria Chen.

- Centrum pomocy społecznej - odparł Kepler. - Wielki, stary dom, o którym przed chwilą mówiłem. Siedziba gangu. Charles rozwija ten skrót jako „Czarnuchy Precz Stąd”.

Monitor pokazywał teraz pożar widziany z odległości pół przecznicy; kamera musiała się znajdować w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku. W nocnym obiektywie płonące samochody stały się dwiema oślepiająco białymi plamami światła, które rozlały się na cały ekran. Operator kamery przełączył się na inny obiektyw i obraz pociemniał, ale i tak doskonale było widać wybiegające z domu ciemne, uzbrojone sylwetki. Kepler włączył dźwięk.

- ...nie potwierdzam. Powtarzam: nie potwierdzam. Tu zespół zielony przy CPS-jeden. Ani śladu intruza.

- Niech to szlag! - zaklął Colben. - Zespoły żółty i szary: przeczesać teren. Fioletowy, widzicie kogoś na północy?

- Nie, nikogo nie widać.

- Centrala, słyszycie to?

- Potwierdzam - zabrzmiał znudzony głos jednego z agentów z sąsiedniego pomieszczenia w przyczepie.

- Przyślijcie WSR, ten z wczoraj. Niech to zgaszą, zanim straż przyjedzie.

- Przyjąłem.

- Jaki WSR? - zdziwił się Harod.

- Wóz szybkiego reagowania. Colben sprowadził go specjalnie z Nowego Jorku. Między innymi dlatego ta operacja kosztuje dwieście tysięcy dolarów.

Harod pokręcił głową.

- Stu federalnych. Helikopter. WSR. A wszystko po to, żeby dorwać

dwoje starszych, którym już dawno wypadły zęby.

- Być może - przyznał Kepler, kładąc nogi na biurku Colbena i moszcząc się w jego fotelu - ale jedno z nich wciąż umie kąsać.

Harod i Maria przysunęli sobie krzesła, rozsiedli się wygodnie i zaczęli śledzić widowisko.

We wtorek o dziewiątej rano Colben zwołał konferencję na wysokości pięciu tysięcy stóp. Harod z nieskrywanym niesmakiem wsiadł do śmigłowca. Kepler i Maria Chen uśmiechnęli się do siebie, oboje jeszcze zarumienieni po sześciomilowej przebieżce po Chestnut Hill. Richard Haines usiadł w fotelu drugiego pilota; ukryta za lotniczymi okularami twarz neutrala Colbena pozostała niewzruszona. Sam Colben odwrócił się wraz z fotelem i usiadł twarzą do trójki pasażerów na tylnej kanapie. Śmigłowiec wzbił się w powietrze i skierował najpierw na południe do rzeki i Fairmount Park, następnie na wschód do autostrady, potem na północ i zachód - z powrotem do Germantown.

- W dalszym ciągu nie wiemy, o co poszło w tej wczorajszej rozróbie - zagaił Colben. - Czarni postrzelali do siebie nawzajem. Może to sprawka Williego albo tej starej baby, nie wiadomo, ale szybko rosnąca liczba ofiar chyba pomogła Barentowi w podjęciu decyzji: mamy zielone światło. Możemy działać.

- Świetnie - powiedział Harod. - Dziś wieczorem stąd spadam.

- Niezupełnie. Mamy czterdzieści osiem godzin na to, żeby wykurzyć twojego kumpla Williego z nory. Potem zajmujemy się tą suką, Fuller.

- Nawet nie wiecie, czy Willi tu jest! Ja nadal uważam, że facet nie żyje.

Colben pokręcił głową i wycelował palec w Haroda.

- Wcale tak nie uważasz. Wiesz równie dobrze jak my, że stary skurwiol jest gdzieś w pobliżu i coś knuje. Nie wiemy, czy Fuller z nim współpracuje, czy nie, ale najdalej w czwartek nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- Po co tyle czekać? - zdziwił się Kepler. - Harod jest na miejscu, twoi ludzie też...

Colben wzruszył ramionami.

- Barent chce się posłużyć tym Żydem. Jeżeli Willi chwyci przynętę, wkraczamy natychmiast; jeżeli nie, likwidujemy Żyda, wykańczamy staruchę i patrzymy, co z tego wyniknie.

- Co to za Żyd? - zainteresował się Tony Harod.

- Jeden z dawnych pionków twojego kumpla Williego. Barent zrobił mu

warunkowanie i teraz chce nim poszczuć starego fryca.

- Przestań nazywać go „moim kumplem” - warknął Harod.

- Jak chcesz. „Twój szef” będzie lepszy?

- Przestańcie - wtrącił beznamiętnie Kepler. - Powiedz Harodowi, jaki jest plan.

Colben odwrócił się na chwilę i powiedział coś do pilota. Śmigłowiec zawisł w miejscu pięć tysięcy stóp nad szaro-burymi regularnymi zarysami Germantown.

- W czwartek rano odgradzamy okolicę kordonem - zaczął Colben. - Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Fuller jest namierzona. Już teraz wiemy, że zazwyczaj spędza noc w Grumblethorpe, tej starej szopie przy Germantown Avenue. Haines będzie dowodził zespołem taktycznym. Mają wyważyć drzwi i zająć się Bishop i tym gnojkiem, którego Fuller Używa. Tobie zostanie tylko Melanie Fuller, Tony.

Harod z założonymi na piersi rękami wyjrzał przez okno.

- I co?

- Zlikwidujesz ją.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Barent mówi, że możesz w tym celu Użyć kogo będziesz chciał, ale to ty masz to zrobić.

- Dlaczego ja?

- Wpisowe, Harod. Wpisowe.

- Myślałem, że będziecie chcieli ją przesłuchać.

- Zastanawialiśmy się nad tym - przyznał Kepler - ale pan Barent uznał, że lepiej będzie ją zneutralizować. Naszym głównym celem jest wywabienie staruchy z kryjówki.

Harod przygryzł paznokciec kciuka, wodząc wzrokiem po dachach domów.

- A jeżeli nie uda mi się jej... zlikwidować?

Colben się uśmiechnął.

- Wtedy my się tym zajmiemy, a w prezydium Klubu nadal będzie wakat. Nikt się z tego powodu nie zapłacze, Harod.

- Ale najpierw musimy spróbować z tym Żydem - przypomniał Kepler. - Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

- Kiedy zaczynacie? - spytał Harod.

Colben spojrział na zegarek.

- Już zaczęliśmy. - Dał pilotowi znak, żeby obniżył lot. - Chcecie zobaczyć, co z tego wyniknie?

28.

Melanie

Weekend upłynął nam spokojnie.

W niedzielę Anne przyrządziła sympatyczną kolację dla całej naszej trójki: nadziewane żeberka wyszły jej całkiem nieźle, nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że ma skłonność do rozgotowywania warzyw. Po kolacji Vincent pomógł jej uprzątnąć stół, ja tymczasem popijałam herbatę z jej najlepszego porcelanowego serwisu. Nagle zatęskniłam za moim wedgwoodem, zbierającym kurz w Charleston.

Byłam zbyt zmęczona, żeby znów wysłać Vincenta na ulice, mimo że zdjęcie ogromnie mnie zaciękało. Wszystko mogło poczekać, na razie najważniejsze były głosy w pokoju dzieciennym. Z dnia na dzień stawały się coraz wyraźniejsze i teraz już prawie, prawie mogłam je zrozumieć. Poprzedniego wieczoru - po tym, jak wykąpałam Vincenta, ale jeszcze przed pójściem spać - udało mi się je rozdzielić i przypisać odrębnym osobom, których było co najmniej troje: chłopiec i dwie dziewczynki. Nie powinnam się chyba dziwić, że w dwustuletnim pokoju dzieciennym rozbrzmiewają dziecięce głosy.

W niedzielę późnym wieczorem, po dziewiątej, Anne i Vincent wrócili ze mną do Grumblethorpe. Gdzieś niedaleko zawodziły syreny. Zamknawszy drzwi i zabezpieczywszy okna okiennicami, zostawiłam Anne w bawialni, a Vincenta w kuchni, i udałam się na piętro. Noc była zimna. Wśliznęłam się pod koce i zapatrzyłam na żarzące się w półmroku włókna grzejnika. Oczy manekina pałały odbitym blaskiem, nieliczne ocalałe kępki włosów na jego głowie lśniły pomarańczowa poświatą.

Głosy brzmiały bardzo wyraźnie.

W poniedziałek wypuściłam Vincenta na dwór.

Zwykle nie pozwalałam mu wychodzić z domu za dnia (to była paskudna dzielnica), ale musiałam się czegoś dowiedzieć o tej fotografii.

Wziął ze sobą nóż i rewolwer, który pożyczyłam od taksówkarza z Atlanty. Na kilka godzin przyczaił się na wyszarpanej tylnej kanapie porzuconego samochodu, obserwując mijających go kolorowych nastolatków. W pewnym momencie zarośnięty pijaczyna zajrzał do środka przez tylne okno i coś krzyknął, na co Vincent otworzył usta i zasyczał.

Pijaczek zniknął równie szybko, jak się pojawił.

W końcu Vincent zobaczył kogoś znajomego - jednego z trzech widzianych w sobotnią noc chłopców, tego, który wtedy mu uciekł. Szedł ulicą w towarzystwie krępego nastolatka i jeszcze jednego, starszego chłopaka. Vincent odczekał, aż oddalą się na długość przecznicy, po czym ruszył ich śladem.

Minęli dom Anne i poszli dalej na południe, gdzie nasyp kolejki dojazdowej tworzył sztuczny wąwóz. Znaleźli się na wąskiej uliczce biegnącej ze wschodu na zachód i weszli do jednego ze stojących przy niej opuszczonych budynków wielorodzinnych. Dom był osobliwą karykaturą dworku sprzed wojny secesyjnej: cztery nieproporcjonalne kolumny opadające z płaskiego daszku nad wejściem, wysokie okna z próchniejącymi nadprożami, resztki ogrodzenia z kutego żelaza wytyczające granice parceli, ścięte mrozem zielsko i zardzewiałe puszkę po konserwach. Okna na parterze były zabite deskami, a główne drzwi zamknięte na łańcuch, chłopcy weszli więc do środka przez piwniczne okienko z rozgiętymi kratami i wybitą szybą.

Vincent truchtem wrócił cztery przecznice do domu Anne. Kazałam mu wziąć największą puchową poduszkę z łóżka Anne, upchnąć ją w ogromnym plecaku i biegiem wracać do tamtego domu. Był szary, zmęczony dzień. Z nisko zawieszonych chmur bez przekonania prószył śnieg. Powietrze śmierdziało spalinami i starym dymem z cygar. Ruch był niewielki. Kiedy Vincent wepchnął przez okno plecak i sam zaczął się za nim gramolić, gdzieś niedaleko z głośnym turkotem przejechał pociąg.

Chłopcy siedzieli na drugim piętrze, wśród odłamków tynku i kałuż lodowatej wody. Przez powybijane okna i dziury w spróchniałym stropie przetrzało szare niebo. Graffiti pokrywało każdy cal powierzchni ścian. Wszyscy trzej klęczeli, jakby oddawali cześć białemu proskowi bulgoczącemu na łyżeczkach trzymany nad płomieniem alkoholowego palnika. Każdy z chłopców obnażył lewe ramię i przewiązał sobie biceps gumową opaską. Przed nimi, na rozłożonych na podłodze brudnych szmatach, leżały strzykawki. Patrząc na nich oczami Vincenta, uświadomiłam sobie, że to naprawdę jest sakrament, najświętszy sakrament Kościoła Rozpaczy, gromadzącego współczesnych wielkomiejskich Murzynów.

Dwaj z nich podnieśli wzrok na Vincenta, gdy wynurzył się z cienia zasłaniając się poduszką jak tarczą. Młodszy - ten sam, któremu w sobotę daliśmy się wymknąć - usiłował coś krzyknąć. Vincent strzelił mu prosto w

otwarte usta. Pióra pofrunęły jak śnieg, w powietrzu rozszedł się swąd osmalonej powłoczki. Starszy z chłopców okręcił się w miejscu i próbował czmychnąć na klęczkach, gramoląc się przez zalegającą podłogę bryły tynku. Vincent strzelił dwa razy: pierwsza kula rzuciła chłopaka na brzuch, drugi pocisk chybił celu. Chłopak przeturlał się na wznak, trzymając się za brzuch i wijąc spazmatycznie niczym potwór z morskich głębin wyrzucony przez fale na niegościnnie ląd. Vincent przycisnął poduszkę do przerażonej twarzy Murzyna, wcisnął w nią pistolet i jeszcze raz pociągnął za spust. Nastąpiło gwałtowne wierzgnięcie, po czym spazmy ustały.

Vincent uniósł rewolwer i odwrócił się w stronę trzeciego z chłopców, tego krępego: klęczał tam, gdzie na początku, z wytrzeszczonymi oczami i gotową do użycia strzykawką. Na jego tłustej czarnej twarzy malowało się coś na kształt religijnej bojaźni.

Vincent schował broń do kieszeni i otworzył długi nóż. Chłopiec próbował się poruszyć, ale robił to przesadnie powoli, jakby znajdował się pod wodą. Vincent kopnął go w czoło, powalił na wznak i ukłękął mu na piersi. Strzykawka potoczyła się po brudnej podłodze. Vincent oparł czubek ostrza na gardle chłopaka, tuż obok jabłka Adama.

Uświadomiłam sobie, że mam pewien problem. Większość energii musiałam w tej chwili przeznaczyć na powstrzymywanie Vincenta, a chciałam się przecież dowiedzieć od złapanego przez niego chłopca czegoś na temat mojego zdjęcia: kto przywiózł je do Filadelfii, jak trafiło w ręce tej kolorowej hołoty i do czego było im potrzebne. Vincent jednak nie mógł zadać tych pytań. Wcześniej przeszło mi przez myśl, że mogłabym Użyć czarnego chłopca bezpośrednio, ale teraz wydało mi się to niemożliwe. Owszem, można Użyć kogoś, kogo nie spotkało się wcześniej osobiście; jest to trudne, ale wykonalne, kilkakrotnie tak robiłam, wykorzystując uwarunkowanego pomocnika jako narzędzie kontaktu. W tym jednak wypadku trudności były dwojakiej natury. Po pierwsze, przesłuchanie kogoś, kogo jednocześnie się Używa, jest niezmiernie trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Daje się wprawdzie wyczuć powierzchowne myśli takiej osoby, zwłaszcza w chwili pierwszego kontaktu, ale niezbędny do Użycia akt stłamszenia woli ma przykry efekt uboczny polegający na przytłumieniu lub nawet wyłączeniu wszelkich racjonalnych procesów myślowych. Z równym powodzeniem mogłam próbować czytać w myślach grubego Murzyna, jak on w moich;

Użycie go przypominałoby siedzenie za kierownicą odrażającego, lecz

niezbędnego (na krótką przejażdżkę) pojazdu: dowiozłby mnie na miejsce, ale na pewno nie odpowiedziałby na moje pytania. Po drugie, gdybym skoncentrowała się na grubasie na tyle, żeby skutecznie go Użyć (i, być może, kazać mu przejść do domu Anne), nie miałam pewności, czy warunkowanie Vincenta wystarczy, żeby pohamować jego naturalne impulsy i powstrzymać go od podejrzenia chłopcu gardła.

Ot, dylemat.

Ostatecznie kazałam Vincentowi zatrzymać chłopca na miejscu i wysłałam do nich Anne. Nie byłam zachwycona perspektywą, że zostanę sama, nawet w Grumblethorpe, ale nie miałam wielkiego wyboru. Nie chciałam sprowadzać chłopca ani do Grumblethorpe, ani do domu Anne, gdzie ktoś mógłby zobaczyć albo jego, albo Vincenta.

Anne pojechała na miejsce swoim deSoto. Zaparkowała kawałek dalej przy ulicy i starannie zamknęła drzwiczki. Miałyby kłopot z wciśnięciem się do piwnicy przez okno, kazałam więc Vincentowi zwlec krępego Murzyna na parter i wyłamać zamek w bocznych drzwiach. Kiedy Anne zaczęła zadawać pytania, w pokoju na parterze panował mrok.

- Skąd wzięliście to zdjęcie?

Chłopak wybałuszył oczy i oblizał wargi.

- Jakie zdjęcie?

Vincent uderzył go poniżej pasa, bardzo mocno. Murzyn stęknął, szarpnął się, a Vincent znów przyłożył mu nóż do gardła.

- Zdjęcie kobiety w starszym wieku. Miał je przy sobie jeden z chłopców, którzy zginęli w sobotę - odparła półgłosem Anne. Ze względu na solidne warunkowanie, mogłam z łatwością Używać jej, powstrzymując jednocześnie zapędy Vincenta.

- Chodzi ci o wiedźmę? - sapnął chłopiec. - Ale to przecież nie ty!

Anne uśmiechnęła się równocześnie ze mną.

- Kim jest wiedźma?

Chłopak próbował przełknąć ślinę. Miał komiczny wyraz twarzy.

- To ona kieruje potwo... kieruje tym kolesiem. Mówi mu, co ma robić.

Tak powiedziała ta babka.

- Jaka babka?

- Ta, co tak śmiesznie mówi.

- Co to znaczy, śmiesznie mówi?

- No wiesz... - Chłopak dyszał jak po długim biegu. - Jak gruba, biała Świnia gdzieś z Południa.

- I to ona przyniosła wam zdjęcie? Czy może raczej ten... policjant z nadwagą?

- Ona. Przedwczoraj. Szukała więdźmy. Jak tylko Marvin zobaczył zdjęcie, od razu sobie o niej przypomniał. Teraz wszyscy jej szukamy.

- Szukacie kobiety ze zdjęcia, tej... więdźmy.

- No tak.

Chłopak próbował się wywinąć Vincentowi, ale ten nasadą dłoni uderzył go w skroń, przetoczył na bok, dwa razy wyrzwał jego głową o ścianę i podniósł go za rozdartą koszulę. Czubek noża zawisł cał nad okiem Murzyna.

- Teraz porozmawiamy - zapowiedziała spokojnie Anne. - Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Zrobił dokładnie to, co mu kazała.

Wyprowadziłam Vincenta z pokoju i dopiero wtedy Użyłam czarnego chłopca. Przyszło mi to z łatwością. Nie potrafiłam naśladować przesadnie swobodnego kroku, jakim się poruszał, ale nie było takiej potrzeby. Ważniejsze były jego nawyki językowe - ton głosu, słownictwo, składnia. Kazałam mu przez godzinę rozmawiać z Anne, zanim zaczęłam Używać go bezpośrednio. Nie napotkałam oporu. Z początku miałam kłopot z doбором słów i modulacją głosu, ale wystarczyło się odprężyć i dopuścić do głosu tkwiący w jego podświadomości naturalny talent do gwary, żebym mogła mówić poprzez niego w sposób, który - taką miałam nadzieję - zabrzmi wiarygodnie.

Anne podwiozła ich w okolice Grumblethorpe, gdzie na skrzyżowaniu obaj - Vincent i Louis, bo tak miał na imię chłopiec - wysiedli. Vincent na chwilę zniknął i wrócił z nabojami do rewolweru. Louisa odesłałam z powrotem do ośrodka pomocy społecznej. Vincent wrócił tunelem do domu, a Anne odprowadziła samochód do garażu na tyłach swojego domu przy Queen Lane.

Maskarada z członkami gangu udała się wyśmienicie. Raz, może dwa przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że Louis wymyka mi się spod kontroli, ale kazałam mu wtedy udać, że ma problemy z obolałą szyją. Od razu rozpoznałam przywódcę, gangu, Marvina. W Wigilię to właśnie jego niebieskie oczy wpatrywały się we mnie bezlitośnie, kiedy leżałam w psich odchodach. Nie mogłam się doczekać, kiedy wyrównam z nim rachunki.

W połowie dyskusji, kiedy zaczynałam się już czuć bezpiecznie, wtrąciła się młoda czarna kobieta, trzymająca się dotąd z tyłu:

- Rozpoznałeś ją z mojego zdjęcia? - zapytała.

Niewiele brakowało, żebym w tym momencie straciła kontrolę nad Louisem. W głosie kobiety nie było ani śladu płaskiego, brzydkiego akcentu z północy. Przypominał mi dom.

Obok niej, idiotycznie zakutany w koc, stał biały mężczyzna, którego twarz wydała mi się bardzo znajoma, ale dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że on również musiał przyjechać z Charleston. Chyba widziałam jego zdjęcie w jednej z wieczornych gazet u pana Hodgesa, dawno temu... Chodziło, zdaje się, o jakieś wybory?

- Jakoś to za łatwo poszło - mówił właśnie Marvin. - Psy się w to nie wmieszały?

Miał na myśli policję. Przesłuchawszy Louisa, wiedziałam już, że w sąsiedztwie kręci się sporo policjantów w cywilu. Podobnie jak ja nie miał zielonego pojęcia, co ich sprowadza, domyślałam się jednak, że wyeliminowanie pięciu ludzi - choćby nawet bezwartościowych członków ulicznego gangu - musiało wywołać jakąś reakcję władz. Jednakże użycie przez niego gwarowego określenia „psy” odblokowało coś w moich wspomnieniach: rumiany biały mężczyzna był policjantem z Charleston, szeryfem, jeśli mnie pamięć nie myliła. Parę lat temu czytałam o nim w gazecie.

- Stary, daj spokój - kazałam powiedzieć Louisowi. - Setch kazał cię przyprowadzić. Chcesz ich zobaczyć czy nie?

Wprawdzie pojawienie się tamtych dwojga z Charleston i świadomość obecności w okolicy znacznych sił policyjnych budziły we mnie poważny niepokój, to troskę tę równoważył graniczący z uniesieniem dreszcz emocji. To było ekscytujące. Z każdą godziną tej gry czułam się coraz młodziej.

Najważniejsze było zgranie wszystkiego w czasie. Vincent zdetonował bomby benzynowe w porzuconych samochodach w tej samej chwili, gdy Louis wyprowadził szefa gangu, szeryfa (którego nazwiska nie mogłam jakoś skojarzyć) i sześciu innych na ulicę. Zostałam wtedy z Vincentem, gdy pobiegł na tyły ośrodka, wyeliminował zastanego na tylnej werandzie samotnego członka gangu i z nieporęczną kosą w rękach wszedł na piętro.

Miałam nadzieję, że dziewczyna pójdzie razem z Louisem i resztą. Byłoby mi to bardzo na rękę, ale już dawno nauczyłam się radzić sobie z rzeczywistością taką, jaka jest, nie zaś taką, jaką chciałabym widzieć. A dziewczynę chciałam dostać żywcem.

Na piętrze wybuchła mała szarpanina: kiedy Louis dopominał się o moją uwagę, ja musiałam akurat powstrzymać Vincenta, żeby nie zagalopował się w swoim okrucieństwie. Z powodu tego chwilowego rozdźwięku, dziewczyna wymknęła mi się i przepadła wśród uliczek na tyłach domu. Puściłam Vincenta w pogoń za nią i wróciłam do Louisa, który, chwiejąc się na nogach, stał na krawężniku przy niby-dworku.

- Co z tobą, kurwa? - Przywódca gangu nazywał się Marvin.

- Nic, stary. Tylko szyja mnie boli.

- Na pewno są w środku? - spytał ten, którego nazywali Leroyem. - Nic nie słyszę.

- Są z tyłu - kazałam odpowiedzieć Louisowi.

Biały szeryf stał blisko niego, w kręgu światła jedynej sprawnej latarni na całej uliczce. Jeżeli wzrok mnie nie mylił, nie miał broni - poza aparatem fotograficznym, podobnym do tego, który pan Hodges wyciągał przy każdej okazji. Obok z łoskotem przetoczyły się dwa pociągi, niewidoczne w cementowym kanionie.

- Boczne drzwi są otwarte - dodał Louis. - Chodźcie, pokażę wam.

Chwilę przedtem rozpiął kurtkę. Pod swetrem i szorstką wełnianą koszulą wyczuwałam odległy dotyk zimnej stali rewolweru taksówkarza. Wcześniej, w ciemnym zaułku, Vincent go naładował.

Marvin się wahał.

- Nie - powiedział. - Pójdziemy we czterech: Leroy, Jackson, ja i on. - Kciukiem wskazał szeryfa. - Louis, ty zostaniesz tutaj z Calem, Troutem, G.R. i G.B.

Kazałam Louisowi wzruszyć ramionami. Szeryf spojrzał na niego przeciągle, a potem odwrócił się i w ślad za Marvinem i pozostałą dwójką skierował do bocznego wejścia.

- Są na drugim piętrze! - kazałam jeszcze zawołać Louisowi. - Na tyłach!

Zniknęli w śnieżnej ciemności. Musiałam się śpieszyć. Jedna część mojej jaźni była świadoma ciepłej poświaty grzejnika i wpatrzonych w przestrzeń oczu manekina w pokoju dzieciennym; druga biegła wraz z Vincentem przez ciemne zaułki, nasłuchując przyśpieszonego oddechu naszej zmęczonej zdobyczy; trzecia zaś musiała zostać z Louisem. Ten, którego nazywali Calvinem, przestępował z nogi na nogę.

- Kurna, ale mróz! Masz coś zapalić?

- Pewnie - odpowiedział Louis. - Mam tu coś dobrego.

Sięgnął za pazuchę, wyjął rewolwer i z odległości dwóch stóp wypalił

Calwinowi w brzuch. Ten bynajmniej się nie przewrócił, zatoczył się tylko w tył i dotknął dziury w kurtce na piersi.

- Kurwa, stary... - stęknął.

Bliźniacy spojrzeli po sobie i puścili się biegiem w stronę Queen Lane. Dwudziestolatek nazywany Troutem wyszarpnął zza pazuchy rewolwer z długą lufą. Louis obrócił się w miejscu, wycelował i strzelił mu prosto w lewe oko. Nie mogło być mowy o wytłumieniu huków.

Calvin osunął się tymczasem na kolana i z poirytowaną miną trzymał się obiema rękami za brzuch. Kiedy próbowałam go wyminąć, złapał Louisa za nogę.

- Kurwa, facet... Dlaczego to zrobiłeś?

Od strony Queen Lane i stojących przy niej samochodów, gdzie pobiegli bliźniacy, dobiegły trzy kolejne przenikliwe huknięcia. Coś uderzyło Louisa w lewą rękę powyżej łokcia. Odcięłam nas oboje od bólu, ale poczułam odrętwienie w miejscu trafienia. Louis wycelował w kierunku, z którego dobiegły strzały, i wystrzelał resztę nabożów z bębena. Ktoś krzyknął, rozległ się jeszcze jeden wystrzał, ale pocisk musiał chybić.

Kazałam Louisowi upuścić rewolwer, szarpnięciem rozpiąć Calvinowi kurtkę i wyjąć spod niej strzelbę z przyciętą lufą. Następnie przeszedł krok dalej i wyrwał rewolwer z zaciśniętej dłoni Trouta. Od strony Queen Lane znów dobiegł odgłos trzech wystrzałów, coś trafiło Calvina, dźwięk przypominał uderzenie młotem w polec wołowiny, ale - o dziwo! - chłopak nadal tkwił nieruchomo, wczepiony w nogę Louisa.

- Kurwa, facet... - powtarzał. - Dlaczego?

Louis go odepchnął, schował rewolwer do kieszeni, zważył w dłoni obrzyn i zaczął obiegać niby-dworek z boku. Na Queen Lane nikt już nie strzelał.

Vincent zapędził dziewczynę w kozi róg w zgliszczach szeregowca niedaleko Germantown Avenue. Stojąc w środku, tuż za progiem, nasłuchiwał, jak ofiara miota się wśród zwęglonych belek i zawałonych schodów w głębi budynku. Okna były zabite deskami. O ile wiedzieliśmy, nie było drugiego wyjścia. Całą siłą woli zmusiłam Vincenta do przekroczenia progu i przycupnięcia w ciemności, gdzie siedział, nasłuchiwał i węszył, łowiąc w nozdrza ulotny słodki zapach strachu dziewczyny i kołysząc leniwie kosą.

Louis wszedł przez boczne drzwi podzielonego na mieszkania niby-dworek, przemykając szybko, żeby nikt nie zauważył jego sylwetki rysującej

się na jaśniejszym tle wejścia. Ci w środku na pewno słyszeli strzały. Albo znaleźli już ciała na górze.

Nikt nie strzelił, kiedy przebiegał przez korytarz. Zatrzymał się przy wejściu do pierwszego pokoju i zajrzał do środka. Było ciemno. Coś poruszyło się w korytarzu w okolicy głównych schodów. Louis strzelił z obrzyna; siła odrzutu podbiła mu rękę. Oparł krótką kolbę o udo, przeładował i przyczał się, wypatrując cieni.

Przez sekundę w mojej głowie nałożyły się wrażenia przekazywane przez zmysły Vincenta i Louisa, którzy - mimo że dzieliła ich ponad mila - przycupnęli w niemal identycznej pozie, wyęzając słuch w wyczekiwaniu najlżejszego dźwięku. Nagle grzmot przetoczył się przez dom, zadudnił echem i obsypał policzki Louisa kawałkami tynku. Ja i Vincent drgnęliśmy odruchowo, a Louis rzucił się prosto w stronę wybuchu, strzelił, przystanął, przeładował strzelbę i znów puścił się biegiem.

Na zagraconych schodach rozległy się kroki. Ktoś zawołał coś z góry.

Louis dopadł do podnóża schodów i tam się przyczał, a ja mogłam chwilę pomyśleć. Louis był mi absolutnie zbędny, zwłaszcza że trafienie w rękę przytępiło mu refleks. Z miłą chęcią Użyłabym innego ze znajdujących się w budynku ludzi, ale tego byłoby za wiele - już i tak miałam kłopot z równoczesnym utrzymywaniem Anne w stanie gotowości na parterze Grumblethorpe, kontrolowaniem Vincenta w wypalonych ruinach szeregowca i kierowaniem poczynaniami Louisa. Chciałam dopaść niebieskookiego Murzyna. Chciałam go mieć za wszelką cenę. Miałam również ochotę zobaczyć jeszcze raz szeryfa, najlepiej z bliska; chciałam mu zadać kilka pytań, a i później, po udzieleniu mi odpowiedzi, mógł być dla mnie użyteczny.

Na wyższym podeście schodów długa broń plunęła ogniem; pocisk odszczepił kawałek balustrady. Louis skulił się jeszcze bardziej. Tamtych było czterech: Marvin, który załadował ciężki rewolwer i wyśmiał szeryfa, kiedy ten poprosił, żeby mu go oddał; Leroy, ten z brodą, uzbrojony w taki sam obrzyn, jaki ścisnął w dłoniach Louis; szeryf, prawdopodobnie nieuzbrojony; oraz Jackson, starszy Murzyn z niebieskim plecakiem. Poza tym bliźniacy G.B. i G.R. mogli w każdej chwili zjawić się tu ze swoimi tanimi pistolecikami.

Louis wbiegł po schodach. Potknął się, przeoczył stopień i runął jak długi na podeście pierwszego piętra. Ktoś strzelił do niego z odległości piętnastu stóp. Coś rozorało mu skórę głowy i policzek. Zablokowałałam ból i kazałam

Louisowi przesunąć wierzchem dłoni po twarzy i lewym uchu.

Ucha nie było. Louis wyprostował rękę z obrzynem i strzelił w kierunku, z którego przed chwilą błysnęła strzelba.

- Do diabła! - krzyknął któryś z czarnych, chyba Leroy.

Po przeciwnej stronie rozległ się grzmot wystrzału z broni krótkiej; kula przeszła na wylot łydkę Louisa i utknęła w podpórcie balustrady. Skierowałam Louisa tam, skąd padł drugi strzał; kazałam mu przeładować obrzyn zdrową ręką, zapierając go o pierś. Ktoś wybiegł przed nim w ciemny korytarz i narobił strasznego rumoru, kiedy pośliznął się i przewrócił. Louis przystanął, wypatrzył jaśniejszy cień na ciemnym tle i wycelował. W tej samej chwili, kiedy wystrzelił, tamta postać przetoczyła się po ziemi w bok i wprost w czarny prostokąt pustego otworu drzwiowego. W błysku ognia rozpoznałam Marvina - zniknął Louisowi z oczu, gdy pocisk strzaskał futrynę.

Louis przeładował, wysunął strzelbę poprzecznie w głąb bocznego pomieszczenia i pociągnął za spust. Nic. Przeładował i strzelił ponownie. Nic. Kazałam mu odrzucić bezużyteczną już broń. W ciemności pistolet znów plunął ogniem, coś z impetem wyrznęło Louisa w lewy obojczyk i obróciło go w miejscu. Odbił się od ściany i osunął na podłogę, wyciągając przy tym rewolwer z długą lufą. Następny pocisk przeszedł górą i wbił się w ścianę trzy stopy nad jego głową. Pomogłam mu wycelować, bardzo, bardzo starannie, dokładnie w to miejsce, gdzie zobaczył błysk z lufy.

Broń nie wypaliła. Louis po omacku sięgnął do bezpiecznika, namacał dźwigienkę, przestawił ją i strzelił dwa razy w kąt. Przetoczył się w lewo, nie opierając się na odrętwiałej lewej ręce, i z wysiłkiem wstał.

I natychmiast z kimś się zderzył. Zaparło mu dech w piersi, usłyszał też sapnięcie tego drugiego i obaj polecili na ścianę w kącie. Po rozmiarach sylwetki zorientowałam się, że mam do czynienia z szeryfem. Podniosłam rewolwer i oparłam mu koniec lufy o pierś.

Oślepiła nas eksplozja światła. Louis się cofnął, a ja zarejestrowałam zamrożony w bezruchu obraz szeryfa wyzwajającego lampę błyskową na trzymanym przy boku aparacie fotograficznym. Nastąpił drugi błysk, potem trzeci. Louis mrugał rozpaczliwie, próbując pozbyć się niebieskich powidoków spod powiek, ja zaś odwróciłam go w stronę prawdziwego zagrożenia, czyli wycelowanego weń rewolweru, ale było już za późno - ledwie zdążyliśmy się odwrócić i w sianej mgłę dostrzec postać przywódcy gangu, który przykucnął z bronią trzymaną oburącz i raz za razem naciskał

spust.

Nie poczułam bólu, odczułam jednak impet uderzeń, gdy kule trafiły Louisa najpierw w krocze, a zaraz potem w pierś. Zatrzeszczały kruszone żebra, ale nadal mogłabym go Używać, gdyby nie trzeci pocisk, który trafił prosto w twarz.

Rozległ się głośny szum i straciłam kontakt. Mimo że wielokrotnie doświadczałam śmierci Używanej przez siebie osoby, zawsze jest to dla mnie niepokojące doznanie, nieco podobne do przerwanej w pół słowa rozmowy telefonicznej.

Odpoczęłam chwilę, napawając się ciepłym sykiem grzejnika, kostropatą twarzą manekina i wyraźnie już słyszalnym szeptem murów dziecinnego pokoju.

- Melanie - nawoływały mnie. - Melanie, grozi ci niebezpieczeństwo. Posłuchaj nas.

Słuchając ich, skoncentrowałam się ponownie na Vincencie.

Odgłosy dobiegające z załatującego spalenizną szeregowca prawie zupełnie ucichły. Dziewczyna nie miała dokąd uciekać.

Poczułam przyływ adrenaliny w silnym ciele Vincenta. Wstał, zważył w dłoniach dobrze wyważoną zabójczą kosę i bezszelestnym, pewnym krokiem ruszył przez mrok ku dziewczynie.

29.

Germantown

29 grudnia 1980, poniedziałek

Operację na Saulu Laskim przeprowadzili w poniedziałek po południu. Przez dwadzieścia minut był nieprzytomny, przez dalszą godzinę lekko zamroczony, a kiedy wreszcie dotarło do niego, gdzie się znajduje (w tej samej niewielkiej celi, w której przetrzymywano go od niedzielnego poranka), zdjął opatrunek i obejrzał ślad po cięciu.

Zrobili nacięcie w mięsistej, wewnętrznej części lewego przedramienia, jakieś trzy cale powyżej wyblakłego tatuażu z numerem obozowym. Zabieg przeprowadzono umiejętnie, szwy zostały starannie założone. Mimo pooperacyjnej opuchlizny i bólu udało mu się wymacać pod skórą zgrubienie, którego wcześniej tam nie było: wprowadzili mu do ciała, pod mięsień w przedramieniu, przedmiot wielkości pogrubionej pięciocentówki.

Założył opatrunek z powrotem i wyciągnął się na pryczy, żeby pomyśleć.

Już wcześniej miał mnóstwo czasu na myślenie. Zdziwił się, kiedy nie wypuścili go ani nie wykorzystali w inny sposób w niedzielę rano - był przeświadczony, że nie bez powodu sprowadzili go do Filadelfii.

Śmigłowiec wylądował w odludnej części dużego portu lotniczego. Saulowi zawiązano oczy i zaprowadzono go do limuzyny. Sadząc po szarpnięciach przyśpieszającego i zwalniającego samochodu oraz przytłumionych odgłosach miejskiego ruchu, musieli przejeżdżać przez zatłoczoną część miasta. W pewnym momencie usłyszał metaliczny pomruk mostu pod kołami.

Tuż przed tym, jak się zatrzymali, limuzyna podskoczyła na wybojach. Gdyby nie dobiegające cały czas dźwięki - odległe wycie syreny, pokrzykiwania, łoskot rozpędzającej się kolejki dojazdowej - Saul pomyślałby, że wyjechali za miasto. Ale nie: to był odsłonięty, błotnisty i pożłobiony koleinami obszar w środku miasta. Pusta parcela? Plac budowy? Jakiś park?

Wszedł po trzech schodkach, przeprowadzono go przez drzwi, wąskim korytarzem w prawo, jeszcze raz w prawo. Dwa razy wpadł na ścianę; coś w jej dotyku, a także echo dźwięków niosące się w wąskim pomieszczeniu kazały mu podejrzewać, że znalazł się w dużej przyczepie kempingowej.

Cela była mniej solidna i imponująca od tej w Waszyngtonie. Znajdowały

się w niej prycza, chemiczna toaleta i mała kratka wentylatora, zza której dobiegały przytłumione głosy i - od czasu do czasu - wybuchy śmiechu.

Saul dałby się pokroić za książkę. To dziwne, pomyślał: ludzki organizm jest w stanie przystosować się do niemal dowolnych warunków, ale on nigdy się nie przyzwyczyił do choćby jednego dnia bez lektury. Pamiętał, że w getcie w Łodzi jego ojciec postanowił sporządzić spis dostępnych książek i urządzić coś na kształt wypożyczalni. Zdarzało się, że ludzie wysyłani do obozów zabierali książki ze sobą (ojciec z westchnieniem wykreślał wtedy takie pozycje z listy), ale najczęściej zmęczeni mężczyźni i smutnookie kobiety z nabożną czcią zwracali książki, czasem nawet nie wyjmując z nich zakładek.

- Dokończysz po powrocie - mówił im wtedy ojciec Saula, na co kiwali głowami.

Ze dwa, trzy razy Colben przyszedł z zamiarem przesłuchania go, robił to jednak bez przekonania i jego brak entuzjazmu był wyraźnie wyczuwalny. On też czekał, podobnie jak Saul. Wszyscy ludzie w kompleksie przyczep czekali, Saul czuł to przez skórę. Tylko na co?

Wykorzystywał wolny czas na rozmyślenia. Myślał o Oberście, Melanie Fuller, Colbenie, Barence i innych, nieznanym. Przez lata żył złudzeniem. Wydawało mu się, że jeśli uda mu się zrozumieć psychologię takiego zła, będzie potrafił je uleczyć. Zdał sobie sprawę, że poszukując Obersta, kierował się nie tylko mętnymi osobistymi pobudkami, lecz także tą samą naukową ciekawością, z jaką specjalista z Centrum Chorób Zakaźnych mógłby usiłować wytropić i wyizolować nowy śmiertelny wirus. To było interesujące. Pobudzające intelektualnie. Znaleźć, zrozumieć, wyleczyć.

Tyle że nie istnieją skuteczne przeciwciała na tego konkretnego bakcyła.

Od dawna śledził prace Lawrence'a Kohlberga i interesował się jego teoriami. Kohlberg przez całe życie zajmował się zagadnieniami rozwoju etyczno-moralnego. Dla psychiatry zanurzonego głęboko w powojennej teorii psychoterapii przemyślenia Kohlberga sprawiały wrażenie nadmiernie - żeby nie rzec „dziecinnie” - uproszczonych, ale leżąc w celi i wsłuchując się w szmer klimatyzacji, Saul uświadomił sobie nagle, że kohlbergowska teoria ewolucji moralnej brzmi w jego sytuacji zadziwiająco sensownie.

Kohlberg odkrył siedem stopni rozwoju moralnego, rzekomo powtarzających się w różnych kulturach, epokach i miejscach. Poziom pierwszy oznaczał dziecko: brak świadomości dobra i zła, wszelkie działania dyktowane chęcią zaspokojenia potrzeb, powstrzymanie określonych

zachowań możliwe wyłącznie poprzez bodźce negatywne; klasyczna opozycja przyjemność-ból jako podstawa sądów etycznych. Na poziomie drugim człowiek przyswajał sobie idee dobra i zła poprzez odwołanie się do autorytetu władzy: większy wie lepiej. Poziom trzeci oznaczał podporządkowanie się zasadom, czyli „Ja tylko wykonywałem rozkazy”. Na poziomie czwartym etykę dyktowała większość. Na piątym człowiek poświęcał się tworzeniu reguł najlepiej służących szeroko rozumianemu dobru wspólnemu, broniąc przy tym praw także tych ludzi, których poglądów nie mógł zaakceptować. Osoby z poziomu piątego wyśmienicie nadawały się na prawników Amerykańskiego Stowarzyszenia Wolności Obywatelskich; Saul znał całkiem sporo nowojorskich piątek. Szóstki potrafiły wykroczyć poza legalistyczne fiksacje piątek, koncentrując się na dobru wspólnym i wyższych wartościach etycznych ponad dzielącymi ludzi granicami państwowymi, kulturalnymi i społecznymi. Siódemki zaś podporządkowywały się wyłącznie zasadom uniwersalnym - ich przedstawicielami byli trafiający się od czasu do czasu wśród ludzi Jezusowie, Gandhi i Buddowie.

Kohlberg nie był ideologiem (spotkali się kilka razy, Saulowi przypadło do gustu jego chłopięce poczucie humoru) i z satysfakcją wskazywał paradoksy wynikające z jego własnej koncepcji. Na pewnym wieczornym koktajlu w Hunter College powiedział kiedyś, że Stany Zjednoczone - jako kraj - są piątką, założoną przez najbardziej niewiarygodną zbieraninę pragmatycznych szóstek w dziejach ludzkości, a zamieszkaną głównie przez trójki i czwórki. Podkreślał, że w codziennych decyzjach często schodzimy poniżej maksimum swojej moralnej ewolucji, nigdy jednak nie wyskakujemy ponad ten poziom. Ubolewał nad nieuniknioną degradacją nauk wszystkich siódemek: Chrystus zostawił swoją spuściznę Pawłowi, który był trójką, Buddę zaś reprezentowały pokolenia kapłanów niezdolnych nie tylko wznieść się ponad poziom siódmy, lecz najczęściej także w ogóle go osiągnąć.

Nigdy jednak nie żartował ze swoich najnowszych badań. Otóż odkrył - ze zdumieniem i niedowierzaniem, które z czasem przerodziły się w akceptację przemieszana z szokiem - że istnieje jeszcze poziom zerowy: istnieją istoty ludzkie, które wyszły poza stadium rozwoju płodowego pozbawione jakiegokolwiek kompasu moralnego. W wypadku tych ludzi (jeśli w ogóle można było nazwać ich „ludźmi”) nawet opozycja przyjemność-ból nie umożliwiała przewidywania ich zachowań.

Zero mogło podejść do drugiego człowieka na ulicy, zabić go bez powodu i pójść dalej swoją drogą bez cienia refleksji czy wyrzutów sumienia.

Zera nie lubiły być łapane i karane, ale w swoim zachowaniu nie kierowały się chęcią uniknięcia kary. Nie chodziło też o prostą przewagę przyjemności z zakazanego przestępstwa nad lękiem przed ukaraniem. Zera po prostu nie odróżniały przestępstw od zwykłych codziennych zachowań. Setki naukowców poddały hipotezę Kohlberga weryfikacji - spływające od nich dane wyglądały zbieżnie, a wnioski brzmiały przekonująco: w każdej epoce, w każdej kulturze od jednego do dwóch procent populacji znajdowało się na zerowym poziomie rozwoju moralnego.

Przyszli po Saula w poniedziałek po południu. Colben i Haines przytrzymali go, trzeci mężczyzna zrobił mu zastrzyk. Po trzech minutach Saul stracił przytomność. Kiedy znacznie później ocknął się z bólem głowy i obolałą ręką, wyczuł pod skórą ciało obce.

Obejrzał ranę, wzruszył ramionami i obrócił się na drugi bok, żeby pomyśleć.

Jakoś we wtorek, nie wiedział o której dokładnie, przyszli, żeby go wypuścić. Haines zawiązał mu oczy, a Colben powiedział:

- Uwolnimy cię teraz. Nie oddalaj się bardziej niż na sześć przecznic od miejsca, w którym cię wypuścimy. Nie próbuj skorzystać z telefonu. Ktoś się z tobą później skontaktuje, powie ci, co masz robić. Nie rozmawiaj z nikim, kto nie zagadnie cię pierwszy. Jeżeli złamiesz któryś z tych zakazów, twój siostrzeniec Aaron, Deborah i ich dzieci gorzko tego pożałują. Wszystko jasne?

- Tak.

Wyprowadzili go do limuzyny. Jazda trwała niespełna pięć minut. Colben zdjął mu przepaskę z oczu i wypchnął go przez otwarte drzwi.

Saul stanął na chodniku i zamrugał, oślepiiony słabym popołudniowym słońcem. Spojrzał w ślad za odjeżdżającą limuzyną, zbyt późno jednak, by odczytać tablicę rejestracyjną. Cofnął się od jezdni, zderzył z czarnoskórą kobietą niosącą siatkę z zakupami, przeprosił... i cały czas szczyrzył zęby w głupawym uśmiechu. Ruszył wąskim chodnikiem, chłonąc widok wyłożonej klinkierem ulicy, nienowych sklepów, szarych chmur, papierka, który wiatr przycisnął do pozieleniałej od śnieży latarni... Szedł szybko, starając się nie myśleć o obolałej ręce. Przeszedł na czerwonym, bezmyślnym machnięciem

ręki zbywając przekleństwa motorniczego tramwaju. Był WOLNY.

Wiedział, że to złudzenie. Na pewno niektórzy z mijanych teraz ludzi byli tu po to, żeby go obserwować. Śledzić. W niektórych z przejeżdżających ulicą samochodów osobowych i furgonetek z pewnością siedzieli ponuracy w ciemnych garniturach, szepczący do wpiętych w klapę mikrofonów. Wybrzuszenie pod skórą najprawdopodobniej skrywało nadajnik radiowy albo ładunek wybuchowy. Albo obie te rzeczy naraz. Nie miało to najmniejszego znaczenia.

Miał puste kieszenie, podszedł więc do pierwszego z brzegu człowieka - wysokiego Murzyna w znoszonej, czerwonej kurtce z grubej wełny - i poprosił go o ćwierć dolara. Nieznajomy wytrzeszczył oczy na widok brodatej zjawy, zamachnął się masywną dłonią, jakby zamierzał odtrącić Saula jak natrętną muchę, ale ostatecznie tylko pokręcił głową i dał mu pięciodolarowy banknot.

- Poszukaj pomocy, bracie - zadudnił basem.

W knajpce na skrzyżowaniu Saul rozmiął piątkę na ćwierćdolarówki i z automatu w holu zadzwonił do ambasady Izraela w Waszyngtonie. Nie połączono go z Aaronem Eshkolem ani Levim Cole'em. Przedstawił się. Nie było słyhać, żeby na dźwięk jego nazwiska recepcjonistce zaparło dech w piersi, ale jej głos wyraźnie się zmienił, gdy odpowiedziała:

- Tak, doktorze Laski, proszę chwileczkę poczekać. Pan Cohen na pewno chętnie z panem porozmawia.

- Dzwonię z automatu w Filadelfii - odparł Saul i podał numer aparatu. - Kończą mi się monety, czy mógłbym prosić o oddzwonienie?

- Naturalnie.

Saul odwiesił słuchawkę. Telefon zadzwonił, ale kiedy Saul wziął słuchawkę do ręki, coś w niej zabzyczało i zapadła głucha cisza. Podszedł do drugiego automatu, spróbował połączyć się z ambasadą na koszt odbiorcy i usłyszał, jak pada druga linia.

Wyszedł na zewnątrz i ruszył przed siebie bez celu. Moddy i cała jego rodzina nie żyli; przeczuwał to już wcześniej, ale teraz miał pewność. Niewiele mogli mu już zrobić. Zatrzymał się i rozejrzał w poszukiwaniu śledzących go agentów. Dostrzegł zaledwie paru białych mężczyzn, ale i to nie miało większego znaczenia: FBI ma przecież także czarnych agentów.

Przystojny Murzyn w drogim płaszczu z wielbłądziej wełny przeszedł przez ulicę i podszedł do niego. Miał wyraziste rysy, szeroki uśmiech, ogromne lustrzane okulary i skórzany neseser, który musiał kosztować

majątek. Uśmiechnął się, jakby znał Saula, przystanął i wyciągnął rękę na powitanie, zdjąwszy uprzednio rękawiczkę z sarniej skóry.

Saul uścisnął podaną dłoń.

- Witaj, mój pionku - powiedział Murzyn nieskazitelną polszczyzną. - Najwyższy czas, żebyś przyłączył się do naszej gry.

- Jesteś Oberstem.

W głębi ciała Saul poczuł dziwne poruszenie, jakby coś zafalowało gwałtownie. Pokręcił głową i nieprzyjemne wrażenie częściowo ustąpiło.

Nieznajomy uśmiechnął się i odparł po niemiecku:

- Oberst. Czcigodny tytuł, nazbyt długo już go nie słyszałem. - Przystanął przed restauracją Horn and Hardart i skinął ręką. - Głodny?

- Zabiłeś Francisa.

Murzyn z roztargnieniem potarł dłonią policzek.

- Francisa? Przykro mi, ale chyba nie... Ach tak. Ten młody detektyw. Cóż... - Z uśmiechem pokręcił głową. - Chodź, postawię ci spóźniony obiad.

- Wiesz, że nas obserwują.

- Naturalnie. A my obserwujemy ich. Co nawet w najlepszych okolicznościach rzadko bywa produktywnym zajęciem. - Nieznajomy otworzył drzwi, żeby przepuścić Saula przodem. - Proszę - powiedział po angielsku.

- Nazywam się Jensen Luhar - przedstawił się, kiedy już usiedli przy stoliku w prawie pustym lokalu. Zamówił cheeseburgera, smażone krążki cebulowe i koktajl waniliowy.

Saul wpatrywał się w swój kubek z kawą.

- Nazywasz się Wilhelm von Borchert - odparł. - Jeżeli nawet kiedyś istniał jakiś Jensen Luhar, to dawno został unicestwiony.

Luhar machnął zdawkowo ręką i zdjął okulary.

- Nie wnikajmy w semantykę. Podoba ci się gra?

- Nie. Czy Aaron Eshkol żyje?

- Twój siostrzeniec? Niestety, nie.

- A jego rodzina?

- Również.

Saul odetchnął głęboko.

- Jak to się stało?

- O ile mi wiadomo, pan Colben posłał do domu twojego siostrzeńca

swojego pieska Hainesa z ekipą. Wybuchł tam pożar, jestem jednak przekonany, że nieszczęśnicy byli martwi na długo przed pojawieniem się pierwszych płomieni.

- Haines!

Jensen Luhar pociągnął koktajl przez słomkę, odgryzł kawałek cheeseburgera, delikatnie otarł usta chusteczką i uśmiechnął się.

- Grywasz w szachy, doktorze.

To nie było pytanie. Luhar podał Saulowi krążek cebulowy, a kiedy Saul tylko spojrział na niego z niedowierzaniem, sam go zjadł.

- Jeżeli masz choćby minimalny dryg do szachów, nie możesz nie podziwiać toczącej się właśnie rozgrywki.

- Po to tu jesteś? Dla ciebie to gra?

- Naturalnie. Dopatrywanie się w tych wydarzeniach czegoś więcej oznaczałoby nadmierne przejmowanie się życiem i samym sobą.

- Znajdę cię - zapowiedział Saul. - Znajdę i zabiję.

Jensen Luhar pokiwał głową i odgryzł następny kęs.

- Gdybyśmy spotkali się oko w oko, z pewnością byś spróbował. Na razie jednak nie masz w tej kwestii nic do powiedzenia.

- To znaczy?

- To znaczy, że szacowny prezes organizacji eufemistycznie nazywanej Klubem Wyspiarskim, niejaki C. Arnold Barent, uwarunkował cię w taki sposób, żebyś posłużył jednemu konkretnemu celowi: zabiciu producenta filmowego, którego cały świat uważa już za zmarłego.

Saul upił łyk zimnej kawy, próbując ukryć konsternację.

- Barent niczego takiego nie zrobił.

- Ależ oczywiście, że zrobił. Inaczej nie miałby powodu spotykać się z tobą osobiście. Jak ci się wydaje, ile czasu trwała wasza rozmowa?

- Parę minut.

- Raczej parę godzin. Warunkowanie ma zapewne dwojaki cel: zabić mnie przy pierwszej sposobności oraz sprawić, żebyś ty nie stanowił żadnego zagrożenia dla pana Barenta.

- Co masz na myśli?

Luhar dojadł krążki cebulowe.

- Proponuję ci prostą zabawę: wyobraź sobie pana Barenta, a następnie wyobraź sobie, że próbujesz go zaatakować.

Saul zmarszczył podejrzliwie brwi, ale posłuchał. Okazało się to niezwykle trudne. Kiedy przypomniał sobie Barenta z ich ostatniego

spotkania - zrelaksowanego, opalonego, siedzącego na tarasie widokowym jachtu - ze zdumieniem odkrył, że odczuwa jednocześnie przyjaźń, przyjemność i lojalność. Musiał użyć sporej siły woli, żeby wyobrazić sobie, jak robi Barentowi krzywdę, jak mierzy pięścią w tę gładką, przystojną twarz...

Nagły ból i atak mdłości zgięły go w pół. Stęknął ciężko, z trudem powstrzymując wymioty. Zimny pot wystąpił mu na czoło i policzki. Na oślep sięgnął po szklankę z wodą, zaczął pić i przełykać konwulsyjnie, starając się myśleć o innych rzeczach, aż supeł w jego żołądku z wolna się rozkurczył.

- Interesujące, *ja*? - odezwał się Luhar. - To zdecydowanie najmocniejszy punkt pana Barenta. Nikt, kto spędzi z nim trochę czasu, nie będzie go chciał potem skrzywdzić. Służenie mu jest dla wielu ludzi źródłem przyjemności.

Saul dopił wodę i serwetką otarł pot z czoła.

- Dlaczego z nim walczysz?

- Walczę z nim? O nie, mój drogi pionku, bynajmniej. Ja z nim wcale nie walczę. Ja z nim gram. - Luhar rozejrzał się po sali. - Na razie nie mają mikrofonów rozmieszczonych tu dostatecznie blisko, żeby podsłuchać naszą rozmowę, ale za minutę przed restauracją zaparkuje ich furgonetka i będziemy się mogli pożegnać z prywatnością. Czas na spacer.

- A jeśli nie zechcę pójść?

Luhar wzruszył ramionami.

- Za kilka godzin gra zrobi się naprawdę interesująca, a ty też możesz w niej odegrać swoją rolę. Jeżeli chcesz coś zrobić w sprawie ludzi, którzy zlikwidowali twojego siostrzeńca i jego rodzinę, najlepiej zrobisz, towarzysząc mi. Ja oferuję ci wolność... w każdym razie wolność od nich.

- Ale nie od ciebie?

- Ani nie od ciebie, drogi pionku. Pośpiesz się, czas na decyzję.

- Pewnego dnia cię zabiję.

Luhar uśmiechnął się od ucha do ucha. Naciągnął rękawiczki, założył lustrzane okulary.

- *Ja, ja...* Idziesz czy nie?

Saul wstał i wyjrzał przez okno. Zielona furgonetka zaparkowała właśnie przy krawężniku.

Wyszedł z restauracji w ślad za Jensenem Luharem.

Ulice w rejonie Germantown Avenue były wąskie i kręte. Wysokie, chude

budynki mogły być kiedyś całkiem przyjemnym miejscem do zamieszkania - niektóre nawet przypominały Saulowi wąskie domy w Amsterdamie - z czasem jednak zmieniły się w przeludnione slumsy. Niewielkie firmy i sklepy mogły dawniej stanowić załączek prawdziwej lokalnej społeczności - małe knajpki, maciupieńkie sklepiki spożywcze, rodzinne zakłady szewskie, warsztaty... Dziś na pustych witrynach zalegały martwe muchy. Niektóre z tych lokali przerobiono na tanie mieszkania czynszowe - w jednym z okien sklepowych umorusana trzyletnia dziewczynka przyciskała do szyby buzię i tłuste od brudu palce.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że „grasz” z Barentem? - spytał Saul.

Obejrzawszy się przez ramię, nie zobaczył ani śladu zielonej furgonetki.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia: bez wątpienia nadal byli obserwowani. A on chciał przede wszystkim znaleźć Obersta.

- Gram z nim w szachy - odparł Luhar i odwrócił się do Saula, który mógł się przejrzyć w lustrzanych okularach.

- O nasze życie - dodał Saul. Rozpaczliwie zastanawiał się, co mógłby zrobić, żeby odkryć miejsce pobytu Obersta.

Luhar parsknął śmiechem, błyskając dużymi, białymi zębami.

- Nie, mój pionku - odparł po niemiecku. - Wasze życie nic nie znaczy. Stawką jest prawo ustalania zasad gry.

- Zasad gry? - powtórzył Saul.

Skręcili w kolejny zaułek, pusty, jeśli nie liczyć dwóch przysadzistych Murzynek wychodzących akurat z pralni na jego drugim końcu.

- Na pewno słyszałeś o Klubie Wyspiarskim i jego dorocznych igrzyskach? Herr Barent i reszta jego tchórzy nie pozwalają mi dołączyć do gry. Boją się. Wiedzą, że zażądałbym poszerzenia reguł gry, tak by stała się godna rasy *Übermenschen*.

- Wojna ci nie wystarczyła?

Luhar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chcesz mnie sprowokować. - Zniżył głos. - To niemądre. - Zatrzymali się obok pralni, przed całkiem zwyczajnie wyglądającym budynkiem z pustaków. - A odpowiedź brzmi: nie, wojna mi nie wystarczyła. Klub Wyspiarski uzurpuje sobie prawo do władzy tylko dlatego, że wywiera wpływ na przywódców, kraje, gospodarki... Wywiera wpływ. - Luhar splunął na chodnik. - Kiedy to ja ustalę reguły gry, zobaczą, co znaczy prawdziwa moc. Świat to kawał gnijącego, robaczywego mięcha, mój pionku. Oczyszczymy go ogniem. Pokażę im, co to znaczy prowadzić całe armie,

zamiast bawić się ich nędznymi namiastkami. Pokażę im, co znaczy śmierć miasta jako cena za utratę figury na planszy; dowiedzą się, jakie to uczucie, zniewalać całe narody i wykorzystywać je wedle swoich kaprysów. Pokażę im, jak się gra w skali globalnej. Wszyscy umieramy, mój pionku, ale Herr Barent nie rozumie jednej rzeczy: nie ma powodu, dla którego świat miałby nas przeżyć.

Saul tylko stał i patrzył. Zimny wiatr rozwiewał mu poły płaszcza i przyprawiał go o gęsią skórkę.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Luhar. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył drzwi i pierwszy zagłębił się w mrok za progiem. Skinął na Saula. - Idziesz, pionku?

Saul z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Jesteś bardziej obłąkany niż mogłem przypuszczać.

Luhar pokiwał głową.

- Być może - przytaknął półgłosem. - Ale jeśli pójdziesz teraz ze mną, będziesz mógł dalej uczestniczyć w grze. Chociaż nie w tej wielkiej grze, niestety; w niej nie ma dla ciebie miejsca. Za to twoja nieunikniona ofiara pozwoli jej toczyć się dalej. Jeżeli pójdziesz teraz za mną z własnej nieprzymuszonej woli... to odrzucimy kajdany, którymi spętał cię Herr Barent, i będziesz mógł mi dalej służyć jako wierny pionek.

Saul stał na zimnie, zaciskając pięści i czując ból w lewej ręce, gdzie pulsował wszczepiony implant. W końcu wszedł w ciemność.

Luhar uśmiechnął się i zamknął za nim drzwi na zasuwę. Saul zamrugał, oswajając się z półmrokiem. Obszerny parter magazynu był pusty, znaleźli tu tylko puste palety ładunkowe, trochę trocin i drewniane schody prowadzące na strych. Luhar wskazał drogę i Saul wszedł na górę.

- Na Boga...

W słabym świetle przefiltrowanym przez brudny świetlik Saul zobaczył stół z czterema krzesłami. Na dwóch z nich siedziały nagie trupy.

Podszedł bliżej, żeby im się przyjrzeć. Zwłoki były zimne, zastygłe w okowach stężenia pośmiertnego. Jeden z trupów - czarnoskóry mężczyzna podobny z postury do Luhara - miał otwarte oczy zasnutę powłoką śmierci. Drugi był biały, kilka lat starszy od Saula, brodaty, łysiejący. Miał otwarte usta. Z bliska Saul zobaczył siateczkę popękanych naczynek na policzkach i nosie, świadcząca o zaawansowanym alkoholizmie.

Odwrócił się do Luhara, który właśnie zdejmował wełniany płaszcz.

- To nasze sobowtóry? - spytał Saul.

- W rzeczy samej. W większości, jeśli nie w całości, usunąłem już z twojego umysłu przymus narzucony przez Herr Barenta. Jesteś gotowy na ciąg dalszy, pionku?

- Tak - przytaknął Saul.

Jestem gotowy, żeby dalej szukać sposobu zabicia cię, dodał w myślach.

- Doskonale. - Luhar zerknął na zegarek. - Mamy jakieś pół godziny, zanim pan Colben dojdzie do wniosku, że pora do nas dołączyć. Powinno wystarczyć.

Położył neseser na stole obok czarnego trupa, z lewej strony. Kiedy go otworzył, Saul dostrzegł, że walizeczka jest wypełniona takim samym ładunkiem wybuchowym, jakim obwieszony był Harrington.

- Powinno wystarczyć? - powtórzył Saul. - Na co?

- Na przygotowania. Ten budynek łączy się nieujętym w planach kanałem serwisowym z piwnicą sąsiedniego domu. Z piwnicy tej jest wyjście do krótkiego odcinka starego systemu kanałów burzowych pod miastem. Przejdziemy nim zaledwie przecnicę, nie dalej, ale to powinno wyprowadzić nas poza pierwszy kordon obserwacyjny. Tam będzie na mnie czekał samochód. A ty udasz się, dokąd zechcesz.

- Jesteś taki cholernie cwany, że się niedobrze robi. To się nie uda.

- Czyżby? - Luhar uniósł gęste brwi w grymasie zdumienia.

Saul zdjął płaszcz i podwinął rękaw koszuli. Na bandażu został żółty ślad po użytej przez tamtych maści.

- Coś mi tu wczoraj zaszyli - powiedział. - Domyślam się, że to nadajnik radiowy.

- Ależ oczywiście.

Luhar wyjął z neseseru zielone zawiniątko. Rozwinął je na stole: w przyćmionym świetle zaślniła buteleczka z jodyną i stalowe narzędzia chirurgiczne.

- Ta procedura nie powinna chyba zająć więcej niż dwadzieścia minut, hmm?

Saul wziął do ręki sterylnie opakowany skalpel.

- Zamierzasz czynić honory, jak się domyślam? - spytał.

- Jeśli nalegasz... Powinienem ci jednak zwrócić uwagę, że nie mam żadnego przygotowania medycznego.

- Czyli to mnie przypadnie ta przyjemność. - Saul zajrzał do walizeczki. - Żadnych strzykawek? Środka znieczulającego?

W okularach Jensena Luhara odbił się cały pokój na poddaszu. Jego twarz

niczego nie wyrażała.

- Niestety, nie. Jak wysoko cenisz sobie wolność, doktorze?

- Jesteś obłąkany.

Saul usiadł przy stole, rozłożył przybory i przysunął sobie jodynę.

Luhar wyjął spod stołu sportową torbę.

- Najpierw musimy się przebrać - powiedział. - Później możesz nie mieć na to siły.

Kiedy trupy zostały ubrane w ich stroje, a Saul włożył workowate dżinsy, czarny golf i buty za małe o pół numeru, Luhar znów się odezwał:

- Zostało około osiemnastu minut, doktorze.

- Usiądź. Objasnię ci, co masz zrobić, gdybym zemdłał. - Saul wyjął paczkę gazy i opatrunki. - Będziesz musiał zaszyć ranę.

- Jak sobie życzysz, doktorze.

Saul pokręcił głową, na chwilę wzniosł oczy ku świetlikowi, a potem spuścił wzrok i pewnym ruchem skalpela zrobił pierwsze nacięcie.

Nie zemdłał, chociaż dwa razy krzyknął z bólu, a wyplątawszy przewody nadajnika pomiędzy włókien mięśniowych przechylił się w bok i zwymiotował. Luhar zaszył ranę topornymi szwami, obwiązał bandażem, owinał gazą i oblepił plastrem, po czym naciągnął na półprzytomnego psychiatrę obszerny płaszcz.

- Mamy pięć minut spóźnienia - zasyczał. - Pośpiesz się.

W kącie, pod stertą palet, w pozornie litej betonowej podłodze znajdowała się kłapa. Kiedy Luhar zamykał ją za sobą, do uszu Saula dobiegł jazgot silnika helikoptera i odległe łomotanie.

- Ruszaj się! - syknął olbrzymi Murzyn.

Było ciasno i ciemno. Saul zaczął się czołgać, zawył, gdy ból przeszył mu rękę, i upadł na brzuch. Ziemia zadrżała od potężnej eksplozji nad ich głowami; pył i pajęczyny osypały się Saulowi na twarz i głowę.

- Szybciej! - Luhar ponaglił go i popchnął.

Luźne bloki cementu. Luhar roztrącił je paroma kopniakami, dźwignął Saula na nogi (znaleźli się w ciemnej piwnicy zalatującej pleśnią i starymi gazetami) i pociągnął za sobą. Przecisnęli się między jakąś kratą i ścianą z cegieł i zaczęli brnąć na czworakach. Zanurzonymi w lodowatej wodzie dłońmi i kolanami Saul ocierał się o jakieś oślizłe, lepkie rzeczy, niewidoczne w ciemności. Próbuąc odciążyć lewą rękę, przycisnął ją do ciała i poruszał się na trzech pozostałych kończynach. Dwa razy pośliznął się,

boleśnie obił lewy bark i przemoczył płaszcz; idący za nim Luhar tylko się śmiał i poszturchiwał go ponaglająco. Saul zamknął oczy i przypomniał sobie Sobibór, krzyżące tłumy, ciszę lasu.

W końcu mogli stanąć prosto. Luhar poprowadził ich przez następne sto kroków, skręcił w prawo w inny, węższy tunel i zatrzymał się pod zakratowanym włazem. Napiął wszystkie mięśnie, żeby przepchnąć kratę. Saul zmrużył oczy porażone szarym światłem, zwalczył nadciągające zawroty głowy i wsunął rękę do kieszeni, gdzie namacał rękojeść skalpela - ukrył go tam, kiedy Luhar był zajęty ostatecznym przygotowaniem bomby zegarowej w aktówce.

- No, nareszcie - stęknął Luhar, odsuwając kratę na bok.

Ręce trzymał jeszcze w górze, rozchylone poły kurtki odsłaniały brzuch i pierś skryte pod cienkim materiałem koszuli. Saul zaparł się mocno i z całej siły pchnął skalpelem, wyobrażając sobie wymaginowany cel gdzieś przy kręgosłupie.

Lewa ręka Luhara opadła błyskawicznie, potężna dłoń zacisnęła się na przedramieniu Saula, ostrze znieruchomiało trzy cale powyżej mostka Murzyna.

Luhar zacmokał z dezaprobatą i prawą ręką uderzył Saula w krwawiące lewe przedramię. Saul stęknął i osunął się na kolana, w gwałtownie kurczącym się polu widzenia zatańczyły mu czerwone plamy. Luhar delikatnie wyjął mu skalpel z bezwładnej prawej dłoni.

- Niegrzeczny jesteś, *mein Kleine Jude* - wyszeptał. - *Auf Wiedersehen*.

Na ułamek sekundy zrobiło się ciemno i Luhar zniknął.

Kłęczący w ciemności Saul pochylił się, aż dotknął czołem powierzchni wody i zimnego kamienia. Trwał w tej pozycji przez kilka minut, starając się nie stracić przytomności.

Ale po co? - zastanawiał się w duchu. Po co masz być świadomy? Lepiej się zdrzemnij.

Zamknij się, zbeształ sam siebie.

Upłynęła wieczność, zanim w końcu wstał, zdrową ręką chwycił się odsuniętej kraty i spróbował podciągnąć się i wyjść na powierzchnię. Udało mu się dopiero za piątym razem, po kolejnych upadkach do wody zdążył dokumentnie przemoczyć dzinsy, ale w końcu wygramolił się na światło dzienne.

Studzienka burzowa była schowana za metalowym kontenerem na śmieci, kilkanaście stóp od wylotu wąskiego zaułka. Saul nie rozpoznał ulicy, na

której się znalazł. Ciąg szeregowców wspinał się na niski pagórek.

Przeszedł pół przecznicy, zanim zakreśliło mu się w głowie. Przystanął i obejrzał obolałą rękę. Rana się otworzyła, krew przesiąkała przez opatrunek, ściekała po dłoni i zaplamiła cały lewy bok płaszcza. Obejrzawszy się w kierunku, z którego przyszedł, roześmiał się na widok tworzących wyraźny trop czerwonych plamek. Ścisnął rękę i chwiejnym krokiem podszedł do pustej witryny sklepu. Chodnik wznosił mu się pod nogami i opadał jak pokład małego stateczku na wzburzonym morzu.

Ściemniało się. W blasku odległej latarni niesione wiatrem płatki śniegu mieniły się jak świetliki. Chodnikiem szła jakaś wysoka, masywna postać. Saul zatoczył się w tył, schronił w zagłębieniu wejścia do sklepu i osunął po szorstkim murze do pozycji siedzącej. Podciągnął kolana pod brodę, usiłując nie rzucać się w oczy. Żaden włóczęga na świecie tak bardzo nie pragnął stać się niewidzialny jak on w tej chwili.

Nieznajomy właśnie przechodził obok niego, kiedy Saul poczuł nowe szarpnięcie w mięśniach lewej ręki. Ścisnął ją mocniej i głośno zgrzytnął zębami. Mijający go mężczyzna trzymał w prawej ręce jakiś ciężki metalowy przedmiot.

Saul poczuł, że triumf ciemności jest bliski. Ciężkie kroki ucichły kawałek dalej, po czym zaczęły wracać. Przetoczył się na bok, ledwie czując, że głową uderza o drzwi. Lewa ręka paliła go żywym ogniem, krew ściekała mu na nadgarstek i dłoń.

Snop światła z latarki dźgnął go w oczy. Olbrzym pochylił się nad nim, przesłaniając mu ulicę i cały świat. Saul zacisnął prawą pięść, rozpaczliwie opierając się wciągającemu go wirowi nieświadomości. Ciężka dłoń opadła mu na ramię.

- Rany boskie... - zabrzmiał męski głos, znajomo przeciągając zgłoski. - Saul, to ty?

Skinął głową i poczuł, że głowa leci mu bezwładnie do przodu i opiera się brodą o pierś, a oczy same się zamykają. Przyciszony głos mówił rzeczy, których Saul nie rozumiał. Silne ramiona szeryfa Gentry'ego zagarnęły go, dźwignęły i przytuliły z taką łatwością, jakby był śpiącym dzieckiem.

30.

Germantown

30 grudnia 1980, wtorek

Gentry zastanawiał się, czy nie zaczyna wariować. Wracając pośpiesznie do ośrodka, żałował, że Saul jest nieprzytomny, bo mogliby o tym porozmawiać - a tak miał wrażenie, że świat zmienił się dla niego w koszmar paranoika, w którym łańcuchy przyczynowo-skutkowe kompletnie się porozpadały.

G.B., jeden z dwóch braci bliźniaków, przechwycił go pół przecznicy od celu. Szeryf spojrział prosto w wylot lufy topornego pistoletu.

- Przepuść mnie - warknął. - Marvin na mnie czeka.
- Wiem, ale nic nie mówił, że przyniesiesz jakiegoś białego truposza.
- To nie trup i może nam pomóc. A jeśli faktycznie umrze, to już ja się postaram, żeby Marvin właśnie ciebie o to obwinił. Zejdź mi z drogi.

G.B. wahał się jeszcze przez chwilę.

- Wal się, psie - mruknął w końcu, ale przepuścił szeryfa.

Gentry musiał pokonać jeszcze trzy takie posterunki, zanim w końcu dotarł do ośrodka. Marvin rozszerzył kordon bezpieczeństwa po sto jardów we wszystkich kierunkach. Każdy obcy samochód w okolicy miał zostać albo przestawiony, albo obrzucony koktajlami Mołotowa. Zielona furgonetka z dwoma białasami za kierownicą (i Bóg jeden wie iloma siedzącymi z tyłu) przez trzydzieści sekund rozważała ultimatum Marvina, zanim odjechała z piskiem opon. Niewykluczone, że przekonała ich trzymana przez Leroya litrowa butelka bezołowiowego shella.

Poniedziałkowa noc była preludium koszmaru.

Marvin i pozostali opłotkami wrócili do ośrodka. Leroy krwawił z tuzina ran po śrucie, a wszyscy - poza Marvinem - niemal wpadli w histerię po strzelaniu w ciemnym budynku. Wciągnęli zwłoki Calvina i Trouta do środka i Marvin zamierzał posłać po nie Jacksona lub Taylora z samochodem, ale zamieszanie, jakie powitało ich po powrocie, kazało mu zrewidować najbliższe plany. Zanim w końcu tuż przed wschodem słońca samochód dotarł na miejsce, wszystkie pięć ciał zniknęło, a na podłodze pierwszego i drugiego piętra zostały tylko anonimowe plamy krwi. Policja się nie zjawiała.

W ośrodku zapanował istny obłęd. Chłopaki strzelały do każdego cienia.

Ktoś pogasił płonące wraki samochodów, ale dym zawisł nad okolicą jak całun śmierci.

- On tu był, stary, biały potwór, był tutaj, rozumiesz, tu w domu, dopadł tego mięczaka Woodsa, potem przywalił Karze, ale tak na maksa, mówię ci, a potem Raj i widział, jak gonił po podwórku tę babeczkę z aparatem, nie... - bełkotał Taylor, kiedy wrócili.

- Gdzie jest Kara?! - wrzasnął Marvin. Gentry pierwszy raz słyszał, żeby podniósł głos.

- Na górze - odparł Taylor - na materacu za parawanem, poważnie ranna.

Większość zebranych tam członków gangu gapiła się na bezgłowe ciało Woodsa leżące na stole bilardowym, ale Marvin z Jacksonem podeszli prosto do nieprzytomnej Kary, dogłądanej przez cztery inne dziewczyny.

- Źle to wygląda - orzekł Jackson. Piękna twarz Kary zmieniła się nie do poznania: czoło napuchło groteskowo, spływająca krew podkrzażyła oczy ciemnymi sińcami. - Powinno się ją zawieźć do szpitala. Ma słaby puls, niskie ciśnienie...

- Ej, ty! - zaprotestował Leroy, pokazując mu rękę i nogę upstrzone krwawymi kropkami. - To boli. Może pojedę z tobą, połatają mnie i...

- Zostajesz tutaj - warknął Marvin. - I zbierz tych wszystkich frajerów. Nikt nie ruszy się stąd nawet na pół przecznicy, jasne? Niech Sherman i Eduardo biorą dupę w troki i lecą do Dogtown, dadzą cynk Manniemu. Zimą obiecał nam swoich żołnierzy, po tym, jak pomogliśmy mu w tej sprawie przy Pastorius Street; teraz są nam potrzebni. I to już. Powiedz Squeeze'owi, że wszystkie brzdące i pomagierzy mają natychmiast wyjść na ulice. Chcę się dowiedzieć, gdzie się ta kurwa wiedźma chowa.

Marvin dalej wydawał rozkazy, Jackson ostrożnie zniósł Karę na parter, a Gentry odciągnął Taylora na stronę.

- Gdzie Natalie?

Chłopak pokręcił głową i zaraz sapnął głośno, gdy szeryf ścisnął go za biceps.

- Kurna, facet! Biały potwór za nią pogonił. Raji widział, jak biegli przez podwórko na tyłach, zniknęli między domami. Było ciemno. Pobiegliśmy za nimi, ale nic nie zobaczyliśmy.

- Kiedy? - Gentry ścisnął mocniej.

- Kurwa, no! Dwadzieścia minut temu, może dwadzieścia pięć.

Szeryf zbiegł na parter. Udało mu się jeszcze złapać Marvina, zanim ten wyszedł.

- Oddaj mi rewolwer.

Przywódca gangu odpowiedział mu błękitnym spojrzeniem, zimnym jak morski lód.

- Ten skurwiel poszedł za Natalie. Zamierzam go dopaść. Oddaj mi rugera. - Gentry wyciągnął rękę.

Leroy przełożył obrzyn do zdrowej ręki, wycelował w Gentry'ego i spojrzał pytająco na Marvinina.

Marvin wyjął ciężki rewolwer zza paska i podał go szeryfowi.

- Zabij go, stary.

- Jasna sprawa.

Gentry wrócił na piętro, wziął zapasowe pudełko amunicji i naładował broń, ważąc w dłoni ciężkie, gładkie w dotyku naboje. Uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach i odczekał, aż drżenie ustąpi. Znowu zszedł na parter, znalazł jakąś latarkę i wyszedł w mrok.

Kędy Saul odzyskał przytomność, Jackson oglądał jego ranę.

- Ktoś cię zoperował otwieraczem do konserw - powiedział były lekarz. - Tak to przynajmniej wygląda. Daj drugą rękę, podam ci morfinę, zanim wezmę się do roboty.

Głowa Saula opadła na materac. Pod ciemnym zarostem twarz i wargi miał białe jak płótno.

- Dzięki.

- Nie dziękuj, wystawię ci rachunek. Niektórzy z naszych braci byliby gotowi zabić za tę morfinę. - Szybko i wprawnie Jackson zrobił Saulowi zastrzyk. - Wy, biali, nie umiecie dbać o swoje ciała.

- Co ty tu robisz, Saul? - wtrącił pośpiesznie Gentry, zanim morfina zdążyła na dobre zadziałać.

Psychiatra pokręcił głową.

- To długa historia. W tę sprawę jest zamieszanych znacznie więcej ludzi, niż sądziłem, szeryfie...

- Właśnie się o tym przekonujemy - przytaknął Gentry. - Wiesz, gdzie jest Oberst?

Jackson oczyścił ranę i wziął się za jej zszywanie. Saul spojrzał na nią przelotnie i odwrócił wzrok.

- Nie, dokładnie nie wiem. Ale musi być gdzieś niedaleko. Poznałem pewnego człowieka, Jensena Luhara, który od lat służy Oberstowi. Tamci...

to znaczy, Colben, Haines... wypuścili mnie, bo mieli nadzieję, że doprowadzą ich do Obersta.

- Haines! - powtórzył Gentry. - Psiakrew, od początku mi się skurczybyk nie podobał.

Saul oblizwał wargi. Jego głos nabierał chrapliwego, marzycielskiego brzmienia.

- A Natalie? Jest tutaj?

Gentry odwrócił wzrok i spode łba spojrzął w cień.

- Była. Ktoś ją... zabrał. Dwadzieścia cztery godziny temu.

Saul spróbował usiąść, ale Jackson tylko zaklął i pchnął go z powrotem na materac.

- Żyje? - wykrztusił Saul.

- Nie wiem - odparł Gentry. - Od dwudziestu czterech godzin wszędzie jej szukam. - Potarł zmęczone oczy; nie spał już drugą dobę. - Nie widzę powodu, dla którego Melanie Fuller miałaby zachować Natalie przy życiu po tym, jak zamordowała tylu innych, ale coś każe mi szukać. Mam... przecucie. Powiedz mi wszystko, co wiesz; może razem damy radę...

Zawiesił głos. Jackson już kończył. Saul Laski smacznie spał.

- Co z Karą? - zapytał Gentry, wchodząc do kuchni.

Marvin podniósł wzrok znad stołu, na którym leżał rozłożony tani plan miasta z rogami przyciśniętymi puszkami po piwie i torebkami chipsów. Obok siedział Leroy; spod podartego ubrania wзираły mu białe bandaże. Inni podwładni Marvina przychodzili i wychodzili, ale w całym domu dawało się wyczuć spokój i determinację, które w niczym nie przypominały chaosu poprzedniego dnia.

- Niedobrze - odparł Marvin. - Lekarz powiedział, że to poważne obrażenia. Cassandra i Shelli są przy niej. Mają dać znać, gdyby coś się zmieniło.

Gentry pokiwał głową i usiadł. Czuł, że we krwi krąży mu trucizna zmęczenia; widział, jak nadaje matowy połysk wszystkim widzianym przez niego przedmiotom. Przetarł twarz.

- Ten koleś na piętrze... pomoże ci znaleźć twoją kobietę?

Szeryf Gentry zamrugał.

- Nie wiem.

- A nam pomoże znaleźć wiedźmę?

- Być może. Jackson twierdzi, że za dwie godziny będzie można z nim

pogadać. Twoi ludzie coś mają?

- Nie, ale to tylko kwestia czasu, stary. Kwestia czasu. Mamy dziewczyny, pomagierów, wszyscy chodzą po domach. Nie ma mowy, żeby taka biała kobieta gdzieś tu pomieszkiwała i nikt o tym nie wiedział. Jak tylko ją znajdziemy, będziemy gotowi.

Gentry usiłował się skoncentrować na tym, co ma do powiedzenia. Manipulowanie słowami przychodziło mu z trudem.

- A tamci...? To znaczy, federalni?

Marvin parsknął śmiechem - to był okrutny, lodowaty dźwięk.

- Wszędzie ich pełno, kurwa, to fakt. Ale przynajmniej dzięki nim miejscowe psy i telewizja nie płaczą się nam pod nogami, prawda?

- Istotnie. Zmierzałem jednak do tego, że oni wcale nie są mniej groźni od tej wiedźmy. Niektórzy mają taką samą... moc. I polują na człowieka, który jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Myślisz, że skrzywdzili kogoś z Soul Brickyard?

- Nie.

- Albo że mają coś wspólnego z białym potworem?

- Nie.

- W takim razie mogą poczekać. A jak nam wejdą w paradę, to też ich załatwimy.

- To jest czterdziestu, pięćdziesięciu agentów federalnych w cywilu - zauważył Gentry. - Tacy jak oni są zwykle uzbrojeni po zęby.

Marvin wzruszył ramionami. Jakiś chłopak wpadł do kuchni i szepnął mu coś do ucha, na co Marvin spokojnym, pewnym głosem wydał kilka rozkazów. Posłaniec wyszedł.

Gentry wziął do ręki puszkę, odkrył, że zostało w niej trochę letniego piwa i pociągnął łyk.

- Nie pomyśleliście o tym, żeby się stąd zmyć, póki jeszcze możecie? - zagadnął. - Zniknąć na jakiś czas, przycziąć się i niech wampiry gryzą się między sobą.

Marvin spojrzał mu prosto w oczy.

- Posłuchaj, facet - zaczął głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Niewiele rozumiesz. Biali, rząd, psy, śliscy lokalni politycy... Wszyscy od dawna próbują nas dymać. Biały potwór nie robi właściwie nic nowego, kiedy dręczy czarnych, ale on to robi tutaj, na naszym terenie. Ty i Natalie twierdzicie, że tak naprawdę to robota wiedźmy, i ja sobie myślę, że macie rację. Tak to czuję. Tylko że nie o jedną wiedźmę się tu rozchodzi; oprócz

niej jest cała masa ludzików, którzy próbują srać nam na głowy. Od dawna. Ale to jest Soul Brickyard; ludzie, którzy zginęli - Muhammed, George, Galvin... może także Kara... to nasi ludzie. I za to zabijemy tę białą kurwę i jej potwora. Nie oczekujemy pomocy, ale jeśli chcesz stanąć po naszej stronie, proszę bardzo.

- Chcę stanąć po waszej stronie - przytaknął Gentry. Własny głos wydał mu się spowolniony, jak dźwięk singla odtwarzanego z prędkością płyty długogrającej.

Marvin pokiwał głową i wstał. Silną dłonią ujął szeryfa za rękę, pomógł mu wstać i popchnął go w stronę schodów.

- Na razie musisz się przespać - dodał. - Zawołamy cię, jak coś się zacznie dziać.

Jackson obudził go następnego dnia w pół do szóstej rano.

- Twój kumpel się ocknął - poinformował go.

Gentry podziękował, usiadł i dobre kilka minut przesiedział na skraju materaca, trzymając się za głowę i próbując obudzić otępiały umysł. Zanim spotkał się z Saulem, począł na parter, zaparzył kawy w wiekowej kawiarence i wrócił na górę z dwoma obtłuczonymi kubkami wypełnionymi parującym naparem. W pokojach na materacach pochrapywało łącznie kilkunastu chłopaków z gangu. Marvina i Leroya nie było nigdzie widać.

Saul przyjął kawę z serdeczną wdzięcznością.

- Myślałem, że to był sen - powiedział. - Spodziewałem się, że obudzę się u siebie w domu, mając w perspektywie zajęcia na uczelni. A potem poczułem to. - Podniósł obandażowaną rękę.

- Jak do tego doszło? - spytał Gentry.

Saul napił się kawy.

- Powiem tak, szeryfie: dobijmy targu. Ja zacznę od najważniejszej informacji i będę mówił przez jakiś czas. Potem ty zrobisz to samo. Jeżeli nasze historie okażą się w jakikolwiek sposób zbieżne, zbadamy tę zbieżność bliżej. Zgoda?

- Zgoda.

Opowiadali przez półtorej godziny, po czym przez kolejne pół godziny wypytywali się nawzajem o szczegóły. Kiedy skończyli, Gentry pomógł Saulowi wstać z łóżka i razem wyjrzeli przez zakratowane okno na szarzące o brzasku niebo.

- Dziś sylwester - powiedział Gentry.

Saul odruchowo spróbował poprawić okulary, zanim się zorientował, że ich nie ma.

- Wszystko wydaje się takie niewiarygodne...

- To prawda. Ale jeśli Natalie Preston jest gdzieś tutaj, nie wyjadę z miasta, dopóki jej nie znajdę.

Razem wrócili po okulary Saula, po czym zeszli na parter poszukać czegoś do jedzenia.

Marvin z Leroyem wrócili przed dziesiątą, pogrążeni w rozmowie z dwoma Latynosami. Przy krawężniku powarkiwały na jałowym biegu trzy nisko zawieszony samochody, pełne młodych Latynosów obserwujących czarnych mieszkańców ośrodka, którzy wylegli na werandę i spoglądali wilkiem na intruzów.

Kuchnia zmieniła się w centrum dowodzenia, do którego wstęp mieli tylko zaproszeni goście. Dwadzieścia minut po odjeździe Latynosów wezwano do niej Saula i Gentry'ego. Marvin, Leroy, jeden z bliźniaków i sześciu innych członków gangu spojrzęło na nich bez słowa.

- Co z Karą? - zagadnął Gentry.

- Nie żyje - odparł Marvin i przeniósł wzrok na Saula. - Jackson mówił, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Zgadza się. Mam nadzieję, że pomożecie mi znaleźć miejsce, w którym byłem przetrzymywany. Nie może być daleko stąd.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- To centrum operacyjne policji, która ma tu pełno swoich ludzi.

- Co z tego? Wali mnie policja.

Saul skubnął w zadumie brodę.

- Przypuszczam, że policjanci, ci federalni... wiedzą, gdzie ukrywa się Melanie Fuller.

Marvin przyjrzał mu się badawczo.

- Jesteś pewien?

- Nie - przyznał Saul - ale na podstawie tego, co widziałem i podsłuchałem, taki wniosek ma sens. Wydaje mi się, że Oberst z sobie tylko znanych powodów dał im cynk.

- Ten Oberst... to taki odpowiednik więdźmy? Czarownik?

- Tak.

- Na ulicach roi się od rządowych psów. Czy którykolwiek z nich wie o więdźmie?

- To nie jest wykluczone, ale gdybyśmy mogli przeniknąć do centrum operacyjnego i z kimś tam... porozmawiać... chyba mielibyśmy większe szanse czegoś się dowiedzieć.

- Mów dalej - polecił Saulowi Marvin.

- To odsłonięty teren, jakieś osiem minut jazdy samochodem stąd. Mam wrażenie, że jest tam regularne lądowisko dla helikopterów. Same budynki są raczej prowizoryczne, jak... przyczepy kempingowe... albo barakowozy, takie jak na budowach...

Wychodząc z ośrodka w towarzystwie Gentry'ego i pięciu członków gangu, Saul miał kominiarkę i rękawiczki; szeryf zasugerował, że jeżeli Colben i Haines myślą, że Saul nie żyje, nie ma sensu wyprowadzać ich z błędu. Półciężarówką Woodsa podjechali Germantown Avenue kawałek w kierunku zachodnim, skręcili najpierw na południe w Cheltenham, a potem znowu na zachód, w uliczkę bez nazwy prowadzącą do dzielnicy magazynów.

- Jedzie za nami niebieski ford - oznajmił siedzący za kierownicą Leroy.

- Zrób to - polecił mu Marvin.

Półciężarówka przecięła wyboisty parking, zjechała w wąski zaułek i zatrzymała się przy zapadniętej szopie z blachy falistej dosłownie na chwilę, jakiej Marvin, Saul, Gentry i jeden z bliźniaków potrzebowali, żeby z niej wyskoczyć i ukryć się w cieniu otwartych wrót. Samochód ruszył dalej i ostro skręcił na wschód, w pierwszą wąską przecznicę.

Dwadzieścia sekund później z rykiem silnika przemknął obok nich niebieski ford, którym jechało trzech białych mężczyzn.

- Tędy - powiedział Marvin.

Przez pustkowie usłane beczkami po ropie i metalowymi odpadkami dotarli do niewielkiego złomowiska, gdzie stos sprasowanych samochodowych wraków piętrzył się na wysokość trzydziestu stóp. Marvin z kumplem błyskawicznie wspięli się na stertę metalu; Saul i Gentry potrzebowali znacznie więcej czasu.

W końcu Saul pokonał ostatnie sześć stóp wspinaczki i wsparł się na zdyszonym szeryfie. Znajdowali się na chybottliwym wierzchołku zardzewiałego stosu.

- To tam? - spytał Marvin, podając mu małą lornetkę.

Saul oparł lewą rękę o połą na wpół rozpiętej kurtki i spojrzał we wskazanym kierunku. Wysoki drewniany płot ogradzał pół kwartału. W

południowej części placu w wykopie wylano fundamenty jakiegoś budynku. Dwa buldożery, koparka i inne, mniejsze maszyny stały nieruchomo. Środek pozostałego terenu zajmowały trzy duże przyczepy kempingowe tworzące literę E pozbawioną środkowej poprzeczki. Nieopodal stało siedem standardowych rządowych samochodów i furgonetka Bell Telephone. Środkowa przyczepa jeżyła się gąszczem anten mikrofalowych. Na placu widniał wytyczony czerwonymi lampkami krąg, przy którym na metalowym słupie wisiał zwiotczały rękaw wiatrowskazu.

- Na to wygląda - odparł Saul.

Ze środkowej przyczepy wyszedł mężczyzna w koszuli, bez marynarki, i żwawo przeszedł dwadzieścia jardów dzielące go od trzech przenośnych toalet nieopodal parkingu dla samochodów.

- To z którymś z nich chcesz porozmawiać? - upewnił się Marvin.

- Najprawdopodobniej.

Ukryci w stercie zardzewiałego żelastwa prawie na pewno byli niewidoczni dla obserwatorów z dołu, ale mimo to odruchowo kulili się i chowali wśród rozplaszczonych wraków.

Marvin spojrzał na zegarek.

- Za pięć godzin się ściemni. Wtedy to zrobimy.

- Do diabła! - zaklął Gentry. - Naprawdę musimy aż tyle czekać?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie z północy nadleciał smukły śmigłowiec. Zatoczył krąg nad placem i usiadł w kręgu czerwonych lamp. Mężczyzna w grubej kurtce puchowej wyskoczył z kabiny i potruchtał do centrum dowodzenia w przyczepie. Saul wyjął lornetkę z dłoni Marvina i przyłożył ją do oczu: mignęła mu krągła twarz Charlesa Colbena.

- Tego człowieka wolelibyście nie spotykać - powiedział. - Poczekajcie, aż odleci.

Marvin wzruszył ramionami.

- Spadajmy stąd - zasugerował Gentry. - Sam poszukam Natalie.

- Nie - zaoponował Saul. Kominiarka przytłumiła jego głos. - Pójdę z tobą.

- Szukasz ciała? - zapytał Saul, kiedy razem z Gentrym przeszukiwali gruzu kolejnego zrujnowanego szeregowca.

Szeryf przysiadł na trzystopowym kikucie ceglanej ściany. Gasnące światło pochmurnego dnia wpadało do środka przez dziury w suficie i wyrwy w dachu ponad nim.

- Tak - przyznał. - Chyba tak.

- Uważasz, że sługa Melanie Fuller zabił ją i porzucił zwłoki w jednym z takich miejsc?

Gentry spuścił wzrok i wyjął rugera. Broń była naładowana i odbezpieczona, mechanizm - naoliwiony z samego rana - działał gładko i bez zarzutu.

- Przynajmniej miałbym jakieś potwierdzenie. - Gentry westchnął. - Powiedz mi, Saul, dlaczego ta starucha miałaby darować jej życie?

Saul również znalazł sobie bryłę gruzu, na której dało się przysiąść.

- Jeden z kłopotów w pracy z psychopatami polega na tym, że dostęp do ich procesów myślowych jest bardzo utrudniony. Co chyba ma swoje dobre strony, nawiasem mówiąc: gdybyśmy wszyscy rozumieli, jak działa mózg psychopaty, sami znaleźlibyśmy się o krok bliżej obłądu.

- Jesteś pewien, że ta Fuller jest psychopatką?

Saul rozpostarł palce prawej dłoni. Już wcześniej zsunął kominiarkę z twarzy, upodabniając ją do nieregularnej czapeczki.

- Spełnia wszystkie współcześnie określone kryteria. Problem z nią polega nie na tym, że wycofała się w głąb własnej, pokręconej psychotycznej rzeczywistości, tylko na tym, że dzięki swojej mocy jest w stanie uwiarygodnić i podtrzymać istnienie tejże. - Saul poprawił okulary. - Na dobrą sprawę taki sam problem stanowiły całe hitlerowskie Niemcy. Psychoza jest jak wirus, potrafi się dowolnie namnażać i rozprzestrzeniać, jeśli organizm żywiciela ją akceptuje i przenosi bez oporów.

- Chcesz powiedzieć, że nazistowskie Niemcy były takie, jakie były, z powodu takich ludzi, jak Oberst i Melanie Fuller?

- W żadnym razie! - zaprotestował Saul. Gentry pierwszy raz słyszał go przemawiającego tak stanowczym głosem. - Nie jestem nawet pewien, czy te istoty są do końca ludźmi. Traktuję je jako chybione mutacje, ofiary ewolucji trwającej blisko milion lat i ukierunkowanej między innymi na osiągnięcie dominacji w kontaktach interpersonalnych. To nie Oberstowie, nie takie Melanie Fuller, nawet nie Barentowie i Colbenowie tworzą skłonne do przemocy faszystowskie społeczeństwa.

- Co w takim razie o tym decyduje?

Saul wskazał widoczną przez potrzaskane okna ulicę.

- Według członków gangu w tej operacji uczestniczą dziesiątki agentów federalnych. Przypuszczam, że wśród nich tylko Colben dysponuje choćby cieniem tej dziwacznej, zmutowanej mocy; inni dopuszczają do

rozprzestrzeniania się wirusa przemocy, ponieważ „tylko wykonują rozkazy”, są trybikami w maszynie społecznej. A Niemcy specjalizowali się w projektowaniu i budowaniu wszelakich maszyn. Obozy śmierci też były elementem składowym innej, większej maszyny zagłady, która nie została unicestwiona i po wojnie odrodziła się w nowej postaci.

Gentry wstał i podszedł do otworu w tylnej ścianie budynku.

- Chodźmy. Do zmroku zdążymy jeszcze przeczesać ten kwartał do końca.

W zgliszczach dwóch spalonych, lecz nie wyburzonych domów znaleźli skrawek materiału.

- To kawałek koszuli, którą miała na sobie w poniedziałek - oznajmił z przekonaniem Gentry. Wziął skrawek do ręki i w świetle latarki uważnie obejrzał zalegający ziemię kobierzec popiołów. - Mnóstwo śladów. Jakby się szamotali, tu, w kącie. Na tym gwoździu mogłaby rozedrzeć koszulę, gdyby ktoś pchnął ją na ścianę.

- Albo niósł ją przerzuconą przez ramię - podsunął Saul, podtrzymując obolałą rękę drugą, zdrową. Był błąd jak ściana.

- To prawda. Poszukajmy śladów krwi albo... czegokolwiek innego.

Przez następne dwadzieścia minut prowadzili poszukiwania w zapadającym mroku, ale niczego więcej nie znaleźli. Wyszli na zewnątrz, próbując odgadnąć, gdzie porywacz Natalie mógł przepaść w labiryncie zaułków i pustostanów, kiedy na spotkanie wybiegł im Taylor, chłopak z gangu, wymachując rękami. Gentry czekał spokojnie, z rugerem w ręce. Taylor zatrzymał się dziesięć stóp od nich.

- Marvin kazał wam wracać do ośrodka - powiedział. - Leroy dorwał jednego z gości z przyczepy, a ten powiedział Marwinowi, gdzie mieszka więdźma.

- Grumblethorpe - powiedział Marvin. - Jest w Grumblethorpe.

- A co to jest „Grumblethorpe”, u licha? - zdziwił się Saul.

Razem z Gentrym i trzydziestką innych stłoczyli się w kuchni. Jeszcze więcej członków gangu zebrało się w korytarzach i pokojach na parterze.

Siedzący u szczytu kuchennego stołu Marvin wybuchnął śmiechem.

- No właśnie! To samo powiedziałem: co to jest Grumblethorpe, kurwa? A potem ten koleś powiedział mi, gdzie to chujstwo jest, i wtedy pomyślałem, no pewnie, znam to miejsce.

- To stary dom przy Avenue - wyjaśnił Leroy. - Ale taki naprawdę stary. Zbudowali go w czasach, kiedy białasy nosiły te śmieszne trójgraniaste kapelusze.

- Kogo dotyczyła interogacja? - zainteresował się Saul.

- Że co? - zdziwił się Leroy.

- Którego z tamtych udało wam się dorwać? - przetłumaczył słowa psychiatry Gentry.

Marvin uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Leroy, G.B. i ja wróciliśmy tam po zmierzchu. Helikopter zniknął, więc siedzimy przy kiblach i czekamy, aż któryś wyjdzie. Koleś miał spluwę w takiej śmiesznej małej kaburce przypinanej do nogi. Poczekaliśmy, aż opuści spodnie, zanim poszliśmy z G.B. się przywitać. Leroy podjechał samochodem z boku, a my poczekaliśmy, aż gość skończy, co zaczął, i zabraliśmy go ze sobą.

- Gdzie jest teraz? - spytał Gentry.

- W wozie wielebnego, a co?

- Chcę z nim porozmawiać.

- Nie da rady, śpi teraz. Powiedział, że jest technikiem wideo, nie takim zwyczajnym agentem. Pyszczył, że nic nie wie, że nie będzie z nami rozmawiał, że wpadliśmy w gówno po szyję, bo napadliśmy na federalnego psa, i tak dalej. No więc Leroy i G.B. postarali się, żeby zrobił się bardziej rozmowny. Jackson mówi, że nic mu nie będzie, ale na razie śpi.

- A ta Fuller znajduje się w miejscu zwanym Grumblethorpe przy Germantown Avenue - podsumował szeryf. - Tak powiedział ten agent?

- Tak. Chociaż pomieszkuje razem z drugą białą kobitą przy Queen Lane. Można się było tego spodziewać: stare białe baby lubią się trzymać razem.

- Ale co w takim razie robi w tym Grumblethorpe?

- Ja tam nie wiem, ale federalny pies powiedział, że w tym tygodniu coraz częściej tam przesiaduje. Podejrzewamy, że to stamtąd wypuszcza potwora.

Gentry przepchnął się przez tłumek i stanął nad Marvinem.

- W porządku. Wiemy, gdzie jest. Chodźmy po nią.

- Jeszcze nie.

Marvin odwrócił się do Leroya, ale zanim zdążył mu coś powiedzieć, Gentry złapał go za ramię i okręcił z powrotem w swoją stronę.

- Pieprzę to twoje „jeszcze nie”. Natalie może jeszcze żyć. Chodźmy.

Marvin zmierzył go lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Odwal się, facet. Jeśli mamy to zrobić, zrobimy to jak należy. Taylor ma

pogadać z Eduardo i jego chłopakami. G.R. i G.B. poszli do Grumblethorpe obczaić teren. Leila i dziewczyny mają oko na psy.

- W takim razie idę sam. - Gentry okręcił się na pięcie.

- Nigdzie nie idziesz - powstrzymał go Marvin. - Jak tylko się tam zbliżysz, federalni cię rozpoznają i chuj strzeli naszą przewagę zaskoczenia. Dlatego albo poczekasz, aż będziemy gotowi, albo nigdzie się stąd nie ruszysz.

Gentry zawrócił. Marvin wstał od stołu, zanim szeryf nad nim stanął.

- Jeżeli chcesz mnie zatrzymać, będziesz musiał mnie zabić - powiedział Gentry.

- W porządku - odparł Marvin.

Napięcie w kuchni sięgnęło zenitu. Gdzieś w głębi domu ktoś włączył radio i na kilka sekund - zanim ktoś inny je wyłączył - w powietrze popłynęły dźwięki muzyki soulowej.

- Tylko kilka godzin, facet - powiedział Marvin. - Wiem, co czujesz. Kilka godzin i zrobimy to razem.

Olbrzymi szeryf powoli się odprężył. Wyciągnął rękę na zgodę. Marvin przyjął podaną mu dłoń.

- Kilka godzin - powtórzył Gentry.

- Właśnie tak, bracie - odpowiedział z uśmiechem Marvin.

Gentry siedział na materacu w pustym pokoju na piętrze, po raz trzeci w tym dniu czyszcząc i oliwiąc rugera. Jedyne źródło światła stanowiła wisząca lampa z uszkodzonym witrażowym abażurem. Powierzchnia stołu bilardowego była upstrzona ciemnymi plamami.

Saul Laski wszedł w krąg światła, rozejrzał się niepewnie i podszedł do Gentry'ego.

- Siemasz, Saul - zagadnął go szeryf, nie podnosząc wzroku.

- Dobry wieczór, szeryfie.

- Biorąc pod uwagę, ile razem przeszliśmy, Saul, wolałbym, żebyś mówił mi „Rob”.

- Nie ma sprawy, Rob.

Gentry wsunął bębenek na miejsce i zakręcił nim, po czym ostrożnie, z namaszczeniem powkładał naboje do komór.

- Marvin wysyła już pierwsze zespoły - poinformował go Saul. - Dwu- i trzyosobowe.

- To dobrze.

- Postanowiłem dołączyć do grupy Taylora. Policyjne centrum dowodzenia. Sam to zaproponowałem. Zrobimy dywersję.

Gentry zerknął na Saula.

- W porządku.

- Nie chodzi o to, że nie chcę być przy tym, jak dorwą tę Fuller, ale oni chyba nie zdają sobie sprawy, jaki Colben może być groźny...

- Rozumiem. Powiedzieli, jak długo jeszcze?

- Po północy.

Gentry odłożył rewolwer i podciągnął materac pod ścianę, układając go jak poduszkę. Położył się i splótł ręce pod głową.

- Dziś sylwester - powiedział. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Saul zdjął okulary i przetarł je chusteczką higieniczną.

- Ty chyba naprawdę zdążyłeś dobrze poznać Natalie Preston. Mam rację?

- Została w Charleston jeszcze tylko kilka dni po twoim wyjeździe... ale tak, zaczynałem ją dobrze poznawać.

- Niezwykła kobieta. Człowiek ma wrażenie, że zna ją od wieków. Bardzo inteligentna i spostrzegawcza młoda osoba.

- Fakt.

- Może jeszcze żyje.

Gentry spojrzał na sufit. Majaczące na nim cienie przypomniały mu plamy na stole bilardowym.

- Jeżeli rzeczywiście żyje, Saul, to wyciągnę ją z tego koszmaru.

- Wiem. Nie wątpię w to. A teraz wybacz, ale muszę się zdrzemnąć godzinkę przed imprezą.

I Saul wyciągnął się na drugim materacu, bliżej okna.

Gentry jeszcze przez jakiś czas wpatrywał się w sufit. Później, kiedy po niego przyszli, był gotowy.

31.

Germantown

31 grudnia 1980, środa

Pokój był pozbawiony okien i bardzo zimny. Właściwie bardziej przypominał szafę niż pokój - sześć stóp długości, cztery szerokości, trzy kamienne ściany i drzwi z grubego drewna, w które Natalie biła pięściami i kopała, aż dorobiła się siniaków na rękach i nogach. Drzwi ani drgnęły. Zdawała sobie sprawę, że grube dębowe deski muszą mieć solidne zawiasy i zasuwę po zewnętrznej stronie.

Obudziło ją zimno. W pierwszej chwili panika wezbrała w niej jak mdłości, bardziej natrętna i bolesna od powierzchownych ran na czole. Natychmiast sobie przypomniała, jak przykucnęła wśród zwęglonych belek, a cały świat miał zapach popiołu i strachu, gdy olbrzymi cień z kosą posuwał się ku niej przez mrok, szurając nogami. Przypomniała sobie, jak wyskoczyła z ukrycia, rzuciła ściskaną w dłoniach cegłą i puściła się biegiem, próbując wyminąć szybko obracający się w miejscu cień. Palce zacisnęły się na jej rękach powyżej łokci. Krzyczała i wierzgała wściekle, a potem poczuła jeden mocny cios w głowę, i drugi, który rozciął jej skórę na skroni i czole, krew spłynęła jej do lewego oka. Poczuła, że ktoś podnosi ją i niesie. Mignęło jej niebo, śnieg, przekrzywiona latarnia. I zrobiło się ciemno.

Ocknęła się w takiej ciemności, że przez kilka minut całkiem poważnie zastanawiała się nad tym, czy nie została w jakiś sposób oślepią. Wypęzła z kłębowiska koców na kamienną posadzkę i obmacała z gruba ciosane ściany kamienno-drewnianej celi. Nie dosięgała do sufitu. Na jednej ze ścian namacała zimne metalowe wsporniki, na których kiedyś mogły wspierać się zawieszane półki. Po długiej chwili nauczyła się dostrzegać pasma nieco bledszej czerni u góry i dołu drzwi - może nie światło jako takie, ale łagodzące ciemność refleksy odległego blasku.

Namacala dwa koce i zawinęła się w nie, drżąc z zimna. Piekielny ból rozsadał jej głowę, a wzmocnione strachem mdłości sprawiały, że cały czas była o krok od zwymiotowania. Przez całe życie podziwiała ludzi okazujących spokój i odwagę w obliczu zagrożenia; zawsze chciała być taka jak ojciec - dyskretnie kompetentna w sytuacjach, w których inni mogliby co najwyżej niespójnie bełkotać - a zamiast tego kuliła się bezradnie w kącie, dygocząc na całym ciele i modląc się (choć modlitwy te nie miały

konkretnego adresata), żeby biały potwór nie wrócił.

Przejmujący ziąb w pomieszczeniu różnił się jednak od panującego na dworze mrozu, przywodził raczej na myśl stabilny i wilgotny chłód, jaki mógłby panować w jaskini. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie może się znajdować. Upłynęły godziny i była bliska zapadnięcia w sen, gdy pod drzwiami zamigotało światło, rozległ się szcęk kilku otwieranych zasuvek i do pokoju weszła Melanie Fuller.

Natalie nie miała wątpliwości, że to Melanie Fuller, mimo że światło jedynej trzymanej przez kobietę świecy oświetlało jej twarz od dołu, czyniąc z niej dziwną karykaturę ludzkiego oblicza: policzki i okolice oczu pożłobione zmarszczkami, obrośnięta masą brodawek żyłasta szyja, oczy jak dwie szklane kulki wyzierające z ciemnych, przepastnych oczodołów, przerzedzone niebiesko-siwe włosy sterczące z plamiastej czaszki jak naelektryzowana aureola. Za tą zjawą Natalie dostrzegła chudą sylwetkę białego potwora, któremu włosy opadały na twarz oblepioną krwią i ziemią. Zęby połyskiwały żółto w blasku świecy. Miał puste ręce; długie, szczupłe palce podrygiwały niezbornie, jakby prąd przepływał falami przez jego ciało.

- Dobry wieczór, moja droga - powiedziała Melanie Fuller.

Miała na sobie długą nocną koszulę i grubego, tani szlafrok. Jej stopy ginęły w puchatych różowych papuciach.

Natalie ciałniej otuliła się kocem. Nie odpowiedziała.

- Zimno tu, moja droga? - spytała starsza pani. - Ogromnie mi przykro. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale cały ten dom jest dość zimny. Naprawdę nie wiem, jak żyli ludzie na Północy, kiedy nie było centralnego ogrzewania.
- Uśmiechnęła się. Światło świecy zaśniło na eleganckiej, perfekcyjnej protezie. - Porozmawiamy minutkę, kochaniutka?

Natalie rozmyślała o tym, czy nie powinna rzucić się na Melanie Fuller (póki jeszcze może); mogłaby ją odepchnąć i wymknąć się do sąsiedniego ciemnego pokoju, w którym mignął jej długi drewniany stół (antykw, bez wątpienia) i kamienne ściany. Tyle że od tego pokoju oddzielał ją jeszcze ten chłopak o oczach demona.

- Przywiozłaś ze sobą moje zdjęcie aż z Charleston, mam rację, moja droga?

Natalie wybałuszyła oczy.

Melanie Fuller ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie chcę ci robić krzywdy, kochaniutka, ale jeśli nie zaczniesz ze mną rozmawiać z własnej woli, będę zmuszona poprosić Vincenta, żeby cię za to

zgał.

Serce Natalie zabiło mocniej, gdy biały potwór postąpił krok naprzód.

- Skąd masz to zdjęcie, moja droga?

Natalie z trudem znalazła dość śliny w ustach, żeby wykrztusić odpowiedź:

- Pan Hodges.

- Dostałaś je od pana Hodgesa? - spytała Melanie Fuller z nieskrywanym sceptycyzmem w głosie.

- Nie. Pani Hodges pozwoliła nam przejrzeć jego slajdy.

- „Nam”? Czyli komu?

Starsza pani uśmiechnęła się lekko. Podkreślone blaskiem świecy kości jarzmowe wypychały skórę od środka jak ostrze noża naprężony pergamin.

Natalie nie odpowiedziała.

- Domniemywam, że mówiąc „nam”, masz na myśli siebie i szeryfa - ciągnęła półgłosem Melanie Fuller. - Dlaczego jednak ty i ten policjant z Charleston uparliście się, żeby przejechać taki szmat drogi i uprzykrzyć życie starej kobiecie, która nie zrobiła wam żadnej krzywdy?

Gniew zapłonął w Natalie jak ogień, dał jej ciału siłę, przegnał słabość zgrozy.

- Zabiłaś mojego ojca! - wrzasnęła i otarła się plecami o szorstki mur, usiłując wstać.

Melanie Fuller zrobiła zdziwioną minę.

- Twojego ojca? To jakieś nieporozumienie, moja droga. Z całą pewnością.

Natalie pokręciła gwałtownie głową, łykając palące łzy.

- Kazałaś swojemu przekłętemu słudze go zabić. Bez powodu!

- Mojemu słudze? Masz na myśli pana Thorne'a? Obawiam się, że coś ci się miesza, kochaniutka.

Natalie chętnie oplułaby niebieskowłose monstrum, gdyby miała w ustach choć gram śliny.

- Kto jeszcze mnie szuka? - zainteresowała się starsza pani. - Ty i szeryf działacie sami? Jak mnie tu znaleźliście?

Natalie parsknęła wymuszonym śmiechem, który zabrzmiał jak grzechotanie grochu w potrząsanej puszcze.

- Wszyscy wiedzą, że tu jesteś. Wiemy wszystko o tobie, tym starym hitlerowcu i waszej przyjaciółce. Nie będziecie już dłużej zabijać ludzi. Nieważne, co mi zrobisz: jesteście skończeni...

Zawiesiła głos. Serce waliło jej tak mocno, że zaczynała odczuwać ból w piersi.

Melanie Fuller pierwszy raz okazała zaniepokojenie.

- Nina? - zapytała. - Czy to Nina cię przysłała?

Natalie nie od razu zareagowała na to imię, dopiero po chwili przypomniała sobie tożsamość trzeciej osoby z opisywanego przez Saula Laskiego tercetu. Przypomniała jej się też opowieść Roba o morderstwach w Mansard House.

Spojrzała wprost w rozszerzone oczy Melanie Fuller i dostrzegła w nich obłąd.

- Tak - odparła z determinacją. Miała świadomość, że może właśnie skazuje się na śmierć, ale była zdecydowana zadać cios. Za wszelką cenę. - To Nina mnie przysłała. Ona też wie, gdzie jesteś.

Melanie Fuller zatoczyła się jak uderzona w twarz. Jej wargi wykrzywiły się i obwisły w grymasie przerażenia. Przytrzymała się framugi drzwi, żeby nie upaść, spojrzała na monstrum nazywane przez siebie „Vincentem”, a gdy nie przyszło jej z pomocą, wysapała:

- Jestem zmęczona. Porozmawiamy później. Później.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, szczęknęły zasuw.

Skulona w ciemnościach Natalie znów zaczęła się trząść.

Dzień objawił się jako cienkie pasma szarości u dołu i góry grubych drzwi. Natalie, która - roztrzęsiona i z bolącą głową - przedrzemała noc, obudziła się dręczona poczuciem, że dzieje się coś ważnego. Pilnie potrzebowała się załatwić, a w celi nie miała nawet nocnika, waliła więc pięściami w drzwi i krzyczała, aż ochrypla, nie doczekała się jednak żadnej reakcji. W końcu namacała w kącie poluzowany kamień, wydarła go paznokciami z ziemi i powstały w ten sposób dołek wykorzystala w charakterze latryny. Kiedy było po wszystkim, przeciągnęła koce bliżej wejścia i tam się położyła, pochlipując.

Ściemniło się, kiedy obudził ją szcęk zasuw i skrzypienie otwieranych drzwi. W progu stał Vincent. Sam.

Natalie cofnęła się na czworakach, szukając wydłubanego wcześniej kamienia, żeby użyć go jako broni, ale biały potwór dopadł ją w ułamku sekundy, złapał za włosy i postawił na nogi. Zacisnął jej lewe ramię na gardle, odcinając dopływ powietrza i woli. Zamknęła oczy.

Wywłócił ją z celi i, na wpół popychając, na wpół ciągnąc, zmusił do

wejścia po wąskich i stromych schodach. Po drodze mignęła jej ciemna kuchnia urządzona w kolonialnym stylu i mała bawialnia ogrzewana wstawionym do kominka naftowym grzejnikiem. U szczytu schodów rozciągał się krótki, mroczny korytarz. Vincent pchnął ją do pokoju jasno oświetlonego świecami.

Natalie stanęła jak wryta. Melanie Fuller leżała skulona w pozycji płodowej na niskim łóżku na kółkach, zakutana w kłęb koców i kołder. Pokój - z wysokim sufitem i jednym oknem (zasłoniętym i zamkniętym od zewnątrz okiennicami) - oświetlały co najmniej trzy tuziny świec, rozstawionych na podłodze, stołach, stiukach, parapetach i półce nad kominkiem, a także otaczających prostokątem łóżko. W paru miejscach dostrzegła pamiątki po dawno nieżyjących dzieciach - sfatygowany domek dla lalek, kojec (upodobniony przez żelazne pręty do klatki dla jakiegoś małego zwierzęcia), stareńkie szmaciane lalki i niepokojącego manekina czterostopowej wysokości, przywodzącego na myśl chłopca wystawionego na działanie promieniowania: włosy wyłaziły mu plackami z głowy, a łuszcząca się farba na twarzy do złudzenia przypominała podskórne krwotoki.

Melanie Fuller odwróciła się i spojrzała na Natalie.

- Słyszysz je? - zapytała szeptem.

Natalie nadstawiła ucha, ale słyszała tylko dyszenie Vincenta i łomotanie swojego serca. Nie odpowiedziała.

- Mówią, że już prawie czas - wysyczała starucha. - Posłałam Anne do domu, możemy potrzebować samochodu.

Natalie zerknęła w stronę schodów. Vincent odcinał jej drogę ucieczki. Powiodła wzrokiem po pokoju, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jej za broń. Kojec byłby za ciężki, manekin niemal na pewno zbyt nieporęczny... Gdyby miała nóż, coś ostrego, mogłaby próbować poderżnąć Fuller gardło... Co by zrobił biały potwór po śmierci więdźmy? Nawiasem mówiąc, ona już w tej chwili wyglądała jak trup: w pulsującym świetle jej skóra wydawała się niewiele mniej sina niż włosy, lewe oko miała prawie całkiem przymknięte.

- Powiedz mi, czego chce Nina - wyszeptała. Wodziła wzrokiem za Natalie, usiłując spojrzeć jej w oczy. - Powiedz, Nino: czego ode mnie chcesz? Nie chciałam cię zabić, najdroższa. Słyszysz te głosy? Uprzedziły mnie, że przyjdiesz. Mówią mi o pożarze i o rzece. Powinam się ubrać, wiem, moja droga, ale wszystkie czyste rzeczy mam u Anne, a to za daleko, żeby po nie iść. Anne mi je przywiezie. Na razie muszę odpocząć. Anne na pewno ci się spodoba, Nino. Jeśli chcesz, możesz ją sobie wziąć.

Natalie stała nieruchomo, lekko zdyszana, i czuła, jak w jej trzewiach wzbiera dziwna zgroza. To mogła być jej ostatnia szansa. Czy powinna próbować przepchnąć się obok Vincenta i zbiec po schodach w poszukiwaniu wyjścia? Czy raczej rzucić się na staruchę? Spojrzała na Melanie Fuller, śmierzącą starością, zasypką dla dzieci i skwaśniałym potem - i doznała olśnienia: ten stwór odpowiadał za śmierć jej ojca. Przypomniała sobie, kiedy widziała ojca po raz ostatni - dwa dni po Święcie Dziękczynienia odwiózł ją na lotnisko i przytulił na pożegnanie; pachniał mydłem i tytoniem. Zapamiętała jego smutne oczy i ten łagodny zapach.

Doszła do wniosku, że Melanie Fuller musi zginąć. Napięła wszystkie mięśnie, szykując się do skoku.

- Mam dość twojej impertynencji, dziewczucho! - wrzasnęła Melanie Fuller.
- Co ty tu w ogóle robisz na górze? Wracaj do swoich obowiązków! Wiesz przecież, co papa robi z nieposłusznymi czarnuchami!

I zamknęła oczy.

Natalie poczuła, że coś rozłupało jej czaszkę jak siekiera. Jej umysł zapłonął żywym ogniem. Okręciła się w miejscu i poleciała w przód, bez powodzenia usiłując złapać równowagę. Zataczała się w paralitycznym tańcu, synapsy w jej mózgu strzelały na oślep, aż w końcu zderzyła się ze ścianą - raz, potem drugi - i przewróciła się na Vincenta, który brudnymi łapskami złapał ją za biust. Jego oddech cuchnął padliną. Rozdarł jej koszulę na piersi.

- Nie, nie - odezwała się leżąc na łóżku wiedźma. - Zrób to na dole, a kiedy skończysz, zabierz ciało z powrotem do domu. - Usiadła, podparłszy się na łokciu, i spojrzała na Natalie jednym okiem; w drugim pod opadłą powieką lyskało samo białko. - Okłamałaś mnie, moja droga. Jednak nie masz dla mnie wiadomości od Niny.

Natalie otworzyła usta do odpowiedzi, do krzyku, ale Vincent uciszył ją jedną mocarną dłonią, a drugą złapał za włosy, wywłókł z pokoju i zepchnął ze schodów. Oszołomiona próbowała się odczołgać, drapiąc szorstkie deski - a Vincent się nie śpieszył: powoli zszedł po schodach, dopadł ją, kiedy dźwignęła się na kolana, i brutalnie kopnął w zębra.

Przeturlała się, uderzyła w ścianę i spróbowała zwinąć w malutki, niewidzialny kłębek. Vincent obiema rękami złapał ją za włosy i mocno szarpnął.

Wstała, krzycząc z bólu, i kopnęła z całej siły, mierząc w jądra. Bez wysiłku złapał jej stopę w locie i ostro przekreślił. Obróciła się, ale nie dość szybko: kostka chrupnęła jak złamana sucha gałązka, a Natalie upadła na ręce

i lewy bark. Błękitny płomień bólu liznął jej prawą nogę aż do biodra.

Obejrzała się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Vincent wyciąga zza pazuchy nóż sprężynowy i rozkłada długie ostrze. Próbowwała się odczołgać, ale nie zdążyła: schylił się, złapał ją za koszulę i prawie uniósł w powietrze. Materiał rozdarł się ponownie i Vincent rozszarpał go do końca. Natalie czołgała się w głąb ciemnego korytarza, po omacku szukając broni, ale napotykała tylko kolejne deski podłogi.

Przetoczyła się na wznak w tej samej chwili, gdy Vincent z tupotem ciężkich buciorów stanął nad nią okrzakiem. Odwróciła głowę, wgryzła się w brudny dzins i poczuła, jak jej zęby zagłębiają się w mięśniu łydki. Vincent nie wzdrygnął się, nie wydał żadnego dźwięku. Ostrze noża mignęło jak błyskawica, rozcinając ramiączko stanika i zostawiając długi ślad bólu na łopacie.

Natalie stęknęła cicho, znów odwróciła się na plecy i zasłoniła rękami w daremnej próbie powstrzymania drugiego cięcia.

Na ulicy nastąpił wybuch.

32.

Germantown

31 grudnia 1980, środa

- Problem polega na tym - mówił Tony Harold - że ja nigdy nikogo nie zabiłem.

- Nikogo? - powtórzyła Maria Chen.

- Nikogo. Nigdy.

Maria pokiwała głową i dołała im obojgu szampana. Leżeli nadzy naprzeciwko siebie w długiej wannie w łazience pokoju numer 2010 w Chestnut Hills Inn. Lustra odbijały światło samotnej świecy zapachowej. Harold wyciągnął się wygodnie i spod ciężkich powiek obserwował Marię. Jej śniade nogi wznosiły się pomiędzy ostro zarysowanymi granicami jego białych kolan, uda miała rozchylone, kostkami dotykała jego żeber zanurzonych w pokrytej pianą wodzie. Piana skrywała prawie całą jej prawą pierś, ledwie odsłaniając zarys górnej krągłości, za to druga pierś była doskonale widoczna, włącznie z brodawką, słodką i ciężką jak truskaweczka w ciemnej wodzie. Podziwiał łagodną linię jej szyi i ciężar włosów, gdy, odchyliwszy głowę w tył, upiła łyk szampana z przepelnionego kieliszka.

- Już północ - powiedziała Maria, zerkając na leżące na blacie złotego roleksa. - Szczęśliwego Nowego Roku.

- Szczęśliwego Nowego Roku.

Stuknęli się kieliszkami. Popijali już od dziewiątej; to Maria wpadła na pomysł ze wspólną kąpielą.

- Nigdy nikogo nie zabiłem - mruknął Harold. - Nie musiałem.

- Wygląda na to, że teraz będziesz musiał. Dzisiaj rano przed wyjściem Joseph przypomniał, że pan Barent nalega, żebyś to ty...

- Wiem, wiem.

Harold wstał i odstawił kieliszek na blat. Wytarł się i wyciągnął rękę do Marii, która przyjęła podaną jej dłoń i powoli wstała wśród piany. Harold delikatnie osuszył ją ręcznikiem; stojąc z tyłu, obiema rękami przesunął frotowym materiałem po jej piersiach. Maria przeniosła ciężar ciała na jedną stopę i lekko rozchyliła uda, kiedy wycierał jej nogi. Harold puścił ręcznik, wziął ją na ręce i przeniósł do sypialni.

To było dla niego jak pierwszy raz. Odkąd skończył piętnaście lat, nie był z kobietą, której pozwoliłby dyktować warunki. Pachniała mydłem i

cynamonem. Zaparło jej dech w piersi, kiedy w nią wszedł i zaczęli się przetaczać po rozległych pościach miękkiej pościeli. Leżała na nim, na górze, kiedy doszli, nadal połączeni, poruszający się, dotykający się dłońmi i ustami. Orgazm Marii był gwałtowny i potężny, pojękiwała przy nim cicho. Harold szczytował chwilę później, przymknąwszy oczy i wczepiwszy się w nią tak, jak człowiek spadający w przepaść czepia się ostatej rzeczy mogącej powstrzymać jego upadek.

Telefon zadzwonił i nie przestawał dzwonić.

Harold pokręcił głową. Maria pocałowała go w rękę, prześliznęła się po pościeli, podniosła słuchawkę i mu ją podała.

- Harold? - zabrzmiał podekscytowany głos Colbena. - Przyjeżdżaj natychmiast. Rozpętało się piekło!

Colben wrócił do centrum operacyjnego. Ludzie siedzieli przy monitorach, gryzmolili notatki, szeptali do mikrofonów.

- Gdzie jest Gallagher, do diabła?! - ryknął Colben.

- Nadal nie daje znaku życia, panie dyrektorze - odparł technik przy konsoli numer dwa.

- W takim razie pies go srał. Niech zespół zielony przerwie poszukiwania i da wsparcie niebieskiemu dwa przy Market.

- Tak jest.

Colben przeszedł wąskim korytarzem i stanął przy ostatnim pulpicie.

- Czarnuchy siedzą w domu?

- Tak jest, panie dyrektorze - przytaknęła kobieta przed monitorem.

Przełączyła obraz: zamiast frontu domu Anne Bishop na ekranie pojawił się zaułek na jego tyłach. Nawet w superczułym obiektywie do zdjęć nocnych postaci przyczajone obok garażu w odległości pięćdziesięciu metrów były ledwie widocznymi cieniami.

Colben naliczył ich dwanaście.

- Daj mi złotego jeden - warknął.

- Tak jest.

Kobieta podała mu słuchawki z mikrofonem.

- Peterson? Widzę ich cały tuzin. Co się tam, kurwa, dzieje?

- Nie wiem, panie dyrektorze. Mamy wkroczyć?

- Nie. Czekajcie.

- Ośmiu intruzów przy Ashmead - zameldował agent przy pulpicie piątym. - Właśnie minęli stanowisko zespołu białego.

Colben zdjął słuchawki.

- Gdzie jest Haines, do cholery?

- Przed chwilą zgarnął Haroda i jego sekretarkę - odpowiedział technik przy jedyńce. - Będą za pięć minut.

Colben zapalił papierosa i postukał siedzącą przed nim kobietę w ramię.

- Sprowadź mi tu Hajeka z helikopterem, ale już.

- Tak jest.

Agent James Leonard wyszedł z biura Colbena i skinął na niego.

- Pan Barent na trzeciej linii.

Colben wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Colben, słucham.

- Wszystkiego najlepszego w nowym roku, Charles - rozległ się głos Barenta. Sądząc po głośnym pogłosie i trzaskach, Barent musiał dzwonić z telefonu satelitarnego.

- Dzięki. Co jest?

- Rozmawiałem z Josephem. Niepokoi go przebieg operacji.

- Też mi nowina. Kepler wiecznie na coś narzeka. Skoro się tak zamartwia, to może powinien być tu zostać, kutas jeden...

- Podobno miał coś do załatwienia w Nowym Jorku. - Barent zawiesił głos. - Pojawili się nasi przyjaciele?

- Masz na myśli starego fryca? Nie. Ani widu, ani słychu od wczorajszego wybuchu w magazynie.

- A masz jakiś pomysł, po co Willi poświęcałby jednego ze swoich agentów, żeby zlikwidować doktora Laskiego? Poza tym to było jak strzelanie z armaty do wróbla; Joseph mówił, że trzeba było wezwać pół miejskiej straży pożarnej.

- A skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć? Zresztą, nawet nie mamy pewności, że faktycznie zginęli tam Żyd i Luhar.

- Wydawało mi się, że twoi spece od medycyny sądowej już nad tym pracują, Charles.

- Pracują, ale jutro jest święto państwowe. Poza tym ze wstępnych oględzin wynika, że Luhar i Laski siedzieli na trzydziestu funtach C-cztery. Technicy nie bardzo mają tam co zbierać.

- Rozumiem, Charles.

- Posłuchaj, muszę lecieć. Dużo się tu dzieje.

- Co dokładnie? - zabrzmiał wśród trzasków głos Barenta.

- Nic poważnego. Dzieciaki z gangu wpieprzają się w strefę ochronną.

- Mam nadzieję, że nie skomplikuje wam to porannej robótki?

- Nie ma obaw. Harold już tu jedzie. W razie potrzeby możemy w dziesięć minut odciąć całą okolicę kordonem i nawet przed czasem rozprawić się z tą Fuller.

- Jak myślisz, Charles, Harold da sobie radę?

Colben zgasił papierosa i przypalił następnego.

- Moim zdaniem Harold nie jest w stanie dobrze sobie tyłka podetrzeć.

Pytanie brzmi: co robimy, kiedy spartoli robotę?

- Domyślam się, że już rozważyłeś różne możliwości.

- Owszem. Haines jest gotowy go zastąpić i zająć się staruchą. Kiedy ten hollywoodzki pozer zjebie sprawę, zamierzam osobiście się z nim rozprawić.

- Domniemywam, że zalecasz w tym wypadku likwidację.

- Zalecam wetknięcie mu policyjnego rewolweru prosto w ryj i odstrzelenie łba, żeby mózg mu się rozprysnął po całej zachodniej Filadelfii.

Przez chwilę ciszę mąciły tylko trzaski zakłóceń.

- Cokolwiek uznasz za konieczne - odezwał się w końcu Barent.

- Jeszcze jedno: ta jego skośna sekretarka też będzie musiała zniknąć.

- Naturalnie. Jedna rzecz, Charles...

Agent Leonard wetknął głowę do gabinetu.

- Agent Haines właśnie przywiózł pana Haroda i dziewczynę. Przesiedli się już do helikoptera.

Colben pokiwał głową.

- Co mówiłeś? - spytał Barenta.

- Jutrzejszy dzień jest dla nas wszystkich ogromnie ważny. Nie zapominaj, że po usunięciu pani Fuller naszym głównym obiektem zainteresowania pozostaje pan Borden. Jeżeli będzie to możliwe, skontaktujesz się z nim, żeby rozpocząć negocjacje; na wypadek niepowodzenia musisz być jednak przygotowany na to, żeby go zlikwidować. Klub Wyspiarski pokłada wielkie zaufanie w twojej zdolności oceny sytuacji, Charles.

- Wiem, wiem, będę o tym pamiętał - mruknął Colben. - Pogadamy później, dobrze?

- Powodzenia, Charles.

W słuchawce zaszumiało i połączenie zostało przerwane.

Colben odłożył słuchawkę, naciągnął kamizelkę kuloodporną i wrzucił trzydziestkę ósemkę w kaburze do przedniej kieszeni zimowej kurtki z kapturem.

Wirnik śmigłowca rozkręcał się coraz szybciej, gdy skulony Colben dobiegał do otwartych drzwi maszyny.

Saul, Taylor, Jackson i sześciu młodszych członków Soul Brickyard odprowadzało wzrokiem startujący i oddalający się na północny wschód śmigłowiec. Półciężarówka wielebnego Woodsa stała przy wysokim drewnianym ogrodzeniu pół przecznicy od bramy centrum operacyjnego FBI.

- Co o tym myślisz? - zagadnął Saula Taylor. - Twój czarownik odleciał?

- Być może. Czy stąd mamy najbliżej do tej części kompleksu, w której jest plac budowy?

- Bliżej się nie podjedzie - zapewnił Taylor.

- A jesteście pewni, że uruchomicie maszyny bez kluczyków?

- Spokojna głowa, staruszk - odezwał się Jackson. - W Wietnamie odslużyłem trzy miechy w parku maszynowym, zanim ostatecznie trafiłem do łapiduchów. Mógłbym twoją starą odpalić bez kluczyków.

- Wystarczą buldożery - odparł Saul. Obaj wiedzieli, że uruchomienie buldożera wymaga większych umiejętności niż proste spięcie dwóch przewodów.

- No dobra, ja je uruchomię - mówił tymczasem Jackson - ale czy ty będziesz umiał poprowadzić swój?

- Cztery lata budowy i konserwacji kibucu. Mógłbym twoją starą splantować buldożerem.

- Uważaj sobie, staruszk. - Jackson uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie próbuj mnie przegadać. Białe chłopaczki nie mają drygu do fajnych bluzgów.

- W naszym środowisku mamy zwyczaj przerzucania się bluzgami z Bogiem. Myślisz, że potrzeba mi lepszej praktyki?

Jackson parsknął śmiechem i klepnął Saula w ramię.

- Dość tego pierdolenia. - Wtrącił się Taylor. - Mamy dwie minuty w plecy.

- Zegarek dobrze ci chodzi? - spytał Saul.

Taylor zrobił oburzoną minę i podstawił Saulowi pod nos inkrustowaną brylantami lady elgin w kopercie z dwudziestoczyterokaratowego złota.

- Późni się najwyżej pięć sekund na rok - powiedział. - Ruszamy.

- W porządku. Jak zamierzamy tam wejść?

- Catfish?! - zawołał Taylor.

Jeden z chłopaków siedzących z tyłu otworzył tylne drzwi, wspiął się na

dach wozu, przeskoczył na szczyt dziesięciostopowego ogrodzenia i zniknął po jego drugiej stronie. Pięciu kolejnych poszło w jego ślady; wszyscy mieli ciężkie plecaki, w których pobrzękiwały butelki.

Saul obejrzał opatrunek na lewej ręce.

- Idziemy - syknął Taylor i wysiadł.

- To cię jeszcze poboli - uprzedził Jackson Saula. - Chcesz jakiś zastrzyk?

- Nie - odparł Saul.

Razem z innymi wspiął się na ogrodzenie i zeskoczył po drugiej stronie.

- To nie może być legalne - powiedział Tony Harold.

Patrzył na przemykające w dole latarnie uliczne, wieżowce i autostrady. Z głośnym hurgotem pędzili na wysokości zaledwie trzystu stóp nad ziemią.

- Policyjny śmigłowiec - wyjaśnił Colben. - Specjalne zezwolenie.

Obrócił się na składanym fotelu w taki sposób, że prawie mógł wyrzeć przez otwarte okno po prawej stronie. Zimne powietrze z rykiem wdzierało się do kabiny, siekąc Haroda i Marię jak niewidzialne ostrze. Colben trzymał karabin snajperski - colt kaliber .30 - zamontowany w specjalnym uchwycie naokiennym. Karabin (z potężną lunetą noktowizyjną, celownikiem laserowym i przerośniętym magazynkiem) wyglądał dość nieporęcznie. Colben uśmiechnął się i szepnął coś do mikrofonu, ledwie widocznego ponad krawędzią kaptura. Pilot skręcił ostro w prawo, zataczając krąg nad Germantown Avenue.

Harold obiema rękami kurczowo ścisnął tapicerowane siedzenie. Zamknął oczy. Był przekonany, że tylko zapięty pas bezpieczeństwa chroni go przed wypadnięciem przez otwarte okno i spadkiem swobodnym z wysokości trzydziestu pięter.

- Czerwony jeden do centrali - odezwał się Colben. - Meldujcie.

- Tu centrala - odezwał się Leonard. - Niebieski dwa donosi o wjeździe czterech pojazdów z Latynosami w głąb strefy ochronnej w rejonie Chelton i Market. Kolejne niezidentyfikowane grupy intruzów w zaułku na tyłach zamku jeden i zamku dwa. Grupa piętnastu niezidentyfikowanych czarnych mężczyzn przed chwilą minęła stanowisko białego jeden przy Ashmead. Odbiór.

Colben z uśmiechem odwrócił się do Haroda.

- Szykuje się niezły dym: sylwestrowa rozpierducha czarni kontra meksyki.

- Już po północy - zauważyła Maria. - To będzie noworoczna

rozpierzducha.

- Mniejsza z tym. I chuj z nimi: niech się nawalają, ile chcą, byle nie plątali się nam przy operacji „Wschód Słońca”. Mam rację, Harold?

Tony Harold ścisnął mocniej siedzenie ławki. Nie odpowiedział.

Szeryf Gentry dyszał ciężko, usiłując dotrzymać kroku szefostwu gangu. Marvin i Leroy prowadzili dziesięciu swoich ludzi w luźnym szyku przez ciemny labirynt uliczek, podwórek, zaśmieconych placów i niezamieszkanymi domów. U wylotu jednego z zaułków Marvin dał wszystkim znać, żeby przykucnęli. Gentry dostrzegł furgonetkę zaparkowaną sześćdziesiąt jardów dalej, za ruderowatymi garażami i kontenerami na śmieci.

- Federalne psy - szepnął Leroy. Zerknął na zegarek i uśmiechnął się. - Jesteśmy minutę przed czasem.

Gentry wsparł ręce na kolanach i sapał jak lokomotywa. Bolały go zębra, było mu zimno i żałował, że nie siedzi w domu w Charleston, słuchając Dave’a Brubecka i czytając Bruce’a Cattona. Oparł głowę o zimne cegły i wspomniawszy wydarzenie, do którego doszło, kiedy wychodzili z ośrodka, a które zmieniło jego sposób postrzegania Soul Brickyard i całego Germantown.

Mały chłopiec - siedmio-, najwyżej ośmioletni - przybiegł do ośrodka, kiedy ostatnia ekipa szykowała się do wyjścia. Popędził prosto do Marvina.

- Stevie - złajął go szef gangu - zabroniłem ci tu przychodzić.

Chłopiec był cały zapłakany, ocierał łzy rękawem.

- Mama mówi, żebyś wracał do domu, Marvin. Mama mówi, że jesteś potrzebny jej i Maricie. Masz natychmiast wracać.

Marvin objął chłopca ramieniem i zabrał go do drugiego pokoju. Gentry usłyszał jeszcze:

- ...powiedz mamie, że rano wrócę do domu. I niech Marita wszystkim się zajmie. Powiesz im to, Stevie?

Ta scena zburzyła spokój Gentry’ego. Do tej pory gang był po prostu elementem składowym trwającego od pięciu dni koszmaru, w jaki zmieniło się jego życie. Germantown i jego mieszkańcy doskonale wpasowali się w koszmarną sekwencję bólu, mroku i pozornie niepowiązanych wydarzeń, których wir go wciągnął. Zdawał sobie sprawę, że do gangu należą młodzi ludzie - Jackson był wśród nich wyjątkiem, ale był też zagubioną duszą, przybyszem, wychowankiem, który wrócił na stare śmieci, ponieważ nie

znalazł sobie innego miejsca w życiu. Na mroźnych ulicach w ogóle spotykało się niewielu dorosłych - on sam widywał tylko milczące, jakby poobijane kobiety śpieszące gdzieś w swoich sprawach, starych mężczyzn błakających się bez celu lub wystających pod drzwiami barów, oraz - jakżeby inaczej - włóczęgów polegających na zaśmieconych witrynach sklepowych. Miał świadomość, że to nie jest prawdziwa tutejsza społeczność; że latem ulice i werandy wypełniają się rodzinami, dziećmi skaczącymi na skakankach, nastolatkami grającymi w kosza i roześmianymi młodymi ludźmi opierającymi się o wypucowane samochody; miał świadomość, że makabryczne pustki są efektem mrozów, nowej fali ulicznej przemocy oraz obecności armii najeźdźców, która wyobrażała sobie, że jest niewidzialna - ale przybycie Steviego zmieniło tę świadomość w fakt. Gentry sam poczuł się zagubiony w obcym, zimnym miejscu, gdzie przyszło mu walczyć ramię w ramię z dziećmi przeciw dorosłym, którzy mają całą władzę.

- Są - wyszeptał Leroy.

Trzy głośne, nisko zawieszony samochody zatrzymały się na ulicy widocznej w głębi zaułka. Wysypał się z nich tłumek hałaśliwych młodych ludzi, roześmianych i śpiewających po hiszpańsku. Kilkunastu podbiegło do furgonetki i zaczęli ją okładać kawałkami rur i kijami bejsbolowymi. Włączyły się reflektory, ktoś w środku krzyknął głośno, trzech ludzi wyskoczyło bocznymi drzwiami. Jeden z nich strzelił w powietrze.

- Idziemy - poleciał szeptem Marvin.

Bezszelestnie przemknęli biegiem dwadzieścia jardów w głąb zaułka, trzymając się cienia garaży i ogrodzenia. Zatrzymali się na pustym placu za jakąś szopą, oparci o niski metalowy płot. Od strony furgonetki dobiegły kolejne strzały i Gentry usłyszał, jak samochody z rykiem silników odjeżdżają w stronę Germantown Avenue.

- Grumblethorpe - powiedział Leroy.

Za ogrodzeniem Gentry dostrzegł małe podwórko, duże bezlistne drzewo i tylną ścianę kamiennego domu.

Marvin przysunął się do niego.

- Okna na parterze są zakratowane. Jedne drzwi z tyłu, dwoje od frontu. Wchodzimy z obu stron. Jazda.

Marvin, Leroy, G.B., G.R. i dwaj inni przepłynęli przez płot niczym cienie. Gentry próbował podążyć za nimi, zahaczył o sterczący drut, spadł i wyrzwał kolanem w zmrożoną ziemię. Wyszarpnął rugera z kieszeni i pognął biegiem za tamtymi.

Marvin i G.B. na migi dali mu znać, żeby dołączył do nich z boku budynku. Obaj mieli strzelby przeładowywane ruchomym łożem.

Marvin przewiązał sobie głowę czerwoną chustką.

- My wchodzimy od ulicy - powiedział.

Znajdujący się po sąsiedzku bar był oddzielony czterostopowej wysokości drewnianym płotkiem. Odczekali, aż pusty tramwaj przetoczy się ulicą, po czym Leroy kopniakiem otworzył furtkę i we dwójkę z G.B. odważnie, nonszalancko wyszli na ulicę i minawszy przesłonięte okiennicami okna, podeszli do dwojga odgradzonych barierkami głównych drzwi. Obok znajdował się skośny wjazd do piwnicznego zsypu, zamknięty na kłódkę i schodzący prawie na poziom chodnika. Gentry odsunął się od budynku i uważnie obejrzał fasadę: w żadnym z dziewięciu okien nie paliło się światło, cała Germantown Avenue była pusta, jeśli nie liczyć oddalającego się tramwaju, odległego już o dwie przecznice w kierunku zachodnim. Żółta poświata jasnych „antyżłodziejskich” latarni kładła się na witrynach sklepów i ceglanej nawierzchni ulicy. Pachniało późną nocą i zimnem.

- Teraz - rozkazał Marvin.

G.B. podszedł do zachodnich drzwi i kopnął z całej siły. Lity dąb ani drgnął. Marvin skinął głową. Równocześnie przeładowali strzelby, cofnęli się o krok i strzelili w zamki. Drzazgi zafurkotały w powietrzu i Gentry okręcił się bokiem, instynktownie osłaniając oczy, gdy tamci dwaj strzelili po raz drugi. Kiedy tym razem Gentry spojrział w ich stronę, zachodnie drzwi obwisły na zawiasach. G.B. wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł zaciśniętą pięść w geście triumfu. W tej samej chwili czerwony punkcik pojawił się na jego piersi i szybko przesunął na skroń. G.B. podniósł wzrok, dotknął czoła - punkcik był teraz widoczny na wierzchu jego dłoni - i z miną, w której zdumienie łączyło się z rozbawieniem, spojrział na Marvina.

Odgłos strzału był stłumiony i odległy. Ciało G.B. poleciało na drzwi, odbiło się od nich i upadło na chodnik.

Gentry zdążył jeszcze zauważyć, że kula wyrwała chłopakowi większość czoła, a potem puścił się biegiem, potknął, przewrócił i gnał dalej na czworakach, żeby jak najszybciej dopaść furtki na boczne podwórko; jakaś cząstka jego świadomości zarejestrowała, że Marvin przeskoczył niskie barierki i zanurkował w otwarte drzwi domu. Czerwone punkciki zatańczyły na kamieniu nad głową Gentry'ego i dwa pociski sypnęły mu w twarz pyłem kamiennych odłamków, zanim wparował za furtkę, przeturlał się w prawo i wyrznął w coś z impetem, gdy kilka dalszych kul przeszło płotek i zryło

zmrożoną ziemię. Na oślep odczołgał się w głąb podwórka. Od strony głównej ulicy padły kolejne strzały, ale tym razem wszystkie zdecydowanie chybiły.

Leroy podbiegł do niego i przypadł na jedno kolano.

- Co się tam dzieje, kurwa?!

- Ktoś strzela - wysapał Gentry, zdumiony, że nie zgubił rugera. - Z drugiej strony ulicy. Z piętra albo z dachu. Spluwa z laserowym celownikiem.

- Marvin?

- Chyba jest w środku. G.B. nie żyje.

Leroy wstał, dał komuś znać machnięciem ręki i zniknął. Sześć cieni przebiegło w pobliżu, kierując się ku frontowi domu. Gentry obiegł budynek z boku i zza węgła wyjrzał na podwórko na tyłach.

Furgonetka wśliznęła się w zaułek i znieruchomiła. Otworzyły się drzwi, w padającym ze środka świetle na sekundę zarysowała się sylwetka mężczyzny wysiadającego zza kierownicy. Od strony szopy i zalegającego wokół niej cienia dobiegł huk kilku wystrzałów. Mężczyzna wpadł do środka, drzwi zamknęły się za nim. Ktoś w okolicy szopy krzyknął, Gentry zobaczył przemykające w stronę drzewa cienie. Rozległ się łoskot nadlatującego śmigłowca i nagle, bez ostrzeżenia, snop światła ze szperacza przeszył noc, zalewając podwórko oślepiającym blaskiem. Chłopak, którego Gentry nie znał z nazwiska, znieruchomiał jak jelen w potrzasku samochodowych reflektorów i zadarł głowę. Czerwony punkcik zatańczył mu na piersi, zanim ułamek sekundy później klatka piersiowa mu eksplodowała. Gentry nie słyszał strzału.

Ścisnął rugera w obu dłoniach i trzy razy strzelił w kierunku szperacza. Snop światła nie zgasł, ale prześliznął się gwałtownie po okolicznych dachach, gałęziach drzewa i furgonetce, gdy śmigłowiec zatoczył łuk i wzbił się wyżej w noc.

Od frontu rozpętała się strzelanina. Ktoś krzyczał wysokim, piskliwym głosem. Kolejne wystrzały i rozbłyski ognia z luf dobiegły z okolic furgonetki. Dało się też słyszeć inne samochody. Gentry spojrzął na trzymany w ręce rewolwer, doszedł do wniosku, że nie ma czasu go ładować, i pobiegł w stronę otwartego tylnego wejścia Grumblethorpe.

Saul Laski od lat nie prowadził buldożera, ale gdy tylko Jackson wymienił iskrownik i maszyna z rykiem ożyła, wskoczył na tapicerowany fotelik i

zaczął sobie odświeżać umiejętności nieużywane od czasu, gdy niemal dwie dekady temu pomagał uprzętać teren pod kibuc. Na szczęście teraz miał do czynienia z amerykańskim caterpillarem D-7, bezpośrednim potomkiem kibucowych maszyn. Rozłączył sprzęgło, przestawił selektor prędkości w położenie neutralne, ustawił ogranicznik obrotów, nadepnął na prawy hamulec sterujący i zablokował go zaciskiem. Sprawdził jeszcze raz, czy na pewno wrzucił luz, i dopiero wtedy zaczął szukać startera.

- No tak... - mruknął, kiedy w końcu mu się udało.

Przestawił dźwignię przekładni i kompresora we właściwe położenia (taką przynajmniej miał nadzieję), wcisnął sprzęgło startera, otworzył zawór paliwowy, włączył ssanie i pstryknął przełącznikiem zapłonu.

Nic się nie stało.

- Ej! - zawołał chudzielec zwany Catfishem, przykucnięty obok jego fotelika. - Kurwa, dziadek, jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Całkowicie! - odkrzyknął Saul.

Złapał jakąś dźwignię, doszedł do wniosku, że to sprzęgło, złapał inną i pociągnął. Zaskowyczał elektryczny rozrusznik, silnik ożył i ryknął donośnie. Saul odszukał przepustnicę, puścił sprzęgło, dał za duży napęd na prawą gaśienicę i omal nie przejechał Jacksona, który z lewej strony przykucnął przy drugim buldożerze, usiłując go uruchomić. Saul wykierował maszynę na wprost i udało mu się ją wycelować w odległy o sześćdziesiąt jardów kompleks przyczep kempingowych. Buldożer ruszył. Spychane wiatrem dieslowskie spaliny i czarny dym leciały Saulowi prosto w twarz. Zerknąwszy w prawo, zobaczył trzech innych członków gangu biegnących obok buldożera.

- To cholerstwo szybciej nie pojedzie?! - wrzasnął Catfish.

Słyszając głośny zgrzyt, Saul uświadomił sobie, że nie podniósł lemiesza. Kiedy naprawił ten błąd, maszyna stała się o wiele zwawsza. Z tyłu dobiegł głośny jazgot silnika: to Jackson wyjechał swoim buldożerem z parku maszynowego.

- A co zrobisz, jak dojedziemy?! - zawołał Catfish.

- Zobaczysz! - odkrzyknął Saul i poprawił okulary.

Nie miał zielonego pojęcia, co robi. Wiedział tylko, że agenci FBI mogą w każdej chwili wybiec na zewnątrz, rozstąpić się na boki i zacząć strzelać.

Powolne buldożery stanowiłyby łatwe cele. Ich szanse na dojechanie bez przeszkód aż do przyczep wydawały się nieskończenie małe.

Saul od dziesięcioleci nie czuł się tak dobrze.

Malcolm Dupris poprowadził ośmiu członków Soul Brickyard do domu Anne Bishop. Marvin był prawie pewien, że wiedźma będzie w tym drugim domu, tym przy Avenue, ale na wszelki wypadek ekipa Malcolma miała sprawdzić lokal przy Queen Lane. Nie mieli łączności radiowej, ale Marvin zadbał o to, żeby każdemu zespołowi towarzyszyły co najmniej dwa brzdące (zrzeszone w pomocniczym gangu dzieciaki w wieku od ośmiu do jedenastu lat) w charakterze gońców. Grupa Marvina na razie nie dała znaku życia, więc kierując się dobiegającym od strony Avenue grzechotem strzałów, Malcolm wyprowadził połowę swojego zespołu na podwórko Anne Bishop. Pozostała szóstka została na posterunku, obserwując furgonetkę zakładu telefonicznego przyczajoną bez życia przy końcu zaułka.

Malcolm, Donnie Cowles i mały, gruby Jamie (młodszy brat Louisa Solarza) poszli przodem: kopniakiem wyważyli kuchenne drzwi i wpadli do środka. Malcolm wodził na wszystkie strony świeżo naoliwionym, błyszczącym pistoletem kaliber 9 mm, kupionym za siedemdziesiąt pięć dolarów od Muhammeda i zaopatrzonym w magazynek o podwójnej pojemności, mieszczący czternaście naboń. Donnie wziął ze sobą toporną samoróbkę kalibru .22 z pojedynczym ładunkiem w prowizorycznej lufie. Jamie miał tylko nóż.

Zamieszkującej dom starej kobiety nigdzie nie było widać, nie znaleźli też wiedźmy ani białego potwora. W trzy minuty przeszukali cały domek. Malcolm wrócił do kuchni, wysławszy jeszcze Donniego, żeby sprawdził podwórko od frontu.

- W sypialni na piętrze straszny bajzel - zameldował Jamie. - Jakby ktoś się pakował w pośpiechu.

- Mhm - mruknął Malcolm i skinął na chłopaków z podwórka za domem. Trzynastoletni Jefferson, jeden z brzdąców-gońców, natychmiast do niego podbiegł. - Leć do tego starego domu przy Avenue, zorientuj się, co Marvin...

Zgrzytnęły otwierane drzwi garażu i dał się słyszeć chodzący na jałowym biegu silnik samochodu. Malcolm dał znak pozostałym, a sam wybiegł przez furtkę na tyłach domu i z poślizgiem skręcił w zaułek w tej samej chwili, gdy śmieszny stary samochód z dziwną atrapą chłodnicy wyjechał z garażu.

Miał zgaszone reflektory, a prowadząca go staruszka trzymała kierownicę w rozpaczliwym uścisku strachliwego kierowcy. Malcolm rozpoznał w niej pannę Bishop; przez całe życie widywał ją w tej okolicy, w dzieciństwie zdarzało mu się nawet przystrzygać jej mikroskopijny trawniczek przed

domem.

Pięciu chłopaków z gangu zastąpiło jej drogę. Malcolm podszedł do samochodu od strony drzwi kierowcy. Przerazona kobiecina rozejrzała się i opuściła szybę w oknie.

- Będziecie musieli zejść mi z drogi, chłopcy. - Jej głos brzmiał nieco dziwnie. Tak mógłby mówić lunatyk. - Muszę przejechać.

Malcolm zerknął do wnętrza wozu, żeby upewnić się, że nikogo więcej w nim nie ma. W środku była tylko panna Bishop.

Opuścił pistolet i nachylił się do okna.

- Przykro mi, ale nigdzie pani nie pojedzie, dopóki...

Ręce Anne Bishop wystrzeliły zniemacka przed siebie, mierząc zakrzywionymi jak szpony palcami w twarz Malcolma; gdyby nie instynktowne szarpnięcie głową do tyłu, wyłupiłaby mu oczy - skończyło się jednak na tym, że długie paznokcie wryły mu osiem krwawych śladów na powiekach i policzkach. Malcolm krzyknął przeraźliwie, a stareńki automobil z rykiem skoczył naprzód, wyrzucając małego Jeffersona w powietrze i lewym kołem miażdżąc Jamiego.

Malcolm zaklął, namacał pistolet i wziął go do ręki, po czym przyklęknąwszy na jedno kolano, strzelił trzy razy w ślad za znikającym samochodem, zanim usłyszał czyjś ostrzegawczy krzyk. Nie wstając z klęczek, okręcił się w miejscu. Furgonetka firmy telefonicznej, do niedawna stojąca u wylotu zaułka, pędziła prosto na niego.

Wycelował - i wtedy zdał sobie sprawę, że właśnie stracił kilka bezcennych sekund na niewłaściwy manewr. Otworzył usta do krzyku.

Wóz FBI pędził co najmniej sześćdziesiąt mil na godzinę, kiedy jego przedni zderzak trafił Malcolma w twarz.

- Spadajmy stąd, do diabła! - wrzasnął Tony Harod, gdy coś z głuchym metalicznym szczękiem uderzyło w lewą płożę helikoptera, krzesząc iskry.

Zawiśli sześćdziesiąt stóp nad jakimś budynkiem o płaskim dachu i Colben bawił się w najlepsze swoją giwerą rodem z „Gwiezdných wojen”, cały czas szczerząc zęby w głupawym uśmiechu. Hajek - pilot - podzielał chyba zdanie Haroda, bo zanim Colben zdążył odwrócić się od okna i wydać rozkaz, on już kładł maszynę w ostry skręt w prawo i zwiększał pułap. Niewzruszony Richard Haines siedział z miną stoika w fotelu drugiego pilota i wyglądał przez okno niczym uczestnik nocnej wycieczki turystycznej. Siedząca obok Haroda Maria Chen kurczowo zaciskała powieki.

- Czerwony jeden do centrali - odezwał się Colben. Harold i Maria też mieli słuchawki i mikrofony umożliwiające porozumiewanie się mimo zgiełku wiatru, silnika i wirników. - Czerwony jeden do centrali.

- Tu centrala - odpowiedział kobiecy głos. - Słyszemy cię, czerwony jeden.

- Co jest grane?! Przy zamku dwa roi się od czarnuchów!

- Zgadza się, czerwony jeden. Zespół zielony potwierdza nawiązanie kontaktu z nieznaną liczbą uzbrojonych czarnych próbujących włamać się do zamku dwa. Zespół złoty ściga cel numer dwa jadący deSoto rocznik pięćdziesiąty trzeci na północ równoległe do Queen Lane. Zespoły biały, niebieski, szary, srebrny i żółty wszystkie meldują o nawiązaniu kontaktu z wrogimi intruzami. Burmistrz dzwonił już dwa razy. Odbiór.

- Burmistrz - westchnął Colben. - Jezu Chryste... Gdzie jest Leonard, na litość boską? Odbiór.

- Agent Leonard wyszedł zbadać zamieszanie na placu budowy. Przełączę go, jak tylko wróci, czerwony jeden. Odbiór.

- Szlag by to trafił! - zaklął Colben. - Dobra, słuchajcie. Wysadzę Hainesa, żeby pokierował akcją przy zamku dwa. Niech zespoły biały i niebieski odetną kordonem okolicę od Market do Ashmead. Zielony i żółty mają dopilnować, żeby nikt, ale to nikt nie wszedł do zamku dwa ani z niego nie wyszedł. Jasne?

- Potwierdzam, czerwony jeden. Mamy jakiś...

Coś zgrzytnęło głośno i łączność została przerwana.

- Psiakrew! - mruknął Colben. - Centrala? Centrala? Haines, przełącz mnie na taktyczny dwa pięć. Zespół złoty? Zespół złoty, tu czerwony jeden. Peterson, słyszysz mnie?

- Słyszę, czerwony jeden - odpowiedział mu spięty męski głos.

- Gdzie jesteście, do cholery? Odbiór.

- Jedziemy Germantown Avenue na zachód, ścigamy cel numer dwa. Odbiór.

- Tę... Bishop? Dokąd ona...

- Ehm... Będzie nam potrzebne wsparcie, czerwony jeden - wtrącił ten sam głos. - Dwa pojazdy, Latynosi, ehm... Odezwę się później, czerwony jeden. Odbiór.

Colben wychylił się i wrzasnął na pilota:

- Siadaj!

Pilot w nieodłącznej bejsbolówce spokojnie żuł gumę.

- Nie widzę dobrego miejsca, szefie. Trzymam pułap tysiąca stóp.
- Chrzanić pułap, siadaj na Germantown Avenue, jeśli nigdzie indziej się nie da. Ruchy!

Pilot spojrział w prawo, obrócił maszynę w miejscu i skinął głową.

Tony Harod z trudem powstrzymał się od krzyku, kiedy śmigłowiec zaczął spadać jak winda, której przecięto linę. Latarnie wybiegły im na spotkanie, jedną przecnicę na lewo od nich szalał pożar... a potem helikopter wyrównał lot i łagodnie usiadł na klinkierze i asfalcie na samym środku jezdni. Haines natychmiast wyskoczył, zgrabnie wylądował i odbiegł na chodnik.

- Do góry! - polecił Colben, dając pilotowi znak wyprostowanym kciukiem.

- Nie! - zaprotestował Harod. Skinął na Marię i oboje zaczęli majstrować przy sprzączkach pasów. - My też wysiadamy.

- Takiego wała - mruknął przez interkom Colben.

Harod zdążył zdjąć słuchawki, kiedy Maria wycelowała wyjętego z torebki browninga w pierś Colbena.

- Wysiadamy - powtórzył Harod. - Tu i teraz.

- Już jesteś martwy, Harod - zagroził mu spokojnie Colben.

Harod pokręcił głową.

- Nie słyszę, co mówisz, Chuck! - odkrzyknął. - *Ciao!*

Wyskoczył przez lewe drzwi i pobiegł do wylotu zaułka po przeciwnej stronie niż ta, z której zniknął Haines. Maria Chen odczekała trzydzieści sekund, zanim przesunęła się ku drzwiom.

- Oboje jesteście martwi - powiedział z uśmiechem Colben.

Spojrział na karabin zamocowany w uchwycie z prawej strony i odprężył się.

Maria pokiwała głową, wyskoczyła i puściła się biegiem.

- Sto stóp - powiedział do mikrofonu Colben.

Helikopter wzniósł się ponad dachy i przewody i zawisł dziesięć pięter nad Germantown Avenue. Colben ujął kolbę karabinu i patrząc przez lunetkę, zaczął przeczesywać pobliskie uliczki. Nic się w nich nie poruszało.

- Za dużo tych zasranych okapów - mruknął.

Kanał taktyczny eksplodował jazgotem podnieconych głosów. Colben usłyszał Hainesa, który domagał się odpowiedzi od snajperów z zespołu zielonego.

Pokręcił głową.

- Wracamy do zamku dwa - zakomenderował. - Później zajmiemy się tym gnojem.

Śmigłowiec obrócił się, pochylił nos i, wznosząc się, skierował się ku wschodowi.

33.

Germantown

1 stycznia 1981, czwartek

Natalie Preston leżała na wznak, usiłując obiema rękami zablokować pchnięcie trzymanego przez Vincenta noża, kiedy coś wybuchło po drugiej stronie frontowych drzwi Grumblethorpe, nie dalej niż sześć stóp od niej. Grad drzazg poleciał w głąb wąskiego korytarza. Rozległa się druga eksplozja. Natalie spojrzała w lewo, w stronę bawialni, i zobaczyła, jak strzaskane drzwi wejściowe otwierają się z impetem.

W niespodziewanej ciszy głowa Vincenta uniosła się i obróciła w bok, sztywno jak u kiepsko zaprogramowanego robota. W jego prawej ręce załśnił nóż. Natalie nie poruszyła się, nie odezwała, bała się nawet odetchnąć.

Dała się słyszeć druga seria wybuchów, tym razem bardziej odległa, i nagle ludzka sylwetka wpadła do bawialni, przetoczyła się po podłodze i wylądowała na uszaku przy kominku. Porzucona strzelba prześliznęła się po deskach podłogi i zaklekotała o nogi stołu.

Vincent przestąpił nad Natalie i wszedł do bawialni. Natalie rozpoznała szeroko otwarte niebieskie oczy Marvin'a Gayle'a, kiedy Vincent chwycił go i podniósł - zanim na czworakach popędziła na tyły domu. Chciało jej się wyc z bólu w złamanej kostce, ale przygryzła wargę i nawet nie pisnęła. Przed domem wybuchła strzelanina, z bawialni dobiegły odgłosy szamotaniny - to Marvin walczył z białym potworem. Pozbierała się i stanęła na zdrowej nodze przy wejściu do pomieszczenia, które musiało być kuchnią: podłużne wnętrze, okna z zamkniętymi okiennicami, olbrzymi kominek, dwie świece płonące na długim stole i masywne zamknięte drzwi. Przy drzwiach stała oparta o ścianę strzelba.

Natalie jęknęła cicho i podskakując na jednej nodze, ruszyła w stronę drzwi. Prawie zdążyła chwycić strzelbę, kiedy trzy szybko następujące po sobie wybuchy wstrząsnęły drzwiami od zewnątrz. Czwarta i piąta eksplozja strzaskały żelazny zamek i drewnianą sztabę, siekąc drzazgami lewą rękę i nogę Natalie. Odskoczyła w bok, odruchowo przeniosła ciężar ciała na prawą stopę i upadła na stół, który przewróciła i pociągnęła na siebie, gdy z impetem padała na podłogę. Po kolejnych dwóch strzałach drzwi wyrzuciły się wyraźnie do wewnątrz.

Sześć stóp od Natalie znajdowały się otwarte na oścież drzwi do spiżarni,

w której była przetrzymywana; teraz przynajmniej miałyby się gdzie ukryć. Na czworakach dopadła do nich i stoczyła się w mrok w tej samej chwili, gdy ktoś z zewnątrz kopniakiem wyłamał drzwi wejściowe.

Rozpoznała jednego z bliźniaków z gangu Marvina, któremu towarzyszył drugi, nieznaną jej chłopak. Obaj byli uzbrojeni w strzelby. Zgodnie wskoczyli za przewrócony stół.

- Nie strzelajcie! - krzyknęła. - To ja!

- Kto tam?! - zawołał bliźniak. Uniósł się lekko, zataczając strzelbą krótkie łuki na boki.

Natalie wśliznęła się głębiej do spiżarni. Marvin chwiejnym krokiem wszedł do kuchni. Ręce i pierś miał całe we krwi, strzelbę włókł kolbą po podłodze, jakby nie miał siły jej unieść.

- Marvin! Kurwa, facet, skąd się tu wziąłeś?!

Bliźniak wstał i opuścił broń. Drugi chłopak wystawił głowę ponad stołem.

Marvin uniósł strzelbę i strzelił dwa razy. Bliźniak poleciał do tyłu, prosto w wygaszony kominek. Jego kompan przeturlał się w kąt, krzyknął coś i spróbował wstać. Marvin zrobił półobrót i strzelił z biodra. Chłopak odbił się od ściany, poleciał do przodu i zwyczajnie zniknął w ziejącej w podłodze dziurze, niewidocznej w półmroku.

Natalie uświadomiła sobie, że przykucnąwszy, cały czas jedną ręką podtrzymuje rozcięty stanik. Wyglądając przez szpary w półprzymkniętych drzwiach spiżarni, widziała, jak Marvin na sztywnych nogach podchodzi do kominka i ogląda zwłoki bliźniaka, przechodzi w kąt, staje nad wylotem tunelu, przez chwilę wpatruje się w głąb dziury, a potem celuje w dół i dla pewności strzela jeszcze raz.

Pokuśtykała korytarzem, zapominając o staniku. Na całym tułowiu miała gęsią skórę. Na zewnątrz rozpętała się potworna kanonada.

To tylko zły sen, powtarzała sobie w myślach. Zaraz się z niego obudzę.

Przeszywający ból w kostce mówił jej jednak co innego.

W korytarzu pojawił się Vincent. Stał w lekkim rozkroku, w prawej ręce trzymał nóż.

Natalie przystanąła i oparła się o wyłożoną boazerią ścianę, żeby nie stracić równowagi. Na lewo od niej zaczynały się strome schody na piętro.

Vincent zrobił krok w jej stronę.

Skoczyła w lewo. Wrzasnęła z bólu, uderzywszy kostką w pierwszy stopień, i popłakując, pokuśtykała na górę. Z kuchni dobiegło ją

nawoływanie Roba Gentry'ego.

Saul zaproponował dywersyjny atak na centrum dowodzenia - szybkie uderzenie, maksymalne zamieszanie i szybki odskok; w sytuacji idealnej obeszłoby się bez ofiar, może nawet bez strzelaniny. W skrytości ducha żywił nadzieję, że zastaną tam Colbena i Hainesa. Teraz jednak, kiedy buldożerowi zostało do przejechania ostatnie dwadzieścia jardów, nabierał wątpliwości, czy jego teoria miała choćby cień sensu.

Gdzieś z lewej strony dobiegł ogłuszający huk i ogniste kwiaty rozkwitły na wysokość dwudziestu stóp - to Taylor i pozostali obrzucili zaparkowane samochody butelkami z benzyną. Poświata na chwilę rozświetliła cały plac. Z głównej przyczepy wyszedł mężczyzna w białej koszuli i ciemnym krawacie. Obrzucił spojrzeniem pożar i dwa sunące na niego buldożery, krzyknął coś, czego nikt nie usłyszał, i wyszarpnął pistolet z kabury przy pasie.

Saul znajdował się dziesięć jardów od przyczepy. Podniósł lemiesz buldożera jak tarczę - i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że skutecznie zasłonił sobie widok do przodu. Jazgot silnika i eksplozja kolejnego koktajlu Mołotowa zagłuszyły strzały, ale coś dwa razy zrykoszetowało metalicznie o lemiesz, a trzeci (głośniejszy) huk dobiegł od strony chłodnicy. Maszyna jednak nie straciła rytmu. Saul uniósł lemiesz o kolejną stopę i przez powstałą w ten sposób szparę u dołu zdążył zobaczyć, jak strzelec chowa się z powrotem do przyczepy.

- Ja tu wysiadam! - zawołał Catfish. Przeskoczył nad prawą gąsienicą i przepadł w mroku.

Saul też pomyślał o tym, że mógłby wyskoczyć, ale tylko wzruszył ramionami i zaparł się o jakiś metalowy element, przygotowując się na zderzenie. Podniósł lemiesz jeszcze o stopę.

Na ostatnich dziesięciu stopach teren lekko się wznosił. Lemiesz wgryzł się w przyczepę na wysokości około ośmiu stóp nad ziemią, na prawo od drzwi. Drewniana platforma przy wejściu połamano się i wykręciła w bok. Saul poleciał do przodu, przygryzł sobie język i opadł na miękki fotel, gdy gąsienice maszyny wzięły się na serio do roboty i zaczęły obalać długą przyczepę.

Cały kompleks zadygotał, gdy wstrząsnęło nim najpierw zderzenie z buldożerem Saula, a następnie także z maszyną prowadzoną przez Jacksona, która uderzyła weń jakieś dwadzieścia stóp na lewo od wejścia. Cienkie aluminium gięło się i darło na pasy. Całe okno - wyłuskane ze ściany wraz z

oprawą - zostało zmiążdżone przez gąsienice pojazdu Saula. Z początku Saul był święcie przekonany, że lemiesze przejdą przez przyczepę na wylot, w końcu jednak stał natrafiła na lity metal, oba buldożery napały mocniej, rozległ się ogłuszający zgrzyt łączników, środkowa przyczepa oddzieliła się od dwóch pozostałych i pomału zaczęła się przewracać.

Kilka stóp na lewo od Saula z głównych drzwi wejściowych wyłoniły się głowa, tors i ramiona uzbrojonego mężczyzny, pistolet zatoczył łuk w poszukiwaniu celu... W tej samej chwili przyczepa wychyliła się poza położenie równowagi i runęła na bok. Pistolet wycelował w niebo, wypalił dwa razy i zniknął Saulowi z oczu.

Saul wysprzęglił i wyskoczył z kabiny. Jackson również wysiadł. Spojrzeli po sobie ze znużonymi minami, bez słowa, i razem przykucnęli za jednym z samochodów FBI.

- Co dalej? - spytał po upływie minuty Jackson.

Z przewróconego i poharatanego wraku przyczepy wyczołgiwali się pierwsi ludzie. Ktoś pomógł jakiejś kobiecie wydostać się przez wydarty w dachu otwór. Większość sprawiała wrażenie oszołomionych - siedzieli na zmrożonej ziemi albo chodzili bez celu jak ofiary wypadku samochodowego - ale kilkoro sięgnęło po broń. Saul zdawał sobie sprawę, że pozostanie w tym miejscu byłoby głupotą. Taylora i reszty nie było nigdzie widać, domyślał się więc, że wrócili do samochodu.

- Szukam kogoś - odparł.

Odczekał, aż wszyscy agenci wypełzną z przyczepy, jak mrówki z roztrąconego kopniakiem mrowiska, ale nie rozpoznał wśród nich ani Charlesa Colbena, ani Richarda Hainesa. Rozczarowanie miało gorzki smak.

- Zbierajmy się stąd - zasugerował szeptem Jackson. - Zaraz wezmą się w garść.

Saul skinął głową i pobiegł za nim w ciemność.

Leroy zdążył zobaczyć leżące na chodniku ciało G.B. i błyski ognia z luf na drugim piętrze domu naprzeciwko, zanim rzucił się na ziemię i przeturlał w stronę furtki. Pociski karabinowe podziurawiły ogrodzenie na lewo od niego; miał wrażenie, że niektórzy z braci odpowiedzieli ogniem z zachodniej strony domu i z głębi ulicy, ale zdawał sobie sprawę, że przypadkowo zebrana broń krótka i garstka strzelb, którymi dysponują, nie mają szans w starciu z karabinami federalnych psów.

- Przejebane... - mruknął.

Dziesięć cali od niego pod murem leżały następne zwłoki. Odwrócił je na wznak, słysząc pobrzękiwanie butelek w tanim plecaku ze sklepu z używanymi rzeczami. Zapachniało benzyną.

To był Deeter Coleman, uczeń trzeciej klasy szkoły średniej w Germantown i nowy nabytek Soul Brickyard. Ze dwa razy umówił się na randkę z siostrą Leroya, który dobrze wiedział, że chłopaka bardziej interesowało kółko teatralne i laboratorium komputerowe niż życie ulicy - co nie zmieniało faktu, że Deeter od lat wprost błagał Marvina, żeby ten przyjął go do gangu. Swoją szansę dostał zaledwie przed tygodniem. Kula karabinowa rozszarpała mu gardło.

Leroy obrócił go z powrotem na brzuch, zarzucił plecak na ramiona i dopasował paski, pomrukując pod nosem:

- Ty jesteś zwyczajnie pierdolnięty, Leroy. Głupi jak chuj. Zawsze pakujesz się w jakieś głupoty.

Dociągnął paski plecaka, czując, jak benzyna z rozbitej butelki wsiąka mu w koszulę na plecach. Pokręcił głową. Zatknał bezużyteczną dwudziestkę piątkę za pas, po czym, niewiele myśląc, otworzył furtkę i puścił się biegiem.

Rozległy się dwa strzały, coś szarpnęło go za piętę trampka, ale nie zwolnił kroku. Roztrącił rząd pojemników na śmieci u wylotu bocznej uliczki i dopadł do drabinki pożarowej.

- Co za beznadziejnie głupi pomysł - sarknął, wspinając się po schodach ewakuacyjnych.

Na wysokości drugiego piętra ściana od strony zaułka była pozbawiona okien, do środka prowadziły tylko metalowe drzwi bez klamki.

- Głupek... - mruzczał Leroy. - Głupek, głupek, głupek...

Przykucnął na prawo od drzwi, obmacał kieszenie. Nie miał zapalek, zapalniczki, nic. Parsknął głośnym śmiechem, gdy nagle trzy cienie wybiegły zza budynku prosto w zaułek. Ze swojego punktu obserwacyjnego na wysokości trzydziestu stóp wyraźnie widział ich białe twarze i dłonie, kiedy zadarli głowy i wzięli go na cel.

- Nie masz dokąd uciec, stary... - mruknął.

Przycisnął twarz i brzuch do ściany, gdy pierwszy pocisk z wizgiem zrykoszetował na kracie, syjąc iskrami. Drugi przeszył mu podeszwę prawego trampka i poderwał całą nogę w powietrze. Czując nagłe odrętwienie w stopie, Leroy spojrzał na czarny otwór wylotowy w górnej powierzchni buta.

- To jakiś żart, kurwa? - wyszeptał.

Metalowe drzwi otworzyły się i na podest schodów wyszedł mężczyzna w ciemnym garniturze, uzbrojony w dziwnie wyglądający karabin. Leroy wywał mu broń z rąk, uderzył go nią w szyję i przegiął do tyłu przez barierkę. Znieczuloną prawą nogą przyblokował otwarte drzwi. Kanonada na dole ucichła, widział jednak, że białe twarze przemieszczają się w poszukiwaniu dobrego miejsca do oddania strzału. Mężczyzna w garniturze wiał się i dławił; jedną ręką sięgał do jego twarzy, drugą próbował odepchnąć wbijający mu się w krtań zamek karabinu.

Leroy naparł na niego całym ciężarem ciała i jeszcze mocniej przegiął go przez poręcz.

- Masz ogień? - spytał szeptem.

Za jego plecami, we wnętrzu budynku, rozległy się kroki. Lewą ręką sięgnął do kieszeni w marynarce agenta i wyciągnął z niej złotą zapalniczkę.

- Dzięki ci, Panie Boże - powiedział głośno i zrzucił agenta razem z karabinem na leżącą trzydzieści stóp niżej uliczkę. Skrył się w pomieszczeniu za drzwiami, zanim na dole znów rozpętała się strzelanina.

- Czy ty właśnie...? - zagadnął go drugi biały z gotowym do strzału pistoletem w ręce.

Jego kumple stali przy oknach, obok zainstalowanych na masywnych trójnogach lunet i kolejnych wyrafinowanych karabinów. Leroy zdążył jeszcze zauważyć składane krzeselka, stoliki karciane, puszki z napojami i leżące pod ścianą krótkofalówki.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął biały, mierząc mu z pistoletu w pierś.

Leroy już podnosił ręce. Kciukiem pokręcił kółeczkiem zapalniczki, poczuł ciepło małego płomyczka tuż przy uchu.

- Taki już mój kurewski fart - powiedział. - Zaskoczyła od pierwszego strzału.

Upuścił płonąca zapalniczkę do otwartego plecaka wypełnionego butelkami bezołowiowego shella premium.

Anne Bishop była pół przecznicy od Grumblethorpe, kiedy nastąpił wybuch. Jechała dalej, utrzymując prędkość piętnastu mil na godzinę, ściskając kurczowo kierownicę deSoto i patrząc prosto przed siebie. Nawet nie mrugnęła. Wszystkie szyby na drugim piętrze domu naprzeciw Grumblethorpe wyleciały na zewnątrz, rozprysnięte na tysiące odłamków, które mieniły się i lśniły niczym padający na Germantown Avenue śnieg. Trzydzieści sekund później pojawił się ogień. Anne zatrzymała się przed

Grumblethorpe i przestawiła przekładnię w położenie neutralne, po czym, posłuszna trzydziestoletniemu odruchowi, starannie zaciągnęła hamulec ręczny.

Płomienie naprzeciwko rozgorzały już bardzo jasno, oblewając pomarańczową poświatą Grumblethorpe i cały ten fragment ulicy. Rozległa się nieregularna kanonada z broni palnej. Pięćdziesiąt metrów dalej kilkoro długonogich sylwetek przebiegło przez ulicę. Z tyłu, tuż za prawym kołem deSoto, przy krawężniku leżał chłopiec. Mała czarna kałuża, jaka zebrała się wokół jego roztrzaskanej głowy, zaczynała już spływać do studzienki.

Płonący budynek po drugiej stronie ulicy wydawał głośnie trzaski, jakby ktoś łamał po sto grubych gałęzi na raz. Huk eksplodującej od czasu do czasu amunicji do złudzenia przypominał stukot strzelającego popcornu. Gdzieś daleko ktoś krzyczał. Wyły syreny.

Anne Bishop siedziała w swoim deSoto rocznik '53. Patrzyła przed siebie, trzymała ręce na kierownicy i czekała.

Gentry wparował do środka przez otwarte tylne drzwi z rugerem w wyciągniętych rękach. Skorzystał z osłony, jaką dawał przewrócony stół; przyklęknął za nim ciężko na jedno kolano i rozejrzał się dookoła.

Starą kuchnię oświetlały dwie świece: jedna paliła się na blacie, druga - przewrócona - na podłodze. G.R. - jeden z braci bliźniaków - leżał martwy w olbrzymim kominku sześć stóp za plecami Gentry'ego, w rozdartej od szyi po krocze puchowej kurtce; pierze opadło na twarz, pierś i nogi trupa. Poza tym kuchnia była pusta. Wąskie drzwiczki do spiżarni albo innego małego pomieszczenia były otwarte i zasłaniały widok w głąb domu.

Słyszając jakiś hałas w korytarzu, wymierzył w nie z rewolweru. Złapał się na tym, że oddycha przez usta, szybko, zbyt szybko, o krok od hiperwentylacji. Na dziesięć sekund wstrzymał oddech. Strzelanina na zewnątrz na chwilę ustała i w nagłej ciszy usłyszał ciche skrobanie w ciemnym kącie za plecami. Okręcił się na kolanie i patrzył, jak Marvin Gayle wynurza się - na pozór - wprost z kamiennej posadzki, jak człowiek wychodzący z basenu. Mimo półmroku Gentry wyraźnie widział, że twarz przywódcy gangu jest pozbawiona wyrazu, oczy zaś stały się szparkami z ledwie widoczną sugestią źrenic.

- Marvin? - zagadnął go Gentry.

W tej samej chwili chłopak wyciągnął z dziury, w której stał, strzelbę, wycelował mu w głowę i pociągnął za spust.

Rozległ się głuchy trzask iglicy, która trafiła na pustą komorę.

Gentry wycelował rugera. Marvin zdążył przeładować i drugi raz nacisnąć cyngiel. Iglica znów trafiła w pustkę.

Szeryf zdążył już wcisnąć spust na tyle mocno, żeby napiąć kurek, teraz jednak przytrzymał go kciukiem i powoli opuścił.

- Kurna... - mruknął pod nosem i skoczył naprzód, gdy parodia Marvina Gayle'a odrzuciła strzelbę i wygramoliła się z wylotu tunelu.

Marvin był od niego niższy i lżejszy, ale był także młodszy, szybszy i - w tej chwili - napędzany energią demona. Gentry nie miał pojęcia, czy udałoby mu się go pokonać w czymś, co można by nazwać uczciwą walką - i nie zamierzał tego sprawdzać. Znalazł się przy Marvinie, zanim ten zdążył wstać. Zamachnął się, ruger zatoczył paskudny łuk w powietrzu i wyrznął chłopaka lufą w skroń. Marvin upadł, przetoczył się po podłodze i znieruchomiał.

Gentry przykucnął nad nim, sprawdził mu puls, podniósł wzrok... i zobaczył białego potwora stojącego przy drzwiach do spiżarni. Strzelił dwa razy; pierwsza kula zrykoszetowała na kamieniu w miejscu, gdzie zjawa znajdowała się jeszcze ułamek sekundy wcześniej, druga przebiła drzwiczki na wylot. Z korytarza dobiegły ciężkie kroki. Na dworze rozległa się stłumiona eksplozja.

- Natalie! - zawołał Gentry. Odczekał sekundę i zawołał jeszcze raz.

- Jestem tutaj, Rob! Uważaj, on tu...

Gentry wstał, odepchnął stół na bok i pobiegł w kierunku, z którego dobiegał jej głos.

Natalie wczołgała się po schodach najwyżej, jak mogła, licząc na to, że przynajmniej uda jej się kopnąć Vincenta w twarz, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Zamiast odwracać się przez ramię, zmusiła się, żeby spojrzeć do przodu.

Melanie Fuller stała u szczytu schodów, trzy stopy od Natalie. Była ubrana w długą flanelową koszulę nocną, tani różowy szlafrok i puchate różowe kapcie. Poświata świec z pokoju dziecinnego padała na twarz starą jak świat, na głębokie zmarszczki i bruzdy sięgające ścięgien, na czaszkę usiłującą wyzwolić się spod maski martwej skóry. Spod nienaturalnie przeredzonej, nastroszonej aureoli niebieskich włosów przebierała upstrzona plamami skóra głowy, tak jakby po chemioterapii albo lekach włosy wyszły z niej całymi kłębami. Lewe oko było zamknięte i makabrycznie obrzmiałe, prawe wyglądało jak jednolicie żółta kula. Kiedy Melanie Fuller się

uśmiechnęła, Natalie spostrzegła, że górna część jej sztucznej szczęki odstaje od dziąseł. W świetle świec język kobiety był czarny jak zakrzepła krew.

- Wstydzilibyś się, moja droga! - powiedziała Melanie Fuller. - Okryjże swoją nagość.

Natalie wzdrygnęła się i otuliła piersi rozdartą koszulą. Głos staruchy był syczącym grzechotem śmierci, jej oddech plugawił schody odorem zgnilizny. Natalie próbowała do niej podpełznąć, żeby zacisnąć ręce na tej żyłastej szyi.

- Natalie!

Głos Roba.

Chwyciła się sfatygowanych drewnianych stopni i odpowiedziała na jego wołanie.

Gdzie się podział Vincent?

Próbowała ostrzec Roba, kiedy Melanie Fuller pokonała dzielące je trzy stopnie i różowym kapciem trąciła ją w ramię.

- Cyt, moja droga.

W korytarzu na dole pojawił się Gentry z pistoletem gotowym do strzału. Spojrzał w górę schodów, zobaczył Natalie i wytrzeszczył oczy.

- Natalie! Dzięki Bogu...

- Rob! - krzyknęła Natalie, chcąc wykorzystać każdą chwilę umysłowej swobody. - Uważaj! Ten potwór tam jest...

- Cii, moja droga - uciszyła ją ponownie Melanie Fuller. Przekrzywiła głowę i przyjrzała się Gentry'emu z natarczywą ciekawością osoby niezrównoważonej. - Wiem, kim jesteś - wyszeptała. Na skutek poluzowania sztucznej szczęki przy każdym słowie pryskała obficie śliną. - Ale nie głosowałam na ciebie.

Gentry obejrzał się przez ramię, spoglądając w głąb korytarza, do bawialni i pokoju od frontu, a potem wszedł na schody, oparł się plecami o ścianę i wycelował z rewolweru w pierś Melanie Fuller.

Stara kobieta ze smutkiem pokiwała głową.

Rewolwer opadł, jakby pchnięty jakąś potężną magnetyczną siłą, zachwiał się i znieruchomiał wymierzony w twarz Natalie Preston.

- Taaak... - szepnęła Melanie Fuller. - Terazzz.

Ciało Gentry'ego przebiegł spazm, oczy wyszły mu z orbit, twarz czerwieńiała coraz bardziej. Ręka z pistoletem dygotała gwałtownie, jakby każdy nerw w ciele sprzeciwiał się płynącym z mózgu rozkazom. Ściągnięta twarz stała się maską napięcia i cierpienia, jaką widuje się wyłącznie u ludzi

podejmujących jakiś nadludzki wysiłek, zaangażowanych w niewykonalne zadanie łączące siłę mięśni, umysłu i woli. Palec zacisnął się na spuście... i rozluźnił. Znow się zacisnął, napiął kurek - i znow odpuścił.

Natalie nie była w stanie się poruszyć. Wpatrywała się w tę maskę bólu i widziała w niej tylko oczy Roba Gentry'ego, nic więcej.

- To za długo trwa - wyszeptała Melanie Fuller, ocierając czoło, jak ktoś ogromnie znużony.

Gentry poleciał do tyłu, jakby do tej pory brał udział w przeciąganiu liny z tytanami, którzy nagle puścili swój koniec sznura. Zatoczył się na drugą stronę korytarza, zderzył ze ścianą i osunął po niej na ziemię, upuszczając pistolet i rozpaczliwie łapiąc oddech. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie z Natalie w oczy; Natalie dostrzegła w jego wzroku prawdziwą euforię.

Vincent wyszedł z bawialni i dwukrotnie błyskawicznie ciał nożem w poprzek na wysokości pasa. Gentry sapnął i obiema rękami złapał się za gardło, jakby samym ich naciskiem był w stanie zasklepić ranę. Przez trzy sekundy mu się udawało, zanim w końcu krew przeciekła mu obficie spomiędzy palców i w niewiarygodnych ilościach spłynęła na dłonie i pierś. Osuwał się powoli po ścianie, bokiem, aż głową i lewym barkiem oparł się o podłogę. Cały czas wpatrywał się w Natalie, aż w końcu zamknął wolno oczy, jak chłopczyk zapadający w popołudniową drzemkę. Potem jego ciało wzdrygnęło się jeszcze raz i wreszcie rozluźniło w objęciach śmierci.

- Nie! - Natalie jednocześnie krzyknęła i skoczyła.

Zdażyła się wdrapać osiem stopni w górę - i teraz z tych właśnie ośmiu stopni rzuciła się głową naprzód. Spadła na najniższy z nich, na lewą rękę, z takim impetem, że coś chrupnęło jej w barku. Zignorowała to, zignorowała ból, zignorowała palce tłukące się o granice jej umysłu jak ćmy o szybę, zignorowała także drugie uderzenie, kiedy przeturlała się po twardym drewnie i nogach Roba i potraça Vincenta.

W ogóle nie myślała. Jej ciało robiło to, co zrobić musiało; co kazała mu zrobić wieki temu, przed skokiem ze schodów.

Vincent zachwiał się nad nią, wymachując rękami, żeby nie stracić równowagi. Musiał zgąć się w pasie i obrócić, jeśli chciał dosięgnąć jej nożem.

Nie zastanawiając się ani chwili, Natalie przewróciła się na wznak, sięgnęła lewą ręką w miejsce, gdzie wiedziała, że znajdzie ciężki rewolwer Roba, podniosła go i wycelowała. Strzeliła Vincentowi prosto w otwarte usta. Pod wpływem odrzutu uderzyła łokciem o podłogę.

Energia pocisku uniosła Vincenta w powietrze. Zderzył się ze ścianą na wysokości siedmiu stóp, a osuwając się w dół, zostawił na niej szeroką smugę.

Melanie Fuller, powłócząc nogami, powoli zeszła po schodach; jej kapcie szurały cicho o deski.

Natalie chciała wstać, podpierając się lewą ręką, ale tylko przewróciła się bokiem na wyciągnięte nogi Roba. Opuściła rewolwer, usiadła prosto i otarła łzy z oczu, żeby wziąć na cel Melanie Fuller.

Starucha była pięć stóp od niej, na drugim stopniu schodów. Natalie spodziewała się, że lada chwila poczuje w umyśle jej palce usiłujące ją pochwycić, powstrzymać, ale nic takiego się nie stało. Pociągnęła za spust - raz, drugi, trzeci.

- Zawsze trzeba liczyć naboje, moja droga - wyszeptała starucha. Zeszła po schodach, przestąpiła nad nogami Natalie i powlokła się do wyjścia. W pewnej chwili zatrzymała się i obejrzała przez ramię. - Do zobaczenia, Nino - powiedziała. - Jeszcze się spotkamy.

Ostatni raz powiodła wzrokiem po korytarzu i wnętrzu domu, otworzyła zasuwę w strzaskanych frontowych drzwiach i wyszła na skapaną w blasku pożaru ulicę.

Natalie wypuściła pistolet z ręki i rozpłakała się. Podczołgała się do Roba, złapała go za ramiona i wyciągnęła spod przygniatających go zwłok Vincenta. Oparła sobie jego głowę na udzie. Krew spływała jej na nogawkę spodni, na podłogę, wszędzie. Próbowwała strzępami swojej koszuli wycierać pierś Roba, ale szybko dała sobie z tym spokój.

Kiedy pięć minut później do domu weszli Saul z Jacksonem - ponaglani pożarem, wyciem syren i kolejną odsłoną kanonady na dworze - zastali ją z głową Roba na kolanach, śpiewającą mu półgłosem i delikatnie głaszczącą go po głowie.

34.

Melanie

Z ogromną przykrością opuszczałam Grumblethorpe, ale nie miałam specjalnego wyboru. W okolicy zapanował zbyt wielki nieład i zgiełk. Kolorowi wybrali akurat sylwestra, żeby urządzić jedno z tych bezsensownych zamieszek, o których wcześniej tylko czytałam w gazetach. Kiedyś - przed powstaniem tak zwanego ruchu praw obywatelskich, czyli dwadzieścia, trzydzieści lat temu - takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Ojciec zwykł mawiać, że jeśli da się Murzynom choćby cal, zaraz poproszą o jard, a wezmą miłą.

Posłanka Niny (kolorowa dziewczyna, która mogłaby uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie kędzierzawe włosy, przez które wyglądała jak zwykłe Murzyniátko) prawie zdołała mnie przekonać, że wcale od niej nie przybywa; na szczęście przejrzałam jej podstęp. Głosy mi powiedziały. Ostatniego dnia i nocy w Grumblethorpe rozbrzmiewały wyjątkowo głośno. Przyznam, że miałam kłopot z koncentracją na mniej ważnych sprawach, kiedy usiłowałam zrozumieć, co próbują mi powiedzieć. Były dwa - jeden należał do chłopca, drugi do dziewczynki, i mówiły z dziwnym, niemal brytyjskim akcentem.

Nie wszystko miało sens. Przestrzegały mnie przed pożarem, mostem, rzeką i szachownicą. Przyszło mi do głowy, że może chodzić o autentyczne wydarzenia z ich życia, być może katastrofy, w których stracili swoje młode życie. Ale ostrzeżenie przed Niną było niewątpliwe.

Ostatecznie oboje posłańcy Niny - mimo że przybyli z dalekiego Charleston - okazali się zaledwie drobną niedogodnością. Szkoda mi było Vincenta, ale, prawdę powiedziawszy, odegrał już swoją rolę. Nie pamiętam dokładnie ostatnich chwil spędzonych w Grumblethorpe, pamiętam jednak, że okropnie bolała mnie prawa strona głowy. Korzystając z tego, że Anne się pakowała (zanim jeszcze przyjechała po mnie), kazałam jej zabrać tabletki na przeziębienie. Nie powinnam się chyba dziwić, że w zimnym, wilgotnym i niegościnnym północnym klimacie zatoki dają mi się we znaki.

Kiedy wyszłam z Grumblethorpe, Anne prześliznęła się na fotel pasażera i otworzyła mi drzwi. Dom naprzeciwko palił się - z pewnością była to sprawa tych czarnych szabrowników. Kiedy pani Hodges wpadała do mnie z wizytą i z zatroskaniem rozwodziła się o rozgrywających się na Północy najnowszych okropieństwach, prawie za każdym razem zwracała uwagę na

fakt, że domniemani przedstawiciele ubogiej, niedożywionej i dyskryminowanej mniejszości przy pierwszej nadarzającej się okazji najchętniej kradną drogie telewizory i eleganckie ubrania. Uważała, że kolorowi bezczelnie okradali białych, kiedy byli ich służącymi, i nic się w tej materii nie zmieniło odkąd poszli na zasiłek. Była to jedna z nielicznych opinii tej wścibskiej kobiety, które bez reszty podzielałam.

Na tylnej kanapie deSoto leżały trzy walizki. W jednej z dwóch większych znajdowały się moje ubrania, w drugiej gotówka i resztki należących do Anne papierów wartościowych; trzecia, nieco mniejsza, zawierała ubrania i drobiazgi osobiste samej Anne. Znalazło się też miejsce dla mojej słomianej torby na zakupy, a na podłodze z tyłu leżała zabrana z domu przy Queen Lane strzelba kaliber .12.

- Jedźmy, moja droga - powiedziałam, rozsiadając się wygodnie.

Anne Bishop prowadziła jak stara kobieta. Odjechałyśmy spod Grumblethorpe i płonącego domu i powoli ruszyłyśmy Germantown Avenue na północny zachód. Obejrzawszy się do tyłu, zauważyłam, że na skrzyżowaniu Queen Lane z Avenue doszło do zderzenia lub przynajmniej stłuczki: stały tam furgonetka i dwa brzydkie, nisko zawieszane samochody. Policji nie było nigdzie widać.

Minęłyśmy Penn Street i Coulter i zbliżyłyśmy się do Church Street, kiedy dwa samochody dostawcze wyjechały z bocznej uliczki i zablokowały nam drogę. Kazałam Anne zjechać na chodnik po lewej stronie i precyzyjnie się obok nich. Ludzie wyskoczyli z samochodów i zaczęli wymachiwać bronią, ale szybko znaleźli sobie inne zajęcie, kiedy jeden z nich - ten, na którym się skoncentrowałam - zwrócił rewolwer w stronę kolegów i zaczął strzelać.

Nie było w tym za grosz sensu. Jeśli przyjechali, żeby aresztować kolorowych szabrowników, powinni byli zająć się tym i zostawić w spokoju dwie białe starsze panie.

Przy Market Street, mimo zmroku rozpoznałam odlaną z brązu figurę jankeskiego żołnierza na postumencie. Podczas naszego pierwszego wypadu Anne poinformowała mnie, że granit na cokół pochodził z Gettysburga. Pomyślałam o wycofującym się w ulewnym deszczu generale Lee, pobitym, lecz nie pokonanym, unoszącym z okrutnej rzezi nietkniętą dumę Konfederacji, i od razu poczułam się lepiej z myślą o tym, że i ja chwilowo oddaję pole przeciwnikowi.

Migające światłami wozy straży pożarnej, policji i inne pojazdy służb miejskich pędziły Germantown Avenue w naszą stronę. Jedna z

półciężarówek ze skrzyżowania i czarny sedan ruszyły w pościg za nami. Słyszając jakiś dziwny dźwięk, podniosłam wzrok i zobaczyłam migające ponad dachami czerwone i zielone światelka.

- Skręć w lewo - poleciłam Anne.

Tuż przed skrętem mignęła mi spod kasku twarz kierowcy wozu strażackiego. Zamknęłam oczy i pchnęłam. Długi samochód przeciął zniemacka Germantown Avenue, podskoczył na torach tramwajowych i uderzył w półciężarówkę na wysokości drzwi od strony pasażera. Półciężarówka przekoziółkowała kilkakrotnie, zanim znieruchomiła do góry kołami na środku Market Square. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak czarny sedan hamuje rozpaczliwie przed czerwoną ścianą wozu strażackiego, a potem znalazłyśmy się na School House Lane i zaczęłyśmy się oddalać od tego całego zamieszania.

Ze wszystkich rzeczy, w których pomagałam Anne, największy kłopot sprawiało mi przekonanie jej do prowadzenia samochodu z prędkością powyżej trzydziestu mil na godzinę. Musiałam być bez reszty na niej skoncentrowana, jeśli chciałam, żeby prowadziła po mojemu - do tego stopnia, że to poprzez jej zmysły postrzegałam mijane ulice, słyszałam łoskot śmigłowca nad głową i patrzyłam, jak nieliczne o tej porze pojazdy czmychają nam z drogi.

School House Lane, skądinąd niezwykle sympatyczna uliczka, nie była niestety przystosowana do przyjęcia deSoto '53 pędzącego osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Jakiś zielony samochód wpadł w nią z poślizgiem za naszymi plecami i zaczął nas śledzić. Od czasu do czasu widywałam też helikopter, który z głośnym jazgotem leciał ponad dachami równoległe do naszej trasy z jednej lub drugiej strony. Kazałam Anne przyhamować, wejść poślizgiem w zakręt i przyspieszyć, gdy wtem prawe tylne okno pokryło się siateczką rys i szkło posypało się do środka. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłam w szybie dwie dziury wielkości pięści.

Dojeżdżałyśmy do Ridge Avenue. Czarnoskóry mężczyzna stał na chodniku i machał na przejeżdżające samochody; odczekał, aż śledzący nas zielony wóz zbliży się do niego, po czym wybiegł na jezdnię i rzucił mu się pod koła. Obserwowałam w lusterku wstecznym, jak samochód skręca ostro w prawo, wskakuje na krawężnik przy prędkości siedemdziesięciu mil na godzinę, wykręca beczkę w locie i wbija się w oszkloną witrynę sklepu z hamburgerami.

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjęłam plan Filadelfii, cały czas

kierując samochodem poprzez Anne. Szukałam autostrady, która wyprowadziłaby nas z tego koszmarnego miasta, ale mimo mnogości zielonych tablic, drogowskazów i wiaduktów, nie wiedziałam, którą jechać.

Przez rozbite okno dobiegł niewiarygodny hałas: to helikopter, rycząc, przemknął dosłownie trzydzieści stóp od nas, po prawej stronie. W świetle mijanych latarni dostrzegłam pilota (w głębi) i siedzącego z tyłu mężczyznę w czapeczce bejsbolowej: patrzył na nas, szczyrzył zęby w uśmiechu szaleńca i trzymał coś w ramionach.

Kazałam Anne skrócić na wjazd na autostradę. Lewe tylne koło deSoto ześliznęło się na nieutwardzone pobocze i przez sekundę musiałam całkowicie skupić się na prowadzeniu auta: skontrolować kierownicę, musnąć pedał gazu i przypilnować, żebyśmy się nie rozbiły.

Śmigłowiec przeskoczył na lewą stronę, kiedy pokonywałyśmy niekończący się łuk koniczyny wjazdowej. Czerwony punkcik przez króciuteńką chwilę zatańczył na bocznym oknie i policzku Anne. Błyskawicznie kazałam jej przyśpieszyć. Stareńki samochód skoczył żwawo naprzód i punkcik zniknął, ale coś z głośnym metalicznym łoskotem uderzyło w lewy tylny błotnik.

Nagle znalazłyśmy się na wysokim moście nad rzeką - a ja nie chciałam wyjechać na most. Chciałam się znaleźć na autostradzie.

Helikopter nadleciał tymczasem z prawej, na naszej wysokości. Na ułamek sekundy oślepiło mnie czerwone światło. Kazałam Anne skrócić ostro w lewo i zrównać się z volkswagenem-mikrobusem, który odgrodził nas od latającej maszyny. Kierowca volkswagena osunął się nagle na kierownicę, mikrobus skręcił w prawo i wpadł na barierki. Helikopter zbliżył się do nas; udawało mu się jakoś lecieć bokiem z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę.

Most się skończył. Anne skręciła w lewo i przecięłyśmy pas oddzielający jezdnie. DeSoto podskoczył na krawężnikach, cudem uniknął zderzenia z ogromną ciężarówką (która solidnie nas obtrąbiła) i zjechał z mostu przy dużej tablicy z napisem „Apartamenty prezydenckie”. Przed nami ciągnęły się teraz cztery puste pasy skąpane w sztucznym świetle rtęciowych lamp. Mignęły czerwone i zielone światła, gdy helikopter prześliznął się najwyżej piętnaście stóp nad naszymi głowami, zatoczył krąg i sto jardów przed nami zawisł nad jezdnią, ustawiony do nas bokiem.

Było zbyt jasno, zbyt łatwo, zbyt blisko. Ustawił się jak na długiej

strzelnicy, żeby strzelać do nas jak do kaczek.

Kazałam Anne skrócić gwałtownie w lewo. Opony deSoto zaskwierczały przeraźliwie na asfalcie, zanim odzyskały przyczepność i katapultowały nas w wąską, nieoznakowaną drogę dojazdową niewiele szerszą od podjazdu przed domem.

Droga prowadziła na południowy wschód pod wiaduktem, którym - jak wynikało z mapy - biegła Schuylkill Expressway. Słowo „droga” było zresztą w tym wypadku nazbyt łaskawym określeniem: była to zwykła wyboista żwirówka. Betonowe filary i podpory migwały nam w świetle reflektorów i przemykały za oknami. Sukienka i sweter Anne były mokre od potu, jej twarz przedstawiała bardzo dziwny widok.

Helikopter pojawił się po lewej stronie, lecąc tuż nad biegnącymi równoległe do autostrady torami kolejowymi. Rozdzielające nas podpory wzmagaly wrażenie pędu. Wiekowy prędkościomierz wskazywał sto mil na godzinę.

Przed nami żwirówka ginęła w masie filarów, słupów, podpór i zastrzałów, wygenerowanej przez piętrzące się nam nad głowami pętle drogowej koniczyny. To był istny las z betonu i stali.

Bardzo pilnowałam, żeby Anne nie zablokowała hamulców, ale przejechałyśmy poślizgiem chyba pół długości boiska futbolowego, wzburzając przy tym chmurę kurzu, który przysypał nas dokumentnie i zmienił snopy światła z reflektorów w dwie przekrzywione żółte lance. W końcu opadł. Zatrzymałyśmy się niespełna jard od podpory wielkości małego domu.

DeSoto objechał ją powolutku, wtoczył się pomiędzy pylony i ostrożnie przemknął spod jednego wiaduktu pod osłonę następnego. Skrzyżowanie nad nami musiało mieć co najmniej piętnaście pasów ruchu i część z nich skręcała ku mostowi, który dodatkowo zagęszczał stalowo-betonowy las filarów.

Z łoskotem silnika wtoczyłyśmy się jeszcze pięćdziesiąt jardów w głąb tego labiryntu, zanim kazałam Anne zatrzymać się przy betonowej wysepce, wyłączyć silnik i zgasić reflektory.

Otworzyłam oczy. Byłyśmy jak myszy błakające się po jakiejś dziwacznej katedrze. Ogromne podpory, na których wspierały się jezdnie na górze, wznosiły się na pięćdziesiąt stóp w jednym miejscu, osiemdziesiąt w innym, a gdzieś - pod trzyprzęsłowym mostem nad ciemną Schuylkill - jeszcze wyżej. Ciszę mąciły tylko stłumiony pomruk samochodów i jeszcze

bardziej odległe trąbienie pociągu. Policzyłam do trzystu, zanim ośmieliłam się mieć nadzieję, że śmigłowiec zgubił nasz trop i odleciał.

Grzmot silnika - kiedy w końcu się rozległ - zabrzmiał przerażająco.

Piekielna machina zawisała w powietrzu trzydzieści stóp pod najwyższym z wiaduktów, jej jazgot odbijał się echem od wszystkich możliwych powierzchni, reflektor przeszywał półmrok. Śmigłowiec przemieszczał się bardzo wolno, zachowując bezpieczną odległość od skarp i filarów i obracając się na boki jak rozglądający się uważnie kot.

W końcu reflektor nas namierzył i przyszpilił bezlitosnym światłem. Przez ten czas zdążyłam już wyprowadzić Anne z samochodu. Niezdarnie ujęła strzelbę, oparłszy ją o dach deSoto.

Kiedy usłyszałam strzał, wiedziałam, że się pośpieszyła: helikopter był jeszcze za daleko. Łoskot strzelby zmieszał się z i tak już trudną do zniesienia kakofonią, ale niczego dobrego nie przyniósł.

Odrzut pchnął ją dwa kroki do tyłu. Uderzenie kuli karabinowej wytrąciło jej strzelbę z rąk, a ją samą przewróciło na ziemię. Zdążyłam rzucić się na podłogę, zanim drugi strzał roztrzaskał przednią szybę i rozsypał odłamki szkła po siedzeniach.

Anne zdołała wstać, na chwiejnych nogach wrócić do samochodu, usiąść za kierownicą i lewą ręką przekręcić kluczyk w stacyjce; prawa ręka, prawie oderwana od reszty ciała na wysokości barku, zwisała bezużytecznie przy jej boku. W rozdarciu ubrania przezieriała naga kość.

Wjechałyśmy dokładnie pod helikopter - zrozpaczona myszka czmychająca między łapy zaskoczonego kota - i znalazłyśmy się na żwirowej drodze, chwilowo oddalając się od rzeki. Porośnięta drzewami skarpa łagodnym łukiem prowadziła w stronę ciemnego mostu.

Śmigłowiec skoczył w pościg, ale nagie drzewa po obu stronach drogi zwieszały się nad nią w wystarczającym stopniu, żeby nas osłonić. Wjechałyśmy na zadrzewiony grzbiet skarpy. Z prawej strony miałyśmy skracającą tu na południe autostradę, z lewej - tory kolejowe i rzekę. Przed nami żwirówka skręcała ostro w lewo, wprost do jednego z dwóch ciemnych przesł mostu kolejowego. Nie miałyśmy wyboru: helikopter znów się nas uczepił, przerzedzone drzewa nie dawały nam ochrony, a nie było mowy, żeby deSoto zjechał po zadrzewionej stromiźnie na odległą o setki jardów autostradę.

Skręciłyśmy w lewo, przyspieszyłyśmy i wjechałyśmy na ciemny most. I tam się zatrzymałyśmy.

To był most kolejowy, bardzo stary, z niskimi kamiennie-żelaznymi balustradami z obu stron. Zardzewiałe szyny, drewniane podkłady i wąska zużłowa dróżka biegły w mrok całe osiemdziesiąt stóp nad rzeką.

Trzydzieści stóp dalej drogę przegradzała gruba barykada. Mogłybyśmy się przez nią przebić, ale niewiele by nam to dało: droga była zbyt wąska, zbyt odsłonięta i - przez podkłady - zbyt wyboista, żeby dało się nią szybko jechać.

Zatrzymałyśmy się na dwadzieścia sekund, nie więcej, ale to i tak było za długo. Znów doścignął nas ryk silnika, otulił nas tuman kurzu i drobnych gałązek, a ja odruchowo schyliłam głowę, gdy ciężka masa przesłoniła niebo. W przedniej szybie pojawiło się pięć otworów, kule strzaskały kierownicę i deskę rozdzielczą i wstrząsnęły ciałem Anne Bishop, trafiając ją kolejno w brzuch, pierś i policzek.

Otworzyłam drzwi po swojej stronie i puściłam się biegiem. Kapeć zsunął mi się z nogi i sturlał po nasypie. Huraganowy podmuch wirników maszyny wydymał mi szlafrok i koszulę. Śmigłowiec przemknął nade mną - płozy prześliznęły się dosłownie pięć stóp nad moją głową - i zniknął za grzbietem skarpy.

Brnąc po omacku przez gąszcz drewnianych podpór, oddalałam się od mostu. W oddali, za skarpą i skąpaną w mglistej poświacie reflektorów autostradą, majaczyła względnie ciemna plama Fairmount Park. Anne twierdziła, że to największy park miejski na świecie; rozciągał się wzdłuż rzeki i miał podobno ponad cztery tysiące akrów. Gdyby udało mi się do niego dotrzeć...

Helikopter wznosił się ponad linię drzew jak pająk wspinający się po sieci i bokiem przysunął się w moją stronę. Cienki czerwony promień światła z bocznego okna przeszywał pyliste powietrze.

Zawróciłam na most, w stronę unieruchomionego deSoto. Dokładnie tego się po mnie spodziewali.

Z prawej strony stroma ścieżka biegła w dół gęsto zarośniętego nasypu. Zaczęłam się po niej zsuwać, pośliznęłam się, zgubiłam drugi kapeć i z impetem klapnęłam na zimną, wilgotną ziemię. Helikopter zagrzmiął nade mną, zawisł pięćdziesiąt stóp ponad rzeką i zaczął przeczesywać brzeg szperaczem. Potykając się, ruszyłam dalej; zjechałam dwadzieścia stóp w dół śliskiego zbocza, czując, jak gałęzie siekają mi skórę. Reflektor znów mnie przyszpilił. Wstałam, osłoniłam oczy i mrużąc powieki, spojrzałam w stronę światła. Gdyby udało mi się Użyć pilota...

Kula szarpnęła rąbkiem mojego szlafroka.

Rzuciłam się na ziemię i na czworakach pokonałam czterdzieści stóp dzielące mnie od wiaduktu. Śmigłowiec zanurkował i ruszył za mną.

To nie Nina w nim siedziała. Kto zatem? Wczołgałam się pod spróchniałą kłodę i zaszlochałam. Dwa pociski wbiły się w drewno. Próbowałam zwinąć się w kłębek. Dręczył mnie okrutny ból głowy, szlafrok i koszulę nocną miałam ubrudzone ziemią.

Helikopter zniżył się prawie na moją wysokość; nie wśliznął się pod wiadukt, ale zawisł nie dalej niż trzydzieści, czterdzieści stóp ode mnie. Obracał się wokół pionowej osi, bawiąc się ze mną jak wygłodniały drapieżnik, prawie gotowy zakończyć grę.

Uniosłam głowę i skoncentrowałam całą swoją uwagę na nim i jego pasażerach. Nie bacząc na obezwładniający ból głowy, wyciągnęłam macki swojej woli dalej, mocniej i bardziej nieubłaganie niż kiedykolwiek przedtem.

Nic.

W kabinie znajdowało się dwóch mężczyzn. Pilot był neutralnym, ziejącą pustką w materii myśli. Ten drugi... miał talent, mógł Używać ludzi, nie był Willim... chociaż był równie zdeterminowany i krwiożerczy jak Willi. Nie znając go, nie widząc na własne oczy i nie mogąc stawić mu czoła, nie miałam szans przewyciężyć jego Talentu w dostatecznym stopniu, żeby skutecznie go Użyć.

Za to on mógł mnie zabić.

Próbowałam się odczołgać w stronę odległej o dwadzieścia stóp łukowatej kamiennej podpory. Kula z impetem wbiła się w ziemię dziesięć cali od mojej dłoni.

Skręciłam pod górę, na wąską ścieżkę w gąszczu. Pocisk prawie drasnął mnie w podeszwę stopy.

Usiadłam plecami do spróchniałej kłody i zamknęłam oczy. Pierwszy pocisk przebił rozmiękłe drewno kilka cali od mojego kręgosłupa, drugi z głuchym łoskotem utknął w ziemi między moimi nogami.

Anne trafiły cztery kule. Pierwsza przeszła jej brzuch i minimalnie chybiła kręgosłupa. Druga zrykoszetowała na trzecim żebrze i strzaskała lewą rękę. Trzecia przeszła na wylot przez prawe płuco i wbiła się w łopatkę. Czwarta - ostatnia - trafiła w lewy policzek, oderwała język, potrzaskała większość zębów i wyszła przez prawą część żuchwy.

Chcąc jej Użyć, musiałam doświadczyć całego bólu, który odczuwała,

umierając. Nie mogłam się od niej odgradzić; każdy, nawet najmniejszy bufor mógł doprowadzić do tego, że mi się wymknie, wyśliznie się życiu. A ja nie mogłam dopuścić do tego, żeby teraz umarła. Miałam dla niej jeszcze jedno zadanie.

Stacyjka była włączona. Dźwignia automatycznej skrzyni biegów znajdowała się w położeniu neutralnym. Anne musiała pochylić się obok strzaskanej kierownicy i chwycić lewarek resztkami przednich zębów, żeby wrzucić bieg. Z przyzwyczajenia zaciągnęła hamulec ręczny, który teraz musiałyśmy odblokować kolanem.

Obraz w jej oczach zszarzał, poczerniał i zgasł; siłą woli musiałam go ponownie obudzić. Kawałki złamanej żuchwy mąciły jej wzrok w prawym oku, ale nie miało to większego znaczenia. Opuściła połamane ręce na metalowy pierścień klaksonu i zahaczyła zaciśniętą prawą pięść o złamany plastikowy fragment kierownicy.

Otworzyłam oczy. Czerwona plamka zatańczyła na suchej trawie obok mnie, znalazła moją rękę, przesunęła się na twarz. Spróchniała kłoda rozpadła się pod ostrzałem.

Zamrugalam, żeby pozbyć się spod powiek powidoku czerwonego promienia.

Nawet jazgot silnika śmigłowca nie zagłuszył dźwięku deSoto przyśpieszającego i wyłamującego barierkę na skraju drogi nad moją głową. Zdążyłam podnieść wzrok w samą porę, żeby zobaczyć dwa snopy światła reflektorów przeszywające mrok - najpierw w kierunku poziomym, potem coraz bardziej w dół. Mignęła mi jeszcze ciemna przekładnia i miska olejowa, kiedy deSoto przybrał w locie niemal pionową pozycję.

Pilot był bardzo, bardzo dobry. Musiał coś dostrzec kątem oka, bo zareagował prawie natychmiast. Silnik helikoptera zawył pod obciążeniem, kadłub pochylił się stromo i zwrócił ku rzece. Tylko czubek łopaty wirnika musnął spadający samochód.

To wystarczyło.

Przestałam widzieć czerwoną plamkę. Rozdzierany metal wydał niemal ludzki jęk, kiedy cała energia obrotowa śmigłowca przeniosła się z wirnika na kadłub. Smukła kabina obróciła się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara - raz, drugi, trzeci, piąty, aż w końcu zderzyła się z kamienną podporą mostu kolejowego.

Nie było ognia, nie było wybuchu, nic z tych rzeczy: zmasakrowana masa stali, pleksi i aluminium spadła bezgłośnie z wysokości sześćdziesięciu stóp i

plusnęła o wodę najwyżej dziesięć stóp od miejsca, w którym dziesięć sekund wcześniej bez śladu zniknął deSoto.

Nurt był tu bardzo silny. Szperacz świecił jeszcze przez kilka długich sekund, dokumentując tonięcie pozbawionej życia maszyny, unoszonej przez rzekę w niewiarygodnym tempie. W końcu światło zgasło i ciemna woda okryła widok mulistym całunem.

Dobrą minutę zbierałam się, żeby usiąść; musiało minąć pół godziny, zanim wstałam.

Było słychać tylko ciche chlupotanie rzeki i odległy, niezmienny szmer niewidocznej autostrady.

Otrzepałam koszulę nocną z kurzu i gałązek, przewiązałam szlafrok paskiem i zaczęłam powoli wspinać się po ścieżce.

35.

Filadelfia

1 stycznia 1981, czwartek

Dzieciom pozwolono wyjść na dwór i pobawić się godzinę przed śniadaniem. Poranek był zimny, ale bardzo pogodny, wschodzące słońce - wyraźnie zarysowana pomarańczowa kula - usiłowało się wyzwolić z objęć niezliczonych nagich gałęzi lasu. Trójka roześmianych dzieci bawiła się na długim zboczu, łagodnie opadającym w stronę lasu i płynącej w dole rzeki. Najstarsza Tara trzy tygodnie temu skończyła osiem lat, Allison była o dwa lata młodsza, a Justin - najmłodszy z rodzeństwa - w kwietniu miał skończyć pięć lat. Las odbijał echem ich śmiechy i pokrzykiwania.

Cała trójka zgodnie podniosła wzrok, gdy starsza pani wyszła spomiędzy drzew i ruszyła w ich kierunku.

- Dlaczego jest pani w szlafroku? - zainteresowała się Allison.

Starsza pani przystanęła w odległości pięciu stóp i uśmiechnęła się do dzieci.

- Och, mamy taki słoneczny dzień... - odparła. Miała dziwny głos. - Pomyślałam, że najpierw się przejdę, a dopiero potem pomyślę o ubieraniu się.

Dzieci ze zrozumieniem pokiwały głowami: same często miały ochotę wyjść przed dom i bawić się w piżamach.

- A czemu nie ma pani zębów? - zapytał Justin.

- Cii... - uciszyła go pośpiesznie Tara.

Justin spuścił wzrok i zakreślił nerwowego młynka palcami.

- Gdzie mieszkacie? - zagadnęła starsza pani.

- W zamku - powiedziała Allison, wskazując na szczyt pagórka, gdzie stary dom ze szarego kamienia stał w samym środku zajmującego setki akrów parku. Wąska wstążka asfaltu wiła się po grzbiecie wzgórza i znikwała w lesie.

- Mój tata jest zastępcą zarządcy parku - obwieściła Tara.

- Ach tak? - zdziwiła się uprzejmie starsza pani. - Rodzice są w domu?

- Tata jeszcze śpi - wyjaśniła Allison. - Byli z mamą na balu noworocznym, późno wrócili. Mama już wstała, ale boli ją głowa i jeszcze sobie poleguje przed śniadaniem.

- Będzie chleb smażony w jajku - wtrącił Justin.

- A później będziemy oglądać Pochód Róż⁵ - dodała Tara.

Starsza pani z uśmiechem spojrzała w stronę domu. Miała jasnoróżowe dziaśła.

- Chce pani zobaczyć, jak robię fikołka? - zaproponował Justin, ciągnąc ją za rękę.

- Fikołka? Ależ tak, bardzo chętnie.

Chłopiec rozpiął kurtkę, przyklęknął i niezdarnie przetoczył się do przodu, lądując na wznak z głośnym przytupem trampek.

- Widziała pani?

- Brawo! - Starsza pani zaklaskała i znów przeniosła wzrok na dom.

- Ja jestem Tara - powiedziała Tara. - To jest Allison, a to Justin, ale to jeszcze dzidzius.

- Wcale nie! - zaperzył się Justin.

- Właśnie, że tak - uparła się Tara. - Jesteś najmłodszy, więc jesteś naszym dzidziusiem. Mama tak mówi.

Justin ściągnął wściekle brwi i wziął starszą panią za rękę.

- Pani jest bardzo miła - powiedział.

Starsza pani wolną ręką z roztargnieniem pogłaskała go po głowie.

- Macie samochód? - spytała.

- No pewnie - przytaknęła Allison. - Nawet dwa: bronco i niebieski owal.

- Niebieski owal?

- Miała na myśli niebieskie volvo. - Tara pokręciła głową. - Justin zaczął je tak nazywać, potem mama z tatą też. Uważają, że to takie słodkie. - Skrzywiła się.

- Ktoś jeszcze jest teraz w domu?

- Nie - odpowiedział Justin. - Miała przyjechać ciocia Carol, ale wybrała się gdzie indziej. Tata mówi, że to nawet dobrze, bo jest tu potrzebna jak wrzód na tyłku.

- Cicho bądź! - warknęła Tara, próbując wymierzyć mu klapsa.

Justin schował się za starszą panią.

- Na pewno czujecie się czasem samotni w tym zamku. Nie obawiacie się złodziei albo innych złych ludzi?

- A gdzie tam... - odparła z przekąsem Allison i cisnęła kamieniem w stronę odległych drzew. - Tata mówi, że park to najlepsze i najbezpieczniejsze miejsce dla dzieci w całym mieście.

Justin wychynął zza szlafroka i spojrzał na twarz starszej pani.

- Proszę pani, co się pani stało w oko?

- Głowa mnie boli, skarbie. - Starsza pani przesunęła drżącą dłońią po czole.

- To tak jak mamę - zauważyła Tara. - Pani też była na balu?

Starsza pani odśloniła dziąsła w uśmiechu.

- Zastępca zarządcy parku... To musi być bardzo ważna osoba.

- No tak - zgodziła się Tara.

Młodsze rodzeństwo, znudzone rozmową, bawiło się w berka.

- Czy wasz ojciec ma coś, czym może bronić parku przed złymi ludźmi? Na przykład jakiś pistolet?

- O tak, ma. - Tara rozpromieniła się w uśmiechu. - Ale nie pozwala nam się nim bawić. Trzyma go na półce w szafie. A zapasowe naboje trzyma zamknięte w biurku, w niebiesko-żółtym pudełku.

Starsza pani pokiwała z uśmiechem głową.

- Chce pani posłuchać, jak śpiewam? - zaproponowała Allison, przerywając na chwilę wariacką gonitwę z Justinem.

- Naturalnie, moja droga. Z przyjemnością.

Dzieci usiadły po turecku na trawie. Starsza pani stanęła przed nimi. Za ich plecami pomarańczowe słońce, wyzwolone z porannej mgły i bezlistnych gałęzi drzew, płynęło po zimnym lazurowym niebie.

Allison wyprostowała się, złożyła rączki i zaśpiewała a cappella trzy wersy „Hey, Jude” Beatlesów; każda nuta i każda sylaba były czyste i wyraziste jak skrzące się w słońcu kryształki szronu na trawie. Umilkła i uśmiechnęła się. Pozostała dwójka siedziała bez słowa.

Oczy starszej pani zaszklily się od łez.

- Chętnie poznam waszych rodziców - zaproponowała półgłosem.

Allison wzięła ją za lewą rękę, Justin za prawą, Tara ruszyła przodem.

Kiedy stanęli na wyłożonej kamiennymi płytami drodze prowadzącej do kuchennego wejścia, starsza pani przytknęła dłoń do skroni i odwróciła głowę w bok.

- Nie wejdzie pani do środka? - zdziwiła się Tara.

- Może kiedy indziej - odparła starsza pani dziwnym głosem. - Strasznie rozboleła mnie głowa. Może jutro.

Dzieci odprowadzały ją wzrokiem, kiedy niepewnym krokiem próbowała się oddalić, gdy wtem krzyknęła cicho i przewróciła się na grządkę róż. Natychmiast do niej podbiegły, Justin pociągnął ją za ramię. Jej twarz poszarzała i wykrzywiła się w paskudnym grymasie, lewe oko całkowicie się zamknęło, w prawym było widać tylko białko. Usta miała otwarte, a

widoczny w nich biały, podkurczony język przywodził na myśl kreta, który próbuje przekopać się do gardła. Ślina ściekała z jej z brody długą, perełkowaną nitką.

- Czy ona umarła? - zapytał Justin.

Tara przygryzła piąstkę.

- Nie, chyba nie... Nie wiem. Pójdę po tatę.

Odwróciła się i pobiegła do domu. Po sekundzie wahania Allison pobiegła za siostrą.

Justin uklęknął na grządce i oparł sobie głowę nieprzytomnej starszej pani na kolanach. Dotknął jej ręki. Była zimna jak lód.

Kiedy reszta rodziny wyszła z domu, nadal klęczał, głaszcząc dłoń starszej pani i powtarzając w kółko:

- Niech pani nie umiera, proszę pani. Niech pani nie umiera, proszę pani.

Księga trzecia

KOŃCÓWKA

Budzę się, lecz nie w świetle dziennym - w sierści ciemnej Nocy.
Gerald Manley Hopkins

36.

Dothan, Alabama

1 kwietnia 1981, środa

Położony pięć mil na południe od Dothan w stanie Alabama Światowy Ośrodek Pomocy Biblijnej składał się z dwudziestu trzech olśniewających białych budynków rozrzuconych na obszarze ponad stu sześćdziesięciu akrów. W środku kompleksu znajdował się olbrzymi Pałac Kultu - wyłożony dywanami i obwieszony zasłonami amfiteatr ze szkła i granitu, mogący pomieścić w komfortowym, klimatyzowanym wnętrzu sześć tysięcy wiernych. Na półmilowej długości Bulwarze Wiary każda złota cegielka reprezentowała datek w wysokości pięciu tysięcy, każda srebrna - tysiąca, a każda biała - pięciuset dolarów. Gościom przylatującym samolotami (na przykład jednym z trzech należących do Ośrodka luksusowych learów) oglądany z góry Bulwar Wiary kojarzył się z olbrzymim białym uśmiechem, podkreślonym kilkunastoma złotymi zębami i rządkiem srebrnych plomb. Z roku na rok uśmiech stawał się coraz szerszy i coraz bardziej złoty.

Po drugiej stronie Bulwaru Wiary, naprzeciw Pałacu Kultu, podłużny, niski gmach Centrum Łączności można by omyłkowo wziąć za dużą fabrykę komputerów albo placówkę badawczą, gdyby nie sześć olbrzymich satelitarnych anten nadawczych na dachu. Ośrodek chełpił się tym, że nadawany przez niego dwadzieścia cztery godziny na dobę program telewizyjny przekazywany za pośrednictwem trzech satelitów do sieci kablowych, stacji telewizyjnych i kościelnych nadajników naziemnych dociera do stu milionów widzów w ponad dziewięćdziesięciu krajach. W Centrum Łączności znajdowały się również skomputeryzowana drukarnia, tłocznia płyt, studio nagraniowe oraz cztery superkomputery podłączone do Światowej Sieci Informacji Ewangelicznej.

Tam, gdzie kończył się biało-złoto-srebrny uśmiech, a Bulwar Wiary wychodził poza strefę podwyższonego bezpieczeństwa i stawał się zwyczajną drogą lokalną numer 251, znajdował się College Biblijny Jimmy'ego Wayne'a Suttera oraz jego Szkoła Biznesu Chrześcijańskiego. W zajęciach prowadzonych przez te dwie instytucje uczestniczyło ośmiuset studentów; sześciuset pięćdziesięciu z nich mieszkało na kampusie w przestrzegających ścisłej segregacji płciowej akademikach - Roy Rogers West, Dale Evans East i Adam Smith South.

Pozostałe budynki - ozdobione betonowymi kolumnami, obłożone granitem i przywodzące na myśl krzyżówkę nowoczesnych kościołów baptystów z zaopatrzonymi w okna mauzoleami - mieściły armię biurokratów zajmujących się administracją, ochroną, logistyką i finansami. Dochody i wydatki Ośrodka były tajne, wszyscy jednak wiedzieli, że ukończony w 1978 roku kompleks kosztował ponad czterdzieści pięć milionów dolarów, jeśli zaś wierzyć plotkom, z datków pozyskiwano około półtora miliona tygodniowo.

Spodziewając się intensywnego rozwoju finansowego w latach osiemdziesiątych, Ośrodek przygotowywał się do dywersyfikacji działalności i otworzenia Chrześcijańskiego Centrum Handlowego w Dothan, sieci moteli Wytchnienie Chrześcijanina oraz „Biblijnego Świata” - wartego sto sześćdziesiąt pięć milionów dolarów parku rozrywki, którego budowa rozpoczęła się już w Georgii.

Światowy Ośrodek Pomocy Biblijnej był organizacją religijną o charakterze non profit. Faith Enterprises był podlegającym opodatkowaniu tworem korporacyjnym powołanym w celu obsługi przyszłej ekspansji komercyjnej i koordynacji franszyzy. Wielebny Jimmy Wayne Sutter był jednocześnie dyrektorem Ośrodka Pomocy Biblijnej oraz prezesem i jedynym członkiem zarządu Faith Enterprises.

Wielebny Jimmy Wayne Sutter nałożył dwuogniskowe okulary w złotych oprawkach i uśmiechnął się do kamery numer trzy.

- Jestem prostym wiejskim kaznodzieją - powiedział. - Nie ogarniam tych wszystkich zawłości finansowych i prawnych...

- Jimmy... - wtrącił jego rozmówca, mężczyzna pokaźnej tuszy, w rogowych okularach, obdarzony obwisłymi policzkami, które trzęsły mu się, gdy się czymś ekscytował. Tak jak w tej chwili. - Cała ta sprawa: dochodzenie skarbówki, szykany ze strony Federalnego Komitetu ds. Mediów... Przecież to jest ewidentne, że to sprawka Nieprzyjaciela...

- ...umiem jednak rozpoznać prześladowania - ciągnął Sutter, podnosząc głos i uśmiechając się lekko, gdy zauważył, że kamera cały czas go pokazuje. Obiektyw się wydłużył; trójka robiła duże zbliżenie. Po ośmiu latach współpracy i ponad dziesięciu tysiącach wspólnych programów znali się z siedzącym w reżyserce Timem McInstoshem jak łyse konie. - Tak jak umiem rozpoznać odór diabła, gdy go poczuję. I ta sprawa cuchnie diabłem. Diabeł niczego tak nie pragnie, jak zagłuszyć Słowo Boże... Nic go tak nie raduje, jak wykorzystanie rządu do zakrzyczenia słowa Jezusowego, by nie dotarło

do tych, którzy błagają Go o pomoc, o przebaczenie, o zbawienie...

- To... to prześladowanie jest w oczywisty sposób dziełem... - podsunął interlokutor.

- Lecz Jezus nie opuszcza ludu swego w godzinie próby! - wykrzyknął Jimmy Wayne Sutter. Wstał i zaczął się przechadzać, z zapamiętaniem pociągając za sobą kabel mikrofonu, jakby chciał ukreślić ogon samemu szatanowi. - Jezus gra w naszej drużynie! Jezus kieruje naszą grą, miesza szyki Nieprzyjacielowi i jego graczom...

- Amen! - wykrzyknęła tęga była gwiazdka telewizyjna, siedząca na fotelu obok. Rok wcześniej, podczas telekrujaty transmitowanej na żywo z Houston, Jezus wyleczył ją z raka piersi.

- Chwalmy Pana! - dorzucił wąsaty mężczyzna z kanapy. Przez ostatnie szesnaście lat napisał dziewięć książek o zbliżającym się końcu świata.

- Jezus tak samo nie zauważa tych... rządowych biurokratów - Sutter prawie wypluł te słowa - jak szlachetny lew nie zauważa ukąszenia tydziej pchły!

- O tak, Jezu! - westchnął sławny piosenkarz, który od 1957 roku nie nagrał żadnego przeboju.

Troje zaproszonych gości używało chyba tego samego lakieru do włosów i zaopatrywało się w tym samym dziale Searsa, oferującym okazyjne zakupy z podwójnie tkanej dzianiny.

Sutter zawiesił głos, pociągnął kabel mikrofonu i okręcił się w miejscu, zwracając się do publiczności. Jak na standardy telewizyjne, scena była ogromna, większa od przeciętnej sceny na Broadwayu - trzy poziomy okryte czerwono-niebieskimi dywanami i ozdobione bukietami świeżych białych kwiatów. Najwyższy poziom, wykorzystywany głównie w numerach śpiewanych, przypominał wyłożony dywanem taras z trzema wysokimi jak w katedrze oknami, za którymi lśnił wieczny zachód (lub wschód) słońca. Na poziomie środkowym oprócz trzaskającego ogniska (trzaskającego nawet w te dni, gdy w Dothan było trzydzieści siedem stopni w cieniu) znajdowało się stanowisko do prowadzenia rozmów i wywiadów, wyposażone w nibyantyczne, zdobione złotym filigranem krzesła, kanapę oraz biurko w stylu Ludwika XIV, przy którym wielebny Jimmy Wayne Sutter najchętniej zasiadał w ozdobnym fotelu z wysokim oparciem, tylko odrobinę bardziej imponującym niż tron papieża z rodziny Borgiów.

W tej chwili wielebny zeskoczył na najniższą kondygnację sceny - ciąg wyłożonych dywanem pochylni i półkolistych wybiegów, na którym

realizator (dzięki rozlokowanym we wnękach scenografii kamerom) mógł zmieścić Suttera na jednym ujęciu z sześciuset członkami publiki. Z tego studia codziennie nadawano godzinne „Śniadanie biblijne”, a także nagrywany w tej chwili nieco dłuższy „Program Centrum Pomocy Biblijnej z Jimmym Wayne’em Sutterem”. Programy wymagające większej obsady lub liczniejszej widowni nagrywano w Pałacu Kultu lub w plenerze.

- Jestem tylko skromnym wiejskim kaznodzieją - powiedział Sutter, niespodziewanie łagodząc ton głosu - ale z pomocą Bożą i waszą, możemy przezwyciężyć te trudności. Z pomocą Bożą i waszą przetrwamy czas prześladowań, aż Słowo Boże zabrzmi GŁOŚNIEJ, MOCNIEJ i WYRAŹNIEJ niż kiedykolwiek przedtem. - Jedwabną chusteczką otarł pot z czoła. - Jeśli jednak mamy nie zniknąć z eteru, drodzy przyjaciele... jeśli mamy dalej przekazywać wam Jego orędzie, Jego słowa... potrzebna jest nam wasza pomoc. Potrzebne są wasze modlitwy, wasze stanowcze listy do gnębiących nas rządowych biurokratów i wasze płynące z głębi serca ofiary... Potrzebujemy wszystkiego, co możecie dać w imię Chrystusa, żebyśmy mogli dalej dostarczać wam Słowo Boże. Wiemy, że nas nie zawiedziecie. Deklarujcie więc nowe datki, adresujcie niosące miłość koperty, takie jak te, które w tym miesiącu przysłali nam Kris, Kay i brat Lyle, a przez ten czas wspólnie posłuchajmy Gail, jej Gospel Guitars i naszego chóru, którzy przypomną wam, że „Nie musisz nic rozumieć, wystarczy, że weźmiesz Go za rękę”.

Kierownik planu odliczył na migi od czterech w dół i gestem dał Sutterowi znak, że przerwa na datki dobiegła końca. Wielebny siedział za biurkiem, krzesło obok niego było puste, za to na kanapie powoli robił się tłok.

Sutter - zrelaksowany i swobodny - uśmiechnął się do kamery numer dwa.

- Przyjaciele... Skoro mowa o sile Boskiej miłości, o potędze wiecznego zbawienia, o darze zmartwychwstania w imię Jezusa... Z wielką przyjemnością przedstawiam wam naszego następnego gościa. Przez lata tkwił zagubiony w oplatającej zachodnie wybrzeże pajęczynie grzechu, o której tyle się słyszy... Przez te lata jego dobra dusza oddaliła się od światła Chrystusa i zagłębiła w mroczny las strachu i cudzołóstwa, czyhający na wszystkich tych, którzy nie są posłuszni Słowu Bożemu... Dziś jednak gościmy człowieka, który osobiście doświadczył nieskończonego miłosierdzia i mocy Jezusa; który poznał siłę Jego bezgranicznej miłości,

dzięki której nikt, kto chce zostać odnaleziony, nie pozostanie zagubiony na wieki... Oto sławny producent i reżyser filmowy, prosto z Hollywood... Anthony Harod!

Harod przeszedł przez scenę przy wtórze entuzjastycznych oklasków sześciuset chrześcijan, którzy nie mieli zielonego pojęcia, kim jest. Wyciągnął rękę na powitanie, ale wielebny Jimmy Wayne Sutter zerwał się na równe nogi, objął go i wskazał mu krzesło dla gościa. Harod usiadł i nerwowo założył nogę na nogę. Siedzący na kanapie piosenkarz uśmiechnął się do niego szeroko, pisarz-apokaliptyk obrzucił go chłodnym spojrzeniem, a gruba aktorka zrobiła słodką minkę i przesłała mu całusa. Harod miał na sobie dżinsy, ulubione kowbojki z wężowej skóry, rozpiętą pod szyją koszulę z czerwonego jedwabiu i pasek z klamrą z R2-D2.

Sutter pochylił się nad biurkiem i splótł dłonie.

- Anthony, Anthony, Anthony...

Harod uśmiechnął się niepewnie i mrużąc oczy, zerknął w stronę publiki. Jasne reflektory telewizyjne go oślepiały, tak że na widowni widział tylko nieliczne odbłyски światła w okularach.

- Anthony, jesteś stałym elementem fabryki snów od... ile to już lat będzie?

- Eee... szesnaście - odparł Harod i odkaszlnął. - Od sześćdziesiątego czwartego, miałem wtedy... dziewiętnaście lat. Zaczynałem od pisania scenariuszy.

- Powiedz mi, Anthony... - Sutter nachylił się w jego stronę; w jowialnym głosie udało mu się przemycić konspiracyjną nutkę. - Czy to wszystko prawda, co się słyszy o grzeszności Hollywood? Nie o wszystkich, rzecz jasna; ja i Kay mamy tam całkiem sporo przyjaciół, porządnych chrześcijan, w tym także ciebie, Anthony... Ale tak w ogóle: czy rzeczywiście Hollywood jest tak grzeszne, jak się o nim mówi?

- Raczej tak - przyznał Harod. Usiadł swobodniej. - Trzeba przyznać, że... nie jest dobrze.

- Rozwody? - dopytywał się Sutter.

- Na każdym kroku.

- Narkotyki?

- Wszyscy biorą.

- Ale... twarde?

- Oczywiście.

- Kokaina?

- Popularna jak cukierki.
- Heroina?
- Nawet największe gwiazdy mają blizny po wkłuciach, Jimmy.
- Wzywanie imienia Pana Boga nadaremno?
- Nieustannie.
- Błuznierstwa?
- Zawsze w modzie.
- Oddawanie czci szatanowi?
- Chodzą słuchy...
- Czczenie wszechmocnego Dolara?
- Bez dwóch zdań.
- A co z szóstym przykazaniem, Anthony?
- Ehm...
- „Nie cudzołóż”?
- Jak by to powiedzieć... Jest całkowicie lekceważone.
- Widziałeś te słynne dzikie hollywoodzkie imprezy, Anthony?
- Na wielu byłem osobiście...
- Narkotyki, cudzołóstwo, pościg za wszechmocnym Dolarem, oddawanie czci Złemu, odrzucenie Bożych praw...
- Wszystko się zgadza. I byłaby to raczej jedna z tych marnych imprez. Publiczność wydała dźwięk pomiędzy kasznięciem i stłumionym sapnięciem.

Wielebny Sutter zetknął dłonie czubkami palców.

- Opowiedz nam swoją historię, Anthony. Opowiedz nam o tym, jak zstąpiłeś do tego... wyłożonego futrem z nerek piekła... i jak się z niego wydostałeś.

Harod uśmiechnął się lekko, samymi kącikami ust.

- Wiesz, Jimmy... byłem młody, podatny na wpływy... łatwowski. Przyznaję, że taki styl życia wydał mi się pociągający i przez jakiś czas kroczyłem mroczną ścieżką. To fakt.

- Znajdowałeś jednak doczesne nagrody... - podsunął Sutter.

Harod pokiwał głową i wypatrzył kamerę z włączoną czerwoną lampką. Spojrzał w obiektyw z miną jednocześnie szczerą i lekko zasmuconą.

- Sam powiedziałeś, Jimmy, że diabeł ma swoje sposoby Pieniądze... tyle pieniędzy, że nie wiedziałem, co z nimi robić. Szybkie samochody. Wielkie domy. Kobiety, piękne kobiety, sławne gwiazdy o znanych twarzach i pięknych ciałach... Wystarczył jeden telefon, Jimmy. Miałem fałszywe

poczucie władzy. Fałszywe poczucie statusu. Do tego dochodziły alkohol, narkotyki... Droga do piekła wiedzie czasem prosto przez jacuzzi, Jimmy.

- Amen! - wykrzyknęła z kanapy przygruba telewizyjna gwiazdka.

Sutter pokiwał głową i zrobił zatroskaną minę.

- Ale naprawdę przerażające w tym wszystkim, Anthony... przerażające dla każdego z nas... jest to, że ci ludzie produkują filmy, a więc tworzą tak zwaną „rozrywkę” dla naszych dzieci. Mam rację?

- Stuprocentową, Jimmy. Na dodatek, produkując filmy, kierują się tylko jedną zasadą: maksymalizacją zysku.

Sutter spojrzał w kamerę, która zrobiła na niego zbliżenie. Z jego twarzy zniknął cień pobłażliwości; z wyrazistą linią szczęki, ciemnymi brwiami i długimi, pofalowanymi siwymi włosami wyglądał jak starotestamentowy prorok.

- Dlatego, przyjaciele, nasze dzieci dostają plugastwo. Brud i plugastwo. Kiedy byłem dzieckiem... kiedy większość z nas była dziećmi, ciułało się ćwierćdolarówki, żeby pójść do kina... o ile rodzice nam na to pozwalali... szło się na sobotni poranek i oglądało kreskówkę... Właśnie, Anthony, co się stało z kreskówkami? A potem oglądało się western... Pamiętacie Hoota Gibsona? Hopalonga Cassidy’ego? Roya Rogersa? Niech go Bóg błogosławi... Tydzień temu Roy był naszym gościem... Wspaniały człowiek... szczodry... Potem puszczały jeszcze jakiś film z Johnem Wayne’em i wracaliśmy do domu z poczuciem, że dobrzy zwyciężyli, a Ameryka jest wyjątkowym miejscem... błogosławionym krajem... Pamiętacie Johna Wayne’a w „Fighting Seabees”? Wracaliśmy do domów, do rodzin... A Mickeya Rooneya w „Andym Hardy” pamiętacie? Wracaliśmy do domów i wiedzieliśmy, że rodzina jest ważna... że nasz kraj jest ważny... że ważne są dobroć, szacunek, autorytet i wzajemna miłość... powściągliwość, dyscyplina i samokontrola... że BÓG JEST WAŻNY!

Zdjął okulary. Pot perlił mu się na czole i nad górną wargą.

- A co DZISIAJ oglądają nasze dzieci? Pornografię, bezbożność, brud, plugastwo i nieczystości. Idzie się dzisiaj do kina, i to na film dla dzieci, nie mówię już o obrzydlistwach dla dorosłych, których wszędzie jest pełno, bo rozprzestrzeniają się jak rak i każde dziecko może na nie wejść, nie ma nawet ograniczeń wiekowych, chociaż to też jest czysta hipokryzja... plugastwo pozostaje plugastwem... to, co nie jest dobre dla szesnastolatków, nie jest też dobre dla dorosłych i bogobojnych obywateli... ale dzieci idą do kina, ach, jakże chętnie idą! I oglądają filmy dla dzieci obfitujące w nagość i

wulgarność, przekleństwo za przekleństwem, jedno bluźnierstwo za drugim... Takie filmy rozdierają rodziny, burzą je, burzą cały kraj, niszczą Prawa Boskie, drwią ze Słowa Bożego, dostarczają seksu, przemocy, plugastwa i podniety. Pytacie, co możecie na to poradzić? Co my wszyscy możemy na to poradzić? Odpowiadam zatem: zbliżcie się do Boga, napełnijcie się Jego Słowem, napełnijcie się Jezusem Chrystusem tak bardzo, żeby te śmiecie, to plugastwo nie miało do was przystępu... sprawcie, żeby wasze DZIECI przyjęły Jezusa, przyjęły go do swoich SERC, przyjęły Go jako ZBAWICIELA, własnego, OSOBISTEGO Zbawiciela, a wtedy przestanie je kusić filmowe plugastwo, hollywoodzka wersja Gomory przestanie być dla nich atrakcyjna... „Ojciec bowiem nie sądzi nikogo, lecz cały sąd przekazał Synowi... Przekazał Mu władzę wykonywania sądu... nadchodzi bowiem godzina, w której wszyscy, którzy spoczywają w grobach, usłyszą głos Jego: a ci, którzy pełnili dobre czyny, pójdą na zmartwychwstanie życia; ci, którzy pełnili złe czyny - na zmartwychwstanie potępienia”, Jan 5:22,27-28⁶.

Publika odpowiedziała chóralnym „Alleluja!”.

- Chwalmy Pana! - zakrzyknął piosenkarz.

Pisarz-apokaliptyk przymknął oczy i pokiwał głową. Przygruba aktorka zaszlochała.

- Anthony... - odezwał się znów Sutter, ściągając na siebie powszechną uwagę. - Czy przyjąłeś Pana do swojego serca?

- Tak, Jimmy. Znalazłem Go...

- I przyjąłeś jako swojego Zbawiciela?

- Tak, Jimmy. Przyjąłem Jezusa Chrystusa do swojego życia...

- I dałeś Mu się wyprowadzić z lasu strachu i cudzołóstwa... z fałszywego blasku hollywoodzkiej choroby wprost w uzdrawiające światło Słowa Bożego...

- Otóż to, Jimmy. Dzięki Chrystusowi radość znów zagościła w moim życiu; to On wyznaczył mi nowy cel, to dzięki Niemu wiem, że powinienem żyć i pracować na chwałę Jego imienia...

- Niech będzie pochwalone imię Pańskie - szepnął Sutter.

Uśmiechnął się promiennie, pokręcił głową, jak człowiek oszołomiony, i odwrócił się do kamery numer trzy. Kierownik planu pośpiesznym gestem nakreślił palcami kółko w powietrzu.

- Mamy dla was wszystkich dobrą wiadomość... W niedalekiej przyszłości, nawet bardzo niedalekiej, mam nadzieję, talent i umiejętności Anthony'ego znajdą zastosowanie w nowym, absolutnie wyjątkowym

projekcie Ośrodka Pomocy Biblijnej... Na razie nie możemy zdradzić szczegółów, zapewniam was jednak, że jego cudowne hollywoodzkie doświadczenie pomoże nam dotrzeć ze Słowem Bożym do milionów dobrych chrześcijan spragnionych dobrej rodzinnej rozrywki.

Publiczność i goście specjalni odpowiedzieli entuzjastycznymi oklaskami. Sutter pochylił się nad mikrofonem, żeby przekrzyczeć zgiełk.

- Jutro wyjątkowe nabożeństwo przy wtórze muzyki sakralnej: nasi goście specjalni Pat Boone, Patsy Dillon, Good News Singers oraz nasza Gail i Gospel Guitars... - Rozbłysły elektroniczne promptery i aplauz się wzmógł. Kamera numer trzy zrobiła najazd na Suttera. - A do naszego następnego spotkania zapamiętajcie słowa świętego Jana 3:16: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”. Do zobaczenia! Niech was wszystkich Bóg błogosławi!

Sutter i Harold zeszli z planu, gdy tylko zgasła czerwona lampka oznaczająca nagrywanie programu, nim jeszcze ucichły oklaski, i szybkim krokiem przemierzali klimatyzowane, wyłożone dywanami korytarze kompleksu. Przed gabinetem Suttera czekały na nich Maria Chen i Kay, żona wielebnego.

- I co ty na to, moja droga? - zagadnął ją mąż.

Wysoką i szczupłą Kay Ellen Sutter docięły gruby makijaż i fryzura, która sprawiała wrażenie dawno uformowanej i od lat nietykanej.

- Było cudownie. Doskonale.

- Będzie trzeba wyciąć monolog tego durnego piosenkarza, ten, w którym ciska gromy na Żydów rządzących przemysłem muzycznym. Nieważne, i tak zawsze wycinamy ze dwadzieścia minut, zanim materiał będzie gotowy do emisji. - Założył okulary i spojrzał na żonę. - Dokąd się panie wybierają?

- Chciałam pokazać Marii żłobek i przedszkole w budynku dla studentów po ślubie - wyjaśniła Kay.

- Świetny pomysł! - ucieszył się wielebny. - My z Anthonym mamy w planach jeszcze jedno krótkie spotkanie. Potem odwieziemy was na lotnisko, skąd polecicie do Atlanty.

Maria Chen spojrzała pytająco na Haroda, który zrobił zdziwioną minę i pokręcił głową, i obie kobiety wyszły. Kay już coś pośpiesznie tłumaczyła Marie.

Gabinet wielebnego Jimmy'ego Wayne'a Suttera był ogromny, wyłożony

grubym dywanem i urządzony w dyskretnych odcieniach ziemno-beżowych, ostro kontrastujących z powszechnymi w reszcie kompleksu czerwieniami, bielami i błękitami. Całą jedną łukowatą ścianę zajmowało okno wychodzące na łąki i zachowany przez budowniczych ośrodek skrawek lasu. Trzydzieści stóp wyłożonej tekowym drewnem ściany za szerokim biurkiem ściśle pokrywały opatrzone autografami zdjęcia sławnych i wpływowych ludzi, certyfikaty, nagrody, dyplomy, tabliczki pamiątkowe i inne dowody statusu i władzy Jimmy'ego Wayne'a Suttera.

Harod rozsiadł się wygodnie na krześle i wyprostował nogi. Westchnął z ulgą. Sutter zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu drogiego skórzanego dyrektorskiego fotela i usiadł. Podwinął rękawy koszuli i splótł ręce za głową.

- No i jak, Anthony? Była taka heca, jak się spodziewałeś?

Harod przecesał palcami trwałą na głowie.

- Modłę się tylko, żeby żaden z moich sponsorów tego nie oglądał.

- Ale dlaczego, Anthony? - spytał Sutter z uśmiechem. - Czy zaangażowanie w zbożne dzieło dyskwalifikuje producenta filmowego?

- Nie, ale wyście na durnia już tak. - Harod zerknął w stronę urządzonej w głębi pokoju kuchenki. - Mógłbym się czegoś napić?

- Naturalnie. Należysz sobie? Trafisz do barku...

Harod zdążył już przejść przez pokój. Nalał sobie smirnoffa z lodem i z ukrytego barku wyjął drugą butelkę.

- Bourbona?

- Chętnie - przytaknął wielebny, a gdy Harod nalał i podał mu drinka, zapytał: - Cieszysz się, że przyjąłeś moje małe zaproszenie i wpadłeś na te kilka dni?

Harod pociągnął łyk wódki.

- Uważasz, że to było rozsądne posunięcie? Występując w twoim programie, odkryłem karty.

- I tak wiedzieli, że tu jesteś. Kepler cię śledzi, a obaj z Bratem C. śledzą także mnie. Może twoja obecność trochę namiesza im w głowach.

- Mnie na pewno namieszała - mruknął Harod i wstał po dolewkę.

Sutter parsknął śmiechem, przekładając papiery na biurku.

- Nie chciałbym, żebyś odniósł wrażenie, że cynicznie traktuję swoje kapłaństwo.

Harod zastygł z ręką nad szklanką, zanim dorzucił sobie lodu. Spojrzał z niedowierzaniem na Suttera.

- Jaja sobie robisz? W życiu nie widziałem bardziej cynicznej pułapki na prostaczków.

- Mylisz się całkowicie. Moje kapłaństwo jest prawdziwe. Moja troska o ludzi jest prawdziwa. Moja wdzięczność za Talent otrzymany w darze od Boga Wszechmogącego również jest prawdziwa.

Harod pokręcił głową.

- Jimmy Wayne... Od dwóch dni oprowadzasz mnie po tym swoim fundamentalistycznym Disneylandzie; wszystko, co przez ten czas zobaczyłem, zostało wymyślone specjalnie w tym celu, żeby jakiegoś buraka z prowincji oskubać z forsy uciulaney w skajowej portmonetce z supermarketu. Macie tu maszyny, które oddzielają koperty z czekami od pustych; komputery, które skanują listy i same piszą odpowiedzi; skomputeryzowane centrale telefoniczne; reklamę bezpośrednią, na widok której Dick Viggerie posikałby się w majtki ze szczęścia; nadawane w telewizji nabożeństwa, przy których powtórki *Mr. Eda* są szczytem wyrafinowania...

- Anthony, Anthony... - Sutter pokręcił głową. - Postaraj się spojrzeć głębiej, przeniknąć wzrokiem to co powierzchowne. Większość wiernych w mojej elektronicznie zjednoczonej trzódce to wsiowe głupki, prostacy i półmózgi. To jednak nie znaczy, że moje posłannictwo jest przekrętem.

- Nie?

- W żadnym razie. Ja ich kocham! - Wielebny uderzył masywną pięścią w blat biurka. - Pięćdziesiąt lat temu, kiedy byłem młodym kaznodzieją, siedmiolatkiem przepelnionym Słowem Bożym... wędrowaliśmy z tatą i ciotką El od jednego spotkania z wiernymi do drugiego... już wtedy wiedziałem, że Jezus nie bez powodu obdarzył mnie Talentem... i że nie chodzi tylko o zarabianie pieniędzy.

Wziął do ręki skrawek papieru i przyjrzał mu się przez okulary.

- Jak sądzisz, Anthony, czyje to słowa: „Kaznodzieje... obawiają się postępu nauki, jak więdmy nadejścia dnia; niechętnie patrzą na znaki i zwiastuny zapowiadające obalenie fałszów, z których żyją”? - Spojrzał na Haroda sponad okularów. - No powiedz, jak uważasz, kto to napisał?

- Nie mam pojęcia... H.L. Mencken? Madalyn Murray O’Hair?

Sutter pokręcił głową.

- Jefferson, Anthony. Thomas Jefferson.

- No i?

Sutter wycelował w Haroda swój tępo zakończony palec wskazujący.

- Nie rozumiesz? Wszyscy kaznodzieje opowiadają o tym, że ten kraj zbudowano na religijnym fundamencie... że jesteśmy narodem chrześcijańskim i tak dalej... Tymczasem większość ojców-założycieli była właśnie taka jak Jefferson: ateści, przemądrzali intelektualiści, unitarianie...

- Co z tego?

- To, że ten kraj został założony przez gromadę świeckich humanistów. To dlatego nie ma już dla Boga miejsca w naszych szkołach. Dlatego codziennie zabijanych jest milion nienarodzonych dzieci. Dlatego komuniści rosną w siłę, a my mówimy o rozbrojeniu. Bóg dał mi Talent, żebym poruszył serca i umysły ludzi, żeby Ameryka mogła wreszcie stać się krajem chrześcijańskim, Anthony.

- Więc to dlatego prosisz mnie o pomoc, a w zamian proponujesz swoje poparcie i ochronę przed Klubem Wyspiarskim - powiedział Harod.

- Ręka rękę myje... - Sutter się uśmiechnął. - Ty pomożesz mnie, a ja dopilnuję, żeby tamci dali ci spokój.

- Mówisz tak, jakbyś chciał w przyszłości zostać prezydentem - zauważył Harod. - A jeszcze wczoraj miałem wrażenie, że rozmawiamy tylko o lekkiej zmianie hierarchii w Klubie.

Sutter rozłożył ręce.

- A co jest złego w myśleniu na większą skalę? Brat C., Kepler, Trask i Colben od dziesięcioleci maczają palce w polityce. Brata C. poznałem czterdzieści lat temu na politycznym wiecu konserwatywnych kaznodziejów w Baton Rouge. Nie byłoby najgorzej, gdyby dla odmiany w Białym Domu zasiadł jakiś dobry chrześcijanin.

- Myślałem, że Jimmy Carter był dobrym chrześcijaninem.

- Jimmy Carter był nawróconym mięczakiem. Prawdziwy chrześcijanin wiedziałby, co zrobić z ajatollahem, kiedy ten poganin ośmielił się tknąć amerykańskich obywateli. Biblia powiada: „Oko za oko, ząb za ząb”. Powinniśmy byli wybić wszystkie zęby tym szyickim łajdakom.

- Ale podobno to chrześcijanie głosowali na Reagana. - Harod znów poszedł sobie dolać wódki. Dyskusje na tematy polityczne zawsze go nudziły. - Tak twierdzi NCPAC⁷.

- Bzdura. To brat C., Kepler i ten osioł stojący za Traskiem wypromowali Ronalda. A Dolan i reszta durniów z NCPAC nie wiedzą, co mówią. Kraj skręca na prawo i choć nie da się uniknąć chwilowych zmian tego trendu, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, dziewięćdziesiątym drugim będziemy gotowi na prawdziwego chrześcijańskiego kandydata,

- Czyli na ciebie? Myślisz, że jesteś pierwszy w kolejce?

Sutter zmarszczył brwi.

- A niby kto mnie poprzedza?

- No ten, jak mu tam... ten od moralnej większości... Falwell.

Sutter się roześmiał.

- Jerry został stworzony przez naszych prawicowych przyjaciół z Waszyngtonu. To golem: kiedy skończą mu się pieniądze, każdy się zorientuje, że to tylko kupa błota w kształcie człowieka. Niezbyt bystrego błota, nawiasem mówiąc.

- A ci starsi? - zapytał Harod, wyęzając pamięć i szukając w niej nazwisk uzdrowicieli i szarlatanów, którzy migali mu czasem w kablówce, kiedy w Los Angeles przełączał kanały. - Rex Hobart...

- Humbard - poprawił go z naciskiem Sutter. - Pewnie masz jeszcze na myśli Orała Robertsa, hmm? Czyś ty z byka spadł, Anthony?

- O co ci chodzi?

Sutter wyjął z humidoru hawańskie cygaro i zapalił.

- Mówimy o ludziach, którym ciągle jeszcze słoma wyłazi z butów. Mówimy o poczciwych starszych panach, którzy przychodzą do telewizji i mówią: „Przyłóżcie do ekranu chorą lub bolącą część ciała, a ja ją uzdrowię!”. Wyobrażasz sobie, Anthony, te wszystkie hemoroidy, wrzody, pryszczki i grzyby... i człowieka, który błogosławi całą tę biologię, a potem spotyka się z zagranicznymi dygnitarzami, a w hotelu dostaje apartament prezydencki?

- W głowie się nie mieści - przyznał Harod, popijając czwartą wódkę. - A inni? Na pewno masz jeszcze jakichś konkurentów?

Wielebny Sutter znów splótł dłonie za głową. Uśmiechnął się.

- No, są Jim i Tammy, ale na co dzień mają za dużo kłopotów z Komitetem ds. Mediów... Przy nich moje kłopoty to popierdółki. Poza tym, na zmianę to jedno, to drugie przechodzi załamanie nerwowe. Nawet się Jimowi nie dziwię, przy takiej żonie też bym wariował... jest jeszcze Swaggart z Luizjany. Nawet cwany gość, powiem ci, Anthony, ale mnie się wydaje, że wolałby zostać gwiazdą rocka, jak jego kuzyn...

- Jaki kuzyn?

- Jerry Lee Lewis. Kto zostaje? Oczywiście, Pat Robertson. Spodziewam się, że wystartuje w wyborach w osiemdziesiątym czwartym albo ósmym. Poważny gracz. Przy jego sieci telewizyjnej mój Ośrodek wygląda jak blaszana puszka z pękiem drucików prowadzących donikąd. Tylko że Pat ma

swoje ograniczenia: ludzie czasem zapominają, że powinien być duchownym, i on sam też nie zawsze o tym pamięta...

- Bardzo to wszystko ciekawe, ale odbieglismy od tematu - wtrącił Harod.
- Rozmawialiśmy o tym, po co tu przyjechałem.

Sutter zdjął okulary, wyjął cygaro z ust i spojrzał Harodowi w oczy.

- Przyjechałeś tutaj, Anthony, ponieważ wdepnąłeś w gówno, i jeżeli ktoś ci nie pomoże, Klub wykorzysta cię w charakterze poobiedniej rozrywki na wyspie...

- Zaraz, zaraz, nie tak prędko: jestem pełnoprawnym członkiem prezydium Klubu.

- To prawda. Trask nie żyje, Colben nie żyje, Kepler gdzieś się przyczaił, a brat C. podłamał się fuszerką w Filadelfii.

- Z którą nie miałem nic wspólnego - nadmienił Harod.

- Z której udało ci się wykaraskać. Na Boga, ależ to był bajzel... Pięciu agentów FBI i sześciu ludzi Colbena zabitych, tuzin miejscowych czarnych, pastor... Do tego pożary, zniszczona własność prywatna i publiczna...

- Media łyknęły bajkę o wojnie gangów - zauważył Harod. - A FBI tropiło murzyńską organizację terrorystyczną...

- Owszem. Sprawa oparła się o biuro burmistrza, sięgnęła nawet dalej... do samego Waszyngtonu. Słyszałeś o tym, że Richard Haines pracuje teraz na własną rękę, dyskretnie, dla brata C.?

- A kogo to obchodzi?

- Otóż to. - Jimmy Wayne Sutter się uśmiechnął. - Musisz jednak zrozumieć, że twoje członkostwo w prezydium Klubu przypadło na wyjątkowo... napięty okres.

- Uważasz, że chcą mnie wykorzystać, żeby dorwać Williego.

- Z całą pewnością.

- A potem co? Wyrzucą mnie na śmietnik?

- Dosłownie.

- Ale dlaczego? Po co im taki psychopatyczny morderca jak Willi?

- Mieszkańcy pustyni mieli takie powiedzenie, które nie trafiło na karty Ewangelii, ale było dostatecznie stare, żeby znaleźć się w Starym Testamencie.

- Mianowicie?

- „Lepiej, kiedy wielbłąd stoi w namiocie i szcza na zewnątrz, niżby miał stać na zewnątrz i szczać do środka”.

- Dziękuję, wielbny,

- Nie ma za co, Anthony. - Sutter spojrział na zegarek. - Lepiej się pośpiesz, jeśli chcesz zdążyć na samolot.

Harod wytrzeźwiał w mgnieniu oka.

- Wiesz, dlaczego Barent zwołał spotkanie na sobotę?

Sutter wykonał nieokreślony gest ręką.

- Domyślam się, że ze względu na poniedziałkowe wydarzenia.

- Zamach na Reagana...

- Właśnie. A wiesz, kto towarzyszył prezydentowi, był dosłownie trzy kroki za jego plecami, kiedy padły strzały?

Harod uniósł brwi.

- Tak, tak - ciągnął Sutter - brat C. we własnej osobie. Spodziewam się, że będziemy mieli sporo do obgadania.

- Jezu... - westchnął Harod.

Jimmy Wayne Sutter zmarszczył groźnie brwi.

- Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno w tym pokoju! Nie radzę ci zresztą robić tego także w obecności brata C.

Harod wstał, podszedł do drzwi, odwrócił się.

- Jeszcze jedno, Jimmy... Dlaczego nazywasz Barenta „bratem C.”?

- Bo C. Arnold nie lubi, kiedy zwracam się do niego po imieniu.

- To ty wiesz, jak on ma na imię? - zdumiał się Harod.

- Ależ naturalnie. Znamy się z bratem C. od lat trzydziestych, kiedy obaj byliśmy podrostkami.

- I jak ma na imię?

- Na chrzcie C. Arnold dostał na pierwsze „Christian” - odparł z uśmiechem Sutter.

- Że co?

- Christian - powtórzył Sutter. - Chrześcijanin Arnold Barent. Brat C. może być niewierzący, ale miał wierzącego ojca.

- Niech mnie diabli... - mruknął Harod i wymknął się z gabinetu, zanim Sutter zdążył się odezwać.

37.

Cezarea, Izrael

2 kwietnia 1981, wtorek

Natalie Preston, podróżująca samolotem linii El Al z Wiednia, wylądowała na lotnisku Ben-Guriona niedaleko Lod o dziesiątej trzydzieści rano czasu miejscowego. Izraelscy celnicy byli spokojni i rzeczowi, choć nie przesadnie uprzejmi.

- Witamy ponownie w Izraelu, panno Hapshaw - powiedział mężczyzna za kontuarem, sprawdzivszy jej dwie torby z bagażem.

Po raz trzeci wjeżdżała do Izraela z fałszywym paszportem i serce znów waliło jej jak młotem, kiedy stała w kolejce. Świadomość, że to Mossad - izraelska agencja wywiadowcza - spreparował jej dokumenty, stanowił niewielkie pocieszenie.

Wyszła z terminalu i firmowym autobusem El Al pojechała do Tel Awiwu, gdzie z dworca autobusowego przy Jaffa Road przeszła piechotą do wypożyczalni samochodów ITS/Avis przy ulicy Hamasger. Zapłaciła za tydzień z góry i wpłaciła czterysta dolarów kaucji za zielonego opla rocznik '75, który przy każdym hamowaniu ściągał w lewo.

Minęło południe, zanim wyjechała z brzydkich przedmieść Tel Awiwu i ruszyła Haifa Road na północ, wzdłuż wybrzeża. Dzień był pogodny, temperatura przekraczała dwadzieścia stopni; Natalie założyła ciemne okulary, oślepiąca odbłaskiem słońca od drogi i Morza Śródziemnego. Dwadzieścia mil za Tel Awiwem przejechała przez Netanję, tłoczny kurorcik wybudowany na nadmorskim urwisku. Po następnych paru milach dostrzegła drogowskaz do Or Akivy i skręciła z czteropasmowej autostrady na wąską drogę asfaltową wijącą się wśród wydm w stronę plaży. Mignęły jej potężne fortyfikacje miasta krzyżowców i rzymski akwedukt, zanim zjechała na starą przybrzeżną drogę obok hotelu Dan Caesarea, którego osiemnastodołkowe pole golfowe kryło się za wysokim płotem zwieńczonym kłębami drutu kolczastego.

Skręciła w żwirówkę prowadzącą na wschód i, kierując się drogowskazem do kibucu Ma'agan Michael, jechała nią aż do skrzyżowania z inną, jeszcze węższą dróżką. Podskakujący na wybojach opel przez ćwierć mili piął się pod górę wśród szarańczynów, gęstych kęp krzewów pistacjowych i nielicznych sosen, aż w końcu zatrzymał się przed zamkniętą na kłódkę

bramą. Natalie wysiadła, rozprostowała nogi i pomachała w stronę białego domku na wzgórzu.

Saul Laski zszedł do bramy, żeby ją otworzyć. Po tym, jak schudł i zgolił brodę, szczupłe nogi w workowatych szortach khaki i wąska pierś w białej koszulce z krótkim rękawem powinny upodabniać go do karykatury jeńca wojennego z „Mostu na rzece Kwai”; zamiast tego miało się po prostu wrażenie, że opalona skóra opina wyrobione mięśnie. Z powodu opalenizny łysina na czubku głowy bardziej rzucała się w oczy, ale włosy posiwiały mu i urosły, opadając lokami na uszy i kark. Rozbite rogowe okulary zamienił na ciemne awiatory w srebrnej oprawce. Blizna na lewej ręce wciąż była czerwona.

Otworzył bramę i objęli się na chwilę z Natalie.

- Dobrze poszło? - zapytał Saul.

- Bardzo dobrze. Szymon Wiesenthal przesyła pozdrowienia.

- Jak się trzyma?

- Świetnie, jak na kogoś w jego wieku.

- Nakierował cię na właściwe źródła?

- Nawet więcej: osobiście poszukał informacji. A czego nie znalazł w tym swoim śmiesznym małym biurze, kazał sobie dostarczyć z wiedeńskich bibliotek, archiwów i tym podobnych.

- Wyśmienicie. A ta druga sprawa?

Natalie wskazała leżącą na tylnym siedzeniu opła walizę.

- Jest pełna fotokopii. To coś okropnego, Saul. Nadal dwa razy w tygodniu bywasz w Yad Vashem?

- Nie. Jest takie miejsce, niedaleko stąd, zbudowane przez Polaków: Lohame HaGetaot.

- Coś takiego jak Yad Vashem?

- Tylko mniejsze. Wystarczą mi nazwiska i historie. Chodź, wjedź do środka; zamknę bramę i razem podjedziemy na górę.

Na szczycie wzgórza stał bardzo duży biały dom. Natalie poprowadziła samochód drogą obok niego i dalej, w dół po południowym stoku pagórka, gdzie na skraju gaju pomarańczowego przycupnął parterowy domek o pobielonych ścianach. Widoki były niesamowite. Na zachodzie za pasmem sadów i pól rozciągały się wydmy, ruiny i zwarte szeregi bałwanów na błękitnym morzu. Na południu, rozedrgane i rozmyte w gorącym powietrzu, wznosiły się zalesione klify Netanji. Na wschodzie ciągnęło się pasmo

wzgórz i pachnąca pomarańczami Równina Szaron. Na północy, za zamkami templariuszy, twierdzami, które już za czasów Salomona uchodziły za wiekowe, oraz zieloną granią góry Karmel, znajdowała się Hajfa z wąskimi uliczkami i zabudową z wygładzonego deszczami kamienia. Natalie cieszyła się z powrotu.

Saul przytrzymał jej drzwi, kiedy wniosła torbę do środka. Domek się nie zmienił, odkąd osiem dni wcześniej z niego wyjechała - mała kuchnia połączona z jadalnią tworzyły podłużny salon z kominkiem, wyposażony w zwykły drewniany stół z trzema krzesłami (czwarte stało przy kominku) i małe okno, przez które intensywny blask słońca padał na białe ściany. Oprócz tego w domku znajdowały się dwie sypialnie.

Natalie przeniosła bagaże do swojego pokoju i rzuciła je na łóżko. Saul już wcześniej wstawił świeże kwiaty do stojącego na nocnym stoliku białego wazonu.

Akurat: parzył kawę, kiedy przyszła do salonu.

- Jak podróż? - zagadnął ją. - Bez problemów?

- Bez. - Natalie położyła kilka tekturowych teczek na szorstkim blacie stołu. - Sarah Hapshaw bywa w wielu miejscach, których Natalie Preston nigdy nie widziała.

Saul pokiwał głową, stawiając przed Natalie biały kubek gęstej, czarnej kawy.

- A tu? - spytała. - Jakieś kłopoty?

- Żadnych. Zgodnie z przewidywaniami.

Natalie nasypała sobie cukru z niebieskiej cukiernicy, zamieszała kawę i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Saul usiadł naprzeciwko niej i poklepał ją po ręce. Mimo że jego wychudzona twarz była pożłobiona głębokimi zmarszczkami, Natalie miała wrażenie, że i tak wygląda młodziej, niż kiedy nosił brodę. Trzy miesiące temu. Całe wieki temu.

- Mam nowe wieści od Jacka - powiedział. - Przejdziemy się?

Natalie zerknęła na swój kubek.

- Weź ze sobą kawę. Pójdziemy w stronę hipodromu.

Saul na chwilę zniknął w swojej sypialni, a kiedy wrócił, miał na sobie luźną koszulę khaki. Wypuścił ją na spodnie, ale i tak nie była w stanie zamaskować wybruszenia spowodowanego przez wsunięty za pas pistolet.

Szli niespiesznie na zachód, z górki, wśród ogrodzonych gajów pomarańczowych, do miejsca, w którym wydmy zakradały się na sam skraj

pól uprawnych i ogrodów prywatnych willi. Saul wspiał się ze szczytu jednej z wydm na powierzchnię akweduktu, biegnącego w tym miejscu dwadzieścia pięć stóp nad pustynią, długiego na wiele mil i prowadzącego w stronę skupiska ruin i nowszych zabudowań blisko morza. Podbiegł do nich młody mężczyzna w białej koszuli, krzycząc coś i wymachując rękami, ale kiedy Saul zamienił z nim dyskretnie parę zdań po hebrajsku, pokiwał głową, zawrócił i odszedł. Saul z Natalie ruszyli po szorstkiej nawierzchni akweduktu.

- Co mu powiedziałeś? - zainteresowała się Natalie.

- Że znam Frowę, Avi-Yonaha i Negeva. We trójkę prowadzą tu wykopaliska od lat pięćdziesiątych.

- Tylko tyle?

- Tak.

Saul przystanął i się rozejrzał. Po prawej stronie mieli Morze Śródziemne. Z przodu, jakąś milę dalej, popołudniowe słońce padało na kłębowisko niskiej, nowej zabudowy.

- Kiedy mi powiedziałeś, gdzie mieszkasz, wyobrażałam sobie szalas na pustyni - przyznała Natalie.

- Tak było, kiedy przyjechałem tu zaraz po wojnie. Najpierw zbudowaliśmy i rozbudowaliśmy kibuce Gaash, Kfar Vitkin i Maagan Michael. Po wojnie w czterdziestym ósmym David i Rebeka założyli tu farmę...

- Farmę? To prawdziwa posiadłość ziemska!

Saul z uśmiechem dopił kawę.

- Posiadłość to ma baron Rotszyld. Dziś stoi na niej pięciogwiazdkowy hotel Dan Caesarea.

- Uwielbiam te ruiny: akwedukt, amfiteatr, miasto krzyżowców. Są takie... stare.

Saul pokiwał głową.

- W Stanach brakowało mi tego poczucia nakładania się warstw kolejnych stuleci.

Natalie zdjęła z ramienia czerwoną torebkę i schowała do niej kubki po kawie, zawinawszy je starannie w ręcznik.

- Tęsknię za Ameryką - przyznała. Usiadła, objęła rękami kolana i zapatrzyła się na bezmiar piasku, który omywał żółte kamienie akweduktu niczym zamarznięte jasnobrazowe morze. - Tak mi się przynajmniej wydaje, bo tamte ostatnie kilka dni to był koszmar...

Saul nie odpowiedział. Siedzieli w milczeniu przez kilka długich minut.

- Ciekawe - odezwała się w końcu Natalie - kto był na pogrzebie Roba.

Saul spojrzał na nią, słońce zaśniło w polaryzowanych szklach jego okularów.

- Jack Cohen napisał, że szeryf Gentry został pochowany na cmentarzu w Charleston. W pogrzebie uczestniczyli Stróże prawa z miejscowej policji i innych agencji.

- To wiem. Zastanawiam się raczej, czy przyszedł ktoś, kto był mu bliski. Ktoś z rodziny? Jego przyjaciel Daryl Meeks? Ktoś, kto go... kochał? - Natalie zawiesiła głos.

Saul podał jej swoją chusteczkę.

- To by było szaleństwo, gdybyś tam pojechała. Rozpoznałiby cię. Poza tym byłaś w kiepskim stanie. Lekarze ze szpitala w Jerozolimie powiedzieli, że masz paskudne złamanie kostki. - Uśmiechnął się i przyjął oddaną chusteczkę. - A dziś prawie nie utykasz.

- Rzeczywiście, jest dużo lepiej. - Natalie również się uśmiechnęła. - No dobrze: kto zaczyna?

- Chyba ty. Wiadomości od Jacka są niezwykle interesujące, ale ja chcę usłyszeć o Wiedniu.

Natalie skinęła głową.

- Z hotelowych ksiąg gości wynika, że faktycznie bywały w Wiedniu: Melanie Fuller i Nina Hawkins, bo tak się nazywała z domu pani Drayton... Hotel Imperial: rok tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty, dwudziesty szósty i dwudziesty siódmy. Hotel Metropole: tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci, trzydziesty czwarty i trzydziesty piąty. Mogły też bywać w innym okresie w innych hotelach, których archiwa zaginęły wskutek wojennej zawieruchy lub z innych powodów. Pan Wiesenthal jeszcze to sprawdza.

- A von Borchert?

- Nie meldował się w hotelach, ale Wiesenthal ustalił, że od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego aż do tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Wilhelm von Borchert wynajmował niewielką willę w Perchtoldsdorfie, pod miastem. Po wojnie willa została wyburzona.

- A... inne sprawy? Zbrodnie?

- Morderstwa? Nic niezwykłego, tradycyjna mieszanka napadów ulicznych, zabójstw politycznych, zbrodni namiętności itepe... Aż tu nagle, latem dwudziestego piątego mamy trzy dziwne, niewyjaśnione morderstwa. Dwaj ważni mężczyźni i jedna kobieta z wiedeńskiej elity towarzyskiej

zostali zabici przez bliskich znajomych. We wszystkich trzech przypadkach brak motywu, alibi, usprawiedliwienia. Gazety nazwały to „letnim obłędem”, ponieważ zabójcy klęli się na wszelkie świętości, że nie pamiętają niczego z dokonanych zbrodni. Wszystkich troje uznano za winnych; na jednym mężczyźnie wykonano wyrok śmierci, drugi popełnił samobójstwo, a trzecie z nich, kobietę, zamknięto w ośrodku dla umysłowo chorych, gdzie po tygodniu utopiła się w ozdobnym stawiku.

- Wygląda na to, że nasze młode wampiry umysłowe rozpoczęły swoją grę. Posmakowały krwi.

- Pan Wiesenthal nie rozumiał, co łączy te sprawy, ale szukał dalej. Siedem niewyjaśnionych zabójstw w lecie tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku; rok później - jedenaście w okresie od czerwca do sierpnia. Tyle tylko, że dwudziesty siódmy był rokiem nieudanego puczu: demonstracja wymknęła się spod kontroli, osiemdziesięciu robotników zginęło... Władze w Wiedniu miały większe zmartwienia niż śmierć paru ofiar z nizin społecznych.

- Nasze trio zaczęło więc inaczej dobierać ofiary. Być może doszli do wniosku, że zabójstwa w ich własnej sferze towarzyskiej zanadto zwracałyby uwagę.

- Nie znaleźliśmy żadnych doniesień o morderstwach z zimy i lata tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, za to już w dwudziestym dziewiątym przydarzyło się aż siedem tajemniczych zaginięć w austriackim kurorcie Bad Ischl. Wiedeńska prasa rozwodziła się o „wilkołaku z Zauner”, ponieważ wszystkich zaginionych (a były wśród nich ważne osobistości z Wiednia i Berlina) po raz ostatni widziano w Cafe Zauner na esplanadzie.

- Nic nie potwierdza obecności w tym miejscu naszego młodego Niemca i jego dwóch młodych amerykańskich przyjaciółek? - domyślił się Saul.

- Na razie nie. Pan Wiesenthal zwrócił jednak uwagę, że w tamtej okolicy znajdowały się dziesiątki nieistniejących już dzisiaj prywatnych rezydencji i hoteli.

Saul z zadowoleniem pokiwał głową. Oboje podnieśli wzrok, gdy formacja pięciu izraelskich F-16 z rykiem silników obniżyła lot nad morzem, kierując się na południe.

- To już coś - orzekł Saul. - Będziemy potrzebowali więcej szczegółów, dużo więcej, ale początek został zrobiony.

Umilkli na kolejne kilka długich minut. Słońce chyliło się ku zachodowi, skomplikowany cień akweduktu sięgał coraz dalej na pustynię, cały świat

spowijała czerwonozłota poświata. W końcu Saul przerwał milczenie:

- Herod Wielki, lizus i pochlebca, rozpoczął budowę tego miasta w dwudziestym drugim roku przed naszą erą, dedykując je cesarzowi Augustowi. W szóstym roku naszej ery miasto stało się znaczącym ośrodkiem władzy; biały kamień teatru, hipodromu i akweduktów lśnił w słońcu. Przez dziesięć lat prefektem był tu Poncjusz Piłat.

Natalie spojrzała na niego z marsem na czole.

- Opowiadałeś mi o tym, kiedy przyjechaliśmy tu pierwszy raz, w lutym.

- To prawda. Spójrz. - Saul wskazał wydmy wspinające się po kamiennych łukach. - Przez tysiąc pięćset lat większość tych budowli spoczywała pogrzebana w piasku. Akwedukt, na którym siedzimy, odkopano dopiero w latach sześćdziesiątych.

- Co z tego wynika?

- Jak to świadczy o władzy cesarza? O przypochebnych knowaniach Heroda? O lękach apostoła Pawła, który był tu więziony? - Saul zrobił pauzę, odczekał kilka sekund. - Wszystko przeminęło, zostało przysypane piaskami czasu; władza została utracona, jej atrybuty obalone i pogrzebane. Zostały tylko kamienie i wspomnienia.

- Do czego zmierzasz, Saul?

- Oberst i Melanie Fuller muszą być już po siedemdziesiątce. Zdjęcie, które pokazał mi Aaron, przedstawiało mężczyznę po sześćdziesiątce. Rob Gentry miał rację: oni są śmiertelni. Po śmierci nie zmartwychwstaną przy następnej pełni księżyca.

- Czyli co, mamy siedzieć tutaj? - Natalie podniosła gniewnie głos. - Przyczaić się, ukryć i czekać, aż te... te potwory pomrą ze starości albo powybijają się nawzajem?

- Tutaj albo w innym bezpiecznym miejscu. Wiesz, jaka jest alternatywa. My też musielibyśmy zabijać.

Natalie wstała i zaczęła się przechadzać w poprzek wąskiej konstrukcji.

- Nie zapominaj, Saul, że ja już zabiłam. Zastrzeliłam tego okropnego chłopaka, Vincenta, wykorzystywanego przez tę staruchę.

- Wtedy nie był już człowiekiem, lecz przedmiotem. To nie ty odebrałaś mu życie, tylko Melanie Fuller. Ty tylko wyzwoliłaś jego ciało spod jej władzy.

- Dla mnie oni wszyscy są przedmiotami. Musimy tam wrócić.

- Zgoda, ale...

- Nie mogę uwierzyć, że poważnie rozważasz zostawienie ich w spokoju.

I to po tym, co Jack Cohen dla nas zrobił, po tym, jak podjął ogromne ryzyko, kiedy wykorzystał swoje komputery do wyszukania informacji na ich temat. Po tygodniach moich poszukiwań w Toronto, Francji i Wiedniu. Po setkach godzin, które sam spędziłeś w Yad Vashem...

Saul wstał.

- To tylko sugestia - powiedział. - Może przynajmniej nie będziemy musieli oboje...

- Aaa, więc o to chodzi... Zapomnij. Zabili mi ojca. Zabili Roba. Jedno z nich dotknęło mnie swoim ohydny umysłem. Zostaliśmy tylko my dwoje. Nadal nie wiem, co możemy zrobić, ale wiem, że tam wrócę. Z tobą czy bez ciebie, Saul... Wrócę tam.

- W porządku. - Saul podał jej torebkę, ich dłonie się zetknęły. - Musiałem mieć pewność.

- Ja mam. Mów, czego dowiedziałeś się od Cohena.

- Później - odparł Saul. - Po kolacji.

Dotknął lekko ręki Natalie i razem ruszyli w długą drogę powrotną. Ich cienie splatały się, wykrzywiały i skręcały na podłużnych pryzmach napierającego piasku.

Saul przyrządził wyśmienitą kolację: sałatka ze świeżych owoców, pieczywo z własnego wypieku (nazywał je „bajgłem”, chociaż nie miało z bajglami nic wspólnego), baranina duszona na sposób orientalny i słodka kawa po turecku. Zrobiło się ciemno, zanim przeszli do jego pokoju, żeby popracować przy syczącej lampie turystycznej.

Długi stół był zasłany teczkami, stosami fotokopii, stertami zdjęć (z tych na samej górze spoglądały biernie ofiary obozów koncentracyjnych) i dziesiątkami żółtych karteczek wypełnionych drobnym pismem Saula. Białe kartki opatrzone nazwiskami i datami oraz plany obozów koncentracyjnych wisiały poprzyklejane do szorstkich białych ścian. Uwagę Natalie zwróciła stara fotokopia zdjęcia przedstawiającego młodego Obersta w towarzystwie kilku uśmiechniętych oficerów SS, oraz kolorowa odbitka w formacie osiem na dziesięć cali, na której Melanie Fuller ze służącym stali na podwórku swojego domu w Charleston.

Usiedli na ciężkich, wygodnych krzesłach. Saul wyciągnął opasłą teczkę.

- Jack twierdzi, że znaleźli Melanie Fuller - powiedział.

Natalie wyprostowała się na krześle.

- Gdzie?

- W Charleston. W jej domu.

Natalie pokręciła głową.

- To niemożliwe. Nie jest aż tak głupia.

Saul otworzył teczkę i spojrzął na dokument wypisany na maszynie na papeterii ambasady izraelskiej.

- Dom Melanie Fuller został zamknięty i opieczętowany w oczekiwaniu na ustalenie jej statusu prawnego. Trochę by to musiało potrwać, zanim sąd uznałby ją oficjalnie za zmarłą; jeszcze więcej czasu zajęłoby ustalenie i podział majątku. Wyglądało na to, że nie miała żadnych żyjących krewnych, dopóki nie pojawił się niejaki Howard Warden, twierdząc, że jest jej ciotecznym wnukiem. Okazał między innymi testament z ósmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, w którym starsza pani zapisała mu dom wraz z całą zawartością, i to od razu, z tamtą datą, nie dopiero po jej śmierci; posiadał również stosowne pełnomocnictwo. Tłumaczył, że ciotka obawiała się o swoje zdrowie i lękała się uwiądnienia starczego. Twierdził również, że zapis w testamencie był czczą formalnością, spodziewał się bowiem, że cioteczna babka spokojnie dożyje swoich dni u siebie w domu. Skoro jednak zaginęła i pojawiło się domniemanie śmierci, doszedł do wniosku, że ktoś powinien się tym domem zaopiekować. Wprowadził się tam wraz z rodziną.

- Czy to możliwe, żeby naprawdę był jej dawno zaginionym krewnym?

- Mało prawdopodobne. Jackowi udało się wywiedzieć co nieco na jego temat. Pochodzi z Ohio, dopiero czternaście lat temu przeprowadził się do Filadelfii. Przez ostatnie cztery lata był zastępcą zarządcy parku miejskiego, z czego przez trzy mieszkał w Fairmount Park...

- Fairmount Park! - Natalie zapało dech w piersi. - To tam zniknęła Melanie Fuller!

- Otóż to. Według informatorów Jacka trzydziestosiedmioletni Warden z Filadelfii miał żonę i trójkę dzieci: dwie córki i syna. Żona Wardena z Charleston odpowiada rysopisowi tej z Filadelfii, ale mają tylko jedno dziecko: pięcioletniego synka, Justina.

- Ale...

- Czekaj, to nie wszystko. Stojący po sąsiedzku dom Hodgesów został w marcu sprzedany. Kupił go lekarz nazwiskiem Stephen Hartman i zamieszkał w nim z żoną i córką, która ma dwadzieścia trzy lata.

- Co w tym dziwnego? Doskonale rozumiem panią Hodges, że nie chciała tam dłużej mieszkać.

- To wszystko prawda. - Saul poprawił awiatory na nosie. - Wygląda jednak na to, że pan doktor Hartman, znany i ceniony neurolog, również przybył z Filadelfii: nagle zamknął praktykę, ożenił się i w marcu wyjechał z miasta; dokładnie w tym samym tygodniu, w którym Wardenowie zniechęceni poczuli chęć przeprowadzenia się na południe. Nowa żona doktora Hartmana jest jego trzecią małżonką; przyjaciele byli nawet zdziwieni, że ponownie się ożenił. Nazywa się Susan Oldsmith i była w przeszłości siostrą oddziałową na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Philadelphia General...

- Nie ma chyba nic niezwykłego w tym, że lekarz żeni się z pielęgniarką?

- Nie, ale z przeprowadzonego przez Jacka wywiadu wynika, że doktor Hartman i siostra Goldsmith utrzymywali chłodne, czysto profesjonalne kontakty, aż do dnia, w którym oboje rzucili pracę i postanowili się pobrać. Co ciekawe, żadne z nich nie miało dwudziestotrzyletniej córki...

- To kim jest...

- Młoda dama znana w Charleston jako Constance Hartman do złudzenia przypomina niejaką Connie Sewell, pielęgniarkę z oddziału intensywnej terapii Philadelphia General, która odeszła z pracy w tym samym tygodniu co siostra Oldsmith. Jack nie jest stuprocentowo pewny, że to jedna i ta sama osoba, ale panna Sewell porzuciła dom i przyjaciół bez słowa wyjaśnienia, dokąd się wybiera.

Natalie wstała i zaczęła się przechadzać po małym pokoju, nieświadoma syczenia lampy i istnienia dramatycznego cienia na ścianie.

- Domyślamy się zatem, że Melanie Fuller została ranna podczas tego zamieszania w Filadelfii - zaczęła. - Gazety pisały o samochodzie i zwłokach wyłowionych z Schuylkill niedaleko miejsca, w którym rozbił się helikopter FBI, ale to nie były jej zwłoki. Wiedziałam! Wiedziałam, że ona gdzieś żyje. Czułam to. No dobrze, wracając do tematu... Jest ranna. Znajduje tego zarządcę parku i każe się wieźć do szpitala. Cohen na pewno sprawdził szpitale...

- Oczywiście. Okazało się, że agenci FBI - albo ludzie podający się za agentów FBI - go uprzedzili. Nie znalazł żadnego śladu Melanie Fuller; w szpitalach było mnóstwo starszych pań, ale żadna nie pasowała do jej profilu.

- To nic nie znaczy. Stara wiedźma w jakiś sposób zatarła ślady; wiemy, co potrafi. - Natalie wzdrygnęła się i objęła rękoma. - W ramach rekonwalescencji kazała bandzie uwarunkowanych zombie odwiedzić się do domu, do Charleston. Niech zgadnę... Państwo Wardenowie przywieźli ze sobą niedomagającą babcię?

- Matkę pani Warden - powiedział Saul, uśmiechając się półgębkiem. - Sąsiedzi jej nie widzieli, ale któryś napomknął Jackowi o dostarczonym do domu specjalistycznym sprzęcie medycznym. Jest to tym dziwniejsze, że dochodzenie Jacka w Filadelfii wykazało, że matka Nancy Warden zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Podekscytowana Natalie przyspieszyła kroku.

- A pan doktor... jak mu tam...

- Hartman.

- Hartman razem z siostrą Oldsmith są niezbędni, żeby zapewnić starszej pani pierwszorzędną opiekę medyczną. - Natalie stanęła jak wryta. Otworzyła szeroko oczy. - Na Boga, Saul, to ogromne ryzyko! Gdyby policja... - Zawiesiła głos.

- No właśnie: jaka policja? Nikt w Charleston nie będzie podejrzewał, że niepełnosprawna matka pani Warden to zaginiona Melanie Fuller. Szeryf Gentry... to znaczy, Rob... mógłby nabrać podejrzeń, miał nieprzeciętny umysł, ale... on nie żyje.

Natalie spuściła wzrok i wzięła głęboki wdech.

- A ekipa Barenta? - spytała. - FBI i cała reszta?

- Może ogłosili rozejm? Może pan Barent i jego ocalali koledzy nie mogą sobie pozwolić na tego rodzaju rozgłos jak w grudniu? Gdybyś była Melanie Fuller, próbującą uciec przed swoimi pobratymcami, istotami nocy, które chcą, by ich krwawe porachunki pozostały niezauważone... gdzie byś się ukryła?

Natalie z namysłem pokiwała głową.

- W domu, który po serii dziwacznych morderstw skupił na sobie uwagę całego kraju. Niewiarygodne...

- Otóż to. Niewiarygodne, ale i niewiarygodnie szczęśliwe dla nas. Jack Cohen zrobił wszystko co mógł bez narażania się przełożonym. Wysłałem mu zaszyfrowane podziękowania i poprosiłem, żeby wstrzymał się z dalszym dochodzeniem do czasu, aż się z czymś odezwiemy.

- Żeby jeszcze inni nam uwierzyli! - wykrzyknęła Natalie.

Saul pokręcił głową.

- Nawet Jack nie wszystko wie i wierzy tylko w część naszej opowieści. Wie na pewno, że ktoś wymordował całą rodzinę Aarona Eshkola i że nie kłamałem, mówiąc, że Oberst ma niezrozumiałe dla mnie powiązania z amerykańskimi władzami.

Natalie usiadła.

- Na Boga, Saul, a co się stało z pozostałą dwójką dzieci Wardeny? Jack Cohen wspomniał o dwóch córeczkach...

Saul zamknął teczkę i pokręcił głową.

- Niczego więcej nie znalazł. Żadnych oznak żałoby, żadnych nekrologów w Filadelfii ani w Charleston.... Mogły zostać odesłane gdzieś do rodziny, ale tego nie mógł sprawdzić, nie ujawniając się. Jeśli jednak dorośli faktycznie służą Melanie Fuller, to wydaje się całkiem prawdopodobne, że starszą panią zwyczajnie znużyła obecność zbyt wielu dzieci.

Zaciśnięte wargi Natalie pobierały.

- Ta suka musi umrzeć - wyszeptała.

- Zgadza się, uważam jednak, że powinniśmy trzymać się planu. Szczególnie teraz, kiedy ją znaleźliśmy.

- Pewnie masz rację, ale na samą myśl o tym, że nikt jej nie powstrzyma...

- Powstrzymamy ich wszystkich, ale jeśli chcemy mieć jakąś szansę, musimy mieć plan. To przeze mnie zginął Rob Gentry. Przeze mnie zginęła rodzina Aarona. Myślałem, że jeśli podejmiemy tych ludzi niepostrzeżenie, ryzyko będzie niewielkie, ale Gentry miał rację, kiedy mówił, że to będzie jak łapanie jadowitych węży z zamkniętymi oczami. - Saul wyjął kolejną teczkę i przesunął palcami po okładce. - Jeżeli mamy wrócić na te mokradła, Natalie, musimy stać się myśliwymi. Nie możemy po prostu czekać na atak tych zabójczych bestii.

- Ty jej nie widziałeś... - wyszeptała Natalie. - Ona... nie jest człowiekiem. A ja miałam swoją szansę. Ona była zdekoncentrowana, a ja trzymałam w rękach naładowany rewolwer... i strzeliłam do niewłaściwego przedmiotu. To nie Vincent zabił Roba, to ona. Nie myślałam dostatecznie szybko.

Saul mocno złapał ją za ramię powyżej łokcia.

- Przestań. Przestań natychmiast. Melanie Fuller to tylko jedna z kilku żmij w gnieździe. Gdybyś ją wtedy wyeliminowała, reszta i tak pozostałaby na wolności. Ba, nawet ich liczba by się nie zmieniła, jeżeli przyjąć, że to Fuller zabiła Charlesa Colbena.

- Ale gdybym...

- Dość tego. - Saul pogłaskał Natalie po głowie, musnął jej policzek. - Jesteś bardzo zmęczona. Jutro, jeśli chcesz, możesz jechać ze mną do Lohame HaGetaot.

- Dobrze - odparła Natalie. - Bardzo chętnie.

Schyliła się i Saul cmoknął ją w czubek głowy.

Później, kiedy już się położyła, Saul otworzył cienką teczkę opatrzoną

podpisem HAROD, TONY i przez jakiś czas czytał. W końcu odłożył ją na bok i wyszedł przed dom. Księżyc wzeszedł, malując srebrem stok pagórka i odległe wydmy. Duży dom Davida Eshkola stał na wzgórzu ciemny i niemy. Zachodni wiatr niósł zapach morza i pomarańczy.

Postał tak przez chwilę, a potem wrócił do domu, zamknął drzwi na zasuwkę, sprawdził okiennice i poszedł do siebie. Otworzył pierwszą z przysłanych przez Wiesenthala teczek. Na wierzchu stosu szablonowych formularzy, wypełnionych urzędowym polskim bełkotem i zwartą stenografią Wehrmachtu, widniało przypięte spinaczem zdjęcie żydowskiej dziewczyny: miała jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat, drobne usta, blade policzki, ciemne włosy obwiązane bawełnianą chustką i ogromne ciemne oczy. Długo wpatrywał się w fotografię. Zastanawiał się, o czym mogła myśleć młoda kobieta, patrząc w obiektyw urzędowego aparatu; jak i kiedy zginęła; kto ją opłakiwał... i jakie odpowiedzi znajdzie w jej aktach. Będą tam suche fakty - data aresztowania za zagrożoną karą śmierci zbrodnię bycia Żydówką, data wywózki, być może także... tylko być może... data zamknięcia akt, gdy zimny wiatr rozwiął jak garść popiołu wszystkie nadzieje, myśli, miłości i możliwości składające się na jej krótkie życie.

Westchnął i zaczął czytać.

Wstali wcześniej rano. Saul przyrzadził jedno ze swoich obfitych śniadań, stanowiące - jak twierdził - nieodłączny element izraelskiej tradycji. Słońce ledwie wychynęło sponad wzgórz na wschodzie, kiedy, wrzuciwszy plecak na tylne siedzenie sędziwego landrovera, ruszyli nadmorską autostradą na północ. Po czterdziestu minutach dotarli do portowego miasta Hajfa rozpościerającego się u stóp góry Karmel.

- Głowa twa nad tobą jak Karmel, włosy głowy twej jak królewska purpura - powiedział Saul, przekrzykując szum wiatru.

- Ładne - przyznała Natalie. - Pieśń Salomona?

- Pieśń nad pieśniami.

Nieopodal północnego skraju Zatoki Hajfy drogowskazy wskazywały drogę do Akki, tłumacząc jej nazwę także jako „Akra” i „St. John of Acre”. Natalie spojrzała ku zachodowi, na obwiedzione białym murem miasto skrzące się w promieniach porannego słońca. Zapowiadał się ciepły dzień.

Odchodząca od głównej drogi Akka - Naharija wąska dróżka zaprowadziła ich do kibucu, w którym zaspany strażnik machnięciem ręki dał Saulowi znak, że może wjechać na teren. Przejechali obok zazielenionych pól

i kompleksu zabudowań i zatrzymali się w końcu przed dużym, przysadzistym gmachem z dwujęzyczną (hebrajsko-angielską) tabliczką obwieszczającą LOHAME HAG ETA'OT, MUZEUM BOJOWNIKÓW GETTA i podającą godziny otwarcia. Niski mężczyzna bez trzech palców u prawej ręki wyszedł im na powitanie, zamienił kilka słów z Saulem (który wcisnął mu w dłoń pieniądze) i poprowadził ich do środka, uśmiechając się do Natalie i powtarzając w kółko „Szalom”.

- *Toda raba* - odpowiedziała Natalie, kiedy znaleźli się w mrocznym pokoju dziennym. - *Boker tov*.

- *Szalom* - powtórzył z uśmiechem gospodarz. - *L'hitra'ot*.

I wyszedł.

Natalie odprowadziła go wzrokiem, a potem zaczęła krążyć wśród gablot, w których wystawiono ręcznie pisane dzienniki, pamiętniki i inne pamiątki beznadziejnego oporu w walczącym warszawskim getcie. Powiększone zdjęcia na ścianach przedstawiały życie w getcie i okrucieństwa hitlerowców, które położyły mu kres.

- To miejsce jest inne niż Yad Vashem - zauważyła Natalie. - Mniej przytłaczające. Może dlatego, że sufit jest wyższy.

Saul przyciągnął sobie niską ławę i usiadł na niej po turecku. Z lewej strony położył stos teczek, z prawej ustawił mały stroboskop na baterie.

- Lohame HaGeta'ot ma raczej upamiętniać ideę oporu niż holokaust - odparł.

Natalie przystanęła przed fotografią rodziny wysiadającej z bydłowego wagonu. Obok leżały zrzucone na stos ich rzeczy osobiste i bagaż. Odwróciła się pośpiesznie.

- Mógłbyś mnie zahipnotyzować?

- Mógłbym. - Saul poprawił okulary na nosie. - Chociaż długo by to trwało. Czemu pytasz?

- Czy ja wiem... Chyba jestem po prostu ciekawa, jakie to uczucie. Tobie to przychodzi z taką... łatwością.

- Mam wprawę. Latami korzystałem z autohipnozy do walki z migreną.

Natalie wzięła do ręki pierwszą z brzegu teczkę i spojrzała na znajdujące się w niej zdjęcie młodej kobiety.

- Naprawdę potrafisz to wszystko wprowadzić do swojej podświadomości?

Saul z namysłem podrapał się po policzku.

- Są różne poziomy świadomości. Na jednym z nich staram się po prostu

odzyskać wspomnienia, które i tak tkwią w mojej głowie, poprzez... zablokowanie blokad, chyba tak by to należało powiedzieć. Inaczej mówiąc, staram się poniekąd zatracić w empatii dla tych, którzy mieli podobne doświadczenia.

Natalie rozejrzała się po pokoju.

- I to wszystko ci pomaga?

- Tak. Zwłaszcza w podprogowym przyswajaniu niektórych informacji biograficznych.

- Ile masz czasu?

Saul zerknął na zegarek.

- Jakies dwie godziny... Ale Szmulik obiecał, że będzie odprowadzał turystów z kwitkiem, dopóki nie skończę.

Natalie poprawiła ciężką torebkę na ramieniu.

- Przejdę się. Spróbuję ogarnąć i zapamiętać coś z tych materiałów z Wiednia.

- Szalom.

Saul został sam. Przeczytał starannie zawartość pierwszych trzech teczek, po czym usiadł bokiem na ławie, włączył stroboskop i nastawił zegar. Metronom tykał w rytmie błysków światła. Saul odprężył się całkowicie, opróżnił umysł, który wypełnił się regularnym pulsowaniem światła, i otworzył się na inny czas i miejsce.

Błede twarze na ścianach patrzyły na niego poprzez dym, płomienie i otchłań lat.

Stojąca na zewnątrz kanciastego budynku Natalie obserwowała zajętych swoimi sprawami młodych mieszkańców kibucu: ostatni pracownicy właśnie wysiadali z ciężarówki i udawali się na pola. Saul mówił jej, że ten kibuc założyli ludzie ocaleni z warszawskiego getta i zlokalizowanych w Polsce obozów koncentracyjnych, ale większość robotników, jakich widziała, stanowili *sabra*, czyli ludzie urodzeni w Izraelu, szczupli i śniadzi jak młodzi Arabowie.

Bez pośpiechu przeszła na skraj pola i tam usiadła w cieniu samotnego eukaliptusa. Wysoki spryskiwacz pluł wodą w rytmie równie hipnotyzującym jak stukanie metronomu Saula. Wyjęła z torebki butelkę piwa „Maccabee” i zdjęła z niej kapsel za pomocą otwieracza w nowiutkim szwajcarskim scyzoryku. Piwo zdążyło się zagrzać, ale smakowało bardzo dobrze, przyjemnie łącząc się z niecodziennym o tej porze roku upałem, szmerem

spryskiwaczy i wonią wilgotnej ziemi i bujnej roślinności.

Na myśl o powrocie do Stanów ścisnęło ją w żołądku, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Godziny i dni po śmierci Roba Gentry'ego ledwie, ledwie zapisały się w jej pamięci. Jak ze snu pamiętała płomienie, mrok, migające światła i dźwięk syren. Pamiętała, że obrzuciła Saula przekleństwami i uderzyła go za to, że zostawił ciało Roba w tamtym przeklętym domu. Pamiętała, jak niósł ją w ciemnościach, gdy pulsujący ból w kostce na przemian otumaniał ją i cucił; czuła się jak pływak na wzburzonym morzu, który to wynurza się spośród fal, to nurkuje pod wodą. Pamiętała - tak jej się przynajmniej wydawało - biegnącego obok nich mężczyznę, Jacksona, niosącego bezwładne ciało Marvina Gayle'a, przerzucone przez ramię w chwycie strażackim. Saul później wyjaśnił jej, że Marvin był nieprzytomny, ale żył, kiedy rozstawali się w ową noc mrocznych zaułków i wyjących syren.

Pamiętała, jak leżała na ławce w parku, a Saul dzwonił gdzieś z automatu telefonicznego - a potem zrobiło się jasno (no, prawie jasno - był raczej zimny, szary przedświt), a ona leżała na tyle samochodu kombi pełnego obcych mężczyzn; Saul siedział z przodu w towarzystwie człowieka, którym był (o czym dowiedziała się później) Jack Cohen, szef komórki Mossadu w izraelskiej ambasadzie w Waszyngtonie.

Następnych czterdziestu ośmiu godzin nie była w stanie uporządkować sobie w głowie. Pokój w motelu. Zastrzyki przeciwbólowe na złamaną kostkę. Lekarz nastawiający złamanie i dziwny, nadmuchiwany opatrunek usztywniający. Opłakiwanie Roba, nawoływanie go przez sen. Krzyk, gdy przypominała sobie dźwięk, jaki wydał pocisk przeszywający podniebienie białego potwora, Vincenta. Szaro-czerwony rozbryzg mózgu na ścianie. Obłąkane oczy staruchy wwiercające się jej w duszę.

„Do zobaczenia, Nino. Jeszcze się spotkamy”,

Saul powiedział jej później, że nigdy w życiu się tyle nie napracował, co przez te czterdzieści osiem godzin rozmów z Jackiem Cohenem. Doświadczony siwowłosy agent nigdy nie przyjąłby do wiadomości całej prawdy, a jednak trzeba było go przekonać przynajmniej do jej istoty - i trzeba było tego dokonać poprzez kłamstwa. Ostatecznie Izraelczycy uwierzyli, że Saul, Natalie, Aaron Eshkol i zaginiony szef kryptografii Levi Cole wplątali się w śmiertelnie niebezpieczną grę z udziałem najwyższych dostojników w Waszyngtonie i nieuchwytnego emerytowanego pułkownika nazistowskiej armii. Cohen nie mógł liczyć na wielkie wsparcie ze strony

ambasady ani przełożonych z Tel Awiwu, ale wczesnym rankiem w niedzielę, czwartego stycznia, kombi wiozące Saula, Natalie i dwóch urodzonych w Stanach izraelskich agentów przejechało Mostem Pokoju z Niagara Falls w stanie Nowy Jork do Niagara Falls w Kanadzie. Pięć dni później - zaopatrzeni już w nowe tożsamości - polecili z Toronto do Tel Awiwu.

Następne dwa tygodnie nie obfitowały w punkty odniesienia. Drugiego dnia pobytu w Izraelu stan złamanej kostki z niewiadomych przyczyn pogorszył się, przyplątała się wysoka gorączka i półprzytomna Natalie była ledwie świadoma krótkiego przelotu prywatnym samolotem do Jerozolimy, gdzie Saul, powołując się na stare długi wdzięczności u znajomych z branży medycznej, załatwił jej jednoosobowy pokój w Hebrajskim Ośrodku Medycznym Hadassah. Sam również w tym samym tygodniu przeszedł operację ręki.

Spędziła w szpitalu pięć dni; przez ostatnie trzy, chodząc o kulach, o świcie i o zmierzchu odwiedzała synagogę, gdzie oglądała witraże zaprojektowane przez Marca Chagalla. Czuła się odrętwiała, jakby jej całe ciało znajdowało się pod wpływem potężnej dawki nowokainy. Co noc, kiedy zamykała oczy, widziała patrzącego na nią Roba Gentry'ego. Jego błękitne oczy przepelniał ten straszny chwilowy triumf, na sekundę przed tym, jak lśniąca ostrze cięło z boku na bok...

Dopiła piwo i schowała butelkę do torebki; miała niejasne wyrzuty sumienia, że tak wczesnie popija, kiedy inni pracują. Wyjęła pierwszy plik teczek zawierających fotokopie zdjęć i informacji o Wiedniu z lat dwudziestych i trzydziestych, raporty policyjne przetłumaczone przez asystentów Wiesenthala i cieniutką biografię Niny Drayton, spisana na maszynie przez świętej pamięci Francisca Harringtona i opatrzoną przez Saula trudnymi do odcyfrowania odręcznymi komentarzami.

Westchnęła i wzięła się do pracy.

Wczesnym popołudniem ruszyli na południe i dotarli do Hajfy na spóźniony obiad, zanim wszystko pozamykało się przed szabasem. Kupili falafele na straganie przy HaNevi'im i pogryzając je, przespacerowali się do ruchliwego portu. Zakrzętnęło się przy nich paru przedsiębiorczych biznesmenów z czarnego rynku, oferując pastę do zębów, džinsy i roleksy, ale zmyli się jak niepyszni, gdy Saul warknął coś po hebrajsku.

Oparta o balustradę Natalie patrzyła na wychodzący w morze olbrzymi

frachtowiec.

- Kiedy wracamy do Stanów, Saul?

- Ja będę gotowy za trzy tygodnie, może nawet wcześniej. A ty? jak myślisz?

- Nigdy.

Saul pokiwał głową.

- A kiedy chciałybyś wrócić?

- Najlepiej dzisiaj. Im szybciej, tym lepiej, prawdę mówiąc. - Odetchnęła głęboko. - Boże, nogi się pode mną uginają, kiedy pomyślę o powrocie.

- Wiem, co czujesz. Proponuję omówić pokrótce fakty i nasze domysły; może znajdziemy jakiś słaby punkt w naszym planie.

- To ja jestem słabym punktem - mruknęła Natalie, zniżając głos.

- Nie. - Saul zmrużył oczy i również spojrział na morze. - No dobrze, przyjmijmy, że Aaron się nie mylił i główna klika liczyła co najmniej pięć osób: Barent, Trask, Colben, Kepler i ten kaznodzieja, Sutter. Widziałem, jak Trask zginął z ręki Obersta. Załóżmy dalej, że pan Colben zginął wskutek działań Melanie Fuller. Zostało ich trzech.

- Czterech, jeśli liczyć Haroda - zauważyła Natalie.

- Rzeczywiście. Wyglądało na to, że Harod działa w porozumieniu z ludźmi Colbena. Czyli czterech. Plus, być może, agent Haines, ale osobiście podejrzewam, że jest raczej narzędziem niż inicjatorem czegokolwiek.

Pytanie: dlaczego Oberst zabił Traska?

- Zemsta? - zasugerowała Natalie.

- To możliwe, miałem jednak wrażenie, że w grę chodzi jakaś walka o władzę. Załóżmy chwilowo, że cała ta filadelfijska szarada miała na celu znalezienie Obersta, a nie Melanie Fuller. Barent darował mi życie tylko dlatego, że byłem jeszcze jedną bronią wymierzoną przeciw Oberstowi. Ale dlaczego Oberst puścił mnie wolno? I po co włączył do tego równania ciebie i Roba?

- Żeby wprowadzić zamieszanie? Odwrócić uwagę?

- Być może. Wróćmy jednak do naszego poprzedniego założenia. Przypuśćmy, że pośrednio wykorzystał nas w charakterze swoich narzędzi. Nie ma wątpliwości, że Jensen Lumar był w Hollywood asystentem Williama Bordena; Jack Cohen potwierdził w tym zakresie zapiski Harringtona. Lumar przedstawił ci się w samolocie. Nie musiał tego robić, chyba że Oberst chciał nam dać do zrozumienia, że nami manipuluje. A przy tym bardzo się postarał, żeby przekonać ludzi Barenta i Colbena, że zginąłem w wybuchu i

pożarze w Filadelfii. Po co?

- Chce cię jeszcze wykorzystać.

- Otóż to. Dlaczego jednak nie próbuje nas wykorzystywać bezpośrednio?

- Może to zbyt trudne. W wypadku tych wampirów umysłowych kluczowa wydaje się bliskość fizyczna, kontakt. Może nigdy nie był w Filadelfii?

- On nie, tylko jego uwarunkowani pomagierzy... - zgodził się Saul. - Luhar, nieszczęsny Francis i ten jego biały asystent, Tom Reynolds. To Reynolds napadł cię w Wigilię w samochodzie przed domem Melanie Fuller.

Natalie zaparło dech w piersi. Wcześniej Saul o tym nie mówił.

- Dlaczego tak uważasz?

Saul zdjął okulary i wytarł je o połą koszuli.

- Jaki był cel tego ataku, jeśli nie pchnięcie was z Robem z powrotem na właściwe tory? Oberst chciał mieć was oboje w Filadelfii, kiedy dojdzie do ostatecznej rozprawy z ludźmi Colbena.

- Nie rozumiem. - Natalie pokręciła głową. - Gdzie w tym wszystkim miejsce dla Melanie Fuller?

- Na razie podtrzymajmy założenie, że Fuller nie współpracuje ani z Oberstem, ani z jego wrogami. Czy twoim zdaniem ma świadomość istnienia którejkolwiek z tych grup?

- Nie. Wspomniała tylko o Ninie... Ninie Drayton, jak się domyślam.

- Owszem: „Do zobaczenia, Nino. Jeszcze się spotkamy”. A jednak gdyby podeprzeć się rozumowaniem Roba, a nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić, to właśnie Melanie Fuller zabiła Ninę Drayton w Charleston. Dlaczego miałyby pomyśleć, że przysłała cię nieżyjąca kobieta, Natalie?

- Bo jest kompletnie pomyłona. Szkoda, że jej nie widziałeś, Saul. Te oczy... One są chore.

- Oby tak właśnie było. Nawet jeśli Melanie Fuller jest najbardziej jadowitą z tych wszystkich żmij, jej obłąd może zadziałać na naszą korzyść. Co z naszym panem Harodem?

- Chciałabym, żeby też nie żył - odparła Natalie, przypomniawszy sobie jego lepką, natarczywą obecność w swoim umyśle.

Saul pokiwał głową i założył okulary.

- Władzę Haroda nad tobą udało się przełamać - zauważył. - Podobnie jak czterdzieści lat temu władzę Obersta nade mną. Dzięki temu oboje zachowaliśmy część wspomnień oraz wrażenie cudzych... Czego właściwie?

Myśli?

- Niezupełnie. Raczej uczuć. Osobowości.

- Być może. Zresztą, nieważne. Bez względu na to, co stało się przedmiotem transferu, odniosłaś silne wrażenie, że Tony Harod czuje odrazę na myśl o wykorzystywaniu swojego Talentu przeciw mężczyznom, tak?

- Byłam tego pewna. Jego stosunek do kobiet był chory, ale wyczułam, że tylko kobiety w taki sposób... napastuje. Czułam się trochę jak jego matka, z którą musi odbyć stosunek, żeby coś udowodnić...

- Jakie to wygodnie freudowskie... Zaryzykujemy jednak i oprzyjmy się na twoim przeczuciu, że Harod może w ten sposób oddziaływać tylko na kobiety. Jeżeli faktycznie tak jest, to nasze konkretne żmijowsko ma co najmniej dwa słabe punkty: potężną kobietę, która nie należy do grupy i jest pomyłona, oraz mężczyznę, który może jest, a może nie jest częścią grupy i który nie może lub nie chce używać swojego Talentu przeciw mężczyznom.

- No dobrze. Przypuśćmy, że to wszystko prawda. Co z tego dla nas wynika?

- Trzymamy się planu, o którym rozmawialiśmy w lutym.

- A który doprowadzi do naszej śmierci.

- Niewykluczone. Jeśli jednak mamy przetrwać na bagnach wśród tych jadowitych bestii, to czy wolisz przez resztę życia czekać, aż cię ugryzą, czy tylko ryzykować ugryzienie, kiedy będziesz na nie polować?

- Kapitalny wybór, Saul! - Natalie parsknęła śmiechem.

- Innego nie mamy.

- W takim razie znajdziemy sobie jakiś worek i poćwiczmy łapanie węży. - Natalie spojrzała na lśniąca złotą kopułę bahaistycznej świątyni na górze Karmel, po czym odwróciła się w stronę znikającego na morzu frachtowca. - Wiesz co? To bez sensu, ale mam przeczucie, że Robowi by się spodobało to, co teraz robimy. Planowanie. Napięcie. Nawet jeśli jest to wariactwo z góry skazane na niepowodzenie, dostrzegłby w tym coś zabawnego.

Saul dotknął jej ręki.

- W takim razie będziemy kontynuować nasze wariackie planowanie, żeby go nie zawieść.

Zeszli w stronę Jaffa Road i czekającego na nich landrovera.

38.

Melanie

Jakże miło było wrócić do domu!

Znużył mnie szpital, mimo że dostałam osobny pokój, dla mojej wygody oddział odseparowano od reszty gmachu, a cały personel mi usługiwał. Nic tak nie podnosi na duchu i nie wspomaga rekonwalescencji, jak pobyt w domu.

Dawno temu czytałam o tak zwanym zjawisku pobytu poza ciałem, doświadczanym ponoć przez pacjentów bliskich śmierci, nieszczęśników w stanie śmierci klinicznej na stole operacyjnym i tym podobnych. Nie przywiązywałam jednak większej wagi do tych opowieści. Były dla mnie kolejnym przejawem żadnego sensacji dziennikarstwa, z jakim dziś stykamy się na każdym kroku. Kiedy jednak odzyskałam przytomność w szpitalu, dokładnie tak właśnie się czułam. Z początku miałam wrażenie, że unoszę się pod sufitem pomieszczenia; nic nie widziałam, ale wszystko odczuwałam. Miałam świadomość istnienia leżącego na łóżku skulonego zasuszonego ciała, podłączonego do czujników, rurek, igieł i cewników. Zdawałam sobie sprawę z krzątania pielęgniarek, lekarzy, sanitariuszy i reszty personelu walczącego o utrzymanie tego ciała przy życiu. W końcu wróciłam do świata obrazów i dźwięków - i nagle uświadomiłam sobie, że znalazłam się w nim za pośrednictwem oczu i uszu tych właśnie ludzi! I to tyłu jednocześnie! Nigdy nie potrafiłam (Willi i Nina również nie, o ile mi wiadomo) Używać ludzi tak całkowicie, żeby odbierać wyraźne informacje zmysłowe od więcej niż jednej osoby naraz. Mając odpowiednią wprawę, można było Użyć obcej osoby, nie tracąc przy tym kontroli nad uwarunkowanym pomocnikiem. Użycie dwóch obcych osób równocześnie - poprzez szybkie przełączanie się między nimi - również było możliwe, choć wymagało jeszcze większej wprawy i wysiłku. Nigdy jednak nie słyszałam, żeby ktoś umiał odbierać tak czytelne bodźce ze wszystkich zmysłów i z taką łatwością kierować ludźmi. Co więcej, Używane przez nas narzędzia miały świadomość naszej obecności, co mogło mieć dwojaki skutek: albo następowało ich całkowite zniszczenie, albo zachodziła konieczność wymazania wszelkich związanych z nami wspomnień (proces nieskomplikowany, lecz pozostawiający niewytłumaczalną lukę w pamięci). Teraz zaś obserwowałam rozgrywającą się scenę z tuzina różnych punktów widzenia i wiedziałam, że żaden z

obserwatorów nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności.

Czy mogłabym ich Użyć? Zaczęłam ostrożnie eksperymentować, wydając nieszkodliwe polecenia: pielęgniarka wzięła do ręki szklankę, sanitariusz zamknął drzwi, lekarz wypowiedział słowa, które bez mojej pomocy nie przyszłyby mu do głowy... Nie ingerowałam w ich zachowanie zbyt głęboko, nie chciałam przeszkadzać im w pracy. Żadne z nich nie wyczuło mnie w swoim umyśle.

Mijały dni. Odkryłam, że chociaż moje ciało jest pogrążone w śpiączce, trwa przy życiu dzięki maszynarii i ustawicznej czujności personelu i jest uwięzione we wprost mikroskopijnej przestrzeni, to ja sama mogę wędrować bez przeszkód, z łatwością, jakiej nigdy przedtem sobie nie wyobrażałam, ba, o jakiej nigdy nawet nie śniłam! Opuszczałam pokój niewidziana przez młodą pielęgniarkę, czując rozpierającą ją zwierzęcą siłę i witalność, smakując razem z nią miętową gumę do żucia, i wychodziłam na korytarz, gdzie zapuszczałam kolejną mackę świadomości - ani na chwilę nie tracąc kontaktu z moją młodą pielęgniarką! - w głąb umysłu ordynatora oddziału chirurgii. Razem zjeżdżaliśmy windą na parter, odpalaliśmy jego lincolna continental i jechaliśmy na odległe o sześć mil przedmieścia, gdzie czekała na niego kochająca żona... Przez cały czas pozostawałam w bliskim kontakcie z moją pielęgniarką, wolontariuszem zamiatającym korytarz, stażystą oglądającym piętro niżej zdjęcia rentgenowskie i drugim lekarzem, który właśnie stanął w drzwiach mojego pokoju i patrzył na moje śpiące ciało. Odległość nie stanowiła już żadnej przeszkody dla mojego Talentu. Przez dziesięciolecia Willi zadziwiał mnie i Ninę zdolnością do Używania ludzi na znacznie większe odległości niż którakolwiek z nas, teraz jednak stałam się o wiele silniejsza nawet od niego.

I z każdym dniem moja moc rosła.

Drugiego dnia wypróbowałam akurat swoje nowe zmysły i możliwości, gdy odwiedziła mnie tamta rodzina. Nie znałam wysokiego rudowłosego mężczyzny ani niskiej blondynki, jego żony, kiedy jednak spojrzałam oczami recepcjonistki w głąb korytarza i dostrzegłam trójkę dzieci, natychmiast je rozpoznałam: to były dzieciaki z parku.

Mój widok chyba zaniepokoił rudzielca. Leżałam na oddziale intensywnej opieki, w jednym z sieci pokoi rozmieszczonych jak kawałki tortu wokół centralnie ulokowanego pokoju pielęgniarek. Wewnątrz tej sieci oplatała mnie druga, jeszcze ciaśniejsza, złożona z przewodów, czujników i

dożylnych rurek.

Lekarz kazał mu się odsunąć od przezroczyściego przepierzenia OIOM-u.

- Jest pan członkiem rodziny? - zapytał.

Był zręcznym, precyzyjnym fachowcem z grzywą siwiejących włosów. Nazywał się Hartman; wyraźnie wyczuwałam przyjemność, podenerwowanie i szacunek pielęgniarek, kiedy znalazły się w jego towarzystwie.

- Ehm... nie - odparł rudowłosy mężczyzna. - Nazywam się Howard Warden. Znaleźliśmy tę panią... to znaczy, moje dzieci ją znalazły... wczoraj rano... u nas na... na podwórku. Przewróciła się, kiedy...

- A tak, tak, czytałem raport z pogotowia. Nie znacie jej państwo?

- Nie. Miała na sobie tylko koszulę nocną i szlafrok. Dzieci twierdzą, że widziały, jak wyszła z lasu, kiedy się...

- I nie wiecie państwo, skąd pochodzi?

- Nie. Trochę się... No, krótko mówiąc, nie zadzwoniłem na policję. Chociaż chyba powinienem. Przesiedzieliśmy tu z Nancy parę godzin, a kiedy było już pewne, że ona... że starsza pani nie... no, że jej stan jest stabilny... wróciliśmy do domu. Miałem wolny dzień. Dzisiaj rano chciałem zadzwonić na policję, ale pomyślałem, że najpierw zobaczymy, jak się miewa...

- My już wezwaliśmy policję - skłamał doktor Hartman. Pierwszy raz go Użyłam; było to łatwe jak nałożenie starego, ulubionego płaszcza. - Przyjechali, spisali raport... Też nie wiedzą, kim jest pani NN. Nikt nie zgłosił zaginięcia krewnej.

- Pani Enen? A, rozumiem: NN. No tak. Jasne. My też nic nie wiemy, panie doktorze. Mieszkamy dwie mile w głąb parku, a dzieciaki mówią, że ona nawet nie przyszła drogą... - Rudy spojrzał w kierunku OIOM-u. - Co jej jest, doktorze? Wygląda... fatalnie.

- Przeszła rozległy udar mózgu, może nawet więcej niż jeden - odparł Hartman, a widząc pytające spojrzenie Howarda, mówił dalej: - Fachowo to się nazywa „incydent mózgowo-naczyniowy”, dawniej mówiono po prostu „wylew”. Krwotok. Chwilowe odcięcie dopływu tlenu do mózgu. U tej pacjentki udar nastąpił najprawdopodobniej w prawej półkuli mózgu, doprowadzając do zaburzenia funkcji mózgowych i neurologicznych. Jego skutki objawiają się głównie w lewej połowie ciała: opadająca powieka, paraliż kończyn... co w pewnym sensie nie byłoby najgorsze. Afazja, czyli, ogólnie rzecz biorąc, problem z mówieniem, wiąże się raczej z incydentami w lewej półkuli. Zrobiliśmy badanie EEG i tomografię i powiem panu

szczerze, że wyniki są... niejednoznaczne. Tomografia potwierdziła zawał mózgu spowodowany najprawdopodobniej zablokowaniem tętnicy środkowej, ale odczyt EEG jest zgoła odmienny od tego, czego można by oczekiwać po tego rodzaju incydencie...

Straciłam zainteresowanie medycznym bełkotem i skoncentrowałam się na recepcjonistce, kobiecie w średnim wieku. Kazałam jej wstać i podejść do trojga dzieci.

- Cześć - kazałam jej powiedzieć. - Założę się, że wiem, kogo przyszłście odwiedzić.

- Nie możemy nikogo odwiedzać - odparła sześciolatka, która śpiewała „Hey, Jude” o wschodzie słońca. - Jesteśmy za mali.

- W takim razie założę się, że wiem, kogo chcielibyście odwiedzić.

- Ja chcę zobaczyć miłą panią - powiedział chłopczyk ze łzami w oczach.

- A ja nie - stwierdziła stanowczo najstarsza.

- Ja też nie - zawtórowała jej sześciolatka.

- Dlaczego? - spytałam. Zrobiło mi się przykro.

- Bo ona jest dziwna - odparła najstarsza. - Wydawała mi się miła, ale kiedy wczoraj dotknęłam jej ręki, to było dziwne uczucie.

- W jakim sensie dziwne? - spytałam.

Recepcjonistka nosiła okulary o grubych szklach, które zniekształcały obraz. Ja zakładałam okulary wyłącznie do czytania.

- No takie... dziwne. Jakbym dotykała skóry węża albo coś takiego... Puściłam ją bardzo szybko, ale tak jakbym wyczuwała, że ona jest zła, naprawdę zła.

- No właśnie - poparła ją młodsza siostra.

- Cicho bądź, Allie - zbeształa ją starsza, najwyraźniej zmartwiona, że wdała się ze mną w rozmowę.

- A ja ją polubiłem - powiedział pięciolatek. Wyglądał, jakby płakał przed przyjazdem do szpitala.

Skinęłam na dziewczynki, żeby podeszły ze mną do biurka.

- Chodźcie tu na chwilę - powiedziałam. - Mam coś dla was.

Wyjęłam z szuflady dwa miętowe cukierki w papierkach. Kiedy starsza wyciągnęła rękę po swój, złapałam ją mocno za przegub dłoni.

- Najpierw ci powrózę - kazałam wyszeptać recepcjonistce.

- Puść... - wyszeptała w odpowiedzi dziewczynka.

- Cicho! - syknęłam. - Nazywasz się Tara Warden. Twoja siostra ma na imię Allison. Mieszkacie w wielkim kamiennym domu na wzgórzu, w parku;

nazywacie go „zamkiem”. Pewnej nocy, już niedługo, do waszego pokoju przyjdzie wielki zielony potwór z ostrymi żółtymi kłami, posieka was na malutkie kawałeczki, obie was posieka... i zje!

Dziewczynki cofnęły się o krok. Buzie miały blade, oczy wielkie jak spodki, usta rozdziawione ze strachu.

- A jeśli komuś się poskarżycie - wysyczała za nimi recepcjonistka, bo tak jej polecałam - mamie, tacie, komukolwiek... To potwór przyjdzie po was już dzisiaj!

Zatoczyły się aż na krzesła, gapiąc się na recepcjonistkę z taką zgrozą, jakby zobaczyły węża. Chwilę później jacyś starsi państwo zagadnęli ją o drogę do jednego z pokojów, a ja pozwoliłam jej wrócić do słodkiej, nieskomplikowanej, nieco nadgorliwej osobowości.

Tymczasem na piętrze doktor Hartman uporał się z objaśnianiem mojego stanu Howardowi Wardenowi. W głębi korytarza siostra Oldsmith odmierzała leki dla pacjentów, ze szczególną starannością sprawdzając środki i dawki przeznaczone dla pani NN. W moim pokoju młoda siostra Sewell delikatnie obmywała moje ciało chłodnymi kompresami, masując mi skórę z niemal nabożną czcią. Wrażenie było raczej słabe i odległe, ale czułam się lepiej ze świadomością, że otacza się mnie wszelką możliwą opieką. Dobrze jest znaleźć się znów wśród bliskich. W rodzinie.

Trzeciego dnia - a właściwie trzeciej nocy pobytu w szpitalu - odpoczywałam akurat... Nie sypiałam już właściwie, tylko pozwalałam swojej świadomości unosić się swobodnie w przestrzeni, przepływać od jednego odbiorcy do drugiego w przypadkowy, marzycielsko-senny sposób... gdy wtem poczułam fizyczne podniecenie, jakiego nie doświadczałam od lat. Obecność mężczyzny, jego obejmujące mnie ramiona, jego lędźwie napierające na moje. Serce waliło mi jak młotem, gdy przyciskałam do niego młode, pełne piersi ze stwardniałymi brodawkami. Jego język był w moich ustach. Poczulałam, jak gmera palcami przy guzikach mojego pielęgniarskiego mundurka, gdy tymczasem moje ręce rozpięły mu sprzączkę paska, rozsunęły rozporok i chwyciły członek w erekcji.

To było obrzydliwe. To było wulgarne. To była siostra Connie Sewell zamknięta w schowku na szczotki z jakimś stażystą.

Ponieważ i tak nie mogłam spać, wróciłam świadomością do siostry Sewell. Pocieszałam się myślą, że w tym wypadku nie jestem inicjatorką, lecz jedynie uczestniczką tego zdarzenia. Noc minęła mi szybko.

Nie jestem pewna, kiedy wpadłam na pomysł powrotu do domu. Przez pierwsze kilka tygodni, może miesiąc, szpital był koniecznością, ale gdzieś tak od połowy lutego coraz częściej wracałam myślami do Charleston. Pobyt w szpitalu bez zwracania na siebie uwagi nie był specjalnie trudny. W trzecim tygodniu doktor Hartman przeniósł mnie do dużego pojedynczego pokoju na szóstym piętrze, a większość personelu nabrała przekonania, że jestem nieprzeciętnie zamożną pacjentką zasługującą na szczególne traktowanie. Co zresztą było prawdą.

Jeden z pracowników administracji, niejaki doktor Markham, nieustannie zadawał pytania dotyczące mojej choroby. Codziennie przychodził na szóste piętro i węszył jak ogar za zwierzyną. Doktor Hartman - na moje polecenie - zapewniał go, że wszystko jest w porządku, siostra Oldsmith tłumaczyła mu, co trzeba, w końcu sama weszłam do umysłu namolnego człowieczka i próbowałam go przekonać na swój sposób. On jednak nie ustępował: wrócił po czterech dniach, wypytywał pielęgniarki o nadprogramowe zabiegi i szczególną opiekę nade mną; dociekał, kto pokryje koszt dodatkowych leków, badań, tomografii i konsultacji specjalistycznych; zwracał uwagę, że w kancelarii nie ma żadnych dokumentów potwierdzających moje przyjęcie na oddział, formularzy 26479B15-C, szczegółowych pokwitowań wydatków ani informacji o planowanych płatnościach. Siostra Oldsmith i doktor Hartman zgodzili się następnego dnia rano spotkać z naszym inkwizytorem, prezesem zarządu szpitala, szefem księgowości i trzema innymi ważniakami.

Wieczorem dołączyłam do Markhama, gdy wracał do domu. Zatłoczona Schuylkill Expressway przywodziła złe wspomnienia z sylwestra. Tuż przed skrzyżowaniem z Roosevelt Expressway kazałam naszemu przyjacielowi zjechać na wąskie pobocze, włączyć światła awaryjne, wysiąść i stanąć przed maską samochodu. Pomagałam mu tak stać przez ponad minutę, gdy, drapiąc się po łysiejącej głowie, zastanawiał się, co się stało z jego chryslerem.

Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, wszystko było jasne: zatłoczona autostrada, pędzące samochody, ogromna ciężarówka na prawym pasie.

Nasz przyjaciel administrator trzema szybkimi krokami wyskoczył na jezdnię. Zdażyłam zarejestrować ryk klaksonu, zobaczyć wstrząs na szybko przybliżającej się twarzy kierowcy ciężarówki i poczuć niedowierzanie i mętlik w myślach Markhama, zanim zderzenie odrzuciło mnie z powrotem i kazało szukać innych punktów widzenia. Znalazłam siostrę Sewell, żeby dzielić z nią niecierpliwe wyczekiwanie na koniec zmiany i przybycie

młodego stażysty.

W tym okresie czas niewiele dla mnie znaczył. Poruszałam się z biegiem jego nurtu lub pod prąd z taką samą łatwością, z jaką zmieniałam punkty widzenia. Szczególnie upodobałam sobie letnie miesiące spędzane w Europie w towarzystwie Niny i naszego nowego znajomego, Wilhelma.

Pamiętam, jak w chłodne letnie wieczory przechadzaliśmy się we troje elegancką Ringstrasse, gdzie każdy, kto był w Wiedniu kimś, paradował w swoim najlepszym stroju. Willi uwielbiał chodzić do kina Colosseum przy Nussdorferstrasse, ale wyświetlano tam wyłącznie nudne niemieckie gnioty propagandowe, wołałyśmy więc z Niną namawiać go na wizytę w Krüger-Kino, gdzie regularnie pokazywano nowe amerykańskie filmy gangsterskie. Przypomniało mi się, jak któregoś wieczoru uśmiełam się do łez na widok Jamesa Cagneya szczekającego paskudną austriacką niemczyzną w pierwszym dubbingowanym filmie dźwiękowym, jaki w życiu widziałam.

Potem często wpadaliśmy na drinka do Reiss-Baru przy Kärntnerstrasse, żeby spotkać tam innych młodych hulaków, zrelaksować się na obitych prawdziwą skórą fotelach i nacieszyć oczy grą świateł na mahoni, szkłe, chromie i zdobionych złotem marmurowych stolikach. Bywające w lokalu eleganckie prostytutki z pobliskiej Kruggerstrasse z klientami przydawały wieczorowi smaczku zakazanego owocu.

Nasze wieczory na mieście często kończyły się wizytą w Simplu, najlepszym wiedeńskim kabarecie. Pełna nazwa lokalu brzmiała „Simplicissimus”, a ja do dziś pamiętam, że prowadziło go dwóch Żydów: Karl Frakas i Fritz Grunbaum. Nawet później, kiedy bojówki brunatnych koszul siały spustoszenie na ulicach starego miasta, tym dwóm komikom nie brakowało klientów zaśmiewających się do rozpuku ze skeczy o stereotypowych nazistowskich prostakach, którzy ośmieszali się na spotkaniach towarzyskich lub dyskutowali o zawilosciach faszystowskiej doktryny, salutując przy tym po hitlerowsku psom, kotom i przechodniom. Pamiętam, jak Willi zarykiwał się ze śmiechu, aż łzy ciekły mu po policzkach; kiedyś tak się przy tym zakrztusił, że zaczęłyśmy z Niną poklepywać go po plecach i częstować szampanem z naszych kieliszków. Jakiś czas po wojnie, podczas jednego z naszych zjazdów, Willi napomknął przypadkiem o tym, że Frakas albo Grunbaum (nie pamiętam, który z nich) zginął w jednym z obozów, którymi Willi kierował na krótko przed przeniesieniem na front wschodni.

Nina była w tym okresie przepiękną kobietą. Blond włosy nosiła przystrzyżone i pofalowane zgodnie z ostatnim krzykiem mody, a dzięki pokaźnemu spadkowi mogła sobie pozwolić na kupno najlepszych jedwabnych sukni prosto z Paryża. Szczególnie zapadła mi w pamięć jedna z nich: była zielona, miała bardzo głęboki dekolt, a miękki materiał przylegał do drobnych piersi Niny i nie tylko cudownie podkreślał delikatny, brzoskwińowo-kremowy odcień jej skóry, ale także - o dziwo - doskonale komponował się z błękitem jej oczu.

Nie przypominam sobie, które z nas w tamto pierwsze lato zaproponowało rozpoczęcie Gry, pamiętam za to doskonale naszą ekscytację i dreszczyk emocji wywołany odczuwanym przez pośrednika polowaniem. Na zmianę Używaliśmy różnych pomagierów - naszych znajomych, przyjaciół zamierzonych ofiar, co było błędem, którego więcej nie popełniliśmy. Rok później z jeszcze większym zapałem zasiedliśmy do Gry w naszych pokojach w hotelu przy Josefstadterstrasse; Użyliśmy wtedy wspólnie tego samego instrumentu - tępego robotnika o grubym karku (nigdy go nie złapano; Willi później sam się go pozbył). Akt współdziałania we troje jednego umysłu i jego wyrazistych doświadczeń w pewnym sensie zbliżył nas do siebie bardziej niż wszelkie trójkowe układy seksualne, z którymi moglibyśmy eksperymentować.

Pamiętam lato spędzone w Bad Ischl. Nina zażartowała wtedy z nazwy stacyjki, na której przesiadaliśmy się po drodze z Wiednia, małej wioseczki Attnang-Puchheim. Kiedy powtarzało się jej nazwę coraz szybciej i szybciej, słowa same przechodziły w odgłos wydawany przez jadący pociąg. Śmiałyśmy się z tego tak długo, aż już nie byliśmy w stanie się śmiać - a wtedy znów wybuchaliśmy śmiechem. Pamiętam, jakim wzrokiem piorunowała nas siedząca po drugiej stronie przejścia matrona.

Właśnie w Bad Ischl pewnego popołudnia wylądowałam sama w Cafe Zauner. Jak zwykle udałam się na lekcje śpiewu, ale mój nauczyciel zachorował, wróciłam więc do kawiarni, w której Willi z Niną zawsze na mnie czekali. Tym razem jednak nasz stolik był pusty.

Wróciłam do hotelu przy esplanadzie, w którym zatrzymałyśmy się z Niną. Pamiętam, że byłam nieco zaciekawiona, jakaż to wymyślona na poczekaniu eskapada pochłonęła moich przyjaciół do tego stopnia, że na mnie nie zczekali. Otworzyłam drzwi i zdążyłam wejść do salonu, gdy wtem usłyszałam dobiegające z sypialni dziwne dźwięki. W pierwszej chwili wzięłam je za odgłosy cierpienia, podbiegłam więc do drzwi kierowana

naiwną potrzebą niesienia pomocy pokojówce czy kto tam wpadł w tarapaty.

To byli Nina i Willi, naturalnie. I wcale nie byli w tarapatkach. Pamiętam, jakie jasne wydały mi się uda Niny i poruszające się miarowo biodra Williego w przefiltrowanym przez kasztanowe kotary słabym świetle dnia. Stałam tak dobrą minutę, patrząc na nich, zanim odwróciłam się na pięcie i wyszłam z apartamentu. Przez tę długą minutę twarz Williego pozostała dla mnie niewidoczna, wtulona w ramię Niny i puchową poduszkę, za to Nina prawie od razu odwróciła się do mnie. Mignęły mi jej błyszczące niebieskie oczy; jestem pewna, że mnie zobaczyła - nie przestała jednak ani się poruszać, ani wydawać rytmicznych zwierzęcych chrząknięć, które dobywały się z jej otwartych, różowych, doskonałych ust.

W połowie marca doszłam do wniosku, że czas opuścić szpital, wyjechać z Filadelfii i wrócić do domu.

Kazałam Howardowi Wardenowi zająć się przeprowadzką, ale okazało się, że po wyskrobaniu wszystkich oszczędności zebrał zaledwie dwa i pół tysiąca dolarów. Co innego Nancy: likwidacja rachunku oszczędnościowego bazującego na majątku odziedziczonym po matce przyniosła sympatyczną sumkę czterdziestu ośmiu tysięcy. Odkładali te pieniądze na studia dzieci, ale to zmartwienie mieli z głowy, odkąd wysłałam doktora Hartmana, żeby odwiedził ich w zamku. Howard i Nancy siedzieli grzecznie w pokojach, a przez ten czas pan doktor - zaopatrzony w dwie strzykawki - złożył wizytę w sypialni ich córek. Zadbął również o wszystkie późniejsze szczegóły. Pamiętałam sympatyczną leśną polankę w Fairmount Park, milę od mostu kolejowego.

Rankiem Howard i Nancy zjedli śniadanie w towarzystwie pięcioletniego Justina i (dzięki sile mojego warunkowania) nie zauważyli niczego niezwykłego. Co najwyżej dokuczały im sporadyczne przebliski świadomości, jakby wspomnienia z jednego z tych snów, w których okazuje się, że zapomnieliśmy się ubrać i siedzimy nadzy w szkole lub innym miejscu publicznym.

Z czasem przebliski ustąpiły, Howard i Nancy całkiem zgrabnie oswoili się z faktem posiadania tylko jednego dziecka, ja zaś cieszyłam się, że postanowiłam nie Używać Howarda do załatwienia tego, co trzeba było zrobić. Warunkowanie jest zawsze łatwiejsze i skuteczniejsze, kiedy nie ma ci go żaden cień traumy ani żalu.

Ślub doktora Hartmana i siostry Oldsmith był dyskretną uroczystością.

Zawarli go przed filadelfijskim sędzią pokoju w obecności czworga świadków: siostry Sewell, Howarda, Nancy i Justina. Moim zdaniem prezentowali się świetnie jako nowożeńcy... chociaż niektórzy twierdzą, że siostra Oldsmith ma surową, ponurą twarz.

Kiedy przeprowadzka została przesądzona, doktor Hartman dorzucił się do wspólnego funduszu. Potrzebował trochę czasu, żeby sprzedać akcje i zakończyć inwestycje w nieruchomości (a także pozbyć się tego absurdalnego nowego porsche, które tak sobie cenił), ale po odłożeniu w funduszu powierniczym pieniędzy na alimenty dla dwóch byłych żon udało mu się wpłacić 185600 dolarów na konto naszego przedsięwzięcia. Biorąc pod uwagę, że *de facto* przechodził na wcześniejszą emeryturę, suma ta powinna wystarczyć na pokrycie najpilniejszych wydatków w najbliższej przyszłości.

Nadal jednak była niewystarczająca, by nabyć mój stary dom i odkupić dom Hodgesów, ja zaś miałam szczerze dość mieszkania po sąsiedzku z obcymi ludźmi. Niemądrzy Wardenowie nie wykupili niestety polis na życie dla swoich dzieci. Howard miał wartą dziesięć tysięcy własną polisę, była to jednak suma śmiechu warta w obliczu cen nieruchomości w Charleston.

W ostatecznym rozrachunku najlepszym rozwiązaniem okazało się wykorzystanie majątku matki doktora Hartmana, która mieszkała w Palm Springs i w wieku osiemdziesięciu dwóch lat cieszyła się doskonałym zdrowiem.

W środę popielcową doktor Hartman przeprowadzał akurat operację, kiedy otrzymał wiadomość, że u matki stwierdzono zator. Jeszcze tego samego dnia po południu poleciał na Zachodnie Wybrzeże. Pogrzeb odbył się w sobotę siódmego marca, ale ponieważ było trochę spraw oficjalnych do załatwienia, doktor wrócił do domu dopiero w środę, jedenastego. Nie widziałam powodu, dla którego Howard nie miałby wrócić tym samym samolotem. Wstępna umowa na sprzedaż majątku opiewała na nieco ponad czterysta tysięcy dolarów.

Tydzień później, w dzień świętego Patryka, przeprowadziliśmy się na południe.

Przed wyjazdem pozostało do załatwienia jeszcze kilka drobiazgów. Byłam zadowolona z mojej małej rodziny (Howarda, Nancy i małego Justina) oraz naszych przyszłych sąsiadów (doktora Hartmana, siostry Oldsmith i panny Sewell), czułam jednak, że lekko zaniedbałam aspekt bezpieczeństwa.

Doktor Hartman był mężczyzną niskim (mierzył niespełna metr sześćdziesiąt pięć) i szczupłym, Howard zaś - choć słusznego wzrostu i postury - równie wolno ruszał się, jak myślał, a znakomitą część masy jego ciała stanowił tłuszcz. Potrzebowałam jeszcze jednej, może dwóch osób, żeby poczuć się bezpiecznie.

W ostatni weekend przed naszym wyjazdem Howard przyprowadził do szpitala Culleya. To był prawdziwy olbrzym - ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i co najmniej sto dwadzieścia pięć kilogramów nabitych mięśni. Był trochę przygłupi (do tego stopnia, że ledwie potrafił sklecić dwa zdania), ale poruszał się szybko i zwinnie jak pantera. Howard przedstawił go jako dawnego zastępcę kierownika Zespołu Konserwacji Terenów Parkowych, który przed siedmiu laty trafił do więzienia za zabójstwo. Przed rokiem dostał zwolnienie warunkowe i wrócił do pracy na najniższym możliwym stanowisku; od tej pory zajmował się karczowaniem pniaków, wyburzaniem starych konstrukcji, asfaltowaniem ścieżek i odśnieżaniem. Pracował bez słowa skargi, a obostrzenia zwolnienia warunkowego przestały go już obowiązywać.

Jego czaszka zwężała się ku górze od najszerszego punktu (styku żuchwy z szyją), by przy czubku osiągnąć kształt zbliżony do szpiczastego. Porastały ją włosy przycięte tak krótko, jakby autorem fryzury był niewidomy fryzjer-sadysta.

Howard poinformował go, że otwiera się przed nim perspektywa niepowtarzalnej kariery zawodowej, chociaż użył do tego znacznie prostszych słów. Sprowadzenie go do szpitala było moim pomysłem.

- To twoja szefowa. - Howard wskazał na łóżko, na którym spoczywało moje zasuszone ciało. - Będziesz jej służył i będziesz jej bronił, nawet z narażeniem własnego życia, gdyby okazało się to konieczne.

Culley prychnął jak kot.

- Ta stara torba jeszcze żyje? - zdziwił się. - Na mój gust, to ona dawno wyzionęła ducha.

Wtedy w niego weszłam. W szpiczastej czaszce znalazłam tylko podstawowe motywacje: głód, pragnienie, strach, dumę, nienawiść oraz chęć przypodobania się, wypływającą z mętnego pragnienia przynależności i bycia kochanym. I właśnie tę ostatnią potrzebę wzmocniłam i wykorzystałam jako fundament naszej relacji. Culley przesiedział w moim pokoju osiemnaście godzin bez przerwy, a kiedy wyszedł, żeby pomóc Howardowi przy pakowaniu i przygotowaniach do przeprowadzki, z oryginalnego Culleya

zostały w nim tylko gabaryty, siła, refleks i chęć przypodobania się. Przypodobania się mnie.

Nigdy się nie dowiedziałam, czy „Culley” było jego imieniem, czy nazwiskiem.

Kiedy w młodości dużo podróżowałam, miałam pewną słabość: nie umiałam się oprzeć chęci kolekcjonowania pamiątek. Nawet w Wiedniu mój przymus zakupowo-pamiątkowy narażał mnie na kpiny Niny i Williego. Na stare lata przestałam jeździć po świecie, ale nawyk przywożenia pamiątek nie zanikł całkowicie.

Wieczorem szesnastego marca wysłałam Howarda i Culleya do Germantown. Smętne ulice przywodziły na myśl krajobraz ze słabo zapamiętanego snu. Mimo uwarunkowania, Howard chyba bałby się odwiedzić taką murzyńską dzielnicę; na szczęście, obecność Culleya dodawała mu pewności siebie.

Wiedziałam, czego chcę. Zapamiętałam imię i rysopis, ale nic poza tym. Pierwsi czterej młodzi ludzie zagadnięci przez Howarda albo nie odpowiedzieli mu wcale, albo obrzucili go wiązką barwnych epitetów, natomiast piąty - dziesięcioletni obszarpaniec, ubrany (mimo mrozu) tylko w podartą bluzę - powiedział:

- Ja go znam, facet. To Marvin Gayle. Właśnie wyszedł z pudła; siedział za podniecanie zamieszek czy inne pierdoły... Czego chcecie od Marvina?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Howard i Culley dowiedzieli się, jak trafić do domu Marvina. Marvin Gayle mieszkał na piętrze próchniejącego, krytego łupkową dachówką domu jednorodzinnego wciśniętego między dwie górujące nad nim czynszówki. Mały chłopczyk otworzył im drzwi i Howard z Culleyem weszli do salonu. Zastali w nim wysiedzianą kanapę przykrytą różową narzutą, zabytkowy telewizor dudniący entuzjastycznymi pokrzykiwaniami zielonoskórego gospodarza teleturnieju, farbę obłazącą ze ścian obwieszonych religijnymi obrazkami i zdjęciem Roberta Kennedy'ego oraz nastoletnią dziewczynę, która, leżąc na brzuchu na podłodze, obrzuciła przybyszów tępym spojrzeniem.

Z kuchni wynurzyła się postawna czarna kobieta, wycierając ręce w kraciasty fartuch.

- Czego chcecie? - zapytała.

- Chcielibyśmy porozmawiać z pani synem - odparł Howard.

- O czym? Nie jesteście z policji. Marvin nic nie zrobił, dajcie mu spokój.

- Nie, proszę pani, nie o to chodzi - zapewnił ją przymilnym tonem Howard. - Chcemy mu zaproponować pracę.

- Pracę? - Kobieta zerknęła podejrzliwie na Culleya i wróciła spojrzeniem do Haroda. - Co to za praca?

- W porządku, mamó.

Marvin Gayle stanął w drzwiach prowadzących w głąb domu, ubrany w stare szorty i za dużą koszulkę z krótkim rękawem. Miał twarz pozbawioną wyrazu i mętny wzrok, jakby dopiero niedawno się obudził.

- Marvin, nie musisz rozmawiać z tymi ludźmi, jeśli nie...

- W porządku, mamó. - Zwrócił martwą twarz ku matce, odczekał, aż spuści wzrok i dopiero wtedy znów spojrział na Howarda. - Czego chcecie?

- Możemy porozmawiać na dworze? - zaproponował Howard.

Marvin wzruszył ramionami i nie przejmując się ciemnością ani lodowatym wiatrem, wyszedł z nimi przed dom. Drzwi zamknęły się za nim mimo głośnych protestów matki. Spojrzał w górę na Culleya i podszedł do Howarda. W jego oczach błysnął płomycek ożywienia, jakby wiedział, co go czeka, i się z tego cieszył.

- Proponujemy ci nowe życie - szepnął Howard. - Całkiem nowe życie...

Marvin Gayle próbował coś powiedzieć, ale wtedy pchnęłam z odległości dziesięciu mil i kolorowy chłopak tylko rozdziawił niemrawo usta, nie wypowiedziawszy ani słowa. Teoretycznie rzecz biorąc, już wcześniej go Użyłam - przez chwilę, w tych ostatnich szalonych minutach przed pożegnaniem z Grumblethorpe - i to, być może, ułatwiło mi teraz zadanie. Nie miało to jednak znaczenia: przed chorobą i pobytem w szpitalu na pewno nie byłabym zdolna do takiego wyczynu. Postrzegałam rzeczywistość przez filtr percepcyjny Howarda Wardena, kontrolowałam jednocześnie Culleya, mojego lekarza i paru innych uwarunkowanych pomocników w kilku różnych miejscach, a mimo to byłam w stanie uderzyć siłą woli z taką mocą, że kolorowy chłopak tylko sapnął, zachwiał się na nogach, wybałuszył oczy i już czekał na moje pierwsze polecenie. Jego oczy nie były już zmętniałe i zniechęcone, przeciwnie - błyszczały jasno jak u człowieka z trwałym uszkodzeniem mózgu.

Jakkolwiek wyglądała suma myśli, wspomnień i żalonych ambicji składających się na smętne życie Marvina Gayle'a, w tej jednej chwili zniknęła na zawsze. Nigdy przedtem nie podjęłam próby takiego całkowitego warunkowania za jednym uderzeniem; przez trwającą wieczność minutę moje ciało dygotało spazmatycznie na szpitalnym łóżku, spętane paraliżem, który

siostra Sewell pracowicie starała się rozmasować. Naczynie, które do niedawna było Marvinem Gayle'em, czekało cierpliwie w mroźnych ciemnościach nocy.

W końcu przemówiłam do niego przez Culleya; nie musiałam wydawać mu werbalnych rozkazów, ale chciałam usłyszeć swój głos uszami Howarda.

- Idź się ubrać - polecił Culley. - I daj to matce. - Podał mi studolarowy banknot. - Powiedz, że to akonto pensji.

Marvin zniknął w głębi domu i wrócił po trzech minutach ubrany w dżinsy, sweter, trampki i czarną skórzaną kurtkę. Zgodnie z moją wolą nie zabrał żadnego bagażu; po przeprowadzce zamierzałam skompletować mu stosowną garderobę.

W czasach, gdy byłam podlotkiem, zawsze mieliśmy kolorowych służących. Wydało mi się niezwykle stosowne, by wraz z powrotem do Charleston ożywić tę tradycję.

Poza tym nie mogłam wyjechać z Filadelfii bez pamiątki.

Konwój złożony z pikapów, dwóch samochodów osobowych i wynajętej furgonетки wiozącej moje łóżko i aparaturę medyczną dotarł na południe w trzy dni. Howard pojechał przodem w rodzinnym volvo (nazywanym przez Justina „niebieskim owalem”), żeby wszystkiego dopilnować, przewietrzyć dom i przygotować go na mój powrót.

Przyjechaliśmy późnym wieczorem, długo po zmierzchu. Culley wniósł mnie na piętro; doktor Hartman mu asystował, a siostra Oldsmith niosła butelkę z kroplówką.

Moja sypialnia jarzyła się przyjemnym światłem lampy, kołdra była odgarnięta, pościel czysta i świeża; ciemne drewno łóżka, biurka i szafy pachniało cytrynowym środkiem czyszczącym; moje szczotki do włosów tworzyły idealnie równy rząd na toalecie.

Popłakaliśmy się. Łzy płynęły Culleyowi po twarzy, gdy z czułością bliską nabożnej czci kładł mnie w długim łożu. Przez uchylone okno sączył się aromat palm i mimozy.

Przyniesiono i zainstalowano sprzęt; dziwnie się czułam na widok zielonkawej poświaty oscyloskopu rozświetlającej znajomą sypialnię. Na moment wszyscy zebrali się u mnie - doktor Hartman i jego nowa żona zajęli się ostatnimi specjalistycznymi przygotowaniem, Howard z Nancy i małym Justinem ustawili się jak do rodzinnej fotografii, stojąca przy oknie młoda siostra Sewell uśmiechała się do mnie, Culley - wcale nie mniej potężny w

białym stroju pielęgniarki - przesłaniał całe drzwi, a za nim, w przedpokoju, ledwie widoczny stał Marvin we fraku i białych rękawiczkach włożonych na starannie wyszorowane dłonie.

Pojawił się mały problem z panią Hodges: była gotowa wynająć swój dom, nie chciała go jednak sprzedać. To było nie do przyjęcia.

Tym jednak będę się martwić rano, a na razie byłam w domu, własnym domu, otoczona przez kochającą rodzinę. Pierwszy raz od wielu tygodni będę mogła normalnie zasnąć. Owszem, nie uniknie się drobnych uciążliwości (takich jak pani Hodges), ale zajmę się nimi jutro. Jutro będzie nowy dzień.

39.

*35000 stóp nad Newadą
4 kwietnia 1981, niedziela*

- Puść to jeszcze raz, Richardzie - polecił C. Arnold Barent.

Światła w kabinie luksusowego boeinga 747 przygasły i na olbrzymim ekranie znów zatańczyły obrazy: prezydent odwrócił się, słysząc wykrzyczane pytanie, podniósł lewą rękę, żeby komuś pomachać... i skrzywił się z bólu. Rozległy się krzyki, wybuchło zamieszanie, agent Secret Service skoczył naprzód jak szarpnięty za niewidzialny drut. Strzały brzmiały słabo i nieprzekonująco. Jak za sprawą magii w ręce drugiego agenta pojawiło się uzi. Kilku mężczyzn obaliło młodego człowieka na ziemię. Kamera przesunęła się po tłumie i skierowała w dół, na leżącego na ziemi mężczyznę z zakrwawioną łysą głową. Obok leżał na brzuchu policjant. Przykucnięty agent z uzi wydawał rozkazy, jakby kierował ruchem; pozostali szarpali się z podejrzanym. Gromada agentów wepchnęła prezydenta do limuzyny; długi czarny samochód ruszył spod krawężnika i przyspieszył, zostawiając zgiełk za sobą.

- Dobrze, Richardzie, zatrzymaj tutaj - polecił Barent. Obraz oddalającej się limuzyny zastygł na ekranie, gdy w gabinecie znów pojaśniało. - Panowie?

Tony Harold zamrugał i rozejrzał się dookoła. C. Arnold Barent przysiadł na skraju ogromnego zaokrąglonego biurka. Za jego plecami błyskały lampki komputera i telefonu. Za oknami było ciemno, tekowa okładzina wnętrza tłumiła łoskot silników odrzutowca.

Goście utworzyli krąg. Naprzeciw Barenta siedział Joseph Kepler w szarym, nienagannie odprasowanym garniturze i lśniących czarnych butach. Patrząc na jego przystojną, pożłobioną zmarszczkami twarz, Harold doszedł do wniosku, że przypomina mu Charltona Hestona i że tak jak Heston jest skończonym dupkiem. Na krześle obok Barenta garbił się wielebny Jimmy Wayne Sutter z rękami splecionymi na wydatnym brzuchu. Jego długie siwe włosy błyszczały w przyćmionym świetle sufitowych lamp. Poza nimi, w pokoju znajdował się jeszcze tylko nowy asystent Barenta, Richard

Haines; Maria Chen i pozostali czekali w kabinie z przodu, bliżej dzioba maszyny.

- Wygląda na to - zagaił Sutter melodyjnym, wyćwiczonym przy

mikrofonie głosem - że ktoś usiłował zabić naszego kochanego prezydenta.

- To oczywiste. - Barent ledwo zauważalnie się skrzywił. - Po co jednak Willi Borden miałby tak ryzykować? I czy to Reagan był celem, czy ja?

- Nie widziałem cię na filmie - wtrącił Harold.

Barent spojrzał na niego.

- Byłem piętnaście stóp za prezydentem, Tony. Właśnie wychodziłem z Hiltona, kiedy padły pierwsze strzały; Richard i moi ochroniarze szybko wciągnęli mnie z powrotem do środka.

- Mimo wszystko nie mogę uwierzyć, żeby Willi Borden maczał w tym palce - odezwał się Kepler. - Dzisiaj wiemy więcej niż przed tygodniem. Wiadomo, że ten dzieciak, Hinckley, od dłuższego czasu niedomagał na umyśle. Prowadził pamiętnik... Na litość boską, wszystko zaczęło się od jego obsesji na punkcie Jodie Foster! Poza tym ta akcja nie pasuje do profilu Bordena. Mógł przecież wykorzystać któregoś z agentów Secret Service. Albo zwykłego waszyngtońskiego gliniarza, takiego jak ten, którego zastrzelono. A w ogóle to stary oficer Wehrmachtu, zgadza się? Wymyśliłby chyba, że trzeba użyć solidniejszej sploty niż popierdółka kalibru dwadzieścia dwa!

- Z eksplodującą amunicją - przypomniał Barent. - Pociski tylko przypadkiem nie wybuchły,

- Tylko przypadkiem jeden z nich rykoszetował na drzwiach limuzyny i trafił Reagana - zauważył Kepler. - Gdyby Williemu chodziło o ciebie, odczekałby, aż rozsiądziecie się z prezydentem wygodnie, i kazał temu agentowi z uzi was skosić. Zero ryzyka.

- Wielce pocieszająca myśl - odparował oschle Barent. - A ty co powiesz, Jimmy?

Sutter otarł czoło jedwabną chusteczką.

- Czy ja wiem... Joseph ma rację, bracie C. Hinckley ma autentyczne żółte papiery; to by było niedorzeczne, przygotować taką legendę tylko po to, żeby potem chybić.

- Hinckley wcale nie chybił - przypomniał Barent półgłosem. - Pocisk przeszył lewe płuco prezydenta.

- Chybił ciebie - poprawił go z uśmiechem Sutter. - To miałem na myśli. No bo pomyśl, dlaczego producent filmowy miałby mieć na pieńku ze starym, dobrym Ronniem Reaganem? Obaj są wytworami Hollywood.

Harold cały czas się zastanawiał, czy Barent zapyta go o zdanie. Jakkolwiek by na to patrzeć, dopiero pierwszy raz zasiadał w prezydium

Klubu Wyspiarskiego.

- Tony? - zwrócił się do niego Barent.

- Nie wiem - odparł Harod. - Po prostu nie wiem.

- Możliwe, że to nam pomoże w dalszych rozważaniach - powiedział Barent i skinął na Hainesa.

Światła znów przygasły. Na ekranie wyświetliła się najpierw rozbiegówka, a potem ziarnisty, szarpany obraz z ośmiomilimetrowej taśmy filmowej skopiowanej na kasetę wideo: przypadkowe kadry kręcone w tłumie, kilkanaście samochodów policyjnych, kawalkada limuzyn i pojazdów Secret Service... Harod uświadomił sobie, że ogląda nagranie z przybycia prezydenta do hotelu Hilton w Waszyngtonie.

- Odszukaliśmy i skonfiskowaliśmy wszystkie prywatne nagrania i zdjęcia, do jakich udało się nam dotrzeć - wyjaśnił Barent.

- My? - zapytał Kepler. - To znaczy, kto?

Barent uniósł brew.

- Przedwczesna śmierć Charlesa była dla nas poważnym ciosem, ale nie straciliśmy przez nią wszystkich wpływów w agencjach, Josephie. Patrzcie teraz, to jest ten moment.

W kadrze było widać pustawą ulicę i widziane od tyłu morze ludzkich głów. Kamera znajdowała się trzydzieści do czterdziestu jardów od miejsca strzelaniny, po niewłaściwej stronie ulicy. Zdaniem Haroda musiał ją obsługiwać jakiś ślepiec z porażeniem mózgowym, bo obraz trząsł się rozpaczliwie. Dźwięku nie było w ogóle. Momentu, w którym nastąpiły strzały, można było się domyślać tylko na podstawie zamieszania w tłumie, bo operator celował kamerą w zupełnie inne miejsce.

- Tutaj! - powiedział Barent.

Obraz na ekranie zamarł w stop-klatce. W koślawo uchwyconym kadrze pomiędzy ramion dwóch stojących obok siebie gapiów wyzierała twarz mężczyzny po siedemdziesiątce z siwymi włosami wymykającymi się spod krzaczastego kaszkietu, wpatrującego się z natężeniem w scenę rozgrywającą się po drugiej stronie ulicy. Miał małe, zimne oczy.

- To on? - zapytał Sutter. - Jesteś pewien?

- Wygląda inaczej niż na zdjęciach, które znam - przyznał Kepler.

- Tony? - zagadnął Haroda Barent.

Harodowi pot wystąpił na czoło i nad górną wargę. Stop-klatka była ziarnista, obraz zniekształcony z winy kiepskiego obiektywu, ujęcie dziwaczne, a film tani, w dodatku w prawym dolnym rogu trzecią część

klatki przesłaniał ośmiokątny odblask. Harold miał świadomość, że może się wyłgać, powiedzieć, że obraz jest mętny, że nie może mieć pewności... Mógł się w to w ogóle nie wpięprzać.

- Tak - przyznał. - To Willi, bez dwóch zdań.

Barent skinął głową. Haines zgasił projektor, włączył światło i wyszedł. Przez kilkanaście sekund w gabinecie było słycać tylko kojące buczenie silników.

- Czy to tylko zbieg okoliczności? - spytał C. Arnold Barent. Obszedł biurko dookoła i usiadł przy nim. - Joseph?

- Nie - odparł Kepler. - Nie, ale nadal nie widzę, jaki to ma sens. Co on chce w ten sposób udowodnić?

- Może to, że cały czas jest w pobliżu? - podsunął Jimmy Wayne Sutter. - Czeka. I może dorwać każdego z nas, kiedy tylko zechce. - Spuścił głowę, czym rozmnożył podbródki i podkreślił obwisłe policzki, i uśmiechnął się do Barenta znad okularów. - Domyślam się, bracie C., że na jakiś czas zrezygnujesz z pokazywania się publicznie?

Barent zetknął dłonie czubkami palców.

- To jest nasze ostatnie spotkanie przed letnim obozem Klubu Wyspiarskiego. Do czerwca będę podróżował po świecie... w interesach. Wam również zalecam zwiększoną ostrożność.

- A czego właściwie mamy się obawiać? - spytał Kepler. - Czego on chce? Wszystkimi możliwymi kanałami proponowaliśmy mu członkostwo w klubie. Posłaliśmy do niego nawet tego żydowskiego psychiatrę z wiadomością; wiemy, że skontaktował się z Luharem, zanim obaj zginęli w tamtym wybuchu...

- Kwestia identyfikacji ofiar pozostaje otwarta - przypomniał Barent. - Dokumentacja stomatologiczna doktora Laskiego zniknęła z gabinetu jego dentysty w Nowym Jorku.

- Wiem, ale to nie ma znaczenia: jesteśmy prawie pewni, że wiadomość dotarła do adresata. Czego Willi od nas chce?

- Tony? - zagadnął znów Barent.

Wszyscy trzej spojrzeli pytająco na Haroda.

- A skąd ja mam wiedzieć, czego on chce, do cholery?

- Tony, Tony, Tony... Przez lata przyjaźniłeś się z tym dżentelmenem: razem jadalście, rozmawialiście, żartowaliście... O co może mu chodzić? Ale tak naprawdę.

- O grę.

- O co? - zdziwił się Sutter.

- O jaką grę? - Kepler pochylił się wyczekująco. - Chce się zabawić na wyspie po zakończeniu obozu letniego?

- Nie. - Harold pokręcił głową. - Słyszał o waszych wyspiarskich gierkach, ale nie taką grę ma na myśli. Wspomina dawne, dobre czasy, jeszcze w Niemczech, jak się domyślam, kiedy on sam i jego dwie dupencje byli jeszcze młodzi. To coś w rodzaju szachów. Willi ma pierdolca na ich punkcie; powiedział mi kiedyś, że śnią mu się po nocach. Uważa, że wszyscy bierzemy udział w jakiejś popieprzonej partii szachów.

- Szachy... - mruknął Barent, postukując palcami o siebie.

- Tak, szachy. Trask zrobił błąd, wypuścił swoje pionki za daleko na terytorium Williego. I co? Bam! Zdejmujemy Traska z planszy. Tak samo Colben. Nie ma w tym nic osobistego, to po prostu... szachy.

- A ta stara kobieta? - zainteresował się Barent. - Była samodzielną królową czy tylko kolejnym pionkiem w rękach Williego?

- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! - Harold wstał i zaczął się przechadzać po kabinie; jego buty tonęły w grubym dywanie. - Jak znam Williego, w takiej sprawie nie zaufałyby nikomu. Może się jej bał, nie wiem. Jedno jest pewne: zaprowadził nas do niej, bo wiedział, że ją zlekceważymy.

- I tak się stało - przyznał Barent. - Ta kobieta miała wyjątkowy Talent.

- Miała? - powtórzył Sutter.

- Nie mamy dowodów, że nadal żyje - zauważył Kepler.

- Ktoś pilnuje jej domu w Charleston? - spytał wielebny. - Ktoś z naszych przejął to zadanie po Niemanie i Charlesie?

- Są tam moi ludzie - uspokoił go Kepler. - Niczego mi nie meldowali.

- A linie lotnicze? - dopytywał się Sutter. - Zanim coś spłoszyło ją w Atlancie, Colben był przeświadczony, że będzie chciała wyjechać z kraju.

- Melanie Fuller nie jest naszym problemem - przypomniał Barent. - Jak słusznie zauważył Tony, to był fałszywy trop. Miała tylko odwrócić naszą uwagę. Jeżeli nawet żyje, nie musimy się nią przejmować; jej rola jest nieistotna. Pytanie brzmi: jak powinniśmy odpowiedzieć na ten najnowszy... gambit... naszego niemieckiego przyjaciela?

- Proponuję go zignorować - powiedział Kepler. - Poniedziałkowym wydarzeniem chciał nam tylko udowodnić, że nadal może boleśnie kąsać. Zgadza się, że gdyby naprawdę chciał zrobić krzywdę panu Barentowi, to dopiąłby swego. Na razie niech stary pierdziel się bawi; jak skończy, to sobie z nim porozmawiamy. Jeżeli zaakceptuje nasze zasady, będzie mógł zająć

piąty fotel w prezydium. Jeżeli nie... Do diabła, panowie, tak między nami trzema mówiąc... przepraszam, Tony, między nami czterema... Opłacamy setki specjalistów, którzy nam służą. A ilu ludzi ma Willi? Tony?

- Kiedy wyjeżdżał z L.A., miał dwóch - odparł Harold. - Jensa Luhara i Toma Reynoldsa. Tylko że on im nie płacił, to były takie jego pieski pokojowe.

- Widzicie? - odezwał się znowu Kepler. - Poczekamy, aż mu się znudzi takie pogrywanie w pojedynkę, a potem usiądziemy do negocjacji. Jeśli nie będzie chciał negocjować, pośle się Hainesa i paru jego ludzi... Albo kogoś z moich łataczy.

- Nie! - zagrział wielebny Sutter. - Zbyt wiele razy nadstawialiśmy drugi policzek. „Mścicielem jest Jahwe i panem gniewu... Któż się ostoi przed Jego zagniewaniem i kto wytrzyma Jego zapalczywość? Gniew Jego wylewa się jak ogień i rozpadają się przed Nim skały... Wrogów swych będzie ścigał ciemnością”. Księga Nahuma 1:2.

Kepler stłumił ziewnięcie.

- A po co to gadanie o Bogu, Jimmy? My tu rozmawiamy o tym, jak załatwić starego szwaba z zajobem na punkcie szachów.

Sutter poczerwieniał na twarzy i wycelował palec w Keplera. Zalśnił wprawiony w sygnet ogromny rubin.

- Nie kpij ze mnie - burknął. - Pan przemawia do mnie i przeze mnie, nic Mu się nie oprze. - Powiódł wzrokiem dookoła. - „Jeśli zaś komuś z was brakuje mądrości, niech prosi o nią Boga, który daje wszystkim chętnie i nie wymawiając; a na pewno ją otrzyma” - zadudnił. - List świętego Jakuba Apostoła 1:5.

- A co Bóg ma do powiedzenia w naszej sprawie? - spytał Barent, zniżając głos.

- Ten człowiek może być antychrystem - odparł Sutter, zagłuszając stłumione buczenie silników. - Bóg powiada, że musimy go znaleźć i wykorzeńić; bić „od bioder aż do goleni”. „Ten również będzie pić wino zapalczywości Boga; i będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów i wobec Baranka. A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi”.

Barent uśmiechnął się półgębkiem.

- Z twoich słów wnoszę, że nie jesteś zwolennikiem negocjacji z Willim i proponowania mu członkostwa w Klubie?

Wielebny Jimmy Wayne Sutter pociągnął solidny łyk bourbona z wodą.

- Nie - przyznał głosem tak cichym, że Harold musiał pochylić się ku

niemu, żeby go usłyszeć. - Uważam, że powinniśmy go zabić.

Barent pokiwał głową i obrócił się na obrotowym skórzanym fotelu.

- Na razie mamy remis... Tony? Jakie jest twoje zdanie?

- Wstrzymam się od głosu, ale przede wszystkim uważam, że czym innym jest sama decyzja, a zupełnie czym innym wytropienie Williego i rozprawienie się z nim. Spójrzcie, w jakie bagno wpadliśmy przy okazji Melanie Fuller.

- To Charles popełnił błąd, i to Charles za niego zapłacił. - Barent przeniósł wzrok na pozostałą dwójkę. - No cóż, ponieważ Tony nie zajął stanowiska, wygląda na to, że to mnie przypadnie zaszczyt oddania decydującego głosu.

Kepler otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale chyba przemyślał sprawę, bo zaraz je zamknął. Sutter w milczeniu sęczył bourbona.

- Cokolwiek planował nasz przyjaciel w Waszyngtonie, nie podoba mi się to, zamierzam jednak potraktować to jako złośliwy kaprys z jego strony i chwilowo o tym zapomnieć. Uwaga Tony'ego na temat szachowej obsesji Williego może być naszą najlepszą wskazówką w tej sytuacji. Zostały dwa miesiące do letniego obozu na Dolmann Island i... ehm... naszych późniejszych działań tamże. Nie możemy zapominać o sprawach naprawdę ważnych. Jeżeli Willi przestanie się nam naprzykrzać, rozważymy powrót do negocjacji w późniejszym terminie; jeśli jednak nadal będzie sprawiał nam kłopoty... jeśli zdarzy się choćby jeszcze jeden taki incydent... użyjemy wszelkich dostępnych nam środków, prywatnych i publicznych, żeby go znaleźć i zniszczyć w sposób... zbliżony, powiedzmy... do tego, co zalecił nam Jimmy, cytując Objawienie Świętego Jana. Bo to było Objawienie, prawda, bracie J.?

- W rzeczy samej, bracie C.

- Świetnie. W takim razie teraz się chwilę zdrzemnę; jutro mam ważne spotkanie w Londynie. Na was też już czekają przygotowane sypialnie. Dokąd was podrzucić?

- L.A. - odparł Harold.

- Nowy Orlean - powiedział Sutter.

- Nowy Jork - zażyczył sobie Kepler.

- Załatwione. Donald dawał mi niedawno znać, że jesteśmy nad Newadą, więc najpierw wysadzimy Tony'ego. Przykro mi, Tony, że nie skorzystasz dziś w nocy z mojej gościny, ale powinieneś złapać chwilkę snu przed lądowaniem.

- Jasna sprawa.

Barent wstał. Haines wszedł do gabinetu i przytrzymał otwarte drzwi na korytarz.

- Panowie... - powiedział Barent. - Do zobaczenia na letnim obozie Klubu Wyspiarskiego. *Ciao*. I powodzenia.

Steward w niebieskiej marynarce zaprowadził Haroda i Marię do ich kabiny znajdującej się w części dziobowej samolotu. Na rufie mieścił się obszerny gabinet Barenta, salon i sypialnia. Przed gabinetem, po lewej stronie korytarza, który Harodowi do złudzenia przypominał korytarze w europejskich pociągach, ulokowano olbrzymie kabiny gościnne urządzone w koralowej czerwieni i subtelnym odcieniach zieleni, a złożone z prywatnej łazienki, sypialni z królewskim łóżem oraz saloniku z kanapą i telewizorem.

- A gdzie kominek? - mruknął Harod pod adresem służącego.

- O ile mi wiadomo, w samolocie szejka Muzada istotnie zainstalowano działający kominek - odparł ze śmiertelnie poważną miną przystojny młodzieniec.

Harod nalał sobie właśnie drugą wódkę z lodem i przysiadł na kanapie obok Marii, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Młoda kobieta w identycznej marynarce jak wcześniej steward weszła do pokoju.

- Pan Barent pyta, czy nie zechcielibyście państwo dołączyć do niego w Salonie Oriona.

- W Salonie Oriona? - powtórzył Harod. - Pewnie, czemu nie.

Przeszli za stewardesą korytarzem, przez drzwi otwierane kartą magnetyczną, aż dotarli do spiralnych schodów. Harod wiedział, że w zwykłym cywilnym boeingu 747 schody prowadziłyby na piętro do salonu pierwszej klasy. Kiedy tutaj wspięli się na górę, oboje z Marią stanęli jak wryci. Stewardesa zeszła z powrotem i zamknęła za sobą drzwi, odcinając resztki padającego z dołu światła.

Kabina była tej samej wielkości co salon w normalnym 747, miało się jednak wrażenie, że ktoś usunął dach i całkowicie odsłonił pokład maszyny lecącej na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp. W górze płonęły tysiące gwiazd, które - oglądane z tej wysokości - wcale nie mrgały. Z prawej i lewej strony majaczyły ciemne kliny skrzydeł, migające czerwone i zielone światła pozycyjne na ich końcach, oraz - odległy o milę lub więcej w dół - kobierzec rozświetlonych gwiazdami chmur. Panowała całkowita cisza. Nic nie oddzielało ich od bezkresu nocnego nieba. Zarysy sprzętów w salonie i

samotnej siedzącej wśród nich postaci były ledwie widoczne. Z tyłu i w dole rysował się metaliczny kontur samolotu; na ogonie rozbłyskiwało jasne światło, od strony dzioba kadłub lśnił lekko w blasku gwiazd.

- Jezu Chryste... - szepnął Harod.

Usłyszał, jak Maria gwałtownie wciąga powietrze do płuc - gdy już sobie przypomniała, że powinna oddychać.

- Cieszę się, że się wam podoba - zabrzmiał w ciemnościach głos Barenta.

- Proszę, siadajcie.

Harod z Marią ostrożnie podeszli do okolonego niskimi krzesłami okrągłego stolika. Ich wzrok powoli oswajał się z gwiazdnym półmrokiem. Za ich plecami, przy wejściu na schody, znajdował się czerwony pasek świetlny, a gródź oddzielająca salon od kabiny załogi wycinała czarny półokrąg z wygwieżdzonego nieba na zachodzie.

Usiedli na miękkich poduszkach, nie odrywając wzroku od firmamentu.

- Tworzywo sztuczne - wyjaśnił Barent. - Sprasowane z trzydziestu kilku warstw, niemal idealnie przezroczyste i o wiele mocniejsze od pleksiglasu. Wspiera się na szkielecie z dziesiątków wręg, które jednak są cienkie jak włos i w nocy zupełnie niewidoczne. Za dnia powierzchnia polaryzuje się całkowicie i od zewnątrz wygląda jak pomalowana błyszczącą czarną farbą. Moi inżynierowie przez rok pracowali nad stworzeniem tego plastiku; dwóch kolejnych lat potrzebowałem, żeby przekonać władze lotnicze, że można z niego budować samoloty. Gdyby zdać się na inżynierów, latalibyśmy rurami bez okien.

- Piękny widok - powiedziała Maria. Harod widział odbijające się w jej oczach gwiazdy.

- Zaprosiłem was tutaj razem, Tony, ponieważ to dotyczy was obojga.

- Co?

- Jak by to powiedzieć... Chodzi o dynamikę naszej grupy. Na pewno zauważyłeś, że atmosfera była nieco napięta.

- Zauważyłem, że wszyscy gonicie w piętę.

- Otóż to. Ostatnie miesiące obfitowały w pewne... nazwijmy to... kłopotliwe wydarzenia.

- Zupełnie was nie rozumiem. Przecież przeciętny człowiek nie przejąłby się, gdyby ktoś wysadził mu znajomego w powietrze albo utopił mu kumpla w Schuykill, prawda?

- Prawda jest taka, że popadliśmy w nadmierne samozadowolenie. Klub istnieje już bardzo długo, kilka dekad, pewne przyzwyczajenia zdążyły się

utrwalić... Można powiedzieć, że ta mała wendeta Williego jest jak... niezbędnym zabieg pielęgnacyjny, jak przyszyty żywopłót.

- Pod warunkiem, że sami nie jesteśmy następni w kolejce do przycięcia.

- W rzeczy samej,

Barent napełnił kryształowy kieliszek winem i postawił go przed Marią. Oczy Haroda przywykły do półmroku na tyle, że wyraźnie widział już pozostałą dwójkę, ale przy okazji nasilił się również blask gwiazd i opalizująca poświata chmur.

- Tymczasem zaś nieuniknione są fluktuacje dynamiki grupy, jeśli jej chwiejną równowagę ustalono w okolicznościach, które straciły na aktualności - ciągnął Barent.

- To znaczy? - zdziwił się Harod.

- To znaczy, że w świecie władzy powstała próżnia. - Głos Barenta był zimny jak opływające ich światło gwiazd. - Przynajmniej w sensie percepcyjnym. Za sprawą Williego Bordena ludzie mali zaczęli się uważać za olbrzymów. Dlatego będzie musiał umrzeć.

- Kto, Willi? Czyli cała ta gadka o negocjacjach i dołączeniu do klubu to było pieprzenie w bambus?

- Owszem. Jeśli okaże się to konieczne, będę sam kierował klubem, nie dopuszczę jednak do tego, żeby ten eks-hitlerowiec zasiadł z nami przy jednym stole.

- To dlaczego... - Harod zawiesił głos i coś sobie przemyślał. - Uważasz, że Sutter i Kepler są gotowi wykonać swój ruch?

Barent się uśmiechnął.

- Znam Jimmy'ego od lat. Poznałem go czterdzieści lat temu w Teksasie, na namiotowym spotkaniu wspólnoty religijnej. Wygłaszał kazanie. Jego Talent był niezborny, ale nieodparty; potrafił przekonać wypełniających szczelnie namiot spoconych agnostyków, żeby zrobili to, czego chce, i żeby zrobili to z radością, w imię Boże. Jimmy się jednak starzeje, coraz rzadziej używa swojej prawdziwej siły przekonywania i wyręcza się aparatem perswazji, który z biegiem lat sobie zbudował. Wiem, że w zeszłym tygodniu odwiedziłeś jego magiczne królestwo fundamentalistów... - Barent uciszył Haroda gestem, zanim ten zdążył zaprotestować. - Nic się nie stało, zresztą Jimmy na pewno cię uprzedził, że się dowiem... i zrozumiem. Nie wydaje mi się, żeby chciał wszystko wywrócić do góry nogami, wyczuwa jednak potencjalną zmianę układu sił i we właściwym momencie chce stanąć po właściwej stronie. Można odnieść wrażenie, że knowania Williego zaburzyły

delikatną równowagę.

- Ale to tylko pozory? - domyślił się Harod.

- Tak. - Wypowiedziana półgłosem sylaba zabrzmiała nieodwołalnie jak wystrzał z karabinu. - Ci, którzy myślą inaczej, zapominają o pewnych podstawowych faktach.

Z szuflady stojącego między nimi stolika Barent wyjął pistolet samopowtarzalny.

- Weź go, Tony.

Harod cały się najeżył.

- Po co?

- To prawdziwy pistolet - powiedział Barent. - Naładowany. Weź go, proszę.

Harod podniósł broń i ujął ją swobodnie w obie dłonie.

- W porządku. Co jest grane?

- Wyceluj we mnie.

Haroda zamurowało. Nie miał pojęcia, jaką demonstrację szykuje Barent, ale nie zamierzał w niej uczestniczyć; doskonale zdawał sobie sprawę, że Haines i dziesięciu innych ochroniarzy znajdują się tuż obok, za ścianą.

- Nie chcę do ciebie celować - powiedział. - Nie podobają mi się takie gierki.

- Wyceluj we mnie, Tony.

- Wal się. - Harod wstał, machnął lekceważąco ręką i skierował się do miejsca, gdzie czerwony świetlny pasek sygnalizował początek schodów na dół.

- Tony? - zabrzmiał głos Barenta. - Wracaj.

Harod miał takie wrażenie, jakby zderzył się z przezroczystą plastikową ścianą. Targane skurczami mięśnie posuwały mu się boleśnie, pot wystąpił na całym ciele. Próbował iść dalej, oddalić się od Barenta, ale udało mu się tylko upaść na kolana.

Pewnego razu - cztery lub pięć lat temu - podczas spotkania z Willim staruszek próbował wpłynąć na niego poprzez swój Talent. Był to przyjacielski sprawdzian, próba udzielenia odpowiedzi na zadane przez Haroda pytanie o wiedeńską Grę, o której Willi nieustannie głądził. Zamiast ciepłej fali dominacji (wiedział, że właśnie w ten sposób kobiety odczuwają działanie jego Talentu), atak Williego przypominał nieokreślony, potwornie silny ucisk pod czaszką, biały szum i klaustrofobiczną bliskość jednocześnie - ani na chwilę jednak Harod nie stracił panowania nad swoim ciałem.

Natychmiast zorientował się, że Talent Williego jest znacznie silniejszy niż jego własny (znacznie bardziej brutalny - takie określenie pierwsze przyszło mu do głowy), ale, mimo że przygnieciony nim Harold miałby kłopot z Użyciem drugiego człowieka, nie było mowy o tym, żeby sam mógł zostać Użyty przez Williego.

„Ja” - przytaknął Willi. „To jest właśnie takie uczucie. Może zwrócić się przeciwko sobie, ale ten, kto Używa innych, sam nie może zostać Użyty, *nicht wahr?* Dlatego musimy się mierzyć poprzez pośredników, tak? Szkoda, wielka szkoda, ale cóż... Król nie może zabić króla, Tony. Zapamiętaj to sobie”.

Harold zapamiętał. Aż do teraz.

- Wracaj - powtórzył Barent. Jego głos, choć nadal cichy i dźwięczny, rezonował w czaszce Haroda, aż wypełnił ją całą, a po niej salon i cały wszechświat, wprawiając gwiazdy w drżenie. - Chodź tutaj, Tony.

Harold - na klęczkach, prężąc z wysiłku ręce, szyję i całe ciało - został szarpnięty gwałtownie w tył i obalony na plecy, jak jeździec-kaskader zrzucony z konia przez przeciągnięty w poprzek drogi niewidzialny drut. Miotał się w spazmach, łomocząc obcasami o podłogę. Zaciskał zęby, oczy wychodziły mu z orbit. Czuł, jak krzyk wzbiera mu w gardle, i wiedział, że nie będzie mu dane go uwolnić; wrzask będzie narastał, aż rozerwie krtań i rozbryźnie krwawe ochłapy ciała po całej kabinie. Leżąc na wznak ze sztywnymi od skurczów nogami, czuł, jak mięśnie ramion na przemian napinają się i rozluźniają, napinają i rozluźniają, gdy z zakrzywionymi jak szpony palcami rąk czołgał się tyłem, podparty na łokciach, w stronę siedzącego na fotelu cienia.

- Chodź tutaj, Tony.

I Tony Harold posłuchał, jak dziesięciomiesięczne dziecko z porażeniem mózgowym uczące się raczkować na wznak.

Kiedy dotknął głową stolika, imadło obcej woli rozluźniło uścisk. Ulga była tak gwałtowna, że niewiele brakowało, żeby opróżnił pęcherz. Przeturlał się na brzuch i dźwignął na kolana, oparłszy ręce na czarnym szkłe blatu.

- Wyceluj we mnie pistolet, Tony - polecił Barent tym samym swobodnym tonem co wcześniej.

W Haroldzie wezbrała żądza mordy. Drżącymi rękami sięgnął po broń, namacał rękojeść, podniósł...

Nie zdążył nawet ustawić lufy w poziomie, kiedy ogarnęła go fala mdłości. Dawno temu, kiedy dopiero zaczynał w Hollywood, miał kłopot z

kamieniem nerkowym. Ból był wprost niewiarygodny. Znajomy z podobną dolegliwością opowiadał mu później, jak wyobrażał sobie, że został dźgnięty nożem w plecy, ale Harod wiedział swoje - w dzieciństwie, kiedy w Chicago należał do gangu, naprawdę został pchnięty nożem. Ból przy kamieniu nerkowym był gorszy; Harod miał wrażenie, że ktoś dźga go nożem od środka, przeciąga mu ostrzem po żyłach i bebeczach. Wraz z bólem przychodziły gwałtowne mdłości, wymioty, skurcze i gorączka.

To, co czuł teraz, było jeszcze gorsze. O wiele gorsze.

Zanim wycelował, leżał na podłodze, rzygał na swoją jedwabną koszulę i usiłował zwinąć się w kłębek. Oprócz bólu, mdłości i upokorzenia dręczyła go obezwładniająca świadomość, że próbował skrzywdzić pana Barenta! Była to najsmutniejsza myśl, jaka w życiu przyszła mu do głowy. Płakał, rzygał i kwilił z bólu. Pistolet wysliznął mu się z bezwładnych palców na stolik.

- Widzę, że źle się czujesz - zauważył Barent, zniżając głos. - Może w takim razie niech pani Chen weźmie mnie na cel.

- Nie... - stęknął Harod, kuląc się jeszcze bardziej.

- Ależ tak. Tego właśnie chcę. Każ jej wycelować do mnie z pistoletu.

- Wyceluj do niego! - sapnął Harod. - Wyceluj!

Maria Chen poruszała się w zwolnionym tempie, jak pod wodą. Wzięła pistolet, ujęła go mocno w drobne dłonie... i wymierzyła w głowę Tony'ego Haroda.

- Nie! Nie we mnie! - Kolejna fala skurczów zgięła Haroda wpół. - W niego?

Barent się uśmiechnął.

- Nie musi słyszeć moich rozkazów, żeby je wykonywać, Tony.

Maria kciukiem odciała kurek. Ziejący czernią otwór mierzył prosto w twarz Haroda. W brązowych oczach Marii Harod widział zgrozę i smutek; nikt jej nigdy przedtem nie Użył.

- To niemożliwe... - stęknął. Ból i mdłości ustępowały, a on zdawał sobie sprawę, że są to najprawdopodobniej ostatnie sekundy jego życia. Z wysiłkiem podniósł się na kolana i zasłonił się ręką jak bezużyteczną tarczą. - To niemożliwe! Ona jest neutralna! - Prawie wykrzyczał te słowa.

- A co to jest neutralna? - zaciekawił się C. Arnold Barent. - Pierwsze słyszę. - Odwrócił się do Marii. - Naciśnij spust, proszę.

Kurek spadł. Harod usłyszał głośny trzask,

Maria drugi raz pociągnęła za cyngiel. To samo.

- Cóż za przeoczenie z naszej strony - odezwał się Barent. - Zapomnieliśmy go naładować. Mario, bądź tak miła i pomóż Tony'emu usiąść.

Roztrzęsiony Harod usiadł, zwiesił głowę, oparł łokcie na udach. Mokra od wymiocin koszula lepiła mu się do ciała.

- Debra zabierze cię na dół i pomoże ci doprowadzić się do porządku - ciągnął Barent. - Richard z Gordonem posprzątają tutaj. Jeżeli miałbyś ochotę później, przed lądowaniem, wrócić do Salonu Oriona na drinka, nie krępuj się; to niezwykle miejsce. Pamiętaj jednak, co mówiłem o dręczącej niektórych pokusie... hmm... zmiany naturalnego porządku rzeczy. To także moja wina, Tony, przynajmniej po części. Zbyt długo nie doświadczałeś stosownej... demonstracji. A wspomnienia z czasem blakną, nawet jeśli jest to sprzeczne z dobrze pojętym interesem ich posiadacza. - Barent nachylił się nad stolikiem. - Kiedy Joseph Kepler złoży ci propozycję, przyjmiesz ją, Tony. Czy to jasne?

Harod skinął głową. Pot skapnął mu na ubrudzone spodnie.

- Powiedz „tak”, Tony.

- Tak.

- I natychmiast się ze mną skontaktujesz?

- Tak.

- Grzeczny chłopiec.

C. Arnold Barent poklepał Haroda po policzku, po czym odwrócił fotel tyłem. Oparcie rysowało się jak czarny obelisk na tle gwiazd.

Kiedy fotel odwrócił się z powrotem, Barenta już na nim nie było. Odpowiedni ludzie zajęli się wyczyszczeniem i dezynfekcją dywanu. Chwilę później młoda kobieta z latarką ujęła Haroda pod łokieć. Odepchnął jej rękę. Kiedy Maria Chen próbowała dotknąć jego ramienia, odwrócił się do niej tyłem i chwiejnym krokiem zszedł po schodach.

Dwadzieścia minut później wylądowali w Los Angeles. Limuzyna z kierowcą już czekała. Harod nie obejrzał się na kołującego na pas startowy hebanowo-czarnego boeinga 747.

40.

Tijuana, Meksyk

20 kwietnia 1981, poniedziałek

Wieczorem Saul i Natalie wyjechali wynajętym volkswagenem z miasta, kierując się na północny zachód. Panował wściekły upał. Po zjeździe z autostrady nr 2 przedmieścia Tijuany zmieniły się w labirynt pylistych dróg, przecinających wioski blaszanych szop i szałasów wyrosłe wokół porzuconych fabryk i małych rancz. Saul prowadził, a Natalie czytała mapę, narysowaną odręcznie przez Jacka Cohena. Zaparkowali przy niewielkim barze i ruszyli pieszo na północ w tumanach kurzu i towarzystwie dzieciaków. Na wzgórzu płonęły ogniska, krwistoczerwony zmierzch powoli dogasał. Natalie zerknęła na mapę i wskazała ścieżkę wiodącą w dół upstrzonego śmieciami stoku. Ludzie siedzieli w grupach przy niewielkich ogniskach albo kucali w półmroku pod niskimi drzewami. Pół mili dalej na północ, po drugiej stronie wąwozu, wysoki płot lśnił biało na tle czarnego zbocza.

- Zaczekajmy tutaj, aż zrobi się ciemno - zaproponował Saul. Postawił walizkę na ziemi, obok położył ciężki plecak. - Podobno bandyci działają teraz po obu stronach granicy. To by dopiero była ironia losu, dotrzeć tak daleko i zginąć z ręki bandziora, co?

- Chętnie chwilę odpocznę - odparła Natalie.

Przeszli niespełna milę, ale niebieska bawełniana koszula kleiła jej się do skóry, a kurz szczelnie oblepił trampki. Jazgoczące komary krążyły wokół jej głowy. Latarnia przy barze na wzgórzu za ich plecami przywabiała tyle ciem, że przypominały padający śnieg.

Przez następne pół godziny siedzieli bez słowa, znużeni trzydziestosześciodzinną podróżą lotniczą z przesiadkami i wyczerpani ciągłym stresem wynikającym z używania fałszywych paszportów. Najgorzej było na Heathrow: trzy godziny czekania pod czujnym okiem ochrony.

Przykucnięta pod głazem Natalie przysnęła mimo upału, komarów i niewygodnej pozycji. Z drzemki wyrwał ją delikatny dotyk dłoni Saula na ramieniu.

- Ruszają - wyszeptał. - Chodźmy.

Co najmniej stu nielegalnych imigrantów w małych, szurających nogami grupkach kierowało się w stronę odległego o pół mili płotu. Z tyłu przybyło

ognisk. Daleko na północnym zachodzie migotały światła amerykańskiego miasteczka; na wprost było widać tylko ciemne wąwozy i pagórki. Para reflektorów samochodowych zniknęła na wschodzie na jakiejś niewidocznej drodze dojazdowej po amerykańskiej stronie ogrodzenia.

- Straż graniczna - mruknął Saul.

Szedł pierwszy stromą ścieżką najpierw w dół, a potem w górę następnego stoku. Szybko dostali zadyszki, pocąc się pod plecakami i mocując z ciężkimi od papierów walizkami. Mimo że próbowali trzymać się z dala od innych, wkrótce musieli dołączyć do długiego sznura zziających mężczyzn i kobiet; niektórzy z nich klęli pod nosem po hiszpańsku, inni brnęli naprzód w milczeniu. Idący przed Saulem wysoki, szczupły mężczyzna niósł na barana chłopczyka w wieku siedmiu, ośmiu lat; towarzysząca mu postawna kobieta taszczyła tekturową walizę.

Kolejka zatrzymała się przed wyschniętym łożyskiem rzeki, dwadzieścia jardów od przepustu biegnącego pod płotem i poprowadzoną po drugiej stronie płotu żwirówką. Grupy liczące po trzy, cztery osoby odrywały się od głównej masy, przemykały na drugą stronę rzecznej koryta i zniknęły w czarnej czeluści wlotu tunelu. Od czasu do czasu zza płotu dobiegały jakieś okrzyki, raz Natalie usłyszała głośny wrzask. Serce waliło jej jak młotem, skóra kleiła się od potu. Ścisnęła mocniej rączkę walizki i spróbowała się odprężyć.

Kiedy drugi samochód straży granicznej podjechał bliżej i zatrzymał się nieopodal, ludzie (po tej stronie płotu zostało jeszcze jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób) pochowali się błyskawicznie za krzakami, kamieniami i sobą nawzajem. Oślepiający snop reflektorowego światła omiółł wąwóz i prześliznął się zaledwie dziesięć stóp od smętnego kolczastego drzewka, za którym próbowali się ukryć Saul z Natalie. Gdzieś na północnym wschodzie rozległy się pokrzykiwania i huk wystrzału. Radio w samochodzie zacharczało po angielsku, pojazd ruszył z piskiem opon i długi szereg imigrantów wznowił swój pochód.

Niedługo później Natalie posuwała się za Saulem na czworakach, popychając przed sobą walizkę i objijając się plecakiem o wyłożony blachą falistą strop tunelu. Było ciemno choć oko wykol. Cuchnęło moczem i ekskrementami, dłonie i kolana nurzały się w wilgotnej brei przetykanej tłuczonym szkłem i kawałkami metalu. W dławiącej ciemności za jej plecami rozplakała się kobieta albo dziecko; dopiero szorstki męski głos uciszył szloch.

Natalie nabierała przekonania, że przepust kończy się ślepo - będzie się coraz bardziej zwężał, aż w końcu chropowaty strop zwali im się na głowy, wgniecie ich w błądźko i odchody, woda zaleje im twarze...

- Juź prawie koniec - szepnął Saul. - Widzę poświatę księżyca.

Natalie zdała sobie sprawę, że od łomotu serca i wstrzymywanego oddechu rozbolały ją żebra. Zrobiła potężny wydech - i w tej samej chwili Saul wyturlał się z tunelu wprost w biegnące dwie stopy niżej kamieniste łożysko strumienia. Wstał i pomógł jej wyleźć z cuchnącej rury.

- Witaj ponownie w Ameryce - wyszeptał.

Zebrali bagaże i pobiegli w obiecujący bezpieczeństwo mrok wąwozu, gdzie z całą pewnością złodzieje i mordercy czekali juź na niektórych niedoszłych imigrantów.

- Dzięki... - wysapała Natalie między jednym oddechem i drugim. - Następnym razem jadę bez przesiadek. Choćby autobusem.

Jack Cohen czekał na nich na szczycie trzeciego pagórka. Co dwie minuty migał reflektorami starej niebieskiej furgonetki, naprowadzając ich w ten sposób. Podali sobie ręce na powitanie.

- Chodźcie - powiedział - czas nagli. To nie jest dobre miejsce na długi postój. Przywiozłem rzeczy, o których pisaliście, ale wolałbym nie tłumaczyć się z ich posiadania ani straży granicznej, ani policji z San Diego. Pośpieszmy się.

Tył furgonetki był w połowie wypełniony pudłami różnej wielkości. Dorzucili tam swoje bagaże, po czym Natalie zajęła fotel pasażera z przodu, Saul usiadł na skrzynce nieco z tyłu, pomiędzy siedzeniami, a Jack wskoczył za kierownicę. Przez pół mili teleпали się po wyżłobionych w twardym gruncie koleinach, zanim skręcili na wschód w żwirową drogę, którą dotarli do biegnącej na północ asfaltowej drogi lokalnej. Kiedy dziesięć minut później wjechali na autostradę międzystanową, Natalie poczuła się nagle zagubiona i zdezorientowana, jakby przez trzy miesiące jej nieobecności w Stanach Zjednoczonych zaszły liczne subtelne zmiany.

Nie, pomyślała, inaczej: jakbym nigdy tu nie mieszkała.

Patrzyła na mijane przedmieścia i małe centra handlowe, gapiła się na latarnie i samochody. Zadziwiał ją niewiarygodny fakt, że tysiące ludzi zajmują się swoimi covieczornymi sprawami, jakby nie działało się nic niezwykłego; jakby dziesięć mil od tych wszystkich komfortowych domów przedstawicielei klasy średniej mężczyźni, kobiety i dzieci nie przekradali się

przez zalane głównym przepusty; jakby bystroocy, uzbrojeni po zęby młodzi *sabra* nie pełnili w tej właśnie chwili straży na granicach kibuców; jakby zamaskowani zabójcy z OWP, również młodzi chłopcy, nie oliwili kałasznikowów w oczekiwaniu nadejścia nocy; jakby Rob Gentry nie zginął, nie został zamordowany, zabity, pogrzebany; jakby wcale nie stał się nieosiągalny, jak jej ojciec, który dawniej co wieczór przychodził opatulić ją w łóżku kocem i opowiadał jej o Maksie, wścibskim jamniku, który wiecznie...

- Kupiliście broń w Mexico City? - spytał Cohen. - Tam, gdzie wam kazałem?

Natalie otrząsnęła się z drzemki: zasnęła z otwartymi oczami. Była kompletnie odrętwiała ze zmęczenia, jak na nowokainowym haju. Uszy wypełniał jej stłumiony szum silników odrzutowych.

Skupiła się na rozmowie współtowarzyszy podróży.

- Tak - przytaknął Saul. - Bez problemu. Chociaż trochę się bałem, co będzie, jak *federales* ją przy mnie znajdą.

Natalie z wysiłkiem skupiła wzrok na sylwetce agenta Mossadu. Jack Cohen miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale wyglądał starzej, starzej nawet od Saula - zwłaszcza odkąd Saul zgolił brodę i zapuścił włosy. Miał szczupłą, dziobatą twarz, w której wyróżniały się duże oczy i wielokrotnie złamany nos. Rzadkie siwe włosy wyglądały tak, jakby usiłował sam je sobie przystrzyc, ale zrezygnował w połowie roboty. Mówił płynną, potoczną angielszczyznę z akcentem, którego Natalie nie potrafiła umiejscowić - brzmiał jak Niemiec, który nauczył się angielskiego od Walijczyka, który z kolei za nauczyciela miał akademika z Brooklynu. Podobał jej się jego głos. On sam też jej się podobał.

- Pokaż go - powiedział Cohen.

Saul wyjął zza paska niewielki pistolet; Natalie nie miała pojęcia, że cały czas miał go przy sobie. Broń wyglądała jak tania zabawka na kapiszony.

Pokonywali most lewym, szybszym pasem. Byli na drodze sami, z tyłu na odcinku co najmniej mili nie było widać żadnego samochodu. Cohen wziął od Saula pistolet i wyrzucił go przez okno. Pistolet przeleciał nad barierką i spadł w mrok biegnącego dołem wąwozu.

- Jak znam życie, eksplodowałby przy pierwszej próbie użycia - powiedział Cohen. - Szybko pożałowałem, że radziłem ci go kupić, ale było już za późno nawet na telegram. A co do *federales*... Masz rację: gdyby go przy tobie znaleźli, to nie oglądając się na żadne dokumenty, powiesiliby cię

za *cojones* i tylko wpadali co dwa, trzy lata, żeby sprawdzić, czy jeszcze kwiczysz. To nie są mili ludzie, Saul. Ale uznałem, że dla takiej kasy warto zaryzykować. Ile w końcu macie?

- Około trzydziestu tysięcy. Plus sześćdziesiąt, które adwokat Davida przeleje wprost do banku w Los Angeles.

- Twoje? - spytał Cohen. - Czy Davida?

- Moje. Sprzedałem dziewięćdziesięcioakrowe gospodarstwo pod Netanją, należało do mnie od wojny w czterdziestym ósmym; pomyślałem sobie, że głupotą byłoby się teraz dobierać do konta oszczędnościowego w Nowym Jorku.

- Bardzo słusznie sobie pomyślałeś.

Wjechali do miasta. Prostokąty światła ulicznych latarni ślizgały się po przedniej szybie. Brzydko-przystojna twarz Cohena nabierała w ich blasku żółtawego odcienia.

- Na Boga, Saul... - mówił dalej. - Masz pojęcie, jak trudno było zdobyć niektóre przedmioty z tej twojej listy zakupów? Sto funtów plastiku! Pistolet pneumatyczny! Strzałki ze środkiem usypiającym! Wiedziałeś o tym, że w całych Stanach jest tylko sześciu dostawców takich strzałek i że musisz być certyfikowanym zoologiem, żeby mieć choć przybliżone pojęcie, gdzie ich szukać?

Saul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przykro mi, stary, ale nie masz prawa się skarżyć. Jesteś naszym dyżurnym *deus ex machina*.

Cohen uśmiechnął się smętnie.

- Na deusach to ja się znam, ale powiem wam, że czuję się jak wyżęty przez maszynę. Musiałem zużyć zaległy urlop z dwóch i pół roku, żeby pozłatwiać te twoje sprawunki!

- Kiedyś ci to wynagrodzę. Miałeś jeszcze jakieś problemy z dyrektorem?

- Nie, telefon z biura Davida Eshkole praktycznie załatwił sprawę. Chciałbym dwadzieścia lat po odejściu na emeryturę mieć jeszcze takie wpływy... Jak on się miewa?

- Kto, David? Nie najlepiej, przeszedł dwa zawały... ale nie próżnuje. Spotkaliśmy się w Jerozolimie pięć dni temu. Kazał cię pozdrowić.

- Tylko raz z nim pracowałem, czternaście lat temu. Wrócił wtedy z emerytury, żeby pokierować operacją, w której sprzątnęliśmy Egipcjanom sprzed nosa całą baterię rosyjskich rakiet przeciwlotniczych. W czasie wojny sześciodniowej ocalały wiele ludzkich istnień. David Eshkol był geniuszem

taktyki.

Dotarli do San Diego. Natalie z dziwną obojętnością patrzyła, jak skręcają na międzystanową piątkę i jadą dalej na północ.

- Jakie masz plany na najbliższe dni? - zainteresował się Saul.

- Pomogę się wam zainstalować. W środę muszę być w Waszyngtonie.

- Nie ma sprawy. Będzie z tobą jakiś kontakt? Gdybyśmy potrzebowali rady...

- W każdej chwili. Pod warunkiem, że odpowiesz mi teraz na jedno pytanie.

- Jakie?

- O co tu naprawdę chodzi, Saul? Co łączy tego starego hitlerowca z tą grupą ludzi z Waszyngtonu i starą kobietą z Charleston? Bo choćbym nie wiem jak próbował poskładać to wszystko w jakąś całość, nie ma w tym za grosz sensu. Dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych miałby chronić zbrodniarza wojennego?

- Wcale go nie chroni. Są ludzie w administracji rządowej, którzy poszukują go nie mniej zaciekle niż my, tyle że mają ku temu własne powody. Uwierz mi Jack: mógłbym ci powiedzieć więcej, ale wcale nie zrobiłbyś się od tego mądrzejszy. Wiele aspektów tej sprawy przeczy logice.

- Cudownie. - Głos Cohena ociekał sarkazmem. - Skoro nie możesz mi powiedzieć nic więcej, nie dam rady wciągnąć w to całej firmy. Bez względu na to, jak wielkim szacunkiem cieszy się David Eshkol.

- Może tak będzie nawet lepiej. Widziałeś, jak to się skończyło, kiedy Aaron i twój kumpel Levi zostali w to wciągnięci. A do mnie w końcu dotarło, że nie będzie kawalerii, która przy dźwiękach trąbek w ostatniej chwili zaszarżuje ze wzgórz i nas ocali. W pewnym sensie od dziesięcioleci zwlekałam z działaniem, bo właśnie na tę kawalerię czekałam. Teraz wiem, że to jest coś, co muszę zrobić sam... Natalie również zdaje sobie z tego sprawę.

- Pierdoły gadasz - mruknął Cohen.

- Owszem - przytaknął Saul - ale życiem każdego z nas rządzi wiara w pierdoły. Do pewnego stopnia, oczywiście. Sto lat temu syjonizm był oczywistą pierdołą, a dziś nasza granica, granica Izraela, jest jedyną granicą polityczną widoczną z orbity okołozemskiej: gdzie kończą się drzewa i zaczyna pustynia, kończy się Izrael.

- Nie zmieniaj tematu - odparował beznamiętnie Cohen. - Zrobiłem to wszystko, ponieważ lubiłem twój siostrzeńca, a Leviego Cole'a kochałem

jak syna, i wierzę, że próbujesz dopaść tych, którzy ich zabili. Mam rację?

- Tak.

- Twierdzisz również, że ta kobieta, która waszym zdaniem wróciła do Charleston, jest częścią tej szajki, a nie jej ofiarą?

- Jest częścią szajki, tak.

- A twój Oberst nadal morduje Żydów?

Saul się zawahał.

- Nadal morduje... niewinnych ludzi.

- W sprawę jest także zamieszany ten kutafon z Los Angeles?

- Tak.

- W porządku. Możecie liczyć na moją pomoc, ale uprzedzam: nadejdzie jeszcze dzień rozliczenia.

- Nie wiem, czy ci to pomoże, ale zostawiliśmy u Davida Eshkola zapieczętowany list. Nawet David nie zna szczegółów tego koszmaru. Jeżeli ja i Natalie zginiemy lub znikniemy bez śladu, David lub wykonawca jego testamentu ma otworzyć list i podzielić się z tobą jego treścią.

- Cudownie - powtórzył Cohen. - Już nie mogę się doczekać, aż oboje umrzecie albo przypadniecie bez wieści.

W milczeniu jechali w stronę Los Angeles. Natalie śniło się, że razem z ojcem i Robem spaceruje po Starej Dzielnicy w Charleston. Był piękny wiosenny wieczór, gwiazdy płonęły na niebie ponad pióropuszcami palm i pączkami na innych drzewach, pachniało mimozą i hiacyntami. Nagle z mroku wyskoczył pies z jasnym łbem osadzonym na ciemnym tułowiu i zaczął na nich warczeć. Natalie się przestraszyła, ale ojciec powiedział, że psisko chce się tylko zaprzyjaźnić. Przyklęknął i wyciągnął rękę, żeby pies mógł ją obwąchać, ten jednak ugryzł ją, gryzł dalej, żuł i przełykał, aż w jego pysku zniknęła najpierw dłoń, potem ręka, a na końcu cały ojciec Natalie. Pies się zmienił, urósł do rozmiarów olbrzymia, sama Natalie zaś skurczyła się i stała małą dziewczynką. Pies rzucił się na nią; jego niepasujący do reszty ciała biały łeb lśnił w świetle gwiazd. Bała się go tak bardzo, że nie była w stanie cofnąć się, uciec, krzyknąć. Rob dotknął jej policzka i zastąpił drogę psu w tej samej chwili, gdy ten rzucił się jej do gardła. Zderzyli się, razem runęli na ziemię i zaczęli się szamotać. Natalie zauważyła, że łeb psa wydaje się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zniknął zupełnie - i nagle dotarło do niej, że pies wgrzyzł się głęboko w pierś Roba. Słyszała, jak je.

Usiadła ciężko na chodniku. Na nogach miała wrotki, poza tym była ubrana w niebieską sukienkę, którą dostała od swojej ulubionej ciotki na

szóste urodziny. Przed nią, niczym wielki, szary mur, wznosiły się plecy Roba. Spojrzała na pistolet w kaburze na jego biodrze, był jednak zabezpieczony zapinanym na zatrzask kawałkiem skóry i nie mogła się zmusić, żeby po niego sięgnąć. Ciało Roba dygotało pod wpływem ruchów szarpiącego nim zwierzęcia. Odgłosy gryzienia i szarpania rozbrzmiewały bardzo wyraźnie.

Próbowała wstać, ale za każdym razem stopy na wrotkach wyjeżdżały spod niej i lądowała ciężko na pupie. Jedna z wrotek poluzowała się i zawisła na zielonym pasku. Nie wstając, Natalie przetoczyła się na kolana i znalazła dosłownie o kilka cali od niewiarygodnie wysokich, szarych pleców Roba, kiedy łeb psa się przez nie przebił. Pysk miał oblepiony włóknami mięsa i strzępami materiału koszuli. Miotał się i rzucał, usiłując powiększyć wyszarpany otwór. Jego ślepia pałały wściekłym blaskiem, potężne szczęki pracowały zajadle jak u rekina.

Natalie odczołgała się dwie stopy wstecz, dalej jednak nie mogła się ruszyć. Pies bez reszty przykuł jej uwagę; warczał, szamotał się i gryzł, próbując się do niej dobrać. Z otworu w plecach Roba wynurzył się już nie tylko łeb, lecz także szyja, barki i przednie łapy bestii; Natalie wyraźnie widziała ciemną, zlepioną krwią sierść gramolącego się z mięsistej nory zwierzęcia. Czuła się jak świadek makabrycznych narodzin, który wie, że gdy tylko bestia przyjdzie na świat, on sam będzie musiał zginąć.

Jednakże dopiero twarz tego monstrum kompletnie ją sparaliżowała i sprawiła, że słabość wezbrała jej w gardle jak wymiociny. Ponad czarną sierścią masywnych barków, ponad szarpiącymi łapami i drapiącymi pazurami, tam gdzie zakrwawione włosie przybierało siwoszary odcień, zaczynała się biel, trupia biel twarzy Melanie Fuller zniekształconej obłąkanym uśmiechem i źle dopasowaną, nazbyt wielką sztuczną szczęką, której szpiczasto zakończone zęby połyskiwały tuż przed oczami Natalie.

Makabryczny niby-pies zawył przeraźliwie, zadygotał, szarpnął się wściekle - i przyszedł na świat.

Obudziła się gwałtownie, chciwie łapiąc powietrze. Wyciągnęła przed siebie rękę, oparła ją o deskę rozdzielczą. Wpadający przez otwarte okno wiatr niósł odór ścieków i dieslowskich spalin. Z naprzeciwka błyskały reflektory jadących w drugą stronę samochodów.

- Może potrzebuję rady, jak kogoś zabić - mówił właśnie Saul, zniżając głos.

Cohen zerknął na niego z ukosa.

- Nie jestem zabójcą, Saul.

- Wiem. Ja też nie. Ale obaj napatrzyliśmy się na śmierć; widziałem ją beznamiętną i sprawną w obozach, szybką i nieuchwytną w lesie, gorącą i patriotyczną na pustyni, przypadkową i nędzną na ulicach. Może przyszedł czas, żebym się dowiedział, jak wygląda profesjonalne zabijanie?

- Mam ci zrobić wykład z zabijania?

- Tak.

Cohen pokiwał głową, wyłuskał papierosa z kieszeni na piersi i przypalił go sobie samochodową zapalniczką.

- Palenie zabija - powiedział, wydmuchując dym.

Minęła ich ciężarówka pędząca siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Potężny podmuch powietrza szarpnął furgonetką.

- Myślałem o czymś działającym szybciej i mniej szkodliwym dla ludzi w pobliżu - odparł Saul.

Cohen uśmiechnął się i mówił dalej, nie wyjmując papierosa z ust:

- Najlepszym sposobem zabicia człowieka jest wynajęcie kogoś, kto jest dobry w zabijaniu. - Spojrzał na Saula. - Mówię poważnie. Każdy tak robi: KGB, CIA i wszystkie mniejsze ryby. Parę lat temu Amerykanie się wzburzyli, bo okazało się, że CIA najmowała cyngli mafii, żeby zlikwidowali Castro. Jak się nad tym zastanowić, to nawet ma sens. Czy bardziej moralne byłoby szkolenie agentów w podlegającej demokratycznemu rządowi agencji, żeby potem szli na ulicę i strzelali do ludzi? Historyjki o Jamesie Bondzie to przecież pieprzenie w bambus. Zawodowi zabójcy to ściśle nadzorowani psychopaci, sympatyczni jak, nie przymierzając, Charles Manson, tylko lepiej pilnowani. Najęcie mafijnego egzekutora to upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu: jak dobrze pójdzie, to facet załatwi sprawę, a na pewno przez parę tygodni nie będzie mordował innych Amerykanów.

Cohen umilkł i przez chwilę prowadził w ciszy. Czubek papierosa rozżarzał się przy każdym jego wdechu. W końcu strząsnął popiół za okno.

- Wszyscy wysługujemy się najemnikami, kiedy w grę wchodzi zabójstwo z premedytacją. Jednym z moich zadań, kiedy pracowałem w Izraelu, było takie przekabacanie młodych rekrutów OWP, żeby likwidowali palestyńskich przywódców. Szacuję, że mniej więcej co trzecie zabójstwo w obrębie społeczności terrorystycznej jest skutkiem naszych działań. Czasami, jeżeli chcemy wyeliminować A, wystarczy ostrzelać D (ale nieskutecznie), a potem dać mu cynk, że to C na rozkaz A zapłacił B, żeby ten zlikwidował D.

Później siadamy wygodnie i czekamy na fajerwerki.

- Powiedzmy, że wynajęcie specjalisty nie wchodzi w grę - powiedział Saul.

Słuchając ich prowadzonej półgłosem rozmowy, Natalie doszła do wniosku, że Saul z Jackiem myślą, że nadal śpi. Zdała sobie sprawę, że powieki same jej opadły, a światło latarni i - znacznie rzadziej - samochodów jadących z naprzeciwka przesącza się jej przez rzęsy. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie przysypiała na tylnym siedzeniu samochodu, słuchając stłumionych, miarowych głosów rodziców. Tylko że jej rodzice nie rozmawiali o takich sprawach.

- W porządku: założmy, że z powodów politycznych, praktycznych lub osobistych nie możesz się nikim wyręczyć - zgodził się Cohen. - Wtedy sprawa się komplikuje. Przede wszystkim musisz podjąć decyzję, czy przy okazji zabicia swojego celu jesteś gotowy sam oddać życie; jeśli tak, to masz ogromną przewagę. Większość tradycyjnych środków bezpieczeństwa jest w takiej sytuacji praktycznie bezużyteczna. Większość sławnych historycznych zabójców była gotowa dać się zabić albo przynajmniej aresztować, byle tylko wypełnić swoją świętą misję.

- Założmy zatem, że w tym wypadku... zabójca... wolałby żyć i pozostać na wolności po wypełnieniu zadania - odparł Saul.

- Wówczas to, co już było trudne, staje się jeszcze trudniejsze. Wybór jest następujący: działania wojenne (kiedy nasze F-szesnaście ostrzeliwują Liban, to w gruncie rzeczy dokonują próby zabójstwa, tyle że mało selektywnej); użycie materiałów wybuchowych; karabin i strzał z daleka; pistolet z małej odległości, ale trzeba mieć przygotowaną drogę ucieczki; trucizna; nóż; wreszcie walka wręcz. - Cohen wyrzucił niedopałek pierwszego papierosa i zapalił drugiego. - Bomby są teraz w modzie, Saul, ale trzeba z nimi bardzo uważać.

- To znaczy?

- Weźmy na przykład C-cztery, którego dziesięcioletni zapas wieziemy w tej chwili z tyłu. Jest bezpieczny jak plastelina; możesz nim rzucać, ugniatać go, topić w wodzie, siadać na nim, strzelać do niego albo uszczelniać nim okna. Nie wybuchnie. Do zapłonu niezbędny jest kwas azotowy w zabójczych małych detonatorach, które schowane są bardzo, bardzo starannie w specjalnym pudełku, które jest zamknięte w drugim pudełku, większym i wypełnionym kulkami styropianu. Używałeś kiedyś plastiku, Saul?

- Nie.

- No to niech Bóg ma nas w swojej opiece. W każdym razie jutro w kryjówce zrobimy sobie seminarium na temat plastiku. Tymczasem zaś przypuśćmy, że udało ci się zainstalować ładunek w pożądanym miejscu. Jak chcesz go zdetonować?

- To znaczy?

- Sposobów detonacji jest mnóstwo, są zapalniki mechaniczne, elektryczne, chemiczne, elektroniczne... Ale żaden z nich nie jest bezpieczny. Większość specjalistów od materiałów wybuchowych ginie podczas przygotowywania bomb. Wśród terrorystów jest to druga pod względem powszechności przyczyna zgonów; pierwszą są inni terroryści. Powiedzmy, że udało ci się umieścić ładunek tam, gdzie chciałeś, podpiąć detonator elektryczny uruchamiany sygnałem radiowym... Słowem, wszystko jest gotowe. Jedziesz samochodem, śledząc swój obiekt i zachowując bezpieczną odległość, i czekasz, aż wyjedzie za miasto, z dala od świadków i niewinnych przechodniów. A tymczasem twoja bomba eksploduje akurat w chwili, kiedy tamten wóz mija autobus szkolny pełen niepełnosprawnych dzieci.

- Jak to?

Słyszając znużony głos Saula, Natalie uświadomiła sobie, że musi być nie mniej wyczerpany od niej.

- Piloty do garaży, transmisje lotnicze, krótkofalówki dla dzieci, CB radia... - wyliczył Cohen. - Nawet pilot do telewizora może uruchomić taki zapalnik. Dlatego potrzebne są co najmniej dwa zapalniki: pierwszy manualny, który uzbraja drugi, elektroniczny i działający z bliska, w zasięgu wzroku. A i tak szansa niepowodzenia jest ogromna.

- Inne sposoby.

- Karabin. - Cohen prawie skończył drugiego papierosa. - Bezpieczeństwo płynące z oddalenia. Czas na ucieczkę. Sposób selektywny i, prawidłowo zastosowany, prawie stuprocentowo skuteczny. Najlepszy. Wykorzystany przez Lee Harveya Oswalda, Jamesa Earla Raya i całą rzeszę innych, mniej znanych. Z nim jednak też wiążą się kłopoty.

- Jakże?

- Przede wszystkim możesz zapomnieć o telewizyjnych bajeczkach, w których snajper przemyca broń w neseserze, potem składa ją z części, a tymczasem jego cel grzecznie wychodzi mu na strzał. Karabin i celownik optyczny muszą być idealnie spasowane; trzeba uwzględnić odległość, kąt strzału, prędkość wiatru i charakterystykę samej broni. Strzelec musi mieć doświadczenie w strzelaniu z konkretnego egzemplarza, na konkretną

odległość i w konkretnych warunkach. Snajper wojskowy strzela z takiej odległości, że od strzału do trafienia upływa dość czasu, żeby obiekt zrobił trzy kroki. Strzelałeś kiedyś z karabinu, Saul?

- Ostatni raz na wojnie... tej w Europie. A i tak nigdy nie strzelałem, żeby zabić.

- A karabin do niczego innego się nie nadaje. Wydałem osiemnaście tysięcy dolarów na różne rzeczy z twojej listy, czasem takie, których namierzenie kosztowało mnie cholernie dużo czasu i nerwów... ale karabinu ci nie kupiłem.

- Co z ochroną?

- Twoją czy ich?

- Ich.

- No... co z nią?

- Jak sobie z nią poradzić?

Przytrzymując papierosa kciukiem i palcem wskazującym, Cohen zmrużył oczy i spojrzał w głąb świetlnego tunelu wyrzynanego przez reflektory w mrokach nocy.

- Jeżeli zamierzasz kogoś zabić, to ochrona jest... w najlepszym wypadku... z góry skazaną na niepowodzenie próbą odwleczenia tego, co nieuniknione. Jeżeli obiekt prowadzi jakieś życie publiczne, nawet najlepsi ochroniarze mogą co najwyżej utrudnić zabójcy ucieczkę. Sam widziałeś w zeszłym miesiącu, jak to wygląda, kiedy jakiś śmieć-amator postanowił zastrzelić amerykańskiego prezydenta z zabawki kaliber dwadzieścia dwa...

- Aaron mówił, że szkolicie swoich ludzi w strzelaniu z beretty takiego kalibru - zauważył Saul.

- Od niedawna - przyznał Cohen. - Ale nasi ludzie strzelają z bliska, z takiej odległości, że prawie można by pchnąć nożem, i w sytuacjach, kiedy bardziej zależy im na dyskrecji lub szybkości niż sile ognia. Gdybyśmy wysłali za kimś ekipę, żeby go zabić, to byłaby właśnie cała ekipa... I to po tygodniach śledzenia obiektu, prób, sprawdzania drogi ucieczki. Dzieciak, który przed miesiącem strzelał do waszego prezydenta, przygotował się do tego tak samo, jak ty czy ja do wyjścia do kiosku po gazetę.

- Czego to dowodzi?

- Tego, że nie ma mowy o bezpieczeństwie, kiedy czyjeś ruchy da się przewidzieć. Dobry szef ochrony pozwala klientowi zmieniać rozkład dnia; pilnuje, żeby nie popadał w rutynę i żeby informacje o jego planach nie wypływały na forum publicznym. Nieprzewidywalność kilkakrotnie ocaliła

życie Hitlerowi. Jest też jedynym powodem, dla którego nie zlikwidowaliśmy trzech albo czterech Palestyńczyków z pierwszych miejsc na naszej czarnej liście. O czyjej ochronie mówimy w tej hipotetycznej sytuacji?

- Hipotetycznej, powiadasz... - powtórzył Saul. - Porozmawiajmy zatem o hipotetycznej ochronie pana C. Arnolda Barenta.

Cohen gwałtownie odwrócił się w jego stronę. Wyrzucił niedopałek przez okno, ale tym razem nie zapalił następnego papierosa.

- To dlatego prosiłeś o informacje na temat letniego obozu Barenta?

- Wszystko hipotetycznie.

Cohen przeczesał palcami włosy.

- Boże święty, Saul... Kompletnie ci odbiło.

- Sam powiedziałeś, że ochrona to skazana na niepowodzenie próba odwleczenia tego co nieuniknione - przypomniał mu Saul. - Czy pan Barent jest tu jakimś wyjątkiem?

- Posłuchaj. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych udaje się w podróż, dokądkolwiek, nawet na spotkanie z przywódcami innych krajów w specjalnie zabezpieczonej i wyludnionej strefie, Secret Service sra w gacie ze strachu. Gdyby to od nich zależało, prezydent nie wyściubiałby nosa z piwnicy pod Białym Domem, chociaż i tą lokalizacją nie są zachwyceni. Jedyny okres, naprawdę jedyny, w którym oddychają z ulgą, to czas spędzony przez prezydenta w towarzystwie C. Arnolda Barenta... Kolejni prezydenci spotykają się z nim od trzydziestu paru lat: w czerwcu jego Fundacja Dziedzictwa Zachodu urządza na swojej wyspie doroczny obóz letni, na którym czterdziestu, może pięćdziesięciu najbardziej wpływowych ludzi na świecie może zdjąć krawat i naprawdę się wyluzować. Co ci to mówi o ochronie Barenta?

- Że jest dobra?

- Najlepsza na świecie. Gdyby jutro Tel Awiw poinformował nas, że przyszłość państwa Izrael zależy od pilnego uśmiercenia C. Arnolda Barenta, ściągnąłbym najlepszych ludzi z Izraela, sprowadziłbym komandosów, dla których operacja „Entebbe” to bułka z masłem, wezwałbym oddziały mścicieli z Europy, a i tak nie dałbym im więcej niż dziesięć procent szans na to, że uda im się do niego zbliżyć.

- A jak byś się do tego zabrał?

Cohen długo milczał.

- Hipotetycznie - odezwał się w końcu - poczekałbym na moment, w którym za bezpieczeństwo Barenta odpowiedzialni byłiby obcy ochroniarze,

choćby ludzie prezydenta... i wtedy bym spróbował. Na Boga, Saul, to całe gadanie o zabiciu Barenta... Gdzie byłeś trzydziestego marca?

- W Cezarei, mam świadków. Czego jeszcze byś spróbował?

Cohen przygryzł wargę.

- Barent dużo lata samolotem, a samoloty mają słabe punkty. Ochrona na ziemi prawie na pewno uniemożliwi przemycenie ładunku na pokład, ale zawsze zostają myśliwce przechwytyjące albo rakiety ziemia-powietrze. Tylko musiałbyś wiedzieć z wyprzedzeniem, dokąd polecą i o której godzinie. No i umiał go zidentyfikować w locie.

- Mógłbyś coś takiego załatwić?

- Mógłbym. Pod warunkiem, że dysponowałbym wszystkimi zasobami Izraelskich Sił Powietrznych, wywiadem elektronicznym, danymi z amerykańskich satelitów i informacjami Narodowej Agencji Obrony, oraz że pan Barent poszedłby nam na rękę i przeleciał nad Morzem Śródziemnym lub dalekim południem Europy według planu lotu zgłoszonego z kilkutygodniowym wyprzedzeniem.

- Ma łódź - powiedział Saul.

- Nie łódź, tylko mierzący dwieście sześćdziesiąt stóp długości jacht, *Antoinette*, który kosztował sześćdziesiąt dziewięć milionów dolarów, i to dwanaście lat temu, kiedy Barent odkupił go od nieżyjącego już bezimiennego greckiego potentata spedycyjnego, znanego głównie jako drugi mąż amerykańskiej wdowy, której pierwszy mąż zginął za bardzo zbliżył się do karabinu wycelowanego przez byłego snajpera piechoty morskiej. - Cohen wziął głęboki wdech. - Ta „łódź” jest strzeżona równie starannie jak wyspy, na których Barent pomieszkuję; nikt nie wie, dokąd płynie ani kiedy właściciel zawita na pokład. Na pokładzie ma dwa lądowiska dla śmigłowców, a na wyposażeniu także motorówki, którymi można dyskretnie dostać się na *Antoinette*, gdy w okolicy panuje zbyt duży ruch. Torpeda albo pocisk exocet może zdołałyby ją zatopić, ale osobiście w to wątpię. Ma czulszy radar, lepszą manewrowość i doskonalszy system kontroli uszkodzeń niż przeciętny współczesny niszczyciel.

- Koniec hipotetycznej dyskusji - powiedział Saul.

Po tonie jego głosu Natalie poznała, że słowa Cohena nie były dla niego żadną nowiną.

- Zróbmy sobie przystanek - powiedział Cohen, zjeżdżając z autostrady.

Tabliczka przy zjeździe obwieszczała, że znaleźli się w San Juan Capistrano. Zatankowali na całodobowej stacji benzynowej; Cohen zapłacił

swoją kartą kredytową. Rozespana Natalie wysiadła, żeby rozprostować nogi. Miała wrażenie, że w rześkim powietrzu czuje słoną woń morza.

Podeszła do budynku, gdzie Cohen kupował właśnie kawę w automacie.

- Obudziłaś się - powiedział. - Witaj w świecie żywych.

- Nie spałam w samochodzie... prawie wcale,

Cohen upił łyk kawy. Skrzywił się.

- Dziwna rozmowa, co? Rozmawialiście o tym wcześniej z Saulem?

- Razem układaliśmy plany.

- Wiesz, co wieziemy?

- Jeżeli kupiłeś to, co było na liście, to tak.

Razem zawrócili w stronę auta.

- Mam nadzieję, że wiecie, co robicie - powiedział Cohen.

- Nie - odparła z uśmiechem Natalie. - Ale jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, Jack.

- Nie ma sprawy. - Cohen otworzył jej drzwi. - Byle tylko moja pomoc nie sprawiła, że szybciej dacie się zabić.

Pokonali osiem mil autostradą numer 74, oddalając się od morza, po czym skręcili na północ, przejechali przez karłowaty las i zajechali na farmę. Stojący ćwierć mili od głównej drogi budynek był zupełnie ciemny.

- W przeszłości nasi ludzie na Zachodnim Wybrzeżu wykorzystywali go jako bezpieczną kryjówkę - wyjaśnił Cohen. - Od mniej więcej roku nikt go nie potrzebował, ale ktoś musi o niego dbać, kosić trawnik i tak dalej... Miejscowi myślą, że to domek letniskowy dwojga młodych prawników albo lekarzy z Anaheim Hills.

W sypialniach na piętrze znajdowała się cała masa tanich łóżek, zbyt dużo, jak na taki dom: w trzech pokojach mogło jednocześnie nocować dwanaście osób. W przybudówce na tyłach za weneckim lustrem znajdowało się niewielkie pomieszczenie wyposażone w kanapy i niski stolik.

- Dobudowaliśmy tę klitkę w pewne długie lato, specjalnie do przesłuchań jednego z członków Czarnego Września, który myślał, że oddał się w ręce CIA. Chroniliśmy go przed strasznym, złym Mossadem, dopóki nie powiedział nam wszystkiego, co wiedział. Pomyślałem, że pokoiik nada się do waszych celów.

- Jest idealny - zgodził się Saul. - Oszczędzi nam tygodni przygotowań.

- Aż żałuję, że mnie tu nie będzie, kiedy zacznie się zabawa.

- Jeśli faktycznie będzie zabawnie... - Saul stłumił potężne ziewnięcie - to

pewnego dnia usiądziemy przy kawie i wszystko ci opowiem.

- Umowa stoi. A teraz proponuję, żeby każde z nas wybrało sobie jeden pokój i trochę pospało. Wylatuję z Los Angeles jutro przed południem, wpół do dwunastej.

Huk wybuchu obudził Natalie niedługo po ósmej rano. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Znalazła i włożyła dzinsy i zawołała Saula po imieniu, ale nie odpowiedział. Jacka Cohena też nie zastała w jego pokoju.

Wyszła przed dom, zachwycona błękitem nieba i ciepłym dniem. Pole jakiegoś zboża rozciągało się przed nią aż do drogi, którą przyjechali. Obeszła dom dookoła i znalazła Saula i Cohena przykucniętych nad starymi drzwiami, opartymi bokiem o ogrodzenie. W samym ich środku ziała dziesięciocalowa dziura.

- Seminarium o plastiku - wyjaśnił Cohen, gdy Natalie podeszła bliżej, i odwrócił się do Saula. - To było niespełna pół uncji. Wyobraź sobie, co może działać czterdzieści funtów. - Wyprostował się i otrzepał spodnie. - Śniadanie.

Lodówka była pusta i odłączona od zasilania, ale Cohen przyniósł chłodziarkę turystyczną z samochodu i przez następne dwadzieścia minut na gwałt szukali patelni, wyciągali dzbanki, na zmianę pilnowali kuchenki i generalnie przeszkadzali sobie nawzajem. Kiedy znów zapanował ład, w kuchni pachniało kawą i jajkami, a oni siedzieli w jadalni, przy stole ustawionym przy panoramicznym oknie.

Podczas błażej śniadaniowej pogawędki Natalie ogarnęło nagłe przygnębienie i zdała sobie sprawę, że wnętrza kryjówek przypominają jej dom Roba. Charleston wydawało jej się w tej chwili odległe o dziesięć tysięcy mil i dwa razy tyle lat.

Po śniadaniu rozładowali furgonetkę. Musieli we troje przenieść ogromną skrzynię z elektroencefalografem. Inny sprzęt elektroniczny trafił do przybudówki z weneckim lustrem, tyle że po stronie obserwatora. Pudła z C-4 i większą od nich skrzynkę z detonatorami znieśli do piwnicy.

Kiedy było po wszystkim, Cohen postawił na stole dwa nieduże pudełka.

- To prezent ode mnie - powiedział. W pudełkach znajdowały się dwa pistolety samopowtarzalne. Oznaczenia na sieniej stali opisywały je jako COLT MK IV, MODEL RZĄDOWY 380. - Wolałbym wam zostawić czterdziestki piątki, sam taką mam i wiem, że ma porządnego kopa, ale te są prawie o funt lżejsze, mają o dwa cale krótszą lufę, magazynek na siedem

nabojów zamiast na sześć, mniejszy odrzut i są łatwiejsze do ukrycia. A z bliska powinny być równie skuteczne. - Obok położył trzy pudełka amunicji. - Są nie do namierzenia. Wchodziły w skład przechwyconego transportu IRA, ale potem gdzieś się zawieruszyły.

Postawił na blacie kolejne, tym razem większe pudełko i wyjął z niego długą, ciężką broń, przywodzącą na myśl karykaturę pistoletu wykonaną w warsztacie zabawkarskim. Rękojeść wydawała się malutka w porównaniu z długą czworograniastą lufą. Można by pomyśleć, że to jakiś prototyp pistoletu maszynowego, gdyby nie malutki kaliber i brak magazynka.

- Z trudem namierzyłem egzemplarz o zasięgu większym niż dziesięć stóp - powiedział Cohen. - Myśliwi wolą karabiny pneumatyczne, mało kto używa pistoletu. - Złamał broń, wyjął z pudełka strzałkę i włożył ją do komory. - Nabój z CO₂ wystarcza na jakieś dwadzieścia strzałów. Chcecie zobaczyć, jak to działa?

Natalie zeszła z werandy, spojrzała na furgonetkę i wybuchnęła śmiechem. Żółty napis na niebieskim tle informował:

JACK & NAT
INSTALACJA I KONSERWACJA BASENÓW
SPECJALIZUJEMY SIĘ
W PODGRZEWANYCH JACUZZI

- Samochód był taki od początku czy to ty go kazałeś pomalować? - spytała Natalie.

- Ja.

- Nie będzie się za bardzo rzucał w oczy?

- Być może, ale mam nadzieję, że to zadziała na waszą korzyść.

- Jak to?

- Wybieracie się do drogiej dzielnicy. Tamtejsza policja jest wyjątkowo wyczulona na punkcie bezpieczeństwa mieszkańców, którzy zresztą mają lekką paranoję. Jeżeli zatrzymacie się gdzieś na pół godziny, ludzie to zauważą. Ten kamuflaż może wam pomóc.

Natalie zachichotała jeszcze raz i poszła za mężczyznami do stodoły. Na wybieg przy chlewiku wytruchtała nieduża Świnia.

- Mówiłeś, że farma jest nieużywana - zdziwiła się Natalie.

- Bo jest. Tego malucha przywiozłem wczoraj rano; to był pomysł Saula.

Natalie spojrzała pytająco na Saula.

- Waży jakieś sto czterdzieści funtów - powiedział Saul. - Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy z Icchakiem w ZOO w Tel Awiwie?

- A tak, rzeczywiście... - przytaknęła Natalie.

Cohen uniósł pistolet pneumatyczny.

- Jest trochę nieporęczny, ale celuje się z niego tak jak z każdego innego pistoletu. Wyobraź sobie, że lufa jest twoim palcem wskazującym, przymierz i strzel.

Rozległo się głośne *pfffi* i mała strzałka z pierzastym niebieskim usterzeniem utkwiała w samym środku odległych o piętnaście stóp wrót stodoły. Cohen złamał pistolet i otworzył pudełko ze strzałkami.

- Niebieskie, te w górnym rzędzie, są puste - wyjaśnił. - Możecie zrobić własną mieszankę. Czerwone mają pojemność pięćdziesięciu mililitrów, zielone czterdziestu, żółte trzydziestu, pomarańczowe dwudziestu. Saul ma jeszcze dodatkowe puste fiołki. - Włożył czerwoną strzałkę do pistoletu. - Natalie? Chcesz spróbować?

- Pewnie.

Zamknęła pistolet i wycelowwała w drzwi stodoły.

- Nie, nie - powstrzymał ją Saul. - Wypróbujmy to na naszym nowym przyjacielu.

Natalie spojrzała z powątpiewaniem na świnie, która rozszerzonymi nozdrzami wciągnęła powietrze.

- Podstawą mieszanki jest kurara - wtrącił Cohen. - To drogi komponent i wcale nie tak bezpieczny, jak się o tym mówi w filmach przyrodniczych. Trzeba dobrze dopasować dawkę do masy ciała. Kurara nie pozbawia przytomności, na dobrą sprawę nie jest środkiem usypiającym... To raczej toksyna, która paraliżuje układ nerwowy. Jak dasz za mało, obiekt poczuje odrętwienie jak po nowokainie, ale zdoła uciec; jeśli przesadzisz, kurara upośledzi oddychanie, pracę serca i wszystkie funkcje świadome.

- A to jest właściwa ilość? - spytała Natalie, spoglądając na pistolet.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Pan Świnek waży tyle, ile Saul sobie życzył; dawka jest dobrana odpowiednio dla zwierzęcia tej wielkości. Spróbujmy.

Natalie przeszła wzdłuż ogrodzenia, żeby znaleźć lepszą pozycję do strzału. Świnia wystawiła ryj przez sztachety, jakby oczekiwała poczęstunku od Saula i Jacka.

- W co mam celować? - spytała Natalie.

- Nie w pysk i nie w oczy - poradził jej Cohen. - Trafienie w kark może

nie być dość skuteczne. Najlepszy byłby korpus.

Natalie przymierzyła i z odległości dwunastu stóp strzeliła świni w zad. Zwierzę wierzgnęło, kwiknęło i spojrzało na nią z przyganą. Osiem sekund później tylne nogi rozjechały się, Świnia zrobiła jeszcze pół okręgu, podpierając się przednimi nogami i runęła na bok, dysząc ciężko.

Natalie, Saul i Jack wskoczyli na wybieg. Saul dotknął boku zwierzęcia.

- Serce zwariowało. To chyba odrobinę za duża dawka.

- Chciałeś, żeby szybko zadziałała, więc mniejsza być nie mogła - przypomniał Cohen. - A większa by ją zabiła.

Saul spojrzał w otwarte ślepie zwierzęcia.

- Widzi nas?

- Tak. Może mieć chwilowe utraty świadomości, ale zmysły funkcjonują normalnie. Nie może się poruszyć, nie wyda żadnego dźwięku... Ot, pan Świnek zapamiętuje nasze twarze na przyszłość.

Natalie poklepała sparaliżowaną świnię.

- To nie jest żaden pan Świnek.

- Nie? - Cohen się uśmiechnął. - A kto?

- Harod - odparła Natalie. - Tony Harod.

41.

Waszyngton

21 kwietnia 1981, wtorek

Przez cały lot na wschód Jack Cohen rozmyślał o Saulu i Natalie. Martwił się o nich; nie do końca wiedział, co właściwie planują, i powątpiewał w ich zdolność realizacji tego planu. Od trzydziestu lat pracował w wywiadzie i dobrze wiedział, że na zakończenie każdej operacji to amatorzy zapełniają listę ofiar śmiertelnych.

Upomniął się w duchu, że to nie jest żadna operacja. Ale jeśli nie operacja, to co?

Saul niepokoił się (przesadnie, zdaniem Cohena) podjętą przez niego próbą zdobycia informacji na temat Barenta i pozostałych. Dopytywał się, czy Cohen zrobił wszystko, żeby zabezpieczyć się przed wykryciem przy przeszukiwaniu komputerowych baz danych? Czy był należycie ostrożny podczas wypadów do Charleston i Los Angeles? Cohen musiał mu w końcu przypomnieć, że siedzi w branży już od lat czterdziestych.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania w Waszyngtonie, kiedy Cohen uświadomił sobie narastający lęk i lekkie wyrzuty sumienia, jakie zawsze mu towarzyszyły, gdy w swoich operacjach wykorzystywał cywilów.

Po raz pięćdziesiąty powtórzył sobie w myślach, że wcale nie wykorzystuje Saula i Natalie.

Może to oni wykorzystują mnie? - pomyślał.

Był pewny, że za śmierć siostrzeńca Saula Laskiego i Leviego Cole'a odpowiadają podlegający Colbenowi agenci kontrwywiadowczego skrzydła FBI. Zabójstwo całej rodziny Aarona Eshkole'a było jednak czymś niewiarygodnym i niewytłumaczalnym. Zdarzało się, że CIA pakowało się w tego rodzaju kłopoty po tym, jak straciło kontrolę nad swoimi współpracownikami (sam był świadkiem fiaska ich operacji w Jordanii, które trzech cywilów przypłaciło życiem), ale nigdy nie słyszał o podobnej wpadce FBI. Odkąd Laski zwrócił mu uwagę na Charlesa Colbena i tego miliardera, Barenta, ich powiązania stały się oczywiste. Cohen bez reszty zaangażował się w wytropienie wszelkich, choćby najdrobniejszych dowodów związanych z zamordowaniem Leviego Cole'a. Levi - jego osobisty protegowany - był bystrym młodym agentem, tymczasowo przydzielonym do sekcji kryptograficznej, żeby tam zdobyć niezbędne doświadczenie, ale

przeznaczonym do innych, naprawdę wielkich rzeczy. Miał wszelkie predyspozycje, żeby stać się doskonałym przedstawicielem tego najrzadszego z rzadkich gatunków: agent-specjalista od pracy w terenie. Był instynktownie ostrożny, ale zarazem podatny na uroki szpiegowskiej gry, tego skomplikowanego, choć czasami nużącego umysłowego pojedynku przeciwników, którzy nigdy nie spotykają się twarzą w twarz i najprawdopodobniej nie poznają nawzajem swoich prawdziwych nazwisk i stanowisk.

Spojrząwszy w dół, Cohen ujrzał błyszczące w popołudniowym słońcu pąki i kwiaty. Miał pewną teorię na temat tego, dlaczego FBI zareagowało tak szybko - i tak ostro. Nie można było wykluczyć, że działający trochę po omacku Aaron i Levi przez przypadek naprowadzili Colbena na trop operacji „Jonasz” - prowadzonego od siedmiu lat projektu infiltracji amerykańskich agencji kontrwywiadowczych. Po wojnie sześciodniowej w Tel Awiwie padła arogancka propozycja, żeby zacząć korzystać bezpośrednio z informacji wywiadu amerykańskiego poprzez umieszczenie kretów i płatnych informatorów na kluczowych stanowiskach. Infiltracja CIA i innych agencji operujących za granicą nie była nawet konieczna; Mossad przeanalizował sytuację i wytypował najlepsze dojścia do FBI i innych organizacji działających na terenie USA. Zakładano, że (oprócz dostępu do danych wywiadu elektronicznego, o jakich Izrael mógł na co dzień jedynie pomarzyć) posiadanie wtyczek w FBI da Mossadowi dostęp także do informacji krajowych i akt najważniejszych figur politycznych, które Biuro gromadziło na własne potrzeby od początków ery J. Edgara Hoovera. A to mogłaby być wiedza bezcenna, gdyby w przyszłości niezbędne okazało się poparcie ze strony Kongresu lub amerykańskiej władzy wykonawczej.

Operację uznawano za zbyt ryzykowną, równie szaloną, jak plan Gordona Liddy’ego - dopóki przerażająca niespodzianka, jaką była wojna Jom Kippur, nie udowodniła starszkom w Tel Awiwie, że od dostępu do takiej właśnie pełnej wiedzy wywiadowczej zależy ni mniej, ni więcej, tylko istnienie Izraela. Operacja „Jonasz” rozpoczęła się w 1974 roku, w tym samym miesiącu, w którym Jack Cohen został szefem placówki w Waszyngtonie. Od tamtej pory „Jonasz” stał się wielorybem, który połknął Mossad. Pochłoniął niewiarygodne ilości czasu i pieniędzy, najpierw potrzebnych, żeby go rozkręcić, następnie - żeby go zakamuflować. Politycy w Tel Awiwie żyli w ciągłym strachu, że Amerykanie wpadną na trop „Jonasza” w momencie, kiedy ich poparcie dla Izraela będzie absolutnie kluczowe. Większości

płynących z Waszyngtonu informacji i tak nie mogli wykorzystać z obawy przed ujawnieniem faktu infiltracji FBI. Cohen doszedł do wniosku, że Mossad zaczyna się zachowywać jak typowy cudzołóżnik: obawia się dnia, w którym romans wyjdzie na jaw, ale ma tak serdecznie dość dręczących go wyrzutów sumienia, że w pewnym sensie nie może się doczekać dekonspiracji.

Rozważył dalsze możliwości działania. Mógł utrzymać kontakt z Saulem i Natalie, zachowywać oficjalny dystans między Mossadem i ich amatorskimi poczynaniami i czekać, co z tego wyniknie. Albo mógł interweniować od razu i, na przykład, pchnąć do akcji placówkę Mossadu na Zachodnim Wybrzeżu. Nie powiedział Saulowi, że w domu na farmie jest podsłuch. Mógł kazać trzem swoim ludziom podjechać wozem transmisyjnym z Los Angeles, zaparkować milę od kryjówki i zestawić bezpieczne połączenie w czasie rzeczywistym. Wymagałoby to zaangażowania co najmniej sześciu agentów Mossadu, ale innego wyjścia nie widział.

Saul mówił, że nie zamierza już czekać na kawalerię, która wynurzy się zza szczytu wzgórza, ale tym razem, pomyślał Cohen, kawaleria tak czy inaczej przybędzie, czy to się karawanie wozów podoba, czy nie. Nie widział związku między operacją „Jonasz” i kontaktami na linii Barent-Colben, tak jak między nieobecnym i - być może - mitycznym nazistą Saula i całym tym szaleństwem, które się rozpętało w Waszyngtonie i Filadelfii, ale coś musiało być na rzeczy.

Zamierzał się dowiedzieć, co to takiego. Jeśli dyrektor ma coś przeciwko temu, trudno.

Zabrał ze sobą tylko małą podręczną torbę, ale ostatecznie nadał ją na bagaż, ponieważ trzymał w niej pistolet. Ochrona na lotniskach to cholerna upierdliwość, pomyślał, czekając przy transporterze bagażu na lotnisku w Waszyngtonie.

Z zadowoleniem rozmyślał o podjętej decyzji, kiedy z torbą na ramieniu wyszedł na parking długoterminowy, na którym zostawił swojego starego niebieskiego chevroleta. Po południu zadzwoni do Los Angeles, do Johna albo Ephraima; da im znać, że kryjówka jest używana, i każe rozpocząć podsłuch. W najgorszym wypadku Saul i Natalie będą mogli liczyć na wsparcie w swoim przedsięwzięciu.

Wcisnął się między chevroleta i sąsiedni samochód, otworzył drzwi i rzucił torbę na fotel pasażera. Zirytowany obejrzał się przez ramię, gdy ktoś wcisnął się w wąską przestrzeń za jego plecami. Nie mógł poczekać, aż

wyjedzie...

Po sekundzie zadziałał wyćwiczony przez lata instynkt, po dwóch Cohen rozpoznał majaczącą w półmroku twarz. To był Levi Cole. Mimo to odruchowo sięgnął do kieszeni marynarki, zanim przypomniał sobie, że pistolet spakował do torby razem ze skarpetkami i bielizną.

Rozłożył ręce w pojednawczym geście. Widok Leviego Cole'a wytrącił go z równowagi.

- Levi?

- Jack!

To było wołanie o pomoc. Młody agent był blady i wychudzony, jakby ostatnie tygodnie przesiedział w więziennej celi. Jego wytrzeszczone oczy były prawie pozbawione wyrazu. Rozłożył puste ręce, jakby chciał objąć Cohena.

Cohen porzucił obronną pozę, ale powstrzymał Cole'a, kładąc mu dłoń na piersi.

- Co się stało, Levi? - zapytał po hebrajsku. - Gdzie się podziewałeś?

Zapomniał, że Levi Cole jest leworęczny. Nóż o krótkim ostrzu bezgłośnie wyskoczył ze sprężynowej pochwy i wylądował w lewej dłoni Leviego, który w tej samej chwili machnął ręką w gwałtownym, spazmatycznym ruchu. Dwie sekundy później ciało Cohena zadygotało w podobnie spazmatycznym rytmie: nóż wszedł pod żebro i dosięgnął serca.

Levi ułożył ciało na fotelu kierowcy i rozejrzał się po parkingu. Limuzyna podjechała z tyłu do chevroleta i zatrzymała się na jałowym biegu, zasłaniając go przed wzrokiem intruzów. Levi wyjął Cohenowi portfel, zabrał pieniądze i karty kredytowe i przeszukał mu kieszenie. Rzeczy z torby rozrzucił na tylnym siedzeniu samochodu. Wziął jeszcze pistolet, bilety lotnicze i kopertę z rachunkami, zanim zrzucił zwłoki na podłogę, zamknął drzwi chevroleta na klucz i podszedł do czekającej na niego limuzyny.

Wyjechali z parkingu i autostradą ruszyli w stronę Arlington.

- Niewiele tego - powiedział Richard Haines do radiotelefonu. - Dwa rachunki za benzynę ze stacji shella w San Juan Capistrano; rachunek z hotelu w Long Beach... Mówi to panu coś?

- Niech twoi ludzie się tym zajmą - zabrzmiał głos Barenta. - Zaczniście od hotelu i stacji benzynowej. Czyżby jaskółeczki wróciły do Capistrano?

- Mogliśmy to przeoczyć - przyznał Haines i zerknął na siedzącego obok Cole'a; Levi patrzył prosto przed siebie. - Co mamy zrobić z pańskim przyjacielem?

- Skończyłem z nim.
- Na dzisiaj czy na dobre?
- Chyba na dobre.
- W porządku, zajmiemy się tym.
- Richardzie?
- Tak?

- Nie zwlekajcie z rozpoczęciem śledztwa, bardzo was proszę. Nie wiem, co zwróciło uwagę pana Cohena, ale cokolwiek to było, podrażniło także moją ciekawość. Najpóźniej w piątek spodziewam się raportu.

- Nie zawiedzie się pan.

Richard Haines odłożył telefon i wyjrzał przez okno na pola Wirginii, wśród których jechali. Dostrzegł spory odrzutowiec, wspinający się na pułap przelotowy; ciekawe, pomyślał Haines, czy to maszyna pana Barenta. Widziane przez mocno przyciemnione szyby niebo miało kolor brandy i ociekało ohydny miedzianym światłem, jakby zbierało się na paskudną burzę.

42.

Okolice Meriden, Wyoming
22 kwietnia 1981, środa

Westernowy krajobraz na północ od Cheyenne w stanie Wyoming jednych ludzi wprawiał w ekstazę, innych mógł przyprawić o ostrą agorafobię. Czterdzieści mil od miejsca, w którym droga lokalna odchodziła od autostrady międzystanowej, wokół samochodu roztaczała się preria, przy której smagane wiatrem płatki przeciwśnieżne wydawały się malutkie i nic nieznaczące. Daleko od drogi widniały rozrzucone samotne rancza, majaczące na północy i wschodzie potężne ostańce skalne przypominały potężne twierdze, rzadko napotykanne strumyki kryły się wśród topól i karłowatych krzewów. Płochliwe gromadki widłorogów i niewielkie stada bydła wydawały się niegodne otaczających je bezkresnych pastwisk.

I silosów raketowych.

W tym krajobrazie każde dzieło ręki ludzkiej prezentowałoby się niepozornie - i silosy nie stanowiły wyjątku. Małe, kwadratowe, ogrodzone kawałki wysypanej żwirem ziemi były oddalone nie dalej niż o pięćdziesiąt do stu jardów od drogi stanowej. Jediną wskazówką, że taki placyk jest czymś więcej niż przepompownią gazu ziemnego lub po prostu pustą działką, były metalowe wiatromierze, cztery zwierciadła na słupach i gruby betonowy strop, osadzony na krótkich rdzewiejących wspornikach - ale żeby dostrzec te szczegóły, trzeba było najpierw podjechać poślubioną koleinami żwirówką na tyle blisko, żeby móc gołym okiem przeczytać tabliczki ostrzegawcze: „WŁASNOŚĆ RZĄDU USA. WSTĘP WZBRONIONY. Wejście na teren zamknięty grozi śmiercią lub kalectwem”. Nie było tam nic więcej do zobaczenia. Jedynym dźwiękiem był szum wiatru nad prerią i dobiegające czasem z oddali porykiwanie bydła.

Niebieska furgonetka sił powietrznych wyjechała z bazy lotniczej Warren o 6:05 rano. Wróciła o 8:27. Przywiozła rozpoczynający służbę personel eskadry, a po drodze odstawiła pracowników następnej zmiany na wyznaczone stanowiska poza bazą. Tego dnia podróżowało nią sześciu młodych poruczników: dwóch udawało się do podlegającego Strategicznemu Dowództwu Wojsk Lotniczych centrum sterowania pociskami raketowymi osiem mil na południowy wschód od Meriden, czterech - do bunkra położonego trzydzieści osiem mil dalej, w stronę Chugwater.

Dwaj porucznicy na tylnym siedzeniu wodzili po przesuwających się za oknem krajobrazach otępiały od rutyny wzrokiem. Znali na pamięć zdjęcia satelitarne pokazujące obejmujący sześć tysięcy mil kwadratowych obszar w taki sam sposób, w jaki postrzegali go Rosjanie: silosy ułożone w dziesięć pierścieni o średnicy ośmiu mil, w każdym z szesnastu tworzących pierścieni silosów wielogłowicowy pocisk Minuteman III. Ostatnio coraz częściej mówiło się o podatności starzejących się silosów na atak nieprzyjaciela; o sowieckiej strategii „przyszpilenia”, wedle której przez wiele godzin nad prerią mogły co minutę wybuchać kolejne ładunki jądrowe; o potrzebie wzmocnienia konstrukcji silosów lub zainstalowania w nich broni nowszej generacji. Były to jednak problemy polityczne, które nieszczerólnie interesowały poruczników Daniela Beale’a i Toma Waltersa. Ci dwaj byli dwójką zwykłych młodych ludzi, którzy w rześki wiosenny poranek musieli dojechać do pracy.

- Nie śpisz, Tom? - spytał Beale.

- Nie - odparł Walters, nie odrywając wzroku od odległego widnokręgu.

- Imprezowałeś do późna z tymi turystami?

- Nie, o ósmej byłem w łóżku.

Beale poprawił ciemne okulary i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Aha, bo ci uwierzę...

Furgonetka zwolniła i skręciła w lewo, na północny zachód, w zwirową drogę wspinającą się na łagodne wzniesienie. Minęli trzy tabliczki nakazujące osobom nieupoważnionym natychmiastowe zawrócenie i powrót tam, skąd przyjechali. Čwierć mili dalej zatrzymali się przy pierwszej bramie strzeżonej przez wartownika. Wszyscy okazali mu identyfikatory, a on przez radio dał znać dalej. Procedura została powtórzona przy wjeździe na teren głównego kompleksu. Beale i Walters przeszli wygradzonym korytarzem do wolno stojącej windy do schronu, a furgonetka zawróciła i zaparkowała przodem w dół zbocza. Spaliny niosły się wysoko w chłodnym porannym powietrzu.

- Dorzuciłeś się do puli Smitty’ego? - spytał Beale, gdy czekali na windę.

Uzbrojony w M-16 znudzony strażnik stłumił ziewnięcie.

- Nie - odparł Walters.

- Serio? Myślałem, że chcesz się dołączyć.

Walters pokręcił głową. Wsiedli do niedużej windy, którą zjechali trzy kondygnacje pod ziemię, do centrum sterowania wyrzutnią. Przeszli jeszcze przez dwa posterunki, zanim zameldowali się u oficera dyżurnego w

przedsionku centrum. Była punkt siódma.

- Porucznik Beale melduje się na służbie, panie kapitanie.
- Porucznik Walters melduje się na służbie, panie kapitanie.
- Dokumenty poproszę - powiedział kapitan Peter Henshaw.

Dokładnie porównał zdjęcia na identyfikatorach z twarzami poruczników, chociaż znał ich obu od ponad roku. Na dany przez niego znak sierżant wsunął kodowaną kartę zabezpieczającą do czytnika przy drzwiach. Zewnętrzne drzwi otworzyły się z sykiem. Dwadzieścia sekund później otworzyły się drzwi wewnętrzne, zza których wyszli dwaj porucznicy lotnictwa. Cała czwórka zasalutowała sobie z uśmiechem.

- Sierżancie, proszę zapisać w książce dyżurów, że porucznik Beale i porucznik Walters zmienili porucznika Lopeza i porucznika Millera o godzinie... siódmej zero jeden i trzydzieści sekund - polecił Henshaw.

- Tak jest, panie kapitanie.

Zmęczeni Lopez i Miller zdali przypięte do pasa pistolety i dwa grube segregatory.

- Działo się coś? - zaciekał się Beale.

- O trzeciej pięćdziesiąt test łączności wykazał jakiś problem z linią telefoniczną - odparł Lopez. - Gus już się tym zajął. O czwartej dwadzieścia mieliśmy stan gotowości, o piątej dziesięć próbny alarm. O piątej trzydzieści pięć alarm przy szóstym południowym.

- Jak zwykle króliki? - domyślił się Beale.

- Uszkodzony czujnik ciśnienia. I to by było tyle. Co ty, śpisz jeszcze, Tom?

- Nie - odparł z uśmiechem Walters.

- Czuj duch - powiedział jeszcze Lopez i obaj z Millerem wyszli.

Beale i Walters zamknęli za sobą oboje drzwi śluzy i weszli do długiego i wąskiego centrum sterowania. Przypięli się pasami do grubo tapicerowanych niebieskich foteli zainstalowanych na szynach biegnących wzdłuż północnej i zachodniej ściany pomieszczenia. Sprawnie, komunikując się przez zestawy słuchawkowe z pracownikami z innych części kompleksu, odhaczyli pięć pierwszych list kontrolnych. O siódmej czterdzieści trzy centrum dowodzenia w Omaha zarządziło test systemów łączności w bazie Warren; Beale kolejno odebrał potwierdzenia ze wszystkich dwunastu kanałów.

Odłożył telefon i spojrzał na Waltersa.

- Na pewno dobrze się czujesz, Tom?
- Głowa mnie boli.

- W apteczce jest aspiryna.
- Później.

O jedenastej pięćdziesiąt sześć, kiedy Beale odkręcał termos i wyjmował drugie śniadanie, całą bazę sił powietrznych Warren postawiono w stan podwyższonej gotowości. O jedenastej pięćdziesiąt osiem Beale i Walters otworzyli czerwony sejf pod pulpitem numer dwa, wyjęli swoje klucze i aktywowali sekwencje startowe pocisków. O dwunastej dziesięć i trzydzieści sekund sekwencje startowe zostały zakończone, zabrakło tylko uzbrojenia i odpalenia szesnastu pocisków i przenoszonych przez nie łącznie stu dwudziestu głowic. Baza pogratulowała im „dobrej roboty” i Beale uruchomił dwuminutową procedurę obniżenia stanu gotowości, kiedy Walters niespodziewanie odpiął pasy, wstał z fotela i odszedł od pulpitu.

- Tom? Co ty robisz? Musimy zejść na poziom drugi, zanim będziemy mogli coś zjeść.

- Głowa mnie boli - odparł Walters. Był chorobliwie blady, oczy błyszczały mu szkliście.

Beale sięgnął po apteczkę leżącą na półce obok termosu.

- Mam tu chyba anacynę, wzmocnioną dawkę...

Porucznik Walters wyjął pistolet i strzelił porucznikowi Beale'owi w tył głowy, mierząc precyzyjnie z góry na dół i nieco w bok, żeby wychodzący z rany pocisk ominął pulpit. Kula nie przeszła na wylot. Beale zadrżał i zwiśł bezwładnie w uprząży fotela. Wskutek gwałtownej zmiany ciśnienia krew pociekła mu z oczu, uszu, nosa i ust.

Po kilku sekundach zaczęły migać żółte lampki dwóch interkomów. Włączyła się również sygnalizacja otwieranych zewnętrznych drzwi śluzy.

Walters bez pośpiechu podszedł do drzwi wewnętrznych i wpakował dwie kule w elektroniczny zamek, po czym cofnął się do pulpitu Beale'a i pstryknięciem przełącznika przestawił pomieszczenie na stuprocentowe zasilanie tlenem ze zbiorników awaryjnych. W końcu wrócił na swój fotel i przez następne kilka minut pilnie studiował instrukcję obsługi pulpitu. Zajadłe łomotanie w stalowe drzwi było ledwie słyszalne.

W końcu Walters wstał, przemierzył siedem kroków, które dzieliły go od fotela Beale'a, wyjął z kieszeni trupa długi klucz i włożył go we właściwe miejsce na pulpicie, po czym uzbroił pociski. Następnie zrobił to samo przy swoim stanowisku. Wsunął swój klucz w przeznaczony dla niego otwór.

Uruchomił interkom.

- ...do cholery pan wyrabia, poruczniku?! - usłyszał głos pułkownika

Andersona z dowództwa bazy Warren. - Dobrze pan wie, że do przekręcenia kluczy potrzebne są dwie osoby! Proszę natychmiast otworzyć drzwi!

Walters wyłączył interkom i patrzył, jak zegar odmierzający czas wstecz przekracza granicę dziewięćdziesięciu sekund. Według podręcznika, w tej właśnie chwili uzbrojone zostały ładunki wybuchowe odpowiedzialne za odstrzelenie ważących sto dziesięć ton betonowych pokryw silosów i odsłonięcie lśniących stalowych studni i stożkowatych dziobów nieruchomych minutemanów. Sześćdziesiąt sekund przed odpaleniem zawyją syreny alarmowe - teoretycznie po to, by uprzedzić o niebezpieczeństwie przebywające w pobliżu ekipy inspekcyjno-remontowe; w rzeczywistości mogą zakłócić spokój co najwyżej królikom, pasącym się w okolicy krowom i przypadkowemu ranczerowi, gdyby akurat przejeżdżał w pobliżu. Wtedy zasilane paliwem stałym minutemany będą czekały już tylko na zapłon elektronicznego lontu; wskazanie celów, wgranie programów naprowadzających, włączenie żyroskopów i całej niezbędnej do startu elektroniki nastąpiło już wcześniej, podczas alarmu próbnego.

Trzydzieści sekund przed wystrzeleniem rakiet komputery wstrzymają odliczanie w oczekiwaniu na sygnał startowy w postaci przekręcenia obu kluczy jednocześnie. Dopóki to nie nastąpi, odliczanie pozostanie zawieszona bezterminowo.

Walters spojrzął na pulpit Beale'a. Klucze dzieliło szesnaście stóp. Należało je przekręcić w odstępie nie dłuższym niż jedna sekunda; siły powietrzne bardzo się postarały, żeby uniemożliwić jednemu człowiekowi aktywację swojego klucza i błyskawiczny przeskok do sąsiedniego pulpitu, żeby w porę przekręcić także drugi klucz,

Tom Walters uśmiechnął się półgębkiem. Podszedł do pulpitu Beale'a, odsunął zagradzający mu dojsie fotel z ciałem i wyjął z kieszeni łyżkę i dwa kawałki sznurka. Łyżka była najzwyczajszą łyżką stołową, podprowadzoną ze stołówki oficerskiej.

Krótszym sznurkiem przywiązał łyżkę do klucza w taki sposób, żeby jej trzonek tworzył z nim kąt prosty, po czym przyczepił dłuższy kawałek sznurka do końca trzonka. Wrócił do swojego pulpitu, napiął sznurek, odczekał, aż zegar wskaże trzydzieści sekund, a potem przekręcił swój klucz i pociągnął za sznurek. Łyżka zapewniła wystarczającą dźwignię, żeby klucz Beale'a również się obrócił.

Komputer potwierdził przyjęcie sygnału startowego, zweryfikował kod startowy, który Walters z Beale'em wprowadzili podczas alarmu próbnego, i

rozpoczął ostatnie pół minuty odliczania.

Walters przysunął sobie notes i sporządził krótką notatkę. Spojrzał na drzwi, których fragment tuż przy zamku żarzył się wiśniową poświatą: próbowali się przez nie przebić palnikiem acetylenowym, ale metal wytrzyma jeszcze co najmniej dwie minuty.

Porucznik Tom Walters uśmiechnął się, przypiął pasami do fotela, włożył lufę pistoletu do ust, oparł muszkę o podniebienie i kciukiem nacisnął spust.

Trzy godziny później generał sił powietrznych Verne Ketchum i jego adiutant pułkownik Stephen Anderson wyszli z kompleksu zabudowań, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i popatrzeć na panujący wokół chaos. Blisko tuzin wojskowych pojazdów i trzy karetki zapełniły parking i przelały się w dół stoku za wewnętrznym ogrodzeniem. Pięć śmigłowców stało na ziemi za ogrodzeniem od strony zachodniej, a Ketchum widział i słyszał dwa kolejne, nadlatujące z południowego zachodu.

Pułkownik Anderson spojrzał w bezchmurne niebo.

- Zastanawiam się, co sobie myślą Rosjanie.

- Chrzanić Rosjan - odparł Ketchum. - Wystarczy, że wszyscy tu, na miejscu, trują mi dupę. Jeszcze tylko wiceprezydenta brakowało, ale jak wrócimy do środka, będzie już wisiał na telefonie. I wszyscy chcą wiedzieć, co się stało. Co ja im mam powiedzieć, Steve?

- Miewaliśmy już wcześniej różne problemy - przyznał Anderson - ale coś takiego jeszcze nam się nie zdarzyło. Widział pan wyniki badań psychologicznych Waltersa, świeże, sprzed dwóch miesięcy: facet przeciętnie inteligentny, kawaler, dobrze reagował na stres, ambitny tylko w sprawach służbowych, rozkazy wypełniał co do joty, wyobraźni miał tyle, co ta bylica, w jesiennych zawodach ekip raketowych w Vanderburgu był w zwycięskim zespole... Idealny kandydat na operatora pocisków.

Ketchum zapalił cygaro i spojrzał na adiutanta poprzez kłąb dymu.

- Więc co tu się właściwie stało, do kurwy nędzy?!

Anderson pokręcił głową, obserwując nadlatujący helikopter.

- To wszystko nie ma sensu. Walters wiedział, że ostatni etap odpalenia pocisków, przekręcenie kluczy, trzeba wykonać równocześnie z drugim dwuosobowym zespołem, znajdującym się w osobnym centrum sterowania. Musiał zdawać sobie sprawę, że przy braku reakcji drugiej dwójki komputery wstrzymają odliczanie na pięć sekund przed startem. Zabił Beale'a i siebie na darmo.

- Masz ten jego liścik? - burknął Ketchum z cygarem w ustach.
- Tak jest, panie generale.
- Daj mi go.

List pożegnalny Waltersa został zapakowany w torebkę foliową, chociaż Ketchum nie rozumiał, po co to komu. Na pewno nie musieli na nim szukać odcisków palców.

Widoczne przez folię pismo było wystarczająco czytelne:

*WvB do CAB
Pionek na b6. Szach.
Christian, twój ruch.*

- Co to ma być, jakiś cholerny szyfr, Steve? Mówi ci coś ten szachowy bełkot?

- Nie, panie generale.

- Myślisz, że CAB to Civil Aeronautics Board? Rada Lotnictwa Cywilnego?

- To by było bez sensu, panie generale.

- A ten cały Christian? Co to ma być? Chrześcijanin? Walters był z tych... ponownie narodzonych, czy jak?

- Nie, panie generale. Kapelan w bazie twierdzi, że był unitarianinem, ale nie uczestniczył w nabożeństwach.

- „W” i „B” mogłyby oznaczać Waltersa i Beale’a... - Ketchum się zadumał. - Ale po kiego wsadził to „v” do środka?

- Nie mam pojęcia, panie generale. - Anderson pokręcił głową. - Może ktoś z wywiadu albo FBI wiedziałby coś więcej. Tym zielonym śmigłowcem powinien przylecieć facet z FBI w Denver.

- Cholernie żałuję, że trzeba ich tu było ściągnąć - mruknął Ketchum. Wyjął cygaro z ust i splunął.

- Inaczej się nie da. Takie są przepisy, panie generale.

Generał Ketchum posłał swojemu adiutantowi takie spojrzenie, że ten spuścił wzrok i nagle zainteresował się kaniem na swoich spodniach.

- W porządku - powiedział w końcu Ketchum i pstryknął niedopałkiem w stronę ogrodzenia. - Chodź, pogadamy z tymi cywilnymi geniuszami. Dzień i tak już mam spieprzony, gorzej być nie może.

Zrobił w tył zwrot i ruszył w stronę oczekującej już w oddali delegacji.

Pułkownik Anderson podbiegł do miejsca, w którym upadł wyrzucony przez generała niedopałek, sprawdził, czy na pewno został zgaszony, i

pośpieszył za swoim przełożonym.

43.

Melanie

W pewnym sensie świat wydawał mi się bezpieczniejszy.

Światło sączyło się łagodnie przez zasłony i żaluzje, padając na znajome powierzchnie: ciemne drewno łóżka, wysoką szafę, którą rodzice zamówili w roku stulecia powstania Stanów Zjednoczonych, moje szczotki do włosów ułożone - jak zwykle - w rzędku na toalecie, leżącą w nogach łóżka babciną kołdrę.

Miło było po prostu leżeć tak i słuchać odgłosów krzątania w domu. Howard i Nancy zamieszkali obok mnie, w pokoju dla gości, niegdyś zajmowanym przez moich rodziców. Siostra Oldsmith sypiała na składanym tapczanie u mnie w sypialni, przy drzwiach. Panna Sewell większość czasu spędzała w kuchni, zajęta przygotowywaniem posiłków dla nas wszystkich. Doktor Hartman teoretycznie mieszkał w domu po sąsiedzku, po drugiej stronie podwórka, ale podobnie jak pozostali najczęściej przebywał u nas, doglądając mnie i zaspokajając moje potrzeby. Culleyowi dostał się pokój przy kuchni, dawniej należący do pana Thorne'a. Culley niewiele sypiał, nocami najczęściej przesiadywał na krześle w holu, nieopodal wejścia. Czarny chłopiec spał na połowym łóżku wystawionym na werandę z tyłu domu; noce były jeszcze chłodne, ale to mu nie przeszkadzało.

Mały chłopczyk, Justin, dużo czasu spędzał ze mną: cesał mnie, zaglądał do czytanych przeze mnie książek, był zawsze pod ręką, kiedy potrzebowałam go do załatwienia jakiegoś drobiazgu. Czasem wysyłałam go po prostu do mojej pracowni krawieckiej, żeby posiedział na wiklinowym szezlongu i porozkoszował się ciepłem słońca, widokiem pogodnego nieba nad ogrodem i zapachem zakupionych i posadzonych przez Culleya nowych kwiatów doniczkowych. Hummele i inne porcelanowe figurki wyeksponowałam w gablotce, którą wcześniej czarny chłopiec na moje polecenie naprawił.

Oglądanie świata oczami Justina było bardzo przyjemne, choć chwilami także niepokojące. Wrażenia płynące z jego zmysłów - niezwykle czułych, zupełnie wolnych od interferencji świadomości - były tak wyraziste, że niemal sprawiały mi ból. Z całą pewnością były także uzależniające, z tym większym trudem wracałam więc do fizycznych ograniczeń swojego ciała.

Siostra Oldsmith i panna Sewell z optymizmem wypowiadały się o mojej

rekonwalescencji i z zapalem prowadziły terapię. Godziłam się na to, ba, nawet je do tego zachęcałam, ponieważ naprawdę chciałam móc znowu chodzić, mówić i w ogóle wrócić do świata żywych - a jednak moje postępy, które, jak twierdziły, były wyraźnie widoczne, budziły we mnie wątpliwości, ponieważ wiązały się z osłabieniem mojego nieoczekiwanie wzmocnionego Talentu.

Doktor Hartman codziennie mnie badał, przeprowadzał testy i wygłaszał zachęcające przemowy. Pielęgniarki mnie kąpały, co dwie godziny obracały na łóżku i poruszały moimi kończynami, żeby mięśnie i stawy mi się nie zastały. Niedługo po naszym powrocie do Charleston rozpoczęły także terapię wymagającą mojego aktywnego udziału. Owszem, byłam w stanie poruszyć lewą ręką lub nogą, wtedy jednak kontrolowanie mojej małej rodziny stawało się dla mnie niezwykle trudne, prawie niemożliwe, dlatego wkrótce przyjął się w domu zwyczaj, że codziennie przez dwie i pół godziny, które poświęcałam na zajęcia z moimi terapeutkami, wszyscy poza nimi dwiema i mną samą siedzieli przy stołach albo kładli się do łóżek. Dzięki temu nadzorowanie ich wymagało ode mnie nie więcej uwagi i wysiłku niż dogłądanie koni w stajni.

Pod koniec kwietnia odzyskałam wzrok w lewym oku i jako tako zaczęłam ruszać rękami i nogami. Wrażenia płynące z lewej połowy mojego ciała były nadzwyczaj niecodzienne - choć wcale nie przykre: czułam się jak po zastrzykach nowokainy w zuchwę, rękę, bok, biodro i nogę.

Doktor Hartman był ze mnie dumny. Twierdził, że jestem niezwykle przypadkiem, ponieważ mimo poważnej deprivacji sensorycznej (będącej skutkiem incydentu mózgowo-naczyniowego) oraz oczywistego niedowładu połowiczego nie doszło u mnie do trwałego upośledzenia percepcji wizualnej; nie wykazywałam oznak parafazji ani perseweracji.

Fakt, że przez te trzy miesiące nie odezwałam się ani słowem, nie oznaczał, że doktor mylił się, kiedy twierdził, że nie cierpię na żadną z dysfunkcji mowy, jakie często stają się udziałem ofiar udaru. Przemawiałam codziennie - ustami Howarda, Nancy, panny Sewell i innych, a podsłuchując przez jakiś czas doktora Hartmana, wyrobiłam sobie pewne pojęcie w kwestii tego, dlaczego moja zdolność mowy nie ucierpiała.

Głównym powodem był fakt, że niedokrwienie ograniczyło się do prawej półkuli mózgu. Podobnie jak u większości osób praworęcznych, mój ośrodek językowy umiejscowiony był w półkuli lewej, nietkniętej udarem. Doktor Hartman wskazywał jednak, że ofiary tak rozległych incydentów mózgowo-

naczyniowych często miewają problemy z mową i percepcją, przynajmniej do czasu, aż funkcje te zostaną przeniesione do nowych, nieuszkodzonych obszarów mózgu. Uświadomiłam sobie, że w moim wypadku tego rodzaju proces przeniesienia trwa nieustannie - dzięki mojemu Talentowi. Odkąd zaś Talent ów został wzmocniony, nabrałam przekonania, że nie straciłabym nic ze swoich zdolności językowych, daru mowy i osobowości nawet gdyby uszkodzeniu uległy obie półkule mojego mózgu. Miałam nieograniczone zapasy świeżej tkanki mózgowej! Każda osoba, z którą nawiązywałam kontakt, stawała się dla mnie dawcą neuronów, synaps, skojarzeń językowych i pamięci.

Stałam się nieśmiertelna - w jak najbardziej dosłownym sensie.

Wtedy właśnie zaczęłam rozumieć zarówno uzależniający potencjał, jak i korzyści zdrowotne płynące z naszej Gry. Nasz Talent (zwłaszcza wykorzystywany w tak bezkompromisowy sposób, jakiego wymagała Gra) autentycznie nas odmładza. Tak jak współcześnie odmładza się pacjentów, przeszczepiając im nowe organy i tkanki, tak my odnawialiśmy swoje życie poprzez Używanie innych ludzi, przeszczepy energii, zapożyczanie RNA, neuronów i innych ezoterycznych składników, do których nowoczesna nauka zredukowała ludzki umysł. Oglądając Melanie Fuller błyszczącymi oczami Justina, widziałam śpiącą starą kobietę, skuloną w pozycji płodowej, bladą, kościstą, z kroplówką podłączoną do wychudzonej ręki - i wiedziałam, że jest to widok ogromnie mylący. Czułam się młodsza niż kiedykolwiek wcześniej, chłoniłam energię otaczających mnie ludzi, tak jak słońce chłonie światło słońca. Wiedziałam, że wkrótce będę gotowa wstać z łóżka, wskrzeszona promienną energią, która dzień po dniu i tydzień po tygodniu spływała w moje ciało.

Otworzyłam gwałtownie oczy. Był środek nocy.

Na Boga, pomyślałam, może właśnie w ten sposób Nina przeżyła swoją śmierć?!

Skoro na skutek śmierci tlenowej skrawka mojego mózgu mój Talent nasilił się, zwiększył swój zasięg i możliwości, to czego mógł dokonać Talent Niny (o wiele potężniejszy od mojego) w mikrosekundę po tym, jak trafiła ją kula z pistoletu? Czymże był taki pocisk wystrzelony prosto w mózg z colta peacemakera, jeśli nie większą i bardziej dramatyczną odmianą mojego incydentu mózgowo-naczyniowego?

Od czasu naszej konfrontacji wola i świadomość Niny mogły już ze sto

razy zmienić gospodarza, przeskakując przez kolejne służalcze umysły. Byłam wystarczająco odczytana, żeby mieć świadomość, że ludzi podtrzymuje się teraz przy życiu za pomocą maszyn, które zastępują, stymulują lub symulują serce, nerki i Bóg jeden wie jakie jeszcze organy. Myśl, że czysta i silna świadomość Niny czepiła się uparcie życia i przetrwała w umysłach innych, wcale nie wydawała mi się niedorzeczna.

Ciało gnije w trumnie, podczas gdy dzięki Talentowi umysł skrada się przez noc niczym pozbawiony formy, okrutny duch. Niebieskie oczy unoszące się w oczodołach na wezbranej fali robactwa. Zniszczony mózg, który jednocześnie gnije i się odtwarza. Energia wszystkich Użytych przez nią ludzi gromadząca się w jej ciele do chwili, gdy Nina wstaje z martwych w promiennej eksplozji młodości, którą i ja odczuwałam - z tą tylko różnicą, że jest brnącym w ciemnościach trupem.

Czy przyszlaby wtedy tutaj?

Cała moja rodzina nie spała tej nocy - niektórzy czuwali przy mnie, inni odgradzali mnie od mroku... Ale i ja nie mogłam zasnąć.

Pani Hodges nie chciała sprzedać domu, dopóki doktor Hartman nie zaoferował jej - i nie zapłacił - astronomicznej sumy. Mogłam się wprawdzie wtrącić do negocjacji, ale po tym, jak zobaczyłam panią Hodges, postanowiłam tego nie robić.

Przez niespełna pięć miesięcy od czasu, gdy jej mężowi przydarzył się niefortunny śmiertelny wypadek, postarzała się o dwadzieścia lat. Zawsze dbała o to, żeby włosy mieć ufarbowane na brąz (w ewidentnie nienaturalnym odcieniu), teraz jednak, zaniedbane, zwisały jej z głowy w smętnych, siwych pasemkach. Jej oczy straciły wszelki błysk. Zawsze była brzydka, z czasem jednak przestała choćby próbować ukryć zmarszczki, brodawki i pieprzyki pod maską makijażu.

Zapłaciliśmy astronomiczną sumę, której zażądała. Pieniądze wkrótce miały przestać być dla nas problemem, a w dodatku na widok pani Hodges przyszły mi do głowy inne sposoby wykorzystania jej w przyszłości.

Wiosna przyszła z wdziękiem, jak zawsze na moim ukochanym Południu. Dawałam się czasem Culleyowi przenosić do pracowni krawieckiej, raz nawet - ale tylko raz - pozwoliłam mu wynieść się wraz z szezlongiem przed dom, skąd mogłam obserwować mojego czarnego chłopca przy pracy w ogrodzie. Culley, Howard i doktor Hartman otoczyli całą posiadłość

wysokim płotem, który na tyłach sięgał na wysokość aż dziesięciu stóp, dzięki czemu wścibscy sąsiedzi nie stanowili problemu, ale mnie po prostu nie odpowiadało wylegiwanie się w słońcu. Zdecydowanie wolałam dzielić odczucia Justina, kiedy siedział na trawie albo przychodził do opalającej się nago na patio panny Sewell.

Dni stawały się coraz dłuższe i coraz cieplejsze. Przez otwarte okna zawiewał łagodny wietrzyk. Chwilami wydawało mi się, że słyszę dobiegające z podwórka piski i śmiechy wnuczki pani Hodges i jej koleżanki, ale szybko uświadamiałam sobie, że to tylko dzieci bawiące się nieco dalej, przy ulicy.

Dni pachniały świeżo skoszoną trawą, noce - kapryfolium. Czulałam się bezpiecznie.

44.

Beverly Hills

23 kwietnia 1981, czwartek

Było wczesne czwartkowe popołudnie. Tony Harod wylegiwał się w królewskim łóżu w hotelu Beverly Hilton i rozmyślał o miłości. Nigdy go specjalnie nie interesowała. Jego zdaniem była farsą odpowiedzialną za tysiące życiowych banałów, wymówką dla wszelkich kłamstw, złudzeń i hipokryzji tworzących związek międzyludzki. Szczycił się tym, że przeleciał setki (jeśli nie tysiące) kobiet i nigdy nie udawał, że w którejś się zakochał, nawet jeśli miał wrażenie - w tych ostatnich chwilach, kiedy jego władza nad nimi sięgała zenitu i kulminowała w orgazmie - że doświadcza czegoś zbliżonego do miłości.

A teraz Tony Harod był zakochany.

Co rusz łapał się na rozmyślaniach o Marii. Pod palcami dokładnie czuł fakturę jej skóry. Śnił o jej słodkim zapachu. Jej ciemne włosy, ciemne oczy i łagodny uśmiech krążyły na obrzeżach jego świadomości jak obraz rejestrowany na skraju pola widzenia, nieuchwytny i znikający przy najmniejszym ruchu.

Podłożył ręce pod głowę i zagapił się na sufit. W skotłowanej pościeli wciąż utrzymywał się morski zapach seksu. W łazience głośno szumił prysznic.

Za dnia prowadzili normalne życie. Ona przynosiła mu rano pocztę do jacuzzi, załatwiała telefony, pisała dyktowane przez niego pisma, a potem razem szli do studia przejrzeć nowe ujęcia *Białego łowcy niewolników* i zrecenzować materiał z poprzedniego dnia. Sceny w studiu przeniesiono z Pinehurst do Paramountu ze względu na kłopoty z brytyjskimi związkami zawodowymi, a Harodowi bardzo odpowiadał fakt, że może nadzorować produkcję, nie spędzając przy tym tygodni poza domem. Poprzedniego dnia przeglądał robocze zdjęcia z udziałem Janet Delacourte, dwudziestoosmioletniej krowy zaangażowanej do roli napisanej dla ponętnej siedemnastolatki, gdy nagle wyobraził sobie w tej roli Marię Chen - jej subtelną twarz w miejscu topornie wyrażającej emocje gęby Delacourte, jej kuszącą i zmysłową nagość zamiast bladej i przyciężkiej sylwety tamtej gwiazdki.

Od Filadelfii kochali się tylko trzy razy; ta powściągliwość, której nie

rozumiał, rozpalala w nim pożądanie, przechodzące płynnie z fizycznego w psychiczne. Myślał o Marii przez większość dnia. Sam jej widok, kiedy szła przez pokój, sprawiał mu przyjemność.

Prysznic ucichł. Harold usłyszał szmer ręcznika osuszającego ciało, a zaraz potem warkot suszarki.

Próbował sobie wyobrazić życie z Marią. Razem mieli dość pieniędzy, żeby w każdej chwili móc wyjechać i przez dwa, trzy lata nie musieć się o nic martwić. Mogliby pojechać, gdzie dusza zapragnie. Zawsze miał ochotę rzucić tę robotę w diabły, znaleźć sobie jakąś wysepkę na Bahamach czy gdzieś i przekonać się, czy jest w stanie napisać coś lepszego niż scenariusz sztamkowego gniota. Wyobrażał sobie, jak zostawia Barentowi z Keplerem liścik w stylu „Walcie się wszyscy” i wyjeżdża na kraniec świata; Maria wraca z plaży ubrana w niebieski kostium kąpielowy, rozmawiają przy świeżo mielonej kawie i croissantach, słońce wschodzi nad laguną... Podobał mu się ten stan zakochania.

Naga Janet Delacourte wyszła z łazienki i stanęła nad nim, roztrzásając długie blond włosy.

- Tony, kotku, nie masz czasem papieroska?

- Nie.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Miała twarz okrutnej piętnastolatki i piersi, które wypełniłyby każdy mokry sen Russa Meyera. Po trzech filmach jej talent aktorski wciąż pozostawał litościwie nieodkryty. Wyszła za mąż za sześćdziesięcioletniego milionera z Teksasu, który kupił jej na własność konia czystej krwi oraz rolę diwy w wieczorze operowym, z którego całe Houston śmiało się przez następne pół roku, a teraz pomału kupował jej całe Hollywood. Tydzień temu Schu Williams, reżyser *Białego łowcy niewolników*, zasugerował przy drinku Haroldowi, że Delacourte nie umiałaby wiarygodnie zagrać upadku nawet gdyby ją zepchnąć z urwiska do morza. Harold przypomniał mu wówczas, skąd pochodzą trzy miliony z dziewięciomilionowego budżetu filmu, i zaproponował, żeby po raz piąty przerobić scenariusz i pozbyć się scen, w których Janet musiałaby robić cokolwiek, co ją przerasta (na przykład mówić), a w zamian dodać kilka ujęć w wannie i haremie.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Mam jeszcze jednego w torebce.

Janet zaczęła grzebać w płóciennej torbie większej niż przeciętny bagaż podręczny, jaki Harold zabierał do samolotu.

- Nie masz dziś drugiej sesji? - spytał. - Mieliście chyba powtarzać scenę

w seraju z Dirkiem...

- Nie. - Palila i żuła gumę jednocześnie. O dziwo, jedno i drugie robiła z otwartymi ustami. - Schuey mówi, że lepiej niż we wtorek i tak nie będzie. - Wyciągnęła się na łóżku na brzuchu, podparta na łokciach. Olbrzymie piersi spoczęły na piszczelach Haroda jak dwa jasne melony na półce w sklepie spożywczym.

Zamknął oczy.

- Tony, skarbie, czy to prawda, że masz oryginał tej taśmy?

- Jakiej taśmy?

- No wiesz, tej, na której mała Shayla Berrington obciąża jakiegoś koleśowi.

- A, o tej mówisz.

- Kurde, przez ostatnie parę miesięcy widziałam ten dziesięciminutowy filmik na co najmniej sześćdziesięciu imprezach. Mógłby kto pomyśleć, że się ludziom znudzi... Płaska jest jak deska, nie?

- Mhm.

- Byłam na tej imprezie dobroczynnej, na którą została zaproszona, wiesz, dla tych tam... porażających dzieci, czy jak... Siedziała przy jednym stoliku z Dreyfusem, Clintem i Meryl. Jest taka nadęta, że chyba sobie wyobraża, że jej kupka nie śmierdzi. Wiesz, co mam na myśli? Dobrze jej tak, że wszyscy mają z niej polewkę.

- Naprawdę?

- Żebyś wiedział. A już w ogóle najzabawniejszy to był Don. Wystąpił z taką śmieszną przemową, nie? Każdemu przy tym stoliku na przedzie jakoś tam przyciął, w końcu dochodzi do Shayli i mówi tak: „Zaszczyciła nas swoją obecnością najpiękniejsza młoda syrenka od czasów, kiedy Ester Williams odłożyła czepek na półkę”, jakoś tak powiedział, no nie, tylko śmieszniej. To jak, masz ją, czy nie?

- Ale co?

- No jak to, co? Taśmę. Oryginał.

- A jakie to ma znaczenie, kto ma oryginał, jeśli wszyscy mają kopie?

- Tony, kotku, jestem po prostu ciekawa. I tyle. Pomyślałam sobie, że to by było niezłe świństwo, gdybyś nagrał ten filmik po tym, jak odrzuciła rolę w *Białej owcy*.

- W *Białej owcy*?

- Schuey tak mówi. No wiesz, tak jak Chris Plummer zawsze zamiast *Dźwięki muzyki* mówi *Wdzięki muzyki*, nie? Wszyscy tak mówimy na planie.

- Urocze. A kto powiedział, że Berrington w ogóle dostała propozycję tej roli?

- Tony, dzióbku, wszyscy wiedzą, że była pierwsza w kolejce. Gdyby się zgodziła, budżet byłby pewnie kosmiczny. Dwadzieścia milionów? - Janet zgasiła papierosa i parsknęła śmiechem. - A teraz, oczywiście, nie dostanie ani centa. Podobno Disney zrezygnował z musicalu z nią i Donnym w rolach głównych, a Marie skreśliła ją z obsady tego cudeńka, które kręcili na Hawajach. Jej mormońska mamuska niewąsko się zapieniła i dostała zawału, czy coś... Paskudna sprawa.

Skubnęła palce stóp Haroda, przesunęła piersiami w górę i w dół po jego nogach. Odwrócił się i usiadł na skraju łóżka.

- Idę wziąć prysznic. Będiesz tu jeszcze, jak wrócę?

Janet Delacourte strzeliła balonem z gumy, obróciła się na plecy i uśmiechnęła się, patrząc na niego do góry nogami.

- A chcesz, żebym była, misiaczku?

- Niespecjalnie.

Janet odwróciła się na brzuch.

- Wał się - powiedziała bez cienia wrogości w głosie. - Jadę na zakupy.

Czterdzieści minut później Tony Harod wyszedł z hotelu, przystanął pod zadaszeniem przy wejściu i dał kluczyki boyowi w czerwonej kamizelce i białych spodniach.

- Który dzisiaj ma być, panie Harod? Mercedes czy ferrari?

- Dziś interesuje mnie szary szwabski wóz.

- Już się robi, proszę pana.

Czekając, Harod zmrużył przesłonięte okularami oczy i patrzył na palmy rysujące się na tle błękitnego nieba. Doszedł do wniosku, że w Los Angeles panuje chyba najnudniejszy klimat na świecie. No, może poza południową częścią Chicago, gdzie się wychował.

Mercedes podjechał pod wejście. Harod obszedł go dookoła, wyciągnął rękę z pięciodolarowym banknotem... i spojrzął prosto w uśmiechniętą twarz Josepha Keplera.

- Wskakuj, Tony - polecił mu Kepler. - Mamy do pogadania.

Ruszyli w stronę Coldwater Canyon. Kepler prowadził. Harod obserwował go zza lustrzanych szkieł.

- Ochrona w Hiltonie schodzi na psy - powiedział Harod. - Wpuszczają człowiekowi do wozu najróżniejsze śmiecie.

Kepler posłał mu ten swój uśmieszek Charltona Hestona.

- Johnny mnie zna - odparł. - Powiedziałem mu, że to taki dowcip.

- Ha, ha, ha.

- Mamy do pogadania, Tony.

- To już powiedziałeś.

- Myślisz, że jesteś cwaniak, co?

- Do rzeczy. Chcesz mi coś powiedzieć, to mów.

Jechali zbyt szybko krętą górską drogą. Kepler prowadził arogancko, jedną ręką, z nadgarstkiem opartym na górnej krawędzi kierownicy.

- Twój kumpel Willi wykonał następny ruch - powiedział.

- Zasada numer jeden: możemy pogadać, nie mam nic przeciwko temu, ale jeśli jeszcze raz nazwiesz go „moim kumplem Willim”, wbiję ci zęby do gardła razem z koronkami. Rozumiemy się, Joseph, stary druhu?

Kepler zerknął z ukosa na Haroda.

- Willi wykonał następny ruch. Trzeba na niego zareagować.

- Co tym razem wymyślił, wydymał żonę prezydenta?

- Coś trudniejszego i bardziej dramatycznego.

- Co to ma być, zabawa w dwadzieścia pytań?

- Nieważne, co zrobił. Nie przeczytasz o tym w gazetach, ale Barent nie może udać, że nic się nie stało. W każdym razie wiemy teraz, że twój... że Willi chce grać o wysoką stawkę. Musimy mu jakoś odpowiedzieć.

- Czyli co, taktyka spalonej ziemi? Zabić wszystkich Amerykanów pochodzenia niemieckiego w wieku powyżej pięćdziesięciu pięciu lat?

- Nie. Pan Barent zamierza negocjować.

- Jak chcecie to zrobić, jeśli nie jesteście nawet w stanie znaleźć tego skurczybyka? - Harod wyjrzał przez okno, za którym ciągnęło się wysuszone zbocze wzgórza. - A może wam się wydaje, że nadal mam z nim kontakt?

- Ty nie. Ale ja tak.

Harod wyprostował się w fotelu.

- Z Willim?

- A rozmawialiśmy o kimś innym?

- Gdzie... Jak go znalazłeś?

- Nie znalazłem go. Napisałem do niego, a on mi odpisał. Prowadzimy całkiem sympatyczną korespondencję.

- Na jaki adres do niego napisałeś, na litość boską?!

- Wysłałem polecony do tego jego domku w bawarskich lasach.

- Do Waldheim? Tej posiadłości przy czeskiej granicy? Tam nikt nie

mieszka. Od czasu mojej grudniowej wizyty ludzie Barenta stale mają dom na oku.

- Owszem, ale to zatrudnieni przez rodzinę Williego dozorca pilnują domu: niejacy Meyerowie, ojciec i syn. Mój list do mnie nie wrócił, za to parę tygodni później odezwał się Willi. Najpierw napisał do mnie z Francji, potem z Nowego Jorku.

- I co pisze? - spytał Harold, wściekły na siebie, że serce bije mu dwa razy szybciej niż normalnie.

- Że chce tylko dołączyć do klubu i latem spokojnie odpocząć na wyspie.

- No proszę...

- Ja mu wierzę. Na mój gust czuje się urażony, że wcześniej nie pomyśleliśmy o zaproszeniu go.

- Może być też ociupinkę zajeżony, że próbowaliście go wysadzić w powietrze i napuścić na niego starą znajomą, Ninę.

- To nie jest wykluczone. Wydaje mi się jednak, że jest gotowy zapomnieć o dawnych urazach.

- Co na to Barent?

- Barent nie wie, że nawiązałem kontakt z Willim.

- Jezu... Nie masz wrażenia, że kurewsko dużo ryzykujesz?

Kepler wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzę, że naprawę nieźle cię wymłócił z tym swoim warunkowaniem, co, Tony? Nie, w gruncie rzeczy ryzyko wcale nie jest takie duże. Nawet jeśli Barent się dowie, nie wyrwie się z niczym pochopnym. Po tym, jak zabrakło Charlesa i Niemana, koalicja C. Arnolda trochę się chwieje. Wątpię, żeby Barent chciał zachować swoje wyspiarskie rozrywki tylko dla siebie.

- Powiesz mu?

- Tak. Wydaje mi się, że po wczorajszym będzie mi wdzięczny, że nawiązałem kontakt z Willim. Zgodzi się na jego udział w letnich hulankach, jeśli tylko będzie miał gwarancję, że to bezpieczne.

- O jakim bezpieczeństwie mówisz? Nie pojmujesz, do czego Willi jest zdolny? Stary skurwiel przed niczym się nie cofnie!

- Otóż to. Ja jednak chyba przekonałem naszego przywódcę, że bezpieczniej jest przeciągnąć Williego na swoją stronę i mieć go na oku, niż żeby krył się w cieniu, bawił w wielkiego pająka i wyłuskiwał nas pojedynczo. Poza tym Barent nadal jest przekonany, że nikt, kto się z nim... hmm... spotka osobiście, nie będzie później stanowił zagrożenia.

- Myślisz, że da radę zneutralizować Williego?

- A ty tak nie uważasz? - odpowiedział pytaniem szczerze zaintrygowany Kepler.

- Nie wiem - odparł w końcu Harold. - Talent Barenta wydaje się jedyny w swoim rodzaju, ale Willi... Powiem tak: nie jestem pewien, czy Willi jest do końca człowiekiem.

- To i tak bez znaczenia, Tony.

- Jak to?

- Niewykluczone, że nadszedł czas poważnych zmian w kierownictwie Klubu.

- Chcecie się pozbyć Barenta? Jak to sobie wyobrażasz?

- Nie musimy się go pozbywać, Tony. Wystarczy utrzymać kontakt z naszym przyjacielem-korespondentem i zapewnić go, że zachowamy neutralność w wypadku jakichkolwiek... komplikacji na wyspie.

- Willi przyjedzie na obóz letni?

- Ma do nas dołączyć w ostatni wieczór publicznej części imprezy, a w następnym tygodniu wziąć udział w polowaniu.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby był skłonny tak po prostu oddać się w ręce Barenta. Przecież Barent ma... ilu ochroniarzy? Ze stu?

- Bliżej dwustu - przyznał Kepler.

- W obliczu takiej armii ludzi Talent Williiego będzie gównem warty. Dlaczego miałby przyjechać?

- Barent osobiście zaręczy, że nic mu nie grozi.

Harold parsknął śmiechem.

- No tak, to wszystko załatwia. Słowo honoru Barenta wystarczy, żeby Willi położył głowę pod topór.

Jechali Mulholland Drive, w dole było widać autostradę.

- Nie mów mi, że nie dostrzegasz potencjału tej sytuacji, Tony. Jeżeli Barent pozbędzie się staruszka, wszystko wróci w stare koleiny, a ty będziesz pełnoprawnym członkiem prezydium. Jeśli zaś Willi będzie miał asa w rękawie, powitamy go z otwartymi ramionami.

- Naprawdę myślisz, że dogadasz się z Willim? - spytał Harold.

Kepler zjechał na parking przy Hollywood Bowl. Stała tam szara limuzyna z przyciemnionymi szybami.

- Dla kogoś, kto od tak dawna jak ja sypia z węzami, nie ma znaczenia, jaki jad ma nowy gad. Najważniejsze, żeby nie kąsał kumpli z łóżka.

- Co na to Sutter?

Kepler wyłączył silnik.

- Jestem świeżo po długiej rozmowie z wielebnym. Darzy Christiana przyjaźnią i ogromnym sentymentem, ponieważ znają się od lat, ale jest gotowy oddać cesarzowi co cesarskie.

- To znaczy?

- To znaczy, że Willi może być pewien, że Jimmy Wayne Sutter nie będzie miał mu za złe, jeśli urząd pana Barenta przejdzie w inne ręce.

- Wiesz co, Kepler? Ty byś, kurwa, nie umiał zbudować prostego zdania oznajmującego nawet gdyby od tego miało zależeć twoje życie.

Kepler z uśmiechem otworzył drzwi. Rozległ się brzęczyk ostrzegawczy.

- Jesteś z nami czy przeciwko nam, Harod?

- Jeżeli bycie z wami ma polegać na przyczajeniu się i niemieszaniu do tego gówna, to jestem z wami.

- Proste zdanie oznajmujące - warknął Kepler. - Twój kumpel Willi chce wiedzieć, po czyjej stronie stoisz. Z nami czy przeciwko nam?

Harod powiódł wzrokiem po zalanym słońcem parkingu, zanim znów spojrzął na Keplera i odparł znużonym głosem:

- Jestem z wami.

Dochodziła jedenasta wieczorem, kiedy Haroda naszła ochota na dwa hotdogi z musztardą i cebulką. Odłożył scenariusz, w którym nanosił poprawki, i przeszedł do zachodniego skrzydła, gdzie spod drzwi pokoju Marii wciąż jeszcze sączyło się światło. Zastukał dwa razy.

- Jadę do Pinka. Wybierzesz się ze mną?

Jej głos był przytłumiony, jakby odpowiadała mu z łazienki:

- Nie, dziękuję.

- Na pewno nie?

- Nie, naprawdę. Dzięki.

Harod narzucił skórzaną kurtkę lotniczą i wyprowadził ferrari z garażu. Cieszył się jazdą. Ostro mieszał biegami, przejeżdżał na żółtym, zostawił daleko z tyłu dwóch wyścigowców, którzy próbowali się z nim ścigać przez trzy przecznice na Boulevard.

W Pinku było tłoczno. W Pinku zawsze było tłoczno. Harod zjadł swoje dwa hotdogi przy kontuarze, trzeciego wziął na wynos i wyszedł na parking. Dwaj nastolatki stali pomiędzy jego samochodem i czarną furgonetką; jeden wręcz opierał się o ferrari, zagadując do dwóch dziewczyn.

Harod podszedł bliżej i zatrzymał się w chwili, gdy ich twarze dzieliło dosłownie kilka cali.

- Albo natychmiast ruszysz dupę, albo się z nią pożegnasz - rzucił.

Chłopak - mimo że sześć cali wyższy od niego - odskoczył od ferrari jak oparzony i cała czwórka dzieciaków oddaliła się powoli, popatrując na Haroda i czekając, aż znajdą się dostatecznie daleko, żeby móc sobie pozwolić na złośliwe komentarze. Harod obserwował dziewczyny. Niższa wyglądała mu na półkrwi Latynoskę z wyższych sfer - czarne włosy, śniada skóra, a całość zapakowana w drogie szorty i pękającą w szwach kusą bluzeczkę bez pleców. Wyobraził sobie zaskoczenie plażowych lowelasów, gdyby czekoladka zawróciła, przysiadła się do niego w ferrari i poluzowała wdzianko.

Nie, pomyślał. Do diabła z nimi. Jestem zmęczony.

Wsiadł do samochodu, dojadł hotdoga, splukał go resztką taba i uruchomił zapłon, kiedy usłyszał wypowiedziane półgłosem swoje nazwisko:

- Panie Harod?

W odległości czterech stóp od niego otworzyły się drzwi furgonetki. Na fotelu pasażera siedziała - bokiem - czarna dziewczyna. Wyglądała znajomo i Harod odruchowo się do niej uśmiechnął, zanim dotarło do niego, gdzie się wcześniej spotkali. Trzymała coś w obu rękach.

Wcisnął sprzęgło i sięgnął do lewarka, gdy rozległ się cichy dźwięk, jaki wydają tłumiki pistoletów w filmach szpiegowskich. Osa ukaśliła go w lewy bark.

- Do diabła! - zaklął.

Podniósł prawą rękę, żeby strząsnąć uciążliwego owada, zorientował się jeszcze, że to nie osa, a potem wewnątrz samochodu przesunęło się gwałtownie w bok, a deska rozdzielcza i fotel pasażera wybiegły mu na spotkanie i wyrznęły go w twarz.

Nie stracił całkowicie przytomności, ale to niczego nie zmieniało. Miał wrażenie, że ktoś zamknął go w piwnicy jego własnego ciała. Dźwięki i obrazy docierały do niego jak przez mgłę; czuł się tak, jakby na tanim czarno-białym telewizorze oglądał program nadawany gdzieś z bardzo daleka, a stojące w drugim pokoju radio było jedynym źródłem zniekształconego dźwięku. A potem ktoś naciągnął mu kaptur na głowę i twarz.

Niewiele to zmieniło. Od czasu do czasu czuł, że przetacza się lekko z boku na bok, jakby znalazł się na pokładzie niedużej łódki, ale wrażenia dotykowe były ulotne, złudne i zbyt poplątane, żeby chciało mu się je

analizować.

Nieśli go. Tak mu się przynajmniej zdawało. A może sam się niósł? Nie, ręce miał skrępowane za plecami, zespawane sznurem ze skóry i chrząstek, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Przez nieokreślony czas był nigdzie - ni to przytomny, ni to nieprzytomny unosił się w swoim wnętrzu w sympatycznej pierwotnej zupie fałszywych wrażeń i przemieszanych wspomnień. Z oddali docierały do niego dwa głosy (jeden z nich należał do niego), ale rozmowa - jeśli można ją tak nazwać - szybko go znudziła i na powrót zanurzył się w swojej wewnętrznej ciemności, niczym nurek, który nie stawia oporu, gdy balast i morski prąd ciągną go w fioletową otchłań.

Tony Harod miał świadomość, że dzieje się coś bardzo złego, ale nic a nic go to nie obchodziło.

Obudziło go światło. Światło i ból nadgarstków. Światło, ból nadgarstków i drugi ból, inny, przywodzący skojarzenia z *Obcym* Ridleya Scotta, na którym potwór wyskoczył z piersi tego pechowego skurczybyka. Kto go grał? John Hurt. Skąd się wzięło to przekłete światło, które tak go razi? Dlaczego bolą go nadgarstki? Co wypił, że mu tak wywróciło czaszkę na lewą stronę?

Usiadł... A raczej spróbował usiąść. Spróbował drugi raz - i krzyknął z bólu. Okrzyk zdarł ostatnią zasłonę dzielącą go od świata. Zaczął zwracać uwagę na rzeczy, które wcześniej nie wydawały mu się istotne.

Był skuty. Leżał w łóżku, w kajdankach. Jego prawa ręka leżała obok niego na poduszce. Obręcz zamknięta na jej nadgarstku łączyła się łańcuchem z drugą obręczą, zapiętą na grubej metalowej ramie wezglowia. Lewa ręka spoczywała wyciągnięta wzdłuż boku, przykuta za nadgarstek do czegoś ciężkiego poza skrajem materaca. Spróbował ją podnieść: metal zagrzechotał o metal. Czyli bok ramy łóżka. Albo jakaś rura. Albo coś innego. Nie był jeszcze gotowy na to, żeby poruszyć głową i sprawdzić. Może później.

Z kim ja wczoraj byłem, do cholery?

Miał kilka znajomych, które nakręcały się takimi rzeczami jak krępowanie czy lekkie sado-maso, ale nigdy mu się nie zdarzało, żeby to on był tym krępowanym.

Za dużo wypilem? Vita zawlokła mnie w końcu do swojej komnaty rozkoszy?

Znów otworzył oczy i tym razem ich nie zamknął, znosząc ból porażonych nerwów wzrokowych.

Biały pokój. Biała pościel, pomalowana na biało mosiężna rama łóżka, białe ściany, naprzeciw łóżka lusterko w białych ramkach, drzwi. Białe drzwi z okrągłą białą klamką. Goła żarówka (na oko sądząc, musiała mieć z dziesięć milionów watów) zawieszona na białym przewodzie. I on sam - ubrany w białą szpitalną koszulę; czuł rozcięcie na plecach i wiedział, że jest pod nią nagi.

W porządku, więc to nie Vita. Jej komnata rozkoszy łączyła aksamit z kamieniem. Która z jego dziewczyn miała zajoba na punkcie szpitali? Żadna.

Znów zagrzechotał kajdankami i poczuł ból otartej skóry. Przechylił się na lewo i spojrzał w dół. Biała podłoga. Lewa ręka przykuta do białej metalowej ramy łóżka.

W najbliższym czasie nie było sensu więcej się ruszać - chyba że chciałby zarzygać tę śliczną białą posadzkę. Zastanówmy się nad tym.

Na chwilę odpłynął. Kiedy po jakimś czasie znów dotarło do niego, gdzie jest - to samo światło, ten sam biały pokój, trochę mniejszy ból głowy - przyszedł mu do głowy szpital psychiatryczny. Czyżby ktoś wykorzystał chwilę jego nieuwagi i zamknął go w wariatkowie? Ale przecież w szpitalach psychiatrycznych nie przykuwa się pacjentów do łóżek.

Na pewno?

Silne ukłucie lęku sprawiło, że zaczął wierzgać, szarpać się w więzach i łomotać metalem o metal, aż wreszcie zdyszany opadł na wznak. Barent. Kepler. Sutter. Podłe skurwysyny zamknęły go w bezpiecznym miejscu, żeby do końca życia gapił się na białe ściany i sikał w pościel.

Ale nie, oni by sobie tak nie zawracali głowy. Po prostu by go zabili.

Nagle przypomniał sobie Pinka, dzieciaki, furgonetkę, czarną dziewczynę... To ona. Co powiedział o niej Colben w Filadelfii? Myśleli, że Willi steruje nią i tym szeryfem. Ale szeryf już nie żył... Harold był przy tym, jak Kepler z Hainesem zorganizowali przewiezienie ciała na dworzec autobusowy w Baltimore, żeby po znalezieniu go tam nikt nie mógł go skojarzyć z fiaskiem operacji w Filadelfii.

Kto Używał jej teraz? Willi? Być może. Może nie wystarczyło mu przekazanie wiadomości przez Keplera. Ale po co tyle zachodu?

Postanowił chwilowo odpuścić sobie myślenie, za bardzo bolało. Poczeka na jakiegoś gościa. Jeżeli zjawi się ta czarna laska i okaże się, że Willi - czy kto tam pociągał za sznurki - nie trzyma jej dostatecznie mocno, to kogoś tu

czeka niespodzianka.

Odczuwał gwałtowną potrzebę oddania moczu i od wrzasków solidnie nadwyrężył sobie gardło, zanim drzwi się w końcu otworzyły.

Stanął w nich mężczyzna w zielonym stroju chirurga, czarnej kominiarce i lustrzanych okularach zamiast oczu. Harold najpierw pomyślał o Keplerze i jego okularach, a zaraz potem o seryjnym mordercy z kręconych wspólnie z Willim filmów z serii *Noce Walpurgii*. Omal się nie posikał.

To nie był Willi - tego Harold był pewien. Nie pasował też wzrostem ani wiekiem do Toma Reynoldsa, pomagiera Williego o palcach dusiciela. Chociaż to i tak nie miało znaczenia - Willi miał aż nadto czasu, żeby zwerbować cały legion nowych anonimowych sług.

Harold spróbował go przejąć. Naprawdę spróbował. Tyle że w ostatniej chwili ogarnęło go stare, znajome obrzydzenie, silniejsze niż dręczący go wcześniej ból głowy i mdłości, i wycofał się, zanim choćby musnął swoją wolą umysł tamtego. Nie czułby się tak skrepowany nawet gdyby przyszło mu wylizać odbył drugiego mężczyzny albo wziąć jego penis w usta. Na samą myśl oblał go zimny pot.

- Kim jesteś? Gdzie jestem? - Słowa Haroda, spadające z języka wyrąbanego z taniego drewna, były ledwie zrozumiałe.

Mężczyzna stanął przy łóżku i spojrzał na niego z góry, po czym wyjął spod koszuli pistolet. Przystawił Haroldowi lufę do czoła.

- Tony... - powiedział spokojnie, z lekkim akcentem. - Liczę do pięciu i strzelam. Jeżeli zamierzasz coś z tym zrobić, lepiej się pośpiesz.

Harold szarpnął się w więzach z takim impetem, że przesunął łóżko.

- Raz... dwa... trzy...

Umysł Haroda skoczył naprzód, ale trzydzieści lat samowarunkowania uniemożliwiło mu nawiązanie kontaktu.

- ...cztery...

Harold zamknął oczy.

- ...pięć.

Kurek spadł, iglica szczęknęła sucho, metalicznie.

Kiedy Harold otworzył oczy, mężczyzna stał już z powrotem przy drzwiach. Pistolet zniknął.

- Potrzebujesz czegoś? - rozległy się ciche, delikatnie akcentowane zgłoski.

- Basen... - wyszeptał Harold.

Mężczyzna w kominiarce skinął głową.

- Ktoś zaraz przyjdzie.

Harod odczekał, aż drzwi się zamkną, i zacisnął kurczowo powieki.

Niech to będzie pielęgniarka, pomyślał w skupieniu. Proszę, Boże, niech to będzie taka zwyczajna, normalna pielęgniarka, z cyckami u góry i szparką między nogami.

Czekał.

Pielęgniarką okazała się znajoma czarna dziewczyna, ta z Filadelfii. Ta, która do niego strzeliła i go tu przywiozła.

Przypomniał sobie, jak ma na imię: Natalie. Był jej sporo dłużny.

Nie miała kominiarki, miała natomiast białe elektrody przyklejone do skroni i przewody ginące we włosach. Podała mu basen, fachowo umieściła go we właściwym miejscu, odsunęła się i czekała.

Wypróżniając się, delikatnie musnął jej umysł: nikt jej nie Używał. Nie mógł uwierzyć, że są aż tacy głupi... kimkolwiek są. Może jest ich tylko dwoje - ta tępa czarna sucz i jej współnik? Colben wspominał coś, że tropią Melanie Fuller; najwyraźniej nie mieli pojęcia, co on, Harod, potrafi.

Odczekał, aż dziewczyna zabierze basen i podejdzie do drzwi - musiał mieć pewność, że nie są zamknięte na klucz. Taki żart doskonale by pasował do poczucia humoru Williego: zamknąć ich oboje w jednym pokoju; podsunąć mu kogoś, kogo może Użyć, i jednocześnie odebrać wszelkie praktyczne możliwości jej Użycia. Po co jej te druciki we włosach? Harod widywał takie rzeczy na filmach, ale zawsze mieli je pacjenci, nigdy pielęgniarki. Jakieś czujniki, czy coś...

Otworzyła drzwi.

Uderzył w nią tak gwałtownie i z taką siłą, że wypuściła basen z rąk, ochlapując białą bluzkę moczem.

Twarda jest, pomyślał Harod. Patrząc jej oczami, wyprowadził ją za drzwi.

Znajdź klucze. Zabij tamtego skurwiela, zabierz mu klucze i wypuść mnie stąd.

Korytarz miał sześć stóp długości i kończył się następnymi drzwiami, które były już zamknięte na klucz. Rzucił na nie Natalie całym ciężarem, raz, drugi, aż coś chrupnęło jej w barku. Kazał jej drapać je paznokciami. Drzwi ani drgnęły.

Jebane...

Sprowadził ją z powrotem do pokoju. Nie znalazła niczego, co nadawałoby się na broń. Podeszła do łóżka, szarpnęła kajdanki. Mogłaby rozmontować łóżko, połamać je na kawałki... Ale na to trzeba by czasu, zwłaszcza kiedy on tkwił przykuty do ramy i wezglowia jednocześnie. Patrząc na siebie jej oczami, widział czarny zarost na bladych policzkach, ogromne, wytrzeszczone oczy, brudne włosy

Lustro. Jedno spojrzenie na nie upewniło go w przekonaniu, że ma przed sobą jeden z tych jednostronnie przezroczystych wynalazków. W razie konieczności mógł kazać Natalie stłuc je gołymi rękami; gdyby nie dało się tamtędy wyjść, odłamki mogły posłużyć za broń, kiedy wróci ten skurwysyn w kominiarce. A jeśli lustro nie da się rozbić, to po prostu każe tej czarnej suce tłuc o nie ryjem tak długo, aż zostanie z niej miazga i sterczące z niej kawałki kości. To będzie pokazówka dla tych po drugiej stronie. A kiedy przyjdą, każe jej rzucić się na nich, rozszarpać im gardła paznokciami i resztkami zębów, zabrać broń, klucze...

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna w kominiarce. Natalie okręciła się na pięcie i sprężyła do skoku. Wyszczrzyła zęby i warknęła złowrogo, jak zamknięty w ZOO drapieznik, któremu dawno minęła pora karmienia.

Zamaskowany mężczyzna strzelił jej z pistoletu na strzałki w biodro. Skoczyła na niego z rozcapierzonymi palcami. Złapał ją, zanim upadła, i położył na podłodze, po czym uklęknął przy niej na chwilę, zbadał jej puls, obejrzał źrenice. Wstał i podszedł do łóżka Haroda.

- Ty sukinsynu - mruknął. Głos mu drżał.

Odwrócił się i wyszedł. Kiedy chwilę później wrócił, wciągnął do strzykawki płyn z odwróconej do góry dnem fiolki. Upuścił kilka kropel z czubka igły.

- To może trochę zaboleć, panie Harod - uprzedził cichym, oschłym głosem.

Harod szarpnął się w więzach, usiłując cofnąć lewą rękę, ale tamten wbił mu igłę przez koszulę prosto w biodro. Najpierw przyszło odrętwienie, a potem Tony Harod poczuł się tak, jakby ktoś wlał mu szkocką w żyły. Żywy płomień przelał się z brzucha na pierś. Harod stęknął, gdy żar dosięgnął jego serca.

- Co to... co to było? - wykrztusił szeptem.

Wiedział już, że człowiek w kominiarce właśnie go zabił. „Zastrzyk śmierci”, tak nazywały to brukowce. Harod zawsze był zwolennikiem kary

śmierci.

- Co to było? - powtórzył.

- Zamknij się - powiedział tamten i odwrócił się tyłem.

Ciemność zawirowwała, wciągnęła Haroda i poniosła go, jak wzburzone morze niesie kawałek drewna.

45.

Okolice San Juan Capistrano

24 kwietnia 1981, piątek

Kiedy Natalie wynurzyła się z oparów narkozy, powitały ją widok i delikatny dotyk Saula ocierającego jej czoło wilgotną szmatką. Spojrzała w dół, zobaczyła pasy krępujące jej nogi i ręce i rozplakała się.

- No już, już... - szepnął Saul. Pochylił się i pocałował ją lekko w głowę. - Już dobrze.

- Ile... - Natalie zawiesiła głos i oblizwała wargi: były odrętwiałe, jakby z gumy. - Ile czasu?

- Około trzydziestu minut. Może trochę przesadziliśmy.

Natalie pokręciła głową. Przypomniała sobie ze zgrozą, jak zamierzała się rzucić na Saula - ten widok, to uczucie... Zdawała sobie sprawę, że była gotowa go zabić gołymi rękami.

- Musiało zadziałać... szybko - przypomniała szeptem. - Harold?

Jego nazwisko z trudem przeszło jej przez gardło.

Saul pokiwał głową.

- Pierwsze przesłuchanie wypadło nadspodziewanie dobrze. Zapis EEG jest niesamowity. Harold powinien niedługo się ocknąć, dlatego... - Wskazał krępujące ją pasy.

- Wiem - przytaknęła Natalie. Sama pomagała zainstalować płócienne więzy na łóżku.

Jej serce nadal waliło jak oszalałe po niewiarygodnym przypiływie adrenaliny, jakiego doświadczyła, kiedy Harold nią zawładnął, a także wcześniej, kiedy przed wejściem do pokoju paraliżował ją strach. To spotkanie było dla niej najtrudniejszym zadaniem w życiu.

- Wygląda to naprawdę dobrze - mówił dalej Saul. - Z wykresów EEG wynika, że dopóki był pod wpływem tiopentalu, nie próbował użyć swojej mocy przeciwko nam. Od kwadransa pomału z tego wychodzi, odczyt niemal wrócił do poziomu bazowego, który wyznaczyliśmy rano... No i nie próbował odnowić kontaktu z tobą. Jestem przekonany, że musi widzieć swoją ofiarę zarówno przy pierwszym kontakcie, jak i później, kiedy kontakt zostanie zerwany i trzeba go nawiązać ponownie. Z pewnością wygląda to inaczej w przypadku ofiar, które udało mu się uwarunkować, ale moim zdaniem, dopóki cię nie zobaczy, nie uda mu się znów tobą zawładnąć.

Natalie ze wszystkich sił powstrzymywała się od płaczu. Więzy nie były szczególnie nieprzyjemne, przyprawiały ją jednak o obezwładniającą klaustrofobię. Przewody łączyły przyklepione do jej czaszki elektrody z przyklejonym do nadgarstka małym odbiornikiem telemetrycznym; Saul wiedział o istnieniu takiego sprzętu od kolegów po fachu zajmujących się badaniem snów, dlatego mógł powiedzieć Cohenowi, czego dokładnie potrzebuje i gdzie można to kupić.

- Nadal nie mamy pewności - zauważyła Natalie.

- Ale wiemy teraz znacznie więcej niż jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu - przypomniał Saul, pokazując jej dwa długie wydruki z elektroencefalografu. Komputerowy rysik nakreślił obłąkańczo zębaty kontur szczytów i dolin. - Sama zobacz. Najpierw pozornie przypadkowe wyładowania w rejonie hipokampu. Fale alfa osiągają maksimum, opadają do zera i wchodzą w coś w rodzaju stanu REM. Trzy i dwie dziesiąte sekundy później, tutaj... - Saul wskazał drugi wydruk, którego szczyty i doliny idealnie korespondowały z tymi z pierwszego. - Widzisz? Perfekcyjne dopasowanie. Pozbawił cię wszystkich wyższych funkcji, świadomej kontroli nad ciałem, nawet twój autonomiczny układ nerwowy został podporządkowany jego układowi. Wystarczyły niespełna cztery sekundy, żebyś dołączyła do niego w tym niby-REM. A tu najciekawsza anomalia: Harold wygenerował rytm theta; bardzo charakterystyczny, nie da się go z niczym pomylić. Twój hipokamp odpowiedział identycznym rytmem theta, o tutaj, za to odczyt z kory nowej zupełnie się spłaszczył. Posłuchaj, Natalie: zjawisko występowania takiego rytmu theta zostało dobrze udokumentowane u królików, szczurów i innych zwierząt podczas zachowań typowych dla danego gatunku, głównie pokazów agresji i prób dominacji... Ale nigdy nie stwierdzono go u naczelných!

- Chcesz powiedzieć, że miałam wtedy mózg szczura? - spytała Natalie. Dowcip był kiepski, nadal chciało jej się płakać.

- Nie wiem jak, ale Harold, a zapewne także pozostali, są w stanie aktywować rytm theta zarówno w swoim hipokampie, jak i w hipokampie ofiary - mruknął Saul pod nosem, jakby mówił do siebie. Nawet nie zauważył wątpliej próby żartu Natalie. - Twój mózg zareagował wygaszeniem aktywności w korze nowej i wygenerowaniem sztucznego stanu REM. Odbierałaś informacje sensoryczne, ale nie mogłaś na nie reagować. A on mógł. To niewiarygodne. To... - Wskazał na wydruku miejsce, w którym wykres ulegał gwałtownemu spłaszczeniu. - To jest ten moment, w którym

zadziałała toksyna zawarta w ładunku strzałki. Zauważ brak reakcji na jego wykresie. Jego wola, jego polecenia przekładały się na neurochemiczne zmiany w twoim ciele, natomiast on tylko pośrednio odbierał twoje wrażenia; twój ból i paraliż były dla niego równie mało dokuczliwe, jak gdyby odczuwał je we śnie. Dalej: minęło czterdzieści osiem sekund, zanim podałem mu mieszankę tiopentalu i amatylu. - Linie ilustrujące aktywność mózgu Haroda wyraźnie się uspokajały. - Na Boga, ile ja bym dał, żeby móc go zamknąć gdzieś na miesiąc i mieć pod ręką tomograf...

- Saul? Co będzie, jeśli... jeśli znów przejmie władzę nade mną?

Saul poprawił okulary.

- Natychmiast się zorientuję, nawet gdybym nie śledził na bieżąco wydruków. Przeprogramowałem komputer w taki sposób, żeby reagował alarmem na każdy przejaw tej losowej aktywności w jego hipokampie, po którym albo u ciebie nastąpi spłaszczenie fal alfa, albo u niego pojawi się rytm theta.

- To rozumiem... - Natalie wzięła głęboki wdech. - Ale co wtedy zrobisz?

- Przeprowadzimy próby czasowo-zasięgowe, zgodnie z planem. Jeżeli użyjemy kupionego przez Jacka nadajnika, powinniśmy swobodnie odbierać dane w promieniu dwudziestu pięciu mil.

- A jeśli się okaże, że on to potrafi robić na sto mil? Albo na tysiąc?

Natalie ledwie panowała nad swoim głosem. Miała ochotę krzyknąć: „A co będzie, jeśli nigdy mnie nie wypuścisz?!”. Czuła się tak, jakby zgodziła się na eksperyment medyczny związany z wyhodowaniem w jej ciele odrażającego pasożyta.

Saul wziął ją za rękę.

- W tej chwili dwadzieścia pięć mil w zupełności nam wystarczy. Jeśli będzie trzeba, wrócę i znów go uspię; wiemy już, że nieprzytomny nie może cię kontrolować.

- Gdyby był martwy, też by nie mógł - zauważyła Natalie.

Saul pokiwał głową i ścisnął jej dłoń.

- Ocknął się. Odczekamy czterdzieści pięć minut. Jeśli przez ten czas nie spróbuje cię przejąć, będziesz mogła wstać. Osobiście nie spodziewam się, żeby był teraz w stanie ci zagrozić. Nie znam źródła mocy tych potworów, ale wszystko wskazuje na to, że nasz pan Harod to wśród nich zaledwie miniaturka.

Podszedł do umywalki i przyniósł Natalie kubek wody. Podtrzymał jej głowę, kiedy piła.

- Ale Saul... nawet jak mnie uwolnisz, nie wyłączysz alarmu w komputerze i nie pozbędziesz się pistoletu na strzałki, prawda?

- Nie. Dopóki mamy w domu tę żmiję, będziemy ją trzymać w klatce.

- Drugie przesłuchanie Anthony'ego Haroda. Piątek, dwudziesty czwarty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, godzina... dziewiętnasta dwadzieścia trzy. Obiekt poddany działaniu tiopentalu oraz melirytyny-C. Dodatkowe informacje rejestrowane na taśmie wideo, elektroencefalografie, poligrafie i za pośrednictwem czujników biometrycznych.

- Tony? Słyszysz mnie?

- No.

- Jak się czujesz?

- W porządku. Dziwnie.

- Kiedy się urodziłeś, Tony?

- Hę?

- Kiedy się urodziłeś?

- Siedemnastego października.

- Którego roku, Tony?

- Eee... tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego.

- Czyli ile masz lat?

- Trzydzieści sześć.

- Gdzie się wychowałeś?

- W Chicago.

- Kiedy pierwszy raz zorientowałeś się, że masz tę moc, Tony?

- Jaką moc?

- Tę, która pozwala ci kierować innymi ludźmi.

- Aha.

- Kiedy był pierwszy raz, Tony?

- Hmm... Kiedy ciotka kazała mi iść spać. Ale ja nie chciałem, więc kazałem jej powiedzieć, że mogę jeszcze posiedzieć.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Nie wiem.

- A jak ci się wydaje?

- Sześć.

- Gdzie byli twoi rodzice?

- Tata nie żył. Popełnił samobójstwo, kiedy miałem cztery latka.

- Gdzie była twoja matka?
- Nie chciała mnie. Była na mnie zła. Oddała mnie cioci.
- Dlaczego cię nie chciała?
- Mówiła, że to przeze mnie.
- Co przez ciebie?
- Tata się zabił.
- Dlaczego tak twierdziła?
- Bo tata mnie uderzył... zrobił mi krzywdę... tuż przed tym, jak wyskoczył.
- Wyskoczył? Przez okno?
- No. Mieszkaliśmy wysoko, na drugim piętrze. Tata spadł na takie ogrodzenie ze szpikulcami.
- Często cię bił, Tony?
- No.
- Pamiętasz to?
- Teraz tak.
- Pamiętasz, dlaczego cię uderzył w ten wieczór, kiedy popełnił samobójstwo?
- No.
- Opowiedz mi o tym, Tony.
- Bałem się. Spałem w pokoju od frontu, gdzie była wielka garderoba. Wielka i ciemna. Obudziłem się przerażony. Poszedłem do mamy, jak zawsze, tylko że teraz był tam tata. Rzadko sypiał w domu, bo sprzedawał różne rzeczy i wiecznie był w rozjazdach. Ale tym razem był w domu i robił mamie krzywdę.
- Jaką krzywdę?
- Leżał na niej, był całkiem goły, bez ubrania, i robił jej krzywdę.
- I co wtedy zrobiłeś, Tony?
- Rozpłakałem się i zacząłem krzyczeć, żeby przestał.
- Zrobiłeś coś jeszcze?
- Nie.
- Co się stało potem, Tony?
- Tata... przestał. Zrobił taką dziwną minę. A potem wziął mnie do salonu i sprzął paskiem. Bił naprawdę mocno. Mama mówiła, żeby przestał, ale on dalej bił. To bardzo bolało.
- Zrobiłeś coś, żeby przestał?
- Nie!

- Co było potem?

- Nagle tata przestał mnie bić. Podniósł głowę i odsunął się, tak jakoś dziwnie chodził. Spojrzał na mamę. Mama już nie płakała. Włożyła jego flanelowy szlafrok; zawsze go nosiła, kiedy taty nie było, bo był cieplejszy od jej szlafroka. Tata podszedł do okna i wypadł na zewnątrz.

- Okno było zamknięte?

- No. Na dworze było bardzo zimno. Ogrodzenie było nowiuteńkie, właściciel domu dopiero co je postawił, przed samym Świętem Dziękczynienia.

- Ile czasu upłynęło, zanim zamieszkałeś z ciotką, Tony?

- Dwa tygodnie.

- Dlaczego myślałeś, że mama się na ciebie zezłościła?

- Bo mi powiedziała.

- Że się złości?

- Że zrobiłem tacie krzywdę.

- Każąc mu skoczyć?

- No.

- A kazałeś mu skoczyć, Tony?

- Nie!

- Na pewno?

- Tak!

- To skąd twoja matka wiedziała, że potrafisz zmuszać ludzi do robienia różnych rzeczy?

- Nie wiem!

- Ależ wiesz, Tony. Cofnij się pamięcią. Jesteś pewien, że kiedy zmusiłeś ciotkę, żeby pozwoliła ci dłużej posiedzieć przed telewizorem, to był pierwszy raz, kiedy próbowałeś kimś pokierować?

- Tak!

- Jesteś całkowicie pewien?

- Tak!

- To dlaczego twoja matka pomyślała, że to potrafisz?

- Bo sama to potrafiła!

- Twoja matka potrafiła kierować innymi ludźmi?

- Tak. Zawsze tak było. Zmuszała mnie do siedzenia na nocniku, kiedy byłem jeszcze za mały. Uciszała mnie, kiedy miałem ochotę płakać. Kazała tacie robić różne rzeczy, to dlatego stale gdzieś wyjeżdżał. To ona to zrobiła!

- Ona zmusiła go do wyskoczenia przez okno?

- Nie. Zmusiła mnie, żebym zmusił jego.

- Trzecie przesłuchanie Anthony'ego Haroda. Piątek, dwudziesty czwarty kwietnia, godzina dwudziesta zero siedem. Tony, kto zabił Aarona Eshkola i jego rodzinę?

- Kogo?

- Izraelczyków.

- Jakich Izraelczyków?

- Pan Colben na pewno ci o tym mówił.

- Colben? Nie, nie, to Kepler mi o tym mówił. Już wiem: chłopak z ambasady.

- Zgadza się: chłopak z ambasady. Kto go zabił?

- Haines wysłał ludzi, żeby z nim pogadali.

- Richard Haines?

- No.

- Agent Haines z FBI?

- Mhm.

- Czy to Haines osobiście zabił Eshkolów?

- Tak przypuszczam. Kepler powiedział, że to on dowodził ekipą.

- Kto nadzorował operację?

- Eee... Colben... Barent.

- Który z nich, Tony?

- To bez znaczenia. Colben był marionetką Barenta. Mogę zamknąć oczy? Jestem bardzo zmęczony.

- Tak, Tony. Zamknij oczy. Spij. Później porozmawiamy.

- Czwarte przesłuchanie Anthony'ego Haroda. Piątek, dwudziesty czwarty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, godzina dwudziesta druga szesnaście. Podano dożylnie tiopental. O dwudziestej drugiej cztery ponowne podanie amobarbitalu sodu. Informacje rejestrowane także na taśmie wideo, poligrafie, elektroencefalografie i za pośrednictwem czujników biometrycznych. Tony?

- Tak?

- Wiesz, gdzie jest Oberst?

- Kto?

- William Borden.

- Ach, Willi.

- Gdzie on jest?
- Nie wiem.
- Masz jakiś pomysł, gdzie może być?
- Nie.
- Czy możesz się w jakiś sposób tego dowiedzieć?
- Nie. Może... Nie wiem.
- Dlaczego nie wiesz? Czy ktoś inny zna miejsce jego pobytu?
- Kepler. Być może.
- Joseph Kepler?
- No.
- Kepler wie, gdzie jest Willi Borden?
- Kepler mówi, że dostaje od niego listy.
- To świeża sprawa? Kiedy dostał ostatni?
- Nie wiem. Kilka tygodni temu.
- Wierzysz Keplerowi.
- No.
- Skąd są wysyłane te listy?
- Z Francji. I z Nowego Jorku. Kepler nie wszystko mi powiedział.
- Czy to Willi zainicjował korespondencję?
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Kto napisał pierwszy: Willi czy Kepler?
- Kepler.
- Jak skontaktował się z Willim?
- Wysłał list do gości, którzy opiekują się jego domem w Niemczech.
- W Waldheim?
- Mhm.
- Kepler napisał list do Williego, wysłał go na ręce opiekunów rezydencji w Waldheim, i Willi mu odpisał?
- Tak.
- Po co Kepler do niego pisał? I co odpisał mu Willi?
- Kepler gra na dwa fronty. Chce się wkraść w łaski Williego, na wypadek gdyby Willi wstąpił do Klubu Wyspiarskiego.
- Do Klubu Wyspiarskiego...
- A właściwie do tego, co z niego zostało. Trask nie żyje. Colben też. Kepler chyba oczekuje, że stała presja ze strony Williego zmusi Barenta do negocjacji.
- Opowiedz mi o tym Klubie Wyspiarskim, Tony...

Minęła druga w nocy, gdy Saul dołączył do czekającej w kuchni Natalie. Był zmęczony i bardzo blady. Natalie naląła mu świeżej kawy i razem usiedli nad dużym atlasem drogowym.

- Kupiłam go w całodobowym sklepie dla kierowców ciężarówek przy międzystanowej piątce - wyjaśniła Natalie. - Nic lepszego nie mieli.

- Potrzebny nam będzie atlas z prawdziwego zdarzenia. Albo zdjęcia satelitarne. Może Jack Cohen będzie nam mógł pomóc. - Saul powiódł palcem wzdłuż wybrzeża Karoliny Południowej. - Tu jej w ogóle nie ma.

- Nie, ale jeśli Harod mówi prawdę i wyspa leży dwadzieścia trzy mile od wybrzeża, to i tak by się na tej mapie nie zmieściła. Spodziewam się, że jest gdzieś tutaj, na wschód od Cedar i Murphy... nie dalej na południe niż przylądek Romain.

Saul zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa.

- Dolmann Island to nie jest jakaś piaszczysta łacha, która wynurza się z morza tylko przy odpływie. Harod twierdzi, że ma siedem mil długości i trzy szerokości w najszerszym punkcie. Prawie całe życie mieszkałaś w Charleston... Nigdy o niej nie słyszałaś?

- Nie. Jesteś pewien, że on śpi?

- O tak. I choćby nie wiem jak bardzo się starał, nie obudzi się przez najbliższe sześć godzin. - Saul wziął do ręki mapę wyrysowaną odręcznie na podstawie relacji Haroda i porównał z mapą w dostarczonych przez Cohena aktach Barenta. - Jesteś dość przytomna, żeby teraz to analizować?

- Przekonajmy się.

- Dobrze. Grupa Barenta, w każdym razie ci jej członkowie, którzy jeszcze żyją, spotkają się siódmego czerwca na Dolmann Island, rozpoczynając tygodniowy obóz letni. To wiedza powszechna. Ludzie, którzy mają się tam pojawić, pasują kalibrem do notabli, o których mówił nam Cohen. Sami mężczyźni, kobietom wstęp wzbroniony. Nawet Margaret Thatcher nic by nie wskórała. Cały personel pomocniczy również składa się z mężczyzn; Jack twierdzi, że można się spodziewać dziesiątków ochroniarzy. Oficjalna impreza kończy się w sobotę trzynastego czerwca. Harod twierdzi, że czternastego, w niedzielę, Oberst zjawi się na wyspie i dołączy do czterech członków Klubu Wyspiarskiego, wśród nich samego Haroda, by wraz z nimi przez dalsze pięć dni oddawać się rozrywce.

- Rozrywce! - zachnęła się Natalie. - Nie nazwałabym tego rozrywką.

- Niech będzie „krwawy sport” - zgodził się Saul. - To brzmi sensownie:

ci ludzie dysponują taką samą mocą jak Oberst, Melanie Fuller i ta Drayton. Są uzależnieni od przemocy, ale są także na świeczniku; mieliby spory kłopot z dyskretnym angażowaniem się w takie akty przemocy niebezpośredniej, jakie troje naszych starszków upodobało sobie w Wiedniu.

- Dlatego odkładają to na ten jeden przerażający tydzień w roku.

- Otóż to. A przy okazji mogą w bezbolesny sposób... bezbolesny dla nich samych, rzecz jasna... ustalić wewnętrzną hierarchię na cały rok. Ta wyspa gwarantuje im nieprzeciętną prywatność. Ściśle rzecz biorąc, nie podlega nawet amerykańskiej jurysdykcji. Kiedy Barent na niej przebywa, wraz z gośćmi zajmuje apartamenty tutaj, w jej południowej części; tu znajduje się jego posiadłość oraz cała tak zwana infrastruktura obozu letniego. Pozostały obszar, czyli trzy mile dżungli i zarośli mangrowych, jest pocięty strefami buforowymi, płotami i polami minowymi. Tu właśnie grają w swoją wersję starej gry Obersta.

- Już się nie dziwię, że tak bardzo mu zależało na zaproszeniu. Ilu niewinnych ludzi traci życie podczas tego tygodniowego szaleństwa?

- Harod mówi, że każdy członek Klubu Wyspiarskiego otrzymuje pięciu zastępców. Surogatów. Czyli po jednym na każdy dzień.

- Skąd oni ich biorą, na miłość boską?

- Podobno dotychczas większość dostarczał Charles Colben. Idea jest taka, że losują... jak by to nazwać... swoje figury. Codziennie rano odbywa się losowanie na dany dzień. A raczej na daną noc, bo Harod twierdzi, że gra zaczyna się o zmierzchu. To taka próba Talentów z pewną domieszką losowości. A nikt nie chciałby stracić... figury, której uwarunkowanie wymagało długiego czasu.

- A w tym roku skąd wezmą ofiary? - spytała Natalie.

Wyjęła z barku butelkę jacka danielsa i dołała sobie hojnie whisky do kawy.

- No właśnie. - Saul się uśmiechnął. - Harod, jako młodszy wspólnik, wampirzy czeladnik czy jak go tam nazwać, ma za zadanie sprowadzić piętnastu surogatów. Mają to być ludzie w dobrej kondycji, ale tacy, za którymi nikt nie zatęskni.

- To niedorzeczne. Prawie za każdym ktoś będzie tęsknił.

- Bynajmniej - westchnął Saul. - Co roku po kraju błąkają się dziesiątki tysięcy nastoletnich uciekinierów z domu. Większość nie wraca. W każdym większym mieście szpitalne oddziały psychiatryczne są pełne ludzi bez przeszłości i bez rodziny, która by się o nich upomniała. Policja tonie w

morzu zgłoszeń o zaginionych mężach i zabłąkanych żonach.

- To znaczy, że zgnaną dwa tuziny przypadkowych ludzi, przewiozą ich na tę przeklętą wyspę i każą im zabijać się nawzajem? - Głos Natalie drżał ze znużenia.

- Tak właśnie się stanie.

- Wierzysz Harodowi?

- Mógł mi przekazać nieprawdziwe informacje, ale po tych środkach, które mu podałem, na pewno nie był w stanie kłamać.

- Zamierzasz go oszczędzić, prawda?

- Tak. Jeżeli chcemy znaleźć Obersta, musimy dać im bez przeszkód przygotować się do tego wyspiarskiego oblężenia. Wyeliminowanie Haroda, a nawet dłuższe przetrzymanie go w tej chwili wszystko by popsuło.

- A myślisz, że nic się nie popsuje, kiedy ten... ta Świnia spotka się z Barentem i resztą i opowie im o nas?

- Moim zdaniem to mało prawdopodobne.

- Na Boga, Saul, jak możesz być tego taki pewien?

- Wcale nie jestem pewien. Założę się jednak, że Harod ma teraz mętlik w głowie. W jednej chwili wydaje mu się, że my dwoje służymy Oberstowi; w następnej, że nasłali nas Kepler albo Barent. Nie mieści mu się w głowie, że możemy być niezależnymi aktorami w tym melodramacie...

- Melodramat to dobre określenie. Tata pozwalał mi oglądać takie bzdety w piątkowym kinie nocnym. Pamiętam *The Most Dangerous Game*, to dopiero była bzdura...

Saul Laski wyrzwał otwartą dłoń w stół z takim impetem, że echo poniosło się po kuchni jak huk karabinowego wystrzału. Kubek Natalie podskoczył, kawa rozlała się na blat.

- Nie mów mi, że to bzdura! - wykrzyknął. Pierwszy raz od pięciu miesięcy podniósł głos. - Nie mów mi, że to kiepski melodramat! Powiedz to swojemu ojcu albo Robowi Gentry'emu z poderżniętym gardłem! Powiedz to mojemu siostrzeńcowi Aaronowi, jego żonie i dzieciom! Powiedz im wszystkim, powiedz tym tysiącom, które Oberst posłał do pieców! Powiedz to mojemu ojcu i bratu...

Zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło, i pochylił nad stołem. Natalie zauważyła mięśnie rysujące się pod opaloną skórą przedramion, brzydką bliznę na lewej ręce, wyblakły tatuaż. Kiedy znów się odezwał, mówił ciszej, ale wcale nie spokojniej - po prostu zapanował nad swoją wściekłością.

- Natalie, całe to stulecie jest jednym wielkim, żalonym melodramatem pisanym przez trzeciorzędnych scenarzystów żerujących na duszach i życiu innych. Nie powstrzymamy tego. Nawet jeśli zdołamy położyć kres istnieniu tych... tych aberracji, doprowadzimy tylko do tego, że kamery znajdą sobie innego padlinożercę odgrywającego swoją rolę w brutalnej farsie. Podobne rzeczy zdarzają się codziennie, ich sprawcami są ludzie nieposiadający nawet cienia tej niedorzecznej zdolności psychicznej; ludzie egzekwujący władzę wynikającą z urodzenia, stanowiska lub głosu większości, pod groźbą kuli lub noża... Różnica jest taka, że te konkretne skurwysyny krzywdzą nasze rodziny i naszych przyjaciół, i dlatego musimy ich powstrzymać.

Zamilkł, oparł się o stół i zwiesił głowę. Pot skapnął na blat.

Natalie dotknęła jego ręki.

- Saul... - odezwała się półgłosem. - Rozumiem. I przepraszam. Jesteśmy bardzo zmęczeni. Potrzebujemy snu.

Pokiwał głową, poklepał ją po ręce i przetarł dłońmi policzki.

- Ty idź się prześpij do sypialni. Ja się zdrzemnę na połówce w pokoju obserwacyjnym. Ustawiłem alarm: obudzi mnie, kiedy Harold się ocknie. Przy odrobinie szczęścia możemy liczyć na jakieś siedem godzin snu.

Natalie zgasiła światło i razem podeszli do podnóża schodów. Ruszyła na górę, ale zawahała się jeszcze i przystanęła.

- To oznacza, że musimy przejść do następnego etapu, prawda? - zapytała.

- Czyli... Charleston?

Saul ze znużeniem pokiwał głową.

- Na to wygląda. Nie widzę innego wyjścia. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Natalie, chociaż skóra ścierpła jej ze strachu na myśl o tym, co ich czeka. - Wiedziałam, że tak się to skończy.

Saul podniósł na nią wzrok.

- To się nie musi tak skończyć.

- Czyżby? - Natalie zaczęła powoli iść na górę. - Czyżby? - powtórzyła szeptem.

46.

Los Angeles

24 kwietnia 1981, piątek

Agent specjalny Richard Haines wykorzystał szyfrowaną linię FBI do połączenia się z centrum łączności pana Barenta w Palm Springs. Nie miał pojęcia, gdzie miliarder faktycznie się znajduje, kiedy ten odebrał telefon:

- Richard! Co masz dla mnie?

- Niewiele - odparł Haines. - Tutejszy oddział FBI ma oko na izraelski konsulat, to standardowa procedura, ale nic im nie wiadomo o tym, żeby Cohen pojawił się albo w samym konsulacie, albo w biurze firmy importowej w Los Angeles, która jest przykrywką dla działających w kraju agentów Mossadu. Mamy u nich swojego informatora; zarzeka się, że Cohen ostatnio ich nie odwiedzał.

- To wszystko?

- Niezupełnie. Sprawdziliśmy ten motel w Long Beach i tam Cohen faktycznie był. Recepcjonistka z dziennej zmiany powiedziała, że w czwartek, szesnastego, przyjechał samochodem z wypożyczalni, ale kiedy wymeldowywał się w poniedziałek rano, miał już furgonetkę, forda econoline. Jedna z pokojówek zapamiętała, że przez sobotę i niedzielę trzymał w pokoju kilkanaście dużych pudeł, wielkich jak skrzynie, tak powiedziała. Na jednej z nich był napis HITACHI.

- Elektronika? - spytał Barent. - Aparatura szpiegowska?

- Być może. Tylko że Mossad zwykle sam dostarcza taki sprzęt swoim ludziom; nie muszą go kupować w sklepach.

- A jeśli Cohen działał na własną rękę? Albo na zlecenie jakiejś... trzeciej siły?

- W tej chwili przyjmujemy takie właśnie założenie.

- Udało się wam ustalić, czy Willi Borden też był w pobliżu?

- Nie, panie Barent. Obstawiliśmy jego dom, nie został jeszcze sprzedany... ale nie ma śladu ani jego samego, ani Reynoldsa i Luhara.

- Co z Harodem?

- Ehm... Nie udało nam się z nim skontaktować.

- Co to ma znaczyć, Richardzie?

- No... od paru tygodni nie pilnowaliśmy Haroda. Próbowaliśmy się do niego dodzwonić wczoraj, potem dzisiaj... Sekretarka mówi, że go nie ma i

nie wie, gdzie jest. Dzisiaj wysłaliśmy na miejsce swoich ludzi, ale na razie ani nie wyszedł z domu, ani nie pojawił się na planie.

- Jestem nieco rozczarowany, Richardzie.

Haines zaczął lekko dygotać na całym ciele. Oparł łokcie na biurku i mocniej ścisnął trzymaną w obu rękach słuchawkę.

- Przykro mi, panie Barent. Trudno było jednocześnie prowadzić dochodzenie w Wyomingu i kierować ekipą tutaj, w Kalifornii.

- Coś jeszcze wynikło ze śledztwa w Wyomingu?

- Ehm... Nic konkretnego, panie Barent. Wiemy już, że Walters... To jest ten oficer...

- Wiem, o kogo chodzi.

- No więc wtorkowy wieczór Walters spędził w Cheyenne. Właściciel jest w zasadzie pewien, że siedział w większej grupie, w której był człowiek odpowiadający rysopisowi Williiego...

- W zasadzie pewien?

- W barze panował tłok, panie Barent. Ale zakładamy, że to faktycznie był Willi. Sprawdziliśmy wszystkie hotele i motele, zataczając coraz szersze kręgi, aż do Denver. Nikt nie przypomina sobie ani jego samego, ani jego dwóch kumpli.

- Co to za wyliczanka niepowodzeń, Richardzie? Macie w ogóle jakikolwiek trop Williiego?

- No... Komputerowe systemy rezerwacyjne linii lotniczych, Amtraka i przewoźników autobusowych zgłoszą alarm, gdy tylko ktoś z jego ludzi użyje karty kredytowej lub spróbuje gdzieś polecieć pod swoim nazwiskiem. Uwzględniamy w tych poszukiwaniach także tego żydowskiego psychiatrę, który prawdopodobnie zginął w Filadelfii, i tę Preston. Mamy swoich ludzi w urzędzie celnym, sprawa ma najwyższy priorytet w FBI. Wszystkie regionalne biura i lokalni łącznicy zostali poinformowani...

- Ja to wszystko wiem, Richardzie - przerwał Hainesowi Barent, nie podnosząc głosu. - Pytałem, czy macie jakieś tropy.

- Nie, nic nowego, odkąd we wtorek namierzyliśmy komputerowe poszukiwania Jacka Cohena.

- Nadal uważasz, że to Willi Użył Cohena?

- Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kogo interesowałyby związki łączące pana z panem Keplerem i wielebnym Sutterem.

- Może nazbyt się pośpieszyliśmy ze... hmm... zgotowaniem panu Cohenowi takiego powitania po powrocie?

Haines nie odpowiedział. Przestał się trząść, ale pot wystąpił mu na czoło.

- Co z tym rachunkiem ze stacji benzynowej, Richardzie?

- A tak, panie Barent, sprawdziliśmy to. Właściciel twierdzi, że ma ogromny ruch, nie jest w stanie zapamiętać wszystkich klientów, ale doszliśmy po kopii rachunku z karty kredytowej, że to faktycznie był Cohen. Chłopak, który go obsługiwał, wziął akurat urlop i wyjechał na tydzień z plecakiem w góry Santa Ana, ale i tak jest mała szansa, żeby...

- Mam wrażenie, Richardzie, że najwyższy czas zająć się takimi właśnie małymi szansami. Chcę, żebyście znaleźli Williego Bordena i namierzyli człowieka, który kontaktował się z Cohenem. Czy to jasne?

- Tak jest.

- Nie chciałbym, żeby moje rozczarowanie pogłębiło się do tego stopnia, że odwołam cię stamtąd w trybie dyscyplinarnym, Richardzie.

Haines wytarł pot z twarzy rękawem popelinowej sportowej marynarki od Josepha Banksa.

- Rozumiem, panie Barent.

- Wspominałeś coś wcześniej o tym, że izraelski wywiad może mieć w rejonie Los Angeles kryjówkę... może nawet więcej niż jedną... o której ty i twoje FBI nic nie wiecie...

- Ehm... Rzeczywiście, powiedziałem, że istnieje taka możliwość, panie Barent. Chociaż to mało prawdopodobne.

- Ale niewykluczone?

- Tak. Dwa lata temu pewien Palestyńczyk, księgowy Czarnego Września, funkcjonariusz średniego szczebla w hierarchii Al Fatah, chciał przejść na naszą stronę. Był przekonany, że zadaje się z CIA, podczas gdy w rzeczywistości trafił na Mossad i ludzi Cohena. Sprowadzili go do Stanów, pokazali mu Los Angeles, a potem wywieźli w miejsce nieznane ani CIA, ani FBI, żeby go...

- To nie jest teraz ważne, Richardzie. Masz powody podejrzewać, że w rejonie Los Angeles Mossad ma swoją kryjówkę.

- Tak, panie Barent.

- I jest możliwe, że kryjówka ta znajduje się nieopodal stacji benzynowej w San Juan Capistrano.

- Tak, panie Barent, chociaż równie dobrze może znajdować się gdzie indziej.

- Rozumiem, Richardzie. Posłuchaj mnie, powiem ci, co masz zrobić. Po pierwsze, udasz się do domu pana Haroda i skrupulatnie, podkreślam:

skrupulatnie przesłuchasz pannę Chen. Jeżeli zastaniesz na miejscu Haroda, jego również przesłuchasz; jeśli go nie będzie, masz go znaleźć. Po drugie, wykorzystasz wszelkie dostępne zasoby placówki FBI w Los Angeles oraz, w razie potrzeby, także miejscowe organa porządku publicznego w celu odszukania zatrudnionego na stacji benzynowej miłośnika pieszych wędrówek, oraz innych świadków, których uznasz za stosowne przesłuchać. Chcę wiedzieć dokładnie, jakim pojazdem poruszał się pan Cohen, kto mu towarzyszył i w jakim kierunku odjechali z tej stacji. Po trzecie, przeprowadzisz wywiad wśród właścicieli sklepów ze sprzętem elektronicznym w Long Beach i okolicy; dowiesz się, czy Jack Cohen albo Willi coś od nich kupowali. Po czwarte, jeszcze raz przesłuchasz pokojówki i recepcjonistki z tego motelu w Long Beach, żeby wydobyć od nich wszystkie, nawet najdrobniejsze okruchy informacji. Możesz użyć dowolnej formy perswazji. Na koniec dodam, że postaram ci się pomóc. Po południu przyślemy ci tuzin łataczy od Josepha, żeby wspomogli cię w tym... hmm... dyskretnym dochodzeniu. Sprawdzimy również informacje o tej dodatkowej kryjówce; w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymasz informacje na jej temat.

Haines przygładził brwi.

- Ale jak... - zaczął i natychmiast się zamknął.

Śmiech C. Arnolda Barenta zmieszał się z trzaskami zakłóceń szyfrowanej linii.

- Nie łudzisz się chyba, Richardzie, że ty i Charles byliście moimi jedynymi źródłami informacji? Jeżeli wszystko inne zawiedzie, zadzwonię do swoich... hmm... informatorów z rządu izraelskiego. Ze względu na różnicę czasu, może zdarzyć się tak, że dopiero jutro rano będę mógł ci podać konkretny adres. Ale ty nie czekaj tak długo, jeszcze dziś zacznijcie poszukiwania w okolicach San Juan Capistrano. Sprawdź rejestry sprzedaży ziemi, domy, które przez większość roku stoją puste... Jeśli nic lepszego nie przyjdzie ci do głowy, zawsze możesz pojeździć w kółko i wypatrywać czarnego forda econoline. Pamiętaj: interesuje cię dyskretny prywatny dom, najprawdopodobniej stojący gdzieś na uboczu.

- Tak jest.

- Odezwę się jeszcze - powiedział C. Arnold Barent. - I jeszcze jedno, Richardzie...

- Tak, panie Barent?

- Nie zawieź mnie tym razem.

- Tak jest, panie Barent.

47.

Los Angeles

25 kwietnia 1981, sobota

Wysadzili go (otępiałego od środków farmakologicznych i z zawiązanymi oczami) przecznicę od Disneylandu. Kiedy doszedł do siebie, siedział za kierownicą swojego ferrari, ubrany od stóp do głów; miał wolne ręce, a na oczach zwykłą ciemną przepaskę ułatwiającą zasypianie. Ferrari stało na tyłach taniego sklepu z dywanami, wciśnięte między pojemnik na śmieci i mur z cegieł.

Wysiadł, oparł się o maskę i czekał, aż zawroty głowy i mdłości ustąpią. Musiało minąć prawie pół godziny, zanim poczuł się na siłach prowadzić.

Unikając autostrad i jadąc w sobotnim tłumie najpierw na zachód, a potem - skręciwszy w Long Beach Boulevard - na północ, próbował poukładać sobie fakty w głowie. Wspomnienia z ostatnich czterdziestu godzin były niewyraźne, jakby z pogranicza snu i jawy, pamiętał tylko jakieś strzępy długich rozmów, ale krwiaki po kroplówkach i zanikające mrowienie po ostatniej strzałce ze środkiem uspokajającym sugerowały niedwuznacznie, że został czymś naszprycowany, gdzieś wywieziony i przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

To musiała być robota Williego. Ostatnia rozmowa (jedyna, którą pamiętał w całości) nie pozostawiała w tej kwestii żadnych wątpliwości.

Mężczyzna w kominiarce wszedł do pokoju i usiadł na łóżku. Harold chciał mu spojrzeć w oczy, ale widział tylko odbicie swojej bladej, zarośniętej twarzy w lustrzanych szklach okularów.

- Tony... - powiedział półgłosem ten w kominiarce. Jego akcent zaczynał być irytująco znajomy. - Puścimy cię wolno.

W tej sekundzie Harold był święcie przekonany, że zaraz umrze.

- Zanim się jednak rozstaniemy, mam do ciebie pytanie - ciągnął intruz. Jego usta były jedyną ludzką częścią głowy. - Jak to się stało, że w tym roku to ty masz być odpowiedzialny za dostarczenie większości ludzkich surogatów na pięciodniową imprezę Klubu Wyspiarskiego?

Harold chciał oblizać wargi, ale język wysechł mu jak kołek.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł.

Czarna kominiarka kiwnęła się w przód i w tył, w lustrzanych szklach odbiła się biel i biel.

- Tony, Tony... Teraz już na to za późno. Wiemy, że masz dostarczyć ciała, nie wiemy tylko, jak zamierzasz tego dokonać. Biorąc pod uwagę twoje skłonności do wykorzystywania kobiet... Naprawdę w tym roku towarzystwo na wyspie zadowolili się samymi kobietami?

Harod pokręcił głową.

- Muszę to zrozumieć, zanim się pożegnamy, Tony.

- Willi? - wychrypiał Tony. - Na Boga, Willi, nie musisz mi tego robić! MÓW do mnie!

Dwa lustra wycelowane w jego twarz znieruchomiały.

- Willi? Nie znamy chyba nikogo o tym imieniu, hmm? No, do rzeczy: w jaki sposób zamierzasz dostarczyć surogatów obojga płci, skoro obaj wiemy, że nie potrafisz tego zrobić?

Harod szarpnął się w więzach, wyprężył grzbiet i napiął mięśnie nóg, jakby chciał kopniakiem strącić tę zasraną kominiarkę z barków intruza. Ten bez pośpiechu wstał i przeszedł za wezłowie łóżka, gdzie znalazł się poza zasięgiem rąk i nóg więźnia. Delikatnie złapał go za włosy i podniósł jego głowę z poduszki.

- Tony, tak czy inaczej, wyciągniemy z ciebie tę odpowiedź, to chyba oczywiste. Może nawet już ją wyciągnęliśmy i potrzeba nam tylko twojego świadomego potwierdzenia. Jeśli znów będę musiał cię uspić, chwila twojego uwolnienia się odwlecze.

„Chwila twojego uwolnienia się odwlecze”? Dla Haroda brzmiało to jak eufemistyczna wersja „zabijemy cię później”, co bardzo mu odpowiadało. Jeżeli milczenie - mimo bólu i tortur - miało odwlec nieuniknioną kulę w łeb, był gotów milczeć. Będzie milczał jak głaz, kurwa. Jak sfinks.

Tyle że sam w to nie wierzył. Ze strzępów wspomnień wiedział, że i tak powiedział już wszystko, co mógł. Po chemii, którą go potraktowali, śpiewał jak skowronek. Jeżeli faktycznie to Willi za tym stał, to prędzej czy później wszystkiego się dowie; ba, to może nawet wyjść mu na dobre, że Willi się dowie - bo przecież Willi nadal mógł mieć wobec niego jakieś plany. Harod dobrze pamiętał twarz pionka na szachownicy w Waldheim.

Jeśli zaś ci dwoje byli sterowani przez Barenta, Keplera, Suttera lub całą tę trójkę wspólnie, to chcieli potwierdzenia faktów, które albo już znali, albo mogli z łatwością ustalić. Tak czy inaczej, najlepszym rozwiązaniem dla Haroda był w tej chwili dialog.

- Płacę Hainesowi, który wyszukuje dla mnie ciała - wyjaśnił. - Uciekinierów z domu, dawnych więźniów, byłych informatorów policji z

nową tożsamością... Ma wszystko załatwić w taki sposób, żeby im się wydawało, że za kasę biorą udział w jakimś rządowym przekręcie. Zanim się zorientują, że ich jedynym wynagrodzeniem będzie płytki grób, wylądują w zagrodzie na wyspie.

Mężczyzna w kominiarce parsknął śmiechem.

- Płacisz agentowi Hainesowi... Co na to jego prawdziwy pan i władca?

Harod próbował wzruszyć ramionami, ale kiedy się zorientował, że przykuty do łóżka nie jest w stanie tego zrobić, ograniczył się do pokręcenia głową.

- Mało mnie to obchodzi. Barenta zresztą pewnie też. To Kepler wpadł na pomysł, żeby zlecić mi tę głównianą robotę. Prawdę mówiąc, jest to raczej test na inteligencję niż próba mojego Talentu...

Lustrzane okulary zakolebały się w górę i w dół.

- Opowiedz mi o wyspie, Tony. Interesuje mnie rozkład zabudowań, położenie zagród, topografia obozu, ochrona... Wszystko. Na koniec poprosimy cię o przysługę.

To wtedy Harod doszedł do wniosku, że na pewno rozmawia z Willim. Mówił więc przez bitą godzinę. I uszedł z życiem.

Zanim dotarł do Beverly Hills, postanowił powiedzieć o wszystkim Barentowi i Keplerowi. Nie mógł w nieskończoność grać na dwa fronty. Zresztą, jeśli to Willi stał za jego porwaniem, to mógł wręcz oczekiwać, że Harod pójdzie z tym do Barenta - znając starucha, to też mógł być element jego genialnego planu. Jeżeli zaś to Barent i Kepler urządzili mu próbę lojalności, niezameldowanie o porwaniu mogło mieć śmiertelne skutki.

- W porządku, Tony - powiedział człowiek w kominiarce, kiedy Tony wypowiedział się ze wszystkiego, co wiedział o Dolmann Island i rozrywkach Klubu Wyspiarskiego. - Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc. Teraz cię uwolnimy, ale w zamian musimy cię prosić o jedną przysługę.

- Jaką?

- Powiedziałeś, że masz odebrać zebranych przez Hainesa... ochotników... w sobotę, trzynastego czerwca. Skontaktujemy się z tobą dzień wcześniej, w piątek, żeby podstawić jednego lub więcej swoich ludzi w ich miejsce.

No jasne, pomyślał Harod. Willi chce grać znaczonymi kartami.

Nagle dotarło do niego, co to naprawdę oznacza: Willi wybiera się na wyspę!

- Umowa stoi? - spytał intruz w lustrzanych okularach.

- No dobra, niech będzie. - Harold wciąż nie dowierzał, że go wypuszczą; zgodzi się na wszystko, a potem i tak zrobi to, na co będzie miał ochotę.

- I nikomu nie powiesz o podmiianie?

- Nie.

- Masz świadomość, że od tego zależy twoje życie? Teraz i w przyszłości? Zdrada nie podlega przedawnieniu, Tony.

- Tak, tak.

Harold zastanawiał się, za jak wielkiego durnia ma go Willi - i jak bardzo głupi sam musi być. Ci „ochotnicy”, jak nazywał ich ten gość, policzeni, ponumerowani i rozebrani do naga czekali w zagrodach na losowanie decydujące o tym, kto z kim i kiedy będzie walczył. Nie było mowy o tym, żeby z góry ustawić rozgrywkę, a jeżeli Willi chciał w ten sposób przemycić broń przez system zabezpieczeń Barenta, to chyba faktycznie stał się tym starym piernikiem z demencją, za jakiego Harold już wcześniej go uważał.

- Tak - powtórzył. - Rozumiem. I zgadzam się.

- *Sehr gut* - powiedział człowiek w kominiarce.

I uwolnili Haroda.

Postanowił zadzwonić do Barenta, gdy tylko się wykąpie, napije i obgada wszystko z Marią Chen. Zastanawiał się, czy za nim tęskniła; czy się martwiła. Uśmiechnął się pod nosem, wyobraziwszy sobie, jak zgłasza jego zaginięcie na policji. Ileż to razy na przestrzeni lat znikął na całe dni, tygodnie nawet, nie informując jej, dokąd się wybiera? Jego uśmiech zbladł, gdy dotarło do niego, jak bardzo ten styl życia narażał go na takie sytuacje jak ta, która właśnie mu się przytrafiła.

Zahamował z poślizgiem pod złowieszczym spojrzeniem wiernego satyra z fontanny, wysiadł i ciężkim krokiem ruszył do domu. Może jednak ten telefon do Barenta poczeka na kąpiel, drinka, masaż i...

Drzwi wejściowe był otwarte.

Przez kilka trwających wieczność sekund stał jak skamieniały, zanim jednym skokiem rzucił się do środka. Zakręciło mu się w głowie po narkotykach, którymi go szprycowali; objął się o ściany i meble, nawoływał Marię, prawie nie zauważał przewróconych sprzętów - dopóki przy próbie przeskoczenia leżącego na podłodze krzesła nie zahaczył o nie stopą i nie wyrzwał jak długi na dywan. Natychmiast zerwał się na nogi, wznawiając poszukiwania i nawoływanie.

Znalazł ją w jej gabinecie, skuloną na podłodze za biurkiem. Opadające

na czoło czarne włosy miała pozlepiane krwią, twarz opuchniętą do tego stopnia, że ledwie ją rozpoznał. Krzywiąc się z bólu, rozchyliła fioletowe wargi i odsłoniła co najmniej jeden złamany ząb.

Harod susem przesadził biurko, przyklęknął na jedno kolano, na drugim oparł sobie jej głowę. Jęknęła.

- Tony...

Tony Harod stwierdził, że w czystej, rozpalonej do białości otchłani najgłębszej furii, jaką czuł kiedykolwiek w życiu, nie przychodzi mu do głowy żadne przekleństwo. Nie mógł nawet krzyczeć; jego głos, kiedy wreszcie dobył się z jego gardła, brzmiał niewiele głośniejsze od szeptu.

- Kto to zrobił? I kiedy?

Maria próbowała odpowiedzieć, ale ból zmasakrowanych ust uciszył ją. Przełknęła łzy. Harod nachylił się nad nią, żeby usłyszeć jej szept, kiedy przemówiła:

- Dziś w nocy. Było ich trzech. Szukali cię. Nie powiedzieli, kto ich przysłał, ale widziałam... Richarda Hainesa... w samochodzie... nim zadzwonili do drzwi.

Uciszył ją gestem, z bezgraniczną czułością wziął w ramiona i podniósł z podłogi. Kiedy ją niósł do pokoju i z narastającym zdumieniem uświadamiał sobie, że to tylko ciężkie pobicie, nic wielkiego, Marie na pewno wydobrzeje, z najwyższym zdumieniem skonstatował, że łzy płyną mu po policzkach.

Fakt, że w nocy przyjechali go szukać ludzie Barenta, mógł oznaczać tylko jedno: to Willi stał za jego uprowadzeniem.

Żałował, że nie może od razu sięgnąć po słuchawkę telefonu i zadzwonić do Williego. Z przyjemnością poinformowałby go, że wyrafinowana gra pozorów i niedorzeczne zabezpieczenia właśnie stały się zbędne: cokolwiek Willi zamierzał zrobić Barentowi, on z przyjemnością mu w tym pomoże.

48.

Okolice San Juan Capistrano

25 kwietnia 1981, sobota

Saul i Natalie wracali do kryjówki w sobotę wczesnym popołudniem - Natalie z oczywistą ulgą, Saul zaś z mieszanymi uczuciami.

- Co za niesamowity potencjał naukowy! - ekscytował się. - Gdybym mógł tak badać Haroda przez tydzień, zebrałbym mnóstwo danych.

- Owszem - zgodziła się z nim Natalie. - Tylko że on przez ten czas mógłby coś wymyślić, żeby dobrać się nam do skóry.

- Nie sądzę. Barbiturany skutecznie tłumiły u niego zdolność generowania rytmów niezbędnych do kontaktu z innymi układami nerwowymi i przejęcia nad nimi kontroli.

- Ale gdybyśmy faktycznie trzymali go przez cały tydzień, ktoś w końcu zacząłby go szukać. I bez względu na to, czego byś się dowiedział, nie mógłbyś przejść do następnego etapu planu.

- To prawda - przyznał Saul, chociaż nie bez żalu w głosie.

- Naprawdę się spodziewasz, że Harod dotrzyma słowa i pomoże przemycić kogoś na wyspę?

- To możliwe. Na razie zachowanie pana Haroda wskazuje na chęć minimalizacji szkód. Są pewne czynniki, które mogą zachęcić go do pomocy, ale nawet jeśli nie pójdzie na współpracę, my nic na tym nie tracimy.

- A jeśli jego współpraca ograniczy się do przetrzucenia jednego z nas na wyspę i oddania w ręce Barenta i pozostałych w charakterze trofeum? Ja bym tak zrobiła na jego miejscu.

Saula przeszedł dreszcz.

- Wtedy rzeczywiście będziemy w gorszej sytuacji. Zanim jednak do tego dojdzie, musimy się zająć innymi sprawami.

Dom zastali w takim samym stanie, w jakim go zostawili. Natalie zerkała na odtwarzane przez Saula fragmenty nagrań; na sam widok Haroda na ekranie robiło jej się niedobrze.

- Co teraz? - spytała.

Saul rozejrzał się po pokoju.

- Jest parę rzeczy do zrobienia. Trzeba spisać i opracować materiał z przesłuchań, przejrzeć i opisać wykresy EEG i taśmy rejestratorów

medycznych, uruchomić komputerową analizę i integrację danych... Potem, w oparciu o zgromadzone informacje będziemy mogli rozpocząć eksperymenty z biologicznym sprzężeniem zwrotnym. Powinnaś potrenować techniki hipnotyczne, poza tym musisz przeanalizować akta z lat wiedeńskich i teczkę Niny Drayton. Czeka nas też weryfikacja naszych planów w świetle nowych informacji na temat Dolmann Island, zwłaszcza pod kątem roli, jaką ma w nich odegrać Jack Cohen.

- Dobrze. - Natalie westchnęła ciężko. - Od czego mam zacząć?

- Od niczego - odparł z uśmiechem Saul. - Mogłaś nie zwrócić na to uwagi podczas pobytu w Izraelu, ale dzisiaj mój lud świętuje szabas. Dzień odpoczynku. Idź na górę, zdrzemnij się, a ja tymczasem przyrządę prawdziwy amerykański posiłek powitalny: stek, pieczone ziemniaki, szarlotka, do tego budweiser.

- Nie mamy żadnej z tych rzeczy, Saul. Jack dostarczył nam tylko puszki i liofilizaty.

- Wiem o tym, dlatego, kiedy ty będziesz spała, ja wybiorę się na zakupy do tego sklepiku u wylotu wąwozu.

- Ale...

- Żadnych ale, moja droga. - Saul obrócił Natalie w miejscu i klepnął ją w pupę. - Dam ci znać, kiedy steki będą dochodzić. Uczymy nasz powrót do Stanów łykami Jacka Daniela, którego trzymasz na specjalne okazje.

- Pomogę ci przy szarlotce - zaproponowała sennym głosem Natalie.

- W porządku - zgodził się Saul. - Napijemy się whisky i upieczemy szarlotkę.

Saul nie śpieszył się z zakupami. Popychał wózek jasno oświetlonymi alejkami wśród regałów, słuchał bepciowej muzyki i rozmyślał o rytmach theta i agresji. Dawno już odkrył, że pobyt w amerykańskim supermarkecie jest jedną z najłatwiejszych dróg do autohipnozy; dawno też nabrał nawyku wchodzenia w lekki trans hipnotyczny przy rozwiązywaniu złożonych problemów.

Kręcąc się pomiędzy regałami, uświadomił sobie, że przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, w poszukiwaniu mechanizmów dominacji wśród ludzi podążał niewłaściwymi drogami. Podobnie jak większość naukowców, zakładał skomplikowaną interakcję sygnałów społecznych, subtelności fizjologicznych i zachowań wyższego rzędu. Nawet świadomy prymitywnej natury władzy, jaką miał nad nim Oberst, wciąż szukał wyzwalającego ją

mechanizmu w niezbadanych zaułkach kory mózgowej, od czasu do czasu zniżając się aż do mózdzku. Tymczasem nowsze dane EEG sugerowały, że zdolność dominacji rodzi się w prymitywnym pniu mózgu, skąd w jakiś sposób rozprzestrzenia się za pośrednictwem hipokampu i podwzgórza. Zawsze uważał Obersta i jemu podobnych za owoce mutacji, eksperymentu ewolucyjnego; stanowili osobliwość statystyczną, ilustrującą chorobliwy nadmiar normalnych, drzemających w każdym człowieku zdolności.

Czterdzieści godzin spędzonych w towarzystwie Haroda na zawsze zmieniło jego zapatrywania na tę sprawę. Skoro źródłem tej niewyjaśnionej zdolności był pień mózgu i prymitywny ssaczy układ limbiczny, to talent wampirów umysłowych musiał być starszy niż sam *homo sapiens*. Harod i reszta byli mutantami, przez przypadek ocalałymi z wcześniejszego etapu ewolucji.

Wciąż dumiał nad rytmem theta i zawilościami fazy REM, kiedy dotarło do niego, że zapłacił za zakupy i odebrał z rąk sprzedawcy dwie wypchane po brzegi papierowe torby. Pod wpływem nagłego impulsu poprosił o rozmiennienie czterech dolarów na ćwierćdolarówki. Niosąc zakupy do furgonetki, zastanawiał się, czy zadzwonić do Jacka Cohena.

Logicznie rzecz biorąc, nie powinien tego robić. Nadal nie zamierzał Jacka w nic wciągać bardziej niż to absolutnie konieczne, nie mógł więc podzielić się z nim wiedzą zebraną przez ostatnie dwa dni, niczego też od niego nie potrzebował... Przynajmniej na razie. Telefon do Jacka byłby czystym folgowaniem sobie.

Zapakował zakupy do samochodu i żwawym krokiem podszedł do rzędu automatów telefonicznych przy wejściu do sklepu. Może to dobry moment, żeby sobie pofolgować.

Wysupłał drobniaki i zadzwonił do ambasady, gdzie poprosił o przełączenie do Jacka. Kiedy druga sekretarka spytała, kto dzwoni, przedstawił się jako Sam Turner - tak zasugerował mu Jack, obiecując, że każe natychmiast łączyć wszystkie telefony od „Sama Turnera”.

Czekał blisko minutę, czując wzbierające w nim paskudne, mdlące uczucie *déjà vu*.

- Halo? - zabrzmiał w słuchawce męski głos. - Kto mówi?

- Sam Turner - odparł Saul. Mdłości się nasilały. Wiedział, że powinien się rozłączyć.

- Z kim chciał pan rozmawiać?

- Z Jackiem Cohenem.

- Mogę zapytać, w jakiej sprawie?

- Osobistej.

- Jest pan krewnym lub znajomym pana Cohena?

Saul odwiesił słuchawkę. Wiedział, że namierzenie telefonu nie jest aż takie proste, jak przedstawia się to na filmach w telewizji, ale to połączenie i tak trwało zbyt długo.

Zadzwoił do biura numerów, poprosił o numer do redakcji *Los Angeles Times* i resztę drobnych zużył na ten właśnie telefon.

- *Los Angeles Times*, słucham.

- Dzień dobry. Nazywam się Chaim Herzog, dzwonię z biura informacji konsulatu Izraela. Podobno do jednego z państwa artykułów w tym tygodniu wkradł się błąd, chciałbym go sprostować...

- Rozumiem, panie Herzog. Przełączę pana do archiwum, proszę poczekać.

Zapatrzył się na długie cienie na zboczu za drogą i aż podskoczył, kiedy w słuchawce rozległo się:

- Archiwum, słucham.

Powtórzył swoją bajeczkę.

- Którego dnia został opublikowany ten artykuł, proszę pana?

- Oj, przykro mi, nie pamiętam. A nie mam pod ręką wycinka...

- Może pan powtórzyć nazwisko tego dżentelmena, którym się pan interesuje?

- Cohen - odparł Saul. - Jack Cohen.

Oparł się o telefon i patrzył na olbrzymie ptaki żerujące na czymś leżącym w krzakach po drugiej stronie drogi. Pięćset stóp nad jego głową przeleciał pędzący na zachód helikopter. Oczami wyobraźni Saul widział kobietę z archiwum stukającą w klawisze komputera.

- Już mam - odezwała się. - Wydanie ze środy, dwudziestego drugiego kwietnia, na stronie czwartej: „Pracownik ambasady izraelskiej zginął w napadzie na lotnisku”. To ten artykuł?

- Tak.

- To była depesza Associated Press, panie Herzog. Jeżeli pojawiły się w niej przekłamania, to z winy serwisu prasowego w Waszyngtonie.

- Może mi pani odczytać tę notkę? Chciałbym się upewnić, czy rzeczywiście zawiera błąd.

- Naturalnie.

Pracownica archiwum odczytała składającą się z czterech akapitów

wzmiankę, rozpoczynając się od słów „Dziś po południu na parkingu międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie znaleziono ciało Jacka Cohena (1. 58), starszego attaché ambasady Izraela do spraw polityki rolnej. Cohen najprawdopodobniej padł ofiarą napadu rabunkowego...” i zakończoną następująco: „Mimo braku nowych tropów, śledztwo policyjne trwa”.

- Dziękuję pani - powiedział Saul i się rozłączył.

Ptaki po drugiej stronie drogi porzuciły niewidoczny posiłek i trzepocząc ciężko skrzydłami, wzniosły się po spirali w niebo.

Saul pędził w górę kanionu z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, zmuszając silnik i zawieszenie furgonetki do maksymalnego wysiłku. Jeszcze przez dobrą minutę stał przy telefonie, tłumacząc sobie, że śmierć Jacka Cohena naprawdę mogła być skutkiem przesadnie brutalnego napadu rabunkowego. Takie zbiegi okoliczności przecież się zdarzają. Zresztą, podpowiadała mu jakaś cząstka umysłu, jeśli nawet nie był to przypadek, to od tamtej pory minęły cztery dni; gdyby mordercy byli w stanie powiązać Cohena z kryjówką, już by tu byli.

Nie przekonał sam siebie.

W tumanach kurzu skręcił w prowadzącą do kryjówki bitą drogę i przyśpieszył wśród drzew i płotów. Nie zabrał ze sobą colta - zostawił go w sypialni na piętrze, obok pokoju Natalie.

Przed domem nie parkowały żadne samochody, drzwi wejściowe były zamknięte na klucz.

Otworzył je i wszedł do środka.

- Natalie?!

Nikt mu nie odpowiedział.

Rozejrzał się dookoła, po czym, nie widząc niczego nadzwyczajnego, przeszedł przez jadalnię i kuchnię do pokoju przesłuchań, gdzie zostawił pistolet strzałkowy. Upewnił się, że w komorze naboje tkwi czerwona strzałka, zgarnął całe pudełko naboje i biegiem wrócił do pokoju dziennego.

- Natalie?

Z pistoletem w ręce zdążył pokonać trzy pierwsze stopnie, kiedy Natalie stanęła u szczytu schodów, przecierając zaspane oczy.

- Co się stało?

- Pakuj się. Byle jak, byle szybko. Musimy uciekać.

Bez zbędnych pytań okręciła się na pięcie i wróciła do swojej sypialni.

Saul poszedł do siebie, wziął leżący na walizce pistolet, sprawdził magazynek i wprowadził nabój do komory. Zabezpieczył broń i wrzucił ją do kieszeni sportowej marynarki.

Kiedy wyszedł przed dom z bagażami, Natalie czekała już z walizką przy furgonetce.

- Co mam zrobić? - spytała. Pistolet wypychał kieszeń jej obszernej wiejskiej spódnicy.

- Pamiętasz te dwa kanistry z benzyną, które znaleźliśmy z Jackiem w szopie? Przynies je na werandę, a potem wsiądź do wozu i wypatruj samochodów skręcających z głównej drogi. Albo śmigłowców. Czekaj, dam ci kluczyki. Włącz zapłon. Wszystko jasne?

- Tak.

Saul wrócił do domu, gdzie podłączał całą elektronikę, zebrał zasilacze i powrzucał sprzęt do pudeł bez ładu i składu. Mógł zostawić kamerę i magnetowid, ale nadal potrzebował aparatury EEG, pakietów telemetrycznych, taśm, komputera, drukarki, papieru i nadajników radiowych. Przeniósł pudła do samochodu. Zainstalowanie i wyskalowanie aparatury zajęło im z Natalie dwa dni; rozmontowanie jej i spakowanie do samochodu trwało dziesięć minut.

- Coś się dzieje? - zapytał Natalie.

- Na razie nic! - odkrzyknęła.

Wahał się tylko przez sekundę, zanim zabrał kanistry na tyły domu i zaczął polewać benzyną pokój przesłuchań, pomieszczenie dla obserwatorów, kuchnię i salonik. Dręczyła go świadomość, że zachowuje się poniekąd barbarzyńsko i niewdzięcznie, ale nie miał pojęcia, co ludzie Hainesa albo Barenta mogliby wywnioskować z pozostałości po kryjówce.

Wyrzucił puste kanistry na dwór, sprawdził, czy zabrali wszystko z pokoiów na piętrze, spakował do samochodu ostatnie kartony z kuchni. Stał na werandzie, wyjął zapalniczkę i zawołał do Natalie:

- O czymś zapomniałem?!

- Plastik i zapalniki! Zostały w piwnicy!

- Na Boga... - mruknął Saul i rzucił się do schodów.

Natalie uwiła w samochodzie gniazdko z kartonów i umieściła w nim przyniesioną przez Saula miękko wyściełaną skrzynkę z zapalnikami. On zrobił tymczasem ostatni obchód po domu, zabrał z szafki butelkę jacka danielsa i w końcu podpalił wylane benzyną ścieżki. Efekt był natychmiastowy i dramatyczny. Osłonił twarz ręką.

Przepraszam, Jack.

Kiedy wrócił do wozu, Natalie siedziała już za kierownicą. Nie czekając, aż Saul zamknie za sobą drzwi, ruszyła w stronę głównej drogi. Żwir strzelał spod kół w gąszcz traw.

- Dokąd teraz? - spytała, dotarłszy do skrzyżowania.

- Na wschód.

Natalie skręciła na wschód.

49.

Okolice San Juan Capistrano

25 kwietnia 1981, sobota

Richard Haines przyjechał w samą porę, żeby zobaczyć pierwsze smugi dymu wznoszące się nad izraelską kryjówką szpiegowską. Z dużą prędkością skręcił w lewo w drogę dojazdową, prowadząc złożony łącznie z trzech pojazdów konwój.

Kiedy rządowy pontiac z poślizgiem wyhamował przed domem, płomienie buchnęły z okien na parterze. Haines wbiegł na werandę i osłaniając twarz przedramieniem zajrzał do pokoju od frontu. Próbował nawet wejść do środka, lecz żar skutecznie go zniechęcił.

- Szlag by to...

Trzech swoich ludzi wysłał na tyły domu, czterem kolejnym kazał przeszukać szopę i resztę zabudowań. Pożar rozhulał się na dobre, gdy Haines wycofał się z werandy do odległego o trzydzieści kroków samochodu.

- Mam zawiadomić straż? - spytał agent siedzący przy radiu.

- Możesz. Chociaż i tak, zanim przyjadą, z domu zostaną zgliszcza.

Ogień wyzierał już oknami na piętrze. Zdyszany agent w ciemnym garniturze, z bronią w ręce, podbiegł do Hainesa.

- Nic nie ma w szopie, stodole i kurniku - zameldował. - Tylko po podwórku błąka się Świnia.

- Po podwórku? - zdziwił się Haines. - Chyba w zagrodzie?

- Nie, biega sobie na wolności. Furtka do zagrody była otwarta na oścież.

Haines pokiwał głową, patrząc, jak płomienie zaczynają pożerać dach. Samochody wycofały się na bezpieczną odległość, ludzie kręcili się przy nich z rękami na biodrach. Podszedł do pierwszego pontiaca i zagadnął mężczyznę przy radiu:

- Peter? Jak się nazywa ten stanowy glina, który prowadzi poszukiwania tego chłopaka ze stacji benzynowej?

- Nesbitt, szefie. Szeryf Nesbitt z El Toro.

- To niedaleko stąd, kawałek na wschód, prawda?

- Zgadza się, szefie. Podejrzewają, że chłopak wziął kumpla i razem poszli do wąwozu Travuco. Szukają ich ludzie ze Służby Leśnej i...

- Mają jeszcze ten helikopter?

- Tak, szefie, przed chwilą słyszałem, jak się zgłaszał. Ale nie uczestniczy

tylko w poszukiwaniach; w lesie Cleveland wybuchł pożar...

- Znajdź właściwą częstotliwość i złap tego Nesbitta. A potem połącz mnie z drogówką.

Na miejscu pojawił się pierwszy wóz straży pożarnej, kiedy agent podał Hainesowi mikrofon.

- Szeryf Nesbitt?

- Zgadza się. Kto mówi?

- Agent specjalny Richard Haines, FBI. To ja zleciłem poszukiwania tego chłopaka, Gomeza, którymi pan teraz kieruje. Wynikła inna, ważniejsza sprawa, potrzebujemy pańskiej pomocy. Odbiór.

- Proszę mówić, słucham. Odbiór.

- Poszukujemy czarnego forda econoline, rocznik od siedemdziesiąt sześć do siedemdziesiąt osiem. Podróżująca nim osoba lub osoby są poszukiwane w związku z podpaleniem i morderstwem. Najprawdopodobniej niedawno znajdowały się tu, gdzie stoję, czyli... chwileczkę... dwanaście przecinek dwa mili w górę wąwozu San Juan. Nie wiemy, czy skierowały się na wschód, czy na zachód, spodziewamy się jednak, że na wschód. Czy moglibyście ustawić blokady na drodze numer siedemdziesiąt cztery na wschód od naszej pozycji? Odbiór.

- Na czyją odpowiedzialność? Odbiór.

Haines mocniej ścisnął mikrofon. Za jego plecami dach domu częściowo się zawalił i płomienie liznęły niebo. Drugi wóz strażacki zajechał z rykiem silnika i strażacy zaczęli rozwijać grube węże.

- To sprawa bezpieczeństwa narodowego, bardzo pilna! - krzyknął Haines. - FBI oficjalnie żąda pomocy lokalnych organów ochrony porządku publicznego. To jak będzie z tymi blokadami? Odbiór.

Przeciągając się ciszę radiową mącił tylko zgrzyt zakłóceń, nim w końcu znów zabrzmiał głos Nesbitta:

- Agencie Haines? Na wschód od was mam na siedemdziesiątej czwartej dwa wozy; moi ludzie sprawdzają tam kemping Blue Jay i odchodzące od niego szlaki. Każę Byersowi, jednemu z moich zastępców, ustawić tam blokadę: na granicy hrabstwa, na zachód od jeziora Elsinore. Odbiór.

- Świetnie. Czy wcześniej droga się rozgałęzia?

- Nie. Tam są tylko leśne dróżki dojazdowe, ale Dusty weźmie drugą ekipę i zablokuje skrzyżowania. Potrzebujemy rysopisów podejrzanych, chyba że mamy po prostu aresztować forda. Odbiór.

Mrużąc oczy, Haines patrzył, jak frontowa ściana domu zawała się do

wewnątrz. Wątle strużki wody z czterech węży strażackich niczego nie zmieniły.

Kciukiem włączył mikrofon.

- Nie jesteśmy pewni liczby podejrzanych - odparł. - Prawdopodobne rysopisy: biały mężczyzna, lat siedemdziesiąt, niemiecki akcent, siwe włosy... Towarzyszy mu czarny mężczyzna, lat trzydzieści dwa, sześć stóp i jeden cal wzrostu, dwieście funtów wagi. Może być z nimi także trzeci mężczyzna, lat dwadzieścia osiem, włosy jasne, wzrost: pięć stóp i jednaście cali. Są uzbrojeni i niezwykle niebezpieczni. Znaleźć i zatrzymać samochód; zachować najwyższą ostrożność przy wszelkich kontaktach z jego pasażerami. Odbiór.

- Słyszałeś to, Byers?

- Przyjąłem, szeryfie.

- Dusty?

- Przyjąłem, Carl.

- W porządku, agencie Haines. Ma pan swoje blokady. Coś jeszcze? Odbiór.

- Tak, szeryfie. Czy wasz śmigłowiec nadal lata? Odbiór.

- Zaraz sprawdzę... tak. Steve kończy właśnie poszukiwania w rejonie Santiago Peak. Steve, słyszysz nas? Odbiór.

- Tak, Carl, słucham cały czas. Odbiór.

- Chce pan nasz śmigłowiec, Haines? W tej chwili my i Służba Leśna korzystamy z niego na specjalnych prawach, w drodze wyjątku. Odbiór.

- Steve? - wtrącił się Haines. - Od tej chwili pracujesz dla rządu Stanów Zjednoczonych w związku z zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego. Czy to jasne? Odbiór.

- Tiaaa - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź. - Chociaż wydawało mi się, że Służba Leśna to też część rządu Stanów Zjednoczonych. Gdzie mam lecieć? Właśnie zatankowałem, więc na tym pułapie polatam jakieś trzy godziny. Odbiór.

- Twoje obecne położenie? Odbiór.

- Jestem... jakieś osiem mil od was, lecę na południe pomiędzy Santiago i Trabuci Peaks. Mam podać współrzędne? Odbiór.

- Nie trzeba. Chciałbym tylko, żebyś mnie stąd zabrał. Farma po północnej stronie wąwozu San Juan, pięć mil od Mission Viejo. Znajdziesz? Odbiór.

- Żartujesz sobie? Ja już stąd widzę dym; wy, federalni, potraficie

kapitalnie oznakować lądowisko. Będę za dwie minuty. NL sto sześćdziesiąte siedem B. Bez odbioru.

Haines otworzył bagażnik pontiaca. Przechodzący obok strażak zajrzał do środka i zobaczył zrzucone na stos M-16, strzelby, karabiny snajperskie, kamizelki kuloodporne i magazynki. Zagwizdał przez zęby.

- Ja chromolę... - mruknął pod nosem.

Haines wyjął M-16 i magazynek do niego, postukał magazynkiem w karoserię wozu, żeby naboje się równo ułożyły, i wbił go na miejsce. Zdjął marynarkę, złożył ją starannie i schował do bagażnika. Zamiast niej włożył kamizelkę kuloodporną, której kieszenie wypchał dodatkową amunicją. Wziął leżącą na zapasowym kole niebieską bejsbolówkę i naciągnął ją na głowę.

Agent obsługujący radio zawołał:

- Złapałem komendanta lokalnej drogówki, szefie!

- Podaj mu te same informacje, niech szukają econoline'a. Dowiedz się, czy może rozesłać wiadomość poza granice hrabstwa Orange, do wszystkich patroli.

- Myśli pan o blokadach, szefie?

Haines spojrzał na młodego agenta z niedowierzaniem.

- Na międzystanowej, Tyler? Jesteś aż tak głupi, jak sugeruje to twoje pytanie, czy po prostu masz skłonność do kretyńskich przejęzyczeń? Każ im szukać econoline'a; niech spiszą numery, obserwują wóz i kontaktują się ze mną przez nasze biuro w L.A.

Do Hainesa podszedł agent Barry Metcalfe z biura FBI w Los Angeles.

- Dick? Muszę ci powiedzieć, że nic z tego nie rozumiem. Po co libijskim terrorystom potrzebna była izraelska kryjówka dla szpiegów? I dlaczego ją spalili?

- A kto powiedział, że to libijscy terroryści, Barry?

- No... sam mówiłeś, na odprawie... że są z Bliskiego Wschodu...

- Nigdy nie słyszałeś o izraelskich terrorystach?

Metcalfe rozdziawił usta, ale nie odpowiedział.

Za jego plecami runęła kolejna ściana płonącego domu, sypiąc skrami na wszystkie strony. Strażacy zadowalali się polewaniem wodą sąsiednich budynków.

Ze wschodu z łoskotem silnika nadleciał niewielki helikopter - bell z pękatą kabiną z pleksi. Zatoczył krąg i wylądował na polu na południe od

domu.

- Mam lecieć z tobą? - spytał Metcalfe.

Haines wyciągniętą ręką wskazał maszynę.

- W tym gracie jest chyba miejsce tylko dla jednego pasażera, Barry.

- To prawda, wygląda jak żywcem wzięty z MASH-a.

- Ty pilnuj interesu tutaj. Jak już ugaszą pożar, trzeba będzie dokładnie przeczesać pogorzelnisko. Mogą tam być nawet ciała.

- Super... - mruknął bez entuzjazmu Metcalfe i wrócił do swoich ludzi.

Haines ruszył truchcikiem w stronę śmigłowca, gdy drogę zastąpił mu niejaki Swanson - najstarszy z sześciu łątaczy Keplera, których Haines wziął ze sobą. Teraz spojrzał na Hainesa pytająco.

- Mogę się mylić - wyjaśnił Haines, przekrzykując jazgot wirników helikoptera - ale mam przeczucie, że to robota Williego. Może nie zjawił się osobiście, może tylko przysłał Luhara albo Reynoldsa; gdyby udało mi się ich wykurzyć, zabijcie ich.

- A co z papierkologią? - Ruchem głowy Swanson wskazał Metcalfe'a i jego ekipę.

- Ja się tym zajmę. Wy się skupcie na swojej robocie.

Swanson powoli pokiwał głową.

Ledwie Haines zdążył wzbić się w powietrze - malutki śmigłowiec spiralnym torem przedzierał się jeszcze przez kłęby dymu - gdy odezwało się radio:

- Tu zastępca szeryfa Byers, wóz numer trzy, blokada na drodze numer siedemdziesiąt cztery. Agencje Haines, słyszy mnie pan? Odbiór.

- Słyszę, Byers. Mówcie.

Pod brzuchem helikoptera rozpościerał się górski krajobraz, kręta droga wiła się szarą wstążką po dnie wąwozu. Ruch był niewielki.

- Panie Haines, to... to może nic nie znaczyć, ale przed chwilą widziałem chyba ciemną furgonetkę, to mógł być ford... Zawrócił jakieś dwieście jardów od mojej pozycji na blokadzie. Odbiór.

- W którą stronę teraz jedzie? Odbiór.

- W waszą. Wraca drogą numer siedemdziesiąt cztery. Co najwyżej może skręcić gdzieś w las. Odbiór.

- Czy może was wyminąć tymi leśnymi drogami? Odbiór.

- Nie, panie Haines. One wszystkie albo kończą się ślepo, albo przechodzą w wąskie ścieżki. Przejezdna jest tylko jedna droga pożarowa, ale na niej

ustawił się już Dusty. Odbiór.

Haines zwrócił się do pilota - niskiego, krępego mężczyzny w kurtce Dodgersów i bejsbolówce Cleveland Indians:

- Steve, możesz wywołać Dusty'ego przez radio?

- Łapię go czasem, ale z przerwami - odpowiedział pilot przez interkom. - Zależy po której stronie zbocza jesteśmy.

- Chcę mieć z nim łączność.

Haines obserwował przesuwający się trzysta stóp niżej teren. Karłowate krzewy i sosny rozmazywały się w smugach światła i cienia; w głębi wąwozu, wzdłuż wyschniętych łożysk strumieni, rosły większe sosny i topole. Do zachodu słońca zostało około półtorej godziny.

Znaleźli się nad przełęczą. Helikopter wzbił się wyżej i zaczął krążyć. Na zachodzie majaczyła sina smuga Pacyfiku, na północnym zachodzie zawisł pomarańczowo-brunatny obłok smogu nad Los Angeles.

- Blokada jest tam, za tym pagórkem - wyjaśnił pilot. - Ale na drodze nie widziałem żadnej ciemnej furgonetki. Lecimy na południe, w stronę Dusty'ego?

- Dobrze. Złapałeś go już?

- Nie odpowiada... O, jest. - Pilot pstryknął przełącznikiem na pulpicie. - Kanał dwa pięć, panie Haines.

- Tu agent specjalny Haines. Jak mnie słyszycie? Odbiór.

- Ehm... dobrze, słyszemy bardzo dobrze, ale... Chyba powinien pan to zobaczyć, panie Haines. Odbiór.

- Co to takiego? Odbiór.

- Ehm... Granatowa furgonetka, ford, rocznik siedemdziesiąt osiem... Kiedy chciałem podjechać bliżej asfaltówki, natknąłem się na niego. Odbiór.

Haines dotknął mikrofonu w zestawie słuchawkowym i uśmiechnął się szeroko.

- Ktoś jest w środku? Odbiór.

- Ehm... Nie. Ale za to z tyłu jest masa sprzętu. Odbiór.

- Do diabła, konkrety, Dusty! Co to za sprzęt? Odbiór.

- Jakaś elektronika, agencie Haines. Nie znam się na tym. Pan lepiej podjedzie, sam zobaczy. Ja... rozejrzę się po lesie...

- Mowy nie ma - warknął Haines. - Proszę zabezpieczyć furgonetkę i nie ruszać się z miejsca. Podajcie wasze współrzędne. Odbiór.

- Współrzędne? No... Niech pan powie Steve'owi, że stoję na głównej drodze pożarowej, pół mili od jeziora Coot. Odbiór.

Haines spojrział na pilota, który pokiwał głową.

- Przyjąłem - powiedział Haines. - Proszę się stamtąd nie ruszać, trzymać broń w pogotowiu i mieć się na baczności. Mamy do czynienia z międzynarodowymi terrorystami. - Helikopter przechylił się ostro w prawo i zaczął opadać w stronę zalesionych stoków. - Taylor, Metcalfe? Słyszeliście?

- Tak, Dick - przytaknął Metcalfe. - Jesteśmy gotowi.

- Wy nie - odparł Haines. - Wy zostajecie na farmie. Powtarzam: zostajecie na farmie. Przyślijcie mi Swansona i jego ekipę, spotkamy się przy furgonetce. Zrozumieliście?

- Swansona? - powtórzył zaskoczony Metcalfe. - Ale Dick, to nasza jurysdykcja...

- A ja chcę Swansona! - warknął Haines. - Trzeci raz nie powtórzę. Odbiór.

- Przyjąłem, Richardzie - wtrącił się Swanson. - Jedziemy.

Haines wychylił się przez otwarte drzwi śmigłowca, gdy przelecieli sześćset stóp nad taflą jeziora Coot i opadli w głąb niewielkiej doliny. Uśmiechnął się, ściskając w rękach M-16. Cieszył się, że uszczęśliwi pana Barenta, wprost nie mógł się doczekać tego, co się wydarzy w najbliższych minutach. Był już prawie pewien, że nie ma do czynienia z Willim w własnej osobie - staruszek prędzej Użyłby zastępcy szeryfa i przejechał przez blokadę, zamiast porzucać furgonetkę - ale ktokolwiek to był, właśnie poddał mecz. Otaczały ich setki mil kwadratowych państwowych lasów, lecz w chwili, kiedy ludzie Williego ruszyli przez nie na piechotę, było po zawodach. Haines dysponował prawie nieograniczonymi zasobami, a tutejszy „las” składał się głównie z karłowatych krzaków.

On jednak nie zamierzał ani sięgać po te nieograniczone zasoby, ani czekać z poszukiwaniami do rana. Chciał zakończyć rozgrywkę, zanim się ściemni.

To wcale nie musi być Luhar ani Reynolds, pomyślał. To mało prawdopodobne. Możliwe, że to ta czarna kobieta, której Willi Użył w Germantown, a która potem przepadła bez śladu. To mógł być nawet Tony Harod.

Uśmiechnął się na wspomnienie poprzedniego wieczora i przesłuchania Marii Chen. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej sensowny wydawał mu się wniosek, że ma do czynienia z Harodem. I dobrze, najwyższy czas przestać się cackać z tym hollywoodzkim wypierdkiem.

Richard Haines pracował dla Charlesa Colbena i C. Arnolda Barenta

przez ponad jedną trzecią swojego życia. Colben nie mógł go - jako neutrala - uwarunkować, wynagradzał go jednak hojnie pieniędzmi i władzą. Zresztą, dla Hainesa sama praca stanowiła wystarczającą nagrodę. Lubił swoją robotę.

Pędzący siedemdziesiąt mil na godzinę helikopter znalazł się dwieście stóp nad leśną polaną. Czarna furgonetka była zaparkowana na odsłoniętym terenie, z otwartymi tylnymi drzwiami. Obok stał ciężki terenowy samochód szeryfa. Był pusty.

- Gdzie się podział ten przeklęty gliniarz? - zdenerwował się Haines.

Pilot pokręcił głową i spróbował wywołać Dusty'ego przez radio. Nie było odpowiedzi. Krążyli nad polaną po rozszerzającej się spirali. Haines z karabinem gotowym do strzału wypatrywał ruchu lub przebłysku koloru. Bez powodzenia.

- Jeszcze jedno kółko - poleciał.

- Pan posłucha, panie kapitanie - odezwał się Steve. - Nie jestem policjantem, agentem federalnym ani żadnym bohaterem. Odsłużyłem swoje w Wietnamie. Ta maszyna zapewnia mi środki do życia. Jeżeli istnieje ryzyko, że ona albo my dostaniemy kulkę, to będzie pan musiał wynająć sobie inną latającą zabawkę i innego kierownika.

- Stul dziób i zrób jeszcze jedno kółko. To sprawa bezpieczeństwa narodowego.

- Pewnie. Całkiem jak Watergate. Też mi się nie podobała.

Haines obrócił się na fotelu w taki sposób, że lufą trzymanego na kolanach M-16 wycelował w pilota.

- Poproszę cię jeszcze tylko raz, Steve: zatocz krąg nad polaną. Jeżeli niczego nie zobaczymy, posadzisz nas na południowym skraju polany. *Comprende?*

- Pewnie. *Yo comprendo*. Ale nie dlatego, że celujesz do mnie z tej jebanej pukawki. Nawet federasta nie zastrzeli pilota, jeśli sam nie umie latać helikopterem i nie ma pewności, że trup nie przewróci mu się na pulpit.

- Ląduj - poleciał Haines.

Cztery razy okrążyli polaną, a on nie dostrzegł śladu zastępcy szeryfa ani nikogo innego.

Pilot szybko zniżył lot - do tego stopnia, że musiał potem nabrać wysokości, żeby przeskoczyć nad okalającymi polaną drzewami i sprawnie posadzić ją dokładnie we wskazanym przez Hainesa punkcie.

- Wypad. - Haines skinął karabinem.

- Co to, kurwa, żart jakiś?

- Jeżeli będziemy musieli odlatywać w pośpiechu, chcę mieć pewność, że odlecimy razem. A teraz wyskakuj z kabiny, zanim wpakuję ci kulkę w twoje środki do życia.

- Ty jesteś normalnie popierdolony. - Pilot zsunął czapkę na tył głowy. - Narobię ci takiego smrodu, że J. Edgar Hoover wylezie z grobu i dobierze ci się do tyłka.

- Wypad! - powtórzył Haines. Odbezpieczył broń i przestawił na ogień ciągły.

Pilot pomanipulował przy pulpicie, odczekał, aż wirniki zaczną zwalniać, po czym wypiął się z pasów i zszedł na ziemię. Haines poczekał, aż oddali się na trzydzieści stóp od śmigłowca i znajdzie prawie na skraju polany, zanim sam też odpiął pasy, wyskoczył i podbiegł do porzuconego przez zastępcę szeryfa forda bronco. Biegł zgięty wzdłuż, klucząc, z lekko uniesioną bronią. Przykucnął za tylnym lewym błotnikiem samochodu, wypatrując na wzgórzach ruchu albo odbłyску słońca na metalu lub szkłe. Na próżno.

Ostrożnie uniósł głowę. Zajrzał na tylną kanapę i prześliznął się wzdłuż wozu po stronie kierowcy do miejsca, z którego dostrzegł, że także z przodu nikogo nie ma. Na metalowej przegrodzie oddzielającej przednią część auta od tylnej znajdowały się dwa uchwyty na dwa karabiny. Oba były puste. Pociągnął za klamkę: drzwi były zamknięte na zamek. Przypadł na jedno kolano i omiół wzrokiem roztaczającą się przed nim panoramę w zakresie stu dwudziestu stopni.

Jeżeli ten durny zastępca szeryfa wbrew rozkazom wybrał się na spacer do lasu, pewnie po prostu zabrał broń i zamknął samochód. Jeżeli. Jeżeli był tylko jeden karabin. Jeżeli w ogóle miał ze sobą jakiś karabin. Jeżeli jeszcze żył.

Haines wyjrzał zza przedniego zderzaka bronco na stojącą w odległości dwudziestu stóp furgonetkę... i nagle pożałował, że nie poczekał w helikopterze na Swansona i jego ludzi. Kiedy przyjadą? Za dziesięć minut? Piętnaście? Pewnie szybciej, chyba że jezioro znajdowało się dalej od drogi niż to wyglądało z powietrza.

Nagle przed oczami stanęła mu wizja głowy Tony'ego Haroda na talerzu. Uśmiechnął się i przebiegł dwadzieścia stóp dzielące go od econoline'a.

Tylne drzwi wozu były otwarte na oścież. Przyłgął z boku do rozpalonej karoserii i zaczął się przesuwac ku tyłowi furgonetki. Zdawał sobie sprawę, że stanowi doskonały cel dla Strzelca z karabinem ukrytego na stoku na południe od polany, ale niewiele mógł na to poradzić. Postanowił zakraść się

od tej właśnie strony, ponieważ z wyjątkiem skrawka lasu, w którym schronił się pilot śmigłowca, zbocze wzgórza - w przeważającej mierze porośnięte trawą i pokryte drobnymi kamieniami - nie obfitowało w dogodne kryjówki. A wśród drzew nie wypatrzył niczego, mimo że chwilę przecież krążyli nad polaną.

Trzymając M-16 na wysokości biodra obszedł otwarte drzwi furgonetki i zajrzał do środka: pudełka, płatanina kabli, jakiś sprzęt elektroniczny. Rozpoznał nadajnik radiowy, komputer marki Epson... Miejsca było za mało, żeby mógł się w nim ukryć człowiek. Haines wszedł do wozu, żeby pogrzebać wśród paczek i aparatury. Karton stojący na samym środku zawierał sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt funtów substancji przypominającej szarą glinę modelarską, podzielonej na porcje i starannie popakowanej w foliowe woreczki.

- O w dupę... - mruknął pod nosem Haines.

Nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od furgonetki.

- Ej, panie kapitanie! - zawołał pilot. Stał trzydzieści jardów od samochodu. - Możemy się zbierać?

- Tak! - odkrzyknął Haines. - Odpalaj silnik!

Odczekał, aż Steve wróci do maszyny, zanim sam zgięty wpół zaczął zygzakiem biec w kierunku otwartych drzwi z prawej strony pleksiglasowej bańki.

Był w połowie drogi, kiedy ze wzgórza na północy zagrzmiał głos zbyt donośny, żeby mógł należeć do człowieka:

- HAINES!

Sekundę później padły pierwsze strzały.

50.

Okolice San Juan Capistrano

25 kwietnia 1981, sobota

Saul i Natalie jechali niespełna kwadrans, kiedy zobaczyli pierwszą blokadę: radiowóz stał w poprzek drogi, po obu jego bokach flarami wytyczono wąskie pasy do ruchu w obie strony. Cztery samochody czekały w kolejce w kierunku wschodnim, trzy w przeciwną stronę.

Natalie zjechała na pobocze na szczycie wzgórza ćwierć mili przed blokadą.

- Wypadek? - spytała.

- Wątpię - odparł Saul. - Zawracaj. Szybko.

Wrócili tą samą drogą i zniknęli za wzgórzem.

- Z powrotem do wąwozu? - zapytała Natalie.

- Nie. Dwie mile stąd odchodziła w bok żwirówka.

- Przy drogowskazie na kemping?

- Nie, milę dalej. Droga odbijała na południe. Może uda nam się tamtędy objechać blokadę.

- Myślisz, że policjant nas zobaczył?

- Nie wiem.

Saul wyjął karton z siedzenia pasażera, wyciągnął z niego pistolet i sprawdził, czy jest naładowany. Natalie znalazła tymczasem żwirową drogę i skręciła w lewo. Jechali przez gęsty sosnowy las, minęli kilka łąk, w jednym miejscu musieli zjechać na bok, żeby przepuścić pikap z niedużą przyczepą. Na boki co rusz odchodziły kolejne dróżki, jednak zbyt wąskie i zaniedbane, żeby mogły dokądś prowadzić. Natalie trzymała się więc głównej drogi pożarowej, która tymczasem straciła żwirową nawierzchnię i jako bity trakt kluczyła najpierw na południe, potem na wschód i znów na południe.

Zjeżdżając stromymi serpentynami z zalesionego wzgórza, dostrzegli zaparkowany dwieście metrów dalej, na niewielkiej polanie, radiowóz policyjny. Gdy tylko zniknął im z oczu, zatrzymali się.

- Niech to wszyscy diabli! - zakląła Natalie.

- Szeryf, czy kto to tam jest, nie zauważył nas - uspokoił ją Saul. - Widziałem go przez moment, patrzył przez lornetkę w przeciwnym kierunku.

- Ale nas zobaczy, kiedy wycofam i znów wyjedziemy na odsłonięty teren. A tu jest tak wąsko, że będę musiała wycofać na samą górę, dwa

zakręty stąd, żeby zawrócić. Szlag by to...

Saul przeanalizował jej słowa.

- Nie cofaj - powiedział. - Jedź dalej, zobacz, czy cię zatrzyma.

- Przecież wtedy nas aresztuje!

Saul pogrzebał z tyłu wozu, znalazł kamizelkę i pistolet strzałkowy, którego używali przeciw Haroldowi.

- Mnie już tu nie będzie - wyjaśnił. - Jeżeli to nie nas szukają, spotkamy się po drugiej stronie polany, tam gdzie droga skręca na wschód i wspina się na przełęczkę.

- A jeśli to nas szukają?

- Wtedy spotkamy się jeszcze szybciej. Jestem prawie pewien, że ten facet na dole jest sam. Może uda nam się czegoś dowiedzieć.

- A jeśli będzie chciał przeszukać wóz? Co wtedy, Saul?

- Niech przeszuka. Postaram się podejść jak najbliżej, postaraj się go czymś zająć, żebym mógł przemknąć przez polanę. Jeśli się uda, przybiegnę od południa, kryjąc się za samochodem od strony pasażera.

- Saul... To chyba niemożliwe, żeby on był jednym z tamtych, prawda?

- Mało prawdopodobne. Domyślałam się, że po prostu wciągnęli do współpracy miejscową policję.

- Czyli jest takim jakby... niewinnym obserwatorem.

Saul pokiwał głową.

- Dlatego musimy się postarać, żeby nie stała mu się krzywda. No i żeby nam też nie stała się krzywda. - Spojrzał w dół zalesionego zbocza. - Daj mi pięć minut, zajmę dogodną pozycję.

Natalie dotknęła jego ręki.

- Uważaj, Saul. Mamy już tylko siebie nawzajem.

Saul poklepał jej chłodne szczupłe palce, skinął głową i bezszelestnie zniknął wśród drzew.

Natalie odczekała sześć minut, uruchomiła silnik i zaczęła wolniutko zjeżdżać ze wzgórza. Mężczyzna oparty o bronco z oznaczeniami lokalnej policji był chyba zaskoczony jej widokiem. Wyjął z kabury pistolet, ścisnął go w prawej dłoni i oparł rękę o maskę samochodu. Kiedy od furgonetki dzieliło go dwadzieścia stóp, zawołał przez trzymany w drugiej ręce megafon:

- STAĆ!

Natalie zatrzymała wóz, przestawiła lewarek w położenie neutralne i

położyła ręce na widoku, na górnej części kierownicy.

- ZGAS SILNIK. WYSIĄDŹ Z WOZU. PODNIEŚ RĘCE DO GÓRY.

Serce podchodziło jej do gardła, kiedy wyłączyła silnik i otworzyła drzwi.

Szeryf, zastępca szeryfa czy kim tam był ten facet, był wyraźnie zdenerwowany. Kiedy stanęła przy samochodzie z podniesionymi rękami, zerknął do radiowozu, jakby miał ochotę użyć radia, ale bał się odłożyć broń lub megafon.

- O co chodzi, szeryfie?! - zawołała Natalie.

Dziwnie się czuła, używając znów słowa „szeryf”. Ten mężczyzna w niczym nie przypominał Roba: był wysoki, chudy, miał ponad pięćdziesiąt lat i twarz pożłobioną tyłoma zmarszczkami, jakby przez całe życie gapił się na słońce.

- CICHU BĄDŹ! ODSUŃ SIĘ OD POJAZDU. TAK, DOBRZE. RĘCE ZA GŁOWĘ. KŁADŹ SIĘ. NA BRZUCHU.

- Ale o co chodzi? - powtórzyła Natalie, posłusznie kładąc się w zbrazowiałej trawie. - Co ja takiego zrobiłam?

- ZAMKNIJ SIĘ. TY W FURGONETCE, WYSIADAJ! ALE JUŻ!

- Jestem sama. - Natalie próbowała się uśmiechnąć. - Szeryfie, to jakieś nieporozumienie, ja w życiu nie dostałam nawet mandatu za złe parko...

- CISZA!

Jeszcze chwilę się wahał, w końcu odłożył megafon na maskę bronco. Sprawiał wrażenie zażenowanego całą sytuacją. Znowu spojrzął w kierunku radia, po czym chyba podjął jakąś decyzję, bo szybkim krokiem obszedł radiowóz z drugiej strony - cały czas trzymając Natalie na muszce i popatrując nerwowo na furgonetkę.

- Nie waż się drgnąć! - krzyknął do niej, czając się za otwartymi drzwiami kierowcy econoline'a. - Jeżeli ktoś jest w środku, to lepiej by było, żeby teraz wysiadł. Powiedz mu to.

- Jadę sama - odparła Natalie. - O co w ogóle chodzi? Przecież nic nie...

- Cicho bądź - uciszył ją zastępca szeryfa.

Nagłym, nieporadnym ruchem wyskoczył zza drzwi i omiótł pistoletem wnętrze furgonetki. Odetchnął z ulgą, zanim znów wymierzył do Natalie.

- Rusz się tylko, paniusiu, a rozwalę cię w drobny mak.

Natalie leżała w niewygodnej pozycji. Oparta na wbitych w ziemię łokciach i z rękami splecionymi na karku próbowała zerkać przez ramię na policjanta. Pistolet, z którego do niej mierzył, wydawał jej się niewiarygodnie wielki. Między łopatkami czuła najprawdziwszy fizyczny ból na myśli o tym,

jak tam właśnie trafia ją kula. Może jednak był jednym z tamtych?

- Ręce za plecy! Szybko!

Ledwie jej dłonie zetknęły się na wysokości krzyża, policjant podbiegł długimi susami i zakuł ją w kajdanki. Wtuliła policzek w ziemię, piasek zgrzytnął jej w zębach. Adrenalina i złość powoli wypalały paraliż strachu.

- Nie powie mi pan nawet, jakie prawa mi przysługują?

- Twoje prawa są diabła warte, paniusiu. - Policjant wyprostował się z wyraźną ulgą. Schował pistolet do kabury. - Wstawaj. Zaraz wezwiemy tu FBI i przekonamy się, co się dzieje.

- Świetny pomysł - zabrzmiał stłumiony głos za jego plecami.

Natalie musiała wykręcić całe ciało w bok, żeby dostrzec wychodzącego zza furgonetki Saula w kominiarce i lustrzanych okularach. W prawej ręce trzymał pistolet, z którego mierzył do zastępcy szeryfa; w lewej, swobodnie opuszczonej, niósł pękaty pistolet strzałkowy.

- Nawet o tym nie myśl! - warknął i zastępca szeryfa znieruchomiał w pół gestu.

Patrząc na wycelowaną broń, czarną maskę i srebrne szkła okularów, Natalie sama zaczęła się bać.

- Gleba! - rozkazał Saul. - Gleba, powiedziałem!

Policjant się zawahał; Natalie zdała sobie sprawę, że duma walczy w nim w tej chwili z instynktem samozachowawczym. Saul odciągnął suwadło pistoletu, które wydało donośny szczęk. Zastępca szeryfa najpierw uklęknął, a potem rzucił się na płask na ziemię.

Natalie odturlała się na bok i patrzyła, co będzie dalej. To była trudna chwila. Zastępca szeryfa cały czas miał broń w kaburze; Saul powinien był kazać mu ją odrzucić - bo teraz, chcąc rozbroić mężczyznę, będzie musiał wejść w zasięg jego rąk.

Ależ z nas amatorzy, pomyślała. A mogliśmy po prostu strzelić gliniarzowi w tyłek z pistoletu usypiającego i mieć święty spokój.

Saul tymczasem doskoczył do chudzielca, uklęknął jednym kolaniem na jego plecach i lufą pistoletu wcisnął mu twarz w ziemię. Zabrał szeryfowi broń, odrzucił ją w bok, po czym rzucił Natalie pęk kluczyków.

- Któreś muszą być od kajdanek - wyjaśnił.

- Dzięki.

Natalie usiadła i z wysiłkiem najpierw przeciągnęła ręce pod pupą, a następnie jedna po drugiej przełożyła nogi przez łańcuch kajdanek.

- Musimy pogadać - zapowiedział Saul, szturchając więźnia lufą pistoletu.

- Kto zarządził te blokady?

- Idź do diabła.

Saul zerwał się na równe nogi, cofnął o cztery kroki i strzelił w ziemię cztery cale od twarzy zastępcy szeryfa. Spłoszona hukiem Natalie upuściła kluczyki.

- Zła odpowiedź - powiedział Saul. - Nie każę ci zdradzać tajemnic państwowych, pytam tylko, kto kazał ustawić blokady. Jeżeli w ciągu pięciu sekund nie usłyszę odpowiedzi, strzelę ci najpierw w lewą stopę, a potem będę posuwał się coraz wyżej, aż dowiem się tego, co mnie interesuje. Raz... dwa...

- Tu skurwielu...

- ...trzy... cztery...

- FBI! - wykrzyknął zastępca szeryfa.

- Kto konkretnie?

- Nie wiem!

- Raz... dwa... trzy...

- Haines! Jakiś agent Haines, z Waszyngtonu. Skontaktował się z nami przez radio dwadzieścia minut temu.

- Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem... Przysięgamy, nie wiem!

Drugi pocisk wzbił fontannę piasku pomiędzy długich nóg policjanta. Natalie znalazła wreszcie najmniejszy kluczyk i kajdanki spadły na ziemię. Rozmasowała nadgarstki i czym prędzej podniosła leżący w kurzu pistolet zastępcy szeryfa.

- Razem ze Steve'em Gormanem latają helikopterem wzdłuż głównej drogi - burknął policjant.

- Haines podał wam rysopisy poszukiwanych czy tylko opis samochodu?

Leżący mężczyzna zadarł głowę i mrużąc oczy, spojrzał na Saula i Natalie.

- Dostaliśmy rysopisy - odparł. - Czarna dziewczyna, dwadzieścia parę lat, i biały mężczyzna.

- Kłamiesz. Nie zbliżyłbyś się do wozu, gdybyś wiedział, że szukacie dwóch osób. Co według Hainesa zrobiliście?

Zastępca szeryfa zamamrotał coś pod nosem.

- Głośniej!

- Terroryci - odparł opryskliwym tonem policjant. - Powiedział, że jesteście zagranicznymi terrorystami.

Saul roześmiał się pod kominiarką.

- I miał stuprocentową rację... Ręce na plecy. - Lustrzane okulary zwróciły się ku Natalie. - Skuj go. Daj mi jego pistolet. I stań z boku. Jeśli wykona najmniejszy ruch w twoim kierunku, będę musiał go zabić.

Natalie zatrzasnęła kajdanki na nadgarstkach policjanta i cofnęła się. Zamienili się z Saulem pistoletami.

- A teraz, panie policjancie - zapowiedział Saul - pójdziemy do radia i nawiążemy łączność. Powiem ci, co masz mówić. Wybór należy do ciebie: możesz zginąć na miejscu albo wezwać kawalerię i mieć jeszcze szansę na ratunek.

Po odegraniu radiowej komedyjki Natalie z Saulem zaprowadzili zastępcę szeryfa do lasu, gdzie przykuli go do pnia zwalonej sosenki, sześćdziesiąt jardów ponad polaną. Dwa drzewa musiały tu runąć jednocześnie, przy czym większe z nich oparło się o szczyt wysokiego na cztery stopy głazu. Gęstwina gałęzi nie tylko zasłaniała sam głąz, ale też dawała doskonałą osłonę, nie utrudniając zbyt obserwacji polany.

- Zostań tutaj - polecił Saul Natalie. - Ja wrócę do wozu po strzykawkę i pentobarbital, wezmę też karabin z bronco.

- Ale oni już tu lecą, Saul! Haines zaraz tu będzie! Musimy uśpić tego faceta!

- Nie jestem zadowolony z działania tego środka; kiedy musieliśmy go użyć na tobie, puls skoczył ci pod niebo. Jeżeli gość ma jakieś kłopoty z sercem, mógłby tego nie przeżyć. Zaczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

Natalie przykucnęła za gładem. Saul zbiegł na dół - najpierw zajrzał do bronco, potem zniknął w furgonetce.

- Paniusiu? - syknął zastępca szeryfa. - Wdepnęłaś w niezłe gówno. Rozkuj mnie i oddaj mi spluwę, to może wyjdiesz z tego cało.

- Stul dziób! - odparowała szeptem Natalie.

Saul już wracał na górę, niosąc zabrany z radiowozu karabin i mały niebieski plecak. Z oddali dobiegał coraz bliższy łoskot nadlatującego śmigłowca. Natalie nie odczuwała wcale strachu, tylko wielkie podniecenie. Odłożyła broń zastępcy szeryfa, zabezpieczyła pistolet Saula, chwyciła go oburącz i oparłszy ręce o płaski wierzch głazu, na próbę - wiedząc, że jest za daleko na celny strzał z pistoletu - wycelowała w stojącą z otwartymi drzwiami furgonetkę.

Saul przedarł się przez zasłonę z gałęzi w tej samej chwili, w której za ich

plecami śmigłowiec wzniósł się ponad grzbiet wzgórza. Przykucnął, dysząc ciężko, i wciągnął do strzykawki płyn z odwróconej do góry dnem fiolki. Zastępca szeryfa klął i protestował, kiedy Saul robił mu zastrzyk, jeszcze chwilę się poszamotał, w końcu opadł bezwładnie i zasnął.

Saul zdjął kominiarkę i okulary. Śmigłowiec zatoczył drugi krąg, nieco niżej niż poprzednio. Saul z Natalie skulili się pod dachem z gałęzi.

Saul wytrząsnął zawartość plecaka na ziemię. Przyciągnął do siebie czerwono-białe pudełko naboju w miedzianym płaszczu i jeden po drugim zaczął je ładować do karabinu policjanta.

- Przepraszam cię, Natalie, że nie naradziłem się z tobą wcześniej, ale nie mogłem przegapić takiej okazji... Haines jest tak blisko!

- Nic się nie stało. - Natalie nie mogła usiedzieć spokojnie, na przemian to przyklękała na ziemi, to podnosiła się i siadała w kucki. Oblizwała nerwowo wargi. - Jest super!

Saul spojrzał na nią pytająco.

- No wiesz, boję się i w ogóle, ale to jest naprawdę ekscytujące! Dorwiemy tego gościa, uciekniemy i... auć!

Saul złapał ją za ramię i mocno ścisnął. Odstawił karabin, opierając go o głaz, i położył drugą rękę na drugim ramieniu Natalie.

- Posłuchaj - zaczął. - W tej chwili nasze organizmy buzują od adrenaliny, dlatego cała ta sytuacja rzeczywiście wydaje się ekscytująca. Ale to nie telewizja, nie będzie tak, że po zakończonej strzelaninie aktorzy wstaną, otrzepią się i pójdą na kawę. W ciągu najbliższych paru minut ktoś zostanie ranny i widowisko stanie się równie ekscytujące jak pokłosie wypadku samochodowego. Skup się. Niech ten wypadek przydarzy się komuś innemu, nie tobie.

Natalie pokiwała głową.

Helikopter zatoczył ostatni krąg nad polaną, na chwilę zniknął za grzbietem wzgórza na południu, po czym usiadł w chmurze kurzu i sosnowych igieł. Natalie leżała na brzuchu, przytulona bokiem do głazu. Obok leżał Saul z karabinem opartym kolbą o bark.

Wdychając aromat prażonej słońcem ziemi i sosnowych igieł, Saul przeniósł się w myślach w inne miejsce i czas. Po ucieczce z Sobiboru w październiku 1944 roku dołączył do działającego w Lasach Parczewskich żydowskiego oddziału partyzanckiego. W grudniu, zanim jeszcze zatrudnił się jako asystent i pielęgniarz obsługującego partyzantów lekarza

frontowego, dostał karabin i został wyznaczony do służby wartowniczej.

Była pogodna, zimna noc, w poświacie pełni księżyca śnieg przybrał siny odcień. Nagle na polanę, przy której zaczął się Saul, wszedł ślaniający się na nogach niemiecki żołnierz, właściwie jeszcze chłopiec, bez hełmu i karabinu. Dłonie i uszy miał obwiązane szmatami, policzki odmrożone do białości. Po insygniach oddziału Saul natychmiast zorientował się, że ma przed sobą dezentera. Tydzień wcześniej Armia Czerwona ruszyła z potężną ofensywą w tym rejonie i chociaż od całkowitej porażki Wehrmacht dzieliło wówczas jeszcze dziesięć długich tygodni, chłopak już teraz dołączył do setek tych, którzy rozpoczęli pośpieszny odwrót.

Jechiel Grynszpan, dowódca oddziału, wydał jednoznaczne rozkazy na wypadek spotkania z samotnym niemieckim dezenterem: zastrzelić, a ciało wrzucić do rzeki lub zostawić, żeby zgniło. Nie należało podejmować prób przesłuchania. Egzekucję można było wstrzymać tylko wówczas, gdy istniało ryzyko, że huk wystrzału zdradzi miejsce pobytu oddziału któremuś z nielicznych w tej okolicy niemieckich patroli - wówczas należało użyć noża lub darować dezenterowi życie.

Saul zawołał do chłopaka. Mógł strzelać - drużyna, w której skład wchodził, obozowała w odległej o kilkaset metrów jaskini, a w pobliżu nie było żadnych Niemców - wołał jednak zawołać, zamiast od razu otworzyć ogień.

Chłopak osunął się na kolana w śnieg i rozplakał, błagając Saula po niemiecku, żeby go oszczędził. Saul zaszedł go od tyłu, lufa zabytkowego mausera znalazła się niespełna trzy stopy od blondwłosej potylicy Niemca. I wtedy przypomniał sobie Dół, staczające się do niego białe ciała, plaster na policzku sierżanta Wehrmachtu, który zrobił sobie przerwę na papierosa, majtając nogami nad tym obrazem zgrozy.

Chłopak płakał, lód skrzył mu się na długich rzęsach. Saul uniósł mausera do strzału... po czym cofnął się i powiedział po polsku „Uciekaj”. Patrzył, jak młody Niemiec z niedowierzaniem ogląda się przez ramię, a potem - najpierw na czworakach, potem na nogach, potykając się - ucieka z polany.

Kiedy następnego dnia oddział ruszył na południe, znaleźli zamarznięte zwłoki chłopaka w strumieniu. To był ten sam dzień, w którym Saul w rozmowie z Grynszpanem poprosił o przydzielenie go do doktora Jaczyka w roli asystenta. Dowódca długo mu się przyglądał, zanim odpowiedział. W oddziale nie było miejsca dla Żydów, którzy nie chcieli bądź nie mogli zabijać Niemców, ale Grynszpan wiedział, że Saul przeżył Chełmno i

Sobibór. Zgodził się.

Saul był na wojnie także w 1948, 1956, 1967 i - przez kilka godzin - w 1973 roku. Za każdym razem wyruszał na nią jako lekarz wojskowy. Nie licząc tych makabrycznych godzin we władzy Obersta, kiedy tropił *Der Alte*, nigdy nikogo nie zabił.

Leżąc na miękkim pościeli z nagranych słońcem sosnowych igieł, zerknął na zegarek. Śmigłowiec wylądował - w niedobrym miejscu, blisko przeciwległego skraju polany, gdzie policyjny ford bronco częściowo zasłaniał go przed wzrokiem Saula.

Stareńki karabin powtarzalny miał drewnianą kolbę, czterotaktowy zamek i zwykłą muszkę ze szczerbinką; Saul poprawił okulary, żałując w duchu, że nie ma celownika optycznego. Wszystko w tej sytuacji było sprzeczne z dobrymi radami Jacka Cohena: obca broń, z której nigdy nie strzelał, ograniczone pole rażenia i brak drogi ucieczki.

Przypomniawszy sobie Aarona, Deborah i bliźniaków. Odciągnął zamek i wprowadził nabój do komory.

Pilot wysiadł pierwszy i powoli odsunął się od helikoptera, czym zaskoczył i zaniepokoił Saula. Mężczyzna stojący po drugiej, prawej stronie bąblowatej pleksiglasowej kabiny miał karabin samopowtarzalny, ciemne okulary, czapkę z długim daszkiem i jakąś ciężką, obszerną kamizelkę. Widząc go z odległości sześćdziesięciu jardów, Saul (oślepiiony odbijającym się od pleksi zachodzącym słońcem) nie miał pewności, czy rozpoznaje Richarda Hainesa. Nie strzelił więc od razu - i natychmiast poczuł wzbierającą mu w piersi falę mdłości, wywołaną przeświadczeniem, że popełnia błąd. Kiedy zszedł po karabin, słyszał, jak Haines wywołuje Swansona przez radio - więc ten człowiek na dole to musiał być on. Wystarczy, że zostanie na polance i zaczeka na resztę.

Saul położył sobie megafon pod ręką i spojrzał wzdłuż lufy w dół. Mężczyzna w kamizelce poruszył się: zgięty w pół, jak w warunkach bojowych, doskoczył do bronco. Nie wyszedł na strzał, ale Saul zdążył rozpoznać mocny zarys szczęki i wycierające spod czapki starannie przystrzyżone włosy. Miał przed sobą Richarda Hainesa.

- Gdzie on jest? - spytała szeptem Natalie.

- Cii. Za samochodem. Ma karabin. Schowaj się.

Saul położył megafon na ziemi przed sobą, sprawdził, czy jest włączony, i obiema rękami ścisnął karabin.

Pilot coś zawołał, ukryty za furgonetką agent coś odkrzyknął i pilot zaczął

się powoli przesuwać w stronę śmigłowca. Pięć sekund później pojawił się także agent, poruszający się już znacznie szybciej.

- Haines! - zawołał Saul.

Wzmocniony grzmot jego głosu wystraszył Natalie i odbił się echem od przeciwległego wzgórza. Pilot rzucił się pod osłonę drzew, a postać w kamizelce okręciła się w miejscu, przypadła na prawe kolano i zaczęła siec z boczne gradem pocisków. Odgłos wystrzałów wydał się Saulowi cichy, błahy, jak z zabawki. Coś świsnęło w gałęziach osiem, dziewięć stóp nad jego głową. Przycisnął olejowaną kolbę do policzka, wycelował i strzelił. Szarpnięty siłą odrzutu karabin zaskakująco mocno uderzył go w bark. Haines nadal strzelał, zataczając M-16 krótkie, śmiertelne łuki. Dwie kule zrykoszetowały na głazie przed Saulem, trzecia wbiła się w zwaloną kłodę z dźwiękiem siekiery rozszczepiającej pień. Saul zaczął żałować, że nie przykuł zastępcy szeryfa gdzieś głębiej wśród kłód.

Po strzale Saula trącone igły sosnowe drgnęły nieco na lewo od miejsca, w którym klęczał Haines. Saul lekko podniósł lufę i przesunął ją w prawo; kątem oka dostrzegł, jak pilot odwraca się i w panice ucieka w las. Wyraźnie widział plującą ogniem lufę M-16. Ostatnia seria zagrzechotała o głaz, pod którym Natalie skuliła się w pozycji płodowej, a potem strzały ucichły, klęcząca figurka odrzuciła prostokąt pustego magazynka i sięgnęła do kieszeni kamizelki po nowy.

Saul wycelował starannie i strzelił do Hainesa.

Agent specjalny odskoczył w tył jak szarpnięty niewidzialnym sznurem. Czapka i okulary spadły mu z głowy, gdy wylądował na plecach z rozrzuconymi nogami. Karabin poszybował w powietrzu i spadł sześć stóp za jego głową.

Nagła cisza była ogłuszająca.

Natalie już dźwignęła się na klęczki. Dysząc ciężko wyjrzała zza głazu.

- O Jezu... - wyszeptała.

- Nic ci się nie stało? - spytał Saul.

- Nie, nic.

- Zostań tu.

- Mowy nie ma - odparła Natalie.

Oboje wstali.

Zdążyli zejść czterdzieści stóp, kiedy Haines przetoczył się na brzuch, dźwignął na czworaki, porwał z ziemi karabin i puścił się biegiem w stronę najbliższych rosnących drzew. Saul przyklęknął na jedno kolano, strzelił, chybił.

- Cholera jasna! - zaklął. - Tędy!
- Pociągnął Natalie w lewo, w gęstwinę.
- Zaraz przyjadą następni - wysapała.
- Wiem. Dlatego musimy być cicho.

Przemieszczali się w lewo, od drzewa do drzewa. Stok po drugiej stronie polany był zbyt odsłonięty, żeby Haines mógł się bezpiecznie posuwać zgodnie z ruchem wskazówek zegara; musiał więc albo tkwić nieruchomo w jakiejś kryjówce, albo iść im na spotkanie.

Saul zastanawiał się, czy pilot jest uzbrojony.

Przesuwali się najszybciej jak mogli, kryjąc się za drzewami i trzymając z dala od skraju lasu. Kiedy zbliżyli się do miejsca, w którym Haines zniknął wśród drzew, Saul dał Natalie znak, żeby się zatrzymała w gęstym podszyciu, sam zaś przykucnął i powoli ruszył dalej, po każdym kroku rozglądając się na boki. W kieszeni podzwaniały mu zapasowe naboje. Wśród drzew szybko się ściemniało, pierwsze komary bzycały niecierpliwie wokół jego spoconej twarzy. Miał wrażenie, że od lądowania helikoptera upłynęły całe godziny, ale zerknąwszy na zegarek stwierdził, że minęło zaledwie sześć minut.

W padających na ziemię niemal poziomo promieniach słońca coś błysnęło na ciemnym tle. Saul przypadł do ziemi i podczołgał się na brzuchu. Znieruchomiał, przełożył karabin do lewej ręki, a prawą wyciągnął do przodu i dotknął krwi, która zbryzgała ziemię i sosnowe igły. Po lewej było widać dalsze krople, utworzony przez nie trop zniknął w miejscu, gdzie drzewa rosły gęściej.

Zaczął się wycofywać, kiedy z tyłu, po lewej zagrzmiała seria z karabinu, ogłuszający jazgot, który w niczym już nie przypominał zabawki. Przycisnął twarz do ziemi, usiłując się wtopić w grunt; kule łamały gałęzie, przeszywały pnie drzew i z wizgiem śmigwały nad polaną - co najmniej dwie zrykoszetowały tam na czymś metalowym, ale Saul nie podniósł głowy, żeby sprawdzić, który pojazd został trafiony.

Niespełna czterdzieści stóp od niego dał się słyszeć przeraźliwy wrzask, a potem jęk, który zaczął się w niskich rejestrach, a potem wznosił się i wznosił niemal ku ultradźwiękom. Saul zerwał się na nogi i popędził w lewo. Wolną ręką złapał strącone przez uderzoną gałąź okulary i prawie wpadł na przykucniętą za spróchniałym pniakiem Natalie. Rzucił się na ziemię obok niej.

- W porządku? - spytał szeptem.
- Tak. - Pistoletem wskazała gęsty iglasty młodniak po lewej stronie,

gdzie zbrocze przeginało się i opadało w głąb niewielkiego jaru. - To tam. Nie strzelał do nas.

- Nie.

Saul obejrzał okulary: oprawka się pogięła. Obmacał kieszenie marynarki: zadźwięczały naboje, pistolet tkwił bezpiecznie w lewej kieszeni. Łokcie miał całe w błocie.

- Chodźmy.

Poczołgał się przodem. Natalie ruszyła w jego ślady, trzy jardy na prawo od niego. Kiedy zbliżyli się do wypływającego z jaru strumyka, podszyt zgęstniał, pojawiło się więcej młodych sosen i jodeł, karłowatych brzózek, kęp paproci... Natalie znalazła pilota, niemal oparła mu się ręką o pierś, wymijając gęsty krzew jałowca. Seria z M-16 prawie przecięła go na dwoje. Z mięśni brzucha zostały luźne, pokawałkowane czerwone strzępy, palce zaciskał na biało-szarych sznurach wnętrzości, jakby próbował upchnąć je z powrotem w ranie. Głowę miał odrzuconą do tyłu, usta szeroko otwarte w niedokończonym krzyku, przymglony wzrok utkwiony w skrawek błękitnego nieba wysoko pomiędzy gałęziami.

Natalie odwróciła się i cicho zwymiotowała w paprocie.

- Chodź - szepnął Saul.

Szmer strumienia zagłuszał ciche dźwięki.

Znaleźli małe rozbryzgi krwi na zwałonej kłodzie za litym murem małych świerczków: Haines musiał tu niedawno przykucnąć, kiedy usłyszał hałas czyniony przez przedzierającego się przez zarośla pilota.

Saul wyjrzał pomiędzy świerków. Dokąd poszedł Haines? Po lewej rozciągał się długi na dwadzieścia pięć stóp skrawek odsłoniętego terenu, za którym zaczynał się znów dorodny las, wypełniający dolinę i wnoszący się ku małej przełęczce na południowym wschodzie. Po prawej młode drzewka wypełniały jar, który czterdzieści stóp wyżej zwężał się w miejscu przesłoniętym trzystopowej wysokości jałowcem.

Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Ruch w jednym kierunku wystawi go na widok człowieka, który udał się w przeciwną stronę. Polanka po lewej stanowiła jednak swoistą psychologiczną barierę... Saul doszedł do wniosku, że Haines skręcił w tym miejscu w prawo.

Cofnął się i oddał karabin Natalie. Przytknął usta do jej ucha i szepnął:

- Pójdę tam. Ty schowaj się tutaj, przy tej kłodzie. Daj mi dokładnie cztery minuty, a potem wystrzel w powietrze. Nie wychylaj się. Jeżeli niczego nie usłyszysz, odczekaj jeszcze minutę i znów wystrzel. Jeżeli nie

wrócę przez dziesięć minut, wracaj do wozu i spadaj stąd jak najszybciej. On nie widzi stąd drogi. Rozumiesz, co mówię?

- Tak.

- Masz jeszcze paszport. Jeżeli coś pójdzie nie tak, zawsze możesz z nim wjechać do Izraela.

Natalie nie odpowiedziała. Była spięta, ale zaciśnięte usta nie drżały ani odrobinę.

Saul skinął jej głową, przeczołgał się przez mur miękkich świerków i trzymając się strumienia, ruszył pod górę.

Czołgając się tunelami z młodego jałowca, czuł zapach krwi, było jej coraz więcej. Poruszał się zbyt wolno - upłynęły już trzy minuty, a on nie wspinał się jeszcze dostatecznie wysoko. W spoconej prawej dłoni ścisnął pistolet, okulary co rusz zsuwały mu się z nosa, kolana i łokcie miał obolałe, oddech rzeźił mu boleśnie w piersi. Muchy uniosły się znad kolejnej jasnej plamy krwi i bzycząc, poleciały mu prosto w twarz.

Zostało pół minuty; Haines musiałby biec, żeby bardziej się oddalić. Może faktycznie biegł; wystarczyłoby mu dziesięć jardów przewagi - M-16 miał zasięg dwadzieścia razy większy od pistoletu Saula. Włącznie z dodatkowym nabojem, który Saul wprowadził do komory, miał łącznie osiem kul. Kieszenie wypchał ciężkimi nabojami od karabinu, za to trzy zapasowe magazynki do pistoletu zostawił leżące schludnie na ziemi obok skutego zastępcy szeryfa.

Teraz nie miało to znaczenia. Za dwadzieścia sekund Natalie strzeli w powietrze i nic nie będzie miało znaczenia, jeśli do tego czasu nie znajdzie się dostatecznie blisko Hainesa. Rzucił się naprzód na czworakach, sapiąc jak lokomotywa i wiedząc, że robi za dużo hałasu. Padł pod zwieszającą się nisko gałęzią jałowca i dyszał szybko przez usta.

Echo poniosło odgłos wystrzału w górę jaru.

Saul przetoczył się na plecy, zasłaniając usta przedramieniem, żeby zagłuszyć sapanie.

Nic. Ani strzałów, ani ruchu na górze.

Leżał na plecach z pistoletem przy twarzy, wiedział, że powinien ruszać dalej, posuwać się w górę zbocza, ale się nie poruszył. Ściemniało się. Falbanka cirrusów odbiła resztki dziennego różu, nad skrajem jaru zaślniła pierwsza gwiazda.

Spojrzał na zegarek: od lądowania śmigłowca minęło dwanaście minut.

Wciągnął głęboko do płuc stygnące powietrze. Pachniało krwią.

Od pierwszego strzału Natalie upłynęło zbyt wiele czasu. Saul znów wyciągnął rękę, żeby spojrzeć na zegarek, kiedy padł drugi strzał - tym razem znacznie bliżej: kula zrykoszetowała na kamieniu trzydzieści stóp w górę jaru.

Richard Haines wynurzył się z gąszczu najdalej osiem stóp od Saula i oddał serię w dół stoku. Saul wyraźnie widział plującą ogniem lufę i czuł odór kordytu. Kule siekły gęstwinię, przez którą dopiero co się przeczołgał. Dwucalowej średnicy samosiejki padały jak ścięte niewidzialną kosą. Pociski rykoszetowały na kamieniach na wschodnim zboczu jaru, z wizgiem odbijały się od skał na zboczu zachodnim i ostatecznie wzburzały fontanny pyłu daleko w dole. Pachniało żywicą i prochem. Kiedy seria wreszcie ucichła, ogłuszony Saul jeszcze przez dobre dwie, trzy sekundy nie był w stanie się ruszyć. Usłyszał metaliczny szczęk wypinanego magazynka i stuknięcie wsuwanego na jego miejsce drugiego, pełnego. Trzasnęły gałązki, gdy Haines znów wstał.

Saul również wstał. Zobaczył stojącego niespełna dziesięć stóp od niego agenta, wyprostował prawą rękę i strzelił sześć razy.

Haines upuścił karabin, stęknął i usiadł. Spojrzał na Saula z zaciekawionym, jakby byli dwójką dzieciaków bawiących się w grę, w której Saul nagle go oszukał. Włosy miał spocone i zmierzwiłone, kamizelka zwisała mu luźno z jednej strony, na twarzy było widać smugi brudu. Krew przesiąkła mu przez lewą nogawkę spodni. Trzy pociski Saula trafiły w kamizelkę i tylko odrzuciły go wstecz, ale poza tym lewą rękę miał strzaskaną w barku, a jedna kula musiała dosięgnąć go z boku szyi, gdzie kamizelka zostawiała więcej luzu. Saul wyraźnie zobaczył sterczące z ciała odłamki obojczyka, gdy, roztrącając jałowce, podszedł i przykucnął trzy stopy od Hainesa. Lewą ręką odsunął M-16 na bok.

Agent siedział z wyprostowanymi nogami, czubki jego czarnych butów celowały w niebo. Zmasakrowana lewa ręką zwisała pod nienaturalnym, przyprawiającym o mdłości kątem, prawa dłoń spoczywała swobodnie na kolanie, jakby położył ją tam od niechcenia. Na przemian otwierał i zamykał usta. Miał krew na języku.

- Boli - jęknął w końcu ściszym głosem.

Saul pokiwał głową. Kucał i patrzył, oceniając rany - z przyzwyczajenia i zawodowej ciekawości. Haines prawie na pewno straciłby lewą rękę, ale gdyby natychmiast udzielić mu pomocy, przetoczyć krew i w ciągu pół

godziny ewakuować go śmigłowcem, mógłby jeszcze przeżyć.

Saul przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Aaronem, Deborah i bliźniaczkami. Jom Kippur. On z Aaronem siedzieli na kanapie pogrążeni w rozmowie, a dziewczynki zasnęły pomiędzy nimi.

- Pomóż mi... - wyszeptał Haines. - Proszę.

- Nic z tego - odparł Saul i strzelił mu dwa razy w głowę.

Natalie gramoliła się pod górę z karabinem w ręce, kiedy Saul zszedł z górnych partii jaru. Spojrzała na trzymanego przez niego M-16 i wypchane zapasowymi magazynkami kieszenie i uniosła pytająco brwi.

- Nie żyje - wyjaśnił Saul. - Musimy się śpieszyć.

Od lądowania helikoptera upłynęło siedemnaście minut, kiedy Natalie ponownie uruchomiła silnik furgonetki.

- Zaczekaj - powstrzymał ją Saul. - Sprawdziłaś po tej pierwszej strzelaninie, co z zastępcą szeryfa?

- Nic mu się nie stało. Spał jak dziecko.

- Minutkę.

Saul wyskoczył z wozu z karabinem w rękach i spojrzał na stojący czterdzieści stóp od niego śmigłowiec. Z tyłu, za bańką kabiny, znajdowały się dwa zbiorniki paliwa o łezkowatym kształcie. Przełączył broń na ogień pojedynczy i strzelił. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie łomem w bojler, ale wybuch nie nastąpił. Strzelił drugi raz. W powietrzu rozeszła się ostra woń paliwa lotniczego. Trzeci pocisk wznicił pożar, który pochłoniął maszynę. Płomienie buchnęły pod niebo.

- Jedź! - Saul wskoczył do furgonetki.

Zakolebali się w koleinach, wyminęli bronco i zdążyli wjechać między drzewa na południowo-wschodnim skraju polany, kiedy eksplodował drugi zbiornik. Bąblowata osłona kabiny pofrunęła w las, płomień liznął lewy bok bronco.

Na serpentynach ćwierć mili za ich plecami mignęły im dwa czarne samochody.

- Szybciej - ponaglił Natalie Saul. Wjechali w leśny mrok.

- Nie mamy wielkich szans, co? - spytała Natalie.

- Nie. Będą nas szukać wszyscy gliniarze z Orange i Riverside. Zablokują główną drogę, odetną wszystkie dojazdy do międzystanowej piętnastki i jeszcze przed świtem wyślą na poszukiwania śmigłowce i wozy terenowe.

W pędzie przecięli strumień i z prędkością siedemdziesięciu mil na

godzinę przeskoczyli na drugą stronę przełęczy. Żwir tryskał im spod kół. Natalie weszła z poślizgiem w zakręt, skontrowała po mistrzowsku i zapytała:

- Warto było, Saul?

Podniósł na nią wzrok znad pociętych okularów, które próbował naprawić.

- O tak - przytaknął. - Było warto.

Natalie pokiwała głową i skierowała samochód w dół długiego zbocza, na spotkanie jeszcze ciemniejszego skrawka lasu.

51.

Dothan, Alabama

26 kwietnia 1981, niedziela

Był niedzielny poranek. Na oczach ośmiu tysięcy widzów zebranych w Ośrodku oraz około dwóch i pół miliona słuchaczy przed telewizorami wielebny Jimmy Wayne Sutter wygłosił płomienne kazanie, które tak wstrząsnęło widzami, że ci zebrani w Pałacu Kultu zerwali się na równe nogi i zaczęli przemawiać w obcych językach, a ci przed telewizorami rzucili się do telefonów, żeby podać prowadzącym zbiórkę telefonistkom numery swoich kart kredytowych. Transmitowane przez telewizję nabożeństwo trwało dziewięćdziesiąt minut, z których siedemdziesiąt dwie zajęło kazanie wielebnego. Jimmy Wayne odczytał wiernym fragmentu Listu do Koryntian, po czym uraczył ich znacznie dłuższą przemową, w której wyobrażał sobie, jak Paweł uwspółcześniłby swoje listy, by opisać w nich kondycję moralną i perspektywę Stanów Zjednoczonych. Sądząc ze słów, które wielebny Jimmy Wayne włożył w usta świętego Pawła, współczesnymi USA rządziła bezbożność i pornografia, pełzający świecki humanizm zaszczerpiał bezbronnym młodym ludziom wiedzę o tajemnych rytuałach grzesznego socjalizmu, permissywizm, rozpasanie seksualne i demoniczne opętania były - za sprawą rockowych teledysków i gier fabularnych - na porządku dziennym, a wszechobecne ogólne zepsucie najbardziej wyraziście przejawiało się w odrzuceniu przez grzeszników Chrystusa jako osobistego Zbawiciela. Dlatego tak ważne było szczodre wsparcie dla takich chrześcijańskich inicjatyw jak Ośrodek Pomocy Biblijnej, telefon 1-800-555-6444.

Kiedy wybrzmiał ostatni triumfalny akord odśpiewanego przez chór Ośrodka hymnu i na dziewięciu potężnych kamerach pogasły czerwone lampki, wielebny Jimmy Wayne wrócił prywatnymi korytarzami do gabinetu w towarzystwie trzech ochroniarzy, księgowej i specjalisty od mediów. Zostawił całą piątkę w poczekalni, sam zaś wszedł do swojego *sanctum sanctorum*, gdzie, rozebrawszy się do rosołu, zostawił za sobą trop przepoconych ubrań i stanął nagi przy barze. Nalał sobie podwójnego bourbona, gdy wtem wysoki fotel za biurkiem obrócił się wokół osi i stary człowiek o zaczerwienionej twarzy i jasnych oczach powiedział:

- Bardzo ożywcze kazanie, James.

Sutter aż podskoczył, rozchlapując sobie drinka na rękę.

- Do licha, Willi! Miałeś przyjechać po południu!

- *Ja*, ale pomyślałem, że wpadnę wcześniej - odparł Wilhelm von Borchert. Zetknął dłonie czubkami palców i z rozbawieniem obserwował nagość Suttera.

- Przyjechałeś prywatnie?

- Ależ naturalnie. Wolałbyś, żebym przyleciał razem z turystami i przywitał się z ludźmi Barenta i Keplera?

Jimmy Wayne Sutter odchrząknął, dopił drinka i poszedł do łazienki przy gabinecie wziąć prysznic.

- Brat Christian dzwonił do mnie dziś rano - powiedział, przekrzykując szum wody. - Rozmawialiśmy o tobie.

- Naprawdę? - Willi nadal uśmiechał się półgębkiem. - Czego chciał nasz stary druh?

- Dał mi znać, że byłeś ostatnio zajęty.

- Ach *ja*? A konkretnie?

- Haines.

Głos Suttera poniósł się echem od wyłożonych kafelkami ścian.

Willi stanął w drzwiach łazienki. Miał na sobie biały lniany garnitur i rozpiętą pod szyją lawendową koszulę.

- Haines z FBI? - upewnił się. - Co on ma tu do rzeczy?

- Mówisz, jakbyś nie wiedział - odparł Sutter, myjąc sobie brzuch i mydląc genitalia. Ciało miał różowitkie i bezwłose, jak u wielgachnego, nowo narodzonego szczura.

- Umówmy się, że nie wiem. - Willi zdjął i odwiesił marynarkę. - Powiedz mi.

- Po śmierci Traska Barent zainteresował się wątkiem izraelskim. - Sutter prychnął, wetknąwszy głowę pod strumień wody. - Okazało się, że ktoś z ambasady przeprowadził kwerendę w aktach z ograniczonym dostępem: interesował go brat C. i my wszyscy. Ale to chyba dla ciebie nie nowina, prawda?

- Mów dalej.

Willi zdjął koszulę i powiesił ją na tym samym haczyku, co przed chwilą marynarkę. Zzuł warte trzysta dolarów włoskie mokasyny.

- Barent eliminuje więc wścibskiego intruza, a Haines podąża tropem jego powiązań na Zachodnie Wybrzeże, gdzie ty bawisz się w swoje gierki. Dziś w nocy prawie udało mu się dorwać twoich ludzi, ale sam miał nieprzyjemny wypadek: ktoś zwabił go do lasu i zastrzelił. Kogo tym razem Użyłeś?

Luhara?

- Nie schwytali sprawców? - spytał Willi. Starannie złożył spodnie i położył je na komodzie. Został w samych odprasowanych niebieskich bokserkach.

- Nie. Po lasach łązi tam chyba z milion policjantów, ale nikogo jeszcze nie złapali. Jak udało ci się ich wyciągnąć?

- Tajemnica zawodowa. Powiedz mi, James, uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział, że nie miałem z tym nic wspólnego?

Sutter się roześmiał.

- Pewnie! Tak jak ty byś mi uwierzył, gdybym ci powiedział, że wszystkie datki od wiernych przeznaczamy na zakup nowych Biblii!

Willi zdjął złoty zegarek.

- Czy to może jakoś pokrzyżować nasze plany, James?

- Nie wydaje mi się. - Sutter spłukał szampon z długich, srebrzyście siwych włosów. - Brat Christian tym chętniej będzie chciał ściągnąć cię na wyspę, żeby tam się z tobą policzyć.

Otworzył drzwi kabiny prysznicowej i stanął oko w oko z nagim Willim. Niemiec miał potężną erekcję, żołądz jego członka przybrała fioletowy odcień.

- Nie ugniemy się, James, prawda? - spytał Willi, wciskając się do kabiny obok kaznodziei.

- Nie - odparł Jimmy Wayne Sutter.

- Skąd będziemy wiedzieli, co musimy zrobić? - spytał Willi. W jego głosie zabrzmiała śpiewna nuta, jakby odmawiał litanie.

- Z Księgi Objawienia - powiedział Sutter i jęknął cicho, gdy Willi delikatnie ujął jego jądra w dłoń.

- A jaki mamy cel, *mein Liebchen*? - wyszeptał Willi, pieszcząc członek kaznodziei.

- Powtórne Przyjście - wyjęczał Sutter z przymkniętymi oczami.

- Czyją wolę wypełniamy? - Willi pocałował go w szyję.

- Wolę Bożą - odparł wielebny Jimmy Wayne, poruszając biodrami w rytm ruchów dłoni Niemca.

- Co jest naszym boskim narzędziem? - wyszeptał mu do ucha Willi.

- Armagedon - powiedział głośno Sutter. - Armagedon!

- Niech się dzieje Wola Boża! - wykrzyknął Willi, szybko i mocno poruszając dłonią zaciśniętą na penisie Suttera.

- Amen - zawołał Sutter. - Amen!

Otworzył usta na przyjęcie natarczywego języka Williego i w tej samej chwili szczytował. Cienkie białe wstęgi spermy przez chwilę wirowały na podłodze prysznicza, zanim na wieki zniknęły w czeluści odpływu.

52.

Melanie

Nachodziły mnie romantyczne myśli związane z Willim. Nie wiem, może sprawił to wpływ panny Sewell, pełnej wigoru, zmysłowej młodej kobiety, która miała określone potrzeby i umiała czerpać radość z ich zaspokajania. Od czasu do czasu, kiedy pożądlivość nadmiernie mąciła jej w głowie i uniemożliwiała adekwatne słuźenie mi, zezwalałam jej na krótkie sam na sam z Culleyem. Czasem podglądałam te krótkie, gwałtowne zbliżenia cielesne z jej punktu widzenia, kiedy indziej z punktu widzenia Culleya; jeden raz pofolgowałam sobie i spróbowałam przeżyć to poprzez nich oboje jednocześnie - zawsze jednak, kiedy fale namiętności przepływały przez nich w głąb mojej osoby, myślałam o Willim.

Jakiż on był przystojny w tych cudownych dniach przed wojną... drugą wojną, ma się rozumieć. Szczupła twarz o arystokratycznych rysach i jasne włosy obwieszczały wszem wobec, że ma się do czynienia z rasowym aryjczykiem. Lubiliśmy z Niną pokazywać się w jego towarzystwie, on zaś, wydaje mi się, był dumny z obecności dwóch atrakcyjnych, skorych do zabawy Amerykanek: oszałamiającej blondynki o chabrowych oczach i bardziej nieśmiałej, cichszej, lecz i tak uwodzicielskiej piękności o kasztanowych lokach i długich rzęsach.

Pamiętam taki spacer w Bad Ischl, zanim nastały złe czasy, kiedy Willi zażartował, ja się roześmiałam, a on wtedy wziął mnie za rękę. Efekt jego dotyku był natychmiastowy i elektryzujący. Śmiech zamarł mi w gardle. Nachyliliśmy się ku sobie, w jego pięknych błękitnych oczach odmalowała się głęboka świadomość mojej osoby, na policzkach czuliśmy nawzajem swoje ciepło. Nie pocałowaliśmy się jednak. Nie wtedy. Zaprzeczenie było w owych czasach nieodłącznym elementem zalotów, czymś na kształt postu przed ucztą, mającego zaostrić apetyt. Dzisiejsze zachłanne młode pokolenie nie ma pojęcia o takiej subtelnej powściągliwości; jeśli tylko poczują apetyt, muszą go nasycić natychmiast. Nic dziwnego, że wszystkie rozkosze smakują im dawno otwartym szampanem bez bąbelków, a wszystkie podboje draży od środka robak rozczarowania.

Myślę dzisiaj, że Willi byłby się we mnie wtedy zakochał, gdyby nie prostackie podchody Niny. Po tamtym paskudnym dniu w Bad Ischl przez ponad rok nie chciałam uczestniczyć w Wiedeńskiej Grze, następnego roku

latem w ogóle nie spotkałam się z nimi w Europie, a kiedy w końcu odnowiłam stosunki towarzyskie z obojgiem, nasza znajomość przybrała nowy, bardziej oficjalny charakter. Dziś wiem, że przelotny romans Williego z Niną dawno już wtedy dobiegł końca; ogień Niny płonął jasno, lecz krótko.

W późniejszych latach w Wiedniu Williego pochłaniały sprawy Partii i Führera. Pamiętam, że na premierę *Das Lied von der Erde* włożył brunatną koszulę i tę paskudną opaskę na ramię; dyrygował Bruno Walter, to było potwornie upalne lato 1934 roku, kiedy mieszkaliśmy z Willim w wynajętym przez niego domu na Hohe Warte, nieopodal rezydencji tej nadętej Almy Mahler. Pretensjonalna kwoka nie zapraszała nas na swoje przyjęcia, my zaś odwdzięczyliśmy się jej pięknym za nadobne. Nie raz i nie dwa miałam ochotę uczynić ją obiektem naszej Gry, jednakże ze względu na niemądre polityczne zainteresowania Williego niewiele czasu mogliśmy poświęcić na rozgrywkę.

Leżąc we własnym łóżku w swoim domu w Charleston i dochodząc do siebie po chorobie, często wspominałam tamte dni i swoje myśli na temat Williego; zastanawiałam się, jak inaczej potoczyłyby się nasze losy, gdybym westchnieniem, uśmiechem czy znaczącym spojrzeniem zachęciła go wcześniej i pomogła odeprzeć niszczycielskie awanse Niny.

Być może myśli te były z mojej strony podświadomym przygotowaniem do nadchodzących wydarzeń. Od czasu choroby czas znaczył dla mnie coraz mniej, może więc mogłam już w tym momencie podążać w przód korytarzem zdarzeń z taką samą łatwością, jak wcześniej wstecz. Trudno powiedzieć.

Nadszedł maj. Tak bardzo przywykłam do opieki doktora Hartmana i siostry Oldsmith, delikatnych zabiegów panny Sewell, usług Howarda, Nancy, Culleya i czarnego chłopca oraz nieustającej czułości małego Justina, że chętnie trwałabym w tym wygodnym *status quo* przez kolejne miesiące i lata, gdyby w pewien ciepły wiosenny wieczór ktoś nie zapukał do żelaznej bramy od frontu.

Był to posłaniec, którego poznałam już wcześniej. Miał na imię Natalie.
Nina ją przysłała.

53.

Charleston

4 maja 1981, poniedziałek

Później Natalie wspominała tę podróż jako cud o długości trzech tysięcy mil. Zaczęło się od terenówki.

Całą noc jechali przez ciemne lasy Cleveland. Najpierw cofnęli się i zjechali w bok z głównej drogi pozarowej, kiedy na serpentynie w górze drogi mignęły im reflektory samochodu, a potem przedzierali się na południe leśnymi dróżkami niewiele szerszymi od pieszych ścieżek. W końcu nawet ścieżki się skończyły i posuwali się naprzód tylko dzięki temu, że ten akurat odcinek doliny był stosunkowo rzadko zadrzewiony. Najpierw przez cztery mile furgonetka telepała się wzdłuż wyschniętego łożyska strumienia, oświetlając sobie drogę światłami postojowymi. W końcu wspięli się na kolejny niski grzbiet i przedarli na jego drugą stronę, roztrącając ukryte w trawie kamienie i zmurszałe pniaki. Mijały godziny, aż stało się to, co stać się musiało. Saul akurat prowadził, Natalie drzemała mimo obfitującej we wstrząsy, podskoki i szarpnięcia jazdy po wybojach. Ostatni niewidoczny głaz czał się w połowie stromego zbocza, na które furgonetka wspinała się na drugim biegu. Przednia oś jakimś cudem jeszcze po nim przejechała, ale kostropaty kamień odłupał miskę olejową, wyłamał kawał wału napędowego i poharatał tylną oś.

Saul wczołgał się z latarką pod wóz. Wypełzył spod niego po trzydziestu sekundach.

- To koniec - oznajmił. - Dalej musimy iść pieszo.

Natalie była tak zmęczona, że nie miała siły płakać; ba, nie miała nawet ochoty na płacz.

- Co zabieramy? - zapytała tylko.

Saul poświecił do wnętrza furgonetki.

- Pieniądze. Są w plecaku. Mapę. Trochę jedzenia. No i chyba pistolety. - Saul spojrzał na dwa karabiny. - Przydadzą się nam?

- A zamierzamy strzelać do Bogu ducha winnych policjantów?

- Nie.

- To zostawmy też pistolety. - Natalie spojrzała w gwiazdziste niebo i majaczącą przed nimi ciemną ścianę zalesionego wzgórza. - Wiesz, gdzie jesteśmy, Saul?

- Jechaliśmy w kierunku Marietty, ale potem tak kluczyliśmy, że w tej chwili nie mam zielonego pojęcia.

- Wytropią nas?

- Nie po ciemku. - Saul zerknął na zegarek. Była czwarta rano. - Jak się rozwidni, znajdą nasz ślad. Zaczną od przeszukania leśnych dróg, prędzej czy później ktoś ze śmigłowca wypatrzy furgonetkę.

- Jest sens próbować ją zamaskować?

Saul zerknął w górę zbocza: od najbliższych drzew dzieliło ich dobre sto jardów. Nałamanie dostatecznej ilości gałęzi, przetransportowanie ich na polanę i zamaskowanie samochodu zajęłoby im czas do świtu.

- Nie - odparł. - Pakujemy się i idziemy.

Dwadzieścia minut później sapali jak lokomotywy, wspinając się na wzgórze. Natalie niosła plecak, a Saul ciężką walizkę z pieniędzmi i dokumentami, z którymi nie chciał się rozstać.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Natalie, kiedy weszli między drzewa.

- Na co?

- Na mnie. Muszę do łazienki. - Wygrzebała z plecaka paczkę chusteczek, wzięła latarkę i zniknęła wśród drzew.

Saul westchnął i usiadł na walizce. Stwierdził, że jeśli tylko przymknie powieki - choćby na parę sekund - natychmiast zapada w drzemkę, a za każdym razem, kiedy zaczynał drzemać, przed oczami stawał mu ten sam obraz: Richard Haines, blada twarz, zaskoczone spojrzenie, poruszające się usta, i jego głos, dobiegający z opóźnieniem, jak w źle udźwiękowionym filmie: „Pomóż mi. Proszę”.

- Saul!

Ocknął się, wyciągnął zabrany z furgonetki pistolet i pobiegł między drzewa. Trzydzieści stóp dalej Natalie oświetlała latarką nowiutką czerwoną terenową toyotę zbudowaną na podobieństwo brytyjskiego land rovera.

- Czy ja śnię? - spytała.

- Jeśli tak, to śni nam się to samo.

Samochód lśnił nowością, jakby dopiero co wyjechał z salonu. Saul poświecił na ziemię: drogi nie było, dostrzegł jednak ślady opon pomiędzy drzewami. Sprawdził wszystkie drzwi i tylną klapę. Były zamknięte.

- Patrz, coś jest pod wycieraczką - zauważyła Natalie. Wyjęła przyciśniętą wycieraczką kartkę i oświetliła ją latarką. - Wiadomość: „Alan i Suzanne, dojechaliśmy bez problemu. Drałujemy dwie i pół mili z biegiem Little Margarita. Weźcie piwo. Pozdówka. Heather i Carl”.

Zaświeciła do środka przez tylną szybę: w bagażniku leżała skrzynka piwa Coors.

- Super! - ucieszyła się. - To jak, zepniemy przewody na krótko i jazda? Saul znów usiadł na walizce.

- Umiesz w ten sposób odpalić samochód? - zapytał.

- Nie, ale w telewizji to wygląda całkiem prosto.

- W telewizji wszystko jest proste. Nim zaczniemy walczyć z zapłonem, który pewnie jest elektroniczny i zbyt skomplikowany dla mnie, zastanówmy się chwilę. Jak Alan i Suzanne mają wyjąć piwo? Samochód jest przecież zamknięty.

- Drugi komplet kluczyków?

- Być może. A może umówili się, gdzie schowają kluczyki?

Były w drugim miejscu, w które zajrzała Natalie, czyli w rurze wydechowej - tak samo nowusięńkie jak sama toyota, z breloczkiem diler z San Diego. Kiedy otworzyli drzwi, zapachniało nowym samochodem. Natalie zaszkliły się oczy.

- Spróbujemy zjechać bezpiecznie na dół - powiedział Saul.

- Po co?

- Przeładujemy niezbędny sprzęt: C-cztery, zapalniki, EEG...

- Myślisz, że będzie nam jeszcze potrzebny?

- Do eksperymentów z biologicznym sprzężeniem zwrotnym.

Saul otworzył drzwi po stronie pasażera, ale Natalie odsunęła się od samochodu.

- Coś nie tak?

- Zabierzesz mnie, jak wrócisz na górę.

- A co, zapomniałaś czegoś?

- W pewnym sensie - wykręciła się Natalie. - Zapomniałam pójść do łazienki.

Napotkali jedną blokadę.

Toyota z napędem na cztery koła jechała gładko nawet po bezdrożach. Po półtorej mili natknęli się na ledwie widoczne koleiny, które z czasem przeszły w leśny trakt, a potem w żwirową drogę lokalną. Niedługo przed świtem uświadomili sobie, że od jakiegoś czasu jadą równolegle do wysokiego ogrodzenia z siatki. Natalie kazała Saulowi się zatrzymać, a sama odczytała zawieszoną na wysokości sześciu stóp tabliczkę: „Teren wojskowy. Wstęp wzbroniony z rozkazu komendanta obozu Pendleton”.

- Zabłądziliśmy bardziej, niż myślałem - przyznał Saul.
- Amen. Następne piwko?
- Jeszcze nie.

Na blokadę wpakowali się miłą od wjazdu na asfalt, tuż przed małą miejsciną Fallbrook. Gdy tylko wjechali na utwardzoną drogę, Natalie skuliła się na podłodze z tyłu, nakryła granatowym kocem i zaczęła szukać wygodnej pozycji na garbie osłony wału napędowego.

- To nie potrwa długo - powiedział Saul, obkładając ją sprzętem i nakrywając skrzynką z piwem. - Szukają młodej czarnej kobiety i jej niezidentyfikowanego współnika, podróżujących ciemną furgonetką. Starszy pan w nowiutkiej toyocie nie powinien raczej zwrócić ich uwagi. Jak myślisz?

Odpowiedziało mu chrapanie Natalie.

Obudził ją pięć minut później, widząc blokadę: radiowóz stał w poprzek drogi, dwaj senni policjanci stali przy jego tylnej części i popijali kawę z metalowego termosu. Saul zjechał na bok i się zatrzymał.

Jeden z policjantów pozostał przy radiowozie, drugi przełożył kubek do lewej ręki i powoli podszedł do toyoty.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry. - Saul skinął głową. - Co słyhać?

Policjant pochylił się nad maską wozu i zajrzał do środka przez przednią szybę. Obrzucił spojrzeniem stos ekwipunku z tyłu samochodu.

- Jedzie pan z lasu Cleveland?
- Owszem - przytaknął Saul.

Wiedział, że człowiek winny ma skłonność do gadania bez ładu i składu, do przesadnego tłumaczenia wszystkiego i wszystkim. Kiedy przez krótki okres współpracował z nowojorską policją jako konsultant w sprawie Syna Sama, pewien porucznik, specjalista od przesłuchań, powiedział mu, że najłatwiej wyłapuje się winnych cwaniaczków, bo najszybciej wyskakują z gładkimi, wiarygodnymi alibi. Twierdził, że historyjki tych niewinnych najczęściej bywają fatalnie nieskładne.

- Zatrzymał się pan na jedną noc?

Policjant przesunął się trochę i spojrzał w miejsce, w którym Natalie leżała pod kocem, plecakiem i stertą puszek z piwem.

- Na dwie. - Saul spojrzał na drugiego policjanta, który dołączył do partnera z patrolu. - O co chodzi?
- Wybrał się pan na kemping? - spytał pierwszy policjant, pijąc kawę.

- Tak. Poza tym chciałem wypróbować nowy wóz. Ma napęd na cztery koła.

- Prawdziwie cacko. Nówka sztuka?

Saul pokiwał głową.

- Gdzie go pan kupił?

Saul podał nazwę salonu wygrawerowaną na breloczku.

- Gdzie pan mieszka?

Zawahał się. W fałszywym paszporcie i prawie jazdy od Jacka Cohena miał wpisany nowojorski adres.

- W San Diego - odparł. - Sprowadziłem się dwa miesiące temu.

- Gdzie dokładnie w San Diego?

Policjant zagadywał Saula przyjaźnie i beztrósko, ale prawą rękę trzymał opartą na drewnianej rękojeści rewolweru w kaburze, z której odpiął już pasek zabezpieczający.

Saul był w San Diego tylko raz, sześć dni wcześniej, kiedy z Jackiem Cohenem przejeżdżali autostradą przez miasto. Wyczerpanie i stres uwrażliwiły go wtedy na wszystkie obrazy i dźwięki. Przypominał sobie co najmniej trzy oznakowane zjazdy z autostrady.

- Sherwood Estates - powiedział. - Spruce Drive tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt, niedaleko Linda Vista Road.

- A tak, kojarzę - powiedział policjant. - Mój szwagier chodził do dentysty na Linda Vista. Ma pan blisko na uniwersytet?

- Mogłoby być bliżej... Rozumiem, że nie zamierzacie mi panowie powiedzieć, o co chodzi?

Policjant rzucił okiem na tył toyoty, jakby chciał odgadnąć co znajduje się w pudłach.

- Jakies kłopoty nad jeziorem Elsinore. Może pan powtórzyć, gdzie pan obozował?

- Jeszcze tego nie powiedziałem. Ale nocowałem nad Little Margarita. Jeżeli szybko nie wrócę do domu, żona nie zdąży na nabożeństwo i będę miał kłopoty.

Policjant skinął głową.

- Nie widział pan tam czasem granatowej albo czarnej furgonetki?

- Nie.

- Tak myślałem; stąd aż do jeziora Coot nie ma żadnych bocznych dróg. A może spotkał pan jakichś pieszych? Czarną kobietę, przed trzydziestką... i starszego gościa, który by wyglądał jak... Palestyńczyk, powiedzmy...

- Jak Palestyńczyk? - powtórzył Saul. - Nie. Spotkałem dwoje młodych białych, Heather i Carla; spędzają w tej okolicy miesiąc miodowy. Starałem się nie wchodzić im w paradę. Szukacie terrorystów z Bliskiego Wschodu, czy co?

- Być może. Szukamy czarnej dziewczyny i Palestyńczyka, uzbrojonych po zęby. Mówi pan z niezwykłym akcentem, panie...

- Grotzman. Nazywam się Sol Grotzman.

- Węgier?

- Polak. Ale prawie od samego zakończenia wojny jestem obywatelem amerykańskim.

- Rozumiem, proszę pana. Czy ten numer to... to, co myślę?

Saul spojrział na swoje odsłonięte przedramię, oparte o otwarte okno.

- To tatuaż z niemieckiego obozu koncentracyjnego - odparł.

- Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego... - Policjant pokiwał w zadumie głową. - Panie Grotzman, przepraszam, że zająłem panu tyle czasu, ale mam jeszcze jedno bardzo ważne pytanie.

- Słucham.

Policjant odsunął się od samochodu, oparł dłoń na rękojeści broni i obrzucił toyotę zazdrosnym spojrzeniem.

- Ile trzeba dać za takiego japońskiego dzipa?

Saul parsknął śmiechem.

- Moja żona twierdzi, że za dużo, panie władzo. Stanowczo za dużo.

Skinął policjantom głowę i ruszył w dalszą drogę.

Przejechali przez San Diego, skręcili na wschód w międzystanową ósemkę i dotarli do Yumy, gdzie, zostawiwszy toyotę w bocznej uliczce, wpadli do McDonald'sa na obiad.

- Czas zmienić samochód - powiedział Saul, sącząc koktajl mleczny. Zastanawiał się czasem, co by powiedziała jego koszerna babka, gdyby go zobaczyła.

- Tak szybko? - zdziwiła się Natalie. - Czy to znaczy, że teraz nauczymy się odpalania samochodu bez kluczyków?

- Jeśli chcesz, możesz spróbować, ale ja myślałem o czymś łatwiejszym. - Ruchem głowy Saul wskazał znajdujący się naprzeciwko komis samochodowy. - Możemy wydać część z tych trzydziestu tysięcy dolarów, które wypalają mi dziurę w walizce.

- W porządku. Tylko weźmy coś z klimą, mamy teraz kawał pustyni do

przejechania.

Wyjechali z Yumy trzyletnim chevroletem kombi z klimatyzacją, wspomaganie kierownicy, wspomaganie hamowania i elektrycznie otwieranymi oknami. Saul dwa razy wprawił sprzedawcę w konsternację - najpierw, kiedy zapytał, czy popielniczki w aucie też mają elektryczne wspomaganie, a następnie, kiedy bez mrugnięcia okiem zapłacił żadaną sumę. Dobrze się stało, że nie tracili czasu na targowanie się: kiedy wrócili do zaparkowanej w zaułku toyoty, grupa śniadoskórych dzieciaków była właśnie zajęta wybijaniem okna kamieniem. Na widok Saula i Natalie wybuchnęli śmiechem, pokazali im wyprostowany środkowy palec i uciekli.

- To by mogło fajnie wyjść - mruknął Saul. - Ciekaw jestem, co by zrobili z plastikiem i M-szesnaście.

Natalie spiorunowała go wzrokiem.

- Nie powiedziałaś mi, że zabieramy M-szesnaście.

Saul poprawił okulary i rozejrzał się dookoła.

- Potrzebujemy chwili spokoju - powiedział. - W tej okolicy nie ma co na to liczyć. Jedź za mną.

Podjechali do najbliższego centrum handlowego, gdzie Saul przepakował cały ładunek do kombi. Kluczyki do toyoty zostawił w stacyjce, zostawił również otwarte okna.

- Nie chcę, żeby go zniszczyli - wyjaśnił - tylko ukradli.

Dalej jechali nocami. Natalie (która zawsze marzyła o podróży przez południowy zachód Stanów Zjednoczonych) została w pamięci tylko obrazy gwiazdzistego nieba nad wiecznie niezmiennymi autostradami, niesamowite pustynne wschody słońca zalewające szary świat powodzią różów, oranżu i indygo, oraz rytmiczne dudnienie zdezelowanych klimatyzatorów w pachnących dymem i środkami odkażającymi motelowych pokoikach.

Saul głównie milczał, pogrążony w myślach; pozwalał Natalie prowadzić i zarządzał coraz wcześniejsze poranne postoje, żeby spędzić trochę czasu ze swoimi dokumentami i maszyną. Kiedy dotarli do wschodniego Teksasu, nauczył się spędzać noc w tylnej części kombi, siedząc po turecku przed komputerem i aparaturą do EEG zasilaną z akumulatorów zakupionych w sklepie z elektroniką w Fort Worth. Natalie nie mogła nawet słuchać radia, żeby mu nie przeszkadzać.

- Kluczowy jest rytm theta - tłumaczył jej w tych rzadkich chwilach,

kiedy rozmawiali o jego pracy. - To doskonały sygnał, niezawodny wskaźnik. Sam nie umiem go wygenerować, ale mogę go odtworzyć i przepuścić przez pętlę sprzężenia zwrotnego, żeby móc go rozpoznać. Jeżeli nauczę się reagować na ten pierwszy pik fal alfa, będę mógł przeprowadzić autowarunkowanie i wyzwolić mechanizm sugestii posthipnotycznej.

- Czy w ten sposób chcesz oprzeć się... ich mocy? - spytała Natalie.

Saul poprawił okulary. Zmarszczył brwi.

- Nie, niezupełnie. Wątpię, żeby to było w ogóle możliwe dla kogoś, kto nie posiada takiej zdolności. Warto byłoby przebadać różne osobniki w kontrolowanych...

- To po co się tym zajmujesz?! - przerwała mu zirytowana Natalie.

- Bo to może być szansa... szansa, nic więcej... na uruchomienie czegoś na kształt systemu wczesnego ostrzegania w korze mózgowej. Przy odpowiednim warunkowaniu wspartym sprzężeniem zwrotnym mógłbym chyba wykorzystać zjawisko rytmu theta do wyzwolenia sugestii posthipnotycznej i przypomnienia sobie zapamiętanych danych.

- Danych? Masz na myśli te długie godziny spędzone w Yad Vashem, potem w Muzeum Bojowników Getta...

- Lohame HaGeta'ot, tak. Czytałem akta, które dostałaś od Wiesenthala, zapamiętywałem zdjęcia, biografie i nagrania z taśm i ćwiczyłem autopamięć, a wszystko w lekkim transie hipnotycznym...

- Ale po co chcesz współodczuwać ból tych wszystkich ludzi, skoro nijak ci to nie pomoże w walce z tymi umysłowymi wampirami?

- Wyobraź sobie rzutnik do slajdów z okrągłym magazynkiem. Oberst i pozostali potrafią dowolnie sterować tą neurologiczną karuzelą, wkładać do niej własne slajdy; swoją wolą i swoim superego mogą narzucić nowy ład mieszaninie wspomnień, lęków i skłonności, którą nazywamy osobowością. Ja staram się dorzucić trochę slajdów od siebie.

- Ale nie wiesz, czy to coś da?

- Nie.

- I przypuszczasz, że w moim wypadku zda się to na nic?

Saul zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa.

- Coś podobnego musi być możliwe także w twoim przypadku, Natalie, ale musi to być coś charakterystycznego tylko dla ciebie, związanego z twoją przeszłością, traumatycznymi doświadczeniami i ścieżkami empatycznymi. Nie potrafię przeprowadzić na tobie stosownej indukcji hipnotycznej, żeby wytworzyć konieczne... ehm... slajdy, jak to ująłem.

- Jeśli jednak w twoim wypadku ma się to udać, to i tak będzie to skuteczne tylko i wyłącznie wobec Obersta. Na inne wampiry nie będziesz miał wpływu.

- Tego się spodziewam. Tylko z Oberstem łączy mnie przeszłość niezbędna do ożywienia tych postaci, które tworzę... a właściwie usiłuję stworzyć podczas tych sesji empatycznych.

- I to wszystko nie powstrzyma go, tylko co najwyżej spowolni na kilka sekund, tak? O ile w ogóle coś wyniknie z miesiący twojej pracy i całego tego czary-mary z EEG?

- Otóż to.

Natalie pokręciła głową, wpatrzona w dwa świetlne stożki oświetlające niekończący się pasek asfaltu, który rozwijał się przed samochodem.

- Dlaczego uważasz, że w ogóle warto poświęcać na to czas?

Saul otworzył teczkę, którą ostatnio czytał - akta młodej dziewczyny: blada twarz, przerażone oczy, ciemny płaszcz i chustka. W lewym górnym rogu zdjęcia ledwie widoczne były czarne spodnie i oficerki żołnierza Waffen SS. Dziewczyna odwracała się w kierunku obiektywu na tyle szybko, że jej twarz była mocno rozmyta. W prawej ręce trzymała niedużą walizkę, lewą przyciskała do piersi lalkę-szmaciankę domowej roboty. Pół strony tekstu wypisanego na maszynie, po niemiecku, na cienkim papierze firmowym Wiesenthala - tylko tyle było w teczce oprócz zdjęcia.

- Nawet jeżeli wszystko pójdzie na marne, to warto było - odparł półgłosem Saul Laski. - Silni dość już przyciągnęli uwagi świata, nawet po tym, kiedy ich siła okazała się złem wcielonym. Za to ich ofiary wciąż pozostają bezimienną masą. Numerami w zbiorowych mogiłach. Te potwory zapłodniły nasze stulecie masowymi grobami ofiar; nadszedł czas, żeby ktoś przywrócił tym bezimiennym imiona, twarze i głosy. - Zgasił latarkę i usiadł wygodniej. - Przepraszam, moja obsesja chyba przyćmiewa mi zdolność rozumowania.

- Zaczynam rozumieć, czym jest obsesja - przyznała Natalie.

Saul przyjrzał się jej w poświacie wskaźników na desce rozdzielczej.

- I co? Zamierzasz być posłuszną swojej?

Natalie parsknęła nerwowym śmiechem.

- Nie mam innego pomysłu. A ty? Kłopot w tym, że jesteśmy coraz bliżej, a ja z każdą milą coraz bardziej się boję.

- Nie musimy bardziej się zbliżać - przypomniał jej Saul. - Możemy pojechać na lotnisko w Shreveport i polecieć do Izraela albo Ameryki

Południowej.

- Nie, nie możemy.

Minuta upłynęła w milczeniu.

- Masz rację - przytaknął w końcu Saul. - Nie możemy.

Zmienił się za kierownicą. Przez następne kilka godzin Saul prowadził, a Natalie drzemała. Śniły jej się oczy Roba Gentry'ego, jego wstrząśnięte, niedowierzające spojrzenie, kiedy nóż rozplątał mu gardło. Śnił jej się ojciec: zadzwonił do niej do St. Louis i tłumaczył, że to wszystko jedna wielka pomyłka; że nikomu nic się nie stało; że nawet matka jest w domu, cała i zdrowa - ale kiedy Natalie przyjechała do Charleston, w domu było ciemno, pokoje były osnute lepкими pajęczynami, a zlew wypełniała ciemna, gęstniejąca ciecz. Znow była małą dziewczynką, która z płaczem pobiegła do pokoju rodziców. Ojca jednak tam nie zastała, matka zaś, która wstała z oblepionego pajęczyną łóżka, wcale nie była jej matką, lecz pleśniejącym trupem o ledwie obciągniętej skórą czaszce, w której pałały oczy Melanie Fuller. Trup się śmiał.

Natalie obudziła się z walącym sercem. Jechali autostradą, było jasno.

- To już świt? - zapytała.

- Nie - odparł Saul. - Jeszcze nie.

Miasta na Starym Południu były konstelacjami przedmieść oblepiającymi zjazdy z autostrady: Jackson, Meridian, Birmingham, Atlanta, Augusta... W Augustzie zjechali z autostrady na drogę numer 78, przecinającą Karolinę Południową w poprzek w jednej trzeciej wysokości. Natalie nawet po ciemku rozpoznawała znajome elementy krajobrazu: St. George, gdzie w wieku dziewięciu lat była na koloniach w to niemające końca samotne lato po śmierci matki; Dorchester, gdzie mieszkała ciotka, siostra ojca, aż do śmierci na raka w 1976 roku; Summerville, dokąd zapuszczała się czasami w niedzielne popołudnia, żeby fotografować stare domy... I Charleston.

Charleston.

Czwartej nocy wjechali do miasta tuż przed czwartą nad ranem, w tej osłupiałej godzinie, kiedy wszelki duch jakby słabł. Znajome miejsca z dzieciństwa Natalie wydały jej się teraz przekrzywione i zdeformowane, ubogie i schludne okolice St. Andrews równie niematerialne jak obrazy wyświetlone z kiepskiego rzutnika na matowym ekranie. Jej dom rodzinny był ciemny i cichy, na trawniku nie było tabliczki „Na sprzedaż”, na podjeździe nie parkował żaden obcy samochód. Nie miała zielonego pojęcia,

kto po jej zniknięciu zajął się sprzedażą nieruchomego i ruchomego majątku rodzinnego. Patrzyła na znajomo-nieznajomy dom z malutką werandą, na której przed pięcioma miesiącami Saul z Robem popijali lemoniadę i dyskutowali o niemądrym micie wampirów umysłowych. Nie miała najmniejszej ochoty wchodzić do środka. Zastanawiała się, kto odziedziczył zdjęcia ojca - reprodukcje Minora White'a, Cunningham, Milito i jego własne skromne odbitki. Ze zdumieniem odkryła, że oczy pieką ją od łez.

Przejechała dalej, nie zwalniając.

- Nie musimy od razu jechać do Starej Dzielnicy - powiedział Saul.

- Właśnie, że musimy - odparła Natalie i skierowała się na wschód, przez most, wprost do starej części miasta.

W domu Melanie Fuller paliło się jedno światło - w jej dawnej sypialni na piętrze, od frontu. Nie było to światło żarówki ani łagodna poświata świecy, lecz ohydna, zielonkawa, pulsująca poświata, niczym fosforyzujące próchno w mrocznej otchłani bagien.

Natalie ścisnęła mocniej kierownicę, żeby opanować drżenie całego ciała.

- Ogrodzenie od przodu zostało wymienione - zauważył Saul. - Wcześniej nie było tu tego muru i bramy. Teraz to prawdziwa twierdza.

Natalie patrzyła na tętniącą w szczelinach żaluzji poświatę.

- Nie wiemy, czy to ona - ciągnął Saul. - Informacje od Jacka są sprzed kilku tygodni, w dodatku nawet on nie miał pewności...

- To ona - upierała się Natalie.

- Jedźmy stąd. Jesteśmy zmęczeni, musimy znaleźć jakiś kąt do spania. Jutro poszukamy miejsca, w którym będziemy mogli spokojnie wyładować sprzęt.

Natalie wrzuciła bieg i powoli ruszyła ciemną ulicą.

Znaleźli tani motel na północnym skraju miasta. Przespali siedem godzin kamiennym snem. Natalie obudziła się w południe, zdezorientowana i bezbronna, uciekając przez skomplikowanymi, natarczywymi snami, w których przez rozbite okna wyciągały się po nią chciwe ręce.

Zmęczeni, poirytowani, porozumiewający się półsłówkami, kupili kurczaka z rożna i zjedli go w parku nad rzeką. Dzień był gorący, temperatura sięgała trzydziestu stopni, słońce prażyło bezlitośnie jak lampy w sali operacyjnej.

- Nie powinnaś chyba chodzić po mieście za dnia - zauważył Saul. - Ktoś

może cię rozpoznać.

Natalie wzruszyła ramionami.

- Oni są wampirami, ale to my mamy prowadzić nocny tryb życia? To nieuczciwe.

Saul zmrużył oczy oślepione odblaskami słońca na wodzie.

- Dużo myślałem o tym zastępcy szeryfa i pilocie śmigłowca - powiedział.

- A konkretnie?

- Gdybym nie kazał pilotowi nawiązać łączności z Hainesem, nadal by żył.

Natalie upiła łyk kawy.

- Haines też.

- To prawda. Zdałem sobie jednak sprawę, że gdybym musiał wtedy poświęcić i pilota, i zastępcę szeryfa, zrobiłbym to. Dwóch ludzi, żeby dorwać jednego.

- Zabił ci rodzinę - przypomniała Natalie. - I próbował zabić ciebie.

Saul pokręcił głową.

- Oni byli jak cywile - odparł. - Nie brali udziału w walce. Nie rozumiesz, do czego to prowadzi? Od dwudziestu pięciu lat gardzę palestyńskimi terrorystami w tych ich kraciatych chustach, którzy walą na oślep w niewinnych ludzi, ponieważ boją się stanąć do uczciwej walki. A teraz my przyjęliśmy tę samą taktykę, ponieważ jesteśmy za słabi, żeby stawić czoło tym potworom.

- Bzdura. - Natalie obserwowała rodzinę, która rozłożyła się na piknik na skraju rzeki. Matka przestrzegała malucha, żeby nie zbliżał się do wody. - Nie wysadzasz w powietrze samolotów, nie ostrzeliwujesz autobusów... To nie my zabiliśmy tego pilota, tylko Haines.

- Zginął przez nas. Pomyśl, Natalie. Przypuśćmy, że oni wszyscy: Barent, Harold, ta Fuller, Oberst... wszyscy znaleźliby się na pokładzie samolotu pasażerskiego wraz z setką przypadkowych cywilów. Nie kusiłoby cię, żeby jedną bombą załatwić sprawę?

- Nie.

- Ale zastanów się. Te potwory są winne śmierci tysięcy ludzi. A ty za cenę kolejnych stu ludzkich istnień możesz raz na zawsze położyć temu kres. Nie byłoby warto?

- Nie - powtórzyła stanowczo Natalie. - To tak nie działa.

Saul pokiwał głową.

- Masz rację, to tak nie działa. Rozumując w ten sposób, zrównalibyśmy

się z nimi. Ale kiedy spisaliśmy pilota na straty, wkroczyliśmy na tę właśnie ścieżkę.

Natalie wstała, rozzłoszczona.

- Do czego zmierzasz, Saul? Rozmawialiśmy o tym w Tel Awiwie, Jerozolimie i Cezarei. Wiedzieliśmy, jakie jest ryzyko. Przecież mój ojciec też był takim Bogu ducha winnym przechodniem! Tak jak Rob. I tak jak Aaron, Deborah i ich córeczki... i Jack... i... - Zawiesiła głos, skrzyżowała ręce na piersi i zapatrzyła się na wodę. - Co chcesz w ten sposób osiągnąć?

Saul również wstał.

- Postanowiłem, że nie wcielisz w życie następnej części planu.

Natalie z furią okręciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy.

- Zwariowałeś?! To nasza jedyna szansa, żeby coś przeciw nim działać!

- Bzdura. Po prostu na razie nie wymyśliliśmy nic lepszego. Ale wymyślimy. Niepotrzebnie się pośpieszyliśmy.

- Niepotrzebnie się pośpieszyliśmy! - krzyknęła Natalie. Piknikowicze nad wodą spojrzeli w jej stronę. Zniżyła głos i mówiła dalej natarczywym szeptem: - Niepotrzebnie się pośpieszyliśmy? Szuka nas całe FBI i połowa lokalnych gliniarzy w kraju. A my znamy jeden jedyny termin, kiedy ci wszyscy skurwiele zbiorą się w jednym miejscu. Z każdym dniem rosną w siłę i stają się coraz ostrożniejsi, podczas gdy my słabniemy i coraz bardziej się boimy. Zostało nas tylko dwoje, w dodatku ja jestem śmiertelnie przerażona i nie wiem, czy za tydzień będę jeszcze w stanie w ogóle jakoś funkcjonować... a ty mi mówisz, że niepotrzebnie się pośpieszyliśmy!

Mimowolnie znów podniosła głos do krzyku.

- Rozumiem - zgodził się z nią Saul. - Postanowiłem tylko, że to nie będziesz ty.

- Co ty wygadujesz? Przecież to muszę być ja. Decyzję podjęliśmy już dawno, na farmie Davida.

- To była zła decyzja.

- To muszę być ja! Mnie rozpozna!

- Co z tego? Wmówimy jej, że został wysłany drugi posłaniec.

- Czyli ty, tak?

- Tak będzie najsensowniej.

- Wcale nie. Po cholere uczyłam się na pamięć tych wszystkich faktów i liczb? Po co zakuwałam daty i miejsca zgonów?

- To nie jest najważniejsze. Jeżeli, jak przypuszczamy, postradała zmysły, logiką niewiele się wskóra. A jeżeli zachowała trzeźwy umysł, nasze fakty są

zbyt skromne, nasza zmyślona historyjka zbyt krucha.

- No pięknie, do diabła! To ja od pięciu miesięcy zbieram w sobie każdą szczyptę odwagi, żeby się na to zdobyć, a ty mi mówisz, że niepotrzebnie, bo i tak nic z tego nie wyjdzie?!

- Tego nie powiedziałem - odparł pojednawczo Saul. - Twierdzą tylko, że powinniśmy przemyśleć ewentualne inne rozwiązania. I że nie jesteś właściwą osobą do tej roli.

- Rozumiem. - Natalie westchnęła. - Mam propozycję: zostawmy ten temat do jutra. Jesteśmy zmęczeni po podróży, muszę się porządnie wyspać.

- Dobrze.

Saul wziął ją za rękę i ścisnął lekko, gdy wracali do samochodu.

W motelu postanowili zapłacić z góry za domek z dwoma pokojami. Saul wniósł do środka aparaturę do badania sprzężenia zwrotnego i pracował do dziewiątej, kiedy Natalie zawołała go na przyrządzoną przez siebie kolację.

- Działa? - zapytała.

Saul pokręcił głową.

- Biologiczne sprzężenie zwrotne w prostych przypadkach nie zawsze się sprawdza. To trudna sprawa. Jestem pewien, że fakty, które powierzyłem swojej pamięci, są gotowe do przywołania w drodze sugestii posthipnotycznej, nie udało mi się jednak znaleźć żadnego mechanizmu, który by je wyzwalał. Rytmu theta zwyczajnie nie da się skopiować, a ja nie potrafię wzbudzić u siebie piku fal alfa.

- Czyli co, cała praca na darmo?

- Na razie tak.

- Zamierzasz się przespać?

- Później. Teraz jeszcze parę godzin posiedzę.

- W porządku. Zaparzę nam kawy i wracam do swojego pokoju.

- Dobrze.

Natalie przeszła do miniaturowego aneksu, zagotowała wodę na kuchence elektrycznej, nasypała po pół łyżeczki kawy ekstra, żeby napar był mocniejszy niż zwykle... po czym do jednego kubeczka starannie domieszała dokładnie taką ilość fenotiazyny, jaką Saul przygotował sobie w Kalifornii na wypadek konieczności uspienia Tony'ego Haroda.

Saul skosztował kawy i się skrzywił.

- I jak? - spytała Natalie, popijając swój napar.

- Smaczna i mocna, taka jak lubię. Idź już spać. Ja na pewno prędko się

nie położę.

- Dobrze.

Cmoknęła go w policzek i wyszła do drugiego pokoju.

Pół godziny później wróciła na paluszkach, ubrana w długą sukienkę, ciemną bluzkę i lekki sweterek. Saul spał na obitym zielonym winylem krześle, z plikiem teczek na kolanach, przed włączonym komputerem i elektroencefalografem. Natalie powylaçała sprzęt, przełozyla tecki na stół (na szczycie stosu položyla napisany odręcznie liścik), zdjęła Saulowi okulary i przykryła go cienkim kocem. Jeszcze raz dotknęła jego ramienia i wyszła.

Dopilnowała, żeby w kombi nie zostało nic wartościowego. C-4 przenieśli do szafy w jej pokoju, zapalniki - do szafy u Saula. Przypomniała sobie o kluczu z motelu i przeniosła go do siebie. Nie zabierała torebki ani paszportu, niczego, co mogłoby zdradzić jakiegokolwiek dodatkowe informacje.

Ostrożnie pojechała do Starej Dzielnicy, przestrzegając ograniczeń prędkości i posłusznie przystając na czerwonym. Zaparkowała nieopodal restauracji Henry's - zgodnie z tym, co napisała Saulowi w liście - i pokonała pieszo kilka przecznic dzielących ją od domu Melanie Fuller. Noc była ciemna i wilgotna, gęste listowie drzew jakby zamykało się nad jej głową, odcinając światło gwiazd i wysysając tlen.

Dotarłszy pod dom Fuller, nie wahała się już ani chwili. Wysoka brama była zamknięta na głucho, ale zaopatrzona w ozdobną kołatkę. Natalie załomotała metalem o metal i czekała w ciemnościach.

Jedynym światłem widocznym w obu domach była zielona poświata w sypialni Melanie Fuller. Żadne nowe światła się nie zapaliły, ale po chwili z mroku wynurzyli się dwaj mężczyźni. Wyższy z nich - bezwłosa góra mięsa o drobnych, niezbornych oczach i zdeformowanej czaszce mikrocefala - szurając nogami, podszedł do bramy.

- Czego tutaj szukasz? - wymamrotał, artykułując każde słowo z osobna, niczym zepsuty syntezytor mowy.

- Chcę rozmawiać z Melanie - odparła głośnie Natalie. - Powiedźcie jej, że przyszła Nina.

Przez ponad minutę żaden z dwóch mężczyzn nie poruszył nawet najmniejszym mięśniem. Insekty hałasowały w zaroślach, jakiś nocny ptak zatrzepotał w koronie palmy na wysokości wykuszowego okna na pierwszym piętrze starego domu i odfrunął. Gdzieś w odległości paru przecznic syrena zawyła przeciągłą, bolesną nutą i nagle ucichła.

Natalie skoncentrowała się na utrzymaniu równowagi; nogi uginały się pod nią ze strachu.

W końcu olbrzym przemówił:

- Wejdz.

Przekręcił klucz i szarpnięciem otworzył bramę, wciągnął Natalie na podwórko, po czym zamknął za nią bramę na zamek.

Ktoś otworzył od środka frontowe drzwi domu. Wnętrze wypełniał mrok. Idąc szybkim krokiem pomiędzy dwoma mężczyznami, z których większy cały czas trzymał ją za prawe ramię, przekroczyła próg.

54.

Melanie

Powiedziała, że przychodzi od Niny.

W pierwszej chwili byłam tak przerażona, że uciekłam w głąb siebie, próbowałam wyczołgać się z łóżka, wlokąc za sobą niesprawną prawą część ciała jak kawał martwego mięsa. Rurki kroplówek wysliznęły się z moich żył, stojaki poprzewracały, na sekundę przestałam ich wszystkich kontrolować - Howarda, Nancy, Culleya, lekarza i pielęgniarki, nawet czarnego chłopca, który z rzeźnickim nożem w ręce czaił się w mrokach bocznego podwórka... A potem nagle się odprężyłam, moje ciało osunęło się w skulony bezruch, a ja odzyskałam pełnię władzy.

Najpierw pomyślałam, żeby kazać Culleyowi, Howardowi i kolorowemu chłopcu rozprawić się z nią od razu na podwórku. Wodą z fontanny mogliby potem zmyć plamy z ceglanej nawierzchni, Howard przeniósłby szczątki na tyły, do garażu, zawinął je w zasłonkę prysznicową, żeby nie pobrudziły tapicerki w cadillacu doktora Hartmana, po czym Culley w pięć minut wywiózłby je na wysypisko.

Za mało jednak wiedziałam. Jeżeli naprawdę nasłała ją Nina, musiałam dowiedzieć się czegoś więcej; jeżeli zaś nie była to sprawka Niny, to przed podjęciem jakichkolwiek działań musiałam się dowiedzieć, kto ją przysłał.

Culley z Howardem wprowadzili ją do domu. Doktor Hartman, siostra Oldsmith i panna Sewell otoczyli ich, Marvin został na straży przed drzwiami. Justin dotrzymywał mi towarzystwa na piętrze.

Murzynka, która twierdziła, że przychodzi od Niny, rozejrzała się po mojej zebranej w salonie rodzinie.

- Ciemno tu - poskarżyła się dziwnie słabym głosem.

Rzadko już korzystałam z oświetlenia; znałam dom na wylot, mogłabym poruszać się po nim z zawiązanymi oczami, a moim bliskim światło elektryczne jest potrzebne tylko w tych chwilach, kiedy się mną zajmują - tutaj zaś, na piętrze, przyjemna poświata monitorów i aparatury medycznej jest w zupełności wystarczająca.

Jeżeli ta kolorowa dziewczyna przemawiała w imieniu Niny, to zdziwił mnie fakt, że Nina nie przyzwyczaiła się jeszcze do braku światła; przecież w jej trumnie musiały panować egipskie ciemności. Cóż, jeśli dziewczyna kłamała, wkrótce zawrze bliższą znajomość z mrokami nocy.

- Czego chcesz, dziewczyno? - przemówił w moim imieniu doktor Hartman.

Murzynka oblizwała wargi. Culley pomógł jej usiąść na kanapie, cała moja rodzina stała. Tu i ówdzie snop słabego światła padał na bladą twarz lub rękę, ale kiedy podniosła na nas wzrok, musieliśmy stanować dla niej zbiorowisko jednolitych czarnych mas.

- Przyszłam z tobą porozmawiać, Melanie - powiedziała dziewczyna.

Jej głos drżał lekko; u Niny nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

- Nie ma tu nikogo o tym imieniu - odparł z ciemności doktor Hartman.

Murzynka się roześmiała. Czyżbym wychwyciła w tym dźwięku znajomo chrapliwe brzmienie śmiechu Niny? Na tę myśl przeszył mnie dreszcz.

- Wiem, że tu jesteś - powiedziała. - Tak jak wiedziałam, gdzie cię znaję w Filadelfii.

Jak mnie znalazła? Kazałam Culleyowi położyć wielkie jak bochny dłonie na oparciu kanapy za jej plecami.

- Nie mamy pojęcia, o czym pani mówi - odparł Howard.

Pokręciła głową.

Dlaczego Nina miałyby Użyć czarnej dziewczyny? - zastanawiałam się.

- Melanie - odezwała się - wiem, że tu jesteś. Wiem, że nie czujesz się najlepiej. Przyszłam cię ostrzec.

Ostrzec mnie? Przed czym? W Grumblethorpe ostrzegały mnie szeptem, ale jej wśród nich nie było; zjawiła się później, kiedy sprawy potoczyły się źle. Zaraz, nie... To nie ona mnie znalazła, tylko ja ją! Vincent ją złapał i przyprowadził. A ona go zabiła.

Jeżeli naprawdę była wysłanniczką Niny, chyba najlepiej byłoby ją zabić. Nina zrozumiałaby wtedy, że nie można mnie lekceważyć i że nie pozwolę na bezkarne eliminowanie moich pomagierów.

Marvin czekał na zewnątrz, w ciemnościach, uzbrojony w długi nóż, który panna Sewell zostawiła na desce do krojenia. Tak, na dworze będzie lepiej; nie będę musiała przejmować się plamami na dywanie i drewnianej podłodze.

- Młoda damo - kazałam przemówić doktorowi Hartmanowi - jest mi naprawdę przykro, ale żadne z nas nie rozumie, o co pani chodzi. Nie ma tu osoby imieniem Melanie. Culley odprowadzi panią do wyjścia.

- Zaczekaj! - zawołała, kiedy Culley złapał ją za rękę i odwrócił ku drzwiom. - Zaczekaj chwilę!

Jej głos w niczym nie przypominał leniwego tonu Niny.

- Do widzenia - powiedziała cała nasza piątka jednym głosem.

Kolorowy chłopiec czekał przy fontannie. Nie Żerowałam od tygodni.
Przy drzwiach dziewczyna szarpnęła się w uścisku Culleya.

- Willi żyje! - zawołała.

Kazałam Culleyowi się zatrzymać. Żadne z nas się nie poruszyło. Dopiero po chwili kazałam doktorowi Hartmanowi zareagować.

- Co powiedziałaś? - zapytał.

Murzynka spojrzała na nas wyzywająco.

- Willi wcale nie zginął - powiedziała spokojnie.

- Wyjaśnij nam to - polecił doktor Hartman.

Pokręciła głową.

- Melanie? Będę rozmawiać z tobą i tylko z tobą. Jeżeli zabijesz mojego posłańca, kolejnej próby kontaktu z mojej strony nie będzie. Ludzie, którzy zabili Williego i chcą zabić ciebie, będą mieli wolną rękę.

Odwróciła się i zagapiła w kąt, kompletnie niezainteresowana zaciśniętą na jej ramieniu wielgachną dłonią Culleya. Wyglądała jak automat, który właśnie ktoś wyłączył.

Leżałam na piętrze, mając do towarzystwa tylko małego milczącego Justina, i biłam się z myślami. Głowa mnie bolała, miałam wrażenie, że śnię koszmar. Chciałam, żeby ta kobieta sobie poszła i dała mi spokój. Nina nie żyła. Willi był martwy.

Culley pociągnął ją za sobą i posadził na kanapie.

Patrzyliśmy na nią wszyscy.

Przyszło mi do głowy, że mogłabym jej Użyć. Czasami - całkiem często - w chwili przeniknięcia do cudzego umysłu, w tej sekundzie dominacji, wspólnota wrażeń zmysłowych łączy się z połączeniem strumienia powierzchniowych myśli. Jeżeli Nina jej Używała, nie zdołałabym zapewne przełamać warunkowania, ale mogłabym wyczuć obecność Niny. Gdyby zaś okazało się, że Nina nie ma z tym nic wspólnego, może udałoby mi się odkryć prawdziwą motywację dziewczyny.

- Melanie zaraz zejdzie - powiedział Howard.

W ułamku sekundy, kiedy zareagowała na te słowa - sama nie wiem, czy przyjęła je ze strachem, czy z satysfakcją - wśliznęłam się do jej umysłu.

Nie napotkałam oporu. Byłam przygotowana na szarpaninę z Niną i brak oporu sprawił, że umysłowo potknęłam się i poleciałam w przód jak człowiek, który po omacku oprze się na nieistniejącym krześle lub toalecie. Kontakt był krótki. Wychwyciłam charakterystyczny aromat przerażenia, błagalne „Tylko nie to!”, powszechne wśród osób, które zostały w

przeszłości Użyte, lecz nie doczekały się uwarunkowania, i gonitwę przypadkowych wrażeń przypominających stado pędzących na oślep spłoszonych zwierzątek, brakowało jednak jakichkolwiek spójnych myśli. Znalazłam też fragmentaryczny obraz: stary most z nagrzanego słońcem kamienia przerzucony nad niezwykłym morzem piaskowych wydm i cieni. Nic mi nie mówił, nie umiałam też połączyć go z żadnymi wspomnieniami Niny, wiedziałam jednak, że w latach powojennych spędzałyśmy ze sobą zbyt mało czasu, żebym mogła mieć pewność.

Wycofałam się.

Dziewczyna wzdrygnęła się, wyprostowała na kanapie i omiotła wzrokiem ciemny pokój: odzyskująca kontrolę Nina czy oszustka rozpaczliwie poszukująca pewności siebie?

- Nie rób tego więcej, Melanie - powiedziała.

Tym w razem w jej władczym tonie usłyszałam całkiem przekonujące echo głosu Niny Drayton.

Do pokoju wszedł Justin ze świecą w ręce. Oświetlała jego sześćioletnią buzię od dołu, gra światła i cieni nadawała jego oczom pozory starości i szaleństwa. Murzynka obserwowała go - obserwowała mnie - jak płochliwy koń zbliżającego się węża.

Postawiłam świecę na georgiańskim stoliku i spojrzałam na Murzynkę.

- Cześć, Nino - powiedziałam.

Zamrugła, tylko raz, bardzo powoli.

- Cześć, Melanie. Nie przywitasz się osobiście?

- Jestem chwilowo niedysponowana - odparłam. - Może zejść na parter, kiedy i ty postanowisz przyjść osobiście.

Czarna dziewczyna uśmiechnęła się półgębkiem.

- Trudno byłoby mi to zrobić.

Świat zawirował mi przed oczami i przez kilka sekund z najwyższym trudem utrzymywałam kontrolę nad swoimi ludźmi.

A jeśli Nina naprawdę nie zginęła? Jeśli została ranna, lecz nie była to rana śmiertelna?

Niemożliwe, przecież na własne oczy widziałam otwór w jej czole. Niebieskie oczy uciekające w głąb czaszki.

Naboje były stare. Może pocisk uderzył w czaszkę, nawet przebił się przez nią, ale potem zaszкодził Ninie nie bardziej niż mnie mój incydent mózgowo-naczyniowy?

W wiadomościach podano, że zginęła. Słyszałam i widziałam jej

nazwisko wymieniane wśród innych ofiar.

Swoje również.

Jeden z elementów aparatury przy moim łóżku zapiszczał przenikliwie. Siłą woli wyrównałam oddech, uspokoiłam tętno. Alarm ucichł.

Śledząc wydarzenia z innych punktów widzenia, zauważyłam, że przez te kilka sekund wyraz sześciolatniej buzi Justina nie zmienił się ani na jotę: chybotały płomień świecy nadal upodabniał ją do maski młodego demona. Czubki jego małych półbucików celowały prosto w górę, gdy siedział na obitym skórą ulubionym fotelu ojca.

- Opowiedz mi o Willim - poleciłam dziewczynie poprzez Justina.

- Willi żyje - odparła.

- To niemożliwe. Samolot, którym leciał, został zniszczony. Wszyscy pasażerowie zginęli.

- Wszyscy poza Willim i jego dwoma pomocnikami. Wysiedli, zanim samolot wystartował.

- Dlaczego zatem zwróciłaś się przeciwko mnie, skoro wiedziałaś, że z Willim ci nie wyszło? - warknęłam.

- To nie ja zniszczyłam samolot - odparła po krótkim wahaniu.

Serce zabiło mi żywiej. Zielona poświata na ekranie ilustrującego jego pracę oscyloskopu pulsowała w rytmie mojego tętna.

- A kto? - zapytałam.

- Inni - odparła dziewczyna beznamiętnie.

- Jacy inni?

Wzięła głęboki wdech.

- Istnieją inni ludzie obdarzeni naszą mocą, tajna grupa...

- Naszą mocą? - weszłam jej w słowo. - Masz na myśli nasz Talent?

- Tak.

- Nonsens. Nigdy nie natknęliśmy się na człowieka, który dysponowałby więcej niż zaledwie cieniem Talentu.

Kazałam stojącemu za nią Culleyowi unieść lekko ręce. Jej szyja wyrastała z ciemnego swetra, szczupła i prosta. Trzaśnie jak sucha gałązka.

- Są inni - powiedziała stanowczo. - Próbowali zabić Williego. Próbowali zabić także ciebie. Nie zastanawiałaś się nigdy, kto był w Germantown? Nie myślałaś o strzelaninie? O śmigłowcu, który spadł do rzeki?

Skąd Nina o tym wie? Skąd ktokolwiek o tym wie?

- Mogłabyś być jednym z nich - wytknęłam jej chytrze.

Pokiwała spokojnie głową.

- Mogłabym, ale czy wtedy przysłałabym cię ostrzec? Próbowałam cię ostrzec już w Germantown, ale nie chciałaś mnie słuchać.

Wyteżyłam pamięć. Czy ta Murzynka mnie przed czymś ostrzegała? Szepty rozbrzmiewały wtedy tak głośno, trudno mi się było skupić...

- Przyszliście z szeryfem mnie zabić.

- Nie. - Poruszyła powoli głową, jak zardzewiała marionetka. Barirett Kramer poruszała się w taki sposób. - Szeryfa przysłał Willi. On też chciał cię ostrzec.

- Kim są ci inni?

- To sławni ludzie. Wpływowi. Ludzie tacy jak Barent, Kepler, Sutter i Harod.

- Te nazwiska nic mi nie mówią! - odparłam. Złapałam się na tym, że krzyczę piskliwym głosem sześciolatka: - Kłamiesz! Nie jesteś Niną! Ty nie żyjesz! Skąd mogłabyś wiedzieć o tych ludziach?

Zawahała się, jakby się zastanawiała, czy mi odpowiedzieć.

- Poznałam niektórych z nich w Nowym Jorku - wyjaśniła w końcu. - Namówili mnie do... do tego, co zrobiłam.

Cisza, która zapadła po tych słowach, była tak absolutna i tak długa, że ze wszystkich ośmiorga źródeł słyszałam gruchanie gołębi siedzących na gzymsie pod oknem na piętrze. Kazałam czekającemu na dworze czarnemu chłopcu przełożyć nóż ze zdrętwiałej prawej ręki do lewej. Panna Sewell, która wcześniej wycofała się dyskretnie do kuchni, wróciła i stanęła w półmroku przy drzwiach, trzymając za plecami tasak do mięsa. Culley poruszył się niespokojnie; w jego łapczywym zniecierpliwieniu wychwyciłam echo żywiołowej żarliwości Vincenta.

- Chcieli, żebyś mnie zabiła - powiedziałam. - I obiecała im, że potem wyeliminujesz Williego.

- Tak.

- Nie udało im się. Tobie również.

- To prawda.

- Dlaczego mi o tym mówisz, Nino? Tylko cię przez to bardziej nienawidzę.

- Tamci mnie zdradzili. Zostawili mnie samą, kiedy po mnie przysłaś. Chcę, żebyś się z nimi rozprawiła, zanim po ciebie wrócą.

Kazałam Justinowi pochylić się na fotelu.

- Porozmawiaj ze mną, Nino - wyszeptałam. - Opowiedz mi o starych czasach.

Pokręciła głową.

- Nie ma na to czasu, Melanie.

Uśmiechnęłam się, czując, jak ślina zwilża mleczone zęby Justina.

- Gdzie się poznałyśmy, Nino? Na którym balu pierwszy raz porównywałyśmy swoje bileciki z zarezerwowanymi tańcami?

Zadrżała lekko, unosząc śniadą dłoń do czoła.

- Melanie, moja pamięć... mam w niej luki... ta rana...

- Przed chwilą jakoś ci to nie przeszkadzało! - warknęłam. - Kto pływał z nami na pikniki na Daniel Island, Nino? Na pewno ich pamiętasz, moja droga. Kogo miałyśmy za narzeczonych w tamto dawno minione lato?

Zachwiała się z ręką przy skroni.

- Melanie, proszę... przypominam sobie i zaraz zapominam... ten ból...

Panna Sewell zaszła ją od tyłu. Pielęgniarskie buty na grubej podeszwie nie wydały żadnego dźwięku na dywanie.

- Kto pierwszy zginął w naszej Grze tamtego lata w Bad Ischl? - zapytałam już tylko po to, żeby dać pannie Sewell czas na zrobienie ostatnich dwóch kroków.

Wiedziałam, że kolorowa oszustka nie odpowie na to pytanie. Zobaczymy, czy dalej będzie w stanie udawać Ninę, gdy jej ciało pozostanie w pozycji siedzącej na kanapie, głowa zaś potoczy się po podłodze. Może Justin będzie miał nową zabawkę?

- Pierwsza była ta tancerka z Berlina... - odparła Murzynka. - Meier, zdaje się, tak się nazywała... Nie pamiętam szczegółów, ale wypatryliśmy ją z Cafe Zauner. Jak zawsze.

Wszystko zamarło.

- Co takiego? - spytałam.

- Następnego dnia... nie, to było dwa dni później, w środę... przyszła kolej na tego śmiesznego małego lodziarza; porzuciliśmy ciało w chłodni, zawieszony na haku... To naprawdę boli, Melanie. Na przemian przypominam sobie i zapominam!

Rozpłakała się.

Justin zsunął się na skraj fotela, zeskoczył na ziemię, obszedł stolik i poklepał dziewczynę po ramieniu.

- Nino... - powiedziałam. - Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

Panna Sewell zaparzyła herbatę i podała ją w mojej najlepszej porcelanie od Wedgwooda. Culley przyniósł więcej świec. Doktor Hartman i siostra

Oldsmith zaszli do mnie na górę, a Howard, Nancy i reszta rozsiedli się w salonie. Czarny chłopiec został w krzakach na podwórku.

- Gdzie jest Willi? - zapytałam poprzez Justina. - Jak się czuje?

- Wszystko z nim w porządku, ale nie wiem dokładnie, gdzie jest, bo musi się ukrywać.

- Przed ludźmi, o których wspominałaś?

- Tak.

- Dlaczego oni nam tak źle życzą, moja droga?

- Boją się nas, Melanie.

- Ale dlaczego mieliby się nas bać? Nie zrobiliśmy im nic złego.

- Boją się naszej... naszego Talentu. Na dodatek obawiali się, że zostaną zdemaskowani na skutek... wybryków Williiego.

Mały Justin pokiwał głową.

- Willi też o nich wie?

- Tak przypuszczam - odparła Nina. - Z początku chciał wstąpić do ich... klubu. Teraz chce po prostu przeżyć.

- Klubu? - powtórzyłam.

- Tworzą tajną organizację - wyjaśniła Nina. - Mają też takie miejsce, w którym co roku spotykają się, żeby zapolować na wyselekcjonowane ofiary...

- Teraz rozumiem, dlaczego Willi mógłby chcieć do nich dołączyć. Jak sądzisz, możemy mu ufać?

- Myślę, że tak - odparła dziewczyna po krótkim namyśle. - Tak czy inaczej, powinniśmy wszyscy troje połączyć siły i wspólnie przeczekać to zagrożenie.

- Powiedz mi coś więcej o tych ludziach.

- Zrobię to, ale nie teraz. Przy innej okazji. Zbyt łatwo... się męczę...

Na buzię Justina wypłynął najbardziej anielski z jego uśmiechów.

- Nino, kochana, powiedz mi, gdzie teraz jesteś. Przyjdę po ciebie, pomogę ci.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

- Jak chcesz - powiedziałam. - Spotkam się z Willim?

- Być może, a jeśli nawet nie, to i tak będziemy musiały z nim współpracować aż do ustalonego momentu.

- Jakiego ustalonego momentu?

- Za miesiąc od dzisiaj. Na wyspie.

Przesunęła dłonią po czole; po drżeniu ręki poznałam, że jest wyczerpana. Poruszanie dziewczyną i mówienie poprzez nią musiało kosztować Ninę

mnóstwo sił. Przed oczami stanęła mi nagle wizja zwłok Niny gnijącej w ciemnym grobie. Justin zadygotał.

- Opowiedz mi - poprosiłam.

- Później. Spotkamy się jeszcze i wtedy porozmawiamy o tym, co trzeba zrobić... o tym, jak możesz pomóc. Teraz muszę już iść.

- Dobrze.

Głos dziecka nie zdołał ukryć przepętniającego mnie dziecinnego rozczarowania.

Nina - Murzynka - wstała, podeszła do fotela, na którym siedział Justin i delikatnie pocałowała go - pocałowała mnie - w policzek. Ileż razy składała na moim policzku ten judaszowy pocałunek przed którąś ze swoich zdrad? Przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie we troje.

- Do widzenia, Melanie - szepnęła.

- Do zobaczenia, Nino, moja droga - odparłam.

Podeszła do drzwi, rozglądając się na boki i sprawdzając, czy Culley i panna Sewell nie będą próbowali jej zatrzymać. Siedzieliśmy uśmiechnięci w blasku świec, trzymając na kolanach filiżanki z herbatą.

- Nino? - odezwałam się, gdy stanęła przy drzwiach.

Odwróciła się powoli, a mnie przypomniał się kot Anne Bishop, kiedy Vincent zdybał go w końcu w sypialni na piętrze.

- Tak, moja droga?

- Dlaczego przysłałaś tę czarną dziewczynę?

Odpowiedziała mi zagadkowym uśmiechem.

- Jak to, Melanie? Ty nie masz kolorowych służących na posyłki?

Pokiwałam głową. Dziewczyna wyszła.

Kolorowy chłopiec z nożem rzeźnickim usunął się głębiej w cień krzewów i odprowadził ją wzrokiem. Culley wyszedł, żeby zamknąć za nią bramę.

Na chodniku skręciła w lewo i oddaliła się ciemną ulicą.

Kazałam kolorowemu chłopcu wśliznąć się w cień i podążyć za nią. Minutę później Culley otworzył bramę i ruszył za nimi.

55.

Charleston

5 maja 1981, wtorek

Natalie musiała użyć całej siły woli, żeby spokojnie dojść do pierwszej przecznicy. Kiedy skręciła za róg i straciła z oczu dom Melanie Fuller, zorientowała się, że może albo puścić się biegiem, albo czekać, aż kolana ugną się pod nią i osunie się na chodnik.

Pobiegła. Pierwszą przecznicę przebiegła sprintem, pędząc jak wiatr. Na skrzyżowaniu przystanąła, obejrzała się ... i na jednym z podwórek mignęła jej ciemna sylwetka, którą na chwilę omiotły światła skręcającego samochodu. Młody mężczyzna wydał jej się znajomy, ale z tej odległości nie była w stanie rozeznaczyć rysów jego twarzy. Doskonale za to widziała nóż w jego ręce. Zza rogu wynurzyła się druga, większa postać.

Przebiegła jedną przecznicę na południe i znów skręciła na wschód. Dyszała ciężko, płuca paliły ją żywym ogniem, ale nie zwracała na to uwagi.

Na ulicy, przy której zostawiła kombi, latarnie świeciły jaśniej, ale sklepy i restauracje były pozamykane, a chodniki puste. Wyhamowała z poślizgiem przy samochodzie, otworzyła drzwi i wskoczyła za kierownicę. Na sekundę poddała się głębszej, bardziej bezrozumnej panice, gdy nie znalazła kluczyków w stacyjce i zarazem uświadomiła sobie, że nie ma torebki ani kieszeni w spodniach - i prawie od razu przypomniała sobie, że wrzuciła je pod siedzenie, żeby Saul łatwo je znalazł, kiedy przyjdzie po samochód. Kiedy się po nie schyliła, otworzyły się drzwi po stronie pasażera i ktoś wsiadł do wozu.

Natalie z trudem powstrzymała się od krzyku, prostując się i zaciskając pięści w odruchu obronnym.

- To ja - powiedział Saul. Poprawił okulary. - Nic ci się nie stało?

- Jezu... - wysapała Natalie. Namacała kluczyki i uruchomiła silnik.

Pięćdziesiąt stóp od nich cień odłączył się od żywopłotu i wybiegł na środek ulicy.

- Trzymaj się! - krzyknęła Natalie.

Ostro wrzuciła bieg i ruszyła spod krawężnika. Już przed pierwszym skrzyżowaniem rozpedziła samochód do pięćdziesięciu mil na godzinę.

Reflektory na dwie sekundy oświetliły młodego mężczyznę na jezdni, który w ostatniej chwili odskoczył w bok.

- Rany boskie... - stęknęła Natalie. - Widziałeś, kto to był?

- Marvin Gayle - odparł Saul, zapierając się mocno o deskę rozdzielczą. - Skręć w prawo.

- Co on tu robi?

- Nie wiem. Zwolnij już, nikt nas nie śledzi.

Natalie zwolniła do pięćdziesiątki i wjechała na autostradę prowadzącą na północ. Złapała się na tym, że na przemian śmieje się i płacze. Pokręciła głową, znów się roześmiała i próbując zapanować nad drzeniem głosu, powiedziała:

- Na Boga, Saul, udało się. Udało się! I pomyśleć, że nigdy nie grałam nawet w szkolnym przedstawieniu! Udało się. Nie do wiary!

Chciała się zaśmiać i stwierdziła, że zamiast tego łzy popłynęły jej z oczu. Saul ścisnął ją za ramię. Dopiero teraz na niego spojrzała - i przez jedną straszliwą sekundę wiedziała, że Melanie Fuller ją przechytryła; że w jakiś sposób stary potwór przejrzał ich plany, dowiedział się o Saulu i zdołał przejąć nad nim władzę...

Zadrzała pod jego dotykiem.

Saul zrobił zdziwioną minę. Po chwili pokręcił głową.

- Wszystko jest w porządku, Natalie. Ocknąłem się, znalazłem twój list i złapałem taksówkę. Kazałem się wysadzić przecnicę od Henry's...

- Fenotiazyna... - wyszeptała Natalie. Obserwowanie ruchu ulicznego i Saula jednocześnie nie wychodziło jej najlepiej.

- Nie dopiłem kawy - wyjaśnił Saul. - Za gorzka. Poza tym podałaś mi dawkę wyliczoną dla Anthony'ego Haroda, a on jest drobniejszej budowy.

Natalie przyglądała się Saulowi. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że zaczyna wariować.

Saul poprawił okulary.

- No dobrze, ustaliliśmy, że te... stwory... nie mają dostępu do wspomnień. To ja zamierzałem przepytować ciebie, ale możemy zacząć w drugą stronę. Mam ci opisać farmę Davida w Cezarei? Restauracje, w których bywaliśmy w Jerozolimie? Wskazówki Jacka Cohena z Tijuany?

- Nie, nie trzeba. W porządku.

- Z tobą też wszystko w porządku?

Natalie otarła łzy nadgarstkiem i parsknęła śmiechem.

- Boże, Saul, to było straszne. W domu było całkiem ciemno, kiedy ten upośledzony olbrzym i drugi zombie zaprowadzili mnie do salonu, pokoju dziennego czy jak tam się ten cholerny pokój nazywa, a tam było ich jeszcze

z pół tuzina, i wszyscy stali tam całkiem po ciemku! Jezu, wyglądali jak trupy, które ktoś tam specjalnie rozstawił; była taka kobieta w krzywo zapiętej sukience, z wiecznie rozdziawionymi ustami... nie byłam w stanie myśleć, na dodatek miałam wrażenie, że za chwilę nie będę też w stanie mówić, że głos mnie zawiedzie, a potem, kiedy ten mały... to małe coś weszło do pokoju ze świecą w ręce, to było gorsze niż w Grumblethorpe, gorsze niż sobie wyobrażałam, a te jego oczy, Saul... to były jej oczy, obłąkane, wytrzeszczone... Boże, nigdy nie wierzyłam w żadne demony, szatana, piekło, ale ten mały potworek był jak żywcem wyjęty z Dantego, z jakiegoś koszmaru Boscha, a ona zadawała mi przez niego pytania, ja nie potrafiłam na żadne odpowiedzieć i wiedziałam, że ta pielęgniarzka, ten stwór przebrany za pielęgniarzkę, który stał za moimi plecami, zaraz coś zrobi, i wtedy Melanie, a właściwie ten mały chłopiec-demon, tylko że to tak naprawdę była Melanie, napomknęła o Bad Ischl, i coś przeskoczyło mi w głowie, Saul, coś się przełączyło i nagle całe te godziny czytania i wkuwania na pamięć akt od Wiesenthala się opłaciły, przypomniałam sobie tę tancerkę z Berlina, Bertę Meier, a potem już poszło z górki, tylko cały czas się bałam, że znów zapyta o początki, ale ona już nie zapytała, Saul, i wydaje mi się, że jest nasza, że połknęła haczyk, Jezu, jak ja się bałam...

Zawiesiła głos, zdyszana.

- Zatrzymaj się - polecił jej Saul, wskazując pusty parking przed KFC.

Posłuchała go, wciąż próbując uspokoić oddech. Saul nachylił się do niej, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją najpierw w lewy policzek, a potem w prawy.

- Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam, moja droga. Gdybym miał córkę, byłbym dumny, gdyby była taka jak ty.

Natalie otarła ostatnie ślady łez.

- Musimy szybko wracać do motelu, podłączyć mnie do EEG, tak jak planowaliśmy, i musisz mnie o wszystko wypytać. Dotknęła mnie, Saul, czułam to... to było gorsze niż wtedy z Harodem, zimne, Saul, zimne i oślizłe jak... nie wiem... jak coś z grobu.

Saul pokiwał głową.

- Ona uważa ciebie za przybysza z grobu. Możemy tylko mieć nadzieję, że perspektywa kolejnej konfrontacji z Niną przeraża ją w wystarczającym stopniu, żeby nie próbowała cię odebrać swojemu arcywrogowi. Gdyby zamierzała użyć swojej mocy przeciwko tobie, logiczne wydaje się założenie, że zrobiłaby to przy okazji osobistego kontaktu.

- Talent - powiedziała Natalie. - Tak to nazwała: „nasz Talent”. Przez duże T, wyraźnie to słyszałam. - Potoczyła wokół przerażonym spojrzeniem.
- Musimy wracać, Saul, musimy rozpocząć dwudziestoczworgodziną kwarantannę, zgodnie z planem. Musisz mnie o wszystko wypytać, sprawdzić, czy... czy pamiętam.

Saul zaśmiał się cicho.

- Podłączymy cię do EEG, kiedy zaśniesz, a ręczę ci, że zaśniesz, ale nie potrzebujemy żadnych pytań i odpowiedzi. Twój mały monolog, teraz, tutaj, w samochodzie, przekonuje mnie, że jesteś tą samą osobą, którą zawsze byłaś, ogromnie odważną i piękną młodą kobietą. Zamieńmy się, teraz ja poprowadzę.

Natalie oparła głowę o zagłówek, gdy kierowane przez Saula kombi pokonywało ostatnie kilka mil dzielących ich od motelu. Myślała o ojcu, wspominała wspólne chwile w ciemni albo przy kolacji. Przypomniał jej się dzień, w którym na tyłach domu Toma Pipera zardzewiałe żelastwo rozcięło jej kolano - mogła mieć wtedy pięć, sześć lat, nie więcej, matka jeszcze żyła; pobiegła do domu, a ojciec wyszedł jej na spotkanie, porzucił włączoną kosiarkę i wybiegł do niej, wstrząśnięty widokiem zakrwawionej nogi i białych skarpetek. Nie płakała. Ojciec wziął ją na ręce i zaniósł do domu, cały czas nazywając ją swoją „dzielną córeczką”.

Była jego dzielną córeczką. Naprawdę nią była.

Zamknęła oczy.

- Początek został zrobiony - mówił właśnie Saul. - Bez dwóch zdań. I dla nich to jest początek końca.

Nie otwierając oczu i czując, jak jej serce wreszcie zwalnia, pokiwała głową. Myślała o ojcu.

56.

Melanie

Za dnia trudniej było mi uwierzyć, że Nina naprawdę się ze mną skontaktowała. Pierwszą moją reakcją były lęk i świadomość własnej bezbronności, wynikająca z faktu, że zostałam odkryta. Oba te odczucia szybko jednak osłabły, ustępując miejsca determinacji i przyptywowi świeżej energii. Bez względu na to, kogo reprezentowała ta dziewczyna, zmusiła mnie do zastanowienia się nad moją przeszłością.

W środę - to był piąty maja, zdaje się - Murzynka nie wróciła, postanowiłam więc działać sama. Doktor Hartman objechał szpitale, rzekomo w poszukiwaniu nowego miejsca zatrudnienia, w rzeczywistości zaś po to, żeby sprawdzić, czy któraś ze znajdujących się w nich pacjentek wymagających stałej opieki odpowiada rysopisowi Niny. Mając w pamięci mój pobyt w szpitalu w Filadelfii, nie rozpytywał się wśród personelu medycznego i pracowników administracji, lecz pod pozorem zapoznawania się z warunkami w szpitalu, logował się bezpośrednio do komputerów, przeglądał listy zaleconych leków, historie chorób i ewentualne szczególne wymagania pacjentów. Zajmował się tym do piątku; przez ten czas Murzynka nie pojawiła się ponownie, nie miałam też żadnych nowych wieści od Niny. W weekend doktor zakończył wizytację wszystkich szpitali, domów opieki i centrów medycznych przyjmujących pacjentów wymagających stałej opieki. Odwiedził również miejską kostnicę, gdzie ustalił, że wykonawcy testamentu pani Drayton odebrali jej zwłoki i zlecili kremację - ale to tylko potwierdzało możliwość, że Nina nadal żyje albo jej ciało zostało gdzieś ukryte. Zwłaszcza że, wślizgując się na chwilę do umysłów pracowników kostnicy, znalazłam jednego - tępego mężczyznę w średnim wieku, imieniem Tobe - u którego rozpoznałam charakterystyczne ślady Użycia oraz późniejszego polecenia zapomnienia o tym fakcie.

Jeszcze w tym samym tygodniu Culley zaczął jeździć po cmentarzach w Charleston, szukając grobu młodszego niż rok, w którym mogłoby spoczywać ciało Niny. Jej rodzina pochodziła z Bostonu, dlatego, kiedy poszukiwania w rejonie Charleston nic nie dały, wysłałam Nancy na północ (nie chciałam w tym okresie na dłużej rozstawać się z Culleyem), gdzie - na małym, prywatnym cmentarzu w północnej części miasta - znalazła rodzinny grobowiec Hawkinsów. W piątek po północy weszła do środka i za pomocą

łomu i oskarda zakupionych w supermarkecie budowlanym w Cambridge przeprowadziła dokładne przeszukanie. Hawkinsów było w bród - w sumie jedenaścioro, w tym dziewięcioro dorosłych, ale żadne z nich nie wyglądało na takie, które spoczęłyby w grobie mniej niż pół wieku temu. Patrząc oczami panny Sewell na strzaskaną czaszkę mężczyzny, który musiał być ojcem Niny (mignął mi złoty ząb, z którego wielokrotnie żartowałyśmy), zastanawiałam się - nie po raz pierwszy - czy w 1921 roku Nina sama wepchnęła go pod tramwaj za to, że nie chciał jej kupić niebieskiego coupé, na które naszła ją ochota.

Wszyscy Hawkinsowie w grobowcu składali się z kości, prochu i resztek dawno zetłających pogrzebowych strojów, ale dla pewności kazałam panie Sewell rozłupać każdą czaszkę z osobna i zajrzeć do środka. Znalazłyśmy tylko szary pył i insekty. Nina się tam nie ukryła.

Poszukiwania przyniosły mi wprawdzie zawód, ale byłam zadowolona, że tak jasno mi się myśli. Przeciągająca się rekonwalescencja trochę mnie dezorientowała, przytępiła moją - zwykle wyostrzoną - percepcję, teraz jednak czułam, że wracam do dawnego intelektualnego rygoru.

Powinam była się domyślić, że Nina nie zgodzi się na pochowanie w rodzinnym grobowcu. Nienawidziła rodziców i gardziła swoją jedyną siostrą, która zresztą zmarła za młodu. Nie, jeśli naprawdę była trupem, to spodziewałam się ją raczej znaleźć leżącą w otwartej trumnie w jakimś nowo zakupionym dworku, być może w samym sercu Charleston - elegancko ubraną, codziennie ze świeżym makijażem, spoczywającą w luksusie miękkich poduch na ukwieconym katafalku w prawdziwej nekropolii sług umarłych. Przyznaję, że kazałam siostrze Oldsmith wystroić się w najlepsze jedwabie i udać na obiad do restauracji w Mansard House, ale i tam nie natknęłam się na żaden ślad obecności Niny; mimo że niewiele gorzej ode mnie potrafiła docenić ironię, nie była aż tak głupia, żeby tam wracać.

Nie chciałam sprawiać wrażenia, że przez cały tydzień pochłaniały mnie wyłącznie bezowocne poszukiwania prawdopodobnie nieistniejącej Niny. Przedsięwzięłam także pewne praktyczne środki ostrożności. Howard poleciał w środę do Francji, gdzie rozpoczął przygotowania do mojej przeprowadzki. W skrytce bankowej w Tulonie znajdował się mój francuski paszport, zaktualizowany i dostarczony trzy lata wcześniej przez pana Thorne'a.

Fakt, że byłam w stanie odbierać wrażenia zmysłowe Howarda z

odległości ponad dwóch tysięcy mil, dowodził ogromnego wzmocnienia mojego Talentu. W przeszłości tylko najlepiej uwarunkowani pomagierzy, tacy jak pan Thorne, mogli oddalać się ode mnie na tak duże odległości; nawet wtedy nie mogłam sterować nimi bezpośrednio, a ich zachowanie ograniczało się do realizacji wstępnie zaprogramowanych szablonów.

Oczami Howarda patrzyłam na zalesione wzgórza południowej Francji, sady i pomarańczowe prostokąty dachów w wiosce leżącej w dolinie nieopodal mojego gospodarstwa, i zastanawiałam się, dlaczego ucieczka z Ameryki wydaje mi się taka trudna.

Howard wrócił w sobotę wieczorem. Wszystko było przygotowane, żeby Howard, Nancy, Justin i „niepełnosprawna matka” Nancy mogli w ciągu godziny spakować się i wyjechać z kraju. Culley i reszta mieli dołączyć do nas później, o ile nie będą zmuszeni do osłaniania naszego odwrotu. Nie zamierzałam rozstawać się ze swoim osobistym personelem medycznym, ale w razie konieczności znalazłabym świetnych lekarzy i pielęgniarki także we Francji.

Zapewniwszy sobie w ten sposób drogę odwrotu, nie byłam wcale pewna, czy chcę się wycofywać. Myśl o jeszcze jednym, ostatnim spotkaniu z Niną i Willim nie była do końca nieprzyjemna. Miesiące tułaczki, bólu i samotności były dla mnie w dwojnasób trudne z powodu świadomości, że wisi nade mną niedomknięta sprawa. Telefon od Niny, kiedy pół roku temu złapała mnie na lotnisku w Atlancie, wprowadził mnie w panikę, ale pojawienie się jej przedstawicielki (jeżeli tym właśnie była) nie wzbudziło już u mnie takiego niepokoju.

Tak czy inaczej, pomyślałam, odkryję prawdę.

W czwartek siostra Oldsmith udała się do biblioteki publicznej, żeby wyszukać wszelkie wzmianki o ludziach, o których wspomniała Murzynka. W kilkunastu artykułach prasowych i jednej niedawno wydanej książce przewijało się nazwisko nieuchwytnego miliardera C. Arnolda Barenta; w kilku książkach o waszyngtońskiej polityce pojawiał się niejaki Charles Colben; nazwisko Keplera występowało w licznych pozycjach z dziedziny astronomii (wątpiłam jednak, by to o niego chodziło, ponieważ nie żył od kilku stuleci). Na ślad innych nie udało mi się trafić. Zresztą, te książki i artykuły niczego nie dowodziły. Jeżeli dziewczyna nie została przysłana przez Ninę, prawie na pewno kłamała; a jeśli jednak to Nina stała za jej wizytą - to również mogła kłamać. Nina mogła przecież zwrócić się

przeciwno mnie nawet bez żadnej prowokacji ze strony kamaryli innych ludzi obdarzonych Talentem.

Czy to możliwe, zastanawiałam się, że po śmierci Nina postradała zmysły?

W sobotę zajęłam się ostatnim drobiazgiem. Doktor załatwił z panią Hodges i jej zięciem kwestię zakupu domu po drugiej stronie podwórka. Znałam jej nowy adres. Wiedziałam również, że co tydzień w sobotę jeździ sama na stary bazar, gdzie kupuje świeże jarzyny, na których punkcie ma lekkiego bzika.

Culley zaparkował samochód obok auta córki pani Hodges i zaczekał, aż starsza pani wróci z bazaru. Kiedy się zjawiła z naręczem zakupów, podszedł do niej i zaproponował:

- Pozwoli pani, że pomogę.
- Ojej - zdziwiła się pani Hodges. - Doprawdy, nie...

Culley wziął jedną torbę z zakupami, ścisnął panią Hodges mocno za ramię i zaprowadził do cadillaca doktora Hartmana. Cisnął ją na przednie siedzenie w taki sposób, w jaki zirytowany rodzic mógłby usadzić dąsającego się dwulatka. Majstrowała przy zamkniętych drzwiach, próbując wydostać się z samochodu, kiedy Culley usiadł za kierownicą, wyciągnął rękę z dłonią wielką jak głowa tej głupiej kobiety i mocno ścisnął. Osunęła się bezwładnie na drzwi. Culley upewnił się, że pani Hodges oddycha, i wrócił do domu, słuchając Mozarta z magnetofonu i bezmyślnie próbując nucić melodię.

W niedzielę dziesiątego maja Murzynka od Niny zapukała do bramy niedługo po dwunastej w południe.

Wysłałam po nią Howarda z Culleyem. Tym razem byłam gotowa na to spotkanie.

57.

Dolmann Island

9 maja 1981, niedziela

Natalie i Saul opuścili Charleston drogą powietrzną tuż po siódmej trzydzieści rano. Pierwszy raz od czterech dni Natalie nie miała na sobie aparatury telemetrycznej do pomiaru EEG i czuła się dziwnie naga... i wolna, jakby naprawdę została wypuszczona z kwarantanny.

Mała Cessna 180 wystartowała z lotniska naprzeciwko portu w Charleston, skręciła w stronę porannego słońca, a potem znowu przechyliła się na prawo, kiedy przelatywali nad zielonymi i niebieskimi wodami, gdzie zatoka przechodziła w ocean. Folly Island pojawiła się pod prawym skrzydłem. Natalie widziała tor wodny Intracoastal Waterway kluczący na południe szaleńczą siecią przesmyków, zatok, ujść rzek i nadmorskich bagien.

- Jak to daleko, twoim zdaniem?! - zawołał do pilota Saul.

Siedział na prawym przednim siedzeniu, Natalie siedziała za nim. Wielka torba zawinięta w folię leżała u jej stóp.

Daryl Meeks zerknął na Saula, a potem spojrział przez ramię na Natalie.

- Jakieś półtorej godziny! - odkrzyknął. - Trochę więcej, jeśli zaczniesz wiać z południowego wschodu.

Pilot czarterowego samolociku niewiele się zmienił od spotkania przed siedmioma miesiącami, kiedy Natalie poznała go na werandzie domu Roba Gentry'ego; nosił tanie plastikowe okulary przeciwsłoneczne, mokasyny, szorty z obciętych dżinsów i bluzę z wyblakłymi literami, które układały się w napis WABASH COLLEGE. Natalie nadal uważała, że Meeks wygląda jak nieco młodsza i bardziej długowłosa wersja Morrisa Udalla.

Zapamiętała wtedy jego nazwisko oraz fakt, że stary kumpel Roba Gentry'ego jest pilotem czarterowej cessny; teraz wystarczyło przeszukać książkę telefoniczną, żeby znaleźć jego biuro na małym lotnisku na północ od Mt. Pleasant, naprzeciwko Charleston, po drugiej stronie rzeki. Meeks pamiętał Natalie i po kilku minutach rozmowy - głównie anegdotek i wspólnych wspomnień na temat Roba - zgodził się zabrać ją i Saula samolotem na oblot Dolmann Island. Najwyraźniej wziął za dobrą monetę ich wyjaśnienia, że przygotowują artykuł na temat milionera-samotnika C. Arnolda Barenta; Natalie była przekonana, że policzył im za przelot mniej niż

swoją zwykłą stawkę.

Dzień był ciepły i bezchmurny. Natalie widziała, gdzie jaśniejsze wody przybrzeżne wlewają się do niebiesko-fioletowych głębin prawdziwego Atlantyku wzdłuż ciągnącego się przez sto mil ząbkowanego wybrzeża; zieleń i brąz południowej Karoliny oddalały się i ginęły na rozmigotanym od upału południowo-zachodnim widnokręgu. Niewiele rozmawiali w czasie lotu - Saul i Natalie pograżyli się we własnych myślach, a Meeks był zajęty sporadycznymi rozmowami przez radio z kontrolerami lotów i ewidentnie zadowolony z samego faktu, że w taki piękny dzień może sobie polatać.

Kiedy wylecieli nieco dalej nad ocean, wskazał dwie smugi daleko na zachodzie.

- Ta duża to Hilton Head - rzucił lakonicznie. - Ulubione miejsce spotkań ludzi z wyższych sfer. Nigdy na niej nie byłem. Druga bulwa to Parris Island, mieści się na niej obóz marines. Kilka nalotów policyjnych temu zafundowali mi na niej urlop w całości opłacony przez państwo. Umieli wtedy robić z chłopców mężczyzn, a z mężczyzn roboty w niespełna dziesięć tygodni. Podobno nadal to potrafią, tak słyszałem.

Na południe od Savannah skręcili w stronę wybrzeża. W długich pręgach piasku i zieleni Meeks rozpoznał wyspy St. Catherines, Blackbeard i Sapelo. Skręcił w lewo, obrał kurs 112 stopni i wskazał kolejną smugę na horyzoncie.

- A oto i Dolmann Island - obwieścił szorstkim, niby-pirackim głosem.

Natalie przygotowała aparat - nowego nikonu z obiektywem o ogniskowej 300 mm - i oparła go o ramę okna. Do środka włożyła bardzo czuły film. Saul położył sobie na kolanach notes i blok rysunkowy i zaczął przeglądać zabrane z akt Jacka Cohena mapy i wykresy.

- Nadlecimy od północy! - zawołał Meeks. - Tak jak mówiłem, przelecimy wzdłuż brzegu od strony otwartego morza, potem zatoczmy krąg i obejrzymy Dworek.

Saul pokiwał głową.

- Jak blisko możemy podlecieć?

Meeks wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ci goście są bardzo grymaśni. Teoretycznie rzecz biorąc, cała północna część wyspy to jeden wielki rezerwat, na dodatek przebiega tamtędy ważny korytarz powietrzny, więc przypadkowy ruch lotniczy jest mocno ograniczony. A prawda jest taka, że Fundacja Dziedzictwa Zachodu jest właścicielem całej wyspy i strzeże jej jakby to była ruska baza rakietowa. Wystarczy jeden przelot w pobliżu, żeby po lądowaniu CAB dobrała ci się do

dupy i zabrała licencję. Muszą cię tylko namierzyć po numerach.

- Zrobiłeś tak, jak się umawialiśmy? - upewnił się Saul.

- Tak. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale większość cyfr i liter w numerze jest w tej chwili zrobionych z czerwonej taśmy samoprzylepnej. Jak się ją zerwie, numer się zmieni. Dobra, teraz spójrzcie tam. - Meeks wskazał szarą łódź z wysokim masztem, płynącą wolno na północ milę od wschodniego wybrzeża wyspy. - To jedna z łodzi kordonu zabezpieczającego. Z radarem. Mają też motorówki, które patrolują okolicę, dlatego, jeśli jakiś biedny frajer myśli, że wyskoczy sobie na Dolmann Island na piknik i podglądanie ptaszków, to się może mocno zdziwić.

- A w czerwcu, kiedy będą mieli ten letni obóz? - zainteresował się Saul. - Wtedy też są takie problemy?

Meeks parsknął śmiechem.

- Wtedy do akcji wchodzi dodatkowo straż przybrzeżna i marynarka i już absolutnie nic nie przedostanie się na Dolmann Island bez zaproszenia. Podobno na lotnisku od strony południowo-zachodniej, które później wam pokażę, trzymają uzbrojone helikoptery; znajomi mówili mi, że przechwytyją i zmuszają do lądowania wszystkie lekkie maszyny w promieniu trzech mil od wyspy. No dobra, tutaj widzicie plażę północną, czyli jedyny kawałek piasku na wyspie poza plażą przy samym Dworku. - Meeks odwrócił się do Natalie. - Mam nadzieję, że panienka jest gotowa. To będzie tylko jeden przelot.

- Gotowa! - odkrzyknęła Natalie.

Zaczęła pstrykać, kiedy nadlecieli na wysokości czterystu stóp, ćwierć mili od plaży. W duchu cieszyła się z doczepionego do aparatu motoru i powiększonego magazynka na film, które w normalnych warunkach nie byłyby jej potrzebne.

Przestudiowali z Saulem dostarczone przez Cohena mapy wyspy, rzeczywistość okazała się jednak ciekawsza - nawet jeśli przemykała pod nimi rozmytą smugą palm, mielizn i ledwie rejestrowanych szczegółów.

Dolmann Island była typową wyspą barierową, jakie spotyka się zwykle bliżej stałego lądu: topornie nakreślona litera L, ustawiona niemal dokładnie na osi północ-południe, mierząca 6,8 mili długości oraz 2,7 mili szerokości w najszerszym miejscu, u podstawy, a zwężająca się do niespełna pół mili w przesmyku tuż ponad podstawą L, gdzie wyginała się ku północy. Za długą białą plażą na północnym czubku ciągnęło się wschodnie wybrzeże - pas zasolonych bagien, mokradeł i tropikalnych lasów sięgający jednej trzeciej

długości wyspy. Wściekła eksplozja białych skrzydeł pośród palm i cyprysów potwierdziła obfite występowanie czapli w rzekomym rezerwacie. Natalie robiła zdjęcia z maksymalną dopuszczalną przez motor prędkością, kiedy mignęły jej w gąszczu wypalone kamienne ruiny na południe od skalistego cypla.

- Pozostałości dawnego szpitala dla niewolników - wyjaśnił Saul, podnosząc głos i zaznaczając coś na mapie. - Las pochłonał rozciągającą się za nim plantację Dubose. Gdzieś tu jeszcze powinien być cmentarz... Patrzcie! Strefa buforowa!

Natalie oderwała wzrok od celownika aparatu. W miarę jak zbliżali się do podstawy litery L, teren się wznosił. Las - w dalszym ciągu gęsty i nieprzenikniony - składał się teraz w głównej mierze z dębów, cyprysów i sosen nadmorskich, z domieszką palm i innych roślin tropikalnych. Z przodu mignął szereg niskich, wkopanych w ziemię betonowych budowli, nieco podobnych do bunkrów na normandzkich plażach. Wśród palm biegła czarna, gładka asfaltowa droga, kończąca się przed wysokim płotem odgradzającym szeroki na sto jardów pas, pozbawioną wszelkiej roślinności plamę biegnącą w poprzek całej wyspy. Miało się wrażenie, że teren jest tam wybrukowany ostrymi muszelkami.

Natalie skierowała nań obiektyw i zaczęła robić zdjęcia.

Meeks zdjął słuchawki.

- Rany... Powinniście posłuchać, co wykrzykuje ten gość od radaru. Aż żałuję, że mam zepsute radio.

Uśmiechnął się szeroko do Saula.

Zbliżali się do części wyspy rozciągniętej w kierunku wschód-zachód. Meeks skręcił ostro, żeby nad nią nie przelatywać.

- Wyżej! - zawołał Saul.

Wzbili się wyżej, skąd Natalie miała lepszy widok. Zmieniła aparat - wyjęła ricroha z szerokokątnym obiektywem i robiła zdjęcia w trybie manualnym, naciągając migawkę najszybciej jak się dało. Przeskoczyła na chwilę do lewego okna, żeby pstryknąć parę ujęć długiego wybrzeża w kierunku, z którego przylecieli.

Północny skraj poziomej części litery L wyglądał jak wzięty z zupełnie innej wyspy: dębowo-sosnowe lasy na południe od strefy buforowej, dalej na południu zalesione wzgórza, wznoszące się łagodnie na wysokość dwustu stóp nad poziomem morza, do tego ślady starannie zaplanowanej zabudowy. Droga biegła dalej wzdłuż brzegu, przy wewnętrznym skraju plaży - idealnie

gładka wstęga asfaltu ocieniona palmami i wiekowymi dębami. Spośród drzew przezierały czasem zielone dachy, a kiedy wyrównali lot na wysokości pięciuset stóp, zobaczyli okoloną ławkami polanę nieopodal środka wyspy.

- Sypialnie i amfiteatr dla uczestników obozu - wyjaśnił Saul.

- Trzymajcie się! - uprzedził Meeks i znów ostro skręcili w lewo nad fioletową rafą w kształcie ostrza kosy, żeby uniknąć przelecenia nad portem i długim betonowym nabrzeżem na południowo-wschodnim skraju wyspy. - Wątpię, żeby nas ostrzelali, ale lepiej nie ryzykować.

Za portem weszli w przechyl w prawo, kierując się wzdłuż urwistego, skalistego wschodniego brzegu. Pilot ruchem głowy wskazał dach wyrastający w najwyższym punkcie wyspy ponad korony dębów i kolorowych magnolii.

- Oto i Dworek - wyjaśnił. - Dawna plantacja Vanderhoofa. Stary pastor wzenił się w zamożną rodzinę. Sam dom wybudowano około tysiąc siedemset siedemdziesiątym roku, z cyprysowego drewna. Dwadzieścia jeden okien mansardowych w dachu, podobno ponad sto dwadzieścia pokoiów... Przetrwiał cztery huragany, trzęsienie ziemi i wojnę secesyjną. Po tej stronie... o, widać między drzewami... jest lądowisko dla śmigłowców.

Cessna ponownie skręciła w prawo i opadła niżej; mknęła teraz równoległe do szczytu białego urwiska opadającego dwieście stóp wprost we wzburzone fale przyboju. Natalie zrobiła pięć zdjęć na długim obiektywie, dalsze dwa na szerokim kącie. Dworek stał na końcu długiego szpaleru dębów - ogromna, wiekowa budowla z długim na ćwierć mili wypielęgnowanym trawnikiem kończącym się na skraju klifu.

Saul zerknął na mapę i mrużąc oczy, odprowadził wzrokiem Dworek, który zniknął im z oczu wśród wysokich dębów.

- Powinna tu być droga, wręcz aleja, dochodząca do Dworku od północy...

- Live Oak Lane - potwierdził Meeks. - Ma ponad milę długości, biegnie z portu prosto do stóp wzgórza po drugiej stronie Dworku, przez ogrody. Ale to nie jest naprawdę droga, tylko szeroki na trzydzieści jardów pas trawiastej ziemi, biegnący wśród dwustuletnich, wysokich na sto stóp drzew. Na gałęziach porozwieszali latarnie, świecą takim miękkim światłem, trochę jak japońskie lampiony... Nocą widać je z odległości dziesięciu mil... Wieczorem, kiedy przyjeżdżają VIP-y, przewozi się ich Live Oak Lane prosto do Dworku. O, a tam mamy lotnisko.

Przelecieli dwie mile na zachód wzdłuż podstawy litery L. Nadmorskie klify przeszły w niskie, skaliste wybrzeże, a jeszcze dalej w szeroką

piaszczystą plażę, zanim rzeczywiście zobaczyli pas startowy: długą, ciemną smugę orzącą las w kierunku północno-wschodnim.

- Ci, którzy przylecą samolotem, też załapują się na przejażdżkę Live Oak Lane - ciągnął Meeks. - Tylko krótszą. Mogą tu lądować wszelkie prywatne maszyny, włącznie z małymi odrzutowcami; pewnie dałoby się posadzić nawet boeinga siedem dwa siedem, na styk. Trzymajcie się.

Cessna opadła stromo w prawo. Okrążyli południowo-zachodni cypel. Plaża zniknęła za ich plecami, a przed nimi prosta linia L była zniekształcona poszarpaną zatoczką, od której wygradzona strefa buforowa biegła w poprzek przesmyku. Sto jardów pustki wśród bujnej tropikalnej zieleni robiło szokujące wrażenie, niczym mur berliński żywcem przeniesiony do raj. Na zachodnim brzegu na północ od strefy nie było widać żadnych dzieł ludzkiej ręki, nawet ruin; gąszcz palm, sosen i magnolii schodził do samej wody.

- Jak tłumaczą konieczność stworzenia strefy buforowej? - zainteresował się Saul.

Meeks wzruszył ramionami.

- Podobno ma oddzielać rezerwat od terenów prywatnych. Ale tu wszystko jest prywatne. Podczas tego obozu letniego... głupia nazwa, nawiasem mówiąc, nie? Zwalają się tu całe tabuny premierów i eksprezydentów. Tych ważniaków trzyma się na południe od strefy, żeby ułatwić życie ich ochronie. Co wcale nie znaczy, że na wyspie nie jest bezpiecznie. O, jest i zachodnia łódź patrolowa. - Skinął głową w lewo. - Za trzy tygodnie będzie tu ze dwadzieścia statków, kutry straży przybrzeżnej i tak dalej. Nawet gdybyście się przedostali na wyspę, daleko byście nie uszli; wszędzie wtedy roi się od agentów Secret Service i prywatnych ochroniarzy. Zresztą, jeżeli piszecie artykuł o C. Arnoldzie Barence, to już wiecie, że facet kocha prywatność.

Zbliżali się do północnego skraju wyspy Saul pokazał w dół i powiedział:

- Chciałbym tam wylądować.

Ciemne okulary Meeksa zwróciły się ku niemu pytająco.

- Posłuchaj, przyjacielu... Możemy sfalszować plan lotu. Możemy nawet nie dać się złapać na naruszeniu przestrzeni powietrznej Barenta. Ale jeżeli mój samolot choćby jednym kołem dotknie tego pasa startowego, nigdy więcej go nie zobaczę.

- Nie mówię o pasie startowym - odparł Saul. - Północna plaża jest prosta, dość twarda i chyba wystarczająco długa, żeby na niej usiąść.

- Zwariowałeś.

Meeks pochylił się nad pulpitem i przestawił coś w przyrządach. Za północnymi obrzeżami wyspy rysował się ocean.

Saul wyjął z kieszeni na piersi cztery banknoty pięćsetdolarowe i położył je na pulpicie.

Meeks pokręcił głową.

- Za to nie kupię nowej maszyny ani nie zapłacę za szpital, jeśli walniemy w kamień albo zakopujemy się w piasku.

Natalie złapała go za ramię.

- Proszę, panie Meeks! - odezwała się, przekrzykując grzmot silnika. - To dla nas bardzo ważne.

Pilot obrócił się w fotelu, żeby na nią zerknąć.

- Nie chodzi wam o żaden artykuł, prawda?

Natalie spojrzała na Saula, wróciła wzrokiem do Meeksa i pokręciła głową.

- Nie.

- Ma to coś wspólnego ze śmiercią Roba?

- Tak.

- Tak myślałem. - Meeks pokiwał głową. - Jakoś nie trafiły mi do przekonania te durne tłumaczenia, co robił w Filadelfii i dlaczego w sprawie zamieszane było FBI. Czy ten miliarder, Barent, maczał w tym palce?

- Tak przypuszczamy - przyznała Natalie. - Ale potrzebujemy więcej informacji.

Meeks wskazał plażę, nad którą przelatywali.

- I wylądowanie tu na parę minut coś wam pomoże?

- Być może - przytaknął Saul.

- Niech to wszyscy diabli... - mruknął pilot. - Pewnie jesteście jakimiś terrorystami, ale terroryści nigdy nie zrobili mi nic złego, a skurwiele pokroju Barenta dymają mnie od lat. Trzymajcie się.

Samolot skręcił w prawo i znów znaleźli się nad północną plażą, na wysokości dwustu stóp. Pas piasku w najszerszym miejscu mierzył zaledwie dziesięć jardów, od strony lądu gęste zarośla napierały na jego skraj. Północno-zachodni kraniec plaży był głęboko pożłobiony licznymi strumykami i zatoczkami.

- Mamy sto dwadzieścia jardów, nie więcej - orzekł Meeks. - Będę musiał usiąść na samiuteńkim skraju wody. A potem módlmy się, żebyśmy nie uderzyli w żaden kamień ani nie wpadli w dziurę w piasku. - Zerknął na przyrządy, spojrzał w dół na białą linię przyboju i kołyszące się korony

drzew. - Zachodni wiatr... - mruknął. - Trzymajcie się.

Położył cessenę w kolejny ostry skręt w prawo i znów znaleźli się nad morzem, szybko wytracając wysokość. Saul mocniej zapiął pas i zaparł się o pulpit. Siedząca z tyłu Natalie pochowała sprzęt fotograficzny, zatknęła pistolet za pasek pod luźną bluzką, sprawdziła, czy ma zapięty pas, i przygotowała się na lądowanie.

Meeks przymknął przepustnicę. Przez dobrą minutę miało się wrażenie, że Cessna zawisała nieruchomo nad falami, tak wolno opadali. Saul był przekonany, że przy takiej trajektorii nie doleczą do plaży i wpasują się prosto w skały przyboju, ale w ostatniej sekundzie pilot dodał gazu, bokiem przeskoczył nad skupiskiem kamieni, które niepokojąco szybko urosły do rozmiarów olbrzymich głazów, i posadził lekką maszynę na mokrym piasku dziesięć stóp dalej.

Dziób samolotu przyziemił szybko, słona woda chlapnęła na szybę. Saul zdążył jeszcze poczuć, jak lewe koło ślizga się w bok... a potem Meeks miał masę roboty z jednoczesnym obsługiwaniem przepustnicy, steru pionowego, hamulców i lotek. Ogon również oparł się o ziemię, Cessna zaczęła wytracać prędkość, nie dość szybko jednak - wyżłobione przez przypiływ zatoczki w linii brzegowej, do niedawna jeszcze tak odległe na północno-zachodnim rąbku plaży, nagle popędziły ku nim, widoczne przez rozmazaną tarczę zwalniającego śmigła. Pięć sekund przed tym, jak stoczyli się w głąb jednego z wąwozów, maszyna przechyliła się w prawo, woda bryznęła spod koła w okno Saula, a Meeks zdławił przepustnicę i zahamował z całej siły. Samolot z uniesionym ogonem wykręcił szerokim poślizgiem w prawo, na moment oderwał lewe koło od ziemi i w końcu znieruchomiał dosłownie kilkanaście cali od strefy piaszczystych wydm. Śmigło kręciło się jeszcze siłą rozpędu, a dziób celował prosto na wschód wzdłuż skrawka wilgotnej plaży, przeoranego potrójnym śladem równoległych linii, które wcale nie biegły prosto.

- Trzy minuty - zapowiedział Meeks, od razu wprowadzając silnik na wyższe obroty. - Będę na wschodnim skraju plaży. Jeśli wiatr zdechnie albo zobaczę łódź wypływającą zza Slave Point, *adios*. Pani zostaje; ktoś musi mi pomóc przy nawrocie, trzeba podnieść ogon maszyny.

Saul skinął głową, odpiął pas i wyskoczył przez delikatne drzwi. Wiatr i podmuch powietrza za śmigłem rozwiały mu długie włosy. Natalie wypchnęła z samolotu długą, ciężką torbę owiniętą w brezent i zaopatrzoną w skórzane uchwyty.

- Hola! - zawołał Meeks. - Nie było mowy o...

- Jedź! - odkrzyknął Saul i pobiegł w stronę lasu, do miejsca, w którym wypełniająca się podczas przyływu zatoczka ginęła w gąszczu palm i tropikalnych kwiatów.

To było bagno. Dziesięć jardów od plaży Saul utknął w nim po kolana, a rosnące na skraju magnolie i palmy ustąpiły miejsca omszałym wiekowym cyprysom i powykręcany dębom. Rybołów poderwał się do lotu z gniazda sześć stóp nad głową Saula, coś przepłynęło dziesięć stóp na prawo od niego, znacząc wodę potężnym śladem w kształcie litery V, a Saul przypomniał sobie słowa Gentry'ego o polowaniu na węże po omacku.

Trzy minuty prawie dobiegły końca, kiedy spojrzął na kompas i uznał, że znalazł się dostatecznie daleko od brzegu. Niosąc torbę na prawym ramieniu, rozejrzał się i dostrzegł stary cyprys, osmolony przez pożar lub piorun, z dwiema najniższymi gałęziami rozpostartymi nad słoną wodą niczym ramiona krzyczącego człowieka. Ruszył w jego stronę i zanim dotarł do grubego pnia, nurzał się w wodzie już po pas. Uderzenie pioruna pozostawiło po sobie poszczerbione rozdarcie z lewej strony, odsłaniając spróchniałe wnętrze pnia.

Nurt i niesiony nim muł szarpały go za lewą nogawkę, gdy upychał długą torbę w pęknięciu pnia, usiłując jak najlepiej ją ukryć, a następnie zaklinował ją i zabezpieczył dwiema odłamanymi od szarego pnia suchymi gałęziami. Cofnął się o dziesięć kroków, z zadowoleniem stwierdził, że nie widzi torby, i spróbował zapamiętać kształt cyprysu i jego położenie względem zatoczki, którą tu wszedł, innych drzew oraz skrawka nieba widocznego w górze pomiędzy draperiami mchu i powykrzywianymi konarami. W końcu odwrócił się i - próbując przyśpieszyć - ruszył z powrotem w stronę plaży.

Błoto przytrzymało go, usiłowało wciągnąć, groziło ściąganiem butów i zwichnięciem kostek. Słone szumowiny lepiły mu się do koszuli, stęchła woda zalatywała morzem i zgnilizną, paprocie chlastały go po głowie, gęsty rój gryzących insektów unosił się na wysokości jego spoconej twarzy i ramion. Zarośla wydawały mu się stokroć gęstsze, niż kiedy wszedł w głąb łądu. W końcu przedarł się przez ostatnią zaporę z gałęzi i na chwiejnych nogach wytoczył się do płytkiej zatoczki o piaszczystym dnie. Wspiął się po jej zboczu na plażę i zdał sobie sprawę, że mimo pomocy kompasu wyszedł z lasu trzydzieści jardów na zachód od miejsca, w którym się w niego zanurzył.

Cessna zniknęła.

Z niedowierzania zamarł bez ruchu, serce podeszło mu do gardła... po czym przebiegł pięćdziesiąt stóp, widząc odbłask słońca na szkłe i metalu tuż za skupiskiem niskich wydym, gdzie przycupnął samolot - blisko, a zarazem niewyobrażalnie daleko. Pędząc po mokrym piasku w stronę maszyny słyszał wizg rozkręcającego się silnika. Mimochodem zauważył, że zaczął się przyptyw - morze zalewało już bliższy brzegu ślad koła samolotu, szybko zwiężając nadający się do wykorzystania pas spieczonego słońcem piasku.

W dwóch trzecich drogi do samolotu dyszał tak głośno, że najpierw zobaczył motorówkę, a dopiero potem usłyszał jazgot jej silnika: rozbryzgi białej piany szły od jej dzioba, gdy wynurzyła się zza cypla na północnym wschodzie. Było w niej widać co najmniej pięć uzbrojonych w karabiny ciemnych sylwetek. Przyśpieszył, rozchlapując wodę i biegnąc wprost na spotkanie cesseny. Gdyby samolot w tej chwili ruszył, Saulowi pozostałoby albo uskoczyć do wody, albo dać się poszatkować przez śmigło.

Od maszyny dzieliło go dziesięć jardów, gdy pod jej lewym skrzydłem wystrzeliły trzy małe pióropusze piasku - dziwny widok, jakby przed Saulem czmychało jakieś ryjące w piasku zwierzątko albo olbrzymia pchła piaskowa. Po sekundzie usłyszał przenikliwe *pak-pak-pak* karabinowych wystrzałów. Od motorówki dzieliło go dwieście jardów, znajdował się więc w zasięgu strzału i domyślał się, że tylko wzburzone morze i prędkość łodzi sprawiły, że strzelec chybił.

Zostało mu do przebiegnięcia dwadzieścia stóp, kiedy otworzyły się lewe drzwi samolotu. Wspiął się na rozpórkę skrzydła, wskoczył na fotel pasażera i oklapł ciężko, ociekając wodą. Nie czekając, aż się usadowi, Cessna skoczyła naprzód, ślizgając się na coraz węższym pasie wilgotnej plaży; Natalie zmagala się tymczasem z niedomkniętymi drzwiami. Rozległ się głuchy stuk pocisku o metal. Meeks zaklął, przełączył coś na panelu nad głową, otworzył maksymalnie przepustnicę i zaczął się siłować z chodzącym na boki wolantem.

Saul usiadł prosto i wyjrzał przez przednią szybę w samą porę, żeby zobaczyć, jak Cessna osiąga koniec plaży i - wciąż sunąc po ziemi - z rykiem silnika zjeżdża po stoku wydmy w głąb jednego z piaszczystych wąwozów. Przeciwnie zbocze jeżyło się ostrymi kamieniami i gęstwiną zarośli.

W kluczowym momencie trzy stopy powietrza pod kołami zadecydowały o powodzeniu manewru. Prawe koło rozchlapało wodę... i cesseną wzbija się w powietrze, o niespełna stopę unikając zderzenia z kamieniami. W przechyle na prawe skrzydło uniosła się ponad falami na wysokość

dwudziestu, trzydziestu stóp. Patrząc w prawo, Saul widział pędzącą ku nim motorówkę, miotaną falami. Błysk ognia z luf karabinów celował mu prosto w oczy.

Meeks z całej siły wcisnął pedały, pociągnął wolant na siebie - i natychmiast go odepchnął. Cessna zatoczyła dziwny łuk, jakby złapała poślizg w powietrzu, i przechyliła się tym razem w lewo (czubek skrzydła zawisł dosłownie pięć stóp nad wodą), przyspieszając, żeby jak najszybciej odgrodzić się od motorówki skałami i dżunglą na zachodnim cyplu.

Saul - który nie zdążył zapiąć pasów - wyrznął głową o sufit, odbił się od wciąż niezablokowanych drzwi, aż w końcu złapał się fotela i pulpitu, żeby nie runąć na Meeksa i nie wytrącić mu wolantu z rąk.

Pilot spojrział na niego ze skwaszoną miną. Saul zapiął pasy i się rozejrzał. Po lewej mignęły im drzewa, pół mili przed nimi trzy motorówki pędziły im na spotkanie - szły w ślizgu, z dziobami uniesionymi ponad wodę.

Meeks westchnął i skręcił w prawo tak gwałtownie, że dokładnie pod nimi Saulowi mignął ciemny kształt płaszczyki dziesięć stóp pod powierzchnią wody. Odległość czubka skrzydła do wody nie przekraczała długości jego przedramienia.

Cessna wyrównała lot, kierując się na zachód. Wyspę i motorówki zostawiła za sobą, cały czas utrzymując bardzo niski pułap, przez co wrażenie szybkości było prawie namacalne, gdy rozpędzili się do 150 mil na godzinę. Saul żałował, że samolot nie ma chowanego podwozia; łapał się na tym, że odruchowo podnosi nogi nad podłogę kabiny.

Meeks przyblokował wolant kolanami, wyjął z kieszeni czerwoną chusteczkę i wysiąkał nos.

- Musimy polecieć aż na prywatne lotnisko mojego kumpla Terence'a w Monck's Corner - powiedział. - Zadzwonimy do Alberta i każemy mu złożyć ten alternatywny plan lotu, o którym rozmawialiśmy. To na wypadek, gdyby chcieli przeszukać przybrzeżne lotniska na północ stąd. Ale się bajzel zrobił...

Pokręcił głową, ale szerokim uśmiechem popsuł cały efekt dramatyczny.

- Wiem, że umawialiśmy się na trzysta dolarów - odezwał się Saul - ale to chyba nie jest stosowna kwota za taką imprezę.

- Nie? - zdziwił się Meeks.

- Nie - potwierdził Saul i skinął na Natalie, która z torby fotograficznej wygrzebała cztery tysiące dolarów w pospinanych gumkami paczkach dwudziestek i pięćdziesiątek.

Saul położył pieniądze na skraju fotela pilota.

Meeks przełożył je sobie na kolana i zaczął się nimi bawić.

- Posłuchajcie... Jeżeli w ten sposób zdobyliście jakieś informacje, które pomogą wam ustalić, kto zabił Roba Gentry'ego, to dla mnie wycieczka była warta grzechu nawet bez tej premii.

Natalie nachyliła się ku niemu.

- Pomogą, ale proszę zatrzymać te pieniądze - powiedziała.

- Powiecie mi, co ten łajdak Barent miał wspólnego ze śmiercią Roba?

- Jak tylko dowiemy się czegoś więcej - obiecała Natalie. - A pańska pomoc może się nam jeszcze przydać.

Meeks podrapał się po brzuchu pod bluzą i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie ma sprawy, panienko. Bylebyście nie zaczynali rewolucji beze mnie, hmm?

Włączył radio zawieszone na pasku na wystającej z pulpitu gałce. Lecieli w stronę lądu przy wtórze karaibskich bębnów i hiszpańskich ballad miłosnych.

58.

Melanie

W niedzielę pomagierka Niny zabrała Justina na przejażdżkę.

Zapukała do bramy przed jedenastą rano, kiedy przyzwoity człowiek siedziałby w kościele. Odmówiła Culleyowi, zapraszającemu ją do środka, i zapytała, czy może wziąć Justina („tego chłopca”, powiedziała) na przejażdżkę.

Zastanowiłam się nad jej propozycją. Myśl o wypuszczeniu Justina poza teren posiadłości wydała mi się niepokojąca, zwłaszcza że z całej rodziny to on był moim ulubieńcem, ale niewypuszczenie kolorowej dziewczyny do domu też miało swoje dobre strony. Poza tym miałam nadzieję, że taka wycieczka rzuci odrobinę światła na tajemnicę miejsca pobytu Niny. Skończyło się na tym, że Murzynka zaczęła przy fontannie, aż Justin - wystrojony przez siostrę Oldsmith w najśliczniejszy strój (niebieskie szorty i marynarską koszulę) - dołączył do niej i razem poszli się przejechać.

Jej samochód niczego mi nie zdradził - prawie nowy datsun wyglądał i pachniał jak typowy wóz z wypożyczalni. Murzynka była ubrana w jasnobrązową spódnicę, wysokie botki i beżową bluzkę; nie zauważyłam torebki ani portfela, w których mogłaby trzymać jakiś dokument tożsamości. Chociaż, jeśli faktycznie była uwarunkowanym narzędziem w rękach Niny, nie miała już własnej tożsamości.

Jechaliśmy powoli East Bay Drive, dalej na północ, wzdłuż autostrady, w stronę Charleston Heights. Tam właśnie, w małym parku z widokiem na stocznię marynarki wojennej dziewczyna zatrzymała samochód, sięgnęła po leżącą na pustej tylnej kanapie lornetkę i razem z Justinem podeszła do ogrodzenia z czarnej metalowej siatki. Dokładnie obejrzała gąszcz ciemnych żurawi budowlanych i cumujące w porcie szare okręty i odwróciła się do mnie.

- Melanie? - zagadnęła. - Pomożesz mi ocalić Williego? Przy okazji będziesz chronić swoje życie.

- Naturalnie - odparłam dziecięcym kontraltem.

Nie skupiałam się na jej słowach, bardziej interesowało mnie kombi, które w tej samej chwili wjechało na parking i zatrzymało się przy jego przeciwległym krańcu. Siedział w nim tylko kierowca - mężczyzna, którego rozpoznanie uniemożliwiały mi cień, ciemne okulary i spora odległość - ale

byłam pewna, że widziałam ten samochód już wcześniej, na East Bay Drive, tuż po tym, jak skręciliśmy w lewo z Calhoun Street. Łatwo mi było zamaskować dyskretne spojrzenia Justina za fasadą dziecięcych figli.

- W porządku - powiedziała Murzynka i powtórzyła tę niewiarygodną bajeczkę o ludziach obdarzonych Talentem, którzy gdzieś na jakiejś wyspie organizują dziwną parodię naszej Gry.

- Jak mogę pomóc? - zainteresowałam się, wykrzywiając buzię Justina w grymasie, jak sądziłam, zatroskanej ciekawości.

Trudno jest nie ufać dziecku. Murzynka tłumaczyła mi, na czym miałyby polegać moja pomoc, a ja tymczasem zastanawiałam się, co mogę zrobić.

Do tej pory próba jej Użycia na niewiele by mi się zdała. Moje próbne sondowanie dowodziło, że zachodzi jedna z trzech możliwości: a) Nina jej Używa, ale absolutnie nie zamierza o nią walczyć, gdybym uparła się przejąć nad nią kontrolę; b) dziewczyna jest wyśmienicie uwarunkowanym pomagierem, niewymagającym bezpośredniego nadzoru ze strony Niny (lub innej osoby odpowiedzialnej za warunkowanie); c) nie jest przez nikogo Używana.

Teraz sytuacja się zmieniła. Jeżeli kierowca kombi był z nią w jakiś sposób powiązany, Użycie jej byłoby doskonałym sposobem zdobycia informacji.

- Spójrz - powiedziała, podając lornetkę Justinowi. - Trzeci statek od lewej.

Wśliznęłam się do jej umysłu i wzięłam od niej lornetkę. Wyczułam wstrząs, odebrałam obraz maszyny zwanej „oscyloskopem” (znajomy tylko dzięki temu, że doktor Hartman zainstalował podobną aparaturę w mojej sypialni)... i już była moja. Przejście nie wymagało ode mnie żadnego wysiłku - czego zresztą się spodziewałam, świadoma mojego wzmocnionego Talentu. Dziewczyna była młoda i silna, wyraźnie czułam pulsującą w niej witalność. Przyszło mi do głowy, że jej siła może mi się wkrótce przydać.

Zostawiłam Justina, który nie wypuszczał z rąk tej kretyńskiej lornetki, i szybkim krokiem podeszłam do kombi; żałowałam, że kolorowa dziewczyna nie wzięła ze sobą niczego, co nadawałoby się na broń. Samochód stał daleko, na samym końcu parkingu. Ponieważ odbijające się w przedniej szybie słońce oślepiło mnie, musiałam pokonać połowę dzielącego mnie od kombi dystansu, zanim zdałam sobie sprawę, że drzwi po stronie kierowcy są otwarte, a w środku nikogo nie ma.

Kazałam dziewczynie zatrzymać się i rozejrzeć. W parku było trochę

ludzi: kolorowa para przechadzała się pod ogrodzeniem; młoda kobieta w sportowym stroju (cienki materiał nie był w stanie ukryć wyraźnie widocznych brodawek jej piersi) wylegiwała się bezwstydnie pod drzewem; dwaj biznesmeni pogrążeni w rozmowie stali przy wodotrysku z wodą do picia; starszy człowiek z krótką brodą przyglądał mi się, stojąc przy samochodzie; przy pobliskim stoliku piknikowym siedziała cała rodzina.

Na sekundę ogarnęła mnie stara, dobrze znajoma panika, gdy wśród tych wszystkich twarzy wypatrywałam znajomej twarzy Niny. Była pogodna wiosenna niedziela, samo południe, a ja nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że lada chwila ujrzę gnijącego trupa siedzącego na parkowej ławce albo gapiącego się na mnie zza kierownicy któregoś z samochodów, z niebieskimi oczami unoszącymi się w oczodołach na wezbranej fali robactwa...

Justin - jak na beztroskiego malucha przystało - podniósł patyk z ziemi i, wymachując nim, podszedł do kolorowej dziewczyny; kazałam mu trzymać się blisko niej, jej zaś kazałam zbliżyć się do kombi. Zajrzawszy do środka przez okno po stronie kierowcy, ujrzałam masę sprzętu elektronicznego i przewodów, wijących się ponad fotelem i znikających w tylnej części wozu. Justin odwrócił się tyłem do samochodu, żeby mieć baczenie na ludzi w parku.

Kazałam dziewczynie przesunąć się i zajrzeć na tylne siedzenie. Odczułam gwałtowny, lekki ból, który natychmiast stłumiłam, i poczułam, że Murzynka mi się wymyka. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Nina usiłuje ją przechwycić, gdy wtę dotarło do mnie, że dziewczyna osuwa się na ziemię. Zdążyłam przenieść całą świadomość do ciała Justina w samą porę, żeby zobaczyć, jak Murzynka osuwa się po drzwiach kombi i upada na ziemię.

Ktoś ją zastrzelił.

Wycofałam się na króciutkich nóżkach Justina, wciąż ściskając w ręce patyk, który z jego punktu widzenia wydawał się niezwykle groźny, lecz teraz w jednej chwili stał się zwyczajną, nedorzecznie wiotką gałązką. Cały czas miałam na szyi lornetkę. Szłam tyłem w stronę pustego stolika piknikowego, kręcąc głową na wszystkie strony, niepewna, kto jest moim wrogiem i skąd może nadejść. Nikt nie zauważył upadku Murzynki, nikt też nie widział jej ciała leżącego między kombi i niebieskim sportowym samochodem. Nie miałam pojęcia, kto ją zabił ani w jaki sposób. Justinowi mignęła czerwona plamka na plecach jej beżowej bluzki, która jednak wydawała mi się za mała na ślad po kuli. Przyszły mi do głowy tłumiki i inne

niezwykle akcesoria widziane na filmach, które oglądałam w kinie nocnym, zanim kazałam panu Thorne'owi raz na zawsze pozbyć się telewizora.

Użycie jej było złym pomysłem: teraz ona nie żyła (tak przynajmniej zakładałam; nie zamierzałam kazać Justinowi oglądać jej ciała z bliska), a Justin utknął w parku całe mile od domu. Wycofałam się zupełnie z parkingu, pod samo ogrodzenie. Jeden z odzianych w garnitur mężczyzn odwrócił się i ruszył w moim kierunku; zwróciłam się ku niemu, wymachując groźnie kijem i szczerząc zęby jak dzikie zwierzę, on jednak tylko spojrzał na mnie przelotnie i niezrażony szedł dalej, prosto do pawilonu z toaletami. Kazałam Justinowi odwrócić się i podbiec do płotu; zatrzymał się dopiero w narożniku parku, przyciskając plecy do zimnej metalowej siatki.

Ciała dziewczyny w ogóle stąd nie widziałam. Bliżej mnie dwaj mężczyźni zsiadli właśnie z ogromnych motocykli i ruszyli w moją stronę.

Culley i Howard zbiegli do garażu po cadillaca. Howard musiał jeszcze wyskoczyć z samochodu, żeby otworzyć drzwi. W środku było ciemno.

Siostra Oldsmith zrobiła mi zastrzyk, żeby uspokoić walące jak młotem serce. Światło słońca wyglądało jakoś dziwnie, kiedy kładło się na złożonej w nogach łóżka kołdrze matki, odbite od powierzchni Cooper River raziło Justina w oczy, zaglądało przez brudne okienko do garażu, gdzie Howard na oślep mocował się z zasuwką.

Panna Sewell potknęła się na schodach, w kuchni kolorowy chłopiec jęknął i bez powodu złapał się za głowę, Justinowi mroczy zaczęły latać przed oczami, pojawiło się więcej mężczyzn na trawie... trudno było kontrolować ich wszystkich naraz, głowa mnie rozboleła, usiadłam na łóżku, patrząc na siebie oczami siostry Oldsmith... Gdzie się podział doktor Hartman?!

Przeklęta Nina!

Zamknęłam oczy - wszystkie, poza oczami Justina. Nie było powodów do paniki. Justin był za niski, żeby poprowadzić samochód nawet gdyby znalazł kluczyki, ale poprzez niego mogłam Użyć każdego, kogo zobaczy, i kazać mu odwieźć się do domu. Byłam jednak taka zmęczona... Bolała mnie głowa.

Culley wycofał cadillakiem przez zamknięte drzwi garażu, prawie rozjeżdżając przy tym Howarda, i pojechał dalej sam, z kawałkami spróchniałego drewna na tylnej szybie i pokrywie bagażnika.

Już jadę, Justinie. Nic się nie bój. Zresztą, nawet jeśli mi cię odbiorą, inni zostaną tutaj, przy mnie.

A jeżeli to wszystko miało tylko odwrócić moją uwagę? Culley wyjechał,

Howard czołgał się po podłodze garażu, usiłując wstać... Może ludzie Niny właśnie w tej chwili dobijali się do bramy od frontu? Wspinali się na ogrodzenie?

Skoncentrowałam się na kolorowym chłopcu imieniem Marvin: kazałam mu zabrać siekiere z tylnej werandy i wyjść przed dom. Próbował mi stawić opór, walczył, trwało to tylko sekundę, nawet mniej... ale walczył. Moje warunkowanie okazało się zbyt delikatne. Zbyt wiele zostało w nim z niego samego.

Wyszedł przed dom i obszedł fontannę. Nikogo tam nie było. Kazałam pannie Sewell dołączyć do niego i razem stanęli na warcie. Obudziłam doktora Hartmana, który uciał sobie drzemkę w salonie domu państwa Hodgesów, i w trymiga sprowadziłam go do swojej sypialni. Siostra Oldsmith wyjęła z szafy strzelbę i przysunęła sobie krzesło do łóżka. Culley jechał właśnie Meeting Street i zbliżał się do zjazdu na Spruil Avenue nieopodal stoczni marynarki wojennej. Howard pilnował tyłów domu.

Poczułam się lepiej. Odzyskałam pełnię władzy. To była chwila paniki, którą potrafiła u mnie wywołać tylko Nina - ale chwila przyszła i minęła. Gdyby ktoś zaczął zagrażać Justinowi, kazałabym mu się nadziać na pręty ogrodzenia. Z przyjemnością wyłupiłabym mu oczy i...

Justin zniknął.

Zajęta innymi sprawami, zaufałam warunkowaniu i zostawiłam go bez opieki - sześciolatka stojącego plecami do ogrodzenia i rzeki i opędzającego się patykiem przed całym światem.

Zniknął. Nie odbierałam żadnych wrażeń zmysłowych. Nie poczułam upadku, ciosu noża ani bólu po przeszywającej mnie kuli; może przytłoczył mnie ból Howarda, przebłysk świadomości u kolorowego chłopca albo chwilowa niezdarność panny Sewell, tego nie wiedziałam.

Justin zniknął. Kto będzie teraz wieczorem rozczesywał mi włosy?

Może Nina wcale go nie zabiła, tylko uprowadziła? Ale dlaczego miałyby to robić? Z zemsty za to, że sprowadziłam śmierć na tę jej głupią czarną emisariuszkę? Czy naprawdę była aż tak małostkowa?

O tak, z pewnością.

Culley dotarł na miejsce i wałęsał się po parku, aż ludzie zaczęli się na niego gapić. Zaczęli się gapić na mnie.

Samochód z wypożyczalni stał na swoim miejscu, pusty. Kombi zniknęło bez śladu. Zniknęło ciało kolorowej dziewczyny. Zniknął Justin.

Oparłam muskularne przedramiona Culleya o metalową barierkę i z

wysokości czterdziestu stóp spojrzałam na płynącą w dole rzekę. Na szarej powierzchni tworzyły się wiry i zmarszczki.

Culley zapłakał. Ja zapłakałam. Wszyscy płakaliśmy.

Niech cię diabli, Nino.

Późno w nocy, kiedy trwałam w wywołanym lekami stanie półsennego zawieszenia, rozległo się wściekłe łomotanie do bramy. Oszołomiona wysłałam na podwórko Culleya, Howarda i kolorowego chłopca. Zobaczyłam, kto do mnie przyszedł - i zamarłam.

To była kolorowa dziewczyna od Niny. Twarz miała barwy popiołu, ubranie brudne i poszarpane, oczy wytrzeszczone. W ramionach trzymała bezwładne ciało Justina. Siostra Oldsmith rozchyliła zasłony i wyjrzała spomiędzy żaluzji, udostępniając mi dodatkowy punkt widzenia.

Kolorowa dziewczyna podniosła rękę i długi, wyprostowany palec wskazujący wycelował prosto w mój pokój. Prosto we mnie.

- Melanie! - zawołała tak głośno, że byłam pewna, że postawi na nogę połowę Starej Dzielnicy. - Natychmiast otwórz bramę, Melanie! Chcę z tobą porozmawiać!

Jej palec cały czas mierzył w moją stronę. Miałam wrażenie, że upłynęło bardzo dużo czasu. Zielone impulsy na monitorze przy łóżku pulsowały gwałtownie.

Wszyscy zamknęliśmy na chwilę oczy, a kiedy znów je otworzyliśmy, ona nadal tam stała, nadal wskazywała mnie palcem, nadal patrzyła tym władcym, aroganckim wzrokiem, którego nie widziałam od czasów, gdy po raz ostatni pokrzyżowałam plany Ninie Drayton.

Bez entuzjazmu kazałam Culleyowi podejść bliżej, otworzyć bramę i szybko się cofnąć, zanim ten nasłany przez Ninę stwór zdążyłby go dotknąć.

Żwawym krokiem wkroczyła na podwórko, ruszyła prosto do otwartych frontowych drzwi domu i weszła do środka. Wszyscy cofnęliśmy się przed nią, gdy znalazła się w salonie. Położyła ciało Justina na kanapie.

Nie wiedziałam, co robić. Czekaliśmy.

59.

Charleston

10 maja 1981, niedziela

Saul obserwował Natalie z Justinem w parku i podsłuchiwał ich rozmowę za pośrednictwem mikrofonu wpiętego w kołnierzyk bluzki Natalie, kiedy zabrzmiał przenikliwy sygnał alarmowy. Przeniósł wzrok na ekran przenośnego komputera ustawionego na fotelu pasażera. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że to raczej awaria aparatury, czujników albo akumulatora w bagażniku, nie zaś wydarzenie, którego oboje się obawiali - ale jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że o awarii nie może być mowy: rytm theta nie pozostawiał cienia wątpliwości, zapis fal alfa wykazywał już charakterystyczne piki fazy REM. W tej samej chwili znalazł odpowiedź na pytanie dręczące go od miesięcy - i zdał sobie sprawę, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Wyjrząwszy przez okno, zobaczył, jak Natalie odwraca się w jego kierunku. Zdażył jeszcze porwać leżący obok pistolet na strzałki, zanim wyturlał się przez drzwi i na czworakach odskoczył od kombi, pilnując, żeby przez cały czas oddzielało go od Natalie i chłopca. Nie, to nie jest Natalie, poprawił się w myślach. Zatrzymał się za ostatnim z zaparkowanych w rzędzie samochodów, dwadzieścia pięć stóp od kombi.

Dlaczego starsza pani postanowiła akurat teraz Użyć Natalie? Saul zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie zawalił sprawy, kiedy śledził ich samochodem. Musiał trzymać się blisko (mikrofon i nadajnik Natalie miały zasięg mniejszy niż pół mili), a ruch na ulicach był niewielki. Sukces z ubiegłego tygodnia i wczorajszy udany wypad na wyspę dodały im nadmiernej pewności siebie. Zaklął pod nosem i przez okna białego forda fairmonta patrzył, jak Natalie zbliża się do kombi.

Chłopiec trzymał się piętnaście stóp za nią, niosąc znaleziony w trawie patyk. Saul poczuł nagle nieprzepartą chęć zabicia dziecka, wystrzelenia w małe ciało całego magazynka trzymanego w kieszeni pistoletu, wypędzenia demonów poprzez śmierć. Odetchnął głęboko. Sam przecież prowadził - na Columbi i innych uczelniach - wykłady na temat pewnej szczególnej, przewrotnej odmiany przemocy obecnej w takich książkach i filmach, jak *Egzorcysta*, *Omen* i ich niezliczone imitacje, datujące się od czasów *Dziecka Rosemary*. Wysyp dzieł z dziećmi-demonami w rolach głównych postrzegał

jako przejaw głęboko skrywanego lęku i nienawiści; typowej dla pokolenia współczesnych egoistów niezdolności do wejścia w rolę odpowiedzialnych rodziców kosztem utraty własnego niekończącego się dzieciństwa; jako symptom porzwozowych wyrzutów sumienia (dziecko nie jest tak naprawdę dzieckiem, lecz zupełnie innym stworzeniem, starym i złym, zdolnym zasłużyć sobie na każde nadużycie wynikające z samolubnych zachowań dorosłego) i gniewu całego społeczeństwa buntującego się po dwóch dekadach życia w kulturze, w której wszystko podporządkowane było młodzieńczemu wyglądowi, młodzieżowej muzyce, młodzieżowym filmom oraz telewizyjno-kinowemu mitowi dziecka w dorosłym, które automatycznie jest mądrzejsze, spokojniejsze i bardziej „w zgodzie z naturą” niż dziecienni dorośli w domu. Dlatego tłumaczył, że strach i nienawiść wobec dzieci, przebijające z popularnych programów i książek, mają swoje irracjonalne korzenie we wspólnych przewinach, w jednoczących pokolenie lękach i uniwersalnym cierpieniu. Ostrzegał, że wzbierająca w całym kraju fala nadużyć, zaniedbań i znieczulicy w stosunku do dzieci ma swoje historyczne precedensy i nie da się jej powstrzymać, należy jednak dołożyć wszelkich starań, żeby osłabić i wykorzenić ten rodzaj przemocy, nim zatruje całe Stany.

Kiedy przykucnięty zerkał przez tylną szybę auta na odrażającego stwora, który dawniej był małym Justinem Wardenem, postanowił go jednak nie zabijać. Jeszcze nie teraz. Zwłaszcza że zastrzelenie sześciolatka w parku w niedzielne popołudnie nie byłoby najlepszym sposobem zagwarantowania sobie anonimowości.

Natalie obesza kombi dookoła, zaglądając do środka; zwrócona plecami do Saula, schyliła się i zajrzała na tył samochodu. Chłopiec odwrócił się, żeby mieć na oku ludzi przy pobliskim stoliku.

Saul wstał, oparł pistolet strzałkowy o dach, strzelił i schował się.

Przez kilka długich sekund był przekonany, że spudłował, że odległość strzału okazała się zbyt duża dla małego pocisku napędzanego sprężonym powietrzem, wtedy jednak mignęły mu czerwone piórka strzałki na plecach Natalie - tuż przed tym, jak upadła na ziemię. Chciał natychmiast do niej podbiec, sprawdzić, czy nie zaszkodził jej środek usypiający i czy nie zrobiła sobie krzywdy przy upadku, ale Justin obejrzał się akurat w jego stronę i Saul przypadł do ziemi za ffordem. Na oślep wygrzebał pudełko ze strzałkami, złamał pistolet i załadował go nowym nabojem.

Dwie krótkie gołe nogi biegnące mu na spotkanie znieruchomiały w

odległości sześciu stóp od jego twarzy. Zdążył podnieść wzrok w samą porę, żeby zobaczyć ósmio- lub dziewięcioletniego chłopca, który podnosił właśnie niebieską piłkę. Chłopiec wybałuszył oczy.

- Proszę pana? - zagadnął. - Chce pan kogoś zastrzelić?

- Uciekaj stąd - syknął Saul.

- Jest pan gliną? - domyślił się zaintrygowany dzieciak.

Saul pokręcił głową.

- A to co za spluwa, uzi? - Chłopak włożył piłkę pod pachę. - Wygląda trochę jak uzi z tłumikiem.

- Zjazd, młody - szepnął Saul, używając określenia, które upodobali sobie brytyjscy żołnierze w okupowanej Palestynie, mając do czynienia z małymi ulicznikami.

Chłopiec wzruszył ramionami i wrócił do swojej zabawy. Saul wystawił głowę znad karoserii forda - Justin również biegł, zwrócony plecami do całego parkingu, wymachując trzymanym w prawej ręce kijkiem.

Saul podjął szybką decyzję: przeszedł na teren piknikowy, oddalając się od samochodów, do miejsca, z którego widział brązową spódnicę leżącej Natalie. Szedł szybko, kryjąc się za drzewami przed wzrokiem Justina. Na razie nikt w parku nie zwrócił na Natalie uwagi.

Dwa motocykle zajechały na parking przy wtórze istnej eksplozji hałasu.

Idący żwawym krokiem, Saul zbliżył się o czterdzieści stóp do miejsca, w którym Justin stał oparty plecami o ogrodzenie nad rzeką. Chłopiec wpatrywał się w przestrzeń tępy, niewidzącym wzrokiem. Z rozdziawionych ust ślina ściekała mu na brodę.

Saul oparł się o drzewo, złapał oddech i sprawdził stan naboju z CO₂ w rękojeści pistoletu.

- Halo! - zawołał stojący nieopodal mężczyzna w szarym letnim garniturze Brookes Brothers. - Fajna pukawka. Ma pan na nią pozwolenie?

- Nie - odparł Saul. Wyjrzał zza drzewa i upewnił się, że Justin w dalszym ciągu gapi się przed siebie. Dzielilo ich jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp. Za daleko.

- Sympatycznie wygląda - ciągnął mężczyzna w garniturze. - Czym strzela? Kaliber dwadzieścia dwa? Śrut?

- Gdzie można kupić coś takiego, brachu? - zainteresował się jego dotychczasowy rozmówca, młody blondyn w niebieskim garniturze, z wąsami i wymodelowaną fryzurą. - Dają takie w dyskontach?

- Panowie wybaczą - powiedział Saul.

Wyszedł zza drzew i, nie kryjąc się, ruszył w stronę ogrodzenia. Justin nie spojrział w jego kierunku, wpatrzony w jakiś punkt nad dachami stojących na parkingu samochodów. Trzymając pistolet za plecami, Saul przesuwał się wzdłuż ogrodzenia w stronę nieruchomego sześciolatka. Zatrzymał się w odległości dwudziestu kroków. Justin ani drgnął. Czując się jak kot polujący na mysz-zabawkę, Saul zrobił ostatnie piętnaście kroków, wyciągnął pistolet zza pleców, strzelił niebieską strzałką w odsłoniętą prawą nogę chłopca i złapał go, zanim ten upadł na ziemię. Nikt niczego nie zauważył.

Powstrzymał się od pobiegnięcia na parking, ale i tak się nie ościągał. Dwaj długowłosi motocykliści stali na chodniku, spoglądając z góry na bezwładne ciało Natalie. Nie próbowali jej pomóc.

- Przepraszam panów.

Saul przecisnął się pomiędzy nimi, przestąpił nad Natalie i otworzył tylne drzwi kombi. Ostrożnie ułożył Justina na kanapie obok akumulatorów i radia.

- Ej, facet - zagadnął go grubszy motocyklista. - Ona nie żyje, czy jak?

- Nie, w żadnym wypadku.

Saul prychnął wymuszonym śmiechem. Stęknął z wysiłku, dźwigając Natalie z ziemi, układając na fotelu i spychając jak najdalej w głąb wozu. Lewy but zsunął jej się z nogi i z cichym stukotem spadł na asfalt. Saul podniósł go i uśmiechnął się do gapiących się na niego motocyklistów.

- Jestem lekarzem - wyjaśnił. - A ta pani cierpi na niegroźną postać epilepsji, wywołaną przez obrzęk sercowo-płucny o podłożu neurologicznym. - Usiadł za kierownicą i rzucił pistolet na siedzenie obok, nie przestając się uśmiechać. - Chłopiec zresztą również - dodał. - To... rodzinne, że tak powiem.

Wrzucił wsteczny i wycofał z parkingu, podświadomie oczekując, że samochód pełen sterowanych przez Melanie Fuller zombie zagrozi mu drogę, zanim zdąży wyjechać na ulicę.

Nic takiego się nie stało.

Jeździł bez celu tak długo, aż upewnił się, że nikt ich nie śledzi - dopiero wtedy wrócił do motelu. Ich domek był prawie niewidoczny z drogi, ale Saul i tak sprawdził, czy w zasięgu wzroku nie ma żadnego samochodu, zanim przeniósł do środka najpierw Natalie, a potem chłopca.

Czujniki EEG na głowie Natalie znajdowały się na swoim miejscu, ukryte we włosach i całkowicie sprawne. Działały również mikrofon i aparatura telemetryczna. Saul sprawdził jeszcze wykresy na ekranie komputera, zanim odłączył go i wniósł do domku: rytm theta zaniknął, fale REM się

spłaszczyły, wykres wskazywał zwykły, głęboki, pozbawiony marzeń sen po podaniu środków usypiających.

Ułożył wygodnie oboje śpiących i sprawdził stan ich zdrowia. Włączył drugi pakiet telemetryczny, przykleił elektrody do czaszki chłopca i wprowadził sekwencję uruchamiającą wyświetlanie obu wykresów EEG jednocześnie na ekranie komputera. U Natalie wciąż był to obraz głębokiego snu, u dziecka zaś płaskie linie charakterystyczne dla śmierci klinicznej.

Saul sprawdził puls Justina i reakcję źrenic na światło, zmierzył mu ciśnienie, zbadał reakcję na bodźce dźwiękowe, zapachowe i ból; komputer nadal nie wykazywał żadnych wyższych funkcji neurologicznych. Podmienił pakiet telemetryczny, przełączył czujniki, sprawdził zasilanie nadajnika, przełączył się z powrotem w tryb jednowykresowy, w końcu użył większej ilości pasty przewodzącej i zastosował dwie dodatkowe elektrody. Wynik nie zmienił się ani na jotę: u sześciolatniego Justina Wardena oficjalnie stwierdzono śmierć mózgową; tylko prymitywny pień mózgu sterował pracą serca, nerek i płuc w bezrozumnej bryle mięsa.

Saul zwiesił głowę, ujął ją w obie dłonie i bardzo długo trwał w tej pozycji.

- Co robimy? - spytała Natalie.

Piła drugą kawę. Środek usypiający przestał działać po niespełna godzinie, ale potrzebowała kolejnych piętnastu minut, żeby na dobre rozjaśniło jej się w głowie.

- Musimy go utrzymywać w tym stanie - odparł Saul. - Jeżeli wybudzi się z głębokiego snu, Melanie Fuller może odzyskać nad nim kontrolę. Chłopiec, który był Justinem Wardenem, jego wspomnienia, sympatie, lęki, wszystko, co ludzkie... odeszło na zawsze.

- Jesteś pewien? - zapytała ochryple Natalie.

Saul z westchnieniem postawił na stoliku swój kubek z kawą i dolał sobie odrobinę whisky.

- Nie - przyznał. - Bez lepszego sprzętu, dokładniejszych badań i dłuższej obserwacji w zróżnicowanych warunkach nie mogę mieć takiej pewności. Biorąc jednak pod uwagę całkowite spłaszczenie linii EEG, muszę przyznać, że ma niezwykle małe szanse odzyskać kiedykolwiek choćby namiastkę ludzkiej świadomości, nie mówiąc o wspomnieniach czy osobowości.

Pociągnął solidny łyk whisky.

- Czyli cały ten pomysł ich uwolnienia...

- Tak. - Saul odstawił pusty kubek. - Jak się nad tym zastanowić, to nawet ma sens. Im silniejsze warunkowanie, tym mniejsza szansa, że osobowość przetrwa. Przypuszczam, że u dorosłych udaje się przez pewien czas zachować szczątkową tożsamość... Na pewno Melanie Fuller nie miałyby pożytku z uprowadzonych lekarzy i pielęgniarek, gdyby odcięła im dostęp do uprzednio posiadanych fachowych umiejętności, ale nawet w ich wypadku przedłużająca się kontrola umysłowa, ten... specyficzny wampiryzm... z czasem unicestwia oryginał. To jest jak choroba, jak rak mózgu, który z biegiem czasu się rozrasta i chore komórki zabijają zdrowe.

Natalie rozmasowała obolałe skronie.

- Czy jest możliwe, że niektórych swoich... ludzi... kontroluje w większym, a innych w mniejszym stopniu? Że jedni są bardziej, a inni mniej zarażeni?

Saul rozcapierzył palce dłoni w pytającym geście.

- Czy to możliwe? Tak, chyba tak. Jeżeli jednak dostatecznie długo manipulowała ich umysłami, jeśli uwarunkowała ich wystarczająco, żeby ufać im jako służącym, to obawiam się, że ich osobowości i wszelkie wyższe funkcje zostały poważnie uszkodzone.

- Oberst cię Użył, prawda? - przypomniała beznamiętnie Natalie. - A do mnie Harold przyssał się dwa razy, tak samo ta stara wiedźma...

- Tak? - Saul zdjął okulary i potarł nasadę nosa.

- Zrobili nam w ten sposób krzywdę? Czy rak już się w nas rozrasta? Zmieniliśmy się, Saul? Czy jesteśmy inni?

- Nie wiem.

Saul siedział nieruchomo. Natalie odwróciła wzrok.

- Przepraszam - powiedziała. - To takie... straszne, mieć tę starą, obleśną wiedźmę w głowie. W życiu nie czułam się taka bezradna! To chyba gorsze od gwałtu: tam ktoś zniewala twoje ciało, ale przynajmniej zostawia umysł w spokoju. Ale najgorsze... absolutnie najgorsze jest to, że po pierwszym razie... albo dwóch... zaczynasz...

Nie była w stanie dalej mówić.

- Wiem. - Saul wziął ją za rękę. - Jakaś częśćka ciebie chce tego znowu doświadczyć. To jest jak narkotyk, który wprowadzie wywołuje przykre efekty uboczne, ale zarazem potwornie uzależnia. Wiem.

- Nigdy nie mówiłeś...

- Nie jest to coś, o czym człowiek chce rozmawiać.

- Nie - przyznała Natalie i zadygotała.

- I nie o tym powinniśmy rozmawiać. Jestem prawie pewny, że uzależnienie wynika z silnego warunkowania, któremu te potwory poddają tylko nielicznych wybrańców. Co prowadzi nas do kolejnego dylematu moralnego.

- Mianowicie?

- Nasz plan, jeżeli postanowimy dalej go realizować, wymaga długotrwałego warunkowania przynajmniej jednej niewinnej osoby.

- To nie będzie to samo... To ma być tymczasowy efekt, nastawiony na jeden konkretny cel.

- Tymczasowy tylko z naszego punktu widzenia - zauważył Saul. - Jak już wiemy, skutki bywają trwałe.

- Gadanie! - zachnęła się Natalie. - Jakie to ma znaczenie? Taki jest nasz plan i już! Masz lepszy pomysł?

- Nie.

- W takim razie zostajemy przy tym, co wymyśliliśmy - odparła stanowczo Natalie. - Zrealizujemy nasz plan, choćbyśmy mieli przez to stracić dusze i rozum. Zrealizujemy go, nawet jeśli przez to ucierpią niewinni. Zrealizujemy go, bo nie mamy wyjścia; bo jesteśmy to winni naszym zmarłym. Nasi krewni i bliscy zapłacili straszliwą cenę, dlatego my się nie poddamy... ich zabójcy zapłacą... Jeżeli teraz zrezygnujemy, nie będzie żadnej sprawiedliwości. Musimy wytrwać, bez względu na cenę.

Saul pokiwał głową.

- Masz rację, naturalnie - przytaknął ze smutkiem. - Tyle że jest to dokładnie ten sam imperatyw, który popycha wściekłych młodych Palestyńczyków do podkładania bomb w autobusach, a baskijskich separatystów do strzelania w tłum. Nie mają wyboru. Czy tak bardzo różnią się w tym od Eichmanna, który tylko wykonywał rozkazy? Czy taki imperatyw zwalnia z odpowiedzialności?

- To co innego - zauważyła Natalie. - Zresztą, w tej chwili jestem tak cholernie sfrustrowana, że w nosie mam twoje etyczne dylematy. Chcę się po prostu dowiedzieć, co trzeba zrobić, i to zrobić.

Saul wstał.

- Erie Hoffer powiedział, że człowiek sfrustrowany wyżej niż brak ograniczeń ceni brak odpowiedzialności.

Natalie z zapalem pokręciła głową. Cieniutkie przewody od EEG zniknęły jej pod kołnierzem bluzki.

- Ja nie szukam wyzwolenia od odpowiedzialności - zaproponowała. - Ja tę

odpowiedzialność biorę na siebie. Zastanawiam się, czy powinniśmy oddać chłopca Melanie Fuller.

Saul nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Oddać? Jak mielibyśmy to zrobić? Jego...

- Wiem. Jego mózg obumarł. Fuller zamordowała Justina, zgładziła go równie nieodwracalnie jak wcześniej jego siostry. Ale ja mogłabym go jeszcze wykorzystać, kiedy wieczorem znów do niej pójde.

- Dziś nie możesz tam wrócić - zaprotestował Saul. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby w ogóle jej nie znał. - Nie tak od razu, ona jest za bardzo rozchwiana...

- Właśnie dlatego muszę tam pójść teraz - upierała się Natalie. - Zanim się pozbiera i odzyska pewność siebie. Starucha może i nie ma piątej klepki, ale głupia nie jest, Saul. Musimy mieć pewność, że dała się przekonać; nie czas na wątpliwości. Muszę przestać się czaić, przedstawiać się jako posłaniec czy inne nie wiadomo co, i naprawdę stać się dla niej Niną Drayton.

Saul pokręcił głową.

- Opieramy się na bardzo kruchych założeniach i skąpych informacjach.

- Bo nic więcej nie będziemy mieli! To nam musi wystarczyć. Klamka zapadła, półśrodki nie mają sensu. Musimy porozmawiać, ty i ja, aż znajdziemy coś, co tylko Nina Drayton mogłaby wiedzieć. Coś, czym zaskoczę nawet Melanie Fuller.

- Teczki od Wiesenthala... - Saul z roztargnieniem podrapał się po głowie.

- Nie. To musi być coś mocniejszego. Coś, co wyciągniemy z twoich dwóch sesji z Niną Drayton, kiedy w Nowym Jorku była twoją pacjentką. Bawiła się z tobą, to oczywiste, ale ty nie przestałeś być jej terapeutą. A ludziom zdarza się czasem otwierać bardziej, niżby chcieli.

Saul zetknął dłonie czubkami palców i zagapił się w przestrzeń.

- Rzeczywiście... - przyznał po dłuższej chwili. - Jest coś takiego. - Spojrzał smutno na Natalie. - Ale to dla ciebie potworne ryzyko.

Natalie skinęła głową.

- Konieczne, żebyśmy mogli przejść do następnego etapu, kiedy to ty podejmiesz ryzyko, na myśl o którym dostaję mdłości. Bierzmy się do roboty.

Rozmawiali przez pięć godzin, roztrzásając szczegóły, o których wcześniej dyskutowali mnóstwo razy, a które teraz musiały zostać wyostrzone jak miecz przed bitwą. Skończyli o ósmej wieczorem, Saul

zasugerował jednak, żeby jeszcze trochę poczekać.

- Myślisz, że ona czasem śpi? - spytała Natalie.

- Może i nie, ale nawet taka potwora musi być wrażliwa na produkowane przez zmęczony organizm toksyny. A jak nie ona sama, to na pewno jej pionki. Poza tym w jej wypadku mówimy o autentycznej osobowości paranooidalnej i wkroczeniu w jej przestrzeń osobistą, na jej terytorium; nie brakuje nam zaś dowodów, że wampiry umysłowe są dokładnie tak terytorialne, jak sugeruje to prymitywne wykorzystanie podwzgórza. A zatem najście nocne powinno być skuteczniejsze. Gestapo najczęściej przychodziło w nocy.

Natalie spojrzała na plik swoich notatek.

- Czyli Fuller ma paranoję, tak? Zakładamy, że występują u niej wszystkie klasyczne objawy schizofrenii paranooidalnej?

- To nie wszystko. Nie zapominaj, że mamy do czynienia z zerem w skali Kohlberga. Melanie Fuller w wielu dziedzinach nie wyszła poza dziecienny stopień rozwoju; być może z pozostałymi jest podobnie. Talent parapsychiczny jest dla nich przekleństwem, to on nie pozwala im przekroczyć poziomu, na którym żądają i oczekują natychmiastowej satysfakcji. Cokolwiek sprzeciwia się ich woli, jest nie do przyjęcia - stąd nieunikniona paranoja i uzależnienie od przemocy. Może Tony Harod jest na wyższym stopniu rozwoju niż inni, może jego talent rozwinął się później i słabiej, ale Harod wykorzystuje go wyłącznie do zaspokojenia masturbacyjnych fantazji wczesnego wieku młodzieńczego. Co innego Melanie Fuller: jej infantylne ego i zaawansowana paranoja splotły się z dziewczęcą zazdrością i skrywaną fascynacją homoseksualną, nieodstępnymi elementami wieloletniej rywalizacji z Niną.

- Fantastycznie. Czyli z punktu widzenia ewolucji są supermanami, pod względem psychologicznym są opóźnieni w rozwoju, a w kategoriach moralnych są podludźmi.

- Nie są podludźmi. Po prostu nie istnieją.

Długo siedzieli w milczeniu. Żadne z nich nic nie jadło od śniadania, od którego minęło dwanaście godzin. Na ekranie oscyloskopu rysowały się wzgórza i doliny rozbieganych myśli Natalie.

Saul pierwszy się otrząsnął.

- Rozwiązałem problem z wyzwoleniem sugestii posthipnotycznej - oznajmił.

- W jaki sposób? - spytała z ożywieniem Natalie.

- Niepotrzebnie się uparłem, żeby uruchamiać tę reakcję wystąpieniem rytmu theta albo sztucznego piku fal alfa: pierwszego z nich nie jestem w stanie wygenerować, a drugi jest za mało miarodajny. Dlatego wyzwalaczem musi być stan REM na jawie.

- A to się da zasymulować? - zdziwiła się Natalie.

- Być może. Chociaż nie w sposób stuprocentowo pewny. Dlatego wymyślę jakiś bodziec pośredni, na przykład cichy dźwięk dzwonka, który będzie wyzwalany naturalnym stanem REM.

- Sny... - powiedziała w zadumie Natalie. - Zdążymy?

- Mamy prawie miesiąc. Jeżeli chcemy zmusić Melanie do uwarunkowania potrzebnych nam ludzi, to ja z całą pewnością mogę uwarunkować sam siebie.

- Ale pomyśl, co ci się będzie śniło! Umierający ludzie, rozpacz obozów zagłady...

Saul uśmiechnął się półgębkiem.

- Takie sny to ja mam i bez tego - odparł.

Minęła północ, zanim Saul odwiózł Natalie do Starej Dzielnicy i zaparkował pół przecznicy od domu Melanie Fuller. Nie przywieźli żadnego sprzętu, Natalie nie miała na sobie mikrofonu ani czujników.

Ulica i chodnik były puste. Natalie wzięła na ręce leżącego z tyłu wozu Justina, czułym gestem odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła i pochyliła się do otwartego okna Saula.

- Jeżeli nie wrócę, działaj zgodnie z planem - powiedziała.

Saul ruchem głowy wskazał tylną kanapę, gdzie leżała uprząż obwieszona dwudziestoma funtami C-4 w małych paczuszkach.

- Jeżeli nie wrócisz, pójde po ciebie - zapowiedział. - Jeżeli zrobi ci krzywdę, zabiję ich wszystkich, a potem będę działał zgodnie z planem.

- W porządku - odparła Natalie po chwili wahania.

Odwróciła się z Justinem w ramionach i ruszyła w stronę domu rozjaśnianego tylko zieloną poświatą w pokoju na piętrze.

Położyła nieprzytomnego chłopca na wiekowej kanapie. Dom pachniał kurzem i pleśnią. „Rodzina” Melanie Fuller zebrała się wokół kanapy jak gromada żywych trupów: olbrzym sprawiający wrażenie upośledzonego, którego starucha nazywała Culleyem; drugi mężczyzna - niższy, bardziej śniady, który mógłby być ojcem Justina, chociaż teraz nawet na niego nie

spojrzał; dwie kobiety w brudnych pielęgniarskich mundurkach - jedna z nich miała gruby, nieporadnie nałożony makijaż, który upodabniał ją do kłowna, druga nosiła podartą bluzkę w paski i źle dobraną spódnicę z nadrukowanym wzorem. Jedynym źródłem światła była przyniesiona przez Marvina skwiercząca świeca; w prawej ręce były przywódca gangu trzymał długi nóż.

Natalie było to obojętne. Całe jej ciało tętniło od adrenaliny, serce waliło jak młotem, umysł wypełniała osobowość, którą przelała weń w poprzedzających tę chwilę tygodniach i miesiącach... Chciała, żeby wreszcie coś się zaczęło. Cokolwiek. Wszystko będzie lepsze od czekania, strachu, uciekania...

- Melanie? - zagaiła ze swoim najlepszym karolińskim akcentem, przeciągając słowa jak rasowa piękność z Południa. - Oddaję ci twoją zabaweczkę. Nigdy więcej tego nie rób.

Góra białego mięcha imieniem Culley podeszła ciężkim krokiem i spojrzała na Justina.

- Jest martwy?

- Jest martwy? - powtórzyła Natalie, przedrzeźniając go. - Nie, moja droga, nie jest martwy. Ale mógłby być i chyba powinien. Tak jak i ty zresztą. Coś ty sobie wyobrażała, na litość boską?

Culley wymamrotał coś o tym, że nie było pewności, czy kolorowa dziewczyna naprawdę przychodzi od Niny.

Natalie parsknęła śmiechem.

- Przeszkadza ci, że jej Używam? Czy po prostu jesteś zazdrosna, moja droga? Jeśli mnie pamięć nie myli, za Barrett Kramer też nie przepadałaś. Powiedz mi, Melanie, ile moich asystentek naprawdę polubiłaś na przestrzeni lat?

- Udowodnij, że to ty! - odezwała się pielęgniarka w makijażu kłowna.

Natalie odwróciła się do niej ze złością.

- Do diabła, Melanie! - krzyknęła, a pielęgniarka cofnęła się o krok. - Zdecyduj się, czyimi ustami chcesz do mnie przemawiać, i bądź konsekwentna! Męczy mnie to. Straciłaś wszelkie wyczucie gościnności. Jeżeli znów spróbujesz przejąć moją emisariuszkę, zabiję najpierw twojego wysłannika, a potem przyjdę po ciebie. Odkąd do mnie strzeliłaś, moja moc ogromnie wzrosła, Melanie; nigdy nie dorównywałaś mi talentem, ale teraz straciłaś wszelkie szanse. Rozumiesz?! - wrzasnęła Natalie na pielęgniarkę ze szminką starannie rozmazaną na policzku.

Pielęgniarka zrobiła kolejny krok w tył.

Natalie powiodła wzrokiem dookoła, zjrzała w każdą woskową twarz po kolei, w końcu usiadła na krześle stojącym najbliżej niskiego stolika.

- Melanie, Melanie... Czy to musi tak wyglądać? Wybaczyłam ci już, że mnie zabiłaś, moja droga. Masz pojęcie, jak bolesna jest śmierć? Możesz sobie wyobrazić, jak trudno jest się skoncentrować, kiedy gruda ołowiu wystrzelona z tego twojego głupiego, starego pistoletu tkwi w moim mózgu? Jeżeli jednak ja mogłam ci to wybaczyć, jak możesz być tak głupia, żeby wystawiać na niebezpieczeństwo Williego, siebie, nas wszystkich, tylko dlatego, że wciąż żywisz do mnie jakąś urazę? Puśćmy przeszłość w niepamięć, moja droga, bo jeśli nie, to klnę się na Boga, że zrównam z ziemią tę szcurzą norę i dalej będę jakoś żyć bez ciebie!

Nie licząc Justina, w pokoju zebrało się pięcioro ludzi Melanie. Natalie domyślała się, że na piętrze mogą czekać kolejni, a jeszcze więcej mogło ich czyhać w domu Hodgesów. Kiedy umilkła, cała piątka wyraźnie się wzdrygnęła; Marvin wpadł przy tym na wysoki drewniany kredens z kryształowymi szybami - talerze i kruche ozdobne figurki zadrzały na półkach.

Natalie postąpiła trzy kroki naprzód i z bliska spojrzała w oczy pielęgniarce-klowna.

- Melanie, spójrz na mnie - poleciała beznamiętnie. - Poznajesz mnie?

Rozmazane usta pielęgniarce poruszyły się.

- Ja... nie jestem... trudno to...

Natalie pokiwała powoli głową.

- Tyle lat się znamy, a ty wciąż nie potrafisz mnie rozpoznać? Czyżbyś do tego stopnia pograżyła się w swoim wewnętrznym świecie, że nie zdajesz sobie sprawy, że nikt inny nie może wiedzieć o tobie? O nas? Bo gdyby się dowiedział, dostrzegłby w tobie zagrożenie i zwyczajnie cię wyeliminował?

- Willi... - wykrztusiła pielęgniarce-klowna.

- Ach tak, Willi... Nasz drogi przyjaciel Wilhelm. Naprawdę uważasz, że jest wystarczająco sprytny na coś takiego? Albo dostatecznie subtelny? Nie wydaje ci się, że wolałby wyrównać rachunki z tobą w taki sposób, jak zrobił to z tą artystką z hotelu Imperial w Wiedniu?

Pielęgniarce pokręciła głową. Jej oczy ociekały tuszem do rzęs. W świetle świecy grubo położony cień do powiek upodabniał jej twarz do trupiej czaszki.

Natalie nachyliła się i szepnęła, niemal muskając ustami jej uróżowany policzek:

- Zamordowałam własnego ojca, Melanie. Czy naprawdę myślisz, że zawaham się i nie zabiję ciebie, jeśli znów wejdiesz mi w drogę?

Czas w ciemnym domu się zatrzymał; Natalie równie dobrze mogłaby znaleźć się w towarzystwie niechlujnie ubranych, uszkodzonych manekinów.

Pielęgniarka o twarzy klauna i koślawo przyklejonych sztucznych rzęsach zamruwała; jej powieki poruszały się w zwolnionym tempie.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś, Nino...

Natalie cofnęła się i ze zdumieniem stwierdziła, że po twarzy płyną jej najprawdziwsze łzy.

- Nikomu o tym nie mówiłam, moja droga - odparła szeptem. Miała świadomość, że jest stracona, jeśli okaże się, że Nina Drayton zdradziła przyjaciółce sekret powierzony doktorowi Laskiemu. - Byłam na niego zła. Czekał na tramwaj. Pchnęłam... - Podniosła wzrok i spojrzała w ślepo wpatrzone w przestrzeń oczy pielęgniarki. - Chcę cię zobaczyć, Melanie.

Wymalowana twarz zakołysała się w przód i w tył.

- To wykluczone, Nino. Źle się czuję. Nie...

- Żadne „wykluczone”! - warknęła Natalie. - Jeżeli mamy współpracować... odnowić wzajemne zaufanie... muszę wiedzieć, że naprawdę tu jesteś. Żywa.

Nie licząc Natalie i nieprzytomnego chłopca, wszyscy w pokoju zgodnie pokręcili głowami.

- Nie... to niemożliwe... źle się czuję... - popłynęło z pięciorga ust.

- Żegnaj, Melanie. - Natalie okręciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Pielęgniarka doskoczyła do niej i złapała ją za ramię, zanim Natalie zdążyła przekroczyć próg.

- Nino... najdroższa... nie odchodź, proszę. Jestem tu taka samotna... Nie mam się z kim bawić.

Natalie znieruchomiała. Ciarki przeszły jej po plecach.

- Dobrze - powiedziała w końcu pielęgniarka o twarzy trupiej czaszki. - Chodź. Ale najpierw... Żadnej broni. Nic.

Culley podszedł i zrewidował Natalie; olbrzymie łapska ucisnęły jej piersi, wśliznęły się między nogi, dotykały jej wszędzie, szukały, macały. Natalie nie patrzyła na niego. Przygryzła język, powstrzymując wzbierający jej w piersi histeryczny krzyk.

- Chodź - powtórzyła pielęgniarka.

Culley wziął drugą świecę i w uroczystej procesji wyszli z salonu do holu, z holu weszli na szerokie schody, schodami dotarli na piętro, gdzie ich cienie

padły na ściany o wysokości dwunastu stóp. Ciągający się dalej korytarz był ciemny jak podziemny tunel. Drzwi do sypialni Melanie Fuller były zamknięte.

Natalie przypomniała sobie, jak weszła do tego samego pokoju sześć miesięcy wcześniej, z pistoletem ojca w kieszeni; usłyszała chrobotanie w wysokiej szafie i znalazła Saula Laskiego. Wtedy nie było potworów.

Drzwi otworzył doktor Hartman. Nagły przeciąg zdmuchnął świecę i pokój zatonął w mroku rozjaśnianym zieloną poświatą aparatury po obu stronach łoża z baldachimem. Delikatne koronkowe firanki zwisały z baldachimu jak zetlała gaza; jak gruba pajęczyna w legowisku czarnej wdowy.

Natalie zrobiła trzy kroki naprzód, zanim szybki gest brudnej ręki lekarza zatrzymał ją tuż za progiem.

Wystarczająco blisko.

Stwór leżący w łóżku był kiedyś kobietą. Włosy wyszły jej całymi plackami, ale ich ocalałe resztki, starannie rozczesane, kładły się na olbrzymiej poduszce niczym upiorna, sino-niebieska słoneczna korona. Wiekowa, pomarszczona twarz była owrzodzona i pożłobiona okrutnymi bruzdami; cała jej lewa połowa obwisała jak woskowa maska pośmiertna narażona na bliski kontakt z ogniem. Bezzębne usta na przemian otwierały się i zamykały jak paszcza stuletniego żółwia. Prawe oko poruszało się niespokojnie, bez celu, w jednej chwili spoglądając na sufit, by zaraz potem uciec w głąb oczodołu, odsłaniając białko przypominające wciśnięte w czaszkę jajko, okryte luźną fałdą brązowego pergaminu.

Przesłonięta szarą koronką twarz zwróciła się w stronę Natalie, żółwie usta mlasnęły wilgotno.

Stojąca za plecami Natalie pielęgniarka z makijażem klowna szepnęła:

- Młodnieję, Nino, prawda?

- Tak.

- Wkrótce będę tak samo młoda, jak przed wojną, gdy chodziłyśmy razem do Simpsa. Pamiętasz to, Nino?

- Simps - przytaknęła Natalie. - Tak. Wiedeń.

Lekarz wyprosił ich wszystkich i zamknął za nimi drzwi. Stali w pięciorko na podeście schodów, gdy nagle Culley wyciągnął rękę i delikatnie ujął drobną dłoń Natalie w swoją olbrzymią pięść.

- Nino, kochana - przemówił dziewczęcym, niemal kokieterijnym falsetem. - Zrobię, cokolwiek zechcesz. Powiedz, co mam robić.

Natalie zadygotała, spojrzawszy na Culleya. Uścisnęła jego dłoń, drugą ręką poklepała go po ramieniu.

- Jutro, Melanie, znów zabiorę cię na przejażdżkę. Justin do rana się ocknie, gdybyś chciała go znowu Użyć.

- Dokąd się wybierzemy, Nino?

- Rozpoczniemy przygotowania.

Natalie ostatni raz uścisnęła stwardniałą od odcisków dłoni olbrzyma i zeszła po nieskończenie długich schodach, z najwyższym trudem powstrzymując się od panicznego biegu. Marvin stał przy wyjściu - ani śladu rozpoznania w oczach, długi nóż w dłoni; kiedy zeszła do holu, otworzył jej drzwi. Przystanąła i resztkami siły woli zmusiła się do spojrzenia przez ramię na żywcem wyjętą z obłędu scenę na schodach.

- Do zobaczenia jutro, Melanie - powiedziała z uśmiechem. - Nie zawieźdź mnie po raz kolejny.

- Nie zawiodę - odparła cała piątka jednym głosem. - Dobranoc, Nino.

Natalie odwróciła się i wyszła. Marvin otworzył jej także zewnętrzną bramę.

Nie zatrzymała się ani nie odwróciła nawet kiedy minęła Saula czekającego w stojącym przy krawężniku kombi. Oddychała coraz głębiej, coraz swobodniej; tylko dzięki ogromnemu samozaparciu kolejne wdechy i wydechy nie przerodziły się w szloch.

60.

Dolmann Island

13 czerwca 1981, sobota

Pod koniec tygodnia Tony Harold miał serdecznie dosyć zadawania się z możliwymi tego świata. Jego zdaniem - a była to opinia wyważona - moi tego świata mieli wyraźną skłonność do alkoholizmu.

Razem z Marią Chen dotarli prywatnym samolotem do Meridian w stanie Georgia (najbardziej dusznego siódmego kręgu pustkowiec, z jakim Harold kiedykolwiek miał do czynienia) wczesnym wieczorem w niedzielę, by tam dowiedzieć się, że inny prywatny samolot może ich zabrać na wyspę. No, chyba że wolą popłynąć motorówką. W przypadku Harolda wybór był oczywisty.

Trwająca pięćdziesiąt pięć minut przejażdżka była burzliwa, ale nawet kiedy Harold trzymał się kurczowo relingu, czekając, aż pozbędzie się wódki z tonikiem i samolotowych przekąsek, wołał przeskakiwać z jednego grzywacza na drugi, niż znosić osiem minut lotu. Hangar Barenta, marina, czy jak tam to właściwie zwać, był chyba najbardziej imponującą szopą na łódzie, jaką Harold widział w swoim życiu: wysoka na trzy kondygnacje budowla o ścianach z szarego, sfatygowanego cyprysu, z wnętrzem równie przestronnym i majestatycznym jak wnętrze katedry, z witrażowymi oknami pogłębiającymi to wrażenie i rzucającymi snopy barwnego światła na wodę, z rzędami lśniących mosiądzem i drewnem łodzi motorowych z wykrochmalonymi proporczykami zwiniętymi na dziobach, była chyba najbardziej ostentacyjnie dyskretną budowlą, przez jaką kiedykolwiek Harold przechodził.

W czasie letniego obozu kobiety nie miały wstępu na Dolmann Island. Harold wiedział o tym już wcześniej, ale i tak był wściekły, że musiał na kwadrans zboczyć z trasy, żeby podrzucić Marię na jacht Barenta - lśniące białe cudo wielkości boiska futbolowego, z opływową nadbudówką i wybrzuszeniami białych kopuł i anten kryjących radar i wszechobecny sprzęt łącznościowy. Po raz tysięczny zdał sobie sprawę, że C. Arnold Barent jest człowiekiem, który lubi orientować się w aktualnej sytuacji. Helikopter o opływowych kształtach, który wyglądał jak zaprojektowany w połowie dwudziestego pierwszego wieku, przysiadł na rufie jachtu; wirnik kręcił się od niechcienia, ale nie został całkowicie wyłączony - na jedno gwizdnięcie

pana był gotowy śmignąć w głąb wyspy.

Na wodzie roilo się od łodzi: smukłe motorówki z ochroniarzami uzbrojonym w M-16, pękate łodzie patrolowe z obracającymi się antenami radarów, różne prywatne jachty otoczone przez łodzie ochrony z różnych krajów, oraz - milę dalej - amerykański niszczyciel, który zauważyli, gdy opływali wyspę, kierując się ku przystani. Okręt prezentował się imponująco, niebieskoszary i smukły jak rekin, gdy płynął w ich kierunku z pełną szybkością; anteny radarów wirowały, chorągiewki łopotały, a całość nasuwała skojarzenie z wygłodniałym chartem goniącym nieszczęsnego królika.

- A to co, kurwa?! - krzyknął Harold do sternika motorówki.

Facet w koszuli w paski uśmiechnął się szeroko, szczerząc białe zęby na tle opalonej twarzy.

- U.S.S. *Richard S. Edwards*, proszę pana - odparł. - Niszczyciel klasy Forrest Sherman. Co roku pełni wartę podczas obozu letniego Fundacji Dziedzictwa Zachodu, służąc naszym zagranicznym gościom i rodzimym dygnitarzom.

- Ten statek? - zapytał Harold.

- Ten okręt, proszę pana. Formalnie rzecz biorąc, co roku w lecie odbywa tu manewry.

Niszczyciel zwrócił się bokiem w ich stronę i Harold odczytał białe cyfry na dziobie: 950.

- A co to za buda? - spytał. - Tam, obok tylnej armaty, czy co to tam jest...

- ASROC, proszę pana - odparł sternik. Położył motorówkę na sterburcie, obierając kurs na port. - Lekko zmodyfikowany pod kątem ZOP: usunęli pięciocalowe MK czterdzieści dwa i dwa trzycalowe MK trzydzieści trzy.

- Aha. - Harold mocniej ścisnął reling. Na jego twarzy morska pianą mieszała się z potem. - Daleko jeszcze?

Podrasowany wózek golfowy prowadzony przez kierowcę w niebieskiej marynarce i szarych spodniach przewiózł Haroda z przystani do Dworku. Szeroka Live Oak Lane biegła w szpalerze potężnych dębów pasem trawy przystrzyżonej krótko jak golfowy green; ogromne drzewa wyglądały, jakby zbiegały się w oddali, a ich masywne konary splatały się sto stóp nad ziemią, tkając ruchomy baldachim z liści i światła, nad którym wieczorne niebo i chmury stanowiły pastelowy kontrast dla intensywnej zieleni. Kiedy sunęli bezszelestnie tunelem utworzonym przez drzewa starsze niż Stany

Zjednoczone, komórki fotoelektryczne, które wyczuły zbliżanie się zmierzchu, włączyły dyskretne reflektory i roztaczające miękką poświatę japońskie lampiony, rozmieszczone zarówno wysoko w gałęziach dębów, jak i wśród korzeni i oplatającego pnie bluszczu. Światła tworzyły iluzję czarodziejskiego lasu, urzeczywistnionej fantazji, dodatkowo ożywionej płynącą z ukrytych głośników muzyką: w wieczornym powietrzu niosły się dźwięki sonat fletowych. Gdzieś w głębi dębowego lasu setki malutkich dzwonek wiatrowych rozbrzmiewały filuternymi dźwiękami, gdy bryza znad oceanu szeleściła w listowiu.

- Zajebicie wielkie te drzewa - zauważył Harod, gdy od rozległego tarasowego ogrodu po północnej stronie zwróconego na południe Dworku dzieliło ich już tylko ćwierć mili.

- Owszem, proszę pana - przytaknął kierowca, jadąc dalej.

C. Arnold Barent nie przywitał Haroda osobiście, ale wielebny Jimmy Wayne Sutter wyszedł mu na spotkanie - ze szklaneczką bourbona w ręce i zarumienioną twarzą. Przemierzył rozległą połać wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami sali, która przywodziła Harodowi na myśl katedrę w Chartres - chociaż nigdy nie był w Chartres.

- Anthony, mój chłopcze! - zadudnił Sutter. - Witaj na obozie letnim.

Echo jego słów dźwięczało jeszcze przez kilka sekund.

Harod zadarł głowę i rozdziawił usta jak turysta, gapiąc się w przestwór obwiedziony antresolami i balkonami, patrząc w głąb poddaszy i korytarzy, podziwiając otwartą przestrzeń sięgającą łukowato wysklepionego dachu, zawieszoną pięć i pół kondygnacji nad jego głową na misternie rzeźbionych dźwigarach i podporach. Linie sklepienia - wyłożonego cyprysowymi i mahoniowymi deskami - przełamywał witrażowy świetlik (ciemniejszy już o zmierzchu i malujący drewno głęboką czerwienią krzepnącej krwi), a także mansardowe okna oraz gruby łańcuch głównego żyrandola, tak solidny, że cała obsada „Upiora w operze” mogłaby się na nim bezpiecznie huścić.

- Pięknie, kurwa, pięknie... - mruknął Harod. - Skoro to jest wejście dla służby, to prowadź mnie do frontowych drzwi.

Sutter skwitował jego słownictwo zmarszczeniem brwi. Służący w niebieskiej marynarce i szarych spodniach, stukając obcasami, przemierzył akr posadzki, wziął do ręki sfatygowaną walizkę Haroda i wyprężył się na baczność.

- Zatrzymasz się tutaj? - zapytał Sutter. - Czy wolisz bungalow?

- Bungalow? - powtórzył Harold. - Znaczy, domek kempingowy?

- Owszem, jeśli upierasz się w ten sposób nazywać pięciogwiazdkowy apartament z cateringiem z Maxim's. Większość gości wybiera bungalow; jakkolwiek by na to patrzeć, jest to przecież letni obóz.

- Istotnie. Ale nie, odsłużyłem swoje w harcerstwie i dziś wolałbym dostać pokój tutaj, w domu. Najbardziej luksusowy.

Sutter skinął głową służącemu.

- Apartament Buchanana, Maxwell - powiedział. - Anthony? Zaraz cię tam zaprowadzę. Na razie zapraszam do baru.

Przeszli do przylegającej do holu niewielkiej sali wyłożonej mahoniową boazerią; lokaj wjechał tymczasem windą na górę. Harold nalał sobie podwójną wódkę.

- Nie wmówisz mi, że to rezydencja z osiemnastego wieku - powiedział. - Jest kurewsko wielka.

- Oryginalny gmach wzniesiony przez pastora Vanderhoofa prezentował się imponująco jak na swoje czasy, ale rzeczywiście, późniejsi właściciele nieco go rozbudowali.

- Gdzie są wszyscy?

- Mniej ważni goście dopiero przybywają. Książęta, magnaci, byli premierzy i szejkwowie spotkają się jutro na tradycyjnym późnym śniadaniu o godzinie jedenastej. W środę będziemy mieli zaszczyt zobaczyć eks-prezydenta.

- Hura. Gdzie Barent i Kepler?

- Joseph dołączy do nas jeszcze dziś, ale nieco później. A nasz gospodarz zjawia się jutro.

Harold przypomniał sobie Marię Chen stojącą przy relingu jachtu. Kepler wyjaśnił mu już wcześniej, że wszystkie asystentki, sekretarki, kochanki i nieliczne żony, których gościom nie udało się zawczasu pozbyć, będą mile widziane na pokładzie *Antoinette*, gdy ich mężczyźni będą zażywać relaksu na Dolmann Island.

- Barent jest na jachcie? - spytał Suttera.

Telewizyjny kaznodzieja rozłożył ręce.

- Tylko Bóg i piloci Christiana wiedzą, gdzie jest w danej chwili. Najbliższe dwanaście dni to jedyny okres w roku, w którym każdy przyjaciel lub wróg naszego gospodarza wie, gdzie go szukać.

Harold chrząknął z dezaprobatą i napił się wódki.

- Wrogowi i tak by to niewiele dało. Na Boga, widziałeś ten przeklęty niszczyciel?

- Anthony - upomniał go Sutter. - Ostrzegałem cię, byś nie brał imienia Pana Boga swego nadaremno.

- Czego oni się tak boją? Inwazji rosyjskich komandosów?

Sutter dolał sobie bourbona.

- Ciepło, ciepło, Anthony. Parę lat temu rosyjski trawler myszkował niedaleko stąd, milę od brzegu. Przyplłynął ze swojej tradycyjnej bazy wypadowej nieopodal przylądka Canaveral. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że podobnie jak większość rosyjskich trawlerów kręcących się w pobliżu amerykańskich wód przybrzeżnych, był to w rzeczywistości statek szpiegowski wypchany po brzegi aparaturą podsłuchową.

- A to drań... I co, taka wzmocniona ochrona obowiązuje przez cały czas? W drugim tygodniu też?

- Nie, nie. To, co się dzieje podczas Polowania, jest przeznaczone wyłącznie dla naszych oczu.

Harod spojrzał pytająco na rumianego ewangelistę.

- Jak myślisz, Jimmy, Willi naprawdę przyjedzie w przyszły weekend?

Wielebny Jimmy Wayne Sutter zerknął na Tony'ego swymi małymi oczkami.

- O tak, Anthony. Jestem przekonany, że pan Borden zjawi się o zapowiedzianej porze.

- Skąd ta pewność?

Sutter uśmiechnął się z błogością, uniósł szklaneczkę z bourbonem i odparł:

- Wszystko jest zapisane w Objawieniu, Anthony. Przepowiedziane tysiące lat temu. Wszystko, co robimy, zostało przed wiekami wryte w korytarzach czasu przez Rzeźbiarza, który postrzega strukturę kamienia w sposób o wiele doskonalszy od nas.

- Doprawdy?

- O tak, Anthony. Właśnie tak. Możesz na to postawić swoją pogańską dupę.

Wąskie wargi Haroda drgnęły w uśmiechu.

- Zdaje się, że już to zrobiłem, Jimmy. Nie jestem chyba gotowy na ten pierwszy tydzień.

- Pierwszy tydzień to betka. - Sutter zamknął oczy i przyłożył sobie chłodną szklankę do policzka. - Zaledwie preludium, Anthony. Preludium.

Trwające tydzień preludium wlokło się Haroldowi niemiłosiernie. Poznając osobiście ludzi, których przez całe życie oglądał na zdjęciach w „Timie” i „Newsweeku”, dochodził do wniosku, że - gdyby pominąć aureę władzy, którą cuchnęli jak rasowy sportowiec potem - są do bólu ludzcy, nierzadko omylni, a często także zwyczajnie głupi w swoich desperackich próbach wymknięcia się z labiryntu konferencji, narad, zebrań i odpraw, który niczym żelazna klatka pętał ich bogate, wpływowe życie.

W środę wieczorem, dziesiątego czerwca, Harold z wygodnego fotela w piątym rzędzie obozowego amfiteatru patrzył, jak wiceprezes Banku Światowego, następca tronu jednej z naftowych monarchii (trzeciej na świecie pod względem zamożności), były prezydent USA oraz jego sekretarz stanu tańczą hula na scenie; mieli mopy zamiast peruk, przepołowione skorupy kokosów zamiast piersi i spódniczki z pośpiesznie zebranych liści palmowych. Osiemdziesięciu pięciu najbardziej wpływowych mężczyzn na zachodniej półkuli pokrzykiwało, gwizdało i w ogóle zachowywało się jak świeżo upieczone studenciaki, które pierwszy raz poszły się napić. Harold gapił się w ognisko i rozmyślał o wstępnie zmontowanym *Białym łowcy niewolników*, którego zostawił na stole w pokoju montażowym. Miał opóźnienie, od trzech tygodni powinni byli już dogrywać ścieżkę dźwiękową, tymczasem kompozytor i dyrygent w jednej osobie brał po trzy tysiące dziennie za nic - wylegiwał się w Hiltonie i czekał, aż poprowadzi orkiestrę symfoniczną w kompozycji, która nie będzie się niczym różniła od jego sześciu poprzednich soundtracków: romantyczne fujarki i heroiczne trąby, dzięki systemowi Dolby jeszcze bardziej bezpłciowe niż zwykle.

We wtorek i czwartek zjadł obiad na pokładzie *Antoinette*, żeby spotkać się z Marią i pokochać się z nią w boazeryjno-jedwabnym zaciszu jej prywatnej luksusowej kajuty. Przed powrotem Tony’ego na wyspę i wieczorne uroczystości obozu letniego trochę jeszcze rozmawiali.

- Co ty tu w ogóle robisz? - zapytał ją.

- Czytam, szlifuję scenariusz z Oriona, nadganiam zaległości w korespondencji... Wyleguję się na słońcu.

- Widziałaś tu Barenta?

- Nie. Myślałam, że jest z wami, na wyspie.

- Bo jest, czasem go widuję. Zajmuje całe zachodnie skrzydło Dworku, zaprasza do siebie którąś grubą rybę i bawią się w swoim towarzystwie... Byłem po prostu ciekaw, czy tu zagląda.

- Martwisz się czymś? - spytała Maria. Wyciągnęła się na wznak i odgarnęła włosy z twarzy. - Czy jesteś zazdrosny?

- Chrzanić to. - Harod wstał i nagi podszedł do barku. - Wolałbym już, żeby cię posuwał. Może wtedy moglibyśmy się dowiedzieć, co właściwie robi.

Maria wysliznęła się z łóżka, podeszła do stojącego do niej tyłem Haroda i go objęła. Jej drobne, idealnie uformowane piersi przylgnęły do jego pleców.

- Tony - powiedziała - ty kłamczuchu...

Odwrócił się do niej ze złością. Przywarła do niego mocniej, lewą dłonią chwyciła go delikatnie.

- Nie chciałbyś, żebym miała innego. Przenigdy.

- Nonsens. Kompletna bzdura.

- O nie... - wyszeptała Maria, przesuając wargami po jego szyi. - To miłość. Kochasz mnie, tak jak ja kocham ciebie.

- Mnie nikt nie kocha - odparł. Chciał, żeby wypadło to żartobliwie, ale wyszedł mu tylko zdławiony szept.

- Ja cię kocham - powtórzyła Maria - a ty kochasz mnie.

Odepchnął ją na odległość wyciągniętej ręki i spojrzał na nią spode łba.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to prawda.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego to prawda?

- Nie - wykrztusił Harod. - Dlaczego się kochamy?

- Dlatego że musimy - odparła Maria i pociągnęła go na szerokie, miękkie łożo.

Później, kiedy Harod leżał z przymkniętymi oczami, obejmując Marię ramieniem i trzymając dłoń na jej prawej piersi, słuchał chlupotania fal i rozlicznych nienazwanych odgłosów na jachcie. Chyba po raz pierwszy od czasu, kiedy dorósł na tyle, żeby samodzielnie myśleć, nie bał się absolutnie niczego.

Były prezydent wyjechał w sobotę po południu, po uroczystej hawajskiej uczcie. O siódmej wieczorem zostali już tylko karierowicze średniej i niskiej rangi, chudzi i wygłodniali Kasjusze i Jagoni w garniturach z czesankowej wełny i dzinsach od Ralphi Laurena. Harod doszedł do wniosku, że to dobry moment, by na chwilę wyskoczyć na ląd.

- Jutro zaczyna się Polowanie - przypomniał mu Sutter. - Chcesz to przegapić?

- Na pewno nie chcę przegapić przybycia Williego. Barent jest pewien, że przyjedzie?

- Przed zachodem słońca - przytaknął Sutter. - Tak ustalili. Joseph jest oporny, jeśli chodzi o zdradzenie nam mechanizmu kontaktu z panem Bordenem. Może nawet zbyt oporny; wydaje mi się, że brat Christian zaczyna się irytować.

- To problem Keplera, nie nasz.

Harod zszedł z nabrzeża na pokład długiej motorówki.

- Na pewno musisz jechać po tych dodatkowych surogatów? - dopytywał się wielebny. - Mamy ich mnóstwo w puli: młodych, silnych, zdrowych... Większość pochodzi z mojego centrum rehabilitacyjnego dla uciekinierów z domu. Jest nawet wystarczająco dużo kobiet, żebyś miał w czym wybierać, Harod.

- Chcę mieć dwóch swoich - uparł się Harod. - Wrócę późno, ale nie później niż nad ranem.

- W porządku. - W oku Suttera mignął dziwny błysk. - Nie chciałbym, żeby coś cię ominęło. To może być wyjątkowy rok.

Harod skinął mu głową na pożegnanie. Silnik ożył z rykiem i motorówka powoli wyśliznęła się z portu; dopiero za falochronem zaczęła się rozpędzać. Z dużych jednostek w pobliżu wyspy został już tylko jacht Barenta - nie licząc łodzi patrolowych i zbierającego się do odpłynięcia niszczyciela. Jak zwykle, motorówkę zatrzymała łódź z uzbrojonymi strażnikami, którzy potwierdzili tożsamość Haroda i odprowadzili go na odcinku ostatnich stu metrów do *Antoinette*.

Maria Chen z niedużą torbą w ręce czekała na niego przy schodach na rufie.

Nocny rejs na ląd przebiegł znacznie spokojniej niż wcześniejsza przeprawa na wyspę. Harod zapowiedział, że będzie potrzebował samochodu, dlatego na tyłach hangaru czekał już podstawiony przez Fundację Dziedzictwa Zachodu mały mercedes.

Harod prowadził. Drogą nr 17 dotarli do South Newport, skąd międzystanową nr 95 pokonali trzydzieści mil dzielące ich od Savannah.

- Dlaczego Savannah? - zainteresowała się Maria.

- Nie powiedzieli. Przez telefon facet powiedział mi tylko, gdzie się mam zatrzymać: nad kanałem na przedmieściach.

- To był ten sam człowiek, który cię uprowadził? Jak myślisz?

- Tak, na pewno. Poznałem po akcencie.

- Nadal uważasz, że to robota Williego?

Harod długo nie odpowiadał.

- Tak - odparł w końcu. - Nie widzę innego sensownego wytłumaczenia. Barent i pozostali mogą bez przeszkód wprowadzić swoich uwarunkowanych ludzi do puli surogatów, gdyby im na tym zależało. A Willi potrzebuje czegoś, co da mu nad nimi przewagę.

- I co, chcesz w to wejść? Nadal czujesz, że powinieneś być wobec niego lojalny?

- Pierdolę lojalność, ale Barent przysłał Hainesa do mojego domu... kazał cię pobić... tylko po to, żebym poczuł szarpnięcie za łańcuch. Nikt nie będzie mnie tak traktował. Jeżeli to ma być wielki strzał Williego... Wali mnie to. Niech próbuje.

- Przecież to może być niebezpieczne.

- O czym mówisz? O surogatach? Przesadzasz. Dopilnujemy, żeby nie mieli broni, a kiedy już znajdą się na Dolmann Island, nikomu nie narobią kłopotów. Nawet zwycięzca tych pojebanych pięciodniowych igrzysk ląduje ostatecznie sześć stóp pod ziemią na starym cmentarzu niewolników, który jest gdzieś na wyspie.

- Więc o co właściwie chodzi Williemu? Co chce osiągnąć?

- Ni chuja nie wiem. - Zjechali z autostrady. - My mamy tylko patrzeć i nie dać się zabić. A skoro o tym mowa... masz browninga?

Maria wyjęła z torby pistolet i podała go Harodowi. Prowadząc jedną ręką, Harod wysunął magazynek z rękojeści, sprawdził, czy jest pełny, i oparłszy go o udo, wsunął z powrotem na miejsce. Zatknął sobie broń za pas i narzucił na nią połę luźnej hawajskiej koszuli.

- Nienawidzę broni - oznajmiła beznamiętnie Maria.

- Ja też. Ale niektórych ludzi nienawidzę jeszcze bardziej; jednym z nich jest ten zjeb w kominiarce i goglach, mówiący z polskim akcentem. Jeżeli to jego Willi zamierza posłać ze mną na wyspę, to nie wiem, czy nie rozpierdolę mu łba jeszcze przed początkiem imprezy.

- Willi nie byłby zachwycony - zauważyła Maria.

Harod pokiwał głową i skręcił w boczną drogę prowadzącą na zapomnianą przystań na zarośniętym odcinku kanału Savannah & Ogeechee. Czekał tam już drugi samochód, kombi. Zgodnie z umową, Harod zatrzymał się sześćdziesiąt stóp od niego i zamrugał światłami. Mężczyzna i kobieta

wysiedli z kombi i ruszyli w stronę wozu Haroda.

- Mam dość zastanawiania się, czym będzie zachwycony Willi, czym Barent, a czym jeszcze chuj wie kto - wycedził Harod przez zęby.

Wysiadł i wyciągnął pistolet. Maria wyjęła z torby łańcuch i kłódki. Kiedy dwoje intruzów - z pustymi rękami - zbliżyło się na odległość dwudziestu stóp, Harod pochylił się ku Marii z uśmiechem.

- Najwyższy czas, żeby tamci zaczęli się zastanawiać, czym będzie zachwycony Tony Harod - powiedział.

Wycelował prosto w głowę mężczyzny z krótką brodą i przydługimi siwawymi włosami. Nieznajomy zatrzymał się, spojrzął w wylot lufy pistoletu i palcem wskazującym poprawił okulary na nosie.

61.

Dolmann Island

14 czerwca 1981, niedziela

Saul Laski miał wrażenie, że raz już przeżył to wszystko.

Minęła północ, kiedy łódź obita się o betonowe nabrzeże i Tony Harod pomagającym gestem spędził z niej Saula i pannę Sewell. Wyszli na keję. Harod schował broń; nie mógł się z nią obnosić, skoro przywiózł dwoje pomagierów, których teoretycznie powinien kontrolować. Dwa elektryczne wózki golfowe wyjechały im na spotkanie.

- Zabierz ich do zagrody dla surogatów - polecił Harod kierowcy w niebieskiej marynarce i szarych spodniach.

Saul i panna Sewell usiedli bezwolnie na środkowej ławeczce pojazdu. Za nimi stanął strażnik z karabinem. Saul zerknął na siedzącą obok kobietę. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje, nie było widać nawet cienia zainteresowania. Nie miała makijażu, włosy ścięła krótko, a tania sukienka wisiała na niej jak na wieszaku. Kiedy zatrzymali się na punkcie kontrolnym przy północnym skraju strefy buforowej, a następnie zaczęli się wolno toczyć przez ziemię niczyją wybrukowaną potrzaskanymi czaszkami, Saul zastanawiał się, czy sześćioletni podopieczny Melanie Fuller mówi Natalie, co się dzieje.

Betonowe zabudowania za północną granicą strefy tonęły w powodzi oślepiającego światła. Właśnie przybyło na wyspę jeszcze dziesięcioro innych surogatów; Saul z panną Sewell dołączyli do nich na wybetonowanym dziedzińcu wielkości boiska do koszykówki, otoczonym wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Po tej stronie strefy buforowej nie widywało się już niebieskich marynarek i szarych spodni. Wszędzie stali uzbrojeni w karabiny ludzie w zielonych kombinezonach i czarnych bejsbolówkach. Po lekturze notatek Cohena Saul wiedział, że ma przed sobą prywatnych ochroniarzy Barenta, a po przesłuchaniu Haroda (dwa miesiące temu) był także pewien, że wszyscy zostali uwarunkowani przez swojego szefa.

Wysoki mężczyzna z pistoletem w kaburze wystąpił naprzód.

- W porządku, panie i panowie... Rozbierać się!

Stojący z przodu więźniowie - był ich tuzin, głównie młodych mężczyzn, chociaż Saul dostrzegł także dwie bardzo młode kobiety, jeszcze prawie

dziewczęta - spojrzeli tępo po sobie. Wszyscy sprawiali wrażenie naszprycowanych narkotykami albo pogrążonych w szoku. Saul dobrze znał ten wyraz twarzy, widywał go nad Dołem w Chełmnie, a potem także wśród pasażerów wysiadających z pociągów w Sobiborze.

Razem z panną Sewell zaczęli się rozbierać; pozostali w większości stali nieruchomo, nie reagując na słowa wartownika.

- Kazałem się wam rozbierać! - wykrzyknął ten z pistoletem.

Inny strażnik, uzbrojony w karabin, wyszedł przed szereg i uderzył kolbą stojącego najbliżej więźnia - chłopaka w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat, w okularach i z wyraźnym przodozgrzyzem. Nastolatek bez słowa runął na ziemię i uderzył twarzą o beton; Saul usłyszał trzask pękających zębów. Pozostała dziewiątka zaczęła pośpiesznie zrzucać ubrania.

Panna Sewell uwinęła się z tym pierwsza. Saul zwrócił uwagę, że jej ciało jest młodsze i gładziej niż twarz, nie licząc sinawej blizny po operacji wyrostka.

Ustawiono więźniów w dwuszeregu, nie różnicując ich według płci, i po długiej betonowej rampie sprowadzono pod ziemię. Kątem oka Saul widział drzwi prowadzące do wykafelkowanego korytarza, odchodzących na boki po obu stronach centralnego tunelu; stojący przy drzwiach ochroniarze w kombinezonach odprowadzali surogatów wzrokiem. W jednym miejscu więźniowie musieli się rozstąpić i przycisnąć do ścian, gdy mijający ich konwój czterech dżipów wypełnił podziemny korytarz zgiełkiem silników i spalinami. Saul zastanawiał się, czy labirynt podziemnych korytarzy rozciąga się pod całą wyspą.

Zaprowadzono ich do pustego, jasno oświetlonego pomieszczenia, w którym ludzie w białych kitlach i rękawiczkach chirurgicznych zaglądali im w usta i odbyty, a kobietom także w głąb pochwy. Jedna z dziewczyn się rozszlochała; strażnik wymierzył jej siarczysty policzek, żeby ją uciszyć.

Saul odczuwał dziwny spokój, trochę od niechcenia rozmyślając o innych surogatach: skąd pochodzą, czy ktoś ich już Użył i czy na ich tle on sam wyróżnia się zachowaniem. Dalej poprowadzono ich długim, wąskim korytarzem, który wyglądał na wykuty w tworzącej wyspę skale. Ociekające wodą ściany były pomalowane na białe. W płytkich półcylindrycznych wnękach w kamieniu spoczywały nagie, nieme postaci.

Kiedy szereg zatrzymał się, żeby panna Sewell zajęła swoje miejsce w jednej z nisz, Saul zdał sobie sprawę, że pełnowymiarowe cele nie są potrzebne, ponieważ nikt nie zamierzał trzymać tu więźniów dłużej niż przez

tydzień. A potem nadeszła jego kolej.

Dziury w skale - półksiężycowate wnęki zamknięte wmurowanymi w kamień stalowymi prętami - znajdowały się na różnej wysokości; ta przeznaczona dla Saula była cztery stopy nad podłogą. Wturlał się do niej. Kamień był zimny w dotyku, półka ledwie na tyle długa, żeby mógł się na niej swobodnie wyciągnąć. Wykuta w skale rynienka w podłodze i cuchnąca dziura w głębi wnęki wskazywały, gdzie ma załatwiać potrzeby fizjologiczne. Napędzane hydraulicznie pręty wysuwały się z sufitu niszy i znikwały w głębokich otworach w jej dnie; największa przerwa między nimi miała dwa cale szerokości - tędy musieli podawać tacki z jedzeniem.

Leżąc na plecach, gapił się na kamienny strop piętnaście cali nad swoją twarzą. Z głębi korytarza dobiegł chrapliwy męski krzyk, rozległy się kroki, odgłosy uderzenia metalu o ciało i znów zapadła cisza.

Ogarnął go wielki spokój. Jego los był przesądzony. Było to dziwne uczucie, ale od dziesięcioleci nie czuł się tak blisko swoich najbliższych - rodziców, Josefa, Stefy...

Powieki same mu opadały, musiał się bardzo pilnować, żeby nie zasnąć. Przetarł oczy i znów założył okulary. Dziwne, że mu ich nie zabrali. Próbował sobie przypomnieć, czy nagim więźniom nad Dołem w Chełmnie również pozwalano zatrzymać okulary. Nie. Pamiętał, jak służył w oddziale, który szuflami przerzucał setki okularów, tysiące, całe ich stosy na toporny taśmociąg, przy którym inni więźniowie oddzielali szkło od metalu, a także cenniejsze metale od zwykłej stali. W Rzeszy nic się nie marnowało. Tylko ludzie.

Szczypał się w policzki, żeby nie zasnąć. Kamień był twardy, ale Saul wiedział, że gdyby tylko chciał, z łatwością zaśnie. I gładko wśliznie się w sen. Od trzech tygodni nie wysypiał się jak należy, bo co noc początek fazy REM, stanu marzeń, wyzwał sugestie posthipnotyczne kształtujące jego sny. Od ośmiu nocy nie potrzebował już dodatkowego bodźca w postaci dzwonka: sam stan REM wyzwał właściwe sny.

Sny czy wspomnienia? Już ich nie odróżniał. Sny-wspomnienia stały się rzeczywistością. Dni spędzone w towarzystwie Natalie na przygotowaniach, planowaniu i spiskowaniu były snem. To dlatego odczuwał taki spokój. Ciemny, zimny korytarz, nadzy więźniowie, więzienna cela... Wszystko to było znacznie bliższe sennej rzeczywistości, bliższe natarczywym, autohipnotycznym wspomnieniom z obozów niż gorące letnie dni w Charleston, z Natalie i małym Justinem. Z Natalie i martwym stworzeniem,

które wyglądało jak mały chłopiec...

Próbował myśleć o Natalie. Zaciśnął kurczowo powieki, aż oczy zasły mu łzami, po czym otworzył je szeroko i pomyślał o Natalie.

Dwa dni temu (teraz już trzy), w czwartek, Natalie znalazła rozwiązanie.

- Saul?! - zawołała, odłożywszy mapy, i spojrzała na niego. Siedzieli przy stole w mikroskopijnej motelowej kuchni. - Nie musimy tego robić sami. Możemy mieć obserwatorów i na wyspie, i w Charleston!

Za jej plecami powiększone zdjęcia Dolmann Island pokrywały ziarnistą mozaiką całą jedną ścianę kuchni.

Saul pokręcił głową, zbyt otępiały ze zmęczenia, żeby podzielać jej entuzjazm.

- Ale kogo? Oni wszyscy nie żyją: Rob, Aaron, Cohen... Meeks musi pilotować samolot.

- Nie, nie, ktoś inny! - Natalie plasnęła się otwartą dłonią w czoło. - Od tygodni chodzi mi po głowie, że musi być ktoś jeszcze, ktoś, kto będzie tym żywotnie zainteresowany. Przywiozę ich jutro. Z Melanie i tak spotkam się dopiero w sobotę rano, w parku.

Powiedziała mu, o kogo chodzi. Osiemnaście godzin później patrzył, jak wysiadają we troje z samolotu z Filadelfii: Natalie z dwoma czarnymi mężczyznami. Jackson wyglądał starzej niż sześć miesięcy wcześniej: poszerzająca się łysina lśniła w jasnych światłach lotniska, pożłobiona zmarszczkami twarz zastygła w grymasie nieodwołalnej, niemej neutralności wobec świata. Chłopak idący z drugiej strony Natalie stanowił takie przeciwieństwo Jacksona, jakby zbudowano go z antymaterii: wysoki, chudy, gibki, o twarzy tak żywej, że wszelkie uczucia i reakcje prześlizgiwały się po niej jak odbłaski światła po powierzchni rtęci. Jego piskliwy, głośny śmiech niósł się echem po korytarzach lotniskowego terminalu, aż oglądali się za nim ludzie. Saul przypomniał sobie, że chłopak ma przydomek Catfish.

Później, kiedy już jechali do Charleston, Jackson zagadnął:

- Laski? Jesteś pewien, że rozmawiamy o Marvinie?

- Tak, to na pewno Marvin. Tylko że... zmienił się.

- Wiedźma go dorwała? - domyślił się Catfish. Bawił się radiem w samochodzie, szukając jakiejś ciekawej stacji.

- Tak. - Saul wciąż nie mógł uwierzyć, że rozmawia na ten temat z kimś innym niż Natalie. - Może jednak uda nam się go odzyskać... uratować.

- Pewnie, stary, to właśnie zrobimy. Szepniemy słówko naszym szefom i

Soul Brickyard ściśnie to miasto jak gumka pykę alfonsa.

- Nie - odparł Saul. - To nic nie da. Natalie na pewno już wam to wyjaśniła.

- Wyjaśniła - przytaknął Jackson. - A co ty nam powiesz, Laski? Ile mamy czekać?

- Dwa tygodnie. Tak czy inaczej, za dwa tygodnie będzie po wszystkim.

- Dajemy wam dwa tygodnie. Potem zrobimy wszystko co konieczne, żeby odbić Marvinę, bez oglądania się na was.

- My zrobimy swoje. - Saul obejrzał się na siedzącego z tyłu Jacksona. - Jackson... To twoje imię czy nazwisko?

- Nazwisko. Po powrocie z Wietnamu przestałem używać imienia. Nie było mi już potrzebne.

- Ja też się nie nazywam Catfish, Laski - wtrącił drugi pasażer Saula. - Jestem Clarence Arthur Theodore Varsh. - Ucisnął podaną przez Saula dłoń.

- Ale wiesz co, stary? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Skoro jesteś kumplem Natalie i w ogóle, możesz mi mówić „panie Varsh”.

Najgorszy był ostatni dzień przed wyjazdem. Saul nabrał przekonania, że nic się nie uda: starucha nie dotrzyma umowy; warunkowanie, nad którym w maju, gdy Natalie z Justinem oglądali rzekę przez lornetkę, pracowała już ponoć od trzech tygodni, okaże się niewystarczające; Cohen się mylił; albo przeciwnie - Cohen miał rację, ale od tamtej pory plany się zmieniły; Tony Harold nie odbierze telefonu na początku czerwca; Tony Harold wygada się, gdy znajdzie się na wyspie; albo nie wygada się, za to zabije Saula i posłańca wybranego przez Melanię Fuller, gdy tylko oddalą się od stałego lądu; albo odstawi Saula na wyspę, a wtedy Melanię Fuller zwróci się przeciwko Natalie i ją zabije, korzystając z tego, że trzymanego pod kluczem Saula też czeka śmierć.

A potem przyszło sobotnie popołudnie: pojechali do Savannah i przed zmierzchem zjechali na parking nad kanałem. Natalie z Jacksonem ukryli się w zaroślach sześćdziesiąt jardów dalej na północ; Natalie wzięła ze sobą karabin, który zabrali z samochodu szeryfa w Kalifornii i sobie zatrzymali, pakując osobno M-16 i większość C-4.

Catfish, Saul i stwór, którego Justin nazywał „panną Sewell” czekali; Saul z Catfishem popijali kawę z termosu.

W pewnym momencie głowa panny Sewell obróciła się sztywno, jak głowa lalki brzechomowcy. Jej wzrok spoczął na Saulu.

- Nie znam cię - powiedziała.

Saul nie odpowiedział. Patrzył tylko na nią beznamytnie, usiłując sobie wyobrazić umysł stojący za tyloma latami bezrozumnej przemocy.

Panna Sewell zamknęła oczy nagle, mechanicznie, jak nakręcana sowa. Nikt już się nie odezwał do czasu, gdy tuż przed północą przyjechał Tony Harod.

Saul bał się, że niewysoki producent filmowy naprawdę strzeli; chwila, kiedy mierzył mu z pistoletu w twarz, ciągnęła się bez końca. Ściągną (wystąpiły Harodowi na szyi, oparty na spuście palec zbiegał z napięcia. Saul rzeczywiście odczuwał wtedy strach, lecz był to strach czysty i łatwy do opanowania, w niczym nieprzypominający lęku dręczącego go przez ostatni tydzień ani wściekłej, otumaniającej zgrozy wywoływanej przez widok Dołu i beznadzieję dręczących go co noc koszmarów. Cokolwiek się teraz wydarzy, on znalazł się tu z własnej woli.

Ostatecznie Harod zadowolił się skłębieniem go i dwukrotnym uderzeniem w twarz; drugi cios, zadany wierzchem dłoni, rozciął mu płytko prawy policzek. Saul nie odezwał się i nie stawiał oporu, panna Sewell również pozostała całkowicie bierna. Natalie miała rozkaz strzelać tylko w sytuacji, gdyby Harod strzelił pierwszy albo Użył przeciw Saulowi kogoś, kto miałby go zabić.

Saul i panna Sewell zostali wepchnięci na tylną kanapę mercedesa, z nadgarstkami i nogami w kostkach owiniętymi cienkim łańcuchem. Sekretarka Haroda (kobieta o orientalnych rysach; z raportów Harringtona i Cohena Saul wiedział, że nazywa się Maria Chen) działała skutecznie i szybko, uważając przy tym, żeby nie odciąć im dopływu krwi do kończyn, gdy zaciskała łańcuchy i zapinała na nich małe kłódki. Saul przyglądał się jej z zainteresowaniem, ciekaw, co sprawiło, że towarzyszy Harodowi. To chyba odwieczne przekleństwo Żydów, pomyślał, ta niedająca spokoju żądza zrozumienia, przeniknięcia motywacji, poznania przyczyn; to powód niekończących się dysput talmudycznych, upartego dzielenia włosa na czworo, gdy ich głępsi, ale skuteczni wrogowie zajęci byli zakuwaniem ich w łańcuchy i transportowaniem do pieców. Ich mordercy nie zastanawiali się nad tym, czy cel uświęca środki, nie roztrząsali kwestii moralnych - liczyło się to, że pociągi kursowały punktualnie, a w papierach wszystko się zgadzało.

Obudził się nagle, tuż przed tym, jak wejście w fazę REM wyzwoliło

zaprogramowane sny. Do katalogu indukowanych hipnotycznie osobowości wprowadził setkę biografii z akt udostępnionych przez Szymona Wiesenthala, ale w snach, na które się uwarunkował, przewijało się stale zaledwie kilkanaście z nich. Mimo wielu godzin spędzonych na oglądaniu zdjęć w Yad Vashem i Lohame HaGeta'ot nie śniły mu się ich twarze, ponieważ patrzył na świat ich oczami, oglądał ich życie; baraki, warsztaty, drut kolczasty, wychudłe oblicza i zapadnięte oczy ponownie stały się prawdziwym krajobrazem jego egzystencji. Leżąc w kamiennej niszy wykutej w skałach Dolmann Island, uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdy nie opuścił obozowego świata. Prawdę powiedziawszy, obóz zagłady był jedynym krajem, którego był pełnoprawnym obywatelem.

Wtedy już wiedział, balansując na granicy snu i jawy, czyje sny będzie śnił tej nocy - sny Szaloma Krzaczką, mężczyzny, którego twarz i życiorys znał na pamięć, lecz umknęły mu teraz, gdy szczegóły z jego życia zlały się w jedno z hipnotyczną rzeczywistością i informacje przepadły we mgle wspomnień. Saul nigdy nie był w warszawskim getcie, ale teraz wspominał je co noc - długi szereg uciekinierów, którzy w kanałach znaleźli schronienie przed pożarem; brnęli wśród zalewających ich ekskrementów, czołgali się czarnymi, zwężającymi się rurami, pojedynczo, klnąc i modląc się, żeby ktoś przed nimi nie zmarł nagle i nie odciął im drogi ucieczki; dziesiątki spanikowanych mężczyzn i kobiet pełzły, przeciskały się i drapały pazurami ściany kanałów, żeby przedrzeć się do ich aryjskiej sieci, za murem, za drutami, za kordonem czołgów. Krzaczek prowadził aryjskimi kanałami swojego dziewięcioletniego wnuka Leona, aryjskie odchody spadały im na głowy i pływały wszędzie wokół nich, gdy poziom wody się podnosił, dławili ich, podtapiały, a potem z przodu pojaśniało i Krzaczek już nikogo nie prowadził, sam wypełził na światło aryjskiego dnia, po czym odwrócił się, zawrócił, wcisnął się z powrotem w tę wąską, cuchnącą dziurę - po czternastu dniach w mroku kanałów zawrócił, żeby szukać Leona.

Wiedząc, że będzie to pierwszy z jego snów, które wcale nie były snami, Saul pogodził się z tym i zasnął.

62.

Dolmann Island

14 czerwca, 1981, niedziela

Tony Harold obserwował przybycie Williego godzinę przed zachodem słońca w niedzielę, patrzył, jak prywatny dwusilnikowy odrzutowiec ląduje na gładkim pasie startowym pomalowanym cieniami wysokich dębów. Barent, Sutter i Kepler dołączyli do Haroda w małym klimatyzowanym terminalu na końcu pasa do kołowania. Harold był do tego stopnia pewny, że Williego nie będzie na pokładzie samolotu, że kiedy pojawiły się znajome twarze Toma Reynoldsa, Jensena Luhara i wreszcie samego Williego Bordena, prawie rozdziawił usta ze zdziwienia.

Nikt inny chyba nie był zaskoczony. Joseph Kepler przedstawił zgromadzonych, jakby był starym przyjacielem Williego. Jimmy Wayne Sutter skłonił głowę i uśmiechnął się zagadkowo, ściskając dłoń gościa. Harold po prostu się gapił, kiedy ściskali sobie ręce, a Willi mówił:

- Widzisz, mój drogi Tony, raj rzeczywiście jest na wyspie.

Barent był więcej niż łaskawy, kiedy ścisnął dłoń Williego na powitanie i ujmował jego łokieć w geście typowym dla polityków. Willi był ubrany w smoking.

- To od dawna wyczekiwana przyjemność. - Barent wyszczerzył zęby w uśmiechu, nie wypuszczając ręki Williego.

- *Ja* - odpowiedział z uśmiechem Willi. - Owszem.

Grupa ruszyła do Dworku konwojem wózków golfowych, zabierając po drodze asystentów i ochroniarzy. Maria Chen powitała Williego w głównej sali, całując go w oba policzki i uśmiechając się promiennie.

- Bill, ogromnie się cieszymy z twojego powrotu. Bardzo cię nam brakowało.

Willi skinął głową.

- A mnie brakowało twojej urody i dowcipu, moja droga - odpowiedział i pocałował ją w rękę. - Jeśli kiedykolwiek będziesz miała dość kiepskich manier Tony'ego, proszę, rozważ mnie jako potencjalnego pracodawcę. - Jego jasne oczy zabłyśły.

Maria roześmiała się i uściśnęła mu rękę.

- Mam nadzieję, że wkrótce wszyscy będziemy razem pracować.

- *Ja*, być może naprawdę już niedługo - przytaknął Willi, biorąc ją pod

rękę i ruszając za Barentem i resztą do jadalni.

Wieczorny bankiet przeciągnął się dłużej niż do dziewiątej. Przy stole siedziało ponad dwadzieścia osób (tylko Tony Harod przyjechał z jedną asystentką, inni mieli większy personel), ale później, kiedy Barent poprowadził ich do pokoju gier w pustym zachodnim skrzydle, zostało ich tylko pięciu.

- Nie zaczniemy od razu, prawda? - zapytał z niepokojem Harod.

Nie miał pojęcia, czy będzie mógł Użyć kobiety, którą przywiózł z Savannah, i nawet nie widział surogatów pozostałych.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedział Barent. - Zwyczajowo zajmujemy się w pokoju gier sprawami Klubu Wyspiarskiego, zanim wybierzemy surogatów do rozgrywki.

Harod się rozejrzał. Pokój robił spore wrażenie: po części biblioteka, po części angielski klub z epoki wiktoriańskiej, po części zaś sala konferencyjna - dwie ściany (z galeryjkami i drabinami) wypełnione książkami, skórzane fotele z lampami dającymi przyćmione światło, osobne stoły dla amatorów snookera i bilardu oraz - pod przeciwległą ścianą - masywny okrągły stół wyściełany zielonym sukniem i oświetlony pojedynczą wiszącą lampą. Pięć skórzanych foteli-uszaków stało w cieniach wokół stołu.

Barent dotknął przycisku w zagłębionym fragmencie ściany i ciężkie kotary bezgłośnie rozsunęły się, ukazując szerokie na trzydzieści stóp okno wychodzące na oświetlone ogrody i długi tunel Live Oak Lane. Harod był pewien, że lekko spolaryzowana szyba okna jest nieprzezroczysta od zewnątrz i kuloodporna.

Barent wyciągnął rękę wnętrzem dłoni do góry, jakby prezentował pokój i widok Williemu Bordenowi. Willi skinął głową i usiadł w najbliższym skórzanym fotelu. Padające z góry światło przekształciło jego twarz w pożłobioną maskę i ukryło oczy w kałużach ciemności.

- *Ja*, bardzo ładne - pochwalił. - Czyj to fotel?

- Należał do... ehm... pana Traska - odpowiedział Barent. - Wydaje się stosowne, żeby teraz należał do pana.

Pozostali usiedli, Sutter wskazał Harodowi właściwy fotel. Harod zapadł się w wiekowej, luksusowej skórce, złożył ręce na blacie krytym sukniem i pomyślał o ciele Charlesa Colbena, które przez trzy dni robiło za karmę dla ryb, dopóki nie znaleźli go w ciemnych wodach Schuylkill.

- Nie najgorszy klubik - powiedział. - To co teraz? Uczymy się sekretnej

przysięgi i śpiewamy piosenki?

Barent zaśmiał się pobłaźliwie i rozejrzył po zebranych.

- Otwieram dwudziestą siódmą doroczną sesję Klubu Wyspiarskiego - oznajmił. - Są jakieś stare sprawy? - Cisza. - Nowe sprawy, którymi należy zająć się dzisiaj?

- Odbędą się jeszcze inne spotkania plenarne, na których można będzie omówić nowe sprawy? - spytał Willi.

- Oczywiście - odpowiedział Kepler. - Każdy może zwołać spotkanie w dowolnym momencie w czasie tego tygodnia, z wyjątkiem chwil, kiedy będzie toczyła się gra.

Willi pokiwał głową.

- W takim razie poczekam ze swoją sprawą do następnej sesji. - Uśmiechnął się do Barenta, jego zęby błysnęły żółtawo w ostrym górnym świetle. - Muszę pamiętać, gdzie jest moje miejsce jako nowego członka i zachować się stosownie do tego, *nicht wahr?*

- Skądże znowu - odparł Barent. - Przy tym stole wszyscy jesteśmy równi... i jesteśmy przyjaciółmi. - Pierwszy raz spojrzał Harodowi prosto w oczy. - Skoro nie ma dziś żadnych nowych spraw, czy wszyscy są gotowi, by obejść zagrody dla surogatów i dokonać wyboru na dzisiejszy wieczór?

Harod skinął głową, ale wtedy odezwał się Willi:

- Chciałbym posłużyć się jednym z moich ludzi.

Kepler zmarszczył lekko brwi.

- Bill, nie wiem czy... To znaczy możesz, jeśli tego sobie życzysz, ale staramy się unikać korzystania z naszych... ehm... stałych współpracowników. Szansa wygranej we wszystkie pięć nocy jest... ehm... dość mała, w gruncie rzeczy, i chcemy uniknąć sytuacji, w której ktoś poczuje się urażony albo wyjedzie stąd w złym humorze z powodu... hmm... utraty cennego nabytku.

- *Ja*, rozumiem - odpowiedział Willi - ale mimo to wolałbym skorzystać z jednego ze swoich. To dozwolone, prawda?

- Mhm - przytaknął Jimmy Wayne Sutter. - Musi pan jednak pozwolić go przebadać i trzymać w zagrodach dla surogatów tak jak pozostałych, jeśli przetrwa dzisiejszą noc.

- Zgoda - powiedział Willi. Uśmiechnął się znowu, pogłębiając wrażenie Haroda, że słucha pozbawionej oczu czaszki. - To miło z waszej strony, że ustępujecie starszemu. Pójdziemy do zagród wybrać pionki do dzisiejszej rozgrywki?

Po raz pierwszy Harold znalazł się na północ od strefy buforowej. Podziemny kompleks zaskoczył go, chociaż wiedział, że gdzieś na wyspie musi znajdować się kwatera główna ochrony. Mimo że około dwudziestu pięciu, może trzydziestu mężczyzn w kombinezonach rzucało się w oczy na stanowiskach i w pokojach monitoringu, to wydawało się, że w porównaniu z tłumem ochroniarzy podczas obozu letniego zabezpieczenia wręcz nie istnieją. Harold zdał sobie sprawę, że większość ludzi Barenta musi znajdować się na morzu - rozkwaterowana na jachcie albo łodziach patrolowych i skoncentrowana na niedopuszczaniu obcych do wyspy. Zastanawiał się, co ci strażnicy myślą na temat surogatów i samej gry. Od dziesięcioleci pracował w Hollywood; wiedział, że nie ma rzeczy, jakiej ludzie nie wyrządzą swoim bliźnim, jeśli cena będzie stosowna. Czasem wręcz ustawiali się w kolejkach, żeby zrobić to za darmo. Harold wątpił, żeby Barent miał jakiś kłopot ze znalezieniem ludzi do tego rodzaju pracy nawet bez swojego niepowtarzalnego Talentu.

Zagrody były dziwne, wycięte w żywej skale korytarza o wiele starszego i węższego niż reszta kompleksu. Szedł za pozostałymi, mijając półki, na których leżały zwinięte w kłębek nagie postacie, i po raz dwudziesty myślał, że to scena żywcem wzięta z filmu klasy B. Gdyby scenarzysta zafundował mu coś takiego, Harold udusiłby durnego sukinsyna i kazał go pośmiertnie wykopać ze zrzeczenia.

- Te pomieszczenia są starsze niż oryginalna plantacja Vanderhoofa - opowiadał Barent. - Starsze nawet niż plantacja Dubose. Zatrudnieni przeze mnie archeologowie mają taką teorię, że te konkretnie zagrody były wykorzystywane przez Hiszpanów do przetrzymywania buntowniczego elementu indiańskiej populacji wyspy, chociaż Hiszpanie rzadko zakładali swoje ośrodki tak daleko na północ. W każdym razie cele wykuto w skale przed rokiem tysiąc sześćsetnym. To ciekawa myśl, że Krzysztof Kolumb był pierwszym handlarzem niewolników na tej półkuli. Przewiózł kilka tysięcy Indian do Europy i wziął do niewoli lub zabił wiele kolejnych tysięcy na samych wyspach. Niewiele brakowało, żeby wybił do nogi całą rodzimą populację, gdyby nie interwencja papieża, który zagroził mu ekskomuniką.

- Papież powstrzymał go pewnie dlatego, że nie otrzymał dostatecznie dużych udziałów - odezwał się wielebny Jimmy Wayne Sutter. - Możemy dowolnie wybierać?

- Dowolnie, z wyłączeniem dwóch osób, które wczoraj wieczorem

przywiózł pan Harod - odpowiedział Barent. - Zakładam, że są na twój prywatny użytek, Tony?

- Mhm - potwierdził Harod.

Kepler podszedł i szturchnął Haroda łokciem.

- Jimmy mówi mi, że jeden z nich to mężczyzna. Zmieniasz upodobania, czy to jakiś szczególny przyjaciel?

Harod spojrział na idealnie podstrzyżone włosy Josepha Keplera, idealne zęby i perfekcyjną opaleniznę i całkiem poważnie zastanowił się, czy nie zredukować jego prezencji do czegoś nieco bardziej odbiegającego od doskonałości. Nic nie powiedział.

Willi uniósł brew.

- Męski surogat, Tony? Znikam dosłownie na parę tygodni, a ty od razu mnie zaskakujesz. Gdzie jest ten mężczyzna, którym się posłużysz?

Harod spojrział na starego producenta, ale nic nie wyczytał z jego twarzy.

- Gdzieś tam - odpowiedział, wskazując nieprecyzyjnie w głąb korytarza.

Grupa się rozproszyła, oglądając ciała, jak jurorzy psy na wystawie. Albo ktoś ostrzegł więźniów, żeby zachowali milczenie, albo już sama obecność ich pięciu natychmiast powstrzymywała wszelkie hałasy, ponieważ słychać było tylko echo ich kroków i cichutkie ciurkanie wody w najciemniejszej, nieużywanej części wiekowego tunelu.

Harod denerwował się, chodząc od wnęki do wnęki w poszukiwaniu dwójki, którą przywiózł z Savannah. Czy Willi znowu z nim pogrywał, czy też on pomylił się w ocenie sytuacji? Nie, do diabła, to nie miało sensu, żeby ktoś z pozostałych zmusił go do przeszmuglowania specjalnie uwarunkowanych surogatów na wyspę. Chyba że to Kepler albo Sutter coś kombinowali. Albo Barent prowadził jakąś szczególnie wyrafinowaną grę. Albo po prostu była to pułapka, która miała go zdyskredytować.

Zrobiło mu się niedobrze. Ruszył pośpiesznie korytarzem, zerkając pomiędzy prętami na białe, przerażone twarze i zastanawiając się, czy po nim samym widać, że się boi.

- Tony?! - zawołał Willi, stojąc dwadzieścia kroków dalej w głąb tunelu. W jego głosie wyczuwało się rozkazującą nutę. - Czy to jest twój męski surogat?

Harod podszedł szybko i spojrział na mężczyznę, który leżał na półce na wysokości piersi. Cienie były głębokie, szary zarost podkreślał zapadłe policzki mężczyzny, ale Harod był pewien, że to jest mężczyzna, którego przywiózł z Savannah. Co też Willi planował?

Willi przysunął się bliżej do prętów. Mężczyzna nie odwrócił wzroku, oczy miał przekrwione po niedawnym przebudzeniu. Coś przekraczającego zwykle rozpoznanie mignęło między tymi dwoma.

- *Willkommen in der Hölle, mein Bauer* - powiedział Willi.

- *Geh zum Teufel*, Oberst - wycodził przez zęby więzień.

Willi roześmiał się, dźwięk jego śmiechu poniósł się echem w wąskim korytarzu i Harold już wiedział, że ma przejebane.

Chyba że Willi po prostu sobie z nim pogrywał.

Podszedł do nich Barent. Jego wymodelowane siwe włosy błyszczały delikatnie w świetle nagiej sześćdziesięciowatowej żarówki.

- Ominęło mnie coś zabawnego, panowie?

Willi poklepał Tony'ego po ramieniu i uśmiechnął się do Barenta.

- Mój protegowany opowiedział mi mały żarcik, C. Arnold. Nic więcej.

Barent popatrzył na nich, skinął głową i odszedł wąskim korytarzem.

Nadal trzymając Haroda za ramię, Willi zacisnął dłoń, aż Harold skrzywił się z bólu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Tony - syknął Willi, czerwony na twarzy. - Porozmawiamy później.

Odwrócił się i poszedł za Barentem w stronę kwater ochrony.

Wstrząśnięty Harold spojrział na człowieka, co do którego był pewien, że jest pionkiem Williego. Nagi, z bladą twarzą, którą niemal całkiem pochłonęły cienie, skulony na zimnym kamieniu za stalowymi prętami wydawał się stary, kruchy, wyniszczony wiekiem i przeciwnościami losu. Sina blizna, biegnąca przez całą długość lewego przedramienia i w poprzek żeber, była doskonale widoczna. Haroldowi staruszek wydawał się całkiem niegroźny; jedyne poczucie zagrożenia płynęło ze złowrogo buntowniczego błysku w jego dużych, smutnych oczach.

- Tony! - zawołał wielebny Sutter. - Pośpiesz się i wybierz surogatów. Chcemy wrócić do Dworku i zacząć grę.

Harold skinął głową, zerknął po raz ostatni na mężczyznę za prętami i odszedł, przyglądając się uważnie twarzom, szukając kobiety dostatecznie młodej i silnej, a jednocześnie łatwej do zdominowania. Idealnej do dzisiejszej rozgrywki.

63.

Melanie

Willi żyje!

Patrząc oczami panny Sewell, spojrzałam za pręty celi i natychmiast go rozpoznałam, nawet kiedy żarówka za jego głową tworzyła oślepiającą aureolę wokół ostatnich siwych kosmyków włosów. Przypominały sierść łasicy.

Willi żyje. Przynajmniej w tej kwestii Nina mnie nie okłamała. Prawie nic z tego nie rozumiałam: Nina i ja wprowadzałyśmy ofiary na tę nikczemną ucztę, podczas gdy Willi (który, zdaniem Niny, znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie) śmiał się i poruszał swobodnie wśród swoich rzekomych porywaczy.

Prawie w ogóle się nie zmienił - co najwyżej skłonność do dogadzania sobie bardziej się w nim uwidaczniała niż sześć miesięcy temu. Kiedy jego twarz po raz pierwszy zarysowała się wyraźnie w ostrym świetle i mrocznym cieniu korytarza, zmusiłam pannę Sewell do odwrócenia się, kryjąc ją w mroku jej celi, zanim zdałam sobie sprawę, jakie to niemądre. Willi odezwał się po niemiecku do mężczyzny, którego Murzynka Niny nazywała Saulem, i powitał go w piekle. Saul odpowiedział mu, żeby poszedł do diabła, Willi roześmiał się i powiedział coś do innego, młodszego mężczyzny o gadzich oczach, a potem podszedł do nich jakiś bardzo przystojny dżentelmen. Willi zwrócił się do niego „C. Arnold”, ja zaś zrozumiałam, że to musi być ten legendarny pan Barent, którym interesowała się panna Sewell. Nawet w ostrym świetle i zaniedbanym otoczeniu tunelu natychmiast zorientowałam się, że jest człowiekiem wytwornym i wyrafinowanym. Mówił z akcentem z Cambridge, całkiem jak mój ukochany Charles. Miał doskonale skrojoną ciemną marynarkę. Jeśli informacje panny Sewell odpowiadały prawdzie, był jednym z ośmiu najbogatszych ludzi świata. Podejrzewałam, że ktoś taki doceniłby moją dojrzałość i dystyngowane wychowanie. Zrozumiałby mnie.

Kazałam panie Sewell podejść do prętów, podnieść wzrok i mrużąc oczy, zerknąć prowokacyjnie spod rzęs. Pan Barent najwyraźniej niczego nie zauważył. Odszedł, zanim jeszcze Willi i jego młody przyjaciel się oddalili.

- Co się dzieje? - zapytała Murzynka Niny, która przedstawiła się jako Natalie.

Justin odwrócił się do niej zagniewany.

- Sama zobacz.

- Nie mogę w tej chwili - odpowiedziała kolorowa dziewczyna. - Jak już wcześniej wyjaśniłam, przy tak znacznej odległości kontakt jest niedoskonały.

Jej oczy błyszczały w świetle świec, kiedy siedzieliśmy w salonie. Nie widziałam nawet śladu chabrowego błękitu oczu Niny w tych ciemnych jak błocko tęczęwkach.

- Wobec tego, jak zachowujesz kontrolę, moja droga? - zapytałam, ale delikatne seplenienie Justina sprawiło, że mój głos zabrzmiał bardziej słodko niż chciałam.

- Warunkowanie - odpowiedziała pomagierka Niny. - Co tam się dzieje?
Westchnęłam.

- Nadal jesteśmy w małych celach, Willi dopiero co tu był...

- Willi! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Skąd to zdziwienie, Nino? Sama mi powiedziałaś, że Willi dostał rozkaz, żeby się tam pojawić. Kłamałaś, mówiąc, że jesteś z nim w kontakcie?

- Oczywiście, że nie - warknęła, odzyskując panowanie nad sobą w ten szybki, pewny siebie sposób, który rzeczywiście przypominał mi Ninę. - Dawno go jednak nie widziałam. Dobrze wygląda?

- Nie - burknęłam. Zawahałam się, postanawiając poddać ją próbie. - Pan Barent tam był.

- Tak?

- Robi... imponujące wrażenie.

- Prawda?

Czyżbym wyczuwała nutkę rezerwy?

- Rozumiem, dlaczego dałaś mu się namówić do zdradzenia mnie, moja droga Nino - powiedziałam. - Czy ty... spałaś z nim?

Nie cierpię tego absurdalnego wyrażenia, ale nie przyszedł mi do głowy żaden inny, mniej prostacki sposób zadania tego pytania.

Kolorowa dziewczyna tylko spojrzała na mnie, a ja po raz setny przeklełam w duchu Ninę za Użycie tej... służącej... zamiast kogoś, kogo mogłabym traktować jak równego sobie. Nawet znieawidzona Barrett Kramer byłaby lepszą rozmówczynią.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Murzynka pograżyła się w podsuniętych przez Ninę marzeniach, a ja dzieliłam swoją uwagę między członków mojej nowej rodziny: ograniczone zmysłowe wrażenia panny Sewell (zimny kamień i pusty korytarz), prowadzoną przez Justina uważną

obserwację pomagierki Niny, ostatnie - nadzwyczaj delikatne - korekty w umyśle naszego nowego przyjaciela na morzu. Ten ostatni kontakt był zdecydowanie najtrudniejszy do utrzymania, nie tylko z powodu samej odległości, bo od czasu mojej choroby odległość przestała stanowić większą przeszkodę, ale ponieważ musiał pozostać tak subtelny, że wręcz niewidzialny do chwili, kiedy Nina postanowi inaczej.

Tak jej się przynajmniej wydawało. Podjęłam to wyzwanie, ponieważ w tamtym momencie musiałam z nią współpracować, a także z powodu jej nieco dziecinnej prowokacji, że nie będę w stanie nawiązać i utrzymać takiego kontaktu z człowiekiem, którego widziałam tylko przez lornetkę. Teraz jednak, kiedy udowodniłam swoje racje, nie miałam szczególnej potrzeby trzymać się jej planu - zwłaszcza od kiedy lepiej rozumiałam poważne ograniczenia, jakie śmierć narzuciła jej Talentowi. Wątpię, czy byłaby w stanie Użyć kogoś z odległości niemal dwustu mil przed naszym nieporozumieniem pół roku wcześniej w Charleston, ale byłam pewna, że nie zdradziłaby się wtedy ze swoją słabością ani nie postawiła się w sytuacji, w której byłaby w jakikolwiek sposób ode mnie zależna.

A teraz tak właśnie się stało. Murzynka siedziała w moim salonie, ubrana w luźny, dziwnie porozciągany sweter narzucony na burą sukienkę, a Nina była na dobrą sprawę ślepa i głucha. Cokolwiek wydarzy się na wyspie, ona dowie się o tym - byłam tego coraz bardziej pewna - tylko jeśli jej o tym powiem. Nie wierzyłam jej nawet przez chwilę, kiedy powiedziała, że ma jaką taką władzę - chociaż niepewną, nie przez cały czas - nad tym pomagierem, Saulem. W drodze na wyspę musnęłam jego umysł przez najkrótszy ułamek sekundy i chociaż dostrzegłam rezonans typowy dla kogoś, kto w przeszłości został Użyty (i to bardzo poważnie), wychwyciłam także coś jeszcze, coś nawarstwionego, utajonego i potencjalnie niebezpiecznego, jakby Nina w jakiś niewytłumaczalny sposób zaminowała jego umysł; wyczułam także, że w tamtej chwili nim nie kierowała. Wiedziałam, jak ograniczone są korzyści z Użycia nawet najlepiej uwarunkowanego pomagiera, kiedy sytuacja zmienia się w nieprzewidziany sposób. Z całej naszej wesołej trójki to ja szczyliłam się w przeszłości najsilniejszym Talentem, kiedy w grę wchodziło warunkowanie pomagierów. Nina przekomarzała się ze mną, że to dlatego, że boję się nowych podbojów; Willi, który pogardzał wszelkimi długoterminowymi związkami, zmieniał pomagierów równie szybko i łatwo jak partnerów w łóżku.

Nina bardzo się rozczaruje, jeśli ma nadzieję działać coś na wyspie tylko

poprzez swoje uwarunkowane narzędzie. W tej właśnie chwili poczułam, że równowaga między nami uległa zachwianiu - po tylu latach! - i że to ja wykonam następny ruch, w dogodnym dla mnie czasie, miejscu i okolicznościach.

Jakże chciałam wiedzieć, gdzie jest Nina!

Murzynka w moim salonie - w salonie! Ojciec padłby trupem! - popijała herbatę w bezmyślnej nieświadomości, że gdy tylko znajdę inny sposób odkrycia miejsca pobytu Niny, to konkretne kolorowe narzędzie, przyprowadzające mnie o zażenowanie, zostanie wyeliminowane w taki sposób, że nawet Nina będzie pod wrażeniem mojej pomysłowości.

Na razie mogłam poczekać. Każda godzina wzmacniała moją pozycję i osłabiała pozycję Niny.

Zegar stojący w holu wybił jedenastą; Justin prawie drzemał, kiedy strażnicy w burch kombinezonach otworzyli z hukiem stare żelazne drzwi na końcu korytarza i uruchomili hydrauliczny mechanizm sterowania prętami wybranych pięciu klatek. Cella panny Sewell pozostała zamknięta, podobnie jak znajdująca się nieco wyżej nisza pomagiera Niny.

Patrzyłam, jak czterech mężczyzn i jedna kobieta przechodzą obok mnie, ewidentnie już Używani, gdy wtem wstrząśnięta zdałam sobie sprawę, że wysoki, potężnie umięśniony Murzyn to ten sam człowiek, nad którym Willi z niejakim trudem zapanował podczas naszego ostatniego spotkania z Niną - Jensen jakiś tam.

To mnie zaintrygowało. Wytężyłam każdy strzępek mojego wzmocnionego Talentu, częściowo straciłam świadomość istnienia Justina, rodziny, mężczyzny w małej, lekko kołyszącej się kajucie, nawet siebie samej, aż udało mi się dosięgnąć jednego ze strażników i zawładnąć nim w wystarczającym stopniu, żeby odebrać niewyraźne wrażenia zmysłowe, jakbym patrzyła na zmętniałe odbicie kiepsko wyregulowanego telewizora. Grupa przeszła korytarzem, minęła żelazne drzwi i wiekową opuszczaną kratę, przeszła tą samą podziemną aleją, którą weszliśmy, i po długiej, mrocznej pochylni wspięła się w kierunku, z którego napływał zapach gnijącej roślinności i tropikalnej nocy.

64.

Dolmann Island

15 czerwca 1981, poniedziałek

Drugiej nocy Harod nie miał wyboru: musiał spróbować Użyć mężczyzny, którego przywiózł z Savannah.

Pierwsza noc była koszmarna. Z ogromnym trudem przychodziło mu kontrolowanie kobiety, którą wybrał: wysokiej, dobrze zbudowanej Amazonki o mocno zarysowanej szczęce, małych piersiach i włosach ściętych w niezbyt atrakcyjny sposób - jednej z odrodzonych ulicznic, które Sutter dobrze odżywiał i trzymał w odosobnieniu w Ośrodku Pomocy Biblijnej, dopóki Klub Wyspiarski nie potrzebował surogatów. Tyle że kobieta okazała się nędznym surogatem; Harod musiał wykorzystać każdy gram Talentu, żeby zmusić ją do przejścia w towarzystwie czterech mężczyzn na polanę, pięćdziesiąt jardów za północnym ogrodzeniem strefy buforowej. Widniał tam wypalony w ziemi ogromny pentagram, z kołami narysowanymi kredą na końcach ramion gwiazdy. Tamci czterej zajęli już miejsca (Jensen Luhar wszedł do swojego kręgu pewnym, zamaszystym krokiem) i czekali, aż zataczająca się jak pijana kobieta Haroda dotrze na swoje stanowisko. Harod wiedział, że ma wiele dobrych wymówek - przywykł kontrolować kobiety na znacznie krótszym, bardziej intymnym dystansie, a ta na dodatek była zdecydowanie zbyt męska jak na jego gust. Poza tym - a nie był to wcale najmniej istotny czynnik - był przerażony.

Pozostali mężczyźni przy wielkim okrągłym stole w pokoju gier rozparli się wygodnie w fotelach, Harod zaś kręcił się i wiercił, z trudem utrzymując kontakt z kobietą i przesuwał ją we właściwe miejsce. Kiedy wreszcie zmusił ją do stanięcia nieruchomo z grubsza pośrodku kręgu, skupił uwagę na pokoju i skinął głową, ocierając pot z policzków i czoła.

- Doskonale - powiedział C. Arnold Barent więcej niż tylko odrobinę protekcyjnym tonem. - Wygląda na to, że jesteśmy gotowi. Znacie panowie reguły. Jeśli surogat przetrwa do wschodu słońca, ale nie zdoła nikogo zabić, zdobywa piętnaście punktów, ale musi zostać wyeliminowany. Jeśli zbierze sto punktów, eliminując pozostałych przed wschodem słońca, może zostać wykorzystany... lub wykorzystana... w jutrzejszej rozgrywce; decyzja należy do was. Czy jest to jasne dla naszych nowych graczy?

Willi się uśmiechnął. Harod skinął głową.

- Dla przypomnienia - wtrącił się Kepler, opierając rękę na suknie stołu. Zwrócił się do Haroda: - Jeśli czyjś surogat zostanie wcześniej usunięty, jego właściciel może obserwować resztę rozgrywki po sąsiedzku, w pokoju monitoringu. W północnej części wyspy rozmieszczono ponad siedemdziesiąt kamer. Obejmują całkiem przyzwoity obszar.

- Obserwacja nie może się jednak równać z pozostaniem w grze - dodał Sutter.

Warstewka potu pokrywała mu czoło i górną wargę.

- Panowie? - powiedział Barent. - Jeśli jesteśmy gotowi... Raca zostanie wystrzelona za trzydzieści sekund. Na ten sygnał zaczynamy.

Pierwsza noc była dla Haroda koszmarem. Pozostali zamknęli oczy i natychmiast przejęli kontrolę, a on przez prawie całe przeznaczone na przygotowania pół minuty usiłował po prostu odzyskać pełen kontakt z surogatką.

W końcu znalazł się w jej umyśle, poczuł powiew dżungli na jej nagiej skórze, poczuł, jak jej drobne sutki twardnieją w rześkim nocnym powietrzu i jak przez mgłę dotarło do niego, że dziesięć stóp dalej Jensen Luhar wychyla się ze swojego kręgu, wskazując ją - wskazując jego, Haroda - i mówi z tym osobliwym, lubieżnym uśmiechem Williego:

- Ty będziesz ostatni, Tony. Zostawię cię sobie na koniec.

A potem czerwona rasa wybuchła trzysta stóp nad pierzastymi liśćmi palm. Czterej mężczyźni ruszyli, a Harod obrócił swoją surogatkę i kazał jej uciekać na oślep przez dżunglę w kierunku północnym.

Godziny mijały mu jak w gorączkowym majaczeniu, w gąszczu gałęzi i rojach owadów, w wywołanej strachem (jego własnym i surogatki) powodzi adrenaliny: niekończący się, szalony bieg na oślep przez dżunglę i mokradła. Kilka razy był przekonany, że prawie dotarł do północnego krańca wyspy - tylko po to, żeby wynurzyć się spomiędzy drzew i dostrzec przed sobą ogrodzenie strefy buforowej.

Próbował obmyślić strategię, wykrzesać odrobinę entuzjazmu dla przewidzianego działania, ale w miarę jak zbliżał się świt, ledwie był w stanie blokować sygnały bólu z pokrwawionych stóp i pociętej przez tysiące gałęzi skóry surogatki i zmuszać ją do ucieczki z utrzymanym w rękach bezużytecznym, ciężkim kijem.

Gra trwała najwyżej trzydzieści minut, kiedy Harod usłyszał pierwszy tej nocy krzyk - niecałe pięćdziesiąt stóp od miejsca, gdzie ukrył kobietę w

trzcinach. Kiedy dziesięć minut później kazał jej na czworakach wyjść z kryjówki, zobaczył trupa zwalistego blondyna, którego Używał Sutter; przystojna twarz wpatrywała się w ziemię, odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do przodu tułowia.

Kilka godzin później, wkrótce po tym, jak wynurzyli się z bagien, na których roilo się od węży, surogatka Haroda wrzasnęła, kiedy wysoki, chudy Portorykańczyk Keplera wyskoczył z ukrycia i zaczął ją okładać ciężką gałęzią. Harod poczuł, jak kobieta pada na ziemię i turla się w bok, ale nie dość szybko, żeby uniknąć drugiego ciosu, który trafił ją w plecy. Harod zablokował odbiór bólu, poczuł jednak piekące mrowienie, które ogarnęło całe jej ciało, kiedy Portorykańczyk, śmiejąc się jak szaleniec, uniósł gałąź do ostatecznego ciosu.

Oszczep - okorowane i zaostrome młode drzewko - wyleciał z ciemności i przebił gardło Portorykańczyka: czternaście cali zakrwawionego grotu wystawało z miejsca, gdzie sekundę wcześniej znajdowało się jabłko Adama. Surogat Keplera złapał się za gardło, padł na kolana, osunął się na bok w gęstwinę paproci, dwa razy wierzgnął nogami i umarł. Harod zmusił kobietę do podniesienia się na czworaki, a potem na jedno kolano zanim Jensen Luhar wszedł na polanę, wyciągnął prowizoryczną włócznię z szyi trupa i zatrzymał ociekający krwią grot kilka cali przed oczami surogatki.

- Jeszcze jeden, Tony - powiedział czarny olbrzym z uśmiechem, który jarzył się w świetle gwiazd - a potem przyjdzie twoja kolej. Miłego polowania, *mein Freund*.

Klepnął surogatkę Haroda w ramię i zniknął, wtapiając się w noc.

Harod biegł wąską plażą, nie zważając na to, że ktoś może go zauważyć; potykał się o kamienie i korzenie na wąskim pasku ziemi, wpadał w fale tam, gdzie plaża się kończyła. Cały czas oddalał się od miejsca, gdzie, jak mu się wydawało, znajdował się Luhar - a właściwie Willi.

Od początku gry nie widział surogata Barenta - mężczyzny ostrzyżonego na jeża, o posturze zapaśnika - ale instynkt podpowiadał mu, że on też nie będzie miał szansy z Luharem.

Znalazł idealne miejsce na kryjówkę głęboko w zarośniętych winoroślami ruinach dawnej plantacji niewolniczej. Zmusił surogatkę do wciśnięcia posiniaczonego i pokaleczonego ciała głęboko między liście, płożące się zielsko, paprocie i stare dźwigary przy wypalonym murze, w najgłębszym zakamarku ruin. Nie otrzyma żadnych punktów za morderstwo, ale dobre i piętnaście punktów za przetrwanie do wschodu słońca. Nie musiał być z

surogatką, kiedy ochrona Barenta ją sprzątnie.

Prawie świtało i Harod wraz z surogatką prawie przysnęli, zerkając półprzymkniętymi oczami przez dziurę w listowiu na mały skrawek nieba, na którym chmury i gasnące gwiazdy zamieniały się miejscami, kiedy nagle w tej dziurze pojawiła się twarz Jensena Luhara. Uśmiechnął się szeroko i krwiożerczo. Harod wrzasnął, gdy wielka ręka opadła, wyciągnęła surogatkę za włosy i cisnęła na stos ostrego gruzu na drugim końcu baraku niewolników.

- Koniec zabawy, Tony - powiedział Luhar/Willi. Jego lśniące od potu i krwi czarne ciało przesłoniło gwiazdy, kiedy pochylił się nad Harodem.

Surogatka Haroda została pobita i zgwałcona. Na koniec Luhar złapał ją za twarz i potylicę i jednym ostrym szarpnięciem skrzył jej kark. Tylko śmierć dawała Williemu punkty; gwałt był dozwolony, ale bez znaczenia. Według wskazań zegara surogatka zginęła dwie minuty i dziesięć sekund przed wschodem słońca, więc Harod nie dostał nawet piętnastu punktów.

W poniedziałek gracze spali do późna. Harod obudził się ostatni, wziął prysznic, półprzymkniętymi oczami ogolił się i tuż przed dwunastą zszedł na wystawne późne śniadanie. Pozostali czterej gracze śmiali się i opowiadali sobie historyjki, wszyscy gratulowali Williemu - Kepler ze śmiechem zapowiadał w nocy zemstę, Sutter mówił o szczęściu nowicjusza, a Barent szczerze i z uśmiechem zapewniał Williego, że dobrze mieć go na pokładzie. Harod zamówił u barmana dwie Krwawe Mary i usiadł w kącie, żeby pomyśleć.

Jimmy Wayne Sutter pierwszy go zagadnął, pokonawszy rozległą przestrzeń wyłożoną czarnymi i białymi płytkami; Harod pracował tymczasem nad trzecią Krwawą Mary.

- Anthony, mój chłopcze - zagaił, kiedy stali sami przy szerokich drzwiach prowadzących na taras, z którego rozciągał się widok na biegnący do nadmorskich klifów spleść lądu. - Dziś w nocy będziesz musiał się bardziej postarać. Brat Christian i pozostali oczekują stylu i entuzjazmu, nie zaś koniecznie punktów. Użyj dzisiaj swojego mężczyzny, Anthony, i pokaż im, że podjęli słuszną decyzję, przyjmując cię do klubu.

Harod tylko na niego patrzył. Nie odpowiedział.

Kepler zaczął go, kiedy oprowadzali Williego po obiektach obozu letniego. Biegiem pokonał ostatnie dziesięć stopni amfiteatru i posłał mu swój uśmiech Charltona Hestona.

- Nieźle, Harod - przyznał. - Prawie wytrzymałeś do świtu. Pozwól

jednak, że dam ci pewną radę, dobrze, młody? Pan Barent i pozostali liczą na jakiś przejaw inicjatywy. Przywiozłeś swojego własnego surogata. Użyj go tej nocy... jeśli potrafisz.

Barent dopilnował, żeby w drodze powrotnej do Dworku Harod jechał z nim w jednym wózku.

- Tony... - powiedział, kwitując półuśmiechem nadąsane milczenie Haroda. - Bardzo się cieszymy, że dołączyłeś do nas w tym roku. Myślę, że pozostałym graczom odpowiadałoby, gdybyś zagrał męskim surogatem najszybciej jak to możliwe. Ale oczywiście tylko jeśli tego chcesz. Nie ma pośpiechu.

Do końca jazdy już nie rozmawiali.

Willi był ostatni - zagadnął Haroda, kiedy ten wyszedł z Dworku, żeby spotkać się z Marią Chen na plaży godzinę przed wieczornym posiłkiem. Harod wymknął się bocznymi drzwiami i błądził krętymi, zagłębionymi w ziemię ogrodowymi ścieżkami; wysokie ściany paproci i kwiatów dodatkowo komplikowały poruszanie się po labiryncie. W pewnej chwili natknął się na ozdobny mostek, skręcił w lewo przez miniaturowy ogród w stylu zen i natknął się na Williego, który siedział na długiej białej ławce; wyglądał jak błądy pająk w żelaznej sieci. Tom Reynolds stał za ławką, a jego mętne oczy, proste blond włosy i długie palce sprawiły, że Harod pomyślał - nie pierwszy raz - że drugi ulubiony pomagier Williiego wygląda jak gwiazda rocka siłą przekwalifikowana na kata.

- Tony... - mruknął Willi chropawym, naznaczonym akcentem głosem. - Czas, żebyśmy porozmawiali.

- Nie teraz - odpowiedział Harod, chcąc go wyminąć.

Reynolds zrobił krok w bok, blokując mu przejście.

- Wiesz, co robisz, Tony? - zapytał cicho Willi.

- A ty? - warknął Harod, od razu wiedząc, że zabrzmiało to słabo i zdradzało tylko, że chciał znaleźć się jak najdalej stamtąd.

- *Ja* - mruknął Willi. - Wiem. Jeśli teraz zaczniesz coś kombinować, unicestwisz wiele lat wysiłku i planowania.

Harod rozejrzył się, zdając sobie sprawę, że nie widać ich z Dworku i że w tym kwietnym zaułku znajdują się poza zasięgiem kamer ochrony. Nie trafiłyby po swoich śladach do rezydencji, a Reynolds nadal zagradzał mu drogę wyjścia.

- Posłuchaj - zaczął, słysząc, że ze zdenerwowania podnosi głos. - Wali mnie to wszystko równo. Nie mam pojęcia, o czym mówisz, do chuja wafla. I

za diabła nie chcę się w nic mieszać, okej?

Willi się uśmiechnął. Jego oczy nie wyglądały jak ludzkie.

- *Ja, świetnie, Tony, ale my tu właśnie wykonujemy ostatnie posunięcia i nie pozwolę, żeby ktoś mi przeszkodził. Jasne?*

Coś w głosie byłego współnika sprawiło, że Harod przeraził się jak jeszcze nigdy w życiu.

Willi mówił dalej swobodnym, konwersacyjnym tonem:

- Domyślam się, że znalazłeś mojego Żyda, kiedy skończyłem z nim w Filadelfii. Albo ty, albo Barent. To nieistotne, nawet jeśli to oni kazali ci rozegrać ten gambit w ich imieniu.

Harod chciał coś powiedzieć, ale Willi uciszył go gestem.

- Zagraj dziś Żydem, Tony. Mnie już nie jest do niczego potrzebny, a dla ciebie mam plany na przyszłość... o ile nie przysporzysz mi poważniejszych komplikacji. *Klar?* Czy to jasne, Tony?

Spojrzenie szaroniebieskich oczu kata wwiercało się Harodowi w mózg.

- Jasne - zdołał wykrztusić.

Uległ na chwilę żywym, wyrazistym zwidom, pod których wpływem zrozumiał, że Willi Borden - Wilhelm von Borchert - naprawdę nie żyje, a on, Harod, gapi się na trupa; że nie uśmiecha się do niego po prostu czaszka wyrzeźbiona z kości o ostrych krawędziach, ale czaszka zawierająca w sobie miliony innych czaszek, opatrzona paszczą o rekinich zębach, z której dobywa się smród kostnicy i masowego grobu.

- *Sehr gut* - powiedział Willi. - Zobaczymy się później, Tony, w pokoju gier.

Reynolds odsunął się na bok z tą samą kopią uśmiechu Williego na ustach, którą Harod widział nad ranem na twarzy Jensena Luhara - na sekundę przed tym, jak ten złamał kark jego surogatce.

Zszedł na plażę i dołączył do Marii. Nie mógł przestać się trząść, mimo rozpalonego piasku i żaru lejącego się z nieba.

Maria dotknęła jego ramienia.

- Tony?

- Pierdolę - powiedział, szcękając gwałtownie zębami. - Pierdolę to. Mogą mieć Żyda. Ktokolwiek za tym stoi, cokolwiek planuje, niech go sobie dzisiaj weźmie. Pierdolę ich wszystkich.

Drugi wieczorny bankiet odbył się w przygaszonej atmosferze, jakby każdy z uczestników rozmyślał o nadchodzących godzinach. Oprócz Haroda

i Williego wszyscy odwiedzili już zagrody z surogatami i wybrali swoich faworytów z uwagą, jaką zwykle poświęca się oględzinom koni wyścigowych czystej krwi. Barent poinformował przy kolacji, że posłuży się jamajskim głuchoniemym, którego sprowadził i zgłosił do inspekcji - człowiekiem, który uciekł z rodzinnych wysp po zamordowaniu czterech mężczyzn w rodzinnym zatargu. Kepler poświęcił sporo czasu na wybór drugiego surogata, zwracając szczególną uwagę na młodszych mężczyzn; dwa razy minął klatkę Saula, nie przyglądając mu się specjalnie, zanim ostatecznie wybrał jednego z „ponownie narodzonych” od Suttera - sierotę z ulicy, wysokiego, szczupłego chłopaka o mocnych nogach i włosach do ramion.

- To chart - powiedział przy kolacji Kepler. - Chart z wielkimi zębiskami.

Sutter - podobnie jak Willi - zamierzał tym razem zaufać warunkowanemu pomagierowi: ogłosił, że Użyje mężczyzny imieniem Amos, który przez dwa lata służył mu jako osobisty ochroniarz w Ośrodku Pomocy Biblijnej. Amos był niskim, potężnie zbudowanym człowiekiem o wąsach bandyty oraz karku i ramionach zawodowego futbolisty.

Williemu najwyraźniej odpowiadało ponowne wykorzystanie Jensena Luhara. Harold powiedział tylko, że weźmie mężczyznę - swojego Żyda - i poza tym nie brał udziału w żadnych rozmowach.

Poprzedniego wieczoru Barent i Kepler obstawiali wyniki polowania; umówili się na stawkę w wysokości ponad dziesięciu tysięcy dolarów, którą tego wieczora podwoili. Wszyscy zgodzili się, że stawki są niezwykle wysokie, a rywalizacja wyjątkowo zacięta, zważywszy że będzie to przecież dopiero druga noc zawodów.

Zachód słońca w poniedziałek przesłoniły chmury, a Barent oznajmił, że słupek barometru gwałtownie opada i z południowego wschodu nadciąga burza. O dwudziestą drugą trzydzięci odeszli od stołu, zostawili ochroniarzy i asystentów i wsiedli do prywatnej, wyłożonej tekowym drewnem windy zjeżdżającej do pokoju gier.

Za zamkniętymi drzwiami pojedyncza lampa oświetlała duży zielony stół i zamieniała pięć twarzy w zacienione maski. Przez długie okno widać było błyskawicę przecinającą zygzakiem przestrzeń nad horyzontem. Barent polecił wygasić reflektory na terenie posiadłości i w ogrodzie, żeby nie konkurowały ze splendorem burzy, i teraz wszyscy wypatrywali błyskawic w ciszy przed burzą, kiedy Barent oznajmił:

- Raca zostanie wystrzelona za trzydzięci sekund. Na ten sygnał

zaczynamy.

Czterech z nich zamknęło oczy, ich twarze zastygły w wyrazie wyczekiwania. Harold odwrócił się i patrzył, jak białe rozbłyski nad południowo-wschodnim horyzontem podświetlają sylwetki drzew wzdłuż Live Oak Lane i rozjaśniają wnętrza granatowo-czarnych chmur.

Nie miał pojęcia, co się stanie, kiedy podniosą się pręty zamykające celę Żyda imieniem Saul. Nie zamierzał dotykać jego umysłu, a bez surogata nie będzie znał przebiegu wydarzeń. To mu w pełni odpowiadało. Cokolwiek tu się działo, ktokolwiek ustawiał tę grę i wprowadzał Żyda, nie miało to dla Tony'ego Haroda większego znaczenia. Wiedział, że nie będzie miał żadnego udziału w wydarzeniach rozgrywających się przez następne sześć godzin. To będzie rozgrywka, którą po prostu przesiedzi na ławce rezerwowych. Tego był pewien.

Nigdy w życiu bardziej się nie pomylił.

65.

Dolmann Island

15 czerwca 1981, poniedziałek

Saul siedział zamknięty w małej celi od ponad dwudziestu czterech godzin, kiedy mechanizm w kamiennych ścianach jęknął i stalowe pręty się podniosły. Przez sekundę nie wiedział, co robić.

Z przedziwnym spokojem znosił uwięzienie, prawie z zadowoleniem, jakby czterdzieści zbędnych lat gdzie się ulotniło, a on cofnął się do kluczowych chwil swojego życia. Przez dwadzieścia godzin leżał w zimnej kamiennej niszy i rozmyślał o życiu. Wspominał - ze wszystkimi szczegółami - wieczorne spacerowanie z Natalie w pobliżu farmy w Cezarei, słońce na piasku i ceglach, leniwe zielone fale Morza Śródziemnego. Przypominał sobie rozmowy i śmiech, zwierzenia i łzy, a kiedy zasypiał, sny natychmiast zabierały go ku innym afirmacjom życia w obliczu brutalnych wyrzeczeń.

Dwa razy dziennie strażnicy wsuwali jedzenie przez szparę między kratami, a Saul je zjadał. Płytkie plastikowe tace były wypełnione liofilizowanym mięsem z makaronem. Pożywienie astronautów. Saul nie zastanawiał się nad ironiczną wymową posiłków rodem z kosmicznego wahadłowca w siedemnastowiecznej zagrodzie dla niewolników; zjadał wszystko, wypijał wodę, cały czas ćwiczył, żeby nie dostać skurczów mięśni i nie wychłodzić zbyt szybko ciała.

Jedynym jego poważnym zmartwieniem była Natalie. Oboje od miesięcy wiedzieli, co każde z nich będzie musiało zrobić i jak samotni przy tym będą, ale ich pożegnanie miało w sobie coś ostatecznego. Przypominał sobie światło słońca na plecach ojca, rękę Josefa na jego ramieniu.

Leżał w ciemnościach cuchnących czterema stuleciami strachu i rozmyślał o odwadze. Myślał o Afrykańczykach i amerykańskich Indianach, którzy leżeli w tych samych kamiennych klatkach, czując - tak jak i on - woń ludzkiej bezradności; nie wiedzieli jeszcze, że wygrają, że ich potomkowie zażądadzą światła, wolności i godności, których odmówiono tym, którzy czekali tu na śmierć albo kajdany. Zamknął oczy i natychmiast zobaczył zaprzężone w woły wozy toczące się do Sobiboru, splecione wychudzone ciała, zimne trupy obejmujące się dla odrobiny ciepła, którego nie było, ale na te wizje zamrożonych ciał i oskarżycielskich oczu nakładał mu się obraz młodych *sabra* z kibuców, wychodzących rano do pracy w sadach albo

zbrojących się na wieczorny patrol przygraniczny; oczy mieli surowe i pewne siebie, może nawet zbyt pewne siebie, ale żywe, tak bardzo żywe... Samo ich istnienie było odpowiedzią na pytające spojrzenia trupów z wozu, siłą rozdzielanych na oszronionej bocznicy w 1944 roku.

Martwił się o Natalie i bał się o siebie, potwornie się bał, odczuwał strach, od którego jądra chowają się w brzuchu, jak na widok ostrza zbliżającego się do oczu i wrażenia zimnej stali w ustach - ale docenił ten strach i powitał go, pozwolił mu przepłynąć poprzez siebie i dalej, obok, zamiast dać mu się zmiażdżyć. Po raz tysięczny powtarzał sobie, co chce zrobić i co może go powstrzymać. Rozważał wszystkie możliwości. Zastanawiał się nad sposobem postępowania, jaki powinna obrać Natalie, żeby utrzymać staruchę na właściwym kursie, dokładnie tak jak to sobie zaplanowali - a także inne ewentualności, stosowne dla drugiej, znacznie bardziej prawdopodobnej sytuacji, kiedy to owładnięta obłędem Melanie Fuller zachowa się nieprzewidywalnie. Jeśli Natalie zginie, on będzie musiał dalej robić swoje. Jeśli nic nie potoczy się zgodnie z ich planem, on nadal będzie musiał robić swoje. Jeśli przepadnie wszelka nadzieja, on i tak będzie robił swoje.

Leżał w ciemnej szczelinie w zimnej skale i myślał o życiu, rozważał śmierć własną i innych. Analizował wszelkie możliwe ewentualności i wymyślał kolejne.

A mimo to, kiedy pręty się uniosły i zniknęły mu z oczu i pozostała czwórka poruszyła się, wysliznęła z nisz i poszła w stronę odległego wyjścia, Saul Laski przez jedną trwającą wieczność minutę nie wiedział, co robić.

W końcu też wyszedł z niszy i stanął boso na zimnej kamiennej posadzce. Stwór, który dawniej był Constance Sewell, gapił się na niego przez stalowe pręty i woal splątanych włosów.

Saul pośpiesznie ruszył za pozostałymi w stronę wyjścia w mrok.

Tony Harod siedział w pokoju gier i zerkał spod opuszczonych powiek na twarze czterech mężczyzn czekających na rozpoczęcie rywalizacji. Twarz Barenta była spokojna i opanowana, palce rąk złożył pod dolną wargę, delikatny uśmiech poruszał mięśniami w kąciakach jego ust. Kepler odchylił głowę, ściągając brwi w wyteżonej koncentracji. Jimmy Wayne Sutter pochylił się, ręce oparł na zielonym suknie blatu, pot zrosił mu zmarszczone czoło i górną wargę. Willi zapadł się tak głęboko w fotelu, że światło muskało tylko jego czoło, ostre kości policzkowe i grzbiet nosa. Mimo to Harod miał silne wrażenie, że Willi ma otwarte oczy i patrzy prosto na niego.

Poczuł, że ogarnia go panika, kiedy zdał sobie sprawę z absurdalności swojego położenia; w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, co się dzieje. Nie chciał nawet musnąć świadomości surogata-Żyda, zwłaszcza że wiedział, że nawet gdyby tego spróbował, ten, kto kierował Żydem, nie dopuściłby go. Ostatni raz powiódł wzrokiem po twarzach tamtych. Kto mógł prowadzić dwóch surogatów naraz? Logika podpowiadała, że Willi - miał motyw i stosownie wielkie umiejętności - ale w takim razie, po co była ta zagrywka w ogrodzie?

Był zagubiony i przerażony. Nieszczególnie pocieszał go fakt, że Maria Chen czeka na niego na dole ani że przemyciła broń na łódź czekającą w przystani na wyspie - na wypadek gdyby musieli w pośpiechu uciekać.

- Co jest, u diabła?! - wykrzyknął Joseph Kepler.

Cała czwórka otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Haroda.

Willi pochylił się ku światłu; jego twarz była wściekłą czerwoną maską.

- Co ty wyprawiasz, Tony? - Piorunującym, lodowatym spojrzeniem omiół pozostałych mężczyzn. - O ile to rzeczywiście Tony, hmm? Tak prowadzicie swoje honorowe rozgrywki?

- Chwileczkę! Chwileczkę! - krzyknął Sutter, znowu zamykając oczy. - Patrzcie. Ucieka. Możemy... wszyscy razem...

Oczy Barenta otworzyły się gwałtownie jak u drapieżnika, który budzi się z myślą o nocnym polowaniu.

- Oczywiście - powiedział cicho, nadal opierając złożone palce o wargę. - Laski, psychiatra. Powinienem być to wcześniej zauważyć. Brak brody mnie zwiódł. Ktokolwiek na to wpadł, ma bardzo nędzne poczucie humoru.

- Pieprzenie... - zachnął się Kepler z zaciśniętymi powiekami. - Trzeba go dorwać.

Barent pokręcił głową.

- Nie, panowie, z powodu nieprawidłowości, do których doszło, dzisiejsza rozgrzywka zostaje odwołana. Ochrona sprowadzi Laskiego.

- *Nein!* - warknął Willi. - On jest mój.

Barent nadal się uśmiechał, kiedy obrócił się do Williego.

- Dobrze, może być pański. Zobaczymy. A na razie zdążyłem już nacisnąć guzik powiadamiający ochronę. Monitorują początek gry i będą wiedzieli, kogo szukać. Może pan pomóc w schwytaniu psychiatry, Herr Borden, ale proszę dopilnować, żeby nie zmarł przed przesłuchaniem.

Willi wydał z siebie odgłos, który zabrzmiał niesamowicie, zupełnie jak warknięcie, i zamknął oczy. Barent skierował swoje zabójczo spokojne

spojrzenie na Haroda.

Saul wyszedł w ślad za czwórką surogatów wprost w tropikalną noc, gęstą od wilgoci i przytłaczającą groźbą burzy. Nie było widać gwiazd, tylko błyskawice oświetlały drzewa i polanę na północ od strefy buforowej. Potknął się raz i upadł na kolana, ale szybko się podniósł i ruszył przed siebie. Widział już duży pentagram, w którym pozostali surogaci zajmowali właśnie miejsca na wierzchołkach gwiazdy.

Zastanawiał się, czy nie uciec od razu, ale błyskawice oświetlały w strefie buforowej dwóch strażników uzbrojonych w M-16 i noktowizory. Poczeka.

Przyszło mu zająć pusty krąg pomiędzy Jensenem Leharem i wysokim młodym mężczyzną, chudym i długowłosym. Z jakiegoś powodu wydawało się to stosowne, że wszyscy są nadzy. Saul był jedynym z całej piątki, którego forma fizyczna pozostawiała co nieco do życzenia.

Głowa Jensena Luhara obróciła się, jakby leżała na talerzu gramofonu.

- Jeśli mnie słyszysz, mój mały pionku - powiedział po niemiecku - pożegnaj się teraz. Nie zabiję cię w gniewie. To będzie szybka śmierć.

Głowa Luhara obróciła się z powrotem ku niebu, wypatrując - podobnie jak pozostali - jakiegoś sygnału. Błyskawice obrysowały wyrazisty profil czarnoskórego mężczyzny płynnym srebrem.

Saul obrócił się, wziął zamach i cisnął kamieniem wielkości dłoni, który podniósł, kiedy minutę wcześniej rozmyślnie upadł na kolana. Kamień trafił Luhara tuż za lewym uchem i olbrzym padł jak ścięty. Saul odwrócił się i ruszył biegiem. Zniknął w tropikalnym gąszczu, zanim pozostali surogaci byli w stanie zrobić coś więcej niż popatrzeć za nim. Żaden nawet nie krzyknął.

Pierwsze pięć minut biegu to była zwykła bezmyślna ucieczka. Sosnowe igły i opadłe liście palm kłuły go w boscie stopy, gałęzie i poszycie łomotało go po żebrach, oddech rzeził w gardle. Dopiero potem zapanował nad sobą na tyle, żeby się zatrzymać. Przykucnął na skraju gęstwiny trzciny i zaczął nasłuchiwać. Po lewej słyszał chlupot fal i - bardziej odległy - jazgot potężnych zaburtowych silników. Dziwny zgrzyt mógł być dźwiękiem elektrycznych megafonów ryczących nad wodą, ale słów nie dało się zrozumieć.

Zamknął oczy i spróbował odtworzyć w pamięci mapy i zdjęcia, wspominając długie godziny spędzone z Natalie w motelowym aneksie kuchennym. Od północnego krańca wyspy dzieliły go ponad cztery mile,

prawie pięć. Wiedział, że las, w którym się znajduje, nieco dalej gęstnieje i zamienia się w prawdziwą dżunglę, ustępując słonym moczarom milę poniżej północnego skraju wyspy. Zanim jednak zacznie się plaża, dżungla i bagna znowu się zetkną. Jedynymi zabudowaniami po drodze będą ruiny szpitala dla niewolników, zarośnięte fundamenty plantacji Dubose w okolicy skalistego cypla na wschodnim wybrzeżu i przewracane nagrobki dawnego cmentarza niewolników.

Przy jednej z błyskawic zerknął w głąb gąszczy trzcin i poczuł obezwładniającą chęć ukrycia się tam; najchętniej po prostu by tam wpełzł, zwinął się w pozycji płodowej i stał się niewidzialny. Wiedział, że szybciej umrze, jeśli to zrobi. Potwory z Dworku - przynajmniej trzy z nich - spędziły całe lata, tropiąc siebie nawzajem na tych kilku milach dżungli. W czasie przesłuchania w kryjówce Harold powiedział Saulowi o „szukaniu wielkanocnych pisanek”, które odbywa się w ostatnią noc gry: klubowicze wypuszczają wszystkich niewykorzystanych surogatów - tuzin lub więcej nagich i bezradnych mężczyzn i kobiet - i każą swoim ulubionym surogatom polować na pozostałych przy użyciu noży i krótkiej broni palnej. Barent, Kepler i Sutter znali wszystkie kryjówki, a Saul nie mógł pozbyć się wrażenia, że Willi jest w stanie wyczuć miejsce jego pobytu. W każdej chwili spodziewał się poczuć obrzydliwy dotyk starca w swojej głowie i zdawał sobie sprawę, że taki atak, z tej odległości, oznaczałby ostateczną klęskę wszystkich jego planów, zaprzepaszczone miesiące pracy, marzenia całego życia poświęcone na darmo.

Wiedział, że jego jedyną szansą jest ucieczka na północ. Wyszedł spod trzcin i zaczął biec. Nadciągająca burza rozbłyskiwała i dudniła za jego plecami.

- Tutaj - powiedział Barent, wskazując bladą, nagą postać przebiegającą po panoramicznym monitorze w piątym rzędzie. - Nie ma wątpliwości, że to ten psychiatra, Laski.

Sutter usadowił się wygodnie na jednej z miękkich sof w pokoju monitoringu i założył nogę na nogę. Popijał bourbona.

- Nigdy nie było co do tego żadnych wątpliwości - powiedział. - Pytanie brzmi: kto go wprowadził do gry i po co?

Pozostała trójka spojrzała na Williego, ale ten wpatrywał się w monitor w pierwszym rzędzie, na którym ochroniarze nieśli wciąż nieprzytomnego Jensena Luhara. Trzech surogatów wysłano do dżungli po Laskiego.

Willi z uśmiechem odwrócił się do towarzyszy.

- To byłaby z mojej strony głupota, wprowadzenie Żyda do gry - powiedział. - A ja nie robię głupstw.

C. Arnold Barent odszedł od monitorów i skrzyżował ręce na piersi.

- Co w tym głupiego?

Willi podrapał się po policzku.

- Wszyscy więzecie Żyda ze mną, chociaż to pan, Barent, uwarunkował go niedawno i jako jedyny spośród nas nie musi się niczego z jego strony obawiać.

Barent zamrugał tylko, ale nic nie powiedział.

- Gdybym chciał wprowadzić do waszej rozgrywki, jak wy to nazywacie, figuranta, dlaczego nie miałbym wybrać kogoś, kogo nikt z was nie zna? Kogoś w znacznie lepszej formie fizycznej? - Willi uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nie, wystarczy zastanowić się chwilę, żeby zdać sobie sprawę, jakim absurdem byłoby z mojej strony zrobić coś takiego. Nie robię głupstw, a wy musielibyście sami być głupi, żeby pomyśleć inaczej.

Barent spojrzał na Haroda.

- Tony, nadal obstajesz przy swojej historyjce o porwaniu i szantażu?

Harod zgarbił się na niskiej sofie i zagryzł knykieć. Powiedział prawdę, ponieważ spodziewał się, że są gotowi zwrócić się przeciwko niemu i chciał odwrócić ich podejrzenia. Teraz uważali go za kłamcę, a on tylko pomógł im rozładować część naturalnej obawy przed udziałem Williego.

- Nie wiem, kto, do kurwy nędzy, jest za to odpowiedzialny - warknął - ale ktoś tu sobie leci w kulki. Co ja bym miał w ten sposób zyskać?

- Rzeczywiście, co? - odparł swobodnym tonem Barent.

- Myślę, że to ma służyć odwróceniu uwagi - wycedził przez zęby Kepler i z nieskrywanym napięciem zerknął w stronę Williego.

Wielebny Jimmy Wayne Sutter parsknął śmiechem.

- Odwróceniu uwagi od czego? - zapytał, rechocząc w głos. - Wyspa jest odcięta od świata. Nikt nie ma wstępu na ten jej kraniec. Nikt poza osobistą ochroną brata C, ale to wszystko neutrale. Nie mam wątpliwości, że przy pierwszym sygnale nieprawidłowości w grze wszyscy nasi asystenci zostali... ehm... odprowadzeni do swoich pokojów.

Harod z niepokojem podniósł wzrok, ale Barent nadal się uśmiechał. Harod zdał sobie teraz sprawę, jak głupia była jego nadzieja, że Maria mogłaby mu jakoś pomóc w kryzysowej sytuacji.

- Odwrócenie uwagi od czego? - kontynuował Sutter. - Mnie osobiście,

biednemu, staremu, zaściankowemu kaznodziei, wydaje się, że to kiepska wymówka.

- Cóż, ktoś przecież musi go kontrolować - burknął Kepler.

- A może nie - odezwał się cicho Willi.

Głowy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

- Mój mały Żydek wykazywał się przez te lata zadziwiającym uporem - ciągnął Niemiec. - Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy siedem miesięcy temu znalazłem go w Charleston.

Uśmiech Barenta zniknął.

- Twierdzi pan, że ten... człowiek... zjawił się tu z własnej, nieprzymuszonej woli?

- *Ja*. - Willi się uśmiechnął. - Mój pionek z dawnych czasów nadal mnie ściga.

Kepler pobladł.

- Przyznajesz więc, że to ty jesteś powodem jego obecności, nawet jeśli przybył tu z własnej inicjatywy.

- W żadnym razie - odpowiedział życzliwie Willi. - Zabicie jego rodziny w Wirginii to był twój genialny pomysł.

Barent postukał się palcem w dolną wargę.

- Zakładając, że dowiedziałyby się, kto jest za to odpowiedzialny, jak dotarłby do szczegółów dotyczących Klubu Wyspiarskiego?

Zanim skończył pytanie, odwrócił się, by spojrzeć na Haroda.

- Skąd mogłem wiedzieć, że działa sam? - zapytał płaczkliwie Harod. - Kurwa, naszprycowali mnie czymś po uszy!

Jimmy Wayne Sutter wstał i podszedł do monitora, gdzie obraz z nocnych kamer przedstawiał bladą, nagą postać brnącą wśród pnączy i nagrobków.

- W takim razie, kto z nim teraz pracuje? - zapytał cicho, jakby mówił do siebie.

- *Die Negerin* - odpowiedział Willi. - Czarna dziewczyna. Ta od szeryfa z Germantown. - Roześmiał się, odrzucając głowę tak mocno w tył, że błysnęły plomby w zniszczonych wiekiem zębach trzonowych. - *Die Untermenschen* powstają, tak jak obawiał się tego Führer.

Sutter odwrócił się od ekranu, kiedy pojawił się na nim jamajski surogat Barenta. Szybkim, pewnym krokiem przemierzał zarośnięty cmentarz, przez który chwilę wcześniej chwiejnie brnął Laski.

- Gdzie zatem jest ta dziewczyna? - zapytał.

Willi wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Były jakieś czarne suki w zagrodzie dla surogatów?

- Nie - odpowiedział Barent.

- Czyli jest gdzie indziej - odrzekł Willi. - Może marzy o zemście na bandzie, która zabiła jej ojca.

- Nie zabiliśmy jej ojca - odparł Barent, pogrążony w myślach. - Zrobiła to Melanie Fuller albo Nina Dayton.

- Właśnie! - przytaknął ze śmiechem Willi. - Znowu ironia losu. Ale Żyd jest tutaj i jest niemal pewne, że to *die Negerin* pomogła mu się tutaj dostać.

Wszyscy spojrzeli na monitory, ale w tej chwili jedynym widocznym surogatem był człowiek Suttera, Amos: wyglądał jak drobny zapaśnik sumo, kiedy brnął przez wysokie trawy na południe od starej plantacji Dubose. Sutter miał zamknięte oczy, skupiony na kontrolowaniu swojego człowieka.

- Musimy przesłuchać Laskiego - orzekł Kepler. - Dowiedzieć się, gdzie jest dziewczyna.

- *Nein* - sprzeciwił się Willi, przypatrując się uważnie Barentowi. - Musimy zabić Żyda jak najszybciej. Nawet jeśli to wariat, może znać jakiś sposób, żeby nas zaatakować.

Barent opuścił skrzyżowane ręce i znowu się uśmiechnął.

- Niepokoi to pana?

Willi znowu wzruszył ramionami.

- Tylko to ma sens. Jeśli wszyscy będziemy współpracować przy wytropieniu Żyda, to odpadnie nam możliwość, że jeden z nas sprowadził go tutaj dla własnej korzyści. Dziewczynę łatwo znajdziemy, *ja?* Domyślam się, że znowu jest w Charleston.

- Domyśły nie wystarczą - warknął Kepler. - Powinniśmy go przesłuchać.

- James? - spytał Barent.

Sutter otworzył oczy.

- Zabić go i wracać do gry - powiedział i zamknął powieki.

- Tony?

Zaskoczony Harold podniósł wzrok.

- Kurwa, to ja też mam prawo głosu?

- Innymi sprawami zajmiemy się później - odrzekł Barent. - W tej chwili jesteś członkiem Klubu Wyspiarskiego i masz prawo głosu.

Harold odstłonił w uśmiechu drobne, ostre zęby.

- W takim razie wstrzymuję się - powiedział. - Zostawcie mnie, do cholery, w spokoju i zróbcie z gościem, co chcecie.

Barent popukał się w usta i popatrzył na pusty monitor. Blask błyskawicy przeciążył na chwilę czule obiektywy i wypełnił ekran białym światłem.

- Panie Borden... - odezwał się Barent. - Nie potrafię dostrzec, w jaki sposób ten człowiek mógłby nam zagrozić, ale zgadzam się z logiką pańskiego wyводу, że martwy będzie mniej niebezpieczny. Potem bez większych kłopotów znajdziemy dziewczynę i innych niedoszłych mścicieli.

Willi się pochylił.

- Możemy poczekać, aż Jensen, mój surogat, dojdzie do siebie?

Barent pokręcił głową.

- To by tylko opóźniło grę - odparł i podniósł mikrofon z pulpitu. - Panie Swanson? - powiedział i czekał na odpowiedź w słuchawkach. - Tropicie surogata, który uciekł na północ. Dobrze. Tak, też go widzę, jest w sektorze dwa-siedem-bravo-sześć. Tak, czas, żebyśmy usunęli tego intruza. Wszelkie środki dozwolone. Niech patrole przybrzeżne zbliżą się do wyspy. Proszę także zdjąć z posterunku helikopter numer trzy. Tak, proszę w miarę możliwości korzystać z podczerwieni i przysyłać dane z czujników naziemnych prosto do ekip tropiących... Nie wątpię, ale proszę się pośpieszyć. Dziękuję. Bez odbioru.

Natalie Preston siedziała w ciemnym domu Melanie Fuller w Starej Dzielnicy Charleston i rozmyślała o Robie Gentrym. Często o nim myślała, przez ostatnie miesiące niemal co wieczór, kiedy odpływała w sen, ale w ciągu dwóch miesięcy od opuszczenia Izraela starała się raczej odsunąć od siebie smutek i żal, żeby zrobić miejsce dla ponurej determinacji, która - jak czuła - powinna wypełnić jej umysł. Bez powodzenia. Od przyjazdu do Charleston udawało się jej przejechać koło domu Roba codziennie, zwykle wieczorem. Nieliczne godziny, których nie spędzała z Saulem, poświęcała na spacerowanie tymi samymi cichymi ulicami, którymi spacerowała z Robem; przypominała sobie nie tylko trywialne szczegóły ich rozmów, ale też rodzące się między nimi głębsze uczucia, narastające i nasilające się, mimo że oboje rozumieli, jak skomplikowany i nie w porę byłby ten romans. Odwiedziła grób Roba trzy razy i za każdym ogarniało ją poczucie straty, o którym wiedziała, że żadna zemsta go nie przewycięży ani nie zrekompensuje. Za każdym razem przysięgała sobie, że tam nie wróci.

Kiedy zaczęła drugą niekończącą się noc w domu grozy Melanie Fuller, zrozumiała bez cienia wątpliwości, że jeśli przetrwa kilka następnych godzin lub dni, to raczej dzięki wspomnieniu miłości niż pragnieniu zemsty.

Od nieco ponad dwudziestu czterech godzin przebywała sam na sam z bezmózgą menażerią Melanii Fuller. Całą wieczność.

Noc z niedzieli na poniedziałek była fatalna. Natalie została w domu Fuller aż do czwartej nad ranem i wyszła dopiero, kiedy wydawało się pewne, że Saul jest bezpieczny - aż do następnej nocnej rzezi. O ile dożyje wieczora. Wiedziała tylko tyle, ile Melanie powiedziała jej ustami dziecka, które kiedyś było Justinem Wardenem. Wymówka, że Nina nie jest w stanie kontrolować Saula na taką odległość - że potrzebuje pomocy Melanie, jeśli mają ocalić Williego i same siebie przed gniewem Klubu Wyspiarskiego - z każdą wlokącą się bez końca godziną wydawała się coraz mniej satysfakcjonująca.

Przez długie fragmenty pierwszej nocy Justin siedział nieruchomo, milczący i ślepy; pozostali członkowie „rodziny” Melanie byli pozbawieni życia tak samo jak manekiny. Natalie domyślała się, że starucha jest zajęta sterowaniem panną Sewell albo mężczyzną, którego od tygodni obserwowały przez lornetkę, kiedy ona przychodziła z Austinem do parku nad rzeką. Ale nie, na niego było jeszcze za wcześnie. Justin powiedział, że pierwszej nocy Melanie obserwowała rzeź na wyspie oczami jednego ze strażników. Natalie ze wszystkich sił usiłowała udać Ninę, żeby przestrzec Melanie przed przedwczesnym wmieszanym się w sprawę i zdradzeniem swojej obecności. Justin spiorunował ją wzrokiem i przez następną godzinę nie odezwał się ani słowem; bezradna Natalie mogła tylko biernie czekać na informacje. Czekać, aż starucha zakradnie się do jej umysłu i ją zabije. Ją i Saula.

Siedziała w domu, który śmierdział śmieciami i gnijącym jedzeniem, i starała się myśleć o Robie, o tym, co by powiedział w takiej sytuacji, jak by zażartował. Niedługo po północy posłużyła się aroganckim tonem Niny, żądając włączenia światła. Olbrzym zwany Culleyem zaszurał nogami i włączył lampę z czterdziestowatową żarówką pod na wpół oberwanym abażurem. Płaskie, nagie, ostre światło było gorsze od ciemności. Salon był wypełniony kurzem, zapomnianymi częściami garderoby, pajęczynami i masą odpadków. Pod zapadającą się sofą widać było brązowiejącą niedojedzoną kolbę kukurydzy. Skórki od pomarańczy walały się pod georgiańskim stolikiem. Ktoś, może Justin, bezmyślnie rozsmarował malinowy albo truskawkowy dżem na podłokietnikach fotela i sofy, zostawiając zaschłe ślady, które przywodziły na myśl krzepnącą krew. Słyszała szczury ganiające się w ścianach, może nawet w samych korytarzach; dostatecznie łatwo mogły wejść do domu z palm przez dziury w

oknach, które widziała z dziedzińca za każdym razem, gdy zbliżała się do domu. Czasem jakieś hałasy dobiegały także z piętra, były jednak zbyt głośne jak na szczury. Pomyślała o umierającym stworze, którego dostrzegła przelotnie na piętrze, o starej kobiecie pomarszczonej i pokrzywionej jak wiekowy żółw wyrwany ze skorupy, utrzymywany przy życiu przez dożylnie podawane roztwory soli fizjologicznej i bezlitosne maszyny; czasem - kiedy mijały długie okresy, w których nikt z koszarnej „rodziny” nie ruszał się, a nawet wydawało się, że nie oddychał - Natalie dochodziła do wniosku, że może Melanie Fuller umarła, a te roboty z krwi i kości zwyczajnie kontynuują realizację ostatnich cuchnących fantazji ich rozkładających się mózgow, niczym marionetki tańczące w rytm śmiertelnych drgawek lalkarza.

- Mają twojego Żyda - wyseplecił Justin w drugą noc. Było po północy.

Natalie ocknęła się z półdrzemki. Culley stał za krzesłem dziecka, pojedyncza żarówka podświetlała od dołu jego rozdętą twarz. Marvin, Howard i siostra Oldsmith kryli się gdzieś w cieniach za plecami Natalie.

- Kto go złapał?! - wyrwał jej się stłumiony okrzyk.

Twarz dziecka wyglądała sztucznie w zimnym świetle, jak oblicze lalki wymodelowane w łuszczącej się gumie. Natalie przypomniała sobie naturalnej wielkości manekina w Grumblethorpe i zdała sobie sprawę (czując, jak żołądek wywraca jej się na nice), że Melanie w jakiś sposób przekształciła to dziecko w imitację tamtego rozpadającego się przedmiotu.

- Nikt go nie złapał - warknął Justin. - Przed godziną otworzyli klatki i wypuścili go na wieczorną zabawę. Nie masz z nim żadnego kontaktu?

Natalie przygryzła wargę i rozejrzała się. Jackson siedział w samochodzie przecnicę stąd, Catfish obserwował dom z zaułka po drugiej stronie ulicy. Równie dobrze mogliby znajdować się na innej planecie.

- Melanie, jeszcze za wcześnie - warknęła. - Powiedz mi, co się dzieje.

Justin odsłonił dziecięce ząbki.

- Nie sądzę, Nino, moja droga - syknął. - Nadszedł czas, żebyś mi powiedziała, gdzie jesteś.

Culley wychynął zza krzesła, Marvin przyszedł z kuchni. Trzymał długi nóż, w którym odbiło się światło czterdziestowatowej żarówki. Za plecami Natalie siostra Oldsmith wydała z siebie jakiś dźwięk.

- Przestań - szepnęła Natalie.

Jej gardło zacisnęło się w ostatniej chwili, i to, co miało zabrzmieć jak autorytarny rozkaz Niny, wypadło jak zduszona prośba.

- Nie, nie, nie - syknął Justin i ześliznął się z krzesła.

Podszedł do niej pochylony, prawie na czworakach, muskając palcami rąk zarośnięty brudem orientalny dywan, jakby wspinał się po ścianie niczym mucha.

- Albo nam powiesz, Nino, albo stracisz tę kolorową dziewczynę. Pokaż mi, Nino. Pokaż mi resztę Talentu, jaka ci została. O ile naprawdę jesteś Niną.

Twarz dziecka wykrzywiła się jak przerażająca maska, jakby gumowa głowa lalki topiła się w niewidzialnych płomieniach.

- Nie - odpowiedziała Natalie.

Wstała. Culley stanął jej na drodze do wyjścia. Marvin obchodził sofę dookoła. Przesunął złożoną dłońią po całej długości ostrza, które od razu pokryło się jego krwią.

- Teraz mi wszystko powiesz, Nino - szepnął Justin. Na piętrze rozległ się hałas i odgłos przesuwania czegoś. - Albo ona umrze.

Wiatr zaatakował przed deszczem, szarpiąc palmami gorączkowo, porywając liście i gałęzie w powietrze w powodzi ostrych szczątków. Saul padł na kolana i zakrył głowę rękami, kiedy listowie uderzyło w niego tysiącem drobnych szponów. Błyskawice zamrażały miotany wiatrem chaos w serii stroboskopowych obrazów, gromy nakładały się na siebie, tworząc potężną ścianę dźwięku.

Zabłądził. Skulił się pod dużą paprocią, kiedy front burzowy uderzył, i próbował zorientować się w kierunkach w nocnym chaosie. Dotarł do słonych mokradeł, ale potem stracił poczucie kierunku, zagłębił się w coś, co miało być ostatnim odcinkiem dżungli, a znalazł się z powrotem na cmentarzu niewolników, tyle że godzinę później. Helikopter dudnił w górze, a jego reflektor badał okolicę snopem światła nie mniej intensywnym od błyskawic w tle.

Wpełził głębiej pod paproć. Nie wiedział, po której stronie słonych bagien teraz się znajduje. Zaraz po tym, jak wiele godzin temu zawrócił na cmentarz, wysoki, tykowany surogat o długich włosach wyskoczył z cienia za kruszącym się murem i rzucił się na niego z zębami i pazurami. Wyczerpany, oszołomiony zmęczeniem i strachem Saul złapał pierwszą rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę - zardzewiały pręt, który kiedyś mógł pełnić rolę podpory dla nagrobka - i spróbował odeprzeć atak. Pręt trafił tamtego w skroń i rozorał mu głowę. Chłopak padł nieprzytomny. Saul przyklęknął obok niego, znalazł puls i uciekł w głąb dżungli.

Helikopter nadleciał ponownie, kiedy Saul zdążył schować się pod cyprysami za słonym mokradłem. Huk wiatru zagłuszył jazgot wirników, chociaż zmagająca się z podmuchami wiatru maszyna znajdowała się zaledwie dwadzieścia stóp nad drzewami. Saul nie obawiał się specjalnie helikoptera; śmigłowiec był zbyt niestabilny, żeby posłużyć jako platforma do ostrzału w czasie burzy. Wątpił też, żeby go wypatrzyli, dopóki nie wyjdzie na otwarty teren.

Zastanawiał się, dlaczego słońce jeszcze nie wzeszło. Był przekonany, że od początku jego męczarni minęło więcej czasu niż potrzeba na tuzin nocy. Biegł całą wieczność. Przykucał pod kolejnymi cyprysami. Łapał gwałtownie oddech, patrząc z niedowierzaniem na swoje stopy: wyglądały, jakby ktoś przeciągnął po nich grabiami z brzytwami zamiast ząbków. Przez chwilę wyobrażał sobie, że nosi skarpety w czerwono-białe pasy i szkarłatne pantofle.

Wiatr ucichł i w chwili ciszy przed deszczem Saul uniósł twarz do nieba i krzyknął po hebrajsku:

- Ej! Jakie jeszcze żarty masz w zanadrzu?

Jasny, poziomy promień przebił się do niego zza cyprysów. Przez sekundę myślał, że to błyskawica, potem zdumiał się, jakim cudem helikopter zdołał wylądować, ale zaraz zrozumiał, że to nie jest ani jedno, ani drugie. Za ścianą cyprysów znajdowała się wąska plaża, a za nią ocean. Łodzie patrolowe badały brzeg szperaczami.

Nie zważając na światła, poczołgał się w stronę piasku. Jedyne plaża po tej stronie strefy buforowej znajdowała na północnym krańcu wyspy. Udało mu się. Zastanawiał się, ile już razy znajdował się o kilka jardów od plaży tylko po to, żeby znów się zgubić, zniechęcić bagnem i dżunglą i zawrócić?

Plaża była tu wąska, miała nie więcej niż dziesięć, dwanaście stóp szerokości. Dalej, za nią, wysokie fale rozbijały się o skały. Dopóki nie zapadła cisza przed burzą, wiatr i gromy zagłuszały huk przyboju. Saul wyszedł na kolanach na piasek i spojrzał ku morzu.

Co najmniej dwie małe łodzie znajdowały poza linią przyboju; potężne reflektory przeczesywały plażę kołyszącymi się snopami białego światła. Błyskawica podświetliła na chwilę obie łodzie i Saul zorientował się, że znajdują się niecałe sto metrów od niego. Ciemne sylwetki uzbrojonych mężczyzn były doskonale widoczne.

Jeden ze snopów światła przesunął się wzdłuż plaży i ściany listowia w kierunku Saula, który popędził w stronę dżungli, rzucając się w paprocie i

wysoką trawę morską na ułamek sekundy przed tym, jak światło dotarło do niego. Przycupnięty za niską wydumą rozważał swoje położenie. Helikopter i łódzie patrolowe dowodziły, że Barent i pozostali porzucili grę z surogatami i niemal na pewno wiedzieli, kogo ścigają. Miał cichą nadzieję, że jego obecność wywoła zamieszanie, jeśli nie wręcz tarcia w ich szeregach, ale specjalnie na to nie liczył. Niedocenianie inteligencji czy uporczywości wroga nigdy nie popłacało. Zdarzyło mu się wrócić do Izraela w najbardziej panicznym okresie wojny Jom Kippur i dobrze wiedział, że samozadowolenie często okazuje się śmiertelne w skutkach.

Zanurkował przed siebie, równolegle do plaży, przebijając się przez gęste poszycie, potykając o korzenie mangrowców, nie mając nawet pewności, czy biegnie we właściwym kierunku. Co minutę lub dwie rzucał się na płask na ziemię, kiedy tuż obok padał snop światła z reflektora albo helikopter przelatywał z rykiem wzdłuż plaży. Wiedział, że z jakiegoś powodu ograniczyli poszukiwania do tego koniuszka wyspy. W czasie trwającej kilka godzin ucieczki nie widział nigdzie kamer ani czujników, ale nie wątpił, że Barent i pozostali wykorzystują wszelką dostępną technikę, żeby nagrywać swoje chore gry i zredukować szansę, że jakiś sprytny surogat będzie tygodniami lub miesiącami ukrywał się na wyspie.

Potknął się na niewidocznym korzeniu i wyłożył jak długi. Uderzył głową o gruby konar, zanim jego twarz wylądowała w głębokiej na sześć cali słonej bagiennej wodzie. Ledwie starczyło mu przytomności, żeby przeturlać się na bok, złapać się ostrej trawy i podciągnąć w stronę plaży. Krew spływała mu po policzku do otwartych ust; smakowała prawie tak samo jak słona woda z mokradła.

W tym miejscu plaża była szersza, chociaż nie tak szeroka jak odcinek, gdzie wylądowała Cessna. Saul zdał sobie sprawę, że nigdy nie znajdzie znajomej zatoczki pływowej, jeśli nie wyjdzie spomiędzy drzew. Mógł ją już nawet minąć, nie zauważając jej w tym koszmarze dżungli, gałęzi i bagien.

A jeśli znajdowała się rzeczywiście sporo dalej, to w tym tempie będzie jeszcze szedł wiele godzin. Jego jedyną nadzieją była plaża.

Tymczasem łodzi przybywało: z miejsca, w którym leżał pod niskimi gałęziami cyprysów, widział już cztery kołyszące się dalej od brzegu i jedną, która podpłynęła bliżej i znalazła się niecałe trzydzieści metrów od plaży; kolejne napędzane burzą fale podrzucały ją wysoko. Zaczął padać deszcz. Saul modlił się o tropikalną ulewę, o potop, który zmniejszy widoczność do zera i zatopi jego wrogów jak żołnierzy faraona. Na razie jednak padała

równomierna, lekka mżawka, która mogła być jedynie wstępem do prawdziwej burzy - albo mogła całkiem minąć, wreszcie otwierając niebo na tropikalny świt, który przypieczętuje jego los.

Czekał pięć minut pod gałęziami, kucając wśród trawy morskiej za kłodą drewna, kiedy łodzie podpływały z reflektorami albo przelatował helikopter. Miał ochotę roześmiać się, wstać i rzucać w nich wszystkich kamieniami, przeklinać ich przez kilka błogosławionych sekund, zanim uderzą kule. Czekał jednak, przykucnięty, i zerkał na kolejną łódź patrolową, która przepłynęła nieopodal z rykiem silnika, śląc słone bryzgi na plażę.

Eksplozja rozdarła dżunglę za jego plecami. Przez sekundę myślał, że pioruny zaczęły uderzać bliżej, ale wtedy usłyszał łoskot wirników i zdał sobie sprawę, że to ekipa poszukiwawcza musiała zrzucić z helikoptera materiały wybuchowe. Eksplozje były zbyt potężne jak na granaty; po każdej z nich czuł przenikające piach wibracje, od których drżały gałęzie cyprysów. Wstrząsy nasiliły się, wybuchy stały się głośniejsze. Domyślił się, że jego prześladowcy odpalają ładunki, posuwając się wzdłuż plaży - co sześćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów kolejny ładunek eksplodował w głębi dżungli, jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów od jej skraju. Mimo mżawki ostry zapach dymu napłynął od plaży, z prawej strony. Saul zdał sobie sprawę, że jeśli burza nadal nadchodzi z południowego wschodu, to kierunek ruchu dymu też potwierdza, że znalazł się na północnym krańcu wyspy - tyle że wciąż miał do pokonania północno-wschodni cypel, za którym lądowała Cessna. Od znajomej zatoczki pływowej dzieliło go ponad ćwierć mili.

Posuwając się skrajem dżungli, będzie się tam przebijał godzinami, a każdy skrót przez mokradła był gwarancją zabłądzenia.

Wybuch rozerwał noc niecałe dwieście metrów na południe od niego. Rozległ się niewiarygodny wrzask, kiedy stado czapli poderwało się z ukrycia i zniknęło na ciemnym niebie, a potem dłuższy i straszniejszy wrzask człowieka krzyczącego z bólu. Saul zastanawiał się, czy to mógł być surogat.

Albo surogat, albo ktoś z pieszego patrolu oberwał podczas bombardowania ze śmigłowca.

Wyraźniej słyszał teraz łopaty wirnika mielące powietrze gdzieś na południe od niego, wysoko, ale coraz bliżej. Rozległ się terkot broni maszynowej, kiedy ktoś płynący łodzią wzdłuż linii przyboju strzelił serią na oślep w ścianę dżungli.

Saul żałował, że jest nagi. Zimny deszcz kapał na niego przez liście, nogi i kostki straszliwie go bolały, a za każdym razem, gdy zerkał w dół,

błyskawice ukazywały mu pomarszczony, wychudzony brzuch, kościste białe nogi i genitalia skurczone ze strachu i zimna. Ten widok nie napełniał go pewnością siebie i zapalem do walki - sprawiał raczej, że miał ochotę wziąć gorącą kąpiel, ubrać się w kilka warstw ciepłych ubrań i znaleźć spokojne miejsce do spania. Jego ciało od wielu godzin poruszało się tylko dzięki szarpiącym je przyptywom adrenaliny i w tym momencie cierpiało z powodu następstw jej odpływu. Było mu zimno, był zagubiony i przerażony - skorupa człowieka pozbawiona niemal wszystkich emocji prócz strachu i niemal wszystkich pobudek prócz zbędnego już atawistycznego przymusu przetrwania z dawno zapomnianych powodów. Krótko mówiąc, Saul Laski stał się dokładnie tą osobą, którą był czterdzieści lat wcześniej, pracując w Dole - tyle tylko, że teraz nie miał tyle wytrzymałości i nadziei co wtedy, jako młody człowiek.

Nie była to jednak jedyna zmiana, uświadomił sobie, unosząc twarz w stronę coraz gwałtowniejszej burzy.

- Sam zdecydowałem, że chcę tu być! - krzyknął po polsku w niebo, nie przejmując się, że prześladowcy mogą go usłyszeć.

Uniósł pięść, ale nią nie potrząsnął, tylko zacisnął w górze, sam nie wiedział - czy w geście potwierdzenia, triumfu, nieposłuszeństwa, czy rezygnacji.

Wybiegł spoza cyprysów, skręcił w lewo na ostatnią połąć trawy morskiej i popędził na otwartą przestrzeń plaży.

- Wejdz, Harod - powiedział Jimmy Wayne Sutter.

- Chwileczkę - odpowiedział Harod.

Został sam w pokoju monitoringu. Co prawda, kamery naziemne nie pokazywały już niczego ważnego, ale był jeszcze czarno-biały obraz z kamery na jednej z łodzi patrolowych w okolicy północnego cypla i kolorowa transmisja z pokładu śmigłowca, z którego zrzucano między drzewa ładunki wybuchowe i kanistry z napalmem. Harod uznał, że praca kamery jest do dupy - normalnie do zdjęć z powietrza używa się steadicamu i rozkołysane, zataczające się obrazy na obu monitorach przyprawiały go o mdłości - ale musiał przyznać, że budżet na efekty pirotechniczne przebija wszystko, co on kiedykolwiek zrobił z Willim, i zbliża się do orgiastycznej końcówki *Czasu apokalipsy* Coppola. Zawsze przypuszczał, że Coppola musiał się wściec, kiedy w wersji kolaudacyjnej powycinano mu sceny z napalmem, i nie dał się udobruchać, kiedy w wersji ostatecznej wstawiono je pod napisy końcowe.

Harod żałował, że nie ma przygotowanych z myślą o tej nocy paru steadicamów i osadzonej na wózku kamery Panavision - na pewno wykorzystaliby do czegoś te fajerwerki, choćby musiał napisać film specjalnie dla nich.

- Chodź, Tony, czekamy - ponaglił go Sutter.

- Już idę - odparł Harod, wrzucając do ust kolejną garść orzeszków i zapijając je wódką. - W radiu mówią, że osaczyli sukinsyna na północnym krańcu wyspy i wypalają tę cholerną dżunglę, żeby...

- Tony, czekamy - warknął Sutter.

Harod spojrział na kaznodzieję. Pozostała czwórka siedziała w pokoju gier od prawie godziny. Rozmawiali. Sądząc po minie Suttera, sprawy wyglądały bardzo źle.

- Dobrze, już idę.

Wychodząc z pokoju, obejrzał się jeszcze przez ramię i zdążył zobaczyć nagiego mężczyznę biegnącego plażą, doskonale widocznego dla obu kamer.

Atmosfera w pokoju gier wyrażała równie wielkie napięcie jak masakra na telewizyjnych monitorach. Willi siedział naprzeciwko Barenta, Sutter usiadł obok Niemca. Barent trzymał ręce skrzyżowane na piersi i wyglądał na bardzo niezadowolonego. Joseph Kepler przechadzał się w tę i z powrotem pod długim oknem. Zastłony były odsłonięte, deszcz spływał strumieniami po szybie, Harod dostrzegał czasem Live Oak Lane, kiedy błyskawica oświetlała niebo. Pioruny było słychać nawet przez wiele warstw szkła i grube mury. Spojrzął na zegarek. Była za kwadrans pierwsza. Znużony zastanawiał się, czy Maria nadal przebywa w areszcie, czy też asystenci i asystentki zostali już uwolnieni. Żałował jak cholera, że w ogóle opuścił Beverly Hills.

- Mamy problem, Tony - powiedział C. Arnold Barent. - Usiądź.

Harod usiadł. Spodziewał się, że Barent - albo, co bardziej prawdopodobne, Kepler -oznajmi mu, że członkostwo w Klubie już stracił, a za chwilę straci także życie. Wiedział, że nie ma szansy w próbie Talentu z Barentem, Keplerem czy Sutterem. Nie spodziewał się, że Willi skinie choćby palcem, żeby mu pomóc. Nagle doznał olśnienia, jakiego doznać może tylko skazaniec: to Willi podłożył mu Żyda, żeby go zdyskredytować i doprowadzić do jego usunięcia. Tylko po co? Czyżby stanowił dla Williiego zagrożenie? Co Williemu da usunięcie Haroda? Maria była jedyną kobietą na wyspie, której ktoś mógłby Użyć. Około trzydziestu ochroniarzy, których Barent trzymał na południe od strefy buforowej, było wysoko opłacanymi neutralami. Barent nie musiał posługiwać się Talentem, żeby sprzątnąć

Tony'ego Haroda - wystarczyłoby, żeby wcisnął guzik.

- O co chodzi? - zapytał zmęczonym tonem.

- Twój stary przyjaciel *Herr* Borden przygotował dla nas niespodziankę na dzisiejszy wieczór - oznajmił chłodno Barent.

Harod zrobił zdziwioną minę i spojrzał pytająco na Williiego. Spodziewał się, że to on poniesie koszty tej „niespodzianki”, nie wiedział jednak, co konkretnie planuje Willi.

- Zaproponowaliśmy wprowadzenie pewnej poprawki do statutu Klubu - odparł Willi. - C. Arnold i pan Kepler nie zgadzają się z naszą sugestią.

- To czyste szaleństwo - warknął Kepler ze swojego miejsca pod oknem.

- Milczeć! - rozkazał Willi.

Kepler się uciszył.

- My? - zapytał niezbyt inteligentnie Harod. - Jacy my?

- Wielebny Sutter i ja - wyjaśnił Willi.

- Okazuje się, że mój stary przyjaciel James przyjaźni się z *Herr* Bordenem już od paru lat - wtrącił Barent. - Ciekawy obrót spraw.

Harod pokręcił głową.

- Macie pojęcie, co się dzieje na północnym krańcu tej waszej cholernej wyspy?

- Owszem - przytaknął Barent. Wyjął z ucha cielistej barwy słuchawkę mniejszą od aparatu słuchowego i popukał w paciorek mikrofonu, przymocowany do niej cieniutkim jak żarnik drucikiem. - Mamy. Ma to niewielkie znaczenie w porównaniu z naszą dyskusją. Może ci się to wydać niedorzeczne, ale już w pierwszym tygodniu członkostwa w prezydium klubu przypadł ci decydujący głos.

- Nie mam nawet pojęcia, o czym wy w ogóle mówicie, do kurwy nędzy - odparł Harod.

- Mówimy o poprawce, która rozszerzyłaby prowadzone w Klubie Wyspiarskim polowania na... ehm... na bardziej stosowną skalę - odparł Willi.

- Na cały świat - wyjaśnił Sutter.

Twarz kaznodziei była zaczerwieniona i pokryta warstewką potu.

- Cały świat?

Barent posłał Harodowi sardoniczny uśmiech.

- Chcą się posługiwać surogatami-państwami, zamiast surogatami-graczami.

- Państwami? - powtórzył Harod.

Błyskawica uderzyła gdzieś za Live Oak Lane i spolaryzowane okna pociemniały.

- Do cholery, Harold! - wrzasnął Kepler. - Nie stać cię na nic więcej niż stanie jak kołek i powtarzanie po kimś?! Ci dwaj idioci chcą wszystko rozpirzyć. Żądają, żebyśmy grali pociskami i łodziami podwodnymi, zamiast pojedynczymi ludźmi! Chcą palić całe kraje, żeby zdobywać punkty!

Harold pochylił się nad stołem, spojrzął na Williego i Suttera. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

- Tony... - odezwał się Barent - Pierwszy raz słyszysz o tej propozycji?

Harold skinął głową.

- Pan Borden nigdy nie podnosił tej kwestii w rozmowie z tobą?

Harold pokręcił głową.

- Rozumiesz, jak ważny jest twój głos - ciągnął cicho Barent. - To może znacząco zmienić przebieg naszych corocznych zabaw.

Kepler parsknął dziwnym, niepewnym śmiechem.

- To może rozwalić cały ten przeklęty świat w pizdu.

- *Ja-* zgodził się Willi. - Może. A może nie. W każdym razie będzie to fascynujące doświadczenie.

Harold usiadł.

- Jaja sobie robicie - zdołał wybełkotać łamiącym się głosem. Nie popiskiwał tak od czasu dorastania i mutacji.

- Skądże znowu - odparł bez zajknięcia Willi. - Zademonstrowałem już, z jaką łatwością można obejść zabezpieczenia wojskowe, nawet te najwyższego stopnia. Pan Barent i pozostali od dziesięcioleci wiedzą, jak łatwo jest wpływać na przywódców państwowych. Musimy tylko usunąć ograniczenia czasowe i zacząć działać na większą skalę, żeby rywalizacja stała się nieskończenie bardziej ekscytująca. Wymagałoby to podróży po świecie i bezpiecznych miejsc spotkań, kiedy już rozgrywka... na dobre się rozkręci, ale jesteśmy pewni, że C. Arnold zdoła zadbać o takie szczegóły. *Nicht wahr, Herr Barent?*

Barent potarł policzek.

- Bez wątplenia. Nasz sprzeciw nie dotyczy kwestii możliwości technicznych ani nadzwyczajnej ilości czasu, jakich wymagałaby taka rozszerzona rywalizacja. Chodzi raczej o marnotrawstwo zasobów, ludzkich i nie tylko, gromadzonych przez tak długi czas.

Jimmy Wayne Sutter roześmiał się, głęboko, dźwięcznie. Ten śmiech znał każdy, kto oglądał go w telewizji.

- Bracie Christianie, chyba nie myślisz, że możesz wszystko to zabrać ze sobą do grobu, prawda?

- Nie - przyznał półgłosem Barent. - Nie widzę jednak powodu, żeby niszczyć tylko dlatego, że nie będę mógł się tym cieszyć.

- A ja owszem - odparł beznamyślnie Willi. - Przyjął pan pod obrady nową kwestię. Wniosek poddano głosowaniu. Jimmy Wayne i ja głosujemy za. Pan i ten tchórz Kepler przeciw. Tony, teraz ty zagłosuj.

Harod poderwał się z miejsca. Tonowi Williego nie sposób było się sprzeciwić.

- Wstrzymuję się - powtórzył. - Chrzanię was wszystkich.

Willi huknął pięścią w stół.

- Harod, do diabła, ty żydolibny wypierdku. Głosuj!

Wielkie imadło zacisnęło się na głowie Haroda, zatapiając stalowe szczęki w jego czaszce. Harod złapał się za skronie i otworzył usta w bezgłośnym krzyku.

- Proszę przestać! - warknął Barent i imadło się rozluźniło. Harod omal znowu nie krzyknął, tym razem z ulgi. - Wziął udział w głosowaniu. Ma prawo wstrzymać się od głosu. Pański wniosek nie uzyskał większości i został odrzucony.

- *Nein* - powiedział Willi. Błękitne płomienie zapłonęły w jego zimnych szarych oczach. - Bez większości nadal mamy impas. - Odwrócił się do Suttera. - Co powiesz, Jimmy Wayne, możemy zostawić tę kwestię w zawieszaniu?

Twarz Suttera była śliska od potu. Spojrzał na punkt powyżej i nieco na prawo od głowy Barenta i odparł:

- A siedmiu aniołów, mających siedem trąb, przygotowało się, by zatrąbić. I pierwszy zatrąbił. A powstał grad i ogień, pomieszane z krwią, i spadły na ziemię. A spłonęła trzecia część ziemi... I drugi anioł zatrąbił: i jakby wielka góra płonąca ogniem została w morze rzucona, a trzecia część morza stała się krwią... I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód... I czwarty anioł zatrąbił: i została rażona trzecia część słońca i trzecia część księżyca, i trzecia część gwiazd... I ujrzałem, a usłyszałem jednego orła lecącego przez środek nieba, mówiącego donośnym głosem: „Biada, biada, biada mieszkańcom ziemi wskutek pozostałych głosów trąby trzech aniołów, którzy mają zatrąbić!”. I piąty anioł zatrąbił: i ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię i dano jej klucz od studni Czeluści... - Sutter zamilkł,

dopił resztki bourbona i siedział w milczeniu.

- Co to miało znaczyć, James? - zapytał Barent.

Sutter jakby ocknął się z zadumy. Otarł twarz lawendową jedwabną chusteczką, wyjętą z kieszeni na piersi białej marynarki.

- To znaczy, że nie może być żadnego impasu - odparł chrapliwym głosem. - Antychryst tu jest. Wreszcie nadeszła jego godzina. Możemy co najwyżej wypełnić to co zapisane i dać najlepsze świadectwo, kiedy spadną na nas zgryzoty. Nie mamy wyboru.

Barent skrzyżował ręce na piersi i się uśmiechnął.

- A który z nas jest Antychrystem, Jamesie?

Sutter powędrował oszalałym wzrokiem od Williego do Barenta.

- Nie wiem i niech Bóg mi dopomoże. Oddałem duszę, żeby mu służyć, i nie wiem.

Tony Harod odepchnął się od stołu.

- To jest, kurwa, zbyt dziwaczne. Spadam stąd.

- Nigdzie się nie ruszysz - warknął Kepler. - Nikt nie opuści tego pokoju, dopóki tego nie rozwikłamy.

Willi rozparł się w fotelu, splatając palce na brzuchu.

- Mam pewną sugestię - mruknął.

- Śmiało - powiedział Barent.

- Sugeruję, żebyśmy dokończyli naszą partię szachów, *Herr* Barent.

Kepler przestał krążyć po pokoju, spojrzał na Williego, potem na Barenta.

- Partię szachów? - powiedział. - Jakich szachów?

- Właśnie - wtrącił się Harod. - Jakich szachów?

Potarł dłonią zamknięte oczy i zobaczył obraz własnej twarzy wyrzeźbionej w kości słoniowej.

Barent się uśmiechnął.

- Od kilku miesięcy rozgrywamy z panem Bordenem korespondencyjnie partię szachów. Nieszkodliwa rozrywka.

Kepler oparł się o okno.

- Jezu Chryste, Boże Wszechmogący - jęknął.

- Amen - powiedział Sutter, znowu patrząc zamglonym wzrokiem.

- Od kilku miesięcy... - powtórzył Harod. - Miesiące. Chcecie powiedzieć, że całe to kurestwo ostatnio... Trask, Haines, Colben... a wy, pokurwieńce, przez cały czas graliście w szachy?

Jimmy Wayne Sutter wydał z siebie odgłos plasujący się gdzieś pomiędzy beknięciem a śmiechem.

- Jeśli kto wielbi Bestię i obraz jej, i bierze jej zamię na czoło swe lub rękę, ten również będzie pić wino zapalczywości Boga - mruknał. - I będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów i wobec Baranka. A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi. - Znowu wydał z siebie ten dziwny odgłos. - I sprawi, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy dają sobie ZNAMIE na rękę swą prawą lub na swe czoło... A liczba jego sześćset sześćdziesiąt sześć.

- Zamknij się - rzucił uprzejmie Willi. - Zgadza się pan, *Herr* Barent? Partia weszła w fazę końcową, musimy ją tylko dokończyć. Jeśli wygram, rozszerzymy... rywalizację... na większą skalę. Jeśli pan wygra, zadowolę się obecnymi warunkami.

- Przerwaliśmy przy trzydziestym piątym ruchu - powiedział Barent. - Pańskie położenie nie było... ehm... godne pozazdroszczenia.

- *Ja*. - Willi wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Mimo to rozegram tę partię do końca. Nie żądam rozpoczęcia nowej.

- A jeśli gra zakończy się patem? - spytał Barent.

Willi wzruszył ramionami.

- W przypadku pata pan wygrywa - odrzekł. - Ja wygrywam tylko w przypadku czystego zwycięstwa.

Barent spojrzał na błyskawicę.

- Nie słuchaj tych pierdoł! - krzyknął Kepler. - To kompletny świr.

- Zamknij się, Joseph - powiedział Barent. Odwrócił się do Williego. - W porządku. Dokończymy partię. Gramy dostępnymi figurami?

- To mi odpowiada aż nadto - odpowiedział Willi z szerokim uśmiechem, który ukazywał idealną protezę. - Przeniesiemy się na parter?

- Tak - powiedział Barent. - Jedną sekundę. - Podniósł słuchawkę z mikrofonem i przez chwilę słuchał. - Tu Barent - powiedział w końcu do maleńkiego mikrofonu. - Wysadźcie jeden zespół na brzeg i natychmiast wyeliminujcie Żyda. Zrozumiano? Dobrze. - Odłożył słuchawkę. - Gotowe.

Harod poszedł za nimi do windy. Idący przed nim Sutter nagle się potknął, odwrócił i złapał go za rękę.

- I w owe dni ludzie szukać będą śmierci, ale jej nie znajdą - szepnął mu pośpiesznie w twarz. - I będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie.

- Odpierdol się - powiedział Harod i wyrwał dłoń z jego uścisku.

Całą piątką bez słowa zjechali na parter.

66.

Melanie

Pamiętam nasze pikniki na okalających Wiedeń wzgórzach: pachnące sosną pagórki, łąki pełne dzikich kwiatów, peugeot kabriolet Williego zaparkowany nad strumieniem lub w jakimś punkcie widokowym. Kiedy tylko Willi nie występował w tej swojej nedorzecznej brunatnej koszuli z przepaską na rękawie, był ucieleśnieniem elegancji - w jednym ze swoich jedwabnych letnich garniturów i zawadiackim białym kapeluszu z szerokim rondem, który dostał w prezencie od którejś z występujących w kabarecie tancerek. Przed Bad Ischl - przed zdradą Niny - przyjemność sprawiało mi samo przebywanie w towarzystwie dwojga tak pięknych ludzi. Nina nigdy nie wyglądała piękniej niż w tych błogich latach i choć obie wkraczałyśmy w wiek, w którym trudno byłoby nas nazwać dziewczętami (a nawet „młodymi kobietami”, wedle ówczesnych standardów), oglądanie blondwłosej, niebieskookiej i tryskającej entuzjazmem Niny pomagało mi zachować młodość.

Dzisiaj wiem, że to zdrada Niny w Bad Ischl była - bardziej nawet niż jej znacznie wcześniejsza zdrada z moim Charlesem - punktem zwrotnym, po którym ja zaczęłam się starzeć, a ona pozostała młoda. W pewnym sensie ona i Willi od tamtej pory Żerowali na mnie.

Przyszędł czas, żeby położyć temu kres.

W drugą noc niezwykłego czuwania w towarzystwie przysłanej przez Ninę Murzynki postanowiłam zakończyć to wyczekiwanie. Potrzebna była jakaś demonstracja siły. Byłam przekonana, że nawet kiedy pozbędę się kolorowej dziewczyny, Willi będzie wiedział, gdzie szukać Niny.

Muszę przyznać, że byłam nieco zdekoncentrowana. Od dłuższego czasu czułam, jak wracająca młodość ożywia moje ciało. Paraliż powoli ustępował i stopniowo uwalniał ze swojego deformującego uścisku moją lewą rękę i nogę, ale zarazem w podobny sposób słabła moja władza nad rodziną i innymi podwładnymi. Jakiś czas po tym, jak panna Sewell odprowadziła wzrokiem Jensena Luhara, mężczyznę zwanego Saulem oraz trzech innych surogatów opuszczających cele, zwróciłam się do kolorowej dziewczyny:

- Mają twojego Żyda.

W niepewnej reakcji pomagierki wyczułam słabość władzy Niny. Skoncentrowałam się na swoich ludziach i kazałam jej powiedzieć, gdzie się

znajduje. Odmówiła i zaczęła przesuwać tę swoją żalną służącą w stronę wyjścia. Byłam pewna, że straciła wszelki kontakt ze swoim człowiekiem na wyspie, przez co straciła także kontakt z Willim. Murzynka była całkowicie zdana na moją łaskę.

Postawiłam Culleya w miejscu, z którego mógł ją dopaść w dwóch krokach. Sprowadziłam też do pokoju czarnego chłopca z Filadelfii. Miał nóż w ręce.

- Teraz mi wszystko powiesz, Nino - drażniłam się z nią - albo ona umrze.

Spodziewałam się, że poświęci dziewczynę. Żaden pomagier, choćby najlepiej uwarunkowany, nie był wart zdradzenia kryjówki. Przygotowałam Culleya do zrobienia dwóch szybkich kroków i gwałtownego ruchu rąk, po którym dziewczyna padłaby na dywan bez życia, z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem, jak kurczaki, które Mammy Booth, nasza czarna służąca, zabijała na tyłach domu przed obiadem. Matka wybierała, a Mammy Booth chwytła, ukręcała łeb i rzucała na werandę odarte z piór ścierwo, zanim ptak zorientował się, że nie żyje.

Murzynka zrobiła zadziwiającą rzecz. Spodziewałam się, że Nina każe jej uciekać albo walczyć; oczekiwałam przynajmniej oporu psychicznego, gdy spróbuje przejąć władzę nad którymś z moich ludzi. Tymczasem kolorowa dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, rozpięła ten swój porozciągany sweter i odsłoniła nedorzecznie wyglądający pas - w rodzaju *bandilero*, w jakich gustują meksykańscy bandyci - obwieszony czymś, co wyglądało jak zawinięte w celofan bryłki plasteliny. Bryłki były połączone drucikami z gadżetem przywodzącym na myśl radio tranzystorowe.

- Melanie, przestań! - zawołała.

Przestałam więc. Ręce Culleya znieruchomiały w pół gestu, nie dosięgnąwszy jej chudej szyi. Nie czułam niepokoju, co najwyżej lekkie zaciekawienie tym przejawem szaleństwa Niny.

- To ładunki wybuchowe - wydyszała dziewczyna i dotknęła wyłącznika radia. - Jeżeli tkniesz mnie palcem, zdetonuję je. Jeżeli muśniesz mój umysł, czujniki to wykryją i detonacja nastąpi automatycznie. Wybuch zrówna z ziemią to cuchnące mauzoleum udające dom.

- Nino, Nino... - przemówiłam ustami Justina. - Jesteś przemęczona. Usiądź, odpocznij chwilę. Pan Thorne zaparzy nam herbaty.

Była to z mojej strony całkowicie naturalna omyłka, lecz Murzynka obnażyła zęby w grymasie, który nawet nie przypominał uśmiechu.

- Pana Thorne'a tu nie ma, Melanie. Twój mózg zmienia się w breję. Pan

Thorne, czy jak tam naprawdę się nazywał, zabił mojego ojca, zanim inny z twoich cuchnących znajomych zabił jego. Ale to zawsze byłaś ty, stara torbo. To ty byłaś pajęczycą siedzącą w samym środku każdej... Nawet nie próbuj!

Culley ledwie drgnął. Kazałam mu opuścić ręce, powoli, i cofnąć się. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zawładnąć świadomym układem nerwowym dziewczyny - wystarczyłoby dosłownie kilka sekund, żeby moi ludzie dopadli ją, zanim zdąży nacisnąć ten mały czerwony guzik. Oczywiście ani przez moment nie wierzyłam w prawdziwość jej niedorzecznych pogrózek.

- Jak powiedziałaś, moja droga? - zapytałam poprzez Justina. - Co to za materiał wybuchowy?

- Nazywa się C-cztery - odparła dziewczyna spokojnym, opanowanym głosem; ja jednak wyraźnie słyszałam jej rwany oddech. - To materiał wojskowy, odmiana plastiku... Jest tego dwanaście funtów, aż nadto, żeby wysadzić w diabły ciebie i cały ten dom, a przy okazji także pół domu Hodgesów.

Nie brzmiało to tak, jakby mówiła Nina.

Tymczasem na piętrze doktor Hartman nieporadnie wyciągnął wbitą w moje przedramię igłę kroplówki i zaczął mnie obracać na prawy bok. Odepchnęłam go zdrową ręką.

- Jak zamierzasz zdetonować ten ładunek, kiedy zabiorę ci twoją małą czarnulkę? - zapytałam przez Justina.

Howard wziął do ręki leżący na nocnym stoliku ciężki rewolwer kaliber .45, zdjął buty i bezszelestnie zszedł po schodach. Cały czas utrzymywałam przez pannę Sewell kontakt (aczkolwiek niezwykle słaby) z jednym ze strażników zajętych przenoszeniem nieprzytomnego Jensena Luhara do tunelu; pozostali ścigali człowieka, którego Murzynka nazwała Saulem. Nawet panna Sewell, znajdująca się w miejscu, gdzie przetrzymywano surogatów, słyszała sygnały alarmowe. Nad wyspę nadciągała burza; oficer wachtowy meldował o falach, które miały sześć stóp wysokości i nadal rosły.

Kolorowa dziewczyna zbliżyła się o krok do Justina.

- Widzisz te przewody? - spytała, pochyliwszy się nad nim. Cienkie włókna wychodziły spomiędzy jej włosów i znikwały pod kołnierzem bluzki. - Są podłączone do czujników. Przenoszą informacje z mojego mózgu do tego rejestratora. Rozumiesz, co mówię?

- Tak - przytaknął Justin. Nie miałam zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

- Fale mózgowe mają określone wzorce - ciągnęła - które są równie

niepowtarzalne jak odciski palców Gdy tylko dotkniesz mojego umysłu tym swoim brudnym, zgniłym, plugawym mózgiem, wygenerujesz tak zwany rytm theta, powszechnie obserwowany u szczurów, jaszczurek i innych niższych form życia, takich jak ty. Wbudowany w rejestrator mały komputerek rozpozna go i uruchomi zapalniki. Nie potrwa to nawet sekundy, Melanie.

- Kłamiesz - powiedziałam.

- Przekonajmy się. - Podeszła jeszcze bliżej i mocno popchnęła Justina, który, biedactwo, zatoczył się do tyłu, wpadł na ulubione krzesło mojego ojca i klapnął na nie ciężko. - Przekonajmy się! - powtórzyła, podnosząc gniewnie głos. - Sprawdź, czy kłamię, ty zasuszona wywłoko. Spotkamy się w piekle.

- Kim jesteś? - spytałam.

- Nikim. Kobieta, której zamordowałaś ojca; na tyle mało ważną, że niewartą zapamiętania.

- Nie jesteś Niną?

Howard dotarł na parter. Podniósł rękę z pistoletem, gotowy wychylić się zza framugi drzwi i strzelić.

Dziewczyna obejrzała się, na Culleya i hol wejściowy. W sączącej się z piętra zielonkawej poświacie Howard był ledwie widoczny jako niewyraźny cień.

- Jeżeli mnie zabijesz, czujniki zarejestrują zanik fal mózgowych i detonacja będzie natychmiastowa. Wybuch zabije wszystkich w domu.

Nie wyczuwałam w jej głosie strachu, raczej coś bliskiego... euforii.

Kłamała, naturalnie. A właściwie to Nina kłamała. Nie było mowy, żeby jakaś kolorowa ulicznica odkryła te wszystkie fakty z życia Niny, знаła prawdę o śmierci jej ojca i szczegóły Wiedeńskiej Gry. Faktem jednak było, że o tym, jakobym to ja zamordowała jej ojca, wspomniała już wcześniej, podczas naszego pierwszego spotkania w Grumblethorpe. A może się myliłam? Jak to wszystko się pokomplikowało... Może Nina po śmierci naprawdę postradała zmysły i teraz w swoim pomieszczeniu oskarżała mnie o wepchnięcie jej ojca pod tramwaj? A może w ostatnich sekundach życia jej świadomość schroniła się w mizernym mózgu tej dziewczyny (która mogła być, na przykład, pokojówką w Mansard House) i teraz wspomnienia Niny mieszały się i przeplatały z przyziemnymi wspomnieniami zwyczajnej kolorowej służącej?

Niewiele brakowało, żebym na tę myśl roześmiała się w głos. Cóż by to była za ironia losu!

Bez względu na stan faktyczny, nie bałam się eksplozji jej wyimaginowanych ładunków. Słyszałam już wcześniej słowo „plastik” w kontekście materiałów wybuchowych, ale byłam pewna, że ów plastik w niczym nie przypominał tych grud gliny, którymi się obwiesiła. One w ogóle nie wyglądały jak plastikowe! Poza tym pamiętałam, jak dawno temu, przed wojną, ojciec musiał wysadzić dynamitem tamę bobrów w naszej posiadłości. Wziął do pomocy jednego z naszych parobków i we dwóch wypłynęli na jezioro; nadzwyczaj ostrożnie obchodzili się zarówno z samym dynamitem, jak i zapalnikami do niego. Do głowy by im nie przyszło obnosić się z nimi w taki sposób. A reszta jej historii, te całe fale mózgowo i komputery... To już było zupełnie bez sensu; pomysł żywcem wyjęty rodem z opowiadań science fiction, którymi zaczytywał się Willi, wyszukując je w groszowych niemieckich czasopismach. Zresztą, nawet gdyby coś takiego było w ogóle możliwe (a byłam pewna, że nie jest), żaden czarny nigdy by tego nie zrozumiał. Ba, ja sama miałam kłopot z ogarnięciem tego konceptu.

Nie było jednak sensu bardziej naciskać. Zawsze istniała przecież możliwość, że gdzieś tam w aparaturze pomagierki Niny znajduje się jednak kawałek prawdziwego dynamitu. Nie widziałam powodu, dla którego nie miałabym jeszcze przez chwilę poudawać, że idę jej na rękę. Fakt, że była szalona jak przysłowiowy kapelusznik, nie czynił jej wcale mniej niebezpieczną.

- Czego chcesz? - zapytałam.

Oblizwała grube wargi i rozejrzała się na boki.

- Zabierz stąd wszystkich swoich ludzi, zostaw tylko Justina. Niech siedzi na krześle.

- Jak sobie życzysz - zamruczałam.

Czarny chłopiec, siostra Oldsmith i Culley wyszli, każde innymi drzwiami. Howard usunął się Culleyowi z drogi, ale nie opuścił pistoletu.

- Mów, co się dzieje - warknęła Murzynka. Cały czas trzymała palec na guziku przypiętego do pasa urządzenia.

- O czym ty mówisz, moja droga?

- Na wyspie. Co się stało z Saulem?

Kazałam Justinowi wzruszyć ramionami.

- Przestałam się nim interesować.

Zrobiła trzy kroki do przodu; pomyślałam, że zaraz uderzy bezbronne dziecko.

- Niech cię diabli! - powiedziała. - Albo mi powiesz to, co chcę wiedzieć,

albo wcisnę guzik. Będzie warto, chociażby po to, żeby wiedzieć, że nie żyjesz; że upiekłaś się w swoim łóżku jak bezwłosa królowa szczurów na rożnie. Wybieraj, suko.

Nigdy nie lubiłam przeklinania, a przywołane przez nią obrazy nijak nie osłabiły mojej odrazy do wulgarnego słownictwa. Moja matka żyła w przesadnym lęku przed wodą i powodziami; dla mnie to ogień był czymś szczególnie obmierzłym.

- Twój Żyd rzucił kamieniem w człowieka Williego i uciekł do lasu, zanim gra zdążyła się rozpocząć - odparłam. - Ściga go kilkunastu ludzi. Dwaj strażnicy przenieśli Jensena Luhara do ambulatorium znajdującego się w tym ich niedorzecznym podziemnym kompleksie. Od kilku godzin nie odzyskał przytomności.

- Gdzie jest teraz Saul?

Justin się skrzywił; jego głos zabrzmiał bardziej płaczliwie, niżbym sobie tego życzyła:

- A skąd ja mam wiedzieć? Nie mogę być wszędzie.

Nie widziałam powodu, dla którego miałabym jej tłumaczyć, że w tej właśnie chwili strażnik, z którym nawiązałam kontakt poprzez pannę Sewell, zajrzał do ambulatorium, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Murzyn Williego wstaje ze stołu i dusi obu wartowników, którzy go tam przynieśli. Miałam dziwne wrażenie *déjà vu*, dopóki nie przypomniałam sobie, jak latem 1932 roku wybraliśmy się z Niną i Willim do Krüger-Kino w Wiedniu na *Frankensteina*. Wtedy krzyknęłam, gdy dłoń potwora drgnęła na stole, tuż przed tym, jak wstał i pozbawił życia pochylającego się nad nim, niczego niepodejrzewającego doktora. Teraz nie zamierzałam krzyknąć. Kazałam strażnikowi przejść dalej, minąć pokój, w którym jego koledzy wpatrywali się w całą baterię telewizorów, i zatrzymać się w pobliżu biur. Naprawdę nie widziałam powodu, dla którego miałabym o tym wszystkim informować Murzynkę Niny.

- Dokąd uciekł Saul? - zapytała.

Justin założył ręce na piersi.

- A może ty mi to powiesz, skoro jesteś taka cwana? - zaproponowałam.

- Dobrze. - Murzynka przymknęła powieki, tak że wyzierał spod nich tylko rąbek białka oka. Howard czaił się w cieniu holu. - Biegnie na północ przez gęstą dżunglę. Są tam jakieś... ruiny. Nagrobki. To cmentarz.

Otworzyła oczy.

Jęknęłam i szarpnęłam się w łóżku. Byłam absolutnie pewna, że Nina nie

ma kontaktu ze swoim pomagierem! Tylko że niespełna minutę wcześniej widziałam dokładnie taki sam obraz na ekranie oglądanego przez strażników telewizora. W labiryncie tuneli straciłam z oczu Murzyna Williego. Czyżby to Willi Używał tej dziewczyny? Używanie kolorowych i innych przedstawicieli niższych ras najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Jeśli jednak to był Willi, to gdzie podziała się Nina? Czułam zbliżającą się migrenę.

- Czego chcesz? - zapytałam ponownie.

- Kontynuuj realizację planu - odparła, nie odstępując Justina na krok. - Zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami.

Zerknęła na zegarek. Nie trzymała już ręki na czerwonym guziku, ale wciąż pozostawał problem tych fal mózgowych i komputerów.

- W tej sytuacji nie ma to chyba większego sensu - zauważyłam. - Nieprzepisowe zachowanie twojego Żyda zniweczyło wieczorną rozgrywkę, wątpię, żeby pozostali...

- Zamknij się - warknęła, język był wulgarny, ale po tonie głosu rozpoznałam Ninę. - Masz działać zgodnie z planem, bo inaczej przekonamy się, czy C-cztery jest w stanie za jednym zamachem zrównać cały dom z ziemią.

- Nigdy nie lubiłaś mojego domu - powiedziałam. Justin odął wargi.

- Zrób to, Melanie. Zorientuję się, jeśli tego nie zrobisz, może nie od razu, ale wystarczająco szybko. A przed detonacją nie będzie już kolejnego ostrzeżenia. Do roboty!

W tej chwili byłam bardzo bliska rozkazania Howardowi, żeby ją zastrzelił; nikt nie będzie do mnie mówił tym tonem w moim domu, a już na pewno nie jakaś kolorowa flądra, której nie powinnam była w ogóle wpuszczać do salonu. Powstrzymałam się jednak i kazałam mu ostrożnie opuścić broń. Musiałam przemyśleć parę spraw.

To by było bardzo w stylu Niny (albo Williego, skoro już o tym mowa), sprowokować mnie w taki sposób. Gdybym ją teraz zabiła, salon wymagałby gruntownego sprzątnięcia, a ja nie zbliżyłabym się ani na krok do wykurzenia Niny z ukrycia. Na dodatek, jakaś część opowiadanej przez nią historii mogła się okazać prawdziwa - z całą pewnością ten dziwaczny Klub Wyspiarski, o którym mi opowiedziała, istniał naprawdę. Chociaż pan Barent okazał się dżentelmenem znacznie większego formatu, niż wynikało to z jej słów. I rzeczywiście, wiele wskazywało na to, że są dla mnie zagrożeniem, chociaż nie rozumiałam, dlaczego także Williemu miałoby grozić niebezpieczeństwo.

Gdybym zmarnowała tę szansę, nie tylko straciłabym pannę Sewell, ale byłabym zmuszona przez kolejne miesiące (jeśli nie lata!) żyć w ustawicznym lęku i niepewności, nie znając planów Klubu wobec mojej osoby.

Dlatego, mimo melodramatycznego wydźwięku trwającej już pół godziny sceny w salonie, wróciłam w końcu do punktu wyjścia, w którym znajdowałam się od kilku tygodni - do kruchego sojuszu z przyslaną przez Ninę Murzynką.

- Dobrze - westchnęłam.
- Zrób to teraz - powiedziała z naciskiem.
- Już, już, już - wymamrotałam.

Justin oklapł na krzesło i znieruchomiał, cała moja rodzina upodobniła się do posągów. Skrzypnęłam dziąsłami, zaciskając kurczowo szczęki, i zamknęłam oczy. Całe moje ciało wyprężyło się z wysiłku.

Panna Sewell podniosła głowę, gdy masywne drzwi na końcu korytarza otworzyły się z łoskotem. Strażnik siedzący w budce obok nich zerwał się na równe nogi. Do środka wszedł Murzyn Williego. Strażnik uniósł pistolet maszynowy, ale Murzyn zabrał mu broń i otwartą dłonią uderzył go od dołu w twarz; strzaskał mu nos i wbił odłamki kości aż do mózgu.

A potem sięgnął w głąb budki i pstryknął przełącznikiem. Wszystkie kraty się podniosły. Inni więźniowie skulili się w celach, panna Sewell zaś wyszła na korytarz, przeciągnęła się, żeby pobudzić krążenie, i odwróciła się do kolorowego mężczyzny.

- Cześć, Melanie - powiedział.
- Dobry wieczór, Willi - odparłam.
- Wiedziałem, że to ty - mówił dalej półgłosem. - To niewiarygodne, jak mimo upływu lat potrafimy się rozpoznać w najróżniejszych przebraniach, *nicht wahr?*
- To prawda. Znajdziesz jej jakieś ubranie? Nie powinna kręcić się tu nago.

Murzyn Williego uśmiechnął się od ucha do ucha, ale pokiwał głową, wyciągnął rękę i zdarł koszulę z zabitego strażnika. Narzucił ją pannie Sewell na ramiona. Skupiłam się na zapięciu dwóch ocalałych guzików.

- Zaprowadzisz mnie do wielkiego domu? - spytałam.
- Tak.
- Czy tam jest Nina, Willi?

Zmarszczył czoło i uniósł brew.

- A spodziewasz się ją tam zastać?

- Nie.

- Będą tam inni - odparł i znów błysnął w uśmiechu zębami Murzyna.

- Pan Barent - powiedziałam. - Sutter... i inni z Klubu Wyspiarskiego.

Pomagier Williego roześmiał się serdecznie.

- Melanie, najdroższa! Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Nic nie wiesz, a jednak za każdym razem udaje ci się wiedzieć wszystko.

Na twarzy panny Sewell odbiła się moja nadąsana mina.

- Nie bądź niemiły, Willi. To nie w twoim stylu.

Znów się roześmiał.

- Wiem, wiem - przytaknął tubalnie. - Nie czas dziś na bycie niemiłym. To nasze ostatnie spotkanie, *Liebchen*. Chodź, już na nas czekają.

Przeszłam w ślad za nim korytarzami, na górę, w noc. Nie napotkaliśmy więcej ochroniarzy; utrzymywałam tylko dyskretny kontakt ze strażnikiem w pobliżu biura.

Minęliśmy wysokie ogrodzenie, na którym wciąż jeszcze skwierczało ciało jednego ze strażników, rozkrzyżowane na podłączonych do prądu drutach. W ciemnościach przemykały jasne sylwetki - to inni nadzy więźniowie uciekali w noc. Nad naszymi głowami przewalały się chmury. Nadciągała burza.

- Ci, którzy mnie skrzywdzili, dziś za to zapłacą. Mam rację, Willi? - spytałam.

- O tak - wycedził basem przez zaciśnięte zęby. - Tak, Melanie, najdroższa. Zapłacą.

Ruszyliśmy w stronę skąpanego w świetle wielkiego domu.

Kazałam Justinowi wycelować palec w Murzynkę Niny.

- Sama tego chciałaś! - wrzasnęłam przeszywającym głosem sześciolatka.

- Sama chciałaś, więc teraz patrz!

67.

Dolmann Island

16 czerwca 1981, wtorek

Saul nigdy w życiu nie widział takiej ulewy. Kiedy biegł plażą, potop wypełniał powietrze masą wody, grożącą rozplaszczaniem go na piasku niczym masywna kurtyna spadająca na głowę pechowego aktora, który nie zorientował się, gdzie powinien stanąć. Dżgające mrok snopy światła reflektorów na łodziach (trzymających się poza linią przyboju) i w helikopterze tylko podświetlały wodne ściany, lśniąc jak ślady pocisków smugowych. Saul biegł bosy, ślizgał się na piasku o konsystencji błota i koncentrował się na tym, żeby nie upaść; miał dziwne przeczucie, że jeśli raz upadnie, nie będzie już w stanie się podnieść.

Tymczasem ulewa osłabła równie gwałtownie i niespodziewanie, jak przedtem się wzmogła. W jednej chwili strugi deszczy łomotały go po głowie i nagich ramionach, grzmoty i łoskot kropel na gęstym listowiu zagłuszały wszystkie inne dźwięki, a w następnej deszcz zelżał, widoczność wzrosła do ponad dziesięciu metrów, a do jego uszu dobiegły okrzyki nawołujących go ludzi. Tuż przed nim wzbily się w powietrze małe fontanny piasku i przez jeden zwariowany moment zastanawiał się, czy to nie jakaś dziwna reakcja zagrzebanych w piasku małży lub krabów na burzę - dopóki sobie nie uświadomił, że do niego strzelają. Grzmot silnika śmigłowca zagłuszył odgłosy burzy, olbrzymia sylwetka przemknęła górą, snop białego światła ciał powietrze i plażę. Helikopter przechylił się mocno, skręcił i młócąc gęste od deszczu powietrze, zawisł w poprzek drogi Saula zaledwie dwadzieścia stóp nad plażą i falami. Ryknęły zaburtowe silniki dwóch walczących z przybojem motorówek.

Saul potknął się, w ostatniej chwili odzyskał równowagę i pobiegł dalej. Nie wiedział, gdzie jest. Dobrze pamiętał, że północna plaża powinna być krótsza, a dżungla przy niej cofnięta dalej w głąb lądu. Przez ułamek sekundy, kiedy snop światła prześliznął się po nim i śmigłowiec zakończył półobrót, był przekonany, że w ulewie przeoczył charakterystyczną zatoczkę. Noc wszystko zmieniła, i burza, i przyływ... Zwyczajnie nie zauważył jej i przebiegł obok. Nie zatrzymał się jednak, mimo że każdy oddech szarpał mu gardło i pierś jak rozpalony drut kolczasty. Słyszał już strzały; fontanny piasku bryzgały przed nim z obu stron.

Śmigłowiec ruszył ku niemu na niskim pułapie, płozy orały powietrze na wysokości głowy Saula. Rzucił się na ziemię, szorując piersią, brzuchem i genitaliami po gruncie szorstkim jak papier ścierny. Podmuchał spod wirnika wcisnął mu twarz w piasek. Nie wiedział, czy przeznaczone dla niego kule dosięgły maszyny, czy po prostu zawiódł jakiś mechanizm, nagle jednak rozległ się dźwięk jakby ktoś wrzucił klucz francuski do turlającej się stalowej beczki. Helikopter zadygotał i szarpnął się w powietrzu, przelatując nad Saulem, a kiedy pięćdziesiąt metrów dalej spróbował nabrać wysokości, najpierw wyniosło go w lewo, nad wodę, a następnie odbił mocno w prawo, gdy oba wirniki zareagowały na gwałtowny przechył. Wpadł między drzewa.

Przez chwilę wydawało się, że wznosząca się gwałtownie maszyna wykosi sobie wirnikiem ścieżkę w najwyższych partiach dżungli - strzępy palmowych liści i inne drobne odłamki zafurkotały nad koronami drzew jak robotnicy czmychający z drogi pędzącego motocykla w komedii Macka Senneta - ale kiedy kilka sekund później kadłub zamajaczył nad drzewami, właśnie zdążył wykonać pół pętli; pleksiglasowa kabina połyskiwała od deszczu w rozproszonym świetle celującego teraz w niebo szperacza. Saul znów rzucił się na piasek, gdy kawałki śmigłowca zaczęły się sypać na pięćdziesięciometrowy odcinek plaży.

Kabina uderzyła w ziemię na samym skraju plaży, odbiła się jak wprawnie rzucony kamień, przeskoczyła trzy pierwsze białe linie grzywaczy przyboju i zniknęła w głębokiej na dziesięć stóp wodzie. Sekundę później eksplodowały pozostałe w niej ładunki wybuchowe. Kabina rozbłysła jak ognisko oglądane przez grube zielone szkło, biały gejzer wystrzelił na wysokość dwudziestu stóp, wiatr zbryzgał Saula pianą. Jeszcze przez pół minuty spadał z nieba deszcz drobniejszych odłamków.

Saul wstał, otrzepał się z piasku, wybałuszył oczy i zrobił głupawą minę. Dotarło do niego, że stoi w samym środku strumyka płynącego przez szerokie zagłębienie w plaży... i w tej samej chwili trafił go pierwszy pocisk. Poczucił ukłucie w lewym udzie, okręcił się bokiem, a wtedy druga kula uderzyła w okolicy prawej łopatki i obaliła go na ziemię, wprost w mętny strumień.

Dwie motorówki przedzierały się przez przybój, trzecia trzymała się sto stóp za nimi. Saul przetoczył się z jękiem na bok i obejrzał zranione udo: kula wyryła krwawy rowek tuż poniżej miednicy, po zewnętrznej stronie nogi. Sięgnął lewą ręką do tyłu, usiłując namacać ranę na plecach. Cokolwiek tam trafiło, pozbawiło go czucia w całej prawej łopatce; palce miał

zakrwawione, ale niewiele mu to mówiło. Podniósł prawą rękę, poruszał palcami... Przynajmniej nadal była sprawna.

Do diabła z ręką, pomyślał po angielsku i zaczął się czołgać w stronę dżungli. Dwadzieścia jardów od niego dziób pierwszej motorówki poszorował po dnie, czterej ludzie wyskoczyli i zaczęli brodzić w wodzie, unosząc wysoko karabiny.

Czołgający się Saul podniósł głowę i zobaczył przepływający po niebie poszarpany skraj wału chmur. Pojawiły się gwiazdy, chociaż na północy i zachodzie błyskawice dalej rozświetlały świat. Resztki chmur pierzchły niczym podnosząca się kurtyna, odsłaniając scenę przed trzecim - ostatnim - aktem przedstawienia.

Tony Harod zdał sobie sprawę, że ze strachu prawie sra w gacie. Przeszli całą piątką do głównej sali, gdzie ludzie Barenta ustawili już dwa potężne fotele po przeciwnych stronach rozległej, wykafelkowanej podłogi. Wszystkich drzwi i okien pilnowali neutralni Barenta; broń w ich rękach dziwnie kontrastowała z niebieskimi marynarkami i szarymi spodniami. Kilku mężczyzn otaczało Marię Chen - wśród nich niejaki Tyler, który był asystentem Keplera, oraz Tom Reynolds, drugi pomagier Williego. Przez dwuskrzydłowe szklane drzwi było widać luksusowy helikopter Barenta, który z włączonym silnikiem czekał na biegnącym ku morzu trawniku, trzydzieści metrów od budynku; pilnujący go neutralni mrużyli oślepieni reflektorami oczy.

Chyba tylko Barent i Willi wiedzieli, co się naprawdę dzieje. Kepler przechadzał się nerwowo i wyłamywał palce z miną skazańca, na twarzy Suttera malował się uśmiech człowieka pogrążonego w głębokim peyotlowym śnie.

- A gdzie szachownica, kurna? - zainteresował się Harod.

Barent z uśmiechem podszedł do długiego stołu w stylu Ludwika XIV, na którym czekały już kieliszki, butelki i śniadanie. Przy drugim stole, zastawionym elektroniką, stał wąsaty agent FBI nazwiskiem Swanson. Miał słuchawki i mikrofon.

- Szachownica nie jest niezbędna, Tony - powiedział Barent. - Jakkolwiek by na to patrzeć, szachy to przede wszystkim trening umysłu.

- Wy dwaj gracie już od miesiący, tak? Korespondencyjnie? - spytał Kepler. Głos drżał mu z napięcia. - Tak mówiłeś: że gracie, odkąd w grudniu spuściliśmy ze smyczy Ninę Drayton w Charleston?

- Nie. - Barent ruchem głowy dał służącemu znać, żeby nalał mu lampkę szampana. Upił łyk i skinął głową. - Pan Borden skontaktował się ze mną wcześniej, kilka tygodni przed Charleston. Wtedy przesłał mi pierwszy ruch.

Kepler zaśmiał się chrapliwie.

- Czyli pozwoliłeś mi myśleć, że tylko ja nawiązałem z nim kontakt, podczas gdy ty i Sutter korespondowaliście z nim w najlepsze?

Barent zerknął na Suttera, który niewidzącymi oczami wpatrywał się w szklane drzwi.

- Znajomość wielebnego z panem Bordenem datuje się od znacznie dawniejszych czasów.

Kepler podszedł do stołu i nalał sobie solidną whisky.

- Wykorzystałeś mnie - zarzucił Barentowi. - Tak jak wykorzystałeś Colbena i Traska. - Jednym łykiem prawie opróżnił szklankę. - Dokładnie tak samo.

- Joseph... - odezwał się pojednawczym tonem Barent. - Charles i Nieman znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Kepler znów się roześmiał i wziął dolewkę.

- Zbite figury - powiedział. - Usunięte z planszy.

- *Ja!* - przytaknął z zapalem Willi. - Ale i ja poniosłem pewne straty. - Posolił jajko na twardo i odgryzł duży kęs. - Na samym początku gry obaj z panem Barentem nader lekkomyślnie obeszliliśmy się z naszymi królowymi.

Harod, który zdążył się tymczasem przesunąć w pobliże Marii Chen, wziął ją teraz za rękę. Miała chłodne palce. Strażnicy Barenta stali w odległości kilku metrów.

Maria nachyliła się do Haroda i szepnęła mu do ucha:

- Zrewidowali mnie. Wiedzieli o pistolecie na jachcie. Nie uciekniemy z wyspy.

Harod skinął głową.

- Tony... - szepnęła Maria, ściskając jego dłoń. - Jestem przerażona.

Harod rozejrzał się po sali. Ludzie Barenta rozmieścili w niej małe reflektory oświetlające tylko część czarno-białej posadzki. Kafelki mierzyły mniej więcej cztery na cztery stopy. Naliczył osiem oświetlonych rzędów po osiem kwadratów - i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą ogromną szachownicę.

- Nie bój się - odparł szeptem. - Wyciągnę cię stąd. Przysięgam.

- Kocham cię, Tony - wyszeptała piękna Eurazjatka.

Harod długo na nią patrzył, zanim w końcu ostatni raz ścisnął jej dłoń i

wrócił do stołu.

- Jednej rzeczy nie rozumiem, *Herr Borden* - mówił właśnie Barent. - Jak przekonał pan tę Fuller, żeby nie wyjeżdżała za granicę? Ludziom Richarda Hainesa nie udało się ustalić, co właściwie wydarzyło się na lotnisku w Atlancie.

Willi roześmiał się i zebrał z warg okruchy białka jajka.

- Jeden telefon - wyjaśnił. - Zwykły telefon. Przed laty roztropnie nagrywałem niektóre rozmowy telefoniczne mojej drogiej przyjaciółki Niny z Melanie, potem wystarczyło je trochę przemontować... - Wzniósł głos do falsetu. - Melanie, najdroższa, to ty? Melanie? Mówi Nina.

Zaśmiał się ponownie i sięgnął po drugie jajko na twardo.

- Czy już wtedy wybrał pan Filadelfię jako miejsce naszej rozgrywki? - spytał Barent.

- *Nein*. Byłem gotowy grać w każdym miejscu, w którym Melanie Fuller postanowi się przyczaić. Chociaż Filadelfia wyjątkowo mi odpowiadała, ponieważ mój współpracownik, Jensen Luhar, mógł tam swobodnie poruszać się w środowisku czarnych.

Barent pokręcił ze smutkiem głową.

- Doszło tam do wielu kosztownych wymian. Oba nam zdarzyły się nieprzemyślane ruchy.

- *Ja*, oddałem królową za skoczka i kilka pionków. - Willi zmarszczył brwi. - Było to konieczne dla uniknięcia przedwczesnego pata, lecz zwykle na turniejach lepiej sobie radzę.

Swanson podszedł do Barenta i szepnął mu coś do ucha.

- Panowie wybaczą - powiedział Barent. - To zajmie tylko chwilę.

Wstał i podszedł do stołu z aparaturą łącznościową. Kiedy wrócił, spojrzał wilkiem na Williego.

- Co pan knuje, panie Borden?

Willi z miną niewiniątka oblizał palce.

- O co chodzi? - warknął Kepler. - Co się dzieje?

- Kilkunastu surogatów wydostało się z zagród - odparł Barent. - Zginęło co najmniej dwóch strażników na północ od strefy buforowej. Moi ochroniarze namierzyli właśnie czarnoskórego kolegę pana Bordena oraz kobietę, surogatkę sprowadzoną na wyspę przez pana Haroda, na Live Oak Lane, niespełna ćwierć mili stąd. Co pan zamierza, panie Borden?

Willi rozłożył ręce.

- Jensen to mój stary i dobry współpracownik. Sprowadziłem go tu

specjalnie na końcówkę partii, *Herr Barent*.

- A ta kobieta?

Willi wzruszył ramionami.

- Przyznaję, ją również zamierzałem wykorzystać - powiedział. Powiódł wzrokiem po dwóch tuzinach uzbrojonych w uzi i karabiny neutrali Barenta. Cienie kolejnych majaczyły na balkonach. - Dwoje nagich surogatów nikomu chyba nie zagraża - dodał i parsknął śmiechem.

Wielebny Sutter odwrócił się od okna.

- Gdy jednak Jahwe uczyni rzecz niesłychaną, gdy otworzy ziemia swoją paszczę i pochłonie ich razem ze wszystkim, co do nich należy, tak że żywcem wpadną do szeolu, wówczas poznacie, że ludzie ci bluźnili przeciw Jahwe. - Znów spojrział w noc. - Księga Liczb, rozdział szesnasty.

- Piękne dzięki, kurwa twoja mać - mruknął Harod. Odkręcił drogą wódkę i napił się z butelki.

- Cisza, Tony! - uciął Willi. - Panie Barent, zechce pan sprowadzić tu moje nieszczęsne pionki, byśmy mogli podjąć grę?

Kepler - z oczami szeroko otwartymi ze złości lub strachu - pociągnął Barenta za rękaw.

- Zabij ich - powiedział natarczywym tonem. Wskazał Williiego. - Jego przede wszystkim. To wariat. Chce zniszczyć cały ten cholerny świat, tylko dlatego, że sam niedługo umrze. Zabij go, nim zdąży...

- Zamknij się, Joseph - polecił mu Barent i skinął na Swansona. - Przeprowadzić ich. Zaczynamy.

- Zaraz - zaoponował Willi i na chwilę przymknął powieki. - Jest ktoś jeszcze... - Otworzył oczy. Uśmiechnął się jeszcze szerzej niż dotychczas. - Pojawiła się nowa figura. Gra zapowiada się o wiele bardziej satysfakcjonująco, niż mógłbym się spodziewać, *Herr Barent*.

Saul Laski został postrzelony przez sierżanta SS z plastrem na podbródku i zrzucony do Dołu, gdzie leżał wśród setek martwych, nagich Żydów, ale nie umarł. Czołgał się w ciemności po mokrym piasku na dnie Dołu, wśród gładkich, stygnących ciał mężczyzn, kobiet i dzieci z Łodzi i setki innych polskich miast i miasteczek. Odrętwienie w prawym barku i lewej nodze ustępowało, przechodząc w palące supły bólu. Został dwa razy postrzelony i wrzucony do Dołu - nareszcie! - ale wciąż żył. Żył i był wściekły. Przenikająca go furia była silniejsza od bólu, zmęczenia, strachu, szoku. Czołgał się po nagich trupach i wilgotnym dnie Dołu i czuł, jak wściekłość

rozpala w nim żądzę przetrwania za wszelką cenę. Czołgał się przez ciemność.

Był częściowo świadomy faktu, że ma halucynacje; profesjonalna część jego umysłu - zafascynowana tym zjawiskiem - zastanawiała się, czy zostały wyzwolone przez postrzał, i podziwiała wiarygodność tego przenikania się rzeczywistości, które dzieliło czterdzieści lat. Tymczasem inny segment jego świadomości przyjmował całe to doświadczenie jako jedyne prawdziwe; jako rozstrzygnięcie jego poplątanych losów, utkanych z wyrzutów sumienia i obsesji, które przez cztery dekady w zasadzie pozbawiły go prawdziwego życia; z fiksacji, która odebrała mu małżeństwo, rodzinę i plany na przyszłość, każąc przez czterdzieści lat rozpamiętywać niewytłumaczalną klęskę: niemożność śmierci. Niemożność dołączenia do tamtych w Dole.

Dopiero teraz mu się udało.

Czterej strażnicy, którzy wylądowali na plaży, porozumiewając się okrzykami, rozproszyli się w tyralierę na odcinku trzydziestu metrów. Zaterkotała broń. Saul skoncentrował się na przemieszczaniu się w niemal całkowitej ciemności, wmacując sobie drogę rękami. Piasek i morska piana ustępowały miejsca coraz liczniejszym kłodom drewna i pogłębiającym się mokradłom. Spuścił głowę, na chwilę zanurzył twarz w wodzie, wyprostował się i wytrząsnął z włosów wodę i gałązki. Gdzieś po drodze zgubił okulary, ale w tych egipskich ciemnościach nie miało to wielkiego znaczenia - równie dobrze mógł się znajdować dziesięć stóp, jak i dziesięć mil od drzewa, którego szukał. Światło gwiazd nie przebijało się przez gęste listowie i tylko ledwie widoczne własne blade palce, kiedy przysunął dłoń do twarzy, potwierdzały, że postrzał w bark go nie oślepił.

Jako lekarz zastanawiał się, czy bardzo krwawi, gdzie utknęła kula (nie udało mu się znaleźć rany wylotowej) i jak szybko będzie potrzebował fachowej pomocy medycznej, jeśli ma mieć szansę przetrwania. Kwestia ta jednak wydała mu się czysto akademicka, gdy druga seria z karabinu posiekła liście dwie stopy nad jego głową. Gałązki i odłamki spadały z cichymi pluśnięciami w bagno. Trzydzieści stóp za jego plecami rozległ się męski głos:

- Tutaj! Tędy szedł! Kelty, Suggs, za mną. Overholt, ty zostań na plaży i patrz, czy nie wraca.

Saul posuwał się naprzód. Musiał już wstać z klęczek, w pozycji stojącej woda sięgała mu do pasa. Silne latarki rozświetlały dżunglę za jego plecami stroboskopowymi błyskami żółtego światła. Potykając się, pokonał kolejne

dziesięć, może piętnaście stóp, zanim potknął się o zatopioną kłodę, przewrócił i zachłysnął mętą wodą.

Kiedy udało mu się pozbierać, wstać na kolana i unieść głowę, jedna z latarek zaświeciła mu prosto w twarz.

- Tu jest!

Snop światła na chwilę przesunął się w bok. Saul wtulił twarz w spróchniałe drewno, kule zaczęły gwizdać w powietrzu. Jedna weszła w miękkie drewno nie dalej niż dziesięć cali od jego policzka i z bzyzieniem wściekłego insekta zrykoszetowała nad bagniskiem. Odruchowo odwrócił twarz - i zobaczył, jak jeden z trzech sondujących okolicę promieni światła pada na pień martwego drzewa, rozdartego i osmolonego błyskawicą.

- Jeszcze raz daj tu w lewo! - zawołał ktoś.

Jazgot karabinów był ogłuszający. Pod gęstym sklepieniem liści miało się wrażenie, że prześladowcy Saula otworzyli ogień w ogromnym, zamkniętym pomieszczeniu.

Zanim latarki zdążyły się na nim skupić, wstał i, zataczając się, pobrnął w stronę odległego o dwadzieścia stóp drzewa. Jeden snop światła prześliznął się w jego kierunku, wyłowił go z ciemności i znów zgubił, gdy ochroniarz uniósł broń do strzału. Saul zauważył, że świst kul wokół głowy do złudzenia przypomina bzyczenie rozjuszonych os. Ochlapały go kropelki wody, gdy seria przeszła mokradło i z głuchym łoskotem ugrzęzła w pniu.

Światła namierzyły go ponownie, gdy dotarł do drzewa i wsadził rękę w otwór w pniu.

Torba, którą tam wepchnął, zniknęła.

W ostatniej chwili skrył się pod wodą; pociski poszatkowały drewno w miejscu, gdzie przed sekundą znajdowały się jego ramiona i głowa. Kule rozcinające wodę wydawały upiorne, śpiewne dźwięki, gdy czołgał się po dnie, zgarniając pełne garści korzeni, wodnych roślin i wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Dopiero znalazłszy się z drugiej strony drzewa, wystawił głowę nad powierzchnię i zaczerpnął tchu, modląc się o kij, kamień, cokolwiek, co mógłby ścisnąć w rękach w ostatniej, daremnej szarży w swoim życiu. Rozpierający go gniew stał się teraz czymś transcendentnym, pozwolił zapomnieć o bólu; Saul wyobrażał sobie, że prześwieca go od środka i wylewa się na zewnątrz jego ciała jak świetliste rogi, z którymi ponoć Mojżesz powrócił z góry, albo wąskie smugi światła przeświecające przez pusty pień drzewa w miejscach, gdzie podziurawiły go kule.

W ich świetle coś zabłysło we wnętrzu zdruzgotanego drzewa, dokładnie

na poziomie zalewającej je wody.

- Chodźcie tutaj! - zawołał ten sam strażnik, który pokrzykiwał wcześniej.

Strzały ucichły i jego towarzysz zaczął przemieszczać się z pluskiem w prawo, szukając lepszej pozycji do strzału. Trzeci zachodził Saula z lewej, świecąc latarką.

Saul zacisnął pięść i uderzył w pień w miejscu, gdzie światło przeświecało na wylot przez korę. Raz. Drugi. Przy trzecim ciosie jego ręka weszła w drewno i palce zacisnęły się na mokrej folii torby, która po prostu osunęła się głębiej w pniu.

- Widzicie go?! - zawołał ten z lewej. Zwisający z najniższych gałęzi mech częściowo przesłaniał widok.

- Chodź tu bliżej, do cholery! - zaklął ten z prawej. Prawie, prawie wynurzył się zza pnia.

Saul ścisnął mocniej folię i szarpnął, próbując wyciągnąć torbę przez zrobiony przed chwilą niewielki wylot. Była za duża. Puścił ją i zaczął szarpać drewno obiema rękami, drzeć korę paznokciami. Zwęglona i spróchniała kora odpadała całymi płatkami, ale głębiej pień był twardy jak stal.

- Widzę go! - zabrzmiał drugi głos z lewej strony.

Seria z automatu znów kazała się Saulowi schować w wodę, nie przestał jednak powiększać otworu w pniu. Po dwóch, trzech sekundach terkot karabinu ucichł. Saul wynurzył się, wciągnął haust powietrza, wytrząsnął wodę z oczu.

- ...kurwa, Barry, popierdoliło cię?! - krzyczał ktoś nie dalej niż dwadzieścia pięć stóp na lewo od niego. - Przecież stoję ci na linii ognia, kutasie jebany!

Sięgnął do wnętrza pnia i namacał tylko wodę. Torba ześliznęła się jeszcze niżej. Przesunął się w bok i zapuścił lewą rękę najdalej jak zdołał w głąb poszarpanego otworu. Namacał uchwyt na końcu podłużnego pakunku.

- Mam go! - krzyknął tym razem strażnik z prawej strony.

Saul cofnął się o krok, czując obecność dwóch czających się gdzieś z tyłu wrogów jako mrowienie w obolałej łopacie, i pociągnął z całej siły. Torba podjechała wyżej i solidnie zaklinowała się we wciąż zbyt małym otworze.

Ochroniarz z prawej strony wycelował latarkę, przymierzył i strzelił jeden raz. Światło prześwieciło pień przez nowy otwór dosłownie kilka cali nad głową Saula. Saul pochylił się, poprawił chwyt i znowu szarpnął. Torba ani drgnęła. Drugi pocisk wyciął światłu dziurę pomiędzy prawą ręką i klatką

piersiową Saula, który zrozumiał, że ci stojący za nim nie strzelają tylko dlatego, że ich trzeci towarzysz znajduje się dokładnie naprzeciwko nich, trzyma latarkę idealnie nieruchomo i właśnie ustawia się do trzeciego strzału.

Chwycił oburącz ucho torby, kucnął i rzucił się do tyłu z całym impetem, na jaki umiał się zdobyć. Bał się, że ucho się oderwie, co też nastąpiło, ale wcześniej pękata torba została oswobodzona, obsypując go gradem odłamków kory i chlapiąc wodą. Chwycił ją mocno, omal jej nie wypuścił, przycisnął do piersi, odwrócił się i pobiegł przed siebie.

Mężczyzna z prawej strony strzelił raz, po czym przełączył karabin na ogień ciągły, gdy Saul wybiegł poza krąg światła z jego latarki. Drugi snop światła, tym razem z lewej strony, namierzył Saula, ale sekundę później zgasł, gdy jego właściciel krzyknął z bólu i zaczął kląć, na czym świat stoi. Drugi karabin wypalił piętnaście stóp od miejsca, skąd strzelał poprzednio. Saul biegł i żałował, że zgubił okulary.

Woda sięgała mu zaledwie do kolan, kiedy potknął się o leżącą w niej kłodę i przeturlał na wysepkę porośniętą krzewami i pokrytą bagiennym śmieciem. Słyszał co najmniej dwóch ludzi taplających się w bagnie i zmierzających w jego stronę. Odwrócił ciężką torbę, namacał zamek błyskawiczny, odsunął go i otworzył wodoszczelny worek wewnętrzny.

- On coś ma! - zawołał jeden z tropiących go mężczyzn. - Szybciej!

Plusk wody dobiegł z najbliższego fragmentu płytkiego bagniska.

Saul wyciągnął pas obwieszony C-4, odrzucił go na bok i wyjął zabrany Hainesowi M-16. Karabin nie był naładowany. Starając się nie upuścić worka do wody, wyjął po omacku jeden z sześciu magazynków, upewnił się dotykiem, że trzyma go do góry nogami, odwrócił i wbił na miejsce. Kiedy w Charleston całym godzinami ćwiczył rozkładanie, ładowanie i strzelanie z M-16, nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Cohen tłumaczył mu, że każdy użytkownik karabinu powinien umieć go rozłożyć i złożyć z zawiązanymi oczami.

Snopy światła z latarek przeorały kłodę, za którą się skulił; sądząc po bliskim chlupaniu wody, pierwszy z napastników był nie dalej niż dziesięć stóp od niego i szybko się zbliżał. Saul przeturlał się w bok, w dobrze wyćwiczonym odruchu przełączył bezpiecznik karabinu z SAFE na SEMI, oparł plastikową kolbę o ramię i z odległości niespełna sześciu stóp krótką serią przeszył pierś i brzuch przeciwnika. Mężczyzna złożył się wpół, kiedy pociski prawie uniosły go w powietrze. Wypuścił latarkę z ręki. Jeden z jego towarzyszy zatrzymał się raptownie dwadzieścia stóp na prawo od Saula i

wydał niezrozumiały okrzyk. Saul strzelił w jego latarkę. Pękło szkło i metal, rozległ się jeszcze jeden krzyk i zapadła ciemność.

Saul zamrugał. Tuż przed sobą widział upiorną zielonkawą poświatę: to latarka pierwszego z zabitych strażników prześwietlała dwudziestocalową warstwę wody.

- Barry? - zabrzmiał przytłumiony głos z lewej strony, jakieś czterdzieści stóp od Saula; mniej więcej z tego miejsca próbowali pierwszy raz zejść go z boku. - Kip? Kurwa, ludzie, co się dzieje? Jestem ranny! Co wy odpierdalacie?!

Saul wyjął z torby drugi magazynek, wrzucił do niej pas z C-4 i szybko przesunął się w lewo, starając się trzymać płytkiej wody.

- Barry! - rozległ się ten sam głos dwadzieścia stóp bliżej. - Spadam stąd. Jestem ranny. Postrzeliłeś mnie w nogę, palancie jebany!

Saul posuwał się naprzód, wykonując ruch w chwilach, kiedy tamten mówił.

- Halo! Kto tu jest?! - zawołał w ciemności strażnik.

Z odległości piętnastu stóp Saul wyraźnie usłyszał trzask zwalnianego bezpiecznika. Oparł się plecami o drzewo i szepnął:

- To ja. Overholt. Poświeć tu.

- Kurna... - stęknął tamten i włączył latarkę.

Wyjrawszy zza drzewa, Saul zobaczył mężczyznę w szarym mundurze strażnika, z zakrwawioną lewą nogą: przytrzymując uzi w zgięciu łokcia, mocował się z latarką.

Saul zabił go strzałem w głowę.

Uniform strażniczy miał formę jednoczęściowego kombinezonu zapinanego z przodu na suwak. Saul zgasił latarkę, ściągnął kombinezon z trupa i go włożył. Z plaży dobiegały pokrzykiwania. Mundur był za duży, buty za małe nawet bez skarpetek, ale Saul Laski nigdy w życiu tak się nie cieszył, że ma co na siebie włożyć. Namacał w trzycalowej wodzie czapkę z daszkiem, którą nosił zabity strażnik, i też ją włożył.

Przytrzymując M-16 w zgięciu łokcia, wziął uzi do prawej ręki, wrzucił trzy zapasowe magazynki do głębokiej kieszeni kombinezonu i przypiął latarkę do paska. Wrócił do miejsca, w którym zostawił torbę. Pasy z C-4, magazynki do karabinu i pistolet były na swoim miejscu, suche i w komplecie. Dorzucił do nich uzi, zamknął szczelnie torbę, zarzucił ją na ramię i wyszedł z mokradeł na plażę.

Druga łódź przybiła do brzegu w odległości dwudziestu jardów; czwarty

strażnik z pierwszej ekipy dołączył do piątki nowo przybyłych. Na widok Saula, który wynurzył się z dżungli na zachód od zatoczki, odwrócił się do niego.

- Kip?! - zawołał, przekrzykując wiatr i łoskot przyboju. - To ty?!

Saul pokręcił głową.

- Barry! - krzyknął w odpowiedzi, przysłaniając usta dłonią.

- Co to była za strzelanina, do diabła? Dorwaliście go?

- Na wschód! - odkrzyknął enigmatycznie Saul i machnięciem ręki wskazał plażę ciągnącą się za plecami strażników.

Trzej z nich chwycili mocniej broń i potruchtali w tamtym kierunku. Ten, który rozmawiał z Saulem, powiedział coś do krótkofalówki. Dwie motorówki trzymające się poza zasięgiem przyboju oświetliły szperaczami skraj dżungli.

Brodząc w płytkiej wodzie, Saul podszedł do bliższej z zacumowanych łodzi, wyciągnął wbitą w piasek kotwicę i rzucił ją na rufę. Wskoczył do środka i rzucił torbę na siedzenie pasażera. Krew z rany na plecach przesiąkła przez długi pas nośny.

Zaopatrzona w dwa potężne zaburtowe silniki motorówka miała elektroniczny zapłon, który wymagał kluczyka. Kluczyk tkwił w stacyjce na desce rozdzielczej.

Saul uruchomił silniki, wycofał z plaży w wirze piany i piasku, obrócił łódź dziobem do fal i przebił się na otwarte morze. Dwieście jardów od brzegu skręcił na wschód i maksymalnie otworzył przepustnice. Dziób motorówki uniósł się nad wodę; opływając północno-wschodni kraniec wyspy, pędziła z prędkością czterdziestu pięciu węzłów. Łomotanie dzioba i kilu o fale Saul odczuwał jak wstrząsy w głębi kości. Radio zacharczało coś, więc je wyłączył. Łódź kierująca się na północ zamrugła do niego reflektorem, ale udał, że jej nie widzi.

Schował M-16 przed słoną pianą. Perląca mu się na zarośniętych policzkach woda działała orzeźwiająco jak zimny prysznic. Miał świadomość, że stracił sporo krwi i nadal ją traci (noga krwawiła obficie, bark również, ubranie kleiło mu się do pleców), ale nawet kiedy fala adrenaliny chwilowo opadła, determinacja płonęła w nim błękitnym ogniem. Czuł się silny i bardzo, bardzo rozgniewany.

W odległości mili zamajaczyło zielone światło na końcu długiej przystani przy Live Oak Lane, skąd już prosta droga prowadziła do Dworku i Obersta Wilhelma von Borcherta.

68.

Charleston

16 czerwca 1981, wtorek

Minęła północ. Natalie Preston miała wrażenie, że tkwi w pułapce koszmaru z dzieciństwa. To, co wydarzyło się wieczorem w dniu pogrzebu matki, sprawiło, że owego lata i jesieni przynajmniej raz w tygodniu budziła się zrana zimnym potem, nawołując ojca.

Pogrzeb urządzono w starym stylu, włącznie z wielogodzinnym czuwaniem w domu pogrzebowym. Krewni i przyjaciele zjechali się tłumnie i całymi dniami (tak przynajmniej wydawało się Natalie, która siedziała bez słowa obok ojca) stali w kolejce do otwartej trumny. Przepląkała całe dwa dni, aż w końcu zabrakło jej łez i tylko trzymała ojca za rękę, gdy nagle odczuła nieprzepatą potrzebę wyjścia do łazienki. Szeptem zasygnalizowała problem ojcu. Wstał, żeby zaprowadzić ją do toalety, lecz w tej samej chwili zagadnęła go grupa starszych krewniaków; jakaś podstarzała ciotka zaproponowała, że go wyręczy i zabierze Natalie do łazienki. Wzięła ją za rękę, poprowadziła korytarzami, przez kilkoro drzwi, po schodach na górę, aż w końcu wskazała białe drzwi.

Kiedy Natalie wyszła, przyglądając sztywną od krochmalu granatową sukienkę, podstarzałej ciotki nie było nigdzie widać. Z dużą pewnością siebie skręciła w lewo zamiast w prawo, przeszła kilkoma korytarzami, pokonała kilkoro drzwi, zeszła po schodach... i w niespełną minutę zabłądziła. Nie przerażało jej to. Wiedziała, że kaplica i pokoje dla gości muszą zajmować większość parteru, więc jeśli zajrzy za dostatecznie dużą liczbę drzwi, w końcu znajdzie ojca. Nie wiedziała jednak, że schody na tyłach prowadzą bezpośrednio do piwnicy.

Zajrzała kolejno za dwoje drzwi prowadzących do pustych pokojów. Za trzecimi padające z korytarza światło wyławiało z mroku stalowe stoły, stojaki z wielgachnymi butlami ciemnego płynu i długie, puste w środku metalowe igły przyczepione do cienkich gumowych węży. Zakrywając dłońmi usta, cofnęła się, okręciła na pięcie i przebiegła przez szerokie, dwuskrzydłowe drzwi w głębi korytarza. W połowie drogi przez ogromną, pełną skrzynek salę jej wzrok oswoił się z półmrokiem; światło sączyło się do środka przez małe, zasłonięte okna.

Zatrzymała się na środku sali. Żaden dźwięk nie mącił gęstego powietrza.

Otoczające ją przedmioty nie były wcale skrzynkami, tylko trumnami. Ich ciężkie, ciemne drewno jakby pochłaniało rozproszone światło. Niektóre były otwarte, tak jak trumna jej matki. Nie dalej niż pięć stóp od niej stało małe, białe pudełko - w sam raz na jej wymiar - zwieńczone krucyfiksem. Wiele lat później uświadomiła sobie, że przypadkiem zbłądziła do magazynu trumien albo salonu wystawowego, wtedy jednak zamarła w przeświadczeniu, że oto stoi sama, w półmroku, w otoczeniu tuzina pełnych trumien. Spodziewała się, że lada chwila trupy o bladych twarzach usiądą sztywno w swoich trumnach, zwrócą w jej stronę głowy i otworzą oczy - tak jak to robiły w filmach w piątkowym kinie nocnym, które oglądała z tatą.

W sali znajdowały się jeszcze drugie drzwi, wydawały się jednak odległe o wiele mil, a dotarcie do nich wymagałoby przejścia obok pięciu lub sześciu trumien w zasięgu rąk ich lokatorów.

Zrobiła to. Przez cały czas patrzyła na drzwi, szła powoli i czekała, aż blade ręce wyciągną się po nią - ale nie krzyczała i nie zaczęła biec; to był zbyt ważny dzień, pogrzeb mamy. A ona kochała swoją mamę.

Przeszła przez drzwi, weszła po oświetlonych schodach i znalazła się w holu przy drzwiach wejściowych.

- Tu jesteś, kochaniutka! - wykrzyknęła ciotka.

Zbeształa ją szeptem, żeby nie próbowała się więcej oddalać i bawić gdzieś po kątach, i zaprowadziła do czekającego w sąsiednim pomieszczeniu ojca.

Natalie przez kilkanaście lat nie wracała pamięcią do tego koszmaru, teraz jednak, siedząc w salonie domu Melanie Fuller naprzeciwko Justina, który wpatrywał się w nią obłąkanymi oczami starej kobiety osadzonymi w bladej, ciastowatej buzi dziecka, zareagowała tak samo jak we śnie, kiedy to wieka trumien faktycznie się odsunęły, tuzin trupów usiadł sztywno i dwa tuziny rąk wyciągnęły się po nią, schwytały ją i zaczęły ciągnąć - wyrrywając się, lecz wciąż milczącą - w stronę czekającej na nią pustej białej trumienki.

- Grosik za twoje myśli, moja droga. - Głos starej kobiety dobył się z ust dziecka.

Natalie otrząsnęła się z drzemki i zadumy. Żadne z nich nie odzywało się przez ostatnie dwadzieścia minut - od chwili, kiedy dzieciak wrzeszczał na nią i wytykał ją palcami.

- Co się dzieje? - spytała.

Justin wzruszył ramionami, szczerząc zęby w uśmiechu. Mleczaki sprawiały wrażenie spiłowanych w szpic.

- Gdzie jest Saul? - spytała Natalie tonem nieznoszącym sprzeciwu. Sięgnęła do nadajnika przy pasie z ładunkami. - Gadaj!

Saul opracował wprawdzie metodę podłączenia pakietu telemetrycznego do zapalników, ale wzdragał się na myśl o tym, że Natalie miałyby go użyć w obecności Melanie. Poszli więc na kompromis: zamiast spowodować detonację, rejestrator miał tylko wysłać ostrzeżenie do odbiornika znajdującego się w samochodzie, w którym czekał Jackson. Później jednak, kiedy Saul odpłynął na wyspę, Natalie sama podłączyła przewody bezpośrednio do ładunków przy pasie.

W ciągu ostatnich dwudziestu siedmiu godzin kilkakrotnie złapała się na tym, że jakaś jej część czeka na chwilę, w której ten stary potwór spróbuje przejąć władzę nad jej umysłem, czym doprowadzi do wybuchu. Była wyczerpana, wykończona zderzającym ją strachem i chwilami naprawdę miała wrażenie, że lepiej byłoby mieć już święty spokój. Nie miała pewności, czy taka ilość C-4 zabije staruchę z tej odległości; wiedziała jednak, że sterowane przez Melanie zombie nie dopuszczą jej bliżej.

- Gdzie jest Saul? - powtórzyła.

- Złapali go - odparł od niechcienia chłopiec.

Natalie wstała. W ciemnych sąsiednich pomieszczeniach rozlegały się szmery i szelesty.

- Kłamiesz! - warknęła.

- Czyżby? - Justin się uśmiechnął. - Dlaczego miałabym to robić?

- Co tam się stało?

Chłopiec znów odpowiedział wzruszeniem ramion i stłumił ziewnięcie.

- Powinnam się położyć, Nino, to już moja pora. Może rano wrócimy do tej rozmowy?

- Mów! - krzyknęła Natalie, kładąc palec na przycisku rejestratora.

- No dobrze, już dobrze - nadał się Justin. - Twój hebrajski przyjaciel wymknął się strażnikom, ale człowiek Williiego złapał go i zabrał do Dworku.

- Do Dworku... - powtórzyła szeptem Natalie.

- No przecież mówię! - zniecierpliwił się Justin, kopiąc w nogę krzesła. - Willi i pan Barent chcą z nim porozmawiać. Grają w grę.

Natalie rozejrzała się. Coś poruszyło się w holu.

- Czy Saul jest ranny?

- Nie wiem.

- A czy jest żywy?

Justin się skrzywił.

- Powiedziałałam przecież, że chcą z nim porozmawiać. A z trupem raczej by nie porozmawiali, prawda?

Natalie uniosła wolną rękę do ust i przygryzła paznokcieć.

- Czas na realizację naszego planu - powiedziała.

- Wcale że nie! - jęknął sześciolatek. - Sytuacja jest zupełnie inna od tej, na jaką kazałaś mi czekać. Oni sobie po prostu grają!

- Kłamiesz. Nie mogą grać, jeśli człowiek Williego wyszedł, a Saula trzymają w Dworku.

- Ale ja nie mówię o tej grze.

Chłopiec pokręcił głową, jakby nie mógł się nadziwić jej tępotcie. Natalie łatwo było zapomnieć, że ma przed sobą tylko marionetkę z krwi i kości, sterowaną przez leżące w łóżku na piętrze wiekowe monstrum.

- Grają w szachy - wyjaśnił Justin.

- W szachy - powtórzyła Natalie.

- No tak. Zwycięzca zdecyduje o następnej grze. Willi chciałby podnieść stawkę. - Chłopiec pokręcił głową w geście, jaki mogłaby wykonać starsza kobieta. - Zawsze miał zamiłowanie do wagnerowskich motywów Ragnaroku i Armagedonu. To pewnie wpływ niemieckiej krwi.

- Saul, ranny, jest w niewoli w Dworku, a oni grają sobie w szachy - powtórzyła beznamiętnie Natalie.

Przypomniało jej się pewne popołudnie sprzed siedmiu miesięcy, kiedy wraz z Robem Gentrym słuchali opowieści Saula o obozach śmierci i ukrytym gdzieś w polskich lasach na wpół zrujnowanym zamku, gdzie młody Oberst wyzwał *Der Alte* na ostateczny pojedynek.

- Tak, tak - przytaknął z satysfakcją Justin. - Panna Sewell też weźmie udział w grze. W drużynie pana Barenta. Pan Barent jest bardzo przystojny.

Natalie odsunęła się od niego. Długo rozmawiali z Saulem o tym, co powinna zrobić, jeśli ich plan zawiedzie. Saul sugerował, żeby rzuciła na ziemię ładunki podłączone do zapalnika zegarowego nastawionego na czterdzieści sekund i uciekała ile sił w nogach - nawet jeśli miałyby to oznaczać, że Barent i pozostali ujdą z życiem. Drugą możliwością był konsekwentny bluff i zmuszenie Melanie do odkrycia kart - wtedy wciąż mieliby szansę dorwać Barenta i, być może, resztę członków Klubu Wyspiarskiego.

Teraz Natalie dostrzegła trzecią możliwość. Do świtu pozostało jeszcze co najmniej sześć godzin. Zdała sobie sprawę, że choć wciąż przepełnia ją żądza sprawiedliwej zemsty za śmierć ojca, miłość do Saula jest w niej silniejsza.

Zdawała sobie poza tym sprawę, że kiedy Saul omawiał z nią możliwości odwrotu z wyspy, były to puste słowa; w rzeczywistości wcale nie planował ucieczki.

Miała świadomość, że sprawiedliwość wymaga, żeby trzymała się planu, lecz w tej chwili sprawiedliwość ustępowała w jej sercu miejsca narastającej potrzebie ocalenia Saula, jeśli tylko istniała taka szansa.

- Wychodzę na chwilę - oznajmiła stanowczym tonem. - Jeżeli Barents spróbuje opuścić Dworek albo zajdą inne okoliczności, postępuj zgodnie z planem. Ja nie żartuję, Melanie. Nie chcę słyszeć o porażce. Od tego zależy twoje życie. Jeżeli zawiedziesz, Klub Wyspiarski z pewnością będzie chciał cię zabić, ale nie zdąży, bo ja zabiję cię pierwsza. Czy wyrażam się jasno, Melanie?

Justin patrzył na nią bez słowa, na jego krągłej buzi błąkał się uśmiezek.

Natalie odwróciła się i wyszła do holu. W półmroku przed nią coś się poruszyło, ktoś wyszedł do jadalni. Justin ruszył za nią. Ktoś poruszył się na podeście u szczytu schodów, z kuchni dobiegł jakiś hałas. Przystanęła z palcem na czerwonym guziku. Skóra głowy swędziała ją pod okrągłymi przylepcami elektrod.

- Wrócę przed świtem - zapowiedziała.

Justin uśmiechnął się do niej. Jego twarz załśniła lekko w sączącej się z pietra słabiutkiej zielonej poświacie.

Catfish od ponad sześciu godzin obserwował dom Fuller, kiedy Natalie niespodziewanie wyszła na dwór. Nie taki był plan. Catfish dwa razy przycisnął guzik nadawania taniego CB-radia (Jackson nazywał to „młasnięciem”) i przykucnął w krzakach, czekając, co będzie dalej. Na razie nie widział jeszcze Marvina; kiedy tylko go zobaczy, zrobi wszystko, żeby ocalić starego przywódcę gangu z łap więdźmy, choćby się waliło i paliło.

Natalie szybkim krokiem przeszła przez podwórko. Musiała chwilę zaczekać, żeby ktoś (Catfish nie widział klienta) otworzył jej bramę.

Nie oglądając się za siebie, przeszła na drugą stronę ulicy, minęła zaułek, w którym czaił się Catfish, i skręciła w prawo zamiast w lewo, gdzie w zaparkowanym nieopodal wozie czekał Jackson. To był ich umówiony sygnał: Natalie spodziewała się, że ktoś ją może śledzić. Catfish mlasnął radiem trzy razy - Jax będzie wiedział, że ma objechać kwartał domów i zabrać Natalie z drugiej strony - po czym znów przyczaił się i czekał.

Ledwie Natalie zniknęła Catfishowi z oczu, jakiś człowiek wynurzył się z

cienia zalegającego podwórze domu Fuller i zgięty wpół przetruchtał na drugą stronę ulicy. Światło zaślniło na sonej stali lufy dużego rewolweru.

- Kurna... - mruknął przez zęby Catfish.

Odczekał jeszcze minutę, upewnił się, że nikt więcej nie idzie za Natalie, po czym sam zaczął się przemieszczać, trzymając się cienia zaparkowanych po wschodniej stronie ulicy samochodów. Nie znał faceta z pistoletem - był za mały na tego potwora Culleya, który mignął mu wcześniej na podwórku, i za biały na Marvina.

Bezszelestnie dotarł do skrzyżowania, precyzyjnie się przez żywopłot i wyrzwał. Natalie znajdowała się pół przecznicy dalej i właśnie zamierzała przejść na drugą stronę ulicy. Białas z pistoletem szedł bardzo, bardzo powoli, trzymając się w cieniu po tej stronie. Catfish mlasnął radiem cztery razy i ruszył za nim; w czarnych spodniach i wiatrówce był w zasadzie niewidzialny.

Miał nadzieję, że Natalie odłączyła całe to C-4. Denerwował się na myśl o ładunkach wybuchowych; widział na własne oczy, jak niewiele zostało z jego najlepszego kumpla Leroya po tym, jak się wysadził w powietrze. Nie bał się śmierci (i tak nie spodziewał się dożyć trzydziestki), ale chciał odejść z uśmiechem, w jednym pięknym kawalku, zapakowany w swój najlepszy garnitur za siedemset dolców i oplakiwany przez Marcie, Sheilę i Belinę.

Ostrzeżony poczwórnym mlaśnięciem Jackson ruszył z kopyta i przejechał na lewą stronę ulicy, żeby osłonić i przechwycić Natalie. Facet z pistoletem chwycił broń oburącz, oparł łokcie o dach zaparkowanego nieopodal volvo i wziął na cel odbicie latarni w przedniej szybie samochodu, tuż przed twarzą Jacksona.

Dzisiaj nie było herbatki i ciasteczek u wiedźmy, pomyślał Catfish. Suez musi być nieźle wkurwiona.

Ruszył naprzód, przemykając bezszelestnie w wartych pięć dych adidasach, i podciął białego fagasa z pistoletem. Kiedy facet wyrzwał brodą w dach volvo, Catfish na wszelki wypadek uderzył jeszcze jego twarzą w okno po stronie pasażera, chwycił rewolwer i zablokował kurek, wciskając pod niego fałdę skóry łączącą kciuk z palcem wskazującym. Na filmach wszyscy rzucają spluwami gdzie popadnie, ale on nie raz i nie dwa widział, jak taki upuszczony gnat potrafił kogoś postrzelić. To nie ludzie zabijają innych ludzi, pomyślał, kładąc białasa w cieniu na chodniku. To pistolety.

Jackson mlasnął dwa razy: przejął Natalie i odjeżdżał. Catfish się rozejrzał, upewnił się, że białas jest nieprzytomny, ale oddycha, i włączył

nadawanie.

- No hej, jak ci idzie?

Kiepski głośnik i słabe nagłośnienie deformowały głos Jacksona:

- Mam dziewczynę, wszystko gra. Co u ciebie?

- Facet z wielgachną wojskową czterdziestką piątką. Chyba mu się nie spodobałeś. Ale teraz śpi.

- Bardzo?

- Drzemie. Co mam z nim zrobić?

Catfish miał nóż, ale byli zgodni, że trup znaleziony w takiej porządnej białej dzielnicy nie przysłużyłby się interesom.

- Zostaw go w jakimś spokojnym miejscu.

- Się robi. - Catfish zaciągnął nieprzytomnego białasa w krzaki pod wierzbą. Obszukał go i znów pstryknął krótkofalówką. - A wy co, wracacie? Czy się zmywacie?

- Odezwę się później. - Głos Jacksona słabł wraz ze wzrostem odległości. Catfish zachodził w głowę, dokąd tamci dwoje jadą. - Ale spoko, wrócimy. Nie wychylaj się.

- Niech cię szlag! - mruknął Catfish przez radio. - Ty wrywasz panienkę, wozisz się z nią po nocy, a ja muszę kiblować w jakiejś zasikanej norze.

- Prawo starszeństwa - odparł ledwie już słyszalny Jackson. - Ja należałem do Soul Brickyard, kiedy ty byłeś dopiero wybrzuszeniem w spodniach twojego starego. Uważaj na siebie.

- Wal się, Stu.

Tym razem nie było już odpowiedzi i Catfish domyślił się, że wyjechali poza zasięg radia. Schował odbiornik do kieszeni i szybko, bezszelestnie wrócił do swojego zaułka, zaglądając po drodze we wszystkie cienie, żeby się upewnić, że wiedźma nie przysłała innych swoich żołnierzy.

Siedział w swojej kryjówce wciśnięty między kontener na śmieci i stare ogrodzenie z siatki od niespełna dziesięciu minut, przewijając w pamięci i stopując w wybranych momentach ulubione sceny z Belindą w łóżku w Chelten Arms, kiedy z uliczki za jego plecami dobiegł ledwie słyszalny szmer.

Zerwał się na równe nogi, jednocześnie otwierając składany nóż. Mężczyzna, który zaszedł go od tyłu, był zbyt wielki i zbyt łysy, żeby mógł istnieć naprawdę.

Culley jednym pacnięciem ciężkiej dłoni wytrącił Catfishowi nóż. Drugą ręką złapał chudego Murzyna za gardło i uniósł go w powietrze.

Catfish poczuł, że się dusi, przed oczami zaczęły mu latać ciemne plamy, ale kiedy to imadło w ludzkiej skórze podniosło go nad ziemię, dwa razy kopnął olbrzyma w jądra, a rękami uderzył go jednocześnie w oboje uszu z siłą zdolną rozsadzić bębenki. Potwór nawet nie mrugnął. Catfish sięgnął palcami do oczu przeciwnika, ale wtedy dłoń na jego gardle zacisnęła się mocniej, niewiarygodnie mocno, i z głośnym trzaskiem zmiażdżyła mu krtań.

Culley upuścił miotającego się, łapiącego rozpaczliwie powietrze Murzyna na żuźlową nawierzchnię i obserwował go beznamiętnie. Murzyn umierał przez blisko trzy minuty, zanim strzaskana krtań opuchła i odcięła dopływ powietrza do płuc. Pod koniec Culley musiał jeszcze przytrzymać stopą rzucające się i wierzgające ciało. Kiedy było po wszystkim, wyjął nóż i przeprowadził kilka doświadczeń, które upewniły go, że kolorowy naprawdę nie żyje. Dopiero wtedy wyszedł zza rogu, zabrał nieprzytomnego Howarda, drugą ręką podniósł zwłoki Murzyna i bez większego wysiłku przetransportował obu na drugą stronę ulicy, do domu, w którym jedynym światłem była zielonkawa poświata na piętrze.

Byli w połowie drogi do Mt. Pleasant, kiedy znów się rozpadało. Jackson próbował wywołać Catfisha przez radio, ale burza i dzieląca ich dziesięćmilowa odległość najwyraźniej zaszkoziły małym radyjkom.

- Jak myślisz, nic mu nie będzie? - zaniepokoiła się Natalie.

Gdy tylko wsiadła do wozu, natychmiast pozbyła się obwieszonych ładunkami pasa, nie odłączyła jednak rejestratora EEG; gdyby pojawił się rytm theta, zabrzmiał alarm. Nieszczególnie ją ten fakt pocieszał. Główną nadzieję i tak pokładała w niechęci Melanie do podważenia władzy Niny. Zastanawiała się, czy wyjawiając starej wiedźmie, że nie jest pomagierką Niny, podpisała na siebie wyrok śmierci.

- Catfishowi? - domyślił się Jackson. - Chłopak niejedno w życiu widział. Nie jest głupi. Poza tym ktoś tam musiał zostać i pilnować wiedźmy, żeby nie uciekła. - Zerknął na Natalie. Wycieraczki monotonnie omiały szybę. - Jakaś zmiana planów, Nat?

Natalie pokiwała głową.

Jackson przesunął wykałaczkę z lewego kącika ust w prawy.

- Wybierasz się na wyspę, co?

Natalie wypuściła powietrze z płuc.

- Skąd wiesz?

- Pilot mieszka w tej okolicy. To do niego dzwoniłaś dziś po południu i

mówiłaś, że może będziesz miała dla niego robotę, prawda?

- Tak. Ale myślałam o jutrze, jak już będzie po wszystkim.

Jackson znów przełożył wykałaczkę.

- A jutro będzie po wszystkim, Natalie?

- Tak - odparła stanowczo, wpatrując się w zmatowioną deszczem przednią szybę. - Będzie.

Daryl Meeks - chudy jak szczapa, otulony obszarpanym niebieskim szlafrokiem - stał w kuchennej części swojej przyczepy mieszkalnej i patrzył podejrzliwie na ociekających wodą gości.

- Jaką mam pewność, że nie jesteście parą czarnych rewolucjonistów, którzy chcą mnie wplątać w jakiś wariacki spisek?

- Żadnej - przyznała Natalie. - Będzie mi pan musiał uwierzyć na słowo. W tym wypadku to Barent i jego ekipa są tymi złymi. Złapali mojego przyjaciela Saula, a ja chcę go stamtąd wydostać.

Meeks podrapał się po szarej szczecinie na policzku.

- Czy jadąc do mnie, nie zauważyliście, że wieje mały huragan i leje jak z cebra?

- Owszem - przytaknął Jackson. - Zauważyliśmy.

- I mimo to chcecie sobie polatać?

- Tak - powiedziała Natalie.

- Nie bardzo wiem, ile za taką wycieczkę policzyć. - Meeks otworzył puszkę pabsta.

Natalie wyjęła zza pazuchy grubą kopertę i położyła na kuchennym stole. Meeks otworzył ją, pokiwał głową i napił się piwa.

- Dwadzieścia jeden tysięcy trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów i dziewiętnaście centów - powiedziała Natalie.

Meeks podrapał się po głowie.

- OWP rozbiła świnkę-skarbonkę, czy co? - Pociągnął długi łyk piwa. - Raz kozie śmierć: to piękna noc na latanie. Poczekajcie chwilę, ubiorę się. Możecie się napić piwa, jeśli KGB wam nie zabrania.

Natalie patrzyła, jak smagające podwórko i lotnisko kurtyny deszczu przesłaniają oświetlony reflektorami nieduży hangar w odległości czterdziestu jardów.

- Ja też lecę - zapowiedział Jackson.

Natalie odwróciła się do niego.

- Nie - odparła z roztargnieniem.

- Akurat! - burknął Jackson. Podniósł ciężką czarną torbę zabraną z samochodu. - Mam ze sobą osocze, morfinę, opatrunki wojskowe... Całą cholerną apteczkę. Co będzie, jeśli ci się uda, ale facet będzie potrzebował lekarza? Pomyślałaś o tym, Nat? Powiedzmy, że go stamtąd wyciągniesz, ale wykrwawi ci się na rękach w drodze powrotnej. Tego właśnie chcesz?

- W porządku.

- Gotowy! - zawołał z przedpokoju Meeks.

Włożył niebieską bejsbolówkę z wyhaftowanym na biało napisem YOKOHAMA TAIYO WHALES, wiekową skórzaną kurtkę lotniczą, dżinsy, zielone trampki i pas do broni, przy którym w kaburze tkwił smith&wesson - trzydziestka ósemka z długą lufą i rękojeścią obłożoną macią perłową.

- Obowiązują dwie zasady - powiedział Meeks. - Zasada pierwsza: jeśli powiem, że nie da rady wylądować, to nie lądujemy, a ja zatrzymuję trzecią część kasy. Zasada druga: nie wyciągaj więcej tego przekłętego colta, jeśli nie będziesz gotowa go użyć, paniusiu. I dobrze ci radzę, nie próbuj w ten sposób niczego na mnie wymusić, bo będziesz wracała do brzegu wplaw.

- Zgoda - powiedziała Natalie.

Jechała kiedyś kolejką górską - raz w życiu, z ojcem; miała dość rozsądku, żeby nigdy więcej nie powtarzać tego doświadczenia.

Ten lot był tysiąc razy gorszy.

Kabina cessny była mała i duszna, przednią szybę zalewała woda i Natalie nie umiałyby nawet określić, kiedy dokładnie oderwali się od ziemi, gdyby nie fakt, że w którymś momencie maszyna zaczęła podskakiwać, opadać, rzucać się i szarpać na boki gwałtowniej niż przedtem. Podświetlona od dołu czerwoną poświatą przyrządów twarz Meeksa wyglądała zarazem demonicznie i idiotycznie; Natalie była pewna, że sama też wygląda jak idiotka, tyle że śmiertelnie przerażona. Od czasu do czasu miotany na tylnym siedzeniu Jackson klął pod nosem, po czym znów zapadała cisza mącona hukami grzmotów, szumem deszczu, wyciem wiatru, przeróżnymi odgłosami udręczonych mechanizmów samolotu oraz żałośnie słabym buczeniem silnika.

- Nie jest źle - orzekł Meeks. - Nie damy rady wzbić się ponad to gówna, ale przed Sapelo burza powinna się skończyć. Na razie wszystko gra. - Odwrócił się do Jacksona. - Wietnam?

- Mhm.

- Poborowy?

- Lekarz, sto pierwsza.

- Kiedy skończyłeś turę?

- Przed czasem. Byłem z dwoma chłopakami na patrolu, kiedy wjebaliśmy się na wietnamską minę-samoróbkę.

- Tamci przeżyli?

- Nie. Wrócili do domu w workach. A ja dostałem następny medal i odesłali mnie do Stanów w samą porę, żebyem mógł zagłosować na Nixona.

- I co, zagłosowałeś?

- No bez jaj...

Natalie przyglądała im się bez słowa.

Wnętrze cessny rozświetliła błyskawica, która uderzyła tak blisko, jakby przeszła im na wylot prawe skrzydło. W jednej chwili podmuch wiatru spróbował odwrócić ich do góry brzuchem, w następnej spadli dwieście stóp jak w windzie z przeciętą liną. Meeks przełączył coś na panelu nad głową, postukał w obudowę przyrządu, w którym czarno-biała kulka zataczała się jak pijana, i ziewnął.

- Jeszcze jakaś godzina dwadzieścia - powiedział, tłumiąc następne ziewnięcie. - Panie Jackson? Gdzieś tam z tyłu powinien się walać taki wielki termos. Nalałby mi pan kawy? Jest też coś na ząb, ja poproszę czekoladowe ciastko z pianką. Panno Preston, na co ma pani ochotę? Bilet w pierwszej klasie upoważnia do bezpłatnego posiłku w czasie lotu.

Natalie wyjrzała przez okno.

- Nie, dziękuję. - Piorun rozdarł burzową chmurę tysiąc stóp poniżej cessny. Czarne obłoki pędziły po niebie jak strzępy sukni czarownicy. - Może później.

69.

Dolmann Island

26 czerwca 1981, wtorek

Saul odpuścił gaz, motorówka łagodnie wśliznęła się do przystani i dotknęła nabrzeża. Zielone światelko na końcu kei mrugało spokojnie, niewzruszenie posyłając swój sygnał ponad pustym Atlantykiem. Zacumował, wyrzucił torbę na keję i zszedł na ląd. Od razu przyklęknął na jedno kolano, trzymając karabin w pogotowiu. Okolica była pusta, jego łódź była jedyną zacumowaną na przystani. Porzucone wózki golfowe stały zaparkowane w miejscu, gdzie zaczynała się biegnąca na południe asfaltowa droga wzdłuż wybrzeża.

Zarzucił sobie torbę na ramię i ostrożnie przemieścił się w cień drzew. Nawet jeśli większość ochroniarzy szukała go teraz na północy wyspy, nie bardzo chciało mu się wierzyć, żeby Barent zostawił północne podejście do Dworku zupełnie bez ochrony.

Biegł w półmroku pod drzewami spięty, wyczekując strzałów. Nic się nie poruszało, tylko słabnący wiatr od morza lekko szeleścił liśćmi. Na południu majaczyły światła rezydencji. Saul miał w tej chwili dwojaki cel: dostać się do Dworku i nie dać się zabić po drodze.

Live Oak Lane nie była oświetlona. Saul przypomniał sobie słowa Meeksa, który twierdził, że oświetla się ją na przyjęcie VIP-ów i dygnitarzy, lecz tej nocy trawiasta aleja była ciemna choć oko wykol. Poruszanie się od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka zajmowało sporo czasu. W ciągu pół godziny pokonał połowę drogi do Dworku, a ludzi Barenta wciąż nie było nigdzie widać. Nagła myśl zmroziła go do szpiku kości: a może Barent i Willi już odlecieli z wyspy? Tego bał się bardziej niż śmierci.

A było to możliwe. Barent nie należał do ludzi, którzy chętnie wystawiają się na niebezpieczeństwo. Saul miał nadzieję wykorzystać jego nadmierną pewność siebie jako broń (każdy, kto spędził z nim trochę czasu, w tym także Saul, zostawał uwarunkowany w taki sposób, że nie był w stanie później go skrzywdzić), ale nie mógł wykluczyć, że interwencja Williego w Filadelfii albo jego własna nader niestosowna ucieczka zmieniły sytuację.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, obiema rękami przycisnął karabin do piersi i zaczął biec szpalerem dębów. Torba obijała mu się boleśnie o zraniony bark.

Przebiegł zaledwie dwieście jardów i ciężko dyszał, kiedy nagle zatrzymał się z poślizgiem, przypadł na jedno kolano i uniósł broń do ramienia. Mrużąc oczy, znów pożałował, że zgubił okulary. W cieniu niskiego dębu leżały nagie zwłoki. Rozejrzał się na boki, zrzucił torbę z ramienia i sprintem puścił się naprzód.

Kobieta nie była zupełnie naga: rozdarta zakrwawiona koszula okrywała część jej pleców i jedną rękę. Leżała na brzuchu, z twarzą zwróconą w bok i przesłoniętą włosami; ręce miała rozrzucone, podkurczone palce zagarnęły ziemię; jej prawa noga była podkulona, tak jakby kobieta biegła, kiedy napastnik ją przewrócił. Saul rozejrzał się podejrzliwie, ścisnął mocniej M-16 i pomacał szyję kobiety w poszukiwaniu pulsu.

Kobieta odwróciła gwałtownie głowę. Saul rozpoznał obłąkańczo wytrzeszczone oczy i szeroko rozwarte usta panny Sewell, zanim z impetem zatopiła mu zęby w lewej dłoni. Wydała przy tym odgłos, w którym nie było nic ludzkiego. Saul skrzywił się i zamachnął karabinem, chcąc zdruzgotać jej kolbą twarz. W tej samej chwili Jensen Luhar skoczył na niego z góry i przydusił go przedramieniem.

Saul z wrzaskiem pociągnął za spust karabinu przestawionego na strzelanie seriami; skierował lufę do tyłu, starając się trafić Luhara, ale udało mu się tylko poszatkować gałęzie i liście nad głową. Luhar roześmiał się, wyrwał mu M-16 z rąk i odrzucił dwadzieścia stóp w mrok. Saul szarpał się i walczył, usiłując jednocześnie przycisnąć brodę do piersi (chroniąc się w ten sposób przed uduszeniem) i wyrwać lewą rękę z zaciśniętych jak u buldoga zębów panny Sewell. Prawą ręką młócił na oślep ponad ramieniem, szukając twarzy i oczu Murzyna.

Luhar zaśmiał się ponownie, założył Saulowi półnelsona i podniósł go w powietrze. Zęby panny Sewell wyszarpały fałdę skóry między kciukiem i palcem wskazującym, gdy Luhar okręcił się w miejscu i po prostu rzucił Saulem. Ten przeleciał jakieś siedem, osiem stóp w powietrzu, wylądował ciężko na zranionej nodze, przeturlał się przez palący żywym ogniem bark i na czworakach rzucił się w stronę torby, w której miał jeszcze colta i uzi. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył Luhara przykucniętego w pozycji zapaśnika; jego nagie ciało lśniło od potu i cudzej krwi. Panna Sewell przyczaiła się na czworakach, jakby gotowa do skoku, z rozwianymi włosami opadającymi na oczy. Wypluła kawałek skóry Saula i krew pociekła jej na brodę.

Był trzy kroki od torby, kiedy Luhar rzucił się naprzód, szybki i

bezszelestny na bosych stopach, i kopnął go w zebra. Saul przeturlał się cztery razy, czując, jak wraz z powietrzem z płuc pozbywa się sił do walki. Spróbował jeszcze uklęknąć, gdy pole widzenia zawęziło mu się do długiego, ciemnego tunelu, którego wylot wypełniała przybliżająca się twarz Luhara.

Luhar kopnął go jeszcze raz, odrzucił torbę daleko w ciemność i złapał go za resztki włosów. Przyciągnął jego twarz do swojej.

- Zbudź się, pionku - powiedział po niemiecku, potrząsając nim. - Zaczynamy grę.

Reflektory w wielkiej sali oświetlały osiem rzędów kwadratów, na przemian czarnych i białych, o boku długości czterech stóp - Tony Harod miał przed sobą szachownicę o łącznych wymiarach trzydzieści dwie na trzydzieści dwie stopy. W cieniu rozbrzmiewały przyciszone rozmowy ochroniarzy Barenta, od strony stołu z elektroniką dobiegały stłumione odgłosy aparatury, ale w świetle było widać tylko członków Klubu Wyspiarskiego i ich asystentów.

- Do tej pory rozgrywka przebiegała niezwykle interesująco - mówił właśnie Barent. - Aczkolwiek zdarzały się momenty, w których byłem przeświadczony, że mogę liczyć najwyżej na remis.

- *Ja* - przytaknął Willi, wychodząc z cienia w światło. Pod białą marynarką miał biały jedwabny golf, który upodabniał go do księdza w negatywie. Światło reflektorów nadawało połysk jego przeredzonym włosom i podkreślało rumianą cerę wyrazistych kości policzkowych i wydatnej szczęki. - Zawsze lubiłem Obronę Tarrascha. W czasach mojej młodości cieszyła się wielką popularnością, potem nieco wyszła z mody, ja jednak nadal ją sobie cenię. Z odpowiednimi zmianami.

- Do ruchu dwudziestego dziewiątego była to zwykła rozgrywka pozycyjna - ciągnął Barent. - Wtedy pan Borden oddał mi swojego pionka na linii h. Zbiłem go.

- Skażonego pionka - dodał Willi z marsem na czole.

Barent się uśmiechnął.

- Który słabszemu graczowi mógłby przynieść porażkę - powiedział. - Po zakończeniu wymian ja zostałem z pięcioma pionkami, a pan Borden z trzema.

- I gońcem - uzupełnił Willi, zerkając na stojącego przy barze Jimmy'ego Wayne'a Suttera.

- I gońcem - przytaknął Barent. - Tyle że w końcu dwa pionki nieraz

potrafią pokonać samotnego gońca.

- Kto wygrywa? - zniecierpliwiał się Kepler. Był pijany.

Barent podrapał się po policzku.

- To nie takie proste, Josephie. W tej chwili czarne, którymi gram, mają wyraźną przewagę. W końcu jednak wszystko może się zmienić.

Willi wyszedł na szachownicę.

- Chce pan zmienić strony, *Herr* Barent?

Miliarder zaśmiał się cicho.

- *Nein, mein Herr.*

- Wracajmy więc do gry. - Willi powiódł wzrokiem po ludziach stojących na granicy światła i cienia.

Swanson z FBI szepnął coś Barentowi na ucho.

- Jedną chwileczkę - powiedział Barent i zwrócił się do Williego: - Co ty znowu knujesz, staruszk?

- Proszę ich wpuścić - polecił Willi.

- Niby dlaczego? - zachnął się Barent. - To pańscy ludzie!

- Otóż to. To oczywiste, że mój czarny jest nieuzbrojony. A żydowskiego pionka sprowadziłem tu po to, żeby służył mi zgodnie ze swym przeznaczeniem.

- Godzinę temu nalegał pan, żeby go zabić - przypomniał Barent.

Willi wzruszył ramionami.

- Nadal może pan to zrobić, *Herr* Barent, jeśli sobie pan tego życzy. I tak ledwie żyje. Umiem jednak docenić ironię losu: Żyd przebył taki szmat drogi, żeby znowu mi służyć.

- Nadal utrzymujesz, że przybył na wyspę z własnej woli? - Kepler wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu.

- Niczego nie utrzymuję. Proszę jedynie o pozwolenie użycia go w grze. Będzie mi miło. - Zerknął z ukosa na gospodarza. - Poza tym, *Herr* Barent, Żyd został przecież przez pana solidnie uwarunkowany; nie musiałby się pan go obawiać nawet gdyby był uzbrojony.

- Po co zatem przybył? - spytał Barent.

Willi parsknął śmiechem.

- Żeby mnie zabić. No dalej, niech się pan zdecyduje. Chciałbym już zagrać.

- Co z tą kobietą?

- Była pionkiem mojej królowej. Oddaję ją panu.

- Pionkiem pańskiej królowej - powtórzył Barent. - Czy królowa w

dalszym ciągu nią kieruje?

- Moja królowa została usunięta z planszy - odparł Willi. - Ale może pan pionka sam o to zapytać, gdy tylko przybędzie.

Barent pstryknął palcami i pół tuzina uzbrojonych mężczyzn wynurzyło się z cienia.

- Przyprowadzić ich - polecił. - Gdyby zachowywali się podejrzanie, zabić. I powiedzcie Donaldowi, że mogą wrócić na *Antoinette* wcześniej niż planowaliśmy. Ściągnąć wszystkie patrole do bazy i wzmocnić ochronę na południe od strefy.

Tony Harod nie był zachwycony rozwojem sytuacji. Wszystko wskazywało na to, że nie ma jak się wydostać z tej pierdolonej wyspy. Na Barenta helikopter czekał w ogródku, odrzutowiec Williego stał na pasie startowym, nawet Sutter miał własną maszynę na podorędziu! A on i Maria Chen ugrzęźli na wyspie na amen.

Do sali wkroczyła właśnie nowa brygada ochroniarzy, pędząc przed sobą Jensena Luhara i dwoje surogatów, których Harod przywiózł z Savannah. Nagi Luhar był wielką górą czarnoskórych mięśni. Kobieta miała na sobie tylko podartą i zakrwawioną koszulę, która wcześniej należała chyba do kogoś ze strażników strefy buforowej. Twarz miała brudną i umazaną krwią, ale to jej oczy najbardziej niepokoiły Haroda - niemal komicznie wytrzeszczone, ze źrenicami całkowicie obwiedzionymi białkiem, spoglądające dziko spoza zwisających w strąkach włosów. Ale jeśli kobieta wyglądała kiepsko, to mężczyzna imieniem Saul, którego Harod sprowadził na wyspę, wyglądał wręcz fatalnie. Luhar musiał go podtrzymywać w pozycji wyprostowanej, kiedy przystanęli dziesięć kroków od Barenta. Były surogat Haroda przedstawiał godny pożalowania widok: krew spływała mu po twarzy, przesiąkała przez koszulę i lewą nogawkę spodni. Lewa dłoń wyglądała jak po przepuszczeniu przez wyżymaczkę ze stalowymi zębami; krew skapywała z niej na biały kafelek podłogi. I tylko coś w jego spojrzeniu sygnalizowało czujność i opór.

Harod nic z tego nie rozumiał. Nie ulegało wątpliwości, że Willi zna ich oboje (dał przecież do zrozumienia, że w przeszłości Żyd był już jego surogatem), ale Barent najwyraźniej był skłonny uwierzyć, że oboje żałośni więźniowie przyplłynęli na wyspę z własnej woli! Wcześniej Willi napomknął, że to Barent uwarunkował Żyda - ale to nie on go tu ściągnął; traktował go jak niezależnego gracza. A dialog z tą kobietą wyglądał jeszcze

dziwniej. Harod nie wiedział, co o tym myśleć.

- Dobry wieczór, doktorze Laski - przywitał Barent zakrwawionego mężczyznę. - Proszę wybaczyć, że nie rozpoznałem pana wcześniej.

Laski nie odpowiedział. Przeniósł wzrok na Williego zasiadającego na jednym z wysokich foteli. Jensen Luhar odwrócił się do Barenta.

- To pański samolot wylądował kilka tygodni temu na północnej plaży - ciągnął miliardier.

- Zgadza się - przytaknął Laski, nie odrywając oczu od Williego.

- Sprytne - przyznał Barent. - Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Przyznaje pan, że przybył tutaj, żeby nas zabić?

- Nie wszystkich - zastrzegł się Laski. - Tylko jego.

Nie wskazał Williego palcem, ale nie musiał tego robić.

- Ach tak... - Barent potarł policzek dłonią i spojrzał przelotnie na Williego. - Czy w dalszym ciągu planuje pan zamordowanie naszego gościa, doktorze?

- Tak.

- Martwi pana ta perspektywa, *Herr* Borden?

Willi tylko się uśmiechnął.

Barent zrobił wtedy coś niezwykłego: wstał z krzesła, które zajmował zanim jeszcze surogaci zostali wprowadzeni do sali, podszedł do kobiety, ujął jej brudną prawą dłoń w swoją i złożył na niej delikatny pocałunek.

- *Herr* Borden poinformował mnie, że mam zaszczyt poznać panią Fuller - powiedział głosem gładszym od stopionej margaryny. - Czy to prawda?

Kobieta z wybałuszonymi oczami uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- W rzeczy samej - przytaknęła z silnym południowym akcentem. Miała zaschniętą krew na zębach.

- To dla mnie wielka przyjemność, pani Fuller - odparł Barent, nie puszczając jej ręki. - Jestem ogromnie rozczarowany, że wcześniej nie mieliśmy okazji się poznać. Mogę zapytać, co sprowadza panią na naszą wysepkę?

- Zwykła ciekawość, szanowny panie - wyjaśniła potwora z wytrzeszczem. Kiedy się poruszyła, w rozcięciu koszuli Harodowi mignął ciemny trójkąt włosów łonowych.

Barent uśmiechnął się i wyprostował, delikatnie gładząc jej brudną dłoń.

- Rozumiem. Ale nie musiała pani przybywać incognito. Byłaby pani niezwykle mile widzianym gościem na wyspie, bez względu na porę odwiedzin. Zapewniam też, że skrzydło gościnne Dworku zapewnia

znacznie... większe wygody.

- Dziękuję panu. - Surogatka się uśmiechnęła. - Chwilowo jestem niedysponowana, ale gdy tylko mój stan zdrowia się polepszy, nie omieszkam skorzystać z pańskiego wielkodusznego zaproszenia.

- Wyśmienicie. - Barent puścił jej rękę i wrócił na swoje miejsce. Ochroniarze odprężyli się nieco i opuścili uzi. - Właśnie siadamy do końcówki partii szachów. Nasi nowi goście koniecznie muszą do nas dołączyć. Czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt, pani Fuller, i pozwoli swojej surogatce zagrać w mojej drużynie? Ze swojej strony ręczę, że żadna próba przejęcia nie zakłóci jej uczestnictwa w grze.

Kobieta przygładziła złachmanioną koszulę i poprawiła skołtunione włosy, odrzucając je częściowo sprzed oczu.

- To ja będę zaszczycona, szanowny panie - odparła.

- Doskonale. *Herr* Borden, domyślam się, że zamierza pan wprowadzić do gry swoje dwie nowe figury?

- *Ja* - przytaknął Willi. - Mój stary pionek przyniesie mi szczęście.

- Świetnie. Podejmijmy zatem rozgrywkę przerwana przy trzydziestym szóstym ruchu.

Willi skinął głową.

- W poprzednim ruchu zbiłem panu gońca - powiedział. - Odpowiedział pan przesunięciem króla w kierunku środka szachownicy, na pole d6.

- Ach tak... Widzę, że moja strategia jest aż nazbyt przejrzysta dla prawdziwego mistrza.

- Istotnie. Grajmy.

Natalie odetchnęła z ulgą, gdy wynurzyli się z burzowych chmur gdzieś na wschód od Sapelo. Wiatr nadal dał wściekle, a widoczny w świetle gwiazd ocean wciąż się pienił, ale przynajmniej cessa przestało rzucać.

- Jeszcze ze czterdzieści pięć minut - powiedział Meeks. Lewą ręką przetarł twarz. - Wieje nam w dziób, to wydłuży lot o pół godziny.

Jackson pochylił się i szepnął Natalie do ucha:

- Naprawdę myślisz, że pozwolą nam wylądować?

Natalie oparła się policzkiem o szybę.

- Jeżeli ta starucha zrobi to, co obiecała... to może tak.

- A myślisz, że zrobi? - prychnął Jackson.

- Nie wiem. Na razie najważniejsze to wyciągnąć stamtąd Saula. Wydaje mi się, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby przekonać Melanie,

że coś musi zrobić. Dla własnego dobra.

- To ja wiem, ale ona jest szurnięta. A ludzie szurnięci nie zawsze wiedzą, co dla nich dobre.

- I pewnie dlatego teraz tu jesteśmy, co? - spytała z uśmiechem Natalie.

Jackson położył jej rękę na ramieniu.

- Myślałaś o tym, co zrobisz, jeśli Saul zginie? - spytał półgłosem.

Głowa Natalie poruszyła się o cal w dół i w górę.

- Wyciągniemy go, a potem wrócę do Charleston i zabiję tego potwora.

Jackson cofnął się, zwinął na tylnym siedzeniu i minutę później już chrapał. Natalie wpatrywała się w ocean, aż rozbolały ją oczy, a wtedy odwróciła się do pilota. Meeks przyglądał się jej z dziwną miną. Kiedy spojrzała mu w oczy, poprawił czapkę i skoncentrował się na przyrządach.

Ranny, krwawiący, ledwie trzymający się na nogach i z trudem zachowujący przytomność Saul cieszył się z tego, gdzie jest. Nie spuszczał Obersta z oka na dłużej niż parę sekund. Po niemal czterdziestu latach poszukiwań on, Saul Laski, znalazł się w jednym pokoju z Oberstem Wilhelmem von Borchertem.

Jego sytuacja nie była szczególnie korzystna. Postawił wszystko na jedną kartę, dał się nawet obezwładnić Luharowi, chociaż mógł szybciej dopaść broni... Wszystko w wątpliej nadziei spotkania się z Oberstem twarzą w twarz. Mniej więcej taki właśnie scenariusz nakreślił Natalie kilka miesięcy wcześniej, kiedy, popijając kawę, napawali się pachnącym pomarańczami izraelskim zmierzchem - ale warunki nie były optymalne. Mógł marzyć o stawieniu czoła nazistowskiemu mordercy wyłącznie wtedy, jeśli to właśnie on użyje przeciw niemu swoich psychicznych zdolności - tymczasem tutaj, w jednym miejscu i czasie, zebrały się wszystkie te poronione twory ewolucji: Barent, Sutter, niejaki Kepler, nawet Harold i surogatka Melanie Fuller; Saul odczuwał śmiertelne przerażenie na myśl, że to któreś z nich mogłoby chcieć przejąć jego umysł, bo wtedy cały misterny plan, który miał dać mu szansę zaskoczenia Obersta, spaliłby na panewce. Do tego dochodził fakt, że w scenariuszu, który przedstawił Natalie, wszystko sprowadzało się do spotkania oko w oko ze starym Oberstem, do pojedynku, w którym to on, Saul, był silniejszy pod względem fizycznym. Tymczasem na razie musiał poświęcić większość energii fizycznej i psychicznej na to, żeby utrzymać się na nogach: zakrwawiona lewa ręka zwiśla mu bezużytecznie, kula karabinowa utknęła gdzieś pod obojczykiem - a Oberst siedział przed nim

wypoczęty, w dobrej formie, cięższy o trzydzieści funtów mięśni i chroniony przez co najmniej dwóch doskonale uwarunkowanych pomagierów. Do tego otaczało go kilkunastu ludzi, których mógł w każdej chwili wykorzystać do swoich celów. Saul spodziewał się zresztą, że najdalej po trzech krokach ochroniarze Barenta z zimną krwią zetną go serią z pistoletu maszynowego.

Ale jednocześnie był szczęśliwy. Nie było drugiego miejsca na świecie, w którym chciałby się w tej chwili znajdować.

Potrząsnął głową, usiłując skupić się na bieżących wydarzeniach. Barent i Oberst siedzieli na swoich fotelach; Barent rozstawiał ludzkie figury na szachownicy. Drugi raz podczas tego niekończącego się dnia Saul miał wrażenie, że śni na jawie: wielka sala zamigotała mu przed oczami jak odbicie na powierzchni zmaconego wiatrem stawu - i nagle przed oczami stanęły mu kamienie i drewno polskiego zameczku, żołnierze *Sonderkommando* w szarych mundurach zabawiający się wśród starych gobelinów i wiekowy *Der Alte*, skulony w generalskim mundurze niczym zasuszona mumia zawinięta w workowate łachy. Blask pochodni wywoływał tańczące cienie na kamiennych ścianach i ogolonych głowach trzydziestu dwóch wyczerpanych żydowskich więźniów, stojących na baczność pomiędzy dwoma niemieckimi oficerami. Młody Oberst odrzucił opadające na czoło blond włosy, oparł łokieć na kolanie i uśmiechnął się do Saula.

Oberst uśmiechnął się do Saula.

- *Willkommen, Jude* - powiedział.

- No, dalej - ponaglał Barent swoje bierki. - Gramy wszyscy. Josephie, przejdź tutaj, na pole f6.

Kepler zrobił krok do tyłu. Na jego twarzy odmalowała się zgroza.

- Co ty, kurwa, żarty sobie robisz? - spytał.

Cofnął się w takim pośpiechu, że z impetem uderzył o bar. Przewróciły się butelki.

- Nie, Josephie, ja wcale nie żartuję. Pośpiesz się, proszę. Chcielibyśmy z *Herr Bordenem* rozstrzygnąć tę partię, zanim zrobi się późno.

- Idź do diabła! - krzyknął Kepler. Zacisnął pięści, żyły wystąpiły mu na szyi. - Nie pozwolę się wykorzystywać jak jakiś pierdolony surogat, kiedy ty...

Jego głos ucichł tak nagle, jakby ktoś podniósł igłę gramofonu zgrzytającą na uszkodzonej płycie. Usta jeszcze przez chwilę się poruszały, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Twarz poczerwieniała, zaczęła sinieć i czernieć, aż w końcu Kepler runął na podłogę. Niewidzialne ręce wykręciły

mu ramiona do tyłu, a niewidzialne sznury spętały nogi w kostkach, gdy zaczął się posuwać naprzód spastycznym ruchem gąsienicy (tak jak mogłoby ją sobie wyobrazić chore umysłowo dziecko), na przemian garbiąc się i prostując na całą długość ciała, przy każdym spazmie waląc o posadzkę piersią i podbródkiem. W ten sposób - sunąc na twarzy, brzuchu i udach - Joseph Kepler pokonał dwadzieścia pięć stóp, znacząc białe płytki śladem krwi z rozbitej brody, aż znalazł się na polu f6. Kiedy Barent uwolnił go wreszcie spod swojej władzy, jego mięśnie zadygotały spazmatycznie. Mocz z cichym dźwiękiem przesaczył się przez nogawkę spodni i spłynął na podłogę.

- Wstań, Josephie, bardzo cię proszę - powiedział półgłosem Barent. - Chcemy zacząć grać.

Kepler dźwignął się na kolana, przez chwilę patrzył wstrząśnięty na miliardera, w końcu bez słowa stanął na chwiejnych nogach. Drogie włoskie spodnie miał umazane krwią i uryną.

- Wszystkich nas zamierzasz Użyć w ten sposób, bracie Christianie? - zapytał Jimmy Wayne Sutter. Stał na skraju szachownicy, jego gęste siwe włosy lśniły w blasku reflektorów.

- Nie widzę powodu, żebym kogokolwiek miał Używać, Jamesie - odparł z uśmiechem Barent. - Przynajmniej dopóki nie będzie mi utrudniał dokończenia rozgrywki. A pan, *Herr* Borden?

- Ja też nie. Chodź tu, Sutter. Jako goniec jesteś moją jedyną ocalałą figurą. Poza królem, naturalnie. Stań na tym pustym kwadracie obok pola, które na początku gry zajmowała królowa.

Sutter podniósł wzrok. Jego jedwabna sportowa marynarka była mokra od potu.

- Mam jakiś wybór? - spytał szeptem. Szkolony głos kaznodziei zabrzmiał słabo i chrapliwie.

- *Nein*, musisz wziąć udział w grze. Chodź tutaj.

Sutter odwrócił się do Barenta.

- Chodziło mi o wybór strony, której służę - wyjaśnił.

Barent uniósł brwi.

- Służyłeś *Herr* Bordenowi długo i dobrze - zauważył. - Chcesz teraz zmienić sojusznika?

- Ja nie mam żadnego upodobania w śmierci. Każdy, kto w Niego wierzy, nie zginie, lecz będzie miał życie wieczne - odparł Sutter. - Ewangelia świętego Jana, 3:16.

Barent parsknął śmiechem i podrapał się po brodzie.

- *Herr* Borden, wygląda na to, że pański goniec chce zdezerterować. Ma pan coś przeciwko ternu, żeby dokończył grę po stronie czarnych?

Oberst skrzywił się jak nadąsane dziecko.

- Weź go sobie i idź do diabła. Nie potrzebuję tego spasionego pedryla.

- Pójdź. - Barent skinął na pocącego się obficie kaznodzieję. - Staniesz po lewicy króla, Jamesie. - Wskazał biały kwadrat jedno pole od miejsca, w którym czarny pionek królewski zaczyna grę.

Sutter posłusznie stanął obok Keplera.

Saulowi zaświtał płomyczek nadziei, kiedy dotarło do niego, że gra może być kontynuowana bez ingerencji wampirów w umysły pionków. Im później Oberst dotknie jego umysłu, tym lepiej.

Oberst wychylił się lekko ze swojego masywnego fotela i zaśmiał cicho.

- Skoro odbierasz mi mojego sojusznika-fundamentalistę, z przyjemnością wypromuję swojego starego pionka na gońca. *Bauer, verstehts Du?* Chodź no tu, Żydzie; przyjmij swoją nową rolę.

Szybko, zanim Oberst zdążył go ponaglić, Saul przemierzył oświetlony fragment szachownicy i zajął miejsce na czarnym polu w pierwszym rzędzie. Niespełna osiem stóp dzieliło go od Obersta, ale rozdzielali ich Luhar i Reynolds, a na dodatek ze dwudziestu ludzi Barenta śledziło każdy jego krok. Rany bardzo mu dokuczały - lewa noga sztywniała z bólu, bark był jedną płynną masą ognia - ale starał się tego po sobie nie pokazywać.

- Jak za starych, dobrych czasów, co, pionku? - spytał Oberst po niemiecku. - Ach, przepraszam: nie „pionku”, tylko *Herr* Gońcu. - Uśmiechnął się szeroko. - No, pośpieszmy się, zostały mi jeszcze trzy pionki do rozstawienia. Jensen? Pole e3, *bitte*. Tony, a3. Tom zacznie jako pionek na b5.

Saul patrzył, jak Luhar i Reynolds zajmują swoje miejsca. Harod ani drgnął.

- Kurwa mać, nie mam pojęcia, gdzie jest to jebane a3! - zachnął się.

Zniecierpliwiony Oberst skinął ręką,

- Dwa pola przed a1, na którym zaczyna grę wieża.

Harod zamrugał i niechętnie przemieścił się na czarne pole przy skraju szachownicy.

- Proszę rozstawić swoje ostatnie trzy pionki - zwrócił się Oberst do Barenta.

Miliarder skinął głową.

- Pani Swanson, pan pozwoli... Obok pana Keplera.

Wąsacz rozejrzał się, odłożył karabin i zajął czarne pole na lewo i nieco w tył od Keplera. Przypadła mu rola pionka, który jeszcze się w tej partii nie poruszył.

- Pani Fuller? - ciągnął tymczasem Barent. - Pozwoli pani... Pani urocza surogatka zajmie pole a7, pozycję początkową skrajnego pionka. Tak, dobrze.

Kobieta, która niegdyś była Constance Sewell, ostrożnie przeszła boso po planszy i stanęła na niej cztery pola przed Harodem.

- Pani Chen? - odezwał się Barent. - Obok pani Sewell, bardzo proszę.

- Nie! - wykrzyknął Harod, kiedy Maria Chen wyszła na szachownicę. - Ona nie gra!

- Ależ gra, jak najbardziej - odparował Oberst. - Wnosi sporo piękna do gry, *nicht wahr?*

- Nie! - uparł się Harod. Odwrócił się do Obersta. - Nie mieszajcie jej do tego.

Willi uśmiechnął się i skinął Barentowi głową.

- Wzruszające... Proponuję zgodzić się, żeby Tony zamienił się miejscami ze swoją sekretarką, gdyby jej pozycja okazała się... hmm... zagrożona. Co pan na to, panie Barent?

- Dobrze, dobrze. Mogą się zamienić miejscami, kiedy tylko Harod uzna za stosowne, byle nie opóźniali za bardzo gry. Pośpieszmy się, musimy jeszcze wybrać królów.

Barent powiódł wzrokiem po zbitych w gromadę asystentach i ochroniarzach.

- *Nein!* - zawołał Oberst. Wstał i wszedł na planszę. - To my jesteśmy królami, *Herr* Barent.

- Co też pan wygaduje... - zdziwił się znużony miliarder.

Oberst z uśmiechem rozłożył ręce.

- To ważna gra. Musimy pokazać naszym kolegom i przyjaciołom, że są wspierani w ich wysiłkach. - Zajął pozycję dwa pola na prawo od Jensena Luhara. - Poza tym, *Herr* Barent, króla nie można zbić.

Barent pokręcił głową, ale wstał i przeszedł na pole d6, obok wielebnego Suttera.

Sutter zwrócił ku niemu spojrzenie niewidzących oczu.

- I rzekł Bóg do Noego: „Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykroczeń przeciw mnie; zatem zniszczę ich wraz

z ziemią...”.

- Zamknij się już, ty stary pedale! - nie wytrzymał Tony Harod.

- Cisza! - zagrział Barent.

Korzystając z krótkiej chwili spokoju, która nastąpiła, Saul spróbował sobie wyobrazić szachownicę bezpośrednio po trzydziestym piątym ruchu. Skromne umiejętności szachowe nie pozwalały mu przewidzieć, jak potoczy się końcówka; wiedział, że za chwilę będzie świadkiem starcia prawdziwych mistrzów, ale miał też niejasną świadomość, że w ostatnich kilku posunięciach Barent uzyskał wyraźną przewagę i w tej chwili wydawał się pewny zwycięstwa. Nie rozumiał, w jaki sposób białe Obersta - nawet grając absolutnie genialnie - mogłyby osiągnąć coś więcej niż remis, słyszał jednak, jak Oberst twierdził, że remis byłby w istocie zwycięstwem Barenta.

Jednego był pewien: jako jedyna ocalała figura wśród białych bierek, goniec będzie intensywnie eksploatowany, nawet jeśli jego użycie miało być ryzykowne. Zamknął oczy, usiłując powstrzymać nagłe, nawracające fale bólu i słabości.

- W porządku, *Herr* Borden - odezwał się Barent. - Pański ruch.

70.

Melanie

To był szalony wieczór: w końcu skonsumowaliśmy z Willim naszą miłość. Po tylu latach.

Zrobiliśmy to za pośrednictwem naszych pomagierów, naturalnie, jeszcze przed przybyciem do Dworku. Gdyby coś takiego zasugerował, choćby najdyskretniej, spoliczkowałabym go, ale jego wysłannik - olbrzymi Murzyn - obszedł się bez zbędnych wstępów. Jensen Luhar złapał pannę Sewell za ramiona, pchnął ją na miękką trawę w cieniu dębów i brutalnie zrobił z nią, co chciał. Z nami. Ze mną.

Ciężar Murzyna przygniatał jeszcze pannę Sewell, gdy ja - wbrew sobie - wspominałam nasze szeptane rozmowy z Niną na nastoletnich pidżama party, kiedy to bywała w świetle Nina z zapartym tchem powtarzała mi (z pewnością tylko podsłuchane) opowieści o rzekomo nadludzkiej anatomii i sprawności kolorowych mężczyzn. Uwiedziona przez Williego, przyszpilona do zimnej ziemi, z twarzą wciśniętą w trawę przeniosłam świadomość z panny Sewell z powrotem do Justina, zanim oszołomiona przypomniałam sobie, że kolorowa pomagierka Niny twierdziła, że wcale nie przysłała jej Nina. Na szczęście, wiedziałam, że kłamie; tak bardzo chciałam powiedzieć Ninie, że miała rację...

Nie wspominałam o tym swobodnie i beztrąsko: nie licząc niespodziewanych i przeżywanych jak we śnie przygód panny Sewell w szpitalu w Filadelfii, było to moje pierwsze zetknięcie z fizycznym aspektem zalotów - chociaż raczej nie nazwałabym szorstkiej żywiołowości pomagiera Williego przedłużeniem zalotów. Bardziej przypominała obłąkane spazmy syjamskiego kocura mojej ciotki, kiedy dopadał bezbronną kotkę, która nie z własnej przecież winy znalazła się w rui. Panna Sewell musiała zresztą stale trwać w rui, ponieważ na szorstkie i zdawkowe zabiegi wstępne Murzyna zareagowała błyskawicznym zwilgotnieniem, na jakie żadna młoda dama z mojego pokolenia by sobie nie pozwoliła.

Tak czy inaczej, dalsze moje refleksje zostały niespodziewanie zakończone, gdy człowiek Williego dźwignął się nagle znade mnie, odwrócił w mroku głowę i rozdał nozdrza.

- Mój pionek się zbliża - wyszeptał po niemiecku. Wcisnął mi twarz w ziemię. - Nie ruszaj się.

I zwinnie jak wielka, czarna małpa wspiał się na najniższe gałęzie pobliskiego dębu.

Absurdalna konfrontacja, która nastąpiła chwilę później, nie miała wielkiego znaczenia; skończyło się na tym, że człowiek Williego zabrał ze sobą domniemanego surogata Niny, mężczyznę imieniem Saul, i razem ruszyliśmy do Dworku. Był tylko jeden magiczny moment - tuż po tym, jak wysłany przez Ninę nieszczęśnik został pokonany, a przed tym, jak otoczyli nas ochroniarze - kiedy zapaliły się wszystkie reflektory, lampy i delikatnie świecące elektryczne latarnie na drzewach. Czułam się, jakbyśmy wkraczali do krainy baśni albo przez jakieś tajemne, zaczarowane wrota przenikali właśnie do Disneylandu.

Wyjście Niny z mojego domu w Charleston i towarzyszące mu niedorzeczne wydarzenia zdekoncentrowały mnie na kilka minut. Kiedy jednak Culley przyniósł nieprzytomnego Howarda i zwłoki kolorowego intruza, byłam już gotowa poświęcić całą swoją uwagę spotkaniu z C. Arnoldem Barentem.

Pan Barent - dżentelmen w każdym calu - powitał pannę Sewell z całym szacunkiem, na jaki zasługiwała jako moja przedstawicielka. Od razu też wyczułam, że przejrzał na wylot ziemisty całun ciała mojej pomagierki i dostrzegł skryte pod nim dojrzałe piękno. Leżąc w swoim łóżku w Charleston, skąpana w zielonej poświacie maszyny doktora Hartmana, wiedziałam, że emanująca ze mnie kobiecość została w jakiś sposób przekazana poprzez toporny przyrząd, jakim była panna Sewell, i odebrana przez wyrafinowane zmysły C. Arnolda Barenta.

Zaproponował mi partię szachów. Zgodziłam się, choć muszę przyznać, że do tego momentu ta gra w ogóle mnie nie interesowała. Zawsze uważałam szachy za rozrywkę pretensjonalną i nudną dla widzów (mój Charles grywał regularnie z Rogerem Harrisonem) i nie chciało mi się uczyć nazw bierok ani zasad rządzących ich ruchem. Bardziej odpowiadały mi ożywione partie warcabów, jakie rozgrywałyśmy z Mammy Booth w deszczowych dniach mojego dzieciństwa.

Pomiędzy rozpoczęciem tej ich głupiutkiej gry i moim rozczarowaniem osobą pana C. Arnolda Barenta upłynęło trochę czasu. Nie mogłam całkowicie skupić się na rozgrywce, ponieważ posłałam Culleya i pozostałych na piętro, żeby poczynili przygotowania do ewentualnego powrotu Murzynki Niny. Mimo związanych z tym niedogodności wydało mi

się właściwe, by wprowadzić w życie obmyślony kilka tygodni wcześniej plan. Przez cały ten czas podtrzymywałam kontakt z mężczyzną, którego obserwowałam również od wielu tygodni, podczas wypadów Justina i Murzynki nad rzekę. W tym momencie nie zamierzałam go już wykorzystać zgodnie z poleceniem, ale utrzymanie łączności sprawiało mi sporą trudność - ze względu na zajmowane przez niego stanowisko oraz złożoność technicznego żargonu, jakim się posługiwał.

Później nadszedł jeszcze czas, że cieszyłam się z podtrzymania tego połączenia, lecz w owej chwili traktowałam je wyłącznie jako dodatkową uciążliwość.

Tymczasem głupiutka partia szachów, w której Willi mierzył się z gospodarzem, rozwijała się jak jakaś surrealistyczna scena żywcem wyjęta z *Alicji w krainie czarów*. Willi człapał tam i z powrotem, przywodząc na myśl elegancko odzianego Szalonego Kapelusznika. Panna Sewell po prostu stała nieruchomo i pozwalała się przesuwac po szachownicy; zaufałam panu Barentowi, że nie stanie się jej krzywda. Pozostali żałośni gracze maszerowali w tę i nazad, brali wroga w niewolę, sami trafiali do niewoli, umierali (małe, nic nieznaczące śmierci) i byli usuwani z planszy.

Do chwili, w której pan Barent mnie rozczarował, nie przejmowałam się zbyt wiele tą chłopięcą zabawą. Miałyśmy z Niną własną rywalizację do rozstrzygnięcia. Wiedziałam, że jej Murzynka wróci przed świtem. Mimo zmęczenia śpieszyłam się, żeby wszystko było gotowe na jej powrót.

71.

Dolmann Island

16 czerwca 1981, wtorek

Harod rozpaczliwie szukał jakichś pozytywów. Fatalne sytuacje były same w sobie dostatecznie złe - czuł się w nich jak skończony idiota, jeśli nie dostrzegął żadnych ich pozytywnych aspektów. Na razie szukał na próżno.

Wyglądało na to, że Willi i Barent całkiem serio grają w szachy o najwyższą stawkę. Gdyby Willi wygrał (a Harod dobrze wiedział, że stary skurczybyk rzadko przegrywa), przeszliby z Barentem na wyższy poziom rozgrywki, w którym przierzucaliby się bombami atomowymi i obracali całe państwa w perzynę. Gdyby wygrał Barent, *status quo* miało zostać zachowane - co niespecjalnie pocieszało Haroda, skoro przecież dopiero co widział, jak Barent piznął w kącie *status quo* całego Klubu Wyspiarskiego, żeby ustawić tę pojebaną grę. Stojąc na czarnym kwadracie, gdzie dwa pola dzieliły go od skraju szachownicy, a trzy od tej szurniętej Sewell, desperacko wypatrywał pozytywów.

I z przyjemnością tak by sobie stał, aż coś wymyśli, gdyby nie Willi, który powiedział:

- P na a4.

Harod wytrzeszczył oczy. Inni też wytrzeszczyli oczy. Było coś upiornego w ciszy, jaka zapadła nad planszą: w cieniu czało się ze dwudziestu, trzydziestu ochroniarzy, a żaden nawet głośniej nie sapnął.

- To do ciebie, Tony - podpowiedział półgłosem Barent. Ubrany w czarny garnitur miliarder stał dziesięć stóp od Haroda, oddzielony od niego dwoma polami na skos.

Serce omal nie wyskoczyło Harodowi z piersi, tak się bał, że Willi albo Barent znów spróbuje go Użyć.

- Ej! - zawołał. - Ja nic z tego nie kumam! Po prostu mówcie mi, gdzie mam iść, na litość boską!

Willi skrzyżował ręce na piersi.

- Właśnie ci powiedziałem - odparł z niesmakiem. - „P na a4” oznacza „pionek na pole a4”. A ty stoisz na a3, Tony. Przesuń się jedno pole w przód.

Harod pośpiesznie wszedł na znajdujący się przed nim biały kwadrat. Tylko jedno pole na skos dzieliło go od jasnowłosego zombie - Toma Reynoldsa; dwa pola na wprost przed sobą miał tę całą Sewell, obok której,

na białym polu, w milczeniu stała Maria Chen.

- Kurwa, Willie, masz trzy pionki! - zawołał. Musiał wykręcić szyję, żeby wyrzawszy zza olbrzymiego Jensena Luhara dostrzec Williego. - Skąd mam wiedzieć, że mówisz akurat do mnie?

- A ile z tych pionków stoi na linii a, Tony? - spytał retorycznie Willi. - Lepiej stul dziób, zanim następnym razem sam cię przestawię.

Harod odwrócił się i splunął w półmrok, usiłując zapanować nad nagłym drżeniem prawej nogi.

Barent zareagował błyskawicznie, burząc wyobrażenie Haroda o szachistach, którzy długo zastanawiają się nad każdym posunięciem.

- Król na d5 - powiedział z ironicznym uśmiechem i zrobił krok w przód.

Harodowi wydało się to głupim posunięciem. Miliarder wysforował się przed inne swoje bierki i znalazł jeden ruch w przód i jeden na skos od Jensena Luhara. Harod z trudem powstrzymał się od parsknięcia histerycznym śmiechem, kiedy sobie uświadomił, że potężny Murzyn gra rolę białego pionka. Przygryzł policzek od wewnątrz. Chciałby siedzieć teraz w domu i moczyć się w jacuzzi.

Willi pokiwał głową, jakby spodziewał się tego ruchu (Harod przypomniał sobie, że wcześniej mówił coś o centralnej pozycji króla Barenta), i niecierpliwym gestem skinął na zakrwawionego Żyda.

- Goniec na a3.

Harod patrzył, jak eks-surogat imieniem Saul, kuśtykając, pokonuje kilka pól na skos i zajmuje to, na którym on sam stał przed chwilą. Widziany z bliska wyglądał jeszcze gorzej niż z daleka. Workowaty kombinezon miał przesiąknięty krwią i potem. Posłał Harodowi zbolące, jakby lekko przestraszone spojrzenie, mrużąc oczy w sposób typowy dla osób krótkowzrocznych. Harod był absolutnie pewny, że to ten sam skurwiel szprycował go czymś i przesłuchiwał w Kalifornii. Nie interesowało go, co się stanie z Żydem, ale miał nadzieję, że zmiecie z szachownicy kilka białych bierek, zanim Willi go poświęci. Rany boskie, pomyślał. Ależ to wszystko popieprzone.

Barent z rękami w kieszeniach zrobił ruch na skos i stanął na białym polu tuż przed Luharem.

- Król na e4 - powiedział.

Harod nie ogarniał tej przekłetej gry. Kiedy próbował grać w dzieciństwie (wystarczyło, żeby poznał zasady ruchu bierek i stwierdził, że szachy nie są dla niego), zarówno on, jak i jego agresywni przeciwnicy zaczynali od

wyrżnięcia wszystkich pionków, po czym przechodzili do wymiany figur. Nigdy, przenigdy nie ruszali króla z miejsca - poza roszadą (którą zapomniał, jak się robi) lub koniecznością ucieczki przed pościgiem. A tu proszę, dwóch szachowych ważniaków, którym zostało niewiele oprócz pionków, wymachuje królami jak zboczeniec kutasem. Pieprzyć to, pomyślał i darował sobie dalsze próby rozgryzienia tej zagwozdki.

Williego i Barenta dzieliło teraz zaledwie sześć stóp. Willi zmarszczył brwi, w zadumie oparł palec wskazujący na dolnej wardze i powiedział:

- *Bauer... entschuldigen... Bishric zum c fünf.* - Spojrzał na stojącego dziesięć stóp dalej Jimmy'ego Wayne'a Suttera i przetłumaczył: - Goniec na c5.

Chudy Żyd za plecami Haroda przetarł twarz dłońmi i pokuśtykał po czarnych polach, żeby zająć miejsce obok Reynoldsa. Harod odliczył kwadraty od skraju szachownicy: rzeczywiście, Żyd zajął piąte pole w trzecim rzędzie, kolumnie czy jak tam się to kurestwo poprawnie nazywa. Chwilę zajęło Harodowi uświadomienie sobie, że Żyd broni pozycji pionka (Luhara), zagrażając jednocześnie stojącej po skosie Sewell. Która zresztą chyba nie zdawała sobie sprawy, że znalazła się w niebezpieczeństwie; Harod widywał już trupy, które miały w sobie więcej życia. Jeszcze raz na nią spojrzął, wypatrując piczki pod obszarpaną koszulą. Odkąd zaczął sobie przypominać podstawy szachów, wyraźnie się odprężył. Nic mu nie groziło, dopóki Willi nie ruszy go z miejsca. Jeden pionek nie mógł zbić drugiego w zderzeniu czołowym, na dodatek Reynolds stał jedno pole w prawo na skos od niego, naprzeciwko Marii Chen, ubezpieczając jego prawą flankę, jeśli można tak powiedzieć. Harod gapił się na tę Sewell i dochodził do wniosku, że nie wyglądałaby wcale najgorzej, gdyby ją wykąpać.

- Pionek na a6 - powiedział Barent i skinął uprzejmie ręką.

Przez sekundę spanikowany Harod myślał, że to znów on ma się poruszyć - dopóki nie przypomniał sobie, że Barent jest królem czarnych. Panna Sewell zareagowała na znak miliardera i z wdziękiem weszła na znajdujące się przed nią białe pole.

- Dziękuję, moja droga - powiedział Barent.

Serce Haroda znów wrzuciło wyższy bieg. Żyd-goniec przestał zagrażać Sewell, która znalazła się jeden krok na skos od Toma Reynoldsa. Jeżeli Willi nie każe Reynoldsowi jej przechwycić, w następnym ruchu ona będzie mogła przechwycić jego. A wtedy znajdzie się jedno pole na skos od Tony'ego Haroda.

Cholera jasna.

- Pionek na b6 - odparował natychmiast Willi.

Harod pokręcił z niedowierzaniem głową, zastanawiając się, jak ma pokonać tę odległość, ale Reynolds ruszył się z miejsca, zanim jeszcze Willi skończył mówić: pomagier-blondyn stanął na czarnym polu ramię w ramię z panną Sewell, vis-à-vis Marii Chen.

Harod oblizął spierzchnięte nagle wargi. Marii nic nie groziło, w tej pozycji Reynolds nie mógł jej zaszkodzić. Jezu, pomyślał, ciekawe, co się dzieje z pionkami, które zostają przechwycone.

- Pionek na f5 - rzucił beznamiętnie Barent.

Swanson uprzejmym szturchnięciem dał znak Keplerowi, który zamrugał i zrobił krok w przód. Nagle Barent wydał się Harodowi znacznie mniej osamotniony od Williego.

- To chyba czterdziesty ruch, jeśli się nie mylę... - zauważył Willi i przeszedł jedno pole w przód, na skos, na czarny kwadrat. - Król na h4, *mein Herr*.

- Pionek na f4 - powiedział Barent i pchnął Keplera naprzód.

Mężczyzna w poplamionym garniturze przesunął się ostrożnie, szurając stopami, jakby na polu obok Barenta miała znajdować się zapadnia. Nawet kiedy zajął już wskazane pole, trzymał się jego skraju, nie odrywając wzroku od nagiego Murzyna na czarnym kwadracie na skos od niego. Dzieliło ich zaledwie sześć stóp. Luhar patrzył prosto przed siebie, na Barenta.

- Pionek bije pionka - mruknął Willi.

Luhar zrobił krok w przód i w prawo. Joseph Kepler odwrócił się z wrzaskiem i rzucił do ucieczki.

- Nie, nie, nie... - Barent zmarszczył brwi i pokręcił głową.

Kepler zamarł w pół kroku ze stężałymi mięśniami i sztywno wyprostowanymi nogami. Odwrócił się w miejscu i stanął twarzą w twarz z napierającym czarnoskórym mężczyzną. Luhar wszedł na jego pole. Tylko oczy wyrażały zgrozę, jaka ogarnęła Keplera.

- Dziękuję, Josephie - powiedział Barent. - Dobrze mi służyłeś.

Skinął głową Williemu.

Jensen Luhar ujął pobrużdżoną twarz Keplera w obie dłonie, ścisnął i gwałtownie przekręcił. Trzask łamanego karku poniósł się echem po sali. Kepler wierzgnął raz i umarł, powtórnie brudząc sobie garnitur, kiedy osuwał się na podłogę. Na dany przez Barenta znak podbiegli ochroniarze i

odciągnęli na bok zwłoki ze zwieszoną bezwładnie głową.

Luhar został sam na czarnym polu, wpatrzony przed siebie, w pustkę. Barent odwrócił się do niego.

Harodowi nie mieściło się w głowie, że Willi pozwoli Barentowi skasować Luhara. Murzyn od dobrych czterech lat był ulubieńcem starego producenta filmowego; sypiali ze sobą co najmniej dwa razy w tygodniu.

Barent najwyraźniej podzielał jego wątpliwości: uniósł wyprostowany palec i z cienia wynurzyło się pół tuzina ochroniarzy, mierząc z uzi do Williego i jego pomagiera.

- *Herr Borden?* - Barent uniósł brwi. - Proponuję zgodzić się na remis i kontynuować nasze zmagania na tradycyjnej płaszczyźnie. A w przyszłym roku... Kto wie?

Twarz Williego była pozbawioną wyrazu mięsistą maską, zawieszoną ponad białym golfem i białą wizytową marynarką.

- Nazywam się *Herr General Wilhelm von Borchert* - odparł beznamiętnie. - Graj.

Barent zawahał się, ale skinął strażnikom głową. Harod oczekiwał kanonady, lecz ochroniarze tylko stanęli w gotowości i sprawdzili, czy mają czyste pole rażenia.

- Niech tak będzie - powiedział Barent, kładąc bladą dłoń na ramieniu Luhara.

Potem Harod rozmyślał o tym, że mógłby próbować pokazać na ekranie to, co się chwilę później wydarzyło - pod warunkiem, że miały do dyspozycji nielimitowany budżet oraz Alberta Whitlocka plus dziesięciu innych geniuszy techniki hydraulicznej i speców od sztucznej krwi. Nigdy jednak nie zdołałby odtworzyć tych dźwięków ani wyrazu twarzy statystów.

Barent delikatnie dotknął ramienia Murzyna, którego ciało dosłownie sekundę później zaczęło drżeć, skręcać się i deformować. Mięśnie piersiowe napuchły, jakby pierś miała mu eksplodować; płaski, muskularny brzuch zatrzepotał jak targane wiatrem płótno namiotu; wydawało się, że jego głowa wznosi się na niewidocznym metalowym peryskopie, ścięgnięta szyi prężyły się, napinały do granic możliwości, aż w końcu trzaskały z wyraźnie słyszalnym odgłosem rozdzierania. Całe ciało pomagiera dygotało w szponach potężnego spazmu (Harodowi przywodziło na myśl gliniany projekt rzeźby, miażdżony i rozgniatany przez artystę w napadzie szału), ale najgorsze były oczy. Luhar przewrócił oczami, źrenice zniknęły w głębi czaszki, białka zaś rosły w przerażającym tempie, upodabniając się najpierw

do piłeczek golfowych, potem piłek bejsbolowych, a w końcu do białych balonów w każdej chwili grożących eksplozją. Murzyn otworzył usta, z których jednak zamiast spodziewanego krzyku dobieła się struga krwi, spływając mu po brodzie na pierś. Harold słyszał jednak dźwięki dobiegające z wnętrza Luhara, jakby trzeszczące włókna mięśni pękały niczym nadmiernie naprężone struny fortepianowe.

Barent odsunął się, żeby nie pobrudzić sobie ciemnego garnituru, białej koszuli i wyglansowanych mokasynów.

- Król bije pionka - oznajmił, poprawiając jedwabny krawat.

Ochroniarze weszli na szachownicę i usunęli ciało Luhara. Barenta i Williego dzieliło teraz tylko jedno puste białe pole. Reguły szachów zabraniały im na nie wstępu; królowie nie mogli nawzajem się szachować.

- Teraz chyba mój ruch - powiedział Willi.

- Owszem, *Herr Bor... Herr General* von Borchert - odparł Barent.

Willi skinął głową, strzelił obcasami i zapowiedział następne posunięcie.

- Nie powinniśmy już być na miejscu? - zaniepokoiła się Natalie, wyglądając przez zalewaną deszczem przednią szybę.

Daryl Meeks przesunął niezapalone cygaro z jednego kącika ust w drugi.

- Ten czołowy wiatr jest silniejszy, niż się spodziewałem. Ale spokojnie, niedługo dolecimy. Wypatrujcie świateł imprezy z prawej strony.

Natalie opadła na oparcie fotela, z trudem powstrzymując się od sięgnięcia do torebki i namacania w niej (po raz trzydziesty) kolby colta.

Jackson pochylił się i oparł z tyłu o jej fotel.

- Nadal nie rozumiem, co taki dzieciak jak ty robi w takim miejscu jak to.

Chciał, żeby wyszło to jak żart, zabawa schematem, ale Natalie okręciła się na siedzeniu i warknęła w odpowiedzi:

- Posłuchaj no, ja dobrze wiem, co tu robię. A co ty tu robisz, cwaniaczku?

Jackson musiał chyba wyczuć jej nerwy, bo uśmiechnął się i odparł spokojnie:

- Soul Brickyard nie jest zachwycone tym, że ci kolesie wpieprzają się na nasz teren, i robią krzywdę naszym braciom i siostram. Trzeba wyrównać rachunki.

Natalie zacisnęła pięść.

- To nie są pierwsi lepsi kolesie - przypomniała Jacksonowi. - To naprawdę źli ludzie.

Jackson delikatnie zacisnął palce wokół jej pięści.

- Posłuchaj, laluniu, na świecie są tylko trzy rodzaje ludzi: złe skurwysyny, złe czarne skurwysyny i złe białe skurwysyny. Złe białe skurwysyny są najgorsze, bo są na świecie najdłużej. - Zerknął na pilota. - Bez urazy, stary.

- Nie ma obaw - odparł Meeks. Znów przesunął cygaro w zębach i postukał palcem w szybę. - To chyba jedno z waszych światełek, tam na horyzoncie. - Spojrzał na prędkościomierz. - Dwadzieścia minut. Może dwadzieścia pięć.

Natalie cofnęła rękę i wymacała pistolet w torebce. Za każdym razem wydawał jej się coraz mniejszy i coraz mniej materialny.

Meeks przymknął przepustnicę. Cessna zaczęła stopniowo wytracać wysokość.

Mimo otępiającej mgły bólu i wyczerpania, Saul siłą woli zmusił się do skupienia się na grze. Najbardziej bał się tego, że straci przytomność albo - poprzez swoją nieuwagę - zmusi Williego do przedwczesnego użycia swojej mocy przeciwko niemu. Każde z tych dwóch zdarzeń wyzwoliłoby stan snu i fazę REM, a faza REM wyzwoliłaby coś więcej. Znacznie więcej.

Najchętniej położyłby się i zasnął długim snem bez marzeń. Od prawie sześciu miesięcy za każdym razem, kiedy zasypiał, śnił te same, powracające, zaprogramowane sny. Teraz czuł, że jeśli śmierć jest jedynym rodzajem snu bez marzeń, to chętnie powita ją jak przyjaciela.

Ale jeszcze nie teraz.

Po śmierci Luhara - i stracie jedynej przyjaznej bierki w promieniu pięciu pól - Oberst (Saul w duchu uparcie odmawiał uznania jego awansu) w czterdziestym drugim posunięciu sam przesunął się na pole h5. Jak na jedyną figurę na całej prawej połowie planszy, zachowywał niezwykle spokojny. Dwa pola dzieliły go od Swansona, trzy od Suttera, dwa od samego Barenta.

Saul - jedyna biała bierka, która mogła przyjść mu z pomocą - usilnie starał się nie tracić koncentracji. Jeżeli po następnym ruchu Barent zagrozi bezpośrednio jemu, gońcowi Obersta, nie pozostanie mu nic innego, jak natychmiast zaatakować starego Niemca. Dzieliło ich prawie dwadzieścia stóp. Jedyłą nadzieję Saul upatrywał w fakcie, że Barent stanie na linii ognia przynajmniej niektórych ochroniarzy. Problem nadal stanowił Tom Reynolds, biały pionek na czarnym polu trzy stopy od Saula: nawet jeśli żaden z ludzi Barenta nie zareaguje, Oberst wykorzysta Reynoldsa, żeby go zmiażdżyć.

W czterdziestym drugim ruchu Barent wszedł na pole e5, zachowując dystans do Obersta i stając obok Suttera.

- Goniec na e3 - zaordynował Oberst.

Saul otrząsnął się z odrętwienia i szybko, zanim Niemiec zdążył go ponaglić, zajął wskazaną pozycję.

Nawet po tym ruchu nie bardzo umiał ogarnąć sytuację strategiczną zbiorowiska zmęczonych ciał. Zamknął oczy i wyobraził sobie szachownicę.

Barent zajął pole e4, tuż obok niego. Jeżeli Oberst nie każe się Saulowi przesunąć, w następnym ruchu Barent go zbije. Saul zacisnął kurczowo powieki, usiłując zmusić się do biegu. Przypomniał sobie noc w baraku w Chełmnie, kiedy był gotowy walczyć i zginąć, zamiast dać się wyprowadzić w mrok.

- Goniec na f2 - polecił Oberst.

Saul cofnął się w prawo na skos, odsuwając się od Barenta.

Miliarder rozmyślał przez chwilę nad kolejnym posunięciem. Zerknął z uśmiechem na Obersta.

- Czy to prawda, *Herr General*, że był pan przy Hitlerze do samego końca?

Saul wybałuszył oczy. Zagadywanie przeciwnika podczas rozgrywki uchodziło za niewybaczalne naruszenie szachowej etykiety.

Oberst jednak najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu.

- *Ja*, byłem w tych ostatnich dniach w *Führerbunker*, *Herr Barent*. A co?

- Nic. Zastanawiałem się, czy pańskie zamiłowanie do *Götterdämmerung* datuje się z tego właśnie okresu kształtowania pańskiej osobowości.

Oberst parsknął śmiechem.

- *Führer* był tanim pozerem - odparł. - Dwudziestego drugiego kwietnia... pamiętam, to było dwa dni po jego urodzinach... postanowił udać się na południe i tam objąć dowództwo nad grupami armii Schoenera i Kesselringa, zanim Berlin padnie. Wyperswadowałem mu to; przekonałem go, żeby został. Następnego dnia wymknąłem się z miasta lekkim samolotem, wykorzystując aleję w zniszczonym Tiergarten jako pas startowy. Pański ruch, *Herr Barent*.

Barent odczekał jeszcze czterdzieści pięć sekund, zanim w końcu cofnął się po skosie na pole f5. Znow znalazł się tuż obok Suttera.

- Król na f5.

- Goniec na h4 - odparował Oberst.

Saul pokonał dwa czarne pola na skos i stanął za jego plecami. Przy tej

okazji otworzyła mu się rana na nodze, ucisnął ją więc przez materiał kombinezonu. Znalazł się tak blisko, że czuł zapach Obersta - mieszaninę starości, wody kolońskiej i halitosis, słodką i gryzącą. Tak chyba musiał pachnieć Cyklon B, kiedy człowiek zaciągał się nim po raz pierwszy i ostatni w życiu.

- James? - odezwał się Barent.

Jimmy Wayne Sutter otrząsnął się z marazmu i postąpił krok w przód, zrównując się z Barentem w piątej linii.

Oberst obejrzał się na Saula i ostrym gestem wskazał mu puste pole dzielące go od Barenta. Saul posłusznie na nim stanął.

- Goniec na g5. - Głos Obersta rozdarł panującą w sali ciszę.

Saul patrzył przed siebie, prosto w obojętną twarz odległego o dwa pola agenta nazwiskiem Swanson. Nieustannie czuł obecność stojącego dwie stopy na lewo Barenta i znajdującego się w tej samej odległości po drugiej stronie Obersta. Tak się musiał czuć człowiek wrzucony do małej dziury pomiędzy dwie rozjuszony kobry.

Bliskość Obersta prowokowała do działania teraz, już, natychmiast; wystarczyłoby, żeby się obrócił i...

Nie. To nie był dobry moment.

Zerknął ukradkiem w lewo. Barent sprawiał wrażenie znudzonego, kiedy spoglądał ku skupisku czterech pionków w pobliżu lewego skraju planszy. Poklepał Suttera po szerokich barach i mruknął:

- Pionek na e4.

Saul natychmiast dostrzegł zagrożenie ze strony pionka dla Obersta: pion, który dotarł do ostatniej, ósmej linii, podlegał „promocji”, czyli wymianie na dowolną figurę.

Na razie jednak Sutter znajdował się dopiero w linii piątej, a Saul jako goniec kontrolował diagonalę zawierającą pole e3. Wydawało się więc prawdopodobne, że w stosownej chwili zostanie wykorzystany do „przechwycenia” Suttera. Mógł szczerze nie cierpieć obrzydliwego hipokryty, ale w tej właśnie chwili postanowił, że nie pozwoli drugi raz wykorzystać się Oberstowi w taki sposób: jeśli dostanie rozkaz zabicia wielebnego, zwróci się bezpośrednio przeciwko Oberstowi, bez oglądania się na szanse powodzenia.

Przymknął oczy i niewiele brakowało, by natychmiast zapadł w sen. Otrząsnął się i zacisnął zranioną lewą dłoń, czekając, aż ból go rozbudzi. Prawa ręka mrowiła go od barku w dół, palce ledwie reagowały, kiedy

usiłował nimi poruszyć.

Zastanawiał się, gdzie podziewa się Natalie. I dlaczego, do diabła, nie zmusiła staruchy do działania? Panna Sewell stała daleko, w trzeciej linii przy skraju planszy, niczym zapomniany posążek, ze wzrokiem utkwionym w półmrok zalegający pod sufitem.

- Goniec na e3 - odezwał się Oberst.

Saul z wysiłkiem wciągnął powietrze w płuca i na chwiejnych nogach cofnął się na zajmowane wcześniej pole, blokując drogę Sutterowi. Nie mógł skrzywdzić kaznodziei, dopóki ten znajdował się na białym polu, Sutter zaś nie mógł mu nic zrobić, kiedy stali tak twarzą w twarz.

- Król na f6 - oznajmił Barent i cofnął się o jedno pole. Swanson stał teraz za jego plecami, na skos z lewej strony.

- Biały król na g4 - odpowiedział Oberst, przysuwając się do Suttera i Saula.

- Czarny król łatwo nie ustępuje - odparł Barent na wpół żartobliwym tonem. - Król na e5.

I stanął za plecami Suttera. Bierki szykowały się do walnej bitwy.

Z odległości dwóch stóp Saul patrzył prosto w zielone oczy Jimmy'ego Wayne'a Suttera. Nie było w nich paniki, miały przejmująco pytający wyraz, pałały rozpaczliwą chęcią zrozumienia, co się dzieje.

Saul czuł, że gra zbliża się do końca.

- Król na g5 - powiedział Oberst. Przeszedł na czarne pole i znalazł się w jednej linii z Barentem.

Barent się rozejrzał i zrobił krok w prawo, oddalając się od Obersta.

- Może przerwa na mały poczęstunek, *Herr General*? - zaproponował. - Jest wpół do trzeciej nad ranem, moglibyśmy coś przekąsić i za pół godziny wrócić do gry.

- Nie! - warknął Oberst. - To będzie chyba pięćdziesiąty ruch, o ile mnie pamięć nie myli. - Zrobił krok w stronę Barenta i znalazł się na białym polu w tył i po skosie od Suttera. Duchowny nie odwrócił się ani nie obejrzał przez ramię. - Król na f5.

Barent odwrócił się od natarczywego spojrzenia Obersta.

- Pionek na a5, proszę! - zawołał. - Panno Fuller, pozwoli pani...

Kobieta stojąca przy skraju planszy wzdrygnęła się, jej głowa obróciła się jak zardzewiały kurek na wietrze.

- Tak?

- Proszę przejść jedno pole naprzód - polecił Barent z ledwie słyszalną

nutą troski w głosie.

- Naturalnie, proszę pana. - Panna Sewell już miała postawić pierwszy krok, gdy jeszcze raz się zawahała. - Panie Barent? To chyba nie będzie niebezpieczne dla mojej młodej damy?

- Oczywiście, że nie, droga pani. - Barent się uśmiechnął.

Panna Sewell zbliżyła się bosą do Tony'ego Haroda.

- Dziękuję, panno Fuller - powiedział Barent.

Oberst skrzyżował ręce na piersi.

- Goniec na f2.

Saul przesunął się w prawo w tył. Nie rozumiał tego ruchu.

Barent rozpromienił się w uśmiechu.

- Pionek na g5 - odparł bez chwili zwłoki.

Zaskoczony Swanson rozdziawił usta i żwawo przesunął się dwa pola do przodu - był to jego pierwszy ruch, jedyny moment, w którym pion może poruszyć się o dwa pola zamiast jednego - i stanął obok Obersta.

Oberst z westchnieniem odwrócił się na spotkanie nowego zagrożenia.

- Trąci mi to desperacją, *Herr* Barent - powiedział, patrząc na Swansona.

Agent nie poruszył się, nie próbował uciekać, w ogóle nie reagował.

Tkwiał w narzuconym przez Barenta lub Obersta imadle psychicznym, które nie dopuszczało nawet najmniejszych przebłysków wolnej woli. Zresztą, przechwycenie ofiary w wykonaniu Obersta nie było nawet w połowie tak dramatyczne jak to, co Barent zrobił z Luharem: w jednej chwili Swanson stał w pozycji „spocznij”, a w następnej leżał martwy, przecinając linię styku białego i czarnego pola.

- Król bije pionka - powiedział Oberst.

Barent przysunął się do Haroda.

- Czarny król na c4 - odpowiedział.

- Tak... - Oberst wszedł na czarne pole przylegające do pola zajmowanego przez Suttera. - Biały król na f5.

Saul uświadomił sobie, że Oberst poluje na Suttera, Barent zaś przypieczętował los Haroda.

- Król na b4 - powiedział Barent, stając obok Haroda.

Do Tony'ego Haroda dotarło właśnie, że będzie następną ofiarą miliardera. Obliznął nerwowo wargi i obejrzał się przez ramię, jakby zamierzał czmychnąć w półmrok. Ludzie Barenta zacieśnili kordon wokół planszy.

Saul przeniósł wzrok na Suttera. Kaznodziei zostały dosłownie sekundy życia - wydawało się niemożliwe, żeby w następnym ruchu Oberst nie

przechwycił bezbronnego pionka.

- Król bije pionka - potwierdził Willi von Borchert i wszedł na zajmowane przez Suttera białe pole.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Sutter. - Jedną sekundę! Chcę coś powiedzieć Żydowi!

Willi z niesmakiem pokręcił głową, ale Barent wstawił się za ewangelistą:

- Proszę dać mu tę chwilę, *Herr General*.

- Byle szybko - burknął Oberst. Było widać, że chce jak najszybciej zakończyć partię.

Sutter sięgnął do kieszeni po chusteczkę, a kiedy jej nie znalazł, wierzchem dłoni starł pot znad górnej wargi. Spojrzał na Saula i przemówił ściszym, stanowczym głosem, zupełnie innym od modulowanego ryku, jakim posługiwał się w telewizji.

- Z Księgi Mądrości - zapowiedział. - Rozdział trzeci:

A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga
i nie dosięgnie ich męka.

Zdało się oczom głupich, że pomarli,
zejście ich poczytano za nieszczęście
i odejście od nas za unicestwienie,
a oni trwają w pokoju.

Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni,
nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności.

Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich,
Bóg ich bowiem doświadczył
i znalazł ich godnymi siebie.

Doświadczył ich jak złoto w tyglu
i przyjął ich jak całopalną ofiarę.

W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją
i rozbiegną się jak iskry po ściernisku.

Ci, którzy Mu zaufali, zrozumieją prawdę,
wierni w miłości będą przy nim trwali:

łaska bowiem i miłosierdzie dla Jego wybranych.

- To wszystko, bracie Jamesie? - spytał Oberst z lekkim rozbawieniem w głosie.

- Tak - odparł Sutter.

- Król bije pionka - powtórzył Oberst. - *Herr Barent*, jestem zmęczony.

Niech pańscy ludzie się tym zajmą.

Na dany przez Barenta znak ochroniarz wynurzył się z cienia, przystawił Sutterowi uzi do podstawy czaszki i strzelił.

- Pański ruch - powiedział Oberst do Barenta, gdy strażnicy usuwali zwłoki.

Saul z Oberstem zostali sami na prawej części szachownicy, w pobliżu jej środka. Stojący w tłumie pionków Barent spojrzał na Tony'ego Haroda, odwrócił się do Obersta i zaproponował:

- Zgodziłby się pan na remis, *Herr General*? Tylko chwilowo, później omówimy warunki dalszych etapów naszej rozgrywki.

- *Nein* - odparł Willi. - Graj.

C. Arnold Barent zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, żeby dotknąć ramienia Haroda.

- Nie! - wrzasnął Harod. - Nie, kurwa, zaczekajcie! Zaczekajcie chwilę, do chuja pana!

Odsunął się najdalej jak mógł, nie schodząc ze swojego pola. Dwaj strażnicy rozsunęli się na boki, żeby móc swobodnie strzelać.

- Jest już późno, Tony - powiedział Barent. - Nie utrudniaj.

- *Auf Wiedersehen*, Tony - dodał Willi.

- Zaraz! - krzyknął Harod. - Powiedzieliście, że będę mógł się zamienić! Obiecaliście mi!

Jego głos przeszedł w płaczliwy jęk.

- Co ty wygadujesz? - zirytował się Barent.

Harod rozdziawił usta, łapczywie chwytając powietrze. Wskazał na Williego.

- Ty mi obiecałeś! Powiedziałeś, że będę się mógł z nią zamienić... - Ruchem głowy wskazał Marię Chen, nie odrywając wzroku od wyciągniętej ręki Barenta. - Pan Barent cię słyszał. Pan Barent się zgodził.

Na twarzy Williego zamiast irytacji odmalowało się rozbawienie.

- On ma rację, *Herr Barent*. Umówiliśmy się, że będą mogli zamienić się miejscami.

- Bzdura! - Barent był wyraźnie zły. - Chodziło mu o zamianę, kiedy to jej będzie coś groziło, nie jemu. To jakiś absurd!

- Obiecałeś! - zaskomlał Harod. Złożył dłonie i wyciągnął je błagalnie do Obersta. - Willi, powiedz mu. Obaj mi obiecaliście, że będę się mógł zamienić, kiedy zechcę. Powiedz mu, Willi. Proszę. Powiedz mu.

Oberst wzruszył ramionami.

- Decyzja należy do pana, *Herr* Barent.

Barent z westchnieniem spojrział na zegarek.

- Niech dama zdecyduje. Panno Chen?

Maria wpatrywała się w Haroda. Saul nie umiał nic wyczytać w jej ciemnych oczach.

Harod wiercił się nerwowo, spojrział w jej stronę, gwałtownie odwrócił wzrok.

- Panno Chen? - powtórzył Barent.

- Tak - wyszeptała.

- Co? Nie dosłyszałem.

- Tak.

Harod oklapł.

- Wielka szkoda... - mruknął Oberst. - Twoja pozycja jest niezagrożona, *Fräulein*. Bez względu na rozstrzygnięcie partii, twojemu pionkowi nic nie grozi. Szkoda się poświęcać dla takiego ludzkiego ścierwa.

Maria Chen nie odpowiedziała. Z podniesioną głową, nie patrząc na Haroda, zamieniła się z nim miejscami. Jej szpilki zastukały głośno o planszę. Odwróciła się, uśmiechnęła do panny Sewell i spojrzała na Haroda.

- Jestem gotowa - powiedziała.

Harod na nią nie patrzył.

C. Arnold Barent westchnął i musnął palcami kruczoczarne włosy Marii.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział. - Król bije pionka.

Szyja Marii wygięła się w tył, jej usta otworzyły się nienaturalnie szeroko i dobiegł z nich suchy, grzechoczący dźwięk, gdy bezskutecznie usiłowała zaczerpnąć tchu. Upadła na wznak, rozdrapując sobie gardło. Makabryczne dźwięki i spazmy trwały jeszcze blisko minutę.

Ochroniarze zajęli się usuwaniem ciała, Saul zaś po raz kolejny próbował zrozumieć, co właściwie robią Oberst z Barentem. Doszedł do wniosku, że nie popisują się bynajmniej jakimś nowym aspektem swojej mocy, lecz używają jej do brutalnej demonstracji siły, przejmując władzę nad świadomością i autonomicznym układem nerwowym ofiary i przełamując podstawowe biologiczne programowanie. Było oczywiste, że jest to dla nich działanie męczące, ale proces w obu przypadkach musiał przebiegać identycznie: indukowany rytm theta, fałszywa faza REM i utrata kontroli nad ciałem. Dałby sobie głowę uciąć, że tak właśnie to wyglądało.

- Król na d5 - powiedział Oberst, zbliżając się do Barenta.

- Król na b4 - zareagował Barent, cofając się o jedno pole na skos.

Saul cały czas szukał wyjścia dla miliardera, który chciałby jeszcze ocalić tę partię, lecz niczego nie znajdował. Panna Sewell - czarny pionek Barenta w skrajnej kolumnie szachownicy - mógł wprawdzie posuwać się do przodu, ale dopóki Oberst dysponował gońcem, nie miał najmniejszych szans na promocję. Przyblokowany przez Reynoldsa Harold był bezużyteczny.

Mrużąc oczy, Saul spojrzął na stojącego dwadzieścia stóp dalej Harolda: stał ze wzrokiem utkwionym w posadzkę, wyraźnie nieświadomy tego, że wokół niego rozgrywa się końcówka partii.

Oberst mógł dowolnie wykorzystywać Saula - swojego gońca - i w każdej chwili zagrozić czarnemu królowi. Saul nie widział ratunku dla Barenta.

- Król na d6 - powiedział Oberst.

Stanął na czarnym polu w jednym rzędzie z Haroldem. Od Barenta dzieliło go jedno czarne pole po skosie. Bawił się z miliarderm w kotka i myszkę.

Barent uśmiechnął się i podniósł trzy palce w udawanym salucie.

- Poddaję się, *Herr General*.

- *Ich bin Der Meister* - powiedział Oberst.

- Jak najbardziej. Czemu nie?

Barent przemierzył dzielącą ich przestrzeń. Podali sobie ręce. Miliarder rozejrzał się po sali.

- Zrobiło się późno, dalsza zabawa mnie nie interesuje - powiedział. - Jutro się z panem skontaktuję, ustalimy szczegóły następnej rozgrywki.

- Jeszcze dzisiaj wracam do domu - zastrzegł się Oberst.

- Naturalnie.

- Proszę pamiętać, że zostawiłem u przyjaciół w Europie pewne listy i instrukcje związane z moimi międzynarodowymi przedsięwzięciami. Są moim zabezpieczeniem, rzecz by można; mają mi zagwarantować spokojny powrót do Monachium.

- Wiem, wiem, o niczym nie zapomniałem. Pański samolot ma zezwolenie na lądowanie. Skontaktuję się tradycyjnymi kanałami.

- *Sehr gut*.

Barent powiódł wzrokiem po prawie pustej szachownicy.

- Miał pan rację, te kilka miesięcy temu - orzekł. - To był niezwykle ekscytujący wieczór.

- *Ja*.

Kroki Barenta poniosły się echem, gdy dziarsko podszedł do przeszklonych drzwi. Otoczyli go ochroniarze, reszta widzów wyszła na

dwór.

- Mam się zająć doktorem Laskim? - zapytał.

Oberst odwrócił się do Saula i zmierzył go takim wzrokiem, jakby całkiem o nim zapomniał.

- Proszę go zostawić - odparł w końcu.

- A co z naszym bohaterem wieczoru? - Barent skinął na Haroda, który usiadł na swoim polu i trzymał się za głowę.

- Sam zajmę się Tonym - zapowiedział Oberst.

- Co z kobietą? - Ruchem głowy Barent wskazał pannę Sewell.

Oberst odchrząknął.

- Podczas jutrzejszej rozmowy w pierwszej kolejności musimy omówić kwestię mojej drogiej przyjaciółki Melanie Fuller - odparł. - Powinniśmy okazać jej należyty szacunek. - Podrapał się po nosie. - A ją proszę zabić od razu.

Barent pokiwał głową. Jeden z jego ludzi wyszedł przed szereg i puścił serię z uzi. Kule trafiły pannę Sewell w pierś i brzuch; poleciała w tył jak uderzona łapą olbrzyma, przejechała po śliskiej posadzce i znieruchomiała z rozrzuconymi szeroko nogami, obdarta z ostatniego łachmana.

- *Danke* - powiedział Oberst.

- *Bitte sehr. Gute Nacht, Meister.*

Oberst odpowiedział skinieniem głowy. Barent z obstawą wyszli. Chwilę później helikopter poderwał się w powietrze i zatoczywszy łuk nad wodą, skierował się w stronę czekającego jachtu.

W sali zostali tylko Reynolds, skulony Tony Harod, ciała zabitych, Oberst i Saul.

- To by było tyle. - Oberst włożył ręce do kieszeni i niemal z żalem spojrzął na Saula. - Czas się pożegnać, mój mały pionku.

72.

Melanie

Okazało się, że, że C. Arnold Barent wcale nie jest takim dżentelmenem, za jakiego go uważałam.

Byłam zajęta innymi sprawami w Charleston, toteż zamordowanie panny Sewell przez pana Barenta było dla mnie - mówiąc oględnie - wstrząsem. Kule przeszywające ciało nigdy nie są miłym doznaniem, nawet jeśli odczuwa się je tylko pośrednio, a na skutek mojego rozproszenia uwagi doświadczenie to było w dwójnasób zaskakujące i nieprzyjemne. Zanim przystała do mnie na służbę, panna Sewell była kobietą raczej przeciętną i pospolitą i nawet w późniejszym okresie nie wyzbyła się całkowicie tych przywar, była jednak wiernym i użytecznym członkiem mojej nowej rodziny, czym zasłużyła sobie na bardziej godny koniec.

Przestała funkcjonować dosłownie kilka sekund po tym, jak człowiek Barenta ją rozstrzelał (co uczynił, jak z przykrością skonstatowałam, za radą Williego), ale te kilka sekund pozwoliło mi się wycofać i wrócić świadomością do ochroniarza, którego zostawiłam nieopodal biurowej części podziemnego kompleksu.

Był uzbrojony w skomplikowany pistolet maszynowy. Nie miałam zielonego pojęcia, jak posługiwać się tą niedorzeczną bronią; na szczęście on znał się na rzeczy. Pozwoliłam więc, by odruchy wzięły w nim górę, gdy będzie wykonywał moje polecenia.

Pięciu strażników po zejściu ze służby siedziało przy długim stole. Popijali kawę. Mój strażnik strzelał krótkimi seriami: trzech zabitych runęło na ziemię razem z krzesłami, czwarty - który rzucił się po leżącą na pobliskim blacie broń - został ranny. Piątemu udało się uciec. Mój człowiek wyminął stół, przestępując nad zwłokami, dotarł do czwartego z ochroniarzy, który próbował doczołgać się do kąta, i strzelił do niego dwa razy.

Labirynt tuneli wypełniło dobiegające skądś potężne wycie alarmu.

Mój strażnik ruszył do wyjścia, skręcił i natychmiast został zastrzelony przez brodatego ochroniarza o wyglądzie Meksykanina. Przeskoczyłam świadomością do Meksykanina i kazałam mu wbiec po betonowej pochylni. Podjechał akurat jeep z trójką ludzi; siedzący z tyłu oficer zaczął zadawać mojemu Meksykaninowi pytania. Strzeliłam mu w lewe oko, przeskoczyłam do kaprała za kierownicą i oczami Meksykanina obserwowałam, jak

prowadzony przez kaprala dżip wbija się w ogrodzenie pod napięciem. Dwaj siedzący z przodu mężczyźni zostali wyrzuceni z wozu, przelecieli nad maską i spadli na podłączone do prądu druty. Samochód przekoziółkował dwukrotnie, syjąc skrami, i spowodował wybuch miny umieszczonej w strefie buforowej.

Meksykanin ruszył spokojnie brukowaną ścieżką przecinającą strefę buforową, ja zaś przeskoczyłam do młodego porucznika dowodzącego dziewięcioosobowym oddziałem. Obaj moi nowi pomagierzy wybuchnęli śmiechem na widok min strażników, gdy ich własny dowódca zwrócił się przeciwko nim.

Inna grupa wracała właśnie z północy, prowadząc ostatnich surogatów wyłapanych po ucieczce Jensena Luhara. Kazałam Meksykaninowi rzucić w ich stronę granat fosforowy. Podświetlone ogniem nagie sylwetki rozbiegły się z wrzaskiem w mrok. Zewsząd zaterkotały karabiny, gdy grupki spanikowanych ludzi zaczęły ostrzeliwać się nawzajem. Dwie łodzie patrolowe podpłynęły bliżej brzegu, żeby rozeznąć się w sytuacji. Kazałam porucznikowi wybiec na plażę i je przywitać.

Wolałabym śledzić wydarzenia rozgrywające się w tym czasie w dworku, tam jednak nie miałam już innych kontaktów poza panną Sewell. Neutrale Barenta byli poza moim zasięgiem. Jedynym żywym graczem, którego mogłabym Użyć, był ten Hebrajczyk, z którym jednak coś było nie w porządku; czułam to. Należał zresztą do Niny, a z nią chwilowo nie chciałam mieć do czynienia.

Jeden kontakt postanowiłam jednak odnowić - kontakt z człowiekiem, który wprawdzie nie znajdował się na wyspie, lecz przebywał w pobliżu. Podczas niedawnego zamieszania w Charleston niemal go straciłam; tylko długotrwałe warunkowanie na odległość pozwoliło mi w ogóle odzyskać łączność.

Doszłam do wniosku, że Nina kompletnie zwariowała, kiedy ta jej Murzynka zawlokła Justina do parku z widokiem na rzekę i stocznię marynarki wojennej, skąd dzień w dzień wypatrywałyśmy tego człowieka przez głupią lornetkę. Ostatecznie okazało się, że do nawiązania pierwszego ostrożnego kontaktu potrzebowałam czterech takich wizyt. Murzynka nalegała, żebym zachowywała się ostrożnie i dyskretnie jak nigdy przedtem... Tak jakby Nina mogła mnie uczyć dyskrecji!

Niejaką dumą napawał mnie fakt, że podtrzymywałam ten kontakt przez wiele tygodni, podczas których obiekt nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, a

i jego koledzy nie zauważyli żadnej zmiany. To niewiarygodne, jak wiele można się nauczyć - ile technicznych szczegółów i specjalistycznego żargonu człowiek sobie przyswaja - po prostu obserwując biernie świat oczami drugiej osoby. Aż do czasu zglądzenia panny Sewell nie zamierzałam korzystać z tego zasobu - wbrew zachętom i machinacjom Niny.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Obudziłam mężczyznę nazwiskiem Mallory, kazałam mu wstać z koi, przejść krótkim korytarzem i wspiąć się po drabince do pomieszczenia oświetlonego czerwonymi lampami.

- Panie kapitanie - odezwał się niejaki Leland.

Przypomniałam sobie, że nazywają go „pierwszym oficerem”, *executive officer* - albo, w skrócie, „XO”. Przypomniałam sobie również turnieje w kółko i krzyżyk, które rozgrywałam sama ze sobą w dzieciństwie, stawiając w kratkach znaki X i O.

- Doskonale, panie Leland - kazałam zwięźle odpowiedzieć Mallory’emu.
- Tak trzymać. Będę w centrum dowodzenia.

Wyprowadziłam Mallory’ego za drzwi i kazałam mu zejść po drabince, zanim któryś z jego podwładnych zdążył zauważyć zmianę wyrazu jego twarzy. Ucieszyłam się, że w rozświetlonym na czerwono korytarzu nikogo nie było - byłoby to dziwne, nawet niepokojące doświadczenie, zobaczyć na twarzy kapitana uśmiech wyczekiwania tak szeroki, że odsłaniał wszystkie zęby, aż po trzonowce.

73.

Dolmann Island

16 czerwca 1981, wtorek

- Trzymajcie się - ostrzegł Meeks. - Teraz będzie najfajniejsze.

Z małego pudełka na pulpicie cessny dobiegł pisk. Meeks natychmiast położył maszynę w stromy lot nurkowy, który wyrównał zaledwie pięć stóp nad wzburzonym morzem. Natalie ścisnęła kurczowo skraj fotela, kiedy samolot mknął ku odległej o sześć mil ciemnej wyspie.

- Co to? - zainteresował się Jackson, wskazując czarne pudełko, które przestało tymczasem popiskiwać.

- Antyradar - odparł Meeks. - Radar zaczął nas namierzać. Teraz albo lecimy za nisko, albo wyspa nas zasłania.

- Ale oni już wiedzą, że się zbliżamy? - spytała Natalie.

Nie do końca potrafiła ukryć drżenie w głosie, gdy leciutko fosforyzująca woda przemykała pod kadłubem z prędkością stu mil na godzinę. Miała świadomość, że wystarczy chwila nieuwagi Meeksa, żeby zaczęli podwoziem o czubki fal, które zdawały się odległe najwyżej o kilka cali. Z trudem powstrzymywała się od podkulenia nóg.

- Na pewno o nas wiedzą - przytaknął pilot - ale wcześniej wykierowałem nas na wschodni kurs, na którym powinniśmy przelecieć dobre pięć, sześć mil na północ od wyspy. Z ich punktu widzenia po prostu wylecieliśmy poza zasięg radarów. W tej chwili nadlatujemy nad wyspę od północnego wschodu; spodziewam się, że od tej strony mniej się pilnują.

- Patrzcie! - wykrzyknęła Natalie.

Za oknem było widać mrugające zielone światło na przystani, a za nim szalejący pożar.

Natalie odwróciła się do Jacksona.

- Może to Melanie! - zawołała podekscytowana. - Może już zaczęła!

Meeks zerknął na nich oboje.

- Słyszałem, że mają tam taki wielki amfiteatr, w którym czasem rozpalają ogniska. Pewnie jakaś impreza.

Natalie spojrzała na zegarek.

- O trzeciej nad ranem?

Pilot wzruszył ramionami.

- Możemy przelecieć nad wyspą? Chciałabym zobaczyć Dworek, zanim

wylądujemy.

- Nie da rady. Za duże ryzyko. Oblecimy wschodni skraj i wrócimy od południa, tak jak za pierwszym razem.

Natalie skinęła głową. Pożaru nie było już widać, przystań zniknęła im z oczu i widziana od wschodu wyspa zdawała się niezamieszкана. Cessna oddaliła się jeszcze sto jardów od brzegu i wzniosła wyżej, wymijając urwiska południowo-wschodniego cypla.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Meeks.

Wszyscy troje przechylili się w lewo, żeby lepiej widzieć, kiedy Meeks położył samolot w ciasny skręt w prawo w dół, ku względnie bezpiecznemu morzu. Na południu ocean pałał blaskiem rozrastającego się ognistego grzyba, z którego liźnięcia żółto-zielonych płomieni próbowały dosięgnąć cessny. Kiedy wyrównali lot sześć stóp nad spienioną wodą, Natalie dostrzegła dwa oślepiające ogniste punkty na rysującej się na tle płomieni ciemnej sylwetce okrętu; zaświeciły jeszcze jaśniej, gdy skoczyły w stronę ich samolotu. Jeden ognik wpadł do morza i zgasł, za to drugi minął cessnę i zderzył się z odległym o sto jardów urwiskiem. Eksplozja wyrzuciła samolocik sześćdziesiąt stóp w górę jak dobra fala deskę surfingową. Kiedy Cessna runęła z powrotem ku czarnej topieli, Meeks - który otworzył przepustnicę na oścież, żeby odzyskać kontrolę nad maszyną - wydał z siebie coś na kształt buntowniczego wrzasku. Natalie z policzkiem przytulonym do szyby patrzyła, jak kula ognia za ogonem cessny rozpada się na setkę mniejszych płomieni. Odłupany kawał klifu runął do wody. Spojrzała w lewo w samą porę, żeby dostrzec trzy kolejne rozbłyski na tle czarnego okrętu: następne trzy pociski już leciały w ich stronę.

- Niech to wszyscy diabli... - mruknął Jackson.

- Trzymajcie się, dzieciaki! - wrzasnął Meeks i skręcił w prawo tak gwałtownie, że Natalie zobaczyła przelatujące dokładnie pod jej oknem pióropusze palmowych liści.

Trzymała się ze wszystkich sił.

C. Arnold Barent z ulgą opuścił Dworek i wzbił się w powietrze. Turbina odrzutowa luksusowego bella ryknęła głośno, wizg wirników zmienił ton i Donald - pilot Barenta - poderwał maszynę z tonącego w blasku reflektorów trawnika ponad drzewa. Startujący na lewo od nich starszy i większy model bella, UH-1 „Huey”, zabrał cały oddział straży przybocznej Barenta (liczący teraz, po stracie Swansona, dziewięciu ludzi); jeszcze dalej na lewo wzniósł

się w powietrze jedyny na świecie egzemplarz szturmowej cobry znajdujący się w prywatnych rękach. Ciężko uzbrojony śmigłowiec miał osłaniać Barenta i jego ludzi do czasu, aż *Antoinette* wyjdzie daleko w morze.

Barent rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i odetchnął głęboko. Konfrontacja z Willim przebiegła całkiem bezpiecznie, zwłaszcza po rozmieszczeniu na balkonach snajperów-neutrali, ale i tak z ulgą przyjął jej zakończenie. Sięgnął do szyi, żeby poprawić krawat, i ze zdumieniem stwierdził, że trzęsą mu się ręce.

- Będziemy lądować, panie Barent - zameldował Donald.

Zatoczyli koło nad *Antoinette* i zaczęli łagodnie opadać w stronę podwyższonego lądowiska na rufie. Barent z przyjemnością stwierdził, że morze się uspokaja; trzystopowe fale nie stanowiły najmniejszego problemu dla wydajnych stabilizatorów jachtu.

Przyszło mu do głowy, żeby uniemożliwić Williemu opuszczenie wyspy, ale ewentualne nieprzyjemności ze strony jego europejskich znajomych stanowiły zbyt poważną groźbę. W pewnym sensie cieszył się, że przygrywka dobiegła końca i stare przeszkody zostały usunięte; poniekąd wbrew sobie niecierpliwie wyczekiwał rozpoczęcia rozszerzonej rywalizacji, jaką przed kilkoma miesiącami zaproponował mu stary hitlerowiec. Był przeświadczony, że namówi Niemca do wyboru niezwykle satysfakcjonującego, lecz mniej ekstremalnego teatru działań - może Bliski Wschód, powiedzmy, albo jakiś kawałek Afryki... Nie pierwszy raz rozgrywka toczyłaby się w skali międzynarodowej.

Za to ta starucha z Charleston nie była czymś, co da się zbyć negocjacjami. Barent zakonotował sobie w pamięci, żeby rano Swanson zajął się jej likwidacją... i uśmiechnął się na myśl o swoim zapominalstwie. Był zmęczony. Jeśli nie Swanson, to ten nowy zastępca dyrektora, DePriest. A jak nie on, to któryś z nieprzeliczonej rzeszy pozostałych.

- Wylądowaliśmy, panie Barent - zameldował pilot.

- Dziękuję, Donaldzie. Połącz się, proszę, z kapitanem Shiresem i powiedz mu, że przed położeniem się spać wpadnę jeszcze na mostek. Możemy ruszać natychmiast po zabezpieczeniu śmigłowca.

Barent pokonał mierzącą dwieście stóp drogę na mostek w asyście czterech swoich ochroniarzy, którzy już wcześniej wylądowali na jachcie i rozstawili się w tradycyjnym szyku. Po wyprodukowanym na zamówienie boeingu 747 *Antoinette* była najbezpieczniejszym azylem Barenta: obsadzona starannie dobraną załogą (złożoną z zaledwie dwudziestu trzech wyśmienicie

uwarunkowanych neutrali i uzupełnioną oddziałem ochrony) była pod tym względem lepsza nawet od samej wyspy - szybka, uzbrojona po zęby i dyskretna. Gdy tylko znalazła się w pobliżu lądu - tak jak dzisiejszej nocy - stale towarzyszyła jej asysta szybkich łodzi patrolowych.

Kapitan i dwaj oficerowie na mostku przywitani Barenta pełnym szacunku skinieniem głowy.

- Kurs na Bermudy, panie Barent - zameldował kapitan Shires. - Odbijamy, gdy tylko umocujemy cokrę i przykryjemy ją brezentem.

- Doskonale. Czy ochrona wyspy zameldowała już o starcie samolotu pana Bordena?

- Jeszcze nie, proszę pana.

- Proszę mnie poinformować, gdy tylko jego odrzutowiec wzbije się w powietrze. Dobrze, Jordan?

- Tak jest.

Drugi oficer odchrząknął i zwrócił się do kapitana:

- Panie kapitanie, radar wychwycił duży okręt, który opływa właśnie południowo-wschodni cypel. Kurs jeden, sześć, dziewięć. Odległość: cztery mile. Zbliża się.

- Zbliża się? - powtórzył kapitan Shires. - Co na to łódź patrolowa numer jeden?

- Jedyńka nie odpowiada, panie kapitanie. Stanley podaje odległość: trzy koma pięć mili. Prędkość: dwadzieścia pięć węzłów.

- Dwadzieścia pięć węzłów?

Kapitan wziął do ręki potężną lornetkę i stanął obok pierwszego oficera przy oknie na sterburcie. Łagodna czerwona poświata przyrządów na zautomatyzowanym i skomputeryzowanym mostku nie utrudniała prowadzenia nocnej obserwacji.

- Zidentyfikować natychmiast! - zażądał ostrym tonem Barent.

- Już mam, proszę pana - odparł Shires. - To *Edwards*.

W jego głosie dało się słyszeć wyraźną ulgę. *Richard S. Edwards* był niszczycielem klasy Forrest Sherman przydzielonym do patrolowania wód wokół Dolmann Island w okresie, gdy na wyspie trwał obóz letni. Lyndon Baines Jonson był pierwszym prezydentem, który zgodził się na „użyczenie” niszczyciela. Wszyscy późniejsi prezydenci szli w jego ślady.

- Po co wrócił? - zdziwił się Barent. On wcale nie odczuwał ulgi. - Od dwóch dni nie powinno go tu być. Łącz mnie z kapitanem, szybko.

- Odległość: dwa koma sześć mili - powiedział drugi oficer. - Profil

radarowy potwierdzony: to na pewno *Edwards*. Nie odpowiada na wywołanie przed radio, panie Barent. Mamy przejść na semafor?

Barent jak we śnie podszedł do okna. Za szybą widział tylko nocny mrok.

- Odległość: dwie mile, panie kapitanie - zameldował drugi oficer. - Ustawia się do nas burtą. Nadal nie odpowiada.

- Może kapitan Mallory myślał, że mamy jakieś problemy - zasugerował Shires.

Barent otrząsnął się z zadumy.

- Zabierz nas stąd! - krzyknął. - Niech cobra ich zaatakuje! Nie, czekaj: niech Donald przygotuje *bella* do startu, ja już biegnę na rufę. Sprężaj się, Shires, do diabła!

Trzej oficerowie wybałuszyli oczy, Barent zaś wypadł z mostka, roztrącając ochroniarzy, i po schodach zbiegł na pokład. Po drodze zgubił jeden wyglansowany mokasyn, ale nie zatrzymał się, żeby go podnieść. Zbliżając się do oświetlonego lądowiska, potknął się o zwój liny, przewrócił i rozdarł marynarkę, ale zanim zdyszani ochroniarze zdążyli go dogonić, poderwał się już z pokładu i pognął dalej.

- Donald, do diabła! - wrzasnął.

Pilot i dwaj marynarze odczepili zapięte przed chwilą liny przytrzymujące śmigłowiec i właśnie mocowali się z blokadą wirnika.

Szturmowa cobra uzbrojona w minidziałka i dwie naprowadzane cieplnie rakiety prześliznęła się trzydzieści stóp nad pokładem jachtu, odgradzając *Antoinette* od jej niedawnego opiekuna. Morze rozświetliły błyski światła, kojarzące się Barentowi niejasno ze świetlikami na skraju lasu, jakie widywał w dzieciństwie w Connecticut. W tej samej chwili, gdy pierwszy raz zamajaczył mu w ciemności zarys niszczyciela, cobra eksplodowała w powietrzu. Jedna z przenoszonych przez nią rakiet wystrzeliła, kreśląc bezsensowny zygzak dymu na tle nocnego nieba, zanim nieszkodliwie spadła do oceanu.

Odwrócił się i zatoczył pod reling na sterburcie. Zobaczył błysk pięciocalowego działka na dziobie niszczyciela na ułamek sekundy przed tym, jak usłyszał huk wystrzału i wizg nadlatującego pocisku.

Pierwszy pocisk chybił *Antoinette* o dziesięć jardów, ale jacht zakołysał się od fali uderzeniowej, a woda zalała rufę z dostatecznym impetem, żeby zwalić z nóg Donalda i trzech ochroniarzy. Zanim zdążyła spłynąć, lufa działka błysnęła po raz drugi.

Barent stanął w rozkroku i ścisnął reling z taką siłą, że stalowy drut zaczął

mu się wrzynać w dłonie.

- Niech cię szlag, Willi - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Drugi pocisk - naprowadzany radarem, po korekcie namiarów - trafił w rufę *Antoinette* dwadzieścia stóp od Barenta, przebił dwa pokłady i eksplodował w maszynowni wraz z oboma głównymi zbiornikami dieslowskiego paliwa.

Ognista kula pochłonęła pół jachtu i wspięła się na wysokość ośmiuset stóp, zanim zapadła się w sobie i poczęła blednąć.

- Cel zniszczony, panie kapitanie - zameldował z mostka pierwszy oficer Leland.

W centrum dowodzenia *Richarda S. Edwardsa* kapitan amerykańskiej marynarki wojennej James J. Mallory wziął do ręki słuchawkę telefonu.

- Zrozumiałem - powiedział. - Proszę zrobić zwrot i namierzyć cele na wyspie.

Artylerzyści i specjaliści od walki z okrętami podwodnymi spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Od czterech godzin trwał stan podwyższonej gotowości; od czterdziestu pięciu minut znajdowali się na stanowiskach bojowych. Kapitan powiedział, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego, ściśle tajna, a im wystarczyło jedno spojrzenie na jego bladą, pozbawioną życia twarz, żeby się zorientować, że naprawdę dzieje się coś okropnego. Jedno było pewne: jeżeli dziś w nocy popełnią błąd, kariera Starego zawisnie na włosku.

- Mamy sprawdzić, czy ktoś przeżył, panie kapitanie? - zabrzmiał głos pierwszego oficera.

- Nie - odparł Mallory. - Namierzyć cele B3 i B4 i rozpocząć ostrzał.

- Panie kapitanie! - zawołał oficer obrony przeciwlotniczej, skulony nad ekranem radaru SPS-40. - Samolot na radarze. Odległość: dwa koma siedem mili. Kurs równoległy. Prędkość: osiemdziesiąt węzłów.

- Gotowość na terrierach - zarządził Mallory.

W normalnych warunkach obrona przeciwlotnicza *Edwardsa* składała się tylko z dwudziestomilimetrowych działek phalanx, ale przed tegoroczną letnią misją został dodatkowo wyposażony w cztery wyrzutnie rakiet ziemniopowietrze, umieszczone bliżej rufy niż pękaty system ASROC. Podwładni Mallory'ego marudzili przez pięć tygodni, ponieważ terriery zajęły jedyny kawałek wolnej przestrzeni dostatecznie duży i równy, żeby dało się na nim rozgrywać turnieje frisbee. Przed pięcioma minutami jednego z terrierów

użyto do zniszczenia śmigłowca.

- To cywilna maszyna, panie kapitanie - powiedział oficer przy radarze. - Jednosilnikowa. Najprawdopodobniej cessna.

- Odpalić terriery - zarządził Mallory.

W zatłoczonym centrum dowodzenia rozległ się grzmot odpalanych rakiet, szcęk przeładowania, huk jeszcze jednej rakiety i głuchy łoskot mechanizmu w pustej komorze.

- Cholera jasna... - zaklął artylerzysta. - Przepraszam, panie kapitanie. Cel opadł poniżej poziomu urwiska. Ptaszek jeden zgubił namiar. Ptaszek dwa uderzył w klif. Ptaszek trzy trafił... w coś.

- Cel na radarze? - spytał Mallory. Miał oczy ślepeca.

- Nie, panie kapitanie.

- Doskonale. Artyleria?

- Tak, panie kapitanie?

- Po potwierdzeniu namierzenia celów rozpocząć ostrzał z obu wież. Po piątej salwie skierować ogień na budowlę znaną jako „Dworek”.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Będę u siebie.

Po wyjściu kapitana wszyscy zgodnie zagapili się na drzwi. Milczenie przerwał dopiero meldunek oficera artylerii:

- Cel B3 namierzony.

Wszyscy odsunęli od siebie wątpliwości i wzięli się do pracy. Dziesięć minut później, kiedy pierwszy oficer Leland zamierzał właśnie zapukać do drzwi kajuty kapitana, dobiegł zza nich odgłos wystrzału.

Natalie nigdy przedtem nie leciała pomiędzy drzewami. Fakt, że noc była bezksiężycowa, nieszczególnie uprzyjemniał to nowe doświadczenie. Czarne masy listowia rzucały się w ich kierunku i znikwały pod skrzydłami cessny, gdy Meeks podrywał samolot, przeskakiwał nad rzędem drzew i nurkował w kolejną odsłoniętą przestrzeń. Nawet po ciemku Natalie dostrzegła kontury budynków, ścieżki, basen, a także znikający w tyle pusty amfiteatr.

Nie miała pojęcia, jakiego psychicznego radaru używa Meeks, z pewnością jednak był on lepszy od wszelkich czujników zainstalowanych w trzeciej z rakiet: trafiła w potężny dąb, który eksplodował niewiarygodną fontanną kory i gałęzi.

Meeks skręcił w prawo nad odsłoniętym pasem strefy buforowej. W dole dopalały się co najmniej dwa pojazdy, wśród drzew pluły ogniem lufy

karabinów. Milę na południe od nich pociski artyleryjskie eksplodowały na pasie startowym.

- Rety... - stęknął Jackson, kiedy wybuchły znajdujące się nieopodal hangaru zbiorniki z paliwem.

Przelecieli nad północną przystanią i znaleźli się nad wodą.

- Musimy zawrócić - powiedziała Natalie. Rękę trzymała w słomianej torbie, palec wskazujący oparła na osłonie spustu colta.

- Daj mi jeden dobry powód - odparł Meeks, podrywając cessnę na bezpieczną wysokość piętnastu stóp ponad falami.

Natalie wyjęła pustą dłoń z torby.

- Proszę - powiedziała.

Pilot spojrzał najpierw na nią, potem na Jacksona, unosząc brew.

- A co mi zależy...

Cessna wykręciła ostro w prawo i zatoczyła wdzięczny łuk. Migające zielone światło na przystani znalazło się na wprost jej dziobu.

74.

Dolmann Island

16 czerwca 1981, wtorek

Po odlocie helikoptera Barenta zapadła cisza. Oberst stał z rękami w kieszeniach.

- To tyle - powiedział. - Czas się pożegnać, mój mały pionku.

- Wydawało mi się, że jestem teraz gońcem.

Oberst zaśmiał się i podszedł do fotela, na którym wcześniej siedział Barent.

- Raz pionek, na zawsze pionek.

Rozsiadł się na fotelu z wdziękiem króla obejmującego tron. Zerknął na Reynoldsa, który natychmiast podszedł i stanął przy nim.

Saul nie spuszczał wzroku z Obersta, ale kątem oka widział, jak Tony Harod odczołguje się w półmrok i kładzie głowę swojej zabitej sekretarki na kolanach. Wydawał przy tym obrzydliwe, miaukliwe dźwięki.

- Owocny dzień, *nein?* - zagadnął Oberst.

Saul nie odpowiedział.

- *Herr* Barent powiedział, że zabiłeś dzisiaj co najmniej trzech jego ludzi - ciągnął Oberst, uśmiechając się lekko. - Jakie to uczucie, być zabójcą, *Jude?*

Saul szacował dzielącą ich odległość: sześć pól szachownicy plus jakieś sześć stóp; łącznie trzydzieści stóp. Dwanaście kroków.

- To byli niewinni ludzie - mówił tymczasem Oberst. - Płatni ochroniarze. Na pewno zostawili po sobie sieroty i wdowy. Dręczy cię to, Żydzie?

- Nie - odparł Saul.

Oberst uniósł brew.

- Nie? Czyli rozumiesz, że czasem zachodzi konieczność odebrania życia niewinnej osobie? *Sehr gut*. Bałem się już, że umrzesz przepełniony tą samą odrażającą czułościowością, którą wyczułem w tobie podczas naszego pierwszego spotkania, mój pionku. Widzę postęp. Podobnie jak to wasze kundelpaństwo, Izrael, nauczyłeś się, że rzeź niewiniątek jest koniecznością, kiedy zależy od tego twoje życie. Pomyśl, mój pionku, jak ta świadomość musi ciążyć mnie. Takich jak ja, ludzi obdarzonych Talentem, jest niewiele, zapewne jeden na setki milionów; kilkudziesięciu w każdym pokoleniu, nie więcej. Na przestrzeni dziejów przedstawiciele mojej rasy zawsze budzili lęk, zawsze byli tępieni. Przy pierwszych oznakach naszej wyższości jesteśmy

piętnowani jako wiedźmy albo demony, żeby bezrozumna tłuszcza mogła nas unicestwić. Od małego uczymy się ukrywać jasno płonący ogień swojej odmienności. A nawet jeśli przeżyjemy spotkanie z lęklwym bydłem, padamy ofiarą własnych nielicznych pobratymców. Dla rekina, który urodził się w ławicy tuńczyków, problem zaczyna się wraz ze spotkaniem innego rekina, przed którym musi chronić swój łowiecki rewir, hmm? Ja zaś, podobnie jak ty, jestem mistrzem sztuki przetrwania. Nie uważasz, pionku, że jesteśmy bardziej podobni, niż chciałbyś to przyznać?

- Nie.

- Nie?

- Nie. Ja jestem cywilizowaną istotą ludzką, a ty rekinem: bezrozumną, amoralną, żywiącą się odpadkami maszyną do zabijania; ohydny wybrykiem ewolucji, stworzonym wyłącznie do gryzienia i przełykania.

- Chcesz mnie sprowokować! - Oberst uśmiechnął się szyderczo. - Boisz się, że będę przeciągał twoją agonię. Nie lękaj się, pionku. Koniec będzie szybki. I rychły.

Saul odetchnął głęboko, usiłując zwalczyć fizyczną słabość grożącą powaleniem go na kolana. Wciąż krwawił, za to ból przeszedł w powoli rozlewające się po ciele odrętwienie, które wydało mu się po tysiącokrotnie bardziej złowieszcze. Zdawał sobie sprawę, że pozostało mu najwyżej kilka minut, żeby działać.

Oberst nie skończył jeszcze swojej tyrady:

- Podobnie jak Izrael, gębę masz pełną sloganów o moralności, a zachowujesz się jak gestapo. Wszelka przemoc ma wspólne źródło, mój pionku: żądzę władzy. Władza jest jedyną prawdziwą moralnością, Żydzie, jedynym nieśmiertelnym bogiem; apetyt na przemoc jest jego jedynym przykazaniem.

- Nie - zaoponował Saul. - Jesteś beznadziejnie żalonym stworzeniem, które nigdy nie pojmie istoty ludzkiej moralności i stojącej za nią potrzeby miłości. Jedno ci jednak powiem: podobnie jak Izrael, nauczyłem się, że istnieje moralność, która wymaga poświęcenia; i że istnieje imperatyw ważniejszy od wszystkich innych imperatywów: nigdy więcej nie zgodzimy się być ofiarami takich jak wy i ci, którzy wam służą. Tego domaga się sto pokoleń pomordowanych. Nie ma innego wyboru.

Oberst pokręcił głową.

- Niczego się nie nauczyłeś! - parsknął pogardliwie. - Jesteś tak samo idiotycznie sentymentalny jak twoi bezmyślni krewniaci, którzy bezwolnie

maszerowali do pieców, szczerząc zęby w uśmiechu, skubiąc pejsy i nakłaniając swoje skretyniałe dzieci, żeby szły z nimi. Jesteście żenującą, brudną rasą; jedyną zbrodnią Führera było nieosiągnięcie wyznaczonego celu, jakim była wasza eksterminacja. Kiedy cię zabiję, mój pionku, nie będzie w tym niczego osobistego; służyłeś mi dobrze, lecz jesteś zbyt nieprzewidywalny. A ta nieprzewidywalność nie jest mi już potrzebna.

- Kiedy ja zabiję ciebie, będzie to sprawa czysto osobista - odparł Saul.

Zrobił krok w stronę Obersta.

Oberst westchnął, znużony.

- Teraz umrzesz - powiedział. - Żegnaj, Żydzie.

Uderzenie mocy Obersta Saul odczuł jak potężny cios prosto w mózg i początek rdzenia kręgowego, natarczywy i nieodparty jak nabicie na zaostriżony metalowy pał. Poczul się odzierany ze strzępów świadomości, jak ofiara gwałtu z resztek ubrania; gdzieś w głębi mózgu ożyły fale w rytmie theta, wyzwalając w mózdzku fazę REM na jawie, w której był równie bezwolny jak lunatyk. Jak chodzący trup. Jak muzulman.

Jednakże nawet kiedy spłoszona świadomość czmychnęła na mroczne poddasze jego umysłu, wyraźnie czuł obecność Obersta w mózgu - odrażający smród, ostry i przesywający bólem jak pierwsze parzące zachłyśnięcie się trującym gazem. I właśnie w tej pierwszej sekundzie uświadomił sobie również zaskoczenie Obersta, gdy gwałtowne przejście w fazę REM wyzwoliło potok wspomnień i wrażeń, hipnotycznie zagrzebanych w podświadomości niczym miny przeciwpiechotne na polu oziminy.

Zepchnąwszy na bok świadomość Saula Laskiego, Oberst stanął nagle oko w oko z kolejną personą - wątłą, bez dwóch zdań, indukowaną hipnotycznie i otulającą delikatne ośrodki nerwowe niczym żaloszny blaszany pancerzyk udający prawdziwą zbroję. W przeszłości tylko raz zetknął się z czymś takim - w 1941 roku, kiedy jego *Einsatzgruppe* musiała zlikwidować kilkuset pacjentów szpitala psychiatrycznego na Litwie. Z nudów wśliznął się wtedy do umysłu nieuleczalnego schizofrenika tuż przed tym, jak kula esesmana roztrzaskała mózg nieszczęśnika i zepchnęła ciało do zimnego dołu w ziemi - i dał się zaskoczyć osadzonej tam drugiej osobowości; rozprawił się z nią jednak z taką samą łatwością, jak wcześniej z pierwszą. Ta stworzona sztucznie druga osobowość w umyśle Żyda również nie powinna stanowić problemu.

Oberst uśmiechnął się pobłażliwie na myśl o daremności zgotowanej mu małej niespodzianki i przez kilka sekund napawał się żaloszny dziełem

Żyda, zanim je zdruzgotał.

Mala Kagan ma dwadzieścia trzy lata. Niosąc na rękach czteromiesięczną córeczkę, idzie w stronę krematorium w Auschwitz. W prawej dłoni ściska ukrywaną od miesięcy żyłkę. Oficer SS przepycha się przez tłum wolno przesuających się nagich kobiet.

- Co tam masz, żydowska zdziro? Dawaj mi to.

Mala wciska dziecko w ramiona idącej obok siostry, odwraca się do esesmana i otwiera dłoń.

- Masz! Weź sobie!

I tnie go po twarzy. Oficer cofa się z krzykiem, krew tryska mu spomiędzy przyciśniętych do twarzy palców. Tuzin esesmanów podnosi gotową do strzału broń, gdy Mala rusza w ich stronę, ściskając żyłkę w dwóch palcach.

- Życie! - krzyczy, gdy wszystkie pistolety maszynowe jednocześnie plują ogniem.

Saul wyczuł pogardliwy uśmiezek i niewypowiedziane na głos pytanie Obersta: Chcesz mnie przestraszyć duchami, pionku?

Odtworzenie ostatniej minuty życia Mali Kagan wymagało od Saula trzydziestu godzin autohipnotycznej pracy. Oberst w sekundę odtrącił tę personę na bok, bez wysiłku, jakby odgarniał pajęczyny w ciemnym pokoju.

Saul zrobił krok w przód.

Oberst bez litości wszedł do jego umysłu, dosięgnął ośrodków kontroli, z łatwością wyzwolił pożądaną stan REM.

Szalom Krzaczek ma sześćdziesiąt dwa lata, gdy na czworakach brnie warszawskimi kanałami. Jest ciemno choć oko wykol. Ekskrementy z „aryjskich toalet” spadają na milczący pochód ocalałych. Szalom zszedł do kanałów dwa tygodnie temu, 25 kwietnia 1943 roku, po sześciu dniach beznadziejnej walki przeciw najlepszym żołnierzom nazistowskiej armii. Wziął ze sobą dziewięcioletniego wnuka, Leona, ostatniego pozostałego przy życiu członka licznej rodziny. Od dwóch tygodni kurcząca się grupka Żydów czołga się cuchnącym labiryntem wąskich kanałów; przez ten czas Niemcy strzelają, plują ogniem z miotaczy i wrzucają pojemniki z gazem trującym do wszystkich studzienek i latryn w getcie. Szalom zabrał ze sobą sześć kawałków chleba, którym podzielił się z Leonem, gdy siedzieli skuleni w mroku, wśród odchodów. Ukrywają się od czternastu dni, usiłując przekraść się za mury getta. Spijają ściekającą po ścianach wodę, przesączającą się - taką mają nadzieję - z kanalizacji burzowej.

Nagle nad ich głowami pokrywa studzienki odsuwa się na bok i w otworze pojawia się szorstka twarz bojownika polskiego ruchu oporu.

- Chodźcie na górę! - mówi. - Wychodźcie. Jesteście bezpieczni.

Ostatkiem sił oślepiiony słońcem Szalom wyczołguje się na powietrze i kładzie na ulicznym bruku. Za nim wychodzi jeszcze czterech innych. Nie ma wśród nich Leona. Płacząc, Szalom próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiał z chłopcem. Przed godziną? Wczoraj? Z trudem opęda się od niedoszłych ratowników, zanurza z powrotem w ciemny kanał i wraca tam, skąd przyszedł, nawołując Leona po imieniu.

Oberst zmiądzzył grubą ochronną membranę, jaką stanowił Szalom Krzaczek.

Saul zrobił krok w przód.

*Siedemnastoletni Petr Ginz siedzi w Auschwitz i rysuje. Ustawieni w długim szeregu chłopcy mijają go, idąc gęsiego pod prysznic. Przez ostatnie dwa lata wraz z przyjaciółmi z Terezina wydawał periodyk zatytułowany *Vedem*, „Na czele”, w którym on sam i inni młodzi artyści publikowali swoje wiersze i rysunki. Tuż przed tym, jak trafił do transportu, zdołał jeszcze oddać całe osiemset stron Zdenkowi Taussigowi, który miał je ukryć w starej kuźni na tyłach Koszar Magdeburskich. Nie widzieli się ze Zdenkiem, odkąd Petr trafił do Auschwitz.*

Zużywa właśnie ostatni arkusz papieru i odłamek węgla drzewnego do naszkicowania niekończącego się pochodu nagich chłopców, przechodzących obok niego w lodowatym listopadowym powietrzu. Pewnymi, zamaszystymi ruchami szkicuje sterczące żebra i ogromne oczy, chude, dygoczące nogi i dłonie nieśmiało zasłaniające skurczone ze strachu genitalia.

Podchodzi do niego kapo - ciepło ubrany, uzbrojony w drewnianą pałkę.

- Co to ma być? - pyta. - Dołącz do reszty.

- Minutkę - odpowiada Petr, nie podnosząc wzroku znad rysunku. - Już kończę.

Rozwścieczony kapo wali go pałką w twarz i miażdży mu dłoń obcasem, łamiąc trzy palce. Potem szarpnięciem za włosy stawia chłopca na nogi i wpycha go w wolno posuwającą się kolejkę. Tuląc do piersi zdruzgotaną dłoń, Petr ogląda się przez ramię i widzi, jak srogi listopadowy wiatr porywa jego szkic; rysunek na chwilę zahacza o drut kolczasty, a potem, uwolniwszy się szarpnięciem, koziółkuje w powietrzu, lecąc na zachód, w stronę drzew.

Oberst odepchnął i tę personę.

Saul zrobił dwa kroki w przód. Pałący ból nieustannego gwałtu

umysłowego był jak stalowe gwoździe wbite w czaszkę za oczami.

W noc przed zagazowaniem, w ciemnym baraku w Birkenau poeta Icchak Kacnelson recytuje swój wiersz osiemnastoletniemu synowi i kilkunastu innym skulonym postaciom. Przed wojną słynął w całej Polsce ze swoich humorystycznych wierszyków i piosenek dla dzieci opiewających uroki młodości. Jego najmłodszy synowie, Beniamin i Bencjon, zginęli razem z matką w Treblince półtora roku temu. Icchak recytuje po hebrajsku, a ponieważ tego języka nie rozumie nikt ze słuchaczy poza jego synem, od razu tłumaczy na polski:

Biada mi! Nie ma nikogo... Był kiedyś naród, był naród
I już go nie ma na ziemi... Skończone... Koniec już, wiem to!⁸

W ciszy, jaka zapada po recytacji, leżący na zimnej słomie syn Icchaka przysuwa się bliżej.

- Kiedy będę starszy - mówi - też będę pisał wspaniałe wiersze.

Icchak obejmuje wątłe ramiona syna.

- Będziesz - przytakuje i zaczyna śpiewać nieśpieszną, kojącą polską kołysankę.

Inni więźniowie podejmują melodię i wkrótce cały barak rozbrzmiewa ich łagodnym śpiewem.

Oberst jednym pstryknięciem swojej żelaznej woli unicestwił Icchaka Kacnelsona.

Saul zrobił krok w przód.

Oszołomiony Tony Harod, obserwujący tę scenę szeroko otwartymi oczami miał wrażenie, że Saul Laski przybliżył się do Williego w podobny sposób jak człowiek brnący pod prąd rwącej rzeki albo zmagający się z wściekłą wichurą. Toczona przez nich bitwa była bezgłówna i niewidzialna, ale równie oczywista jak burza obfitująca w wyładowania elektryczne. Przy końcu każdej kolejnej fali konfliktu Żyd podnosił nogę, przesuwając ją w przód i stawiał stopę na ziemi jak paraplegik, który uczy się chodzić. Tym sposobem - poraniony i zakrwawiony - pokonał sześć pól i znalazł się w ostatnim rzędzie szachownicy, zanim Willi otrząsnął się z osobliwego odrętwienia i spojrzął na Toma Reynoldsa. Jasnowłosa zabójca rzucił się na Żyda, rozcapierzając długie, mocarne palce.

Trzy mile od Dworku eksplodowała *Antoinette*; fala uderzeniowa strzaskała część szyb w przeszklonych drzwiach wejściowych, ale ani Willi, ani Laski nie zwrócili na to uwagi. Harold patrzył, jak Reynolds dołącza do nich i zaczyna dusić Laskiego; od strony pasa startowego dobiegły kolejne odgłosy wybuchów. Najdelikatniej jak umiał położył głowę Marii Chen na zimnych płytach podłogi, przyglądał jej włosy, wstał i ruszył do wyjścia, wymijając po drodze walczących.

Saul znajdował się osiem stóp od Obersta, gdy gwałt umysłowy ustał. Wrażenie było takie, jakby ktoś nagle odciął źródło niewiarygodnego, otepiającego nerwy jazgotu, który jeszcze przed chwilą wypełniał cały świat. Potknął się, niewiele brakowało, żeby upadł, ale odzyskał władzę nad ciałem w sposób, w jaki wracamy do domu swojego dzieciństwa: ostrożnie, niemal ze smutkiem, a na pewno ze świadomością lat - zwykłych i świetlnych - dzielących nas w czasie i przestrzeni od tamtych znajomych chwil i miejsc.

Przez kilka minut - całą wieczność! - stanowili z Oberstem niemal jedną osobę. Podczas potwornego zderzenia psychicznych energii Saul przeniknął do jaźni Obersta równie głęboko i pewnie, jak Oberst w głąb jego umysłu; poczuł, jak obezwładniająca arogancja potwora słabnie, przeradza się w niepewność, a w końcu w strach, gdy Oberst uświadomił sobie, że ma przeciwko sobie nie pojedynczych przeciwników, lecz całą ich armię - cały legion pomordowanych powstał z masowych grobów, które on sam pomógł wykopać. Przybyli, by po raz ostatni wykrzyczeć mu w twarz swój sprzeciw.

Sam Saul był zdumiony, niemal przerażony pochodem cieni kroczących u jego boku i stających w jego obronie, zanim Oberst stracił je z powrotem w ciemność. Niektórych w ogóle sobie nie przypominał, nie pamiętał, żeby je tworzył ze zdjęć, akt, strzępów materiałów z Yad Vashem: młody węgierski kantor, ostatni rabin Warszawy, nastolatka z Transylwanii, która popełniła samobójstwo w Jom Kippur, sześćioletnia dziewczynka zabita przez żony esesmańskich strażników w Ravensbrück... Skąd oni wszyscy się wzięli? Przez jedną przyprawiającą o zgrozę sekundę bezradnie zamknięty w otchłani własnego umysłu Saul przeraził się, że dogrzebał się do jakiejś niemożliwej pamięci rasowej, która nie ma nic wspólnego z setkami godzin ostrożnej hipnozy i miesiącami sterowanych koszmarów sennych.

Ostatnią personą, z którą rozprawił się Oberst, był sam Saul - czternastoletni i bezradny, gdy w Chełmnie odprowadzał wzrokiem oddalających się ojca i brata, którzy szli pod prysznic. Tyle tylko, że tym razem tuż przed tym, jak Oberst przegnał ich zjawy, Saul przypomniał sobie

coś, co jego umysł do tej pory przed nim ukrywał: niosący Josefa ojciec odwrócił się i zawołał po hebrajsku:

- Usłysz mnie, Izraelu! Mój najstarszy syn przeżyje!

I nagle Saul, który od czterdziestu lat rozpaczliwie poszukiwał w sobie wybaczenia za ten najbardziej niewybaczalny z grzechów, dostrzegł je na twarzy jedynej osoby, która mogła go udzielić: czternastoletniego Saula Laskiego.

Zachwiał się, złapał równowagę i puścił się biegiem w stronę Obersta.

Reynolds próbował mu przeszkodzić, wyciągnął ręce do jego gardła...

Saul nie zwrócił na niego uwagi, odepchnął go siłą wszystkich tych, którzy do niego dołączyli, i pokonał ostatnie pięć stóp dzielące go od Obersta.

Mignęła mu jeszcze wstrząśnięta twarz Niemca i rozszerzone w niedowierzaniu błyszczące oczy, zanim dopadł do niego i zacisnął dłonie na żyłastej szyi. Krzesło przewróciło się do tyłu, Saul i wczepiony w niego Reynolds runęli na leżącego na wznak Obersta.

Herr General Wilhelm von Borchert był starym człowiekiem, ale jego ręce zachowały sporo krzepy, gdy zaczął okładać nimi Saula, zaparł je o jego twarz i pierś, tłukł go na oślep w rozpaczliwej próbie oswobodzenia się. Saul nic sobie nie robił z jego ciosów, nie przejął się, gdy starzec wyrznął go kolaniem w krocze, nie zauważał młócających go po głowie i plecach pięści Reynoldsa. Zamiast tego wykorzystał ciężar pomagiera i siłę grawitacji do wzmocnienia naporu wyprostowanych rąk. Jego palce znalazły gardło Obersta, zacisnęły się na nim i spotkały z tyłu, na karku. Wiedział, że nie rozluźni tego uścisku, dopóki Oberst żyje.

Oberst miotał się, bił, szarpał i drapał najpierw palce Saula, potem próbował dosięgnąć jego oczu; ślina z jego wykrzywionych w grymasie ust przyskała Saulowi na policzki. Rumiana twarz Obersta przybrała krwawo-czerwony odcień i ciemniała coraz bardziej, w miarę jak jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Saul czuł przepelniającą go nadnaturalną siłę, która pozwalała mu coraz mocniej i mocniej zaciskać palce na gardle przeciwnika, gdy ten z głośnym łoskotem walił obcasami o nogi przewróconego krzesła.

Saul nie przejął się, kiedy kolejna eksplozja wysadziła z futryny całe drzwi i wszystkie okna na odcinku czterdziestu stóp, zasypując ich odłamkami szkła. Nie zwrócił uwagi na drugi pocisk, który trafił w piętro dworku - i to nawet po tym, jak obszerna sala wypełniła się dymem wiekowych cedrowych dźwigarów, które błyskawicznie stanęły w ogniu. Nic

sobie nie robił z Reynoldsa, który dwoił się i troił, drapał, szarpał, chlastał i tłukł go po całym ciele jak obłąkana nakręcana zabawka, której ktoś za mocno napiął sprężynę. Nie zauważył, kiedy Tony Harod podszedł do nich po tłuczonym szkłe, niosąc dwie ciężkie butelki dom perignon rocznik '71, i jedną z nich wyrzucił Reynoldsa w potylicę. Pomagier Obersta sturlał się z Saula - nieprzytomny, ale z ciałem wciąż rozedrganym i wibrującym od impulsów nerwowych generowanych rozkazami swojego pana. Harod usiadł na czarnym polu szachownicy, otworzył drugą butelkę i pociągnął z niej solidny łyk.

Saul wciąż nie zwracał na nic uwagi. Trzymał Obersta za gardło i coraz mocniej zaciskał palce, nieświadomy nawet własnych ran i krwi skapującej mu ze zmaltretowanej twarzy na ciemne policzki i wychodzące z orbit oczy Obersta.

Dopiero po jakimś nieokreślonym czasie dotarło do niego, że Oberst nie żyje. Palce Saula tak głęboko wbiły się w gardło potwora, że nawet kiedy zmusił się do rozluźnienia ich uścisku, w ciele pozostały po nich głębokie rowki, jak odcisk dłoni rzeźbiarza w miękkiej glinie. Głowa Williego była odgięta w tył, krtań zmiażdżona jak kawałek kruchego plastiku, oczy wytrzeszczone i niewidzące, twarz obrzmiała i czarna. Na sąsiednim polu leżał Tom Reynolds - martwy, z twarzą wykrzywioną w karykaturze udreń jego pana.

Resztką sił wypływała z Saula jak woda z przebitego naczynia. Wiedział, że Harod wciąż jest gdzieś w pobliżu i że powinien się z nim rozprawić, ale zrobi to później. Albo nigdy.

Wraz z powrotem świadomości wrócił ból. Wyłamany prawy bark ociekał krwią; w środku odłamki kości tarły o siebie. Pierś i szyja Obersta były całe pokryte krwią Saula, tylko na szyi pozostał wolny od niej odcisk palców.

Jeszcze dwie eksplozje wstrząsnęły Dworkiem. Dym w sali zgęstniał i tysiąc szklanych drzazg rozjarzyło się odbiciem pożaru za plecami Saula. Poczul żar na plecach; wiedział, że powinien wstać, sprawdzić, co się pali, i uciekać. Ale jeszcze nie teraz.

Opuścił policzek na pierś Obersta i dał się pociągnąć w dół sile ciężenia. Zza strzaskanych przeszkłonych drzwi dobiegł kolejny łoskot, ale Saul nie zwrócił na to uwagi. Cieszył się, że może chwilę odpocząć. Wystarczy mu krótka drzemka, potem weźmie się w garść i pójdzie sobie stąd. Przymknął oczy i zatonął w cieplej ciemności.

75.

Dolmann Island

16 czerwca 1981, wtorek

- To by było tyle - powiedział pilot.

Gdy tylko ostrzał ustał, Meeks sprowadził cessenę niżej i przeleciał nad pasem startowym. Bombardowanie artyleryjskie pozostawiło po sobie dosłownie parę kraterów, które przy dobrym pilotażu i sporej dozie szczęścia byłyby do ominięcia, ale przy południowym krańcu pas przegradzały dwa zwalone drzewa, a na północy szalał pożar - paliło się paliwo lotnicze. Prywatny odrzutowiec na stanowisku parkingowym stał w płomieniach, w okolicy dopalały się zgłiszczka jeszcze paru maszyn, z hangaru został stos popiołów przetykany sterczącymi dźwigarami.

- Nic więcej z tego nie wyciśniemy - dodał Meeks. - Próbowaliśmy, teraz wskaźnik paliwa radzi nam wracać do domu. I tak będziemy kończyć na oparach.

- Mam pewien pomysł - powiedziała Natalie. - Możemy wylądować w innym miejscu.

- Nie bardzo. - Meeks pokręcił głową. Daszek niebieskiej bejsbolówki poruszył się wolno na boki. - Widziałaś północny skraj wyspy, dopiero co tamtędy przelatywaliśmy. Jest przypływ, wysoka fala i plażę diabli wzięli. Nie da rady.

- Ma rację, Nat - wtrącił znużonym głosem Jackson. - Nic tu po nas.

- Poza tym niszczyciel... - odezwał się Meeks.

- Sam pan przed chwilą powiedział, że jest już pięć mil od południowo-wschodniego cypla! - zachnęła się Natalie.

- Ale ma długie zęby. Co ci właściwie chodzi po głowie, dziecińco? Kończyli właśnie trzeci przelot nad pasem startowym, znajdowali się nad jego południowym krańcem.

- Niech pan skręci w lewo - odparła Natalie. - Pokażę panu.

- To ma być żart? - burknął Meeks, gdy krążyli kilkaset jardów od urwiska.

- Moim zdaniem to idealne miejsce - orzekła Natalie. - Lądujemy, zanim statek wróci.

- Okręt - poprawił ją odruchowo Meeks. - A ty chyba zwariowałaś.

Na ścianie urwiska - w miejscu, gdzie dwadzieścia minut wcześniej trafiła rakietą - dopalały się zarośla. Niebo na zachodzie rozjaśniała łuna pożaru przy pasie startowym. Trzy mile za ich plecami szczątki *Antoinette* tliły się jak rozżarzone węgielki rozsypane na czarnym materiale. Uporawszy się z pasem startowym, niszczyciel ruszył wzdłuż brzegów wyspy na wschód, skąd sześciokrotnie ostrzelał Dworek i jego najbliższą okolicę. Dach budynku stał w ogniu, wschodnie skrzydło było doszczętnie zburzone, w świetle ocalałych reflektorów kłębił się dym. Jeden z pocisków musiał chyba eksplodować na południowym patio: eksplozja wybiła wszystkie okna, odłamki poszatkowały fasadę wychodzącą na sięgający do klifu trawnik.

Sam trawnik nie wyglądał na zniszczony, ale w miejscach, gdzie pogasły lampy, zalegał głęboki cień. Ogień na urwisku wyławiał z mroku karłowate drzewa i krzewy na jego skraju, które w innych okolicznościach byłyby niewidoczne. Ostatnie dwadzieścia jardów terenu było jasno oświetlone i równe jak stół, jeśli nie liczyć krateru i odłamków pocisku rozsianych w bezpośrednim sąsiedztwie patio.

- Nada się - powiedziała Natalie.

- To wariactwo - odparł Meeks. - Przy samym Dworku nachylenie dochodzi chyba do trzydziestu stopni.

- Tym lepiej, skróci się droga lądowania. Czy to nie po to brytyjskie lotniskowce mają pochyłe pokłady?

- Trafiła w punkt, staruszku - przyznał Jackson.

- Też coś! - fuknął Meeks. - Trzydzieści stopni?! Poza tym, nawet gdyby udało się nam zatrzymać, zanim wyrzniemy w tę płonącą chałupę, w tych ciemnych plackach na trawniku... właściwie większość trawnika to taki ciemny placek... mogą się czaić obłamane konary, dziury w ziemi, nawet całe ogródki skalne. To szaleństwo.

- Ja jestem za tym, żeby lądować - upierała się Natalie. - Musimy poszukać Saula.

- Popieram - powiedział Jackson.

- Co to za pierdolenie z tym głosowaniem? - Meeks nie wierzył własnym uszom. - Od kiedy to w samolotach panuje demokracja? - Obciągnął bejsbolówkę na czoło i odprowadził wzrokiem oddalający się niszczyciel. - Powiedzcie mi prawdę: to jednak jest początek rewolucji, hmm? Mam rację?

Natalie zerknęła na Jacksona i postanowiła zaryzykować.

- Tak - przyznała - to jest początek rewolucji.

- Ha! Wiedziałem! Coś wam powiem, dziewczęta i chłopcy: lećcie z

jedynym prawdziwym socjalistą w hrabstwie Dorchester. Nawet opłacam składki!

Wyjął z kieszeni na piersi niezapalone cygaro i chwilę żuł je w milczeniu.

- A co mi szkodzi... - mruknął w końcu. - Pewnie i tak zabraknie nam paliwa na powrót.

Wydawało się, że ze zdławionym silnikiem samolot prawie się nie porusza, kiedy bocznym ślizgiem przybliżał się ku ścianie urwiska lśniącej bielą w świetle gwiazd. Natalie nigdy w życiu nie była taka podekscytowana. Pas bezpieczeństwa zaciągnęła tak mocno, że ledwie mogła oddychać, ale wychylona trzymała się kurczowo pulpitu; gardło jej się zaciskało na widok przybliżających się klifów. W odległości stu stóp zdała sobie sprawę, że lecą za nisko i Cessna uderzy w skały.

- Boczny wiatr nie pomaga, psiakrew - mruknął Meeks.

Podkreślił przepustnicę i delikatnie pociągnął wolant na siebie. Prześliznęli się nad skrajem urwiska i porastającymi je krzewami z dziesięciostopowym zapasem i znaleźli się nad ciemną aleją w szpalerze drzew.

- Panie Jackson, proszę mi dać znać, gdyby ten okręt zawrócił.

Jackson odchrząknął coś z tylnego fotela.

Cessna dotknęła kołami podłoża dokładnie na skraju pierwszej poprzecznej plamy światła. Lądowanie było znacznie twardsze, niż spodziewała się Natalie. Dopiero czując w ustach smak krwi, uświadomiła sobie, że przygryzła sobie język. Sekundę później wjechali w pasmo mroku rozdzielające dwie strefy jasności. Natalie przypomniała sobie o czających się w ciemności odłamanych konarach i ozdobnych skalnikach.

- Na razie jest nieźle - odezwał się Meeks.

Rozkolebany samolot przeciął przedostatni pas światła i znów zanurkował w mrok. Natalie miała wrażenie, że wspinają się po pionowej brukowanej ścianie. Coś uderzyło w prawe tylne koło, cessna zadygotała, okręciła się w miejscu i zagroziła wywrotką przy prędkości pięćdziesięciu mil na godzinę. Meeks zagrał na hamulcach, przepustnicy i pedałach sterów jak obłąkany organista, wyrównał tor jazdy i maszyna przeturlała się przez ostatnią plamę blasku, który rozproszył się oślepiająco na przedniej szybie. Południowa ściana płonącego Dworku przybliżała się stanowczo zbyt szybko.

Koła toczyły się po rozrzuconych na trawniku luźnych bryłach ziemi. Samolot skręcił na wybojach, prawe skrzydło znalazło się nad skrajem

krateru po wybuchu pocisku. Od patio dzieliło ich piętnaście stóp. Pęd powietrza zza śmigła zerwał postrzępiony składany parasol znad stolika.

Meeks zatrzymał cessedną zwróconą dziobem w dół zbrocz; Natalie dałaby sobie głowę uciąć, że zdarzało jej się widywać najtrudniejsze trasy narciarskie, które były mniej strome. Pilot wyjął cygaro z ust i spojrział na nie z taką miną, jakby dopiero teraz stwierdził, że nie jest zapalone.

- Postój na siku - powiedział. - Kto nie wróci za pięć minut albo na pierwszy znak obecności wroga, wraca do domu piechotą. - Z leżącej między fotelami kabury wyjął rewolwer z okładziną z macicy perłowej na rękojeści i w udawanym salucie stuknął się lufą w skroń. - *Viva la revolution!*

- Chodźmy - powiedziała Natalie.

Chwilę szarpała się z drzwiami i własnym pasem bezpieczeństwa, zanim w końcu prawie wypadła z samolotu, upuściła torebkę i niemal skręciła nogę w kostce. Wyjęła colta, zostawiła torebkę na ziemi i odsunęła się, robiąc miejsce Jacksonowi, który zabrał tylko czarną torbę lekarską i silną latarkę. Głowę obwiązał sobie czerwoną bandaną.

- Dokąd?! - zawołał, przekrzykując jazgot wciąż pracującego silnika. - Na pewno ktoś widział, jak lądujemy. Trzeba się śpieszyć.

Natalie ruchem głowy wskazała wejście do Dworku. W tej części budynku nie paliły się żadne światła, ale w zadymionym wnętrzu na tle pomarańczowej łuny majaczyły jakieś niewyraźne sylwetki. Jackson ostrożnie przeszedł po powykrzywianych płytach patio, kopniakiem otworzył drzwi i włączył latarkę. Snop światła przeszył dym, rozświetlając rozległą salę z wykafelkowaną posadzką obsypaną potłuczonym szkłem i kamiennymi odłamkami. Natalie - z gotowym do strzału coltem - wysforowała się naprzód. Wolną ręką przytknęła chusteczkę do nosa i ust, żeby nie zadławić się dymem. W głębi po lewej na dwóch stołach znajdowało się jedzenie, napoje i poprzewracany sprzęt elektroniczny. Podłoga między wejściem i stołem była zasłana czymś, co Natalie w pierwszej chwili wzięła za mokre kłębki prania - zanim dotarło do niej, że ma przed sobą ciała zabitych. Jackson ścisnął mocniej latarkę i zbliżył się do pierwszych zwłok. Światło padło na martwą twarz pięknej Eurazjatki, która jechała samochodem z Tonym Harodem, kiedy trzy dni temu Saul spotkał się z nim w Savannah.

- Nie świeć jej w oczy - zabrzmiał znajomy głos w ciemności na lewo od Natalie.

Przykucnęła, mierząc w tę stronę z pistoletu. Jackson skierował tam latarkę.

Harod siedział po turecku na podłodze, obok przewróconego krzesła i kolejnych ciał. Na kolanach trzymał na wpół opróżnioną butelkę wina.

Natalie przysunęła się do Jacksona, na migi dała do zrozumienia, że chce latarkę, i w zamian oddała mu colta.

- On Używa kobiet - wyjaśniła, wskazując Haroda. - Jeżeli się poruszy albo zacznie dziwnie zachowywać, zastrzel go.

Harod pokręcił smętnie głową i pociągnął długi łyk wina.

- Skończyłem z tym - wybełkotał. - Na dobre.

Natalie zadarła głowę. Przez dziury w zawalonym dachu przeszły gwiazdy. Sądząc po dobiegających odgłosach, gdzieś musiały się włączyć automatyczne tryskacze, ale na górnych kondygnacjach ogień nie zamierzał łatwo oddać pola. Z oddali dobiegała kanonada lekkiej broni palnej.

- Tam! - wykrzyknął Jackson.

Snop światła padł na trzy ciała leżące obok masywnego krzesła.

- Saul! - Natalie rzuciła się naprzód. - Na Boga... Jackson! Czy on nie żyje? Boże, Saul!

Ściągnęła go z ciała innego mężczyzny, niemal siłą rozginając mu palce zaciśnięte na koszuli tamtego. Od razu zorientowała się, że leżącym pod spodem zabitym musi być Oberst (Saul pokazywał jej trzymane w teczce gazetowe zdjęcia „William Borden”), ale wykrzywiona, poczerniała twarz, wychodzące z orbit oczy i zeszywniałe dłonie ze szponiasto zakrzywionymi palcami nawet nie wyglądały jak ludzkie, trudno więc było mówić o jakimkolwiek rozpoznaniu. Miała raczej wrażenie, że Saul leżał na trupie jakiegoś dziwacznie poskręcane zmumifikowanego stwora.

- Żyje - odparł Jackson. - Złapałem puls, słaby, ale wyczuwalny.

Rozdarł Saulowi ubranie i ostrożnie go odwrócił, oglądając jego ciało w świetle latarki. Wyjął z torby strzykawkę, napełnił ją i wbił w lewą rękę Saula. Następnie oczyścił ranę na plecach i zaczął nakładać opatrunek.

- Jezu... - mruknął. - Dostał dwa razy. Ta rana na nodze to nic poważnego, ale musimy zatamować krwotok z ręki. Ktoś mu nieźle poharatał dłoń i szyję.

- Zerknął na szalejący pożar. - Trzeba go stąd zabrać, Nat. W samolocie podłączę go do kroplówki. Pomożesz mi?

Saul jęknął, kiedy stawiali go na nogi. Jackson schylił się, wepchnął mu się pod lewe ramię i nieporadnie go dźwignął.

- Ej! - zawołał z ciemności Harod. - Mogę lecieć z wami?

Niewiele brakowało, żeby Natalie upuściła latarkę - z takim pośpiechem schyliła się po porzuconego przez Jacksona colta. Wcisnęła mu go w lewą

dłoń i podparła Saula, żeby dać Jacksonowi swobodę ruchu.

- Będzie chciał mnie Użyć, Jax! - powiedziała. - Zastrzel go.

- Nie.

To odezwał się Saul. Zatrzepotał powiekami. Nawet wargi miał sine i obrzmiałe. Powiódł po nich językiem, zanim spróbował znów się odezwać.

- Pomógł mi - wyskrzecztał i skinął głową na Haroda. Jedno oko miał zalepione zakrzepłą krwią, ale drugie otworzył teraz i zogniskował na twarzy Natalie. - Cześć - powiedział. - Co tak długo?

Spróbował się uśmiechnąć, czym przyprawił ją o płacz. Chciała go objąć, ale cofnęła się, widząc grymas na jego twarzy, gdy tylko mocniej ścisnęła mu żebra.

- Chodźmy - ponaglił ich Jackson.

Terkot broni rozbrzmiewał coraz bliżej.

Skinąwszy głową, Natalie ostatni raz omiotła latarką ciemną salę. Pożar też się przybliżał - płomienie zagarnęły pobliskie korytarze na piętrze i coraz jaśniejsza łuna upodabniała całą scenę do piekła Hieronima Boscha; odłamki szkła lśniły w mroku jak ślepia nieprzeliczonych demonów. Spojrzała jeszcze na zwłoki Obersta, który po śmierci skurczył się niepozornie.

- Tak - zgodziła się. - Chodźmy.

Przez ten czas na trawniku zgasły ostatnie trzy reflektory. Natalie szła pierwsza z latarką i pistoletem, Jackson trzymał się z tyłu i prawie niósł Saula, który stracił przytomność, zanim zdążyli wyjść przez drzwi. Cessna czekała przed domem, śmigło się obracało, tylko pilot gdzieś zniknął.

- O Jezu... - stęknęła Natalie, świecąc na tylne siedzenie i na ziemię obok samolotu.

- Umiesz tym latać? - spytał Jackson, ładując Saula na miękką tylną kanapę. Przykucnął obok niego.

- Nie - odparła Natalie.

Spojrzała w dół stoku: niedawne prowizoryczne lądowisko stało się jedną wielką plamą mroku. Jej oczy, oślepione światłem latarki, nie dostrzegały nawet nieodległego kordonu drzew.

Z dołu dobiegło głośne, pośpieszne dyszenie. Natalie lewą ręką poświeciła w tym kierunku, prawą zaś - z pistoletem - oparła wygodnie na podporze skrzydła i wycelowała.

Daryl Meeks zasłonił oczy ręką i zgiął się wpół. Sapał jak lokomotywa.

- Gdzie pan był? - spytała Natalie, opuściwszy latarkę.

Meeks splunął, posapał jeszcze chwilę i odparł:

- Światła zgasły.

- To wiemy. Gdzie...

- Wsiadaj! - ponaglił Natalie Meeks, ocierając twarz bejsbolówką.

Natalie skinęła głową i obiegła samolot, żeby wsiąść od strony pasażera, zamiast przeciskać się obok pulpitu, ryzykując zwolnienie hamulca ręcznego albo coś w tym guście.

Z drugiej strony pod skrzydłem czekał Tony Harod.

- Proszę! - zaskomlał. - Musicie mnie zabrać. Ja naprawdę uratowałem mu życie. Serio. Proszę...

Natalie poczuła ledwie zauważalny cień ingerencji, coś wśliznęło się do jej umysłu ukradkiem, dyskretnie, jak cudza dłoń w ciemności. Nie czekała dłużej. Kiedy Harod jeszcze mówił, zdążyła podejść bliżej i teraz z całej siły kopnęła go w jądra; cieszyła się, że zamiast trampek włożyła solidne buty turystyczne. Harod wypuścił z ręki butelkę i zwinął się na trawie z dłońmi między udami.

Natalie wspięła się na rozpórkę skrzydła i po krótkiej szarpaninie otworzyła drzwi. Nie wiedziała, jak bardzo skupiony musi być wampir umysłowy, żeby robić te swoje sztuczki, ale domyślała się, że ten stopień koncentracji chwilowo jest dla Haroda nieosiągalny.

- Jazda! - krzyknęła, zgoła niepotrzebnie, bo Meeks zwolnił hamulec, zanim zdążyła dobrze zamknąć za sobą drzwi.

Spróbowała po omacku znaleźć swój pas bezpieczeństwa, a kiedy nic z tego nie wyszło, zadowolila się wczepieniem oburącz w pulpit, chociaż pistolet trochę jej w tym przeszkadzał. Jeżeli lądowanie pod górkę było ekscytujące, to start w przeciwnym kierunku okazał się połączeniem Space Mountain, Matterhorn Ride i ulubionej kolejki górskiej taty - Wildcat Rollercoaster. Szybko zorientowała się, czym zajęty był Meeks: dwie strzelające iskrami flary, rzucone w odległości trzydziestu stóp od siebie, płonęły czerwienią na końcu długiego, mrocznego tunelu.

- Muszę wiedzieć, gdzie się kończy grunt i zaczyna przepaść! - Meeks przekrzyczał narastający ryk silnika i klekotanie podwozia. - Race zawsze się przydawały, kiedy z moim starszym rzucaliśmy podkowami. Graliśmy o papierosy.

Więcej czasu na pogaduchy nie było. Wyboje się nasiliły, samolotem zatrzęsło, race wybiegły im na spotkanie i błyskawicznie zniknęły z tyłu, i Natalie nagle zrozumiała najgorszy lęk miłośników kolejek górskich: co jeśli

na szczycie którejś górki szyny po prostu się skończą, a wagonik pojedzie dalej?

Wcześniej (w spokojniejszym czasie, kiedy ta informacja wydawała się jeszcze jako tako interesująca) szacowała, że nadmorskie urwisko przed Dworkiem ma około dwustu stóp wysokości. Cessna zdążyła spaść już połowę tego dystansu i nic nie wskazywało na jej cudowne ozdrowienie, gdy nagle Meeks zrobił coś bardzo interesującego: skierował dziób maszyny w dół i dodał gazu, dzięki czemu jeszcze szybciej popędzili na spotkanie wypełniających przednią szybę grzywaczy. Natalie nie pamiętała później, żeby krzyczała albo niechcący pociągnęła za spust pistoletu, ale Jackson zapewniał ją, że darła się imponująco, a dziura po kuli w dachu kabiny mówiła sama za siebie.

Przez prawie całą drogę powrotną Meeks był z tego powodu gderliwy i marudny. Ledwie wyrwali się z nurkowania, które pozwoliło im osiągnąć należytą prędkość, skierowali się na zachód i zaczęli się piąć na pułap przelotowy, umysł Natalie zaprzątnęły inne troski.

- Co z Saulem? - zapytała, obróciwszy się w fotelu.

- Nieprzytomny - odparł Jackson, klęczący w ciasnej przestrzeni za fotelami. Podczas startu opatrywał psychiatrę.

- Ale przeżyje?

Jackson podniósł wzrok; jego oczy były ledwie widoczne w poświacie przyrządów.

- Jeśli uda mi się go ustabilizować - odparł. - Być może. Ale nie wiem, co jeszcze mu dolega: urazy wewnętrzne, wstrząs... Kula w barku to mniej poważna sprawa niż sądziłem; musiała sporo przelecieć albo zrykoszetować, zanim go trafiła. Namacałem ją, jest dwa cale pod skórą, przy samej kości... o, tutaj. Musiał dostać, kiedy był pochylony, bo gdyby stał prosto, przeszlaby na wylot i po drodze przedziurawiła płuco. Mocno się wykrwawił, ale ja go tu ostro szprycuję osoczem. Mam jeszcze sporo tego towaru. Coś ci powiem, Nat.

- No?

- Wiesz, że to czarny wynalazł osocze? Niejaki Charles Drew. Czytałem gdzieś, że później, w latach pięćdziesiątych, miał wypadek samochodowy i wykrwawił się na śmierć, bo jakiś szpital dla białasów w Karolinie Północnej nie miał w lodówce „murzyńskiej krwi”, a nie zgodzili się mu przetoczyć „białej”.

- To chyba ma się nijak do naszej obecnej sytuacji - zauważyła oschle

Natalie.

Jackson wzruszył ramionami.

- Saulowi by się to spodobało; facet umie wyczuć ironię, Nat, lepiej niż ty.

No, jest psychiatrą; to pewnie pomaga.

Meeks wyjął cygaro z ust.

- Przepraszam, że przerywam wam to romantyczne gruchanie, ale czy waszego przyjaciela nie trzeba odstawić do szpitala? Najlepiej gdzieś niedaleko?

- Bliżej niż w Charleston, chciałeś powiedzieć?

- Właśnie. Do Savannah leci się stąd godzinę krócej. Do Brunswick albo Meridian też byłoby bliżej. A ja nie musiałbym się martwić, czy wystarczy nam paliwa.

Jackson zerknął na Natalie.

- Daj mi dziesięć minut - zwrócił się do Meeksa. - Napompuję go krwią, sprawdzę, w jakim jest stanie... i wtedy zobaczymy.

- Jeżeli będziemy mogli wrócić do Charleston, nie ryzykując zdrowia Saula, to chciałabym tak zrobić - odparła Natalie, czym zdumiała nawet samą siebie. - Muszę tam wrócić.

- To wasza wycieczka. - Meeks wzruszył ramionami. - Mógłbym polecieć prosto jak strzała, zamiast trzymać się wybrzeża, ale jeśli pomyślę się w ocenie ilości paliwa, czeka nas bardzo mokre lądowanie.

- To się nie pomył.

- Jasne. Masz może gumę do żucia?

- Niestety, nie.

- To zatkaj palcem dziurę, którą mi zrobiłaś w dachu. Ten świst powietrza działa mi na nerwy.

Ostatecznie to Saul zdecydował, że polecą prosto do Charleston. Po przetoczeniu półtora litra plazmy jego stan ustabilizował się, puls wzmocnił i Saul zakończył dalszą dyskusję, kiedy uchylił zdrowe oko i zapytał:

- Gdzie jesteśmy?

- Lecimy do domu - zapewniła go klęcząca obok Natalie.

Zamieniła się z Jacksonem miejscami, gdy medyk sprawdził stan rannego i oznajmił, że sam stracił czucie w podkulonych nogach. Meeks nie był zachwycony tym manewrem; jego zdaniem ludzie, którzy upierali się, żeby stanąć w kajaku lub małym samolocie, musieli być nienormalni.

- Nic ci nie będzie - dodała Natalie, głaszcząc Saula po czole.

Pokiwał głową.

- Trochę dziwnie się czuję - przyznał.

- To morfina - wyjaśnił Jackson. Wychylił się z fotela i złapał Saula za przegub dłoni, żeby zbadać mu puls.

- To nawet miłe... - Wyglądało na to, że Saul znów odpłynie w otchłań nieświadomości, ale zmusił się do otwarcia obojga oczu i zapytał silniejszym głosem: - Co z Oberstem? Naprawdę nie żyje?

- Tak. Widziałam go.

Saul wziął głęboki, rozedrgany wdech.

- A Barent?

- Był na jachcie. Już po nim.

- Zgodnie z naszym planem?

- Poniekąd. Nic nie wyszło do końca tak, jak powinno, ale ostatecznie Melanie dotrzymała słowa. Nie mam pojęcia dlaczego. Mogła kłamać, z tego, co słyszałam na własne uszy, wynikało, że świetnie dogaduje się z Oberstem i Barentem.

Saul wykrzywił opuchnięte usta w bolesnym uśmiechu.

- Barent zlikwidował pannę Sewell - wyjaśnił. - To mogło zirytować Melanie. - Przesunął głowę i z marsem na czole spojrzał Natalie w oczy. - A co wy tu w ogóle robicie? Nie planowaliśmy waszego przybycia na wyspę.

Natalie wzruszyła ramionami.

- Mamy cię tam odstawić z powrotem i zacząć od początku?

Saul przymknął oczy i powiedział coś po polsku.

- Nie mogę się skupić - wybełkotał, przechodząc na angielski. - Natalie, czy ta ostatnia sprawa może zaczekać? Później się nią zajmiemy. Melanie jest z nich wszystkich najgorsza. Najsilniejsza. Chyba nawet Barent w końcu się jej przestraszył. Sama nie dasz rady... - Jego głos cichł. Saul odpływał w sen.

- To koniec, Natalie - wymamrotał. - Wygraliśmy.

Natalie trzymała go za rękę. Czując, że zasypia, odparła:

- Nie, to jeszcze nie koniec. Jeszcze nie.

Lecieli na północny zachód, ku niepewnemu brzegowi.

76.

Charleston

16 czerwca 1981, wtorek

Dzięki perfekcyjnej nawigacji i silnemu wiatrowi w plecy czterdzieści pięć minut przed wschodem słońca wylądowali na małym lotnisku Meeksa na północ od Charleston. Przez ostatnie dziesięć mil wskaźnik rezerwy paliwa pokazywał pusty zbiornik, kiedy, szybując, zmierzali ku idealnemu lądowaniu w szpalerze świateł pozycyjnych.

Saul się nie ocknął, gdy przenosili go na wyciągnięte przez Meeksa z hangaru płócienne nosze.

- Potrzebny nam będzie drugi wóz - zauważyła Natalie, kiedy Jackson z Meeksem podnieśli nieprzytomnego psychiatrę. - Ten jest na sprzedaż? - Ruchem głowy wskazała dwunastoletni mikrobus marki Volkswagen zaparkowany obok podrasowanego pikapa Meeksa.

- Psychodeliczny Ekspres? Czemu nie.

- Ile?

Spod wyblakłego zielonego lakieru prześwitywały kolorowe psychodeliczne malunki, ale uwagę Natalie przyciągnęły przede wszystkim zasłonki w oknach i tylne siedzenia - dostatecznie długie i szerokie, żeby zmieściły się na nich nosze.

- Pięć stówek? - zaproponował Meeks.

- Biorę.

Mężczyźni zajęli się układaniem i umocowywaniem noszy z Saulem na długiej ławce za fotelem kierowcy. Natalie przekopała się przez walizki wrzucone na tył kombi i wyjęła z nich dziewięćset dolarów w dwudziestkach, schowane w zapasowych butach Saula. Tylko tyle im zostało.

Przeniosła walizki i torby z bagażem do mikrobusu.

Jackson, który właśnie mierzył Saulowi ciśnienie, spojrzał na nią pytająco.

- Po co nam dwa samochody?

- Chcę jak najszybciej odstawić Saula do szpitala. Można go przewieźć do Waszyngtonu czy to zbyt ryzykowne?

- Dlaczego akurat do Waszyngtonu?

Natalie wyjęła z aktówki Saula szarą kopertę.

- Mam tu list od... jego krewnego. Wyjaśnia dostatecznie dużo, żeby

udzielili mu pomocy w izraelskiej ambasadzie. To był nasz plan awaryjny, jeśli można tak powiedzieć. Jeżeli zawieziemy go do lekarza albo szpitala w Charleston, policja zainteresuje się ranami postrzałowymi. A tego lepiej nie ryzykować bez potrzeby.

Jackson przykucnął i pokiwał głową. Zmierzył Saulowi puls.

- Waszyngton może być - powiedział. - Byle trafił tam do dobrej placówki. I to szybko.

- Zajmą się nim w ambasadzie.

- On potrzebuje operacji, Nat.

- W ambasadzie mają salę operacyjną.

- Serio? To dziwne. - Jackson rozłożył ręce. - Dlaczego z nami nie pojedziesz?

- Chcę jeszcze zabrać Catfisha.

- Moglibyśmy razem po niego podjechać, zanim wyjedziemy z miasta.

- Muszę się też pozbyć C-4 i całego tego elektronicznego śmiecia. Jedź sam; przed wieczorem spotkamy się w ambasadzie.

Jackson długo patrzył bez słowa na Natalie, zanim w końcu pokiwał głową. Wysiedli z mikrobusu.

Meeks podszedł do nich.

- W radiu nic nie mówią o rewolucji - zauważył. - Czy takie rzeczy nie powinny się zaczynać wszędzie naraz?

- Proszę nasłuchiwać - poradziła mu Natalie.

Meeks pokiwał głową, biorąc od niej obiecane pięćset dolarów.

- No, jeżeli rewolucja zahaczy o te rejony, to jeszcze mogę na niej nieźle zarobić.

- Dzięki za podwózkę.

Podali sobie ręce.

- Powinniście znaleźć sobie inne zajęcie, jeśli chcecie się cieszyć życiem po rewolucji - doradził jeszcze pilot. - Trzymajcie się.

I pogwizdując niemożliwą do rozpoznania melodię, zniknął w swojej przyczepie.

- Do zobaczenia w Waszyngtonie - powiedziała Natalie. Przystanąła przy drzwiach kombi i wyciągnęła do Jacksona rękę na pożegnanie.

Chwycił ją za ramiona, przyciągnął i mocno pocałował w usta.

- Uważaj na siebie, mała. Nie ma nic takiego, co musiałybyś załatwić dzisiaj, a czego nie moglibyśmy zrobić razem, we trójkę, jak tylko Saul dojdzie do siebie.

Natalie skinęła głową, ale wolała nic nie mówić. Pośpiesznie wyjechała z lotniska na główną drogę do Charleston.

Pędziła na złamanie karku, mimo że miała sporo roboty z posegregowaniem sprzętu. Na przednim fotelu złożyła uprząż z ładunkami wybuchowymi, monitor EEG z elektrodami, CB-radio, colta z dwoma zapasowymi magazynkami i pistolet strzałkowy z pudełkiem amunicji. Z tyłu leżała cała dodatkowa elektronika oraz koc, pod którym ukryła kupioną w piątek siekierę. Zastanawiała się, co by powiedział gliniarz z drogówki, gdyby zatrzymał ją za przekroczenie prędkości.

Noc blakła, przechodziła w szarą poświatę, którą jej ojciec nazywał „fałszywym świtem”, ale kolejne grube pasmo chmur na wschodzie przesłaniało słońce, przez co wszystkie latarnie uliczne cały czas były włączone. Jechała powoli przez Starą Dzielnicę; serce waliło jej stanowczo zbyt głośno. Zatrzymała się pół przecznicy od domu Fuller i jeden raz mlasnęła radiem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, włączyła w końcu nadawanie:

- Catfish? Jesteś tam?

Nic. Po kilku minutach prób przejechała obok domu; w zaułku, gdzie miała czekać Catfish, niczego nie dostrzegła. Odłożyła nadajnik na siedzenie, modląc się w duchu, żeby się okazało, że Catfish po prostu przysnął gdzieś w kącie albo zaczął ich szukać. Albo nawet został aresztowany za włóczęgostwo.

Dom Fuller i podwórko w cieniu wysokich drzew ociekających wodą po nocnej burzy były ciemne - poza słabą zieloną poświatą sączącą się przez żaluzje na piętrze.

Powoli objechała cały kwartał domów. Serce biło jej tak szybko, że odczuwała ból w piersi. Dłonie miała spocone, ręce tak osłabione, że nie byłaby w stanie zacisnąć pięści. Z braku snu kręciło się jej w głowie.

Nie było sensu pchać się w to w pojedynkę. Powinna poczekać, aż Saul poczuje się lepiej; aż Catfish z Jacksonem pomogą jej obmyślić plan. Jakże sensownie byłoby po prostu zawrócić i pojechać prosto do Waszyngtonu, daleko od tego mrocznego domu, przyczajonego teraz sto jardów przed nią i sączącego tę zieloną poświatę niczym blask fosforyzujących grzybów w leśnych ostępach...

Wrzuciła bieg na luz, usiłując uspokoić spanikowany oddech. Oparła czoło o zimną kierownicę i mimo potwornego zmęczenia zmusiła się do

zebrania myśli.

Brakowało jej Roba Gentry'ego. On by wiedział, co robić.

To pewnie ze zmęczenia płacz przychodził jej tak łatwo. Usiadła prosto i wierzchem dłoni wytarła nos.

Miała wrażenie, że w całym tym koszmarze wszyscy zrobili coś konkretnego, jakoś się wysilili - wszyscy poza Panienką Natalie. Rob swoje wysiłki przypłacił życiem. Saul sam udał się na wyspę - sam! Chociaż wiedział, że będzie tam pięć tych potworów. Jack Cohen zginął, próbując im pomóc. Nawet Meeks, Jackson i Catfish odwalali czarną robotę, której zażyczyła sobie Panienska Natalie.

W głębi serca wiedziała, po prostu wiedziała, że Melanie Fuller im się wymknie, jeśli będą zwlekać choć kilka godzin. Kto wie, może już zniknęła.

Z całej siły ścisnęła kierownicę, aż pobiełały jej kostki palców. Znużony umysł z trudem pokonywał kolejne przeszkody, analizując jej motywację. Zdawała sobie sprawę, że upływ czasu i wariactwo ostatnich siedmiu miesięcy osłabiły w niej żądzę zemsty. Nie była tą samą kobietą, która w pewną odległą grudniową niedzielę stanęła - bezradna i zagubiona - pod zamkniętą na głucho kostnicą, wiedząc, że w środku znajduje się ciało jej ojca, i poprzysięgła zemstę nieznanemu mordercy. A w przeciwieństwie do Saula nie kierowało nią dążenie do wymierzenia (mało prawdopodobnej) sprawiedliwości.

Patrząc na odległy o pół przecznicy dom Fuller, uświadomiła sobie, że napędzająca ją siła przypomina imperatyw, który kazał jej przygotowywać się do zawodu nauczycielki. Pozostawienie Melanie Fuller przy życiu byłoby jak ucieczka ze szkoły, gdzie wśród niczego niepodejrzewających dzieci grasuje zabójczo jadowity wąż.

Trzęsącymi się rękami zapięła na sobie niezgrabną uprząż i obwiesiła się ciężkimi paczkami C-4. Okazało się, że trzeba wymienić baterie w aparacie do EEG. Przeżyła makabryczną minutę, gdy przypomniała sobie, że zapasowe baterie zostały w jednej z toreb w mikrobusie. W końcu wytrząsnęła baterie z CB-radia i przełożyła je do elektroencefalografu.

Dwie elektrody nie chciały się przykleić do skóry; zostawiła je swobodnie zwieszono. Podłączyła detonator do ładunków. Główny zapalnik elektryczny uzupełnili z Saulem drugim, zegarowym, a także trzecim - w postaci skręconego lontu, który Saul przyciął na długość odpowiadającą trzydziestu sekundom. Znów poczuła wzbierającą w gardle gorycz paniki, gdy obmacawszy kieszenie, nie znalazła w niej zapalniczki, z którą tak długo się

nie rozstawała - musiała ją zostawić na wyspie, wraz z resztą zawartości torebki. Zajrzała do schowka w desce rozdzielczej: wciśnięte między mapy tkwiło tam nienaruszone płaskie opakowanie zapalek z restauracji w Tulsa, w której zatrzymali się na obiad. Schowała zapalki do kieszeni.

Spojrzała na rzeczy leżące na sąsiednim fotelu. Wrzuciła bieg, nie puszczając na razie hamulca. Kiedyś, dawno temu - mogła mieć jakieś siedem lat - koleżanka sprowokowała ją do skoku z najwyższej trampoliny na nowym basenie miejskim. Trampolina znajdowała się dziesięć stóp wyżej od najwyższej z pięciu pozostałych, na wieży zarezerwowanej dla dorosłych. A Natalie ledwie umiała pływać. Niemniej jednak natychmiast wydzwignęła się z wody na płytkim krańcu basenu, spokojnie przeszła obok ratownika, który - zagadany z nastolatką - w ogóle nie zwrócił uwagi na siedmioletnie dziecko, i wspięła się po drabince. A potem wyszła na sam koniuszek wąskiej trampoliny i skoczyła do basenu, który wydawał się pomniejszony odległością, tak daleko się znajdował.

Wiedziała wtedy - tak jak i teraz - że myślenie o tym, co ma zrobić, to pewna droga do rezygnacji; że jedynym sposobem na doprowadzenie sprawy do końca jest staranne wymazanie z głowy wszelkich myśli o tym, co zamierza, dopóki nie wcieli zamiaru w czyn. A jednak, kiedy dodała gazu i ruszyła cichą ulicą, przez głowę przebiegła jej ta sama drobina refleksji, która nawiedziła ją w chwili, gdy skoczyła z trampoliny i uświadomiła sobie, że nie ma dla niej powrotu: Czy ja naprawdę to robię?

Po powrocie starszej pani do domu kompleks zabudowań został uzupełniony postawionym od frontu ceglanym murem o wysokości sześciu stóp, zwieńczonym czterostopowym ogrodzeniem z czarnego żelaza. Zachowano jednak oryginalną ozdobną bramę, obwiedzioną po bokach trzema stopami kutej żelaznej kratownicy. Brama była zamknięta na kłódkę, ale słabo osadzona w cementowej oprawie muru. Kombi jechało z prędkością trzydziestu trzech mil na godzinę, kiedy gwałtownie skręciło w prawo, podskoczyło na krawężniku (od wstrząsu Natalie aż szczęknęła zębami) i uderzyło w żelazne pręty.

Brama runęła na maskę auta, pokrywając przednią szybę siateczką białych pęknięć. Prawy zderzak zahaczył o ozdobną fontannę, samochód wpadł w poślizg, skosił trochę krzewów i karłowatych drzew i wyrznął w fasadę domu.

Natalie zapomniała zapiąć pas. Przy uderzeniu poleciała do przodu,

uderzyła głową o szybę i odbiła się na fotel; zobaczyła gwiazdy, zrobiło jej się niedobrze. Drugi raz w ciągu ostatnich trzech godzin przygryzła sobie język z taką siłą, że poczuła smak krwi. Starannie ułożona na fotelu broń rozsypała się po podłodze.

Świetny początek, pomyślała półprzytomnie Natalie. Schyliła się po colta i pistolet strzałkowy. Pudełko ze strzałkami wpadło pod siedzenie, razem z dodatkowymi magazynkami do colta. Do diabła z nimi, uznała; oba pistolety i tak były naładowane.

Kopniakiem otworzyła drzwi i wysiadła. Ogarnął ją półmrok przedświt. Było słycać tylko szmery wody wylewającej się z pękniętej fontanny i skapującej z rozbitej chłodnicy samochodu, nie ulegało jednak wątpliwości, że hałaśliwe najście musiało być słyszalne w promieniu pół przecznicy. Miała dosłownie kilka minut, żeby zrobić to co konieczne.

Zamierzała ważącym trzy tysiące funtów samochodem wyważyć frontowe drzwi domu, ale chybiła o dwie stopy. Z coltem wetkniętym za pasek i pistoletem na strzałki w ręce nacisnęła klamkę; może Melanie ułatwi jej zadanie.

Drzwi były zamknięte na klucz. Przypomniała sobie widzianą po ich wewnętrznej stronie płataninę łańcuchów i kłódek.

Odłożyła pistolet strzałkowy na dach samochodu, wzięła leżącą na tylnym siedzeniu siekierę i zaczęła pracować nad drzwiami od strony zawiasów. Po sześciu solidnych uderzeniach pot - zmieszany z krwią z rozciętego po zderzeniu z szybą czoła - zalewał jej oczy. Po ósmym ciosie drewno przy dolnym zawiasie pękło; po dziesiątym ciężkie drzwi oderwały się od oprawy i zwisły krzywo, przytrzymywane z lewej strony przez zasuwki i łańcuchy.

Zdyszana Natalie powstrzymała narastającą falę wymiotów i cisnęła siekierę w krzaki. Nadal nie było słycać ani policyjnych syren, ani żadnych odgłosów z wnętrza domu. Ohydna zielona poświata z piętra rozlewała się na dziedziniec.

Wyjęła colta i wprowadziła nabój do komory; pamiętała, że po przypadkowym wystrzale na pokładzie cessny zostało jej łącznie tylko siedem z ośmiu naboju. Wróciła po pistolet na strzałki... i na chwilę znieruchomiła: z bronią w obu rękach czuła się trochę absurdalnie. Ojciec powiedziałby, że przypomina mu jego ulubionego kowboja, Hoota Gibsona. Ona sama nigdy nie widziała żadnego filmu z Hootem Gibsonem, ale po dziś dzień był on także jej ulubionym kowbojem.

Wkopała koślawe drzwi do wewnątrz i weszła do ciemnego przedpokoju,

nie zastanawiając się, jaki będzie jej następny ruch. Była zdumiona, że serce może tak się tłuc człowiekowi w piersi i jeszcze jej nie rozsadzić.

Catfish siedział okrakiem na krześle sześć stóp od drzwi. Spojrzenie jego martwych oczu przeszywało Natalie na wylot. Usta miał rozdziawione, z dolnej szczęki zwieszał się sznurek z topornie wypisaną tabliczką - mimo półmroku Natalie odczytała wyrysowane flamastrem litery: ODEJDŻ.

Może już jej nie ma, pomyślała Natalie. Może już jej nie ma.

Wyminęła Catfisha, kierując się ku schodom.

Marvin przebił się przez drzwi jadalni z prawej strony ułamek sekundy przed tym, jak po przeciwnej stronie w progu pokoju dziennego stanął Culley.

Natalie strzeliła Marvinowi w pierś ładunkiem usypiającym, odrzuciła bezużyteczny już pistolet strzałkowy i uwolnioną od niego lewą ręką chwyciła Marvina za prawy nadgarstek, zanim jego dłoń - uzbrojona w potężny rzeźnicki nóż - zdążyła zatoczyć morderczy łuk z góry na dół. Udało jej się spowolnić uderzenie, ale czubek ostrza zagłębił się na pół cala w jej lewym barku. Szarpnęła rękę Marvina, pociągając go za sobą jak w niezgrabnym tańcu - i w tej samej chwili Culley zagarnął ich oboje w potężny uścisk. Czując, jak jego dłonie splatają się za jej plecami, Natalie - która dobrze wiedziała, że olbrzym może w dwie sekundy zdruzgotać jej kręgosłup - wcisnęła colta pod lewą pachę Marvina, wbiła lufę głęboko w miękki brzuch Culleya i dwa razy pociągnęła za spust. Huk wystrzałów był obrzydliwie przytłumiony.

Obojętna twarz Culleya przelotnie przyjęła wyraz, jaki można by zaobserwować u rozczarowanego dziecka. Rozluźnił palce, zwolnił uchwyt i zatoczył się w tył. Wczepił się kurczowo w futrynę drzwi do pokoju, jakby podłoga nagle stanęła dęba. Z siłą, od której naprężyły mu się potężne bicepsy, a drewno zaczęło pękać w dłoniach, oparł się niewidocznej sile usiłującej wciągnąć go do salonu i zaczął się wspinać po tej wyimaginowanej ścianie: z wysiłkiem zrobił krok w stronę Natalie, wyciągając prawą rękę jakby w poszukiwaniu dobrego chwytu na jej ciele.

Natalie oparła rękę z pistoletem na szybko wiotczącym barku Marvina i strzeliła jeszcze dwukrotnie. Pierwszy pocisk przeszył dłoń Culleya i ugrzązł mu w brzuchu, drugi gładziutko, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, odciął mu płatek lewego ucha.

Zorientowała się, że płacze i krzyczy jednocześnie:

- Padaj! Padaj już!

Zamiast upaść, Culley znów chwycił się framugi i powoli opuścił do pozycji siedzącej, w sekwencji ruchów idealnie zsynchronizowanej z powolnym osuwaniem się Marvina. Nóż zaklekotał na podłodze; Natalie złapała głowę młodego Murzyna, zanim ta zderzyła się z wypolerowanymi deskami, złożyła ją u stóp Catfisha - i natychmiast się wyprostowała, ogarniając ruchami pistoletu okolice jadalni i krótki korytarz prowadzący do kuchni.

Nic.

Pochlipując i spazmatycznie łapiąc powietrze, weszła na długie schody. Pacnęła dłonią w wyłącznik światła. Kryształowy żyrandol w przedpokoju nie włączył się, podest u szczytu schodów pozostał masą cieni. Po pięciu krokach dostrzegła zieloną poświatę wylewającą się spod drzwi sypialni Melanie Fuller.

Złapała się na tym, że zamiast szlochać, wydaje już tylko ciche jęki. Uciszyła je. Trzy stopnie od szczytu schodów przystanęła i rozpięła uprząż obwieszoną ładunkami. Przerzuciła ją sobie przez lewą rękę w taki sposób, żeby widzieć mechaniczny zapalnik, nastawiony na trzydzieści sekund. Teraz wystarczyłby jeden ruch dźwignienki, żeby go uzbroić. Zerknęła na monitor EEG: sygnalizująca działanie urządzenia zielona lampka mrugała, monitor nadal był podłączony do detonatora. Odczekała jeszcze dwadzieścia sekund, czekając na ewentualny ruch starej kobiety.

Cisza.

Wyrzała na podest. Na lewo od drzwi sypialni stało drewniane krzesło z wyplatany trzcinowym siedzeniem. Uświadomiła sobie - zupełnie nagle i z irracjonalną pewnością - że to właśnie tutaj pan Thorne przez całe lata czuwał co noc przed pokojem Melanie Fuller. Z miejsca, w którym stała, nie mogła zajrzeć w głąb ciemnego korytarza prowadzącego na tyły domu.

Podskoczyła, słysząc jakiś hałas na parterze, ale kiedy spojrzała w dół, zobaczyła tylko trzy ciała na podłodze. Culley osunął się po framudze i to jego głowa stuknęła o deski.

Odwróciła się, uniosła broń i wyszła na podest.

Spodziewała się, że coś wyskoczy na nią z korytarza, była na to przygotowana... i prawie strzeliła w ciemność, mimo że nikt się tam nie pojawił.

Korytarz był pusty, drzwi pozamykane.

Ponownie zwróciła się w stronę sypialni Melanie: palec wskazujący prawej ręki oparła na spuście, na lewym przedramieniu niosła ciężki pas z C-

4. Gdzieś z dołu dobiegało tykanie zegara.

Może zaalarmował ją dźwięk, może delikatny powiew na policzku... Tak czy inaczej, jakiś podprogowy bodziec kazał jej w tej właśnie chwili podnieść wzrok na ginący w mroku, zawieszony na wysokości dziesięciu stóp sufit i rysujący się na jego tle ciemniejszy kwadrat - niedużą klapę prowadzącą na strych. Klapa była otwarta, w otworze zaś było widać zarys gotowego do skoku sześciolatka z obłąkańczym uśmiechem na twarzy i palcami zakrzywionymi niczym szpony, na których końcach połyskiwała zaostzona stal.

Natalie jednocześnie odskoczyła w bok i strzeliła do góry, ale Justin spadł na nią z głośnym sykiem i kula nieszkodliwie utkwiała w drewnie, a metalowe pazury rozorały Natalie rękę i wytrąciły jej pistolet.

Zachwiała się na nogach, zasłaniając się pasem z ładunkami jak tarczą. W dzieciństwie na każde Halloween kupowała sobie w sklepiku na rogu „pazury wiedźmy” - woskowe nakładki na czubki palców zaopatrzone w trzycalowej długości malowane paznokcie z wosku. Justin miał ich dziesięć, po jednej na każdym palcu, tyle tylko, że nakładki były ze stali, a rolę szponów odgrywały trzycalowe ostrza skalpeli. Natalie stanął przed oczami zgoła nieproszony obraz Culleya albo innego z pomagierów Melanie, który skonstruował stalowe napastrki i napełnił je roztopionym ołowiem, a potem patrzył, jak mały Justin wkłada w nie palce i czeka, aż ołów zastygnie.

Justin skoczył w jej stronę. Cofnęła się pod ścianę, odruchowo zasłaniając się lewym przedramieniem. Pazury chłopca werżnęły się głęboko w uprząż, osiem sztylecików poharatało płótno, wyściółkę z tworzywa sztucznego i sam materiał wybuchowy. Natalie zgrzytnęła zębami, gdy co najmniej dwa ostrza rozcięły jej skórę.

Z nieludzkim triumfalnym sykiem Justin wyrwał jej z ręki pas z ładunkami i przerzucił go przez poręcz schodów. Dwanaście funtów plastiku z głuchym łoskotem wylądowało w przedpokoju na parterze. Natalie spojrzała na podłogę i dostrzegła colta leżącego między dwiema tralkami barierki. Zrobiła pół kroku w jego stronę, ale Justin uprzedził ją, doskoczył do balustrady i szybkim kopniakiem stopy w niebieskiej tenisówce strącił pistolet na dół.

Natalie zamarkowała ruch w lewo i rzuciła się w prawo, chcąc dopaść do schodów. Justin skoczył jej na spotkanie i zmusił ją do cofnięcia się, zdążyła jednak zobaczyć jeszcze czołgającego się na piętro Culleya; jego potężne ciało wypełniało całe schody. Był w jednej trzeciej drogi na górę. Zostawiał

krwawy ślad.

Okręciła się na pięcie, gotowa wbiec do korytarza, ale się zawahała; o to właśnie musiało chodzić starej wiedźmie. Bóg jeden raczył wiedzieć, co czekało Natalie w zaciemnionych pokojach.

Justin znów się na nią rzucił, jego szpony dosłownie rozmazały się jej przed oczami. Płynnie przedłużyła piruet, chwyciwszy zakrwawioną prawą ręką stojące przy drzwiach krzesło. Jedną z jego nóg trafiła Justina w usta i wybiła mu zęby, ale chłopiec młócił rękami i nacierał nieustępliwie jak opętany przez demona stwór - którym w istocie był. Ostrza chlasnęły nogi krzesła, wydarły miękkie siedzisko, a Justin przykucnął i zaatakował nisko, mierząc w nogi, szukając tętnicy udowej. Natalie pchnęła krzesłem z góry na dół, usiłując przyszpilić go do ziemi.

Był zbyt szybki. Pazury o cal chybiły jej ud i Justin odskoczył tanecznym krokiem, zanim zdołała go nakryć krzesłem. Zrobił zwód w prawo, rzucił się w lewo i ciął do góry; odskoczył i zaatakował ponownie. Podeszwy tenisówek popiskiwały cicho na drewnianej podłodze.

Natalie blokowała kolejne ataki, ale pocięte skalpelami ręce zaczynały jej omdlewać ze zmęczenia; zwłaszcza jedna kluta rana, w lewej ręce, zdaje się sięgała głęboko, aż do kości. Po każdym natarciu Justina ustępowała mu pola i w tej chwili opierała się już plecami o drzwi sypialni Melanie Fuller. Mimo że nie miała czasu na rozmyślanie, jej umysł uparcie generował wyrazisty obraz sceny, w której drzwi otwierają się gwałtownie, a ona przewraca się na plecy i, młóćąc ramionami, wpada prosto w chwytające ją ręce i szczękające zęby...

Ale drzwi się nie otworzyły.

Justin przykucnął na chwilę, po czym puścił się biegiem w jej stronę, przyjmując uderzenia krzesła na pierś i szyję. Zamaszyście ciął stalowymi szponami, próbując dosięgnąć rąk lub piersi Natalie; gdyby miał ręce o parę cali dłuższe, skalpele dosięgłyby celu, a tak ugrzęzły tylko w drewnianej ramie siedziska. Szarpnął, usiłując wyrwać krzesło z rąk Natalie lub przełamać je na dwoje. Sypnęły się drzazgi, ale rama wytrzymała.

Spokojna częśćka umysłu Natalie - odcięta od reszty murem dzikiej paniki - próbowała jej przesłać wiadomość. Wydawało jej się, że słyszy słowa wypowiedane oschłym, nieco pedantycznym głosem Saula:

- Używa przeciw tobie ciała dziecka, Natalie. Dziecka, które ma zasięg rąk i masę sześciolatka. Skuteczność Melanie opiera się na jego zajadłości i twoim strachu. Ty masz przewagę rozmiaru, zasięgu i masy. Nie zmarnuj jej.

Justin wydał dźwięk jak kipiący czajnik i znów rzucił się na nią ze złością, na czworakach, przy samej podłodze. Czubek łysej głowy Culleya właśnie wychynał ze schodów ponad podest.

Wyprostowała obie ręce, wystawiając krzesło na spotkanie Justina; wypchnęła je zdecydowanie, zrobiła nawet krok naprzód. Popękane nogi mebla trafiły go w szyję i w pierś i przyparły do barierki. Stare drewno balustrady skrzypnęło, ale daleko mu było do złamania się.

Zwinnie jak norka i szybko jak kot o stalowych pazurach Justin wskoczył na pięciocalowej szerokości poręcz, błyskawicznie złapał równowagę i przygotował się do skoku na Natalie. Bez najmniejszego wahania zrobiła zamaszysty krok w bok, chwyciła krzesło jak kij bejsbolowy i wkładając w zamaszysty cios energię całego ciała, strąciła Justina z poręczy niczym ulepioną z krwi i kości piłkę.

Z gardeł Justina, Culleya i nie wiadomo ilu innych przyczajonych za zamkniętymi drzwiami sypialni dobiegł jeden krzyk, ale potwór w skórze dziecka nie dał za wygraną. Wygiął się w locie w łuk i z rozwianymi włosami uczepił się masywnego żyrandola, zwisającego tuż poniżej poziomu piętra, sześć stóp od balustrady. Stalowe szpony zacisnęły się na żelaznym łańcuchu, kryształki odpowiedziały kakofonią dźwięcznych dzwonek, a sekundę później Justin wspinał się już po żyrandolu, balansując piętnaście stóp nad podłogą.

Natalie opuściła krzesło i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Culley położył dłoń na ostatnim stopniu i podciągnął się na podest. Kragła buzia Justina wykrzywiła się w makabrycznej parodii uśmiechu, kiedy huśtał się na żyrandolu, wyciągając szpony ku coraz bliższej balustradzie podestu.

W czasach swojej świetności (czyli sto lat temu, lekko licząc) mocowanie żyrandola bez jednego jęku skargi udźwignęłoby ciężar dziesięciu Justinów; żelazny łańcuch i śruby nadal zresztą miały stosowną wytrzymałość. Jednakże dziewięciocalowa drewniana belka, w której żyrandol został zakotwiczony, miała za sobą ponad sto lat południowokarolińskiej wilgoci, insektów i dobrodusznego zaniedbania.

Justin zniknął z oczu Natalie wraz z całym żyrandolem, szerokim na pięć stóp blokiem tynku, przewodami elektrycznymi, śrubami i kłocem spróchniałego drewna. Łoskot był imponujący. Kawałki kryształu bryznęły na ściany jak odłamki granatu.

Przyszło jej do głowy, żeby zbiec na dół po pistolet i C-4, ale zdała sobie sprawę, że zostały pogrzebane w zaścielającym parter rumowisku.

Gdzie jest policja? - nie mogła się nadziwić. Co to za fatalna dzielnica?

Przypomniała sobie, że w oknach wielu okolicznych domów wieczorami było ciemno - sąsiedzi albo powyjeżdżali, albo byli już bardzo, bardzo starzy. Jej najście mogło się jej wydawać głośne i dramatyczne, ale nie mogła wykluczyć, że najzwyczajniej w świecie nikt jeszcze nie zauważył samochodu i nie domyślił się źródła zgiełku. Samochód był w zasadzie niewidoczny z ulicy, osłonięty okalającym dom murem. Huk dwóch z czterech oddanych przez nią strzałów na pewno poniósł się daleko, ale gęste tropikalne listowie pobliskich drzew potrafiło stłumić i zniekształcić każdy dźwięk. A może po prostu nikt nie chciał się wtrącać w nie swoje sprawy.

Spojrzała na zachlapany krwią zegarek: upłynęły niecałe trzy minuty, odkąd przekroczyła próg domu.

Na Boga...

Culley wygramolił się na podest, uniósł bladą twarz i posłał Natalie spojrzenie idioty.

Szlochając bezgłośnie, wyrznęła go krzesłem w głowę: raz, drugi, trzeci. Jedna z nóg odłamała się i uderzyła w ścianę. Culley grzmotnął podbródkiem o podest i zsunął się pięć stopni w dół. Natalie patrzyła, jak znów unosi głowę, jego ręce i nogi drgają spazmatycznie i Culley znów zaczyna pełznąć w górę schodów.

Odwróciła się i zaczęła łomotać krzesłem w drzwi.

- Niech się diabli, Melanie Fuller! - wrzasnęła ile sił w płucach.

Po czwartym uderzeniu krzesło rozpadło jej się w rękach.

Drzwi się otworzyły.

Nie były zamknięte na klucz.

Okna w sypialni były zasłonięte, żaluzje przepuszczały bardzo niewiele światła brzasku. Oscyloskopy i aparatura do podtrzymywania życia zalewały mieszkańców słabą elektroniczną poświatą. Siostra Oldsmith, doktor Hartman i Nancy Warden (matka Justina) stali pomiędzy drzwiami i łóżkiem, ubrani w brudne białe stroje. Wszyscy troje mieli identyczne miny; taki wyraz twarzy Natalie widywała tylko na filmach dokumentalnych o ludziach, którzy przeżyli obozy zagłady i spomiędzy drutów spoglądali na żołnierzy-wyzwoliciele: ogromne oczy i rozdziawione niedowierzająco usta.

Za tą ostatnią linią obrony znajdowało się olbrzymie łóżko, a w nim jego lokatorka. Łóżko miało baldachim i zasłony z koronki, widok był dodatkowo utrudniony przez foliowy namiot tlenowy, ale Natalie z łatwością rozpoznała

kontur tonącej w pościeli wychudzonej postaci; pomarszczoną, zdeformowaną twarz; wytrzeszczone oko; pokrytą starczymi plamami krzywizną czaszki, wciąż okoloną rzędnącymi niebieskimi włosami; chudą jak u szkieletu prawą rękę wystającą spod przykrycia; kościste palce zaciskające się spazmatycznie na pościeli. Starucha wiła się i wierciła w łóżku; wcześniejsze skojarzenie ze wstrętnym morskim stworem rzuconym na pastwę obcych żywiołów dodatkowo się nasiliło.

Natalie rozejrzała się szybko po pokoju, sprawdziła, że nikt nie czai się za drzwiami ani na korytarzu. Po prawej stronie miała wiekową toaletkę z plamiastym lustrem; na poźółkłej koronkowej serwetce leżały starannie ułożone grzebień i szczotka obklejone kępami niebieskich włosów. Po lewej na podłodze leżały zwałone na stos tace z resztkami jedzenia; brudne filiżanki, talerze i bielizna stołowa piętrzyły się na wysokość trzech stóp; wysoka szafa miała otwarte drzwi i dno zwałone zmiętymi ubraniami; przybory medyczne wały się w brudzie. Na dwukołowych wózkach stały cztery podłużne butle z tlenem. Dwie z nich były jeszcze zapieczętowane, stanowiły więc prawdopodobnie zamienniki dla dwóch pozostałych, pompujących tlen do foliowego namiotu. Panujący w pokoju smród przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Słyszając jakiś cichy dźwięk, zerknęła w lewo i zobaczyła dwa szczury bobrujące w stosie brudnych naczyń i cuchnących tkanin. Zachowywały się zupełnie swobodnie, jakby w pokoju nie było żadnych ludzi. Natalie uświadomiła sobie, że tak właśnie jest.

Trzy chodzące trupy poruszyły ustami w idealnej harmonii:

- Odejdź - jęknęły płacząco, po dziecięcemu. - Nie chcę już grać.

Twarz starej kobiety, wykrzywiona i wydłużona przez folię namiotu jak przez pomarszczoną soczewkę, poruszyła się w przód i w tył. Z bezzębnych ust dobywały się wilgotne mlaśnięcia.

Troje pomagierów jednocześnie uniosło prawe ręce. Zielona poświata monitora zaślniła na ostrzach skalpeli.

Tylko troje? - zdziwiła się Natalie. Spodziewała się, że będzie ich więcej, ale była zbyt zmęczona, przerażona i obolała, żeby rozgryźć tę zagadkę. Później.

W tej chwili chciała coś powiedzieć - nie była tylko pewna co. Może wyjaśnić tym zombie i skrywającemu się za nimi potworowi, że jej ojciec był ważną osobą, stanowczo zbyt ważną, żeby pozbyć się jej jak drugoplanowego bohatera w kiepskim filmie. I że każdy - każdy - zasługuje

na coś lepszego. Coś w ten deseń.

Tymczasem stwór, który w przeszłości był chirurgiem, ruszył w jej stronę, szurając stopami. Kiedy dwa pozostałe zombie poszły w jego ślady, Natalie - zamiast przemowy - zadowolona się unikiem w lewo, gdzie dopadła do pierwszej butli z tlenem, zerwała pieczęć, odkręciła zawór i rzuciła butlą w doktora Hartmana. Chybiła. Butla okazała się niewiarygodnie ciężka. Z głośnym łoskotem uderzyła w podłogę, ścięła z nóg Nancy Warden i wtoczyła się pod łóżko, plując czystym tlenem.

Hartman zamachnął się skalpelem; ostrze zatoczyło błyskawiczny płaski łuk. Natalie odskoczyła, ale nieco zbyt późno. Odgrodziła się od Hartmana wózkami z pustą butlą i spojrzała w dół: rozcięta na wysokości brzucha bluzka zdążyła się już zabarwić na czerwono od krwi z płytkiej rany.

Culley wczołgiwał się do pokoju, podpierając się na łokciach.

Rozpierająca Natalie wściekłość sięgnęła nowych wyżyn. Ona sama, ale także Saul, Rob, Cohen, Jackson, Catfish... Wszyscy dotarli zbyt daleko, żeby teraz coś ich zatrzymało. Saul może by docenił ironię tej sytuacji, ale ona szczerze nie znosiła ironii.

Napędzana falą adrenaliny, która pozwala matce podnieść samochód przygniatający jej dziecko, Natalie dźwignęła nad głowę ważącą siedemdziesiąt pięć funtów drugą butlę i cisnęła nią prosto w twarz doktora Hartmana. Zawór odpadł, gdy i butla, i doktor Hartman runęli na podłogę.

Nancy Warden zaczęła się czołgać w stronę Natalie. Siostra Oldsmith zaszarżowała ze wzniesionym do ciosu skalpelem. Natalie narzuciła jej na głowę zaplamione moczem prześcieradło i uskoczyła w prawo. Zakutana w szmatę Oldsmith wpadła do szafy, ale już sekundę później pokazało się ostrze skalpela, tnące cienki materiał.

Natalie w biegu złapała szarą powłoczkę i zaczęła zwijać ją w kłębek, gdy wtem dłoń Nancy Warden wystrzeliła w przód i zacisnęła się na jej kostce. Natalie grzmotnęła ciężko o wytarty chodnik, usiłując kopniakami drugiej nogi pozbyć się przeciwniczki. Matka Justina zgubiła swój skalpel, ale obiema rękami wczepiła się w nogę Natalie, jakby zamierzała wciągnąć ją pod łóżko.

Trzy stopy dalej Culley przegramolił się przez próg. Jego ciężko okaleczone powłoki brzuszne pękły i ślad wywleczonych wnętrzności ciągnął się za nim aż na podest schodów.

Siostra Oldsmith ostatecznie poradziła sobie z opatulającym ją prześcieradłem i obróciła się w miejscu jak zardzewiały uliczny mim.

- Przestań! - krzyknęła Natalie najgłośniej jak potrafiła.

Rozpaczliwym gestem wygrzebała z kieszeni płaskie opakowanie zapalek, upuściła je, podniosła, zapaliła jedną zapalkę i przytknęła ją do zrolowanej powłoczki; materiał zaczął się tlić, ale nie buchnął płomieniem. Przez ten czas Nancy Warden przyciągnęła ją o stopę bliżej łóżka.

Zapalka zgasła.

Culley złapał Natalie za włosy.

Cały czas miała wolne ręce, zapaliła więc drugą zapalkę, przytknęła ją do opakowania, a kiedy buchnęło ogniem, wepchnęła krótkotrwały płomyk w powłoczkę. Z trudem powstrzymała się od wypuszczenia jej z rąk, gdy płomień liznął ją po palcach.

Powłoczka zajęła się ogniem.

Natalie rzuciła ją w bok i do tyłu, prosto na łóżko.

Koronkowy baldachim, zasłony, pościel i drewniana rama - nurzające się w płynącym spod łóżka strumieniu czystego tlenu - eksplodowały gejzerem błękitnego ognia, który trysnął pod sam sufit i w niespełna trzy sekundy rozlał się po nim aż do ścian. Natalie wstrzymała oddech (czuła, że powietrze jest rozpalone), kopniakiem uwolniła się z uchwytu płonącej kobiety, zerwała się z ziemi i puściła biegiem.

Culley wprawdzie już wcześniej puścił jej włosy, ale teraz wstał razem z nią i zagroził jej drogę do wyjścia niczym na wpół wypatroszony trup, który rozjuszony wstał ze stołu w prosektorium.

Długimi rękami złapał Natalie i obrócił ją tyłem do drzwi. Natalie - wciąż wstrzymująca oddech - dostrzegła na łóżku, w błękitnej kuli intensywnego ognia, miotającą się w spazmach sylwetkę starej kobiety; czerniejące ciało wyglądało, jakby składało się z samych ostrych kantów i stawów, jak pieczony żywcem konik polny. Nagle kobieta wydała z siebie ogłuszający, obezwładniający wrzask, który po sekundzie podjęli siostra Oldsmith, Nancy Warden, Culley, trup Hartmana i sama Natalie.

Ostatnim wysiłkiem Natalie okręciła się w miejscu razem z Culleyem, rzuciła się w przód i wypadła na podest w tej samej chwili, gdy wybuchła druga butla z tlenem. Culley przyjął na siebie cały impet eksplozji; przez sekundę dom wypełnił się wonią pieczonego mięsa. Fala uderzeniowa pchnęła go z rozrzuconymi ramionami na ścianę na łuku schodów. Przygnieciona jego ciałem Natalie stoczyła się po stopniach, a płonący Culley złożył się wpół na balustradzie, przewinał przez poręcz i spadł na gruzowisko na parterze.

Natalie leżała na schodach na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do tralki poręczy. Czuła żar bijący z płonącego sufitu, widziała jaskrawe odbłaski ognia w rozsypanych na parterze kryształowych odłamkach, ale była zbyt zmęczona, żeby się ruszyć.

Zrobiła co w jej mocy.

Podniosły ją czyjeś silne ręce. Próbowwała się bronić, ale jej pięści były miękkie i bezużyteczne jak bawełniane kulki.

- Spokojnie, Nat. Muszę mieć wolną rękę, żeby zabrać Marvina.

- Jackson!

Wysoki Murzyn niósł ją w lewej ręce, prawą wlokąc po ziemi trzymanego za przód koszuli byłego szefa gangu. W głowie Natalie przemieszały się wizje szklanego pokoju z jedną strzaskaną ścianą, ogrodu, ciemnego tunelu garażu. Mikrobusek czekał w zaułku. Jackson delikatnie posadził ją na tylnym siedzeniu; obok, na podłodze, położył Marvina.

- Jezu... - mruknął. - Co za dzień. - Przykucnął obok Natalie, ocierając jej z twarzy krew i sadzę. - Na Boga, panienko, naprawdę niezły z ciebie numer...

Natalie oblizwała spierzchnięte wargi.

- Chcę zobaczyć...

Jackson pomógł jej usiąść. Dom Fuller stał w ogniu, który zagarnął już także dom Hodgesów. W lukach między budynkami Natalie widziała wozy straży pożarnej, dachy samochodów i głowy tłoczących się na ulicy gapiów. Dwa strumienie wody zaczęły bez powodzenia walczyć z pożogą; dalsze węże strażackie zostały wymierzone w drzewa i dachy sąsiednich domów.

Natalie spojrzała w lewo, gdzie Saul na chwilę dźwignął się do pozycji siedzącej i, mrużąc oczy, spojrzał w stronę pożaru. Odwrócił się do niej, uśmiechnął, z sennym niedowierzaniem pokręcił głową i znów zasnął.

Jackson podłożył jej pod głowę jeden zrolowany koc, drugim ją przykrył, a potem wyskoczył z mikrobusu, zatrzasnął drzwi i wsiadł za kierownicę. Mały silniczek zapalił natychmiast.

- A teraz, jeśli państwo turyści pozwolą, zabiorę nas stąd, zanim gliniarze albo strażacy znajdą ten zaułek.

Trzy przecznice dalej ruch uliczny wyraźnie się przerzedził, chociaż samochody służb ratunkowych nadal pędziły w przeciwnym kierunku, w stronę dymu. Jackson wyjechał na drogę numer 52 i skierował się na północny zachód. Minęli park z widokiem na stocznię marynarki wojennej, przejechali obok ciągu moteli. Przy Dorchester Road ściał skrótem do

międzystanowej dwudziestki szóstki. Minęli lotnisko i wyjechali z miasta.

Natalie odkryła, że gdy tylko zamyka oczy, pod powiekami pojawiają się jej obrazy, których nie chce oglądać. Czuła wzbierający w piersi krzyk.

- Co z Saulem? - zapytała drżącym głosem.

- Facet jest niesamowity - odparł Jackson, nie odrywając wzroku od drogi.

- Ocknął się tylko na chwilę, w sam raz, żeby mi powiedzieć, co zamierzasz.

Natalie postanowiła zmienić temat.

- A jak Marvin?

- Oddycha. Resztą zajmiemy się później.

- Catfish nie żyje - powiedziała Natalie, nie do końca panując nad roztrzęsionym głosem.

- Wiem. Posłuchaj, laluniu, parę mil stąd, za Ladson, na mapie jest zaznaczony parking. Zjedziemy na chwilę, obmyjemy cię, opatrzymy te dwie kłute rany, posmarujemy oparzenia i skaleczenia... Potem zrobię ci zastrzyk, żebyś mogła zasnąć.

Natalie skinęła głową. Przypomniała sobie, żeby odpowiedzieć:

- Dobrze.

- A wiesz, że masz wielkiego siniaka na głowie? - Jackson patrzył na nią w lusterku wstecznym. - I nie masz brwi?

Pokręciła głową.

- Powiesz mi, co się tam wydarzyło? - spytał ostrożnie Jackson.

- Nie! - Natalie rozszlochała się bezgłośnie. Było jej z tym bardzo dobrze.

- Jak chcesz, mała. - Jackson zaczął pogwizdywać przez zęby, ale zaraz przestał i mówił dalej: - Kurczę, chciałem tylko jak najszybciej wyjechać z tej cholernej dziury i wrócić do Filadelfii, a wyszedł z tego jakiś przekłety odwrót Napoleona spod Moskwy. Powiem tak: jeśli ktoś jeszcze wejdzie nam w drogę, zanim dotrzemy do izraelskiej ambasady, to pożałuje, że się urodził.

Pokazał Natalie rewolwer z okładziną z masy perłowej na rękojeści i schował go znów pod siedzenie.

Natalie otarła łzy.

- Skąd go masz?

- Odkupiłem od Daryla. Nie ty jedna miałaś ochotę sponsorować rewolucję, Nat.

Natalie zamknęła oczy. Obrazy pod powiekami nie zniknęły, ale chęć krzyku jakby trochę osłabła. Zdała sobie sprawę, że - przynajmniej chwilowo

- Saul Laski nie jest jedynym człowiekiem, który poświęcił swoje sny.

- Widziałem drogowskaz - zabrzmiał basowy, kojący głos Jacksona. -

Zaraz będzie parking.

77.

Beverly Hills

21 czerwca 1981, sobota

Tony Harod gratulował sobie ocalenia.

Na wyspie, po tym, jak ta czarna suka zaatakowała go zupełnie bez powodu, doszedł do wniosku, że najwidoczniej wyczerpał swój przydział szczęścia. Pół godziny trwało, zanim pozbierał się z ziemi, a potem aż do świtu koncentrował się na unikaniu spotkań z ochroniarzami, którzy mieli skłonność do strzelania bez ostrzeżenia. Obrął kurs na znajdujące się na wyspie lotnisko, licząc na to, że może jakąś gadką szmatką uda mu się wkupić na pokład prywatnego odrzutowca Suttera albo Williego, ale jeden rzut oka na szalejący tam pożar kazał mu zawrócić w głąb lasu.

Kilka godzin przeleżał pod łóżkiem w jednym z domków przeznaczonych dla uczestników obozu letniego, nieopodal amfiteatru. W pewnym momencie paru pijanych strażników włamało się do domku: ograbili kuchnię i pokoje z alkoholu i wszelkich wartościowych przedmiotów i rozegrali trzy partyjki pokera w salonie, zanim, zataczając się, wyszli i wrócili do swojego oddziału. Z ich podekscytowanego bełkotu Harod wywnioskował, że Barent znajdował się na pokładzie *Antoinette*, gdy jacht uległ zniszczeniu.

Niebo na wschodzie zaczynało szarzeć, kiedy wyczołgał się spod łóżka i skierował na przystań, gdzie znalazł przycumowane cztery łodzie. Jedną z nich - dwunastostopową motorówkę - udało mu się odpalić poprzez spięcie przewodów; przydały się umiejętności, których nie musiał używać od czasów młodości w chicagowskim gangu. Strażnik odsypiający pod drzewem kaca strzelił do niego dwa razy, ale Harod był wtedy już pół mili od brzegu. Nie próbowali go ścigać.

Wiedział, że Dolmann Island leży zaledwie dwadzieścia mil od lądu i nawet przy swoim skąym pojęciu o nawigacji zdawał sobie sprawę, że płynąc na zachód, nie powinien mieć kłopotów z napatoczeniem się na Amerykę Północną.

Dzień był pochmurny, za to gładkie jak lustro morze wynagradzało mu nocne szaleństwa. Znalazł kawałek liny, którą zablokował koło sterowe, rozpiął płócienny namiot nad kokpitem i poszedł spać. Obudził się niecałe dwie mile od brzegu. Skończyło się paliwo. Pierwsze osiemnaście mil pokonał w półtorej godziny; na kolejne dwie musiał poświęcić osiem godzin,

a pewnie i tak nie dotarłby do brzegu, gdyby nie mały kuter rybacki, który wypatrzył go na morzu i przyszedł mu z pomocą. Rybak z Georgii przyjął Haroda na pokład, dał mu wodę, jedzenie, krem z filtrem UV i dość benzyny, żeby dopłynął do lądu. Harod popłynął w ślad za nim przez labirynt wysepek i zarośniętych cypli, który chyba zbyt nie zmienił przez ostatnie trzysta lat. W końcu zacumowali w porcie miasteczka o nazwie St. Mary's. Stwierdził, że znajduje się w południowej Georgii, a po drugiej stronie rzecznej delty zaczyna się Floryda.

Przedstawił się jako szczer łądowy, który wypożyczył motorówkę w okolicy Hilton Head i zabłądził na morzu. Miejscowi nie bardzo chcieli wierzyć, że ktoś może być tak durny, żeby aż tak się zgubić, ale w wypadku Haroda jakoś to przełknęli, on zaś ze swojej strony robił wszystko, żeby nie nadszarpnąć dobrych dwustronnych stosunków - w tym celu zaprosił swoich wybawców, właścicieli mariny oraz pięciu gapiów do najbliższego baru (podejrzanej speluny przy skręcie do Parku Stanowego Santa Maria) i w geście dobrej woli przepuścił na nich dwieście osiemdziesiąt dolców.

Chłopaki jeszcze opijali jego zdrowie, kiedy jemu udało się przekonać córkę właściciela, Star, żeby odwiozła go do Jacksonville. Było dopiero wpół do ósmej wieczorem, kiedy dojechali na miejsce, została jeszcze godzina letniego światła, ale Star uznała, że jest za późno na powrót do St. Mary's (całe trzydzieści pięć mil) i zaczęła się zastanawiać nad wynajęciem pokoju w motelu w Jacksonville Beach lub Ponte Vedra. Dobiegała czterdziestki; poliestrowe spodnie opinały jej sylwetkę w sposób, który Harodowi wydawał się wręcz niewiarygodny.

Dał jej pięćdziesiąt dolarów napiwku, kazał się przypomnieć, gdyby kiedyś wpadła do Hollywood, i poprosił o podwózkę pod terminal linii United na międzynarodowym lotnisku w Jacksonville.

Zostały mu prawie cztery tysiące dolarów w gotówce (lubił mieć jakieś drobne przy sobie, kiedy podróżował, a nikt mu nie powiedział, że na wyspie nie będzie miał ich na co wydać), ale wybrał jedną z kart kredytowych i kupił bilet pierwszej klasy do Los Angeles.

Zdrzemnął się w czasie krótkiego lotu do Atlanty, gdzie miał przesiadkę, za to podczas dłuższego lotu na zachód stało się oczywiste, że stewardesa, która podała mu drinki i kolację, uważa, że przez pomyłkę zabłąkał się do pierwszej klasy z niewłaściwej części samolotu. Spojrzał po sobie, obwąchał się... i zaczął rozumieć, skąd ten pomysł.

Brązowa sportowa marynarka od Armaniego prawie, prawie uniknęła

zachlapania krwią, ale cuchnęła dymem, olejem silnikowym i rybą. Czarna jedwabna koszula wchłonęła tyle potu, że przemysłowa instalacja odsalająca miałaby zajęcie na miesiąc. Lekkie płócienne spodnie i mokasyny z krokodylowej skóry były, mówiąc oględnie, do wyrzucenia.

Mimo to nie był zachwycony, że stewardesa, cipa głupia, ośmiela się traktować go w ten sposób. Zapłacił przecież za obsługę należną pasażerowi w pierwszej klasie - a on, Tony Harold, zawsze dostawał to, za co płacił. Spojrzał w stronę toalety bliżej dziobu: była pusta. Większość z tuzina pasażerów pierwszej klasy spała już albo czytała.

- Proszę pani?! - zawołał, kiedy nadęta blondyna spojrzała w jego stronę.

Z bliska dostrzegł wszystkie szczegóły jej farbowanych włosów, kilka warstw makijażu, lekko rozmazany tusz do rzęs. Na zębach miała ślad różowej szminki.

- Tak, proszę pana? - spytała nieznośnie protekcyjnym tonem.

Patrzył na nią jeszcze przez kilka długich sekund.

- Nie, już nic - powiedział w końcu. - Nic takiego.

Wylądował w Los Angeles w środę, wcześniej rano. Dotarcie do domu zajęło mu dalsze trzy dni.

Nagle zrobił się ostrożny: wynajął samochód i pojechał do Laguna Beach, gdzie Teri Eastern miała jeden ze swoich dyskretnych domków na plaży. Pomieszkiwał u niej parę razy, kiedy miała akurat przerwę między kolejnymi kochankami. Wiedział, że w tej chwili jest we Włoszech, gdzie kręci feministyczny spaghetti western, ale klucz był na swoim miejscu - w trzeciej doniczce z rododendronem. Urządzony w kenijskim stylu dom wymagał przewietrzenia, ale w lodówce czekało importowane piwo, a na łóżku wodnym świeża pościel. Harold przespał większość dnia. Wieczorem pooglądał na magnetowidzie stare filmy Teri, koło północy wyjechał po chińszczyznę na kolację. W czwartek założył okulary przeciwsłoneczne i należącą do jednego z chłopaków Teri przydużą fedorę Banana Republic i pojechał do miasta, obejrzeć swój dom. Wszystko wyglądało normalnie, ale na wszelki wypadek na noc i tak wrócił do Laguna Beach.

W czwartkowych gazetach na szóstej stronie pojawiła się krótka notka o śmierci C. Arnolda Barenta, tajemniczego miliardera, który zmarł na zawał w swojej posiadłości w Palm Springs. Zwłoki zostały skremowane, europejska część rodziny Barentów zajęła się organizacją dyskretniej uroczystości pogrzebowej. Czterej żyjący prezydenci Stanów Zjednoczonych przesłali

swoje kondolencje. Autor artykułu wspominał również długą historię przedsięwzięć dobroczynnych C. Arnolda Barenta i zastanawiał się nad dalszym losem jego korporacyjnego imperium.

Harod z niedowierzaniem pokręcił głową. W gazecie nie było ani słowa o jachcie, wyspie, Josephie Keplerze ani wielebnym Sutterze. Był przekonany, że w najbliższych dnia ich nekrologi zakwitną w prasie jak letnie kwiaty, ale ktoś wyraźnie blokował przepływ informacji. Zażenowani politycy? Służący zabójczej trójki? Jakaś europejska mutacja Klubu Wyspiarskiego? Właściwie wolał nie wiedzieć - byle tylko nie dotyczyło go to osobiście.

W piątek zaczął obserwować swoją rezydencję najlepiej jak się dało bez ściągania sobie na kark gliniarzy z Beverly Hills. Dom wyglądał w porządku. Wszystko grało. Pierwszy raz od lat Tony Harod miał wrażenie, że może wykonać jakiś ruch bez obawy, że w razie pomyłki dziesięć ton gówna zwali mu się na łeb.

W sobotę wcześnie rano (przed dziesiątą) pojechał prosto do siebie, zasalutował satyrowi, pocałował hiszpańską pokojówkę i poinformował kucharkę, że może sobie wziąć wolne do wieczora, tylko niech mu najpierw przyrządzi solidne drugie śniadanie. Zadzwoił najpierw na domowy numer szefa studia, a potem do Schu Williama, żeby się dowiedzieć, co, do diabła, dzieje się z *Białym łowcą niewolników* (przechodził właśnie ostatnie poprawki montażowe po tym, jak wycięto z niego około dwunastu minut materiału, który znudził widzów na pokazach próbnych). Obdzwoił jeszcze z siedmiu, ośmiu najważniejszych znajomych, żeby dać im znać, że wrócił i jest gotowy do akcji, po czym odebrał telefon od swojego prawnika, Toma McGuire'a. Potwierdził, że zamierza się przeprowadzić do rezydencji Williego i że chętnie zatrudniłby tych samych ochroniarzy. Czy Tom nie zna przypadkiem jakiejś dobrej sekretarki? McGuire nie wierzył, że po tylu latach Harod wyrzucił z pracy Marię Chen.

- Nawet bystre dziewczyny w końcu się za bardzo przywiązują, jeśli długo je trzymasz - wyjaśnił Harod. - Musiałem ją zwolnić, nim zaczęłyby mi cerować skarpetki i wyszywać swój monogram na bokserkach.

- I co, dokąd pojechała? Wróciła do Hongkongu?

- Skąd mam wiedzieć? Zresztą gówno mnie to obchodzi. Daj znać, gdybyś miał kogoś, kto umie stenografować i dobrze robi loda.

Odłożył słuchawkę. Jeszcze parę minut przesiedział w cichej i pustej salce projekcyjnej, po czym poszedł do jacuzzi.

Leżał nagi i odprężony w gorącej wodzie, zastanawiał się leniwie, czy nie przenieść się do basenu i nie machnąć paru rundek, aż z przymkniętymi oczami prawie zasnął. Wyobrażał sobie, że słyszy na kafelkach kroki Marii, która niesie mu codzienną porcję poczty. Usiadł, zapalił papierosa wyjętego z paczki leżącej obok szklanki z wódką i rozparł się wygodnie, podstawiając plecy pod gorącą strugę, która rozmasowywała mu mięśnie. Dopóki człowiek myśli o innych sprawach, wcale nie jest tak najgorzej, uznał.

Prawie znów się zdrzemnął - niewiele brakowało, żeby wypalony papieros poparzył mu palce - kiedy z korytarza dobiegł stukot wysokich obcasów.

Natychmiast otworzył oczy, włożył papierosa do ust i przyciągnął rękę do tułowia, gotowy w razie potrzeby szybko zerwać się na nogi. Pomarańczowy szlafrok leżał sześć stóp od niego.

W pierwszej chwili nie wiedział, kim jest atrakcyjna młoda kobieta w prostej białej sukience, która weszła do pokoju, niosąc plik listów. Dopiero potem rozpoznał te oczy nimfetki, twarz misjonarki, wygiętą w podkówkę dolną wargę (przypominała mu Elvisa) i krok modelki.

- Shayla... Kurczę, ale mnie wystraszyłaś.

- Przyniosłam panu pocztę - powiedziała. - Nie wiedziałam, że prenumeruje pan też *National Geographic*.

- Rety, dziecinko, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Chciałem cię przeprosić i wyjaśnić całe to nieprzyjemne nieporozumienie z zimy...

Nie czuł się komfortowo i zastanawiał się nawet, czyby jej nie Użyć, ale zrezygnował: nie, to ma być nowy początek. Wytrzyma trochę bez tego główna.

- Nic nie szkodzi - zapewniła go Shayla.

Jej głos, zawsze łagodny i rozmarzony, w tej chwili brzmiał jeszcze bardziej sennie niż zwykle. Harodowi przyszło do głowy, że nieszczęsna mała mormonka w chwilach wolnych od pracy odkryła narkotyki.

- Nie jestem już na pana zła - dodała z roztargnieniem. - Mój Pan przeprowadził mnie przez ten trudny czas.

- To super. - Harod strzepnął z piersi popiół z papierosa. - Powiem ci, że miałaś absolutną rację, kiedy mówiłaś, że *Łowca niewolników* nie jest dla ciebie. Wyszedł z tego zwykły chłam, lata świetlne poniżej twojej klasy, mała. Ale wiesz co? Rozmawiałem dzisiaj z Schu Williamsem, rozkręca właśnie nowy projekt dla Oriona; to by było coś w sam raz dla nas. Podobno Bob Redford i jakiś młodziak, Tom Cruise, postanowili zrobić remake...

- Mam tu pański *National Geographic* - przerwała mu Shayla, podając mu

kolorowy magazyn i stosik listów.

Włożył papierosa do ust i wyciągnął rękę, żeby przejąć pocztę, zanim ta się zamoczy. Srebrny pistolet, który zniemacka pojawił się w dłoni Shayli, był tak malutki, że musiał być zabawką. Nawet jego pięć cichych *paf* zabrzmiało jak odbite echem strzały z kapiszonów.

- O rany... - mruknął Harod.

Spojrzał na pięć małych dziurek w piersi i spróbował je strzepnąć. Podniósł wzrok na Shaylę i rozdziawił usta. Papieros odpłynął, podskakując na falach jacuzzi.

- O kurwa - powiedział Tony Harod i ostrożnie usiadł.

Palce ześliznęły mu się z piersi, ciężkie powieki się zamknęły, twarz powoli zapadła się we wzburzonej wodzie.

Shayla Berrington z twarzą zupełnie bez wyrazu przez dziesięć minut patrzyła, jak biała piana w jacuzzi najpierw różowieje, następnie przybiera intensywnie czerwoną barwę, a w końcu oczyszcza się i znów bieleje dzięki filtrom i tryskającej z dysz świeżej wodzie. Odwróciła się i spokojnie wyszła, wyprostowana w idealnej pozie, z wysoko uniesioną głową; stukot jej lśniących szpilek zagłuszał szum wody. Wychodząc, wyłączyła górne światła. W pokoju zapanował półmrok (okna były zasłonięte), tylko odbite od spienionej wody światło kładło się przypadkowymi plamami na białej sztukaterii jak na ekranie kinowym, kiedy film już się skończy, lecz lampa w projektorze nadal prześwietla puste klatki celuloide.

78.

Cezarea, Izrael

13 grudnia 1981, niedziela

Natalie jechała Haifa Road na północ. Często robiła przystanki, napawała się widokami i światłem zimowego słońca. Nie wiedziała, kiedy znów będzie tędy przejeżdżać.

Na drodze przybrzeżnej postąpiła trochę w korku - natężenie ruchu pojazdów wojskowych było wyjątkowe - zanim dotarła do zjazdu do kibucu Ma'agan Michael, ale kiedy jej fiat bez pośpiechu sunął pod górę wśród rozproszonych szarańczynowych zagajników poniżej farmy Eshkolów, została na drodze zupełnie sama.

Saul czekał - jak zwykle - przy głazie obok dolnej bramy; zszedł i wpuścił Natalie na teren farmy. Wskoczyła z samochodu, wyściskała Saula, po czym cofnęła się i otaksowała go spojrzeniem.

- Świetnie wyglądasz - orzekła.

I była to prawie prawda. Saul wyglądał lepiej. Nie wrócił do dawnej wagi, po operacji lewą dłoń miał zabandażowaną razem z nadgarstkiem, ale zapuścił brodę, białą i gęstą jak u biblijnego patriarchy, mocna opalenizna zastąpiła bladość, która długo była dla niego naturalna, a okalające łysinę włosy urosły na tyle, że opadały mu prawie do ramion. Uśmiechnął się i - zgodnie z przewidywaniami Natalie - poprawił okulary w rogowej oprawce. Zawsze to robił, kiedy czuł się zakłopotany.

- Ty też - odparł. Zamknął bramę na skobel i skinął na młodego *sabra*, który obserwował ich z pobliskiego posterunku przy ogrodzeniu. - Ruszajmy do domu, kolacja prawie gotowa.

Kiedy jechali pod dom, Natalie spojrzała na obandażowaną rękę Saula.

- I jak?

- Co? A, o tym mówisz... W porządku. - Znów poprawił okulary i spojrzał na bandażę takim wzrokiem, jakby widział je po raz pierwszy. - Człowiek myśli, że kciuk jest w życiu nieodzowny, ale kiedy go straci, uświadamia sobie, jak łatwo jest funkcjonować bez niego. - Uśmiechnął się do Natalie. - Pod warunkiem, że drugi jest cały i zdrowy.

- To dziwne...

- Co?

- Dwie rany postrzałowe, zapalenie płuc, wstrząśnienie mózgu, trzy

złamane żebra i tyle siniaków i zadraśnień, że można obdzielić drużynę futbolową przez cały sezon.

- Żyda trudno zabić.

- Nie to miałam na myśli. - Natalie wprowadziła fiata pod wiatę dla samochodu. - Chodziło mi o to, że odniosłeś sporo poważnych obrażeń, a omal nie umarłeś przez zwykłe ugryzienie. W każdym razie omal nie straciłeś ręki.

- Po ugryzieniu przez człowieka bardzo łatwo złapać zakażenie - zauważył Saul, przytrzymując jej drzwi.

- Panna Sewell nie była człowiekiem.

- To prawda. - Saul poprawił okulary. - Wtedy już chyba nie.

Przygotował wyśmienity posiłek z baraniny i świeżego chleba. Przy kolacji rozmawiali o błahostkach - kursach prowadzonych przez Saula na uniwersytecie w Hajfie, najnowszym zleceniu fotograficznym Natalie dla *Jerusalem Post*, pogodzie. Po serowo-owocowym deserze Natalie zaproponowała, żeby wzięli ze sobą kawę i poszli obejrzeć akwedukt. Saul nalał więc kawy do metalowego termosu, a Natalie wyjęła z walizki gruby sweter; grudniowe wieczory na wybrzeżu bywają zimne.

Szli powoli w dół zbocza obok gajów pomarańczowych, rozmawiając o miękki jak aksamit świetle i starając się nie zauważać dwóch młodych *sabra*, podążających za nimi w dyskretnej odległości z przewieszonymi przez ramię uzi.

- Przyjmij wyrazy współczucia z powodu śmierci Davida - powiedziała Natalie, kiedy dotarli do wydm. Przed nimi Morze Śródziemne przybierało miedzianozłotą barwę.

Saul wzruszył ramionami.

- Żył pełnią życia. A ostatni zawał był litościwie szybki.

- Przykro mi, że nie byłam na pogrzebie. Przez cały dzień usiłowałam się wyrwać z Aten, ale na lotnisku panował chaos.

- Byłaś na pogrzebie, byłaś. Cały czas o tobie myślałem.

Saul skinął na ochroniarzy, kazał im zostać tu, gdzie są, i poprowadził Natalie akweduktem. W poziomych promieniach słońca ich cienie olbrzymów kładły się na pofałdowanych wydmach. Zatrzymali się w połowie długiego przesła. Natalie objęła się rękoma. Wiał zimny, przenikliwy wiatr. Na wschodzie pojawiły się trzy gwiazdy i księżyc jak obrzynek paznokcia.

- Nadal chcesz jutro wyjechać? - spytał Saul. - Wrócić?

- Tak. Wylatuję o jedenastej trzydzieści z Ben-Guriona.

- Odwiozę cię na lotnisko. Zostawimy samochód u Sheili; poproszę ją, żeby odwiozła mnie później z powrotem. Ona albo któreś z jej dzieci.

Natalie się uśmiechnęła.

- Byłoby miło.

Saul nalał im obojgu kawy i podał Natalie plastikowy kubek. Para skłębiła się w zimnym powietrzu.

- Boisz się? - zapytał.

- Powrotu do Stanów? - spytała, ostrożnie sącząc gorącą, aromatyczną kawę po turecku. - Czy perspektywy, że może ich być więcej?

- Powrotu.

- Tak.

Saul pokiwał głową. Zachód słońca przyćmiewał reflektory nielicznych samochodów sunących nadmorską drogą. Daleko na północy pałały czerwienią mury miasta krzyżowców. Jeszcze dalej majaczyła góra Karmel, otulona mgiełką w tak intensywnie fioletowym odcieniu, że widząc ją na zdjęciu, Natalie nie uwierzyłaby, że kolor jest naturalny.

- A właściwie to nie wiem - dodała. - Zobaczę, jak będzie. Niby Ameryka już wcześniej mnie przerażała, przed... przed tym wszystkim, ale... dom to dom. Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem.

- A ty? Myślisz czasem o powrocie do domu? Znaczący, do Stanów?

Saul pokiwał głową, przysiadłszy na kamieniu. W szczelinach, do których za dnia nie sięgało słońce, krył się szron.

- Nieustannie - odparł. - Ale tu jest tyle do zrobienia...

- Nadal nie mogę uwierzyć, że Mossad tak szybko... uwierzył - przyznała Natalie.

- Mają długą i szlachetną historię paranoi - powiedział z uśmiechem Saul.

- A my chyba idealnie trafiliśmy w ich uprzedzenia. - Dopił kawę i ponownie napełnił oba kubki. - Poza tym mieli mnóstwo informacji wywiadowczych, które nie trzymały się kupy, a dzięki nam zyskały jakiś... kontekst. Dziwaczny, owszem, ale lepszy taki niż żaden.

Natalie wskazała ponad ciemniejącym morzem na północ.

- Myślisz, że znajdą... kogoś?

- Tajemniczych łączników Obersta? Być może. Coś mi mówi, że są to ludzie, z którymi Mossad już ma do czynienia.

Natalie spochmurniała.

- Nie mogę przestać myśleć o tym człowieku... tam, w domu... tym, którego nie było.

- Howard. Ten rudy. Ojciec Justina.

- Właśnie.

Słońce oparło się o horyzont. Wiatr się wzmógł. Natalie zadrżała.

- Catfish zameldował wam przez radio, że „uśpił” Howarda. O ile to właśnie Howard was śledził. Kiedy Melanie posłała kogoś, pewnie olbrzyma, żeby zamordował Catfisha, ten ktoś najprawdopodobniej zgarnął także Howarda. Który pewnie nawet nie odzyskał przytomności, kiedy dom spłonął. Może to on czekał na ciebie w pokoju na tyłach.

- Może. - Natalie mocniej ścisnęła kubek w przemarzniętych dłoniach. - Równie dobrze Melanie mogła go wziąć za trupa i kazać gdzieś tam pogrzebać; to by tłumaczyło, dlaczego w gazetach podano później niewłaściwą liczbę ciał. - Zapatrzyła się na wschodzące gwiazdy. - Wiesz, jaka dziś rocznica? Równy rok od...

- Od śmierci twojego ojca. - Saul pomógł jej wstać i razem ruszyli w drogę powrotną po akwedukcie. Zmierzch zapadał szybko. - Mówiłaś, zdaje się, że dostałaś list od Jacksona...?

Natalie się rozpromieniła.

- I to długi. Wrócił do Germantown i został nowym kierownikiem ośrodka pomocy społecznej, ale pozbył się starego gmaszyska i kazał Soul Brickyard poszukać sobie nowego lokalu; mógł tak powiedzieć, bo cały czas w pewnym sensie należy do ekipy. Pootwierał też różne darmowe punkty usługowe przy Germantown Avenue, między innymi klinikę.

- Pisze coś o Marvinie?

- Owszem. Można chyba powiedzieć, że go adoptował. W pewnym sensie. Podobno Marvin wykazuje oznaki poprawy, osiągnął mniej więcej poziom czterolatka... Bardzo bystrego czterolatka, jak twierdzi Jackson.

- Zamierzasz go odwiedzić?

Natalie otuliła się ciasniej swetrem.

- Być może. Prawdopodobnie. Tak.

Ostrożnie zeszli z kruszącej się podpory antycznego przęsła i obejrzeni się na przebytą drogę. Wyprane z kolorów wydmy wyglądały jak zamrożone morze oblewające rzymskie ruiny.

- Masz w planach jeszcze jakieś fotoreportaże przed powrotem na studia?

- *Jerusalem Post* poprosił mnie o materiał na temat upadku wielkich amerykańskich synagog; pomyślałam, że zacznę od Filadelfii.

Saul pomachał dwóm *sabra* skrytym w cieniu kolumnady. Jeden z nich zapalił papierosa, który w półmroku rozjarzył się jak czerwone oko.

- Twój materiał o arabskich robotnikach w Tel Awiwie był świetny.

- Hmm... Prawda jest taka - odparła Natalie z odrobiną arogancji w głosie - że w Izraelu są traktowani jak kiedyś czarni w Stanach.

- To prawda.

Długo stali na drodze u stóp wzgórza. Nie rozmawiali, marzli, ale nie chcieli wracać do domu, do ciepła, światła, łatwych rozmów i snu. Niespodziewanie Natalie przywarła do Saula, wtuliła twarz w jego kurtkę, poczuła dotyk jego brody na włosach.

- Och, Saul... - Zaszłochała.

Pogładził ją nieporadnie zabandażowaną ręką. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby ta chwila została na wieczność zamrożona w czasie; nawet zawarty w niej smutek byłby dla niego źródłem radości. Za plecami słyszał delikatny szmer przenoszonego przez wiatr piasku, nieustępliwego w swoim dążeniu do przysypania wszystkiego, co człowiek stworzył lub miał nadzieję stworzyć.

Natalie odsunęła się odrobinę, wyjęła chusteczkę z kieszeni swetra i wytarła nos.

- Niech to diabli... - mruknęła. - Przepraszam, Saul. Przyjechałam chyba powiedzieć „szalom”, ale wychodzi na to, że nie jestem gotowa.

Saul poprawił okulary.

- Pamiętaj: „szalom” nie znaczy „żegnaj”. Ani „witaj”. Po prostu oznacza „pokój”.

- Szalom. - Natalie schroniła się w ramionach Saula przed nocnym wiatrem.

- Szalom i *L'chaim* - odparł Saul. Oparł policzek o jej włosy i patrzył, jak piasek ślizga się po nawierzchni wąskiej drogi. - Za życie.

Epilog

21 października 1988

Czas płynie. Jestem tu bardzo szczęśliwa. Mieszkam teraz na południu Francji, pomiędzy Cannes i Tulonem, na szczęście niezbyt blisko St. Tropez.

Prawie całkowicie doszłam do siebie po chorobie i poruszam się już samodzielnie, bez chodzika, rzadko jednak wychodzę z domu. Henri i Claude robią mi we wsi zakupy. Czasami pozwalam im się zawieźć do mojego *pensione* we Włoszech, nad Adriatykiem, na południe od Pescary; albo aż do Szkocji, do wynajętego domku, skąd mogę obserwować jego. Ostatnio jednak te wycieczki są coraz rzadsze.

Wśród wzgórz za moim domem stoi opuszczone opactwo - jest na tyle blisko, że czasem wyprawiam się tam i siadam sobie wśród kamieni i dzikich kwiatów, żeby spokojnie pomyśleć. Myślę o odosobnieniu i wstrzeźliwości i o tym, jak okrutnie są od siebie nawzajem uzależnione.

Coraz wyraźniej odczuwam swój wiek. Tłumaczę sobie, że to z powodu długiej choroby i reumatyzmu, który szczególnie daje mi się we znaki w chłodne październikowe dni - takie jak dziś - ale co rusz łapię się na tym, że śnię o znajomych ulicach Charleston i tamtych ostatnich dniach. To są głodne sny.

Kiedy w maju kazałam Culleyowi uprowadzić panią Hodges, nie wiedziałam dokładnie, po co to robię i jakie znajdę dla niej zastosowanie. Nie byłam wcale przekonana, że warto utrzymywać ją przy życiu w piwnicy jej własnego domu, nie mówiąc już o farbowaniu jej włosów na odcień podobny do mojego i eksperymentowaniu z zastrzykami, które pozwoliłyby symulować objawy mojej przypadłości. Kiedy w tych ostatnich minutach czekałam w wypożyczonym ambulansie zaparkowanym przecznicę od domu, aż Howard odwiezie mnie na lotnisko i razem wsiądziemy do samolotu, byłam w duchu wdzięczna Hodgesom, że tak doskonale przysłużyli mi się na przestrzeni ubiegłego roku. Doprawdy, więcej nie mogłam od nich oczekiwać. Przywiązanie starszej pani do łóżka wydawało się zbędnym zabiegiem, jeśli wziąć pod uwagę jej wywołany chemikaliami stan, dziś jednak jestem szczerze przeświadczona, że gdyby nie została w ten sposób zabezpieczona, zerwałaby się z tego stosu pogrzebowego i wybiegła z płonącego domu, przez co zepsułaby całą scenę, dla której inscenizacji

poświęciłam tak wiele.

Ukochany dom. Ukochaną rodzinę.

Na wspomnienie tamtego dnia łzy wciąż napływają mi do oczu.

Początkowo Howard był dla mnie całkiem użyteczny, ale kiedy na dobre osiadłam w wiosce i upewniłam się, że nikt mnie nie śledzi, uznałam, że będzie najbezpieczniej, jeśli przydarzy mu się jakiś wypadek, gdzieś daleko ode mnie. Claude i Henri pochodzą stąd, z miejscowej rodziny, która również wiernie mi służy od dziesięcioleci.

Siedzę i czekam na Ninę. Wiem już, że przejęła władzę nad wszystkimi niższymi rasami zaludniającymi świat - Murzynami, Hebrajczykami, Azjatami i innymi; sam ten fakt wyklucza możliwość mojego powrotu do Ameryki. Willi miał rację już wtedy, dawno temu, w pierwszych miesiącach naszej znajomości, kiedy, siedząc w wiedeńskiej kawiarni, słuchałyśmy z uprzejmym zainteresowaniem, jak naukowym językiem tłumaczy nam, że Stany Zjednoczone zeszły na psy; jak stały się kłębem podludzi, którzy chciwie wyciągają ręce i wyczekują chwili, kiedy obalą władzę przedstawicieli ras wyższych.

Dziś Nina włada nimi wszystkimi.

W tamtą noc na wyspie podtrzymałam kontakt z jednym ze strażników dostatecznie długo, żeby zobaczyć, co ludzie Niny zrobili mojemu biednemu Williemu. Kierowała nawet panem Barentem. Willi od samego początku miał rację.

Nie wystarcza mi jednak siedzenie tutaj i czekanie, aż Nina i jej skundleni słudzy mnie znajdą.

Jak na ironię, to właśnie ona i jej Murzynka podsunęły mi ten pomysł, podczas długich tygodni obserwacji kapitana Mallory'ego przez lornetkę i późniejszego - nadzwyczaj satysfakcjonującego - zakończenia tej małej maskarady. To doświadczenie przypomniało mi inny kontakt, wcześniejszy, na w pół przypadkowy, do jakiego doszło w ową odległą grudniową sobotę, podczas mojej pożegnalnej wizyty w Forcie Sumtera; w ten sam dzień, kiedy pierwszy raz pomyślałam, że Willi został zamordowany i Nina zwróci się teraz przeciwko mnie.

Najpierw zobaczyłam okręt - czarny, tnący wody zatoki bezgłośnie niczym rekin - a potem nawiązałam zaskakujący kontakt ze stojącym na szarej wieżycze (dziś już wiem, że nazywają ją „kioskiem”) kapitanem z lornetką na piersi.

Od tamtej pory sześciokrotnie odszukiwałam go i dzieliłam z nim

wrażenia i odczucia. Są to chwile znacznie przyjemniejsze od przymusowych, przypadkowych zespoleń z Mallorym. W moim domu pod Aberdeen mogę wyjść na nadmorski klif i patrzeć, jak okręt podwodny wchodzi do portu. Marynarze są dumni ze swoich szyfrów, kluczy i procedur zabezpieczających, ale ja wiem już dzisiaj to, co mój kapitan wiedział od dawna: to by było bardzo, bardzo łatwe. Jego koszmary są moimi podręcznikami.

Jeśli jednak mam to zrobić, muszę się pośpieszyć. Kapitan się starzeje, jego okręt również. I ja także. Obaj mogą wkrótce przestać działać ze starości. Tak jak i ja.

Nie co dzień ogarnia mnie lęk przed Niną, nie co dzień snuję plany tego potężnego Żerowania - jedno i drugie zdarza mi się jednak coraz częściej.

Bywa, że budzi mnie śpiew dziewczyn z wioski, które w drodze do mleczarni przejeżdżają na rowerach obok naszego domu. W takie dni cudownie ciepłe promienie słońca padają na drobne białe kwiatuszki rosnące wśród ruin opactwa, a mnie wystarczy, że mogę tam być i dzielić się z nimi słońcem i ciszą.

Bywają jednak także inne dni, zimne i mroczne, takie jak dzisiaj, kiedy z północy napływają chmury, a ja przypominam sobie sylwetkę okrętu podwodnego sunącego bezszelestnie przez ciemne wody zatoki i rozmyślam o tym, czy wstrzeźliwość, którą sama sobie narzuciłam, nie pójdzie na marne. W takie dni zastanawiam się, czy takie gigantyczne, ostateczne Żerowanie jednak by mnie nie odmłodziło. Jak to mawiał Willi, przedstawiając nam pomysł nowej psoty: „Co mam do stracenia?”.

Jutro ma być cieplej; może się trochę rozchmurzę. Dziś jednak marznę, dokucza mi melancholia, jestem sama i nie mam się z kim bawić.

Idzie zima. A ja jestem bardzo, bardzo głodna.

Notatki

[←1]

Słowa wypisane krwią na ścianie w domu ofiar Charlesa Mansona (przyp. tłum.).

[←2]

G. Gordon Liddy - mózg operacji założenia podsłuchu w Watergate, siedzibie amerykańskiej Partii Demokratycznej, w 1972 roku (przyp. tłum.).

[←3]

Postaci z popularnych w USA kryminałów E. Stratemeyera
(przyp. tłum.).

[←4]

Connie Chung - amerykańska reporterka telewizyjna
chińskiego pochodzenia (przyp. tłum.).

[←5]

Pochód Róż - tradycyjna parada noworoczna w Pasadenie
(przyp. tłum.)

[←6]

Cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia.

[←7]

NCPAC - komitet polityczny tzw. Nowej Prawicy, w znacznej mierze odpowiedzialny za wyniesienie Republikanów (i Ronalda Reagana) do władzy w l. osiemdziesiątych XX w. (przyp. tłum.)

[←8]

Przeł. J. Ficowski.

Spis treści

Podziękowania

Prolog

Księga pierwsza OTWARCIA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

Księga druga ROZGRYWKA

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

Księga trzecia KOŃCÓWKA

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

[66.](#)

[67.](#)

[68.](#)

[69.](#)

[70.](#)

[71.](#)

[72.](#)

[73.](#)

[74.](#)

[75.](#)

[76.](#)

[77.](#)

[78.](#)

[Epilog](#)

[Notatki](#)

Torres